

TAJEMNICE PODWODNYCH MIAST

Najnowszy bestseller autora
Śladów palców bogów

Zatopione królestwa epoki lodowcowej


AMBER

GRAHAM HANCOCK

Zdjęcia SANTHA FAIIA





Kontrowersyjne próby wyjaśnienia największych tajemnic dziejów ludzkości

- MARK ANTONACCI
ZMARTWYCHWSTANIE CAŁUNU
- ALAN F. ALFORD
BOGOWIE NOWEGO TYSIĄCLECIA
ZAGADKA DWUNASTEJ PLANETY
ZAGADKA ATLANTYDY ROZWIĄZANA
- MICHAEL BAIGENT
ŚLADY SPRZED MILIONÓW LAT
- MICHAEL BAIGENT & RICHARD LEIGH
ELIKSIR I KAMIEŃ
- CHRIS BARBER & DAVID PYKITT
LEGENDA CAMELOTU
- BRIAN BATES
ZAPOMNIANA MĄDROŚĆ WYRDU
- ROBERT BAUVAL & ADRIAN GILBERT
PIRAMIDY – BRAMA DO GWIAZD
- ROBERT BAUVAL & GRAHAM HANCOCK
STRAŻNIK TAJEMNIC
- HOWARD BLUM
ZŁOTO MOJŻESZA
- JOHANNES VON BUTTLAR
PODRÓŻE W CZASIE
- JONATHAN CAMPBELL
ZWOJE ZNAD MORZA MARTWEGO
ROZSZYFROWANE
- HOWARD CARTER & ARTHUR C. MACE
ODKRYCIE GROBOWCA
TUTANCHAMONA
- ANDREW COLLINS
BOGOWIE EDENU
- MAURICE M. COTTERELL
SUPERBOGOWIE
- MIKE DASH
GRANICE POZNANIA
- RICHARD ELLIS
ATLANTYDA – NAJWIĘKSZA
LEGENDA ŚWIATA
- LAURENCE GARDNER
POTOMKOWIE DAWIDA I JEZUSA
- ADRIAN G. GILBERT
MAGOWIE. TRZEJ KRÓLOWIE
NAUCZYCIELAMI JEZUSA
- ADRIAN G. GILBERT
ALAN WILSON & BARAM BLACKETT
ŚWIĘTE KRÓLESTWO
- TIMOTHY GOOD
Z TAJNYCH ARCHIWÓW.
UFO – ZAGROŻENIE
DLA ŚWIATOWEGO BEZPIECZEŃSTWA
- RODERICK GRIERSON
& STUART MUNRO-HAY
ARKA PRZYMIERZA
- GRAHAM HANCOCK
ŚLADY PALCÓW BOGÓW
TAJEMNICE PODWODNYCH MIAST
ZWIERCIADŁO NIEBA
- PETER JAMES & NICK THORPE
NIETYJAŚNIONE
TAJEMNICE
PRZESZŁOŚCI
NAJWIĘKSZE ZAGADKI
PRZESZŁOŚCI
- JOHN E. MACK
UPROWADZENI –
BLISKIE SPOTKANIA
IV STOPNIA
- TERENCE MEADEN
STONEHENGE
- CHRIS MORTON & CERI L. THOMAS
TAJEMNICA
KRYSTAŁOWYCH
CZASZEK
- GUY PATTON & ROBIN MACKNESS
ŚWIĘTY SKARB
- NICOLAS REDFERN
UKRYTE ARCHIWA
- DAVID M. ROHL
FARAONOWIE I KRÓLOWIE
- RICHARD RUDGLEY
ZAGINIONE CYWILIZACJE
EPOKI KAMIENTA
- IAN WILSON
KREW I CAŁUN
PRZED POTOPEM
- HANS-JOACHIM ZILLMER
NAJWIĘKSZE POMYŁKI W DZIEJACH
ZIEMI

TAJEMNICE PODWODNYCH MIAST

GRAHAM HANCOCK

Zdjęcia SANTHA FAIIA

Przekład

Grażyna Gasparska



Tytuł oryginału
UNDERWORLD: The Mysterious Origins of Civilization

Redaktor serii
ZBIGNIEW FONIOK

Redakcja stylistyczna
AGNIESZKA WESELI

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
DOROTA PIEKARSKA
MARIA RAWSKA

Ilustracje
SANTHA FAHA

Opracowanie graficzne okładki
STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu
<http://www.amber.sm.pl>

Copyright © 2002 by Graham Hancock.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2002 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-0143-8

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o.
00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40 13, 620 81 62
Warszawa 2002. Wydanie I
Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków

*Dla Santhy
z wyrazami najszczerzej miłości,
za to że przy mnie była*

Spis treści

| | | |
|----------------|---|-----|
| Część pierwsza | Prehistoria | 9 |
| Rozdział 1 | Relikty | 11 |
| Rozdział 2 | Topnienie lodów | 33 |
| Część druga | Indie (1) | 71 |
| Rozdział 3 | Zapomniane miasta, starożytne teksty i indyjska Atlantyda | 73 |
| Rozdział 4 | Pielgrzymka do Indii | 93 |
| Rozdział 5 | Miejsce, w którym osiadł statek | 112 |
| Rozdział 6 | Zaginione Indie | 130 |
| Rozdział 7 | Demon na górze i odrodzenie cywilizacji | 149 |
| Część trzecia | Indie (2) | 177 |
| Rozdział 8 | Królestwo z bajki | 179 |
| Rozdział 9 | Zagadkowe Czerwone Wzgórze | 201 |
| Rozdział 10 | Poszukiwanie Kumari Kandam | 221 |
| Rozdział 11 | Zgubione lata | 244 |
| Rozdział 12 | Wyspy piramid | 250 |
| Rozdział 13 | Duchy w wodzie | 263 |
| Część czwarta | Starożytne mapy | 281 |
| Rozdział 14 | Terra incognita | 283 |

| | | |
|---------------|---|-----|
| Rozdział 15 | Pamięć o mapach | 317 |
| Rozdział 16 | Poszukiwanie Zaginionej na drodze donikań | 332 |
| Rozdział 17 | Metamorfoza Antyllii | 349 |
| Część piąta | Japonia, Tajwan, Chiny | 375 |
| Rozdział 18 | Ziemia umiłowana przez bogów | 377 |
| Rozdział 19 | Pamięć | 401 |
| Rozdział 20 | Yonaguni | 418 |
| Rozdział 21 | Mapy Japonii i Tajwanu sprzed 13 000 lat | 445 |
| Rozdział 22 | Kerama | 459 |
| Rozdział 23 | Rekin u wrót | 472 |
| Posłowie 1 | Podwodny świat w Zatoce Kambajskiej | 491 |
| Dodatki | | 494 |
| Posłowie 2 | Podwodny świat w Zatoce Bengalskiej | 517 |
| Przypisy | | 524 |
| Podziękowania | | 551 |

Część pierwsza

Prehistoria

Rozdział 1

Relikty

*Jeśli czegoś nie oczekujesz, nie znajdziesz nieoczekiwanego,
bo niezmiernie trudno to znaleźć.*

Heraklit

Pięć kilometrów na południowy wschód od wybrzeży Indii, na głębokości 23 metrów pod powierzchnią mętnych wód Zatoki Bengalskiej często nawiedzanej przez rekiny, znajduje się starożytna konstrukcja najwyraźniej wykonana ludzką ręką. Ma kształt litery U, wygląda jak olbrzymia podkowa. Liczy 85 metrów długości, mury mierzą metr grubości i 2 metry wysokości¹.

Budowlę tę w marcu 1991 roku odkrył zespół badawczy podmorskich archeologów z indyjskiego National Institute of Oceanography (NIO), prowadzący wykopaliska w okolicach Trankuebar-Poompuhur u wybrzeży Tamilnadu niedaleko Nagapattinam. Ekipa wyposażona była w sonar skanujący, który wysyła sygnał na odległość do 1000 metrów i dokonuje pomiaru mocy echa. Umieszczony na rufie statku badawczego, sonar tego typu tworzy dokładną mapę ukształtowania dna morskiego oraz rozpoznaje i rejestruje nietypowe zjawiska, na przykład wraki statków.

Siódmego marca 1991 roku na głębokości 19 metrów sonar wykrył wrak. Przez dwa kolejne dni nurkowie badali ten obiekt, znajdując wiele rozrzuconych po dnie przedmiotów, między innymi ołowiane bloki i armatę. Oto co napisano w oficjalnym raporcie:

Nurkowie inwentaryzowali rozrzucone przedmioty do godziny 13.00 [9 marca]. T.C.S. Rao, który badał sonarem dno morskie naprzeciwko Czinnawanagiri [niedaleko od wraku], doniósł o znalezieniu innego obiektu o wymiarach 40×10 metrów, mającego kształt statku (?). Na miejsce (oznaczone symbolem PMR₂) wysłano Shri Bandodkara, który umieścił tam dwie boje sygnalizacyjne. O godzinie 14.00 pod wodę zeszli Manavi i Chinni, lecz nie mogli obejrzeć obiektu, gdyż boje zostały zniesione przez prąd².

Ponowne badanie sonarem po południu skorygowało pomiar. Wynikało z niego, że obiekt miał kształt owalny, „30–35 metrów ze wschodu na zachód i 10 metrów z północy na południe, i wyraźny otwór po jednej stronie”³.

T.C.S. Rao 16 i 19 marca kontynuował pomiary, by napisać w raporcie:

W rzeczywistości są tam trzy obiekty, centralny ma kształt owalu z otworem od północnej strony. Długość osi podłużnej wynosi 20 metrów. Osad z gliny pokrywa wschodnie skrzydło, za nim widać kolejną półkolistą strukturę. Na północny zachód od centralnego obiektu znajduje się jeszcze jedna owalna konstrukcja lub więcej podobnych obiektów⁴.

Wreszcie 23 marca 1991 roku pod wodę zeszło trzech nurków, ale powietrza starczyło im tylko na zbadanie konstrukcji centralnej. W raporcie opisali:

(...) obiekt w kształcie podkowy o wysokości 1–2 metrów. Na jednym z ramion o szerokości metra znaleziono kamienne bloki. Odległość między oboma ramionami wynosi 20 metrów. Podczas następnego zejścia pod wodę będzie można ustalić, czy obiekt ten jest świątynią, czy też inną budowlą wzniesioną przez ludzi, a znajdującą się obecnie 23 metry pod powierzchnią wody⁵...

Bardzo głęboko to znaczy bardzo stare...

Przez następny sezon nie prowadzono w tym miejscu żadnych poszukiwań. W 1993 roku budowle zostały ponownie zbadane przez nurkujących archeologów z NIO. Dokonali oni wówczas dokładnych pomiarów, a wyniki pracy ujęli w raporcie:

Konstrukcja w kształcie litery U znajduje się na głębokości 23 metrów, około 5 kilometrów od wybrzeża. Jej długość w obwodzie wynosi 85 metrów, odległość między oboma ramionami – 13 metrów, a maksymalna wysokość – 2 metry. Ramię wschodnie jest wyższe niż zachodnie. Środek podkowy pokrywa warstwa osadów, przez którą w kilku miejscach widać kamień. Po odgarnięciu ręką piasku stwierdzono, że centralna część jest skalista na głębokość 10–15 centymetrów. Nurkowie zaobserwowali osady morskich mikroorganizmów na powierzchni konstrukcji. Niektóre jej fragmenty noszą ślady robót murarskich⁶.

Od 1993 roku ze względu na brak funduszy nie prowadzono już żadnych prac wzdłuż wybrzeża Poompuhur, a w literaturze archeologicznej odnotowano jedynie, że NIO nie znalazł pod wodą żadnych budowli wzniesionych wcześniej niż w III wieku p.n.e.⁷. Pogląd ten jest słuszny w odniesieniu do licznych konstrukcji, jakie odkryto bardzo blisko brzegu, zazwyczaj leżących nie głębiej niż 2 metry pod wodą, które odpływ odsłania do połowy⁸. Ale konstrukcja w kształcie U na głębokości 23 metrów to co innego. Nie można automatycznie uznać, iż pochodzi z III wieku p.n.e. Przeciwnie – skoro wiemy, że poziom morza przez ostatnie 19 000

lat nieustannie się podnosił⁹, zdrowy rozsądek każe przypuszczać, iż budowla znajdująca się na głębokości 23 metrów musi być znacznie starsza niż jakiegokolwiek obiekty pokryte dwumetrową warstwą wody.

„Nikt nie szukał...”

W lutym 2000 roku pojechałem do Bangaluru w odwiedziny do nestora morskiej archeologii w Indiach, S.R. Rao, który kierował zespołem badawczym w Trankuebar-Poompuhur. Rao jest dystyngowanym, szczupłym mężczyzną po siedemdziesiątce, o niespożytej energii, entuzjastycznie traktującym swoje zamiłowanie. Kiedy wymieniliśmy powitalne uprzejmości, powiedziałem, że bardzo interesuje mnie owa budowla w kształcie U, którą jego zespół odkrył w Poompuhur.

– Przecież znajdowała się na głębokości aż 23 metrów. Czy nie oznacza to, iż jest bardzo stara?

– To oczywiście – odparł Rao. – My również tak uważamy. Zabraliśmy nawet pod wodę pewnego inżyniera, żeby orzekł, czy konstrukcja opadła tak głęboko w wyniku erozji, czy też osunęła się pod własnym ciężarem. Nie sądzę, żeby któraś z tych ewentualności wchodziła w grę, bo jest to ogromna budowla i musiała być zbudowana tam, gdzie stoi, a morze znajdowało się wtedy znacznie dalej. Konstrukcję wzniesiono na stałym lądzie. Pytanie, czy w tak krótkim czasie poziom wód podniósł się aż tak bardzo – o 23 metry w ciągu 2000 lat?

– A może podniesienie się poziomu morza nastąpiło znacznie wcześniej – zasugerowałem. – Może konstrukcja pochodzi ze znacznie odleglejszego w czasie okresu niż ruiny Poompuhur sprzed dwóch tysiącleci, znajdujące się w strefie pływów? Poziom morza z pewnością się podniósł, lecz musiało to nastąpić znacznie dawniej, pod koniec epoki lodowcowej.

– Ma pan rację. To musiało się zdarzyć właśnie wtedy.

– Pod koniec epoki lodowcowej były trzy wielkie potopy, a od ostatniego upłynęło zaledwie 8000 lat. Czy budowla mogła pochodzić z tego okresu?

– Tego nie wiemy – odparł Rao. – Dane, jakimi dysponujemy, nie pozwalają nam ocenić wieku obiektu.

– Dlaczego?

– Wśród próbek pobranych z tego miejsca nie znaleźliśmy materiału organicznego, którego wiek można by określić za pomocą metody radiowęglowej, nie było tam też naczyń, w których datowaniu moglibyśmy zastosować metodę termoluminescencyjną czy określić kulturę, której są wytworem. Mamy tylko kamień, jego wieku zaś nie da się w żaden sposób ustalić.

– Mamy zatem do czynienia z jednym tylko oczywistym faktem: budowla znajduje się 23 metry pod wodą. Może więc podnoszenie się poziomu morza pomoże nam określić w przybliżeniu wiek tego obiektu.

– Zapewne. Wiem na przykład, że po przeprowadzeniu badań w Zatoce Kaczczh w północno-zachodnich Indiach stwierdzono, iż w 10 000 roku p.n.e. poziom

morza był o 60 metrów niższy niż obecnie. Niewykluczone zatem, że i tu woda znacznie się podniosła.

– A to mogłoby oznaczać, iż mamy do czynienia z pozostałością po jakiejś nieznaney nam, starożytnej kulturze...

– Oczywiście, ma pan całkowitą rację! – wykrzyknął. – A skąd mogła się wywodzić najstarsza cywilizacja Indii, tak zwana kultura Doliny Indusu? Naukowcy snują domniemania, ale nikt tak naprawdę nie wie. Pismo tej kultury, które pojawiło się w III tysiącleciu p.n.e., było już jak na owe czasy wysoko rozwinięte. Znano też technikę budowania z cegły, kanalizację, planowanie przestrzenne. Tak więc z pewnością musiała wcześniej istnieć starsza kultura. Nie wiemy tylko, jakim torem przebiegały procesy ewolucyjne.

Dr Rao, sam o tym nie wiedząc, dotknął sprawy, która mnie doń sprowadziła.

– A może świadectwa owych procesów znajdują się pod wodą? – zasugerowałem.

– Całkiem prawdopodobne.

– Jeśli tak, to budowla w Poompukur może mieć ogromne znaczenie, choćby dlatego, że leży na tak dużej głębokości...

– No właśnie, 23 metry...

– Otóż to. Należałoby wykluczyć możliwość osunięcia się brzegu, lecz w tym celu trzeba by przeprowadzić dalsze prace pod wodą... Gdyby nam się to udało i gdybyśmy potwierdzili, że budowla znalazła się pod wodą wskutek podniesienia się poziomu morza, mielibyśmy do czynienia z odkryciem, które stawiałoby pod znakiem zapytania wszelkie ustalenia co do chronologii ziemskich cywilizacji.

Rao zadumał się.

– W tradycji niektórych ludów powtarza się legenda o jakimś kontynencie na Oceanie Indyjskim, który istniał tam w bardzo odległej przeszłości, ponad 10 000 lat temu, i zatonął... To całkiem możliwe. Nie prowadzono badań w tym kierunku. Gdybyśmy mieli więcej czasu i środków, pewnie odkrylibyśmy także inne podwodne budowle i dopiero wówczas można by snuć domniemania na temat znacznie wcześniejszych kultur.

Zapewniłem Rao, że tradycje, o których wspomniał, nie są mi obce. Legendy mówią o zatopionych 11 000 lat temu, rozległych ziemiach, które kiedyś istniały na Oceanie Indyjskim na południe od przylądka Komoryn. Ten zaginiony ląd nosił nazwę Kumari Kandam. Tradycja głosi, że przed zatopieniem rozwinęła się tam wspaniała kultura. Jej symbolem była elitarna „Akademia”, w której kultywowano filozofię i literaturę.

– Musiało coś takiego istnieć – potwierdził Rao. – Nie można tego całkowicie wykluczyć. Przecież świadczą o tym odkryte przez nas ruiny na tak dużej głębokości. Robiliśmy wtedy zdjęcia. Ten obiekt nadal istnieje, każdy może go obejrzeć. Jestem przekonany, że nie jest jedyny. Gdyby dokładniej zbadać ten rejon, z pewnością znalazłoby też inne konstrukcje tego rodzaju. A na większej głębokości może odkrylibyśmy jeszcze ciekawsze budowle.

Spytałem, czy po 1993 roku próbowano znaleźć inne podwodne budowle u południowych wybrzeży Indii.

– Nie, nikt już niczego nie szukał – odpowiedział.

Opowieść Kena Shindo

W 1996 roku, 4 lata przed moją rozmową z Rao, napisana przeze mnie książka *Ślady palców bogów* stała się w bestsellerem w Japonii, kraju, który fascynował mnie od najmłodszych lat. Sukces książki dał mi okazję do odwiedzenia Japonii.

W owym roku gościłem tam dwukrotnie z serią prelekcji na tematy poruszane w książce. Podczas drugiego pobytu podszedł do mnie po prelekcji fotoreporter Ken Shindo, pracujący dla wpływowej Kyodo-Tsushin News Agency. Pokazał mi fascynujące podwodne zdjęcia, ukazujące dziwną tarasową budowlę, coś w rodzaju pomnika najwyraźniej wykonanego przez ludzi, znajdującego się na głębokości 30 metrów u wybrzeża japońskiej wyspy Yonaguni. Od lat interesowałem się hipotezą głoszącą, że istniała niegdyś wysoko rozwinięta cywilizacja, która uległa zagładzie wskutek katastrofalnych potopów, kładących kres ostatniej epoce lodowcowej. Dlatego historia opowiedziana przez Shindo tak bardzo mnie wciągnęła.

– Podwodne ruiny, tu, w Japonii!? – zawołałem zdumiony. – Czy na pewno jest to dzieło człowieka? I czy ktokolwiek wie, ile mają lat?

Shindo roześmiał się.

– Niektórzy twierdzą, że to natura naśladuje człowieka, ale nie oglądali tego miejsca tak długo i dokładnie jak ja. Jestem całkowicie pewny, że tę budowlę stworzyli ludzie.

– Czy wiadomo, ile ma lat?

Shindo powiedział, że współpracował z profesorem Masaaki Kimurą, sejsmologiem morskim na uniwersytecie Riukiu* na Okinawie, który od 1994 roku bada tajemnicze podwodne obiekty w Yonaguni. On także uważa, że są to wytwory człowieka. Przeprowadzone przez profesora drobiazgowo badania, pomiary i pobrane próbki dowodzą, że budowla została wykuta w twardej skale jeszcze w czasach, gdy miejsce, w którym stoi, było stałym lądem. Gdyby uznać, że pod wodą znalazła się wyłącznie na skutek podniesienia się poziomu morza, wstępne obliczenia wskazywałyby, że nastąpiło to około 10 000 lat temu, czyli budowla jest o dobre 5000 lat starsza niż najstarsze znane obiekty na ziemi – starożytne zikkuraty sumeryjskie w Mezopotamii.

Grobowiec Davy'ego Jonesa

Postanowiłem nauczyć się nurkować i namówiłem moją żonę Santhę, żeby podczas pobytu w Los Angeles brała lekcje wraz ze mną. Tak więc w listopadzie

* Nazwy największych wysp i miejscowości w Japonii podajemy w transkrypcji tradycyjnej (przyp. red.).

1996 roku zapisaliśmy się na kurs nurkowania na otwartym morzu, który odbywał się w chłodnych, pełnych wodorostów wodach u wybrzeży wyspy Catalina.

Podczas pierwszej lekcji uznałem, że jest to doświadczenie w najwyższym stopniu nieprzyjemne i przerażające. Byłem przekonany, że nadeszła moja ostatnia chwila. Ubrano mnie w piankowy kombinezon z kauczuku przypominający strój człowieczka z reklamy opon Michelin, przytwierdzono do niego sprzęt i opleciono jakimiś kablami.

Zacznijmy od stóp. Nurek wdziewa krótkie gumowe buty przyczepione do pierścienia uszczelniającego kombinezon. Między ciało nurka a kombinezon wpuszcza się warstwę wody, która szybko osiąga temperaturę 36,6°C i zachowuje tę ciepłotę przez jakiś czas, gdyż kauczuk jest doskonałym izolatorem. Do butów przytwierdza się płetwy, bez których nurek byłby pod wodą równie niezdarny i ociężały, jak na lądzie w całym tym ekwipunku. Do łydki przyczepia mu się bardzo ostry nóż z nierdzewnej stali. Dzięki niemu można się uwolnić, jeśli się przez nieuwagę zaplącze w rybacką sieć lub natrafi na jakąś inną niespodziewaną pułapkę, zazwyczaj zastawioną przez ludzi. Wokół talii trzeba zapiąć pas z ołowianymi ciężarkami, które nie pozwalają ciału wypłynąć, zwłaszcza w tym nadmuchiwanym kombinezonie. Teraz schodzę pod wodę z 2 kilogramami, ale niedoświadczeni nurkowie muszą być o wiele bardziej obciążeni. Podczas kursu w 1996 i w pierwszej połowie 1997 roku musiałem nosić 12, a niekiedy 14 kilogramów obciążenia – niezły ładunek.

Następnym elementem wyposażenia jest częściowo nadmuchiwana kamizelka bez rękawów, zwana *buoyancy control device* (urządzenie kontrolujące pływalność), w skrócie BC. Zbiornik akwalungu, dzięki któremu nurek może oddychać pod wodą, jest przypięty na plecach i zawiera od 12 do 15 litrów powietrza. Zbiornik średniej wielkości waży 15 kilogramów i przeważnie zawiera tylko zwykłe powietrze, tyle że bardzo silnie sprężone. Przepływa ono przez dwa reduktory obniżające ciśnienie do normalnego poziomu. Pierwszy znajduje się tuż nad zbiornikiem i najsilniej obniża ciśnienie. Wychodzą z niego gumowe przewody, przez które powietrze płynie do drugiego reduktora, znajdującego się w ustach nurka: ten dostarcza powietrze bezpośrednio do płuc. Z pierwszego reduktora wystają trzy inne gumowe przewody. Pierwszy podłączony jest do BC i służy do nadymania kamizelki bezpośrednio z akwalungu. Drugi prowadzi do wiszącego pojemnika, zwykle zawierającego kompas i wskaźnik informujący, ile jeszcze zostało powietrza, oraz głębokościomierz. Ostatni, zwany „ośmiornicą”, to zapasowy drugi reduktor. Używa się go w nagłych wypadkach, na przykład przystawiając do ust nurka, któremu zabrakło powietrza w akwalungu.

Niekiedy nurkowie zakładają gumowy kaptur, gdyż przez nieosłoniętą głowę ucieka najwięcej ciepła. Maską z szybką, bez której ludzkie oko widzi pod wodą jedynie niewyraźne kształty, zakrywa oczy i nos. Ostatni duży element wyposażenia to przytwierdzony do nadgarstka komputer, który ostrzega przed zbyt gwałtownym wynurzeniem się. Jest jeszcze para rękawic osłaniających dłonie przed wychłodzeniem, skaleczeniem czy przypadkowym kontaktem z różnymi niesympatycznymi morskimi stworami, na przykład parzącymi koralowcami.

Odziani w to wszystko, mając za sobą półtoragodzinny trening w basenie, oboje z Santhą kontemplowaliśmy wody Pacyfiku z niejaką obawą. A szczerze mówiąc, baliśmy się jak diabli. Wszystko tam w dole wydawało się ciemne i groźne – wodorosty oplatające nas zewsząd, no i ten grobowiec Davy’ego Jonesa, czyli upiorne dno oceanu... Lecz jeśli chcieliśmy na własne oczy ujrzeć nieprawdopodobne podwodne budowle w Japonii, musieliśmy przez to wszystko przejść. Na polecenie instruktora wskoczyliśmy do wody i odplynęliśmy od brzegu.

Po czterech dniach otrzymaliśmy, co prawda, licencję, ale brak doświadczenia nie pozwalał nam jeszcze nurkować w Yonaguni.

Niespodzianka

Nie miałem pojęcia, kiedy uda się nam zorganizować nurkowanie w Japonii, wiedziałem tylko, że taka wyprawa będzie niezwykle kosztowna. A potem zdarzyło się coś dziwnego. W styczniu 1997 roku nieoczekiwanie otrzymałem faks od pewnej amerykańskiej firmy reprezentującej japońskiego biznesmena. Napisało w nim, iż człowiek ów przeczytał *Ślady palców bogów* i zaprasza nas na wyprawę naukową do Yonaguni, proponując pokrycie kosztów przelotu pierwszą klasą i wszelkich innych wydatków związanych z badaniem obiektów podwodnych. Zapewnił nam też bezpieczeństwo – przysyłając grupę wytrawnych płetwonurków – hotel i współpracę szkoły nurków znajdującej się na sąsiedniej wyspie Ishigaki. Wyposażył nas również w sprzęt do nurkowania i wszystko co niezbędne do prowadzenia badań.

Nie stawiał żadnych warunków, przyjęliśmy zatem tę wspaniałomyślną ofertę. W marcu 1997 roku poleciliśmy z Londynu do Tokio, a potem przez Okinawę dotarliśmy do Yonaguni, gdzie prowadziliśmy pierwsze prace. Był to początek wieloletniej przyjaźni z owym biznesmenem (którego nazwiska nie wymieniam na jego prośbę). Tak też zaczął się nieoficjalny program badawczy, dokumentowanie i próby sklasyfikowania całej serii starożytnych i niezwykłych budowli, które odkrywaliśmy w wodach u wybrzeży Yonaguni i innych wysp południowo-zachodniej Japonii.

Yonaguni

Pierwszy odkryty przez nas niezwykły obiekt w Yonaguni leży poniżej bardzo stromych urwisk na południowym brzegu wyspy. Miejscowi nurkowie nazywają go Iseki Point (Monument). Od południowej strony, na głębokości około 18 metrów, widać wykute w skale pod kątem prostym wyraźne tarasowate płaszczyny. W północno-zachodnim rogu wznoszą się dwa ogromne pionowe bloki ustawione równolegle w odległości mniejszej niż 10 centymetrów, o wadze około 30 ton każdy. Około 5 metrów pod powierzchnią wody, na samym szczycie tej konstrukcji, znajduje się „basen” w kształcie nerki, a niedaleko leży kawał grubo

ciosanej skały, która zdaniem nurków przypomina zółwia. U podstawy obiektu, 27 metrów pod wodą w kierunku wschodnim, dostrzegliśmy wyraźnie wytyczoną drogę z kamiennych płyt.

Jeśli popłynię się wzdłuż tej drogi (co jest stosunkowo łatwe, gdyż silny w tym miejscu prąd podąża z zachodu na wschód), po kilkuset metrach można dostrzec „megalit” – zaokrąglony, ważący 2 tony głaz, który najwyraźniej został celowo umieszczony na występie w samym środku rozległego kamiennego pomostu¹⁰.

Dwa kilometry na zachód od Iseki Point znajduje się Pałac. Tu podwodne przejście prowadzi do północnego krańca dużej komnaty o megalitycznych ścianach i suficie. W południowej ścianie znajdują się wysokie, zwieńczone nadprożem drzwi wiodące do mniejszej komnaty. Z niej pionowym, wykutym w skale szybem można się dostać na dach Pałacu. Obok – na płaskiej skale – widoczny jest żłobkowany, dziwaczny wzór. Trochę dalej na wschód odkryto kolejny megalityczny korytarz nakryty olbrzymią kamienną płytą, precyzyjnie dopasowaną do ścian nośnych.

Dwa kilometry na wschód od Iseki Point znajduje się Tategami Iwa, dosłownie Stojące Kamienne Bóstwo, naturalny pinakiel z czarnej, twardej skały, wznoszący się ponad powierzchnią oceanu. U jego podstawy, 18 metrów pod wodą, zije poziomy tunel, dostatecznie szeroki, aby nurek mógł weń płynąć. Biegnie on dokładnie w linii prostej na wschód, kończy się zaś w środku rumowiska wielkich kamiennych bloków o regularnych kształtach.

Po 3 minutach płynący na południowy wschód nurek dociera do czegoś, co wygląda jak rozległa reprezentacyjna budowla wykuta w kamieniu. Tu na głębokości 15–25 metrów ciągną się masywne konstrukcje o pionowych ścianach, rozdzielone szerokimi alejami.

W środku znajduje się monument, który miejscowi nurkowie nazywają „kamiennym podium”. W jego południowym rogu natura – lub ludzka ręka – wyrzeźbiła wizerunek jakby olbrzymiej twarzy z dwójgiem wyraźnie zaznaczonych oczu.

Kerama

W okolicy wyspy Aka w archipelagu Kerama, 40 kilometrów na zachód od Okinawy, miejscowi nurkowie już parę lat temu zauważyli na głębokości 30 metrów podwodne kamienne kręgi, a także prostoliniowe formacje, które sprawiają wrażenie, jakby zostały wykute przez ludzi.

Warunki do nurkowania w wodach wokół archipelagu Kerama są wyjątkowo trudne (zresztą przy Yonaguni też). Płynący tamtędy bardzo silny prąd na godzinę między przyptywem a odpływem prawie zupełnie ustaje i jedynie w tym czasie można prowadzić tam jakiegokolwiek poważne prace badawcze oraz obejrzeć ową tajemniczą konstrukcję, nie musząc walczyć z oceanem.

Najbardziej spektakularnym obiektem jest Centralny Krąg o średnicy około 20 metrów, znajdujący się na głębokości 27 metrów. Składa się on z koncen-

trycznych kręgów wysokich na 3 metry, pionowo ustawionych megalitów wykutych ze skalnego podłoża, które otaczają centralny menhir.

Drugi podobny krąg, zwany przez miejscowych płetwonurków Małym Centralnym Kręgiem, znajduje się niedaleko na północny wschód od pierwszego. W gruncie rzeczy jest od niego niewiele mniejszy.

Nieco dalej na południe leży Kamienny Krąg, wykonany z o wiele mniejszych, zaokrąglonych kamieni. Ma średnicę około 150 metrów. W jego obrębie umieszczono mniejsze kręgi, niekiedy zachodzące na siebie brzegami, jak ogniewa łańcucha.

Aguni

Wyspa Aguni – 60 kilometrów na północ od Keramy – charakteryzuje się stromymi, niedostępnymi urwiskami. W południowo-zachodniej części urwiska te wiszą nad wzburzonymi wodami, które miejscowi rybacy nazywają „pralką”. Wiry powstają wokół wierzchołka podwodnej góry, który tworzy niewielki płaskowyż zaledwie 4 metry ponad lustrem morza. W płaskowyżu, omywanym nieustannie silnymi prądami, zieje kilka okrągłych dziur sprawiających wrażenie szybów wiertniczych.

Ponieważ są obłożone niewielkimi kamiennymi blokami, niewątpliwie zostały wykonane przez człowieka. Największy i najgłębszy ma 3 metry średnicy i znajduje się najgłębiej – 10 metrów pod wierzchołkiem. Inne mają 2–3 metry średnicy i sięgają mniej niż 7 metrów w głąb. Kilka jest jeszcze węższych i płytszych. Od jednego z nich odchodzi boczny szyb.

Chatan

Linia brzegowa Okinawy bardzo się zmieniła przez ostatnie półwiecze. Trzydzieści kilometrów na północ od stolicy wyspy – Naha na zachodnim jej wybrzeżu – znajduje się turystyczna miejscowość Chatan. Niecały kilometr od brzegu, na głębokości od 10 do 30 metrów, znaleźć można fantazyjne podwodne budowle – „mury”, „blanki” i „piramidy schodkowe”. Czy są one dziełem natury, czy też ludzi? A jeśli ludzi, to z jakich czasów pochodzą i kto je wznosił?

Jeden z miejscowych rybaków powiedział, że „budowle” te mogą pochodzić ze stosunkowo nieodległej przeszłości, kiedy to pogłębiano dno w celach militarnych. Prawdą jest, że w pobliżu Chatan rozlokowane zostały bazy sił powietrznych USA, a nad okolicą nieustannie odbywają się manewry amerykańskich samolotów bojowych. Nie wykluczam możliwości, że pogłębianie mogło spowodować utworzenie się niektórych podwodnych „budowli”, ale zasadniczo przeczy temu sprawozdanie japońskiego historyka, Akiry Suzuki, który bardzo dokładnie zbadał amerykańskie i japońskie archiwa na Okinawie i nie znalazł żadnych zapisów o podobnej operacji w tym rejonie¹¹.

Najbardziej niezwykłym obiektem w Chatan jest mur wyrastający z piaszczystego morskiego dna na głębokości 30 metrów. Wyżej tworzy on „blankę” z zatopionym „chodnikiem” na wysokości 10 metrów ponad dnem morza. W jednym miejscu na całej wysokości muru chodnik przerwany jest szybem w kształcie litery U.

Nurkowanie w Chatan przypomina pewien epizod z *Nihongi*, jednego z najstarszych japońskich tekstów, będącego kroniką pradawnych czasów. We wstępie zatytułowanym *Wiek Bogów* znajdujemy fragment opowiadający o bóstwie imieniem Ho-ho-demi no Mikoto, które wchodzi do zabezpieczonego przed wodą kosza i spuszcza się w nim na dno morza. W tej prymitywnej łodzi podwodnej przybywa na uroczą plażę i podążając dalej, dociera do pałacu Boga Morza, otoczonego flankami z wieżyczkami i majestatycznymi basztami.

Zapewne wiele dziwnych opowieści o Wiekach Bogów, zawartych w *Nihongi*, można uznać za wytwór wyobraźni i przekazy mitologiczne. Ale to bardzo możliwe, że w Japonii, u wybrzeży której tak wiele jest rozmaitych podwodnych „konstrukcji”, szacowne starożytne pisma przekazują wyraźne informacje o budowlach na dnie morza, dostępnych jedynie dla nurków.

15 000 lat

W latach 1996–2000 kontynuowałem badania podwodnych konstrukcji u japońskich wybrzeży. W tym czasie dałem się kilkakrotnie wciągnąć w burzliwe dyskusje i spory na temat ich pochodzenia. Niektórzy naukowcy i dziennikarze uważają, że są one tworem „w całości lub w przeważającej części” naturalnymi (na przykład Robert Schoch z Boston University). Inni, jak profesorowie Kimura i Teruaki Ishii z uniwersytetu w Tokio, są przekonani, iż zostały stworzone ludzką ręką, nie umieją jednak określić ich wieku (oprócz podniesienia się poziomu morza, przy określaniu daty zatopienia jakiegoś terenu w grę mogą wchodzić czynniki takie, jak osunięcie się brzegu wskutek erupcji wulkanicznej, płynięcie plastyczne czy odbój izostatyczny)¹². Trudno spodziewać się jakichś jednoznacznych ustaleń. Ci, którzy myślą, że obiekty te są naturalne, będą nadal tak uważać, niezależnie od tego, co sądzą ich przeciwnicy – i odwrotnie. Tkwimy w martwym punkcie.

Istnieje wszakże jeszcze jeden, bardziej obiecujący kierunek poszukiwań, który mógłby rzucić nieco światła na ten problem, lecz żadna ze stron nie brała go dotychczas pod uwagę. Otóż niezależnie od tego, czy ruiny zostały zatopione wskutek podniesienia się poziomu morza, czy też nastąpiło osunięcie się brzegu (całkiem prawdopodobne w rejonie tak aktywnym sejsmicznie), obiekty te znajdowały się nad wodą w jakimś momencie między 17 000 (koniec maksimum ostatniego zlodowacenia) a 2000 lat temu, przy czym zdaniem wszystkich ta ostatnia data oznacza zatopienie.

Co działo się w Japonii przez te 15 000 lat? Czy możliwe, aby w odległej prehistorii tych wysp zdarzyło się coś, o czym nie wiemy, a co mogłoby częściowo lub w pełni tłumaczyć istnienie tych podwodnych ruin?

Aleksandria

W latach 1998–1999 położone na brzegu Morza Śródziemnego egipskie miasto Aleksandria pojawiło się na ustach wszystkich. Francuscy archeolodzy, pracujący pod kierownictwem dr. Jean-Yvesa Empereura z Narodowego Centrum Badań Naukowych, donieśli o odkryciu podwodnych ruin wraz z kolumnami, sfinksami i granitowymi posągami. Twierdzili też, że w tym samym miejscu znaleźli szczątki słynnej latarni morskiej z Faros, która mierzyła 135 metrów wysokości i stanowiła jeden z siedmiu cudów starożytnego świata¹³. Stała ona niegdyś na wschodnim nabrzeżu Aleksandrii, w miejscu, w którym obecnie znajduje się forteca mamelukiego sułtana Qait Beya. Choć uważano, iż latarnia została wzniesiona w III wieku p.n.e., źródła historyczne podają, że przynajmniej jej część pozostała nietknięta aż do 8 sierpnia 1303 roku, kiedy egipskie wybrzeże nawiedziło potężne trzęsienie ziemi¹⁴.

Podczas zbierania materiałów do poprzednich książek nie zawitałem do Aleksandrii. W okresie 10-letniej wędrówki po Egipcie interesowały mnie wyłącznie najstarsze zabytki. Giza z trzema piramidami i Sfinksem, Sakkara, gdzie znajdują się słynne inskrypcje w grobowcach faraonów V i VI dynastii, a także Abydos z grobowcami w kształcie łodzi z okresu I dynastii oraz Ozyrejonem¹⁵.

Aleksandria powstała dopiero w 332 roku p.n.e. z woli Aleksandra Wielkiego¹⁶, nie widziałem więc w niej nic interesującego. Zdawałem sobie co prawda sprawę, iż zbudowano ją na ruinach starszego osiedla Rakotis lub Raqote, ale ponieważ wszędzie określano je jako „rybacką wioskę”¹⁷, ani przez myśl mi nie przeszło, że mogą się tam znajdować ważne ślady jakiejś dużo starszej konstrukcji.

Żadne z podwodnych odkryć, które pod koniec lat 90. zyskały rozgłos, nie mogło zmienić mojej opinii. Wszystkie pochodziły z tak zwanego ptolemejskiego okresu w historii Egiptu, nazwanego tak od dynastii, której ostatnią przedstawicielką i władczynią była Kleopatra, a którą zapoczątkował generał Aleksandra Wielkiego, Ptolemeusz, wkrótce po śmierci słynnego macedońskiego króla. Zaintrygowała mnie natomiast informacja, iż wśród podwodnych ruin znaleziono przedmioty należące do znacznie wcześniejszych faraonów – kartusz Ramzesa II (1290–1224 p.n.e.) na kolumnach z różowego granitu z Asuanu, obelisk jego ojca Setiego (1306–1290 p.n.e.), sfinksa z czasów Senusereta III (1878–1841 p.n.e.) oraz liczne artefakty i inne obiekty ze starożytnymi inskrypcjami¹⁸.

Archeolodzy, zbrojni w swe doświadczenie, nie uznawali takich odkryć za dowód istnienia starszych, dużych osiedli w obrębie późniejszej Aleksandrii, lecz raczej za potwierdzenie obyczajów Ptolemeusza, którzy sprowadzali dzieła sztuki i architektury sakralnej ze świątyń budowanych w całym Egipcie przez poprzedzających ich władców¹⁹. Jean-Yves Empereur wyrażał się na ten temat dość jednoznacznie:

Liczne dzieła sztuki okresu faraonów – sfinksy, obeliski i kolumny znalezione pod wodą w pobliżu twierdzy Qait Beya – nie poszerzają naszej wiedzy o historii Aleksandrii i jej założeniu z inicjatywy Aleksandra Wielkiego²⁰.

Nurkowanie z Empereurem

Wiedząc, że historia Aleksandrii zaczęła się dopiero w IV wieku p.n.e., nie miałem czego tam szukać. Obiekty pozostałe po faraonach oraz to, co wyglądało na ruiny rozległych ludzkich osiedli, nie zostały zatopione w okresie, który mnie najbardziej interesował, czyli pod koniec epoki lodowcowej, lecz między IV wiekiem p.n.e. a XIII wiekiem n.e., i to wskutek – cytuję tu geologów – „pionowego tektonicznego osiadania” spowodowanego trzęsieniem ziemi²¹. Ponadto nurkowanie u wybrzeży Aleksandrii wiąże się z wieloma biurokratycznymi zabiegami, wymaga uzyskania pozwoleń Ministerstwa Bezpieczeństwa Narodowego, Najwyższej Rady Starożytności, policji, urzędu celnego i marynarki wojennej – a wszystko to zajmuje z reguły wiele miesięcy...

Odsunąłem więc pomysł o udaniu się tam, zanim jeszcze w pełni się skonkretyzował. Wówczas przypomniałem sobie, że mój przyjaciel, Robert Bauval, urodził się w Aleksandrii i że kilku członków jego licznej, rozproszonej po świecie rodziny nadal tam mieszka. W niekontrolowanym odruchu zadzwoniłem do niego (mieszka niedaleko Londynu), pytając, czy słyszał o Empereurze i czy można by szybko załatwić pozwolenie na nieoficjalne nurkowanie z francuskimi badaczami.

Robert potrafił dokonywać cudów w Aleksandrii, nawet na odległość. Nie zaskoczyło mnie więc, gdy zadzwonił w dzień później z wiadomością, iż rozmawiał z cioteczną babką Fedorą, która doskonale знаła Empereura. Skontaktowała się z nim, przekazując dobrą nowinę: archeolog zgadza się, byśmy nurkowali w pobliżu twierdzy Qait Beya bez rutynowych formalności. Mielśmy się tam udać w dowolnym czasie w ciągu kilku następnych tygodni.

Wielowiekowy sen

Trzydziestego września 1999 roku Santha i ja, uginając się pod ciężarem ekwipunku, spotkaliśmy się z Robertem u bram twierdzy Qait Beya. Wprowadził nas w jego średniowieczne mury z wapienia, pogadał po arabsku ze strażnikami, następnie powiódł na podwórze, gdzie stały akwalungi należące do grupy młodych archeologów. Mężczyźni byli muskularni, o zdecydowanych rysach twarzy, kobiety – opalone i bardzo poważne. Przygotowywali skafandry i sprawdzali aparaturę.

Empereur miał chyba około pięćdziesiątki i był znacznie starszy niż pozostali członkowie zespołu. Nosił Inianą, tropikalną marynarkę i panamę, a w rękę trzymał aktówkę.

– Przepraszam – powiedział, kiedy już uścisnęliśmy sobie dłonie. – Bardzo się spieszę, dlatego dziś nie będziecie z nami nurkowali.

– W porządku. I tak jestem niezmiernie wdzięczny, że zgodził się pan na nasz udział w pracach.

Wzruszył ramionami.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić. – Przedstawił nas pozostałym członkom grupy, po czym znowu wymieniliśmy uścisk dłoni, a on szybko się oddalił.

Ponieważ trudno robić notatki pod wodą, najczęściej filmuję to, co widzę. Teraz też miałem zamiar to zrobić, lecz dowiedzieliśmy się, że to zabronione. Santhę także poproszono, żeby zostawiła swoje trzy aparaty. Chodziło pewnie o wyłączność na filmowanie dla francuskiej agencji Sygma. Robert gorliwie się za nami wstawiał i w końcu zawarliśmy kompromis – Santha mogła zabrać aparaty, ale ja w żadnym wypadku nie mogłem użyć kamery.

Kiedy już uzgodniliśmy tę kwestię, poprowadzono nas labiryntem wilgotnych, kamiennych korytarzy ze szczelinami w murach, przez które widać było morze. Wreszcie wydostaliśmy się na brzeg wyspy, od dawien dawna połączonej z lądem groblą. Na tej właśnie wyspie stała twierdza Qait Beya. Przebraliśmy się w skafandry, przytroczyliśmy do nich sprzęt i akwalungi, po czym wskoczyliśmy do wody za jednym z archeologów służącym nam za przewodnika. I oto znaleźliśmy się w zaczarowanym podwodnym świecie, około 10 metrów pod lustrem wody.

Było to z pewnością najpiękniejsze podwodne miejsce, jakie kiedykolwiek oglądałem. Słaba widoczność przydawała mglistej poświaty całej scenerii i dopiero po wielokrotnym przepłynięciu wzdłuż ruin, podczas trzech kolejnych zejść pod wodę, uświadomiłem sobie ich ogrom i różnorodność. Ujrzałem mnóstwo kolumn – jedne porozbijane, inne zachowane niemal w całości, wszystkie jednak powalone na dno. Widziałem podstawy kolumn doryckich otoczone pokruszonym kamieniem. Tu i ówdzie dostrzegłem wyłaniające się z mroku fragmenty murów. Widziałem kilkadziesiąt półkolistych kamieni o szerokości metra z wydrążeniami w środku – czegoś takiego nigdy w Egipcie nie spotkałem. Zauważyłem też kilka niewielkich sfinksów, jednego z nich rozciętego na dwie części, oraz duże odłamki granitowych obelisków rozrzucone wokół jak zapałki. Wszędzie też leżały granitowe bloki. Niektóre miały 2–3 metry kwadratowe, inne były znacznie większe, o wadze 70 i więcej ton. Spora liczba tych potworów, niekiedy 11-metrowej długości, spoczywała w linii prostej z południowego zachodu na północny wschód na otwartych wodach tuż obok twierdzy Qait Beya. Kiedy później szukałem informacji o nich, dowiedziałem się, że należą do rumowiska bloków, które Empereur uznał za pozostałości latarni Faros:

(...) niektóre są rozbite na dwie lub trzy części, co dowodzi, że spadły z dość dużej wysokości. Biorąc pod uwagę informacje o latarni, jakie przekazali nam starożytni kronikarze, oraz techniczne trudności z przesuwaniem tak wielkich obiektów, należy przypuszczać, iż są to fragmenty latarni Faros, które leżą tam, gdzie powaliło je wyjątkowo potężne trzęsienie ziemi²².

Od czasu do czasu przez chmury zasłaniające tego dnia niebo nad Aleksandrią przebijały się promienie słońca, rozświetlając pogrążone w ciemnościach fragmenty podwodnych ruin. W takich chwilach zdawało się, że te potrzaskane

elementy dawnych konstrukcji odzyskują swój pierwotny kształt, jak duchy oblekające się ciałem. Potem znowu tonęły w mroku, jakby na powrót zapadały w wielowiekowy sen.

Skarby zatopionego miasta

W kilka tygodni później wciąż nie mogłem zapomnieć o tych niezwykłych obrazach, jakie ujrzałem pod wodą w okolicy twierdzy Qait Beya, nie mogłem też pozbyć się przykrego uczucia, że przeoczyłem tam coś bardzo ważnego. Nie mając nic konkretnego na myśli, jałem kupować książki o Aleksandrii, zapoznając się dokładniej z jej dawnymi dziejami. Pewnego wieczoru w połowie października połączyłem się z internetową stroną Amazon.com i dowiedziałem się, że ktoś chce sprzedać używany egzemplarz książki *Alexandria – A History and a Guide* (Aleksandria – historia i przewodnik), napisanej przed I wojną światową, a wydanej w 1922 roku przez angielskiego pisarza E.M. Forstera²³. Natychmiast ją kupiłem. Potem w krótkich odstępach czasu nabyłem też kilka innych książek: *The Library of Alexandria – Centre of the Ancient World* (Biblioteka Aleksandryjska – centrum starożytnego świata), wydaną przez Roya Macleoda; *Life and Fate of the Ancient Library of Alexandria* (Dzieje i losy starożytnej biblioteki w Aleksandrii) autorstwa Mostafy El-Abbadiego; *Philo's Alexandria* (Aleksandria Filona) napisaną przez Dorothy L. Sley; i wreszcie *The Vanished Library* (Zaginiona biblioteka) Luciano Cabfory²⁴.

Ale, o dziwo, kiedy wystukałem hasło „Faros”, Amazon niczego nie znalazł. Zastanawiałem się, czego jeszcze szukać – może wpisać hasło „Siedem Cudów Świata”? – gdy przyszło mi do głowy, żeby podać nazwisko Jean-Yvesa Empeureura i zapoznać się ze wszystkimi jego publikacjami. Miałem już jego książkę *Alexandria Rediscovered* (Aleksandria odkryta na nowo), opisującej podwodne wykopaliska w okolicy twierdzy Qait Beya, miałem jednak nadzieję, iż wydał jeszcze inne książki o tym rejonie. Ale moje oczekiwania okazały się płonne, zacząłem więc czytać w Amazon.com nieliczne uwagi o wspomnianej książce.

W recenzji pewnego czytelnika z Phoenix w Arizonie znalazłem opinię, że nie chciałby niczego ujmować dr. Epmereurowi, ale po 17 latach pracy archeologicznego nurka w Egipcie nie może się zgodzić z opinią uczonego, że on i jego zespół odkryli latarnię Faros. Znaleźli coś, rzecz jasna, interesującego, niewątpliwie ważnego, ale z całą pewnością nie słynną latarnię.

Co, na Boga, ktoś, kto 17 lat pracował jako nurek archeolog w Egipcie, robił teraz w Phoenix w Arizonie? Co wiedział – albo sądził, że wie – o Faros? Instykt podpowiadał mi, że za tym wszystkim może kryć się bardzo ciekawa historia. Recenzent nie podał swego nazwiska, lecz miałem jego e-mail. Od razu wysłałem mu wiadomość, wyjaśniając, dlaczego interesują mnie podwodne ruiny w Aleksandrii, i prosząc, aby napisał coś więcej o Faros.

Następnego dnia, 17 października, otrzymałem odpowiedź tej treści:

Szanowny panie Graham,

nazywam się Ashraf Bechai i pracowałem jako kierownik zespołu płetwonurków przy muzeum morskim w latach 1986–89. Byłem też inżynierem robót podwodnych w instytucie archeologii morskiej. Może pan zweryfikować te informacje na internetowej stronie instytutu. Z radością odpowiem na każde pańskie pytanie.

Szczerze oddany Ashraf Bechai, Phoenix, Arizona, USA

Do listu załączono liczące 23 strony opracowanie zatytułowane *Treasure of the Sunken City: The Truth About the Discovery of the Lighthouse* (Skarby zatopionego miasta: prawda o odkryciu latarni morskiej).

Historia Ashrafa Bechai

Z dokumentu tego przebijała pełna emocji, a nawet wręcz gniewu i pasji krytyka podejścia reprezentowanego przez Jean-Ivesa Empereura i jego zespół. Zdaniem Ashrafa badacze ci byli zbyt ograniczeni i całkowicie mylili się w interpretacji swoich odkryć.

W ciągu trzech ostatnich lat wielokrotnie słyszeliśmy o pracach zespołu francuskich archeologów w wodach przy twierdzy Qait Beya. Znalezione tam ruiny wielkiej budowli, które francuscy i egipscy archeolodzy zidentyfikowali jako pozostałości po latarni morskiej Faros.

Ale czy to rzeczywiście jest Faros?

Nie ma powodu, żeby wierzyć tym ludziom na słowo i nie kwestionować ich twierdzenia. Czy mamy przestać kierować się zdrowym rozsądkiem tylko dlatego, że wykopaliska te znajdują się pod wodą i ładnie wyglądają w telewizji?

Bechai zwraca uwagę, że jeśli latania Faros rzeczywiście liczyła ponad 100 metrów wysokości, o czym zapewniają nas wszystkie historyczne źródła, musiała być gigantyczną budowlą. Dla przykładu Wielka Piramida w Gizie ma 150 metrów wysokości, jej podstawa zajmuje powierzchnię ponad 52 000 metrów kwadratowych, waga wynosi 6 000 000 ton, a składa się na nią 2 500 000 pojedynczych kamiennych bloków²⁵. Zakładając, iż technika budowlana w IV wieku p.n.e. była znacznie słabiej rozwinięta niż w III tysiącleciu p.n.e., to przecież mało prawdopodobne, aby latarnia o wysokości 135 metrów zajmowała powierzchnię mniejszą niż 5 hektarów czy miała wagę o wiele mniejszą niż 5 000 000 ton. Bechai pisze:

Wyobraźcie sobie, jak wielka sterta kamieni musiałaby pozostać po takiej budowli. Czyżby po prostu zniknęła? Rozpuściła się w wodzie? Prawdopodobnie waląca się latarnia utworzyłaby małą wyspę na morzu, a te wszystkie posagi, sfinksy i inne staroegipskie artefakty, które odkryła ekipa francuska, zostałyby pogrzebane pod kamiennymi blokami.

Jeśli nawet przyjmiemy – wbrew wszelkim świadectwom – że technika budowlana w Aleksandrii znacznie przewyższała tę z czasów Wielkiej Piramidy, jeśli zmniejszymy wysokość latarni do 100 metrów, to nadal wydaje się mało prawdopodobne, aby wzniesiono ją z kamiennych bloków w liczbie mniejszej niż 500 000 (a pamiętajmy, że w Wielkiej Piramidzie jest ich 2 500 000). Ale idźmy dalej – założmy, że bloków tych było tylko 100 000 lub nawet 50 000.

Tymczasem Empereur pisze: „Gdy tylko zesłaliśmy pod wodę, doznaliśmy zawrotu głowy na widok około 3000 bloków leżących w nieładzie na dnie morza”²⁶. Właśnie ów „zawrót głowy” na widok zaledwie 3000 bloków tak rozszerzył Bechaiego.

Z 3000 bloków nie da się zbudować nawet dużej świątyni, nie mówiąc już o 100-metrowej latarni morskiej! A wiele z tych bloków zostało rozrzuconych w znacznej odległości od twierdzy Qait Beya, niektóre nawet o prawie kilometr. Jeden 75-tonowy granitowy blok znalazł się aż o pół kilometra od brzegu i 1,5 kilometra od twierdzy. Czy mamy uwierzyć, iż trzęsienie ziemi było tak silne, by odrzucić ciężki obiekt na tę odległość?

Bechai porusza też inną ważną kwestię. Starożytne teksty donoszą, że latarnia Faros została zbudowana z bloków „białego kamienia” – czyli wapienia – którego złoża obficie występują w tym rejonie. Tymczasem ruiny u wybrzeży twierdzy Qait Beya składają się przede wszystkim z bloków granitu, a inne elementy architektoniczne, jak kolumny, są również granitowe. Materiał ten rzadko występuje w tej okolicy i trzeba by było sprowadzać go z kamieniołomów oddalonych o prawie 1000 kilometrów na południe. Bechai przyznaje, że wapień jest bardziej niż granit podatny na erozję, ale nie sądzi, aby tak wielka jego ilość, jakiej wymagałaby budowa latarni Faros, zniknęła bez śladu. Konkluduje:

W miejscu tym znajdują się porozrzucone artefakty z rozmaitych epok. Pod względem architektonicznym i artystycznym bloki, kolumny i posągi są zróżnicowane, nie tworzyły z pewnością jednego obiektu, lecz wiele.

Olbrzymie bloki w Sidi Gaber

Zanim jeszcze dotarłem do połowy opracowania, zdałem sobie sprawę, że Bechai nazwał wszelkie paradoksy, na które w ogóle nie zwróciłem uwagi podczas prac z grupą Francuzów. Nie wątpiłem, że Empereur umiałby odeprzeć te zarzuty, lecz w tym momencie zastrzeżenia wydawały mi się uzasadnione.

Czytając dalej, zdałem sobie sprawę, że Bechaiego niepokoją nie tylko odkrycia z Faros. Pisał: „W ciągu 17 lat widziałem u wybrzeży Aleksandrii rzeczy, których rozgłoszenie mogłoby zakwestionować całą naszą wiedzę o historii tego rejonu”. I podaje przykład: w 1984 roku udał się z paroma przyjaciółmi na polowanie z kuszą w wodach u wybrzeży Sidi Gaber, dzielnicy Aleksandrii, około 3 kilometrów na wschód od twierdzy Qait Beya.

Znajdowaliśmy się około 2 kilometrów od brzegu, skakaliśmy z niewielkiej łodzi. Pamiętam, że widoczność pod wodą była tego dnia doskonała. Nie spodziewaliśmy się tego, gdyż kilka dni wcześniej przeszedł sztorm, który wzruszył piasek i muł na dnie. Nagle ujrziałem setki ogromnych bloków z piaskowca lub wapienia, ułożone w trzech rzędach dwiema warstwami na głębokości 6–8 metrów. Wszystkie miały identyczne wymiary – 4 metry szerokości, 4 długości i 2 wysokości. Leżały na czymś w rodzaju podwodnego górskiego grzbietu: między nimi a brzegiem woda była znacznie głębsza. Wokół znajdowały się setki innych bloków o podobnych wymiarach, ale mocno uszkodzonych czy to wskutek erozji, czy zniszczeń mechanicznych.

Bloki te w ciągu minionych 25 lat widzieli także rybacy i inni nurkowie, ale jak dotąd nikt nie umiał wyjaśnić ich pochodzenia. Nigdy potem nie zdarzyła mi się w tym miejscu dobra widoczność, a i rzeźba dna także uległa zmianie. Mimo wielokrotnych prób nie udało mi się ich ponownie zlokalizować.

Innym ciekawym znaleziskiem, którego sam Bechai nie widział, jest tak zwana Kinessa, co po arabsku znaczy „kościół” lub „świątynia”.

Jeśli mieszkało się w tej cudownej Aleksandrii dostatecznie długo i spotykało z tutejszymi rybakami, musiało się słyszeć o Kinessie. Jedni powiadają, że znajduje się na otwartym morzu około kilometra na północ od twierdzy Qait Beya – gdy wieje wschodni wiatr, a woda jest czysta, można czasem zobaczyć coś, co wygląda jak ruiny podwodnej budowli. Inni twierdzą, że znajduje się ona bardziej na północ, około 5 kilometrów od brzegu. Trzy różne osoby powiedziały mi, że budowla znajduje się 5 kilometrów na północo-północny zachód od twierdzy. Dno opada tam najpierw do 40 metrów. Przez piasek prześwitują niezliczone skały. Następnie przepływa się w rejonie najeżonym skalnymi pinaklami: niektóre osiągają wysokość aż 20 metrów. Potem dno wznosi się do 18 metrów poniżej poziomu wody i tworzy obłe płaskowzgórze w odległości 5 kilometrów od brzegu. Tam właśnie – według słów tych ludzi – znajduje się Kinessa.

Tajemnica morza

Po przeczytaniu opracowania Ashrafa Bechaiego zacząłem z nim regularnie korespondować za pośrednictwem poczty elektronicznej. W końcu postanowiliśmy, że latem 2000 roku obaj zanurkujemy, żeby odnaleźć kamienne bloki z Sidi Gaber i Kinessę. Choć Bechai obecnie mieszka w Phoenix w Arizonie i prowadzi tam firmę, powraca do Aleksandrii na co najmniej trzy miesiące w roku i byłby zachwycony, mogąc pracować w tym czasie ze mną, pod warunkiem jednakże, iż wystaram się u władz o wszelkie niezbędne pozwolenia.

Tymczasem odbywałem inne podróże. Podczas jednej z nich (już nie pamiętam dokąd) zabrałem książkę *Alexandria – A History and a Guide* E.M. Fostera, żeby poczytać w samolocie. Dowiedziałem się, że Foster zwrócił uwagę na relację

opublikowaną w 1910 roku przez francuskiego archeologa, Gastona Jondeta, a zatytułowaną *Les ports submergés de l'ancienne île de Faros* (Zatopione porty starożytnej wyspy Faros)²⁷. Zdaniem Jondeta – pisze Foster – ktoś wzniósł szereg ogromnych, megalitycznych murów i grobli w pewnej odległości od wybrzeży Aleksandrii, poza wyspą Faros, lecz budowle te znajdują się obecnie na głębokości 8 metrów pod wodą. Autor relacji twierdzi, że konstrukcje te są „prehistoryczne”²⁸. Podsumowując reakcje na tę publikację, Foster pisze:

Teozofowie, kierując się raczej pobudkami irracjonalnymi niż prawdopodobieństwem historycznym, przypisują te budowle zaginionej cywilizacji Atlantydy. Pan Jondet natomiast przypuszcza, że są to pozostałości po kulturze minojskiej, która dawno temu zbudowała morską potęgę na Krecie. Zakładając, iż są to zabytki egipskie, należałoby je przypisać czasom Ramzesa II (1300 lat p.n.e.). Same ruiny nie noszą znamion konkretnej kultury ani też epoki. Gdyby pochodziły z czasów Aleksandra Wielkiego, znaleźlibyśmy o nich wzmianki w kronikach. Są to najstarsze budowle w tym rejonie i robią ogromne wrażenie, przydając morzu romantyzmu i tajemniczości swoim starożytnym pochodzeniem²⁹.

Zastanawiam się, jak wielu współczesnych archeologów podzielałoby pogląd Fostera o romantyzmie i tajemniczości prehistorycznego portu. Na pewno nie Jean-Yves Empereur. Twierdzi on (zresztą zgodnie z powszechnie ugruntowaną w nauce opinią), że przed przybyciem Aleksandra Wielkiego do Egiptu „jedynymi mieszkańcami tego rejonu wybrzeża byli rybacy i być może garnizon straży pilnujący ujścia Deltę Nilu”³⁰. Jeśli tak, to kto zbudował znacznie starszy, obecnie znajdujący się pod wodą port – o ile rzeczywiście był to port? I jak te konstrukcje mają się do megalitycznych bloków w Sidi Gaber czy owej nieuchwytniej Kinesy, która – według relacji rybaków – to pojawia się, to znowu znika pod lśniącymi falami morza?

Pogłoski o potopie

Opisy straszliwego potopu, zalewającego zamieszkane rejony świata, pojawiają się we wszystkich niemal starożytnych mitach. W wielu wypadkach mity dają wyraźnie do zrozumienia, że potop zmiotł z powierzchni ziemi jakąś wysoko rozwiniętą cywilizację, która wywołała gniew bogów, ci zaś oszczędzili jedynie ludzi niepiśmiennych i prymitywnych³¹. Ocalałym nakazano zaczynać od początku, jak dzieciom nie pamiętającym tego, co się stało w dawnych czasach³². Podobne mity spotykamy w indyjskich Wedach, prekolumbijskiej Ameryce, w starożytnym Egipcie. Opowiadali je Sumerowie, Babilończycy, Grecy, Arabowie i Żydzi. Pojawiają się w Chinach i Azji Południowo-Wschodniej, w prehistorycznej północnej Europie i na wszystkich wyspach Pacyfiku. Wszędzie tam, gdzie zachowały się stare tradycje, nawet wśród mieszkańców gór i pustynnych noma-

dów, znajdujemy barwne opisy wszechogarniającego potopu, w którym ginie większość ludzi³³.

Współcześni przedstawiciele nauki, którzy poważnie traktują te mity i sugerują, iż mogą głosić prawdę, narażają się na śmieszność i krytykę ze strony kolegów. W kręgach akademickich od ponad 100 lat panuje przekonanie, że mity o potopie są czystą fantazją lub wyolbrzymianiem lokalnych powodzi, wywołanych na przykład przez przybór rzek czy fale pływowe³⁴. Wybitny antropolog, sir J.G. Frazer, tak pisał w 1923 roku:

Od dawna wiadomo, że legendy o wielkim potopie, w wyniku którego zginęli prawie wszyscy ludzie, są niezwykle rozpowszechnione w różnych częściach świata. (...) Historie o tak potwornym kataklizmie zostały z całą pewnością zmyślone; [ale] jest całkiem możliwe, a nawet prawdopodobne, że pod mityczną powłoką kryje się ziarenko prawdy; to znaczy, że mogą one zawierać wspomnienie o zalaniu niektórych rejonów, które to wspomnienie przekazywane tradycją z pokolenia na pokolenie i z kraju do kraju rozrosło się do rozmiarów ogólnoswiatowej katastrofy³⁵.

Powołując się na autorytet Frazera, naukowcy po dziś dzień twierdzą, że opowieści o potopie są w znacznym stopniu zniekształconym i przesadzonym wspomnieniem jakiegoś lokalnego dramatu. Nie ma jednej legendy o potopie, lecz raczej zbiór tradycji tak różnorodnych, że w żadnym wypadku nie można ich tłumaczyć jako reminiscencji pojedynczej ogólnoswiatowej katastrofy ani jako rozpowszechnienia się pojedynczej tradycji. Przekazy o potopie są tak powszechne głównie dlatego, że potopy w liczbie mnogiej to najczęściej wydarzające się ze wszystkich geologicznych katastrof³⁶.

Nie wszyscy naukowcy podążają tym akademickim nurtem. Lecz nawet wśród tych, którzy się z nim nie zgadzają, panuje opinia, że prawie każde wytłumaczenie, jakkolwiek nieprawdopodobne, jest znacznie bardziej do przyjęcia niż dosłowna interpretacja mitu o wszechświatowym potopie... czy potopach. Na przykład Alan Dunes, profesor antropologii i etnologii na University of California w Berkeley, uznawany za niepodważalny autorytet w tej kwestii, twierdzi: „Mit jest metaforą – kosmogoniczną projekcją momentu narodzin w takim sensie, że każde dziecko przychodzi na świat w «potopie» wód płodowych”³⁷.

Przypominam jednak, że coraz to nowe dowody naukowe potwierdzają fakt, iż seria gigantycznych katastrof, takich samych jak te, które znamy z mitów o potopie, całkowicie zmieniła oblicze Ziemi w przedziale czasu między 17 000 a 8000 lat temu. Nim rozpoczął się ten okres niezwykle gwałtownych zaburzeń klimatycznych, w pełni ukształtowane, podobne współczesnemu człowiekowi istoty ludzkie zamieszkiwały Ziemię już od 100 000 lat³⁸, czyli dostatecznie długo, aby mieć czas i możliwość stworzenia wysoko rozwiniętej kultury. Skoro duża część lądów, na których dawniej żyły owe istoty, znajduje się obecnie pod wodą i jest równie mało znana archeologom, jak ciemna strona Księżyca, to skąd możemy wiedzieć, iż takie kultury nie istniały w zamierzchłej przeszłości?

Mroczna strefa

Akwalung został wymyślony przez Jacques'a Cousteau i Emila Gagnana w 1943 roku³⁹. Na początku było to urządzenie bardzo kosztowne i używane jedynie przez wąską grupę specjalistów, lecz dzięki gwałtownemu rozwojowi technologii aparat do nurkowania stał się niezwykle popularny i dostępny niemal dla każdego, kto pragnie uprawiać ten sport⁴⁰.

Dopiero po wynalezieniu akwalungu mogła się pojawić podmorska archeologia. Fundusze na tego typu badania są przy tym ograniczone, a oceany ogromne – stanowią bowiem 70% powierzchni Ziemi⁴¹. Archeolodzy morscy mogą zbadać jedynie niewielki wycinek milionów kilometrów kwadratowych przybrzeżnych szelfów, zalanych przez morze od czasów ostatniej epoki lodowcowej. Dlatego podwodny świat nadal stanowi mroczną strefę w nauce. Nie wiemy, ile jeszcze czeka tam na nas niespodzianek i zawodów.

Pytanie: Dlaczego pierwsze poważne świadectwa istnienia ogromnych prehistorycznych konstrukcji odkryto na dnie morskim u wybrzeży Japonii?

Odpowiedź: W Japonii jest więcej płetwonurków niż w jakimkolwiek innym kraju i przybrzeżne wody zostały tu dokładniej zbadane.

Pytanie: Dlaczego największe podwodne konstrukcje w Japonii znajdują się na południe od 30 równoleżnika?

Odpowiedź: Ponieważ większość płetwonurków woli cieplejsze wody. Nie wykluczone, że i na północy także można znaleźć ciekawe obiekty, lecz nikt ich nie zauważył, bo tylko nieliczni śmiałkowie zanurzają się w zimne, wzburzone morze.

Przeciwnie niż w Japonii, w Indiach prawie nikt nie uprawia nurkowania dla przyjemności (na całym subkontynencie można znaleźć tylko kilka sklepów z odpowiednim sprzętem)⁴². Działają tam za to wybitni archeolodzy morscy, jak S.R. Rao, gotowi poszukiwać niezwykłych obiektów na dnie morza. Rao prowadził prace wokół Poompuhur, kierując się starożytną tradycją tamilską, która mówi, że wiele tysięcy lat temu zatopieniu uległa ogromna masa lądu na południe od Półwyspu Indyjskiego⁴³. Sam przyznaje, że istnienia na głębokości 23 metrów „konstrukcji w kształcie U” nie sposób wytłumaczyć przy użyciu metod akademickiej historii.

„11 000 lat lub starsze”

W sierpniu 2000 roku przyjąłem nowego asystenta, Sharifa Sakra, który dopiero co obronił dyplom na wydziale nauk humanistycznych Oxford University. Jednym z pierwszych zadań, jakie mu powierzyłem, było znalezienie w Anglii wybitnego naukowca, który chciałby zostać „miejscowym ekspertem” w dziedzinie podnoszenia się poziomu wód morskich i oceanicznych oraz mógłby wydać autorytatywną opinię o czasie zatonięcia podwodnych budowli. Sharif polecił mi dr. Glenna Milne'a, specjalistę w dziedzinie glacjiostozacji i wywołanych przez

złodowacenia zmian poziomu mórz na wydziale geologii Durham University. Milne i jego współpracownicy zyskali światowe uznanie dzięki wynalezieniu metody określenia wahań poziomu mórz w starożytności oraz związanych z nimi zmianami linii brzegowej kontynentów. Wykorzystują w tym celu skomplikowany komputerowy model, który opracowywany jest od lat 70. i uwzględnia wiele czynników oprócz zmian spowodowanych wyłącznie przez topienie się pokryw lodowcowych (fachowy termin to „eustatyczne ruchy morza”)⁴⁴.

W październiku 2000 roku Sharif spotkał się w moim imieniu z Milne'em, prosząc o ustalenie najpóźniejszej daty zatopienia konstrukcji w kształcie U i innych obiektów u wybrzeży Poompuhur.

12 października 2000 roku, Sharif Sakr do Glenna Milne'a:

Witaj, Glenn,
mam nadzieję, że wszystko w porządku.

Krótkie pytanie: w odległości 5 kilometrów na południowy wschód od wybrzeży Indii (rejon Tamilnadu, prawdopodobnie 11° długości północnej i 80° szerokości wschodniej) znajduje się szereg budowli⁴⁵. Konstrukcje leżą 23 metry pod wodą – czyli wyjątkowo głęboko. Przy założeniu, że działała tu wyłącznie eustatyka, należy przyjąć, iż powstały przed 7000 rokiem p.n.e. Trzeba jednak brać również pod uwagę osiadanie izostatyczne. W jakiej proporcji można owe 23 metry uznać za skutek osiadania? Czy położenie na tej głębokości mimo wszystko oznacza, że ruiny są bardzo stare, nawet jeśli w równaniu uwzględnimy czynnik izostatyczny?

12 października 2000 roku, Glenn Milne do Sharifa Sakra:

Witaj, Sharif,

dokonałem szybkich obliczeń. Z krzywej opisującej przypuszczalny poziom morza wynika, iż rejon ten, obecnie znajdujący się 23 metry pod wodą, został zatopiony 11 000 lat temu. To dowodziłoby, że wspomniane przez ciebie konstrukcje liczą 11 000 lub nawet więcej lat!

Kultura nieznana historii

Choć nie mogłem mieć pewności, dopóki sam nie zanurkuję, wcześniejsze opisy tej struktury w kształcie podkowy, sporządzone przez podmorskich archeologów z NIO, nie budziły wątpliwości – została ona wykonana ludzką ręką. W opisach archeologów pojawiają się określenia „kamienne bloki” i „roboty murarskie”. Wszystko wskazywało, że mamy do czynienia z bardzo starymi budowlami wzniesionymi na skalistym podłożu, zanim jeszcze pokryły je wody oceanu.

Glenn Milne określił ich wiek na co najmniej 11 000 lat. Są zatem o 6000 lat starsze niż pierwsze monumentalne budowle starożytnego Egiptu czy Sumeru, tradycyjnie uznawanego za najstarszą kulturę świata. W południowych Indiach –

ani nigdzie indziej – nie istniała 11 000 lat temu żadna cywilizacja znana współczesnej historii. Może więc podkowiasta budowla u wybrzeży Trankuebar-Poompuhur została wzniesiona przez przedstawicieli kultury, której archeolodzy nie potrafią jeszcze zaklasyfikować – między innymi dlatego, że pochłonęły ją wody oceanu.

Rozdział 2

Topnienie lodów

Ateńczyk: Czy wydaje się nam, że dawne opowieści zawierają jakąś prawdę?

Kleinias: Jakie opowieści?

Ateńczyk: Że zagłada spotkała niejednokrotnie ludzi przez wylewy wód, choroby i inne klęski, na skutek których drobna tylko częśćka rodzaju ludzkiego pozostawała przy życiu.

Kleinias: Nader prawdopodobne wydać się to musi każdemu.*

Platon Prawa

(...) [w rejonie jeziora Beverley] musiały uformować się pod kształtującym działaniem wody, której minimalna głębokość wynosiła 20 metrów. Ślady erozji w podłożu skalnym w okolicy Kingston w Ontario wskazują na działanie subglacjalnego strumienia wody polodowcowej, który miał ponad 60 kilometrów szerokości. Spektakularne ślady erozji wzdłuż północnego wybrzeża Zatoki Georgian w Ontario także wskazują na istnienie w przeszłości szerokich strumieni wody subglacjalnej. Kiedy się leci helikopterem wzdłuż północnego wybrzeża Zatoki Georgian, można zauważyć pole zerodowanego podłoża skalnego o szerokości co najmniej 50 kilometrów. Drumliny i ślady erozji wskazują na zalew wód z topiącego się lodowca, które były zdolne unieść największe głazy narzutowe. Szerokość strumienia, pokrywająca się z szerokością pasa drumlinów i zerodowanego podłoża skalnego, wynosiła od 60 do 150 kilometrów. Objętość wody, która zasilala takie wylewy, musiała liczyć milion kilometrów sześciennych, co spowodowało podniesienie się poziomu morza o kilka metrów w ciągu paru tygodni.

John Shaw, wydział nauk o ziemi University of Alberta

Nie tak dawno, bo 20 000 lat temu, po Ameryce Północnej biegały zwierzęta, które wielkością i różnorodnością mogłyby rywalizować z fauną Afryki. Od Alaski po Amerykę Środkową można było spotkać mamuty większe niż afrykańskie słonie oraz mniejsze mastodonty. Stada koni i wielbłądów pasły się na ogromnych łąkach, w lasach żyły leniwce wielkie jak byki, na strumieniach budowały tamy bobry wielkości niedźwiedzi. 10 000 lat temu te zwierzęta oraz inne, jak amerykańskie lwy, gepardy, wielkie szablozębne tygrysy i olbrzymie niedźwiedzie, po prostu zniknęły. Wyginęło około 70 gatunków zwierząt północnoamerykańskich, z tego trzy czwarte wielkich. Dlaczego?

„Washington Post”, 21 listopada 2001 roku

* Przekł. Maria Maykowska.

Studiując literaturę i rozmawiając z hydrologami o ostatniej epoce lodowcowej, dochodzimy do wniosku, że istnieje duża rozbieżność zdań na tak fundamentalne tematy, jak następstwo zdarzeń, ich chronologia i skutki. Obserwujemy nawet różnice terminologiczne.

Już samo pojęcie „ostatniej epoki lodowcowej” nie doczekało się dotąd ściślej definicji i przez rozmaitych fachowców bywa różnie stosowane. Jedni odnoszą je do okresu sprzed mniej więcej 125 000 lat, kiedy czapy lodowe północnej półkuli rozpoczęły ostatnią ekspansję, po 21 000 lat temu, kiedy osiągnęły maksymalny punkt (zwany Last Glacial Maximum, LGM – maksimum ostatniego zlodowacenia), a potem zaczęły się topić. Ale nawet w tej dziedzinie występują wśród naukowców rozbieżności, gdyż sam znalazłem w literaturze datę wcześniejszą – 25 000 lat temu – a także późniejszą: 18 000 lat temu¹.

Inna szkoła twierdzi, iż „ostatnia epoka lodowcowa” to jedynie najpóźniejsza fala w całym cyklu kolejnego naporu i cofania się lodowców, który zaczął się 2 600 000 lat temu. Dla przedstawicieli tego nurtu ostatnia epoka lodowcowa jest znacznie dłuższa, ponieważ obejmuje także nasze czasy. Zwracają uwagę, że proces cofania się lodowców, który rozpoczął się 17 000 lat temu, był niezwykle gwałtowny, gdyż zakończył się w przedziale 10 000 lat, lecz niewiele krótszy niż poprzednie takie procesy. Relatywnie korzystne warunki naturalne, jakie panowały na ziemi w ciągu 7000 lat licząc od tego czasu, są zapewne tylko nieco lepsze niż w poprzednich okresach międzylodowcowych.

Choć zasadniczo nie pragnąłem cofać się w epoki sprzed milionów lat, nie mogłem uwolnić się jednak od wrażenia, że losy stworzenia zwanego człowiekiem były nierozzerwalnie wpisane w chronologię epoki lodowcowej.

- Ślady życia najstarszego wyprostowanego praprzodka rodzaju *Homo* pojawiają się w skamieniałościach sprzed 2 600 000 lat, kiedy rozpoczął się wielki cykl obecnej epoki lodowcowej.
- Przed około 125 000 lat nastąpiła fala najbliższego nam naporu płyt lodowcowych. W tym mniej więcej czasie – lub tylko nieco później – pojawiają się szczątki człowieka, które przypuszczalnie anatomicznie niczym nie różnią się od współczesnych ludzi.
- Niewątpliwie najstarsze szczątki anatomicznie współczesnego człowieka są znacznie świeższe, liczą bowiem 40 000 lat. Z mniej więcej tego samego okresu pochodzą najstarsze ślady europejskiej „sztuki jaskiniowej”, całkowicie dojrzałej i w pełni uformowanej, jak na przykład te z jaskini Chauvet we Francji.
- Bezspornie najstarsze ślady dużych, stałych osiedli ludzkich, charakteryzujących się potężną kamienną architekturą, pojawiają się mniej więcej 10 000 lat temu – przykładem może być Jerycho w dolinie Jordanu. Inny potężny ośrodek to Çatal Hüyük w Turcji, pochodzący sprzed 8500 lat. Jednak tendencja do stałego osadnictwa nie jest powszechna i ugruntowuje się dopiero około 7500 lat temu. Wówczas to klimat świata zaczyna się stabilizować po 10 000 lat niewiarygodnych zawirowań, topnienia lodowców i podnoszenia się poziomu morza.

- Mniej więcej tę samą chronologię i dość chwiejną zgodność w czasie z ostatnim zlodowaceniem naukowcy odnoszą do rozwoju rolnictwa.

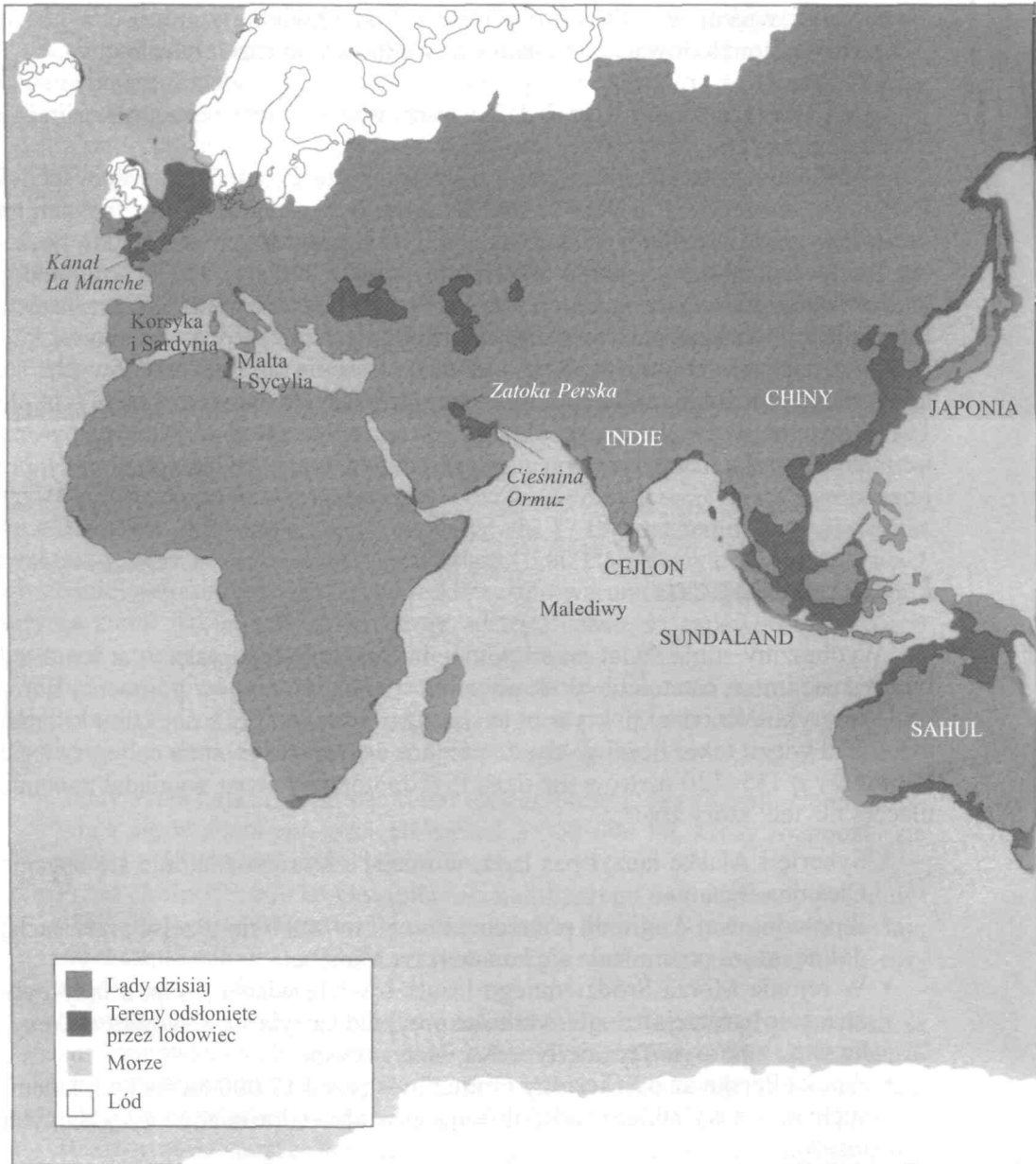
Ale czy to rzeczywiście prawda? A może ważne okresy naszej historii giną, ukryte przez cykliczne spiętrzanie się lodowca?

Określenie „ostatnia epoka lodowcowa” odnoszę do najpóźniejszej ekspansji lodowców w okresie 125 000–17 000 lat temu. Używając terminu „maksimum ostatniego zlodowacenia” nie mam na myśli jakiegoś konkretnego punktu w czasie, lecz przedział liczący około 5000 lat, między 22 000 a 17 000 lat temu, kiedy zlodowacenie to sięgało najdalej. Około 19 000 lat temu nastąpiło nieznaczne topnienie lodowca i stosunkowo niewielkie podniesienie się poziomu morza, które w nieznacznym stopniu wpłynęło na kształtowanie się linii brzegowych. To, co naprawdę można nazwać epoką „topnienia”, zaczęło się zaraz potem – około 16 500 lat temu. Wówczas z rozpuszczających się lodowców zaczęły płynąć ogromne masy wody, a 7000 lat temu nastąpił zdecydowany wzrost poziomu mórz i oceanów.

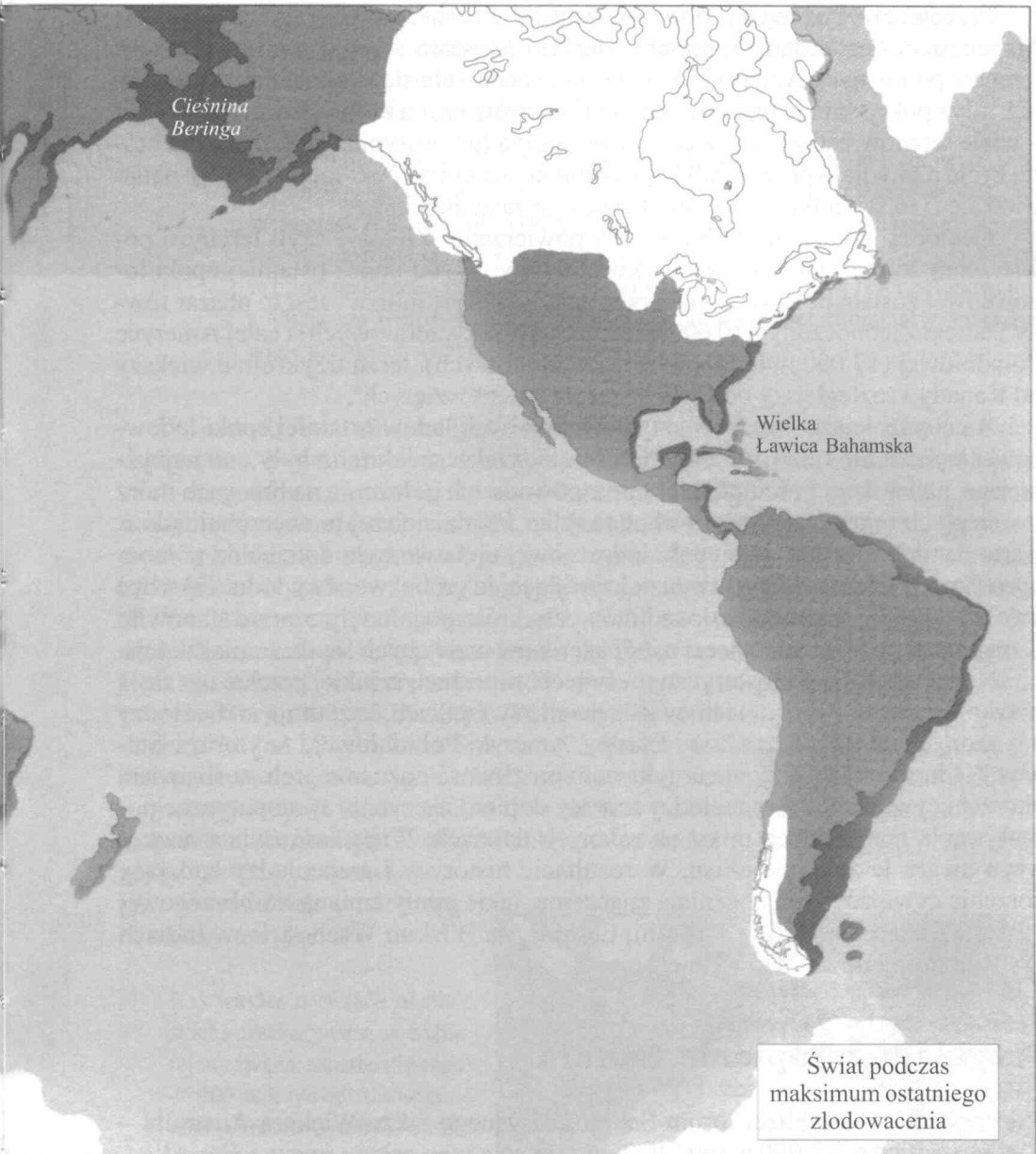
Przed potopem

Wyobraźmy sobie świat przed potopem. Siedemnaście tysięcy lat temu, od końca maksimum ostatniego zlodowacenia, większość terenów północnej Europy i Ameryki Północnej pokryta była skorupą lodową o grubości kilku kilometrów. Lód wciął takie ilości wody, że poziom wód w morzach na całym świecie był niższy o 115–120 metrów niż dziś. Przedpotopowy świat wyglądał zupełnie inaczej niż ten, który znamy.

- Syberię i Alaskę łączył pas lądu, w miejscu którego znajduje się obecnie Cieśnina Beringa.
- Z południowej Anglii do północnej Francji można było przejść przez suchą dolinę, która potem stała się kanałem La Manche.
- W rejonie Morza Śródziemnego leżało o wiele więcej wysp, a lądy były znacznie bardziej rozległe. Malta na przykład łączyła się z Sycylią, a Korsyka wraz z Sardynią tworzyły jedną wielką wyspę.
- Zatoka Perska aż do Cieśniny Ormuz była przed 17 000 lat suchym lądem, suchym – z wyjątkiem rzeki obfitującej w aluwialne osady i życiodajnych jezior...
- Wybrzeża Indii sięgały znacznie dalej, sam subkontynent miał zupełnie inny kształt. Wyspa Cejlon łączyła się z głównym lądem, a na południe od niej, bliżej równika, znajdowały się Malediwy – o wiele większe niż obecnie.
- Wokół współczesnej Malezji, Indonezji i Filipin, sięgając aż do północnej Japonii, rozciągały się nieskończone równiny Sundalandu – wspaniałego przedpotopowego kontynentu, który został gwałtownie zalany w okresie między 14 000 a 11 000 lat temu.



- Przed 12 000 lat trzy główne wyspy Japonii tworzyły jeden kontynent.
- Na południowych morzach leżał ogromny kontynent epoki lodowcowej, Sahul, utworzony z połączonych lądów Australii, Tasmanii i Nowej Gwinej.
- Na Pacyfiku 17 000 lat temu tysiące drobnych, oddalonych od siebie wysepek składały się na znacznie większe archipelagi.



- Na zachodnim Atlantyku Wielka Ławica Bahamska tworzyła rozległy płaskowyż wznoszący się 120 metrów ponad poziom morza; nad wodą znajdowały się także szelfy Florydy, Jukatenu i Nikaragui².

Krótko mówiąc, tereny zamieszkałe współcześnie przez ludzi przybrały znaną nam postać w okresie od stopienia się lodów ostatniej epoki lodowcowej – czyli między 17 000 a 7000 lat temu.

Przedtem pewne rejony, obecnie gęsto zaludnione, jak Chicago, Nowy Jork, Manchester, Amsterdam, Hamburg, Berlin i Moskwa – praktycznie większość terenów północnych Ameryki i Europy – nie nadawały się w ogóle do zamieszkania, gdyż pokrywała je gruba na kilka kilometrów czapa lodowcowa. I na odwrót – wiele terenów będących obecnie dnem morza lub pustynią, jak Sahara (na której życie rozkwitało przez 4000 lat pod koniec ostatniej epoki lodowcowej), nadawało się (i to stosunkowo nie tak dawno) do zasiedlenia.

Geolodzy wyliczyli, że blisko 5% powierzchni Ziemi – czyli tereny o powierzchni 25 000 000 kilometrów kwadratowych – od końca ostatniej epoki lodowcowej zostało pochłoniętych przez wznoszące się morze³. Jest to obszar równy Stanom Zjednoczonym (9 600 000 kilometrów kwadratowych) i całej Ameryce Południowej (17 000 000 kilometrów kwadratowych), teren trzykrotnie większy od Kanady i rozleglejszy od Chin i Europy razem wziętych⁴.

A co ważniejsze – znaczenie tych zaginionych lądów ostatniej epoki lodowcowej wynika nie tylko z ich rozległości, lecz także z faktu, iż były one najżyźniejsze, najbardziej gościnne, głównie z powodu ich położenia na brzegach mórz i w ciepłych rejonach. Więcej – choć to tylko 5% dzisiejszej powierzchni lądów, warto pamiętać, że ludziom epoki lodowcowej niełatwo było dotrzeć do północnych Europy i Ameryki z powodu pokrywającej je grubej warstwy lodu. Tak więc owe 25 000 000 kilometrów kwadratowych, które pochłonęły morza, stanowiło w owym czasie znacznie więcej niż 5% terenów nadających się do zamieszkania.

Naszą wiedzę o prehistorycznym świecie w postaci, w jakiej przekazuje się ją w szkołach, na uniwersytetach, w książkach czy mediach, kształtują archeolodzy bez żadnych odniesień do Chin i Europy, Ameryki Południowej i terytoriów Stanów Zjednoczonych. Czy nie umyka nam możliwość poznania prehistorii świata i korzeni cywilizacji? Archeolodzy morscy dopiero zaczynają systematyczne poszukiwania podwodnych miast na zalanych terenach. Większość świata naukowego uważa je za stratę czasu. W rezultacie historycy i archeolodzy badający korzenie cywilizacji nie doceniają znaczenia, jakie miały zmiana linii brzegowej i wzrost poziomu morza w Australii, Europie, na Bliskim Wschodzie, w Indiach czy Azji Południowo-Wschodniej.

Przykład: zatopienie Sahulu

Przyjrzyjmy się bliżej losom Sahulu – zwanego także Większą Australią – w okresie między 17 000 a 7000 lat temu. Dzieje tego rejonu opisują Jim Allen, archeolog z australijskiego La Trobe University, i Peter Kershaw z wydziału geografii i nauki o środowisku Monash University w Melbourne⁵.

W końcu maksimum ostatniego zlodowacenia 17 000 lat temu, a prawdopodobnie jeszcze kilka tysięcy lat potem, Nowa Gwinea stanowiła część kontynentu australijskiego, gdyż nie istniały Cieśnina Torresa i Morze Arafura. Na południu Tasmania łączyła się z kontynentem poprzez Cieśninę Bassa, która wówczas była suchym lądem. Ponadto kontynent współtworzyły „inne, mniejsze wyspy, obec-

nie oddalone od głównego lądu”⁶. Allen i Kershaw oceniają, że Sahul przed 17 000 lat rozciągał się „prawie dokładnie od równika do blisko 44° na południu i od 112° do 154° na wschodzie”⁷.

A potem lody zaczęły topnieć.

W okresie między 16 000 a 7000 lat temu Większa Australia zmniejszyła się o 3 000 000 kilometrów kwadratowych – czyli o terytorium większe od Meksyku. W miejsce jednego lądu pojawiły się trzy. Przybrzeżne osiedla albo zatoneły, albo zachowały się na wyspach, a jałowy poprzednio interior przemienił się w rejon nadbrzeżny. W niektórych miejscach morska transgresja polodowcowa zmniejszyła szerokość przybrzeżnych równin o kilkaset kilometrów, zatapiając wiele plejstoceńskich miejsc osadnictwa⁸...

W historii Australii istnieją liczne białe plamy, tajemnica okrywa także dzieje osadnictwa, które datuje się sprzed 50 000 lat. Nie ma co prawda archeologicznych dowodów na istnienie tu przed czasami nowożytnymi cywilizacji wysoko rozwiniętej w sensie technicznym, materialnym czy urbanistycznym, ale pewne aspekty kultury Aborygenów wydają się naprawdę zagadkowe. Dotyczy to zwłaszcza wysoce wyrafinowanych koncepcji astronomicznych, znanych tu od bardzo dawna. Aborygeni posługują się „astronomiczną terminologią” używaną również w innych częściach świata. Studiując prace rosyjskiego badacza prehistorii, Borysa Frołowa, musimy sobie zadać pytanie, czy to przypadek, że ludy w tak odległych rejonach, jak Ameryka Północna, Syberia i Australia, nazywają gwiazdozbiór Plejad „Siedmioma Siostrami”⁹. Frołow uważa, że zbieżność ta nie jest przypadkowa i można ją, a także inne intrygujące podobieństwa, które odkrył, tłumaczyć jedynie jako wspólne dziedzictwo po bardzo dawnych czasach¹⁰. Antropolog z Cambridge, Richard Rudgley, stwierdza w przełomowej pracy *Zaginione cywilizacje epoki kamienia*, że jeśli Frołow ma rację, to należy przyjąć, iż:

(...) wiedza o ciałach niebieskich, przekazywana w różne rejony świata, istniała od ponad 40 000 lat, czyli od czasów górnego paleolitu. Byłoby to w najwyższym stopniu kłopotliwe w świetle powszechnie przyjętych poglądów na historię nauki i wiedzy. Krótko mówiąc, dla wielu ludzi jest to nie do zaakceptowania¹¹.



Sahul podczas maksimum ostatniego zlodowacenia

To prawda, że wykopaliska nie ujawniły na terenie Australii żadnych śladów społecznej infrastruktury, która tłumaczyłaby rozprzestrzenianie się tradycji astronomicznych na światową skalę. Lecz jeśli weźmiemy pod uwagę, że 3 000 000 kilometrów kwadratowych Większej Australii zatonięły w okresie między 16 000 a 7000 lat temu i obszar ten prawie w ogóle nie jest znany archeologom...

Potopy a cywilizacja

Czy potopy polodowcowe rzeczywiście były potopami? Nie trzeba geniuszu matematycznego, by obliczyć, że podniesienie się poziomu mórz o 120 metrów w okresie 10 000 lat oznacza przybór o niewiele więcej niż metr na stulecie. Nie wystarczy on, by zalać i zniszczyć wszelkie ślady wielkiej cywilizacji. I z pewnością nie może inspirować – przekazywanej we wszystkich częściach świata – tradycji o potopie, który miał być – jak w Sumerze – karą boską za grzechy ludzkości.

W ciągu minionych 2 600 000 lat cykl epoki lodowcowej wykazuje wyraźną współzależność z (powoli zmieniającą się) skośnością i precesją osi ziemskiej oraz zmiennym stopniem mimośrodowości orbity naszej planety wokół Słońca. Niektórzy naukowcy uważają, że takie astronomiczne zmiany na wielką skalę same w sobie tłumaczą powtarzające się zlodowacenia i cofania się lodowców. Inni twierdzą, że w grę muszą wchodzić inne decydujące czynniki – potężne erupcje wulkanów, zderzenie z asteroidą lub kometą, ruchy skorupy ziemskiej.

Jednak – niezależnie od jego przyczyny – nikt nie wątpi, że topnienie lodów ostatniej epoki lodowcowej musiało mieć najpoważniejsze konsekwencje. Poziom morza jest obecnie o 120 metrów wyższy niż 17 000 lat temu. Już sam ten fakt wywarł niekwestionowany wpływ na rozmieszczenie ludzkich osiedli; wydaje się więc, że powinien zainteresować archeologów. Kiedy zająłem się tą kwestią, stwierdziłem ze zdumieniem, że wcale tak nie jest.

- Prowadzone na kontynentalnych szelfach badania archeologiczne ograniczają się jedynie do ułamka zalanych terytoriów.
- W większości skupiały się one na wydobywaniu wraków i odkrywaniu miast zatopionych w znanych historycznie czasach¹².
- Z wyjątkiem Roberta Ballarda, który z ramienia National Geographic Society prowadził na Morzu Czarnym w 2000 roku badania nad wtargnięciem wód Morza Śródziemnego poprzez Bosfor 7500 lat temu, archeolodzy morscy nie biorą pod uwagę możliwości, że polodowcowe potopy mogły zniszczyć jakąś cywilizację.

Zdaję sobie sprawę, że wśród archeologów panuje pewien rodzaj politycznej poprawności. Od niedawna przyznają publicznie, iż ludzie z epoki kamiennej nie byli ani dzikusami, ani tępymi „jaskiniowcami”, choć wystarczy tylko rzucić okiem na naskalne dzieła sztuki z jaskini Lascaux we Francji, aby od razu wyrobić sobie

takie zdanie! Nadal sądzę jednak, iż większość archeologów nie dostrzega związku między trybem życia w okresie paleolitu (17 000–12 000 lat temu) a miejskimi ośrodkami, które pojawiły się w Jerychu, Çatal Hüyük i w innych miejscach na świecie w okresie między 10 000 a 7000 lat temu. Z tego też powodu (choć i tak łatwiej niż dawniej przyjmują do wiadomości, że nasi praprzodkowie cechowali się wyrefinowaną duchowością i umiłowaniem sztuki) archeolodzy niemal bez wyjątku nadal zakładają, iż 17 000 lat temu mieszkańcy Ziemi byli w zasadzie społecznością myśliwsko-zbieracką, a pierwsze miasta zaczęły powstawać nie wcześniej niż 10 000 lat temu. Nie może ich więc interesować fakt, że miliony kilometrów kwadratowych szelfu kontynentalnego zostały w poprzednim okresie zalane wodą, co całkowicie zmieniło oblicze zamieszkanym terenów.

Gdyby natomiast poziom rozwoju różnych kultur w owym okresie nie był jednakowy (podobnie jak ma to miejsce obecnie) i gdyby jedna lub więcej cywilizacji powstało wzdłuż dawnych wybrzeży morskich czy też w innych rejonach, które zostały zalane wskutek jakiegoś kataklizmu, można przyjąć, że polodowcowe potopy miały kolosalne znaczenie dla historii ludzkiej cywilizacji.

Co więcej – podniesienie się poziomu wód o 120 metrów w okresie 10 000 lat między 17 000 a 7000 lat temu było na tyle znaczące, że mogło na zawsze pochłoniąć całe miasta i albo zniszczyć, albo pokryć tysiącletnimi osadami mułu i skał wszelkie dowody ich istnienia. Jeżeli wody przybierały powoli, takie miasta, położone w strefach pływów, przez stulecia mogły popadać w ruinę i stopniowe zapomnienie. Jeśli jednak podniesienie się poziomu morza nastąpiło wskutek kataklizmu, ściana wody bezlitośnie zmiotłaby wszystko, co znalazło się na jej drodze.

Wiele wydarzeń naraz

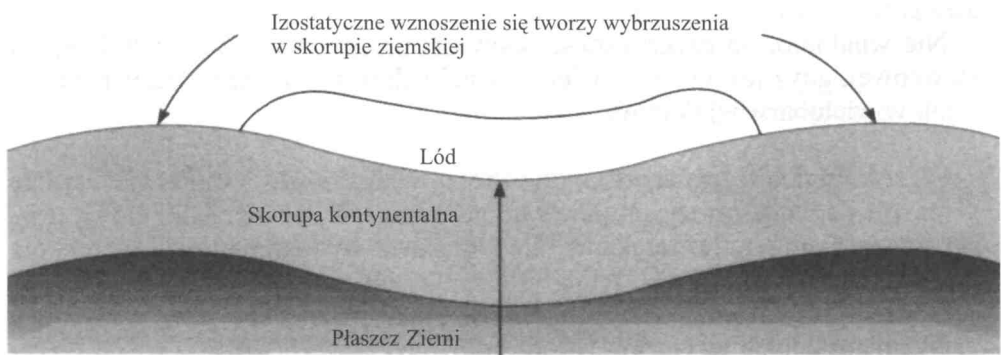
Nie wiadomo, od czego zacząć opowieść o topnieniu lodu ostatniej epoki lodowcowej, gdyż jest utkana z wielu rozmaitych wątków, zachodzących na siebie jak w wielobarwnej tkaninie.

- Część z nich to zmiany klimatyczne na wielką skalę, gwałtowne odwilże i równie nagłe mrozy, erupcje wulkanów na całej powierzchni globu, trzęsienia ziemi o niespotykanej sile i masowe wymieranie wielu gatunków zwierząt.
- Część – to zdarzenia, o których już wspomniałem: znikanie ogromnych połaci zamieszkanym terytoriów, nisko położonych przybrzeżnych równin i żywnych delt rzek wskutek podniesienia się poziomu morskich wód. Te „zaginione lądy” są rozrzucone po całym świecie jak kawałki układanki o łącznej powierzchni 25 000 000 kilometrów kwadratowych.
- Część ma związek z prędkością i nasileniem polodowcowych potopów.
- Należy też wziąć pod uwagę procesy, które doprowadziły do cyklicznych, niszczących potopów.

- Ponadto trzeba uwzględnić złożoność sytuacji: poziom wód podniósł się o 120 metrów w okresie między 17 000 a 7000 lat temu, ale to eustatyczne (czyli typowe dla poziomu morza) podniesienie się wód niejednakowo wpłynęło na zmianę linii brzegowej. Tak więc w pewnych rejonach świata poziom morza w stosunku do linii brzegowej pozostawał dość stabilny przez całe tysiąclecia; w innych lokalne zalewy były znacznie głębsze, niż można by się spodziewać po eustatycznych ruchach morza; w jeszcze innych rejonach na odwrót. Takie różnice wynikały z obniżenia się lub podniesienia lądów wskutek aktywności tektonicznej czy wulkanicznej; jednakże najsilniejszym czynnikiem zmian poziomu lądów pozostawała znana geologom izostazja*.

Piłka wypełniona galareta

Powierzchnia Ziemi, która naszym stopom daje trwałe oparcie, może poddawać się i ulegać deformacji pod wpływem dostatecznie dużego ciśnienia. Zachowuje się trochę jak piłka, luźno wypełniona gęstą, ciężką galareta. Ucisk w jednym punkcie spowoduje wgniecenie, czyli przemieszczenie się płynnej masy w środku, w wyniku czego wokół wgniecenia powstanie niemal okrągły dołek. Geolodzy nazywają to zjawisko izostazją. Odgrywała ona znaczącą rolę nie tylko w epoce lodowcowej, lecz także przez tysiące lat po stopieniu się lodu, a to dlatego, że ogromne czapy lodowe są tak ciężkie, iż mogą wgnieść skorupę ziemską, a pod nimi tworzą się niecki. Kiedy lód się stopi, jego napór ustaje, dno niecki zaczyna się podnosić i – po dostatecznie długim czasie – powraca do pierwotnego poziomu.



Izostatyczne osiadanie tworzy zagłębienie w skorupie ziemskiej

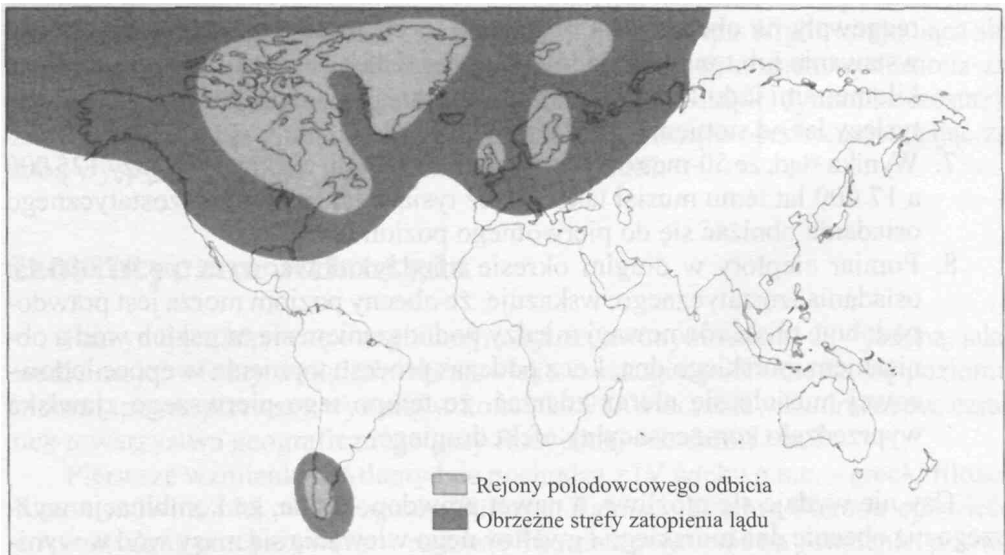
Ciężar czapy lodowej powoduje tworzenie się pod skorupą depresji, a nad nią – izostatycznego wybrzuszenia. Według Wilsona i Drury'ego (2000)

* Izostazja (geol.) – hipotetyczny stan równowagi w skorupie ziemskiej.

W okresie maksimum ostatniego zlodowacenia, 17 000 lat temu, czapy lodowe dużych obszarów Ameryki Północnej i północnej Europy miały grubość od 2 do 4 kilometrów i wywierały nacisk tysięcy miliardów ton na powierzchnię kontynentów, na których się tworzyły¹³. Thomas Crowley i Gerald North, oceanografowie Texas A & M University, zauważyli, że lodowiec Laurenta w Ameryce Północnej

(...) rozciągał się od Gór Skalistych do wybrzeży Atlantyku i od Oceanu Arktycznego na południu do obecnego koryta rzek Missouri i Ohio. W Europie czapa lodowa sięgała północnych Niemiec i Holandii. Potężne lodowce wgniatały swoim wielkim ciężarem skorupę ziemską na 700–800 metrów, powodując anomalie grawitacyjne wykrywalne do dziś¹⁴.

Obliczono, że gruby na 100 metrów płaszcz lodowy wgniata skorupę na głębokość 27 metrów¹⁵. Ale to dopiero część historii. Wody oceaniczne także mają swoją wagę – w rzeczywistości są gęstsze niż lód. Tak więc 100-metrowa warstwa wody wgniata dno morskie na głębokość 30 metrów¹⁶. Ponieważ czapy lodowe, które utworzyły się na lądach podczas ostatniej epoki lodowcowej, powstały z morskiej wody, napór na skorupę ziemską na lądzie powodował podniesienie się dna morskiego (gdyż w oceanach było mniej wody). I na odwrót – gdy cały lód uległ stopieniu, powracając do oceanów w postaci wody, nacisk na morskie dno znowu się zwiększył. R.C.L. Wilson, profesor na wydziale nauki o ziemi na Britain's Open University, obliczył, że aby powstały czapy lodowe ostatniego



Polodowcowy świat: rejon izostatycznego odbicia (kolor jaśniejszy) i zatopienia (kolor ciemniejszy). Według Wilsona i Drury'ego (2000)

złodowacenia, z oceanów zniknąć musiała warstwa wody o grubości 165 metrów. Spowodowało to jednak relatywne obniżenie się poziomu morza o około 115 metrów od początku złodowacenia – 125 000 lat temu – po maksimum ostatniego złodowacenia, które miało miejsce 104 000 lat potem. Zmniejszony napór wody w oceanach w okresie epoki lodowcowej spowodował wskutek kompensacji izostatycznej podniesienie się dna morskiego o 50 metrów¹⁷.

1. 125 000 lat temu rozpoczęła się ostatnia fala złodowacenia, przekształcając 165-metrową warstwę wody oceanicznej w czapy lodowcowe o grubości wielu tysięcy metrów, pokrywające Amerykę Północną, Grenlandię, północną Europę, Amerykę Południową i Himalaje.
2. Czapy lodowe zajęły maksymalny obszar 21 000 lat temu i stan ten w większości rejonów utrzymywał się do 17 000 lat temu; w tym czasie skorupa kontynentalna pod naciskiem lodowców zapadła się, tworząc ogromne baseny o głębokości kilometra.
3. Równocześnie z rosnącym naciskiem masy lodowej na lądy zmniejsza się napór na dno morskie; podczas maksimum ostatniego złodowacenia dno oceanów podniosło się o 50 metrów.
4. Wkrótce po maksimum ostatniego złodowacenia lód zaczął się topić i spływać do oceanów w postaci wody; proces ten trwał 10 000 lat.
5. Najpierw warstwa wody oceanicznej o grubości 165 metrów zamieniła się w lód i utworzyła czapy lodowe, potem zaś warstwa wody o takiej samej grubości powróciła do oceanów wskutek całkowitego stopienia się lodowych czap.
6. Profesor Wilson zauważył, że tempo, w jakim skorupa ziemska i płaszcz reagowały na obciążenie i odciążenie, jest „znacznie wolniejsze niż powstawanie lub topnienie lodowych czap. Dlatego rejony pokryte kilkoma kilometrami lodu 18 000 lat temu wznoszą się po dziś dzień, czyli w wiele tysięcy lat od stopienia się warstwy lodu”¹⁸.
7. Wynika stąd, że 50-metrowy „odskok” dna oceanu w okresie między 125 000 a 17 000 lat temu musiał także przez tysiące lat za sprawą izostatycznego osiadania obniżać się do pierwotnego poziomu.
8. Pomiar ciepłoty w długim okresie międzylodowcowym, po 17 000 lat osiadania izostatycznego, wskazuje, że obecny poziom morza jest prawdopodobnie bliski równowagi między podnoszeniem się morskich wód a obniżaniem morskiego dna. Lecz podczas procesu topnienia w epoce lodowcowej musiało się nieraz zdarzać, że tempo tego pierwszego zjawiska wyprzedzało kompensacyjny efekt drugiego.

Czy nie wydaje się możliwe, a nawet prawdopodobne, że kombinacja wyższego niż obecnie dna morskiego i gwałtownego wlewania się masy wód w wyniku kurczenia się lodowych czap spowodowała stosunkowo krótkotrwały wzrost poziomu mórz znacznie większy niż średnie roczne tempo w całym okresie topnienia?

Huštawka

Podnoszenie się skorupy kontynentalnej wskutek izostatycznego „odskoku” od czasu ustąpienia lodowców można prześledzić w wielu rejonach świata, między innymi w górach Szkocji¹⁹ (gdzie czapa lodowa pokrywająca większą część Brytanii była najgrubsza), w Zatoce Botnickiej, która obecnie jest częścią Bałtyku (dno tej zatoki podnosi się w tempie 1 metra na 100 lat)²⁰, na dużych obszarach wybrzeża i terenów lądowych Szwecji, Danii i Norwegii, na północno-wschodnim wybrzeżu Kanady²¹ i w niektórych rejonach Chile²².

Obraz ten gmatwa jeszcze fakt, iż wokół każdej strefy „polodowcowego odskoku” tworzą się tak zwane przez geologów „obrzeżne strefy zatopienia”, znacznie rozleglejsze niż strefy odskoku²³. I choć zjawiska takie, jak podnoszenie się plaż w górskich rejonach Szkocji, nie są czymś niezwykłym²⁴ (obszary dawniej znajdujące się na poziomie morza i tworzące starożytną linię brzegową wznosząc się obecnie ponad ten poziom), inne rejony Wysp Brytyjskich w sposób widoczny zapadają się w morze. Dzieje się tak dlatego, że napór lodowca Tarczy Bałtyckiej na skorupę kontynentalną północnej Europy podczas maksimum ostatniego zlodowacenia został przekształcony przez kompensację izostatyczną w rozległe „wybrzuszenie czołowe”, odległe o kilkaset kilometrów od krańca lodowca. Przypomina to sytuację huštawki, na której jeden koniec naciśkamy, aby drugi uniósł się w górę. W miarę topnienia lodowca ciężar, który przytrzymał jeden koniec „huštawki”, zaczął się zmniejszać i spowodował jego podnoszenie się, podczas gdy drugi koniec – czyli „wybrzuszenie czołowe” – zaczął opadać.

Taki sam proces zachodzi obecnie w kanale La Manche, który podczas maksimum ostatniego zlodowacenia był suchym lądem. Wyspa Wight, znajdująca się na wybrzuszeniu czołowym lodowca Tarczy Bałtyckiej, została wyniesiona za sprawą kompensacji izostatycznej. Kiedy lodowiec się stopił, dynamika izostazji znowu dała o sobie znać i wybrzuszenie czołowe zaczęło opadać, pociągając za sobą wyspę Wight i sporą część południowej Anglii.

Izostatyczna Atlantyda

Fascynującą hipotezę o zaginionym lądzie, zwanym Atlantydą – jedyną, jaka wedle mojej wiedzy uwzględniała zjawisko izostazji i podnoszenia się poziomu morza – po raz pierwszy wysunął w końcu lat 90. Wiaczesław Kudriawcew, członek towarzystwa geograficznego przy Rosyjskiej Akademii Nauk.

Pierwsze wzmianki o Atlantydzie pochodzą z IV wieku p.n.e. – grecki filozof Platon mówi o niej w dialogach *Kritias* i *Timaios*. Według Platona opowieść o Atlantydzie, przekazywana w rodzinie Siloofa z pokolenia na pokolenie, pochodzi od jego antenata Solona, słynnego prawodawcy Aten. Solon z kolei dowiedział się o Atlantydzie podczas swojej podróży do Egiptu około 600 roku p.n.e. od starego kapłana ze świątyni Sais w Delcie Nilu. Ten zaś wyczytał historię wyspy

z kronik spisanych 8000 lat wcześniej i znajdujących się w archiwach świątyni. Opowieść Platona zawiera istotne informacje.

- Atlantyda posiadała stosunkowo wysoko rozwiniętą, dobrze zorganizowaną i zamożną cywilizację.
- Rozkwitła, a potem uległa zniszczeniu 9000 lat przed okresem, w którym żył Solon – czyli około 11 600 lat temu.
- Znajdowała się na wielkiej wyspie po drugiej stronie Słupów Heraklesa – obecnie Cieśniny Gibraltarskiej.
- Zniszczona została przez globalny kataklizm: „Później przyszły straszne trzęsienia ziemi i potopy, i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna – wtedy (...) Atlantyda (...) zanurzyła się pod powierzchnię i zniknęła”²⁵.

W zależności od fantazji badaczy Atlantyde umieszczano w wielu miejscach – od środkowego Atlantyku po Indonezję i od Andów po Kretę. Kudriawcew proponuje po prostu tylko inną teorię. Jej zaletą jest zgodność z tekstem Platona zarówno w sensie lokalizacji Atlantydy (poza Cieśniną Gibraltarską na Atlantyku), jak i daty zatonięcia – 11 600 lat temu.

Kudriawcew uważa, że Atlantyda znajdowała się w miejscu zwanym przez rybaków Ławicą Little Sole, w obrębie Szelfu Celtyckiego, podwodnego płaskowyżu 200 km na południowy zachód od Wysp Brytyjskich i Irlandii. Choć najpłytsza część Ławicy Little Sole znajduje się obecnie 57 metrów pod powierzchnią wody i pod koniec ostatniej epoki lodowcowej musiała wznosić się na około 60 metrów ponad poziomem morza, badania Kudriawcewa dowodzą, że miejsce to i spory obszar otaczającego go szelfu mogły ulec gwałtownemu pochyłemu wyniesieniu w górę w okresie narastania maksimum ostatniego zlodowacenia – w wyniku efektu huśtawki, wywołanego siłami izostatycznymi związanymi z kontynentalną masą lodowcową. Krótko mówiąc, około 11 600 lat temu nastąpiło silne zapadnięcie się wybrzuszenia czołowego, które zbiegło się w czasie z potężną falą topniejącego lodu oraz potopem na światową skalę. Kudriawcew pisze:

Moim zdaniem najpoważniejszym argumentem przemawiającym za tym, iż Atlantyda nie została przez Platona wymyślona, jest czas, w którym zniknęła, czyli według niego około 11 600 lat temu. Opisywane przez niego okoliczności zniknięcia (zapadnięcie się w głębię oceanu) potwierdzają najnowsze odkrycia nauki odnośnie końca ostatniej epoki lodowcowej i towarzyszącego mu znacznego podniesienia się poziomu oceanu światowego²⁶.

Potop na globalną skalę

Każdy, kto uważnie czytał *Timaios* i *Kritias*, wie, że Platon opisywał zagładę Atlantydy podczas potwornego potopu na globalną skalę, który zdarzył się jako by około 11 600 lat temu i pochłoniął rozległe połacie kontynentów na wschodzie

Morza Śródziemnego i na Oceanie Atlantyckim. Na początku dyskursu Platon miał odpowiedzieć na pytanie ucznia, czy do podobnego kataklizmu mogło rzeczywiście dojść 11 600 lat temu. Żaden z badaczy historii i prehistorii nie zadał sobie trudu, by zbadać tę kwestię, mimo że wielu wysuwało teorie umieszczające Atlantyde wszędzie, tylko nie na Atlantyku – choć tam według Platona się znajdowała – i w rozmaitych epokach znanej historii, nie biorąc pod uwagę prehistorycznej daty podanej przez Platona. Jedną z najbardziej absurdalnych (ale dobrze przyjętych) była hipoteza, która wzbudziła niekończące się spory wśród naukowców; głosiła, że Platon miał na myśli nie 9000 lat, lecz 9000 miesięcy przed czasami Solona.

Historycy i archeolodzy wolą raczej tworzyć łamigłówki godne Houdiniego, formułując teorie zupełnie pozbawione zdrowego rozsądku, niż zgodzić się, że przyjęty powszechnie paradygmat historyczny może być błędny. Nie dziwi mnie więc, iż nawet nie próbowali sprawdzić, czy Atlantyda mogła zatonać podczas globalnego potopu 11 600 lat temu. Znam jednak naukowców z innych dziedzin, nie obciążonych podobnymi dogmatami, którzy znacznie bardziej otwarcie podchodzą do hipotezy, iż tradycja potopu w ogóle, a historia Atlantydy w szczególności może mieć korzenie w rzeczywistych zdarzeniach – topnieniu lodów po ostatniej epoce lodowcowej. Pogląd ten zaakceptował na przykład Cesare Emiliani, były profesor wydziału nauk geologicznych na University of Miami²⁷ – jeden z pionierów izotopowej analizy osadów z dna morskiego jako metody określania klimatu w odległej przeszłości²⁸. Co więcej, jego badania w Zatoce Meksykańskiej przyniosły rewelacyjne dowody na potwierdzenie hipotezy o potopie na globalną skalę „między 12 000 a 11 000 lat temu”²⁹. Robert Schoch, profesor na wydziale geologii Boston University, również stwierdza, że w tym samym okresie – czyli w Preborealu – nastąpiło gwałtowne ocieplenie klimatu³⁰, i że wszystkie fragmenty układanki:

(...) tworzą zdumiewająco spójną całość: gwałtowne ocieplenie około 9645 roku p.n.e., hipoteza Emilianiego o wpływaniu mas słodkiej wody do Zatoki Meksykańskiej, data zatopienia Atlantydy podana przez Platona. Nie wnikając w szczegóły, ta niezwykła zbieżność wskazuje na gwałtowne zmiany klimatyczne, które mogły mieć, i zapewne miały, ogromny wpływ na cywilizację³¹.

Autor książek popularnonaukowych, Paul LaViolette, także dowodzi, iż „może być wiele prawdy w licznych przekazach o katastrofalnym potopie, obecnych w tradycjach niemal każdej ziemskiej kultury. Szczególnie podana przez Platona w *Timajosie* data 9600 roku p.n.e., określająca czas globalnego potopu, przypada na początek Preborealu, kiedy to miało miejsce gwałtowne topnienie wód lodowcowych”³².

Namawiam historyków i archeologów, aby – zanim odrzucą możliwość istnienia zaginionych cywilizacji ostatniej epoki lodowcowej – przyjrzeni się bliżej datom wskazującym na serię katastrofalnych potopów, jakie przewały się przez powierzchnię Ziemi w okresie między 17 000 a 7000 lat temu.

Choć naukowcy są w zasadzie zgodni, że poziom morskich wód podniósł się o około 120 metrów w okresie 10 000 lat polodowcowego potopu, wielu nie

chce zaakceptować określenia „potopy”, a już z pewnością nie w wymiarze globalnym. Uśredniając wzrost poziomu wody w tym okresie (podobnie jak my to zrobiliśmy wcześniej), postrzegają proces jako powolny i stopniowy – 1 metr na stulecie – i z pewnością nie mający charakteru kataklizmu na światową skalę. Taki jest pogląd większości. Lecz od czasu, kiedy w latach 70. odkrycia Emilianiego zaczęły podważać tę powszechną opinię, podjęto liczne badania, by udowodnić, że topnienie lodowców mogło nieść niezwykle katastrofalne skutki.

Wysunięto sugestię, że w okresie długotrwałego topnienia – oprócz niezliczonych potopów na znacznie mniejszą skalę – miały miejsce trzy globalne superpotopy w następujących przedziałach czasu: 15 000–14 000, 12 000–11 000 i 8000–7000 lat temu. Szacunkowe wyliczenia różnią się o około tysiąc lat, w zależności od tego, jakiego naukowca prosiłem o konsultacje, lecz w zasadzie wśród badaczy panuje zgoda, że prawie połowa wody z roztopiających się lodowców ostatniej epoki lodowcowej spływała właśnie w tych stosunkowo krótkich przedziałach czasowych, powodując po długotrwałych okresach względnej stabilności znaczne szkody. Owe zbiegi okoliczności mogły prowadzić do zniszczenia jakiejś przedpotopowej cywilizacji³³.

Lodowe zapory profesora Emilianiego

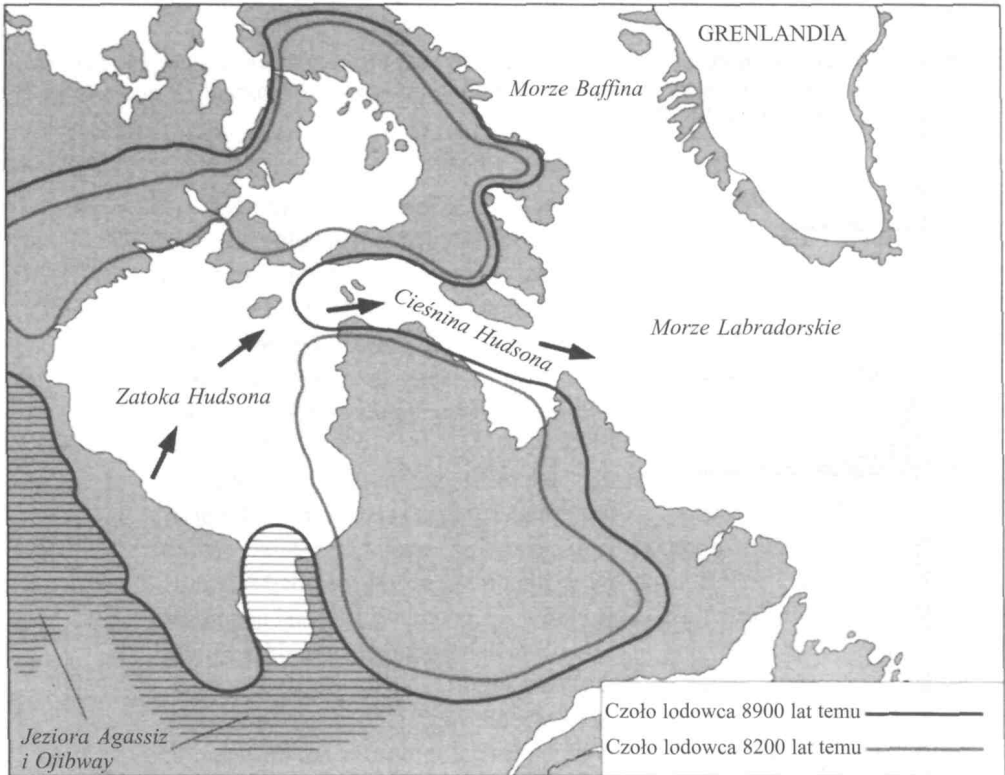
Cesare Emiliani stworzył podstawy naszego obecnego rozumienia procesu topnienia ostatniej epoki lodowcowej. Był też jednym z pierwszych naukowców, którzy opracowali szczegółowy mechanizm rządzący charakterystycznym „rytmem” owego liczącego 10 000 lat okresu: tysiącleci powolnego topnienia i stopniowego podnoszenia się poziomu mórz, przerywanych potężnymi potopami na światową skalę i gwałtowną niszczącą transgresją oceaniczną.

Podczas ostatniej epoki lodowcowej lód osiągnął największy zasięg 20 000 lat temu. Topnienie zaczęło się niemal natychmiast i przybrało gwałtowny charakter. Niekiedy masy wody gromadziły się za lodową zaporą. Gdy zapora się załamywała, następował potężny wypływ. Jeden z takich potopów miał miejsce w północno-zachodniej Ameryce 13 500 lat temu, gdy padła zapora lodowa zatrzymująca około 2000 kilometrów sześciennych wody z topiącego się lodowca (jeziro Missoula). Ogromne masy mulistej wody, pełnej gruzu skalnego, runęły przez ten rejon do rzeki Columbia, złażąc szerokie kanały... Poziom morza wzrósł gwałtownie, od –100 do –80 metrów [w porównaniu do poziomu dzisiejszego]. Już 12 000 lat temu ponad 50% lodowcowej wody powróciło do oceanów, których poziom wzrósł do –60 metrów. W tym czasie zdarzały się inne potężne potopy – od doliny rzeki Missisipi po Zatokę Meksykańską oraz w dół syberyjskich rzek do Oceanu Arktycznego. Potop przez Missisipi niósł z sobą otoczaki, które obecnie znajdujemy od górnego biegu Missisipi i Missouri po deltę tych rzek. Poziom morza wzrósł gwałtownie z –60 do –40 metrów³⁴.

Określenie, które przykuło moją uwagę, kiedy po raz pierwszy czytałem ten fragment, to „lodowe zapory”. Prawda, że średni wzrost poziomu mórz – w końcu epoki lodowcowej 120 metrów, na przestrzeni 10 000 lat – wynosi średnio niewiele ponad metr na stulecie. Tymczasem Emiliani twierdzi, iż ogromne masy wody po stopieniu lodu mogły przez całe tysiąclecia pozostawać za zaparami na kontynentalnych obszarach Europy i Ameryki Północnej – a potem nagle wpłynąć do oceanów.

Czapy lodowe, pokrywające te rejony, miały grubość 4 kilometrów i w obu wypadkach zajmowały obszar większy niż współczesna Antarktyda³⁵. Emiliani pisze:

Ucisk lodowca na powierzchnię ziemi spowodował powstanie depresji w kształcie nieck głębokich na 1 kilometr. Ciepło z wnętrza Ziemi kumulowało się pod czapami lodowymi, ich spodnia część zaczęła się topić i w ten sposób powstawały wielkie słodkowodne jeziora. Jeziora tego rodzaju w Ameryce Północnej i w zachodniej Syberii dwukrotnie przebiły się przez czoło lodowca,

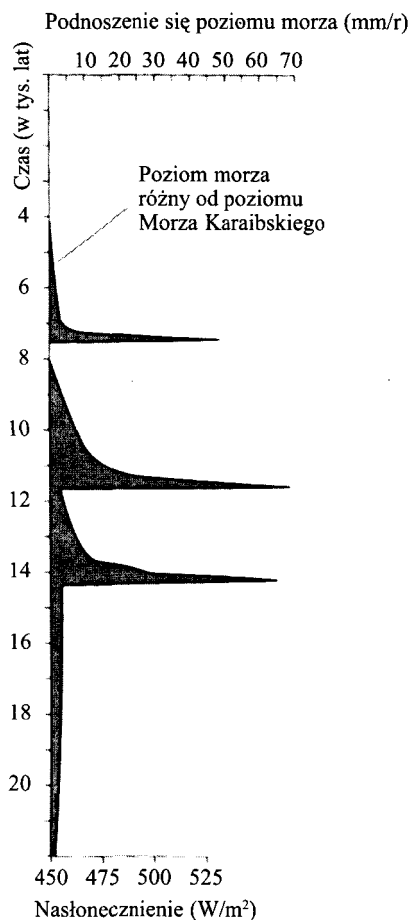


W okresie między 8900 a 8200 lat temu lodowiec Tarczy Laurentyńskiej rozpadł się w Zatoce Hudson, powodując katastroficzne wypłynięcie ogromnych lodowcowych jezior Agassiz i Ojibway do Morza Labradorskiego. Według Barbera i in. (1999)

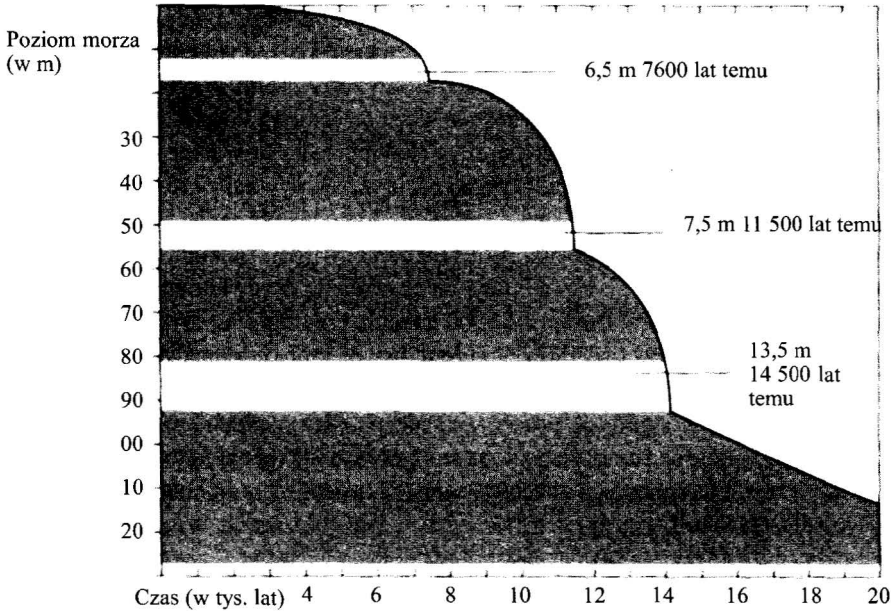
powodując potężne potopy. Poziom mórz wzrósł gwałtownie około 13 000 lat temu, potem znowu 11 000 lat temu, a następnie już znacznie wolniej, w miarę jak nadal topniały osady lodowcowe. Niektórzy uważają, że te prehistoryczne potopy są źródłem legend o potopie, pojawiających się w wielu cywilizacjach³⁶.

Nadzwyczajne odkrycia profesora Shawa

John Shaw, profesor nauki o ziemi na University of Alberta, należy do największych znawców ostatniej epoki lodowcowej i katastrofalnego topnienia lodowców. Autor licznych, dobrze ocenianych prac skupia się przede wszystkim na przyczynach superpotopów. Oto graficzny obraz jego wniosków:



Wykres tempa podnoszenia się poziomu morza w czasie od maksimum ostatniego zlodowacenia. Według Blanchona i Shawa (1994)



Wykres poziomu Morza Karaibskiego od maksimum ostatniego zlodowacenia, ukazujący trzy gwałtowne skoki około 14 000, 11 000 i 8000 lat temu. Według Blanchona i Shawa (1994)

Ogromna czapa lodowa, pokrywająca Kanadę, większość Skandynawii i spore terytoria północnej Rosji, nie składała się wyłącznie ze skał i lodu, lecz w późniejszym stadium na samym spodzie były skały, nad nimi jeziora podlodowcowe lub zbiorniki wodne, a najwyżej lód. Możliwe więc, że gdy nastąpiło ocieplenie, wierzchnia lodowa powłoka zaczęła się topić, a strefy ablacji i podlodowcowych wód stawały się coraz większe. Tymczasem czoła lodowca się zaciskały. Aż pewnego razu system się połączył. Jak w misce klozetowej: otwierasz zawór i woda spada w dół.

[Pewnego razu w Kanadzie] woda dosłownie zmiotła wszystko wokół, omijając tylko wschodnią część Cieśniny Hudsona, gdyż tam znajdowała się lodowa bariera. Popłynęła więc na południe poprzez Rzekę Św. Wawrzyńca i jeziora Erie, Huron, Michigan i Górne, a potem w dół przez Rzekę Czerwoną, południowe Winnipeg i jezioro Winnipeg, następnie przez część Saskatchewan do rzeki Milk, która jest kontynentalnym działem wodnym na południu Alberta. Wody rzeki Milk popłynęły na północ do Arktyki, na wschód do Zatoki Hudsona, na południe do Zatoki Meksykańskiej. Ogromne ilości wody dotarły do Oceanu Arktycznego na północy. W ten sposób do oceanów przedostały się nagle ogromne masy wody. Trwało to prawdopodobnie zaledwie kilka tygodni. Wielkość tego strumienia wody, w stosunku do strugi elementarnej w Albercie, musiała sięgać 10 000 000 metrów sześciennych na sekundę, co mogłoby spowodować odwodnienie jeziora Ontario w ciągu czterech dni. Poziom morza gwałtownie się podniósł, w niektórych

rejonach aż o 10 metrów. Działo się to 15 000 lat temu, kiedy wiele rejonów zamieszkiwali ludzie. Myślę, że takie zdarzenia musiały wywrzeć znaczący wpływ na tradycje i mitologię.

Tak więc wielka woda wydostała się spod lodu 15 000 lat temu. A potem, 11 000 lat temu, w południowej części lodowca pojawiło się wielkie jezioro Agassiz, zalewając dużą część Kanady. Wielkością dorównywało ogromnemu jezioru Bałtyk w Skandynawii. Ostatnie odkrycia dowodzą, że takie ogromne jeziora powstawały także w północnej Azji i na północy Rosji. Jeziora, blokowane dotąd przez lód, nagle się odwadniały, co prowadziło do gwałtownego podnoszenia się poziomu mórz. I wreszcie 8000 lat temu pozostało już tylko jedno jezioro towarzyszące lodowcowi Tarczy Laurentyńskiej, które nosi nazwę Ojibway, a leży na południe od Cieśniny Hudsona. To jezioro także gwałtownie się odwadniało.

Pierwotnie sądzono, że poziom mórz pod koniec epoki lodowcowej podnosił się równomiernie, lecz obecnie wiemy, iż proces ten mógł następować gwałtownie, etapami³⁷.

Potopy, wulkany, trzęsienia ziemi

„Gwałtowne etapy” profesora Shawa, najbardziej dramatyczne zdarzenia w historii ludzkości, niosły ze sobą kataklizmy na światową skalę. Tym, którzy przetrwali, koniec epoki lodowcowej mógł się wydawać końcem świata. Płyty kontynentalne jęły się wznosić, uwolnione od ciężaru lodowca, który musiały dźwigać przez 100 000 lat. Tym wszystkim zmianom towarzyszyły potężne trzęsienia ziemi i erupcje wulkanów. Ziemią jak potężnym dzwonem wstrząsały ogłuszające huki i drżenia. Powietrze zasnuwały ciężkie pyły wulkaniczne, padały czarne bitumiczne deszcze. Podnosił się poziom oceanów, nic nie było w stanie zatrzymać zalewu ich wód.

Jedną z geoklimatycznych zagadek ostatniej epoki lodowcowej jest gwałtowna aktywność wulkanów w okresie topnienia – od około 17 000 do 7000 lat temu. Autorzy opublikowanej w „Nature” w październiku 1997 roku pracy zwracają szczególną uwagę na dziwną na pierwszy rzut oka zbieżność między tempem wznoszenia się poziomu wód a wzmożoną erupcją wulkaniczną, odnotowaną przez geologów i paleoklimatologów w okresie między 17 000 a 6000 lat temu³⁸.

W rejonach, w których aktywność wulkaniczna zbiegała się ze zlodowaceniem, współzależność zdarzeń można tłumaczyć wpływem zmiennego nacisku lodu na skorupę ziemską. Tymczasem w niezlodowociałych rejonach wulkanicznych skutki zmian w objętości lodu są już znacznie bardziej problematyczne. Kilku autorów sugeruje, że wpływanie i wypływanie wód polodowcowych mogło oddziaływać na aktywność wulkanów w rejonach oddalonych od skupisk lodowców poprzez globalną redystrybucję wody, choć hipotezy tej nigdy nie udowodniono³⁹.

Autorzy publikacji w „Nature”, międzynarodowy zespół naukowców zbadał warstwy tefrytowe w próbkach pobranych z dna Morza Śródziemnego (tefryt to materia stała wyrzucana podczas erupcji wulkanu) i stwierdził, co następuje:

Częstotliwość zdarzeń produkujących tefryty i pośrednio doskonale widocznych erupcji wulkanów w strefie śródziemnomorskiej można wytłumaczyć gwałtownymi zmianami poziomu morza. Zwracaliśmy szczególną uwagę na fazę uspokojenia 22 000 lat temu – i odpowiadający mu stabilny, niski poziom wód – oraz na okres tworzenia się warstw tefrytu w okresie między 15 000 a 8000 lat temu, któremu towarzyszyło bardzo gwałtowne podniesienie się polodowcowego poziomu morza⁴⁰.

Autorzy artykułu uważają, że „istnienie jednego związku przyczynowego między tempem zmian poziomu morza a poziomem aktywności erupcyjnej jest mało prawdopodobne”, i wskazują, że „jedyna w swoim rodzaju reakcja pojedynczych wulkanów na zmiany poziomu morza wymaga drobiazgowych badań każdej odnotowanej erupcji”⁴¹. Badania te wykazały, że gwałtownych erupcji było niewiele w okresie między 22 000 a 15 000 lat temu, co zbiega się w czasie z ostatnim stabilnym niskim poziomem morza⁴².

Wydało mi się wielce intrygujące, że koniec liczącego 7000 lat okresu uspokojenia wulkanów 15 000 lat temu oraz początek gwałtownych erupcji pokrywają się z pierwszym z globalnych superpotopów Johna Shawa; podobnie koniec okresu wzmożonej aktywności wulkanicznej – około 8000 lat temu – następuje po trzecim i ostatnim superpotopie Shawa.

Autorzy artykułu opublikowanego w „Nature” opisują oddziaływanie na wielką skalę, na przykład poprzez:

(...) zmiany naprężenia na krawędzie kontynentów i łuki wysp. Może to pobudzać wypychanie do wulkanów świeżych porcji magmy, gdy wyższy poziom lokalnej sejsmiczności w związku z rozłożeniem obciążenia może odgrywać rolę w destabilizacji już obudzonych wulkanów.

Liczba wulkanów podatnych na takie oddziaływanie może być w skali światowej ogromna. Obecny przestrzenny rozkład wulkanów dowodzi, że 57% tworzy wyspy lub znajduje się na wybrzeżach, a 38% znajduje się w odległości 250 kilometrów od linii brzegowej. Przyjmując podobny rozkład około 1500 wulkanów aktywnych podczas ostatniej epoki lodowcowej, należy spodziewać się, że 1400 z nich poddanych było działaniu bezpośrednich skutków gwałtownego podnoszenia się poziomu morza (...). Ponadto gwałtowność zmian poziomu morza – a zatem ich potencjalnych możliwości wywołania reakcji w aktywnych strukturach wulkanicznych – dopiero teraz wydaje się oczywista⁴³.

Choć autorzy ostrzegają przed szukaniem tylko jednej przyczyny, dowody przedstawione we wspomnianej publikacji sugerują, iż izostatyczne procesy, które przywracały równowagę na Ziemi, zainicjowane przez nagłe topnienie mas lodu

i gwałtowny wzrost poziomu mórz pod koniec ostatniej epoki lodowcowej, są prawdopodobnie przyczyną uaktywnienia się wulkanów. Wynika stąd, że izostaticzne dopasowanie się nie zawsze przebiega w jednakowym, stałym tempie (inaczej wulkany również trwałyby w takim samym stanie), lecz niekiedy musi być wywołane potężnymi, nagłymi przesunięciami, przenoszącymi przez ziemską skorupę fale wstrząsowe na tyle silne, by spowodować erupcję wulkanów na całym globie.

Przesunięcia o takiej prędkości i sile musiały spowodować to, co Kudriawcew nazywa hipotetycznym, przebiegającym „z dnia na dzień” zapadnięciem się Szelfu Celtyckiego w czołowym wybrzuszeniu lodowca Tarczy Bałtyckiej 11 600 lat temu. Co więcej, naukowcy znaleźli dowody, że topnienie tej samej płyty lodowcowej rozpętało potworne siły podczas innych okresów gwałtownych potopów na światową skalę. Na przykład w trakcie trzeciego wielkiego potopu Shawa – 8000 lat temu – naprężenia i trzęsienia ziemi były tak potężne, że w gruncie uformowały się rozległe fale. Jedna z nich, w północnej Szwecji, ma 150 kilometrów długości i 10 metrów wysokości, a nazwano ją „skalnym tsunami”⁴⁴, które mogło wywołać jedynie „trzęsienie ziemi o niewiarygodnej sile”⁴⁵.

Piekło na Ziemi

Wijąca się przez ponurą okolicę w północnej Szwecji Parvie „fala w ziemi” (jak ją nazywają miejscowi) to zjawisko niezwykle i niepokojące. Przypomina wysoką na trzy piętra falę tsunami, tyle że wykutą w twardej skale, zastygłą po wsze czasy na podobieństwo prawdziwej fali, która z rykiem spada na brzeg. Lecz najbardziej zdumiewającą i niepokojącą jej cechą jest to, iż północne rejony Szwecji wykazują bardzo małą aktywność sejsmiczną, jako że leżą na „stabilnym rejonie kontynentalnym” płyty tektonicznej⁴⁶. Nie ma żadnego powodu, aby w takim miejscu kiedykolwiek wystąpiło trzęsienie ziemi. A mimo to dowody jednoznacznie wskazują, że katastrofalne trzęsienie ziemi – w gruncie rzeczy „największe, jakie znamy w stabilnych rejonach kontynentalnych”⁴⁷ – miało właśnie miejsce w Parvie.

Badania prowadzone przez 20 ostatnich lat dowodzą, że falę uformowały zaburzenia uskoku towarzyszące trzęsieniu ziemi w późnym lodowcowym i wczesnym polodowcowym okresie wielkiego lodowca Tarczy Bałtyckiej (w przybliżeniu 8000–8500 lat temu), co wskazuje na bliski związek między oboma zjawiskami⁴⁸.

Dokładną charakterystykę tego związku i prawdziwy rozmiar „polodowcowych uskoków”, takich jak Parvie, badał Ronald Arvidsson z wydziału sejsmologii uniwersytetu w Uppsali. Dowiódł on, że takie uskoki – które licznie występują w północnej Szwecji – często wbijały się na głębokość 40 kilometrów w głąb

ziemi. Każdy był skutkiem różnych potężnych trzęsień ziemi, a wszystkie miały miejsce w tym samym tysiącleciu – między 9000 a 8000 lat temu⁴⁹.

Obliczenia Arvidssona, których nikt nie kwestionuje, dowodzą, że wstrząs w Parvie osiągnął 8,2° w skali Richtera⁵⁰. Inny naukowiec, Arch C. Johnston z centrum badań trzęsień ziemi na University of Memphis, wskazuje, że wstrząsy o takiej sile mogą się dziś zdarzać tylko przy brzegach płyt tektonicznych. Siła, która uformowała ziemną fałę Parwie, musiała być ogromna.

Skandynawskie uskoki polodowcowe stanowią widoczny skutek gwałtownego odciążania gruntu wskutek topnienia lodowców ostatniej epoki lodowcowej. Parwie i inne tego typu zjawiska są przykładem uskoków wzbudzonych trzęsieniami ziemi, a zdarzenia takie nie mogłyby mieć miejsca bez oddziaływania okoliczności zewnętrznych⁵¹.

Choć „sejsmiczność wzbudzona” jest znana także dziś, polodowcowe trzęsienia ziemi z pewnością pozostają najpotężniejszym zjawiskiem w tej kategorii. Kopalnie odkrywkowe także mogą wywoływać trzęsienia ziemi od 2° do 4° w skali Richtera⁵²; prace górnicze głęboko pod ziemią i wiercenie studni głębokich wzbudzają wstrząsy o sile 5–6°; ogromne zbiorniki wodne czasem wywołują wstrząs około 6°. Z wyjątkiem uskoków polodowcowych nie zdarzają się wzbudzone trzęsienia ziemi powyżej 7°. Siła wstrząsu jest proporcjonalna do stopnia zmian w naprężeniu skorupy ziemskiej: wielkie lodowce mogą spowodować ogromne trzęsienia ziemi⁵³.

W skali Richtera wraz z każdą jednostką siła wstrząsu zwiększa się dziesięciokrotnie⁵⁴. Tak więc trzęsienie o sile 2° jest dziesięciokrotnie większe od tego o sile 1°, trzęsienie o sile 3° dziesięć razy przewyższa trzęsienie ocenione na 2° i tak dalej. Trzęsienie ziemi, które nawiedziło Kobe w Japonii 17 stycznia 1995 roku, zabijając w ciągu 20 sekund ponad 5000 ludzi, miało siłę 7,2⁵⁵. Jeśli wstrząsy w Parwie osiągnęły 8,2°, to były dziesięciokrotnie potężniejsze niż te w Kobe. Największe trzęsienia ziemi odnotowane według tej skali – zjawiska rzadkie, zachodzące w strefie subdukcji pod oceanami lub między kontynentalnymi płytami – nie przekroczyły wartości 9⁵⁶.

Z badań Arvidssona i Johnstona wynika zatem jasno, że odskok skorupy ziemskiej i jej ponowne izostatyczne wyważanie zachodziły czasem bardzo gwałtownie, w miarę jak topniejące czapy lodowe powodowały kaskadowe potopy, tak silne, że wywoływały straszliwe trzęsienia ziemi i nagłe masywne uskoki (sięgające niewiarygodnie głęboko, bo aż 40 kilometrów w głąb ziemi, i charakteryzujące się bocznym promieniowaniem na odległość 160 kilometrów)⁵⁷. Publikując swoje odkrycia w „Science”, Arvidsson konkluduje:

Uważam trzęsienia ziemi za oznakę postępującego, nagłego wzniesienia się ładu w kierunku od centrum polodowcowego odskoku do zewnętrznych krawędzi lodowca. Ponad 9000 lat temu wskutek wgniecenia litosfery przez lodowiec

zapanowała niemal idealna równowaga izostatyczna. Po gwałtownym cofnięciu się lodowca nieizostacyjne warunki wywołały kompresyjne naprężenia w skorupie ziemskiej, które z kolei powodowały trzęsienia ziemi⁵⁸.

Ponieważ Parvie jest tylko jednym z wielu olbrzymich polodowcowych uskoków, spowodowanych zapadnięciem się lodowca Tarczy Bałtyckiej, moim zdaniem przedstawiony przez Arvidssona scenariusz doskonale opisuje trwający 1000 lat okres istnego piekła, które osiągnęło apogeum 8000 lat temu. Przed oczami stają nam sceny nieprawdopodobnych geologicznych kataklizmów, które nawiedziły północną Europę, nieustannie wstrząsając skorupą Tarczy Bałtyckiej. Ziemia wciąż wznosiła się i opadała, pękała i zasklepiąta, czasem wydawało się, że zostanie rozerwana na części... Kiedy to wszystko się działo, lodowiec Tarczy Bałtyckiej wciąż topniał, był bliski całkowitego załamania się, a ogromne połacie topniejącego lodu wielkości wyspy wpadały do morza, wywołując olbrzymie, niosące zniszczenie fale. Czapa lodowa w Ameryce Północnej zachowywała się podobnie...

Ale nie zapominajmy, że do tego czasu (czyli przed około 8000 p.n.e.) Ziemia przeżyła już skutki trwającej 7000 lat intensywnej aktywności wulkanicznej, 7000 lat podnoszenia się poziomu morza i nagłych, nieprzewidywalnych potopów, 7000 lat znikania pod wodą szelfów kontynentalnych, grobli i wysp oraz 7000 lat wielkich zaburzeń klimatycznych. Badania paleoklimatyczne potwierdzają, jak wyglądała nasza planeta między 15 000 a 8000 lat temu: zimne oceany, gwałtowne wiatry, atmosfera pełna pyłów⁵⁹ i nieprzewidywalne skoki temperatury⁶⁰.

Jako przykład tego ostatniego zjawiska Romuald Schild z Polskiej Akademii Nauk podaje gwałtowne ocieplenie klimatu, jakie miało miejsce w rejonie północnego Atlantyku około 12 000 lat temu. Uległo ono zatrzymaniu, po czym 10 800 lat temu nastąpił nagle proces odwrotny, kiedy to przez 800 lat panowały temperatury lodowcowe. Później, około 10 000 lat temu, znowu nadeszło gwałtowne ocieplenie⁶¹. Robert Schoch pisze, że pierwsze ocieplenie – „o 27° Fahrenheita (15°C), czyli bardzo duże” – można datować na 11 700 lat temu:

Co ważne, badania rdzenia lodowca dowodzą, że ocieplenie tej wartości o połowę – około 14° Fahrenheita (8°C) – nastąpiło w okresie krótszym niż 15 lat, około 9645 roku p.n.e. Jest to bardzo wyraźny wzrost: przyrost temperatury większy i szybszy, niż najbardziej katastroficzne przewidywania związane z globalnym ociepleniem w XX wieku⁶².

Prawie dokładnie wtedy według Platona zatonięła Atlantyda – 11 600 lat temu. Pamiętamy, co pisał: „Później przyszły straszne trzęsienia ziemi i potopy, i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna – wtedy całe wasze wojsko zapadło się pod ziemię, a wyspa Atlantyda tak samo zanurzyła się pod powierzchnię morza i zniknęła”⁶³.

„Pamiętacie tylko jeden potop...”

Nie mam zamiaru „tropić” Atlantydy czy choćby snuć domysłów, gdzie może się znajdować (o ile w ogóle istniała). Wolę potraktować tę opowieść jak jeszcze jedną relację o potopie, niezależnie od tego, czy katastrofę zalicza się do mitów, czy też uznaje się ją za historyczny fakt. Dla mnie relacja jest istotna o tyle, o ile może być prawdopodobna, a zadanie ułatwia mi niezwykle szczegółowy przekaz. Otóż po lekturze opowieści stwierdzam następujące fakty:

1. Wszechogarniający potop miał miejsce około 11 600 lat temu. Ta data zbiega się z drugim superpotopem Johna Shawa i danymi, jakie Cesare Emiliani uzyskał dla Zatoki Meksykańskiej.
2. Potopowi towarzyszyły niezwykle silne trzęsienia ziemi. Wydaje się to prawdopodobne, ponieważ ustalono naukowo, że istnieje bliska współzależność między potężnymi trzęsieniami ziemi, wzmożoną aktywnością wulkanów, gwałtownym topnieniem lodowców i szybko potem następującymi polodowcowymi wylewami.
3. Wyspa Atlantyda została pochłonięta przez morze i zniknęła z dnia na dzień. Wiemy już, że proces ponownego wyważania izostatycznego pod koniec ostatniej epoki lodowcowej często następował gwałtownie, przybierając formy kataklizmu. Jest zatem teoretycznie możliwe, że intensywne osiadanie izostatyczne w pewnych rejonach skorupy ziemskiej mogło wywołać zjawiska, o jakich pisze Platon.

Jeszcze jeden element tej historii znajduje naukowe potwierdzenie – mianowicie fakt, że potop, który unicestwił Atlantyde 11 600 lat temu, był tylko jednym z wielu potopów...

Pamiętajmy, że tradycyjne przekazy o Atlantydzie pochodzą od egipskiego kapłana, który opowiedział o nich Solonowi, przodkowi Platona. Oto jak wielki filozof przedstawia tę rozmowę w *Timaiosie*:

Kapłan egipski: Oj, Solonie, Solonie! Wy, Hellenowie, zawsze jesteście dziećmi. Nie ma starca między Hellenami.

Solon: Jak to? Co to ty mówisz?

Kapłan egipski: Młode dusze macie wszyscy. Nie macie w nich żadnego dawnego mniemania, opartego na starych podaniach, ani żadnej wiedzy okrytej siwizną wieków. A przyczyna tego taka. Wiele razy i w różnym sposobie przychodziła zguba rodzaju ludzkiego i będzie przychodziła nieraz. Od ognia i od wody największej. (...) A to, co się u was i u innych ludów dzieje, zaledwie się utrwalić zdoła w napisach i w tym wszystkim, czego państwa potrzebują, kiedy oto znowu w swoim czasie, jakby choroba powrotna, przychodzą na nich strumienie wody z nieba i zostawiają spośród was tych, co pisma i służby u Muz nie znają. Tak że na nowo od początku rodzicie się niejako, jakby młodzi. Nie wiecie nic, ani co tu było, ani co u was było w czasach zamierzchłych. (...) Wy naprzód pamiętacie tylko jeden potop, a przed tym było ich wiele⁶⁴.

Słowa kapłana potwierdzają hipotezę o trzech potężnych potopach na globalną skalę i o licznych mniejszych potopach, które miały miejsce w przybliżeniu 15 000, 11 000 i 8000 lat temu. Co więcej, umiejscowienie zatopienia Atlantydy w jakimkolwiek momencie tego okresu (jedynego w ciągu 125 000 lat, w którym zdarzały się potopy tego rodzaju) jest samo w sobie nie byle jakim osiągnięciem.

Ostry facet z Yorkshire

Wiemy już, że Cesare Emiliani jako pierwszy zwrócił szczególną uwagę na zjawisko polodowcowych potopów. W pracy opublikowanej w 1975 roku w „Science” on i grupa jego współpracowników opisali zaskakujące próbki głębokiego dna morskiego z północno-wschodniej części Zatoki Meksykańskiej. Stwierdzono w nich „2,4% anomalii izotopowej z okresu między 12 000 a 11 000 lat temu”, które autorzy publikacji słusznie uznali za skutek „wlewania się do tej zatoki ogromnych mas wody powstałej z topnienia lodu, co miało miejsce w czasie między 11 600 lat temu a chwilą obecną”⁶⁵.

W owym czasie hipotezy Emilianiego nie zostały dobrze przyjęte w świecie nauki. Isaac Asimov tak to potem komentował: „Sugestie te zignorowano głównie dlatego, że trudno było sobie wyobrazić, iż lód mógł topić się tak szybko; lecz w 1989 roku John Shaw przedstawił hipotezę dotyczącą mechanizmu potopów”⁶⁶. Myślałem, że już dokładnie rozumiem katastroficzny scenariusz profesora Shawa, opisujący trzy wielkie potopy spowodowane gwałtownym uwolnieniem do oceanów wód uwięzionych za lodowymi zaporami. Kiedy jednak bliżej przyjrzałem się jego odkryciom i uważniej przeczytałem tekst wywiadu, którego udzielił nam w lutym 1999 roku, uświadomiłem sobie, że sprawa jest znacznie bardziej zawiła, a katastrofy mogły być znacznie poważniejsze, niż wcześniej mi się wydawało. Chodzi bowiem nie tylko o gwałtowne podnoszenie się poziomu mórz i oceanów zalewających niżej położone tereny przybrzeżne – choć było ich ogromnie dużo! – lecz także o prawdziwą naturę i zakres spływu potopów na lądy, następującego w miarę jak czapy lodowcowe topniały, a glacialne jeziora przerywały zagradzające im drogę lodowe bariery.

Nim Shaw zainteresował się tym problemem, najpierw badał drumliny.

Drumliny: Jedna z form rzeźby polodowcowej. Niewysoki pagórek o owalnym zarysie poziomym, przeciętnej długości 0,5–2 kilometrów, szeroki na kilkadziesiąt metrów, osiągający wysokość od 6 do 60 metrów. Drumliny występują z reguły w dużych zespołach, ich osie podłużne ułożone są równolegle do kierunku przesuwania się lodowca. Powstały prawdopodobnie z materiałów moreny dennej, ukształtowanych przez przesuwający się po nich lodowiec. Zespoły drumlinów składają się niekiedy z 10 000 obiektów; jedno z największych takich skupisk na świecie znajduje się na północno-zachodnich równinach Kanady⁶⁷.

Pracując na University of Alberta, profesor Shaw nie musiał jechać daleko, by obejrzeć kanadyjskie drumliny, nie dziwi więc, że jako geolog chciał je do-

kładniej zbadać. Ale reakcje, jakie jego wnioski wzbudziły wśród innych geologów, już trudniej zrozumieć:

Kiedy występowałem na konferencjach, ludzie na mnie krzyczeli i byli wściekli. Podważali moje hipotezy, bo nie życzyli sobie o nich słyszeć. Ale jestem ostrym facetem z Yorkshire i zdecydowałem się podjąć walkę⁶⁸.

Na niedawno odbywającej się konferencji w Szwecji pewien geolog, specjalizujący się w czwartorzędzie, powiedział Shawowi: „Proszę nie przedstawiać tu swoich pomysłów”.

Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się, a nazajutrz przyniosłem swój referat. Odrzucono go i nie dopuszczono, by trafił do uczestników, przedstawiłem go więc w Internecie. Gdybym był młodym asystentem, nikt nie chciałby mnie zatrudniać, nie mógłbym również publikować, a ludzie powiedzieliby, że moje hipotezy są zwariowane⁶⁹.

Spyta ktoś, o co tyle zamieszania. Trudno uwierzyć, że geolodzy tak jednomyślnie potępili szacownego, powszechnie uznawanego naukowca tylko za to, że wyraża oryginalne naukowe opinie na temat owalnych, laminarnych wzgórz. A kogo to obchodzi?

Ale Shaw powiada, że powinno nas to obchodzić, ponieważ drumliny i inne „pagórki” rozrzucone po Kanadzie są dowodem na to, iż ląd zalewały przysłowiowe biblijne potopy, fale wysokie nierzadko na kilkaset metrów, wydobywające się spod lodowych czap w okresie ostatniej deglacjacji, niszczące i rozgniatające wszystko, co znalazło się na ich drodze. Shaw niedwuznacznie daje do zrozumienia, że wiele znanych na całym świecie mitów o potopie można wytłumaczyć właśnie takim zalewem wód, mającym bezpośredni związek z gwałtownym, nieoczekiwanym podniesieniem się poziomu morza w okresie między 15 000 a 8000 lat temu⁷⁰.

Powolny i łagodny czy szybki i gwałtowny?

Choć geolodzy nie potrafią podać prostego mechanizmu tworzenia się drumlinów, większość uważa, że są one tworem stosunkowo powolnego, zachodzącego pod lodami procesu: ogromna masa gliny morenowej zalega na znajdującej się pod lodowcem skale, wskutek czego przybiera formę typowych „opływowych” pagórków – pod wpływem samego lodowca⁷¹. Ten gradualizm dominuje w naukach o ziemi i archeologii od końca XIX wieku, tworząc wyjątkowo niekorzystną atmosferę dla twórców hipotez alternatywnych, zakładających nagłe zmiany czy udział czynników katastroficznych. Ponieważ w teorii Shawa w grę wchodzi oba elementy, z góry było wiadomo, że spotka się ona z silnym sprzeciwem. Mimo to trwał przy swoim, głosząc swoje poglądy w latach 80., stopniowo zyskując

wsparcie dzięki coraz to nowym odkryciom, między innymi w dziedzinach „subglacialnych form lądowych, izotopowej charakterystyki powierzchni Zatoki Meksykańskiej i sedymentologii jądra Ziemi na dnie zatoki”⁷².

Nie uważam za stosowne przeprowadzać tu szczegółowej analizy dokumentacji i argumentacji, postaram się przedstawić rzecz w znacznym uproszczeniu. Myślę, że sam Shaw nie uznawał swej teorii za ostateczne i uniwersalne wyjaśnienie tworzenia się drumlinów, lecz uważał, iż powstawały one w odmienny sposób pod wpływem różnych katastrofalnych potopów, a nie – jak się tradycyjnie przyjęło – w wyniku działania lodowca. I tak na przykład, „przeanalizowawszy formy i struktury”, pisał o drumlinach w okolicy jeziora Livingston w północnej części Saskatchewan, że są „wypełnieniem odwrotnej strony śladów erozji w zżuczonych pokładach lodowców, naniesionym przez podlodowcowe wody”⁷³. Innymi słowy należy zarzucić dawne koncepcje o „zaleganiu” i „kształtowaniu”, powtarzane przez całe pokolenia geologów. Zamiast tego rozważmy taką możliwość: koniec epoki lodowcowej był procesem gwałtownym – co jest prawdą w odniesieniu do wszystkich aspektów, które dają się zmierzyć – i że rozległe drumliny w rejonie jeziora Livingston powstały w wyniku katastrofalnego zalania tych rejonów wodą z topniejącego lodowca.

Shaw uważa, że „subglacialne formy lądowe” – czyli w tym wypadku drumliny – stanowią najlepszy dowód słuszności jego hipotezy.

Kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy (zresztą od tego wszystko się zaczęło), pomyślałem, że wyglądają, jakby były skutkiem erozji na morskim dnie, tylko że te ostatnie są negatywem, a drumliny – pozytywem. Jak to możliwe? Wtedy przyszło mi do głowy, że to efekt erozji lodu i wypełniania się jam osadami. Zaczęliśmy więc kopać dziury i stwierdziliśmy, że osady pasują do materiału wypełniającego spod spodu i pojawiły się tam w związku z jakimś kataklizmem⁷⁴.

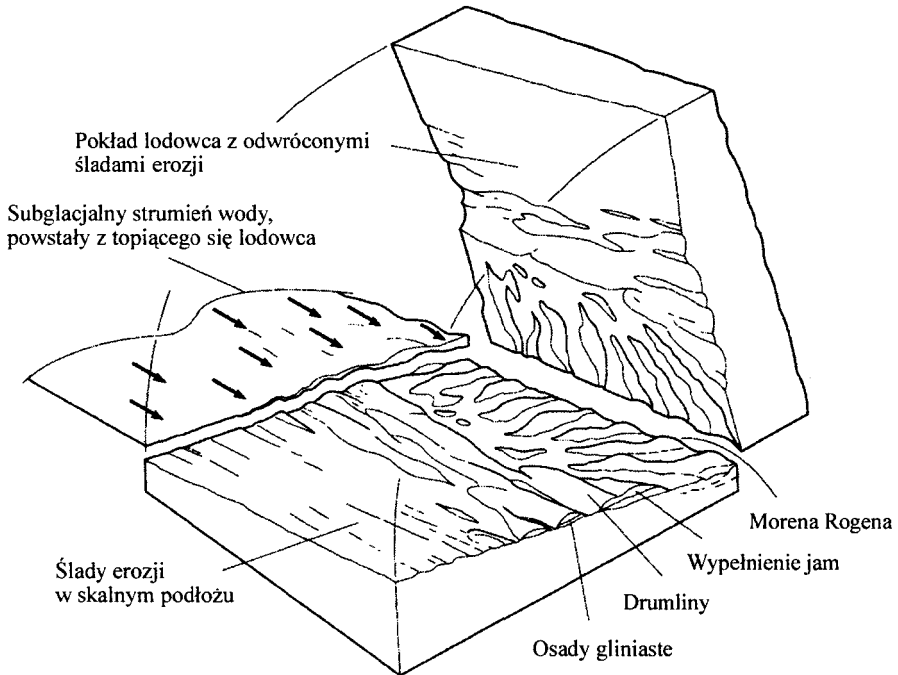
Krótko mówiąc, Shaw dowodzi, że w pewnych fazach zapadania się lodowca Tarczy Laurentyńskiej, w okresie między 15 000 a 8000 lat temu, część wolno przesuwającej się masy lodowca (grubej na 3 kilometry i ważącej tyle co łańcuch górski) musiała osiąść nie na skale, lecz na warstwie wody płynącej z dużą szybkością i pod niewyobrażalnym ciśnieniem. Ten „burzliwy strumień” niósł ogromne ilości osadów – od miążkiej gliny po wielkie głazy narzutowe i skały – i z łatwością można dostrzec, jak powstałe wskutek erozji wgłębienia w masie lodowca (spoczywającego na pędzącej wodzie) wypełniały się osadami ubijanymi przez ciśnienie spod spodu. Wskutek tego, podobnie jak każdy obiekt odlany w formie przyjmuje charakterystyczny jej kształt (w tym wypadku erozja tworzyła rozmaite obiekty – opływowe, eliptyczne i w postaci wzgórz), zachowały się one wewnątrz lodowca i były przez niego niesione dalej, aż po całkowitym roztopieniu się osiadły w jakimś miejscu⁷⁵.

Shaw uważa, że inne kanadyjskie drumliny powstały wskutek rozmaitych procesów – ale zawsze pod wpływem wody z topiącego się lodowca, a nie z przyczyny działania samego lodowca, tym razem jednak jako skutek bezpośredniej erozji podłoża skalnego lub osadowych tworów lądowych.

Drumliny wokół Peterborough i Trenton w prowincji Ontario powstały głównie wskutek erozji, a ich wewnętrzna stratygrafia jest relatywnie niezakłócona. Irlandzkie drumliny zawierają złożone sekwencje glacygeniczne. Formy tych drumlinów są prawie wyłącznie skutkiem erozji⁷⁶.

Powracając do swojej koncepcji potężnych strumieni wody płynących pod ogromnym ciśnieniem pod warstwą lodu, Shaw zwraca uwagę na drumliny w okolicy jeziora Beverley w kanadyjskim Terytorium Północno-Zachodnim, które jego zdaniem zostały wyżłobione właśnie przez te wody, oraz na ślady erozji (również spowodowanej przez silny strumień wody) w skalnym podłożu niedaleko Kingston w Ontario.

Biorąc pod uwagę głębokość strumienia, nie ma wątpliwości, że drumliny [w rejonie jeziora Beverley] musiały uformować się pod kształtującym działaniem wody, której minimalna głębokość wynosiła 20 metrów. Ślady erozji w podłożu skalnym w okolicy Kingston w Ontario wskazują na działanie subglacialnego strumienia wody polodowcowej, który miał ponad 60 kilometrów szerokości. Spektakularne ślady erozji wzdłuż północnego wybrzeża Zatoki Georgian w Ontario także wskazują na istnienie w przeszłości szerokich strumieni wody subglacialnej.



Różne formy tworzone przez subglacialne strumienie wodne na różnej głębokości.
Według Shawa (1998)

Kiedy się leci helikopterem wzdłuż północnego wybrzeża Zatoki Georgian, można zauważyć pole zerodowanego podłoża skalnego o szerokości co najmniej 50 kilometrów. Drumliny i ślady erozji wskazują na zalew wód z topiącego się lodowca, które były zdolne unieść największe głazy narzutowe. Szerokość strumienia, pokrywająca się z szerokością pasa drumlinów i zerodowanego podłoża skalnego, wynosiła od 60 do 150 kilometrów⁷⁷.

Shaw mówi więc o wzburzonych, pędzących z wielką szybkością i pod wysokim ciśnieniem, pełnych wirów strumieniach o głębokości 20 metrów – pod główną masą lodowca. Ich szerokość dochodziła do 160 kilometrów. Jedynie wody rzek o takiej wielkości i gwałtowności mogły wyrzeźbić skupiska drumlinów i nierówności terenu oraz ogromne zagłębienia na terenie Kanady i Stanów Zjednoczonych, tworząc inne niepowtarzalne zjawiska, w tym jeziora rynnowe na południe od drumlinów, na północy stanu Nowy Jork⁷⁸. Shaw pisze:

Objętość wody, która zasilala takie wylewy, musiała liczyć milion kilometrów sześciennych, co spowodowało podniesienie się poziomu morza o kilka metrów w ciągu paru tygodni⁷⁹.

Zatopione koralowce i pływający lód

Kiedy woda płynie pod lodem, naruszając jego podstawę spoczywającą na podłożu skalnym, on sam zaczyna płynąć, tworząc gwałtowną falę:

Subglacjalny nurt, o głębokości kilkudziesięciu metrów, płynął pod ogromnymi przestrzeniami pokrywy lodowca Tarczy Laurentyńskiej. Fakt oddzielania się lodowców od podłoża w wyniku wzrastającego ciśnienia wody coraz częściej służy jako wyjaśnienie szybkości ich ześlizgiwania się. Skala tego zjawiska była znacznie większa niż w przypadku współczesnych lodowców. Ale skutek powinien być podobny. Krótko mówiąc – powstawała potężna fala⁸⁰.

Istnieje wiele niepodważalnych dowodów na to, że w końcu ostatniej epoki lodowcowej pojawiły się takie „lodowe fale”. Ich występowanie zbiegło się z zalewem wód po roztopionych lodach i podniesieniem się poziomu morza, czego świadectwem jest „zatopiona” rafa *Acropora palmata* w pobliżu wyspy Barbados w rejonie karaibsko-atlantyckim. *Acropora* służy jako „narzędzie” do skutecznego pomiaru podwyższania się poziomu morza, ponieważ ten lubiący światło koralowiec zamiera na głębokości większej niż 10 metrów. Pod koniec epoki lodowcowej rafy u wybrzeży Barbadosu były zatapiane trzykrotnie: około 14 000, 11 000 i 8000 lat temu⁸¹. Odbywało się to za każdym razem tak gwałtownie, że rafa tworzy obecnie trzy wyraźnie zaznaczone stopnie – zjawisko wywołane przez trzy następujące po sobie potopy (gdyby zmiany poziomu morza zachodziły powoli, koralowce narastałyby równomiernie w kierunku płytszej wody). Shaw i jego

kolega Paul Blanchon z University of Alberta napisali w czasopiśmie naukowym „Geology” w 1995 roku, że dane zebrane z rafy potwierdzają:

(...) trzy katastrofalne, liczone w metrach wzrosty poziomu morza podczas deglacjacji. Odnosząc datowanie radiowęglowe do chronologii zdarzeń stwierdziliśmy, że czas tego katastrofalnego wzrostu poziomu wody zbiega się z zapadaniem się lodowych płyt, reorganizacją atmosfery oceanicznej i uwalnianiem się na szeroką skalę wód z topiących się lodowców⁸².

Istnieją również dowody, że istniało sprzężenie zwrotne między relatywnie niewielkim eustatycznym podniesieniem się poziomu morza wskutek samego tylko topnienia lodowców a znacznie potężniejszymi i gwałtowniejszymi zdarzeniami wywołanymi przez destabilizację całych lodowców pokrywających szelfy kontynentalne⁸³. W artykule opublikowanym w „Nature” geolodzy D.R. Lindstrom i D.R. Macayeal poszli tak daleko, że załamywanie się pokryw lodowcowych uznali za „czynnik sterujący wytwarzaniem wód lodowcowych”⁸⁴. Stawiają śmiałą hipotezę:

Gwałtowne i znaczące zmiany poziomu mórz wskutek ześlizgiwania się lodowców płyt, wcześniej mocno związanych z podłożem, mogły towarzyszyć wlewaniu się wód z roztopionego lodu, a owe „skoki” poziomu mórz mogły nie pozostawić śladu w postaci przyrostu rafy. Tak więc poziom morza mógł rosnąć szybciej i wyżej, niż wskazywałby przyrost rafy u wybrzeży Barbadosu⁸⁵.

Innymi słowy – potop, już i tak wyjątkowo gwałtowny, co wynika ze struktury rafy (a trzeba pamiętać, że każde „zatopienie” musiało być skutkiem raptownego wzrostu poziomu morza o 5 metrów, gdyż dopiero wtedy widać jego skutki⁸⁶), mógł być chwilami znacznie potężniejszy, niż wskazują badania rafy. Shaw i Blanchon sugerują, że globalny eustatyczny wzrost poziomu morza o 10–40 centymetrów w okresie kilku tygodni „wystarczyłby do uwolnienia osadzonego na lądzie lodowca i pobudzenia obsuwania się kolejnych lodowców, co dodatkowo podniosło poziom morza o 5 do 10 metrów lub nawet więcej”⁸⁷.

Flotyle gór lodowych

Nagłe podniesienie się poziomu mórz spowodowało raptowne kurczenie się przybrzeżnych rejonów lodowców, a skutkiem tego z kolei było również gwałtowne odrywanie się całych flotylli gór lodowych. W 1988 roku niemiecki oceanograf Hartmut Heinrich jako pierwszy dostarczył geologicznych świadectw owej katastrofalnej fali „narodzin” gór lodowych podczas ostatniej epoki lodowcowej. Dokonawszy głębokich odwiertów w różnych rejonach dna północnego Atlantyku, wykazał w pobranych próbkach obecność rozproszonych warstw detrytu

naniesionych przez lód – miliony ton skał i kamiennego rumoszu, które niegdyś znajdowały się na lądzie i zostały od niego oderwane przez lodowcowe płyty, a potem, zamrożone, przewędrowały na otwarte morze właśnie w górach lodowych.

W miarę jak się topiły, gruz skalny opadał na dno oceanu w postaci miąższości piasku. Osady w większości składają się z wapienia, który występuje dziś na rozległych obszarach wschodniej Kanady. Warstwy Heinricha, jak je odtąd nazywano, zalegały na przestrzeni 3000 kilometrów w dnie północnego Atlantyku, dochodząc prawie do Irlandii⁸⁸.

Warstwy Heinricha wskazują na co najmniej sześć oddzielnych „zrzutów ładunków” z ogromnych flotylli gór lodowych⁸⁹ do północnego Atlantyku. Zrzuty te nazywają się obecnie „zdarzeniami Heinricha”, a zachodziły gwałtownymi falami aktywności, które w każdym przypadku trwały krócej niż jedno stulecie⁹⁰. Ponieważ warstwy te stają się coraz grubsze im dalej na zachód, a największą szerokość osiągają w kierunku Morza Labradorskiego oraz Zatoki Hudsona, dla geologów jest oczywiste, że „większość pływających gór pochodziła z lodowca Tarczy Laurentyńskiej”⁹¹.

Ale w niektórych próbkach Heinricha znaleziono także inne osady, „które mogły pochodzić jedynie z oddzielnych lodowców, pokrywających nie tylko Kanadę, lecz także Grenlandię, Islandię, Wyspy Brytyjskie i Skandynawię”⁹². Badania na południowej półkuli, w Andach i na Nowej Zelandii także dowodzą, że „czapy lodowe rozrastały się tam i zapadały mniej więcej w tym samym czasie, co te z północnego Atlantyku”⁹³. Profesor R.C.L. Wilson z British Open University uważa, „iż musiały tu zadziałać zmiany klimatyczne na globalną skalę, nie tylko lokalne”⁹⁴.

Wiemy już, że pokrywy lodowców z epoki ostatniego zlodowacenia zachowywały się podobnie. Przyjrzyjmy się więc dokładniej jednej z nich. Jej tragedia stanowi koniec epoki lodowcowej w miniaturze.

Lodowiec Tarczy Laurentyńskiej

Thomas Crowley i Gerald North, oceanografowie z Texas A & M University, określają topnienie ogromnych pokryw lodowych w końcu ostatniej epoki lodowcowej jako „jeden z ekstremalnych przykładów niezwykle szybkich zmian klimatu zanotowanych w kronikach geologicznych”⁹⁵. Jak już wiemy, większość tych zmian zachodziła w okresie 7000 lat między 15 000 a 8000 lat temu. Podobnie jak inne płyty lodowe, lodowiec Tarczy Laurentyńskiej zaczął topnieć nie wcześniej niż 15 000 lat temu, i jak one przeszedł trzy początkowe okresy topnienia, odpowiadające trzem globalnym superpotopom profesora Shawa (w przybliżeniu 15 000, 11 000 i 8000 lat temu).

Wiadomo, że ogromne zbiorniki wody z roztopionego lodu z lodowca Tarczy Laurentyńskiej zostały gwałtownie uwolnione między 15 000 a 14 000 lat temu.

Ogromna ilość wypływającej wody spowodowała utworzenie się drumlinów, powstania rozległych wyżłobień i podmyła skalne podłoże. Tak wielkie wody mogły potencjalnie zdestabilizować lodowce osadzone poniżej poziomu morza⁹⁶.

W okresie od 13 000 do 10 000 lat temu następowały kolejne wypływy z lodowych jezior w lodowcu Tarczy Laurentyńskiej – głównie chodzi tu o jezioro Agassiz, które „od czasu do czasu wylewało się do Zatoki Meksykańskiej poprzez przelew spływowy Minnesota oraz dorzecze Missisipi”⁹⁷. Czytelnik pamięta zapewne zebrane przez profesora Emilianiego dowody katastroficznego w skutkach przelania się wód z topniejącego lodowca laurentyńskiego do Zatoki Meksykańskiej 11 600 lat temu. W ciągu tysiąca lat od tego momentu glacialne jezioro Missoula (w stanie Montana, w zachodniej części Stanów Zjednoczonych) także parokrotnie wylewało swoje wody falą – której wysokość Crowley i North szacują na 600 metrów – na tereny płaskowyżu Columbia we wschodnim Waszyngtonie⁹⁸.

Kolejna seria ogromnych wylewów miała miejsce około 9400 lat temu. Zdaniem Charlesa Fletchera i Clarka Shermana z wydziału geologii i geofizyki University of Hawaii, za każdym razem do światowego oceanu wlewało się w przybliżeniu 4000 kilometrów sześciennych wody⁹⁹. Potężny napływ wody z topiącego się lodowca sprawił 8400 lat temu, że jezioro Agassiz połączyło się z oddzielnym dotąd (i równie wielkim) jeziorem Ojibway, leżącym dalej na wschód. Wskutek tej komasacji wód powstało gigantyczne śródlądowe morze, którego powierzchnia liczyła ponad 700 000 kilometrów kwadratowych; zatrzymywała je tama lodowa nad Zatoką Hudsona na wysokości 450–600 metrów ponad poziomem morza¹⁰⁰.

W jakimś momencie między 8400 a 8000 lat temu tama pękła i niewyobrażalne masy wody błyskawicznie spłynęły do północnego Atlantyku.

Wypływ nastąpił na niziny wokół Zatoki Hudsona, obniżając poziom wód w jeziorze o co najmniej 250 metrów i powodując uwolnienie od 75 000 do 150 000 kilometrów sześciennych wody. Był to prawdopodobnie największy potop w czwartorzędzie¹⁰¹.

Tak wielki wpływ mógł wywołać podniesienie się poziomu wszystkich mórz na Ziemi o pół metra. Warto jednak w tym miejscu przypomnieć, że coraz szybsze rozpadanie się i deglacjacja lodowca laurentyńskiego nie były pojedynczym zdarzeniem, lecz częścią procesu zachodzącego na całym globie i elementem zjawiska sprzężenia zwrotnego, a wypływy na równie wielką skalę miały miejsce również na lodowcu Tarczy Bałtyckiej po drugiej stronie Atlantyku. Dlatego też – mniej więcej w tym samym czasie gdy topniał lodowiec laurentyński – północno-wschodnia część Brytanii, położona blisko krawędzi Tarczy Bałtyckiej, także doświadczała gwałtownych zalewów. Tu też miało miejsce raptowne podniesienie się poziomu morza, które:

(...) załało połąć Morza Północnego wielkości współczesnej Wielkiej Brytanii. Większość tej liczącej 256 000 kilometrów kwadratowych brytyjskiej „Atlantydy” [nie należy jej mylić z Atlantydą Kudriawcewa na Szelfie Celtyckim] była jeszcze nad powierzchnią wody 8000 lat temu, a całkowicie zniknęła 6500 lat temu. Przetrwał tylko skrawek łądu długości 224 kilometrów, o powierzchni 12 800 kilometrów kwadratowych, tam gdzie dziś znajduje się Ławica Dogger¹⁰².

Pojedyncze wylewy wody pochodzącej z różnych czap lodowych łączyły się w światowym oceanie, a ich działanie zwielokrotniało się, powodując zalanie i załamywanie się osadzonych na łądzie lodowców szelfów kontynentalnych. Stephen Openheimer oblicza, że lód, który „spłynął przez Cieśninę Hudsona” w okresie między 8400 a 8000 lat temu z czegoś, co dawniej było środkiem laurentyńskiej lodowej fałdy kopulastej, miał „1,6 kilometra grubości i powierzchnię równą jednej trzeciej terytorium Kanady”¹⁰³.

Powyższe liczby przechodzą wszelkie wyobrażenie i podważają panujący dotychczas pogląd, że poziom wód pod koniec ostatniej epoki lodowcowej wznosił się powoli, rok po roku, i że wzrost ten był zbyt nikły, aby wywołać katastrofalne potopy, a więc zainspirować powtarzane we wszystkich kulturach mity czy też hipotezy o zaginionych cywilizacjach i przedpotopowych miastach.

Choć obecnie niewielu historyków interesuje się tym okresem naszej przeszłości, odkrycia geologiczne i oceanograficzne coraz bardziej stanowiąc przeciwieństwem ugruntowanym poglądom o stopniowym i równomiernym topnieniu lodowców. Mamy coraz więcej powodów podejrzewać, że – jak mówi Platon – świat ludzi istotnie często niszczyły potopy, a każdy z nich przetrwała jedynie garstka przedstawicieli naszego gatunku.

Nieznane rejony

W przypadku każdego ze szczytowych momentów topnienia lodowców około 15 000, 11 000 i 8000 lat temu zbieżność danych świadczy o raptownym wzniesieniu się poziomu światowych wód o 5–15 metrów, a czasem nawet znacznie więcej. Zjawiska te wzmagaly inne czynniki, na przykład załamywanie się lodowców. Jak już się przekonaliśmy, fachowcy twierdzą, że w okresach tych mogło dojść do wielu krótkotrwałych wzrostów poziomu mórz – wskutek gwałtownego osuwania się ogromnych mas lodu – które z pewnością przekraczały zakresy wyznaczone przez oceanografów¹⁰⁴.

Nie koniec na tym. Wzrost poziomu wód, przenoszący potop z morza na łąd, to tylko część fascynującej historii końca ostatniej epoki lodowcowej. Co najmniej równie ważne, a może nawet ważniejsze są potworne ściany wody, wysokie na setki metrów, które raz za razem spadały z olbrzymich lodowych kopuł, przecaczając się nad nisko położonym łądem, a potem z łądu na morze. Działo się tak wtedy, gdy pękały lodowe zapory, a glacialne jeziora wylewały się na zewnątrz,

albo gdy znajdująca się pod ogromnym ciśnieniem woda lodowców wydostawała się spod nich.

Wiemy, że stosunkowo niewielki wzrost poziomu morza potrafi wywołać pęknięcie sporego lodowca, a Stephen Oppenheimer przypuszcza, że trzęsienia ziemi o dużej sile, wywołane przez izostatyczną kompensację pod koniec epoki lodowcowej, mogły w północnych rejonach Atlantyku i Pacyfiku wzbudzić „wielkie jak góry fale”¹⁰⁵. Mam jednak wrażenie, że choć wielu błyskotliwych naukowców bardzo szczegółowo zajmowało się poszczególnymi zjawiskami polodowcowymi, mało jednak uczyniono, by zbadać je kompleksowo lub ustalić, jaki wpływ na ziemię i jej mieszkańców mogły mieć wielokrotne, nakładające się na siebie katastrofalne zdarzenia – potopy, zapadanie się lądów pod wodę, trzęsienia ziemi, erupcje wulkanów – wszystko to bowiem działo się jednocześnie.

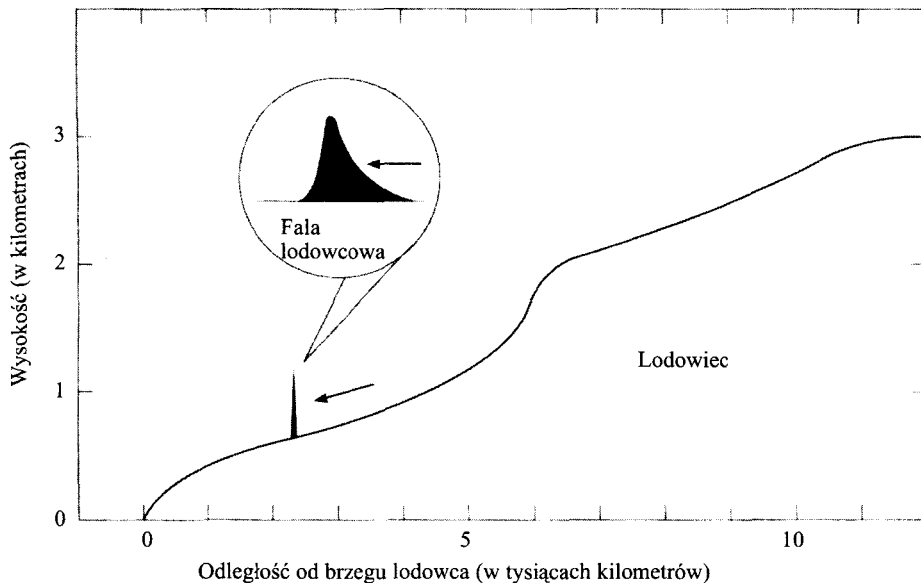
Tu wkraczamy w nieznanne rejony, gdyż nauka dopiero od niedawna zaczęła interesować się katastrofalnym zakończeniem epoki lodowcowej i wciąż pojawiają się dowody na to, jak wielki zasięg miały te zdarzenia i jak straszne siaty spustoszenie. Pewnych obserwacji (moim zdaniem wartych szczególnej uwagi) dokonał Paul LaViolette, który zawarł je w wydanej w 1997 roku książce *Earth Under Fire* (Ziemia w ogniu):

1. W szczytowych momentach topnienia lodowców wszelkie hipotetyczne cywilizacje żyjące na wybrzeżach częściowo zamkniętych mórz, które służyły jako zbiorniki wody z ogromnych lodowców, były narażone na nieproporcjonalnie rozleglejsze i gwałtowniejsze zmiany poziomu morza. LaViolette poświęca tu szczególną uwagę rejonowi Morza Śródziemnego:

Wody glacialne [z pobliskiego europejskiego lodowca] wpadały do Morza Śródziemnego strumieniem znacznie większym, niż mieściła Cieśnina Gibraltarska i w rezultacie krótkotrwały wzrost poziomu tego morza mógł być o wiele większy niż sąsiadujących oceanów (...) [Takie gwałtowne fale] mogły wywołać wzrost poziomu Morza Śródziemnego o około 60 metrów, zatapiając wszystkie przybrzeżne osiedla ludzkie¹⁰⁶.

2. W okresie topnienia lodowców do mórz wpadały potworne lawiny skał i lodu; był to skutek izostazji na krawędziach kontynentów i odrywania się ogromnych rozmiękczonej płyt lodowych. Znamy współczesne przykłady takich powodzi spowodowanych przez wielką lawinę. W lipcu 1958 roku w alaskańskiej Zatoce Lituya „40 000 000 metrów sześciennych lodu i kamieni, o wadze 90 000 000 ton, spadło z oblodzonych stoków Fairweather Range 900 metrów w dół do zatoki”. Powstała fala, która wdarła się z rykiem na strome wybrzeże pod drugiej stronie zatoki na odległość ponad kilometra, z prędkością 200 kilometrów na godzinę, „starła z powierzchni ziemi 10 kilometrów kwadratowych lasów do wysokości 540 metrów”¹⁰⁷.

Jakie zatem mogły być skutki zsunęcia się do północnego Atlantyku tafli lodowej wielkości jednej trzeciej terytorium Kanady?



Fala lodowcowa, zsuwając się ze stoku lodowca, staje się coraz wyższa.
Według LaViolette'a (1997)

3. Wiemy, że zalew wód uwolnionych z lodowcowych jezior niósł z sobą lokalnie katastrofalne skutki, ale mogły one być znacznie poważniejsze, niż nam się dawniej wydawało:

Sadzawki i jeziora tworzące się na powierzchni lodowca, podobnie jak naturalne występujące w nim pieczary, gromadziły duże ilości wody z topiącego się lodu. Zawartość tych zbiorników mogła od czasu do czasu raptownie wypływać, wywołując niszczące powodzie, zwane pęknięciem lodowca lub potopem lodowcowym (...)

W okresach silnego ocieplenia klimatu lodowce topniały wyjątkowo gwałtownie, w większości na powierzchni, skutkiem czego gromadziły się tam ogromne ilości wody, tworząc liczne jeziora na wysokości do 3,5 kilometra. Wodę retencyjną zatrzymywały wały lodowe, lecz rosnące ciśnienie przerywało je i wówczas ogromne jej ilości przetaczały się po stokach lodowca. Gdy jeden zbiornik wyrwał się z brzegów, pod drodze zbierał wody z innych zbiorników, tworząc coraz potężniejszy strumień. Dzięki efektowi kuli śniegowej pojedynczy lodowcowy wodospad rósł w siłę i energię kinetyczną, przybierając rozmiary powodzi. Jest to tak zwana kontynentalna fala lodowcowa, która mogła być przyczyną potopów o nieznanym nam dziś gwałtowności.

Wyższe fale przemieszczały się szybciej. Kiedy zmierzały po stoku lodowca w niższej położone rejony, nabierając wysokości i energii kinetycznej, zwiększały także prędkość. Po przebyciu tysięcy kilometrów mogły u podnóża lodowca osią-

gnąć wysokość 600 lub więcej metrów, ich poprzeczna szerokość dochodziła do 40 kilometrów, a prędkość do kilkuset kilometrów na godzinę. Fale takie rozciągały się na lodowcach na powierzchni tysięcy kilometrów (...) Fale lodowcowe spływające z lodowców Ameryki Północnej, Europy, Syberii i Ameryki Południowej miały dostatecznie dużo energii kinetycznej, by wędrować tysiące kilometrów przez lądy i niszczyć tereny bardzo odległe od granicy lodowca. Wpadłszy do oceanów, pędziły dalej jako tsunami, powodując szkody na wybrzeżach odległych kontynentów. Fale te niosły znacznie większe zniszczenia niż fale pływowe obserwowane w naszych czasach¹⁰⁸.

Wczoraj...

Nadal niedokładnie rozumiemy, co przydarzyło się Ziemi i ludzkości w okresie między 17 000 a 7000 lat temu. I choć badacze uczynili wiele, wciąż znacznie więcej jest białych plam niż znanych faktów historycznych. A tymczasem to właśnie w tym okresie gwałtownych zmian klimatycznych i środowiskowych archeolodzy szukają korzeni cywilizacji: pierwszych osiedli, pierwszych złożonych struktur społecznych, początków uprawy roślin, rozwoju rolnictwa, budowy domów z cegły i kamienia. Innymi słowy – osiągnąć ekonomiczno-społecznych, które zapoczątkowały naukowe podejście do świata i technologiczne osiągnięcia współczesnej cywilizacji.

Akademicka „historia” zaczyna się 5000 lat temu, czyli w okresie, z którego pochodzą źródła pisane, choć i tu nie brak białych plam. Nie dysponujemy źródłami pisanymi z wcześniejszych okresów, a „wczoraj” naszego świata mogą rozjaśnić tylko badania archeologów, dysponujących skąpym zresztą materiałem pobranym z niewielkich terenów wykopalisk. Im wcześniejsza epoka, tym mniej świadectw archeologicznych, a wszystkie – z nielicznymi wyjątkami – pochodzą z lądów. Wkład archeologii podmorskiej w całość badań nad przeszłością pozostaje śmiesznie mały, nie może zatem pomóc w zrozumieniu przeszłości, która wciąż stanowi dla nas zagadkę.

Część druga

Indie (1)

Rozdział 3

Zapomniane miasta, starożytnie teksty i indyjska Atlantyda

Trwałym wkładem, jaki Ariowie wnieśli w kulturę podbitych ludów, nie były osiągnięcia materialne czy techniczne, lecz wspaniały język, który pobudzająco działał na umysł. Nie bez znaczenia pozostaje też fakt, iż Ariowie są ludem nordyckim. Genetyczne cechy fizyczne – na przykład siła – umożliwiły im podbicie ludów o lepiej rozwiniętej cywilizacji i narzucenie własnego języka w rejonach, w których ich fizyczny typ już prawie zupełnie zniknął. Ta prawda leży u podstaw ideologii germanofilów; nordycka „wyższość” w sensie fizycznym predestynowała ich do szerzenia doskonalszego języka.

Vere Gordon Childe, profesor archeologii prehistorycznej,
University of Edinburg, 1926 rok

Wreszcie nie ma dziś uzasadnienia twierdzenie, że istniała jakaś rasa aryjska, mówiąca językami indoeuropejskimi, reprezentująca określone cechy kulturowe Ariów czy Indoeuropejczyków.

Gregory Possehl, profesor antropologii,
University of Pennsylvania, 1999 rok

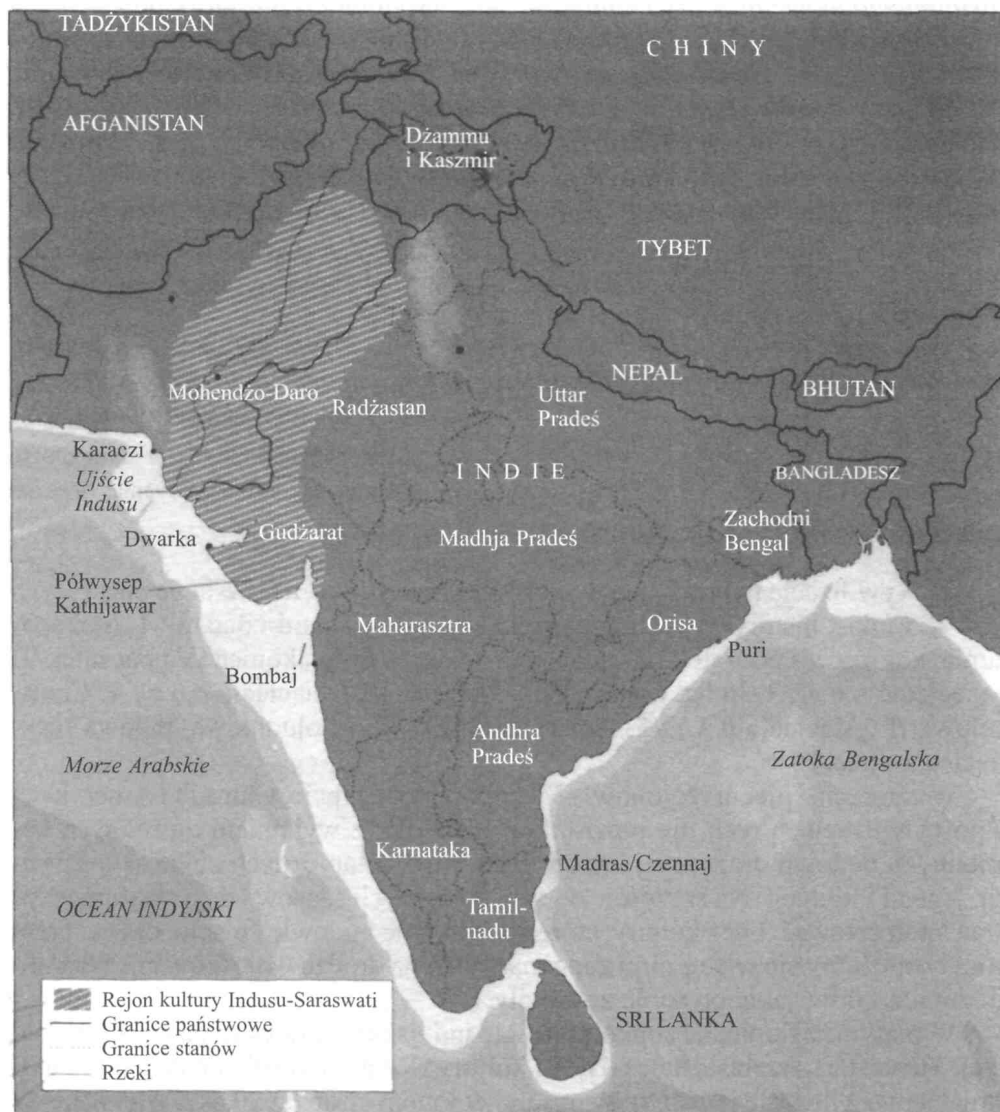
Cywilizacje tworzyły się w skupiskach miejskich, a powstanie pierwszych miast historycy wiążą z następującymi regionami i datami: 1. Mezopotamia, koniec IV i początek III tysiąclecia p.n.e.; 2. Egipt, koniec IV i początek III tysiąclecia p.n.e.; 3. Indie, koniec IV i początek III tysiąclecia p.n.e.; 4. Chiny, połowa II tysiąclecia p.n.e.; 5. Ameryka Środkowa i Południowa, połowa II tysiąclecia p.n.e.

W czterech z pięciu regionów – Mezopotamii, Egipcie, Chinach i Amerykach – po cywilizacjach tych nie pozostało prawie nic, z wyjątkiem ogromnych kamiennych budowli oraz mniej lub bardziej fragmentarycznych zbiorów inskrypcji, legend i tradycji. Na szczęście dotarły do naszych czasów i dają się tłumaczyć oraz interpretować. Lecz kultury, które stworzyły te budowle i pismo, dawno przeminęły, możemy się więc z nimi zapoznać tylko na drodze wnioskowania i dedukcji z materiałów, jakie po sobie zostawiły.

W piątym regionie, na subkontynencie indyjskim, sprawy mają się zgoła inaczej. Tu najstarsze miasta należały do „kultury Doliny Indusu”. Została ona zapomniana przez historię i nie była znana archeologom aż do lat 20. XX wieku, kiedy

odkryto dwa pierwsze miasta – Harappę i Mohendzo-Daro nad brzegiem Indusu w obecnym Pakistanie – a w trakcie wykopalisk stwierdzono, że liczą sobie około 5000 lat. Ze względu na położenie tych miast powstało pojęcie „kultury Doliny Indusu”, równocześnie – zbadawszy odkopane tam przedmioty typowe dla epoki brązu – archeolodzy nazwali ją kulturą Harappy (Harappę znaleziono jako pierwszą). Trwające do dziś wykopaliska uświadomiły nam, że większość z około 2600 odkrytych dotychczas miast kultury Harappy znajduje się poza Doliną Indusu, a zwłaszcza dalej na wschód, wzdłuż biegu starożytnej rzeki Saraswati, wyschniętej od prawie 4000 lat. Wielu naukowców woli używać określenia „kultura Indusu-

Mapa Indii z zaznaczeniem rejonu kultury Indusu-Saraswati (czerwony kolor) i granic państwowych (czarna linia).



-Saraswati”. Ja także będę się nim posługiwał w dalszej części książki, ponieważ precyzuje ono geograficzne położenie tych kultur.

Była to cywilizacja niezwykle biegła w pracach inżynieryjno-budowlanych, wznosząca olbrzymie budowle z cegieł tak trwałych i starannie wypalonych, że nawet po tysiącach lat można ich używać do współczesnych budowli (zdarzało się to często w XIX i w początkach XX wieku, zanim Harappę i Mohendzo-Daro uznano za teren wykopalisk). Kultura Indusu-Saraswati stworzyła też pierwszą w świecie aglomerację, opartą na szczegółowych planach, z naukowo opracowanym systemem sanitarnym, z portowymi dokami wykorzystującymi pływy.

Przedstawiciele tej kultury znali pismo. Znalezione około 4200 przedmiotów – głównie naczyń i pieczęci wykonanych ze steatytu i terakoty – na których znajdują się inskrypcje w piśmie Indusu-Saraswati. Wiele pieczęci ma napisy „lustrzane” (aby po odcisnięciu, na przykład w glinie, można je było normalnie czytać) i były prawdopodobnie używane przez kupców do znaczenia towarów. Najstarsza pieczęć (wykopana w Harappie) pochodzi z 2600 roku p.n.e., natomiast naczynia są nieco starsze. Przeciętnie inskrypcja zawiera pięć znaków, najdłuższa – dwadzieścia sześć, lecz są i przedmioty z jednym znakiem. Mimo wysiłków najlepszych lingwistów świata nie udało się przetłumaczyć żadnej inskrypcji (choć sporządzono kilka przekładów, odrzuconych potem przez naukowców). Istnieje jednak zasadnicza zgodność co do tego, że pismo to „pojawiło się jako w pełni rozwinięty system znaków zwanych grafemami. Po szczegółowym porównaniu wszystkich znaków większość naukowców uznała, że istnieje od 400 do 450 różnych znaków czy grafemów”¹. Innymi słowy – dojrzała forma pisma pojawia się nagle przed 2600 rokiem p.n.e. Nie ma żadnych oznak ewolucji czy rozwoju. Jednego dnia nie było pisma, następnego już było. Jak to wytłumaczyć?

Zaginiona literatura

Być może, istnieją ślady ewolucji tego pisma, lecz archeolodzy jeszcze ich nie znaleźli, albo ślady te zostały całkowicie zniszczone. Niewykluczone też, że pismo to nie „ewoluowało”, zostało wymyślone i wprowadzone od razu, podobnie jak pismo dawniej jedynie mówionego języka somalijskiego, które wymyślono w latach 60. i wprowadzono w północno-wschodniej Afryce w 1972 roku². Można również przyjąć, że kultura Indusu-Saraswati nie uznawała dokumentów pisanych za odpowiednie medium do utrwalenia literatury i koncepcji religijnych. Rozumiem to tak, że pismo miało służyć ściśle określonym handlowym i biurokratycznym celom, jak znaczenie towarów, wpisywanie nazwiska właściciela, określanie zawartości naczyń itp. Być może, społeczność ta uważała, iż używanie pisma w innych celach jest świętokradztwem: na przykład wykorzystanie go do rejestrowania wszystkiego, co uznawano za szczególnie szacowne i święte, jak opowieści z dawnych czasów, modlitwy, hymny i pieśni religijne.

W XXI wieku wydaje się niepodobieństwem, aby jakakolwiek cywilizacja mogła obyć się bez pisma. Uważamy pisanie za podstawową umiejętność człowieka

i jedyny sposób zachowania pamięci o zdarzeniach. W naszym społeczeństwie określenie „niepiśmienny” jest obraźliwe, a ludzie, którzy nie czytają i nie piszą biegle, czują się nieprzystosowani. Panuje powszechne, niemniej niewyrażane głośno przekonanie, że słowo pisane stanowi wartość samą w sobie, jego brak to przekleństwo i żadna cywilizacja nie może bez niego dostąpić wysokiego stopnia rozwoju. Ten wielki, uniwersalny „dar”, równie nietykalny jak macierzyństwo, to jeden z powodów, dla których historycy i archeolodzy uważają świadectwa wprowadzenia i szerokiego zastosowania pisma za jedną z cech charakterystycznych „cywilizacji” – „niepiśmienne” kultury uznaje się automatycznie za mniej cywilizowane niż te, które pismem się posługują.

Lecz czy właśnie tak społeczeństwo używające pisma na co dzień i chlubiące się wysoką technologią nie postrzeżałoby przeszłości? Czy nie próbowałoby znaleźć w niej odbicia własnego wizerunku, jakkolwiek w prostszej formie, i czy dopiero wówczas nie nazwałoby tej kultury „cywilizowaną”?

Myślę, że tak właśnie przedstawia się wciąż powracająca kwestia nieodcyfrowanego pisma kultury Indusu-Saraswati. Lakoniczność inskrypcji (czyniąca je niemożliwymi do odczytania) dowodzi, że nie miały one na celu przekazywania szczegółowych opisów zdarzeń i informacji; nie sądzę, aby jakiś naukowiec nie zgodził się ze mną w tej kwestii³. Ale mnie samemu niepojęte wydaje się, by społeczeństwo tak dobrze zorganizowane i tak rozumnie rządzone nie stworzyło systemów religijnych i duchowych, nie posiadało ważnych kronik, które pragnęłoby zachować dla późniejszych pokoleń. Jestem pewny, że systemy te i kroniki istniały, a ponieważ społeczeństwo to znało zasady pisma, które zawierało ponad 400 rozmaitych znaków, nie uwierzę nigdy, że nie posiadało informacji o wielkiej wadze, lecz że celowo uznało, iż nie użyje pisma do ich przekazywania.

Lek na pamięć

Powód, dla którego jakaś cywilizacja mogła nie uznawać pisma za nieodzowny środek przekazu, a jej przywódcy mogli nawet zakazać jego stosowania, znajdujemy u Platona. W *Fajdrosie* Sokrates zadaje takie oto retoryczne pytanie: „A tylko o pisaniu jeszcze, gdzie ono jest na miejscu, a gdzie nie, jeszcze to zostanie. Prawda?” Filozof unika bezpośredniej odpowiedzi, lecz zamiast tego ciągnie:

Słyszałem tedy, że koło Naukratis w Egipcie mieszkał jeden z dawnych bogów tamtejszych, któremu ptak jest poświęcony, nazywany Ibisem. A sam bóg miał się nazywać Teut [Tot, starożytne bóstwo mądrości]. On miał pierwszy wynaleźć liczby i rachunki, geometrię i astronomię, dalej warcaby i grę w kostki, a oprócz tego litery⁴.

Sokrates mówi, że gdy Tot wynalazł pismo, udał się do boga Amona, w owym czasie króla Egiptu, nalegając, żeby wprowadził je wśród ludności. Zwrócił się doń tymi słowy: „Królu, ta nauka uczyni Egipcjan mądrzejszymi i sprawniejszymi

w pamiętaniu; wynalazek ten jest lekarstwem na pamięć i mądrość”. Tymczasem Amon odparł:

Teucie, mistrzu najdoskonalszy; jeden potrafi płodzić to, co do sztuki należy, a drugi potrafi ocenić, na co się to może przydać i w czym zaszkodzić tym, którzy się zechcą daną sztuką posługiwać. Tak też i teraz: Ty jesteś ojcem liter; zatem przez dobre serce dla nich przypisałeś im wartość wprost przeciwną tej, którą one posiadają naprawdę. Ten wynalazek niepamięć w duszach ludzkich posieje, bo człowiek, który się tego wyuczy, przestanie ćwiczyć pamięć; zaufa pismu i będzie sobie przypominał wszystko z zewnątrz, ze znaków obcych jego istocie, a nie z własnego wnętrza, z siebie samego. Więc to nie jest lekarstwo na pamięć, tylko środek na przypomnianie sobie. Uczniom swoim dasz tylko pozór mądrości, a nie mądrość prawdziwą. Posiądą bowiem wielkie odczytanie bez nauki i będzie się im zdawało, że wiele umieją, a po większej części nie będą umieli nic i tylko obcować z nimi będzie trudno; to będą mędrzy z pozoru, a nie ludzie mądrzy naprawdę.

W dalszej części dyskursu Sokrates daje do zrozumienia, że jego zdaniem istnieją takie kwestie i informacje, które nie powinny być dostępne dla wszystkich, lecz tylko dla tego, „który rzecz samą zna, to, o czym pismo traktuje”:

A kiedy się mowę raz napisze, wtedy się ta pisana mowa toczyć zaczyna na wszystkie strony i wpada w ręce zarówno tym, którzy ją rozumieją, jak i tym, którym w ręce nigdy wpaść nie powinna, i nie wie, do kogo warto mówić, a do kogo nie⁵.

Te fragmenty *Fajdrośa* można różnie interpretować, lecz wynika z nich jedna oczywista prawda – bronią one ustnej tradycji i dają do zrozumienia, że pismo nie musi być najlepszym sposobem przechowywania cennych dokumentów kultury. Ponieważ pismo posługuje się znakami, zawsze istnieje możliwość, że nadejdą czasy, w których nie będą one zrozumiałe (podobnie jak w przypadku pisma kultury Indusu-Saraswati). Wiedza przechowywana dla przyszłych pokoleń w takiej „arce” może zostać bezpowrotnie utracona. Ponieważ pismo jest dostępne dla każdego, kto umie czytać, oznacza to, że nie ma gwarancji, iż przekazywane przez nie informacje dotrą wyłącznie do osób, dla których są przeznaczone. Jeśli na przykład przekazuje się w ten sposób treści religijne, do których dostęp przysługuje tylko wtajemniczonym, a inni ludzie nie potrafią ich zrozumieć bez stosownych komentarzy, wówczas takie teksty (nawet jeśli mogą być „tłumaczone” w sensie dosłownym) wydadzą się komuś z zewnątrz nieważne, nonsensowne lub wręcz absurdalne. I wreszcie – co nie mniej ważne – pismo eliminuje potrzebę ćwiczenia pamięci: wprowadzenie go do powszechnego użytku w każdym społeczeństwie sprawia, że sztuka ta ulega zanikowi. W dzisiejszym społeczeństwie dobra pamięć nie jest zbyt wysoko cenioną cechą (a z czasem ulegnie jeszcze większej deprecjacji), niewykluczone natomiast, że dobra pamięć, ugruntowana poprzez

ćwiczenia i dyscyplinę, spełnia rolę katalizatora innych zdolności intelektualnych, a być może także duchowych, które inaczej pozostają w uśpieniu.

Ustna tradycja pozwala uniknąć tych wszystkich problemów. Z pokolenia na pokolenie, od jednego do drugiego wtajemniczonego, można przekazywać święte słowo (hymny, inwokacje, modlitwy), a w razie konieczności ustnie eliminować jego niejasności. Bez wątplenia słowo mówione także podlega ewolucji, podobnie jak język, w którym jest wypowiedzane, może też być tłumaczone na inne języki – ale wyłącznie za pośrednictwem mowy i pamięci, wraz z odpowiednim komentarzem i wyjaśnieniami odpowiednio wykształconego człowieka, lecz nigdy, przenigdy za pomocą słowa pisanego.

Weźmy na przykład teksty, które tak bardzo ceni się w „wysoko rozwiniętych” technologicznie społeczeństwach, jak Japonia czy Stany Zjednoczone. W Japonii księgi *Nihongi* i *Kojiki* są szanowane za to, że przekazują starożytną mądrość i tradycję. W Stanach Zjednoczonych Biblia jest świętą księgą chrześcijan. Ale w każdym z tych krajów tylko garstka ludzi (może nawet nikt) potrafi te teksty wyrecytować z pamięci. I choć znajdują się w niemal każdym domu, rzadko kiedy stają się przedmiotem dyskusji wśród większości obywateli tych krajów.

A teraz, dla odmiany, przyjrzyjmy się Indiom z ich miliardową populacją.

Prawie nadprzyrodzona pamięć

W przeciwieństwie do innych wielkich uprzemysłowionych państw, które dawno temu straciły cześć dla świętości i poważanie dla tego, „co powiedzieli starożytni”, w Indiach uświęcone tradycją słowo mówione nadal darzone jest szacunkiem, a pismo nie cieszy się aż tak wielkim autorytetem. Również w przeciwieństwie do cywilizacji starożytnego Egiptu, Mezopotamii, Chin i Ameryki, gdzie znajdujemy jedynie spektakularne przykłady architektury i języka, kultura Indii pozostaje wciąż żywa i ofiarowuje współczesności nieprzebrane bogactwo archaicznych rytuałów, tańców, gier, ceremonii, uroczystości i obyczajów, jak również ogromną ustną tradycję, która przetrwała tylko dzięki temu, że przekazywana była przez sadhu i rysi (mędrców, mądrych ludzi) przez tysiące lat. I nawet teraz sławi się ją, powtarza i wielbi w setkach tysięcy hinduskich wiosek – od Himalajów po Ocean Indyjski.

Najstarszymi elementami indyjskiej ustnej tradycji są Wedy (słowo *veda* oznacza „wiedzę”), składające się z czterech głównych samhitów (kompilacji hymnów): *Rygwedy* (najstarszej i najbardziej poważanej), *Samawedy*, *Jadzurwedy* i *Atharwawedy*. Język, którym operują, to archaiczna forma sanskrytu. Sama *Rygweda* zawiera około 450 000 słów (prawie dwukrotnie więcej niż ta książka) ułożonych w 1028 hymnach składających się z 10 589 wersetów⁶. Całość Wed liczy prawie dwa razy tyle słów. Ale najbardziej zadziwiająca nie jest całkowita długość tych pieśni (istotnie imponująca), lecz fakt, iż prawdopodobnie nigdy w dziejach nie istniała ich pisemna wersja – i to nie dlatego, że nie mogły być spisane, ale dlatego, iż kapłani religii wedyjskiej, która przekształciła się w hinduizm, uważali, że nie powinny zostać spisane, lecz należy je przechowywać w ludzkiej pamięci⁷.

Teksty wedyjskie były niegdyś częścią tradycji ustnej. Określa się je jako *sruti*, czyli „słyszane”, a bramini [kasta kapłańska w hinduizmie] musieli nauczyć się na pamięć wszystkich czterech ksiąg, które zostały tak skomponowane i uszeregowane, żeby wspomagać ten proces. Należy zatem przypuszczać, że w jakimś okresie przeredagowywania dodawano nowy materiał, a stary poddawano przeróbkom i zmianom. Lecz w pewnym momencie historii zaprzestano tych redakcyjnych praktyk, a kapłani uznali, że tekst ma pozostać taki sam, nie wolno w nim zmienić ani słowa czy choćby sylaby, a każde odstępstwo od kanonu uznawano za świętokradztwo⁸.

Co ważniejsze, *Rygweda* nie wspomina o piśmie. Ponadto nawet wówczas, gdy pismo zaczęło być w starożytnych Indiach powszechnie stosowane do innych celów, istniał zakaz spisywania świętych ksiąg i nadal przestrzegano ich pamięciowego opanowywania. Zakaz ten respektowano do około 1000 lat temu i dopiero z późniejszego okresu pochodzą pierwsze pisane wersje, które dotarły do naszych czasów⁹.

Gregory Possehl, profesor antropologii na University of Pennsylvania i jeden z najlepszych na świecie znawców Indii i kultury Indusu-Saraswati, pisze:

Indyjscy bramini traktowali uczenie się Wed na pamięć bardzo poważnie, opracowali nawet metody pozwalające na dokładne przekazywanie tych samych słów i dźwięków z pokolenia na pokolenie. Wierne odtwarzanie tych ksiąg było częścią hinduistycznej religii, zinstytucjonalizowanej podczas procesu uczenia się i podtrzymywanej przez braminów przestrzegających tradycję. Społeczność wiernych braminów była spora, a wszyscy przechodzili ten sam tok uczenia się na pamięć. Jakikolwiek odchylenia od oryginalnego przekazu kończyły się nieprzejdyanym sprzeciwem wobec nieposłusznych.

Istnieje też całkowita zgodność między tekstem Wed, który przetrwał do naszych czasów od okresu Średniowiecza, a tradycją przekazywaną ustnie. Uważa się, że tradycja ta nie została wypaczona w trakcie spisywania i kopiowania, ale tego nie możemy być pewni. Mimo to jednak spisywanie Wed nie było dobrze widziane, nie stało się też powszechną praktyką.

Znany sanskrytolog, J.A.B. Van Buitenen, powiedział mi, że Europejczycy, którzy w XVIII i XIX wieku uczyli się sanskrytu, byli zaskoczeni faktem, iż niezależnie od tego, w jakiej części subkontynentu się znaleźli, słyszeli wersety Wed recytowane przez braminów w dokładnie takim samym brzmieniu. Od Peshawaru po Pondicherry czy od Kalkuty po Półwysep Komoryn, setki tysięcy, a nawet miliony braminów, którzy nie mieli z sobą bezpośredniego kontaktu, pamiętali te teksty w identycznej formie.

Wierzę więc głęboko, że ta ustna tradycja różni się od większości innych i że to, co obecnie słyszymy, jest niezwykle bliskie przekazowi pochodzącemu z odległej starożytności – a może nawet się z nim pokrywa¹⁰.

Problem Ariów

Ile lat liczą sobie Wedy? Jaki system religijny czy filozoficzny je wydał?

Naukowcy w rodzaju Gregory'ego Possehla, niemal jednogłośnie popierani przez indologów i sanskrytologów nie pochodzących z Indii, uważają, że wedyjskie hymny zostały „skodyfikowane” około 1200 roku p.n.e. Przyznają, że pierwotna ich forma musi być starsza, lecz bardzo niechętnie przesuwają datę jej powstania poza 1500 roku p.n.e., a w odniesieniu do pewnych fragmentów zgadzają się na 1800 rok p.n.e.¹¹ Ale dlaczego tak sądzą, skoro badania archeologiczne dowodzą, iż II tysiąclecie p.n.e. było w Indiach okresem jeśli nie całkowitego upadku (jak się czasem twierdzi), to z pewnością nie szczytem rozkwitu intelektualnego? Nie wydaje się, aby epoka mogła wydać tak subtelną i wyrafinowaną twórczość jak Wedy. Czy nie widać gołym okiem, iż dzieło to (o którym szerzej piszę w rozdziale 6), jest co najmniej równie zagadkowe, jak kultura Indusu-Saraswati? I dlaczego dopiero teraz niektórzy naukowcy zaczęli to rozumieć?

Lud wedyjski często w *Rygwedzie* zwany jest Ariami i stąd zapewne wzięto się błędne podejście akademickich historyków. Chociaż przymiotnik „aryjski” w starożytnym sanskrycie oznacza w rzeczywistości „szlachetny” lub „oświecony” – a więc Ariowie byli ludem o powyższych przymiotach, zarówno jako grupa etniczna, jak i wyznaniowa – historycy i archeolodzy nadal przyjmują, iż Ariowie to rasa, która podbiła Indie około 1500 roku p.n.e. Błąd ten, zwany „teorią inwazji Ariów”, został wykryty i skorygowany w oficjalnych publikacjach naukowych dopiero w ostatnim ćwierćwieczu XX wieku, lecz ponieważ miał daleko idące implikacje i usunięcie go wymagało pisania na nowo tekstów akademickich i źródłowych, historycy – jak zwykle w takich wypadkach – niezbyt kwapili się do uznania pomyłki. Trzeba jednak im przyznać, że to właśnie akademicy uczeni jako pierwsi zmienili stanowisko.

Nie był to błąd z rodzaju tych, które trafiają na pierwsze strony gazet. Jednakże od początku lat 90. coraz częściej w pismach naukowych i książkach brano powyższą możliwość pod uwagę, hipoteza ta weszła nawet do programu nauczania i przeniknęła do nowego pojmowania historii. Nie doszło zatem do tego, by wysokiej klasy specjaliści lub ci, w których to nowe podejście godziło najboleśniej (ich prace i publikacje bowiem okazały się przestarzałe), próbowali ją wyciszyć czy też nawet całkowicie pomijać.

Aryjska inwazja na Indie

Przypisywanie Wed „aryjskim najeźdźcom”, ustalenie 1200 roku p.n.e. jako daty ich powstania oraz przyjęcie teorii o inwazji Ariów to pokłosie koncepcji, która pojawiła się już w początkach XIX wieku. Właśnie wtedy wielu zachodnich uczonych zauważyło, że sanskryt, klasyczny język Wed, i pokrewne mu współczesne języki północnych Indii, jak hindi, bengalski, pendżabski, gudżaracki i sindhi, wykazują daleko idące pokrewieństwo ze współczesnymi i starożytnymi

językami europejskimi, jak łacina, greka, angielski, norweski czy niemiecki. Otóż uczeni zaczęli zadawać sobie pytanie: dlaczego w rejonach tak bardzo od siebie oddalonych używa się języków należących do tej samej rodziny, obecnie nazywanych „indoeuropejskimi”?

Aby wytłumaczyć powyższą okoliczność, stworzono nową doktrynę. Gregoriy Possehl pisze:

Mówiła ona o rasie aryjskiej, jak nazywano ludy mówiący językami indoeuropejskimi. Europejska wyższość intelektualna i moralna większości uczonych w początkach XX wieku wydawała się niepodważalna. Sukcesy europejskiego kolonializmu, chrześcijaństwa i rewolucji przemysłowej dowodziły jej najdobitniej. Wrodzoną wyższość dostrzegano u starożytnych Greków, po których odziedziczył ją Rzym. Odkrycie indoeuropejskiej rodziny języków dostarczyło dowodów, że korzenie tej supremacji sięgają znacznie głębiej w czasie, do odległej prehistorii, którą tylko archeologia może zlokalizować. Ariowie, czyli Indoeuropejczycy, musieli również charakteryzować się ową „wyższością”, gdyż potrafili podbić ogromne terytoria od Zatoki Bengalskiej po najdalsze wyspy Skandynawii i Zjednoczonego Królestwa¹².

Na gruncie ideologii o oczywistej wyższości Europejczyków, którą rzekomo miały potwierdzać fragmenty dotyczące Ariów w *Rygwedzie*, powstała doktryna o „inwazji Ariów na Indie”. Z czasem zyskała powszechną akceptację wśród naukowców, którzy uznali, że zdarzenie to miało miejsce w określonym momencie historycznym i polegało na masowym przemieszczaniu się ludzi z europejskiej „ojczyzny” do Indii.

Najwcześniejsza postać tej doktryny była szeroko uznawana jeszcze długo w XX wieku. Zakładała, że na Indie – które wcześniej zamieszkiwały wyłącznie ludy o ciemnej skórze i plemiona drawidyjskie – najechali z północnego zachodu, przez Afganistan, ludzie o jasnej skórze i prawdopodobnie niebieskich oczach, reprezentujący rasę europejską, a stało się to w jakimś momencie w II tysiącleciu p.n.e. Biali zdobywcy na koniach – dzierżący żelazną broń i powożący szybkimi rydwanami bojowymi – sami siebie nazywali Ariami. Błyskawicznie podporządkowali sobie rdzennych mieszkańców, których cywilizacja stała na znacznie niższym poziomie. Przywieźli z sobą również własną religię, którą reprezentowała *Rygweda*, i ją także narzucili „niższym” rasom Indii.

Inną wersję zdarzeń podpowiadała analiza w miastach Doliny Indusu, Harapie i Mohendzo-Daro, których dokonano w latach 20. i 30. XX wieku. Okazało się, że te bardzo rozbudowane, centralnie planowane ośrodki miejskie powstały wiele setek lat przed przypuszczalną datą przybycia Ariów do Indii (1500 rok p.n.e.) i że wyniosła je nieznaną dotąd cywilizacja, prawdopodobnie równie stara jak sumeryjska czy egipska – innymi słowy pochodząca z III tysiąclecia p.n.e. lub z jeszcze wcześniejszych czasów.

Podobnie jak inne niesłuszne, ale chętnie akceptowane koncepcje, teoria o inwazji Ariów nie dawała się wyplenić, pomimo dowodów świadczących na jej

niekorzyść. Chociaż chronologię zdarzeń skrupulatnie dostosowywano do odkryć archeologicznych, historycy nie chcieli tak łatwo zrezygnować z hipotezy o inwazji „aryjskich” hord w II tysiącleciu p.n.e.

Zmieniło się jedynie tło. Poprzednio uważano, że jasnoskórzy Ariowie podbili ciemnoskóre plemiona zbieracko-myśliwskie. Teraz uznano, że najechali wysoko rozwiniętą miejską cywilizację, która rozkwitła w Indiach przez co najmniej tysiąc lat przed ich przybyciem i znacznie przerastała zdobywców pod względem kultury, choć nie dorównywała im potęgą i technologią militarną. Poprzednio to Ariowie przynieśli z sobą zdobycze cywilizacyjne nieoświeconym, barbarzyńskim mieszkańcom Indii; obecnie okazali się burzycielami kultury znacznie starszej niż ich własna. Co więcej – kultury dysponującej pismem i rozwijającej się od bardzo dawnych czasów.

Przyjęła się powszechnie opinia, że ową cywilizację budowniczych miast stworzyli Drawidowie – grupa etnojęzykowa składająca się głównie z ludu używającego języka tamilskiego, który zasięgiem nie wykracza obecnie poza południowe Indie. Nie dysponując innymi dowodami poza autorytatywną (i w tym wypadku niesłuszną) opinią wielkiego brytyjskiego archeologa, sir Mortimera Wheelera, który zaprezentował kilka znalezionych w Mohendźo-Daro szkieletów ze śladami ran, naukowcy przyjęli teorię, że aryjscy najeźdźcy „zmasakrowali” drawidyjskich mieszkańców miast w rejonie Indusu-Saraswati, siłą opanowali ich ziemię, a tych, którzy przeżyli, wywieźli na południe.

Choć hipoteza o masakrze została później obalona (szkielety pochodziły z różnych epok, nie nosiły śladów śmiertelnych ran i nie mogły należeć do ofiar najazdu)¹³, przekonanie, iż na Indie najechały obce ludy, nazywające siebie Ariami, przetrwało jeszcze przez długi czas w niektórych enklawach głównego nurtu nauki – aż do lat 90. ubiegłego stulecia – choć wielu najgorętszych zwolenników takiej interpretacji historii zaczęło się wobec niej dystansować. W 1999 roku Gregory Possehl napisał obszerną książkę zatytułowaną *Indus Age* (Wiek Indusu), która ostatecznie pogrzebała teorię aryjskiej inwazji na Indie:

Nic nie potwierdza dziś przekonania, że kiedykolwiek istniała jakaś aryjska rasa, mówiąca językami indoeuropejskimi i reprezentująca jednolitą, ściśle określoną aryjską lub indoeuropejską kulturę¹⁴.

1500 p.n.e. czy 15 000 p.n.e.?

Możemy zatem bez wątpienia powiedzieć, że obecnie najpoważniejsze autorytety naukowe w tej dziedzinie przyjmują, iż nie było ani aryjskiej rasy, ani aryjskiej inwazji. Ale, o dziwo, tylko nieliczni zauważyli, że konsekwentnie należy zmienić sposób interpretowania historii, o której przekaz znajdujemy w Wedach, gdyż dotąd uznawano, iż ich autorami są aryjscy najeźdźcy i że to oni stworzyli je w formie dziś nam znanej w okresie pierwszych kilku stuleci po przybyciu do Indii około 1500 roku p.n.e.

Okazuje się, że założenie to, pozbawione logicznego uzasadnienia, skoro porzucono teorię o najeździe Ariów na Indie, stanowi jeden z filarów ortodoksyjnej chronologii Wed. Pasuje ona powstanie czterech podstawowych ksiąg – *Rygwedy*, *Atharwawedy*, *Jadźurwedy* i *Samawedy* – w okresie między 1200 a 800 rokiem p.n.e. (przy czym przez trzy stulecia między 1500 a 1200 rokiem hymny miały być w stadium tworzenia).

Druga podstawa przyjętej chronologii wiąże się z przypuszczalnym okresem „epoki żelaza” w Indiach. *Rygweda*, która powszechnie uznawana jest za najstarszy tekst wedyjski, używa na określenie metalu ogólnego terminu *ayas*. Jednak w okresie powstawania nieco późniejszej *Atharwawedy* wprowadzony został inny termin: *krsna ayas*, co oznacza „czarny metal”. Naukowcy uznali, że *krsna ayas* to żelazo. Oto co pisze Gregory Possehl:

Niektóre treści *Rygwedy* pozwalają domyślać się jej wieku. Są to napomknienia o metalach – ale nie o żelazie. W czasach *Atharwawedy* żelazo było już znane. Można by na tej podstawie wnioskować, że *Rygweda* powstała, zanim żelazo znalazło się w Indiach i Pakistanie w powszechnym użyciu, a *Atharwaweda* znajduje się po drugiej stronie tego przedziału czasowego, mianowicie około 1000 roku p.n.e. lub nieco wcześniej¹⁵.

Possehl określa to spostrzeżenie jako „uzasadnione czy interesujące, ale z historycznego punktu widzenia możliwe do podważenia”¹⁶. Metal *krsna ayas*, znany w czasach *Rygwedy*, nie został – na przykład – wspomniany w tej księdze. Albo – jak dowodzą liczni znawcy tematu – nie jest wykluczone, że pojęcie *krsna ayas* zostało mylnie przetłumaczone jako „żelazo” i być może, chodzi o jakiś inny metal o ciemnej barwie. Skoro nie dysponujemy żadnymi wskazówkami co do tego, jak zdobywano czy wytwarzano *krsna ayas*, wolno nam uznać, że jeśli nawet określenie to oznaczało „żelazo”, niewykluczone, iż chodzi o żelazo meteorytowe (jako przeciwieństwo żelaza wytapianego lub kutego przez człowieka). Tak bywa w wielu innych przypadkach: na przykład znajdujemy wiele wzmianek o „żelazie” – czyli *bja* – w starożytnych *Tekstach Piramid* (które powstały około 2300 roku p.n.e., na długo przed egipskim „wiekiem żelaza”) i nie ma powodu nie uznać, że to samo dotyczy *Atharwawedy*.

Trzecim filarem ortodoksyjnej chronologii Wed, stanowiącym najmocniejszą jej podporę, jest argument lingwistyczny, będący ekstrapolacją „odczuć” językoznawców co do tempa ewolucji sanskrytu. Oto jak oficjalny punkt widzenia Gregory Possehl wykladał w 1999 roku:

Dzięki analizie języka, słownictwa i gramatyki *Rygwedy* stwierdzono, że napisana została w najbardziej archaicznej formie sanskrytu. Językoznawcy, na których opinii tu polegam, uważają, że księga ta powstała nie wcześniej niż w 1200 roku p.n.e. i nie później niż w 800 roku p.n.e. Niektórzy skłaniają się ku tej drugiej dacie. Określenie przedziałów czasowych nie jest wynikiem rozumowania opartego na bogatych, wzajemnie potwierdzających się danych, lecz projekcji tempa przemian

zachodzących w sanskrycie, przy czym podstawę stanowi gramatyka Paniniego (ok. V wieku p.n.e.), i od tego punktu językoznawcy cofają się w czasie. Istnieją w tym procesie pewne chronologiczne etapy, a datowanie na okres między 1200 a 800 p.n.e. wynika z naukowych opinii, lecz daty te w znacznym stopniu są przybliżone¹⁷.

Possehl ostrzega następnie, że skoro „datowanie *Rygwedy* opiera się głównie na języku”, to w najlepszym razie „pozwała ustalić jedynie przybliżoną datę powstania tekstu, lecz nie determinuje czasu, w jakim zachodziły opisane w niej zdarzenia, które bez wątplenia miały miejsce znacznie wcześniej; o ile wcześniej – nie sposób powiedzieć”¹⁸.

Nie bez znaczenia jest fakt, iż Max Muller, zapewne najwybitniejszy ze wszystkich indologów i pierwszy ze znawców sanskrytu, który zaproponował jako datę powstania *Rygwedy* 1200 rok p.n.e., podchodził do niej z o wiele większym sceptycyzmem niż całe pokolenia naukowców, bezkrytycznie go cytujących i traktujących jego domniemanie jak prawdę objawioną. Nie ma wątpliwości, że sam Muller zdawał sobie sprawę z tej tendencji i stawiał jej opór: „Wielokrotnie powtarzałem, że daty, które przypisują trzem pierwszym okresom literatury wedyjskiej, są wyłącznie hipotetyczne” – protestował¹⁹. Podczas wykładów w Gifford w 1890 roku przypominał studentom, że datowanie na 1200 rok p.n.e. opiera się na nie do końca pewnych założeniach dotyczących tempa ewolucji sanskrytu: „Nikt na świecie nie jest w stanie stwierdzić na pewno, czy wedyjskie hymny powstały w 1000, 1500, 2000 czy 3000 roku p.n.e.”²⁰. W książce *The Six Systems of Indian Philosophy* (Sześć systemów indyjskiej filozofii), która przedstawia Wedy jako „grobowce o zawartości znacznie bogatszej niż królewskie grobowce Egiptu”, Muller ostrzega:

Jeśli uznamy, że powstały w II tysiącleciu p.n.e., to znajdziemy się na bezpiecznym gruncie, choć nie wolno nam zapominać, że są to jedynie daty domyślne i nie staną się realne przez samo powtarzanie. Niezależnie od tego, czy hymny wedyjskie stworzono w 1500 czy 15 000 roku p.n.e., zajmują wyjątkowe miejsce w światowej literaturze²¹.

Alchemia

Mimo często powtarzanych zastrzeżeń i sprzeciwów Mullera, raz „wyznaczona” na około 1200 rok p.n.e. data powstania *Rygwedy* została przyjęta bez zastrzeżeń i wątpliwości. Sam autor koncepcji traktował ją jako hipotetyczną, lecz jego sława i autorytet sprawiły, że po jego śmierci uznano ją za „fakt”.

Kult osobowości wielkich ludzi przeobraża ich opinie w niepodważalne prawdy, dopóki – zazwyczaj po stosunkowo krótkim czasie – zdrowy rozsądek nie weźmie góry nad wiarą. Ale XIX-wieczna hipoteza Mullera w odniesieniu do chronologii Wed nadal traktowana była przez cały XX wiek z najwyższą powagą nawet przez naukowców tak mądrych i obdarzonych tak wielką intuicją jak Gre-

gory Possehl. Jednym z licznych wyznawców tego stanowiska jest profesor Jonathan Kenoyer z University of Wisconsin, inny wybitny znawca kultury Doliny Indusu, który w opublikowanej w 1998 roku książce *Ancient Cities of Indus Valley Civilization* (Starożytne miasta kultury Doliny Indusu) stwierdza:

Rygweda jest kompilacją świętych hymnów, która w znanej nam obecnie postaci powstała w okresie od połowy II do I tysiąclecia p.n.e., mniej więcej w tym samym czasie, kiedy miasta cywilizacji Doliny Indusu chyliły się ku upadkowi²².

Każdy, kto zapoznał się z pracami Kenoyera i Possehla, wie, że żaden nie przejawia skłonności do dogmatyzmu. Wręcz przeciwnie – zaliczają się do tych prawdziwych myślicieli i niezwykle utalentowanych badaczy o otwartych umysłach, którzy starają się rozwikłać zagadki starożytnych dziejów Indii za pomocą metod naukowych. Warto zresztą przy tej okazji zaznaczyć, iż daty powstania *Rygwedy* są tylko przypuszczalne, co w pełni potwierdza opinię Mullera, że wiele jej części w obecnej standardowej postaci mogło istnieć już od znacznie dawniejszych czasów w starożytnej ustnej tradycji Indii. Tak więc Possehl, Kenoyer i inni przyznają, że zebranie hymnów w całość nastąpiło zapewne około 1200 roku p.n.e., ale poszczególne utwory mogły być o wiele starsze. Szczególnie Kenoyer niezwykle gorliwie poszukuje w hymnach *Rygwedy* kontynuacji motywów kultury Indusu-Saraswati²³ – a przecież jeszcze nie tak dawno takie podejście byłoby nie do pomyślenia w głównym nurcie nauki.

Lecz jak dotąd ani Possehl, ani Kenoyer – czy żaden inny znany mi zachodni indolog, historyk, archeolog, lingwista lub jakikolwiek przedstawiciel nauki poza ośrodkami uniwersyteckimi w Indiach – nigdy nie brali pod uwagę możliwości, że cywilizacja Doliny Indusu, dotychczas uważana za „niemą”, ponieważ jej pisma nie dało się odczytać, w rzeczywistości przemawia do nas przez cały czas za pośrednictwem wedyjskiego sanskrytu.

Skoro wreszcie przełamano dwa schematy – odrzucając teorię o inwazji Ariów i przyjmując, że Wedy są prawdopodobnie znacznie starsze niż ich skompilowana wersja – wydaje mi się dziwne, że naukowcy poza Indiami nie uczynili trzeciego kroku, który wynika z dwóch poprzednich, i nie uznali, że prawdziwymi ojcami tych osieroconych pism byli twórcy z kultury Indusu-Saraswati, a nie jacyś enigmatyczni „aryjscy najeźdźcy” z II tysiąclecia p.n.e.

Czy przyczyną tej niechęci nie jest przede wszystkim fakt, iż teoria ta rozkwitła w okresie kolonialnym?

Jak zachować teorię o inwazji Ariów i jej nie uznać?

Bez wątpienia popularność teorii o inwazji Ariów oraz fakt, iż na trwałe ugruntowała się w umysłowości europejskich naukowców, można tłumaczyć jedynie

ich wewnętrznym przekonaniem, że obecność w Indiach „wyższego” języka, jak sanskryt, spokrewnionego z językami europejskimi, musiała być skutkiem przeniesienia go w zamierzczłej przeszłości z Europy do Indii, a nie na odwrót.

Vere Gordon Childe, profesor archeologii prehistorycznej na University of Edynburg i były dyrektor instytutu archeologii na University of Londyn, należał do najbardziej wpływowych propagatorów tego naukowego rasizmu. W 1926 roku, kiedy w Harappie i Mohendzo-Daro prowadzono wykopaliska, wychwalał „dar”, jaki w jego przekonaniu przynieśli Indiom „nordycy” Ariowie:

Trwałym wkładem, jaki Ariowie wnieśli w kulturę podbitych ludów, nie były osiągnięcia materialne czy techniczne, lecz wspaniały język i jego pobudzające działanie na umysły. Nie bez znaczenia pozostaje też fakt, iż Ariowie są ludem nordyckim. Genetyczne cechy fizyczne – na przykład siła – umożliwiły im podbicie ludów o lepiej rozwiniętej cywilizacji i narzucenie własnego języka w rejonach, w których ich fizyczny typ już prawie zupełnie zniknął. Ta prawda leży u podstaw ideologii germanofilów; nordycka „wyższość” w sensie fizycznym predestynowała ich do szerzenia doskonalszego języka²⁴.

Idee takie, potwierdzane i propagowane przez najwybitniejszych w owych czasach archeologów i etnologów, odegrały istotną rolę w tworzeniu się nazi-stowskiego kultu aryjskości i wyższości rasowej w latach 30. i 40. XX wieku, a w rezultacie doprowadziły do tragedii Holokaustu. Można by się więc spodziewać, że współczesny archeolog przyjmie diametralnie odmienny pogląd. Oto co Colin Renfrew, profesor archeologii na Cambridge University, mówi na ten temat:

O ile wiem, nie ma w *Rygwedzie* żadnego dowodu, iż ludność wedyjska przy-byla [do Indii]; opinia taka wzięła się z historycznego domniemania, iż to Indoeuropejczycy byli ludnością napływową²⁵.

Renfrew obwinia o wprowadzenie tej niedorzecznej, lecz tak bardzo rozpowszechnionej teorii „inwazji”, współczesnego Childe’owi sir Mortimera Wheelera, którego poglądy:

(...) znalazły wyraz w tej koncepcji. Gdy Wheeler mówił o „aryjskiej inwazji na Krainę Siedmiu Rzek w Pendżabie”, nie dysponował, o ile wiem, żadnymi dowodami w tej sprawie. Dokładna lektura kilkunastu fragmentów *Rygwedy*, odnoszących się do Siedmiu Rzek, nie pozwala dostrzec jakichkolwiek napomknien w inwazji: Kraina Siedmiu Rzek to ojczyzna *Rygwedy*, scena, na której toczy się akcja. Nic nie wskazuje na to, że Ariowie byli tam obcy²⁶.

Na koniec Renfrew czyni istotną uwagę, że mimo prób Wheelera uczynienia Ariów odpowiedzialnymi za masakry, których nigdy nie popełnili w miastach Indusu-Saraswati, oraz oskarżanie ich za upadek tych miast w II tysiącleciu p.n.e.

trudno stwierdzić, co tak szczególnie niearyjskiego jest w kulturze Doliny Indusu, czym można by uzasadnić hipotezę o indoeuropejskim pochodzeniu sanskrytu wedyjskiego²⁷.

Ostatecznie jednak sam Renfrew wysunął hipotezę o aryjskiej inwazji na Indie, tylko w nieco ogładzonym, politycznie poprawnym wcieleniu. Pozwalała ona uznawać nieindyjskie korzenie sanskrytu, ale z drugiej strony rezygnuje z niczym nie uzasadnionej teorii o inwazji w II tysiącleciu p.n.e. Hipoteza ta głosi, że „inwazja” była w rzeczywistości pokojową, rolniczą „migracją” czy też „rozproszaniem”, które miało miejsce znacznie wcześniej, prawdopodobnie w początkach epoki neolitycznej, 9000 lat temu²⁸. W swojej ważnej pracy *Archeology and Language* (Archeologia i język) twierdzi, że Anatolia (leżąca we współczesnej Turcji i zajmująca półwysep między Morzami Czarnym, Śródziemnym i Egejskim) była:

(...) głównym rejonem, w którym posługiwano się pierwotną formą języka indoeuropejskiego przed 6500 rokiem p.n.e. Stąd odziedziczyła go Europa wraz z rozwojem rolnictwa. Rolnicy mówiący protoindoeuropejskim językiem wędrowali na wschód, do północnego Iranu, a nawet do Turkmenii. Potem język ten dotarł na południe, na Wyżynę Irańską oraz do północnych Indii i Pakistanu. Można więc ten proces postrzegać jako fragment procesu rozproszenia, zbieżnego ze zmianami demograficznymi towarzyszącymi przyjęciu rolniczego osadnictwa²⁹.

Hipoteza Renfrewa zakłada, że po przybyciu przodków do Indii pierwotni neolityczni potomkowie imigrantów pozostali na tej ziemi i przez tysiące lat rozwijali tu swoje struktury społeczne i wierzenia. Jego zdaniem nadal mówili językiem wywodzącym się z tego, który przynieśli z Anatolii, a który przekształcił się w sanskryt; w nim ostatecznie spisano Wedy. Choć nigdy nie badał dalszych implikacji swojej hipotezy, to w zasadzie nie negował tezy, iż właśnie ten lud stworzył kulturę Indusu-Saraswati.

Dwie strony medalu

Tymczasem za murami przytulnych klubów, w których zachodni naukowcy snuli swoje hipotezy, indyjscy uczeni rozpoczęli wytężone prace, szukając bezpośrednich związków pomiędzy kulturą Indusu-Saraswati a tekstami wedyjskimi. Podobnie jak Renfrew, dr S.R. Rao, słynny inicjator archeologicznych badań podmorskich w Indiach, także uważa, że język miast w rejonie Indusu i Saraswati był pierwotną formą wedyjskiego sanskrytu. Więcej – badacz przedstawił pełne tłumaczenie tego pradawnego pisma w oparciu o wszystkie znane jego próbki³⁰. Wielu innych wybitnych naukowców, jak dr R.S. Bisht, dyrektor indyjskiego

instytutu badań archeologicznych, i S.P. Gupta, profesor historii sztuki w instytucie Muzeum Narodowego w New Delhi, wysunęło podobne hipotezy.

Bisht na przykład dowodził, że hierarchiczna struktura miast kultury Harapy wiąże się z opisanym w *Rygwedzie* systemem trimesztin, zakładającym trzy wyraźnie wydzielone sektory osadnictwa: paramawesztina (Górne Miasto), madhajamawesztina (Środkowe Miasto) i awamawesztina (Dolne Miasto). Wskazuje również, że miasto Dholawira w stanie Gudżarat, pochodzące z III tysiąclecia p.n.e., mierzyło 771 metrów ze wschodu na zachód w najszerszym miejscu i 616,8 metra z północy na południe; stosunek obu tych wartości wynosi 5:4. Cytadela, czyli Górne Miasto, liczyła 114 metrów ze wschodu na zachód, a z północy na południe 92,5 metra – i znowu wymiary są w stosunku 5:4. Bisht sądzi, że nie przypadkiem te same proporcje znajdujemy w starożytnych opisach wedyjskich ołtarzy ofiarnych³¹.

S.P. Gupta również zwraca uwagę, że wszystkie najważniejsze cechy charakterystyczne religii i kultury przypisywane *Rygwedzie* znajdujemy także w owych tajemniczych, starodawnych miastach wzdłuż rzek Indus i Saraswati. Pierwszą i najbardziej intrygującą z tych cech są same miasta, bo w przeciwieństwie do panującego dawniej przekonania, iż Wedy opisują społeczności pasterskie i nomadyczne, wszyscy naukowcy stwierdzają dziś zgodnie, że w *Rygwedzie* i innych wedyjskich tekstach o miastach mówi się jako o siedzibach Ariów. W Wedach zaznaczają się także – potwierdzone przez wykopaliska – obecność bydła i udomowionych koni, istnienie ołtarzy ofiarnych oraz wyraźne ślady międzynarodowego handlu i dalekomorskich wypraw. Gupta pisze:

Świadomość, że Wedy zawierają dość istotnych dowodów na to, iż autorzy hymnów znali skupiska miejskie i życie w nich, handel zagraniczny i dalekomorski itp., co również charakteryzowało kulturę miejską Indusu-Saraswati, pozwala nam łatwiej przyjąć teorię, że cywilizacja ta oraz społeczność wedyjska mogły stanowić dwa uzupełniające się elementy jednej i tej samej cywilizacji³².

Ale w przeciwieństwie do Renfrewa i innych zachodnich specjalistów, naukowcy indyjscy odrzucają istnienie europejskich czy środkowoazjatyckich korzeni cywilizacji wedyjskiej. Mając po temu wszelkie racjonalne podstawy, opowiadają się za całkowicie niezależnym rozwojem kulturowym swojego subkontynentu, jak i kultury Indusu-Saraswati.

W ten sposób indyjscy badacze zapoczątkowali znacznie już opóźniony proces porównywania jednego z najwspanialszych i odznaczających się głębią duchową dzieł starożytnej literatury z bezspornie największym, najbardziej niezwykłym kompleksem miejskim prehistorii. Jeśli uda się pogodzić paradoks złożonej struktury miejskiej posiadającej pismo, ale pozbawionej literatury, z wyrafinowaną literaturą, za którą nie stoi żadna materialna potęga, być może, znajdziemy ogniwa łączące Wedy ze znaną historią i prehistorią oraz z określoną cywilizacją miejską.

Czyżby starożytne Indie miały wreszcie – po tysiącletnim milczeniu – zacząć mówić własnym głosem?

Moje indyjskie dzieciństwo

W jasny lipcowy poranek 1954 roku, kiedy miałem zaledwie niecałe cztery lata, zszedłem za ojcem i matką z pokładu statku w Bombaju. Jechaliśmy potem koleją przez całe Indie, a z tej podróży niewiele już pamiętam (natomiast statek pamiętam bardzo dobrze). Wreszcie przybyliśmy do Wellur w stanie Tamilnadu na dalekim południu. Tu mój ojciec objął stanowisko ordynatora oddziału chirurgii w Christian Medical College Hospital.

Mieszkaliśmy w wielorodzinnym domku w kampusie college'u wraz z rodzinami innych lekarzy i personelu medycznego. Z werandy na tyłach domu widać było w oddali palmy i pole. Podczas pory monsunowej zatykałem wyloty rynny na werandzie, która napełniała się wodą deszczową jak basen pływacki. Widok palm zginających się wpół pod naporem wichury sprawiał, że serce biło mi jak szalone i traciłem dech w piersiach. Pamiętam to wszystko tak, jakby zdarzyło się wczoraj.

Nasze mieszkanie znajdowało się na parterze. Poniżej była pełna kurzu jama, w której kiedyś znalazłem jedwabście gładkie jajko jaszczurki. Pamiętam też sadzawkę z nieprawdopodobną ilością zab i drzewa, po których się wspinałem; na jednym z nich zbudowano domek.

Często jeździliśmy do Wellur, około 5 kilometrów od kampusu. Czasami ojciec zabierał mnie do szpitala, a ja łąziłem za nim krok w krok. Albo chodziłem do tamilskiej szkoły, do której zapisano mnie, gdy skończyłem 6 lat. Jeden z rówieśników dźgnął mnie ołówkiem w lewe ramię, do dziś mam w tym miejscu bliznę.

Mój ojciec pobierał pensję misjonarza, byliśmy więc biedni jak myszy kościelne. A jednak mogliśmy pozwolić sobie na zatrudnienie służącego, który musiał być znacznie od nas biedniejszy. Miał na imię Manikam. Pamiętam, jak przynosił mi obiad w aluminiowych nosidełkach i zabierał na przejażdżki riksą po wąskich zatłoczonych uliczkach.

Jeździliśmy też na wakacje w góry, do Kodaj, gdzie mój pies Trixie został ukąszony przez chore na wściekliznę zwierzę i trzeba go było uśpić. Spędzaliśmy również czas nad morzem w Mahabalipuram, na południe od Madrasu, gdzie nauczyłem się pływać. W moją pamięć na lata zapadły wielkie, wykute w kamieniu świątynie wznoszące się nad wybrzeżem Zatoki Bengalskiej.

Pierwsze spotkanie z Indiami wywarło na mnie ogromny wpływ i cieszę się, że w wieku, w którym kształtuje się osobowość człowieka, dane mi było poznać swoistą atmosferę nieprzeniknionej tajemniczości, jej aksamitne ciepło i głębię tej krainy, jej intensywne barwy, widoki, dźwięki, smaki i wonie, jej radosną, pełną erotyzmu urodę, jej okrucieństwo, miłość, namiętność i wiecznie zaskakujące kontrasty: przeszłość i teraźniejszość, słońce i burze, pustynie i łąki, bogactwo i biedę, życie i śmierć...

Moja młodsza siostra Susan urodziła się już w Indiach i zmarła po niespełna roku na jakąś nieznaną chorobę. Potem przyszedł na świat mój brat Jimmy – z tak osłabionym układem odpornościowym, że nie był w stanie zwalczyć najmniejszej

nawet infekcji. Wkrótce i on znalazł się na krawędzi śmierci, zachorowawszy na zapalenie płuc wywołane przez *pneumocystis carinii*, na które obecnie często zapadają chorzy na AIDS. Tak więc, pewnej ciemnej nocy w marcu 1958 roku, kiedy miałem siedem i pół roku, wsiadłem na pokład samolotu wraz z matką, ojcem i malutkim, smutnym, schorowanym Jimmym, prawie niewidocznym pod przenośnym namiotem tlenowym.

I to wszystko. Tak skończyło się moje dzieciństwo w Indiach.

Lecieliśmy w atramentowej ciemności. Zatrzymaliśmy się w Egipcie, gdzie z powietrza ujrzałem ocean piasku. Mieliśmy też postój w Zurichu. Padał śnieg, a mnie kupiono pierwszy w życiu baton Toblerone, i to było niezapomniane doświadczenie. Kiedy znaleźliśmy się na ziemi, straciłem na chwilę ojca z oczu i strasznie bałem się, że samolot odleci beze mnie. W końcu dotarliśmy do Londynu, gdzie rodzice pospieszyli do Great Ormond Street Children's Hospital w rozpaczliwej, lecz niestety beznadziejnej próbie ratowania Jimmy'ego. W tym czasie zamieszkałem w Edynburgu z babką. Tu zafascynował mnie śnieg, tarzałem się w nim i zamarzałem na kość podczas zabawy, i wkrótce wylądowałem w łóżku z ciężkim zapaleniem płuc.

Indyjska Atlantyda

Wiele lat później, latem 1992 roku, wydawca przekazał mi list od pewnej damy z Indii, mieszkającej obecnie w Kanadzie. Przeczytała moją książkę *Znak i pieczęć*, w której znalazła fragment o Atlantydzie i o hipotezie dotyczącej zaginionej cywilizacji, unicestwionej przez potop. Pisała, by przekazać mi indyjską legendę, której mogłem nie znać, mówiącą o bardzo podobnym zdarzeniu: wiele tysięcy lat temu ogromne miasto zostało pochłonięte przez morze. Nazywało się Dwaraka lub Dwaraka. Mówią o nim stare święte pisma. A co ciekawsze, grupa indyjskich archeologów podmorskich prowadziła badania w miejscu, w którym zatonała Dwaraka, i znalazła tam resztki olbrzymich murów oraz podwodnych fortyfikacji.

W okresie, w którym dostałem ten list, zajęty byłem opracowywaniem materiału do kolejnej książki, *Ślady palców bogów* (ukazała się w 1995 roku) i nawet planowałem wyprawę do Indii. Moja żona Santha pochodzi ze społeczności Tamilów (choć urodzona i wychowana w Malezji) i także zapaliła się do tego projektu. Jednak najbardziej zaskoczyły nas zbieżność w czasie i waga informacji zawartych w owym liście. Postanowiliśmy sprawdzić, czy historia o Dwarce jest prawdziwa.

Najpierw upewniłem się, że istotnie w starych indyjskich tekstach znajdują się wzmianki o przedpotopowym mieście Dwaraka: miasto zostało założone w zamierzczłych czasach przez boga Krysznę, wcielonego w ludzką postać, a zatonało wkrótce po śmierci Kryszny.

Chciałem też sprawdzić, czy w Dwarce, którą starożytne teksty umiejscawiają w północno-zachodnich Indiach, wzmiankuje się w czasach historycznych. Okazało się, że istnieje odpowiednik tego miasta, święte miejsce o takiej samej na-

zwie, jeden z najważniejszych celów pielgrzymek w Indiach. Miejsce to znajduje się tam, gdzie powinno: w stanie Gudżarat w północno-zachodnim zakątku półwyspu Kathijawar nad Morzem Arabskim. Potwierdziły się też informacje mojej korespondentki o badaniach prowadzonych tam przez podmorskich archeologów (pod kierownictwem S.R. Rao), którzy nurkowali około kilometra od brzegu i odkryli ogromne, zatopione miasto. Nie znaleziono co prawda żadnych przedmiotów, na podstawie których można by określić wiek znaleziska, jednak uznano, że pochodzi ono z „późnego okresu” kultury Indusu-Saraswati, prawdopodobnie z lat 1700–1500 p.n.e.

W owym czasie jeszcze nie umieliśmy nurkować, ale uznaliśmy, że warto pojechać do Dwarki, aby poczuć atmosferę tego miejsca i dowiedzieć się czegoś więcej. Zaplanowaliśmy pięciodobną podróż w listopadzie i grudniu 1992 roku. Mieliśmy pojechać najpierw do Pakistanu, żeby obejrzeć słynne miasta Doliny Indusu – Harappę i Mohendzo-Daro – których mieszkańcy handlowali z Sumerem, a które były równie stare jak Wielka Piramida w Egipcie. Następnie polecilibyśmy do Nepalu, żeby odwiedzić Shanti i Ravi, dwójkę dzieci Santhy z pierwszego małżeństwa, które chodziły do szkoły amerykańskiej w Katmandu. Z Nepalu mieliśmy się udać do Delhi, federalnej stolicy Indii, później do Orisy, do świątyni słońca w Puri i Konarak nad Zatoką Bengalską. Następnym celem były Tamilnadu, gdzie chciałem odwiedzić dom mego dzieciństwa w Wellur, i południe Indii, skąd pochodziła Santha. Stąd planowaliśmy wyprawę do Gudżaratu i spędzenie tygodnia w Dwarce.

Ale nie wszystko odbyło się zgodnie z zamierzeniami. Na skutek rozruchów i krwawych walk między hinduistami a muzułmanami w Indiach wprowadzono częściowy stan wyjątkowy. Równocześnie, z zupełnie innych powodów, główne linie lotnicze subkontynentu, Indian Airlines, dotknięte falą strajków, zostały zmuszone do rozwożenia pasażerów po całych Indiach środkami transportu naziemnego.

W końcu więc dotarliśmy do Dwarki, jednak nie samolotem, lecz w samochodzie.

Potop w Dwarce i nastanie ery Kali

Hindusi pojmują historię i prehistorię w kategoriach zmian cyklicznych, a nie linearnych. Na Zachodzie czas mknie prosto jak strzała: rodzimy się, żyjemy i umieramy. Tymczasem w Indiach umieramy, żeby się odrodzić. Koncepcja reinkarnacji jest głęboko zakorzeniona i w duchowej tradycji tego kraju wszystkie żywe istoty oraz ziemia są uwięzione w nieustannym cyklu narodzin, wzrostu, owocowania i śmierci, a potem odrodzenia i odnowy. Porządkowi temu podlegają nawet świątynie: gdy się starzeją i mogą zagrażać życiu wyznawców, muszą zostać odnowione lub odbudowane w tym samym miejscu.

W tym wzorcu spiralnych cykli mieszczą się także cztery wielkie epoki albo „ery świata” o różnej, lecz zawsze ogromnej długości: krytajuga, tretajuga,

dawaparajuga i kalijuga. Pod koniec każdej jugi nastaje kataklizm – pralaja – który pogrąży świat w ogniu lub potopie. A potem, z ruin minionej ery, jak Feniks z popiołów, odradza się nowa.

I tak to trwa po kres czasu: narodziny, wzrost, owocowanie, śmierć, odrodzenie. Pod koniec każdego cyklu czterech epok następuje superkataklizm i zaczyna się nowy cykl jug.

Każdy cykl i każda juga w obrębie cyklu odznacza się według Hindusów specyficznym charakterem: krytajuga to wiek złoty „w którym dominuje prawość”. Następująca potem tretajuga to czas staczenia się, kiedy to „nie dostaje cnoty”. W czasie dawaparajuga „nasilają się kłótnie i kłamstwo, głupota, odstępstwo od prawdy”. W epoce kalijuga „ludzie stają się nikczemni i cenią to, co nic niewarte, szerzy się zepsucie, a rodzaj ludzki jest coraz bliższy unicestwienia”.

Historia Dwarki, wpleciona w ten schemat, obejmuje dwie z wielkich epok świata. Pisano o niej w poemacie epickim *Mahabharata* (która powstała kilkaset lat po *Rygwedzie*) i w późniejszych świętych księgach, jak *Bhagwatapurana* i *Wisznupurana*.

Czytamy tam, że pod koniec dawaparajugi Dwarka była bajecznym miastem wybudowanym na północno-zachodnim wybrzeżu Indii. Założył ją i władał nią Kryszna (ludzkie wcielenie boga Wisznu), powstała zaś na ruinach jeszcze starszego świętego miasta, Kususthali, na lądzie wyrwanym morzu: „Kryszna wyprosił od oceanu około 2400 metrów ziemi i tam pobudował miasto Dwarka, bronione przez wysokie wały”³³. Sławi się ogrody i powaby miasta, które wydaje się miejscem o wyjątkowym splendorze.

W wiele lat później jednak, gdy zbliża się koniec dawaparajugi, Kryszna zostaje zabity. *Wisznupurana* donosi: „Tego samego dnia, w którym Kryszna opuścił ziemię, zstąpiła potężna, czarnoskóra Kali. Ocean podniósł się i zatopił całą Dwarę”³⁴. A era Kali to nic innego, jak obecna epoka na ziemi – nasza własna – która zaczęła się 5000 lat temu według kalendarza indyjskiego, czyli w 3102 roku p.n.e.³⁵ *Bhagwatapurana* ostrzega, że jest to era, w której „ludzie będą chciwi, złośliwi, bez serca, przejawiać będą wrogość bez powodu, będą nieszczęśliwi, żądni bogactw i światowych uciech”³⁶.

Rozdział 4

Pielgrzymka do Indii

Wkrótce Mahabalipuram stało się najświetniejszym wśród miast na ziemi; a gdy zgromadzeniu bogów na dworze Indry przedstawiono jego wspaniałość, wzbudziło to w nich taką zazdrość, iż rozkazali Bogu Morza, aby wzburzył bałwany i zatopił miasto, które śmie dorównywać splendorem ich siedzibom. Bóg usłuchał rozkazów i miasto w mgnieniu oka zostało pochłonięte przez rozwścieczony żywioł i nigdy więcej się nie podniosło.

William Chambers *The Asiatic Researches* (Badania Azji), t. I, 1788

Tego samego dnia, w którym Kryszna opuścił ziemię, zstąpiła potężna, czarnoskóra Kali. Ocean podniósł się i zatopił całą Dwarę.

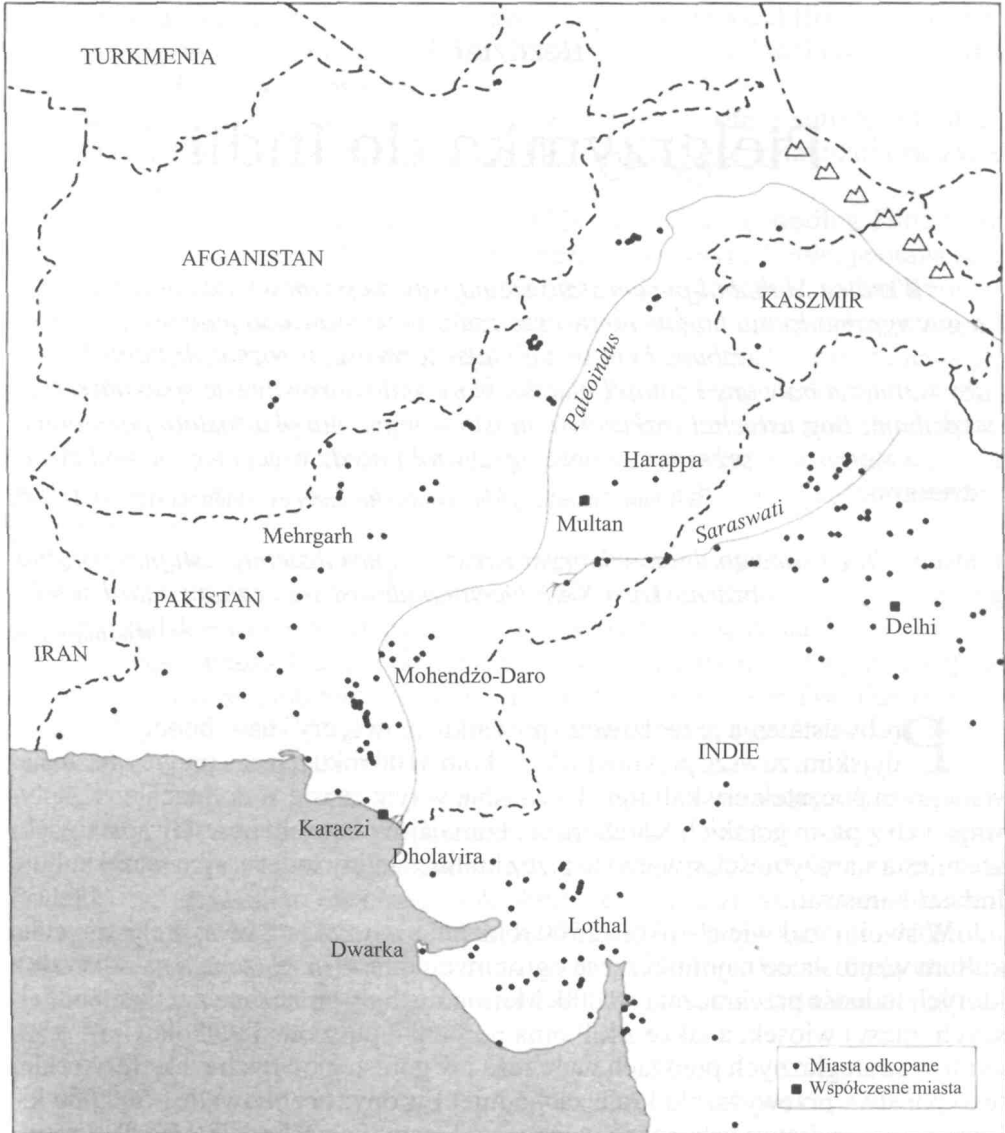
Wisznupurana

Próby ustalenia prawdziwego początku „nowej ery” na subkontynencie indyjskim, zawsze przynoszą datę około 3100 roku p.n.e. – tradycyjnie uznanego za początek ery kalijugi. To właśnie w tym czasie w dolinach rzek, spływających z pasm górskich Karakorum i Himalajów, zaczęły powstawać największe miasta starożytności, stworzone przez kulturę Doliny Indusu, albo raczej kulturę Indusu-Saraswati.

W swoim rozkwicie – około 2500 roku p.n.e. – ta zagadkowa, prehistoryczna kultura wzniosła co najmniej sześć ogromnych miast (inne czekają na odkrycie), których ludność przekraczała 30 000. Metropolie były połączone z setkami mniejszych miast i wiosek, a także z kilkoma portami – jak Lothal i Dholawira – leżącymi w strategicznych punktach wybrzeża i w górę żeglownych rzek. Terytorium tego państwa przewyższało kraje zachodniej Europy: obejmowało 1 500 000 kilometrów kwadratowych, rozciągając się od Iranu na zachodzie oraz Turkmenii i Kaszmiru na północy po dolinę Godawari na południu i poza Delhi na wschodzie¹. Posiadało też odległe placówki – na przykład w Zatoce Perskiej – sieć kontaktów handlowych oraz wielką flotę².

Kiedy lecieliśmy z Londynu do Karaczi, wiedziałem już na tyle dużo o „kulturze Doliny Indusu” (pod taką nazwą ją wtedy znałem), żeby być zaintrygowanym, lecz nie znałem szczegółów. Jak większości ludzi, którzy słyszeli o tej kulturze, kojarzyła mi się z dwoma odkopanymi miastami – Harappą i Mohendžo-Daro – które znalazły się na pierwszych stronach gazet i stały się sławne począwszy od lat 20. XX wieku.

Po przespaniu całego dnia w dość obskurnym hotelu w Karaczi poleciliśmy na północ do Multanu, świętego miasta islamu. Znaleźliśmy tu mówiącego po



Według Possehla (1999)

angielsku taksówkarza, który zgodził się zawieźć nas do Harappy, a potem na południe do Mohendzo-Daro i w końcu do Karaczi. W sumie trasa liczyła około tysiąca kilometrów.

Mohendzo-Daro

Zacytuję teraz własne notatki z 1992 roku. Pominię Harappę, gdyż – prawdę mówiąc – opis Mohendzo-Daro starczy za oba miasta:

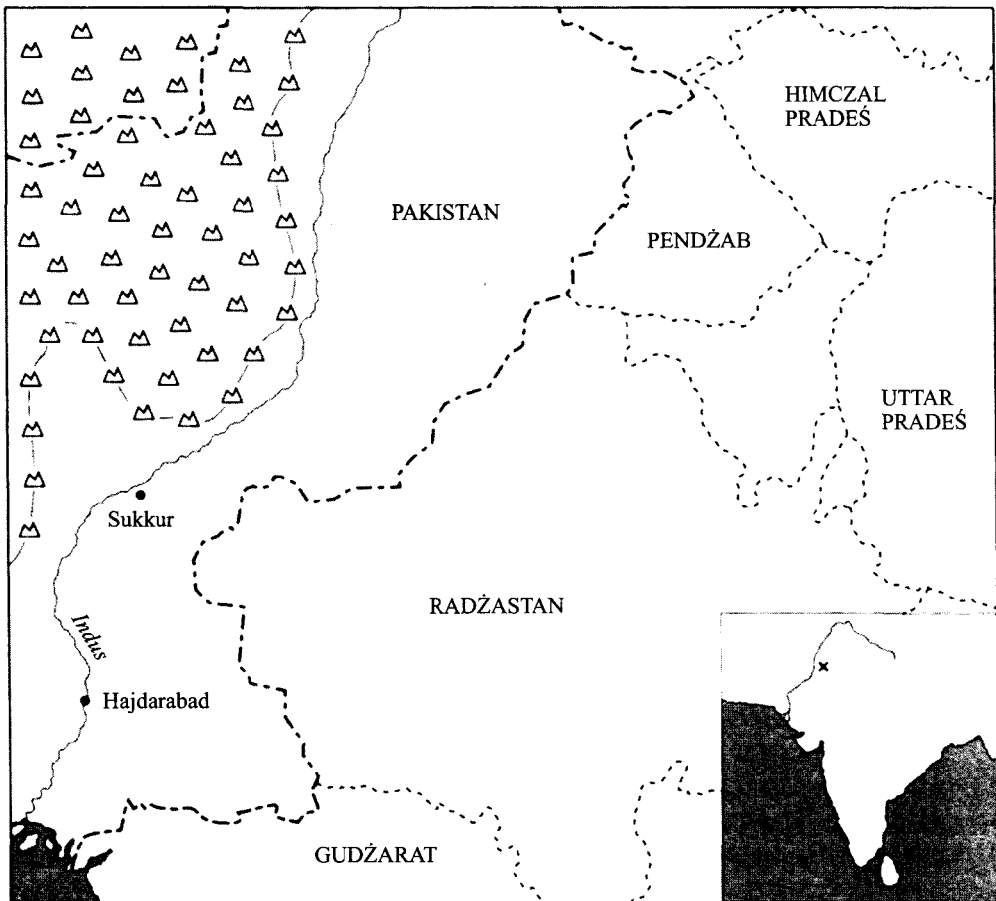
16 listopada 1992, poniedziałek

Przekroczyliśmy granicę Pendżabu i prowincji Sind dość późno, około 22.00. Na przejściach granicznych dość dokładnie sprawdza się podróżnych. W Sind wiadać więcej policji i straży. W końcu przybywamy do Sukkur, przekraczamy zaporę o 22.50 i meldujemy się w hotelu na zakurczonym przedmieściu o 23.50.

Recepcjonista, który przyrzadził nam kolację około północy, chce się koniecznie dowiedzieć, o której rano wyjeżdżamy. Spytałem, po co mu te informacje. Mówi, że w Sind nie jest bezpiecznie, że grasują dakoti (bandyci). Niedawno porwali na drodze dwóch podróżnych z Japonii i z Tajwanu, żądając 6 000 000 rupii okupu. Rodziny zapłaciły połowę, pakistański rząd drugą połowę. Obcokrajowcy są mile widziani przez bandytów, bo wydaje się im, że są bardzo bogaci.

Okazuje się, że jeśli chcemy pojechać do Hajdarabadu przez Mohendźo-Daro, musimy mieć eskortę. Samo Mohendźo-Daro w obwodzie Larkana to miejsca „bardzo niebezpieczne”.

Dowiedzieliśmy się też, że przez całą noc hotelu musi pilnować policja, bo my w nim jesteśmy i mogą nas porwać z pokoju!



Opuszczamy hotel nazajutrz o 9.00 w asyście czterech uzbrojonych policjantów na pace toyoty pickupa. Uzbrojeni są w G3, AK47 i dwa starsze karabiny.

Widzimy, że również na ulicy towarzyszy nam eskorta, bo przejeżdżamy jakby sztafeta, od jednego wozu policyjnego do drugiego – w sumie było ich czternaście na drodze między Sukkur a Hajdarabadem. Wozy te często jadą bardzo szybko, z wirującymi policyjnymi „kogutami”, włączonymi syrenami, torując nam drogę wśród samochodów. Traktowano nas jak jakieś Bardzo Ważne Osobistości. Koordynacja działań policji naprawdę robi wrażenie, bo gdy kończy się rejon jednego, przejmuje nas kolejny wóz policyjny. Komunikują się przez radio, wydaje się, jakby w całej prowincji Sind panował stan wojenny, a wszystko znajdowało się pod kontrolą armii i policji.

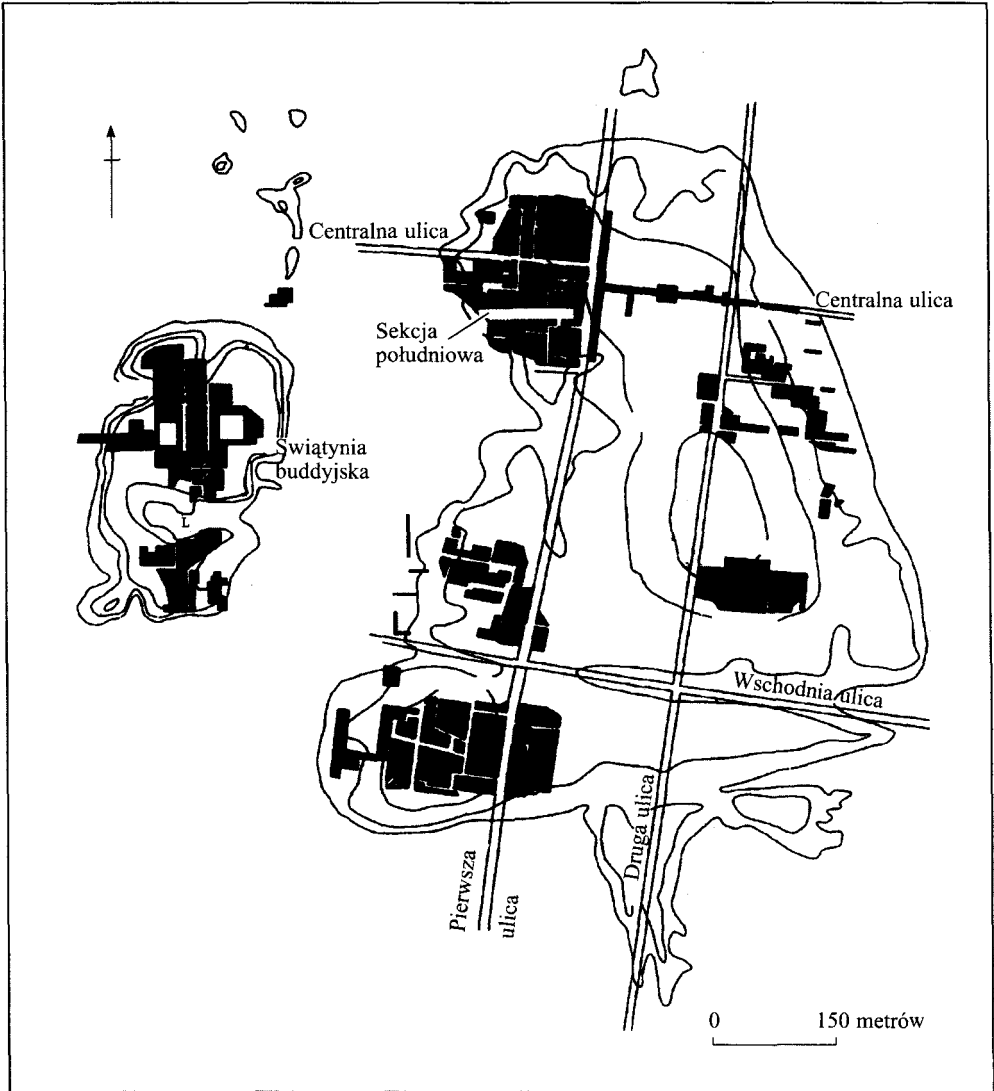
Do Mohendźo-Daro przybyliśmy około 11.30 wraz z policyjną eskortą – czterech z tyłu pickupa, dwóch z przodu. Po drodze zatrzymaliśmy się tylko raz i spędziliśmy godzinę na poboczu w otoczeniu czterech policjantów. Pewnie chcieli nas ustrzec przed porwaniem przez dwudziestu paru mieszkańców wioski, którzy drepali wokół, zupełnie niegroźni, przyglądając się nam z ciekawością, a na głowach mieli małe kapelusze.

Po przybyciu do Mohendźo-Daro od razu udaliśmy się na miejsce wykopalisk, wciąż pod ścisłą ochroną policjantów, którzy nie zgodzili się nas opuścić nawet na sekundę, twierdząc, że ktoś może nas porwać. Wędrowaliśmy więc po zakurzonych wykopaliskach w zbrojnej asyście. Przyznam, że cała sytuacja wydawała mi się surrealistyczna.

Ponieważ mieszkańcy Harappy rzadko ozdabiali cegły, z których wznosili swoje ogromne budowle, sir Mortimer Wheeler [The Indus Civilization (Cywilizacja Indusu), 3 wyd., 1968] opisuje rozległe pozostałości po Mohendźo-Daro jako robiące „silne wrażenie pod względem wielkości i znaczące z socjologicznego punktu widzenia, lecz od strony estetycznej monotonne”³. Przyglądając się ruinom w prażącym południowym słońcu, nie mogłem się z nim nie zgodzić. Rzeczywiście jest jakaś monotonia w tych zwałach czerwonej cegły, w pokrywającym wszystko czerwonym pyłem. Ale z drugiej strony, paradoksalnie, to dziwne miejsce przytacza: zwarte, trwałe, nieprzeniknione.

Podeszliśmy do głównego rejonu wykopalisk po kilku stromych stopniach. W zachodnim rogu znajdowała się zżarta erozją, kopulasta buddyjska świątynia, ustawiona tu około 2000 lat temu [na długo po upadku kultury Indusu-Saraswati]. Mieliśmy stąd widok na budowlę, którą archeolodzy nazywają Grecką Łażnią. Wyraźnie rysowała się charakterystyczna dla Mohendźo-Daro doskonała geometria ulic, biegnących idealnie z północy na południe i ze wschodu na zachód, z rzędami ceglanych domów i przykrytych ścieków. Za Łażnią, także na zachód, resztki Spichlerza. A jeszcze dalej dawne koryto Indusu.

Wielka Łażnia – prawdopodobnie służąca do rytualnych kąpiei i oczyszczeń – wygląda jak średniej wielkości prostokątny basen pływakowy i liczy 11,89 metra długości (z północy na południe), 7,01 metra szerokości (ze wschodu na zachód), a głębokość wynosi około 2,44 metra⁴. Ścisłe dopasowane cegły, bitumowa warstwa izolacyjna i uszczelnienie zaprawą gipsową świadczą o wysokiej kulturze architekto-



Plan Mohendzodaro. Według Possehla (1999)

nicznej. Szczególne wrażenie robi system kanalizacyjny, przez który z Wielkiej Łażni spuszczano wodę, płynącą potem rowami nakrytymi sklepieniem z cegły.

Od Wielkiej Łażni poszliśmy jakieś 800 metrów na wschód od świątyni do dzielnicy rezydencji zwanej DK, gdzie mieszkali bogaci i wysoko urodzeni. Nazwano ją tak od imion archeologa, D.K. Dikshitara, który prowadził tu wykopaliska w latach 20. XX wieku.

DK to imponująca podmiejska dzielnica willowa. Wiele budynków miało dwie, czasem trzy kondygnacje, a niektóre ściany wciąż wznoszą się na wysokość

czterech metrów. Podłogi i sufity wykonane były z drewnianych belek, ale po nich nie pozostał nawet ślad. Są też ślady ulicznych latarni (umieszczanych we wnękach w budynkach), jedna z nich znajduje się w muzeum. Znalezione również wysypisko śmieci ze specjalnymi, osłoniętymi skrzyniami. Ale największe wrażenie robi system kanalizacyjny w postaci wielokilometrowych osłoniętych kanałów; wiele prywatnych domów posiadało toalety, przypominające dzisiejsze, z których nieczystości spływały pochyłymi kanałami ceglany do ścieków lub specjalnych naczyń stojących na zewnątrz. Nieczystości te regularnie usuwały specjalne służby miejskie. W rowach kanalizacyjnych w regularnych odstępach znajdowały się studzienki odpływowe, również systematycznie oczyszczane, wyposażone w kraty zatrzymujące duże odpadki, a przepuszczające ciecz.

Krótko mówiąc – twórcy Mohendźo-Daro wiedzieli, jak budować ośrodki miejskie, a wiedza ta przekazywana była od pradawnych czasów...

Nauka

W szczytowym rozkwicie – w połowie III tysiąclecia p.n.e. – powierzchnia miasta wynosiła 250 hektarów, a populacja sięgała przypuszczalnie 150 000⁵. Mohendźo-Daro stanowiło w tym czasie jedno z wielu miast, miasteczek i wiosek tworzących cywilizację Indusu-Saraswati, z których większość zbudowano z wypalanej cegły, wytwarzanej z wilgotnej gliny o ustalonym składzie. Jednego rozmiaru cegieł (7×14×28 centymetrów) używano do wznoszenia budynków, innego (10×20×40 centymetrów) – do budowy murów wokół miast. W każdym przypadku proporcja była ta sama: grubość = 1, szerokość = 2×1, długość = 4×1⁶.

Podobnie jak Mohendźo-Daro, kilka innych miast kultury Indusu-Saraswati (choć nie wszystkie) budowano według tego samego, ściśle określonego schematu. Główne ulice przebiegały dokładnie z północy na południe i ze wschodu na zachód. Świadczy to o szczegółowym, celowym planowaniu – przecież w większości kultur osadnictwo było dość chaotyczne, dzielnice dobudowywano w miarę rozwoju miast; tu nie ma mowy o jakiegokolwiek przypadkowości. Wiele miast kultury Indusu-Saraswati od początku wznoszono według określonej koncepcji. Co więcej – precyzyjne projektowanie głównych budowli dowodzi, że ich konstruktorzy korzystali z pomocy astronomów. Niektórzy uczeni wysnuwają stąd uzasadniony wniosek, że astronomia była nauką wysoko rozwiniętą i cenioną na obszarze tej cywilizacji i miała zapewne związek z nieznaną nam religią, którą tu wyznawano⁷.

Zauważono również, że miary i wagi stosowane w Mohendźo-Daro, Harapie i innych miastach świadczą także o znajomości matematyki. Określanie wagi opierało się na skali binarnej: 1, 2, 4, 8, 16, 32 itd., aż do 12 800 jednostek (jedna jednostka równała się 0,85 grama)⁸. Pomiarów natomiast dokonywano w systemie dziesiętnym. „W Mohendźo-Daro znaleziono skalę z zaznaczonymi podziałkami na jednostki o długości 0,67 centymetra. «Stopa» liczyła 33,5 centymetra (czyli 50×0,67)»⁹. W porcie kultury Indusu-Saraswati, Lothal, S.R. Rao wykopał skalę z małutkimi podziałkami trochę powyżej 1,7 mm.

Dziesięć podziałek równa się 17,78 mm. Mury w dokach Lothal mierzą 1,78 metra szerokości, co jest wielokrotnością najmniejszej podziałki na znalezionej tam skali, oznakowanej w jednostkach dziesiętnych. Długość muru w dokach ze wschodu na zachód wynosi dwudziestokrotność jego szerokości. Najwyraźniej inżynierowie z Harappy stosowali dziesiętny system pomiaru¹⁰.

Zdaniem Rao relikty kultury Indusu-Saraswati – czy to w dziedzinie rozplanowania miejskich budowli, projektowania urządzeń inżynierii sanitarnej czy stosowania standardowych wag i miar w matematycznie określonym systemie – dowodzą niezbitie „naukowej wiedzy mieszkańców Harappy”¹¹. Jonathan Kenoyer pisze, że w niektórych przypadkach ich technika była tak zaawansowana, iż:

(...) nawet dziś nie pojmujemy w pełni wielu aspektów tej technologii, a naukowcy bezskutecznie próbują odtworzyć ceramikę kamionkową ze zwykłej glinki terakotowej i wytworzyć brąz twardy jak stal¹².

„Niemal wszystko, co napisano o tej cywilizacji dawniej, jest błędem...”

Nie do pomyślenia, by tak dobrze rozwinięta i zorganizowana cywilizacja, która rozkwitła 4500 lat temu w dolinach Indusu i Saraswati w północnych Indiach i Pakistanie, pojawiła się znikąd, w pełni uformowana, z pełną infrastrukturą miejską. Zdrowy rozum podpowiada, że musiała przejść przez długą fazę rozwojową gdzieś indziej i dopiero tu osiągnęła dojrzałość. Ale prowadzone przez cały XX wiek prace wykopaliskowe nie przyniosły dowodów, iż gdziekolwiek na subkontynencie istniały zaczątki tej cywilizacji.

Powstała próżnia, którą europejscy naukowcy próbowali wypełnić rozmaitymi hipotezami, między innymi tą, że cywilizacja Doliny Indusu pochodzi spoza Indii. Dla wielu było to bardzo wygodne wyjaśnienie jej wysokiego poziomu. S.P. Gupta podkreśla, że sir Mortimer Wheeler nie tylko nauczał, iż Mohendźo-Daro i Harappa zostały zniszczone przez aryjskich najeźdźców, lecz nie potrafił nigdy przyznać, że tak wspaniale rozwinięte ośrodki mogły powstać na samym subkontynencie, i dowodził, iż „pojęcie »miasta« jako miejsca do życia musiało przeniknąć do Indii z Mezopotamii”¹³. Gupta stwierdza dalej z irytacją, że zdaniem Wheelera:

(...) przynajmniej kilku mezopotamskich murarzy musiało pracować w Mohendźo-Daro, kierując wznoszeniem budowli z cegły, więc w praktyce nie tylko „pojęcie”, lecz i „ludzie” przybyli z Mezopotamii do Indii, żeby pokazać, jak buduje się miasto¹⁴.

Kiedy Wheeler zmarł w 1976 roku, teoria o mezopotamskich korzeniach kultury Doliny Indusu odeszła wraz z nim. Powodem było przede wszystkim rozpoczęcie

nowej fazy wykopalisk, którą w 1974 roku zainicjował francuski archeolog, Jean-François Jarrige, w nieprzebadanej przez archeologów miejscowości Mehrgarh na zachód od Doliny Indusu, położonej na dzikiej przełęczy Bolan.

To, co Jarrige ze swym zespołem tam odkryli, można przyrównać do archeologicznego świętego Graala – dowodzi istnienia w tym miejscu osadnictwa od około 6800 roku p.n.e., czyli 400 lat przed zbudowaniem Harappy i Mohendźo-Daro, po upadek miast w II tysiącleciu p.n.e.¹⁵. Prace wykopaliskowe wciąż trwają. Ich tempo w Mehrgarh i innych sąsiednich miastach – jak na przykład Nauszaro – które są równie stare, uległo znacznemu przyspieszeniu w połowie lat 90., ich rezultaty zaś zmieniły całkowicie nasze poglądy na korzenie kultury Indusu-Saraswati. Odkrycia były tak sensacyjne, że gdy w październiku 2000 roku rozmawialiśmy przez telefon z Gregorym Possehlem, usłyszeliśmy od niego: „Chcecie się czegoś dowiedzieć? No to powiem wam, co mówię moim studentom: Niemal wszystko, co napisano o tej cywilizacji dawnej niż pięć lat temu, jest błędem”¹⁶.

W rozdziale 7 powrócimy do zagadkowego Mehrgarh – ale w 1992 roku, kiedy wraz z Santhą przybyliśmy do Harappy i Mohendźo-Daro, nic jeszcze nie wiedzieliśmy o tym mieście i jego znaczeniu dla historii.

Od Himalajów do morza

Wyjechaliśmy z Pakistanu 19 listopada 1992 roku i najpierw udaliśmy się do Nepalu, gdzie księgarenki na wąskich uliczkach kosmopolitycznego rynku Thamel w Katmandu pełne są niezwykle ciekawych i rzadkich książek o starodawnych systemach religijnych Indii. W Księgarni Pielgrzymów kupiłem wszystkie sześć tomów *Rygwedy*, *Atharwawedy*, *Jadźurwedy* i *Samawedy*, przełożonych przez Ralpa Griffitha w 1881 roku. Ale ponieważ w tym czasie nie miałem podstaw, by wątpić w głoszony przez specjalistów pogląd o powstaniu tych ksiąg w latach 1200–800 p.n.e., odwlekałem dokładne ich przestudiowanie, gdyż moją uwagę pochłonęły teksty sumeryjskie i egipskie z okresu Starego Królestwa, które wydały mi się starsze.

Wkrótce dowiedziałem się, że młode pokolenie naukowców uważa, że wedyjskie hymny są prawdopodobnie znacznie starsze, nawet o kilka tysięcy lat – więcej, są najstarszymi z tekstów, jakie przetrwały do naszych czasów. Ale w 1992 roku była to tylko jeszcze jedna hipoteza dotycząca zagadkowej przeszłości Indii, o której nie miałem pojęcia.

Z Nepalu poleciliśmy do północnych i wschodnich Indii – do Delhi, Khardźuraho, Puri, Konarak – a potem na południe, do Tamilnadu.

6 grudnia 1992, niedziela

Około 10.00 przybyliśmy do Madrasu – z migreną. Dr Ramini Pulimood, która pracowała z moim ojcem w latach 50. w Christian Medical College, wysłała po nas taksówkę. Pojechaliśmy do oddalonego o 150 kilometrów Wellur, mijając po drodze

miejsce, w którym zamordowano Radžiwa Gandhiego. Obejrzelśmy tam niewielkie poświęcone mu mauzoleum.

Przez większość drogi byłem półprzytomny z bólu, ale pozbierałem się 50 kilometrów przed Wellur. Chciałem się przekazać, czy okolica wyda mi się znajoma. Chyba nie. Niczego nie rozpoznałem. Potem przejechaliśmy mostem nad wyschniętym korytem rzeki – i wówczas przypomniałem je sobie, jak również to, że niekiedy napełniało się ryczącą, rwącą wodą. Pamiętałem także palmy zgięte wpół pod podmuchami monsunu, gorące, wielkie krople deszczu padające na gołe plecy, wielkie pająkowate roztocza pełzające po ziemi i zapach dalekiej burzy.

Przybyliśmy do Wellur – średniej wielkości, brudnego południowindyjskiego miasta, pełnego jaskrawych oznak nowoczesności i wegetariańskich restauracji. Niewiele sobie przypominałem, nawet okolice szpitala nie wydawały się znajome. Potem pojechaliśmy przez miasto i zawróciliśmy w stronę szpitala. Wydawało mi się, że przejeżdżaliśmy koło mojej starej szkoły. W końcu ujrzałem po lewej stronie College Hill, wzgórze pokryte zielenią, ze skalistym wierzchołkiem, a daleko po prawo Wzgórze Ropuchy, nazwane tak, bo znajdujący się na szczycie głaz do złudzenia przypominał łeb tego zwierzęcia. Te dwa elementy krajobrazu pamiętałem dość dokładnie, nawet to, że na wzgórze wspinałem się razem z Trixie, ale budynki college'u, przy których się zatrzymaliśmy, nie budziły żadnych skojarzeń. Potem zorientowałem się, że to dlatego, iż stały po obu stronach ruchliwej ulicy, której w latach 50. jeszcze nie było.

Weszliśmy do „dużego bungalowu”, gdzie zastaliśmy Ramini Pulimood, która znalazła nam lokum. Już w środku przypomniałem sobie stareńkie żaluzje z tkaniny, które osłaniały wszystkie okna męskiego hotelu. Kiedyś znalazłem w nich uwięzionego nietoperza.

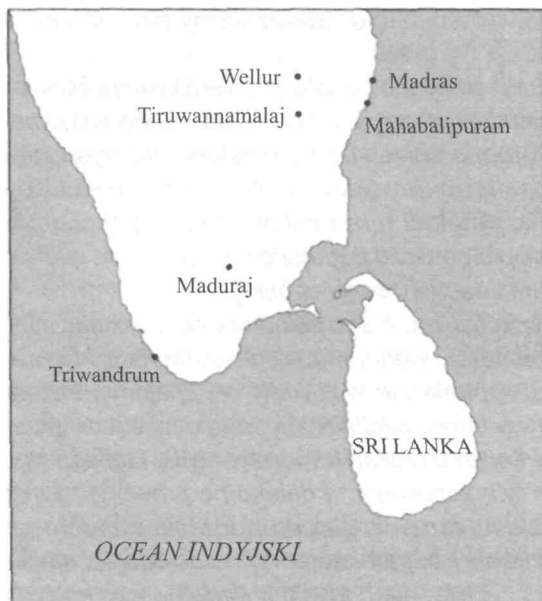
Pół godziny potem Ramini i jej syn zawieźli nas na protestancki cmentarz, gdzie pragnąłem odszukać grób mojej siostry Susan. Santha kupiła kwiaty, lecz mimo iż chodziliśmy w tę i z powrotem w popołudniowym słońcu po cichych alejkach, nie znaleźliśmy grobu. Prosiliśmy stróża o wpisy, ale i on nie mógł pomóc.

Tego wieczoru wdrapaliśmy się z Santhą na College Hill, piękne w zachodzącym słońcu, oświetlającym zielone, na pół zapomniane przez mnie łąki.

7 grudnia 1992, poniedziałek

Teraz wspomnienia po trosze wracają. Rankiem odwiedziliśmy szpital, potem pojechaliśmy riksą do Vellore Fort i z powrotem do szpitala, po drodze znowu odwiedziliśmy cmentarz. Tym razem także nie udało się nam odnaleźć grobu. Ogarnął mnie smutek – tu gdzieś, w zapomnianej mogiłce, spoczywała moja siostra. Kilka nocy wcześniej śniło mi się, że rozmawia ze mną. Chciałbym ją znać. Po raz pierwszy tak wyraźnie poczułem, że czegoś brakuje w moim życiu. Minęło tyle lat, odjechałem tak daleko, a jednak tęsknię za tobą, Susan. Chciałbym czasem porozmawiać z tobą przez telefon. A tak – zostałem jedynakiem, błędzącym po cmentarzu i uzalającym się nad sobą.

Nasz pobyt w Wellur zakończyło zwiedzanie kompleksu szpitalnego. Przypomniałem sobie staw z liliami (wciąż tam był), pełen żab. Pamiętam też wielki, stary tamaryszek oraz sylwetkę dwuskrzydłowego męskiego hostelu.



Wreszcie znów wdrapaliśmy się na College Hill, żeby po raz ostatni rzucić okiem na okolicę, i udaliśmy się w 4-godzinną podróż samochodem do Madrasu leżącego na wybrzeżu Zatoki Bengalskiej.

Zagadka Siedmiu Pagód

Naszym następnym celem było miasto Mahabalipuram, 50 kilometrów na południe od Madrasu, gdzie także chciałem odnowić wspomnienia z dzieciństwa i obejrzeć wykutą w skale świątynię na brzegu morza. Podobnie jak

w Wellur, miałem wrażenie, że to nie podróż badawcza, raczej powrót do przeszłości. Ponieważ świątynie liczyły mniej niż 1500 lat i zbudowane zostały na polecenie znanych z historii władców, nie spodziewałem się, iż znajdę w nich coś, co mnie w tym czasie najbardziej interesowało, czyli ślady zaginionych cywilizacji z ostatniej epoki lodowcowej, sprzed ponad 12 000 lat.

Być może dlatego, że w 1992 roku przybyłem do Mahabalipuram z takim właśnie nastawieniem, zobaczyłem dokładnie to, czego się spodziewałem – czyli nic, co mogło wzbudzić moje zainteresowanie. A tymczasem (o czym dowiedziałem się później) powinienem był zwrócić na coś uwagę. Informacja kryła się w antologii dzienników podróżnych i relacji wydanych przez niejakiego kapitana M.W. Carra w 1869 roku pod tytułem *Descriptive and Historical Papers Relating to the Seven Pagodas of the Coromandel Coast* (Opisy i dzieła historyczne na temat Siedmiu Pagód na Wybrzeżu Koromandelskim)¹⁷. Znalazłem tę książkę w antykwariacie w Madrasie w 1992 roku, już po powrocie z Mahabalipuram, ale przeczytałem ją dopiero w 2000 roku. Wówczas odkryłem, że Siedem Pagód to stara marynarska nazwa Mahabalipuram, a Wybrzeże Koromandelskie oznacza wybrzeże Zatoki Bengalskiej od Point Calimere na południu do ujścia rzeki Krysna na północy.

W jednym z opracowań natknąłem się na notatkę J. Goldinhamy z 1798 roku o pamiętanej przeze mnie z dzieciństwa świątyni na wybrzeżu, wykutej w twardej skale, chłostanej falami:

Bramini mówią, że fale przybrzeżne zmyły ruiny miasta, niewiarygodnie wielkiego i potężnego. Pewien 50-letni bramin, który tu się urodził i z którym miałem okazję rozmawiać, powiedział, że jego dziadek często widywał spośród fal pozłocane wierzchołki pięciu pagód, które obecnie są już niewidoczne¹⁸.

Wcześniejsza relacja z 1784 roku określa najważniejsze obiekty Mahabalipuram jako „skałę, a raczej kamieniste wzgórze”, z którego wykuto wiele posągów. Dalej czytamy:

Ta sterta kamieni jest jednym ze znaków informujących żeglarzy, że zbliżają się do brzegu. Nazywają to miejsce Siedmioma Pagodami, prawdopodobnie dlatego, że z daleka skały te tak wyglądają. Należy jednak powiedzieć, że żaden z kształtów na tym wzgórzu nie usprawiedliwia takiej nazwy. Można jedynie domniemywać, że wzięła się z stąd, iż dawniej wznosiła się tu taka liczba pagód, lecz zostały one pochłonięte przez morze¹⁹.

Ten sam autor, William Chambers, relacjonuje ustną tradycję o dziejach Mahabalipuram, którą usłyszał od braminów podczas pobytu w tym mieście w latach 1772 i 1776²⁰, i to właśnie ona nasunęła mu myśl o zatopionych budowlach.

Zgodnie z tą tradycją, znajdującą zresztą potwierdzenie w niektórych fragmentach starych hinduistycznych ksiąg²¹, bóg Wisznu w jakiejś odległej, ale bliżej nieokreślonej przeszłości odsunął od władzy skorumpowanego i okrutnego radzę tej prowincji, zastępując go szlachetnym Prahladą, który był władcą „łagodnym i cnotliwym”²². Po Prahladzie nastął jego syn, a następnie wnuk Bali, który miał być założycielem wspaniałego miasta Mahabalipuram (co dosłownie oznacza „miasto wielkiego Bali”, czy raczej „olbrzymiego Bali”)²³. Dynastię kontynuował syn Balego, Banasura, także przedstawiany jako olbrzym²⁴, lecz w czasie jego panowania na miasto spadło nieszczęście.

Aniruddha, wnuk Kryszny, przybył na dwór [Banasury] w przebraniu i uwiódł jego córkę, co doprowadziło do wojny, w której Aniruddha dostał się do niewoli i został przewieziony do Mahabalipuram; potem Kryszna osobiście przybył ze swej stolicy Dwarki i zaczął oblegać miasto²⁵.

Mimo iż sam bóg Śiwa walczył po stronie Banasury, nie zdobyli przewagi. Kryszna pokonał Śiwę, zdobył miasto, zmusił Banasurę do poddania i uczynił go dożywotnym lennikiem²⁶.

Potem była przerwa, później zaś tron w Mahabalipuram przejął inny radza o imieniu Maleczeren. Napotkał istotę z nieba, która stała się jego przyjacielem i zgodziła się „zaprowadzić go w przebraniu na dwór boskiego Indry” – łaski takiej nie dostał nigdy żaden inny śmiertelnik²⁷.

Radza powrócił stamtąd, mając w pamięci cuda świata bogów, do którego postanowił upodobnić swoją stolicę. Wkrótce Mahabalipuram stało się najświetniejszym wśród miast na ziemi. Gdy zgromadzeniu bogów na dworze Indry przedstawiono jego wspaniałości, rozłoszczeni i zazdrośni niebianie rozkazali Bogu Morza, aby wzburzył bałwany i zatopił miasto, które śmie dorównywać splendorem ich siedzibom. Bóg usłuchał rozkazów, miasto w gnieniu oka zostało pochłonięte przez rozwścieżony żywioł i nigdy więcej nie podniosło się z ruiny²⁸.

W micie tym kryje się kilka zagadek.

Po pierwsze, został zaślyszany, spisany i opublikowany w XVIII wieku, na długo przedtem, zanim zdołano odczytać starożytne inskrypcje z Mezopotamii. Tymczasem opowieść o Mahabalipuram jest w wielu miejscach uderzająco podobna do mezopotamskich mitów o potopie. W sumeryjskich tekstach o potopie oraz we wszystkich ich późniejszych wariantach – w tym w wersji babilońskiej, w relacji Starego Testamentu o Noem, a także w platońskiej (prawdopodobnie nie mającej z nimi nic wspólnego) opowieści o Atlantydzie²⁹ – bogowie są rozgniewani na ludzkość lub zazdrośni o jej osiągnięcia, dokładnie tak jak w micie o Mahabalipuram. We wszystkich innych mitach o potopie (z wyjątkiem historii Noego) bogowie najpierw zbierają się – tak samo jak to zrobili w przypadku Mahabalipuram – a potem podejmują decyzję o zagładzie zarozumiałych ludzi, zsyłając na nich potop:

Sumer: „Wszelkie wichry, o niezwyklej sile, zaatakowały równocześnie; w tym samym czasie potop zmiotł ośrodki kultu”.

Mahabalipuram: „Bóg Morza wzburzył bałwany i miasto w mgnieniu oka zostało pochłonięte przez rozwścieczony żywioł”.

Widać też wyraźnie, że istnieje pewien związek między tradycją Mahabalipuram na południowym wschodzie i Dwarki na północnym zachodzie Indii. I nie chodzi tylko o to, że Dwarka wymieniana jest w opowieści o Mahabalipuram (rzecz skądinąd sama w sobie zaskakująca), lecz także o to, że Mahabalipuram i Dwarkę, podobnie jak zaginioną Atlantyde i pięć przedpotopowych miast Sumery, spotkał ten sam los – zostały pochłonięte przez morze.

W przypadku Dwarki należy podkreślić jeszcze jeden istotny element opowieści – to, że mówi ona o okresie poprzedniej epoki i nadejściu kalijugi.

Kalijuga

Podczas podróży z Mahabalipuram do Dwarki w grudniu 1992 roku wszystko przypominało nam, że żyjemy w kalijudze – erze duchowej ciemnoty, zdaniem wedyjskich mędrców przepełnionej okrucieństwem i złem. Szóstego grudnia 1992 roku hinduistyczni fanatycy zaatakowali i zburzyli meczet w Adzodża w stanie Uttar Pradeś, zamierzając zbudować na jego miejscu świątynię Ramy (kolejnego wcielenia boga Wisznu), który według podań urodził się właśnie w tym miejscu. Ten akt wywołał w całych Indiach falę brutalnych i krwawych walk między hinduistami a muzułmanami, a szczytowy punkt zaburzenia te osiągnęły w Surat nad Zatoką Cambajską w południowo-zachodnim stanie Gudżarat. Całe rodziny płonęły żywcem w swoich własnych domostwach jak na stosie. Pewna kobieta została zgwałcona przez tłum rozbestwionych mężczyzn, którzy ją potem podpalili i ścięli jej mieczem głowę.

Ponieważ w większości miast panował stan wyjątkowy, a Indian Airlines sparaliżowały strajki, do Bombaju lecieliśmy aż dwa dni, przez Madras i Triwantrum. Tysiąckilometrową podróż z Bombaju do Dwarki pokonaliśmy już wynaję-

tym wanem maruti (coś w rodzaju zmotoryzowanych wrotek). Nasz kierowca – rośły mieszkaniec stanu Gudżarat – miał na imię Vinhod.

12 grudnia 1992, sobota

Wyruszyliśmy samochodem z Bombaju na północ. Krajobrazy są fantastyczne, zdumiewająco soczysta zieleń, dużo drzew i piękne wzgórza. Drogi beznadziejne, podróż dłuży się w nieskończoność. Okazało się, że w tym tempie do Dwarki dojedziemy dopiero za dwa dni, a kto wie, czy nie trzy, postanowiliśmy więc spędzić jedną noc w Lothal, słynnym porcie kultury Indusu-Saraswati z III tysiąclecia p.n.e., który leży w samym środku prowincji Gudżarat, w pobliżu północnego brzegu Zatoki Kambajskiej. Niestety, ani Vinhod, ani pytani po drodze ludzie nie wiedzieli, gdzie znajduje się Lothal i co to takiego, a nasze mapy okazały się mało dokładne. Ale po części dzięki szczęśliwemu trafowi, a po części przez pomyłkę dotarliśmy późną nocą do postoju dla ciężarówek w Pakota, i tam okazało się, że od Lothal dzieli nas tylko 18 kilometrów. Jeden z kierowców polecił nam hotelik w rozpadającym się budynku.

Lothal i statki z Meluhy

Lothal okazało się kupką kamieni w środku płaskiej, rolniczej równiny. W III tysiącleciu p.n.e. był to najruchliwszy port kultury Doliny Indusu: z morzem łączył go kanał rzeczny, który wysechł już dawno temu. Dominującym elementem architektury jest wielki trapezoidalny dok, który przetrwał do dziś.

Rzeczne porty szybko ulegają zamuleniu i stają się bezużyteczne. Ale w Lothal już 4500 lat temu potrafiąco temu zaradzić. Przede wszystkim we wschodniej części miasta wykopano ogromny sztuczny basen. Następnie otoczono go murem o długości 219 metrów (z północy na południe), szerokości 38 metrów (ze wschodu na zachód) i wysokości 4,15 metra. Mury miały prawie 1,78 metra grubości u podstawy, zwężając się ku górze do 1 metra na szczycie, a do ich budowy użyto najlepszej jakości wypalanej w piecu cegły³⁰. Według S.R. Rao, który odkopywał Lothal, wewnętrzne ściany doku są doskonale szczelne i „nigdzie nie ma stopni czy ramp, gdyż dbano, aby burty statków znajdowały się na tym samym poziomie co górna krawędź muru, bo w ten sposób łatwo można było wyładowywać i załadowywać towary”³¹. Równocześnie „na zewnętrznym licu zachodniego muru znajdowały się trzy uskoki, a na innych częściach po dwa, żeby zapobiec przewróceniu się pod naporem wody”³².

Główne wejście do doku znajduje się w ścianie północnej, drugie w południowym krańcu wschodniej ściany, a przelew spływowy z bardzo przemyślną zaporą – na południowym jej krańcu³³.

Statki wchodzące do Zatoki Kambajskiej były cumowane wzdłuż rzecznego nabrzeża w zachodniej części miasta, po czym, przedostawszy się przez śluzy, wpływały do basenu przez pierwsze wejście (szerokie na 12 metrów) w północnym

ramieniu. Pod kątem prostym do południowego ramienia zbudowano przelew spływowy z murami grubymi na 1,5 metra, aby podczas wysokiego przyływu mógł odpłynąć nadmiar wody. Specjalna śluza w przelewie spływowym zapewniała minimalne wysychanie podczas niskiej wody [2 metry w porównaniu z 3,5 metra przy wysokim stanie wody]. Z łatwością manewrowano w doku dużymi statkami o wyporności 60–75 ton, a długości 18–20 metrów. Silny strumień wody podczas wysokiego przyływu gwarantował, że basen się nie zamuli. Przed podmywaniem przez wody pływowe chroniła przypora na każdej krawędzi wlotu: ślady jej można dostrzec w północnym wlocie, a jeszcze wyraźniej przy wlocie drugiego stopnia. Gdy rzeka zmieniła bieg i wyłobiliła koryto 2 kilometry od miasta, wykopano nowy wlot na głębokość 2 metrów, żeby połączyć rzekę ze wschodnim ramieniem doku, ale po 2000 roku p.n.e. duże statki już nie mogły wejść do portu³⁴.

Archeolodzy i inżynierowie nie mają wątpliwości, że konstrukcja doku wymagała dużego i od dawna gromadzonego doświadczenia w rozwiązywaniu rozmaitych problemów technicznych. N.K. Panikkar i T.M. Srinivasan piszą:

Używanie doku w Lothal było zależne od pływów, a inżynierowie, którzy go zaprojektowali, musieli posiadać ogromną wiedzę o oddziaływaniach fali pływowej, jej amplitudzie, erozji i naporze. Opracowali metodę, która pozwalała przyjmować wielkie statki podczas przyływu i zapewniała im odpowiedni poziom wody w doku podczas odpływu. Jest to z pewnością przykład najwcześniejszej zastosowanej w praktyce wiedzy o zjawiskach pływowych: poczynając od wybrania miejsca odznaczającego się największą amplitudą pływów po opracowanie systemu wpływania i wypływania statków³⁵.

Budowniczo wie Lothal żyli w tej samej epoce co twórcy wspaniałej Wielkiej Piramidy w Egipcie. Konstrukcja doku dowodzi, że przedstawiciele kultury Indusu-Saraswati posiadali naukowe podejście, umiejętności i doświadczenie niezbędne do wznoszenia wielkich budowli dorównujące tym, jakimi dysponowali starożytni Egipcjanie.

Co więcej – wydaje się prawdopodobne, że istniały bezpośrednie i pośrednie kontakty między cywilizacjami dolin Nilu i Indusu, i w ogóle między Azją a Afryką, i że zostały one nawiązane w bardzo zamierzchłej przeszłości. W muzeum w Lothal widzieliśmy przedmioty wykopane przez zespół Rao, które na to wskazują: terakotowe figurki goryli i małp – zwierząt występujących tylko podzwrotnikowej Afryce. Inna terakotowa figurka przypominała egipską mumię³⁶.

Znaleziska w Egipcie również wskazują na takie kontakty. Szczególnie interesującym eksponatem jest przedmiot z okresu przeddynastycznego (około 3500–3300 p.n.e.³⁷), nóż z krzemienia o ręczce pięknie rzeźbionej w kości słoniowej, który wykopano w Džebel al-Arak w Górnym Egipcie. Na rękojeści wygrawero-

wano postać brodatego mężczyzny w cienkiej szacie, ściskającego szyje dwóch potężnych lwów. Według egiptologa i historyka sztuki, Cyrila Aldreda, scena ta „przedstawia ujarzmienie lwów przez bohatera, przypominającego mezopotamskiego Gilgamesza, «Władcę Dzikich Zwierząt»”³⁸. Aldred stwierdza też, że „ten sam niezwykle motyw pojawia się w malowidle ściennym w grobowcu z czasów przeddynastycznych w Hierakonopolis”³⁹. Badacz chyba nie jest świadomy, iż sceny tego rodzaju znamy również ze sztuki kultury Indusu-Saraswati, na przykład z ozdób z terakoty i steatytowych pieczęci, które wykopywano w wielu miejscach. Szczególnie interesujące są gliniane tabliczki z Harappy, które tak opisuje Jonathan Mark Kenoyer:

Jakaś postać dusi dwa tygrysy gołymi rękami. Może ona przedstawiać kobietę, bo z profilu widać zarys piersi. Na najstarszych pieczęciach z Mohendżo-Daro w tej sytuacji widzimy na pewno mężczyznę, a większość naukowców doszła do wniosku, że dowodzi to związku z rzeźbionymi pieczęciami z Mezopotamii, które ilustrują epizody ze słynnego eposu o Gilgameszu. Motyw mezopotamski przedstawia bohatera duszącego lwy, tymczasem ten znad Indusu ukazuje tygrysy duszone przez jakieś postacie, czasem są to wyraźnie mężczyźni, w innych wypadkach trudno określić płeć, ale mogą to być również kobiety. Motywy bohatera lub bohaterki walczących z dwoma dzikimi zwierzętami powstały niezależnie, oddając podobne zdarzenia, które miały miejsce w Mezopotamii i w Dolinie Indusu⁴⁰.

Niewykluczone. Zastanawiam się jednak, czy Kenoyer nie wyciąga zbyt pochopnych wniosków i czy jego hipotezę wzmacnia czy też osłabia fakt, iż prawie identyczne postacie „mężczyzny między dwoma dzikim kotami” znaleziono także wśród dzieł sztuki prehistorycznego megalitycznego miasta Tiahuanaco w Ameryce Południowej⁴¹. Podobieństwa takie mogą świadczyć o identycznych zdarzeniach, które zbiegiem okoliczności miały miejsce w różnych miejscach, nie należy jednak wykluczyć innych hipotez. Może warto się zastanowić, dlaczego ten sam „niezwykły”, symboliczny rysunek znajdujemy na reliktach starożytnego Egiptu, starożytnej Mezopotamii, starożytnej kultury Indusu-Saraswati i starożytnej Ameryki Południowej...

Po drugiej stronie rękojeści noża z Dżebel el-Arak widać inną scenkę, wskazującą na kontakty kultury Indusu-Saraswati, Egipcjan z epoki przeddynastycznej oraz starożytnych mieszkańców ziem między Tygrysem a Eufratem. Według opisu Aldreda jest to scena walki na wodzie: „Górny rząd to łodzie o pionowych dziobach i rufach, przypominających raczej bełemy znad Tygrysu. W dolnym rzędzie łodzie wyglądają jak egipskie z epoki przeddynastycznej”⁴². Ale archeolog Ernest J.H. Mackay, który prowadził szeroko zakrojone wykopaliska w Egipcie i w Dolinie Indusu w pierwszej połowie XX wieku, zauważył jeszcze coś. Opisując łódź wyrzeźbioną na pieczęci znalezionej w Mohendżo-Daro, tak komentuje jej wizerunek:

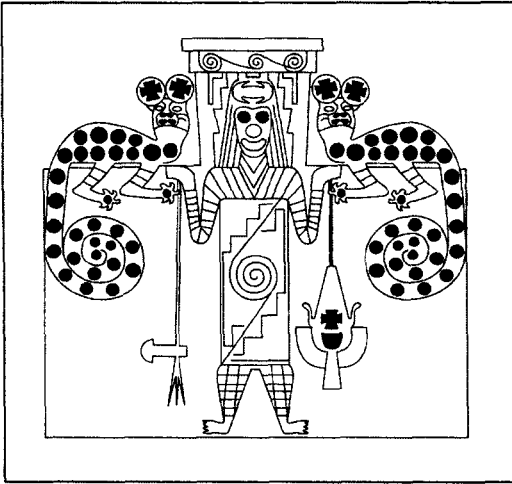
Wiązania kadłuba dowodzą, że łódź została zrobiona z pęków trzciny, podobnie jak wiele pochodzących z tego samego czasu statków egipskich. Nie posiada masztów, co wskazywałoby na łódź rzeczną. Na kolumnach po każdej stronie sterówki znajdują się flagi czy też emblematy, a siedzący sternik trzyma parę sterów, jak w nowoczesnych statkach żeglujących po Indusie. Warto zwrócić uwagę, że statek ten jest taki sam jak ten, którego obraz wyrzeźbiono na rękojeści z kości słoniowej słynnego noża z Dżebel el-Arak⁴³.

Aldred porównuje łódź z noża z Mohendżo-Daro do bezmasztowych łodzi o wysokim dziobie i rufie, które pływały po Tygrysie. Choć podobieństwa niczego

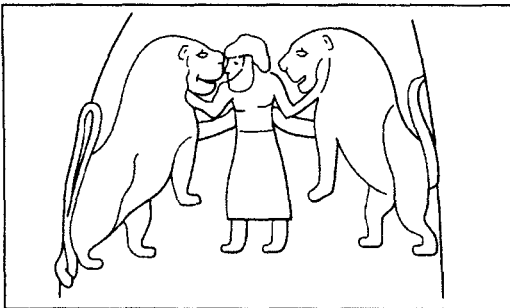
nie przesądzają, jednak każą myśleć o możliwości kontaktów między tymi trzema regionami w starożytności. Dawno temu Thor Heyerdahl dowiódł za pomocą ekspedycji „Tigris” i „Ra”, że trzciniowe łodzie mogą pokonywać nawet oceany⁴⁴. Ponadto w miastach Indusu-Saraswati znaleziono wiele wizerunków i terakotowych modeli morskich łodzi masztowych, a w samym Lothal wykopano towary handlowe i pieczęcie z inskrypcjami, pochodzące z rejonu Zatok Perskiej⁴⁵.

Wszystko wskazuje na to, że w rejonie Indusu-Saraswati handel odbywał się głównie za pośrednictwem statków. Mieszkańcy tej ziemi znani byli w Zatoce Perskiej jako Meluha⁴⁶. Inskrypcje z czasów starożytnego Babilonu i Akkadu wymieniają z dumą liczbę wielkich łodzi z Meluha, które cumowały w portach tych państw. Znalaziono pięć tego typu wzmianek w piśmie klinowym z czasów przed Hammurabim (1792 rok p.n.e.⁴⁷). Jedna pochodzi z okresu panowania Sargona w Akkadzie (2334–2279 p.n.e.), a czytamy w niej: „Statki z Meluhy (...) cumowały przy nabrzeżu Akkadu”⁴⁸.

Co ciekawe, terakotowa pieczęć z Mohendżo-Daro ukazuje wielki sta-



Postać przypominająca Gilgamesza między dwoma wielkimi kotami, przedstawiona na brązowym napierśniku, Tiahuanaco



Postać przypominająca Gilgamesza między dwoma wielkimi kotami z rękojeści noża z okresu przeddynastycznego, Egipt

tek o wysokim dziobie, z obszerną sterówką na pokładzie. Na dziobie i na rufie widzimy ptaki, które archeolodzy zidentyfikowali jako „ptaki znajdujące ląd (*diskakas*)”⁴⁹. W wielu starodawnych legendach o globalnym potopie (włącznie z podaniem o Noem) przewija się motyw ptaka, który doprowadza do lądu ocalony od zagłady statek⁵⁰.

Miasto Krysny

Po wyjeździe z Lothal późnym popołudniem spędziliśmy kolejną noc w Dżam-nagar, stolicy regionu, a do Dwarki przybyliśmy rankiem następnego dnia. Ostatni, dwugodzinny odcinek drogi przebiegał jałową, spaloną słońcem równiną Półwyspu Kathijawar w stanie Gudżarat. Ziemia ta jest niezamieszкана, a rosną na niej przeważnie cierniste drzewa i zarośla. Przez otwarte okno wana poczuliśmy najpierw wilgoć, a potem słony posmak płynący od bliskiego już Morza Arabskiego. Wreszcie w oddali ujrzeliśmy wodę. Lśniła nad nią otulona mgiełką żaru piramida, na czubku której stoi świątynia poświęcona władcy Krysni, wznosząca się ku niebu na 72 granitowych kolumnach⁵¹. Na samym szczycie powiewała barwna flaga z symbolami astronomicznymi. Świątynię otaczał labirynt średnio-wiecznych uliczek Dwarki i domów stojących tak blisko siebie, jakby chciały się przed czymś obronić.

Poprosiliśmy Vinhoda, żeby podwiózł nas bliżej, aż w końcu zatrzymaliśmy się na zatłoczonym bazarze, u samego wejścia do świątyni. Stąd wyraźnie widziałem dziwaczne figury, przypominające gargulce z katedr gotyckich, wyrzeźbione na dachu i ścianach – tu słoń, ówdzie łabędź, to znowu jakiś skrzydlaty sfinks z kobiecą twarzą... Łatwo sobie wyobrazić, że to siedziba bóstwa w ludzkiej postaci, za pomocą magii powołana do życia w środku morza, chroniona energią modlitw pielgrzymów i otoczona polem siłowym boskiej łaski.

W księdze X *Bhagwatapurany* czytamy, że Krysna używał „nadprzyrodzonej potęgi jogi”⁵², by w samym środku bitwy przenosić swych ludzi do Dwarki, gdzie mógł ich chronić przed wrogiem w „fortecy niedostępnej dla istot ludzkich” [dosłownie „dwunogich”].

Władca sprawił, że forteca powstała w zachodnim morzu. W niej zbudował miasto liczące 12 jodżan [153 km²] powierzchni i wspaniałe pod każdym względem.

Konstrukcja miasta dowodziła talentu i zdolności murarskich jego twórcy Twastra, architekta bogów. Drogi, kwartały, ulice i rezydencje zaprojektowano w zgodzie z zasadami nauk architektonicznych.

W mieście tym były ogrody pełne niebiańskich drzew i pnączy oraz cudowne ptaki. Budowle jak złote wieże sięgały nieba, a otaczały je balustrady z kryształu. Stodoły zbudowano ze srebra i mosiądzu, a wyłożono je złotą kostką. Domy wzniesiono ze złota i wielkich szmaragdów⁵³.

Opis ten dotyczy jednak pierwszej, oryginalnej Dwarki, zaginionej Atlantydy Indii, pochłoniętej przez morze dawno temu, na początku kalijugi. Dwarka dzisiejsza oraz świątynia Krysny są znacznie późniejsze – zbudowano je dla upamiętnienia zatopionego miasta, lecz nie należy ich obu utożsamiać.

Zameldowaliśmy się z Santhą w pełnym moskitów hotelu, z dodatkową atrakcją w postaci szerszeni drzemiących w zasłonach, po czym późnym popołudniem udaliśmy się na zwiedzanie miasta. Było zakurzone i oczywiście strasznie brudne, pełne ludzi obojga płci i w każdym wieku, sprzedających i kupujących. Nikt nie sprawiał wrażenia nieszczęśliwego, rozzłoszczonego czy smutnego. Po ulicy przewalała się istna menażeria, chrząkająca, skrzecząca, szczekająca i warcząca, becząca i mucząca. Wszędzie krowy – widok normalny w hinduistycznych Indiach, lecz tu te święte zwierzęta wydawały się jeszcze bardziej ospałe i łagodne. Myślę, że wiedziały, iż wszyscy mieszkańcy Gudżaratu, a już na pewno Dwarki, są wegetarianami.

Poprzez labirynt wąskich, brukowanych kocimi łbami uliczek pełnych małych, jaskrawo udekorowanych sklepików i straganów przedarliśmy się na brzeg rzeki Gomati, która płynie na skraju miasta i wpada do Morza Arabskiego. Tu spora grupka dzieciaków z chichotem karmiła chlebem małe rybki, a ubrani w pomarańczowe szaty sadhu z twarzami wysmarowanymi popiołem siedzieli wsparci plecami o starożytny ceglany mur, recytując strofy *Rygwedy*. Powietrze wypełniały woń kadzidła i marihuany oraz dźwięk przyspiewów. Grudniowe słońce, zachodzące za morzem na południowym zachodzie, oblewało rozległy horyzont nieziemskim blaskiem.

Poszliśmy jeszcze kilkaset metrów wzdłuż rzeki w gęstniejącym zmroku, docierając do małej, okrągłej świątyni Samudry, Boga Oceanu, wzniesionej nad ujściem Gomati do morza. Podniosła się morska bryza, ozdabiając fale koronką piany. Poszedłem do końca mola i zapatrzyłem się w dal.

Czytałem relacje podmorskich archeologów i wiem, że niecały kilometr od tego miejsca spoczywa pod wodą ogromne miasto. Przypomniałem sobie, że S.R. Rao określa jego wiek na 1700–1500 p.n.e. i że – jego zdaniem – jest to jedno z ostatnich dzieł kultury Indusu-Saraswati. Było więc za młode, aby mogła je stworzyć zaginiona cywilizacja ostatniej epoki lodowcowej.

Nie prowadziłem co prawda osobiście szczegółowych badań, ale ze zdumieniem odkryłem, że w literaturze poświęconej temu tematowi nigdzie nie wspomniano, aby w zatopionym mieście Dwarka znalazły się jakieś artefakty typowe dla kultury Indusu-Saraswati, choć na lądzie wciąż się na nie natrafia (nie znaleziono też żadnych przedmiotów, na podstawie których można by ustalić wiek miasta). Archeolodzy znaleźli na dnie wyłącznie groźnie wyglądające, potężne mury wzniesione z megalitycznych bloków o nieustalonym wieku, często połączonych ze sobą wczesami w kształcie litery L. Ponieważ wszystko pokrywała gruba warstwa mułu, niewykluczone, że pod odkrytymi obiektami znajdują się także inne budowle. Co więcej – nie prowadzono żadnych badań dalej od brzegu, na głębokości większej niż 20 metrów.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, doszedłem do wniosku, że archeolodzy w kwestii chronologii mogą mieć rację – ale mogą się też mylić. Sprawę kompli-

kuje dodatkowo brak pewności co do tempa wzrostu poziomu morza w tej części Indii, które na dobitkę przeżyły jeszcze serię tektonicznych wstrząsów, powodujących między innymi górotwórcze procesy w Himalajach w okresie ostatnich 20 000 lat. Trudno zatem ustalić datę zatopienia Dwarki, opierając się wyłącznie na danych geologicznych.

Słońce już do połowy zanurzyło się w oceanie, szybko zapadała ciemność, a pod mołem kłębiły się fale.

Nauczyłem się nurkować dopiero cztery lata później, a dalsze cztery minęły, zanim powróciłem do Dwarki, żeby zbadać podwodne miasto.

Rozdział 5

Miejsce, w którym osiadł statek

Mędrcy, którzy myślą sercem, odkryli, że istnienie pokrewne jest nieistnieniu...

Kto naprawdę wie i może tu zaświadczyć, skąd się narodziło i kto je stworzył?

Bogowie są młodsi od stworzenia świata. Kto zatem wie, skąd bierze się jego początek? On, pierwsze źródło stworzenia, czy stworzył je w całości, czy też nie, którego oko ogrania świat z wysokości nieba, on to wie, a może i nie...

Rygweda (Księga 10, hymn 129, wersety 4–7)

Postęp w badaniach historycznych, genetycznych, lingwistycznych i archeologicznych w okresie minionych dziesięciu lat dowiódł, że hebrajska Tora – fundamentalna księga judaizmu, przez chrześcijan uznawana za Stary Testament w Biblii – nie została stworzona przez Żydów i nie mamy powodu, aby dziś wierzyć, iż kiedykolwiek w ogóle istniała żydowska rasa mówiąca językiem hebrajskim, która posiadała jednolity, dokładnie określony zespół hebrajskich cech kulturowych.

Przypuśćmy, że teza ta jest poparta solidnymi dowodami, a co więcej – że stworzył ją wybitny badacz, na przykład profesor University of Pennsylvania, uważany za światowy autorytet w dziedzinie kultury żydowskiej. Przeczytawszy powyższe stwierdzenie i dowiedziawszy się, kto jest jego autorem – czy będziecie wstrząśnięci? Zaskoczeni (choćby tym, że nie znaleźliście wzmianek w gazetach)? Sceptyczni? Nie uwierzycie? Będziecie zdezorientowani (jeśli Żydzi nie napisali Starego Testamentu, to kto jest jego autorem)? Wściekli? A może ogarną was wszystkie te uczucia naraz? A może żadne? Albo wiecie o Torze i żydowskiej kulturze dostatecznie dużo, by uświadomić sobie, że stwierdzenie to zostało sfabrykowane? Nie ma i nigdy nie było na nie dowodów, a Torę zawsze wiązano z narodem żydowskim i językiem hebrajskim, i fakt ten jest niepodważalny. Dzieje się tak dlatego, że każda święta księga wywodzi się ze znanej i bardzo starej tradycji kulturalnej oraz doskonale wpisuje się w historyczny i archeologiczny kontekst.

To samo można powiedzieć o *Rygwedzie*, fundamentalnej księdze hinduizmu. Odrzucenie przez naukowców teorii głoszącej, że około 1500 roku p.n.e. na Indie najechał lud zwący się Ariami oraz przyznanie, że nie istniała aryjska rasa posługująca się językami indoeuropejskimi, miały dość przykry skutek: osierocenie *Rygwedy*, ponieważ wierzono również, że ci sami Ariowie byli jej autorami. Wiemy też, że Renfrew i inni uczeni twierdzą (prawdopodobnie słusznie), że języków indoeuropejskich używa się w północnych Indiach od co najmniej 8000 lat. Fakt,

że *Rygweda* napisana została w sanskrycie, czyli języku indoeuropejskim, nie może dłużej stanowić argumentu, iż stworzył ją lud, który przybył do Indii dopiero w 1500 roku p.n.e. (czyli nieistniejący Ariowie).

Innymi słowy – statek zwany *Rygwedą* nie ma już sternika. Te niezwykle subtelne hymny, sprytnie ukryte szyfry starożytności, które stanowią trzon świętych tekstów hinduizmu, nagle stały się niczyje, pozbawione autorów, nie wiadomo, jaka kultura je stworzyła, brak jakiegokolwiek kontekstu historycznego i archeologicznego. A co gorsza, większości akademickich historyków i archeologów wcale nie przeszkadza, że Wedy zostały zawieszona w próżni – święte księgi nieznanego ludu, powstałe w nieokreślonym czasie.

W sytuacji gdy historia tak niewiele może zaoferować, a powinna jednak zacząć dociekać prawdy, wydaje się celowe spytać: co same Wedy mogą powiedzieć o swoim pochodzeniu?

Kilka kwestii terminologicznych i podstawowych informacji

W starożytnym sanskrycie słowo *veda* oznacza „wiedzę”, „gnozę”, „intuicję” (pochodzi bowiem od rdzenia *vid*, oznaczającego „rozumieć, wiedzieć”)¹, a *rig* (*rc* lub *rik*) oznacza „wersety” lub „hymny”². A zatem *Rygweda* znaczy Wersety – lub Hymny – Wiedzy. Wiemy, że są jeszcze trzy inne Wedy: *Samaweda* – weda pieśni lub nuconych hymnów (przystosowane do celów liturgicznych niektóre wersety *Rygwedy* z dodatkiem nowych)³; *Jadźurweda* – zaopatrzone w komentarze instrukcje i uświęcone formuły, niezbędne podczas odprawiania rytuałów wedyjskich⁴; *Atharwaweda*, którą Gregory Possehl określa jako „najmniej zrozumiałą z Wed, wierszowaną księgę magicznych zaklęć”⁵, a Griffith jako „Wedę modlitw, zaklęć i uroków”⁶.

Wielu naukowców indyjskich włącza do literatury wedyjskiej także inne obszerniejsze księgi⁷: Brahmany (bardzo stare komentarze prozą do Wed)⁸, Aranjaki (późniejsza wersja Brahman poświęcona „tajemnym objaśnieniom alegorycznych znaczeń Wed”)⁹ i Upaniszady (filozoficzne rozważania na temat Wed)¹⁰.

Upaniszady częstokroć nazywane bywają w sanskrycie Wedantą, co oznacza „zakończenie Wed”, ponieważ stanowią ostatni etap wedyjskiej tradycji¹¹. Istnieją jeszcze inne ważne, choć późniejsze teksty hinduizmu, które stanowią dokładną kontynuację tych samych podstawowych nauk i kosmologii, mających korzenie w Wedach, i na nie także będą się od czasu do czasu powoływać. Mam tu przede wszystkim na myśli *Mahabharatę* (prawie 8-krotnie dłuższą niż dzieła Homera, *Odyseja* i *Iliada*, razem wzięte)¹², *Ramajanę* i Purany. *Mahabharata* i *Ramajana* to eposy, zbiory legend i opisów heroicznych dziejów¹³. W skład obszernej *Mahabharaty* wchodzi słynna *Bhagawadgita* (Pieśń Władcy), uznawana za „najważniejszy pojedynczy tekst hinduizmu”¹⁴. *Ramajana*, opowiadająca o dokonaniach herosa Ramy, wcielenia Kryszny, jest tradycyjnie przypisywana półlegendarnemu poecie Valmikiemu¹⁵. I na koniec, choć nie najmniej ważne, Purany

(w sanskrycie słowo to oznacza „starożytną wiedzę”) – zbiór mitów, legend i genealogii¹⁶.

Naukowcy przyjęli powszechnie chronologię tych tekstów (kontrowersje dotyczą stuleci, a nie tysiącleci). Jak wcześniej pisałem, powszechnie uważa się, że *Rygweda* powstała między 1500 rokiem p.n.e. (przyuszczalna data inwazji nieistniejących Ariów na Indie) a 800 rokiem p.n.e. Dr John Mitchiner, wielki znawca starożytnych tekstów sanskryckich, woli raczej węższy przedział czasowy – 1400–1100 p.n.e. w przypadku *Rygwedy*, *Samawedę* i *Jadżurwedę* plasuje między 1200 a 1000 rokiem p.n.e., *Atharwawedę* między 1300 a 900 rokiem p.n.e., *Aranjaki* między 700 a 500 rokiem p.n.e., Upaniszady między 600 a 400 rokiem p.n.e., *Mahabharatę* między 350 rokiem p.n.e. a 350 rokiem n.e., *Ramajanę* między 250 rokiem p.n.e. a 200 rokiem n.e., a *Purany* między 200 a 1500 rokiem n.e.¹⁷.

Choć najłatwiej byłoby przyjąć wciąż jeszcze obowiązującą chronologię, moim zdaniem warto pamiętać, że daty te zostały – jak domek z kart – oparte na odrzuconej już hipotezie o najeździe Ariów na Indie w II tysiącleciu p.n.e. Niezależnie od tego, czy uznamy, że kompilacja *Rygwedy* miała miejsce w 1500, 1400 czy 1200 roku p.n.e., zarówno ta, jak i pozostałe chronologie stały się w gruncie rzeczy nieaktualne. A ponieważ ramy czasowe, jakie naukowcy „ustalili” dla *Rygwedy*, stanowią również chronologiczną podstawę całej historii literatury indyjskiej, to jeśli po dalszych badaniach okaże się, iż są błędne, wszystkie daty, które określono w oparciu o nie, także prawdopodobnie będą nieprawidłowe. W związku z tym Mitchiner dochodzi do wniosku, że „ustalenie chronologii sanskryckich tekstów jest niezwykle trudnym problemem”¹⁸, a jeszcze bardziej komplikuje go fakt, że „wiele tekstów, które mogły powstać lub być skompilowane znacznie później, zawiera fragmenty o wiele starsze, wplecione w dużo młodsze dodatki”¹⁹.

W całym tym labiryncie ksiąg i tekstów, które swego czasu istniały wyłącznie w ustnej tradycji, a dopiero znacznie później zostały spisane, istnieje tylko jeden wątek, nieustannie powtarzający się z niewielkimi zmianami i uzupełnieniami. Idąc jego tropem możemy szukać korzeni Wed. Jest to opowieść o Manu, ojcu całej ludzkości – indyjskim Noem – oraz o zagadkowym bractwie ascetów, zwanych Siedmioma Mędrkami, którzy według licznych relacji towarzyszyli Manu w arce, kiedy wody wielkiego potopu pokryły Ziemię.

Ojciec ludzkości

Manu był pierwszym i największym patriarchą i prawodawcą wedyjskiego ludu, opisywanym we wszystkich starożytnych tekstach jako obrońca i ojciec ludzkości oraz wszystkich żywych stworzeń²⁰. Ralph Griffith, tłumacz Wed na angielski, określa go jako „symbol człowieczeństwa i ojca ludzkiej rasy, który jako pierwszy wprowadził ceremonie religijne”²¹. W *Rygwedzie* ludzie, nazywający samych siebie „Ariami” – co oznacza „szlachetni”, „czyści”, „dobrzy” lub „oświeceni” (do tej zagadkowej nazwy wrócimy jeszcze w innym rozdziale) – często nazywani są „potomstwem Manu”²², on sam zaś znany jest jako „Ojciec Manu”²³.

Nawet bogów określa się jako „świętych Manu”²⁴. Równocześnie *Rygweda* nigdzie dokładnie nie wyjaśnia, co też takiego ów Manu uczynił, że zasłużył na takie poważanie; wiadomo jedynie, że zdarzenia te miały miejsce „dawno temu”²⁵.

Literacki wizerunek Manu przywodzi na myśl staroegipskiego Ozyrysa. W żadnym świętym piśmie tego kraju, od *Tekstów Piramid* po *Księgę Umarłych*, nie znajdziemy pełnego życiorysu Ozyrysa. Dysponujemy jedynie fragmentami, kilkoma zdaniem rozrzuconymi tu i ówdzie, wspomnieniem jego tytułów i zaszczytnych cnót, wieloma aksjomatami („prawda jest wielka i potężna i nigdy nie zdołano jej obalić od czasów Ozyrysa” itp.) – lecz nigdzie nie pojawia się relacja o czynach, którymi zasłużyłby na taki szacunek. Jedynie później, w tekście nieegipskiego pochodzenia – w *Izydzie i Ozyrysie* Plutarcha – znajdujemy pełny przekaz. Plutarch twierdził, że zdobył informacje od egipskich kapłanów. Podane przezeń szczegóły zgadzają się z mniej lub bardziej fragmentarycznym przekazem ze znacznie wcześniejszych egipskich pism i mogłyby nawzajem się uzupełniać. Naukowcy uważają, że nigdy nie mówiono ani nie pisano o Ozyrysie we wcześniejszej literaturze, ponieważ jego charakterystyka była tak dobrze znana i oczywista, iż nikt nie widział potrzeby, aby ją uwiecznić²⁶.

Wydaje się, że z takim samym zjawiskiem mamy w przypadku *Rygwedy*. Podobnie jak Ozyrys, Manu pojawia się nawet w aforyzmach, na przykład „czy możemy mówić jak Manu”²⁷ – czyli, zdaniem Griffitha, „z mądrością i autorytetem Manu, który wiedzę czerpie bezpośrednio od bogów”²⁸. Tymczasem nigdzie – w całym tekście *Rygwedy* – nie znajdziemy żadnej spójnej historii Manu, która mogłaby tłumaczyć uwielbienie, jakim go darzono, i pozwoliłaby poznać jego rolę w przetrwaniu cywilizacji wedyjskiej. Podobnie jak w przypadku egipskiego Ozyrysa powinniśmy przyjąć, że dzieje Manu były tak dobrze znane, iż poci nie widzieli potrzeby ich opisywania w Wedach.

Potop, który ma zmyć wszelkie stworzenia

Najstarszym tekstem, z którego można się czegoś dowiedzieć o Manu, jest *Satpathabrahmana*. Czytamy tam o Indiach na krótko przed niszczącym potopem, a Manu jest królem i przywódcą ludzi (w późniejszej *Bhagwatapuranie* utożsamia się go z „południowoindyjskim lub drawidyjskim królem o imieniu Satjawrata”)²⁹.

Rankiem przyniesiono Manu wodę do obmycia rąk. Kiedy się mył, w ręce wpadła mu ryba. Odezwała się do niego tymi słowy: „Podążaj za mną, a ja cię uratuję!” „Przed czym mnie uratujesz?” „Potop zmyje wszelkie stworzenia: przed nim cię uratuję”. „Jak mam za tobą podążać?” „Kiedy jesteśmy bardzo małe, czyha na nas wielkie niebezpieczeństwo: ryba pożera rybę. Ty schowasz mnie do słoja. Kiedy stanę się większa niż on, wykopiesz staw i tam mnie wpuścisz. Kiedy znowu będę za duża, zabierzesz mnie do morza i dzięki temu uniknę niebezpieczeństwa”. Wkrótce mała rybka stała się dużą rybą. I wtedy powiedziała: „W tym

i w tym roku przyjdzie potop. Powinieneś posłuchać moich rad i zbudować statek; a kiedy woda się podniesie, masz wejść na jego pokład, a ja cię przed nim ochronię”. I idąc za jej radą, wrzucił ją do morza. A w roku, który ryba wskazała, znowu poszedł za jej radą i zbudował statek, a gdy wody się podniosły, wszedł na jego pokład. Wówczas ryba podpłynęła i do dziobu przywiązała linę, przywodząc go do podnóża północnej góry. Wtedy powiedziała: „Uratowałam cię. Przywiąż linę do drzewa; nie pozwól, aby woda cię porwała³⁰, kiedy będziesz na górze. Gdy woda zacznie się cofać, możesz stopniowo schodzić!” Tak też uczynił, zaczął powoli schodzić i dlatego ten stok północnej góry nazywa się „zejściem Manu”³¹.

W tej wersji legendy Manu jako jedyny przetrwał potop, nie ma w niej mowy o Siedmiu Mędrcach ani o innych towarzyszach. Jakim więc sposobem mógł się stać ojcem ludzkości?

Satpathabrahmana tak to tłumaczy:

Pragnąc mieć potomstwo, oddał się nabożności i żył surowo. W tym czasie ofiarował też wodom roztopione masło, kwaśne mleko, serwatkę i twaróg. Po roku powstała z tego kobieta. Wraz z nią oddał się nabożności i surowemu życiu, prosząc o potomstwo. Z nią począł tę rasę, która jest rasą Manu³².

„Statek wirował jak odurzona kobieta”

Trzymając się ustalonej chronologii, następną wersję historii o Manu znajdujemy w *Mahabharacie*. Tu Manu nie jest królem, lecz potężnym rysi (mędrce, jasnowidzem), który spędza nadzwyczaj długi żywot na doskonaleniu się w jodze:

Stojąc z wzniesionymi rękoma na jednej nodze, praktykował z wielką gorliwością i żarliwością. To straszne ćwiczenie uprawiał też głową w dół, nie mrugając oczami, przez 10 000 lat. Pewnego razu, gdy odziany w mokre łachmany i o splecione włosach, był bardzo zajęty swoimi praktykami, do brzegu [rzeki] podpłynęła ryba, mówiąc: „Panie, jam jest mała rybka; boję się silniejszych i musisz mnie przed nimi chronić”³³.

Potem opowieść ta, nieco bogatsza w szczegóły, toczy się podobnie jak przedstawia *Satpathabrahmana*: Manu opiekuje się rybką, która kolejno wyrasta z pojemników i na końcu zostaje przeniesiona do oceanu.

Kiedy została wrzucona do oceanu, powiedziała Manu: „Wielki Panie, udało ci się mnie uchronić, teraz słuchaj, co powinieneś zrobić, gdy nadejdzie czas. Wkrótce wszystkie ziemskie istoty zostaną zatopione. Nadszedł czas, aby oczyścić świat. Powiem ci, co będzie. Nadszedł straszny czas dla wszechświata. Zbuduj dla siebie potężny statek, do którego doczepisz linę. Wejdź na jego pokład

z Siedmioma Mędrkami, zabierz też skrupulatnie dobrane nasiona. Gdy znajdziesz się na pokładzie, poszukaj mnie: przybędę, a poznasz mnie po moim rogu. Nie pokonasz tej wielkiej wody bez mojej pomocy³⁴.

A gdy nastał potop:

Manu, w towarzystwie Siedmiu Mędrków, zabrawszy nasiona, popłynął przez wzburzony ocean w pięknym statku. [Teraz opisywane jest przybycie ogromnej ryby]. Gdy Manu ujrzał rogatego lewiatana, wielkiego jak góra, przywiązał linę do jego rogu. W ten sposób ryba z dużą szybkością ciągnęła statek przez wzburzony ocean, po którym tańczyły fale, a wody przewalały się z grzmotem. Miotały żywiołami statek wirował jak odurzona kobieta. Nigdzie nie było widać ziemi ani żadnych ludzkich siedzib; nie było nic prócz wody, powietrza i nieba. W rozszalałym świecie przetrwali tylko Manu, Siedmiu Mędrków i ryba. I tak przez wiele lat ryba niezmordowanie ciągnęła statek po wodzie; w końcu przywiodła go do najwyższego szczytu Himawat [Himalajów]. Wtedy uśmiechnęła się miło, mówiąc do Mędrków: „Przycumujcie statek bez zwłoki do tego szczytu”. Tak też uczynili. A najwyższy szczyt w Himawat dotąd nazywany jest Naubandhana (Cumowanie Statku)³⁵.

A potem, dzięki opanowaniu jogi, Manu-ojciec „zaczął stwarzać wszystkie żywe istoty”³⁶.

„Morze wystąpiło z brzegów”

Trzecia wersja – jedna z wielu innych – pochodzi z *Bhagwatapurany*, gdzie Manu najpierw nosi imię Satjawrata, „władca ludu drawidyjskiego”³⁷ [na południu Indii]. Jak zwykle, Manu spotyka małą rybę, którą – gdy urosła – wrzuca do oceanu. Wtedy ryba wyjawia mu, że jest wcieleniem boga Wisznu, ostrzegając go przed zbliżającym się potopem, który tu, podobnie jak w *Mahabharacie*, przyjmuje kosmiczny, wszechświatowy wymiar wielkiej pralaji kładącej kres każdej judze, czyli ziemskiej epoce:

Siódmego dnia po tym trzy światy zatoną w oceanie. Kiedy wszechświat zostanie pochłonięty przez wodę, wysłę po ciebie wielki statek. Zabierz z sobą rośliny i różne nasiona, a sam – w otoczeniu Siedmiu Mędrków – wejdź na pokład i bez strachu pozełgaj po ciemnym oceanie³⁸.

Następnie rybie wcielenie boga Wisznu znika, obiecując powrócić w stosownym momencie. Siedem dni później „morze, potężniejące, gdyż wielkie chmury wlewały do niego wodę, wystąpiło z brzegów, zalewając wszystko na ziemi”³⁹.

Potem pojawia się statek Wisznu, a Manu i Siedmiu Mędrków wchodzi na jego pokład. Manu nie zapomniął o swojej powinności, zabierając z sobą „różne rodzaje roślin”⁴⁰.

W końcu powraca wielka ryba. Arka Manu zostaje przyczepiona do jej rogu, żegluje bezpiecznie po wzburzonych wodach⁴¹.

Czym naprawdę jest wedyjski mit o potopie

Czy ta starodawna tradycja należy do świata mitów i symboliki religijnej, czy też potwierdzić ją mogą geologia i historia?

Mam wrażenie – pewnie niesłusznie – że te późniejsze teksty celowo uzupełniają dzieje Manu i wzbogacają jego historię w szczegóły, których brak w Wedach, gdyż wcześniej wiedza o jego życiu była powszechna i ugruntowana.

Niewykluczone, że w bliższych nam czasach postanowiono spisać ustną tradycję, ponieważ zrozumiano, że nie można już polegać na ludzkiej pamięci. W każdym razie możemy się domyślić, dlaczego *Rygweda* nazywa Manu ojcem ludzkości. Starodawna tradycja wedyjskiego ludu – tak dobrze znana wszystkim w początkowym okresie historii, że nie było potrzeby jej spisywać – przedstawiała go jako jedyne go człowieka, który przetrwał wszechświatowy potop i jedynie dzięki potędze jogi zdołał odtworzyć żywe istoty po tym kataklizmie.

Obecnie dysponujemy także dodatkowymi informacjami na ten temat:

1. Manu postarał się, aby ocalić z potopu coś bardzo cennego i znaczącego – zapas „roślin i różnych nasion”, co pozwoliło po potopie odnowić uprawy.
2. Na statku oprócz Manu znalazło się Siedmiu Mędrców.
3. Potop był tak rozległy, że „morze wystąpiło z brzegów i zalało ziemię”.
4. Statek, który uratował Manu, popłynął na północ.
5. Manu i Mędrcy wylądowali na stokach „Północnej Góry” w Himawati – czyli w Himalajach.
6. Zstępowali z góry „stopniowo” w miarę cofania się wód potopu, by nie narazić się na „zmycie”.
7. Manu praktykował jogę.
8. W przedpotopowych czasach Manu władał ludem drawidyjskim na południu Indii.

Statek w Himalajach?

Mimo iż ustna tradycja w Indiach przetrwała wiele pokoleń, które przekazywały sobie wiedzę o zamierzchłych czasach, nie dziwi mnie, że niektórzy językoznawcy i historycy dość sceptycznie podchodzą do prób powiązania stosunkowo późnych relacji o Manu jako jedynym człowieku ocalałym z potopu ze wzmiankami o nim w znacznie starszych Wedach. A jednak niewielkie fragmenty *Atharwawedy* i *Rygwedy* świadczą o tym, że lud wedyjski u zarania swej cywilizacji doskonale znał szczegóły mitu o potopie, które pojawiają się dopiero w przeka-

zach znacznie bliższych naszym czasom. Znajdujemy tam nawet podobną symbolikę, obrazowość opisów i język.

Oczywiście niewykluczone, że późniejsze teksty to echo wcześniejszych, lecz gdyby tak było, byłyby one znacznie bardziej do siebie podobne, niż w istocie są. Moim zdaniem różnice w terminologii wydają się tak znaczne, że w żadnym razie nie można uznać *Satpathabrahmany*, *Mahabharaty* i *Bhagwatapurany* oraz innych dzieł za kopię *Atharwawedy* czy *Rygwedy*. Bliższe już chyba prawdy zdaje się stwierdzenie, iż wcześniejsze i późniejsze teksty wywodzą się niezależnie od siebie ze wspólnego, niezwykle starego przekazu ustnego. Odsadne fragmenty *Atharwawedy* i *Rygwedy* są bardzo niejasne i mało znaczące, jeśli wyjąć je z kontekstu, lecz nabierają sensu, gdy się zna treść spisanych lub przekazywanych ustnie mitów o Manu i potopie.

Dla kogoś, kto chce wierzyć, iż spójne opowieści o Manu i potopie zostały wymyślone przez autorów późniejszych tekstów i nie były znane w czasach *Atharwawedy* i *Rygwedy*, to zaiste trudny orzech do zgryzienia. Ale wszystko staje się zrozumiałe, gdy przyjmujemy, iż mit ten krążył już w najdawniejszych, czyli wedyjskich czasach, lecz w niepisanej formie i przetrwał tak długo wyłącznie w ustnej tradycji.

O ile wiem, pewien fragment *Atharwawedy* po raz pierwszy komentował jeszcze w XIX wieku profesor Albrecht Weber, znany niemiecki indolog⁴². Znajduje się on w Księdze 19 (hymn 39, werset 8), a współczesnego przekładu z sanskrytu na angielski dokonał David Frawley: „W miejscu, w którym statek osiadł na szczycie Himalajów, przebywa wizja nieśmiertelności”⁴³. Przekład Griffitha (1895) tego samego wersetu brzmi następująco: „Tam, gdzie jest Osadzenie Statku, na szczycie Śnieżnej Góry, znajduje się też uosobienie życia, które nie umiera”⁴⁴. W przypisie Griffith dodaje:

Osadzenie Statku: czyli miejsce, w którym osiadł lub osunął się statek; prawdopodobnie Naubandhana w późniejszym eposie (tzn. *Mahabharacie*), najwyższy znany szczyt Himalajów, do którego Manu zacumował swój statek⁴⁵.

Weber w swoim komentarzu z 1882 roku także porównuje ten fragment z *Rygwedy* i *Mahabharaty*. W tym drugim eposie szczyt w Himalajach, do którego zacumowano statek, został później nazwany Naubandhana (co oznacza „przywiazanie statku”). Weber zwraca uwagę na ciekawe – choć niezbyt uderzające – podobieństwo tego opisu do przewodniej idei *Atharwawedy* (19, 39, 8), „gdzie termin *Nawaprabhramsana*, czyli «Osunięcie się Statku» występuje w powiązaniu ze szczytem Himawat”⁴⁶.

Ponieważ trudno sobie wyobrazić statek zarówno przycumowany do szczytu górskiego, jak i osuwający się z niego, przypuszczam, że taki obrazowy opis w *Atharwawedzie* bez dodatkowych objaśnień ma sens jedynie wówczas, gdy przyjmujemy, że śpiewający hymny wedyjskie doskonale znali opowieść o tym, jak statek znalazł się w Himalajach. Uzasadnione jest też przypuszczenie, że historia ta, krążąca wówczas w postaci ustnego przekazu, stanowiła wczesną wersję

odpowiednich fragmentów spisanych w *Satpathabrahmanie*, *Mahabharacie* i innych tekstach.

Ustęp *Rygwedy* jeszcze dobitniej świadczy o tym, że opowieść ta znana była ze szczegółami znacznie wcześniej. W Księdze 2 (hymn 23, werset 13) znajdujemy wzmiankę o „czystych lekarstwach, takich, które zapewniają zdrowie i dobre samopoczucie, a które nasz ojciec Manu wybrał spośród innych”⁴⁷. W połowie XIX wieku znawca Wed, Horace Haymann Wilson, jako pierwszy stwierdził, że „mowa tu o nasionach roślin, jakie według *Mahabharaty* Manu miał zabrać z sobą na statek, w którym przetrwał potop”⁴⁸.

Wróćmy do *Atharwawedy*: jeszcze jedna niewyjaśniona kwestia pojawia w księdze 19 (hymn 39, werset 8). Chodzi o skojarzenie nieśmiertelności – „życia, które nie umiera” – z Miejscem Zstąpienia Statku w Himalajach (czy raczej Miejscem Zstąpienia Manu, jak to ujmuje *Satpathabrahmana*). Tym razem także późniejsze teksty podają nam tło tej historii, o której w Wedach znajdujemy zaledwie napomknienia, że za uratowanie ludzkości i nasienia wszystkich żywych stworzeń bogowie nagrodzili Manu możliwością „poznania tajników duszy”⁴⁹, opanowaniem „wszelkiej wiedzy”⁵⁰ oraz nadludzką siłą i życiem trwającym miliony lat, aby mógł panować przez „jedną manwantarę”⁵¹. Manwantara to czas, który wedyjscy mędrcy (z nietypowym dla nich brakiem precyzji) ustalają na „około 71” pełnych cykli czterech jug⁵², co równałoby się 64 800 000 lat⁵³ – czyli praktycznie nieśmiertelności.

Jak już czytelnicy zapewne zauważyli, w tym nagradzaniu nieśmiertelnością czy niezwykle długim życiem jest coś znajomego! Taki sam dar otrzymał od bogów Zisudra, sumeryjski Noe:

Żywot równy bogom mu dali;
Wieczny oddech został mu ofiarowany, jakby był bogiem,
(...) król Zisudra,
Dzięki któremu zachowały się nazwy roślin i ludzkie plemię⁵⁴.

Dwa razy siedem

Inne uderzające podobieństwo to obecność postaci Siedmiu Mędrców zarówno w tradycji wedyjskiej, jak i sumeryjskiej. Większość starożytnych społeczności miała swoich mędrców lub jasnowidzów, którzy w Indiach nazywali się i wciąż nazywają się ryszi. Nie wydaje mi się jednak zbiegiem okoliczności pojawienie się tak szczególnej grupy ludzi, jak Siedmiu Mędrców, w dwóch niezależnych od siebie starożytnych kulturach, że musiały istnieć między nimi jakieś kontakty.

W Sumerze owych Siedmiu Mędrców przedstawiano jako istoty wodno-lądowe w „rybich szatach”, które wychynęły z morza w przedpotopowych czasach, by ludzkości przekazać swą mądrość.

W przypadku Wed mowa nie tyle o czasach przedpotopowych, ile raczej o samym potopie i ludziach, którzy go przetrwali, czyli o Manu i Siedmiu Mędrkach.

Porównajmy fakty:

- Przed potopem istniały dwie grupy mędrców, jedna w starożytnym Sumerze, druga w starożytnych Indiach.
- Obie łączy pewien rodzaj „rybiej” symboliki – sumeryjskich Siedmiu Mędrców to półludzie, półryby, natomiast Siedmiu Mędrców w Wedach ucieka na statku zbudowanym przez Manu i ciągniętym przez olbrzymią rybę przez wzburzone wody potopu.
- Obie grupy pełnią identyczne funkcje – zachowały zdobycze cywilizacyjne i przekazały je ludzkości w określonych dziedzinach.
- Członkowie obu grup wiedli ascetyczny tryb życia, nauczając i wspierając duchowy rozwój ludzi.
- A co najdziwniejsze, obie grupy mędrców spełniały fundamentalną i całkowicie ziemską rolę jako ci, którzy wybierali królów i im doradzali.

Niewykluczone, że podobieństwa te są wynikiem bezpośredniej wymiany kulturalnej (jak byśmy dziś powiedzieli) i przenoszenia pewnych idei z jednego rejonu do drugiego. Warto przynajmniej rozważyć taką ewentualność. Wiemy już przecież, że kultura Indusu-Saraswati, która prawdopodobnie stworzyła wedyjską literaturę, oraz cywilizacja starożytnej Mezopotamii istniały równolegle w czasie i nawzajem się kontaktowały. Pozostaje jednak kwestia, czy podobieństw tych jest wystarczająco wiele (inaczej mówiąc, czy różnice między obiema tradycjami nie są zbyt liczne), aby wolno było nam przyjąć bezpośrednie przeniesienie koncepcji Siedmiu Mędrców z jednej kultury do drugiej. Poza tym, mimo iż przedstawiciele obu kultur handlowali z sobą i znali się dość dobrze, czego zresztą dali dowody, wykopaliska archeologiczne nie pozwoliły odkryć śladów wymiany kulturalnej idei, symboli i motywów – nawet na tak prozaicznej płaszczyźnie, jak wzory biżuterii, nie mówiąc już o znacznie bardziej wysublimowanej dziedzinie, jak fundamentalne pojęcia religijne i elementy tradycji.

Jedynym wytłumaczeniem wydaje się przypadkowa zgodność.

A może obie tradycje w jakimś sensie były spokrewnione, nie bezpośrednio, lecz dzięki wspólnemu dziedzictwu po znacznie starszych i zapewne dawno zapomnianych przodkach...

Instytucja ratowania Wed

W indyjskiej tradycji szczególnie uderza ściśle powiązanie opowieści o Manu oraz Siedmiu Mędrcah ze starodawną koncepcją jugi, czyli cyklicznego zniszczenia i odbudowy świata. Do tego momentu mit przypomina historię zatopienia Dwarki. Ale w przypadku Dwarki jest mowa o unicestwieniu tylko jednego miasta, tymczasem potop z czasów Manu – prawdziwa pralaja – pochłania całą ziemię, a wody (zupełnie niewiarygodne!) osiągają tak wysoki poziom, że wynoszą statek na szczyt Himalajów.

Teksty sanskryckie mówią, że kataklizm na taką skalę miał zmyć wszelkie ślady poprzedniego świata, oczyszczając teren dla nowej ziemskiej cywilizacji. Aby zaś Wedy mogły zachować się do użytku przyszłych mieszkańców ziemi po kolejnych pralajach, bogowie ustanowili instytucję do ich ochrony – owych Siedmiu Mędrców, bractwo oświeconych, obdarzonych nieomylną pamięcią i nadnaturalną potęgą⁵⁵, praktykujących jogę, odprawiających święte rytuały i składających ofiary, ascetów, duchowych wizjonerów, walczących ze złem wielkich nauczycieli posiadających nieogarnioną wiedzę, strażników kosmicznej sprawiedliwości, którzy odradzają się z ery na erę⁵⁶ jako przewodnicy ludzkości.

Zacznijmy więc od początku.

Siedmiu Mędrców podobnych Bogu

Najstarsze wzmianki o Siedmiu Mędrcach, jakie dotarły do naszych czasów, znajdujemy w *Rygwedzie*. Lecz i tym razem spodziewano się, iż słuchacze są wprowadzeni w sedno sprawy, nie ma więc potrzeby powtarzać całej opowieści od początku (cytaty pochodzą z angielskiego tłumaczenia Griffitha)⁵⁷:

Naszymi ojcami było zatem owych Siedmiu Mędrców (...) (4,42,8).

Poza Siedmioma Mędrcami cenili tylko Jednego Jedynego (...) (10,82,2).

Owi Bogowie starożytnych, Siedmiu Mędrców, którzy poświęcili się surowej nabożności (...) (10,109,4).

Tak więc poprzez wiedzę ludzie zostali podniesieni do rangi Mędrców, gdy starodawna ofiara zakiełkowała, a byli to nasi Ojcowie. Myślę, że oczyma duszy widzę tych, którzy jako pierwsi poświęcili się tej wierze. Oni, którzy wprawieni byli w rytuałach i metrum, w hymnach i prawach, to Siedmiu Mędrców podobnych Bogu. Znając ścieżkę wskazaną przez starożytnych, [późniejsi] mędrzy przejęli przywództwo jak woźnice rydwanów. (10, 130, 6 i 7).

Istnieje wiele dodatkowych relacji o poszczególnych ryszi, ich dokonaniach, wiedzy, potędze, ale cztery cytowane wyżej wersety jako jedyne w całym liczącym pół miliona słów tekście *Rygwedy* zawierają bezpośrednie i jednoznaczne wzmianki o Siedmiu Mędrcach (Saptaryszi). Wzmianki, choć niezwykle krótkie, niosą z sobą ogromne bogactwo informacji, dzięki którym możemy ustalić, że:

1. Siedmiu Mędrców traktowano w jakimś sensie jako „ojców” tych ryszi, którzy odprawiali rytuały i recytowali Wedy w późniejszych czasach.
2. Cieszyli się oni ogromnym poważaniem, zajmowali drugie miejsce po „Jednym Jedynym” – najwyższej potędze we wszechświecie.
3. Mędrzy ci uprzednio byli śmiertelnikami, lecz później zostali unieśmiertelnieni dzięki opanowaniu „wiedzy”, w czasach gdy „starodawna ofiara zakiełkowała” – prawdopodobnie u zarania religii wedyjskiej.

4. Mędrcy byli w jakimś sensie „Bogami”, a przynajmniej „podobni Bogu”.
5. Prowadzili surowy tryb życia.
6. Znali starodawne zasady poetyckiego metrum i odznaczali się pamięcią pozwalającą zachować i przekazywać „wersety wiedzy” następnym pokoleniom.
7. Późniejsze pokolenia mędrców, którzy kontynuowali starodawne rytuały, zapamiętywali i recytowali wersety wiedzy – czyli Wedy – byli (według XIX-wiecznego komentatora) „tylko naśladowcami tych, którzy ich poprzedzali”⁵⁸. Wynika stąd, że jedną z technik stosowanych przez następne pokolenia w celu podążania „ścieżką wskazaną przez starożytnych” była znana w jodze wizualizacja (widzenie „oczyma duszy”) pierwotnego zgromadzenia „Siedmiu Mędrców podobnych Bogu, którzy jako pierwsi poświęcili się tej wierze”.

Twórcy Wed

Podobnie jak opowieść o Manu i potopie, równoległa historia bractwa Siedmiu Mędrców, którzy przetrwali potop w arce Manu, przypomina układankę, której kawałki rozsiane są na tysiącach stron starych sanskryckich tekstów. Wybitny znawca przedmiotu, dr John Mitchiner, który pracę doktorską na wydziale orientalistyki i afrykanistyki University of London poświęcił sanskryckiej tradycji Siedmiu Mędrców, opublikował później znakomite dzieło *Traditions of the Seven Rsis*⁵⁹ (Tradycje Siedmiu Rsi; przywiązując dużą wagę do oryginalnej interpretacji, w całej książce używa sanskryckiego terminu rsi, czyli ryszi⁶⁰).

Mitchiner podkreśla, że w indyjskiej myśli istnieje fundamentalny związek między Mędrcami a praźródłami Wed, a jest on tak oczywisty, że badania tej literatury nieuchronnie prowadzą do poszukiwań tożsamości tych pierwszych:

Siedmiu Rsi określa się częstokroć jako tych, którzy zawarli całą znaną sobie wiedzę w Wedach, są ich twórcami, znawcami i mistrzami (...). Uważa się [ich] za autorów wedyjskich hymnów, którzy od czasu do czasu przybywają na ziemię, by odświeżyć wiedzę o nich wśród ludzi. Określa się ich ponadto jako nauczycieli mądrości zawartej w Wedach i innych pismach, którą przekazali swoim uczniom. Byli też propagatorami uczenia się tych tekstów, studiowania ich i recytacji⁶¹.

Jednak związek między Siedmioma Mędrcami a kompozycją wedyjskich pieśni zawsze wydawał się i nadal wydaje dość niejasny. Wielki hinduistyczny uczyony z XIX wieku, Bal Gandhadar Tilak, stworzył następującą doktrynę indyjskiego systemu jug:

Wedy zostały zniszczone podczas potopu, w końcu ostatniej epoki. Na początku obecnej epoki Mędrcy poprzez tapa [medytację i uprawianie jogi] odtworzyli treść, a być może i formę przedpotopowych Wed, które przechowywali w pamięci ku chwale boskiej⁶².

Tak więc z jednej strony mamy rozumieć, że Siedmiu Mędrców obarczone zadaniem „odtworzenia” i propagowania „przedpotopowych” Wed (które już wcześniej zostały odtworzone i były propagowane). Z drugiej strony ze zdumieniem dowiadujemy się, że w innych hymnach Mędrców określa się jako „twórców” Wed⁶³. I na koniec istnieją wersety, które niedwuznacznie dają do zrozumienia, że w zamierzczłej przeszłości uważano, iż hymny zostały „inspirowane”, „dane” lub „stworzone” przez bogów, czyli że w swej istocie są wiedzą objawioną⁶⁴.

Tajemne przesłanie

Podczas długotrwałych podróży po Indiach, także w sensie intelektualnym, moje życie przebiegało niejako w dwóch wymiarach. Należy pamiętać, że hinduizm jest dzieckiem Wed, a według tej religii to, co uważamy za „rzeczywistość” (czyli „świat formy”, wszechświat materialny), to w istocie rzeczy maja – złudzenie lub masowy omam, wynikający z niewiedzy. Jej mroki można rozproszyć jedynie dzięki specyficznej wiedzy, zdobyciu wewnętrznego wglądu (czyli gnozy), skrytego w wedyjskich wersetach⁶⁵. Ponieważ wiedzę tę można uzyskać drogą indywidualnych studiów i ascezy, hymny natomiast recytowano publicznie, trzeba było ją jakoś zakodować albo zakamuflować w obrazach i wątkach, które dla laika znaczą co innego, a co innego dla tych, którzy podążają ścieżką gnozy. Fakt stosowania takiego sekretnego przekazu czy też kodowania znajduje potwierdzenie w samej *Rygwedzie*, w Księdze 1 (hymn 164, werset 45 – tłumaczenie Griffitha):

Mowa została podzielona na cztery części; znają je bramini, którzy podążają ku wiedzy [gnozie]. Trzy są skrzętnie ukryte i nie wywołują skojarzeń; ludzie używają tylko czwartej części mowy⁶⁶.

Wilson tłumaczy ten sam werset w następujący sposób:

Są cztery określone stopnie mowy, znają je mądrzy bramini: trzy sekretne nie budzą skojarzeń; ludzie używają czwartego stopnia mowy⁶⁷.

Nowe i stare

Wiele podobnych napomknień⁶⁸, rozsianych tu i ówdzie w starożytnych sanskryckich tekstach, każe nam z najwyższą ostrożnością traktować niejednoznaczność koncepcji Siedmiu Mędrców i ich roli zarówno w „odtworzeniu”, jak i „tworzeniu” wedyjskich hymnów, które równocześnie należy uznawać za objawienie dane przez bogów.

Bal Gangadhar Tilak, który całe życie poświęcił odczytywaniu prawdziwego sensu Wed, do czego podchodził z niezwykłym pietyzmem i zarazem z otwartym

umysłem, uważa, że można pogodzić te sprzeczne z sobą nawzajem napomknięcia, należy jedynie uczynić rozróżnienie

między sposobem wyrażania, językiem lub formą z jednej strony a treścią, sensem lub motywem z drugiej. Trzeba pamiętać, że choć sposób wyrażania jest czysto ludzki, to sens jest starożytny lub ponadludzki. W wielu wersetach *Rygwedy* bardowie mówią o starożytnych poetach (purweryszają) czy starożytnych hymnach (1,1,2; 6,44,13; 7,29,4; 8,40,12; 10,14,15 itd.) [lub gdzie mowa o] nowych (nawjasi), tymczasem bóg lub bóstwo, do którego się zwracają, jest stary (pratna) lub starożytny (6,22,7; 10,91,13 itd.). Bóstwa, których bohaterskie czyny są sławione w hymnach, uważa się za starożytne. Tymczasem pewne wersety wyraźnie dają do zrozumienia, że nie tylko bóstwa, lecz i ich bohaterskie czyny uznaje się za starożytne, co ewidentnie oznacza, że omawiane w hymnach dokonania przetrwały w tradycji, a poeta nie był ich świadkiem⁶⁹.

Najlepiej zatem uznać *Rygwedę* za strukturę wielowarstwową, zawierającą bardzo stare informacje (przekazywane dosłownie w takiej postaci, w jakiej znała je starożytność, albo jako powtórki lub odniesienia w późniejszych kompilacjach) oraz całkiem niemały zbiór późniejszych informacji, które znalazły się tam w późniejszych czasach i pochodziły z rozmaitych rejonów, w których rozpowszechniano Wedy. Językoznawcy i historycy mogą bez końca spierać się o źródła, autorstwo i wiek tych niezwykłych utworów oraz wywodzących się z nich późniejszych tekstów, lecz one same wyrażają się na te tematy z całkowitą jasnością.

Wedyjskie palimpsesty

W Wedach czytamy, że są one tekstami oryginalnymi, objawionymi ludzkości przez bogów. Kiedy już weszły w ludzki wymiar czasu i przestrzeni, należało znaleźć mechanizm chroniący zawartą w nich ścieżkę gnozy przed niestałością świata materii, w którym najgroźniejsza była pralaja, czyli kataklizm oddzielający jedną epokę od następnej. Siedmiu Mędrców obarczono zadaniem uchronienia Wed przed unicestwieniem w tych cyklicznie powtarzających się okresach totalnej destrukcji. Winni więc zachować teksty wedyjskie w pamięci, przetrwać potopy i odtworzyć hymny dla nowego pokolenia ludzi.

Wedy, a także późniejsze hymny, które znamy dzisiaj, mówią niedwuznacznie, że takie kataklizmy zdarzały się wielokrotnie⁷⁰ – innymi słowy ci, którzy recytowali Wedy jeszcze w starożytnych czasach, nie uważali ich za pierwotną wersję, lecz znacznie nowszą, którą od tej najstarszej dzieliły eony i która przetrwała po ostatniej pralaji dzięki Siedmiu Mędrcom uratowanym na pokładzie arki Manu. Arka osiadła w Himalajach i stamtąd treści Wedy głoszone obecnej ludzkiej rasie. Co więcej, po dokładniejszym zapoznaniu się z tekstami hymnów stwierdzamy, że nawet te wydarzenia musiały mieć miejsce bardzo dawno temu, że autorzy Wed, mieniący się potomkami Manu, oraz późniejsi mędrzy, którzy

Siedmiu Mędrców nazywają swymi Ojcami, mówią o tamtych czasach tak, jakby należały do jeszcze bardziej zamierzchłej przeszłości. Tilak pisze:

Wedyjscy rysi zdawali sobie sprawę, że śpiewane i recytowane przez nich hymny opowiadają o czasach przedpotopowych, choć użyli w nich własnych słów⁷¹.

Tak więc hymny są „ustnymi palimpsestami”, każdy z nich powstawał na bazie wcześniejszego, ten zaś z kolei jeszcze starszego i tak dalej – aż do skrytej w mroku prehistorii. Niekiedy starsze wersje palimpsestów przebijają z późniejszych utworów, tak że wszystko się miesza, jak w naruszonych przez koparkę warstwach archeologicznych, w których starsze artefakty znajdują się nad młodszymi.

W następnym rozdziale piszę, że dokonano pewnego postępu w procesie oddzielania rzeczywiście starego materiału od znacznie późniejszego, a rezultaty okazują się doprawdy zaskakujące.

Teraz wspomnę tylko, że wreszcie wiadomo, iż podstawowe zadanie Siedmiu Mędrców, których dzieje sięgają bardzo odległej starożytności, polegało na nauczaniu się Wed od swoich poprzedników, przetrwanie kataklizmu i głoszenie świętych tekstów w nowej epoce⁷², „jako wiedzy odziedziczonej po przodkach jak najświętszy skarb”⁷³. *Matsjapurana* mówi: „Co Siedmiu Mędrców usłyszało od Mędrców minionej epoki, to przekazało następnej epoce”⁷⁴.

Powiązanie z gwiazdami?

W sanskryckich tekstach często powtarza się opis rodowodu Mędrców – być może jakiejś reguły zakonnej czy też raczej kultu znanego jako Siedmiu Mędrców, którego szeregi uzupełniano w kolejnych pokoleniach. Istotnie, w niektórych tekstach natrafiamy na szczegółowe wykazy licznych grup Siedmiu Mędrców oraz ziemskich epok, w których żyli⁷⁵. *Mahabharata* na przykład wyraźnie wspomina o wielu Siedmiu Mędrcach⁷⁶. Istnieją różnorodne grupy Siedmiu Mędrców przypisane do rozmaitych regionów – zwłaszcza w południowych i północnych Indiach⁷⁷ – które działały równocześnie. Spośród wielu grup najczęściej powtarzają się we wczesnej literaturze imiona Wiśwamitra, Dżamadagni, Bharadwadza, Gotama, Atri, Wasistha i Kaśjapa jak „główna” grupa Siedmiu Mędrców⁷⁸, czasem wymieniane jest też imię Agastaya jako ósmego członka grupy⁷⁹. Lecz oto istnieje też inna grupa siedmiu Wielkich Mędrców (powtarzają się tu tylko imiona Atri i Wasistha), która miała równorzędne znaczenie: Marici, Atri, Angiras, Pulastja, Pulaha, Kratu i Wasistha⁸⁰.

Tę drugą grupę najczęściej umieszcza się w południowych Indiach. Ale równocześnie, ku powszechnemu zaskoczeniu, istnieje tradycja kojarząca członków tych grup z siedmioma gwiazdami na północnym niebie – przede wszystkim tymi, które tworzą Wielki Wóz w obrębie większej okołobiegunowej konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy⁸¹. Utożsamianie tej konstelacji z niedźwiedziem ma bardzo

stary rodowód i spotykamy je w wielu pozornie odległych od siebie kulturach⁸². Może to rzucić nieco światła na skądinąd dość zagadkowy fragment *Satpatha-brahmany*, która donosi, że „Siedmiu Ryszi nazywano w poprzedniej epoce Ryksza [niedźwiedziami]”⁸³. Mitchiner tak to postrzega:

W późniejszych czasach termin *rksa* nabrał szerszego znaczenia, jako określenie każdej gwiazdy. Lecz to znacznie pojemniejsze znaczenie z wszelkim prawdopodobieństwem jest pochodną pierwotnego, bardziej konkretnego sensu oznaczającego lśniące gwiazdy Niedźwiedzicy, czyli Ursa Maior⁸⁴.

Utożsamianie Siedmiu Mędrców z określonym gwiazdozbiorem, tak typowe dla indyjskiej tradycji, okazuje się również charakterystyczne dla wierzeń starożytnego Egiptu, w których duszę wiązano z gwiazdami⁸⁵. Nieuchronnie przychodzi mi na myśl życzenie faraona, niezliczoną liczbę razy powtarzane w *Tekstach Piramid*: by jeśli w czasie jego żywota duch osiągnie „doskonałość”, po śmierci został przemieniony w gwiazdę na niebie⁸⁶.

Starożytni Egipcjanie szczególne znaczenie nadawali dwóm rejonom nieba – konstelacji Oriona na niebie południowym oraz okołopolarnym, niespokojnym „nieprzemijającym” gwiazdom – zwłaszcza Kochabowi⁸⁷ w Wielkim Wozie na niebie północnym. O kierunku okołopolarnym czytamy w *Westchnieniu 419 Tekstów Piramid*: „Powstań (...) podnieś się, abyś mógł podróżować z duchami (...) Poprzez niebo (...) Pozostań w gronie nieprzemijających gwiazd (...)”⁸⁸. O Orionie wzmiankuje *Westchnienie 466*: „O Królu, to ty jesteś tą wielką gwiazdą, towarzyszem Oriona, który przebiegasz po niebie z Orionem”⁸⁹.

Wydaje mi się zatem dość niezwykle, że Siedmiu Mędrców starożytnych Indii wiązano z Wielkim Wozem w samym sercu okołopolarnego rejonu nieba, właśnie tego, w który chcieliby się udać egipcjscy faraonowie. A jeszcze dziwniejsze – jak pisze Mitchiner – jest to, iż jeden z Mędrców, Wiśwamitra, według *Ramajany* i *Mahabharaty* przeniósł króla starożytnych Indii, imieniem Trisanku, na firmament niebieski, gdzie „lśni on obecnie jako konstelacja Oriona”⁹⁰.

Wiedza i równowaga

Wydaje mi się, że – podobnie jak bractwo kapłańskie Heliopolis nadzorujące budowę Wielkiej Piramidy w Egipcie – Siedmiu Mędrców starożytnych Indii według sanskryckich tekstów nie było małą grupą wybitnych jednostek, lecz instytucją, która być może, przetrwała tysiące lat i w każdym pokoleniu zdobywała nowych członków. Powierzono jej zadanie zachowania i przekazywania przyszłym czasom wiedzy duchowej z bardzo zamierzchłej przeszłości.

Poświęcający się zdobywaniu wiedzy tajemnej Mędrzy Indii wiedli ascetyczny tryb życia, odrzucając materialne dobra i doczesne przyjemności. Wiemy, że nosili proste szaty z naturalnych włókien, a ciała posypywali popiołem. Nie obcinali włosów. Byli wegetarianami, żywili się jedynie owocami i korzonkami, nie

jedli mięsa⁹¹, a większość czasu spędzali poszcząc w pokrytych śniegami Himalajach. Udawali się tam, by praktykować tapa, czyli bardzo surowe reguły jogi – wzmacniali siłę swego ducha⁹².

Ale starożytne teksty powiadają też, że Mędrcy angażowali się w sprawy doczesne, wyznaczając królów, doradzając im, za ich pośrednictwem kształtując politykę państwa⁹³. W tym wypadku ich rola także przypominała działalność kapłanów z Heliopolis, którzy naznaczali faraonów w Epoce Piramid⁹⁴. Obie grupy angażowały się w świeckie sprawy z zamiarem stworzenia społeczeństwa będącego w zgodzie z sobą i wszechświatem – społeczeństwa, które starożytni Egipcjanie nazywali *maat* (ziemską i kosmiczną harmonią, prawdą, równowagą, „właściwą drogą”), a które Hindusi do dziś określają słowem *dharma*, mającym dokładnie takie samo znaczenie⁹⁵.

Dowiadujemy się też, że od czasu do czasu Siedmiu Mędrców przejmowało władzę w okresach bezkrólewia lub podczas długotrwałej nieobecności prawowitego króla⁹⁶. Uczyli władców, jak mają panować⁹⁷. Często też „zdobywali synów dla królów” (jeśli było trzeba, sami zapładniali ich żony!), zapewniając ciągłość dynastii⁹⁸, gdyż zarówno w Indiach, jak i w Egipcie obecność króla lub faraona gwarantowała kosmiczną równowagę. Gdy z powodu jakiegoś niefortunnego zbiegu okoliczności króla zabrakło, wówczas zadaniem Siedmiu Mędrców było znalezienie i wyznaczenie nowego władcy. W *Mahabharacie* czytamy, że po unicestwieniu kasty królów „ziemia – pozbawiona władców – zaczęła popadać w nieszczęścia, a wówczas Kaśjapa podtrzymał ją i znalazł nowego króla”⁹⁹.

Ale Siedmiu Mędrców nie tylko wspierało władców i pilnowało świeckiego porządku, lecz także często przeklinało królów, jeśli ci zagrażali ich potędze (a przekleństwo rzucone przez Mędrców było bardzo niebezpieczne, miało wręcz fatalne skutki). Mitchiner pisze:

Rsi postrzegano nie tylko jako podporę lub nauczyciela dharma, który pilnuje prawości i właściwego zachowania wśród ludzi, lecz jako ucieleśnienie dharma. Dając jej świadectwo słowami i czynami, za pomocą przekleństw wykorzeniał przeciwne dharma działania innych¹⁰⁰.

Duchowy fundament historii?

Im więcej wiedziałem o Siedmiu Mędrkach, tym konkretniej jawili mi się oni jako przedstawiciele religijnego kultu operującego potężną duchową siłą, którą czerpali z ascetyzmu i dążenia do gnozy, manipulującego „królestwami” Indii nawet ze swych pustelni w Himalajach. A może nie tylko Indii, lecz także innych krain prehistorycznego świata?

Sanskryckie teksty wymieniają dwie grupy Siedmiu Mędrców – jedną na południu, drugą na północy Indii, czyli w rejonach dość od siebie odległych. Warto tu jednak przypomnieć, że instytucja Siedmiu Mędrców, której zadaniem także było szerzenie wiedzy i doradzanie królom, istniała również w starożytnym Su-

merze. Czy to przypadek, że i w Egipcie działała grupa o takich samych prerogatywach? Według słynnych *Ksiąg z Edfu*, o których obszernie pisałem w innej książce¹⁰¹, Siedmiu Mędrców oraz inni bogowie przybyli pierwotnie z wyspy, „Ojczyzny Pradawnych”, która uległa zagładzie w wyniku wielkiego potopu, a większość jej „boskich mieszkańców” utonęła¹⁰². Garstka ocalałych przybyła do Egiptu i stała się tam „Boskimi Budowniczymi, którzy kształtowali świat w pradawnych czasach, Władcami Światła (...) Duchami, Przodkami (...) hodującymi nasienie dla bogów i ludzi (...)”¹⁰³.

Większość historyków i archeologów w mniejszym lub większym stopniu przykłada „materialistyczną” miarę nowoczesnych struktur (czy to w ich „kapitalistycznej”, czy też „socjalistycznej” formie) do społeczeństw bardzo zamierzchłej przeszłości. Wiara w to, że cywilizacja jest wyłącznie funkcją gry mechanizmów ekonomicznych, determinowała z kolei planowanie i prowadzenie wykopalisk, wywierając wpływ na interpretację starożytnych tekstów, takich jak na przykład Wedy. Ale w ostatnim okresie górę zaczyna brać całkiem odmienny światopogląd. Sanskrytolog David Frawley dowodzi: „Interpretacja historii z ekonomicznego i politycznego punktu widzenia jest nie do przyjęcia, jeśli prawdziwym celem ludzkości mają być oświecenie i duchowy rozwój”¹⁰⁴.

Frawley szczególnie uwagę poświęca starodawnej indyjskiej nauce jogi (my zajmujemy się jej pochodzeniem w dalszych rozdziałach) i konkluduje:

Współczesne poglądy na rozwój cywilizacji ludzkiej znacznie odbiegają od koncepcji ewolucji człowieka według systemu jogi. Nowoczesne rozumienie cywilizacji rozwijającej się stopniowo poprzez technologię i naukę stoi w sprzeczności z punktem widzenia jogi, zgodnie z którą postrzega się kulturę jako dziedzictwo przekazane nam przez mędrców (...) Jeśli istotę cywilizacji stanowi technologia, to współczesne poglądy byłyby słuszne, jeśli kultura duchowa, to są błędne. Moim zdaniem cywilizację stworzyli jogini, jasnowidze i mędracy¹⁰⁵.

Czy możliwe, aby kultura Indusu-Saraswati w pradawnych Indiach powstała w taki sposób, jak przedstawia tradycja wedyjska? Czy należy przyjąć, iż jest to skutek działania, a nawet „polityki” prowadzonej przez religijnych ascetów w celu ochrony cennej wiedzy jeszcze sprzed potopu, która wraz z nimi przybyła do Indii w arce Manu i przetrwała w pamięci Siedmiu Mędrców?

Rozdział 6

Zaginione Indie

*Kiedy z Waruną weszliśmy na łódź i popłynęliśmy nią na środek oceanu,
zaczęliśmy wirować na grzbietach fal i wir tak nas oszołomił,
że poczuliśmy się szczęśliwi.*

Rygweda (Księga 8, hymn 88, werset 3)

Wedyjska opowieść o potopie, a zarazem o Ojcu Manu i Siedmiu Mędracach, zawiera zaskakujące wątki: motyw olbrzymiej ryby ciągnącej statek; brak kobiet na pokładzie, dlatego Manu musi stworzyć sobie żonę i potomstwo za pomocą magii; potop jest tak rozległy, a woda tak wysoka, że zanosi statek aż do Himalajów. Tam zostaje zacumowany do szczytu „północnej góry”, nazywanej także „śnieżną górą”, w legendarnym miejscu, które w *Mahabharacie* określane jest jako Naubadhana (Przywiązanie Statku), a w *Atharwawedzie* jako Nawaprabhram-sana, Miejsce Zstąpienia Statku (lub Miejsce Osunięcia się Statku).

To prawda, że Himalaje są młodymi górami, które rzeczywiście swego czasu znajdowały się pod wodą i nadal rosną, gdyż Półwysep Indyjski nadal napiera na centralny masyw Azji – ale żaden oceaniczny potop w całej historii ludzkości nie mógł zalać wznoszącego się na wysokość 9000 metrów ośnieżonego pasma górskiego. Z geofizycznego punktu widzenia jest wykluczone, aby arka Manu została zakotwiczona w Himalajach, jak twierdzą święte hinduistyczne księgi.

Rozległe obszary subkontynentu indyjskiego rzeczywiście zostały zalane wodami oceanu pod koniec epoki lodowcowej – w okresie między 15 000 a 8000 lat temu. Potopy w owym czasie były zjawiskiem na skalę światową, o czym pisałem w rozdziale 2. Lecz Morze Arabskie i Zatoka Bengalska były dodatkowo zasilane spektakularnym topnieniem czap lodowcowych na szczytach Himalajów, w tej epoce znacznie grubszych i bardziej rozległych niż dziś.

Choć nadal nie wiemy, jak rozumieć fragmenty opowiadające o statku w Himalajach, nie mógłbym jednak zgodzić się z opinią naukowców twierdzących, że mit ten nie ma żadnej wartości historycznej.

Dwa dziwne miasta... i liczenie

W rozdziale 1 wspomniałem o zdumiewającym odkryciu archeologów morskich, w początkach lat 90. XX wieku prowadzących badania w Zatoce Bengal-

skiej wzdłuż wybrzeża Trankuebar –Poompukur na południu Indii, niedaleko Nagapattinam. W raporcie znalazła się wzmianka o konieczności przebadania budowli w kształcie podkowy, najwyraźniej dzieła ludzkich rąk, której ramiona kończyły się „półokrągłymi” i „owalnymi” kopcami. Najdziwniejsze jest jednak to, że konstrukcje znaleziono 5 kilometrów od obecnej linii brzegowej, na głębokości 23 metrów¹.

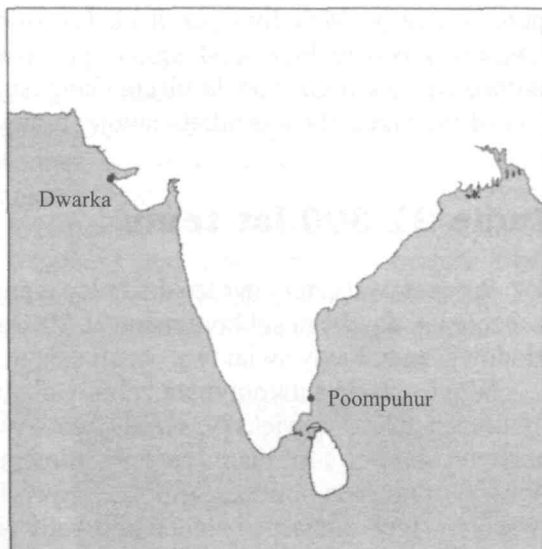
Kilka miesięcy wcześniej, po rozmowie z S.R. Rao uznałem, że znalezisko to może mieć wielkie znaczenie. Wiadomo jednak, że w wielu częściach świata poziom morza mógł się podnosić i opadać z rozmaitych powodów, niezależnie od ogólnoswiatowego wzrostu poziomu wód, i – choć bardzo to było kuszące – powstrzymałem się od pochopnego wyciągania wniosków na temat wieku ruin w Poompukur tylko dlatego, że znajdowały się pod wodą. Zwróciłem się z tą sprawą do dr. Glenna Milne’a z Durham University, jednego z najwybitniejszych ekspertów w dziedzinie sporządzania map zalanych rejonów. W swej pracy korzysta on ze znakomitego programu komputerowego i dokonuje obliczeń na podstawie różnych zmiennych, tworząc dokładny model starożytnej linii brzegowej w danym momencie i w określonym rejonie.

Milne sporządził wykres linii brzegowej w rejonie Poompukur i 12 października 2000 roku przesłał mi pocztą elektroniczną wiadomość:

Teren znajdujący się obecnie na głębokości 23 metrów został zatopiony około 11 000 lat temu. Wynika stąd, że budowle, o które panu chodzi, liczą co najmniej 11 000 albo i więcej lat²!

Możliwość, że ślady zapomnianych prehistorycznych kataklizmów rzeczywiście mogą znajdować się pod wodą u wybrzeży Indii, nagle okazała się całkiem realna. Poprzednio interesowałem się tylko jednym zatopionym miastem – położonym na północny zachód od wybrzeża Gudżaratu, w okolicy Dwarki, którego datowanie wydawało się wysoce wątpliwe. Teraz wiedziałem o drugim, znajdującym się po przeciwnej stronie subkontynentu indyjskiego, na południowy wschód od wybrzeża Tamilnadu, daty tym razem wskazywały na koniec ostatniej epoki lodowcowej.

Poprosiłem Milne’a i jego współpracowników z wydziału geologii Durham University, żeby sporządzili dokładną mapę zalewania całego półwyspu – na



południu aż po Malediwy, czyli blisko równika, a na północnym zachodzie do pakistańskiego wybrzeża Makra, w połowie drogi do Zatoki Perskiej, oraz na północnym wschodzie aż do ujścia Gangesu.

Milne przesłał mi rezultaty swojej pracy w połowie grudnia 2000 roku.

Indie 21 300 lat temu

Przygotował cztery bardzo dokładne mapy. Najwcześniejsza (patrz strona 133) ukazuje jak wyglądał subkontynent 21 300 lat temu, około maksimum ostatniego zlodowacenia, kiedy światowy ocean osiągnął najniższy poziom.

W tym czasie subkontynent zajmował obszar większy niż dziś, w niektórych miejscach znacznie większy, a w dwóch – w rejonie Gudżarat na północnym zachodzie i wokół Tamilnadu na południowym wschodzie – był tak rozległy, że w niczym nie przypominał współczesnych Indii. Czy to zbieg okoliczności, że właśnie w tych miejscach znaleziono podwodne ruiny?

W okresie maksimum ostatniego zlodowacenia pas ziemi o szerokości co najmniej 100 kilometrów, obecnie całkowicie zalany wodą, znajdował się ponad jej lustrem na niemal całej długości zachodniego wybrzeża Indii – czyli w linii prostej na przestrzeni 2000 kilometrów poza obecnym Półwyspem Komoryn aż do ujścia Indusu. Za współczesnym Goa miał szerokość 120 kilometrów, 4° na północ – blisko 500 kilometrów. Na 21° szerokości północnej Zatoka Kambajska była piękną doliną, miejsce zaś, w którym obecnie wznosi się miasto Surat, było aż o 700 kilometrów oddalone od wybrzeża.

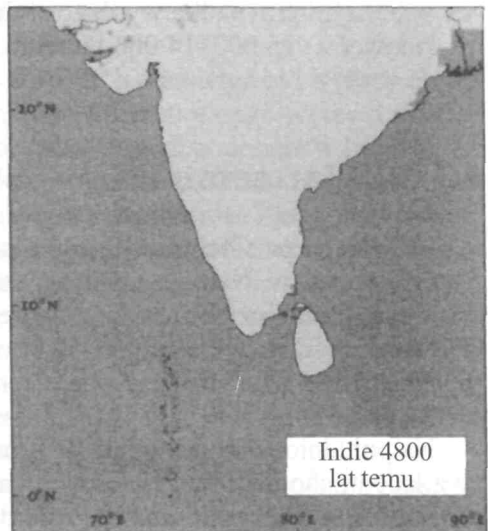
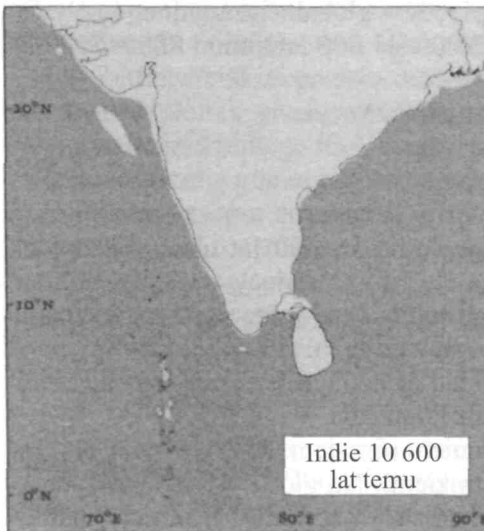
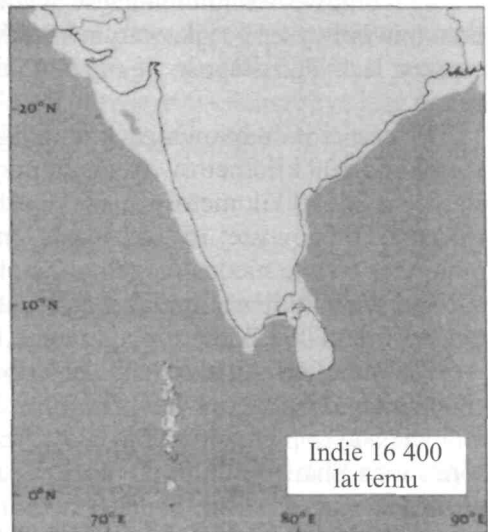
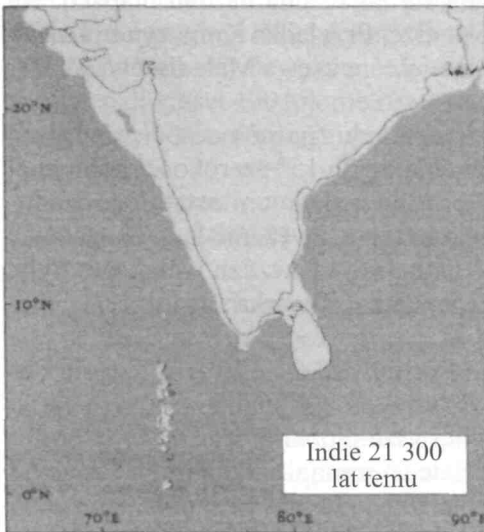
Lecz najbardziej uderzył mnie widok Półwyspu Kathijawar w stanie Gudżarat. Dziś z trzech stron oblewa go morze (z Zatoką Kambajską na południu, Zatoką Kaczcza na północy i Morzem Arabskim na zachodzie), lecz 21 300 lat temu nie był półwyspem – teren ten otaczał go ląd. Nawet Dwarę, z jej tajemniczymi podmorskimi ruinami – obecnie znajdująca się w samym północno-zachodnim „rogu” półwyspu – dzieliło niegdyś od morza prawie 100 kilometrów.

Doszedłem do wniosku, że zachodnie Indie utraciły w wyniku globalnego potopu, jaki nastąpił po maksimum ostatniego zlodowacenia, ogromne terytoria, bliskie powierzchni współczesnej Kalifornii i Baja California razem wziętych – czyli niemal pół miliona kilometrów kwadratowych.

Druga część mapy, na której prawie nie dało się rozpoznać zarysów współczesnych Indii, ukazywała południowy wschód subkontynentu, gdzie u wybrzeża Poopuhur znaleziono podwodne budowle.

Obliczenia Milne’a dowodzą, że w okresie ostatniego maksimum zlodowacenia Poopuhur znajdowało się prawie 100 metrów nad poziomem morza, na północnym brzegu wielkiego półwyspu o prawie takich samych rozmiarach i kształcie, jak współczesny Półwysep Koreański. Zamykając Cieśninę Palk, która w owym czasie była doliną, i łącząc znacznie powiększony Cejlon ze stałym lądem, to zaginione terytorium epoki lodowcowej rozciągało się nieco poniżej Dondra Head (około 6° szerokości północnej), aż do obecnego Pondicherry, leżącego blisko na

12° szerokości północnej. Mahabalipuram – która wiąże się z legendami o Siedmiu Pagodach i zalany przez potop mieście Bali – znajduje się na 12,37° szerokości północnej i w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia znajdowało się 50 kilometrów od morza. Tymczasem na zachód od półwyspu Cejlon, stanowiącego zachodnie wybrzeże Zatoki Mannar, w okresie maksimum zlodowacenia będącej wielką, zamkniętą zatoką, znajdował się „ryjkowaty” jezioro lądowe, wrzynający się w Ocean Indyjski na odległość ponad 150 kilometrów poza Przylądek Komoryn. I wreszcie na południowy zachód „naszyjnik” małych atoli, które tworzą teraz Malediwy, jawił się na mapie Milne’a jako spory archipelag. Powiększone i liczniejsze z powodu niskiego poziomu morza w okresie maksimum



ostatniego zlodowacenia, stanowiły tysiące kilometrów kwadratowych ciągłego lądu, który dawno zniknął.

Tak więc mapa pokazywała ogromny, zintegrowany rejon, będący jakby jedną z prowincji Indii, który 21 300 lat temu znajdował się na powierzchni morza, a dziś leży głęboko pod nią.

16 400 lat temu

Druga mapa Milne'a nieznacznie tylko różniła się od pierwszej, choć pokazywała Indie w 5000 lat później – 16 400 lat temu.

Południowo-wschodnia część wydawała się taka sama na obu mapach. Na południu półwysep o ryjkowatym kształcie poniżej Przylądka Komoryn był nieco węższy, lecz jego długość się nie zmieniła, a niektóre części Malediwów zaczęły pękać.

W części południowo-zachodniej głównego lądu (na północ od przylądka) szeroki na 100 kilometrów pas lądu przy brzegu aż do 15° szerokości północnej stał się o 20–50 kilometrów cieńszy niż w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia. Ale powyżej 15°, gdzie pas ten się rozszerza, zwężenie lądu okazało się mniejsze, prawie niedostrzegalne. Zatoki Kambajska i Kaczcza wciąż tam były, a Półwysep Kathijawar nadal znajdował się na lądzie, Dwarka zaś leżała w odległości około 100 kilometrów od morza.

Z chronologii kataklizmów polodowcowych wynika, że w tym okresie dochodziło do dość łagodnych przemian: 16 400 lat temu topnienie ostatniej epoki lodowcowej dopiero się zaczynało, a trzy pierwsze globalne superpotopy profesora Johna Shawa (o których piszę w rozdziale 2) nastąpiły dopiero w tysiąc lat później.

Czytelnik pamięta zapewne przybliżone daty tych potopów, a w gruncie rzeczy w każdym przypadku wydłużonych epizodów globalnego totalnego spływania lodowców: 15 000–14 000 lat temu, 12 000–11 000 lat temu i 8000–7000 lat temu.

10 500 lat temu

Trzecia mapa Glenna Milne'a ukazuje Indie 10 600 lat temu, po dwóch z trzech potopów. Najodleglejszy kraniec „ryjka”, wystający pod Przylądkiem Komoryn, został już teraz prawie całkiem zatopiony, tworząc samotną wyspę na Oceanie Indyjskim w odległości 80 kilometrów od lądu.

Na południowym zachodzie powierzchnia Malediwów wyraźnie się zmniejszyła, choć wyspy i tak były znacznie większe niż dziś.

Na południowym zachodzie ze zdumieniem ujrzałem Cejlon nadal połączony z lądem, choć znacznie węższym pasem ziemi. Na głównym lądzie wybrzeże Tamilnadu skurczyło się prawie do dzisiejszych rozmiarów. Budowle znajdu-

jące się 5 kilometrów od Poompuhur zostały zatopione. W Mahabalipuram nadmorskie równiny wcinały się w Zatokę Bengalską 2 do 3 kilometrów głębiej niż dziś. Przynajmniej teoretycznie mogło wówczas powstać tam legendarne miasto Bali.

Na południowym zachodzie subkontynentu indyjskiego pas przybrzeżny, biegnący od Przylądka Komoryn na 8° szerokości północnej do 15° szerokości północnej, rozciągał się o niecałe 5 kilometrów dalej niż dziś. Na około 17° szerokości północnej rozszerzał się, jak poprzednio, lecz stopniowo. Wiele terenów poniżej Zatoki Kambajskiej pochłonęło morze: widać już zarys obecnego Półwyspu Kathiawar. Ale Zatoka Kambajska nadal znajduje się nad poziomem morza, podobnie jak Zatoka Kaczczh, a obecna linia brzegowa półwyspu nadal otoczona jest szerokim pasem łąd. Dwarka znajdowała się co najmniej 40 kilometrów od brzegu. Na południowy zachód od jej wybrzeży widać wyspę o długości 50 kilometrów – pozostałość po starszej, sięgającej dalej linii brzegowej tej części Indii. Druga, większa wyspa, o długości 400 kilometrów i szerokości prawie 100 kilometrów, leży trochę dalej na południe, rozciągając się dość daleko poza współczesny Bombaj.

4800 lat temu

Kiedy zabrałem się do studiowania ostatniej z czterech map Milne'a, okazało się, że 4800 lat temu poziom morza był nieco wyższy niż obecnie, co oznacza utrzymywanie się podwyższonego poziomu polodowcowego. Najdalej na południe Malediwy zniknęły prawie zupełnie, a Cejlon został całkowicie odizolowany od łądu i przybrał współczesny kształt. Na subkontynencie większość linii brzegowej wydaje się prawie taka sama jak dziś, choć wzniesienie, na którym obecnie znajduje się Dwarka, musiało w tym czasie być wyspą. Morze wtargnęło na tereny, które dziś są suchym terenem – dotyczy to głównie Zatoki Kaczczh i Zatoki Kambajskiej na północnym zachodzie oraz terenów wokół Poompuhur-Trankuebar na południowym wschodzie.

W Zatoce Perskiej poziom morza około 5000 lat temu też był wyższy o metr lub dwa na skutek gwałtownego, stosunkowo krótkotrwałego wylewu wód na całym świecie, zwanego transgresją flandryjską. Prawdopodobnie w Indiach, jak i w zatoce, ziemię potem odzyskano dzięki cofnięciu się linii wody do dzisiejszego poziomu, czemu sprzyjał też lokalny efekt zamulenia. Zasolone równiny w Kaczczh, nadal narażone na morską transgresję, 4800 lat temu były przejściowo rozległym, żeglownym przedłużeniem Zatoki Kaczczh, upstrzonej licznymi wyspami, która nie wysychała jeszcze przez tysiąc lat. Do tej zatoki, aż do Dholarwiry, wpływały oceaniczne okręty handlowe, które pomnażały potęgę kultury Indusu-Saraswati – te same, które przedstawiono na terakotowych pieczęciach w III tysiącleciu p.n.e. Płynęły one dalej na południe, przez znacznie szerszą Zatokę Kambajską do znajdującego się obecnie na łądzie portu Lothal.

Okres między 21 300 a 4800 lat temu bardzo mnie interesował i prosiłem Milne'a o kolejne modele. Porównując mapy przedstawiające linię brzegową

sprzed 21 300 lat z zarysem ładu sprzed 10 600 lat, zrozumiałem, jakie konsekwencje miały dwa pierwsze globalne potopy (15 000–14 000 i 12 000–11 000 lat temu). Potrzebne mi były jednak szczegółowe dane o tym, co zdarzyło się w okresie między 8000 a 7000 lat temu, kiedy nastąpił trzeci globalny potop. Na wszelki wypadek poprosiłem Milne'a, żeby sporządził serię map obejmujących okres od 13 500 lat temu po dzień dzisiejszy.

A jeśli?

Indie są tak ogromne, że czasem trudno je objąć w wyobraźni jako całość. A teraz, po szczegółowym przyjrzeniu się mapkom Milne'a, dostrzegłem, że tak naprawdę dzielą się na dwie części pod względem kultury, języka i regionów geograficznych – i że tak było od zawsze, a przynajmniej od czasów *Rygwedy* – czyli mówiące po drawidyjsku południe i używającą języków indoeuropejskich północ.

W obu częściach wystąpiły rozległe polodowcowe potopy, postanowiłem więc zanurkować w obu miejscach, jeśli się da. Ale południe znajduje się daleko od Himalajów, w których według *Rygwedy* schronili się Manu i Siedmiu Mędrców, a północno-zachodnie wybrzeże w stanie Gudżarat nie tylko było bliżej, ale i utraciło – w sposób gwałtowny – więcej terytoriów niż inne części Indii.

A jeśli przez wyjątkowo nieszczęśliwy zbieg okoliczności jakaś cywilizacja rozkwitła właśnie na terenie, który został zalany 11 000 lub 8000 lat temu, pod koniec epoki lodowcowej?

Jeżeli tak się zdarzyło, nie jest wykluczone, że ci, którzy przeżyli kataklizm, zdolali schronić się w Himalajach, jak przekazuje wedyjska tradycja. Nie mogli by tam – rzecz jasna – dotrzeć na łodziach. Jednak łodzie odgrywały istotną rolę w akcji ratunkowej, łatwo się domyślić, że udratyzowane dzieje przetrwały w pamięci późniejszych pokoleń jako podróż statkiem.

Mogę przytoczyć kilka argumentów przeciwko takiemu scenariuszowi (podaję je w sposób nieusystematyzowany): 1. Jakim mam prawem zakładać, że powstała tam w ogóle jakaś cywilizacja, a przynajmniej że istniała w okresie między 11 000 a 8000 lat temu? 2. Nawet jeśli przyjąć, że istniała, lecz jak dotąd archeolodzy nie trafili na jej ślad, dlaczego miałyby powstać akurat tu, w części Indii najbardziej narażonej na polodowcowe zalania, skoro w Indiach było tyle innych, bardziej odpowiednich terenów? 3. Przyjawszy to jednak za możliwe – że cywilizacja rzeczywiście tam powstała, a potem została zatopiona – to dlaczego ci, którzy ocaleli, szukali schronienia w Himalajach? Po drodze wzgardzili wieloma bezpiecznymi miejscami, z pewnością lepiej nadającymi się do założenia osiedli i uprawy ziemi (Manu wszak przywiązywał wielką wagę do „zachowania nazw roślin” i zabrał z sobą „wszystkie nasiona”)³.

Historia obfituje w nieprawdopodobne zdarzenia. W XIX wieku wydawało się niewiarygodne, by europejska armia została pokonana przez afrykańską, aż do chwili gdy w 1896 roku Abisyńczycy napadli na Włochów pod Aduą. Niezata-

pialny „Titanic” zatonął błyskawicznie podczas dziewiczego rejsu. Mieszkańcom Pompejów nawet przez myśl nie przeszło, że wybuch Wezuwiusza może zniszczyć ich miasto, a jednak tak się stało.

Zadajmy sobie więc pytanie: a jeśli prehistoryczny lud, reprezentujący znacznie wyższą duchowość i kulturę materialną, niż nam się wydaje, zbudował na wybrzeżu między Goa a deltą Indusu wspaniałe państwo o powierzchni równej Kalifornii, które potem zostało pochłonięte przez morze? Co mogliby nam opowiedzieć ci, którzy przetrwali ten kataklizm? A co najważniejsze – czy taką opowieść znaleźlibyśmy w Wedach?

Hipoteza, której nikt nie udowodnił

Nawet w XXI wieku, długo po tym, jak ją obalono, koncepcja „aryjskiej inwazji na Indie” wciąż zaciemnia nasze rozumienie Wed. Założenie, iż taka inwazja kiedykolwiek nastąpiła lub że istniała jakaś wyodrębniona grupa etniczna zwana Ariami, można uznać za wielki błąd nauki. Ale sami przekonaliśmy się, że naukowcy uporczywie podtrzymują, iż miała miejsce jakaś okresowa migracja półwędrownych plemion z jakiegoś bliżej nie określonego miejsca w Europie do Indii.

Założenie to opiera się na innych przesłankach, jak choćby stopniu rozwoju ludności napływowej (we wczesnym okresie „przechodzenia do rolnictwa”); rejonie, jaki mogła zamieszkiwać przed przybyciem do Indii (równiny, doliny, góry); rozmaitych zagrożeniach środowiskowych (pustynnienie, drastyczne zmiany w ilości opadów deszczu czy temperatury itp.); „presji ekonomicznej” (przeludnienie, walka o rzadkie surowce), które mogły skłonić ludzi do poszukiwania innych miejsc osiedlania.

Ponieważ każdy może przyjmować dowolne założenia, poszukiwanie „indo-europejskiej ojczyzny” stało się dla nauki czymś w rodzaju tematu zastępczego – jakby poszukiwaniem Atlantydy. Różne wybitne autorytety naukowe w różnych czasach plasowały ją na biegunie północnym, w Skandynawii, Europie Środkowej, południowej Rosji, Azji Środkowej i wschodniej Anatolii⁵. Przypuszczenie, że tą Atlantydą mogły być same Indie, pojawiało się tylko z rzadka i nie wśród europejskich uczonych. W studium *Recently proposed homelands of the original Indo-Europeans* (Najnowsze propozycje ojczyzny Indoeuropejczyków) sanskrytolog David Frawley, wraz z historykiem religii George’em Feuersteinem i profesorem Subashem Kakiem z Luisiana State University, stwierdza, iż tylko jedną z dziesięciu propozycji „ojczyzny Indoeuropejczyków” są Indie (wysunęli ją naukowcy indyjscy), tymczasem pozostałe dziewięć umieszczano znacznie dalej na północ i zachód⁵.

O ile wiem, żaden cieszący się poważaniem naukowiec nie sugerował umieszczenia wedyjskiej ojczyzny nie tylko w obrębie Indii, lecz tym bardziej na wybrzeżu subkontynentu zalanym przez morską wodę pod koniec epoki lodowcowej. Nie znam też żadnego poważanego naukowca, który brałby kiedykolwiek

pod uwagę podniesienie się poziomu oceanu jako zagrożenie środowiskowe, które mogłoby wywołać migrację przedrolniczej ludności wedyjskiej z ojczyzny (gdziekolwiek by się znajdowała) na inne tereny.

Wydaje mi się to przeoczeniem, jako że początki osiadłego rolnictwa i „cywilizacji” w Indiach – a w gruncie rzeczy wysoko rozwiniętych miejskich struktur, których rozkwit przypadał tysiące lat po samej kulturze Indusu-Saraswati – zdaniem naukowców pochodzą sprzed co najmniej 8500 lat. Z około 6500 roku p.n.e. pochodzą pierwsze warstwy zawierających ślady osadnictwa w prehistorycznym mieście Mehrgahr na przełęczy Bolan w Pakistanie⁶, niezwykle tajemniczym terenie wykopaliskowym, o czym przekonamy się później. Data ta jest dostatecznie odległa, by mieścić się w czasowych ramach trzech globalnych potopów pod koniec ostatniej epoki lodowcowej.

Cywilizacja żeglarzy?

Jakaż to starożytna społeczność wybrałaby sobie na osiedlenie się miejsce położone tak blisko morza, że mogły mu poważnie zagrażać cyklicznie powtarzające się polodowcowe potopy?

Moim zdaniem do tego wizerunku pasuje tylko społeczność żeglarzy, żyjąca z morza i od niego uzależniona. A co więcej – w zasadzie nic nie przeczy istnieniu takiej kultury w Indiach 8000, a nawet 15 000 lat temu, skoro naukowcy są zgodni, że ludzie mogli odbywać dalekomorskie podróże już 40 000 lat temu, a 10 000 lat temu ludy „epoki kamiennej”, które odbywały podróże do wielu części świata, znały doskonale sztukę nawigacji⁷.

Tymczasem zakłada się nadal, że twórcy religii wedyjskiej – przodkowie tych, którzy śpiewali hymny wedyjskie w znanej nam obecnie postaci – byli społecznością zbieracko-myśliwską albo wędrowną, albo rolniczą, która dotarła do Indii po długotrwałej podróży lądem (powodowana jakoby potrzebą zdobywania nowych ziem). Większość zachodnich indologów studiujących *Rygwedę* nie widziała zatem potrzeby, by analizować odniesienia do „mórz” i „oceanów”. W gruncie rzeczy tylko David Frawley, który nie podąża oficjalnym nurtem, lecz którego znajomości Wed nikt nie śmie kwestionować, próbował poważnie zająć się tą sprawą:

Według współczesnych zachodnich hipotez *Rygweda* jest tworem nomadów, którzy najechali na Indie z północnego zachodu, a zatem nie znali morza. Ale koncepcja ta nie wywodzi się wcale z samej *Rygwedy* – to arbitralne domniemanie stosowane do jej interpretacji. Możemy jedynie zdezawuować liczne odniesienia do oceanu, nadając inne znaczenie sanskryckim terminom na określenie tegoż oceanu tak, aby oznaczały duży obszar wodny, rzekę lub jezioro. Jeśli natomiast przyjmujemy je w tej postaci, w jakiej są, to wyraźnie ujrzymy liczne nawiązania do kultury żeglarzy⁸.

Frawley dowodzi, że jeśli w Wedach mówi się także o lasach i pustyniach, to kontakty z tymi obszarami nie dowodzą braku obeznania z oceanem:

Zakres wiedzy geograficznej, z jaką mamy do czynienia w Wedach, jest dość duży: występują tam góry, równiny, rzeki i morza. Pozwoliło to naukowcom skupić się na jednym aspekcie i ograniczyć do niego. Tymczasem symbolika morska okazuje się w wedach dość powszechna⁹.

Na tyle powszechna, że – jak wskazuje Frawley – nawet Ralph Griffith, tłumacz Wed, który nie przyjmuje do wiadomości, iż lud wedyjski miał jakikolwiek związek z oceanami i żegluga oceaniczną, nie uniknął przekładu różnych wedyjskich określeń jako „ocean” lub „morze”, albowiem one właśnie to dokładnie znaczą i nie można ich inaczej tłumaczyć¹¹. Inne, mniej jednoznaczne odniesienia do mórz i oceanów wynikały, zdaniem Frawleya, z nieściśłego tłumaczenia lub były wyłącznie metaforami. I choć sam przyznaje, że niekiedy słowo „ocean” bywa w Wedach użyte jako metafora (na przykład „ocean nieba”), jednak przekonująco dowodzi:

(...) takie wyobrażenia nie oznaczają braku kontaktu z ziemskim oceanem. Świadczą o bliskim obeznaniu z morzem, nie tylko w sensie dosłownym, skoro używano go jako poetyckiego porównania, co wynikało z życia w pobliżu morza¹¹.

Aluzje do morskiej kultury nie ograniczają się w Wedach do mórz i oceanów. Znajdujemy tu również opisy żeglugi, podróży statkami i morskiego handlu. Profesor S.P. Gupta pisze:

Znajdują się tam odniesienia do morza, czyli samudra, do handlarzy, czyli panis, zajmujących się morskim handlem; dowodzą tego słowa takie, jak nawah, samudriah, sata-aritra itp. Wspomina się nawet o piratach. Napaści dokonywane przez niewahających się przed niczym ludzi na łodzi wypełnione wszelakim dobrem określa się jako dusewa, tamowridha¹².

Słuchając Wed, usłyszycie szum oceanu

Studiując Stary Testament, naukowcy czują się uprawnieni do wyciągania wniosków o kształcie biblijnego świata, jego gospodarce, historii, środowisku, znajomości geografii, strukturze społecznej itp.¹³. Jeśli w podobny sposób przeanalizujemy treści *Rygwedy*, usłyszemy szum oceanu:

Wszystkie święte pieśni dodawały potęgę Idrze, który był rozległy jak morze (1,11,1). On [bóg Waruna] zna drogi ptaków latających po niebie, a jeśli chodzi o morze, zna statki, które są na nim (1,25,7).
Jak ogromny ocean, tak [Indra] przyjmuje rzeki ze wszystkich stron wraz z ich obfitymi wodami (1,55,2).

Siedem potężnych Rzek podąża do oceanu (1,71,7).

O ty, którego oblicze jest tak różnorodne, przenieś nas ponad nieprzyjacioły jak w statku.

Jak w statku przeprowadź nas dla naszych korzyści przez potop (1,97,7–8).

Przybądź w statku naszych hymnów, by przeniosły cię do tego brzegu (1,46,7).

O Aświnowie [dwaj „boscy pośrednicy”, czyli „aniołowie stróże”, do których Wedy często się odwołują], jak martwy bogacz, który porzuca swe bogactwa, Turga opuścił Bhudźju w chmurze wody. A wyście przywieśli go na powrót w zwawych statkach (...) Przywieśliście Bhudźju do najdalszych brzegów morskich, do wybrzeży oceanu (...) Wyście dokonali czynów bohaterskich na oceanie, który nie dawał oparcia ni wytchnienia, w czasie gdy prowadziliście Bhudźju do jego domu na statku o stu wiosłach, o Aświnowie (1,116,3–5).

Wy, Wiecznie Młodzi, przywieśliście Bhudźju z powrotem z morza fal, nietkniętego przez ocean (1,118,14–15).

O Aświnowie, uczyniliście dla syna Turgi [Bhudźju] pośród wodnych potopów, które ożywiły statek ze skrzydłami [żaglami?], by płynął tu i tam (...) wy go zrodziliście. Z łatwością uciekł przed wściekłym atakiem. Cztery statki, najbardziej potrzebne w środku oceanu, popędzane przez Aświnów, uratowały syna Turgi, tego, który zatonął był w wodach (1,182,5–6).

O Marutowie [bogowie nieba i burzy], z Oceanu podnieśliście deszcze i mglistą wilgocią zesłaliście je potokami w dół (5,55,5).

Ziemia trzęsie się i chwieje ze strachu przed ich [Marutów] pędem, jak wypełniony statek, który drząc wpuszcza do swego wnętrza wodę (5,59,2).

Niech Adża-Ekapad, Bóg, będzie łaskawy, łaskawy Smok Głębin i Oceanu (7,36,13).

Oby grzeszna tyrania pełnego nienawiści nieprzyjaciela nie zalała nas, jak bałwany zalewają statek (8,64,9).

Jak rzeki bogacą ocean, tak, o Bohaterze, nasze modły wznagają twą potęgę (8,88,8).

O protektorzy świętego Prawa, przenieście nas bezpiecznie przez wszelkie niebezpieczeństwa, jak statkiem przez wodną toń (8,72,3).

Kiedy z Waruną weszliśmy na łódź i popłynęliśmy nią na środek oceanu, zaczęliśmy wirować na grzbietach fal i wir tak nas oszołomił, że poczuliśmy się szczęśliwi (8,88,3).

W obu oceanach miał swój dom, we wschodnim i zachodnim morzu (10,136,5).

Dobrze wiedział Sawitar [personifikacja Słońca jako życiodajnej siły], gdzie ocean, mając ustalone miejsce, przekroczył swe granice (10,149,2).

Choć Wedy wydają się mówić same za siebie, powyższe fragmenty kazały zadać sobie kilka pytań.

Potwierdzają na przykład wiedzę o tym, co łączy rzeki z oceanem (rzeki szukają oceanu, wlewają się do niego itp.). Mamy również do czynienia z pojęciem rzek napełniających ocean. Kiedy ludzie mogli ujrzeć, jak rzeki dosłownie napełniają oceany (a nie po prostu do nich wpływają, nie powodując wzrostu ich poziomu, jak obecnie)? Czy wówczas, gdy ocean „przekroczył swe granice” i tylko ci, którzy znajdowali się na statkach, uratowali się przed jego zalewem?

Co można powiedzieć o Marutach, bogach burz, którzy „z Oceanu podnieśli deszcze i mglistą wilgocią zesłali je potokami w dół”? Wiedzy o tym, jak parująca

z oceanów woda przemienia się w chmurę, która później spada deszczem, nie jesteśmy skłonni przypisywać społecznościom przedrolniczych nomadów. A przecież zjawisko to było oczywiste dla każdego, kto obserwuje wybrzeże, gdzie czasami widać wręcz, jak chmury wysysają wilgoć z morza¹⁴.

W cytowanych fragmentach znajdujemy także wzmianki o „wschodnim i zachodnim morzu” i o „obu oceanach”. Świadczy to o doświadczeniu żeglarskim i znajomości choćby Morza Arabskiego na zachodzie i Zatoki Bengalskiej na wschodzie.

Warto się zastanowić nad opisami statków. Trudno sobie wyobrazić, aby „szczury lądowe” mogły się interesować tą tematyką, natomiast jest ona zupełnie naturalna wśród żeglarzy. I jakież to statki! Można w nich pokonywać rozległe przestrzenie wodne. Statki tak ogromne i pewne, że stają się wręcz symbolem bezpieczeństwa i ochrony... statki o ogromnych żaglach i rzędach wiosł, mknące tak szybko, jakby przelatywały nad wodą, ledwo mocząc kadłub... statki pokonujące bałwany, ratujące przed nieprzyjaciółmi, przywożące zagubionego do jego domu.

Wreszcie otrzymujemy informacje o ludzi, który obeznany był z niebezpieczeństwem czyhającym na morzu, a także z radościami i przyjemnościami żeglowania. Z jednej strony czytamy dziękczynny hymn do Waruny, który mógł skomponować tylko ktoś, kto czuł się na morzu swobodnie, znał zachowania statku łagodnie kołyszącego się na falach lub stojącego spokojnie na kotwicy. Z drugiej – zacytowane fragmenty mówią o człowieku zagubionym na „oceanie, który nie dawał oparcia ni wytchnienia”. W kilku prostych słowach i obrazach opisuje się strach i bezradność ludzi na pokładzie statku miotanego bezlitośnie falami burzy: „pełen nienawiści nieprzyjaciel zalewa nas, jak bałwany zalewają statek”. Z równie wymownych, prostych zwrotów poznajemy przerażenie marynarzy, gdy „statek drżąc wpuszcza do swego wnętrza wodę”. Dowiadujemy się też o stworach, takich, jak „Smok Głębin” – pewnie jakimś wodnym potworze, którego z pewnością nie spotkalibyśmy na polach i w górach, lecz którego postać wpisywała się w doświadczenia i fantazje żeglarzy.

Wydaje mi się, że w *Rygwedzie* znajdziemy dość materiału potwierdzającego hipotezę, iż poeci ją tworzący żyli w bezpośredniej bliskości morza i od dawien dawna znali urok i niebezpieczeństwa żeglowania. Wspiera to koncepcję proponowaną w poprzednich rozdziałach – że Wedy (wspaniałe literackie dzieło o religijnym charakterze i nieznanym rodowodzie) mogły zostać wydane przez żeglarską kulturę Indusu-Saraswati (która wedle naszej wiedzy posiadała wprawdzie pismo, lecz nie stworzyła żadnej religijnej literatury).

W takim przypadku zagadka powstania Wed zbiega się z tajemnicą pochodzenia kultury Indusu-Saraswati. Jej korzenie oddalają się coraz bardziej w czasie wraz z każdym ruchem szpadla na terenach wykopalisk archeologicznych w Mehrgarh i Nauszaro w Beludżystanie, gdzie stwierdzono już, iż znajdujące się tam obiekty liczą ponad 8000 lat.

Chciałbym po raz kolejny przypomnieć, że wciąż pozostajemy w ramach czasowych gwałtownych polodowcowych potopów.

Ukryte skarby

Wiemy już, że przyjęta przez naukowców chronologia nie określa prawdziwego wieku *Rygwedy*. Nawet ustalona data 1200 lat p.n.e. odnosi się jedynie do spisania ustnego przekazu, a wszyscy znawcy w zasadzie zgodnie przyznają, iż niektóre jej fragmenty muszą być znacznie starsze, choć nikt nie wie o ile.

Rygweda składa się z wielu warstw, a trudności interpretacyjne wynikają po części z niemożności oddzielenia materiału starszego od późniejszego. Gregory Possehl dowodzi, że dzieło to powstawało przez bardzo długi czas, a „gdy nowy materiał dodawano do starszego, starsze wersety podlegały zmianom i korektom”. Lecz w pewnym momencie „zaprzeszono tych praktyk, a kapłani uznali, iż w tekście nie wolno nic zmieniać, nawet słowa lub choćby sylaby, a każdą pomyłkę w wymowie lub odchylenie od kanonu traktowano jako świętokradztwo”¹⁵.

W pewnym sensie *Rygweda* stanowi niezwykle interesujący materiał badawczy, gdyż dzięki dynamice ustnego przekazu podlegała nieustannym zmianom i rozwojowi (zapewne przez tysiące lat), by w pewnym momencie zastygnąć na wieki, jak motyl w bursztynie, i dotrzeć do naszych czasów w swej najświetniejszej formie.

Nie widzę potrzeby roztrząsania kwestii, kiedy nastąpiło ustalenie treści *Rygwedy*, nie warto chyba kłócić się, czy było to kilkaset lat wcześniej, czy później. Bardziej interesuje mnie możliwość odsłonięcia pokładów najstarszej ustnej tradycji, jak również późniejszych warstw historii, której skarby *Rygweda* z pewnością w sobie kryje.

Rzeka, która zniknęła

Jest taka rzeka, często wspominana w *Rygwedzie*, która zniknęła z powierzchni ziemi, choć nie z ludzkiej pamięci, kilka tysięcy lat temu. Udało się ją odnaleźć dzięki technice satelitarnej i niezwykle czułej aparaturze dopiero w drugiej połowie XX wieku. To Saraswati – ta sama, która dała imię kulturze Indusu-Saraswati. Wiele stanowisk z czasów Harappy i jeszcze sprzed założenia tego miasta, pochodzących z IV tysiąclecia p.n.e., odkryto w pobliżu jej dawnego koryta. Saraswati zaczęła wysychać pod koniec III tysiąclecia p.n.e., a w początkach II już w ogóle jej nie było. Gregory Possehl pisze:

Lecz nawet dziś widać koryto tej rzeki, w niektórych miejscach szerokie na kilka kilometrów, obecnie stanowiące ziemię uprawną. Ludzie ze stanu Hariana nazywają ją Saraswati. Podczas monsunowych opadów fragmenty tego koryta napełniają się niewielką ilością wody, która zostaje odprowadzona systemem irygacyjnym. Tak więc rzeka, którą współcześni mieszkańcy zwą Saraswati, nie jest całkiem martwa¹⁶.

Ale tu nasuwa się ważniejsza kwestia: kiedy Saraswati była prawdziwą rzeką? Kiedy odgrywała tak ważną rolę, że zasłużyła na opis w tekstach *Rygwedy*?

Saraswati, potężna rzeka¹⁷.

Nadchodzi wspaniała, głośno rycząc – Saraswati, Matka Rzek (...) z okazałymi strumieniami o bystrym nurcie, rosnąc w siłę dzięki ich wodom¹⁸.

Ona swą mocą uderza potężną falą w grzbiety wzgórz. O tak, ta boska Saraswati, straszna swą złością ścieżką, uśmiercająca przeciwników, której niepostrzymany nurt pędzi jak oszalały, nadchodzi z rykiem burzy (...) O tak, ona, najdroższa ze wszystkich strumieni (...) wdzięcznie wijąca się Saraswati zasługuje na nasze pochwały¹⁹.

W przypisach do przekładu z 1889 roku, powstałego na długo przed epoką satelitów i czulej aparatury, Griffith tak komentował użycie zaimka „ona” w powyższym wersecie i zastanawiał się nad geograficzną zagadką:

Ona: Saraswati to rzeka. Opis w tym tekście na pewno nie odnosi się do niewielkiego strumienia znanego powszechnie pod tą nazwą; z tego i innych wersetów wynika, że nie jest wykluczone, iż Saraswati to inna nazwa Sindhu, czyli Indusu²⁰.

Griffith ani przez chwilę nie brał pod uwagę możliwości, że Saraswati z Wed mogłaby być w zamierzczłej przeszłości znacznie większym „strumieniem” niż obecnie (co zresztą sugeruje opis podany w *Rygwedzie*). Kolejny werset przełożył bez komentarza, a przecież zaprzeczał on jego hipotezie, gdyż mówił o obu rzekach:

Niech wielkie Strumienie rosną w siłę i wspomagają Sindhu [Indus], Saraswati i Saraju swymi falami. O ty, Bogini Rzek, ty Matko wszystko ożywiająca, obiecaj nam obfitość wody i ukojenie²¹.

Ponieważ *Rygweda* nie pozostawia w tej kwestii żadnych wątpliwości, naukowcy dawno temu przestali udawać, że opis Saraswati dotyczy Indusu. Dzięki temu, że opis rzeki w starożytnych tekstach i najnowsze naukowe ustalenia pokrywają się, wiemy już, że nie jest to poetycka fantazja czy też hiperbola. Possehl także przyznaje:

Wizerunku potężnej rzeki Saraswati w *Rygwedzie* nie sposób pogodzić z dosłownym znaczeniem „Łańcuch Stawów”; nie można tej niezgodności zignorować. Dowodzi to trudności, jakie napotykamy, starając się traktować *Rygwedę*, i w ogóle wedyjskie teksty, jako źródło wiedzy historycznej.

Niewykluczone, że gdy autorzy Wed po raz pierwszy zobaczyli Saraswati, była ona naprawdę wielką rzeką i taki właśnie obraz przekazali nam w swoich tekstach. Jednak w miarę upływu czasu zmniejszała się liczba dopływów i objętość wód zasilających ją w górnym biegu, rzeka zaczęła więc wysychać, stając się łańcuchem stawów. Z jakiegoś powodu zmieniono jej nazwę, a Saraswati pozostała w starodawnych tekstach; nie mamy pewności, lecz można to jakoś

wytłumaczyć. Ale wynikają stąd pewne ciekawe chronologiczne implikacje: autorzy *Rygwedy* znaleźli się w rejonie, w którym płynęła Saraswati, raczej około 2000, a nie 1000 lat p.n.e., czyli przed okresem, w którym umieszcza się pojawienie się wedyjskich Ariów w Pendżabie²².

Possehl nie docenia tego faktu. Uznaje „chronologiczne implikacje” pojawienia się wedyjskich Ariów w Pendżabie już w 2000 roku p.n.e. wyłącznie za „ciekawą”. A przecież obala to akademicki dogmat w historii indyjskiej literatury – głoszący, iż *Rygweda* powstała około 1200 lat p.n.e. – i zarazem wszelkie dotychczasowe założenia dotyczące indyjskiej prehistorii, które opierały się właśnie na tej dacie. I jeśli odniesienia do potężnej Saraswati znaczą to, co znaczą, wówczas hipoteza o wspólnych korzeniach kultury Indusu-Saraswati i wedyjskiej religii zyskuje silniejsze podstawy.

Tymczasem jednak wątek się komplikuje...

Z gór do oceanu

Poza wizerunkiem potężnej, wartkiej rzeki, z rykiem toczącej wody (czyli wizerunkiem z pewnością prawdziwym w każdym historycznym czasie, aż do końca III tysiąclecia p.n.e.), *Rygweda* przekazuje nam w niedwuznaczny sposób informację, której na pierwszy rzut oka nie da się pogodzić z historycznymi faktami. Otóż Saraswati taka, jaką znali wedyjscy kapłani i mędrcy, płynęła nieprzerwanie z gór do oceanu:

Ten strumień Saraswati (...) czystym nurtem płynie z gór do oceanu²³...

Dzięki obserwacjom satelitarnym wiadomo, że ostatni raz Saraswati płynęła wprost do oceanu około 10 000 lat temu – innymi słowy w ostatnim tysiącleciu polodowcowego topnienia. W pracy opublikowanej w specjalistycznym periodyku „Remote Sensing” jej autorzy, S.M. Ramaswamy, P.C. Bakliwal i R.P. Verma, przedstawiają wnioski ze zdjęć satelitarnych o korycie „paleo-Saraswati”:

Istnienie dobrze wykształconych rozgałęzień paleo-kanałów na ogromnych przestrzeniach Pustyni Indyjskiej [na północny wschód od Zatoki Kaczczy] oraz końcowe ramię paleo-kanalu Ghaggar (...) dowodzą, że rzeka Saraswati płynęła blisko łańcucha górskiego Arawalli i wpadała do Morza Arabskiego w Zatoce Kaczczy²⁴.

Nie wiemy dokładnie, w jakiej epoce Saraswati przestała płynąć „czystym nurtem” do Morza Arabskiego i zaczęła się gubić w suchych piaskach Wielkiej Pustyni Indyjskiej. Niemniej Ramaswamy, Bakliwal i Verma z satysfakcją stwierdzają, że nie stało się to w holocenie (najbliższa nam epoka geologiczna), lecz w późnym plejstocenie – około 12 000 lat temu²⁵. Tę samą datę sugerowali Bhi-

mal Ghose, Anil Kar i Zahrid Jussain w opracowaniu sporządzonym dla centralnego instytutu badania strefy wodnej w Dźodhpur²⁶ oraz Ghose i jego współpracownicy w „Geographical Journal”²⁷. B.P. Radhakrishna z indyjskiego towarzystwa geologicznego także wskazuje na okres między 8000 a 6000 lat p.n.e., w którym topniejące lodowce w Himalajach wraz ze wzmożonymi opadami zasiłyły wydanie „Saraswati i jej dopływy, czyniąc z niej naprawdę potężną rzekę”²⁸. Jeśli wszyscy ci naukowcy prawidłowo interpretują dane, nie pozostaje nam nic innego, jak zgodzić się z Possehlem, że zbieżność danych uzyskanych za pomocą satelitów z opisami w staroindyjskiej literaturze rzeczywiście niesie z sobą ciekawe implikacje chronologiczne: autorzy *Rygwedy* żyli w rejonie Saraswati, kiedy rzeka płynęła wprost do morza i było to raczej 8000 niż 1000 lat p.n.e.

W takim razie nie można powiedzieć, iż pojawienie się wedyjskich Ariów w Pendżabie nastąpiło „nieco wcześniej”. Znaleźli się tam wiele, wiele tysięcy przed datą, którą przyjęto w oficjalnej chronologii. Czyżby za sprawą współczesnej techniki satelitarnej udało się odkryć głębsze warstwy wedyjskich palimpsestów? Czy też może szczęśliwym zbiegiem okoliczności to, co jawi się nam jako dokładna geograficzna relacja o biegu rzeki Saraswati 10 000, a nawet 12 000 lat temu, zostało utrwalone w *Rygwedzie*?

Skoro naukowcy reprezentujący główny nurt badań, jak Gregory Possehl, uznali heretycką hipotezę o obecności cywilizacji wedyjskiej w Pendżabie już 2000 lat p.n.e. (przyjmując do wiadomości barwny opis potężnej, wzburzonej rzeki Saraswati), chyba nie zignorują innego barwnego i przekonującego opisu Saraswati wpływającej do morza, który także znajdujemy w *Rygwedzie*? Ale tak właśnie Possehl uczynił. Cytując odpowiedni fragment („płynie czystym nurtem z gór do oceanu”), przyznaje, że „wedyjscy mędrcy sądzili, iż Saraswati wpada do morza”, lecz zaleca studentom, żeby podchodzili do tekstu „raczej krytycznie, nie biorąc go dosłownie”²⁹ – przypuszczalnie dlatego, że dosłowne potraktowanie go oznaczałoby przyjęcie „niewyobrażalnie” wczesnej daty powstania cywilizacji wedyjskiej.

Pod wedyjskim niebem

W *Rygwedzie* znajdujemy też inne fragmenty świadczące o bardzo starym pochodzeniu tego dzieła, w szczególności obserwacje astronomiczne gwiazd pojedynczych i gwiazdozbiorów podczas wiosennej i jesiennej równonocy oraz letniego i zimowego przesilenia. Wskutek zjawiska znanego jako precesja równonocy (którego natury nie będziemy tu wyjaśniać)³⁰, konstelacje obserwowane w tych porach roku powoli i konsekwentnie zmieniają położenie, jak gdyby przesuwały się po ogromnym pasie w tempie 1° co 72 lata, przy czym cały cykl trwa nieco mniej niż 26 000 lat³¹. Jeśli więc w starożytnych tekstach napisano: „wizdzielśmy tę gwiazdę lub tę konstelację wschodzącą o świcie w środku lata”, to dzięki nowoczesnym metodom obliczeń astronomicznych możemy w przybliżeniu określić, kiedy dokonano takiej obserwacji.

W *Rygwedzie* znajdujemy wiele wzmianek o gwiazdach i porach roku, które – jeśli potraktujemy je z należytą powagą – świadczą, iż wedyjscy mędrcy obserwowali niebo przez tysiące lat i od czasu do czasu dodawali do istniejącego już tekstu wersety lub hymny zawierające nowe astronomiczne dane. Problem w tym, że daty wynikające z analizy wzmianek – sięgające tej samej epoki, z której pochodzą informacje o korycie rzeki Saraswati – wydawały się zbyt odległe, by większość naukowców chciała je poważnie traktować.

Nie wszyscy jednak podzielają to stanowisko. Dwaj wybitni badacze wedyjskich tekstów z końca XIX wieku, profesor H. Jacobi i Bal Gandhadar Tilak, nie mieli cienia wątpliwości, iż *Rygweda* zawiera relacje o bardzo starych obserwacjach astronomicznych. Opierając się właśnie na nich, Jacobi uznał, że większość hymnów powstała między 4500 a 2500 rokiem p.n.e.³². I choć w bardziej wyczerpującym opracowaniu Tilak przypisuje najczęściej odniesień temu właśnie okresowi, to jednak stwierdza, że jego zdaniem zasygnalizowane są tam znacznie wcześniejsze daty³³. Uważa, że najbardziej twórczą epoką w literaturze wedyjskiej był okres między 4000 a 2500 rokiem p.n.e. – czyli według niego „epoka Oriona” – znajdujemy tam odniesienia począwszy „od czasu, w którym punkt równonocy wiosennej znajdował się w asteryzmie Ardry, po czas, w którym cofnął się on do asteryzmu Krytyki [Plejad]”³⁴. Znalazł jednak jeszcze głębszą warstwę wedyjskich hymnów, w której mowa jest o „Aditi, czyli okresie przedoriońskim”, i twierdzi, że „można go z grubsza plasować między 6000 a 4000 rokiem p.n.e.”³⁵.

W bliższych nam czasach David Frawley powołuje się na inne fragmenty wskazujące, iż astronomiczne obserwacje w *Rygwedzie* pochodzą sprzed 6000 roku p.n.e., „a nawet prawdopodobnie sprzed 7000 roku p.n.e., kiedy [zimowe] przesilenie weszło [w konstelację] *Aszwini*”³⁶ (tzn. gdy zimowe przesilenie znajdowało się w lub bardzo blisko początku konstelacji Barana)³⁷. Frawley stwierdza:

Wedy cofają nas do czasu, kiedy zimowe przesilenie, Ścieżka Bogów, czyli północny bieg Słońca, zaczynało się u początku znaku Barana (...). Nie oznacza to, że hymny, w których spotykamy taką symbolikę, stworzono w tej epoce (...). Oznacza to jedynie, że mitologia *Rygwedy* cofa się w czasie do tej epoki, w której powstała taka symbolika jej Bogów i porządek jej rytuałów³⁸.

Epoka Siedmiu Mędrców

Dlaczego *Rygweda* cofa do odległych czasów – w przybliżeniu 7000 i 6000 lat p.n.e. – jeśli nie ma bezpośrednich i znaczących powiązań z tą epoką?

Co dziwniejsze, takie samo pytanie można by zadać w odniesieniu do kalendarza używanego jeszcze do dziś w niektórych górskich rejonach Indii – a dokładnie w Kaszmirze³⁹. Szczegółowo opisany w Puranach, nosi wymowną nazwę „Epoki Siedmiu Ryszy”⁴⁰. Choć istnieje całkowicie niezależnie od systemu jug,

w niektórych punktach okazuje się z nim zbieżny. Jest to w rzeczywistości kalendarz Saptaryszi, opierający się na tych samych założeniach, jakimi panditowie (uczni hinduscy) posługiwali się do obliczenia początku Kalijugi, wyznaczonego na 3102 rok p.n.e.⁴¹

Mówiąc w dużym uproszczeniu, kalendarz Saptaryszi przedstawia serię periodycznych cykli, z których każdy trwa 2800 lat (czyli krócej niż w systemie jug). Podczas gdy w system jug brak początku i końca, kalendarz Saptaryszi ma ściśle określoną datę początkową – 6676 rok p.n.e.⁴². John Mitchiner pisze:

Pełny cykl, w obrębie którego następuje początek kalijugi, zaczyna się Kryttiką w 3876 roku p.n.e. Pełny poprzedzający cykl zacznie się wraz z Kryttiką 2800 lat wcześniej, dokładnie w 6676 roku p.n.e. Następnym pełnym cyklem rozpocznie się wraz z Kryttiką w 1076 roku p.n.e. Rok 6676 p.n.e. w jakimś sensie uważany był za początek indyjskiej chronologii⁴³.

Mitchiner zwraca uwagę, że w pismach greckich i rzymskich autorów istnieje historyczna zgodność co do punktu wyjściowego indyjskiej chronologii, wyznaczonego na VII tysiąclecie p.n.e. Solinus i Pliniusz (23–79 n.e.) pisali, że Hindusi od czasów ojca-założyciela ich cywilizacji do czasów Aleksandra Wielkiego „określają liczbę ich królów na 154, a upływ czasu na 6451 lat i 3 miesiące”⁴⁴. Aleksander wkroczył do Pendżabu w 326 roku p.n.e. i odszedł stamtąd w tym samym roku. Wynika stąd, że „Ojciec” (w rzymskich tekstach utożsamiany z Barchusem) „rządził w Indiach w $6451\frac{1}{4} + 326 = 6777$ rok p.n.e.”⁴⁵

Ponieważ Solinus i Pliniusz opierali się na raportach przysyłanych przez rzymskich ambasadorów z indyjskiego dworu króla Maurji⁴⁶, uznaje się, że informacje te pochodzą z pierwszej ręki. Mitchinera intryguje fakt, że:

(...) 6777 rok p.n.e., podany przez Pliniusza i Solinusa, to zaledwie 100 lat po 6676 roku p.n.e., który to rok stanowi początek indyjskiej chronologii w oparciu o Epokę Siedmiu Mędrców. Można zatem wyciągnąć stąd wniosek, że data ta rzeczywiście była uznawana – przynajmniej od IV wieku p.n.e. – za początek indyjskiej chronologii⁴⁷.

Powiązania

Wiedziałem już, że rolą starożytnych Ryszi – Mędrców, Jasnowidzów – było utrzymanie instytucji króla na ziemi. W tym celu, a także po to, aby przywrócić światu Wedy, Siedmiu Mędrców uciekło przed potopem w Himalaje wraz z Ojcem Manu.

Teraz wiedziałem również, że indyjski kalendarz, wiązany z postaciami Siedmiu Mędrców, postacią ojca i dynastią królów, zaczynał się około 6700 roku p.n.e., i że okres ten mieścił się w ramach czasowych największych potopów, jakie przetoczyły się przez Ziemię w ciągu 125 000 lat.

Na koniec nie mogłem przecież zapomnieć, że data 6700 rok p.n.e. jest bardzo bliska czasom, w których powstawały ludzkie osiedla w Mehrgarh w Beludżystanie, gdzie po raz pierwszy w Indiach wprowadzono uprawę warzyw i zbóż oraz hodowlę zwierząt.

Zacząłem się więc zastanawiać, czy może wszystkie te fakty nie pozostają ze sobą w ścisłym związku.

Rozdział 7

Demon na górze i odrodzenie cywilizacji

Tajemnicą pozostanie, dlaczego ludzie zaczęli uprawiać rośliny i udomawiać zwierzęta w konkretnym okresie historii. Wydaje się, że takie formy społecznego życia pojawiły się w początkach holocenu w kilku regionach Starego i Nowego Świata. Nie wiemy, dlaczego nie nastąpiło to wcześniej.

Profesor Gregory Possehl, University of Pennsylvania, 1999

W okresie zlodowacenia późnego plejstocenu wody Himalajów pozostawały zamrożone, a zamiast rzek były lodowce, masy twardego lodu. Kiedy klimat uległ ociepleniu, lodowce zaczęły pękać, a znajdująca się pod nimi woda spływała obficie, zatapiając aluwialne równiny u podnóża gór. Nic zatem dziwnego, że ówczesni mieszkańcy tych równin śpiewali pieśni dziękczynne pod adresem Władcy Indry za to, że rozpuścił lody i uwolnił wodę, która popłynęła siedmioma potężnymi korytami (Saptasindhu). Analogia z wolno pełznącym wężem (Ahi) wydaje się jak najbardziej na miejscu w odniesieniu do himalajskich lodowców. Jako geolodzy od razu dostrzegamy, że zdarzenie opisane w Rygwedzie nie jest fantazją, lecz zjawiskiem naturalnym o wielkim znaczeniu, związanym z pękaniem himalajskich lodowców i wypływaniem z nich długo zatrzymywanej wody.

B.P. Radhakrishna, indyjskie towarzystwo geologiczne, 1999

W badaniu i interpretowaniu przeszłości archeologia w znacznym stopniu polega na dowodach materialnych wydobywanych podczas wykopalisk. Dotyczy to zwłaszcza kultur, które nie pozostawiły po sobie dokumentów czy inskrypcji.

Cywilizacja Indusu-Saraswati używała pisma, lecz archeologia może interpretować jedynie te nieliczne materialne obiekty, jakie po niej pozostały, nie dysponuje natomiast tekstami. Wszelkie próby odcyfrowania tajemniczego pisma kultury Harappy spęły na niczym, a (przynajmniej do niedawna) sanskryckie Wedy uważano za dzieło innej, późniejszej kultury, nie mającej nic wspólnego z kulturą Indusu-Saraswati. Przez znaczną część XX wieku nie przyjmowano nawet do wiadomości istnienia tej cywilizacji. Nie stanowiła ona części archeologicznego wizerunku przeszłości Indii i nigdy nie prowadzono badań pod tym kątem. Innymi słowy – była „zaginiona”, jak platońska Atlantyda, aż do momentu



gdy w latach 20. zaczęto prowadzić wykopaliska w Harappie i Mohendzodaro, które przyniosły materialne dowody jej istnienia.

W ciągu następnego półwiecza w Pakistanie i Indiach wykopano znacznie więcej osiedli typowych dla kultury Harappy, niewiele jednak starszych niż sama Harappa i Mohendzodaro. Bardzo długo środowisko naukowe żywiło przekonanie, że miasta te pojawiły się nagle, nie przechodziły długotrwałych faz rozwoju, ewolucji i rozkwitu, które poprzedzałyby powstanie tak wysoko zorganizowanej miejskiej struktury. Niektórzy archeolodzy uznali to za dowód, iż kultura Indusu-Saraswati była odpryskiem znacznie starszej kultury Sumeru z Mezopotamii.

Przełom nastąpił wraz z rozpoczęciem w 1974 roku wykopalisk w „społeczności wioskowej” Mehrgarh w Beludżystanie. Potem odkryto jeszcze Nauszaro i wiele innych równie starożytnych osiedli. Najwcześniejsze warstwy powstały 7000 lat p.n.e. Dwa zjawiska w Mehrgarh zasługiwały na szczególną uwagę: 1. od samego początku mieszkańcy doskonale opanowali sztukę uprawy ziemi i 2. osiedle było nieprzerwanie zamieszkane przynajmniej do I tysiąclecia p.n.e., co dla archeologów okazało się niezwykle cenną informacją.

Ponadto w rejonie kultury Indusu-Saraswati, której zasięg stale powiększano w wyniku prowadzonych wykopalisk, znaleziono też wiele osiedli z okresu pośredniego między Mehrgarh – powstałym 7000 lat p.n.e. – a Harappą z 2500 roku p.n.e. Archeolodzy uznali je za bezpośrednich poprzedników tej cywilizacji, reprezentujących różne stadia całkowicie normalnego i stopniowo postępującego rozwoju ewolucyjnego.

Często podaje się to jako przykład otwartości archeologów na nowe odkrycia, a także jako dowód, że jeśli kopie się dostatecznie głęboko i na dużym terenie, wcześniej czy później natrafi się na świadectwa wielu faz ewolucyjnych każdej wysoko rozwiniętej cywilizacji. Innymi słowy – wielkie miasta z dobrze rozwiniętym rolnictwem nie pojawiają się znikąd. Z początku może się tak wydawać, ale w końcu zawsze okazuje się, że stanowią fazę długotrwałego rozwoju.

Profesor S.P. Gupta z Instytutu Muzeum Narodowego w New Delhi bardzo trafnie podsumowuje obecny sposób myślenia archeologów o korzeniach cywilizacji Indusu-Saraswati:

Wiadomo powszechnie, że historia cywilizacji indyjskiej zaczyna się wraz z kulturą neolitu, powstałą na północno-zachodnich wzgórzach i podgórskich rejonach w VIII tysiącleciu p.n.e. Myślę tu o miastach takich jak Mehrgarh nad rzeką Bolan w Beludżystanie. Niestety, wykopaliska w tym rejonie rozpoczęto dopiero w 1974 roku, lecz po ich zakończeniu zmieniło się całkowicie nasze postrzeganie kultury na tych ziemiach, a zatem i początków kultury Indusu-Saraswati, gdyż wiadomo, że wpływ na nie miały zmiany poziomu morza.

Nie można już powtarzać, że Beludżystan był czymś w rodzaju „korytarza”, przez który kultury z terenów Iranu czy Turcji¹ przenikały do Doliny Indusu, by stworzyć tam kulturę Indusu-Saraswati, ani też że w dzikich górskich rejonach istniało „tyle kultur, ile gór”. Wiemy natomiast, że góry i podwzgórza Beludżystanu stały się czymś w rodzaju „strefy zarodkowej”, która zrodziła wiele następujących po sobie kultur, począwszy od preceramicznego neolitu z VIII tysiąclecia p.n.e., po początki kultury Indusu-Saraswati w połowie IV tysiąclecia p.n.e. Innymi słowy to, co niegdyś wydawało się luźnym łańcuchem niezależnych kultur neolitu i epoki brązu, inspirowanych kulturą zapożyczoną z terenów Iranu, dziś jawi się nam jako część doskonale zintegrowanego systemu kulturowego działającego w całym podgórskim terytorium, obrzeżonym pasmami górkimi Kirthar i Sulejman oraz basenami rzek Indus, Rawi, Czenab, Satledż i Saraswati wraz z ich dopływami. To właśnie ten system dał w końcu początek kultury Indusu-Saraswati na równinach wzdłuż tych rzek².

Co wie archeolog

Warto więc pokrótce przedstawić obecne stanowisko archeologii:

1. „Zarodkowa strefa”, z której wyłoniła się kultura Indusu-Saraswati, to rejon „podgórskie” u stóp pasm górskich Hindukuszu, Karakorum i Himalajów.
2. „Pierwszy ferment”, który ostatecznie dał początek największej miejskiej kulturze starożytnego świata, nastąpił pod koniec VIII i na początku VII tysiąclecia p.n.e.
3. Najstarszym i najlepiej zachowanym miastem, które o tym świadczy, jest Mehrgarh na przełęczy Bolan, pochodzące z około 7000 roku p.n.e.
4. Ewolucję i rozwój kultury Indusu-Saraswati poznaliśmy dzięki odkryciom w blisko 3000 odkopanych osiedli. Mało zatem prawdopodobne, by archeologów badających liczący 5000 lat okres od 7000 do 2000 roku p.n.e. zaskoczyła jakaś niespodzianka.

Warto podkreślić, że powyższe punkty opierają się na badaniach materiału z wykopalisk. Panujące w środowisku naukowym poglądy na temat korzeni i rozwoju cywilizacji Indii od czasów Mehrgarh muszą ulec przewartościowaniu nie tylko w ogólnej perspektywie, lecz także w szczegółach. Wobec braku źródeł

tekstowych niektóre aspekty tego procesu mogą zostać niewłaściwie zrozumiane lub nawet nierozpoznane – szczególnie w kwestiach dotyczących religii czy symboliki – nie ma jednak wątpliwości, iż archeolodzy (przede wszystkim z Indii i Pakistanu) wykonali ogromną pracę i z pewnością ustalili prawidłową chronologię i powiązania między faktami i zjawiskami.

Czego archeolog nie wie

Nie można tego samego powiedzieć o okresie poprzedzającym Mehrgarh, o czym szczegółowo pisze Gregory Possehl:

Nie wiemy prawie nic o okresie między późną epoką lodowcową (około 15 000 p.n.e.) a początkami osadnictwa w Mehrgarh (około 7000 p.n.e.). W pierwszym etapie istnienia osiedla mieszkańcy stworzyli budynki o doskonale rozwiniętych formach architektonicznych, wznoszone z niewypalanej cegły. Choć w Mehrgarh bez wątpienia żyła wczesna społeczność rolnicza, mamy świadomość, iż wykopaliska nie dokumentują początków tej tradycji, czyli zapoczątkowania produkcji żywności i udomowienia w tym rejonie. Osiedla nie zamieszkiwała z pewnością społeczność zbieracko-myśliwska zajmująca się również uprawą zbóż, roślin strączkowych i polowaniem. Ci ludzie byli już rolnikami³.

„Nagle” pojawienie się tej dobrze rozwiniętej społeczności rolniczej w Mehrgarh Possehl tłumaczy tym, iż wykopalisk nie doprowadzono do końca. Jest przekonany, że uda się znaleźć dowody wynalezienia metod „wytwarzania żywności i udomowienia” w tym rejonie⁴. Uważa też, że relikty, które archeolodzy odślepnili w warstwie z pierwszego w historii Mehrgarh, czyli z 7000 roku p.n.e., należy zaliczyć do tak zwanej kultury PPNB (Pre-Pottery Neolithic „B” – epoki B neolitu preceramicznego) w regionie Lewantu. PPNB reprezentuje okres między 8600 a 7000 lat p.n.e., kiedy rolnictwo zaczęło dominować w rejonie Lewantu i południowo-wschodniej Anatolii (choć w Lewancie znaleziono niepodważalne dowody istnienia rolnictwa już tysiąc lat wcześniej)⁵. Possehl unika jednakże ustalania jakichś powiązań między tymi regionami i przyznaje:

Zagadką pozostaje, dlaczego ludzie zaczęli hodować rośliny i zwierzęta w jakimś określonym momencie historii. Wydaje się, iż zaczęło się to na początku holocenu w kilku regionach Starego i Nowego Świata. Nie wiemy, dlaczego nie nastąpiło to wcześniej⁶.

Innymi słowy: dlaczego wytwarzanie żywności i hodowla zwierząt pojawiły się nagle i właśnie wówczas, po 10 000 roku p.n.e. (taką datą archeolodzy zaznaczają koniec epoki lodowcowej, plejstocenu, i początek nowoczesnej epoki, holocenu), a nie w jakimkolwiek innym czasie? Zdaniem Possehla dokładnie w tym okresie, tuż przed początkiem holocenu, kiedy ostatnie wielkie lodowce

kontynentalne zaczęły się cofać, w północno-zachodnim sektorze Azji Południowej pojawiły się najstarsze udokumentowane ślady życia osiadłego⁷.

Mamy tu do czynienia z jedną z największych zagadek prehistorii: nie chodzi o to, dlaczego ludzie zaczęli uprawiać rośliny i hodować zwierzęta na subkontynencie indyjskim w określonym czasie, lecz dlaczego w ogóle zaczęli to robić gdziekolwiek na świecie – kiedy i gdzie proces ten naprawdę się rozpoczął?

Podejmowano różne próby wy tłumaczenia praprzyczyny rewolucji agrarnej w historii ludzkości⁸:

Brano pod uwagę różne czynniki, takie jak bliskość w czasie i przestrzeni, przeludnienie, kulturalna gotowość, sprzężenie zwrotne systemów, zmiany klimatyczne i stres, naciski populacyjne, a nawet coś w rodzaju historycznego imperatywu, które – pojedynczo lub w połączeniu z innymi siłami – mogły wywołać taką rewolucję⁹.

W połowie lat 90. XX wieku wielu naukowców badających początki rolnictwa zainteresowało się problemem gwałtownych zmian klimatu towarzyszących zakończeniu epoki lodowcowej na przełomie plejstocenu i holocenu¹⁰. Do tej grupy zaliczali się McCorrison i Hole (1991) oraz Bar-Yoseph i Meadow (1995). Oto ich wywody:

Początki rolnictwa należy postrzegać w kontekście fluktuacji klimatu, które najpierw poszerzyły, potem ograniczyły tereny efektywnego zbieractwa i myślistwa, a następnie rolnictwa i pasterstwa. Należy uznać, że właśnie te zmiany stały się przyczyną sprawczą przeobrażeń¹¹.

Przekonujące kontrargumenty wobec takiego stanowiska przedstawił w 1999 roku Gregory Possehl, którego warto tu zacytować:

Badacze, którzy upatrują przyczyn w „krótkotrwałych zmianach klimatycznych”, dowodzą, że gdy warunki klimatyczne ograniczają zasoby, ludzie reagują tylko w jeden sposób: zaczynają uprawiać ziemię i hodowlę zwierząt. To możliwe, lecz z pewnością pojawiały się też inne reakcje na zaburzenia klimatyczne, na przykład migracja (prawdopodobnie tylko częściowa) do innego środowiska, zwiększona adaptacja, polegająca na wykorzystaniu roślin i zwierząt nie stanowiących dotychczas podstawy bytu, zmniejszenie populacji albo połączenie – pełne lub częściowe – tych rozwiązań.

Buszmeni San !Kung przetrwali trzyletnią suszę w Botswanie, ledwie ją zauważywszy. Sąsiednie gospodarstwa rolniczo-pasterskie, należące do ludności mówiącej językiem Bantu, straciły 100 000 sztuk bydła, trzeba było dostarczyć w ten rejon żywność dla 200 000 rolników i pasterzy. Myśliwi-zbieracze pomagali przeżyć Bantu. Reakcja ludzkich istot na suszę i przeciwności natury jest trudna do przewidzenia. Przystosowanie się do życia zbieracko-myśliwskiego wyrabia w człowieku elastyczność, która z kolei ułatwia borykanie się z siłami przyrody.

Nie powinniśmy zakładać, że związek człowieka z przyrodą wywołuje tak proste reakcje, jakie opisują zwolennicy hipotezy o zmianach klimatycznych. Założenie, że zbieraczom-myśliwym z początków holocenu dobrze się wiodło do czasu, gdy klimat uległ pogorszeniu i że to skłoniło ich do hodowli roślin i zwierząt, wydaje się zbyt uproszczone. Co więcej, przypisywanie przemian w zachowaniach społecznych pogorszeniu się warunków klimatycznych opiera się na przekonaniu, że ci, którzy „wynaleźli rolnictwo”, uczynili to niejako pod przymusem i z biedy¹².

Co wiedzieli wedyjscy mędracy uratowani z potopu

Podsumowując – czy nie jest bardziej prawdopodobne, że nie ci, którzy cierpieli głód i nędzę, lecz „ludzie, którzy wynaleźli rolnictwo” stanowili część społeczeństwa i dodatkowo mieli środki oraz czas, żeby zająć się tym, co naukowcy określają „powolnymi procesami udomowienia”¹³? W ten sposób także można by wyjaśnić, dlaczego mieszkańcy Mehrgarh byli już rolnikami, gdy 9000 lat temu położono pierwsze cegły osiedla. Albo – jak sugeruje Possehl – nauczyli się produkować żywność w pasie wzgórz wokół Karakorum i Himalajów jeszcze wcześniej niż 9000 lat temu. W takim razie podobnie jak on powinniśmy założyć, iż ślady tej ewolucyjnej fazy – pośredniej między wysoko wyspecjalizowanym zbieractwem w połączeniu z myślistwem z jednej strony, a gospodarką opartą wyłącznie na rolnictwie i hodowli z drugiej – nadal czekają na odkrycie (mimo iż w tych rejonach w ciągu minionych 50 lat prowadzono bardzo intensywne prace archeologiczne); albo nabyli te umiejętności gdzieś indziej, na przykład w rejonie Lewantu lub w innym miejscu, do którego nie dotarli jeszcze archeologowie, po czym wemigrowali stamtąd na podgórskie tereny w północno-zachodnich Indiach.

Ciekawe, że ta druga możliwość, nie zaś pierwsza, znalazła odbicie w starodawnej tradycji Indii. Manu i Siedmiu Mędrców w czasie straszliwego potopu uciekli w Himalaje z miejsca, które Himalajami nie było, a ze swoich przedpotopowych siedzib zabrali nie tylko Wedy, lecz również „nasiona” niezbędne do wytwarzania żywności w nowym miejscu zamieszkania.

Święte księgi przekazują, że społeczeństwu wedyjskiemu przewodziło bractwo Siedmiu Mędrców – Ryszi, mądrych ludzi – które przewidziało taki bieg ewolucji, ustanowiło zatem ustrój monarchiczny dla ogólnego dobra ludzkości i pilnowało, żeby królowie rządili sprawiedliwie. Fundamentem etyki owych mędrców był ascetyzm, który stanowi duchową podstawę starożytnych Indii od niepamiętnych czasów. I choć rozumieli, że trzeba zaspokoić potrzeby społeczeństwa w sferze podstawowych dóbr materialnych, trudno przypuszczać, by ich „polityka ekonomiczna” zakładała nadprodukcję owych dóbr, nie mówiąc już o luksusie.

Stosunkowo prosty tryb życia, ograniczone zainteresowanie sferą materialną, skoncentrowanie się na wymiarze duchowym oraz jogistycznej samodyscyplinie

byłyby tu bardziej na miejscu – świadectwo takiego właśnie modelu społeczeństwa znajdujemy w Mehrgarh sprzed 9000 lat, z końca epoki lodowcowej.

Historia Mehrgarh

Przełęcz Bolan łączy zachodnią część Doliny Indusu z górami Beludżystanu i terenami poza nimi. Mehrgarh leży u stóp przełęczy, na aluwialnych równinach Kaczi, wzdłuż rzeki Bolan. Miejsce znakomicie wybrane: osłonięte, dużo wody, doskonałe tereny rolnicze, wygodna droga dla kupców i podróżnych biegnąca między górami z jednej strony a nizinami nad Morzem Arabskim z drugiej. Znajduje się dostatecznie daleko od morza – około 500 kilometrów – żeby być zabezpieczone przed wylewami oceanu (co 9000 lat temu było poważnym problemem, a przecież potem też dochodziło do katastrofalnego wzrostu poziomu morza). Mimo iż kraj jest dość dziki, Beludżystan nie znajduje się na tyle wysoko, by w okresie ostatniego zlodowacenia mogły się tam tworzyć czapy lodowe. Od czasu do czasu wylewała tylko rzeka Bolan, ale można wnioskować, że w Mehrgarh panował klimat umiarkowany i że osiedlu w momencie powstania 9000 lat temu w zasadzie nie groziły katastrofy naturalne.

Łatwo więc sobie wyobrazić, dlaczego pierwsi mieszkańcy, którzy już znali się na rolnictwie i umieli dostrzec sprzyjające warunki naturalne, postanowili osiedlić się w Mehrgarh. Czy jednak za tą decyzją kryła się jakaś motywacja, cel, plan czy inspiracja, czy też był to, jak przypuszczają naukowcy, jakiś powszechny „trend” ogarniający całe północno-zachodnie Indie – ruch w kierunku osiadłego trybu życia i intensyfikacji produkcji żywności, stymulowany zmianami klimatycznymi?

Mehrgarh, rozległa osada, rozciąga się z północy na południe wzdłuż zachodniego brzegu rzeki Bolan pasem szerokim na kilometr i długim na ponad dwa. Nie wszystkie dzielnice były w tym samym czasie zamieszkane. Materiał z Okresu I znaleziono w północnej części osiedla, która zajmowała obszar 3–4 hektarów. Z tego jedynie niewielki fragment (75 metrów kwadratowych) został dotychczas odkopany¹⁴.

W odniesieniu do Mehrgarh intryguje fakt (przy założeniu ogólnie wysokiego poziomu rozwoju i zdyscyplinowania społecznego jego mieszkańców), że pierwsi osadnicy nie umieli wyrabiać naczyń lub z jakichś niewytłumaczalnych powodów nie chcieli się tym zajmować. W każdym razie w najstarszej warstwie (Okres 1A) nie znaleziono żadnych skorup z okresu sprzed 9000 lat. Pojawiają się one dopiero w Okresie 1B, czyli o tysiąc lat później¹⁵.

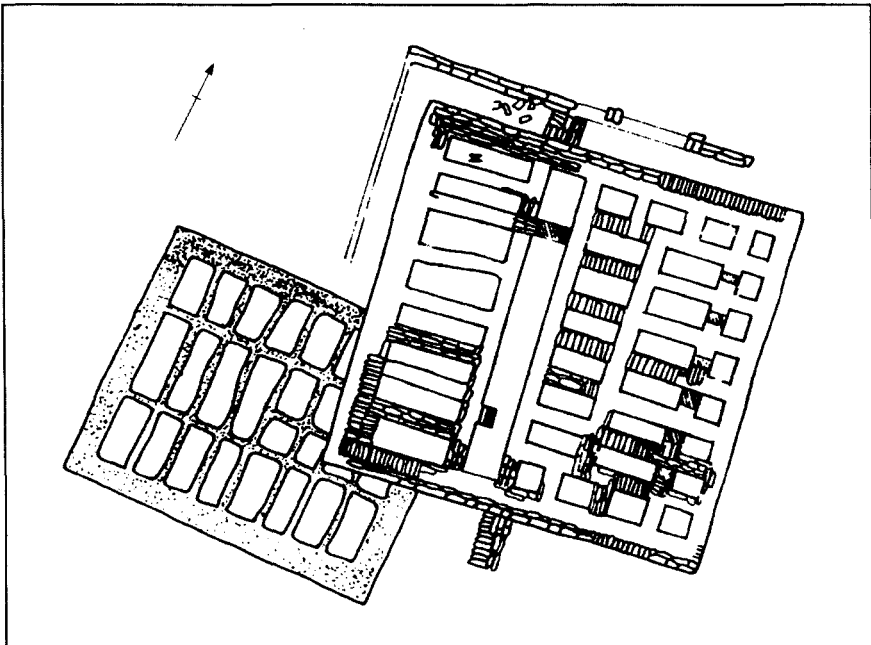
Można by wnioskować, że pierwsi mieszkańcy Mehrgarh byli ludem stosunkowo prymitywnym; tymczasem inne obiekty – zwłaszcza relikty budownictwa – przeczą temu. Od początku bowiem konstruowano tu budowle z niewypalanej cegły o bardzo zbliżonych wymiarach (33×14,5×7 cm)¹⁶, niektóre stawiając wzdłuż głównych kierunków¹⁷. Wiele z nich to proste budynki mieszkalne o stosunkowo grubych ścianach, zbudowanych z dwóch warstw cegieł ułożonych ściśle obok

siebie, oraz podłogą, noszące ślady trzciniowego pokrycia. Przeciętne wymiary tych siedzib wynosiły 5 na 7 metrów, lecz często dzielono je na kilka małych pomieszczeń¹⁸.

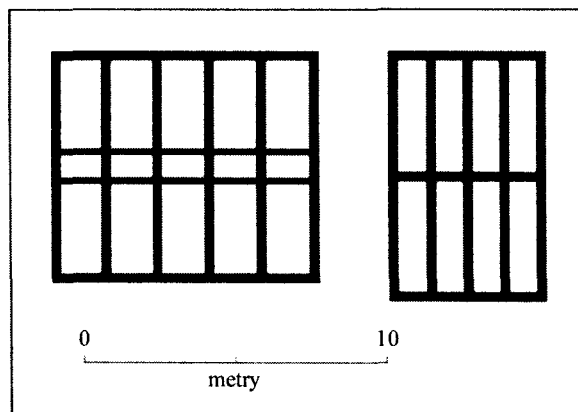
Piece i paleniska znajdowały się zazwyczaj w rogu pomieszczeń, a ślady ich używania utrwały się w postaci smug pozostawionych przez dym na tynkowanych ścianach. Jeden okrągły piec, wyłożony cegłą, pokrywała kopuła [podobnie jak piece używane obecnie w Pakistanie i północnych Indiach]¹⁹.

Niektóre z budowli Mehrgarh wykazują uderzające podobieństwo do znacznie późniejszych obiektów kultury Indusu-Saraswati, zwłaszcza do tak zwanych „spichlerzy” z Mohendźo-Daro, posiadających liczne, wąskie, przypominające cele pomieszczenia, które uznano za magazyny²⁰. Taką samą interpretację przyjął zespół francuskich archeologów w odniesieniu do Budynku B w Mehrgarh o wymiarach:

(...) 6,3 na 6,7 metra, ustawionego w linii północ-południe, podzielonego na sześć prostokątnych pomieszczeń. Trzy pomieszczenia liczą 2,25 na 1,5 metra, pozostałe 3,3 na 1,5 metra. Między pomieszczeniami brak drzwi, choć ściany działowe mają trzy, a nawet cztery warstwy cegieł. Ściany zewnętrzne wzniesiono z dwóch rzędów cegieł. Podłogi pięciu pomieszczeń pokrywały otoczaki (w trzech pomieszczeniach – całą powierzchnią)²¹.



Plan budynków podzielonych na małe pomieszczenia w Mehrgarh. Według Rao (1991)



Komórki w Mehrgarh. Według Quivrona (1991)

W Mehrgarh znajdujemy pozostałości wielu innych budowli podzielonych w ten sposób, pochodzących z kilku okresów historii miasta. Niektóre zachowały się do wysokości większej niż 15 warstw cegły, ale żaden z nich nie posiada drzwi czy okien. Komórki nie są większe niż 1 metr kwadratowy, przypuszcza się, że wejście znajdowało się na dachu²².

Mimo iż nie znaleziono wykonanych przez nich naczyń, mieszkańcy Mehrgarh potrafili

budować rozmaite ceglane budowle. Budowle podzielone na komórki mogły nie być „spichlerzami”, bo brak na to jednoznacznych dowodów, lecz do czegoś służyły, miały jakieś zastosowanie i stawiano je według określonego planu. Musiał on pochodzić z czasów poprzedzających osadnictwo w Mehrgarh, gdyż budynki tego rodzaju archeolodzy znaleźli w najstarszych warstwach.

Gregory Possehl twierdzi, że już pierwsi mieszkańcy Mehrgarh byli doskonałymi rolnikami. Uprawiali pszenicę i jęczmień. Zboża te nadal stanowią podstawę diety w północnych Indiach²³. Ponadto znali inne, starannie wybrane rośliny użytkowe – soczewicę, fasolę i groch.

Strączkowe rośliny jednoroczne, uprawiane dla nasion, potrafią wychwytywać z atmosfery azot dzięki symbiozie ze znajdującą się w ich korzeniach bakterią zwaną *Rhizobium*. W ten sposób dodają azot do gleby, nie zużywając go. Jeśli rośliny te uprawia się naprzemiennie ze zbożami spożywczymi, te ostatnie dają dorodniejsze i obfitsze zbiory, gdyż rosną w ziemi zasobnej w nawóz azotowy²⁴.

Ponieważ taką wiedzę rolniczą zdobywa się przez stulecia, a nawet tysiąclecia, Gregory Possehl jest tylko jednym z wielu badaczy, którzy twierdzą, iż w Mehrgarh nie zapoczątkowano produkcji rolnej w północnych Indiach i że w tym miejscu była ona już dość dobrze rozwinięta.

Istnieją także dowody na to, że pierwsi osadnicy udowodnili tam z powodzeniem dzikie odmiany kóz, owiec i bydła, jak gdyby mieli doświadczenie zdobyte w innych miejscach. Co więcej, przybyli do Mehrgarh z gotowym programem udomowienia. W początkowych latach wzbogacali swoją dietę o upolowaną na równinach Kaczi zwierzynę (gazele, jelenie bagienne, antylopy, dzikie świny, słonie itp.), w tym czasie starając się udomowić stada zwierząt. Possehl twierdzi:

W Mehrgarh odkrywamy sekwencję zdarzeń, która świadczy o udomowieniu zwierząt. Owce, kozy i bydło na początku pasły się dziko, później stada podlegały

selekcji. Zwierzęta z czasem zaczęły przypominać zwierzęta domowe (były mniejsze, miały już charakterystyczne dla zwierząt domowych szkielety)²⁵.

To, co archeolodzy mówią o rolnictwie w Mehrgarh, pasuje do historii Manu, która – w przeciwieństwie do legendy o Noem – nie wspomina o zabraniu na arkę zwierząt, znalazły się na niej natomiast wszelkie rodzaje nasion²⁶.

Inne przedmioty odkopane w Mehrgarh wzbogacają naszą wiedzę o pierwszych osadnikach. Używali niewielkiej ilości miedzi „pochodzącej z miejscowych źródeł, nie wytapianej”; ich prymitywne krzemienne narzędzia to ostrza sierpowe o charakterystycznym połysku, którego mogły nabrać podczas żęcia zbóż; wytwarzali tkaniny i kosze, często uszczelniane bitumem; z kości powstawały szydła, łopatki i igły; wyrabiali też paciorki, między innymi małe płaskie blaszki z czarnego steatytu, beczułkowate korale z kalcytu oraz bransolety z polerowanych muszli²⁷; znaleziono też paciorki z muszli pewnej odmiany mięczaków występujących w Zatoce Kambajskiej²⁸. Istnieją też świadectwa kontaktów z rejonami nadmorskimi oraz korzystania z sieci szlaków handlowych „w postaci muszli morskich, lapis-lazuli i turkusów znajdujących w najstarszych grobach”²⁹.

Najstarsze groby to kolejna tajemnica Mehrgarh. W przeciwieństwie do późniejszych mieszkańców pierwsi osadnicy grzebali swoich zmarłych z wielką pompą i ceremoniałem. Ciała chowano w pozycji embrionalnej, z głową skierowaną na wschód, a stopami na zachód³⁰, układając wokół nich osobiste przedmioty, a czasem ofiary z napojów i pożywienia, które miało ułatwić duszom wędrówkę³¹. Groby, których odkryto w sumie 166, pochodziły z początków Okresu 1A, czyli preceramicznego, rytuał zaś przetrwał ponad tysiąc lat, do Okresu 2A, po czym zaczął zanikać³². Szczególnie interesujący jest grobowiec „z bocznymi ścianami” z Okresu 1B, zawierający szczątki dorosłego mężczyzny lub kobiety:

(...) ułożone wzdłuż zerodowanej ściany. U stóp położono wypolerowany kamienno-toporek, kawałek krzemienia, dużą grudkę czerwonej ochry, bydłęcą kość i dwa fragmenty narzędzia kościanego o ostrych końcówkach, trzeci zaś leżał przy klatce piersiowej. Narzędzie zostało celowo przełamane przed pochówkiem. W grobie znaleziono również dwa turkusowe paciorki i inne fragmenty bydłęcych kości³³.

Rytualne pogrzeby tego typu, kiedy do grobowca wkładano rozmaite dobra, stosowano we wczesnym okresie istnienia Mehrgarh. Od początku miały ustalony przebieg, a same grobowce budowano według tego samego schematu, podobnie zdobiono i orientowano. Podobne przedmioty i ozdoby umieszczano w grobach wraz z ciałami zmarłych. Wskazuje to na dobrze rozwinięty system wierzeń i kulturę grzebalną, które pierwsi osadnicy przynieśli z sobą, jakby stosowali ją dawniej.

Ale jak długo? I gdzie? Jak głęboko sięgają korzenie wiary w życie pośmiertne, której świadectwa pochodzą z Mehrgarh sprzed 9000 lat?

Większość archeologów uważa, że korzeni indyjskiego rolnictwa należy szukać albo na Bliskim Wschodzie, albo w podgórskich rejonach Himalajów. Choć

pewne opracowania opublikowano po raz pierwszy w 1983 roku w specjalistycznym periodyku „Current Anthropology” i choć żaden z archeologów pracujących na terenie wykopalisk w Mehrgarh nie kwestionował słuszności poczynionych tam obserwacji, wydaje się, że naukowcy nie do końca pojęli ich znaczenie.

Chodzi o wyniki badań przeprowadzonych przez specjalistę morfologii zębów, Johna Luckacsa, który stwierdza „częstą obecność siekaczy łopatkowatych w szczękach mieszkańców Mehrgarh z Okresu I. Jest to cecha charakterystyczna dla mieszkańców wschodniej i południowo-wschodniej Azji”³⁴. Według Luckacsa zęby mieszkańców Mehrgarh z Okresu I:

(...) są zupełnie inne niż uzębienie typowe dla Europejczyków [przeważnie spotykane w Indiach i sąsiedztwie Mehrgarh z czasów starożytnych] i pod pewnymi względami przypominają uzębienie mieszkańców Wysp Sundajskich w Archipelagu Malajskim. Neolityczni mieszkańcy Mehrgarh, reprezentujący fenotyp uzębienia znany jako Sundadont, mogą pochodzić z zachodniego rejonu Azji Południowo-Wschodniej³⁵.

Takie odkrycie może mieć daleko idące konsekwencje, gdyż północno-zachodnie Indie dzieli od Azji Południowo-Wschodniej ogromna przestrzeń, a uzębienia charakterystycznego dla mieszkańców Mehrgarh nie zaobserwowano nigdzie indziej na subkontynencie³⁶. Co więcej, rozległy Szelf Sundajski w Azji Południowo-Wschodniej, który w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia stanowił sporych rozmiarów ląd, został gwałtownie zalany w okresie między 16 000 a 11 000 lat temu.

Z pozoru wszystko wydaje się oczywiste: zmuszeni do porzucenia pierwotnej ojczyzny (w której „dorobili się” religii i wysoko rozwiniętego rolnictwa) z powodu zalania Szelfu Sundajskiego, pierwsi osadnicy jakimś sposobem przyплыnęli z Azji Południowo-Wschodniej do północno-zachodniego wybrzeża Indii, następnie pożeglowali w górę Indusu, po czym już na piechotę dostali się na przełęcz Bolan, gdzie założyli Mehrgarh. Jednakże badania uzębienia nie pozwalają na wyciąganie tak dalekich konkluzji. Nie jest ono zupełnie typowe dla Wysp Sundajskich, lecz jedynie „ma pewne wspólne z nim cechy”. Być może, jego właściciele pochodzą z jakiegoś miejsca pomiędzy tymi oddalonymi rejonami, lecz tego nie da się określić li tylko na podstawie kształtu siekaczy.

Poza tym, jeśli uznać potop za jedyny powód, dla którego osadnicy (hipotetycznie) opuścili Szelf Sundajski i popłynęli do Indii, przecież po drodze rozciąga się pół miliona kilometrów kwadratowych doskonałych terenów na północ, południe i wschód od Gudżaratu, które także zostały zalane w tym samym okresie. Czy hipotetyczni uciekinierzy przed potopem nie mogli raczej przybyć do Mehrgarh właśnie stamtąd, z miejsca odległego o niecały tysiąc kilometrów, a nie z dalekiej Indonezji czy Malezji na Szelfie Sundajskim?

Cechy uzębienia osadników Mehrgarh z Okresu I wykluczają przynajmniej ich pochodzenie z zachodu. Potwierdza to Jonathan Kenoyer:

Pod względem morfologicznym nie przypominali neolitycznej populacji Azji Zachodniej. Budowa uzębienia zaś przeciwnie, zbliża ich genetycznie do Azjatów³⁷.

Tak więc po dziś dzień nie wiadomo, kto dokładnie założył Mehrgarh i kwestia ta zeszła na dalszy plan, prawdopodobnie dlatego, że mogłaby wzbudzić ostre kontrowersje. Nadal nie rozumiemy, dlaczego osadnicy przybyli właśnie w ten rejon Indii, choć najwyraźniej była to decyzja planowa i celowa. Poza tym nie powinniśmy wysnuwać zbyt pochopnych wniosków o ich rozwoju intelektualnym i duchowym na podstawie prostoty i surowości ich domostw, narzędzi i trybu życia. Ta „archeologiczna układanka” pasuje do akademickich wyobrażeń o tym, jak ludzie u zarania osiadłego życia i produkcji rolnej powinni wyglądać i zachowywać się, budując pierwsze stałe osiedla³⁸. Ale Mehrgarh pasuje też do innego modelu. Modelu *Rygwedy* mówiącej o społeczności założonej przez mędrców-joginów, która bardzo skutecznie zaspokajała proste potrzeby, lecz nie pozwalała na luksus i nadmiar sprawiające, że ludzie zbaczą z drogi duchowego oświecenia i zapominają o nieśmiertelności duszy.

Rosnący poziom morza i topnienie czap lodowych

Okres 1 w Mehrgarh przenosi nas 9000 lat wstecz, lecz wyniki datowania radiowęglowego bywają częstokroć mylące³⁹, „stratygrafia w tym miejscu okazuje się bardzo skomplikowana”⁴⁰, a ponieważ margines błędu w przypadku prób ustalenia dat tak starych obiektów jak ten jest dość szeroki, można nawet powiedzieć, że Mehrgarh liczy 10 000 lat⁴¹.

Postanowiłem dowiedzieć się więcej o tym, co zdarzyło się w północno-zachodnich Himalajach w tysiącleciu poprzedzającym powstanie Mehrgarh, w okresie katastrofalnych topnień lodu pod koniec ostatniej epoki lodowcowej. Zdaniem Possehla to właśnie w tym okresie, bezpośrednio następującym po „cofaniu się ostatnich kontynentalnych lodowców”, rozpoczął się gwałtowny rozwój rolnictwa w północno-zachodnich Indiach. Ale co dziwne, ani on, ani żaden inny naukowiec specjalizujący się w rewolucyjnych procesach kulturalnego rozwoju tej epoki, nie biorą pod uwagę możliwości, że topniejące lodowce i podnoszący się poziom mórz były czymś więcej niż tylko symptomami generalnych zmian klimatu i mogły w jakimś stopniu bezpośrednio mieć wpływ na wprowadzenie w Mehrgarh form uprawy roli, związanych ze stałym osadnictwem, które, jak się wydaje, na tym subkontynencie stanowiły nowość.

Duże obszary przybrzeżne Indii zostały zalane w okresie, który nastąpił po 15 000 lat p.n.e. Ale co wiemy o „drugiej stronie medalu”, czyli topnieniu lodowców? Co działo się z ogromnymi czapami lodowymi, które zaczęły topnieć, gdy lodowiec się załamał, wyrzucając ze swego wnętrza olbrzymie ilości wody spływającej do oceanu? Jeśli takie kataklizmy zdarzały się w Ameryce Północnej i Europie, to dlaczego nie w Himalajach?

Dwuznaczność

Język *Rygwedy* jest wielce tajemniczy, pełen symboliki, metafor i zagadek, czasami jak gdyby umyślnie zacierając granicę między wyobraźnią a rzeczywistością, między symbolem a rzeczą, którą on symbolizuje.

Małym, ale znaczącym przykładem problemów z przekładem historii Manu są określenia, którym jakby celowo nadano niejednoznaczny i niewyraźny sens, na przykład, zdaniem Davida Frawleya, wedyjskie słowo „łódź – nau – które oznacza również «słowo» lub «Słowo Boże», tymczasem słowo «myśl», dhi, oznacza także «statek»⁴². Takie dwuznaczności mogą tłumaczyć nieprawdopodobną opowieść o statku zakotwiczonym w Himalajach. I choć słowa mówią wyraźnie o statku zacumowanym do szczytu wysokiej, pokrytej śniegiem góry, fragment ten daje się interpretować również w ten sposób, że „słowo” – objawione „Słowo Boże”, czyli same Wedy – zostały przywiezione do Himalajów, aby przetrwać w pamięci Siedmiu Mędrców. Wówczas zrozumiałe staje się ostrzeżenie przekazane uciekającym przez Wisznu, że „statek/słowo” nie powinien zsuwać się zbyt szybko z gór, ale czekać, aż opadną wody. Być może Mędrcy, o których napomyka tekst, postanowili pozostać w Himalajach przez dłuższy czas, nawet przez kilka pokoleń, przechowując nasiona udomowionych już zbóż i strączkowych, które zabrali z sobą z dawnej ojczyzny, i czekając, aż „Słowo” znowu będzie mogło powrócić do ludzi. W takim razie termin Naubandhana w *Mahabharacie* (patrz rozdział 5) powinien być tłumaczony nie jako „miejsce przywiązania statku”, ale jako „miejsce ochrony Słowa”.

Innym przykładem dwuznaczności są rozmaite odcienie znaczeniowe, jakich dopatrzone się w nazwie Saraswati. Possehl tłumaczy to miano jako „Łańcuch Stawów”, Frawley jako „Ta, która płynie”⁴³, Natomiast autorytatywne tłumaczenie Griffitha brzmi „Wodnisty”⁴⁴.

Co wobec tego począć z najbardziej dwuznacznymi i symbolicznymi fragmentami Wed, jak choćby mitem o „Uwolnieniu Siedmiu Rzek”, który prawdopodobnie przedstawia katastrofalny potop w Himalajach?

Co wiedzieli wedyjscy mędracy: topnienie lodów w Himalajach

Rygweda urzeka nas opowieścią o demonie w postaci wielkiego smoka czy też węża, który owinał się wokół pokrytych lodem łańcuchów górskich wznoszących się w północnych Indiach i trzymał za gardło siedem wielkich rzek. Imię demona brzmi czasem Ahi, lecz częściej Wrytra, a w hymnach *Rygwedy* wciąż przewija się relacja o tym, jak bóg Indra zabił smoka i uwolnił siedem rzek:

Ogłoszę dzielne czyny Indry, a oto pierwszy, który sprawił Gromowładny. Zabił on Smoka, po czym uwolnił wody rozszczepiając kanały górskich potoków. Zabił Smoka

leżącego na górze; jego niebieska strzała piorunowa jest przez Twastra [twórcę bogów] uformowana. Jak stado muczących krów zbiegających w dół, tak wody spłynęły wartko do oceanu. Indra swym potężnym gromem rozerwał Wrytrę na kawałki. I oto leży, jak rozrywająca brzegi rzeka, a wody nad nim się przewalają. Smok spoczywa pod stopami potoków, które Wrytra swą wielkością objął. Toczony nieprzerwanym prądem, płynie niez mordowanie i bez ustanku, a wody niosą bezimienne ciało Wrytry. O Indro, uwolniłeś Siedem Rzek, aby popłynęły (1,32,1–12).

Indra obalił czarownika Wrytrę, który leżąc oblegał potężną rzekę. Wtem niebo i ziemia zadrżały z przerażenia, gdy zaryczał potężny grom Bohatera (2,11,9).

Ty, zabijając Ahi, uwolniłeś ścieżkę dla rzeki (2,13,5).

Indra, którego dłoń miota grom, rozerwał na strzępy Ahi, który zatrzymywał wody, tak więc rzeki popłynęły wartkim prądem. Indra, ten Potężny, Zabójca Smoka, wysłał strumienie wód do oceanu (2,19,2–3).

O ty, któryś siłą swą pokonał Wrytrę, uwolniłeś potoki wstrzymywane przez Smoka. Niebo zadrżało, gdyś roztoczył swój blask; Ziemia zadrżała ze strachu przed twoim niezadowoleniem. Niewzruszonymi górami wstrząsnął niepokój: wody spłynęły, a pustynia została zalana (4,17,1–3).

Ty pobiełeś Ahiego, który oblegał wody (...) niezaspokojony, wielki, niełatwo go przebudzić, bo pogrążony w nieprzespanym śnie, o Indro. Smok rozciągnął się w poprzek spadających rzek, gdzie nie było połączenia, a ty sprawiłeś to swoim gromem (4,19,2–3).

Aby wody uczynione przez ludzi mogły popłynąć, Indra zabił Ahiego i zesłał Siedem Rzek, i otworzył je jak zatkane fontanny (4,28,1).

Nawet dziś płyną Rzeki, których bieg ty, Indro, uwolniłeś (6,30,3).

Indro, tyś to zabił węża Wrytrę, zatrzymującego rzeki. Niebiosy pochwaliły twój czyn. Przyspieszyłeś nurt rzek i wiele mórz napełniłeś ich wodami (6,72,3).

Cudzoziemscy i hinduscy komentatorzy tłumaczyli ten mit w ten sposób, że Wrytra symbolizuje ogromne, ciemne, deszczowe chmury, które Indra rozdziera swym gromem. Rzeki w tym znaczeniu symbolizują ulewny deszcz⁴⁵. Horace Wilson pisze:

Zasadniczym tematem legendy o Indrze zabijającym Wrytrę jest alegoria powstawania deszczu. Wrytra uosabia gromadzenie się skondensowanej pary wodnej w postaci chmury przypominającej smoka. Indra za pomocą gromu, czy też wyładowania atmosferycznego, rozdziera nagromadzoną masę wody, otwierając drogę, którą deszcz spada na ziemię⁴⁶.

To prawda, że niektóre opisy Wrytry w *Rygwedzie* przedstawiają go jednoznacznie jako demona „powstrzymującego deszcz” (1,52,6), a jego unicestwienie wiąże się z „potokami deszczu” (1,56,5). Mimo to jednak nie wydaje mi się, aby interpretacja Wilsona tłumaczyła niektóre wątki mitu, zawarte w cytowanych fragmentach. Wielokrotne wzmianki o „uwolnieniu Siedmiu Rzek” (jeśli „rzeki” istotnie miałyby być „potokami deszczu”, to dlaczego jest ich akurat siedem?); części ciała Wrytry niesione przez wodę, „toczone nieprzerwanym prądem” (obraz ten

chyba bardziej pasuje do potężnej powodzi niż do burzowego deszczu?); niedwuznaczne stwierdzenie, że uwolnione wody wyłobiły kanały w górach i wartko spłynęły do oceanu; sposób, w jaki zalanie „pustyni” wiąże się ze zstąpieniem wód z gór; a przede wszystkim dowiadujemy się, że uwolnione wody przelewały się „nad” Smokiem Wrytrą, on zaś „spoczywa pod stopami potoków” (gdyby był tylko chmurą deszczową rozerwaną gromem Indry, czym byłyby szczątki jego „ciała”? Kłaczkami chmury? Przecież znajdowałyby się wówczas nad wodami, a nie pod nimi).

Inni naukowcy proponowali bardziej dosłowną interpretację mitu. Otóż rzeki to siedem rzek starożytnych północno-zachodnich Indii – rejonu, który jeszcze *Rygweda* nazywa „Krajiną Siedmiu Rzek”⁴⁷. Chodzi o Indus, Saraswati i pięć rzek Pendżabu⁴⁸, które „częstokroć całkowicie wysychały w porze letniej”⁴⁹. Zgodnie z tą wersją Indra byłby „bogiem pory deszczowej”, który przywraca rzeki z powrotem do życia, a Wrytra to demon letniej suszy⁵⁰.

Ale i tu pojawiają się problemy. Przede wszystkim „uwalniania biegu rzek” przez Indrę *Rygweda* nie przedstawia jako corocznego czy sezonowego wydarzenia. Jest to jeden czyn bez precedensu, tak gwałtowny, że budzący grozę, który miał miejsce dawno temu (tak dawno, że uznano go za pierwszy bohaterski czyn boga, a poeta wspomina, że jego skutki widać „nawet dziś”). Czytając *Rygwedę* nie potrafiłem sobie wyobrazić, by mędrcy z zamierzchłej przeszłości, którzy napisali owe hymny o epickiej walce toczącej się wśród pokrytych śniegiem gór, skupiali uwagę na czymś, co zdarza się każdego roku. Przeciwnie, sam tekst nie pozostawia wątpliwości, Wrytra został pokonany i to raz na zawsze: „Gdy Indra i Smok starli się w bitwie, Maghawan [Władca Szczodrości, epitet Indry] zdobył zwycięstwo na zawsze” (1,32,13).

Pozwolę więc sobie zaproponować trzecią interpretację, której naukowcy nie brali dotąd pod uwagę.

Lodowy smok

Przypuśćmy, że Wrytra symbolizuje zlodowacenie, a dokładniej – himalajską czapę lodową, która podczas maksimum ostatniego zlodowacenia była bardzo rozległa i mogła od czasu do czasu uwalniać wody górnego biegu Siedmiu Rzek. Wówczas mit przedstawiałby gwałtowne pęknięcie czap lodowych na całym świecie pod koniec epoki lodowcowej, a zatem i w Himalajach oraz Karakorum:

- Przed bohaterskim czynem Indry demon Ahi spoczywający w swym wysokogórskim legowisku przedstawiony jest jako „rozciągnięty w poprzek spadających rzek” i „pogrążony w nieprzespanym śnie” – co wydaje się bardzo odpowiednią metaforą głęboko zamrożonej czapy lodowej.
- Zabicie przez Indrę Ahi/Wrytry porównuje się do nagłego otwarcia zatkannej fontanny.

- Wody spadają z gór z niewiarygodną gwałtownością – rozbijając skały i górskie grzbiety, przez które torują sobie koryta.
- Duże kawały głównej czapy spadały wraz z pędzącymi wodami („Toczony nieprzerwanym prądem, płynie niezmordowanie i bez ustanku, a wody niosą bezimienne ciało Wrytry”).
- Gnające wraz z wodą góry lodowe czynią hałas jak galopujące stado bydła, odbijając się od skalistych urwisk i podążając do oceanu.
- Dramatyczne skutki topnienia wywołują potworne fale lodowcowe (patrz rozdział 2), tworzące się w ogromnych jeziorach powstałych na powierzchni wielkich lodowców („I oto leży, jak rozrywająca brzegi rzeka, a wody nad nim się przewalają. Smok spoczywa pod stopami potoków”).
- Ziemię nękają potężne trzęsienia, gdyż nacisk lodowców na znajdujący się pod nimi grunt nagle łagodnieje. W Himalajach i Karakorum, które należą do najszybciej wznoszących się terenów na świecie, taki izostatyczny odskok mógł wzmacniać się pod wpływem procesów górotwórczych („Niewzruszonymi górami wstrząsnął niepokój”).
- Zalane zostają odległe tereny pustynne.
- Zalew wód zdolny jest napełnić „wiele mórz”.
- Po tych wydarzeniach, które pozbawiły Himalaje i Karakorum znacznej części plejstocenijskiej pokrywy lodowej i sprawiły, że góry wyglądały mniej więcej tak jak obecnie, Siedem Rzek, dawniej uwięzionych lub zamarzniętych w górnym biegu wskutek ekspansji czap lodowych, zostało uwolnionych i zaczęło płynąć swoimi korytami.

Możliwe? Chyba tak. Ale interpretacja mitów zawsze niesie z sobą pewne ryzyko: przypisywane im znaczenie może jawić się tylko temu, kto je dostrzeża.

Jednak po przeanalizowaniu tajemnicy Wrytry nadal uważam, że warto dokładniej zapoznać się z literaturą naukową na temat Himalajów. Co na przykład zdaniem paleoklimatologów działo się tam w ciągu 10 000 lat po maksimum ostatniego zlodowacenia, kiedy inne pokryte lodem rejony, jak Nowa Gwinea, Andy, Ameryka Północna i północna Europa przeżywały równie dramatyczne zmiany związane z gwałtownym topnieniem lodów?

Naukowcy zajmujący się czapami lodowymi i lodowcami używają określenia ELA (Equilibrium Line Altitude – wysokość linii równowagi); oznacza ono „wysokość lodowca, przy której coroczna akumulacja [lodu] dokładnie odpowiada corocznej ablacji [topnieniu], tak że masa netto równa się zero”⁵¹. Jak można się spodziewać, liczne badania potwierdzają, że ELA w Himalajach i Karakorum była znacznie niższa w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia niż dziś (to znaczy, że pokrywa lodowa schodziła niżej w doliny, a czapy lodowe były grubsze, choć co do ich grubości panują sprzeczne opinie). Oto kilka opinii na ten temat:

Bez wątpienia może istnieć spora różnica zdań co do następstwa glacialnego w północno-zachodnich Himalajach i Karakorum, a nawet co do scenariusza zda-

rzeń podczas ostatniego zlodowacenia plejstocenu. Rozbieżności poglądów wi-
dać wyraźnie w określeniu depresji ELA podczas maksimum ostatniego zlo-
dowacenia: maksimum (według Haserodta) wynosiło 1250 metrów, a minimum (we-
dług Scotta) 720 metrów. Mimo ewidentnej różnicy w szacunkach wartości depresji
ELA dla maksimum ostatniego zlodowacenia, wartości dla północno-zachodnich
Himalajów, Większego Karakorum i Swat Kohistanu mieszczą się w przedziale
800–1000 metrów⁵².

Jeśli chodzi o czapę lodową Dunde na północnych stokach Tybetu, określili-
śmy spadek temperatury na 4–6°C, a wskutek tego obniżenie ELA w granicach
700–850 metrów w okresie ostatniego etapu okresu lodowcowego⁵³.

Szacunkowe maksimum depresji ELA waha się w granicach od około 1100
metrów (Swat Kohistan i Dolina Hunza w paśmie górskim Karakorum) do 600
metrów (południowe stoki pasma górskiego Zanskar) poniżej obecnych warto-
ści⁵⁴.

Depresje ELA określono na podstawie geologicznych map glacialnych po-
przedniego zasięgu lodowców. Maksymalna depresja ELA znajdowała się 700
metrów poniżej obecnych wartości w Dolinie Ningle, 750 metrów w Dolinie Lid-
dar i 800 metrów w Dolinie Sind⁵⁵.

Wartości ELA zrekonstruowano dla postępu maksimum ostatniego zlo-
dowacenia. Wyniki dowodzą, że depresja ELA wynosiła w przybliżeniu 1000 me-
trów poniżej obecnych wartości w paśmie górskim Ladakh⁵⁶.

Chyba nie zrobię błędu twierdząc, iż średnie obniżenie się ELA w czapach
lodowych Himalajów i Karakorum w okresie maksimum ostatniego zlodowace-
nia wynosiło prawdopodobnie 750 metrów, czyli $\frac{3}{4}$ kilometra.

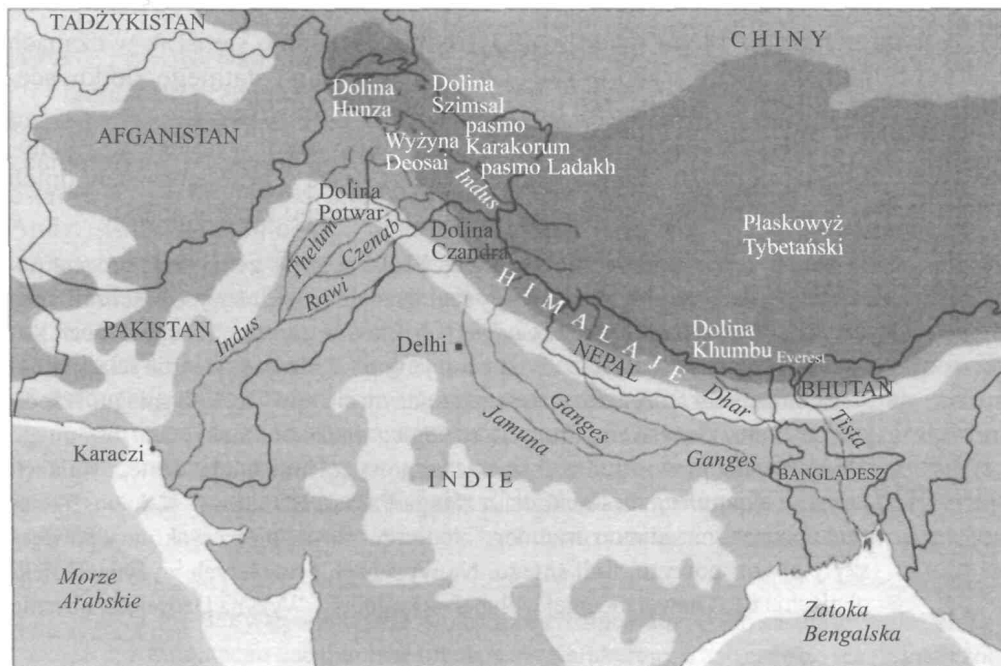
Co to w praktyce oznacza? W artykule opublikowanym w „Science” Nicho-
las Borozovic, Douglas Burbank i Andrew Meigs piszą o północno-zachodnich
Himalajach i Karakorum w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia:

Niewielkie zmiany w wartościach ELA znacząco zwiększają procent po-
wierzchni pokrytej lodowcami, gdy region znajduje się na wysokości zbliżonej
do ELA. W przypadku głęboko naciętych rejonów górskich (Nanga Parbat, Ka-
rakorum, Haramosz i Rakaposzi) istnieje w przybliżeniu linearna relacja mię-
dzy obniżeniem ELA a obszarem znajdującym się powyżej linii śniegu. Współ-
czesne lodowce w Karakorum są rozległe; w okresie maksimum ostatniego
zlodowacenia prawie podwoił się obszar powyżej linii śniegu dostępny dla ich
terenów akumulacji. Jeśli chodzi o Nanga Parbat, Haramosz i Rakaposzi, wa-
runki podczas maksimum ostatniego zlodowacenia prawie czterokrotnie powięk-
szyły obszar powyżej linii śniegu. Na wyżynach i rozciętych wyżynach efekt
obniżenia ELA nawet mocniej wpłynął na krajobraz. Wyżyna Deosai jest obecnie

wolna od lodu, lecz w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia była pokryta lodowcem⁵⁷.

Wiele lat temu leciałem pięcioosobowym helikopterem Alouette nad purnym płaskowyżem Deosai nad Skardu. Na jednym z krańców płaskowyżu, który – jeśli nawet nie pokryty lodem – był z pewnością mocno zaśnieżony, znajduje się jezioro Szerszar, przez większość roku zamrożone. Unosząc się nad nim w rzadkim powietrzu, widzieliśmy w oddali szczyty gór skutych lodem aż po horyzont.

Był marzec lub kwiecień 1981 roku, miałem 30 lat i pracowałem z Mohamedem Aminem – wspaniałym przyjacielem i doskonałym fotografem, który dużo później zginął tragicznie podczas uprowadzenia samolotu Etiopskich Linii Lotniczych w 1996 roku. Spędziliśmy wówczas podniecające, pełne przygód dwa tygodnie latając wokół Karakorum w helikopterze należącym do armii pakistańskiej, a pilotowanym przez podpułkownika i majora o imponujących wąsach. Mieliliśmy bazę w Gilgit, w cieniu liczącego 7788 metrów wysokości szczytu Rakaposzi i grani przypominających zęby rekina. Codziennie lataliśmy na niskich wysokościach przez góry, niekiedy schodząc poniżej linii śniegu w tajemnicze, zielone doliny, gdzie Mohamed mógł robić fantastyczne zdjęcia, które potem ozdobiły naszą książkę *Journey Through Pakistan (Podróż przez Pakistan)*⁵⁸. Na trzeci dzień całkiem poważnie napisałem testament i wraz z paszportem zostawiłem go w hotelowym pokoju.



Helikopter mógł wznosić się do pułapu 3300 metrów, lecz często przekraczaliśmy wysokość 5200 metrów (piloci twierdzili, że dla nich to ćwiczenia) i potem wisieliliśmy tam wśród połyskujących śniegiem, dzikich szczytów pod rozjarzonym błękitnym niebem. To było takie męskie – wlatywać tak wysoko bez tlenu na pokładzie, tym bardziej że maszyna wcale nie została przystosowana do takich lotów. To doświadczenie, bardziej niż jakiegokolwiek inne, pozwoliło mi uświadomić sobie ogrom tych gór. Kiedy przelatywaliśmy obok Rakaposzi na wysokości 5000 metrów, a śmigła niemal ocierały się o stoki góry, jej szczyt wciąż wznosił się jeszcze 3000 metrów ponad nami. A w promieniu 160 kilometrów od Gilgit jest sto szczytów powyżej 5486 metrów, między innymi K2, który – wznosząc się na wysokość 8610 metrów – jest drugą co do wielkości górą świata⁵⁹.

Trudno się dziwić, że na takich wysokościach północno-zachodnie Himalaje i Karakorum zachowują najdłuższe lodowce w dolinach poza rejonami polarnymi⁶⁰ – a jezory tych lodowców wiją się przez pasma górskie jak ów mityczny wąż, którego grzbiet pokrywają warstwy lodowej łuski.

W okresie maksimum ostatniego zlodowacenia lodowce te mogły być czterokrotnie większe, a cały otaczający je krajobraz zakuty został w lodowe czapy sięgające 4000 metrów wysokości – o cały kilometr niżej niż obecnie⁶¹.

Wyobraźcie sobie, co musiało się dziać, gdy te ogromne masy lodu zaczęły topnieć.

No właśnie, co się działo?

Literatura naukowa opisująca oddziaływania i zjawiska epoki lodowcowej w Himalajach i Karakorum rośnie w ogromnym tempie, jako że zainteresowanie tym tematem wśród paleoklimatologów i geologów staje się coraz większe.

Jedną z najczęściej dyskutowanych kwestii jest zlodowacenie i cofanie się lodowców z Płaskowyżu Tybetańskiego w rozmaitych okresach przez ostatnie 2 500 000 lat. Jedną z – kontrowersyjnych zresztą – hipotez głosi, że stosunkowo niedawne z geologicznego punktu widzenia wznoszenie się Tybetu w wyniku procesów górotwórczych w Himalajach w okresie między 3 000 000 a 2 500 000 lat temu mogło spowodować zmiany w epoce lodowcowej plejstocenu „ze względu na wpływ, jaki miało to na ruch obrotowy Ziemi, a także na cyrkulację oceaniczną i atmosferyczną”⁶².

Najwięcej sporów wzbudza zasięg himalajskiej czapy lodowej. Edward Derbyshire z centrum badań czwartorzędu na University of London stwierdza:

W zasadzie istnieje zgodna co do rozmiarów depresji ELA w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia, lecz w odniesieniu do poszczególnych regionów brak jednomyślności w kwestii zakresu ostatniego zlodowacenia, które jedni określają jako lodowiec na kontynentalną skalę, a inni jako zlodowacenie alpejskie

w północno-zachodnim rejonie Himalajów, w Karakorum, przy czym niektóre doliny pozostały wolne od lodu⁶³.

Jak to możliwe, że poważni, cieszący się szacunkiem naukowcy, przedstawiający swoje poglądy w specjalistycznych publikacjach i mający do dyspozycji te same dane, mogą mieć tak krańcowo odmienne opinie na temat rozległości himalajskiego zlodowacenia? Ten oczywisty paradoks, zdaniem Derbyshire'a, wynika z trudności w interpretacji chaotycznych danych geologicznych w tym górzystym rejonie:

Ten górzysty rejon odznacza się ogromną energią geodynamiczną, polegającą na współdziałaniu sił tektonicznych, lodowców i erozji fluwialnej, połączonych z rozległym i częstym katastroficznym masowym niszczeniem. Pojawia się oczywisty problem z właściwym rozróżnieniem między osadami diamiktonu pozostawionymi przez lodowce a tymi, które wywoływały inne procesy. Osady te są zazwyczaj pomieszane z sobą, dlatego ustalenie granic minionego zlodowacenia stają się prawdziwym wyzwaniem⁶⁴.

Diamikton to mieszanina piasku, gliny, mułu lub żwiru, pozostawionych w wyniku rozmaitych procesów geologicznych, przede wszystkim przez nurt rzek, przesuujące się lodowce lub wysychające jeziora. Derbyshire uważa, że tam, gdzie trwające wciąż procesy geologiczne powodują mieszanie i powtórne osadzanie się badanego materiału – co jest typowe dla rejonu Himalajów – nie można mieć pewności co do zasięgu zlodowacenia w jakimkolwiek momencie przeszłości.

Jednak istnieje ogromna różnica między „czapą lodową na kontynentalną skalę” a regionalnym „alpejskim zlodowaceniem”. Co więcej – margines niepewności rośnie w przypadku zdarzeń następujących w okresie polodowcowym. I choć sporo wiemy o katastrofalnym topnieniu innych czap lodowych w tym samym momencie historii, ze zdumieniem stwierdziłem, że w literaturze fachowej jest stosunkowo niewiele materiału na temat tego, co się działo w Himalajach po maksimum ostatniego zlodowacenia⁶⁵.

Przed i po

Naukowcom udało się znaleźć ślady co najmniej jednego katastrofalnego topnienia, które miało miejsce w tym rejonie przed maksimum ostatniego zlodowacenia. Tu też istnieje szeroki margines niepewności, gdyż dane, jakimi dysponowali, wskazują na okres między 28 000 a 43 000 lat temu⁶⁶. Na szczęście ślady te tak wyraźnie odbiły się na krajobrazie, że nie zatarty ich nawet wcześniejsze i późniejsze wylewy, a geolodzy ograniczyli ich zakres badań do doliny zwanej Górną Czandrą w łańcuchu himalajskim Lahul. Peter Coxon, Lewis Owen i Wi-

shart Mitchell w publikacji zamieszczonej w „Journal of Quaternary Science” stwierdzają, że dawne glacialne jezioro Batal, które znajdowało się w odległości 14 kilometrów od doliny Czandra, nagle przerwało lodową zapórę. W ciągu niespełna jednego dnia wylało się z niego wówczas 1,5 kilometra sześciennego wody, zatapiając dolinę. „Ten kataklizm zmienił zupełnie osady i krajobraz doliny Czandra”⁶⁷.

Inne nagłe – nie dające się jednak umieścić w czasie – zdarzenia, wywołane potwornymi potopami wody, rozrzuciły ogromne otoczaki na Płaskowyżu Potwar. Te „głazy narzutowe Pendżabu” zdaniem geologów „niesione były przez Dolinę Indusu, prawdopodobnie w środku gór lodowych”⁶⁸. Znalaziono także ślady gwałtownych powodzi długo po zakończeniu polodowcowego topnienia, dysponujemy nawet relacjami naocznych świadków. W 1959 roku na przykład nastąpił:

(...) nieoczekiwany wypływ wód z zatamowanego lodem jeziora w dolinie Szimsal, a powstała fala miała 30 metrów wysokości i zniszczyła wioskę Pasu u zbiegu z rzeką Hunza, 40 kilometrów w dół doliny⁶⁹.

Podobnie rzecz się miała z zatamowanym przez wał morenowy jeziorem Dig Czo w rejonie Khumbu we wschodnim Nepalu, które wyrwało się z okowów 4 sierpnia 1985 roku i wywołało prawdziwą katastrofę:

Zniszczyło nowo wybudowaną hydroelektrownię, 14 mostów, około 30 domów i zalało wiele hektarów pól uprawnych. Uszkodzona została też sieć dróg, gdy 5 000 000 metrów sześciennych wody wlało się do dolin Bhote Kosi i Dudh Kosi. Wał rozerwała ogromna fala, powstała w wyniku stoczenia się do jeziora lawiny lodowej o objętości 150 000 metrów sześciennych. W szczytowym momencie woda waliła w ilości 1600 metrów sześciennych na sekundę; 3 000 000 metrów sześciennych skalnego rumoszu zostały rozrzucone na dystansie nieco mniejszym niż 40 kilometrów⁷⁰.

Ale najbardziej spektakularnym wydarzeniem było bez wątpienia wylanie Indusu w 1841 roku. Potop ten miał niemal biblijny wymiar, jakby wody Morza Czerwonego powróciły po przejściu Hebrajczyków.

Zacząło się od trzęsienia ziemi w końcu 1840 i na początku 1841 roku. Spowodowało ono osunięcie się Liczar Spur, części zbocza Nanga Parbat, które zablokowało dolinę Indusu na głębokość 300 metrów, tarasując bieg wód tej rzeki tak, że przez następne pół roku ledwo ciekła, powodując powstanie jeziora długiego na 60 kilometrów i głębokiego na 300 metrów. Gdy w czerwcu 1841 roku tama została przerwana, w dół runęły ogromne ilości wody. Fala czołowa pędziła korytem Indusu (wówczas prawie wyschniętym) z niewiarygodną prędkością i spadła na armię Sikhów, która obozowała na równinie Czacz niedaleko Attock, 400 kilometrów w dół rzeki⁷¹. Naoczni świadkowie tak przedstawiali to wydarzenie:

Ściana mułu wysoka na kilkadziesiąt metrów runęła w dół koryta rzeki. Ci, którym nie udało się w porę dotrzeć do wyżej położonych terenów (a było to kilka tysięcy żołnierzy i personelu), zginęli co do jednego. Żywiół wyrwał drzewa z korzeniami, przewracał budynki, rozrzucał działa, zalewał gospodarstwa i pola. Zatopione zostały ogromne tereny Kotliny Peszawarskiej, ponieważ liczne dopływy Indusu cofały się pod wpływem potężnej fali⁷².

Dziś zdajemy już sobie sprawę z zagrożeń, jakie niosą z sobą nagłe wylewy wód lodowcowych. Wiadomo na przykład, że ponad trzydzieści lodowców w masywie górskim Karakorum może obecnie „stworzyć poważne zapory w górnym biegu Indusu i rzeki Jarkand. Inne, liczniejsze, powodują zakłócenia w przepływie wód, co również grozi niebezpieczeństwem”⁷³. Kenneth Hewitt z Wilfrid Laurier University w Kanadzie pisze:

Tam, gdzie lodowiec zsuwa się i blokuje koryto głównej rzeki, powstaje szczególnie niebezpieczny zator. W himalajskim paśmie Karakorum sytuacje takie zdarzały się dość często w naszych czasach. Rozerwanie szeregu zapór na Indusie między 1926 a 1932 rokiem spowodowało rozlanie rzeki na długości ponad 1200 kilometrów. Niektóre jeszcze większe klęski wynikły w XIX wieku z pęknięcia zapór lodowcowych powstałych przez obsuwania się zboczy. W ciągu dwóch minionych stuleci zanotowano trzydzieści pięć przypadków rozerwania zapór i powodzi⁷⁴.

Podsumowanie

Warto zapamiętać kilka szczegółów.

ELA zlodowacenia w Himalajach w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia ocenia się na niższą o 750 metrów niż obecnie.

Czapa lodowa w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia była znacznie większa niż dziś – choć nie wiadomo o ile.

W przeszłości wielokrotnie dochodziło do gwałtownego przerwania tam i katastrofalnych powodzi w Karakorum i Himalajach, a woda zmieniała krajobraz i niosła z sobą góry lodu z ogromnymi skałami, które docierały aż do Płaskowyżu Potwar.

Sytuacje takie nadal się zdarzają. Nawet znacznie mniejsze obecnie lodowce mogą wywoływać falę powodziową o wysokości 30 metrów, zmywającą całe wioski i niszczącą armie.

Tylko ten rejon nęka plaga szczególnie groźnych i rzadkich zjawisk, jakimi są zapory z obsuwających się zboczy lub lodowców w korytach głównych rzek, które powodują niebywale silne powodzie. Mimo iż takie katastroficzne powodzie zdarzały się przed maksimum ostatniego zlodowacenia, jak również w bliższych nam czasach, literatura naukowa niewiele miejsca poświęca potopom, jakie miały miejsce w Himalajach w okresie 10 000 lat po tym maksimum⁷⁵.

Jednak nie powstrzyma nas to przed zadaniem kilku istotnych pytań:

1. Jeżeli głównym rzekom także grożą zatory lodowcowe i nawet tak wielka rzeka jak Indus mogła zostać zablokowana na pół roku, czy nie wolno przypuszczać, iż zagrożenie to było znacznie większe w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia?
2. Przypuszczamy – a *Rygweda* to potwierdza – że w pewnych okresach, które przetrwały w ludzkiej pamięci, rzeki w północnych Indiach mogły ulec zatamowaniu, najprawdopodobniej przez olbrzymie lodowce schodzące do ich dolin w pasmach górskich Karakorum i Himalajów. Potem, po pęknięciu zapór, woda z ogromną siłą wlewała się na powrót w koryto.
3. I wreszcie: czy bardzo się pomylimy, zakładając, iż takie zdarzenia mogły stać się inspiracją dla wedyjskiego mitu o Indrze zabijającym Wrytrę i symbolicznie uwalniającym Siedem Rzek?

Myślę, że takie tłumaczenie nie jest mniej prawdopodobne niż klasyczna koncepcja „demonu chmur” i „demonu suszy”, lecz trudno ją udowodnić. Brak na przykład dowodów wielkich powodzi w Himalajach po maksimum ostatniego zlodowacenia, ale nic w tym dziwnego, zważywszy na znikomość geologicznych danych (oraz wciąż panującą wśród geologów niezgodność w kwestii rzeczywistego zakresu zlodowacenia).

Istnieje jeszcze inny aspekt mitu o Wrytrze: wyraźne powiązania, jakie w niektórych hymnach można dostrzec między obecnością Smoka i zatrzymaniem deszczów z jednej strony, a zabiciem go przez Indrę i powrotem deszczów – z drugiej.

Jak to wytłumaczyć, jeśli przyjmiemy, że Wrytra jest symbolem zlodowacenia?

Suche i mokre

Próbki osadów pobrane z dna Morza Arabskiego na południowy zachód od wybrzeża Indii zawierają śladowe ilości pyłków, z których można wnioskować o roślinności występującej na subkontynencie w różnych okresach, począwszy od maksimum ostatniego zlodowacenia. Ponieważ rodzaj roślinności ma związek z klimatem, pozwala to wydedukować, jakie warunki panowały na subkontynencie w minionych epokach.

Próbki z dna Morza Arabskiego dowodzą, że w okresie między 25 000 a 21 500 lat temu w Indiach panowały mrozy i susza⁷⁶. Elise Van Campo z Université des Sciences et Techniques du Languedoc nazywa ten okres „interwałem maksimum ostatniego zlodowacenia”⁷⁷. Maksimum ostatniego zlodowacenia nie trwało krótko, lecz było raczej zjawiskiem długotrwałym, a przynajmniej w Indiach objęło okres 4000 lat. Kiedy nadeszło ocieplenie, stało się to bardzo szybko i w okresie między 21 500 a 13 000 lat temu klimat w Indiach zmienił się z mroźnego i suchego na ciepły i wilgotny.

Największe fluktuacje monsunowego klimatu Indii charakteryzują się dwoma krańcowo różnymi okresami: jednym bardzo suchym [od 25 000 do 21 500 lat

temu] i drugim bardzo wilgotnym [13 000 lat temu]. Warunki klimatyczne maksimum ostatniego zlodowacenia były zdecydowanie odmienne od obecnych. Południowo-zachodni monsun, który bardzo różnicuje klimat zachodniego i wschodniego wybrzeża Morza Arabskiego, uległ osłabieniu i susza zapanowała po obu stronach subkontynentu⁷⁸.

Oznacza to, że w Himalajach w okresie między 25 000 a 21 500 lat temu nastąpiło 4000 lat silnego mrozu, który skuł lodem doliny i górne biegi rzek w górach.

Wówczas w szczycie interwału maksimum ostatniego zlodowacenia, jakiś czas po 21 500 lat temu, nagle nastąpił klimat ciepły i wilgotny. Powróćmy do próbek z dna Morza Arabskiego, które wykazują:

(...) wzrost monsunowych opadów deszczu około 19 700 lat temu na 10° szerokości północnej i 18 500 lat temu na 15° szerokości północnej. Okres ten osiągnął szczyt równocześnie 13 500 lat temu na 10° i 15° szerokości północnej i powszechnie uważa się, że padały wówczas najobfitsze deszcze monsunowe⁷⁹.

Wiemy, że na całym świecie w okresie między 14 000 a 13 000 lat temu (zbiegającym się z obfitymi opadami monsunowymi w Indiach) nastąpił potężny oceaniczny potop. Był to w rzeczywistości pierwszy z trzech wielkich potopów, które charakteryzowały topnienie epoki lodowcowej. Zasilały je nie tylko opady deszczów, lecz równoczesne załamanie się ogromnych mas lodowców na kilku kontynentach, wskutek czego do oceanów spływało więcej niż zwykle wody z rzek⁸⁰.

Jeśli tak się działo w innych pokrytych lodowcami rejonach, jak Ameryka Północna i północna Europa w okresie między 14 000 a 13 000 lat temu, z pewnością Himalaje nie stanowią wyjątku, można więc zakładać, że i tam dochodziło do gwałtownych wylewów, a wielkie rzeki od Indusu po Ganges miały wówczas najszersze koryta.

Czy więc epokę między 14 000 a 13 000 lat temu wspominają twórcy *Rygwedy*, przedstawiając ją w alegorycznej formie: Wrytra zabity, Siedem Rzek uwolnionych?

Odpowiedź brzmi: nie – po prostu dlatego, że przez poprzednie 7000 lat temperatura nieustannie wzrastała na całym świecie, a w okresie między 14 000 a 13 000 lat temu nastąpił kulminacyjny punkt tej długotrwałej fazy wilgotnego klimatu w Indiach. W takim razie mało prawdopodobne, by lodowce Karakorum i Himalajów zaczęły postępować w dół i zatrzymywać w okowach rzeki w taki sposób, w jaki przedstawia to *Rygweda*. Przeciwnie, wszystko wskazuje na to, że rzeki płynęły bez przeszkód od końca mroźnego, suchego interwału maksimum ostatniego zlodowacenia 21 000 lat temu, aż do wyraźnego końca fazy wilgotnej, który odczytujemy z próbek sprzed około 13 000 lat.

Co więcej, wedyjski mit przedstawia zabicie Wrytry, po którym nastąpiło uwolnienie wód – zarówno wśród rzek, jak i w postaci deszczów. Jest to wyraźna i ważna kwestia w całej sprawie. Ale właśnie nie to się zdarzyło.

Smok zwany Młodszym Dryasem*

Okolo 13 000 lat temu okres nieprzerwanego ocieplenia, które przeszło przez świat (i które – według niektórych opracowań – w znacznym stopniu nasiliło się w okresie między 15 000 a 13 000 lat temu)⁸¹, nagle skończył się – wszędzie w tym samym czasie – za sprawą globalnego ochłodzenia, które paleoklimatolodzy nazywają Młodszym Dryasem lub Dryasem III⁸². Wydarzenie to jest zupełnie niewytłumaczalne i tajemnicze. Przedtem, 13 000 lat temu, było nawet cieplej niż obecnie⁸³, potem klimat stał się zimniejszy i suchszy niż podczas maksimum ostatniego zlodowacenia, niewiele więcej niż tysiąc lat później⁸⁴.

Okolo 12 800 lat temu lód skuł niemal całą ziemię. W wielu rejonach, w których doszło już do pełnego topnienia, nagle powróciło całkowite zlodowacenie.

Nastąpił spadek temperatury rzędu 8–15°C, przy czym nastąpiło to w ciągu kilkudziesięciu lat. Front polarny na północnym Atlantyku sięgał do Cabo Finisterre w północno-zachodniej Hiszpanii, a w wysokie góry powróciły lodowce. Nastąpiło niemal zupełne zlodowacenie⁸⁵.

Dla żyjących w tym czasie ludzi, z wyjątkiem niektórych, uprzywilejowanych części świata, ten nieoczekiwany i niewytłumaczalny nawrót zimna i suszy musiał być katastrofą. A w rejonie Karakorum i Himalajów, podobnie jak w innych zlodowaciałych zakątkach, oznaczał on ekspansję czap lodowych, które systematycznie cofały się przez 7000 lat.

Czy możliwe, by to hipotetyczne ponowne pojawienie się czap lodowych w Himalajach między 12 800 a 11 400 lat temu⁸⁶ było właśnie owym zdarzeniem opisanym w *Rygwedzie* pod alegoryczną postacią Wrytry Smoka, czarodzieja i maga, który zatrzymał wody?

Skoro zabicie go spowodowało uwolnienie wód, które popłynęły ku morzu, warto sprawdzić, czy istnieją ślady nagłego, gwałtownego spływu wód z gór wkrótce po okresie 11 400 lat temu, kiedy „po zaledwie kilkudziesięciu latach klimat holocenu znowu uległ ociepleniu i stał się bardziej wilgotny”⁸⁷.

Słona i słodka

Znalazłem ślady potopu. Oto co w „Nature” pisze zespół australijskich naukowców:

Badanie mikroskamielin, osadów i izotopu tlenu w próbkach z dna Zatoki Bengalskiej i północnej części Morza Arabskiego ujawniło ostry kontrast między wysokim zasoleniem w późnym plejstocenie a niskim we wczesnym holocenie, co wskazuje na obfite spływanie wód z dużych rzek Azji Południowej⁸⁸.

* Dryas (dębik) – roślina charakterystyczna dla tundry, obecność jej pozostałości świadczy, że dany osad powstał w okresie tundry glacialnej.

Koniec plejstocenu i początek holocenu wyznacza się na około 12 000 lat temu. „Późny plejstocen” to dość ogólne sformułowanie – ale rozumiem, że chodzi o okres na kilka tysięcy lat przed tą granicą. Natomiast „wczesny holocen” to czasy między 12 000 a 10 000 lat temu.

Dlaczego morza otaczające Indie były tak zasolone przed 12 000 lat? Najbardziej prawdopodobne wydaje się tłumaczenie, że spływ wód wielkich rzek, biorących początek w Karakorum i Himalajach, ustał niemal zupełnie wskutek zlodowacenia głównych dolin w okresie Dryasu III – prawie to samo mówi nam *Rygweda* („Ahi, który oblegał wody (...) niezaspokojony, wielki, niełatwo go przebudzić, bo pogrążony w nieprzespanym śnie”). Natomiast niskie zasolenie – w okresie po 10 000 lat temu – oznacza gwałtowny dopływ słodkiej wody do Morza Arabskiego i Zatoki Bengalskiej, i to w takiej ilości, że mógł być on tylko skutkiem przerwania lodowych tam w Himalajach, uwolnienia zgromadzonej za nimi wody i oderwania się części czapy lodowej („Smok rozciągnął się w poprzek spadających rzek, gdzie nie było połączenia, a ty sprawiłeś to swoim gromem”, „Jak stado muczących krów zbiegających w dół, tak wody spłynęły wartko do oceanu”).

Nawet przy braku bezpośrednich dowodów na prawdziwość scenariusza przedstawionego w *Rygwedzie*, możemy na podstawie świadectw pośrednich (próbki dna oceanu) wywnioskować, że taki potężny spływ wód był prawdopodobny i że nastąpił po – krótkim co prawda – okresie, kiedy koryta głównych rzek praktycznie wyschły. Tak więc hipoteza głosząca, że historia Wrytry może opisywać obfite wylanie wód, wydaje się uzasadniona⁸⁹.

Takie wyjaśnienie eliminuje też dwuznaczność postaci Wrytry, który jest równocześnie lodowym smokiem tamującym nurty potężnych rzek i demonem powstrzymującym opady deszczu, a jego magiczne zaklęcia rzucone na Himalaje przestają działać nie tylko wraz z uwolnieniem rzek, lecz także z nawrotem obfitych opadów i ociepleniem, czyli nadejściem klimatu, jaki zapanował w Młodszym Dryasie⁹⁰.

To wszystko, rzecz jasna spekulacje oparte na założeniu, że mędrcy – twórcy przynajmniej niektórych wersetów *Wed* – mogli przebywać w Himalajach 12 000 lat temu i byli świadkami końca fali zimna w Młodszym Dryasie, a fakt ten upamiętnili jako zwycięstwo Indry nad Wrytrą. Nie pasuje to zupełnie do znacznie późniejszych dat, jakie naukowcy ustalili w odniesieniu do powstania *Rygwedy*, ale to samo można powiedzieć o relacjach o wzburzonych, obfitych wodach Saraswati, które również znajdujemy w *Rygwedzie* i które bez wątpliwości opisują warunki geograficzne sprzed 10 000 lub więcej lat.

Jogiczna etyka Mehrgarh

Wzrastając w technicyzowanym świecie, zdominowanym przez rywalizujące z sobą materialistyczne ideologie kapitalizmu i komunizmu, przejmujemy w szkole, od rówieśników i rodziców przekonanie, iż cywilizacja ma zaspokajać

materialne i ekonomiczne potrzeby człowieka. Dlatego archeolodzy szukający korzeni cywilizacji interesują się przede wszystkim materialnymi i ekonomicznymi procesami, które przywiodły społeczności myśliwsko-zbierackie do osiadłego, rolniczego życia i skłoniły do budowania wiosek oraz miast.

Ale Indie, z wciąż żywą kulturą duchową, z tłumami pielgrzymów i niezwykłymi hymnami *Rygwedy*, stanowią dowód, że prawdziwe korzenie cywilizacji mogą być zupełnie inne, że nie musi się ona sprowadzać do ekonomii, opierać na poszukiwaniach w sferze duchowej, do której współcześni asceci nadal dążą. Nie oznacza to wcale, że należy zaniedbywać podstawowe potrzeby fizyczne. Powinniśmy może tylko wyzbyć się przywiązania do dóbr materialnych i zwrócić się ku duchowej samodyscyplinie.

Czy wiedząc tak niewiele o najstarszym rozdziale w dziejach Mehrgarh, możemy uznać, że wartości opisane powyżej znalazły wyraz w Wedach? Czy pozwalają nam one dostrzec prawdziwe oblicze starożytnych Indii?

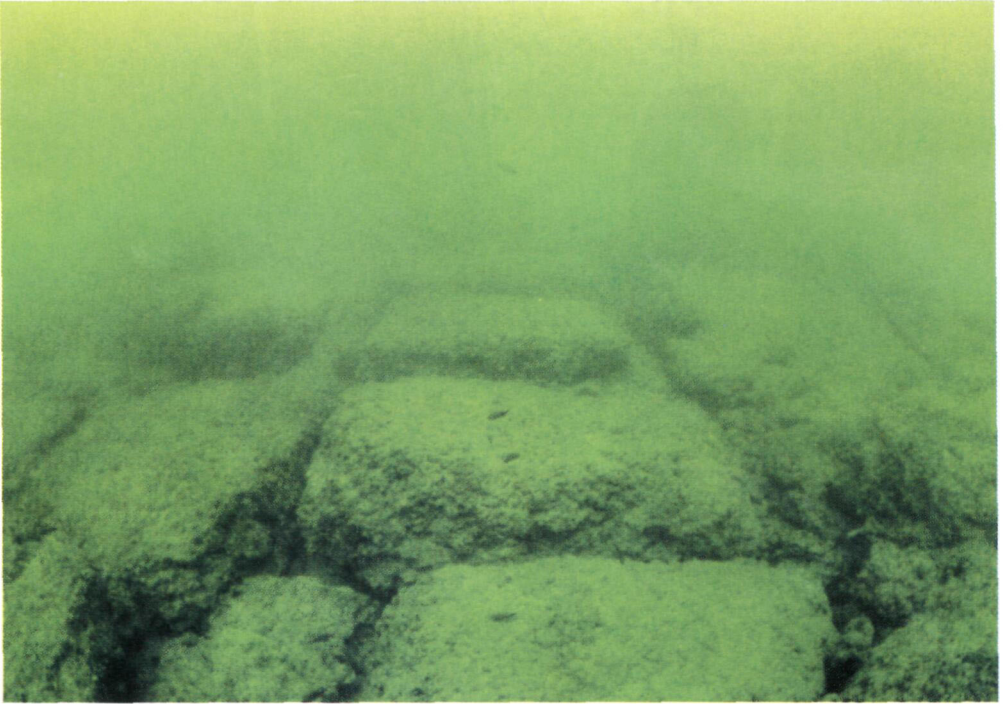
Archeolodzy w zasadzie są zgodni, że kultura Mehrgarh sprzed 9000 lat znalazła swoją kontynuację w kultury Indusu-Saraswati sprzed 4500 lat. Może należałoby zatem właśnie tam poszukać początków owej związanej z jogą etyki?



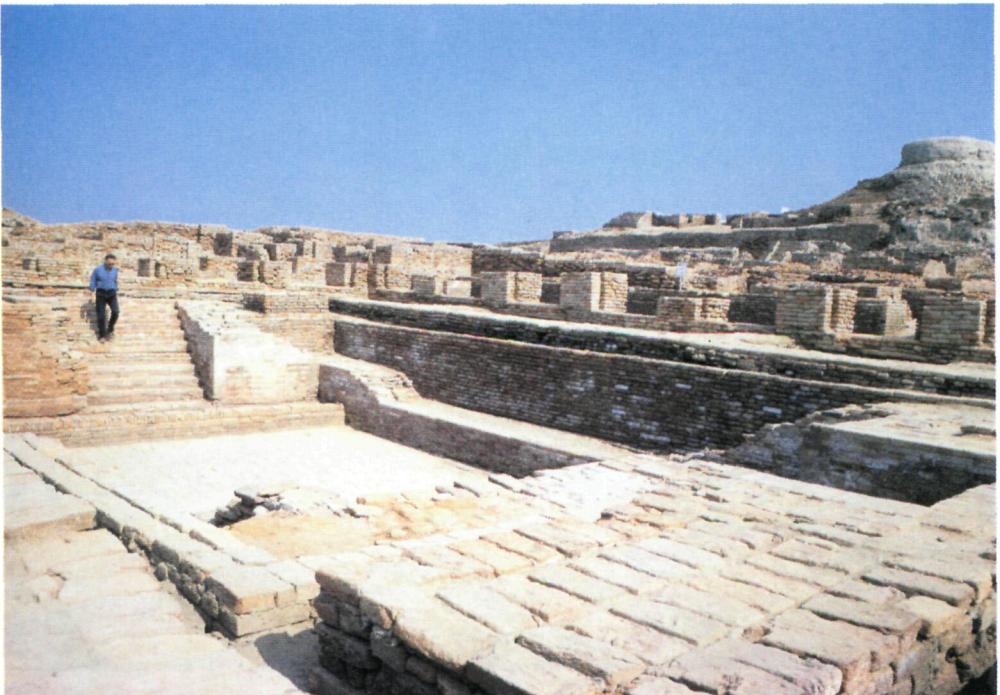
1. Aleksandria. Autor (z prawej) i Ashraf Bechai (drugi z prawej) rozmawiają z rybakami o położeniu podwodnych ruin



2. Megalityczne bloki u wybrzeży Sidi Gaber w Aleksandrii – obiekt nie uznawany przez akademicką archeologię



3. Megalityczne bloki u wybrzeży Sidi Gaber. Aleksandria



4. „Wielka łaźnia”. Mohendźo-Daro



5. Ceglane fundamenty. Mohendžo-Daro



6. Ulica z dobrze zachowanym systemem odpływowym. Mohendžo-Daro



7. Szyb studzienny. Mohendžo-Daro



8. Legendarne miasto Dwarka



9. Sadhu czytający Wedy. Dwarka



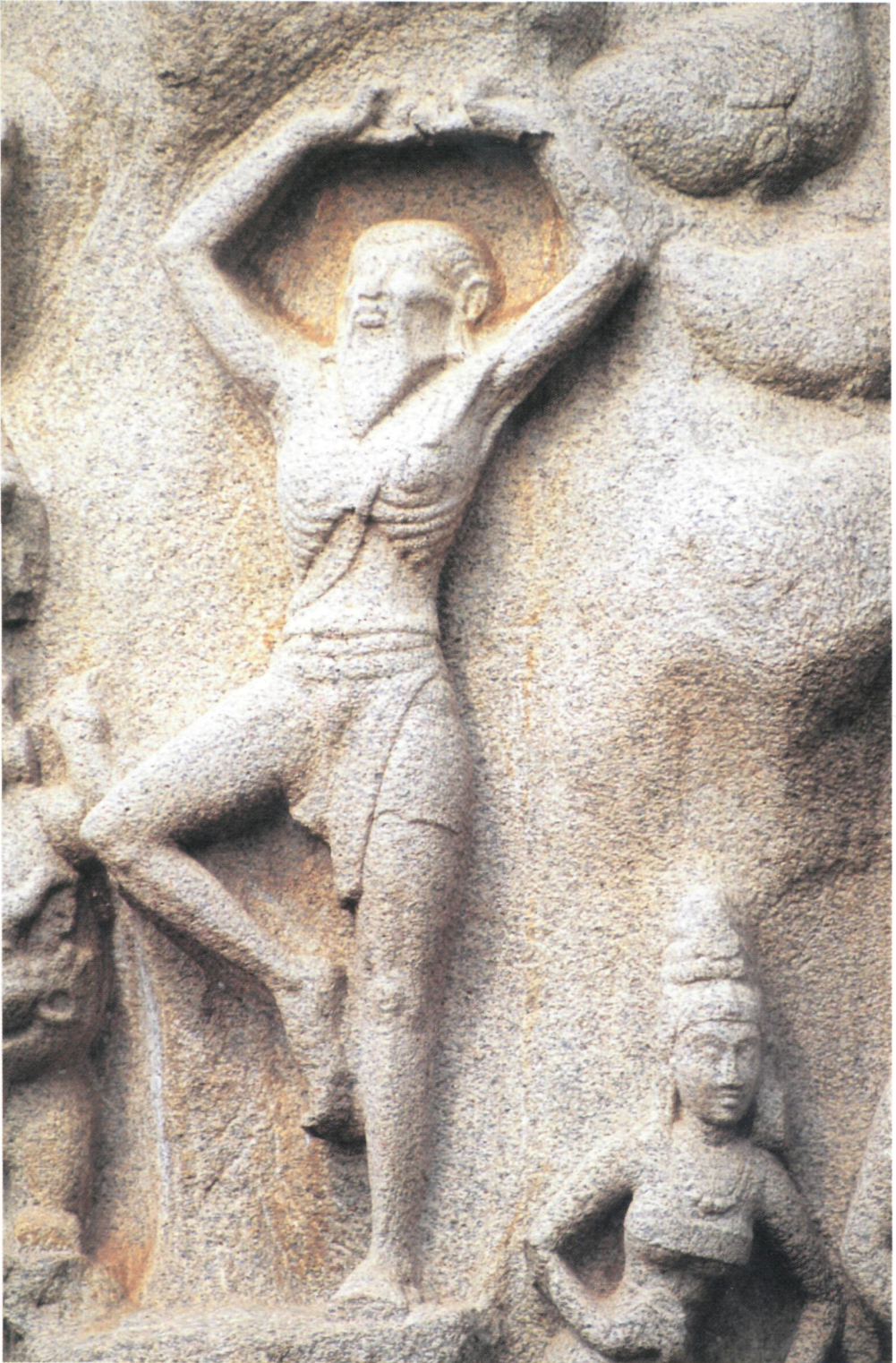
10. Świątynia Dwarkadisz, poświęcona Krysznie. Dwarka



11. Szkoła wedyjska. Południowe Indie



12. Hinduski asceta, dążący do oświecenia poprzez wyrzeczenie się dóbr materialnych



13. Relief przedstawiający „pokutę Ardżuny”. Mahabalipuram

Część trzecia

Indie (2)

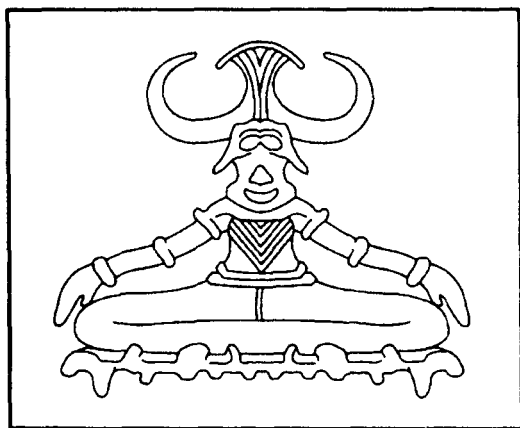
Rozdział 8

Królestwo z bajki

Gdyby udało się zlokalizować i zidentyfikować Dwarę, Kryszna przestałby być mitem, a stałby się żywym człowiekiem.

S.R. Rao, odkrywca podwodnych ruin Dwarki, 29 lutego 2000

Stałem w Galerii Harappy w Muzeum Narodowym w New Delhi, patrząc przez ochronną szybę na niewielką steatytową pieczęć z Mohendźo-Daro. Jej wiek określono na 2700 lat p.n.e.¹. Przedstawia ascetę siedzącego w niezwykle trudnej pozycji wyższego stopnia jogi, zwanej mulubandhasana². Szczupły, brodaty, półnagi mężczyzna z penisem w stanie erekcji nosi na długich, rozczochranych włosach nakrycie głowy ozdobione rogami byka. Twarz – a może maska – wyraża siłę, wręcz hipnotyzuje. Widać też zarys dwóch innych twarzy (lub masek?) z profilu, patrzących w dwie różne strony. Ascetę otaczają, najwyraźniej nie stanowiąc zagrożenia, niebezpieczne, wielkie i dzikie zwierzęta: bawół, nosorożec, słoń i tygrys. Postać ma bransolety na ramionach, a dłonie opiera na kolanach, na znak pograżenia w głębokiej medytacji.



Pieczęć z wizerunkiem Pasupatiego (2700 p.n.e.) z Mohendźo-Daro, ukazująca boga w pozycji jogi

Często słyszę, że nigdy nie poznamy religii czy filozofii wyznawanej przez kulturę Indusu-Saraswati, ponieważ nie umiemy przeczytać napisu umieszczonego ponad medytującą postacią. Jednak, choć pismo to

pozostaje dla nas zagadką, pieczęć z Mohendźo-Daro zawiera pewien interesujący i intrygujący przekaz.

Mówi nam mianowicie, że przynajmniej zewnętrzne formy ascetycznych dyscyplin zmierzających do opanowania ciała przez umysł i do medytacyjnej samo-kontroli, które do dziś stanowią podstawę duchowego życia w hinduistycznych Indiach, praktykowano już 4700 lat temu w miastach Indusu-Saraswati.

Mówi nam też, że joga, jedna z sześciu ortodoksyjnych szkół wedyjskiej filozofii³, była znana 4700 lat temu jako w pełni rozwinięty system: mulubandhasany nie wykona nowicjusz, wymaga ona bowiem mistrzowskiego opanowania licznych pośrednich pozycji⁴. Jeśli nie chcemy przyjąć, że joga w jakiś cudowny sposób pojawiła się jako w pełni rozwinięty system 4700 lat temu, musimy założyć, iż jej korzenie sięgają w głębszą przeszłość. A ponieważ wizerunek wychudzonego, rozczochranego jogina w pozycji mulubandhasana stanowi „jeden z najczęściej spotykanych motywów w indyjskiej sztuce rytualnej”⁵, możemy stąd wyciągnąć wniosek, iż klasyczne wyobrażenie ryszi, uprawiającego jogę mędrca lub jasnowiedza, które wciąż pojawia się w wedyjskich tekstach, istniało też w kulturze Indusu-Saraswati w III tysiącleciu p.n.e.

Jeśli naukowcy nie mylą się, twierdząc jednomyślnie, iż pieczęć z Mohendzo-Daro „przedstawia postać boga siedzącego w pozycji jogi”⁶, mamy do czynienia z zadziwiającą ciągłością religijnej ikonografii. Po dziś dzień hinduistyczny bóg Śiwa pozostaje „Władcą Jogi” i na ścianach świątyń we wszystkich zakątkach Indii widzimy wychudzonych, prawie nagich, medytujących ascetów o potarganych włosach, a czasem z penisem w stanie erekcji (cecha ta nie symbolizuje niepohamowanej żądz, lecz coś wręcz przeciwnego; w hinduizmie tantrycznym erekcja u Śiwy oznacza całkowitą kontrolę nad cielesnym pożądaniem)⁷. Śiwa bywa także nazywany Pasupatim, „Pogromcą Dzikich Bestii” lub „Władcą Zwierząt”, gdyż posiada zdolność osławiania ich dzięki sile jogi – dokładnie tak, jak to robi postać na pieczęci z Mohendzo-Daro⁸. Nawet falliczny symbol lingam (posmarowana masłem kamienna kolumna stojąca w wewnętrznym sanktuarium wszystkich świątyń poświęconych Śiwie w Indiach, uznawana przez wyznawców za wcielenie samego boga) znajduje w miastach Indusu-Saraswati swój pierwowzór w postaci stożkowatych świętych kamieni, czyli proto-linga⁹.

Z powyższych przyczyn bóg ze steatytowej pieczęci znany był jako „proto-Śiwa”, a przez archeologów nazywany „postacią Pasupati” od czasu jej odkrycia w rejonie DK podczas wykopalisk w Mohendzo-Daro w latach 1928–1929¹⁰. Tymczasem zachodni naukowcy, na przykład Jonathan Kenoyer, przywiązują niewielką wagę do tej analogii:

Postać nazwano „proto-Śiwą” z powodu jej podobieństwa do późniejszych wizerunków boga Śiwy z hinduistycznego panteonu. Choć wiele późniejszych hinduistycznych bóstw wywodzi się ze wcześniejszych wierzeń Doliny Indusu czy innych lokalnych społeczności subkontynentu, nie można z całą pewnością stwierdzić szczególnego związku między rogatą postacią na pieczęci znad Indusu a późniejszymi bóstwami hinduistycznymi. Istnieją podobieństwa w ikonografii, lecz symbolika może być całkiem odmienna¹¹.

Wedy a archeologia

Wyszedłem z Galerii Harappy głęboko zadumany i korytarzem przeszedłem do okrągłego ogrodu muzeum. Zirytowała mnie opinia Kennoyera – i to nie dlatego, że lekceważył wiele interesujących ikonograficznych podobieństw między Śiwą a postacią z Mohendźo-Daro. W tle tkwił niewypowiedziany, znacznie poważniejszy problem związany z Wedami, które opisują podobne do Śiwy bóstwo wedyjskie – boga Rudrę¹² – za sprawą którego siedmiu ryszi cieszy się szacunkiem, a nawet budzi lęk dzięki potędze jogi.

Znalazłem zacienione miejsce, otworzyłem notatnik i na pustej kartce zapisałem:

Podsumowanie wedyjskiej tradycji o korzeniach cywilizacji w Indiach:

1. Starsze cywilizacje, które znały Wedy i praktykowały jogę, istniały przed potopem i zostały przezeń unicestwione.
2. Manu i Siedmiu Ryszi (Saptaryszi), uprawiający jogę, przetrwali potop.
3. Zadaniem Siedmiu Ryszi było zachowanie Wed w pamięci i propagowanie ich wśród popotopowych pokoleń.
4. Manu miał odbudować po potopie rolnictwo dzięki zapasowi nasion i roślin, które w tym celu zabrał z sobą. Miał też zostać protoplastą przyszłej cywilizacji, dając początek dynastii królewskiej.
5. Wedy i biorąca w nich początek tradycja przedstawiają Saptaryszi jako ród ascetów. Po potopie ich pierwszym schronieniem stały się Himalaje, gdzie uprawiali medytację i żyli w odosobnieniu, prowadząc surowy tryb życia, odgrywali jednak decydującą rolę w życiu świeckim, wyznaczając królów i doradzając im.
6. Tak zwany kalendarz Saptaryszi w starożytnych Indiach, którego rzecz jasna nie można oddzielać od tradycji Siedmiu Ryszi, zaczyna się około 6700 roku p.n.e., czyli przed prawie 9000 lat.

Podsumowanie świadectw archeologicznych pochodzenia cywilizacji indyjskiej:

1. W pełni rozwinięte „społeczności wiejsko-rolnicze”, jak Mehrgarh u podnóża Himalajów, pojawiają się niespodziewanie około 9000 lat temu. Nie znaleziono śladów poprzednich faz ewolucji. Pierwotni mieszkańcy przybyli z wyselekcjonowanymi nasionami i wiedzieli, jak uprawiać ziemię.
2. Stało się to w samym środku epoki katastrofalnych powodzi na światową skalę, które zalały duże obszary indyjskiego szelfu kontynentalnego. Nie można zatem wykluczyć ewentualności, iż założyciele Mehrgarh mieszkali poprzednio na terenach zalanych przez morze.
3. Istnieje archeologiczna ciągłość między Mehrgarh 1A sprzed około 7000 roku p.n.e. a rozkwitem wielkich miast – Mohendźo-Daro i Harappy – po 3000 roku p.n.e. Z jakichś powodów tempo wzrostu i rozwoju nagle przyspieszyło między 2600 a 2500 rokiem p.n.e. Powstała dojrzała infrastruktura miejska, lecz początki nawet tej fazy, w mniejszej lub większej skali, można dostrzec już 4000 lat wcześniej w najstarszych pokładach Mehrgarh.

4. *Rytualne wizerunki znalezione w Mohendzo-Daro i Harappie, które zapewne były dziedzictwem tej dużo starszej epoki, przedstawiają rysiego w trudnej pozycji jogi, pogrążonego w głębokiej medytacji.*

Pytania:

Dlaczego ludność największego i najlepiej rozwiniętego organizmu miejskiego w starożytności takim szacunkiem darzyła postać półnagiętego ascety, pogrążonego w medytacji i otoczonego dzikimi zwierzętami?

Jeśli Wedy były świętymi pismami Mohendzo-Daro i Harappy, odpowiedź sama się nasuwa. Wizerunek ten darzono szacunkiem, ponieważ mieszkańców od dziecka uczono, iż ich cywilizacja została założona i nadal była kierowana przez mędrców ryszi, którzy wyglądali dokładnie tak samo.

Zamknąłem notatnik i wróciłem do Galerii Harappy, bo chciałem jeszcze raz popatrzeć na rysiego z Mohendzo-Daro, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami, o trzech twarzach, i noszącego na głowie rogi byka. Ścisłej mówiąc – nie miał skrzyżowanych nóg: aby wykonać mulubandhasanę, należy usiąść ze stykającymi się piętami i stopami skierowanymi do przodu, przy czym kolana muszą spoczywać płasko na ziemi. Potem, ze stopami wciąż skierowanymi do przodu, trzeba wsunąć pięty pod krocze. Następnie obracamy stopy pod ciałem o 180°, tak żeby były skierowane w przeciwnym kierunku – ktoś niedoświadczony mógłby sobie powykręcać kostki. Potem zagłębialmy się w medytację.

Ile czasu zajęło doprowadzenie do perfekcji systemu jogi? A jeśli był już doskonały 4700 lat temu, kiedy – ile tysięcy lat wcześniej – powstał? Jak bardzo rozwinięta musiała być społeczność epoki kamiennej, która go stworzyła, i dlaczego archeologia nie znajduje jej śladów?

Powrót do podwodnych badań

Luty 2000 roku

Z Delhi poleciałem do Goa, żeby spotkać się z archeologami z indyjskiego Narodowego Instytutu Oceanografii, z nadzieją, że wyniki badań dostarczą mi odpowiedzi na pewne pytania. Już ponad rok temu nawiązałem z nimi kontakt e-mailowy i telefoniczny. Pragnąłem zorganizować podmorską wyprawę do Dwarki, która fascynowała mnie od 1992 roku ze względu na legendy o potopie, końcu świata i tajemnicze podwodne ruiny. Archeolodzy zareagowali wręcz entuzjastycznie, lecz musieli najpierw uzyskać zgodę indyjskiego rządu, żebym mógł nurkować wraz z nimi.

Wówczas, w początkach lutego 2000 roku, wciąż nie wiedziałem, kiedy mogły powstać podwodne budowle Dwarki. Myślę, że naukowcy z NIO też tego nie wiedzieli. Jak już pisałem w poprzednich rozdziałach, powszechnie uznawano, iż zatoneły wskutek stosunkowo niedawnego osunięcia się ładu (a nie w wyniku wzrostu poziomu morza) i że należały do późnego okresu kultury Indusu-Sara-

swati (1700–1500 p.n.e.). Ale podwodni archeolodzy nie wydobyli żadnych przedmiotów, które można byłoby wydatować i w ten sposób potwierdzić lub podważyć tę hipotezę.

Tym bardziej chciałem obejrzeć ruiny na własne oczy.

Dziedzictwo zaginionej cywilizacji

Luty 2000 roku

Podczas lotu do Goa i dłuższego postoju w Bombaju przejrzałem raz jeszcze materiały dotyczące cywilizacji w Indiach, które stanowiły przedmiot moich przemyśleń w minionych miesiącach, przeczytałem ponownie notatki, które sporządziłem w Muzeum Narodowym w Delhi, a potem wielkimi literami napisałem u góry czystej kartki:

Hipoteza:

W prehistorii cywilizacji Indusu-Saraswati, której rozwój archeolodzy prześlędzili aż do 9000 lat wstecz, istnieją wcześniejsze, ukryte epizody. Została stworzona przez ludzi, którzy przetrwali wielki potop, jaki pod koniec epoki lodowcowej unicestwił kulturę rozwijającą się na przybrzeżnych terenach Indii.

Potopy tego rodzaju następowały kilkakrotnie na przestrzeni między 15 000 a 7000 lat temu, lecz szczególnie gwałtowny przebieg miał ten, który zdarzył się po okresie wzrostu zasolenia w Morzu Arabskim i Zatoce Perskiej – między 12 000 a 10 000 lat temu¹³.

Archeologia potwierdza, że pierwsze osiedla, których mieszkańcy zajmowali się rolnictwem i hodowlą, takie jak Mehrgarh, powstały bezpośrednio po największym potopie, między 10 000 a 9000 lat temu. Zacytujmy Gregory'ego Possehla: „Nie stworzono zadowolającej chronologii epoki Indusu dla wewnętrznych etapów i faz prehistorii. Obecnie, opierając się na datowaniu radiowęglowym, uważamy, że została zapoczątkowana 7000 lub 8000 lat p.n.e. wraz z najstarszymi wioskami, udomowieniem roślin i zwierząt oraz pierwszymi społecznościami rolniczo-pasterskimi”¹⁴.

Ludzie ocaleni z potopu, założyciele pierwszych osiedli, praktykowali religię „protowedyjską”, którą przynieśli z sobą z zalanej ojczyzny, i prawdopodobnie używali wczesnej formy sanskrytu.

Znali się też doskonale na rolnictwie, co potwierdzają wykopaliska archeologiczne, i reprezentowali wysoki poziom kultury, ale (być może nawet była to reakcja na potop jako formę „osądu” ich poprzedniego stylu życia) stworzyli cywilizację surową, utylitarną i ascetyczną, choć w miarę upływu czasu rozbudowywali miejską infrastrukturę.

Mieli świeckich królów, lecz prawdziwymi przywódcami nowych społeczności w kolejnych pokoleniach było bractwo mędrców i ich następców – ród wedyjskich mistrzów, których zadaniem było zachowanie i przekazanie wiedzy sprządy potopu. Przez tysiące lat, od Mehrgarh po Mohendźo-Daro – to oni ustalali politykę; obce

im były ekonomiczne i materialne wpływy, dążyli jedynie do stabilnego, pokojowego i umiarkowanego materialnego rozwoju kultury Indusu-Saraswati.

To tylko hipoteza, nic ponad to. Ale mój mózg pracował nad nią od wielu miesięcy, w miarę jak postępowały moje studia nad tą tematyką. Uznałem, że nadszedł czas, by przelać ją na papier. Nie stała w społeczności z archeologicznymi dowodami. Tłumaczyła nagłe pojawienie się w pełni ukształtowanej społeczności rolniczej w Mehrgarh między 10 000 a 9000 lat temu. W przeciwieństwie do innych hipotez pasowała do najnowszych odkryć nauki o końcu epoki lodowcowej. Stanowiła racjonalne wyjaśnienie wedyjskiego mitu o potopie. Tłumaczyła zjawisko długowieczności i ciągłości kultury Indusu-Saraswati – od początkowej prostoty pod koniec epoki lodowcowej, po nagły rozkwit i upadek w III tysiącleciu p.n.e.

Istniał tylko jeden sposób, by udowodnić słuszność hipotezy. Musiałem odnaleźć liczące ponad 9000 lat ruiny leżące pod wodą kontynentalnego szelfu Indii. Liczyłem, że znajdę je w Dwarce.

Strażnicy baśniowego królestwa

Główna siedziba NIO znajduje się w Dona Paula w Goa, w ładnym kampusie w stylu uniwersyteckim, pełnym trawników i drzew. Instytut, zajmujący najwyższy budynek kampusu, dzieli się na wydziały, sekcje oraz laboratoria rozsiane w staromodnych bungalowach pod drzewami. Centrum archeologii morskiej znajduje się właśnie w jednym z nich, a rozpoznać je można po wystawie obiektów – kamiennej kotwicy i innych przedmiotów, wydobytych z głębokości 5–10 metrów spośród podwodnych ruin Dwarki.

Umówiłem się z Kamleshem Vorą, dyrektorem wydziału archeologii (NIO), z którym już wcześniej korespondowałem. Byłem mu wdzięczny, że w ogóle wziął pod uwagę moją propozycję, bo mógł ją przekazać komu innemu lub w ogóle zignorować, ale fakt faktem, że mijały miesiące, a ja wciąż nie miałem ani przychyłnej, ani odmownej odpowiedzi od władz w Delhi, których aprobatę musiał uzyskać.

– No, nareszcie pan jest – powiedział. – Może zaczną coś robić.

Podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do biura rady ds. badań naukowych, której NIO podlega i która była władna popchnąć sprawę u władz. Długo rozmawiał w hindi, w końcu odłożył słuchawkę.

– Muszę o pańskiej sprawie porozmawiać z pewną panią w RBN. – Posłał mi posępne spojrzenie. – Niestety, nie ma jej w biurze, ale złapię ją jutro. – Uśmiechnął się.

– Jakiej mogę spodziewać się odpowiedzi?

Kamlesh znowu spochmurniał i wyjaśnił, że nigdy jeszcze NIO nie rozpatrywało prośby pisarza, który chce nurkować wraz z naukowcami. Gdyby jakaś pla-

cówka naukowa lub instytut wysłały obserwatora na miejsce badań, wszczęto by odpowiednie procedury i zgoda nadeszłaby ustalonymi kanałami. Ale ponieważ, jako prywatna osoba, nie reprezentowałem ani instytucji rządowej, ani środowiska naukowego, nie byłem też Hindusem (nie wiadomo więc, jakiej wizy należałoby mi udzielić), nikt nie ma pojęcia, co ze mną zrobić.

Pojawił się jeszcze inny problem. Coroczne badania Dwarcki, do których miałem nadzieję się przyłączyć, zostały zaplanowane na połowę lutego (za mniej niż dwa tygodnie), a będą trwały tylko do połowy marca. Dlatego musiałem jak najszybciej uzyskać pozwolenie. Jeśli się nie uda, będę musiał czekać rok na kolejną turę badań w Dwarce.

– Czy to znaczy, że nurkujecie tylko przez jeden miesiąc w roku?

– Jeśli mamy szczęście. Nasze fundusze są ograniczone, ale robimy, co możemy.

– A jeśli sam się tym zajmę? Jeśli zgoda przyjdzie zbyt późno, to czy będę mógł nurkować na własną rękę?

Kamlesh wydawał się przerażony.

– W żadnym wypadku. To przecież obiekt badań archeologicznych pod ochroną, dlatego musi z panem być ktoś od nas. Poza tym nie wolno osobom prywatnym nurkować w Dwarce. Nie ma tam żadnych urządzeń pomocniczych, a miejsce jest bardzo oddalone. Co roku zabieramy z Goa własny kompresor i butle z tlenem, potem wracają razem z nami.

Serce mi zamarło. Kiedy w 1992 roku po raz pierwszy dowiedziałem się o Dwarce, nie umiejąc jeszcze nurkować, wydała mi się królestwem z bajki, zupełnie dla mnie niedostępnym. Po 8 latach nauczyłem się nurkować, ale nie uzyskałem zgody na zejście pod wodę. Nie miałem zupełnie wpływu na tok spraw.

– Proszę przyjść jutro koło południa – powiedział Kamlesh. – Znowu spróbuję skontaktować się z RBN. Może będę miał dla pana dobre wieści.

Napisz pismo

Przyszedłem do Kamlesha nazajutrz o 11.00, lecz nie miał dla mnie żadnych wiadomości – ani dobrych, ani złych. Owej urzędniczki w RBN wciąż nie było w biurze. Znowu do niej zadzwonił. Wciąż nic. W końcu po półtorej godziny odebrała telefon. Tak, otrzymała pismo w mojej sprawie. Tak, jest rozpatrywane. Nie, nie podjęto jeszcze decyzji. Kamlesh spytał, czy można jakoś przyspieszyć procedurę. Poradziła, żebym napisał pismo, w którym wyjaśnię dokładnie, dlaczego chcę nurkować w Dwarce.

Tłumiąc rosnącą irytację i wściekłość, pojechałem taksówką z powrotem do hotelu Ciudad de Goa, włączyłem laptop i zacząłem pisać owo pismo, które zgodnie z sugestią Kamlesha zaadresowałem do najwyższej instancji, czyli dr. Ehrlicha Desy, dyrektora NIO.

– Jeśli on podejmie się interwencji w RBN, to ma pan sprawę załatwioną – powiedział mi na pożegnanie.

Kiedy po południu spotkałem się z Kamleshem, żeby przejrzał moje pismo, powiedział, że rozmawiał w mojej sprawie z dr. Desą, który zgodził się przyjąć mnie następnego dnia.

W dwa dni później opuściłem Goa. Nadal nie miałem pozwolenia. Ale moje spotkanie z Ehrlichem Desą było bardzo owocne, obiecał bowiem przyspieszyć formalności. Czułem, że zarówno on, jak i Kamlesh zrobią co w ich mocy i miałem nadzieję, iż pociągną za odpowiednie sznurki, by pozwolono mi nurkować w Dwarce. Umówiliśmy się na kontakt za pośrednictwem poczty elektronicznej.

Interludium: poszukiwanie Kumari Kandan

Przyjechałem do Indii w lutym 2000 roku z kilku powodów. Miałem zamiar pozostać tu aż do połowy marca i choć niepokoiłem się, czy dostanę pozwolenie na badania w Dwarce, żywiłem jednak nadzieję, że szczęście mnie nie opuści...

Tymczasem oboje z Santhą planowaliśmy inną podróż, najpierw więc polecieliśmy do Madrasu, żeby kontynuować to, co zaczęliśmy tam w 1992 roku.

Poza tym znowu chcieliśmy odbyć podróż wspomnień – odwiedzić Wellur i świątynie w Mahabalipuram na Wybrzeżu Koromandelskim. Teraz postanowiliśmy zacząć od Mahabalipuram, potem podążyć w głąb lądu do Tiruwannamalai, świątyni od niepamiętnych czasów poświęconej Śiwie, stamtąd do Maduraj, starożytnego centrum religijnego Tamilów, także związanego z bogiem Śiwą. Chcieliśmy jeszcze odwiedzić Poompuhur na północny wschód od Maduraj oraz Rameśwaram, położone na południowym wschodzie na wąskim pasku lądu wysuniętym w stronę Cejlonu, oddzielającym cieśninę Palk od Zatoki Mannar. Następnie podążyliśmy do Kanija Kumari na Przylądku Komoryn, najdalej na południe wysuniętym skrawku Indii.

Już w 1999 roku zacząłem interesować się południowymi Indiami i od tego czasu natrafiłem na wiele ciekawych informacji.

Jednym ze źródeł, które zbyt długo leżało w mojej bibliotece, była książka kapitana M.W. Carra *Descriptive and Historical Papers Relating to the Seven Pagodas of the Coromandel Coast*¹⁵. Jak wspomniałem w rozdziale 4, antologia Carra przedstawia miejscową tradycję o zagadkowym przedpotopowym mieście w Mahabalipuram, pochłoniętym przez wielki potop. Tradycja ta była wciąż żywa w XVIII i XIX wieku, kiedy Carr pisał swoją antologię. Chciałem się dowiedzieć, czy nadal funkcjonuje i czy można z niej wydobyć jakieś konkrety.

Natknąłem się również na pracę Davida Shulmana, profesora wydziału indologii i religioznawstwa porównawczego na uniwersytecie w Jerozolimie. Jego dogłębna analiza tamilskich mitów o potopie pozwoliła mi powiązać miejsca takie jak Poompuhur, Maduraj i Kanija Kumari. W tamilskim eposie *Manimekalaj* napisano, że starożytny port Kaweripumpattinam, który został zalany przez morze, leżał przy wybrzeżu Poompuhur. Inne legendy głoszą, że pradawne szkoły mądrości, czyli

akademii (sangamy), powstały „w okresie przed potopem w kraju Tamilów, rozciągającym się daleko na południe od obecnych południowych granic Przylądka Komoryn”¹⁶. Nazwa tego zaginionego łądu, który morze pochłonęło podczas dwóch potopów, jakie nastąpiły w odstępie tysiąca lat, brzmiała Kumari Kandan, a ci, którzy przetrwali kataklizm, uciekli ponoć do Maduraj¹⁷.

Jak zwykle w podróży miałem plecak wyładowany książkami i materiałami, których część zabrałem z Anglii, inne zaś zdobyłem po drodze. Po kilku dniach spędzonych w Goa dołożyłem do nich relacje z corocznych konferencji i egzemplarze wydawanego przez NIO „Journal of Marine Archeology”, które dostałem od Kamlesha.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności pierwszy tom, po jaki sięgnąłem podczas lotu z Goa do Madrasu (5–6 z lat 1995–6), zaczynał się obszerną publikacją zatytułowaną *Underwater Explorations of Poompuhur in 1993* (Podwodne badania w Poompuhur w 1993 roku)¹⁸. Autor poddał archeologicznej weryfikacji epos *Manimekalaj*, łącząc go z podwodnymi ruinami Kaweripumpattinam, „starożytnego miasta portowego z III–IV wieku p.n.e.”, które morskcy archeolodzy z NIO odkryli bardzo blisko brzegu na głębokości mniejszej niż 3 metry¹⁹. Publikacja ta opisywała również niezwykłą budowlę w kształcie podkowy, na którą nurkowie natrafili na głębokości 23 metrów w odległości ponad 5 kilometrów od brzegu²⁰.

Od razu zrozumiałem, że te ogólnikowe informacje o prowadzonych w 1993 roku badaniach, których NIO nie kontynuowało z powodu braku funduszy, mogły mieć ogromne znaczenie. W owym czasie nie znałem komputerowych map Glena Milne’a. Lecz biorąc pod uwagę głębokość i odległość od brzegu, należało przypuszczać, że owa podkowiasta budowla musiała być bardzo stara²¹.

Głównym autorem publikacji i kierownikiem zespołu badawczego był S.R. Rao, poprzednik Kamlesha Vory w NIO i odkrywca podwodnych ruin w Dwarce. Ponieważ obecnie, przeszedłszy na emeryturę, mieszkał w Bangalurze, niedaleko Madrasu, kierowany impulsem postanowiłem spotkać się z nim w drodze na południe.

„Musiała istnieć...”

Luty 2000 roku

Z Rao, o którym pisałem już w rozdziale I spotkałem się 29 lutego. Ku memu zaskoczeniu, senior indyjskiej morskiej archeologii zgodził się z moją hipotezą o istnieniu na wybrzeżach Indii przedpotopowej cywilizacji, zalanej pod koniec epoki lodowcowej:

Musiała istnieć. Tego absolutnie nie można wykluczyć, zwłaszcza że znaleźliśmy tę budowlę na głębokości 23 metrów. Sfotografowaliśmy ją. Jest tam, każdy może ją zobaczyć. Nie sądzę, aby był to pojedynczy obiekt, dalsze badania pewnie ujawnią inne w pobliżu. Głębiej znajdziemy ważniejsze rzeczy²².

Do poszukiwań Kumari Kadam wróć w rozdziale 10. Ja ujrzałem jego relikty po raz pierwszy w 2000 roku, a potem podczas nurkowania w 2001 roku.

Tymczasem, na kilka dni przed umówionym spotkaniem z Rao, coś się odblokowało w indyjskiej machinie biurokracyjnej. Kamlesh wysłał mi e-mail z wiadomością, że otrzymałem pozwolenie na nurkowanie w Dwarce wraz z zespołem NIO. Powinienem to zawdzięczać przede wszystkim poparciu dr. Desy. Nie było dalszych przeszkód, zatem 2 marca mieliśmy z Santhą wrócić do Dwarki.

Wiek Dwarki

Marzec 2000 roku

Podczas naszej rozmowy w Bangalur Rao potwierdził, że od dawna zgadza się z hipotezą, iż ruiny w Dwarce to pozostałość portu kultury Indusu-Saraswati, wzniesionego w schyłkowym jej okresie, prawdopodobnie między 1700 a 1500 rokiem p.n.e., a potem zalanego przez morze. Przyznał jednak, że daty te są hipotetyczne, nie potwierdzone empirycznie. Datowania radiowęglowego i metodą termoluminescencyjną, które mogłyby rozstrzygnąć rzecz ostatecznie, nie dało się przeprowadzić, ponieważ do tego drugiego sposobu potrzeba naczyń, a do pierwszego – materii organicznej z danego okresu. Ani jednego, ani drugiego w zatopionej Dwarce nie odkryto.

Rao: Prawdę mówiąc, przeprowadziliśmy datowanie metodą termoluminescencyjną naczyń wydobytych ze ścian, które znajdują się na brzegu, lecz kiedyś częściowo skrywała je woda. Okazało się, że pochodzą z 1528 roku p.n.e. Ale tkwiły nieco wyżej niż zatopione ruiny, tak więc potop musiał nastąpić wcześniej.

GH: Czy można powiedzieć, że ruiny pochodzą z około 1500 roku p.n.e., ale możliwe, że są starsze?

Rao: Oczywiście, jest to zupełnie słuszne. Minimum to 1500, 1600 rok p.n.e., lecz nie można wykluczyć, że powstały wcześniej. Myślę, że istnieje taka możliwość.

GH: Rozumiem, że podwodne budowle, które dotychczas zidentyfikowano, znajdują się na głębokości 12 metrów?

Rao: Budowle te leżą na głębokości około 10 metrów, a grzbiet, który przekształcono w rodzaj nabrzeża – na głębokości 12 metrów. Zeszliśmy jeszcze trochę niżej, ale niewiele²³.

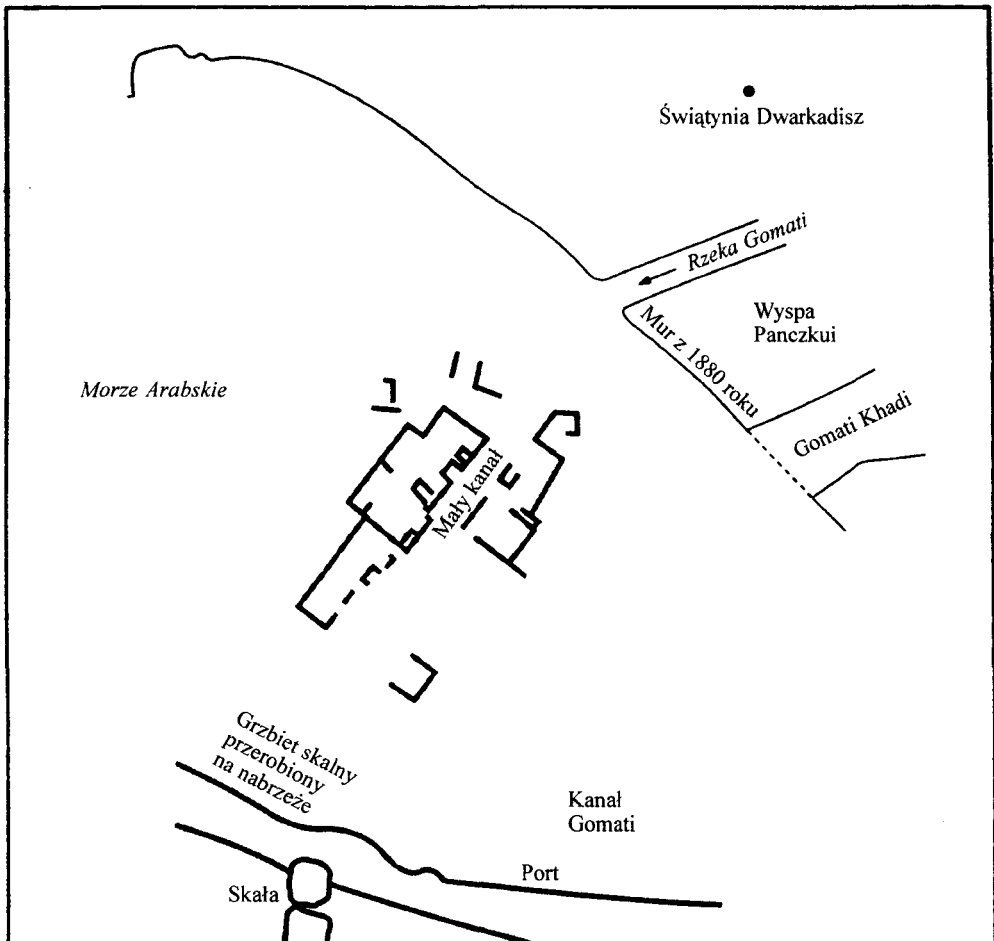
GH: Czy sądzi pan, że dalej też są jakieś ruiny?

Rao: Być może, być może. Tego nie wykluczam. Na głębokości większej niż 12 metrów przeprowadziliśmy tylko badania sonarem. Niewiele nurkowaliśmy w tym miejscu. Gdyby udało się panu spędzić tam trzy lub cztery dni, pewnie znalazłby pan coś więcej²⁴.

W oczekiwaniu niezwykłego

Mieliśmy nurkować w Dwarce z niewielkiej drewnianej łodzi rybackiej, którą NIO wynajął od miejscowych rybaków. Mając dość głębokie zanurzenie, nie mogła zbyt blisko podejść do brzegu i została zakotwiczona w zatoce około pół kilometra na południowy zachód od ujścia rzeki Gomati. Dowieziono nas tam pontonem, który zabrał nas ze stopni Gomati Ghat. Kiedy płynęliśmy po wodach zatoki, z niecierpliwością wpatrywałem się w wodę, mając nadzieję, że coś w niej dojrzę.

W NIO sporządzono dokładną mapę ruin rozciągających się na dużej przestrzeni od ujścia Gomati – które teraz pozostało za nami, na północnym wschodzie – do zatopionego grzbietu skalnego, leżącego kilometr w głąb morza na południowy



Podwodne ruiny Dwarki. Według Rao (1999)

zachód i przekształconego ongiś w rodzaj nabrzeża. Rao mówił, że znajduje się on najgłębiej z poznanych struktur, bo 12 metrów pod wodą, że zapewne był kiedyś nabrzeżem.

Na pozostałe ruiny przestronnych, prostokątnych budowli natrafiono bliżej brzegu, na głębokości 3–10 metrów, przy czym większość leży na głębokości 5–7 metrów²⁵. W ich skład wchodzi tak zwane cytadele, otoczone masywnymi bastionami, po sześć na każdym brzegu zatopionej obecnie części kanału Gomati. Rao powiedział, że jego zdaniem „mieszkał tam nie tylko król, lecz także dowódca armii i inne oficjalne osobistości”²⁶. Starożytne nadbrzeżne miasto podzielone było na sześć sektorów:

Każdy z tych sześciu sektorów otaczały mury obronne z wielkich, doskonale obrobionych bloków piaskowca. Niektóre z nich liczyły od 1,5 do 2 metrów długości, od 0,5 do 0,75 metra szerokości i od 0,3 do 0,5 metra grubości. Złącza w kształcie litery L zapewniały odpowiednie mocowania, wytrzymałe na uderzenia fal i prądów. W niewielkiej odległości wzdłuż murów fortu wyrastały półokrągłe lub okrągłe bastiony, które miały zmieniać kierunek prądu. Ponadto można było z nich obserwować wpływające i wypływające statki. We wszystkich sektorach znajdują się bramy, czego dowodem są przerwy w murach. Mury fortu i bastiony zbudowano z wielkich kamiennych bloków, były za ciężkie, aby mogły je naruszyć morskie fale i prądy. W kilku miejscach widać nawet pięć warstw bloków, lecz w innych mury i bastiony się rozsypały²⁷.

Zachęcony obrazem baśniowego podwodnego miasta i przepiękną rekonstrukcją przedpotopowej Dwarki w książkach dr. Rao, oczekiwałem czegoś niezwykłego, kiedy – 3 marca 2000 roku – wdrapywałem się z pontonu na pokład łodzi NIO.

Ciemność, wodorosty i szlam

W nieustającej walce o wymianę ciepła między nurkiem a wodą, w końcu zawsze zwycięża morze. Proces ten zachodzi szybciej w zimnych wodach, wolniej – w ciepłych, można go opóźnić jeszcze bardziej dzięki specjalnej odzieży ochronnej, ale rezultat końcowy zawsze jest ten sam. Morze jest chłodniejsze niż ciało nurka. Jego temperatura spada.

Uważam się za w miarę doświadczonego nurka, ale w wieku 50 lat od dawna mam za sobą szczytową formę, poza tym nie jestem nieomylny. Błąd, jaki popełniłem w Dwarce, choć ostrzegano mnie, że temperatura woda wynosi tylko 23°C (czyli 14° mniej niż ludzkie ciało), polegał na tym, że nie włożyłem piankowego kombinezonu. Byłoby to dopuszczalne, gdybym nurkował krótko raz lub dwa razy. Ale zanurzaliśmy się po trzy razy dziennie na godzinę lub nawet dłużej.

Pierwsze zejście do wody nastąpiło w miejscu dużego skupiska ruin, na głębokości 5 do 7 metrów. Zniknęły wysokie wieżyczki, blanki i bastiony rekonstrukcji dokonanej przez Rao, które tak działały na moją wyobraźnię. Zobaczyłem zwałisko bezładnie rozrzuconych kamiennych bloków, których krawędzie wystawały tu i ówdzie spod grubej warstwy mulistego osadu i pokrywających wszystko oślizłych zielonych wodorostów. Mimo iż tego ranka morze było spokojne i część mułu spłynęła z prądem rzeki Gomati w głębsze rejony zatoki, miliony małych cząsteczek wisiały w wodzie jak gęsta mgła.

Przez tę mgłę zdołałem dostrzec pod sobą kilkadziesiąt wielkich wapiennych bloków, które prawdopodobnie odpadły z fragmentu załamane go muru. Nie były to megality w dosłownym znaczeniu, lecz niewiele im ustępowały wielkością, zwłaszcza że ułożono je jeden na drugim. Mur wzniesiono z samych tylko kamiennych bloków, nigdzie nie widziałem śladów zaprawy między warstwami. Mogłem sobie jednak wyobrazić, w jaki sposób budowniczowie rozwiązali ten problem. Wiele dużych bloków zostało tak ociosanych, że przylegały do siebie wczepami. Doskonale obrobione złącza w kształcie L zwiększały stabilność całej struktury.

Te same zasady konstrukcyjne zastosowano przy wznoszeniu masywnych, zaokrąglonych bastionów w rogach cytadel. Choć nie znalazłem żadnej zachowanej w całości, natknąłem się jednak na kilka monolitów o zakrzywionych ściankach, bardzo pięknie ociosanych i oszlifowanych, a raz nawet zobaczyłem dwa połączone z sobą.

Z mulistego, zarośniętego dna wystawały również wyciosane półkuliste kamienie, niektóre o średnicy metra, z okrągłymi otworami wywierconymi przez środek. Uznano, że są to gniazda, w których osadzano drzwi.

W ruinach starożytnej Dwarki ocalały trójkątne kamienne kotwice z trzema otworami, które NIO przechowuje w swoich pomieszczeniach. Rao powiedział mi, że identycznych kotwic używały w rejonie Morza Śródziemnego kupieckie statki z Cypru i Syrii około 1400 roku p.n.e. Znajdowano je również w Zatoce Perskiej oraz pobliskim porcie kultury Indusu-Saraswati – Lothal²⁸. Przyjmując, iż ten typ kotwicy pochodzi z 1400 roku p.n.e., uznał, iż ich obecność w Dwarcie potwierdza jego domniemanie, że miasto zostało założone około 1600 roku p.n.e. Być może, opadły na dno w okresie, gdy szczątki miasta leżały już tak głęboko, iż statki mogły nad nimi żeglować.

W samym sercu starożytnego miasta doszedłem do wniosku, iż dziwnie mało jest tych ruin. Archeologiczna rekonstrukcja przedpotopowego miasta, sporządzona przez Rao, oczywiście bardzo się różniła od tego, co ujrzałem pod wodą. Ale nie to mnie zaniepokoiło, lecz bardziej jeszcze uderzający kontrast między tym, co widziałem na miejscu, a zdjęciami pokazanymi mi przez Rao, dokumentującymi podwodne wykopaliska w latach 1983–1994, również prowadzone przez NIO²⁹. Niektóre obiekty mogłem od razu rozpoznać, innych natomiast nigdzie nie dostrzegłem. Tym bardziej rzucały się w oczy w części nienaruszone mury z wielkich kamiennych bloków, niekiedy wysokie na pięć warstw, czasem połączone

z innymi murami pod kątem prostym, innym znów razem ciągnące się w linii prostej jak okiem sięgnął – a trzeba powiedzieć, że widoczność w tamtych czasach była o wiele lepsza niż obecnie.

Gdzie się podziały te mury?

Sztormy

Wypłynawszy po drugim zanurzeniu i wdrapawszy się na pokład łodzi, spytałem o to Kamlesha, on zaś z kolei zawołał Sundaresha i Anuruddha Guara, dwóch weteranów archeologii morskiej w NIO. Kamlesh, z wykształcenia geolog, nie schodził wówczas pod wodę. Guar i Sundaresh natomiast nurkują w Dwarce od początku lat 80.

Powiedzieli, że większość nienaruszonych murów, które sfotografowano przed 1994 rokiem, albo już nie istnieje, albo nie można ich ponownie zlokalizować. Najwyraźniej silne monsunowe sztormy w okresie minionych 6 lat obłuzowały i przemieściły wielkie bloki, wywracając również mury. Potem osady i roślinność pokryły rumosz rozrzucony na dużej powierzchni.

Przypomniałem sobie część rozwalonego muru, który widziałem podczas pierwszego nurkowania, i przestałem o tym myśleć. Dopiero znacznie później dotarło do mnie, że to bardzo dziwne, iż miasto, które pod wodą przetrwało ponad trzy tysiąclecia i którego nienaruszone fragmenty fotografowano jeszcze w 1994 roku, uległy zniszczeniu w ciągu 6 lat.

Nabrzeże wykute w skale

Na obiad podano nam jakieś podejrzanie wyglądające curry, które załoga ugotowała na prymusie w kajucie i podała na plastikowych i metalowych talerzach. Wiatr nieco się wzmógł, na powierzchni zatoki pojawiły się drobne fale, nie na tyle jednak duże, aby zniechęcić nas do nurkowania, lecz wystarczające, by zmacić dno i ograniczyć widoczność.

Nie czułem się najlepiej, cierpiałem na ból głowy, mdłości i sztywność karku. Uświadomiłem sobie, że pewnie przemarzłem podczas ostatniego zejścia pod wodę, ale wówczas nie skojarzyłem objawów z przyczyną. Myślałem, że to z powodu smrodu z dieslowskiej pompy, która przez rury wtlaczała powietrze do maszek techników-nurków pracujących na dole. Działała też dmuchawa odgarniająca piasek z fundamentów ruin, gdyż nadal próbowaliśmy odnaleźć jakieś przedmioty, które pozwoliłyby ustalić ich wiek. Te wibracje i smród spalin trochę mnie męczyły, doszedłem jednak do wniosku, że lepiej poczuje się w wodzie, oddychając czystym powietrzem z butli.

Głos rozsądku podpowiadał mi, że na popołudniowe nurkowanie należałoby włożyć piankowy kombinezon. Zwyciężyła lekkomyślność.

Tym razem popłynęliśmy z Gaurem nad wykute w skale nabrzeże na głębokości 12 metrów, około kilometra w głąb zatoki. W brudnozielonej wodzie panowała ciemność, a ja byłem zmarznięty, słaby i wyczerpany.

Skierowaliśmy się na wschód, na tę stronę grzbietu górskiego, który zwrócony był w kierunku morza. Oprócz skalnych bloków z otworami, które, jak uznaliśmy, służyły do mocowania lin cumowniczych, ujrzeliśmy sporo nieregularnych megalitów rozrzuconych na morskim dnie aż do głębokości 18 metrów. Oficjalnie uznano, że są to odłamy skalne, które odpadły z grzbietu wskutek uderzenia fal w czasach, gdy to naturalne nabrzeże znajdowało się jeszcze ponad lustrem wody, lub może pochodziły z czasów, gdy nabrzeże jeszcze nie istniało. Moim zdaniem wyglądały tak, jakby zostały celowo wykute i ułożone we właściwym miejscu.

W kwadrans później, nadal posuwając się wzdłuż grzbietu skalnego, zobaczyłem grupę innych, mniejszych bloków, podobnych do dużych płyt, ułożonych w szachownicę wśród beładnie rozsianych głazów. Jednak po bliższym przyjrzeniu się układ wydał mi się mniej regularny i nie przypominał już tak bardzo dzieła rąk ludzkich.

Byłem nieco skonfundowany. A potem inna dziwna konstrukcja, ciągnąca się wzdłuż nabrzeża, wzbudziła we mnie jeszcze więcej wątpliwości.

Fale i zupa z soczewicy

Następne cztery dni spędziłem w hotelowym łóżku, płacąc łagodną formą hipotermii za głupotę 50-latka. Potworny, oślepiający ból głowy był chyba najgorszym objawem choroby. Nie ustępował przez ponad trzy doby. Byłem słaby, roztrzęsiony i nie mogłem utrzymać w żołądku żadnego pokarmu.

Ale niewiele straciłem. Wiatr, który zerwał się pierwszego popołudnia, nasiłił się w ciągu nocy. Fale na powierzchni ograniczyły tym samym widoczność do zera, nurkowie siedzieli beczynnienie. Wynajęta przez NIO łódź schroniła się w pobliskim porcie rybackim, wszyscy czekali na poprawę pogody.

Kiedy mogłem już wstać z łóżka, wiatr się uciszył i łódź znowu wypłynęła. Ale woda przypominała zupę z soczewicy, co uniemożliwiała pracę. Próbowałem nurkować w paru miejscach, ale niczego nie widziałem.

Potem wiatr znowu się wzmógł, tym razem jednak prognozy przewidywały, że potrwa dłużej niż tydzień. Wszyscy zrozumieliśmy, że nie ma co marzyć o nurkowaniu w tym sezonie.

Warstwa po warstwie

Ile lat liczy miasto pod falami?

Siedząc na brzegu Gomati Ghat, u stóp świątyni Boga Morza, ostatniego wieczoru naszego pobytu w Dwarce spoglądałem na wzburzone wody ciemniejącej zatoki i próbowałem rozwiązać tę zagadkę.

Podczas spotkania w Bangalurze Rao opowiedział mi, jak 20 lat temu po raz pierwszy zaangażował się w badania podmerskie w Dwarce. Pracując dla instytutu archeologicznego, zaplanował rozbiórkę współczesnego budynku stojącego obok głównej świątyni Dwarkadisz (Kryszny) i zasłaniającego widok.

Rao: Mury zostały rozebrane. Kiedy już wywieziono gruz, ze zdumieniem odkryliśmy pod nimi inną świątynię – poświęconą Wisznu. [Krysznę uznaje się za wcielenie, czyli ludzką postać, wedyjskiego boga Wisznu³⁰]. Zdobiły ją piękne rzeźby i inne dzieła sztuki. Nie posiadaliśmy się ze zdziwienia. Staliśmy wszak obok świątyni z XIII–XV wieku, a tu nagle znajdujemy świątynię z IX wieku. Jak to możliwe? Kiedy zaczęliśmy kopać, ukazały się pod nią dwie następne świątynie.

GH: Czy to oznacza, że współczesna świątynia Dwarkadisz została wzniesiona na starszej?

Rao: Ale nie na tej już istniejącej. Ta druga stała obok. Myślę, że istniejącą świątynię zbudowano na jakiejś starożytnej, ta pod spodem bowiem jest mniejsza.

GH: Ale wy prowadziliście wykopaliska obok istniejącej świątyni i tam odkryliście wcześniejsze warstwy?

Rao: Tak, to były wcześniejsze warstwy. Kopiąc dalej, natrafiliśmy na ślady erozji spowodowanej przez morską wodę oraz na skorupy naczyń i inne obiekty, których wiek określono na 1500 lat p.n.e. Tak więc między 1500 rokiem p.n.e. a 1500 rokiem n.e. miejsce to musiało być nieprzerwanie zamieszkałe przez ludzi, o których prawie nic nie wiemy. Ale niekiedy dowiadujemy się czegoś w trakcie badań podwodnych. Pewien profesor geologii, B.R. Rao, przyjechał do Dwarki, żeby obejrzeć miejsce pod budowę uniwersytetu. Zaprowadziłem go na miejsce wykopalisk. Orzekł, iż widać tam wyraźnie ślady erozji pod wpływem morskiej wody. Pokazałem mu naczynia. Powiedział, że obok na pewno znajduje się jakieś miasto. Spytał, co zamierzamy zrobić, a ja odparłem, że musimy kopać w morzu³¹.

Rao udało się uzyskać od rządu fundusze na dalsze prace w Dwarce.

Nie wiedzieliśmy, od czego zacząć. Mieliśmy niewielkie doświadczenie w archeologii morskiej. Pytanie brzmiało: gdzie szukać? Na szczęście stoi tu świątynia Samudry, boga morza – może taka świątynia istniała już w starożytności i też składano w niej ofiary. Zaczęliśmy więc szukać. A potem – w ciągu kilku dni – znaleźliśmy podwodne budowle³².

Dawne miasto

Patrząc na zatokę ze świątyni Samudry Narajany, myślałem, że Rao określił pochodzenie podwodnych ruin na II tysiąclecie p.n.e. i „późny okres Harappa”. Nic moim zdaniem nie wskazywało, że rozrzucone na dnie obiekty, które oglądałem podczas nurkowania, są starsze, a zapewne były znacznie młodsze. Z wyjątkiem wykutego w skalnym grzbiecie nabrzeża, które nie znajdowało się przecież

na zbyt dużej głębokości, większość tych ruin leżała w płytkiej wodzie – 7 lub mniej metrów pod powierzchnią – i mogła zatonać stosunkowo niedawno wskutek osunięcia się ładu spowodowanego potężnym trzęsieniem ziemi, jakie okresowo nawiedzają Gudżarat³³. To, co widziałem pod wodą, nie przypominało „późnych osiedli kultury Harappi”. Przeciwnie – bastiony o planie koła i sposób obrobienia bloków kojarzyły się raczej ze średniowieczną architekturą indyjską niż z osiągnięciami kultury Indusu-Saraswati.

Najbardziej jednak intrygowała mnie – a także Rao – możliwość, że mogą istnieć również inne ruiny, leżące na większej głębokości, których NIO jeszcze nie znalazł, a w rzeczywistości w ogóle nie szukał. Rao przypomniał mi także, że starożytne teksty, w których wspomniano odnalezione przezeń ruiny, mówią również o jeszcze starszych obiektach wzniesionych w tej okolicy. Krysna miał podobno zbudować Dwarę na miejscu starszego miasta zwanego Kususthali:

Czytywałem *Mahabharatę*, a także inne Purany, jak *Wisznupurana*, w których wyraźnie napisano, iż Dwarka powstała w Kususthali i była otoczona zewsząd przez morze. Krysna przybył do Kususthali i wznosił tam miasto zwane Dwarką, czyli jest tu jakieś miasto jeszcze starsze niż Dwarka.

Najbardziej uderza w tej historii jej potwierdzenie, jakiego dostarczyły prace archeologiczne wokół świątyni Dwarkadisz. Rao warstwa po warstwie odkrywał tam wcześniejsze budowle – pod nią i wokół niej – dochodząc do pokładu z około 1500 roku p.n.e., który znajduje się niemal na poziomie morza. Ruiny, jakie potem znalazł pod wodą, należy jego zdaniem datować na okres bezpośrednio przed 1500 rokiem p.n.e. – powiedzmy, na 1700–1800 p.n.e. lub nawet na okres wcześniejszy – co sugerowałoby, iż miasto, które obecnie otacza świątynię Dwarkadisz i schodzi w dół, aż do Gomati Ghat, powstało na miejscu starszego, leżącego teraz pod wodami zatoki.

Z kolei miasto to – zbudowane przez Krysnę – znajduje się tam, gdzie według legendy było jeszcze starsze osiedle ludzkie Kususthali:

GH: Czy ze starożytnych pism wynika, że w zamierzchłej przeszłości w Dwarce istniał ośrodek religijny? Czy może zostało wzniesiony dopiero przez Krysnę?

Rao: No cóż, można tam wyczytać, że [przodek Krysny] zbudował miasto Kususthali i udał się do Brahamaloka [wyższego świata]. A zatem mity mówią, że zanim Krysna przybył, jakieś budowle już w tym miejscu istniały, można więc przypuszczać, że wcześniejsze miasto uznawano za święte.

W miarę jak wzrastał poziom wód morskich, z zupełnie oczywistych powodów odbudowywano zatopione świątynie w najbliższym miejscu nadal znajdującym się ponad wodą. Kiedy kolejna świątynia została zatopiona, ośrodek kultu przenoszono na wyższy, suchy obszar ładu – i tak dalej. Być może, z takim samym zjawiskiem mamy do czynienia w Dwarce: miasto Krysny powstało, aby zastąpić święte miejsce sprzed potopu, które w pismach nosi nazwę Kususthali. A gdy

Dwarkę Kryszny z kolei pochłonęło morze, zastąpiła ją współczesna Dwarka. Powinniśmy więc – poza tym, co zostało z Dwarki Kryszny, jeśli rzeczywiście była to jego Dwarka, jak sądzi Rao – znaleźć starsze ruiny, spoczywające na większej głębokości.

Rok 3102 p.n.e.

Ale czy ruiny odkryte pod wodą przez Rao to w istocie pozostałości po „mieście Kryszny”?

Siedząc tam i wpatrując się w ciemniejące fale, wciągając oszałamiającą woń świętej gandzi, którą wdychają tu wszechobecni sadhu w pomarańczowych szatach zgromadzeni wokół świątyni Samudry i obserwujący zachód słońca, zastanawiałem się, dlaczego Rao określił wiek ruin na 1800 lub 1700 rok p.n.e., twierdząc, iż były one niegdyś miastem Kryszny. Z wyjątkiem jednej, mało znanej legendy tradycja głosi, że Kryszna zmarł w 3102 roku p.n.e.³⁴. Data ta (patrz rozdział 3) równoznaczna jest z początkiem kalijugi.

Ale Rao wybrnął z tej sprzeczności w następujący sposób:

GH: Chodzi też o pewną ważną kwestię. Odejście, czyli śmierć, wcielenia Kryszny – o ile dobrze rozumiem – oznacza koniec poprzedniej epoki (jugi) oraz nastanie kalijugi. Według rozmaitych obliczeń początek tej epoki przypada na około 3100 lat p.n.e.

Rao: Zgadza się.

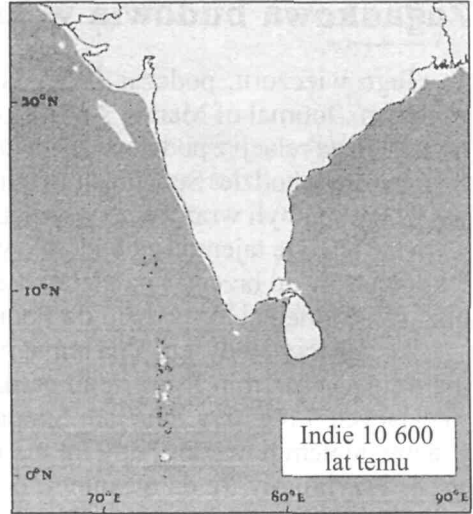
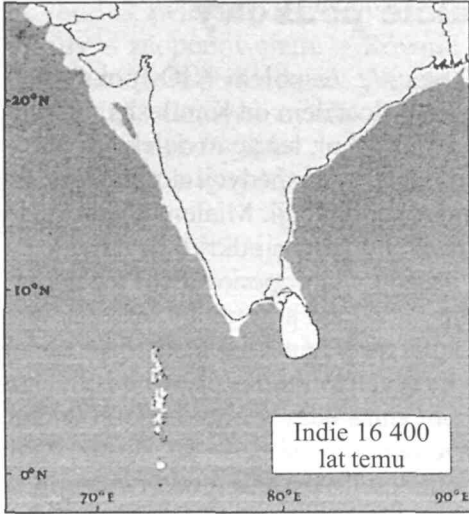
GH: Czy ta data wydaje się panu nie do przyjęcia? Bo przecież zatonięcie Dwarki datuje pan na II tysiąclecie p.n.e.

Rao: Wszystkie dane, jakimi dysponujemy, wskazują na 1700 lub 1800 rok p.n.e., w tym czasie musiało zostać zbudowane znajdujące się obecnie pod wodą miasto. A jeśli tak, to jakim sposobem ta data miałaby być nie do przyjęcia? Mam na myśli 3100 rok p.n.e. Rozważaliśmy tę kwestię w publikacji i stwierdziliśmy, że pewnie znajdziemy jeszcze jakieś świadectwa przeszłości tego miasta. Nie można więc tej wcześniejszej daty całkowicie wykluczyć.

Jeśli znane nam już podwodne ruiny rzeczywiście pochodzą z 1700 lub 1800 roku p.n.e., to gdzie należałoby – zgodnie z logiką – szukać ruin jeszcze starszego miasta, które, jak głosi legenda, zostało zalane przez wielki potop na początku kalijugi w 3102 roku p.n.e.?

Dalej i głębiej

Związek między śmiercią Kryszny i zatonięciem Dwarki a początkiem kalijugi stanowi istotny element indyjskiej tradycji, podobnie jak określenie daty tych wydarzeń na rok 3102 p.n.e.



Wiemy już, że współczesne miasto zwane Dwarką powstało w 1500 roku p.n.e. na wielowarstwowym podłożu, sięgającym obecnego poziomu morza, z „wyraźną warstwą charakteryzującą się erozją wywołaną morską wodą” w najniższym położonym pokładzie – co wskazywałoby na zalanie (być może przez falę pływową?) właśnie w tym czasie.

Wiemy też, że ruiny odkryte pod warstwą znajdującą się poniżej poziomu morza datuje się umownie na 1800–1600 rok p.n.e., choć mogą być późniejsze. Ruiny te rozciągają się na obszarze około 1 kilometra od brzegu.

Jeśli chcielibyśmy odnaleźć ruiny z 3100 roku p.n.e. lub wcześniejsze, o których wspominają legendy, powinniśmy zanurzyć się dalej i głębiej w morze.

W marcu 2000 nie znałem jeszcze map Glenna Milne’a i wyobrażałem sobie, że linia brzegowa stanu Gudżarat w epoce lodowcowej musiała sięgać 5 lub nawet 10 kilometrów od obecnego wybrzeża Dwarki. Tymczasem z tego, co widać na mapach, Dwarka 16 400 lat temu znajdowała się prawie 100 kilometrów od morza i stanowiła część rozległego przedpotopowego obszaru lądowego Gudżaratu, który obejmował także obecne zatoki Kaczcch i Kambajską, a 10 600 lat temu, tuż po gwałtownym podniesieniu się poziomu wód, od morza dzieliła ją wciąż 20 kilometrów, czego dowodem są próbki dna z okresu między 10 000 a 9000 rokiem p.n.e. oraz pojawienie się osad rolniczych u podnóżu Himalajów.

Jeśli gdzieś istniała „strefa zarodkowa”, czy też „schronienie z czasów epoki lodowcowej”, z którego wyszli pierwsi mieszkańcy Mehrgarh i innych „neolitycznych, preceramicznych” społeczności rolniczych północno-zachodnich Indii, to może właśnie tutaj? I czy wolno przyjąć, że potomkowie owych pierwszych osadników, którzy z biegiem czasu stworzyli kulturę Indusu-Saraswati, nadal darzyli wciąż przybrzeżne święte miejsca, odbudowując je w miarę, jak morze wdzierało się coraz bardziej w głąb lądu?

Zagadkowa budowla w kształcie podkowy

Tego wieczoru, podczas pożegnalnej kolacji z zespołem NIO, pokazałem obecnym „Journal of Marine Archeology”, który dostałem od Kamlesha, i otworzyłem go na relacji z podwodnych badań w Poompukur, leżącym daleko na południowym wschodzie. Sundaresh i Gaur brali udział w ekspedycji do Poompukur w 1993 roku i byli wraz z Rao współautorami tej publikacji. Miałem więc okazję wypytać ich o tę tajemniczą budowlę w kształcie podkowy, odkrytą w odległości 5 kilometrów od brzegu i na głębokości 23 metrów. Zaproponowałem też zorganizowanie kolejnej ekspedycji do Poompukur.

Zaczęliśmy od dyskusji na temat mniej kontrowersyjnych – a dla mnie mniej interesujących – ruin Kaweripumpattinam, leżących w strefie pływów i pływiczn sięgających 3 metrów. Zdaniem Sundaresha i Gaura liczyły one około 2000 lat, a ja nie miałem powodów, aby im nie wierzyć.

– Przyjmijmy, że datowanie to dotyczy budowli w strefie przybrzeżnej. Co można znaleźć w głębszych wodach?

Powiedzieli, że odkryli dość rozległe ruiny, mocno zniszczone przez erozję i rozproszone bloki piaskowca na głębokości 7 metrów. Na tym samym poziomie znaleźli również kilka dziwnych, okrągłych kopców, liczących 10 metrów średnicy, utworzonych z otoczków, oraz kilka niewielkich, pionowych kamieni. Poniżej 8 metrów nic nie dostrzeżono, dopiero na głębokości 23 metrów pojawiły się owa podkowiasta budowla i otaczające ją kopce.

– Nie wydaje się wam to dziwne? – spytałem.

Sundaresh i Gaur przyznali, że to rzeczywiście niezwykle, tym bardziej że podwodna budowla w kształcie podkowy musiała zatonać znacznie wcześniej niż przybrzeżne obiekty.

– A o ile wcześniej?

– Może 8000 lat – odparł Gaur po chwili namysłu.

– Jeśli więc obiekty Kaweripumpattinam na głębokości 1–3 metrów liczą 2000 lat, to owa budowla musi pochodzić sprzed 10 000 lat?

– Powiedziałbym, że została zatopiona przez przybierające morze około 10 000 lat temu, może nawet wcześniej. Sądzę jednak, że musi to być jakiś naturalny, geologiczny twór.

Byłem autentycznie zaciekawiony.

– Wszyscy, którzy tam nurkowali, są przekonani, że oglądali dzieło ludzkich rąk. Widziano warstwy kamieni. Tak zresztą przeczytałem w tej relacji – wskazałem palcem „Journal of Marine Archeology” – którą, nawiasem mówiąc, podpisaliście swoimi nazwiskami.

Gaur roześmiał się.

– No tak, ale mam na ten temat własne zdanie i im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem pewien, że to naturalna formacja.

– Ale dlaczego? Jak to udowodnisz?

– Bo to ogromny obiekt, a w Indiach nie istniała wówczas kultura zdolna do zgromadzenia środków i zorganizowania przedsięwzięcia na tak wielką skalę.

– Tak twierdzą historycy starej szkoły – zaoponowałem. – Równie dobrze możesz powiedzieć: „My, archeolodzy, wiemy wszystko o przeszłości i nie pozwolimy, by poglądy sprzeczne z naszymi weszły nam w paradę”.

– Ale to fakt! Nie znamy kultury, która 10 000 lat temu mogłaby stworzyć tak olbrzymią budowlę.

– A jeśli to dzieło kultury, której jeszcze nie znacie? Może ta podkowiasta budowla, niezależnie od tego, do czego służyła, jest pierwszym konkretnym dowodem istnienia takiej kultury? Może gdybyście poszukali dalej i głębiej, znaleźlibyście inne równie wielkie obiekty?

Sundaresh dał w tym momencie do zrozumienia, że nie zgadza się z Gaurem. Powiedział, że jego zdaniem podkowiasta budowla nie może być naturalnym tworem geologicznym.

– Uważam, że została wzniesiona przez ludzi. Widziałem też inny obiekt, kopiec, znajdujący się jakieś 45 metrów dalej na tej samej głębokości. Ułożono go z regularnych, doskonale wyciosanych bloków skalnych.

– Czy mogą pochodzić sprzed 10 000 lat?

– Może nie są aż tak stare. Niewykluczone, że doszło tam do osunięcia dużego obszaru lub podmycia go przez morze.

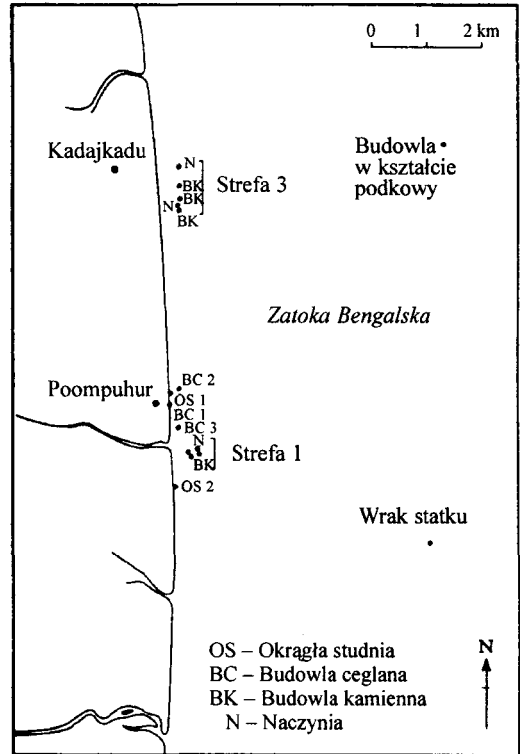
Najwyraźniej jedynym sposobem, by przekonać się o tym i rozwiązać zagadkę, było zanurkowanie, dokonanie szczegółowych pomiarów, przeprowadzenie obserwacji i prac wykopaliskowych w tym rejonie. Problem polegał na tym, że od 1993 roku nie udało się zdobyć funduszy na dalsze wyprawy.

– Nie zamierzacie więc nurkować w Poompuhur w przyszłym roku? – spytałem.

– Nie mamy na to pieniędzy – odparł Kamlesh ze smutkiem. – Gdyby ktoś sfinansował wyprawę, moglibyśmy prowadzić dalsze badania.

Podjąłem wyzwanie.

– Co trzeba zrobić, żeby zdobyć fundusze dla waszego zespołu i zorganizować ekspedycję w ten rejon w tym lub przyszłym roku, w której i ja mógłbym uczestniczyć? Czy przepisy NIO przewidują taką możliwość?



Położenie podwodnych obiektów i znalezisk w przybrzeżnej strefie Poompuhur. Według Rao i in. (1993)

– Teraz, kiedy już cię znają, mogliby się zgodzić – powiedział Kamlesh. – Ja nie widzę przeszkód.

Przez kilka minut robił jakieś obliczenia na serwetce, po czym podał mi kwotę równą produktowi narodowemu brutto niewielkiego europejskiego kraju.

Zaszokowany, niczego nie dałem po sobie poznać. Zapowiadały się długie i trudne negocjacje.

Zagadkowe Czerwone Wzgórze

Ziemia w pobliżu jest nietknięta przez cztery oceany, które jej się burzyć pod koniec jugi i zalały skraj lądów. Kiedy nastąpiło unicestwienie wszystkich żywych istot, gdy wszelkie stworzenie zostało pochłonięte, zachowano tam przyszłe nasiona. Wszelka wiedza, sztuki, bogactwo rzeźby i Wedy są tam naprawdę bezpieczne. Bramini, którzy schronili się u stóp tej góry, zostali wezwani przeze mnie po potopie, a ja kazałem im studiować Wedy i zebrać je razem (...).

Skandapurana

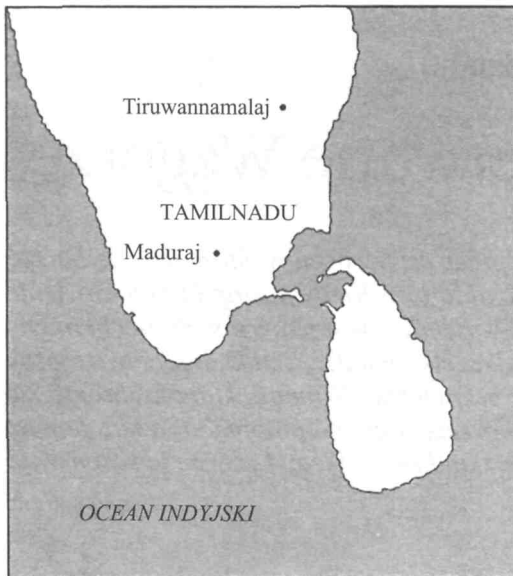
Luty 2000 roku, południowe Indie

Od 5.00 podążaliśmy z Santhą krętą ścieżką ku wznoszącemu się na wysokości 800 metrów szczytowi Arunaczela, świętej góry Tamilnadu. Była już prawie szósta, ale świt nadal nie wstawał. Tylko nasze kroki i odległe piania kogutów mąciły ciszę i bezruch. Za zakrętem ścieżki nagle pojawiły się pod nami światła Tiruwannamalaj, miasta, które przycupnęło u stóp góry. W jego centrum, na wschód od nas, w ciemności i cieniu lśnił duży staw o geometrycznych kształtach, jak ogromne wrota do innego świata. Miejsce to, w którym nie paliły się żadne światła, znaczyło granicę Arunaczeleśwar, jednej z pięciu najważniejszych świątyń Śiwy w Indiach¹. Znaleźliśmy występ skalny i przysiedliśmy na nim, żeby poczekać na wschód słońca...

Gdy swego czasu urzekła mnie swoim magnetyzmem i charyzmą postać „proto-Śiwy” na pieczęci z Mohendzo-Daro, zdałem sobie sprawę, że Śiwa jest w Indiach wszechobecny. Nawet w Dwarce, gdzie czci się Krysznę, też znajduje się piękna świątynia Śiwy. Ale najwięcej wyznawców ma on na południu, wśród mówiących po drawidyjsku mieszkańców Tamilnadu. Tiruwannamalaj to jeden z największych autentycznych ośrodków jego kultu.

W hinduizmie niewiele jest pojęć prostych czy takich, jakie się na pierwszy rzut oka wydają: tożsamości zmieniają się i zlewają, wciąż natrafiamy na sprzeczności, jedna istota zastępuje drugą, bogowie jawią się w rozmaitych postaciach, panuje ciągła dwuznaczność. Wszystko to znajduje wyraz w starodawnej legendzie o wielkiej świątyni Śiwy w Arunaczela:

Najwyższa Istota, Ocean Łaski, Władca Śiwa miał kiedyś życzenie: „Chcę się stać mnogością”. Zgodnie z tym życzeniem pojawili się samoistnie Brahma i Wisznu. Zlecono im zadanie stworzenia światów i ich ochranianie. Ale zamiast przestrzegać wyznaczonych im przez Władcę obowiązków, powodowani egoizmem



zaczęli się kłócić, doprowadzając do poważnego konfliktu. Widząc, z jaką wściekłością walczą z sobą nawzajem, Władca Współczucia położył temu kres, jawiąc się w postaci, która zakończyła kłótnię².

Śiwa ukazał się w miejscu, w którym obecnie znajduje się Arunaczela, w postaci nieskończonej kolumny jarzącego się światła, które przebijało ogniem niebo i wnikało w wszechświat. Ujrawszy tę oślepiającą i przerażającą wizję, Brahma i Wisznu nie spokornieli, lecz wszczęli rywalizację o to, który pierwszy dostrzeże „początek lub koniec” kolumny³. Ale żadnemu się to nie udało. W końcu Śiwa wyłonił się z blasku⁴.

Czytamy potem o innych nieoczekiwanych zwrotach akcji, lecz wreszcie Śiwa wybacza Brahmie i Wisznu, nakazując równocześnie: „Doglądajcie dalej czujnie dzieła stworzenia i dbajcie o nie, nie zapominając o mnie”⁵. Potem oznajmia, że świetlista kolumna pozostanie na wieki w tym miejscu w postaci ziejącej ogniem góry:

Blask mojej woli będzie jaśniał jako wieczna i niezmienna Arunaczela. Oceany jej nie zaleją nawet wówczas, gdy nadejdzie czas wielkiego potopu. Wichry nią nie wstrząsną, a niszczący świat ogień jej nie strawi.

Usłyszawszy te słowa, Brahma i Wisznu pokłonili się z pokorą Śiwie prosząc: „Ostoję Wszechświata! Niechaj to Wzgórze stanie się opoką świata, jak rzekłeś. Zmniejsz tylko jego Blask, o Rudro, aby można go było znieść, lecz niech zachowa swą bezgraniczną chwałę i pozostanie symbolem pomyślności”⁶.

W odpowiedzi na modły Brahmie i Wisznu „Śiwa stłumił oślepiający blask swej obecności w postaci kolumny, przemieniając się w ciemną górę”⁷ – „Czerwone Wzgórze” Arunaczeli, o której wieść niesie: „Podobnie jak my utożsamiamy się z naszym ciałem, Władca Śiwa utożsamia się z tym Wzgórzem, gdzie czerwona barwa skał symbolizuje pierwotny ogień”⁸. Brahma i Wisznu zaklinali Śiwę:

Choć czerwone wzgórze istnieje dla dobra wszystkich, nikt nie może go czcić bez twojej łaski (...). Prosimy cię zatem, byś przyjął także formę lingi na wschodnim stoku Wzgórze, byśmy mogli składać ci cześć⁹.

I znów Śiwa spełnił ich życzenie, a cudowna kamienna kolumna – Śiwalinga, czyli falliczny symbol Śiwy – ukazała się u stóp góry po jej wschodniej stronie.

Pragnąc wyrazić swą wdzięczność, Brahma i Wisznu rozkazali Wiswakarmie, boskiemu architektowi, by zbudował wokół kolumny świątynię – pierwotny przybytek Arunaczeleśwar.

Świątynia znajdująca się tam obecnie pochodzi z późniejszych czasów. Wierni jednak utrzymują, że kamienna linga stoi od zawsze, gdyż „sama się wyłoniła” na początku czasu i nadal wznosi się w najświętszym miejscu, nieprzerwanie czczona przez miliony pielgrzymów jako znak i dowód obecności Śiwu na ziemi¹⁰.

Surowość

Widzieliśmy słońce wstające na południowym wschodzie. Najpierw oświetliło dziewięć piramidalnych gopuramów, które otaczają kompleks świątynny, następnie pogrążone w cieniu place, krużganki i świątynię. Kiedy blask latarni zbladł w poświacie dnia, zobaczyliśmy za świątynią równinę ciągnącą się aż po horyzont, a jej monotonną płaszczyznę przecinały tu i tam pojedyncze stożkowate pagórki.

Podjęliśmy wspinaczkę na Arunaczelę. Nie jest to wzgórze szczególnie wysokie, lecz bardzo strome, a wijąca się ścieżka – dość długa. Po godzinie wciąż byliśmy poniżej szczytu. Słońce już zaczęło przypiekać, jałem żałować, że zabraliśmy tylko jedną butelkę wody. Pociągnęliśmy po łyku, spoglądając z tej wysokości na odległe wieże Arunaczeleśwar. Wyłaniająca się z porannej mgły świątynia wyglądała jak baśniowe zjawisko z innego świata. Trudno się dziwić, że tradycja przedstawiała ją jako dzieło samych bogów, wzniesione u zarania obecnego cyklu czasu.

Po chwilowej przerwie wspinaliśmy się dalej. Kiedy ponownie spojrzeliśmy w górę, ujrzeliśmy smukłego, lecz muskularnego młodzieńca o długich zmierzwionych włosach, czole naznaczonym popiołem i w pomarańczowej szacie sadhu. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na skalnym stoku tuż nad nami. Zdawał się nas nie dostrzegać, lecz gdy Santha powitała go po tamilsku, odpowiedział nawet dość przyjaźnie.

Minęliśmy go i poszliśmy dalej. Gdy w parę minut później obejrzałem się za siebie, nie siedział już na skale, lecz podążał za nami – milczący i bosi. Potem, bez najmniejszego wysiłku, zwiększył tempo, wyminął nas i wkrótce zniknął za zakrętem ścieżki, chowając się za kopcem otoczków.

Domyśliłem się, iż jest jednym z wyznawców Narajany Śwamiego, legendarnej już niemal postaci, którego miałem nadzieję spotkać. Mówiono, że pozostaje w pobliżu szczytu Arunaczele od 10 lat, nie jedząc stałych pokarmów, pijąc jedynie niewielkie ilości mleka i herbaty przynoszonych mu przez akolitów.

Poddając się takim surowym regułom (tapa), które obejmują zadania przyjemne, jak przedłużany stosunek bez ejakulacji, po znacznie mniej przyjemne – na przykład nieustanne trzymanie ręki wzniesionej nad głową przez dziesiątki lat – wielcy joginowie, jak Narajana Śwami, podobno wytwarzają szczególną siłę nadnaturalnego „gorąca”:

Ryszi poddający się regułom tapa wytwarza w ciele gorąco. Jest ono tak silne, że samo przeobraża się w Ogień, spalając światy i opromieniając ich własne ciała światłem z niego emanującym. Praktykując tapa potrafią stać się niewidzialni, chodzić po wodzie i fruwać; w *Jogasutra* wymienia się wiele takich umiejętności osiąganych dzięki uprawianiu ćwiczeń jogi. Oprócz potęgi „fizycznej” zdobywa się również wiedzę o poprzednim istnieniu i poznaje myśli innych¹¹...

Surowa dyscyplina fizyczna i umysłowa, jakiej wymaga tapa, stanowi również podstawowy krok na drodze do wyzwolenia się od śmierci. Tak więc dzięki nim Siedmiu Ryszi z Wed posiadło

zdolność odmładzania się, leczenia chorób i przywracania życia zmarłym. Jednym z celów praktykowania tapas było wejście do świata nieśmiertelnych i osiągnięcie nieśmiertelności. Podobno nawet bogowie i demony stosowali te praktyki, żeby uniknąć śmierci¹².

John E. Mitchiner, specjalista od tradycji Siedmiu Ryszi, przyznaje, że „w całej indyjskiej literaturze Rsi przypisuje się takie zdolności”¹³.

Ale dlaczego? Skąd wzięła się legenda o nadzwyczajnych zdolnościach ryszi, która przewija się w całej historii Indii, dlaczego zawsze praktykują jogę, prowadzą surowy tryb życia i medytują, by osiągnąć taką moc? Czy to tylko fantazja starożytnych bajarzy? A może za tymi legendami kryją się jakieś fakty?

Nie spodziewałem się, że Narajana Śwami odpowie mi na te pytania, ale mimo to byłem ciekaw kogoś, kto mógł przez 10 lat odżywiać się wyłącznie mlekiem i herbatą, mieszkając na szczycie góry. Poza tym wiedziałem, iż jego obecność tutaj symbolizuje inną tradycję, znaną z tamilskich tekstów *Arunaczela Mahamatmajam* (Sława Arunaczeli) i głoszącą, że sam Śiwa zawsze siaduje pod drzewem na szczycie góry w przebraniu siddhaj.

Śiwa przebywa tu zawsze jako siddha zwany Arunagirijogi, nosząc jedynie przepaskę na biodrach, z włosami i czołem posypanymi wibuti [świętym popiołem]¹⁴.

Po tak długim pobycie w Indiach bez trudu rozumiałem już, jak Śiwa mógł w tym samym momencie być falliczną kolumną w świątyni u stóp góry, ascetą medytującym pod drzewem na jej szczycie i samą górą, gdyż powiedziano, iż „w przeciwieństwie do innych gór, które stały się święte, ponieważ Władca w nich zamieszkał [na przykład Kajlasa w Himalajach], Arunaczela jest samym Władcą Śiwą”¹⁵.

Ostoja świata

W północnoindyjskiej legendzie o potopie czytamy, że Manu i Siedmiu Mędrców, którzy uciekli w Himalaje, uczyli ludzi uprawy ziemi i mądrości Wed

w „Krainie Siedmiu Rzek” między Indusem a Gangesem. Na południu tamilska tradycja zapisana w *Skandapurana* mówi, że miejscem ucieczki i ośrodkiem późniejszego nauczania była góra Arunaczela, którą Śiwa zabezpieczył i zapowiedział, iż „oceany jej nie zaleją nawet wówczas, gdy nadejdzie czas wielkiego potopu”¹⁶:

Ziemia w pobliżu jest nietknięta przez cztery oceany, które jęły się burzyć pod koniec jugi i zalały skraj łądów. Kiedy nastąpiło unicestwienie wszystkich żywych istot, gdy wszelkie stworzenie zostało pochłonięte, zachowano tam przyszłe nasiona. Wszelka wiedza, sztuki, bogactwo rzeźby i Wedy są tam naprawdę bezpieczne. Bramini, którzy schronili się u stóp tej góry, zostali wezwani przeze mnie po potopie, a ja kazałem im studiować Wedy i zebrać je razem... Mędrcy przestrzegający rytuałów, którzy skryli się w jaskiniach tej góry, lśnią matowymi włosami. Mają jasność stu tysięcy słońc i ogni¹⁷(...).

Purany mówią także, że Siedmiu Mędrców (którzy po potopie zapoznawali ludzi z Wedami) odwiedzało Arunaczela¹⁸. Kiedy tak wspinaliśmy się z Santhą, przechodząc przez strefę mgły, a następnie przez mroczną przełęcz, doszedłem do wniosku, iż ta góra z czerwonego granitu, która musiała należeć do najstarszych formacji skalnych na świecie¹⁹, nigdy nie została zalana podczas polodowcowych topnień. Nawet w najgorszych czasach wielka fala pływowa nie dotarła tak daleko w głąb łądu ani na taką wysokość.

A więc Arunaczela mogła uchodzić za miejsce bezpieczne i „ostoję świata” w okresie gwałtownych i nieprzewidywalnych wzrostów poziomu morza wokół wybrzeży południowych Indii. Zapisala się w pamięci starożytnych, podobnie jak położone daleko na północy Himalaje. Była miejscem, w którym „przyszłe nasiona” przetrwały dla dobra ludzkości, stała się schronieniem dla mędrców, którzy przechowali tu bezcenną wiedzę Wed, by ją potem upowszechnić.

Mistrz wszechwiedzy

Śiwa, bóstwo o wielu wymiarach, znany jest w całych Indiach od bardzo dawna. Wiemy, że jego wyobrażenie jako medytującego chudego, nagiego, potężnego Władcy Jogi, istnieje co najmniej od czasów kultury Indusu-Saraswati, czyli powstało najpóźniej 4700 lat temu. To samo dotyczy jego wcielenia w stożkowy fallus lub kamienną kolumnę, co potwierdziły wykopaliska w tym rejonie²⁰. Śiwa to także jedno z pierwszych bóstw *Rygwedy*, znane tam jako Rudra. Obu tych imion używa się wymiennie (albo razem, w formie „Rudra-Śiwa”) w wielu starożytnych indyjskich księgach²¹. *Jadźurweda* tak się do niego zwraca: „Twoje imię jest Śiwa [łaskawy, łągodny]”²².

Podobnie jak Śiwa, Rudra jest zarówno przerażający, jak i wspomagający²³. Mówi się, że ma dwie natury, czyli dwa „imiona”: jedno to okrutny i dziki (rudra), drugie – łągodny (śiwa) i spokojny (santa)²⁴.

Podobnie jak Śiwa, Rudra to „mieszkaniec gór”²⁵ o „niebieskiej gardzieli”²⁶ i opisuje się go jako „Triambaka” („Trzecie Oko”)²⁷. Podobnie jak Śiwa, Rudra z Wed ma jasną, białą cerę²⁸ (lecz niekiedy przedstawiany bywa jako „czerwony”²⁹), jest wielkim Joginem i Władcą Zwierząt³⁰. Podobnie jak Śiwa, Rudra nosi długie, splecione i (lub) matowe włosy oraz dysponuje mocą uzdrawiania³¹. Podobnie jak Śiwa, Rudra kojarzy się z ogniem³². I podobnie jak Śiwy, symbolem Rudry w późniejszej tradycji wedyjskiej jest sthanu, czyli „słup” albo „filar”, oznaczający „bezczasowy, nieruchomy stan samadhi, w którym trwa Władca Jogi”³³.

Ale przede wszystkim Rudra-Śiwa to Bóg Wszzechwiedzy, intuicji i wewnętrznej mądrości (dżinana – gnoza). Dlatego w Księdze VIII *Rygwedy* czytamy: „Umysł Rudry, świeży i mocny, przenosi świadomość starodawnymi sposobami”³⁴.

Z tego powodu Śiwę w sztuce religijnej hinduizmu często przedstawia się jako Dżinana-Dakszinamutri, Mistrza Wszzechwiedzy, „siedzącego pod drzewem na Górze Kajlasa, ze stopami opartymi na karle, który symbolizuje ludzką niewiedzę”³⁵.

Najwyższa wiedza dla najpokorniejszego

Szczególna natura Rudry-Śiwy jako Boga Wiedzy w postaci potężnego ryszi o zmierzwionych włosach, który żyje w górach i dzikich ostępach, wpisuje się w subtelny i złożony system wierzeń i ideologii, bardzo starannie przemyślany i (sądząc po wieku pieczęci z Mohendżo-Daro) bardzo stary. Oświecenia i prawdziwej wiedzy nie można osiągnąć, nie opanowawszy emocji i nie wyrzekłszy się dóbr materialnych, a przynajmniej „przywiązania” do nich. I na odwrót – bogactwo i uroda nic nam nie mówią o stanie ducha i umysłu danej osoby. Zapewne dlatego bogowie, którzy szukają u Śiwy porady, znajdują go w „otoczeniu mnóstwa wyznawców, a wszyscy są nadzy, zdeformowani i mają zmierzwione włosy”³⁶.

Orientalista Alain Danielou pisze:

Już Wedy przedstawiają Rudrę żyjącego w lasach i górach, władającego zwierzętami oswojonymi i dzikimi. Mitologia przedstawia Śiwę jako bóstwo życia, strażnika ziemi, który wędruje nago przez gęste lasy, zmysłowy i silny. Przekazuje on swym najpokorniejszym uczniom najwyższą i najświętszą wiedzę³⁷.

Koncepcja, że prawdziwa mądrość nie stroi się w piękne szaty, zawarta jest również w innej przypowieści o Brahmie, Wisznu i Śiwie. Dwaj pierwsi znowu spierają się o to, który z nich jest największy:

Tak więc Wisznu i Brahma spierali się i w końcu uznali, że ich spór powinny rozstrzygnąć Wedy. One zaś mówią, iż Śiwa jest stwórcą, obrońcą i niszczycielem. Usłyszawszy te słowa Wisznu i Brahma, wciąż błędzący w złudzeniach, rzekli: „Jak ten władca chochlików lubujący się w cmentarzach, nagi po-

bożniś pokryty popiołem, wymizerowany, mający na głowie splątane kędziory ozdobione wężami, mógłby być najwyższą istotą?³⁸

Odpowiedź brzmi: skoro Rudra-Śiwa rzeczywiście jest najwyższą istotą, może przyjąć dowolną postać. Jeśli tak chce, smaruje się popiołem oraz sprzymierza z biednymi i pokornymi, którzy mają czyste dusze. Profesor Stella Kamrishi pisze:

Śiwa pozostaje obok panteonu wedyjskich bóstw. Można go rozpoznać po dziwnym wyglądzie, jakby był szalony. Wydaje się biedny i zaniedbany, nie dba o siebie; inni bogowie gardzą nim, lecz on celowo pozwala się hańbić i cieszy się z ich pogardy, gdyż „kto jest wzgardzony, ten żyje w szczęściu, wolny od wszelkich związków”. Srogi dla siebie, żyjący w upokorzeniu Władca jest joginem. Prowokuje, by wypróbować swoje opanowanie i dowieść braku przywiązania do czegokolwiek³⁹.

Za koncepcją Rudry-Śiwy jako Boga Wiedzy idzie zatem pewna idea, bardzo spójna – a może nawet system idei. Cała jego wiedza i moc pochodzą z medytacji, surowego trybu życia i złożenia siebie samego w ofierze. To samo można powiedzieć o Siedmiu Ryszi z Wed. John Mitchiner zauważa, że oni także

(...) wcierają w swoje ciała popiół, nie obcinają zmatowiałych włosów, związuje je w węzeł: innymi słowy, wyglądają jak wielu innych ascetów, zwłaszcza Śiwa⁴⁰.

Bhagwatapurana głosi, że najwięksi mędrcy „przemierzają świat w przebraaniu szaleńców”, głosząc mądrość⁴¹.

Warto więc każdemu okazywać szacunek i słuchać uważnie słów każdego człowieka. Wygląd może być zwodniczy, nigdy nie wiemy, z kim mamy do czynienia.

Gdy duch oddawał się takim rozważaniom, moje zmęczone ciało wspinało się jeszcze przez kilka metrów dzielących nas od granitowego usypiska, na którym stała Arunaczela, a potem grząską ścieżką nad stromym urwiskiem, wiodącą do siedziby Narajany Śwamiego.

Herbata i modły

Ryszi nie przebywa na samym szczycie, gdyż upiekłby się w świętym ogniu, który w grudniu każdego roku jest tu rozniecany dla upamiętnienia świetlistej kolumny Śiwy. Jego pustelnia znajduje się w otoczonej drzewami altance, o kilka minut marszu od szczytu. Opiekował się nim ów młodzieniec, który minął nas w drodze, a także czterech innych ascetów (Śiwaryszi) odzianych w pomarańczowe łańchmany. Stali teraz po obu stronach grząskiej ścieżki i witali nas.

Młodzi akolici dali nam do zrozumienia, że powinniśmy zdjąć obuwie, gdyż wkraczamy na świętą ziemię, po czym dali znak, byśmy podążyli za nimi w róg

altanki, gdzie Narajana Śwami siedział już prawdopodobnie od 10 lat. W półmroku, wśród brzęku szerszeni, dostrzeżliśmy coś w rodzaju namiotu, jakby przybudówki z plastiku, skrytej pod nawisłymi gałęziami drzew.

Nie udało się nam stanąć twarzą w twarz z ryszi, owym wcieleniem Śiwy, a cóż dopiero porozmawiać z nim. On w ogóle do nikogo się nie odzywa, a przynajmniej nie w żadnym znanym języku, choć od czasu do czasu mamrocze coś i pomrukuje bez związku do swych uczniów, którzy wydają się go rozumieć. Ujrzeliliśmy jedynie szczupłą, lecz silne ramię o pomarszczonej skórze oraz kościste palce rysujące w błocku przed plastikowym namiotem jakieś znaki. Błota było tam dużo. W rozpadlinach skalnych stały kałuże.

Musieliśmy usiąść w błocie, a akolici przynieśli nam brudne skorupy orzecha kokosowego z czymś, co nazwali herbata, którą pobłogosławił ryszi. Do tej letniej herbaty dołożyli długie na palec kawałki masła i zaprosili do wypicia. Wypiliśmy, choć z niejaką obawą (cały czas myślałem o amebie). Potem były modły przypominające nam, że herbata została pobłogosławiona, aby uzdrowić nasze ciała. Potem znowu herbata i kolejne modły. Następnie podano nam zimny i tłusty napój ziołowy z pływającymi w nim listkami, także pobłogosławiony przez ryszi. Wypiliśmy. Znowu modły, potem kolejna herbata doprawiona masłem i pasożytami.

Po tej ceremonii jeden z akolitów poprosił, żebyśmy ruszyli za nim po kolistej ścieżce, zgodnie z ruchem wskazówek zegara (obejście kręgu zabierało nam za każdym razem 20 lub 30 sekund). Ścieżka biegła wewnątrz altany, przed schronieniem Narajany Śwamiego. Potem uklękliśmy w błocie, a czoło posmarowano nam świętym popiołem. Następnie znowu dreptaliśmy wkoło, przy akompaniamencie murmuranda „Śiwa, Śiwa, Śiwa, Raga Ra, Raga Ra”.

Dziwne. Wcale nie wprosiliśmy się na ceremonię i – co dość niezwykle w Indiach – nie zażądano od nas pieniędzy za udział w niej.

Arunaczela i Kumari Kandam

Kiedy po południu schodziliśmy w dół, zastanawiałem się, czy Narajana Śwami jest obłąkany. A może należy do tych wielkich ryszi, w których płonie wewnętrzny ogień tupa, którymi świat gardzi jako szaleńcami, gdy tymczasem oni przekazywali wiedzę? Uznanie go za mędrca, gdy w rzeczywistości byłby obłąkany – to szczyt naiwności, lecz branie go za szaleńca, jeśli jest mędrce, wydaje się jeszcze większym błędem. A poza tym, kimkolwiek był, jego obecność świadczyła o ciągłości tradycji indyjskiej głoszącej, iż w górach przechowywano po potopie mądrość Wed i tu bractwo ascetów kultywowało wiedzę będącą „nasieniem przyszłości”.

Pragnąłem dowiedzieć się, czy Arunachela ma coś wspólnego z tajemniczym łądem zwanym Kumari Kandam, który tysiące lat temu został pochłonięty przez ocean. Kiedy w lutym 2000 przyjechaliśmy z Santhą do Tiruwannamalai, znałem już kilka szczegółów tej tradycji, która wśród 200-milionowej populacji indyj-

skich Tamilów jest bardzo popularna, lecz prawie zupełnie nieznaną poza Indiami. Miałem nadzieję zdobyć więcej informacji od pewnego tamilskiego pandita, emerytowanego kapitana statku, który poświęcił się kontemplacji i przebywał obecnie w aśramie Śri Ramany Maharysziego u stóp Arunaczeli, 2 kilometry od świątyni.

Lachmany, garnuszek na wodę i laska

Maharyszni oznacza „wielki ryszy”, a Śri Ramana wydaje się godny tego tytułu pod każdym względem. Podobnie jak Narajana Śwami, przez kilka lat począwszy od 1896 roku żył na stokach Arunaczeli. W owym czasie:

(...) całkowicie zapomniał o potrzebach swego ciała i o świecie; owady zjadły mu sporą część nóg, ciało wyschło, gdyż rzadko był na tyle świadomy, żeby coś zjeść, a włosy i paznokcie urosły mu do niewyobrażalnej długości⁴².

Umartwienia pozwoliły mu na niezwykle duchowy rozwój. Śri Ramana uświadomił sobie, iż prawdziwą naturą człowieka jest „pozbawiona formy, immanentna świadomość”⁴³. Po dwóch lub trzech latach przebywania w tym stanie Śri Ramana „jął z wolna powracać do fizycznej normalności, ale trwało to kolejnych kilka lat”⁴⁴. W tym okresie zaczęli gromadzić się wokół niego wyznawcy, a w chwili śmierci w 1950 roku:

(...) powszechnie uznawano go za najświętszego człowieka w Indiach. Przyjmował odwiedzających przez 24 godziny na dobę, żyjąc i śpiąc we wspólnej sali, do której każdy miał dostęp, a jedyny jego majątek stanowiły lachmany, garnuszek na wodę i laska⁴⁵.

Po śmierci Śri Ramany jego aśram nadal przyciągał wiernych. Obecnie jest rozbudowanym ośrodkiem z doskonale wyposażoną biblioteką, przestronnymi biurami, jedno- i wieloosobowymi pokojami, stołówką i piękną salą modłów. Pandit, z którym zamierzałem się spotkać, kapitan A. Naryan, wysoki, muskularny brodaczonek trochę po siedemdziesiątce, od razu zastrzegł, że nie uważa się za wielkiego uczonego, lecz interesuje się tamilską tradycją, którą teraz, będąc na emeryturze, ma czas poznawać. Spodziewa się, że choć niewiele wie, może mi pewne sprawy wyjaśnić. Spytałem, jak powinienem się do niego zwracać.

– Wszyscy nazywają mnie Kapitanem – odparł.

Tak stara, jak wzgórze

Zaczęliśmy rozmawiać o historii Arunaczeli, a przede wszystkim o tym, że nie zatopią jej nawet wody wielkiego potopu pod koniec świata.

– Można więc przyjąć, iż tak samo było w przeszłości? – powiedziałem na poły pytająco, na poły stwierdzająco. – Pod koniec każdego cyklu jugi następuje czas zniszczenia, ale Arunaczela powinna go przetrwać?

Kapitan skinął z namysłem głową.

– Tak więc jest to środek wszystkiego – ciągnąłem. – Chciałbym się dowiedzieć, gdzie przebiega granica między historią a tym, co działo się wcześniej. Historycy wiedzą, że w świątyni na Arunaczeli znajdują się dokumenty opisujące jej budowę, a sama świątynia w obecnym kształcie liczy mniej niż 1000 lat, przy czym niektóre jej fragmenty pochodzą sprzed 2000 lat. Lecz w samym jej środku znajduje się Śiwalingai, podobno znacznie starsza. Czy mógłby pan opowiedzieć mi o tej lindze, która jakoby „sama się stworzyła”? Co to oznacza?

– Oznacza to – odparł Naryan – że nie została wykonana przez ludzi, jak inne lingi. Są takie, które wyrosły z ziemi, nie będące dziełem człowieka, lecz zachowujące te same proporcje, szerokość, obwód i wysokość. Tak więc, podobnie jak Śiwalingi stworzone przez ludzi, zachowują właściwe wymiary.

– Wygląda zatem, jakby stworzył ją człowiek, ale to tylko pozór?

– Tak – potwierdził Kapitan. – Jest doskonalsza. I musi być tak stara, jak sama Arunaczela. Purana powiada, że najważniejsi bogowie błagali najwyższą istotę: „Ponieważ śmiertelnicy nie mogą cię widzieć w całym blasku, powinienes przyjąć postać, która nie błyszczy. Nawet jeśli przyjmiesz postać góry, tylko chmury mogą cię namaszczać, tylko słońce i księżyc będą cię oświetlać. Ale musimy czynić puja [modły, ofiary] przed tobą, przybierz więc postać mniejszej lingi”. Wtedy Arunaczela przychylił się do ich pragnień mówiąc, iż pojawi się w postaci lingi, którą mogą czcić.

– I ta właśnie linga znajduje się w świątyni?

– Tak.

– Rzeczywiście, naturalnie uformowana linga jest równie stara jak wzgórze. Dawno temu ludzie je znaleźli, zaczęli traktować jak obiekt kultu, a wokół zbudowali świątynię. Chciałbym się dowiedzieć, kiedy zaczęto czcić tę naturalną lingę. Zapewne na długo przed powstaniem świątyni?

– Naturalnie. Purany mówią, że to bogowie wzniesli świątynię wokół lingi Władcy. Najważniejsi bogowie, Brahma i Wisznu, zbudowali świątynię, a boski budowniczy Wiśwakarma stworzył miasta wokół tego miejsca, czyli Arunaczeli.

Miasta bogów

Znałem już mit o Arunaczeli w postaci, w jakiej przedstawiają go tamilskie Purany⁴⁶, i wiedziałem, że przypominają podobne legendy z całego świata głoszące, iż świątynie i miasta zostały wzniesione przez bogów⁴⁷. Częstokroć – jak w przypadku starożytnych egipskich tekstów z Edfu – tradycja mówi, że bogowie bardzo starannie wybierali miejsca, gdzie owe obiekty miały stanąć, a odbywało się to po jakimś wielkim kataklizmie, przeważnie po potopie⁴⁸. Ale tego wątku

w Puranach nie znalazłem – miasta wokół Arunaczeli nie zostały wzniesione przez bogów. Niemniej motywem przewodnim tej historii jest niezniszczalność Czerwonego Wzgórza, bo ono, jak czytamy, ostatecznie się katastrofom, jakie wiążą się z końcem świata: „Oceany nie pochłona go, nawet gdyby nastąpił wielki potop”⁴⁹. Zacząłem tu właśnie szukać skojarzeń z mitem o Kumari Kadam.

– Z jakiego okresu, pańskim zdaniem, pochodzą wspomnienia o bogach, którzy zbudowali pierwszą świątynię i miasta wokół Arunaczeli? – spytałem Kapitana. – Jeśli powstały w tym samym czasie, w którym uformowały się góra i linga, musiało się to zdarzyć bardzo dawno temu.

– Geolodzy twierdzą, że 3,5 lub 2,5 miliarda lat temu Arunaczela przybrała postać góry. Ale to zbyt dawno, wówczas na pewno nie wzniesiono ani świątyni, ani miasta, bo przecież człowiek pojawił się dopiero 100 000 lub 200 000 lat temu. Nie może więc być mowy o jakichkolwiek „wspomnieniach” z wcześniejszych epok.

– Ale jeśli założymy, iż owe „wspomnienia” nie są wymysłem bazarzy, geolodzy mogliby znaleźć przynajmniej jakieś ślady miast bogów?

Kapitan wzruszył ramionami.

– Pewnie w okresie poprzedniego kataklizmu pozostałości tych miast zostały gdzieś głęboko ukryte i może odnaleźlibyśmy je, gdybyśmy dalej kopali w ziemi. Wie pan – dodał – Arunaczela znajduje się na ziemi drawidyjskiej, a nasz język liczy ponad 10 000 lat.

Potem powiedział mi, że Czerwone Wzgórze w większości starożytnych tekstów tamilskich nosi nazwę *Tolkappijam*⁵⁰, co oznacza, że pochodzi ona ze znacznie starszych pism, obecnie nieznanymi, te zaś z kolei stanowiły część jakiegoś archaicznego zbioru, którego kompletowanie zaczęło się ponad 10 000 lat temu – zbioru legendarnego Pierwszego Sangamu – czyli „Akademii” – zaginionej tamilskiej cywilizacji Kumari Kadam, pochłoniętej przez – jak to określił Kapitan Naryan – „wielką erupcję morza”.

A jednym z członków owego Pierwszego Sangamu (tu Kapitan po raz pierwszy bezpośrednio nawiązał do historii Arunaczeli) był sam Śiwa⁵¹, bóg góry, bóg jogi praktykujący tapa pod drzewem na szczycie góry, bóg kosmicznej wiedzy skondensowanej w lindze u stóp góry.

Akademie bogów

Odprowadzając nas po południu do bramy aśramu Śri Ramany, kapitan Naryan dał mi nazwisko i numer telefonu przyjaciela, który mógłby mi pomóc w Maduraj, drugim ośrodku kultu Śiwy na południu Indii, gdzie się wybieraliśmy. Pracują tam – mówił – profesorowie uniwersyteccy (Maduraj zawsze było znane z wysokiego poziomu szkół i uczelni), którzy będą mogli powiedzieć więcej o Kumari Kadam i tradycji Sangamu. W żadnym innym miejscu nie uzyskam więcej informacji na ten temat, gdyż samo Maduraj jest częścią tej tradycji, będąc siedzibą Trzeciego Sangamu...

– Proszę potwierdzić, że prawidłowo rozumię – spytałem przy rozstaniu. – Pierwszy Sangam istniał wiele tysięcy lat temu i został zatopiony. A więc zalaniu uległo całe miasto?

– Zgadza się. Zostało całkowicie zalane przez morze.

– Jak nazywało to miasto?

– Tenmaduraj, co znaczy „Południowe Maduraj”, ponieważ znajdowało się w południowej części Kumari Kandam. Kiedy przestało istnieć, na siedzibę Drugiego Sangamu wybrano miasto Kapatapuram, leżące dalej na północ. Przetrwało kilka tysięcy lat, lecz i ono zostało zatopione. Nasze najstarsze teksty, *Tolkappiam*, są dziełem Drugiego Sangamu.

– A potem?

– W końcu, gdy już całe Kumari Kandam znalazło się pod wodą, w Maduraj powstał Trzeci Sangam. Miasto nazwano Uttara Maduraj, czyli „Północne Maduraj”.

Linga czy pępek?

Zanim wyjechaliśmy z Tiruwannamalai, poszliśmy jeszcze do świątyni Arunacześwar, żeby popatrzeć na Władcę Śiwę w postaci lingi.

Idąc boso przez kruczanki i otwarte dziedzińce, mijaliśmy rzędy biednych, bezdomnych i głodnych ludzi, w większości odzianych w łachmany – tu matka z wyschniętą piersią, którą usiłuje ssać niemowlę, tam znów stary, niewidomy człowiek, ówdzie inwalida, obok trędowaty – cierpliwie czekających na miszkę darmowej zupy.

Spojrzawszy w górę, ujrzeliśmy poszarpany, czerwony szczyt Arunaczeli otoczony wysokimi wieżami gopuramów, znaczących główne wejścia do świątyń. Ich piramidalne, strome sylwety i ustawienie w szyku parami naprzeciwko siebie wokół geometrycznego głównego dziedzińca, jak również skala całej budowli przypominały mi Tikal, miasto Majów w Gwatemali oraz Angkor Thom i Angkor Wat w Kambodży. Przyznaję, że od dawna zastanawiało mnie, jak to się dzieje, iż najstarsze miejsca kultu na świecie – w Europie, Egipcie, Izraelu, Mezopotamii, Indiach, Azji Południowo-Wschodniej, Chinach, Japonii, Ameryce Środkowej i w Andach – mają geometryczne kształty? I w jaki sposób wiąże się to z religią? Z pewnością w starożytności wielcy myśliciele pytani, czym jest Bóg, odpowiadali podobnie jak św. Bernard z Clairvaux: „Jest długością, szerokością, wysokością i głębokością”⁵².

Wszystkie hinduistyczne świątynie są po trosze cyrkami. Natknęliśmy się na pomalowanego słonia, spoglądającego na świat żółtymi oczyma, przywiązanego w otoczonym kamiennymi filarami pawilonie, a gdy schodziliśmy po stopniach do świętego stawu, zwanego Śiwaganga Tirtham, podążał za nami uparty wróżbita. Z trudem udało się nam go pozbyć.

Kiedy wreszcie dał nam spokój (ale dopiero gdy Santha pozwoliła mu przepowiedzieć sobie przyszłość za 100 rupii), zagadnął nas piękny młodzieniec o oczach łani, noszący powiewną białą szatę, informując, iż jest braminem i sy-

nem arcykapłana świątyni. Jakby czytając nam w myślach, poprowadził nas do sanktuarium, w którym znajduje się linga Śiwy. Wytłumaczył, iż w zasadzie nie-Hindusi nie mogą tam wejść, ale mieliśmy szczęście, gdyż trafiliśmy na niego. Powiedział, że jednego tylko nam nie wolno – dotykać lingi, gdyż ten przywilej przysługuje tylko wtajemniczonym Śiwarzariarom.

W wielu świątyniach na całym świecie proponowano mi nielegalny wstęp do części zastrzeżonych dla wyznawców, więc zachowanie młodego bramina wcale mnie nie zaskoczyło; niemal słyszałem szelest banknotu sturupiowego przechodzącego z ręki do ręki. Teraz jednak podążaliśmy za nim labiryntem zatłoczonych sal i korytarzy, oglądaliśmy rozmaite dodatkowe świątynie, w których karmiono nas dmuchanym ryżem i cukrem, dobrowolnie posmarowaliśmy czoła popiołem i bez konieczności czekania dostaliśmy się do głównego sanktuarium. Oto naszym oczom – na kilka chwil – ukazał się naturalny kamienny filar, czy może raczej walec, czczony przez wyznawców jako wiecznotrwały przejaw obecności samego Śiwy. Ozdoby, szaty, biżuteria i wymyślne nakrycia głowy w postaci zwiniętej kobry, którymi został obwieszony, nie pozwalały się domyślić jego prawdziwego kształtu. Mogę jedynie powiedzieć, iż miał mniej niż pół metra grubości i około 1,5 metra wysokości, a u góry był zaokrąglony jak rurka na cygaro. Bez tych ozdób wyglądał zatem jak każda Śiwalinga w świątyniach na terenie całych Indii.

Czemu więc uznano go za tak niezwykły?

Biorąc ode mnie pieniądze, bramin powtarzał tylko prastarą mantrę: to cud natury, stworzony potęgą Śiwy, a jest bardzo stary, ale nikt nie wie, ile ma lat, pierwszą świątynię wokół kamienia wzniesli bogowie.

Liczby i siatka geograficzna

W poprzednich książkach wspominałem o hipotezie, zgodnie z którą Ziemia i wszystkie jej oceany zostały poznane, przeniesione na mapę i dokładnie zmierzone, wraz z szerokościami i długościami geograficznymi, na wiele tysięcy lat przed początkiem znanej nam historią świata⁵³. Nie chcę tu wymieniać po raz kolejny dowodów, gdyż przedstawiłem je już w *Śladach palców bogów* i *Zwierciadle nieba*, ale gwoli ścisłości pragnę przypomnieć, że niektóre znane z okresu Średniowiecza i Odrodzenia mapy dowodzą ogromnej wiedzy geograficznej i kartograficznej, daleko przekraczającej poziom nauki w tych wiekach. Wielu naukowców uważa, że pochodzi ona ze starszych źródeł, które nie dotrwały do naszych czasów. Na przykład w książce *Maps of the Ancient Sea Kings* (Mapy starożytnych królów mórz) Charles Hapgood zwraca uwagę na niezwykle precyzyjne długości geograficzne tak zwanych portolan z XIV wieku (na 400 lat przed wynalezieniem przez Harrisona przenośnego przyrządu do pomiaru długości geograficznej). Jego zdaniem można tę zagadkę wyjaśnić przetrwaniem starożytnej wiedzy kartograficznej (czy to w postaci map, kopiowanych z pokolenia na pokolenie, czy też w formie tradycji ustnej, przechowywanej i przekazywanej wśród żeglarzy), którą zdobyła jakaś nieznana, wysoko rozwinięta prehistoryczna cywilizacja żeglarzy. Tych samych

argumentów używa na wyjaśnienie zarysu Antarktydy na mapie Oronteusa Finnaeus z 1539 roku (300 lat przed tym, jak my „odkryliśmy” ten ląd)⁵⁴.

Dowody na potwierdzenie tej hipotezy mają też związek z pewnym ciągiem liczbowym – 18, 36, 72, 144, 2160, 4320, 25 920 itd. – który powtarza się w starożytnych mitach, pismach i tradycji we wszystkich częściach świata⁵⁵. Według niezującego już profesora Giorgia de Santillany z Massachusetts Institute of Technology i profesor Herthy von Dechend z uniwersytetu we Frankfurcie, liczby te wywodzą się z archaicznej tradycji astronomicznej. Centralny symbol systemu przedstawia ogromne koło obracające się na niebie od tysięcy lat, które ulega okresowemu przerwaniu przez powtarzające się kataklizmy – zazwyczaj potopy i pożary – a w tym miejscu powstaje nowe koło i cykl zaczyna się od początku.

Santillana i von Dechend tłumaczą ów symbolizm i związane z nim liczby jako metaforę zjawiska astronomicznego zwanego obecnie precesją. Jest to powolne, cykliczne odchylenie się osi ziemskiej w przestrzeni. Gdyby w wyobraźni przeprowadzić linię z bieguna północnego (lub południowego), zatoczyłaby ona koło wśród polarnych gwiazd w okresie 25 920 lat. Wiemy od dawna, iż znali to zjawisko starożytni Grecy, dopiero Santillana i von Dechend doszli do wniosku, że precesja została zauważona i zmierzona wiele tysięcy lat wcześniej przez – jak to nazwali – „jakąś niewyobrażalnie starożytną cywilizację”⁵⁶. Twierdzą ponadto, iż te same pomiary (pomiary czasu) stały się źródłem owych liczb w starożytnych mitach.

Precesja powoduje powolny, lecz nieustanny ruch gwiazd na niebie, na tle którego słońce wschodzi w dzień wiosennej równonocy (21 marca, kiedy dzień i noc mają tę samą długość). Nazywamy to precesją równonocy. Choć daje się ją wykryć za pomocą stosunkowo prostych obserwacji, dopiero po wielu pokoleniach można zauważyć sekwencję tych zjawisk.

Santillana i von Dechend sądzą, że główną liczbą w sekwencji jest 72 – tyle lat potrzeba, żeby zaobserwować przesunięcie o 1° precesji równonocy⁵⁷. Dlatego liczby powtarzające się w mitach to właśnie 72 i jej wielokrotność (np. 144, 720, 2160, 4320 itp.); 36 (połowa 72) i jej wielokrotność; 24 (jedna trzecia 72) oraz jej wielokrotność itd. System stosuje również inne sposoby łączenia tych liczb, na przykład $72 + 36 = 108$ – święta liczba w wielu kulturach. Połowa 108 to 54, także święta liczba, podobnie jak 540, 540 000 czy 5 400 000, jak też 108 000, 1 800 000 itd.⁵⁸.

Niewykluczone, że ten system liczbowy w ogóle nie został oparty na obserwacji precesji równonocy i być może, z czasem znajdziemy inne jego podstawy, nie mające nic wspólnego z zaginioną cywilizacją. Nie sposób jednak zaprzeczyć oczywistemu faktowi, że system ów istnieje i pojawia się w tekstach wszystkich starożytnych religii i mitologii, między innymi w Sumerze, Babilonie, wedyjskich Indiach, starożytnym Egipcie, Grecji, Chinach, u Majów w Ameryce Środkowej, w hebrajskim Starym Testamencie i w wielu innych kulturach⁵⁹.

Dopiero pisząc *Zwierciadło nieba* zacząłem zastanawiać się nad inną, bardziej kontrowersyjną hipotezą głoszącą, iż święte miasta i miejsca na całym świecie można umieścić na siatce geograficznej opartej na liczbach wyrażających precesję. Tak więc kompleks, na którym stała Wielka Piramida w Gizie w Egipcie, oraz bajeczne świątynie Angkor w Kambodży znajdują się na 72° długości geo-

graficznej; Pohnpei leży na 54° długości na wschód od Angkor; Wyspa Wielkonoćna jest obecnie najbliższym suchym lądem na 144° długości na wschód od Angkor; zatoka Paracas w Peru, nad którą odkryto ogromny rysunek naskalny niewiadomego pochodzenia, znany jako Kandelabr Andów, znajduje się 180° na wschód od Angkor. Częstość miejsc te wiąże się z mitami o potopie, a w starożytności nazywano je „pępkami Ziemi”. Zobaczyć tam można wiele symbolicznych obelisków, kamiennych kolumn, piramid i innych budowli⁶⁰.

Pamiętałem o tym wszystkim podczas podróży po Indiach w lutym i marcu 2000 roku. Ale przybywszy do Arunaczeli, nie spodziewałem się (nawet wiedząc o symbolice pępka/lingi), że i ona leży w ważnym punkcie tej samej hipotetycznej „precesyjnej siatki”. Arunaczela znajduje się na 24° na zachód od Angkor i 48° na wschód od Gizy (odpowiednio $\frac{1}{3}$ i $\frac{2}{3}$ liczby 72 wyrażającej stopień długości geograficznej)⁶¹.

Oczywista współzależność długości geograficznej, łączącej święte miejsca według sekwencji liczbowej wywodzącej się z obserwacji astronomicznych i pojawiającej się w starożytnych księgach i mitach, mogła być – rzecz jasna – dziełem przypadku. Nie wykluczam takiej możliwości. Chciałem jeszcze zbadać o wiele bardziej interesujące wytłumaczenie: że miejsca te znalazły się na określonej długości geograficznej jako znaczniki i punkty odniesienia starodawnej siatki geograficznej oraz jako zabezpieczenie ścisłej geodezyjnej i nawigacyjnej wiedzy, która miała służyć ludzkości w długiej perspektywie czasu.

Przytaczałem już starożytne relacje indyjskie o potopach i próbach ratowania i rozpowszechniania dawnej wiedzy w nowej epoce. Trudno uznać za przypadek, że system jug, który stanowi najważniejszą część spuścizny po Dwarce, historii potopu i Manu oraz hinduistycznej koncepcji powtarzających się kataklizmów i odrodzeń, został również zapisany w liczbach wyrażających precesję. Na przykład według Puran kalijuga trwa 1200 „boskich lat”, czyli 432 000 lat śmiertelników. Długość poprzedzających ją jug, zwanych Kritą, Tretą i Dawapara, określa się odpowiednio na 4800, 3600 i 2400 boskich lat, tak że jedna mahajuga – licząca w sumie 12 000 boskich lat i obejmująca cztery jugi – równa się 4 320 000 lat śmiertelników⁶².

Niezależnie od tego, która interpretacja okaże się słuszna i czy Santillana oraz von Dechend mają rację, pojawienie się takiej skomplikowanej sekwencji liczb na kuli ziemskiej, nie tylko w mitologii, lecz również w architekturze (na przykład 72 filary w świątyni Dwarkadisz), stanowi problem, z którym akademicy historycy nie zdołali się uporać.

Jeśli to nie „przypadek”, to co?

Zagadka trzech stopni Wisznu

W lutym 2000 Santha i ja żyliśmy w południowych Indiach wręcz luksusowo, w 1992 roku nawet nie marzyliśmy o takich wygodach. Mieliśmy do dyspozycji komfortową, kremową limuzynę (na liczącą w sumie 3000 kilometrów podróż), którą prowadził Palani, niewysoki, zylasty były wojskowy szofer z Madrasu. Dzięki

stalowym nerwom i encyklopedycznej wręcz wiedzy o autostradach i bocznych drogach w Tamilnadu, stał się naszym najlepszym przyjacielem i przewodnikiem. Kiedy zachciało mi się piwa, zawsze wiedział, gdzie można dostać butelkę zimnego zakazanego trunku, zapakowaną w brązową torbę (sam zresztą nie pił). A co najważniejsze – nie zdarzyła mu się żadna kolizja, żaden poślizg, jeździł ostrożnie i nie zasypiał za kółkiem.

Z Tiruwannamalai przez cały dzień jechaliśmy na południe, w kierunku Maduraj, przez bogate, zielone pola ryżowe i gaje palmowe, na których tu i ówdzie pojawiały się dziwne formacje czerwonego granitu, tak charakterystyczne dla tego rejonu. Wszędzie widzieliśmy pełno ludzi – tamilskich chłopów w barwnych ubraniach pracujących w polu lub podążających drogą, czasem suszących na niej bydłce odchody, ciężko harujących przy budowie domostw i po 18 godzin pracujących w przydrożnych sklepach i straganach. Żyją często na granicy skrajnej nędzy, ale jakoś udaje się im przetrwać. Najbardziej interesujący wydaje się fakt, iż ci wszyscy zagonieni ludzie wyznają szczególną odmianę hinduizmu – saiwityzm. Oto jego podstawowe idee:

- Śiwa jako „ucieleśnienie wiedzy”⁶³.
- Śiwa, bóg mądrości, który rządzi „miastem wiedzy” (dzinana-puri, dosłownie „miasto gnozy”)⁶⁴.
- Śiwa przyjmujący postać Arunaczeli, „góry wiedzy”⁶⁵.
- Śiwa, który dzięki wtajemniczeniu w gnozę może swą mocą zadawać lub powstrzymywać śmierć i obdarzać nieśmiertelnością⁶⁶.

W niektórych tekstach Śiwa bywa utożsamiany z Wisznu. W *Mahabharacie* na przykład wojownik Ardżuna doświadcza objawienia po tym, jak został powalony na ziemię przez potężną istotę:

Kończyny Ardżuny są poranione, a on sam stracił czucie. Oprzytomniawszy pozdrowił boga: „Tyś jest Śiwa w postaci Wisznu, a Wisznu w postaci Śiwy (...) O Hari, O Rudro, biję przed tobą pokłony”⁶⁷.

Według *Rygwed*y najwspanialszym dokonaniem Wisznu, często opisywanym i wychwalanym, jest uczynienie „trzech kroków”⁶⁸. Choć wiadomo, że owe trzy kroki symbolizują coś bardzo ważnego, jak dotąd naukowcy nie potrafili osiągnąć jedności do ich znaczenia⁶⁹.

Wyciągnąłem tłumaczenie *Rygwed*y Griffitha ze skórzanej torby leżącej między mną a Santhą na tylnym siedzeniu i otworzyłem je na hymnie 104 Księgi 1:

Powiem teraz o wielkich czynach Wisznu, który zmierzył ziemskie obszary (...) trzykrotnie stawiając stopy, wędrując szerokim krokiem. Za ten wspaniały czyn wychwala się Wisznu (...). On, w którego trzech szerokich krokach wszystkie żywe istoty znalazły schronienie (...). On, który sam trzema krokami zmierzył ten zamieszkały świat, długi i szeroki (...)⁷⁰.

Jeśli potraktujemy ten fragment dosłownie, czy nie wynika z niego, iż Wisznu zmierzył ziemię trzema krokami? Można się zastanawiać, co oznaczają „kroki”, ale trudno zaprzeczyć, że chodzi tu o pomiar ziemi.

Inne fragmenty prowadzą do takich samych konkluzji, gdyż przedstawiają Wisznu jako „tego, który stawiając szeroko stopy, trzema krokami przemierzył obszary ziemi dla wolności i życia (...)”⁷¹. Dwa wersety dalej czytamy: „On, jak okrągłe koło, pognał w szybkim tempie swych dziewięćdziesiąt pędzących ruma-ków wraz z czterema (...)”⁷². Czy to nie zachęta do pomnożenia 90 przez 4, co daje 360° koła (czyli „okrągłego koła”)? Przedtem powiedziano nam, iż pomiary „obszarów ziemi” zapewniają „wolność i życie”!

W hymnie 49 Księgi 6 *Rygwedy* o Wisznu mówi się jak o „tym, który dla dobra człowieka w jego nieszczęściu trzykrotnie zmierzył ziemskie obszary”⁷³. I tu także wygląda na to, że pomiar ziemi przez Wisznu był przedsięwzięciem o wielkiej wadze i miał przynieść ludzkości korzyści, a co więcej – uratować ludzi w czasie „nieszczęścia”.

Wreszcie w hymnie 164 tej samej księgi natrafiamy na taką oto zagadkę:

Uformowany z dwunastu szprych, na przestrzeni czasu, nieobudzony, toczy po niebie to koło trwającego Porządku. Tu siedemset dwudziestu synów stoi ustanowionych, połączonych w pary⁷⁴ (...).

Tak więc w postaci wielokrotności „rządzącej” liczby 72 pojawia się starożytny kod precesji Santilliany i von Dechend, w połączeniu ze znaną już metaforą „koła nieba”, oznaczającą precesję równonocy. Fragment ten dostarcza innych dowodów na to, że w czasach wedyjskich stosowano znany współczesnej geografii podział na 360° (lub 720 półstopni) – w hymnie znajdujemy aluzje do takiego podziału. Podobnie rzecz się ma z 12 szprychami koła, kojarzących się z 12 „domami” (prawdopodobnie greko-babilońskiego) zodiaku, w którym Słońce odpoczywa przez 30 „dni” każdego precesyjnego miesiąca – a każdy taki miesiąc równa się 2160 ludzkim latom, przy czym cały precesyjny cykl wynosi wówczas 12×2160 czyli 25 920 ludzkich lat⁷⁵.

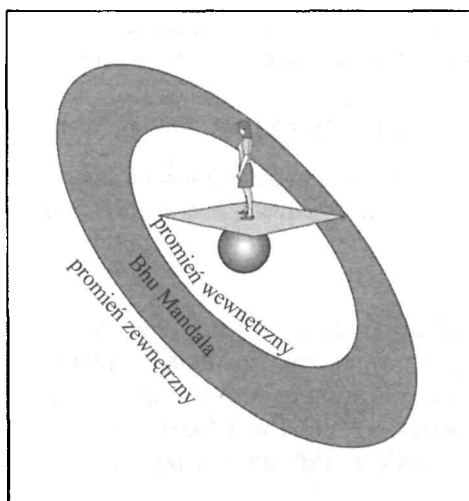
Hipoteza zerowa

Czy starożytne hinduistyczne księgi zawierają „naukę” we współczesnym rozumieniu?

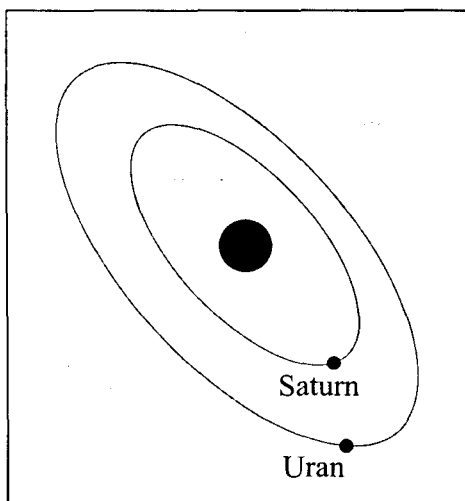
Według dr. Richarda L. Thompsona, który doktorat z matematyki obronił na Cornell University, gdzie specjalizował się w teorii prawdopodobieństwa i mechanice statystycznej, odpowiedź na to pytanie brzmi: „Tak... prawdopodobnie”! W swoim niezwykle błyskotliwym i dobrze udokumentowanym opracowaniu *Mysteries of the Sacred Universe* (Tajemnice świętego wszechświata) Thompson sporo miejsca poświęca *Bhagwatapuranie* (późniejszej w stosunku do *Rygwedy*, lecz, jak się potem przekonamy, należącej do tego samego dziedzictwa naukowego)⁷⁶.

Zwraca szczególną uwagę na opisany w tej Puranie obraz świata zwany Bhu Mandala, składający się z kręgów i kuli o ogromnych wymiarach. Dowodzi, że Bhu Mandala jest złożonym, przemyślanym modelem kosmologicznym, służącym równocześnie jako dokładna mapa Układu Słonecznego oraz jako planarny rzut mapy Ziemi⁷⁷.

Warto zapoznać się z argumentacją Thompsona, gdyż badacz wspiera ją mnóstwem szczegółowych dowodów. Jednak centralnym punktem jego rozważań pozostaje intrygująca korelacja (którą on jako pierwszy potraktował poważnie) między wymiarami różnych kręgów Bhu Mandali a rzeczywistymi wymiarami orbit



Bhu Mandala jako okrąg pochylony w stosunku do lokalnego horyzontu na Ziemi. Według Thompsona (2000)



Orbity Saturna i Urana wokół Ziemi w układzie geocentrycznym

Porównanie parametrów Bhu Mandali z promieniami orbit Saturna i Urana

12 684 kilometry

1 424 000 000 kilometrów

1 600 000 000 kilometrów

2 864 000 000 kilometrów

3 200 000 000 kilometrów

średnica Ziemi

promień orbity Saturna
wewnętrzny promień
Bhu Mandali

promień orbity Urana
zewnętrzny promień
Bhu Mandali

planetarnych w Układzie Słonecznym, określonymi przez współczesną naukę⁷⁸. Ponieważ oba modele są do siebie bardzo podobne, Thompson stwierdza:

Oczywiste, że Bhu Mandalę – jaką przedstawia *Bhagwatapurana* – można interpretować jako geocentryczną mapę Układu Słonecznego w stronę Saturna. Lecz czy przy jej tworzeniu posłużono się rzeczywistą wiedzą o odległościach między planetami, czy też zbieżność między systemem Bhu Mandalą a wymiarami orbit jest przypadkowa⁷⁹?

Jako matematyk specjalizujący się w teorii prawdopodobieństwa, Thompson potrafi odpowiedzieć na to pytanie lepiej niż ktokolwiek inny. Uczył to za pomocą stworzenia komputerowego modelu na hipotezy zerowej, która brzmi następująco:

Autor *Bhagwatapurany* nie znał prawidłowych odległości planetarnych, a zatem wszelka zbieżność między Bhu Mandalą a odległościami między planetami to po prostu przypadek⁸⁰.

Jednak zbieżność między Bhu Mandalą a Układem Słonecznym okazała się oczywista. „Analiza wykazuje, że zaobserwowane zbieżności są w rzeczywistości wysoce nieprawdopodobne”⁸¹. Thompson konkluduje:

Jeśli wymiary podane w *Bhagwatapuranie* faktycznie przedstawiają rzeczywiste odległości planetarne oparte na obserwacji, musimy założyć, iż wiedza astronomiczna zawarta w tym dziele pochodzi z wcześniejszego i obecnie nieznanego okresu w rozwoju nauki... [i że] jacyś ludzie w przeszłości znali dokładne wartości wymiarów orbit planetarnych. Informacje te zdobyliśmy na nowo w okresie minionych 200 lat tylko dzięki teleskopom wysokiej jakości. Dokładne wartości odległości planetarnych nie były znane hellenickim astronomom – na przykład Klaudiuszowi Ptolemeuszowi – nie znajdujemy ich też w średniowiecznych indyjskich *Dźjotisasutrach*. Jeśli dane te były znane, muszą być dziedzictwem z nieznanego cywilizacji, która rozkwitała w zamierzczłej przeszłości⁸².

Trzeba tu powiedzieć, że cywilizacja zdolna sporządzić dokładne mapy odległości planetarnych – istniejąca hipotetycznie w zamierzczłej przeszłości – która osiągnęła wiedzę astronomiczną na tym poziomie, jaki my osiągnęliśmy przez 200 lat, bez trudu zdołałaby obserwować i mierzyć precesję równonocy, dokonać podziału kuli ziemskiej i sfery niebieskiej na stopnie długości i szerokości geograficznej, czy umieścić święte budowle na określonej długości – a przy tej okazji poznawać glob i sporządzać jego mapy.

Umiem sobie bez trudu wyobrazić, że te geodezyjne i kartograficzne osiągnięcia starszych kultur w późniejszych czasach uważano za wiedzę daną przez bogów.

Czy niektóre z kamiennych słupów, obecnie czczonych jako samoistnie powstałe lingi Śiwy, zostały ustawione przez prehistorycznych geodetów na przykład na Arunaczeli, by zaznaczyć korzystną długość geograficzną Czerwonego Wzgórza?

Tę samą symbolikę lingi spotykamy w świątyniach Angkor w Kambodży. W starożytnym Egipcie stożkowy kamień *benben*, umieszczony na szczycie kolumny, był symbolem kapłanów Heliopolis, którzy wybudowali piramidy w Gizie.

Ta sama symbolika w trzech miejscach.

To samo dążenie do nieśmiertelności.

Te same liczby precesyjne w architekturze i mitach.

A między długością geograficzną Gizy i Arunaczeli jest 48° różnicy, między Arunaczela a Angkor – 24° , między Gizą a Angkor – 72° .

Przypadek?

Celowe działanie?

Sami zdecydujcie.

Maduraj

Kilka godzin później, już po zmroku, znaleźliśmy się w Maduraj. Jak zapewne pamiętacie, kapitan Naryan powiedział, iż miasto to, ze wspinałą świątynią Meenakszi w samym środku, było siedzibą trzeciego i ostatniego Sangamu, czyli Akademii tamilskich poetów i filozofów, która to instytucja sięga korzeniami do przedpotopowej cywilizacji Kumari Kandam.

Jadąc zatłoczonymi ulicami, wibrującymi od dźwięków i świateł, przypomniałem sobie, że Pierwszy Sangam został podobno założony tysiące lat temu we „wcześniejszym Maduraj” – Tenmaduraj – położonym daleko na południe, na terenach zatopionych później przez morze.

To zadziwiające, jak mało uwagi przywiązuje się do starodawnych tamilskich mitów i jak niewiele pisano o nich poza samym subkontynentem. Nawet David Schulman, który więcej niż inni zrobił, by zapełnić tę lukę w naszej wiedzy, także niezbyt cenił znaczenie tej tradycji:

Historia o trzech Czankamach [Sangamach], pojawiająca się w tekstach źródłowych, pod wieloma względami wydaje się mało wiarygodna, nie ma bowiem geologicznych dowodów potopu, który jakoby nawiedził te obszary w historycznie znanych czasach⁸³.

Bardzo szanuję prace dr. Schulmana, który tak wiele tamilskich mitów przetłumaczył na angielski. Błędem jest jednak poszukiwanie śladów potopów z historycznie znanych czasów, gdy tymczasem istnieje mnóstwo geologicznych dowodów na wielokrotne potopy pod koniec epoki lodowcowej w przedziale ponad 10 000 lat, co zresztą znajduje wyraz w tradycji Sangamów.

Czy możliwe, by ruiny znajdujące się na głębokości 23 metrów, w odległości 5 kilometrów od wybrzeża Poompuhur, były pozostałością po Kumari Kandam? I czy owi mityczni uczeni sprzed potopu, zapamiętani przez Tamilów, przekazali w postaci legend swoją niezwykłą wiedzę kartograficzną i astronomiczną, która przechowała się w starożytnych tekstach?

Rozdział 10

Poszukiwanie Kumari Kandam

Rzeka Prahuli i góra Kumari, otoczone licznymi wzgórzami, zostały zalane przez wzburzone morze.

Silipathikaram XX: 17–20

Opowieść o pierwszym Sangamie brzmi zbyt niewiarygodnie, by traktować ją poważnie. Nie sądzę, aby jakikolwiek naukowiec zajmujący się historią świata okazał tyle odwagi, by włączyć podobne baśnie do kanonu świadectw historycznych.

Prof. Sesagiri Sastri *Essay on Tamil Literature* (Esej o literaturze tamilskiej), Madras 1897

Luty 2000 roku – styczeń 2001 roku, południowe Indie

Maduraj jest starożytnym miastem, ale niewiele ma do zaoferowania poza kilkoma tekstami wątpliwej autentyczności¹, które jakoby potwierdzają, iż było ono siedzibą trzeciego i ostatniego wielkiego tamilskiego Sangamu (Akademii). Nie ma natomiast żadnych dowodów potwierdzających, iż Trzeci Sangam był bezpośrednim spadkobiercą dwóch starszych, istniejących tysiące lat wcześniej, a działających w tamilskich miastach, które znajdowały się daleko na południe od Maduraj, lecz zostały pochłonięte przez morze. Okazuje się, że słowo „sangam” nie pochodzi nawet z języka tamilskiego (lecz z sanskrytu) i nie pojawia się w żadnym z tekstów, które tradycja przypisuje okresowi Trzeciego Sangamu². Wreszcie najstarsza pisemna relacja o tak zwanym wieku Sangamów powstała, zdaniem naukowców, dopiero w VI wieku n.e.³

Dzięki takim argumentom nieżyjący już K.N. Shivaraja Pillai – z którego słynnym, lecz trudno dostępnym dziełem *Chronology of the Early Tamils* (Wczesna chronologia Tamilów) mogłem się zapoznać w bibliotece w Maduraj – stał się jednym z najbardziej aktywnych przeciwników koncepcji zaginionych w Oceanie Indyjskim cywilizacji. Zniechęca każdego, kto pragnąłby doszukać się choćby żdźbła prawdy w legendzie o Kumari Kandam i o pierwszych dwóch Sangamach, gdyż jego zdaniem:

(...) jest ona największym literackim oszustwem. Ten niewiarygodny wiek, jaki przypisuje się literaturze tamilskiej na podstawie legend i rzekomego pochodzenia od bogów, to więcej niż trzeba, aby ludzie łatwowierni ją zaakceptowali⁴.

Historia większości kultur dostarcza przykładów podobnych manipulacji przeszłością, które mają na celu przydanie jej godności czy też nadanie aury boskości

nowej dynastii królów, ustrojenie nowego kultu w szaty starożytności albo przy najmniej sprawienie, by jakaś koncepcja filozoficzna lub dzieło literackie zostały zaakceptowane przez tradycjonalistów dzięki przypisaniu im – rzeczywistej lub zmyślonej – historycznej wartości⁵. Argumentacja Pillaia była więc mocna, a ponieważ swoją książkę opublikował w 1932 roku, jego pogląd, iż opowieść o Kumari Kandam to tylko „niedorzeczna historia”⁶, dominował wśród poważnych naukowców badających tamilskie dzieje.

Ale to nie oznacza, iż pogląd ten jest słuszny. Przeciwnie, w trakcie badań w Maduraj zacząłem coraz lepiej rozumieć znaczenie i potencjalne implikacje odkryć, jakie NIO poczynił w 1993 roku na południe od wybrzeża Tamilnadu, w Poompuhur.

Zaginione łądy i zatopione miasta

Sądząc ze zdjęć i opisów, z którymi zdołałem się do tego czasu zapoznać, podkowiasta budowla była pod każdym względem nietypowa. Lecz równie zdumiewający wydawał się brak zainteresowania tym odkryciem poza wąskim gronem pracowników NIO (którzy i tak nie mogli prowadzić badań z powodu braku funduszy).

Wszak wyszkoleni indyjscy archeolodzy morscy, którzy nurkowali w Poompuhur w 1993 roku, w raporcie bez wahania określili znalezisko jako budowlę wykonaną przez człowieka, z wyraźnymi „warstwami murarskimi” – znajdującą się na głębokości 23 metrów i w odległości 5 kilometrów od brzegu. Lecz nie starając się przyciągnąć niczyjej uwagi, nie szukając sławy i nie próbując zdobyć pieniędzy na badania innych podobnych obiektów, a co gorsza – nie zwracając się z prośbą o ocenę wagi znaleziska do znawcy historii tego rejonu, by zdobyć potwierdzenie, że mit Kumari Kandam opisuje prawdziwe zdarzenia – naukowcy z NIO nie doczekali się uznania w środowisku naukowym, które w ogóle nie zareagowało na ich dokonania choćby odrzuceniem, lecz zwyczajnie je zignorowało.

Instynktownie wyczuwałem, że to mnie przypadnie rola osoby, która wznieci zamieszanie wokół tej sprawy. Jeśli podkowiasta budowla rzeczywiście była dziełem człowieka i liczyła więcej niż 10 000 lat (proszę pamiętać, że w owym czasie nie dysponowałem jeszcze mapami Milne’a, zgodnie z którymi to datowanie przesunęło się o tysiąc lub więcej lat), jej odkrycie musiało zmienić podejście badaczy do historii południowych Indii. Mimo licznych pytań i wątpliwości, jakie się z nim wiążą, mit o Kumari Kandam i dwóch przedpotopowych Sangamach powinien zostać poważnie potraktowany.

Pomniejszanie historycznego znaczenia mitu, który nie znajdował potwierdzenia, przez naukowców tej miary co Shivaraja Pillai i David Schulman, to jedno, a próba utrzymania tego stanowiska wśród coraz liczniejszego grona badaczy i opinii publicznej, zaintrygowanej danymi, jakie uzyskał Milne – to zupełnie inna kwestia.

Przedstawione tu i w rozdziale 6 mapy linii brzegowej południowych Indii między 17 000 a 7000 lat temu, wykonane przez geologa z Durham, wywarły na mnie

ogromne wrażenie. Obejmując Cejlon na południowym wschodzie, rozciągając się na południu aż po Przylądek Komoryn – powiększony o przybrzeżne wówczas i znacznie większe archipelagi Lakkadiwów i Malediwów, ciągnących się aż poza równik, na południową półkulę – zarys subkontynentu na owych mapach ogarniał obszary, których żadna kultura w czasach historycznych nie mogła znać. Wpatrując się w ten zarys, mogłem sobie prawie wyobrazić, o ile większy obszar obejmowała kultura drawidyjska przed tysiącami lat, o czym opowiada legenda Kumari Kandam.

Zbieg okoliczności? Czy może zagadka?

- W związku z relacjami o znacznie większym ongiś obszarze kultury drawidyjskiej mit o zalaniu Kumari Kandam cofa nas w odległą prehistorię – między 12 000 a 10 000 lat temu.
- Prace Glenna Milne'a i innych badaczy okresu polodowcowych potopów potwierdzają, że między 12 000 a 10 000 lat temu Półwysep Indyjski oraz przybrzeżne archipelagi były rzeczywiście znacznie większe niż dziś, lecz zostały częściowo zalane wskutek podniesienia się poziomu morza pod koniec epoki lodowcowej.
- Zgodnie z mitem o Kumari Kandam prehistoryczne ruiny, liczące ponad 10 000 lat, powinny znajdować się pod wodą na rozmaitych głębokościach wzdłuż linii brzegowej Tamilnadu.
- Odkrycie przez naukowców z NIO wielkich i najwyraźniej przez ludzi wykonanych budowli na głębokości 23 metrów wydaje się dostarczać dowodów na wiarygodność mitu.

Jeśli mit mówi prawdę o zatopionych miastach, to jakich jeszcze rewelacji możemy się z niego dowiedzieć?

Jeśli prawdą jest także opowieść o dwóch pierwszych Sangamach, okresach złotego wieku twórczości literackiej, artystycznej i muzycznej Tamilów 10 000 lat temu, w których działały instytucje gromadzące pisane świadectwa tej epoki, to na zaginionych lądach Oceanu Indyjskiego podczas ostatniej epoki lodowcowej rozkwitała nie tylko ta kultura, lecz mamy przypuszczalnie do czynienia z całą cywilizacją, która osiągnęła niezwykle wysoki poziom rozwoju, organizacji i samoświadomości.

Nauki znakomitych uczonych

To prawda, że – o czym przypominają badacze mitologii tamilskiej – źródła, z których obecnie możemy czerpać wiedzę o Kumari Kandam, są bardzo skąpe, i że najstarsze wersje pisemne tego mitu pochodzą z zaledwie VI, a zdaniem niektórych nawet z X wieku n.e. Będąc przypuszczalnie dziełem słynnego średniowiecznego komentatora Nakirara, wersja ta pojawia się w uczonych przypisach do *Irijanar Agapporul*, antologii klasycznej tamilskiej poezji miłosnej, zawartej w sześćdziesięciu sutrach⁷. Nas interesuje nie *Agapporul*, lecz wyłącznie

przypisy Nakirara, które – według jego własnych słów – „były przekazywane tradycją ustną przez dziesięć pokoleń, zanim zostały spisane”⁸.

Inni średniowieczni komentatorzy, którzy potwierdzają przekaz Nakirara, opisując Kumari Kandam i pierwsze dwa Sangamy nie w kategoriach mitu, lecz faktów historycznych, to Naczinarkkinijar, wybitny komentator tego dzieła w przypisach do *Tolkappijam Poruladikaram*, Per-Asirijar oraz Adijarkkunelar w komentarzach do *Silipathikaram*⁹.

Nie zdziwiła mnie wcale informacja, iż bardzo dawno temu odkryto obiekty przypominające podwodne ruiny na południowy wschód od wybrzeży Indii, na głębokości dokładnie określonej przez mit Kumari Kandam i pochodzące z tego samego przedziału czasowego. Wiarygodność przekazu o potopie i tradycji Sangamów – autorstwa wybitnych uczonych, dzięki którym dotarł on do naszych czasów – wyraźnie zaczęła niepokoić niektórych skądinąd sceptycznie nastawionych współczesnych historyków:

Trzech komentatorów, cieszących się niekwestionowaną pozycją w świecie nauki i doskonałymi kompetencjami, bez zastrzeżeń uznaje wersję komentatora *Irijanar Agapporul*. Choć wolno odrzucać te prace jako nie reprezentujące historycznego podejścia i pozbawione krytycyzmu, a zatem bezwartościowe dla historyka, nie możemy twierdzić, iż tak wybitne osobistości nie znają tematu, na który się wypowiadają. Jeśli cytują jakies wiarygodne ich zdaniem źródło, to znaczy, że uznają jego wartość poznawczą oraz tradycję, która kryje się za relacją¹⁰.

Tradycja Kumari Kandam (1)

Choć mam świadomość, że pisząc *Tajemnice podwodnych miast*, stoję na pozycji osoby, która przewidziała rozwój wypadków, przedstawiam poszczególne etapy badań fragmentarycznie, w takiej kolejności, w jakiej docierały do mnie informacje. O tradycji Kumari Kandam i Sangamów nie dowiedziałem się od razu, lecz drążyłem ten temat przez wiele miesięcy.

Teraz zaś, dysponując wszelkimi dostępnymi źródłami w Maduraj, mogłem przedstawić szersze i dokładniejsze podsumowanie brzmienia tradycji (jako przeciwwagę dla tego, co twierdzą sceptycy):

- W okresie nieco krótszym niż 10 000 lat Pandjanowie (półlegendarna, pół-historyczna dynastia tamilskich królów) stworzyli trzy Sangamy, czyli Akademie, które obarczono misją kultywowania wiedzy, literatury i poezji: „Zgromadzenia te stanowiły źródło tamilskiej kultury, a ich głównym zadaniem było doskonalenie tamilskiego języka i literatury”¹¹.
- Pierwsze dwa Sangamy nie znajdowały się na obszarze współczesnego Półwyspu Indyjskiego, lecz w przedpotopowym kraju Drawidów na południu, „który w starożytności nosił nazwę Kumari Kandam”¹² (dosłownie „Kraina Dziewicy” czy może raczej „Dziewiczy Kontynent”)¹³.

- Siedzibą Pierwszego Sangamu zostało miasto o nazwie Tenmaduraj (Południowe Maduraj). Liczył 549 członków „poczynając od Aggattijanara (mędrca Agastaja)... wśród innych byli Bóg Śiwa o splecionych włosach... Murugan, bóg wzgórz, i Kubera, Władca Skarbu”¹⁴.
- Pod patronatem 89 królów Pierwszy Sangam przetrwał 4440 lat, a w tym czasie zgromadził i skatalogował olbrzymią bibliotekę poezji i literatury. Owe klasyczne teksty, obecnie zaginione i znane nam jedynie z tytułów, to na przykład księgi *Agattijam*, *Paripadal*, *Mudunaraj*, *Mudukurgu* i *Kalarijawiraj* – znane i szanowane przez Tamilów do dziś¹⁵.
- Koniec złotego wieku Pierwszego Sangamu nastąpił z chwilą zalania Tenmaduraj przez morze, które pochłonęło znaczne obszary Kumari Kadam¹⁶.
- Ale ci, którzy ocalili po kataklizmie, przenieśli się dalej na północ, ratując część księgozbioru. Dzięki temu w innym mieście – Kawatapuram – powstał Drugi Sangam, któremu patronowało 59 królów. „Podstawą ich wiedzy były *Agattijam*, *Tolkappijam*, *Mapuranam*, *Isainunukkam* i *Budapuramam*. Ten Sangam przetrwał 3700 lat”¹⁷. Potem, podobnie jak jego poprzednik, Drugi Sangam „został pochłonięty przez morze”, a wszystkie jego zbiory przepadły (choć niektórzy twierdzą, iż ocalał *Tolkappijam*, do dziś znany wśród Tamilów)¹⁸.
- Po zatopieniu Kawatapuramu ci z mieszkańców Kumari Kadam, którzy ocalili, przenieśli się jeszcze dalej na północ, tym razem już na Półwysep Indyjski, gdzie – w mieście noszącym obecnie nazwę Maduraj – powstał Trzeci Sangam, znany jako Uttara Maduraj lub Wadamaduraj (Północne Maduraj, nazwany tak prawdopodobnie dla odróżnienia od przedpotopowego Południowego Maduraj)¹⁹.
- Trzeci Sangam przetrwał kolejne 1850 lat. „Patronowało mu 49 królów”²⁰.

Gdzie jest właściwy trop

Coraz dziwniejsze wydawało mi się, że ci sami tamilsy naukowcy, którzy odrzucają informacje o dwóch pierwszych Sangamach jako „zmyślane historie”²¹, bez zastrzeżeń akceptują istnienie Trzeciego Sangamu, czy też jakąś inną postać tamilskiego księgozbioru, który określało sanskryckie słowo „sangam”. Większość ponadto przyjmuje jako prawdziwe daty ustania działalności Trzeciego Sangamu 350 i 550 rok n.e.²².

I tak na przykład Ramachandra Dikshitar proponuje, by „koniec V wieku n.e. uznać za moment zlikwidowania Akademii”²³. Píše ponadto:

Choć początek Sangamu jako instytucji odkryty jest tajemnicą, nie ma wątpliwości, iż jakiś rodzaj Akademii rzeczywiście istniał (...) i przetrwał kilka stuleci. Ostateczny etap rozwoju nastąpił w początkach VI wieku n.e. [po zlikwidowaniu Akademii], kiedy język tamilski uległ pewnym transformacjom pod względem stylistyki, składni, metrum itp.²⁴.

Według Shivaraji Pillaia komentarze do *Agapporul* są ewidentnym „falszerstwem”:

Falszerz najwyraźniej przyjął za punkt wyjścia jakieś prawdziwe, a wcześniejsze księgi. Należały one do zbiorów tak zwanego Trzeciego Sangamu, które w owym czasie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa uznawano za kolekcję. Na tej podstawie buduje swoją wymyśloną strukturę Trzech Sangamów²⁵.

Jeśli przyjmiemy, że między 350 a 550 rokiem n.e. nastąpił kres Trzeciego Sangamu, który przynajmniej w jakimś stopniu był instytucją znaną historii, mamy podstawę do ustalenia chronologii:

- 350 rok n.e. minus 1850 lat trwania Trzeciego Sangamu daje nam 1500 rok p.n.e. (czyli około 3500 lat temu);
- 1500 rok p.n.e. minus 3700 lat trwania Drugiego Sangamu daje 5200 rok p.n.e. (czyli 7200 lat temu);
- 5200 rok p.n.e. minus 4440 lat trwania Pierwszego Sangamu daje 9600 rok p.n.e. (czyli 11 600 lat temu).

Datowanie utworzenia Pierwszego Sangamu na 9600 rok p.n.e. (albo 9800, albo 9400 rok p.n.e.) zbliża się do okresu, w którym, zdaniem Platona, nastąpiło zatonięcie Atlantydy (także w 9600 roku p.n.e.).

Jak to możliwe, że Platon mniej niż 2500 lat temu czy Nakirar mniej niż 1500 lat temu przypadkiem wybrali rok 9600 p.n.e. jako datę zatonięcia na Oceanie Atlantyckim wspaniałej przedpotopowej cywilizacji Atlantydy z jednej strony, z drugiej zaś powstania Pierwszego Sangamu w Kumari Kandam – potężnego ładu na Oceanie Indyjskim, który także był skazany na zniknięcie pod falami?

Jeżeli Platon i Nakirar fantazjowali, nie znając żadnej tradycji czy faktów, to czy nie byłoby bardziej prawdopodobne, iż wybraliby różne epoki, w których umieściliby historię o topocie?

Dlaczego na przykład nie wybrali okresu sprzed 20 000 albo 30 000 lat, a nawet sprzed 300 000 czy wreszcie sprzed 3 000 000 lat, zamiast X tysiąclecia p.n.e.?

I czy to przypadek, że trop prowadzi nas w sam środek okresu topnienia lodów ostatniej epoki lodowcowej – epizodu prawdziwie globalnego potopu, który dotknął Ziemię w ciągu ostatnich 125 000 lat?

Tradycja Kumari Kandam (2)

Podaję, że wśród średniowiecznych komentarzy znaleźlibyśmy więcej informacji, niż daje wybór, który tu przytaczam. Pojawia się też sporo wzmianek na ten temat w tamilskiej literaturze, która także stanowi część tradycji, nawet jeśli nie zawsze wiąże się z Kumari Kandam czy pierwszymi dwoma Sangamami. Niektóre z tych źródeł to niezwykle stare i słynne dzieła literackie, inne są mniej

znane, lecz wszystkie w ten czy inny sposób wzbogacają obraz krainy Tamilów oraz potopów, które – według starożytnych – pożerały ją po kawałku.

Zdaniem V. Kanakasabhai, historyka specjalizującego się w dziejach południowych Indii, Tamilowie w początkach I tysiąclecia n.e. przechowywali tradycję już w tym czasie uznawaną za starodawną, a głoszącą:

(...) w dawnych czasach ląd rozciągał się dalej na południe, a na południe od Przylądka Kumari znajdowała się góra Kumarikoddu i spory obszar nawadniany przez rzekę Prahuli. Gdy morze gwałtownie wdarło się na ląd, góra Kumarikoddu i cały kraj, przez który płynęła Prahuli, zniknęły pod wodą²⁶.

Kanakasabhai opierał się na *Kalittogaj* (strofa 104: 1–4) i *Silipathikaram* (XX: 17–20), w których czytamy: „Rzeka Prahuli i góra Kumari, otoczona wieloma wzgórzami, zostały zalane przez rozszalałe morze”²⁷. Adijarkkunelar uzupełnia tę opowieść twierdząc, iż w czasach przed potopem te zalesione i gęsto zaludnione tereny między rzekami Prahuli i Kumari były podzielone na 49 okręgów, które rozciągały się na obszarze „700 kawathamów” – czyli około 1600 kilometrów²⁸.

Historyk P. Ramanathan zwraca również uwagę na „starożytne tamilskie poematy i autentyczne przekazy, w których mowa o kolejnych etapach zatapiania ziem południowych Indii przez Ocean Indyjski, a przez to zmniejszaniu się powierzchni krainy Tamilów”²⁹:

W *Purunanuru 6* autorstwa Karikiszara i *Purunanuru 9* autorstwa Nettimajara czytamy o rzekach Kumari i Prahuli, umiejscowianych przez starożytnych komentatorów na zatopionym obszarze na południe od Przylądka Komoryn [współczesna Kanija Kumari]. *Kalittogaj 104* wspomina szczególnie [pandyjskiego króla], którego terytorium zostało zalane przez morze, a zrekompensował to sobie, podbijając ziemie władców Ćery i Ćoli (na północy). *Silapthikaram – Kadukankathaj* (wiersze 18–23) opowiada o morzu pochłaniającym rzekę Prahuli wraz z traktem Kumarikoddu, obejmującym wiele górzystych terenów. *Wernikathaj z Silipathikaram* mówi o oceanie, który stanowił najdalej na południe położoną granicę Tamilaham, a komentator Adijarkkunelar wyjaśnia, że odnosi się to do topografii po potopie. *Pajiram z Tolkappijam* wymienia Wenkatam jako północną granicę i [Kanija] Kumari jako południową granicę Tamilaham. W komentarzu do tych fragmentów Illamuranar stwierdza, iż południowa granica (wiz Kumari) została wspomniana, gdyż przed zatopieniem przez morze na południe od Kumari rozciągały się lądy... W komentarzu do *Tolkappijam* Naczinarkkinjar twierdzi, że morze zalało 49 Nadu (okręgów) na południe od rzeki Kumari³⁰...

Ramanathan przypomina dalej, że zgodnie z tradycją Pandżowie są:

(...) najstarszą z trzech starożytnych tamilskich dynastii, prawdopodobnie najstarszą dynastią świata... Niektóre relacje donoszą, że Ćerowie i Ćolowie byli gałęziami dynastii Pandżów, które dawno temu się od niej oddzieliły³¹.

Potem powtarza wiadomość z cytowanej wyżej *Kalittogaj*:

Jeden z najstarszych pandyjskich królów, Nedijon („wysoki”), ustanowił wiare w morze. Część jego ziem na południe od Przylądka Komoryn [Kanija Kumari] została zatopiona. Aby zrekompensować sobie ich utratę, podbił rozległe terytoria na północ od królestwa Pandżów³².

T.R. Sesha Iyenagar także powołuje się na tamilską tradycję, która głosi, że choć Kumari Kandam mogło obejmować także wyspy, jednak znaczną jego część stanowił ląd:

(...) połączony z Indiami południowymi, który został zalany przez wielki potop. W tamilskiej tradycji znajdujemy niepodważalne świadectwa, że zatopiony ląd przylegał do Tamilaham i że po zalaniu Tamilowie przenieśli się do północnych prowincji³³.

Jakie sekrety kryją się w tych fragmentarycznych wzmiankach, folklorze i tradycji? W pracy zatytułowanej *The Cultural Heritage of the Ancient Tamils* (Kulturowe dziedzictwo starożytnych Tamilów) dr M. Sundaram, dziekan wydziału tamilskiego w Presidency College w Madrasie, podsumowuje te dowody:

Tradycja mówiąca o utracie ogromnych obszarów kontynentu w wyniku potopu zbyt mocno zaznacza się w klasycznej tamilskiej literaturze, żeby ją ignorować w jakimkolwiek poważnym studium. W istocie pierwszy tamilski Sangam istniał na południe od Maduraj, na zaginionym kontynencie. Starożytna tamilska literatura i jej późniejsi komentatorzy zaświadcza, że rzeka Prahuli i pasmo górskie Kumari zostały pochłonięte przez morze, w wersetach *Purunaruli* czytamy o rzece Prahuli, a *Silipathikaram* wspomina o potopie, który zalał kontynent Kumari (...). Między rzeką Prahuli a górami Kumari istniało 49 prowincji. Wykształcony komentator *Tolkappijam*, Per-Asirijar, stwierdza, że rzeka Kumari ocalała po zalaniu Przylądka Kumari³⁴.

Wreszcie tamilski epos *Manimekalaj* mówi o zalaniu miasta leżącego przy brzegu Poompuhur jako karze wymierzonej przez bogów królowi, który nie przestrzegął święta Indry³⁵. Większość archeologów uważa, że wzmianka ta odnosi się do znajdujących się płytko pod wodą ruin historycznego miasta Kaweripumpattinam, znalezionych na południe od Poompuhur w strefie pływów, przeważnie na głębokości mniejszej niż 3 metry, pochodzących z okresu między 300 rokiem p.n.e. i 300 rokiem n.e. (patrz rozdział 8). Jednak odkrycie podkowiastej budowli, która znajduje się znacznie głębiej i dalej od brzegu, dowodzi, iż wypadki, o których wspomina *Manimekalaj*, zdarzyły się o wiele wcześniej.

Przedpotopowe królestwo Rawany

Jeśli legendy o Kumari Kandam choć w części są prawdziwe, powinniśmy znaleźć podwodne ruiny nie tylko na południe od Indii, lecz także w wodach Sri Lanki – starożytnego Cejlonu. A ponieważ podczas epoki lodowcowej wyspa Cejlon była połączona z głównym lądem groblą w pobliżu Poompuhur (a w istocie stanowiła integralną część Kumari Kandam), logika podpowiada, że w jej mitach i legendach także pojawia się potop.

Z satysfakcją odkryłem, że *Maḥawamasa*, *Dipawamasa* i *Radżawali* – cejlońskie kroniki oparte na archaicznej tradycji ustnej, spisane po raz pierwszy przez buddyjskich mnichów około IV wieku n.e.³⁶, „mówią o trzech potopach, które zalały duże obszary lądu poza Cejlonem”³⁷. *Radżawali* na przykład wspomina czasy na długo przed jej spisaniem, kiedy:

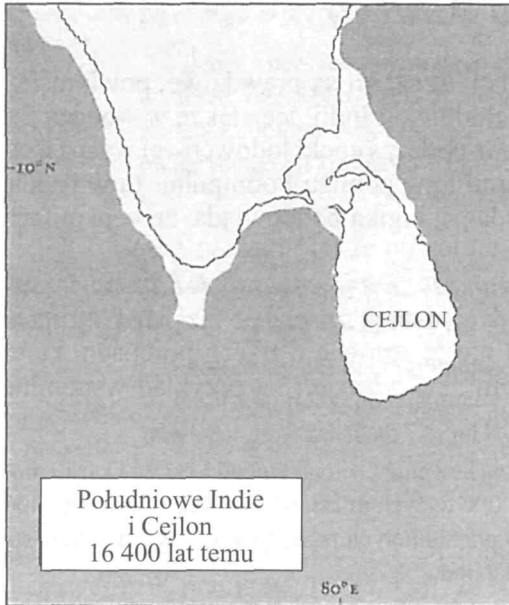
(...) bogowie odpowiedzialni za zachowanie Cejlonu wpadli w złość i kazali morzu zalać ląd. W tym czasie 100 000 dużych miast, 970 wiosek rybackich i 400 wiosek poławiaczy perł zostało pochłoniętych przez morze³⁸. Woda wdarła się na odległość 36 kilometrów w głąb lądu³⁹.

To samo źródło donosi także o potopie, który spustoszył Cejlon jeszcze wcześniej, w „poprzedniej epoce”⁴⁰ – w czasach olbrzyma Rawany („króla demonów”, którego czyny opisuje także sanskrycki epos *Ramajana*). Dowiadujemy się, że Rawana rozgniewał bogów „bezbożnością” i został ukarany w zwykły sposób:

Twierdza Rawany, 25 pałaców i 400 000 ulic, zostały pochłonięte przez morze. Zatopiona ziemia znajdowała się między Tuticorin [południowo-wschodnie wybrzeże obecnego Tamilnadu] a Mannar [północno-zachodnie wybrzeże współczesnej Sri Lanki], a z ogromnego niegdyś terytorium pozostała tylko wyspa Mannar⁴¹.

W grudniu 2000 roku, kiedy znałem już mapy Glenna Milne’a dla rejonu Poompuhur, zauważyłem, że około 16 000 lat temu między Tuticorin a Mannar znajdował się duży pas lądu. Działo się to wkrótce po zakończeniu maksimum ostatniego zlodowacenia, krótko przed okresem stopniowego podnoszenia się poziomu mórz. Mapy Milne’a ukazują zalanie przedpotopowego królestwa Rawany przez polodowcowe wody. Co ciekawsze, na mapach widać również wyżej położony rejon, który nigdy nie znalazł się pod wodą i który dziś – jak wspomina *Radżawali* – jest wyspą Mannar⁴².

Sir J.E. Tennant, jeden z wielu, którzy pisali na ten temat, nim powstały mapy zalewowych terenów, lekceważy „legendę o poprzednim kształcie Cejlonu i pochłonięciu ogromnych terytoriów przez morze”, gdyż „musielibyśmy dysponować dowodami tego wydarzenia, przynajmniej w historycznie znanym okresie”⁴³. Istnieje mnóstwo dowodów, iż przed okresem historycznym, pod koniec epoki lodowcowej, Cejlon był rzeczywiście większy niż obecnie, że przed potopem



rozcigał się daleko na północny zachód, a zatoka Mannar znajduje się dokładnie tam, gdzie „w poprzedniej epoce” przypuszczalnie stała twierdza Rawany.

Od 16 000 do 9600 roku p.n.e.

Koncepcja wcześniejszych potopów i kolejnych pokładów kultur powstających na zgliszczach poprzednich cywilizacji, która cofa nas w prehistoryczne czasy, znajduje potwierdzenie w niektórych legendach cejlońskich o starożytnych Tamilach. Napotykamy tam arcyciekawe stwierdzenie, że Sangamów było nie trzy,

jak utrzymuje większość innych relacji, lecz siedem⁴⁴. Nie poznamy jednak lokalizacji czterech poprzednich, istniejących przed Pierwszym Sangamem, mającym siedzibę w Tenmaduraj na brzegu rzeki Prahuli⁴⁵.

Pragnę zauważyć, że N. Mahalingam, prezes International Association of Tamil Studies, powołuje się w „Proceedings of the Fifth International Conference of Tamil Studies” na tamilską tradycję, mówiącą o trzech potopach w tysiącletnich poprzedzających przypuszczalną datę założenia Pierwszego Sangamu:

Pierwszy wielki potop nastąpił w 16 000 roku p.n.e. Drugi w 14 058 p.n.e., kiedy to została zalana część Kumari Kandam. Trzeci miał miejsce w 9564 roku p.n.e. i wtedy już znaczną część Kumari Kandam pochłonęło morze⁴⁶.

Data trzeciego z potopów, jak zapewne czytelnicy zauważyli, rozmija się o 40 lat z datą 9600 rok p.n.e., kiedy powstał Pierwszy Sangam (a także z podaną przez Platona datą zatonięcia Atlantydy). Jeśli ta zbieżność ma jakies znaczenie, można na tej podstawie przypuszczać, iż Pierwszy Sangam, podobnie jak poprzednie, został założony przez ludzi ocalałych z potopu – niewykluczone, że tego samego globalnego potopu, który stał się inspiracją mitu o Atlantydzie.

Kult wiedzy

Istotą legendy o Sangamach, niezależnie czy dotyczy ona trzech, czy też siedmiu starożytnych Akademii, jest wątek degeneracji, nasilającej się etapami, po-

cząwszy od złotego wieku, wywołanymi przez kosmiczne cykle zniszczenia i odrodzenia. Znajdujemy tu interesujące odbicie systemu jug z legendy o Dwarce z jednej strony oraz wedyjskiej koncepcji pralaji – globalnego kataklizmu, następującego po każdej epoce – z drugiej:

- W obu wypadkach mamy do czynienia z cywilizacją sprzed potopu, charakteryzującą się niezwykle wysokim rozwojem duchowym i artystycznym, oraz grupą mędrców – Siedmiu Ryszi w Wedach, członkach Akademii w tekstach tamilskich – którzy dbają o szerzenie wiedzy oraz zachowanie dzieł literackich i religijnych.
- W obu wypadkach kres tym cywilizacjom kładzie globalny potop, pochłaniający ogromne obszary lądów.
- W obu wypadkach ci, którzy ocalili po potopie, starają się odtworzyć starodawną wiedzę i propagować ją w nowej epoce, będącej spadkobierczynią poprzedniej. Powstają nowe grupy Siedmiu Ryszi czy nowy Sangam – stosownie do poziomu danej epoki.

Należy jednak stwierdzić, iż pomiędzy obiema tradycjami jest wiele różnic – zbyt wiele, aby jedna mogła powstać pod wpływem drugiej. Ale podstawowa koncepcja pozostaje ta sama: powtarzające się kataklizmy na skalę światową zagrożają unicestwieniem wiedzy zdobytej przez ludzkość i powrotem do ciemnoty. Lecz instytucje takie jak „bractwa” (Siedmiu Ryszi, Sangam) potrafią przetrwać „okresowe potopy” i po cofnięciu się wód w nowej epoce rekonstruują starożytną wiedzę, „niosąc sławę i światłość ciemnym ludziom i krajom”⁴⁷.

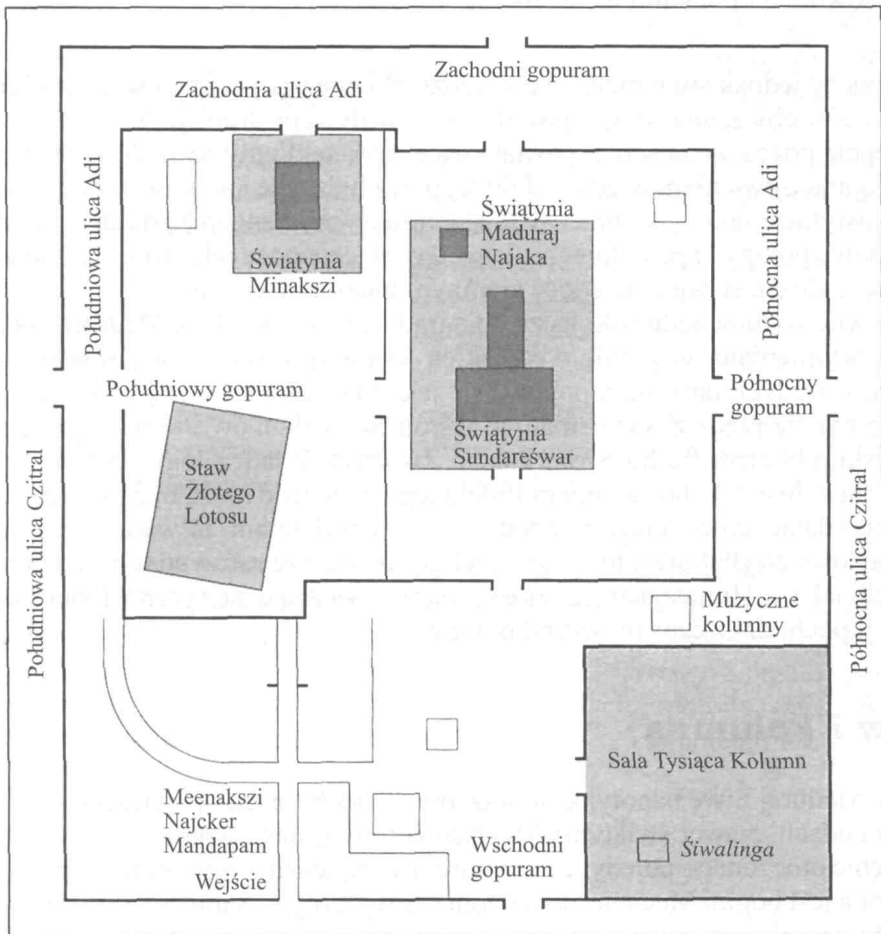
Pewne wybitne jednostki łączą obie tradycje – na przykład Mędrzec Agastja, często wymieniany w gronie wedyjskich Siedmiu Mędrców lub równocześnie z nimi, w tradycji tamilskiej pojawia się jako członek Pierwszego Sangamu. Podobnie ma się rzecz z wymienianym wśród 549 członków Pierwszego Sangamu wedyjskim bogiem Rudrą-Śiwą, Panem Zwierząt, Władcą Jogi, „tym, który ma splecione włosy”. I choć zdaniem Pillaia jego obecność może być tworem „bajarzy” przydających boskiego pochodzenia swoim dziełom, to warto pamiętać, iż podstawowy atrybut Śiwy to gnoza, czyli poznanie, i że zarówno w południowych Indiach, jak i w Himalajach jest utożsamiany z wiedzą ezoteryczną, która według tradycji pochodzi z czasów sprzed potopu.

Staw i kolumna

W Maduraj Śiwę napotyka się wszędzie, podobnie jak opowieści o jego czynach i cudach. Nawet świątynia Meenakszi to w gruncie rzeczy dwie świątynie w obrębie otoczonego pojedynczym murem kompleksu – pierwsza, mniejsza, poświęcona jest bogini Meenakszi, małżonce Śiwy, druga – samemu Śiwie we wcieleniu Sundareswara. Świątynia stoi w geometrycznym centrum Maduraj, zajmując powierzchnię w przybliżeniu 220×260 metrów⁴⁸ – podobnie jak podstawa

Wielkiej Piramidy w Egipcie⁴⁹. Na obwodzie ozdobiona jest jedenastoma spektakularnymi gopurami (wieże przy wejściu, najwyższa, południowa mierzy 50 metrów). Wszystkie są wspaniale rzeźbione i pomalowane, a przedstawiono na nich niesamowite trójwymiarowe sceny z hinduistycznej mitologii. Sceny te, składające się w sumie z 33 000 000 rzeźb⁵⁰, otaczają zwiedzającego ze wszystkich stron w całym rozległym kompleksie świątynnym – od murów średniowiecznych kamiennych bram po kolumny Sali Tysiąca Kolumn.

Świątynia znajduje się z dala od wielkiego miasta, które ją otacza, lecz życie toczy się również wewnątrz murów, choć w innym tempie. Czasem przypomina bazar wypełniony barwnym, hałaśliwym tłumem, przepychającym się od jednego świętego miejsca do drugiego, pełno w niej wówczas żebraków wyciągających dłonie po datki, straganiarzy handlujących pamiątkami oraz długorogich krów, szwendających się wszędzie, jakby były u siebie. Często ze zdumieniem patrzy-



Przekrój poziomy świątyni w Maduraj. Według Howleya i Dasy (1996)

łem na jakiegoś biznesmena, który zsuwał trzewiki i wszedłszy do środka, smarował świętym popiołem czoło, po czym modlił się w chłodnym cieniu wśród udekorowanych posągów. Wychudzeni pielgrzymi i rozczochrani sadhu przybywają tu ze wszystkich zakątków Indii, szukając jałmużny i oświecenia, pary i całe rodziny przyjeżdżają zwiedzać świątynię, a korytarzami maszerują szkolne dzieci o błyszczących oczach, wypełniając korytarze dźwięcznymi głosami, wznosząc nieustanny szum rozmów i modłów.

Wszedłem przez południowy gopuram i ruszyłem nasłonecznionym krążkiem do Citra Mandapa, ozdobionego wspianą kolumnadą z pomalowanymi ścianami i sufitem, otaczającego Staw Złotego Lotosu. Jest to według mnie najpiękniejsze miejsce świątyni Meenakszi. Legenda głosi, że ten wielki staw, długi na 52 metry, a szeroki na 36,5 metra, „służył do oceny poziomu twórczości literackiej” w okresie Trzeciego Sangamu⁵¹. „Manuskrypty tamilskie, które pływały na powierzchni, uznawano za wielkie dzieła, a te, które tonęły, odrzucono”⁵².

Na pierwszy rzut oka i pod względem rozmiarów staw przypomina Wielką Łażnię w Mohendżo-Daro. Tam prostokątny rytualny basen kąpielowy jest suchy od tysięcy lat; tutaj zaś – wypełniony zielonkawą wodą – nadal służy pielgrzymom do rytualnych ablucji. Większa część świątyni w obecnym kształcie pochodzi z XIII wieku n.e. lub z późniejszych okresów, tymczasem miasta kultury Indusu-Saraswati popadły w ruinę już w II tysiącleciu p.n.e., lecz ja wiedziałem, że staw „stanowił ważny element legend związanych z pochodzeniem świątyni”⁵³. Podobnie jak w Tiruwannamalai, legendy te głoszą również, że świątynia stała właśnie w tym miejscu ze względu na obecność stahli, czyli kolumny z naturalnego kamienia – Śiwalingi – która wyrosła tu w pradawnych czasach. Ale w przypadku Maduraj kolumna ta nie pojawiła się u stóp świętej góry, lecz w lesie, „pod drzewem Kadamba”. Wedyjski bóg Indra podobno zbudował wokół niej pierwszą prehistoryczną świątynię⁵⁴.

Przypomniały mi się walcowate i stożkowe kamienne kolumny (których „oficjalne” funkcje wydawały się nieznane – lecz nie mnie), wydobyte przez archeologów wzdłuż dolin Indusu i Saraswati w licznych miastach kultury Harappa i wcześniejszych⁵⁵. Owe „proto-Śiwalingi” są młodsze od wcześniejszych kamiennych kolumn tego samego typu, wykopane w indyjskich osiedlach neolitycznych⁵⁶ – a były tak liczne, że T.R. Sessa Iyenagar napisał: „Kult Śiwy w postaci lingi istniał już w epoce kamiennej, która z pewnością poprzedzała okres wedyjski”⁵⁷.

Rzecz w tym, iż nikt nie wie, kiedy ów „okres wedyjski” się zaczął, tak jak nikt nie dotarł do korzeni kultu Śiwy w Indiach. Potężny, wszechobecny od Himalajów po najdalej wysunięte południe, wydaje się, że istniał od zawsze – w postaci lingi, świętych gór, w kulcie boga jogi i wiedzy, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami, pogrążonego w medytacji, otoczonego dzikimi zwierzętami.

Owa tajemnicza postać oraz złożony system idei i symboli, który się z nią wiąże, musiały się przecież gdzieś pojawić.

Może w Kumari Kandam?

Poszukaj na południu

– To był najstarszy kontynent świata! – wykrzyknął dr T.N.P. Haran, profesor Instytutu Tamińskiego w American College w Maduraj. – Istniała tam najwspanialsza i najstarsza cywilizacja. I stworzyli ją Tamilowie.

– A gdybym chciał ją znaleźć – lub to, co z niej zostało – gdzie powinienem zacząć szukać?

– Kumari Kandam to wielki kraj. Żyło w nim mnóstwo ludzi. Przyszło morze i wszystko pochłonęło.

– Gdybym zanurkował u wybrzeży współczesnej Kanija Kumari, czy znalazłbym tam ruiny?

– Nie mam pojęcia! Ale życzę powodzenia!

– Czy powinienem szukać na południe od Kanija Kumari? – nie ustępowałem.

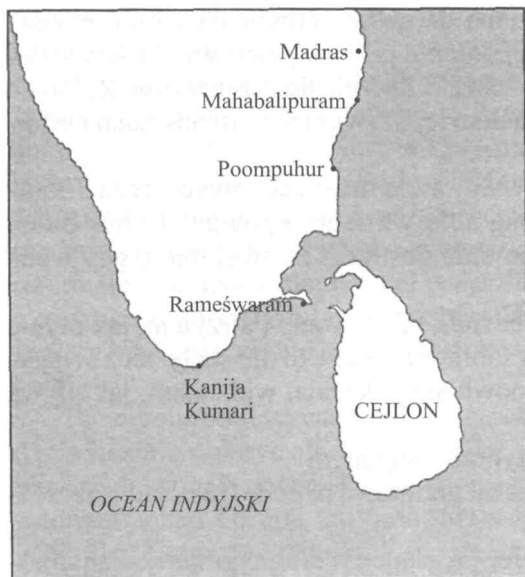
Haran pomyślał chwilę.

– Tak, myślę, że trzeba szukać co najmniej 300 kilometrów od Kanija Kumari. Tam pewnie pan coś znajdzie.

Co wiedzą rybacy

Zanim powróciłem do Dwarki, żeby tam nurkować z pracownikami NIO w początkach marca 2000 roku (piszę o tym w rozdziale 8), zakończyliśmy z Santhą naszą podróż po Indiach w Tamilnadu, odwiedzając cztery nadmorskie miasta: Kanija Kumari na południu, Rameśwaram na południowym wschodzie – w tym miejscu Indie dzieli od Cejlonu tylko cieśnina Palk – oraz Poompuhur i Mahabalipuram na wybrzeżu Koromandelskim nad Zatoką Bengalską.

- Mahabalipuram zwróciło naszą uwagę starodawnymi mitami o Siedmiu Pagodach i zatopionym mieście Bali (patrz rozdział 4).
- Kanija Kumari pojawia się w mitach o Kumari Kandam jako nowa południowa granica Indii, kiedy żyzne ziemie znajdujące się jeszcze dalej na południe zostały pochłonięte przez potop.
- Rameśwaram wspomina się w *Ramajanie* jako lądowy pomost wiodący na Cejlon: „Aby zbudować most przez morze, niedźwiedzie i małpy podtoczyły do wody pnie drzew i skały, które dzięki potędze Ramy pływały po powierzchni. Bogowie spojrzeli w dół oczarowani, a armia małp podążała przez morze po moście Ramy”⁵⁸. („Armia małp” – nie pytajcie, to długa historia! – zmierzała na Cejlon, by uwolnić małżonkę Ramy, Siteę, z rąk Rawany, króla demonów z „poprzedniej epoki”, którego ziemie, jak czytamy w cejlońskich kronikach, rozciągały się między Tuticorin i Mannar. O lądowym moście mówią więc aż dwie tradycje, lokalizując go dokładnie w tym samym miejscu!).



• U wybrzeży Poombuhur znajduje się zatopiona podkowiasta budowla. Przybywając tam w lutym 2000 roku wiedziałem, że nurkowanie jest wykluczone ze względu na zbyt skomplikowane formalności i kłopoty finansowe NIO. Chciałem jednak zobaczyć to miejsce i przynajmniej zamoczyć stopy w wodzie.

Po rozmowach z miejscowymi zrozumiałem, że wszyscy znają mity o zaginionym lądzie i zatopionych miastach – których istnienie tak wielu historyków ignoruje – i w zasadzie wszyscy wierzą, że są one prawdziwe.

Wielu moich informatorów to zaprawieni w swoim fachu rybacy, którzy najwyraźniej nie powtarzali baśni usłyszanych od dziadków, lecz opierali swoje wypowiedzi na osobistych obserwacjach. Zarówno w Poombuhur, jak i w Mahabalipuram spotkałem rybaków, którzy nie mieli powodu, by wprowadzić mnie w błąd. Twierdzili oni, że nurkując, by uwolnić zaplątane kotwice lub sieci, na własne oczy widzieli coś, co sami nazywali pałacami, świątyniami, murami i drogami.

Podwodne ruiny, niezależnie od rozmiarów, stają się sztuczną rafą, przyciągającą rozmaite gatunki ryb, które szukają tam schronienia; dzieje się tak zwłaszcza przy południowo-wschodnich wybrzeżach Indii, gdzie dno morskie jest dość płaskie i pozbawione naturalnej rzeźby. Rybacy, rzecz oczywista, szukają w oceanie miejsc, w których ryby lubią się gromadzić. Dlatego zwykle jako pierwsi natrafiali na podwodne miasta i częstokroć wiedzą o obiektach, o których archeolodzy nie mają pojęcia.

Na całym rozległym, przybrzeżnym szelfie południowych Indii z wyjątkiem Poombuhur nigdy nie prowadzono badań archeologicznych. Relacje tubylców o podwodnych budowlach w tym rejonie są zbyt liczne i przekonujące, żeby dało się je ignorować. Gdyby nie naukowcy z NIO, żaden morski archeolog nie próbowałby prowadzić badań w tym rejonie. A przecież w jedynym miejscu, w którym nurkowali pracownicy instytutu, i to zaledwie przez kilka dni, czyli w Poombuhur, znaleziono tak niezwykły obiekt, jak podkowiasta budowla. Wydaje się oczywiste, że dalsze systematyczne prace w Poombuhur i innych miejscach mogą przynieść podobnie rewelacyjne wyniki...

W Mahabalipuram, niewielkiej wiosce rybackiej położonej w zakolu zatoki, około półtora kilometra na północ od Świątyni Nabrzeżnej, siedliśmy z Santhą na stercie suszących się sieci, a wokół nas zgromadził się spory tłum. Przyszli tu

wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia na temat podwodnych ruin, między innymi rybacy. Niektórzy przez całe popołudnie pili sok palmowy, zachowywali się więc hałaśliwie i skłonni byli do sprzeczek. Zaczęli się przekrzykiwać, kto co i gdzie widział pod wodą, z uwagą słuchałem tej ożywionej wymiany zdań i informacji.

Pewien starzec o pomarszczonej twarzy i ciemnoorzechowych oczach oraz siwych, wybielonych słońcem i morską solą włosach, opowiadał dość długo o budowlu z kolumnami, którą pewnego dnia dostrzegł ze swej łodzi, gdy woda była wyjątkowo przejrzysta.

– Zobaczyłem wielką rybę – powiedział. – Czerwoną. Patrzyłem, jak płynie w kierunku jakichś skał. I nagle zdałem sobie sprawę, że to nie skały, lecz świątynia. Ryba wpłynęła do niej, a potem znowu się pokazała, widziałem, jak pływa tam i z powrotem między kolumnami.

– Jest pan pewien, że to była świątynia? – spytałem.

– Oczywiście, że tak – odparł. Wskazał granitową pagodę Świątyni Nabrzeżnej. – Wyglądała dokładnie tak samo.

Kilku młodych mężczyzn opisywało, jak podczas długiego nurkowania powietrze rozsadza płuca, serce wali jak młot. A nurkowali, bo sieci się zaczepiały o podwodne budowle. Pewnego razu wielka sieć tak wpłatała się w ruiny, że trawler musiał się zatrzymać. Nurkowie widzieli też pod wodą wejścia wiodące do wewnętrznych pomieszczeń, lecz bali się tam zapuszczać.

Jedna niezwykła relacja dotyczyła ruin w pobliżu Mahabalipuram, z których przy ładnej pogodzie dochodziły jakieś „brzdąkanie” i „łoskot” czy też dźwięki muzyki.

– To brzmiało jak uderzanie w wielką blachę.

– A co można dostrzec dalej? – dopytywałem się. – Gdybym wsiadł na łódź i popłynął wzdłuż wybrzeża dalej na południe, co bym znalazł? Czy te podwodne budowle są tylko tu, wokół Mahabalipuram, czy może jeszcze w innych miejscach?

– Podwodne ruiny można obejrzeć na południu, aż przy Rameśwaram – powiedział jeden ze starszych rybaków. – Łowiłem tam ryby.

Inni nie wyptywali aż tak daleko, ale wszyscy zgodni byli, że podwodne ruiny znajdują się wszędzie przy brzegu.

– Jeśli popłynie pan tam, gdzie są ryby, na pewno je pan zobaczy.

Gdzie nurkować?

Gdybym dysponował nieograniczonymi funduszami i miał wolną rękę, już dawno zorganizowałbym wielką wyprawę archeologiczną do Kanija Kumari, Rameśwaram, Poompukur i Mahabalipuram na południu i południowym wschodzie Indii, a także wzdłuż wybrzeża Półwyspu Kathijawar oraz zatok Kaczczh i Kambajskiej. Nie posiadałem jednak nieograniczonych funduszy i brakowało mi czasu, Indie zaś, z tym swoim niesamowitym magnetyzmem, same w sobie

stanowią wyzwanie i wysysają z człowieka wszelką energię. Nie należy tam ustalać zbyt ambitnych planów i wciąż trzeba szukać kompromisów.

Poza tym Indie to zaledwie jedno z miejsc, w których istnieje tajemniczy „podwodny świat”. Po powrocie do Anglii w marcu 2000 roku, mając za sobą doświadczenia po nurkowaniu w Dwarce, nie mogłem zapomnieć, że muszę zakończyć także inne badania i odbyć kolejne podróże, przynajmniej na Malediwy, do Zatoki Perskiej, w rejon Morza Śródziemnego, na Atlantyk i do Japonii. Choć nie zamierzałem zaniechać dalszych, szerzej zakrojonych badań w Indiach, postanowiłem jednak w najbliższej przyszłości skupić całą energię na Poompukur, o czym już rozmawiałem z Kamleshem Vorą przed opuszczeniem Dwarki, i uznałem, że inne potencjalne rejony poszukiwań w Indiach muszą poczekać na swoją kolej.

Poompukur obiecywało najwięcej. Naukowcy z NIO prowadzili już tam badania i całkiem przypadkowo odnaleźli dokładnie to, czego się spodziewałem – wielką, doskonale zaprojektowaną i wykonaną przez człowieka budowlę, która zatonała ponad 10 000 lat temu. Stało się to więc w czasach, gdy nie istniała w okolicy żadna cywilizacja, która mogła stworzyć obiekt tego rodzaju.

Nadzorując za pośrednictwem poczty elektronicznej proces zdobywania funduszy i pozwoleń przez NIO, kilka następnych miesięcy wykorzystałem, by zebrać informacje, prowadzić intensywne badania i nurkować na Malcie, w Aleksandrii, na Balearach, Wyspach Kanaryjskich i dwukrotnie w Japonii (raz w kwietniu i maju przez siedem tygodni, a potem we wrześniu przez dalsze dwa tygodnie).

W październiku 2000 roku dowiedziałem się od Glenna Milne’a, że jego zdaniem, podkowiasta budowla „liczy 11 000 lub więcej lat”. Zostałaby więc zalana mniej więcej w tym samym czasie, gdy powstał mityczny Pierwszy Sangam w Tenmaduraj, a pod wodą znikła Atlantyda Platona.

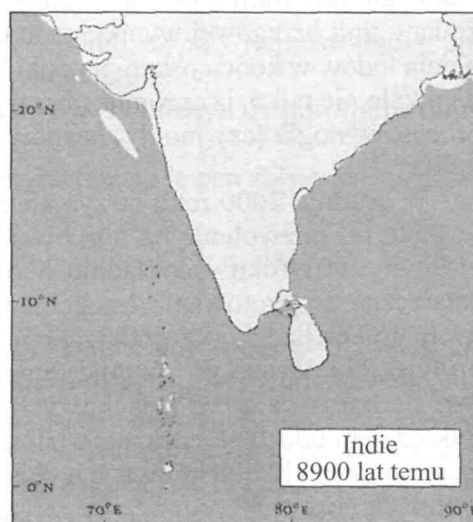
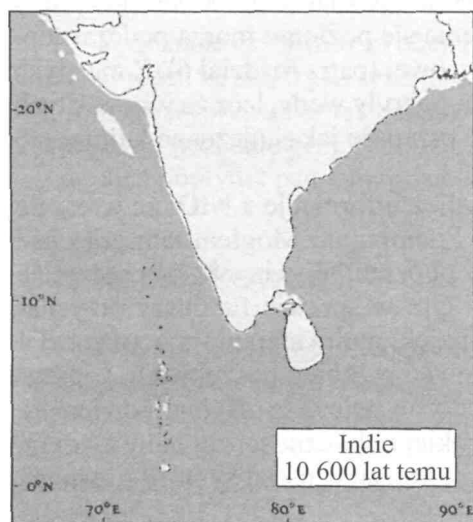
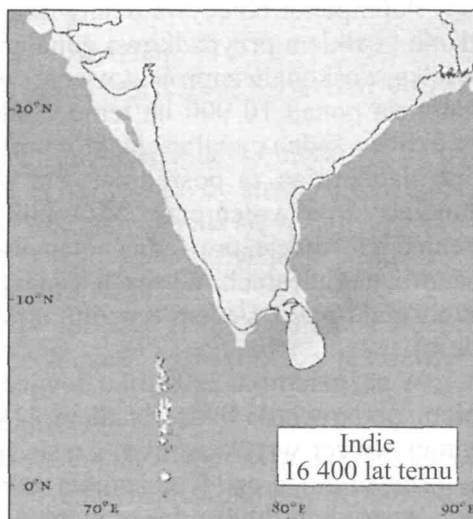
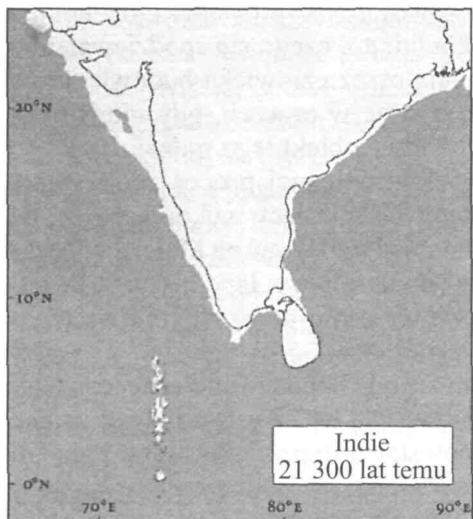
W grudniu 2000 roku otrzymałem od Milne’a kolejną serię niezwykle dokładnych map Indii z okresu między 21 300 a 4800 lat temu, które ukazywały zmiany linii brzegowej wynikłe z podnoszenia się poziomu morza podczas topnienia lodów w końcu ostatniej epoki lodowcowej (patrz rozdział 6). Z map tych wynikało nie tylko, iż ogromne obszary Indii pokryły wody, lecz że wskutek tych procesów mogła (czy mogły) bezpowrotnie przepaść jakaś nieznaną kulturę lub kultury.

W grudniu 2000 roku otrzymałem również informację z NIO, że wreszcie wydano mi pozwolenie na nurkowanie w Poompukur. Mogłem tam pojechać w lutym 2001 roku – dokładnie w rok po poprzedniej wizycie. Na szczęście ostateczne przygotowania i negocjacje (w tym w sprawie funduszy przyznanych NIO na badania) zostały zakończone dzięki moim staraniom w Channel 4 brytyjskiej telewizji, który miał teraz filmować przebieg poszukiwań. Cieszyłem się bardzo z udziału fachowych operatorów telewizji. Byłem pewien, że tylko dzięki udostępnieniu materiałów szerokiej publiczności zdołamy zwrócić na ten niezwykły obiekt uwagę archeologów, którzy w takiej sytuacji nie mogą już zignorować.

Kolejne potopy w Indiach

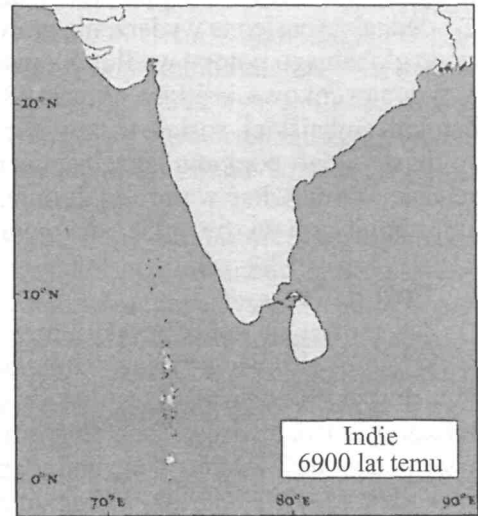
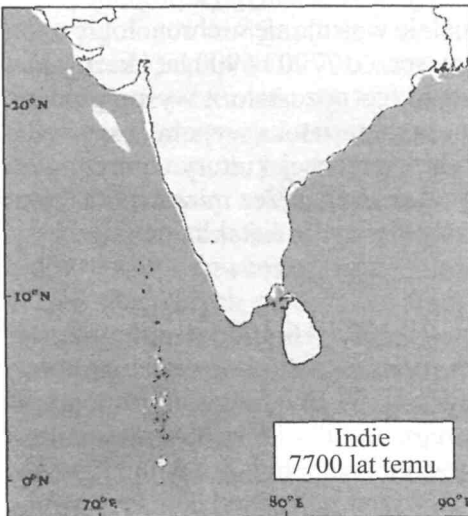
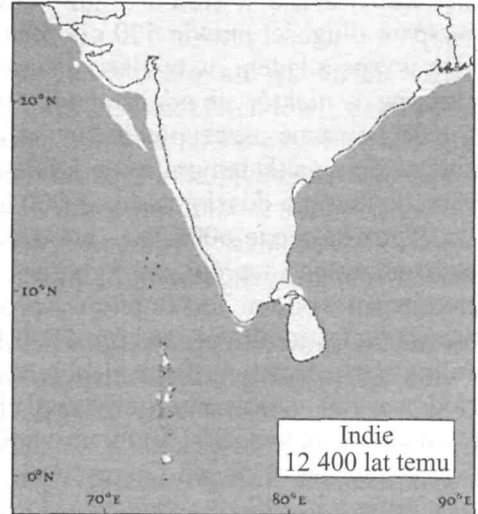
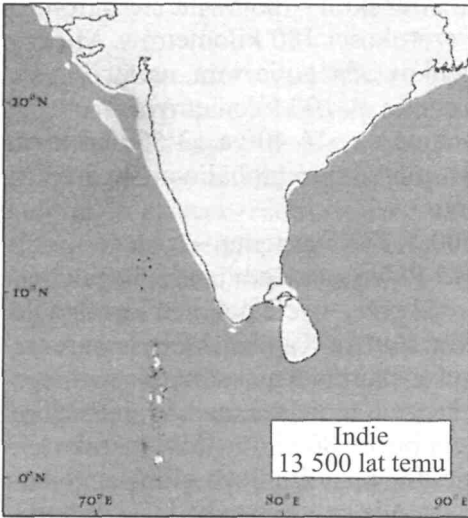
W styczniu 2001 roku Glenn Milne przysłał mi kolejne mapy Indii – całą sekwencję wyjątkowo dokładnych symulacji zalewania lądu 21 300, 16 400, 13 500, 12 400, 10 600, 8900, 7700 i 6900 lat temu.

Dokładnie przestudiowałem mapki, przedstawiające wygląd subkontynentu od najdawniejszych po najbliższe nam czasy, i prześledziłem postępy postglacjalnych potopów w Indiach. Najbardziej uderzał fakt, że dwa rejony, w których mity o potopie występowały najczęściej i gdzie znaleziono już podwodne ruiny – przybrzeżne obszary Gudżaratu na północnym zachodzie i Tamilnadu



na południowym wschodzie – według map najbardziej ucierpiały wskutek naporu wód i musiały niegdyś być terenami, na których rozkwitały przedpotopowe cywilizacje.

Trzymając w rękę mapy, które ukazywały subkontynent w mniej więcej tysiącletnich odstępach czasu, mogłem ustalić, kiedy zalewy były najgwałtowniejsze oraz porównać te dane z 1. chronologią kataklizmów opracowaną przez Johna Shawa, 2. z mitologią; i 3. z przyjętym datowaniem tak zwanej neolitycznej rewolucji w Indiach (czyli początku produkcji rolnej w Mehrgarh i innych miejscach).



Północny zachód

Na północnym zachodzie, w okolicy Gudżaratu, mapy ukazują, jak rozległe obszary lądu zostały zatopione między 17 000 a 7000 lat temu. Rejon ten sąsiaduje z terenami, na których, zdaniem archeologów, mogła zakorzenić się kultura Indusu-Saraswati w ciągu trzech ostatnich tysiącleci tego samego okresu. Jak pamiętamy z rozdziału 6, największe zalane obszary rozciągały się wokół współczesnej Zatoki Kambajskiej, a na południe od niej mapa sprzed 16 400 lat ukazuje rozległą depresję, która prawdopodobnie była niegdyś słodkowodnym jeziorem, otoczonym pasem lądu o szerokości co najmniej 100 kilometrów, a za nim dopiero znajdowało się Morze Arabskie.

Na kolejnej mapce z tej serii – sprzed 13 500 lat – widzimy, jak poważne zmiany zaszły w ciągu 2900 lat. Obszar lądu wokół Zatoki Kambajskiej znacznie się zmniejszył, a w środku – już na Morzu Arabskim – pojawiła się ogromna wyspa o długości prawie 500 kilometrów i szerokości 100 kilometrów. Między ową wyspą a lądem, w miejscu dawnego słodkowodnego jeziora, utworzyła się cieśnina, w niektórych odcinkach również szeroka na 100 kilometrów.

To poważne uszczuplenie lądu w okresie między 16 400 a 13 500 lat temu zbiega się z zakładanym przez Johna Shawa pierwszym globalnym superpotopem, do którego doszło około 15 000 lat temu.

Przez następne 6000 lat – między 13 500 a 7700 lat temu – rozległa przybrzeżna wyspa i szeroki pas wybrzeża wzdłuż Półwyspu Kathijawar ulegały nacierającym wodom. Ten stopniowy proces trwał przez wiele pokoleń i trudno go nazwać katastrofalnym. Jeszcze 7700 lat temu Zatoka Kambajska była „uroczą doliną” i trwała w tym stanie nieprzerwanie od co najmniej maksimum ostatniego zlodowacenia, a przybrzeżna wyspa, choć znacznie mniejsza, nadal miała spore rozmiary – zapewne 300 kilometrów długości i blisko 80 kilometrów szerokości.

Ale ten obraz rejonu Gudżarat nie pasuje do opisu drugiego globalnego superpotopu Johna Shawa sprzed około 11 000 lat. Nie mogło wtedy dojść do zapisanej na trwałe w ludzkiej pamięci panicznej ucieczki ocalałych z potopu.

Jednakże następne wydarzenia prawie idealnie wpisują się w chronologię trzeciego globalnego potopu według Shawa. Mapy sprzed 7700 i 6900 lat ukazują, że w tym stosunkowo krótkim okresie (800 lat) to, co pozostało z wyspy poniżej Zatoki Kambajskiej, zostało całkowicie zalane, a sama zatoka wypełniła się wodą do dzisiejszego poziomu. Przedstawicielom hipotetycznej kultury, zmuszonym uciekać i zamieszkać w uroczej dolinie, jaką zatoka była przez minione 6000 lat, lub zajmującym wyspę, takie zdarzenia musiały się wydać kataklizmem.

Południe

Jak można się spodziewać, mapy sprzed 21 300 i 16 400 lat wskazują, że w okresie około pięciu tysiącleci maksimum ostatniego zlodowacenia na południu doszło do znaczących zmian linii brzegowej. W owym czasie Cejlon był połączony z lądem, a „znaczący zintegrowany rejon Indii” – który obecnie znajduje się pod wodą⁵⁹ – wznosił się nad jej powierzchnią na południu i południowym wschodzie (a także wzdłuż Wybrzeża Malabarskiego na zachodzie). Przypomi-

nam, że według głównego wątku tradycji Kumari Kandam w zamierzchłej przeszłości wokół południowego krańca Indii istniały ogromne masy lądu, które zostały pochłonięte przez kolejne potopy.

Mapy sprzed 21 300 i 16 400 lat ukazują szelf kontynentalny, znajdujący się ponad lustrem wody w okresie epoki lodowcowej. Na szczególną uwagę zasługuje półwysep w kształcie ryjka, który wcinał się na 150 kilometrów w Ocean Indyjski, poniżej współczesnej Kanija Kumari. Jak czytelnicy zapewne pamiętają, o takim półwyspie mówi mit o Kumari Kandam:

W dawnych czasach ląd, rozciągający się dalej na południe, góra Kumari-koddu oraz duży obszar kraju nawadniany przez rzekę Prahuli leżały na południu od Przylądka Kumari. Wskutek gwałtownego wtargnięcia morza znikły góra Kumarikoddu i cała kraina, przez którą przepływała Prahuli⁶⁰.

Półwysep, który widzimy na mapach Glenna Milne'a, nie jest aż tak wielki jak ten, który opisuje legenda (według niej miał „700 kawathamów”, czyli 1600 kilometrów długości). Ale znajduje się dokładnie tam, gdzie powinien według tradycji Kumari Kandam. Co więcej, mapy ukazują inne przedpotopowe lądy, których większa część również zniknęła pod morskimi falami, a których pozostałości leżą obecnie na otwartym oceanie na południowy zachód od subkontynentu, czyli znacznie większe w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia Malediwy.

A może cywilizacja Kumari Kandam obejmowała częściowo przybrzeżne obszary południowych Indii i Cejlonu, a częściowo także archipeląg Malediwów? Jeśli tak, to hipoteza o Kumari Kandam rozciągającym się niegdyś 1500 kilometrów na południe od Kanija Kumari nie wydaje się już taka nieprawdopodobna, podobnie jak relacja o cywilizacji istniejącej wówczas na tych terenach, która została unicestwiona przez nawracające epizody katastrofalnych potopów.

Według tradycji ostatni z owych potopów miał miejsce 3500 lat temu (przypuszczalnie ten sam kataklizm zmiotł z powierzchni ziemi Drugi Sangam w Kawatapuram), a poprzedni 7200 lat wcześniej (prawdopodobnie zniszczył on Pierwszy Sangam w Tenmaduraj). N. Mahalingam powołuje się na inne tamilskie źródła, mówiące o wcześniejszych potopach: jeden zdarzył się wkrótce po założeniu Pierwszego Sangamu, w przybliżeniu 9600 lat temu, drugi ponad 16 000 lat temu, a najwcześniejszy – 18 000 lat temu⁶¹.

Istnieje niezwykła zbieżność między naszą współczesną wiedzą o topnieniu lodów epoki lodowcowej (szczególnie o epizodycznej, powtarzającej się sekwencji postglacialnych potopów) a tradycją Kumari Kandam, wspominającą o powtarzających się potopach właśnie w tym okresie. Można dostrzec całkowitą zgodność dat poszczególnych epizodów zatopień – przynajmniej w granicach marginesu błędu, który uwzględniają zarówno szacunki Shawa, jak i Milne'a (że nie wspomnę o skali błędu i przesady w samej tradycji). Ile razy trzeba jeszcze udowodnić zgodność w kwestii zasadniczego przebiegu zdarzeń, jeśli wyraźnie widać, że słowa tamilskich „bajarzy” potwierdzają odkrycia paleogeografów? A może –

jak sarkastycznie pyta Pillai – „natknęli się oni na jakieś tajne archiwa, które ocalały z potopu?”⁶²

Na mapie Glenna Milne'a ukazującej stan sprzed 13 500 lat widać również dramatyczne zmiany w krajobrazie południowych Indii w stosunku do okresu sprzed 16 400 lat. Rejony nadbrzeżne poważnie się zmniejszyły, półwysep poniżej Kanija Kumari zalało morze, pozostawiając jedynie przybrzeżną wyspę. Na Oceanie Indyjskim na południowy zachód od Indii rozległe obszary przedpotopowego archipelagu Malediwów zmniejszyły się prawie o połowę.

Mapa sprzed 12 400 lat ukazuje nieznaczne tylko zmiany, lecz 10 600 lat temu wyspa na południe od Kanija Kumari stała się maleńką kropką, Malediwy jeszcze bardziej się skurczyły, a pas morskiej wody po raz pierwszy pojawiał się między Tuticorin na lądzie a Mannar, obecnie znajdującym się na Cejlonie. Ekspansja morza przypomina opisy ze znanych w Sri Lance mitów o zalaniu królestwa Rawany (dosłownie: „w minionej epoce” morze weszło między Tuticorin a Mannar)⁶³. W okresie między 12 400 a 10 600 lat temu mieszczą się ustalona przez Milne'a data zatonięcia podkowiastej budowli w Poompuhur i drugiego epizodu postglacjalnego potopu według Shawa (około 11 000 lat temu).

Mapa sprzed 8900 lat ukazuje dalsze znikanie pasa lądu wzdłuż wybrzeża południowych Indii i coraz agresywniejsze wdzieranie się morza poza Tuticorin i Mannar, na tereny, które obecnie są dnem zatoki poniżej półwyspu Dżaffna. Cieśnina Palk wciąż była suchym lądem. Choć mocno zmniejszony, pas lądu wciąż łączył Dżaffnę z głównym lądem (i łączył je przez kolejne tysiąclecie).

Według szacunków Johna Shawa trzeci z wielkich polodowcowych sptywów wód do światowego oceanu nastąpił mniej więcej przed 8000 lat. To wydarzenie zbiega się z gwałtownym zalaniem Zatoki Kambajskiej i sąsiednich rejonów północno-zachodnich Indii. Na południowym wschodzie mapy pokazują, że w tym samym okresie – między 7700 a 6900 lat temu – pod wodą zniknęły Malediwy, a grobla łącząca Cejlon i Tamilnadu, która tak długo zdołała się utrzymać, została w końcu pochłonięta przez morze, co nadało subkontynentowi indyjskiemu kształt zbliżony do obecnego.

Brzytwa Okhama

Jakie wnioski możemy wysnuć z mitu o Kumari Kandan?

Nie ma wątpliwości, że pod wieloma względami dość dokładnie przedstawia on ówczesne zdarzenia. Z drugiej strony wiele z jego wątków brzmi dość niewiarogodnie. Po prześledzeniu zawartych w opowieści liczb (ominałem te fragmenty, żeby nie rozpraszać uwagi czytelników) wyłaniają się z nich pewne schematy; to raczej zagadki matematyczne lub swego rodzaju kod, a nie liczba członków, patronów ani też okres trwania tego czy innego Sangamu.

Dowiadujemy się więc, że Pierwszy Sangam istniał 4440, drugi – 3700, a trzeci – 1850 lat⁶⁴. Nie jest zapewne przypadkiem, że każda z tych liczb to wielokrotność 37 ($120 \times 37 = 4440$; $100 \times 37 = 3700$; $50 \times 37 = 1850$)⁶⁵. Nie wiem,

jakie znaczenie mają i co symbolizują, lecz chronologia mitu staje się podejrzana i nie można traktować go jako historycznego zapisu.

Lecz mimo iż pewne szczegóły i daty nie zgadzają się z przyjętą linią, w głównym zarysie przedstawia on zdarzenia prawdziwe. To fakt, iż drawidyjski Półwysep Indyjski był niegdyś znacznie większy niż obecnie. Fakt, że na przestrzeni kilku tysięcy lat nastąpiła seria potopów, które stopniowo pochłaniały kolejne obszary. Mit właściwie określa też epokę – działo się to w samym środku postglacjalnych potopów, około 11 600 lat temu.

Większość historyków i archeologów uważa mity za bezużyteczne z naukowego punktu widzenia⁶⁶. Dysponujemy jednak świadectwami archeologicznymi w postaci podkowiastej budowli, leżącej 23 metry pod wodą i 5 kilometrów od wybrzeża Poompukur, która liczy sobie „11 000 lub więcej lat”⁶⁷. Czy najprostszego wyjaśnienia jej zagadki nie dostarcza nam mit mówiący, że niegdyś w tym rejonie rozkwitała pradawna cywilizacja, która została pochłonięta przez morze?

Zgubione lata

Nastał straszny czas dla wszechświata. Uczyni dla siebie mocny statek, z przyczepioną doń liną; wejdź na jego pokład wraz z Siedmioma Mędrkami i zabierz z sobą – troskliwie wybrane i przechowane – wszelkie nasiona, które znane są z dawnych czasów (...).

Satpathabrahmana

Pod koniec ostatniej epoki lodowcowej nadszedł czas spektakularnych geologicznych zaburzeń. Wywołane przez nie katastrofalne potopy występowały z przerwami między 15 000 a 7000 lat temu. Czy to przypadek, że – zdaniem archeologów – w ciągu tych samych 8000 lat wspólnoty naszych przodków przeobraziły się (w różnych miejscach i momentach) ze społeczności myśliwsko-zbierackich w rolnicze? A może za „zrewolucjonizowaniem produkcji żywności” kryje się coś więcej? Większość naukowców dostrzega związek między końcem epoki lodowcowej a prawdopodobnym początkiem uprawy roli, wysuwając – nie udowodnioną jak dotąd – hipotezę, iż to gwałtowne zmiany klimatyczne zmusiły myśliwych i zbieraczy do „wynalezienia” rolnictwa¹.

Nikt jednak nie zwrócił uwagi, iż na obrzeżach tych rejonów, w których między 15 000 a 7000 lat temu dokonała się rewolucja agrarna, znajdują się duże obszary zatopione przez polodowcowe potopy dokładnie w tym samym czasie:

- Wiemy już, że tak było w Indiach, jednym z najstarszych centrów produkcji rolnej². Subkontynent ten stracił pod koniec ostatniej epoki lodowcowej ponad milion kilometrów kwadratowych na południu i zachodzie, najwięcej zaś w części północno-zachodniej.
- Tak też stało się w Chinach i Azji Południowo-Wschodniej, poważnych ośrodkach produkcji rolniczej w zamierzchłej przeszłości. W ich bliskości znajdował się w epoce lodowcowej Sundaland (obecnie leżący 100 metrów pod wodą). Przed ostatecznym zatonięciem – około 8000 lat temu – obejmował on ponad 3 000 000 kilometrów kwadratowych, rozciągając się od Półwyspu Malajskiego przez tereny obecnie będące wyspami Indonezji i Filipinami. Tajwan stanowił część terytorium lądowego Chin, a na północy od niego ląd sięgał niemal 1000 kilometrów na wschód, obejmując to, co dziś nazywamy Morzem Żółtym oraz cały Półwysep Koreański.

- Żyzny Półksiężyc – najstarszy rolniczy rejon Bliskiego Wschodu, z ośrodkiem na ziemiach nawadnianych przez Tygrys i Eufrat – to półkolisty obszar obejmujący współczesne Izrael, Liban, Syrię, Turcję, Irak i Iran, a opierający się na Zatoce Perskiej. Nie tylko ona była w owych pradawnych czasach suchym lądem, który został zalany pod koniec epoki lodowcowej. Kilka innych rejonów w pobliżu Oceanu Indyjskiego, Morza Czerwonego i Śródziemnego również zniknęło pod wodą.
- W Ameryce Środkowej rolnictwo pojawiło się samoistnie, niezależnie od transformacji Starego Świata. W epoce lodowcowej Zatoka Meksykańska, Jukatan, Nikaragua, Floryda i Bahamy były ogromnymi lądami, które polodowcowe potopy zalały około 7000 lat temu. Świadectwa pochodzące z Meksyku i Panamy, znane od lipca 2001 roku, wskazują, że „rolnictwo w Amerykach pojawiło się około 7000 lat temu”. Czytamy też: „Znaleziska pyłków kwiatowych z wybrzeża Zatoki Meksykańskiej wskazują, iż około 5100 roku p.n.e. na plażach i lagunach wycięto drzewa i uprawiano kukurydzę”³.

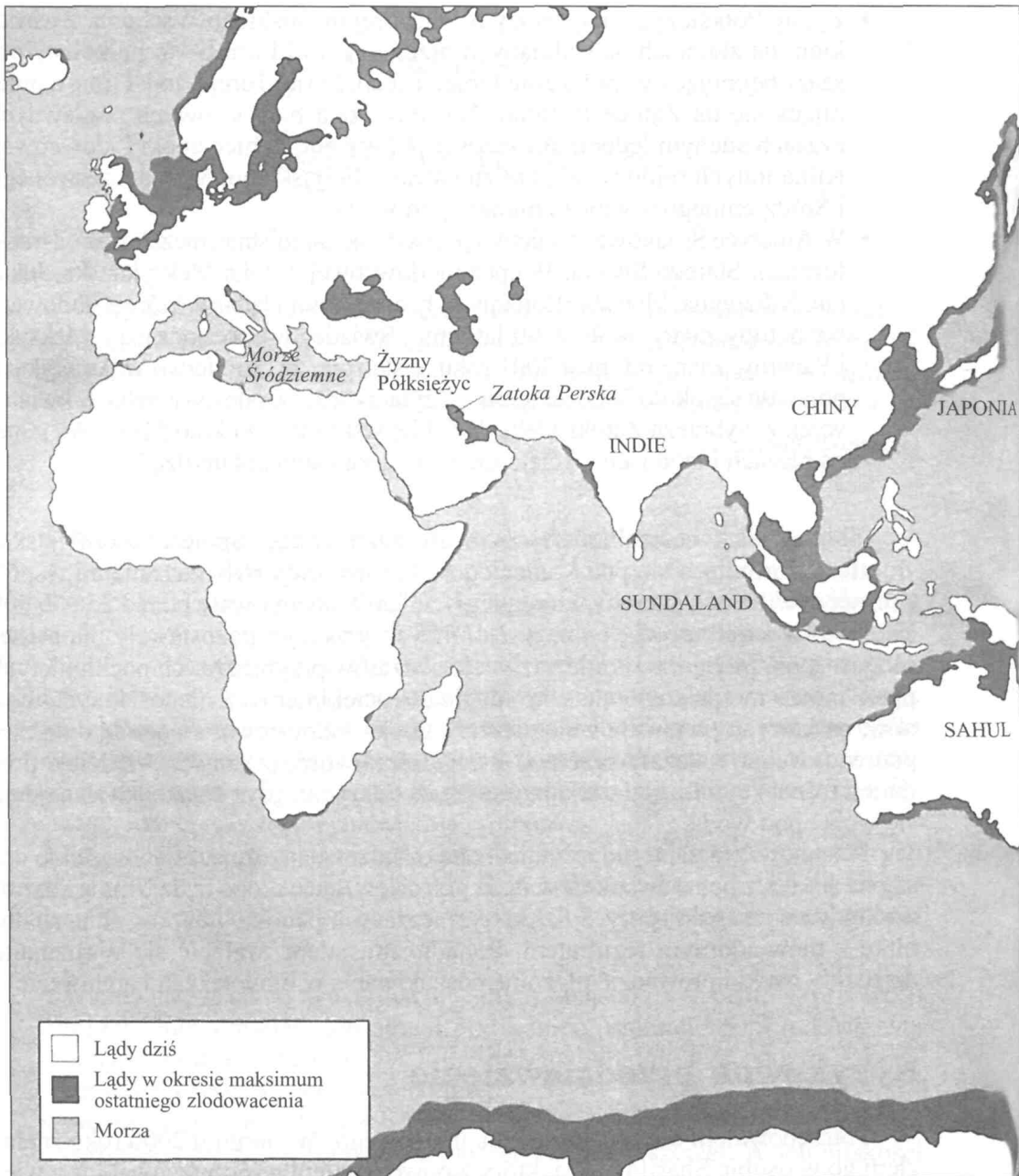
Zbieżności te coraz bardziej zwracały moją uwagę. Społeczności wiejsko-rolnicze, formujące się pod koniec epoki lodowcowej, były zaczątkami współczesnej cywilizacji, a tereny, które uległy zalaniu, obejmowały ponad 25 000 000 kilometrów kwadratowych i ze zrozumiałych przyczyn pozostawały dla archeologów *terra incognita*. Ponieważ wiele obszarów przybrzeżnych pochłoniętych przez morze mogło stanowić schronienie dla uciekinierów z niegościnnych terenów, na których panowała wciąż jeszcze epoka lodowcowa, a pogoda była nieprzewidywalna, należały brać pod uwagę możliwość, iż prawdziwe dzieje produkcji rolnej i cywilizacji czekają jeszcze na odkrycie, gdyż świadectwa znajdują się wciąż pod wodą.

Postanowiłem zająć się tą zaniedbaną dziedziną, angażując w to wszelkie dostępne środki, z pełną świadomością, iż przedsięwzięcie drogo będzie mnie kosztować, gdyż wymagało sporych funduszy, męczących podróży i nurkowania, na dobitkę z niewiadomym rezultatem. Ponadto musiałem zagłębić się w rozmaite dziedziny nauki i prowadzić mozolne poszukiwania w bibliotekach i archiwach.

Ryzykowne przedsięwzięcie

Potrzebowałem dobrego asystenta naukowego. W sierpniu 2000 roku znalazłem go w osobie Sharifa Sakra, który z powodzeniem współpracował już z wieloma znanymi mi badaczami. Na samym początku poprosiłem, żeby poszukał jakiegoś wybitnego naukowca, który potrafiłby sporządzić dokładne mapy zatopionych obszarów w końcu epoki lodowcowej. Tak zaczęła się nasza długa i owocna współpraca z Glennem Milne'em.

Kiedy w ostatnim kwartale 2000 roku zaczęły obficie napływać informacje o zatopionych lądach, dałem Sharifowi inne, wciąż ściśle związane z tym tematem



zadanie. Miał przejrzeć wszelkie dostępne zbiory starych map z XVI wieku lub wcześniejszych – to znaczy z okresu, kiedy świat nie został jeszcze w pełni odkryty – by przekonać się, czy zarysy lądów są zbieżne ze zrekonstruowaną przez Milne’a linią brzegową epoki lodowcowej.

Tu dotykamy pewnego problemu, a także tajemnicy, która od dawna mnie fascynowała i której poświęciłem trzy rozdziały w wydanej przez mnie w 1995



roku książce *Ślady palców bogów*. Charles Hapgood, a za nim inni autorzy twierdzą, że niektóre mapy pochodzące z XIV–XVI wieku ukazują Antarktydę i inne rejony świata nie w takiej postaci, w jakiej znamy je dziś, lecz tak jak wyglądały w epoce lodowcowej, gdy poziom morza był niższy o 120 metrów. Co więcej, w chwili sporządzania owych map wiele z tych rejonów nie zostało jeszcze odkrytych (Antarktydę na przykład poznaliśmy dopiero w XIX wieku).

Hapgood uważa, że wysoko rozwinięte cywilizacje, które później uległy unicestwieniu, mogły sporządzać mapy jeszcze w epoce lodowcowej. Po zaginięciu owych hipotetycznych cywilizacji mapy częściowo przetrwały i przekazywane były z pokolenia na pokolenia oraz wielokrotnie przerysowywane, gdy oryginały dawno przepadły. Kopie mogły zostać włączone do zbiorów wielkich starożytnych bibliotek, zwłaszcza w Aleksandrii w Egipcie, która przez długi czas była ośrodkiem nauk o nawigacji i astronomii. Niewykluczone, iż uratowano je z pożaru, jaki zniszczył bibliotekę aleksandryjską w początkach ery chrześcijańskiej. Garść tych dokumentów mogła przechować się w innych archiwach na Bliskim Wschodzie. Po upływie kilkuset lat, złupione i wywiezione przez krzyżowców, dostały się do rąk żeglarzy z rejonu Morza Śródziemnego, którzy potrafili docenić ich wartość. W XIII i XIV wieku powstały liczne kopie. Ówczesni podróżnicy porównali archiwalne dokumenty z własnymi obserwacjami i pomiarami, udoskonalając posiadane już mapy. Ponieważ w owym czasie rejon Morza Śródziemnego współcześni postrzegali jako centrum świata, naturalną koleją rzeczy kopiści skupili się właśnie na nim i na terenach sąsiednich, mimo iż dokumenty źródłowe przedstawiały znacznie większy obszar...

To wszystko są, rzecz jasna, spekulacje, z wyjątkiem faktu, iż pod koniec XIII wieku pojawiły się niezwykle dokładne mapy okolic Morza Śródziemnego oraz części Atlantyku. Nazywamy je portolanami lub portulanami, kilkaset przetrwało do naszych czasów. Wybitni kartografowie są zgodni, że wywodzą się one z jednej mapy źródłowej, która zaginęła, a którą znakomity historyk map A.E. Nordenskiöld nazywał „normalną portolaną”. Na szczęście przetrwało też kilka map świata i ich części, wykonanych podobnie jak portolany, i właśnie na nich najlepiej widać podobieństwo do zarysów linii brzegowej i topografii z epoki lodowcowej.

Hapgood opublikował słynną książkę *Maps of the Ancient Sea Kings* w 1966 roku, a od tego czasu technika obliczania poziomu mórz w epoce postglacjalnej znacznie się rozwinęła. Mimo iż liczni naukowcy starali się zdyskredytować jego wiedzę i poglądy, zagadka, którą Hapgood ujawnił światu, pozostała nierozwiązana po dziś dzień.

Nie zamierzam powtarzać tu wywodów tego badacza, zainteresowanych odsyłam do *Śladów palców bogów*, a jeszcze lepiej – do jego własnych publikacji. Dysponując dokładnymi wykresami zatopionych obszarów sporządzonymi przez Milne'a, poprosiłem Sharifa, żeby znalazł jakieś interesujące dawne mapy – te, o których wspominał Hapgood, i inne. Zasugerowałem, żeby pominął Antarktydę, gdyż tym tematem zająłem się już w 1995 roku, i poradziłem, by omijał zagadnienia poruszane wcześniej przez Hapgooda. Pragnąłem dysponować materiałem, o którym nikt jeszcze nie pisał i który jeszcze nie wzbudzał kontrowersji, ale pasującym do map Milne'a i mogącym ostać się krytyce środowiska akademickiego.

W lutym 2001 roku Sharif przysłał mi e-mail z informacją o pewnej portugalskiej mapie Indii z 1510 roku, którą dokładnie zbadał. Bardzo szczegółowo przedstawiała ona linię brzegową subkontynentu – w takiej postaci, jaką ostatnio miała 15 000 lat temu.

Kiedy 23 lutego 2001 roku przeczytałem tę wiadomość, byłem już w Indiach. Przyleciałem właśnie do Tamilnadu z Malediwów, gdzie spędziłem cztery dni, pracując nad filmem z ekipą Channel 4.

Tej samej nocy, po zameldowaniu się w hotelu w Mahabalipuram, gdzie na-
zajutrz mieliśmy kręcić film, otrzymaliśmy z NIO informację, że zespół ponow-
nie zlokalizował podkowiastą budowlę w Poompukur i 26 lutego są gotowi roz-
począć nurkowanie.

Wyspy piramid

Redinowie pojawili się na długo przed współczesnymi mieszkańcami Malediwów. Potem gościły tutaj również inne ludy, lecz żaden nie był tak potężny i liczny, jak Redinowie. Znali zarówno żagiel, jak i wiosło, dzięki czemu poruszali się po morzu z dużą prędkością (...).

Thor Heyerdahl

Republika Malediwów, 18–23 lutego 2001 roku

Wyobraźcie sobie, że lecicie specjalnie wyposażonym samolotem pod bezkresnym błękitnym niebem nad równie bezkresnym oceanem... Samolot porusza się bardzo szybko, jest zwrotny, możecie w nim dotrzeć wszędzie, gdzie wam się podoba, a tymczasem widzicie tylko błękit – nad sobą i pod sobą.

Nagle w oddali, tam gdzie niebo styka się z wodą, oko napotyka na... coś na horyzoncie. Zwracacie samolot w tę stronę i schodzicie na wysokość 200 metrów nad oceanem, po którym pędzą niewielkie grzywiaste fale.

Wkrótce w polu widzenia pojawia się ląd – po prostu łąca piasku szeroka na kilometr i długa na 3 kilometry, obramowana pierzastymi liśćmi drzew palmowych, które wydają się pływać po morzu, już nie błękitnym, lecz przybierającym wszystkie odcienie lazuru i turkus. Zauważacie w dżungli polanę, a na niej niewielkie domki wzniesione z białego koralowego wapienia, ustawione w równych rzędach, które przedzielają prostopadłe uliczki, także z białego wapiennego kamienia. Lilipucia osada lśni w promieniach porannego słońca jak lustro.

Wzlatujecie wyżej, żeby mieć lepszy widok (pamiętajcie, że to podróż w wyobraźni, możecie więc osiągnąć pułap satelitów) i ze zdumieniem stwierdzacie, iż ta niewielka, zamieszкана wysepka leży w pierścieniu nawet jeszcze mniejszych, bezludnych wysepek i mierzei, ułożonych w kręgi, półksiężycy i elipsy. Pierścien okazuje się częścią innych niezliczonych kręgów, półksiężyców i elips, leżących obok siebie i tworzących wspólnie znacznie większą elipsoidalną formację – zewnętrzny wieniec wielkiego atolu Malediwów, szerokiego na 50 kilometrów i długiego na ponad 100 kilometrów. Atol obejmuje lagunę o nieco mniejszych wymiarach (jako że wieniec samych wysp jest dość wąski), a w jej obrębie rozrzucone są mniejsze koralowe wysepki i mierzeje, układające się wciąż w ten sam wzór – kręgi, elipsy, półksiężycy.

Jeśli wzniesiecie się jeszcze wyżej, ujrzycie cały archipelag liczący 26 wysp powiązanych z sobą jak perły w naszyjniku w kształcie wydłużonej elipsy, długiej

na 754 kilometry z północy na południe i szerokiej na 118 kilometrów ze wschodu na zachód.

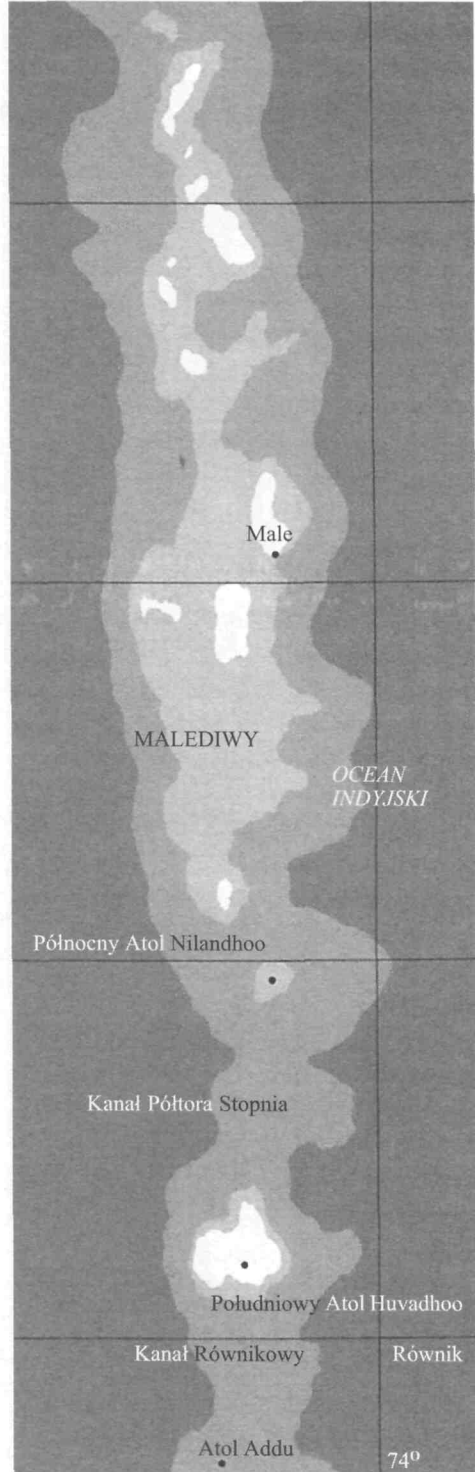
Każdy z tych atoli powstał dzięki koralowcom wzrastającym na brzegach zatopionego szczytu wulkanu.

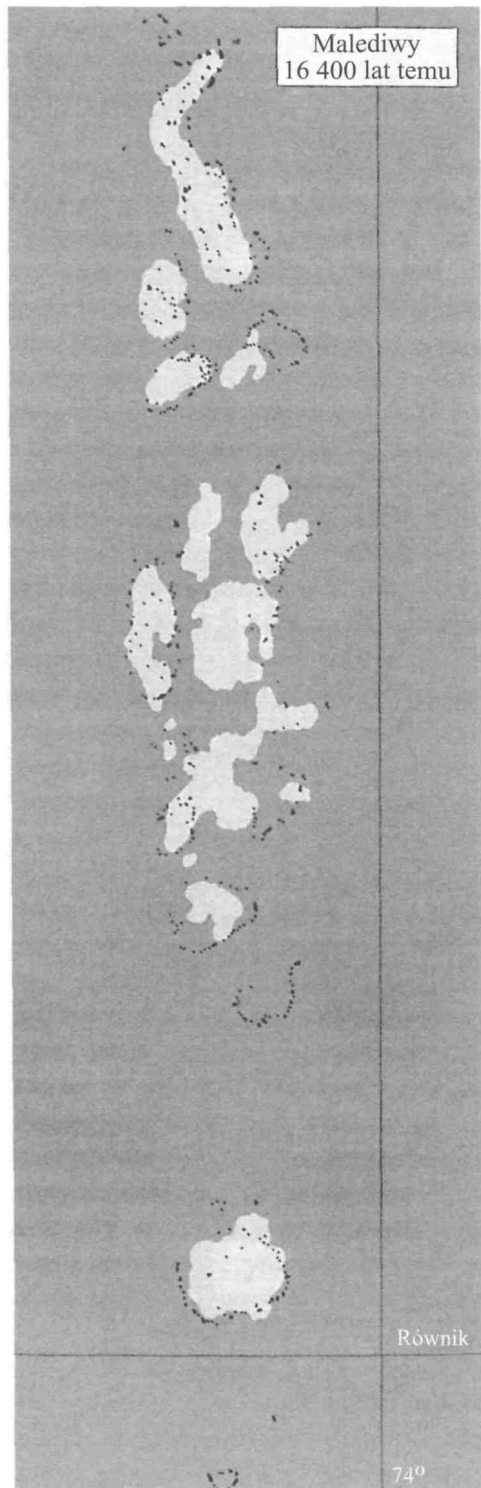
Od setki tysięcy lat koralowce najpierw osiadają wokół brzegów wulkanicznych lądów, tworząc przybrzeżne rafy. Kiedy wyspa, a częstokroć wystający szczyt podwodnej góry zaczyna powoli tonąć, koralowce rosną w górę w takim samym tempie. Powstaje w ten sposób rafa szelfowa, oddzielona od wybrzeża tonącego lądu laguną. Kiedy wyspa całkiem już pogrąży się w wodzie, rozrost koralowców stanowi podstawę atolu otaczającą miejsce, w którym niegdyś znajdował się wulkaniczny ląd lub wyspa. Zamknięta laguna gromadzi piasek i rumosz pokruszonych koralowców, a jej podstawa tworzy się na zapadającym się w morzu lądzie (...). Koralowce mogą także budować rafy i wyspy w obrębie laguny! (...).

Podstawa laguny jest obecnie zupełnie zatopiona, lecz podczas maksimum ostatniego zlodowacenia, gdy poziom morza był niższy o 120 metrów, ogromny basen, w obrębie którego utworzyły się atole Malediwów, znajdował się na powierzchni...

Znowu obniżacie lot ku morzu, przyglądając się z bliska jednemu z atoli, szmaragdowo-zielonej wyspie. Wydaje się, że pokrywa ją zielona, niezamieszкана dżungla.

I znów w samym środku zieleni, w odległości mniejszej niż pół kilometra od





brzegu, widać łysinę. Podlatujecie bliżej. W jej środku znajduje się stożkowe wzgórze z palmą na szczycie. Obniżacie lot jeszcze bardziej i odkrywacie, że to wcale nie wzgórze i tak naprawdę nie ma kształtu stożka.

Jest to częściowo zapadnięta piramida wysokości dwukondygnacyjnego budynku.

Naszyjnik

Czterodniowa wycieczka na Malediwy – tuż przed moim powrotem do Indii 23 lutego 2001 roku – nie mogła być ekspedycją badawczą. Archipelag liczy prawie 1200 wysepek, rozciągających się na 8° szerokości geograficznej, na przestrzeni 90 000 kilometrów kwadratowych oceanu. Na tej ogromnej masie błękitnej wody obszar lądowy liczy mniej niż 300 kilometrów kwadratowych. Wielu naukowców uważa, że nawet te pozostałości mogą zatonąć przed końcem XXI wieku wskutek podnoszenia się poziomu wód, związanego z globalnym ociepleniem².

Groźba wisząca nad Malediwami i ich jedyłą w swoim rodzaju kulturą przypomina, że światowy ocean może podnieść i w istocie podnosi poziom, by pochłonąć niżej położone państwa i całą ich historię, tak że na powierzchni wód nie pozostanie po nich nawet najmniejszy ślad. Jeśli jest to możliwe dziś, w stosunkowo spokojnym okresie międzyludowcowym, nie trzeba wybujałej wyobraźni, żeby zrozumieć, co dzieło się na świecie, gdy między 15 000 a 7000 lat temu poziom wód wzrastał w dramatycznym tempie.

Dzięki postępowi współczesnej nauki dysponujemy obecnie precyzyjnymi mapami zatopionych obszarów, które

pozwalają nam odtworzyć przeszłość, może nie ze stuprocentową dokładnością (choć specjaliści stale nad tym pracują), lecz opierając się na najlepszych dostępnych informacjach.

Z map wynika, że naszyjnik rozrzuconych koralowych atoli, z których obecnie składa się archipelag, stanowił w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia jeden łańd, rozdzielony kanałami, zatokami i przesmykami, zajmujący prawdopodobnie 50 000 kilometrów kwadratowych z ogólnej liczby 90 000 kilometrów kwadratowych, jakie znajdują się obecnie w granicach wód terytorialnych Republiki Malediwów. Innymi słowy – 49 700 kilometrów kwadratowych archipelagu zatoneło w okresie między 21 000 a 16 000 lat temu.

Starając się rozwikłać zagadkę Kumari Kandam, nie mogłem pominąć tej ogromnej masy łańdu na Oceanie Indyjskim, który w epoce lodowcowej rozciągał się w stronę równika od punktu znajdującego się niemal na tej samej szerokości co najdalej wysunięty rejon Tamilnadu. Nawet dziś tak bardzo okrojone Malediwy stanowią przeszkodę dla żeglarzy, lecz 16 000 lat temu każdy, kto pływał po tej części oceanu, natykał się na liczącą 800 kilometrów długości linię klifów biegnącą z północy na południe, skutecznie blokującą drogę ze wschodu na zachód. Żeglarze epoki lodowcowej, którzy wybierali się na wschód lub zachód, musieli, chcąc nie chcąc, przepływać przez dwa głębokie kanały – Kanał Półtora Stopnia (nazwany tak, ponieważ przecina Malediwy o 1,5° na północ od równika) i Kanał Równikowy, wtedy i obecnie szeroki na 50 kilometrów, dzielący Południowy Atol Huvadhu (na półkuli północnej) od atolu Addu (na półkuli południowej).

Teraz Malediwy są kropkami na oceanie, lecz 16 000 lat temu musiały być ogromnymi wyspami. Jeśli istniało kiedykolwiek Kumari Kandam, znajdujące się (według mitu) na przedpotopowych przybrzeżnych obszarach południowych Indii i Cejlonu, czy nie mogło obejmować również wielkiego archipelagu Malediwów, leżącego zaledwie kilkaset kilometrów na południowy zachód? Jak już wspomniałem w rozdziale 10, hipoteza ta tłumaczyłaby starą tamilską tradycję, która głosi, że Kumari Kandam rozciągało się w głąb Oceanu Indyjskiego na „700 kawathamów” (około 1600 kilometrów) poza współczesny Przylądek Komoryn.

Znikanie prehistorii

Starożytna historia archipelagu Malediwów jest prawie zupełnie nieznaną³, a sposób, w jaki zatonał, sugeruje, iż jeśli w ogóle miał jakąś prehistorię, zniknęła we wznoszącym się morzu pod koniec epoki lodowcowej. Rzecz komplikuje jeszcze bardziej niepokojąca „anomalia grawitacyjna”, która występuje w tym miejscu. Archipelag usytuowany jest na dnie ogromnego koryta w powierzchni samego Oceanu Indyjskiego, powstałego w wyniku oddziaływania silnego lokalnego pola grawitacyjnego, zdaniem pewnych naukowców związanego z masą zatopionych gór, na wierzchołkach których uformował się atol Malediwów. Tak jak w przypadku pozostałych znanych anomalii grawitacyjnych (kilka podobnych koryt odkryto

w innych miejscach światowego oceanu dzięki satelitom), nie ma pewności, czy zjawisko zawsze występowało w tym samym miejscu, czy głębokość jego koryta zawsze była taka sama lub czy pozostanie ono w tym stanie także w przyszłości⁴.

Na Malediwach prowadzono niewiele prac archeologicznych, lecz zdaniem większości akademickich uczonych „pierwsi osadnicy prawdopodobnie przybyli tu z Cejlonu nie później niż w 500 roku n.e. i byli buddystami”⁵. Inni badacze podają wcześniejsze daty, nawet 500 rok p.n.e., zwracając uwagę na wpływy religijne z południa Indii – tamilskie i hinduistyczne⁶. Thor Heyerdahl, który jako jeden z nielicznych prowadził wykopaliska na Malediwach i którego książka *The Maldives Mystery (Zagadka Malediów)* jest jedyną poważną próbą rozszyfrowania starożytnej historii wysp, uważa, że osadnicy pojawili się tu znacznie wcześniej – prawdopodobnie w 2000 lub nawet w 3000 roku p.n.e. – i zapewne odgrywali niemałą rolę w handlu między Egiptem, Mezopotamią i kulturą Indusu-Saraswati⁷. Hipotezy Heyerdahla nie potwierdziło datowanie radiowęglowe przedmiotów znalezionych na Malediwach, z których żaden nie okazał się starszy niż z 540 roku n.e.⁸, ale zarówno w tej, jak i w innych kwestiach autor mógł mieć rację. To, czego nie wiemy o wyspach, znacznie przekracza naszą o nich wiedzę:

Zazwyczaj historia jakiegoś narodu zaczyna się od potężnego króla zakładającego dynastię. Malediwy są pod tym względem wyjątkiem. Dynastia królów panowała tu, zanim rozpoczęła się historia wysp. Królestwo upadło, gdy zaczęły się ich dzieje. Ostatni monarcha został wyznaczony na sułtana przez nabożnego cudzoziemca, który przybył morzem i rozpoczął historię Malediów. Wszyscy inni władcy za jego sprawą popadli w zapomnienie, z wyjątkiem tego jednego, który nawrócił się na wiarę przybysza. Nie mając oręża ani nawet kropli malediwijskiej krwi w żyłach, wprowadził nową wiarę, nowe prawa i założył obecne muzułmańskie państwo Malediów⁹.

Malediwy nie tylko ucierpiały wskutek podnoszenia się poziomu morza i upływu czasu, lecz także zostały nawrócone na islam w 1153 roku n.e. (583 roku według kalendarza muzułmańskiego)¹⁰, co spowodowało dalsze zniszczenia starożytnych budowli, artefaktów i napisów. Mój przyjaciel i autor *Journey Through the Maldives (Podróży przez Malediwy)*, Peter Marshall, pisze:

Znana historia Malediów zaczyna się od przyjęcia islamu. Podobnie jak chrześcijaństwo w Europie zaczęli liczyć czas od narodzin Chrystusa, tak mieszkańcy wysp przyjęli kalendarz muzułmański. Aż do niedawna niewiele uwagi poświęcali temu, co zdarzyło się przedtem. W zapomnienie popadła historia przedmuzułmańskich Malediów, zniszczeniu uległy również wcześniejsze budowle i przedmioty¹¹.

Tak więc to, na co archeolodzy mogliby natrafić na Malediwach, przynajmniej ponad wodą (bo w wodę jeszcze nikt się nie zagłębiał), jest zapewne drobną cząstką – prawdopodobnie całkowicie niereprezentatywną – tego, co tu niegdyś się znajdowało.

A w nieprzeniknionej dżungli wysp, w części zupełnie bezludnych i niedostępnych dla turystów, kryje się kilkadziesiąt częściowo zapadniętych i zarosniętych piramid, wysokich na 10 metrów, których ściany zwrócone są w cztery strony świata. Dziś już tylko ruiny, wzgórza z ubitej ziemi i kamieni, w niektórych przypadkach odsłaniające stopniowe warstwy doskonale dopasowanych megalitów, sprawiają ponure wrażenie. Miejscowi nazywają je *hawitta*. Nie znamy ich przeznaczenia ani pochodzenia, choć datowanie radiowęglowe wskazuje na przedział od 500 do 700 roku n.e.¹².

Większość badaczy uważa je – zapewne słusznie – za buddyjskie stupy (święte kopce). W ruinach znaleziono rzeźby, reliefy w kamieniu i rozmaite artefakty niewątpliwie buddyjskiego pochodzenia. Niektóre z nich przypominają dzieła sztuki powstające w tym samym okresie w Indiach i na Cejlonie, wydaje się więc, iż buddyzm był tu dość popularną religią w stuleciach poprzedzających przyjęcie islamu¹³. Rzeczywiście, sanskrycki tekst *Vadžrajany*, pochodzący z IX lub X wieku n.e., jest najstarszą czytelną inskrypcją, jaka zachowała się na Malediwach¹⁴.

Ale, jak zauważyło wielu badaczy, malediwski buddyzm ma swoiste oblicze. Być może, wywarła nań wpływ jakaś inna religia – na przykład odmiana hinduizmu, który panował na Malediwach przed buddyzmem? Niektóre zaskakujące rzeźby groteskowych ludzkich twarzy z wyłupiastymi oczyma, kędzierzawymi wąsami i zakrzywionymi zębami jak u dużych kotów – „mogą przedstawiać hinduistyczne bóstwa”¹⁵ – tak przynajmniej sądzi Arne Skjolsvold, archeolog w Muzeum Kon-Tiki, który mimo to woli uważać te wizerunki za związane z miejscową odmianą buddyzmu tantrycznego¹⁶.

Dodatkowych wskazówek dostarcza *dhivehi*, malediwski język, należący do grupy języków indoeuropejskich i spokrewniony z sanskrytem, a tym samym z syngaleskim, jednym z dwóch języków Cejlonu (drugi to tamilski). Syngaleski ulegał silnym wpływom i transformacjom wskutek kontaktu z tamilskim¹⁷, a według Clarence’a Maloneya w *dhivehi* brzmia także echa tamilsko-drawidyjskie, co dowodziłoby, iż „hinduizm był obecny na wyspach jeszcze przed buddyzmem”¹⁸.

Podczas wykopalisk na Malediwach odkryto wiele „falicznych” rzeźb, między innymi w ruinach ogromnego świątynnego kompleksu na Północnym Atolu Nilandhoo¹⁹. Oglądałem te rzeźby pochodzące z różnych części archipelagu i moim zdaniem, mimo pewnych różnic, nie są niczym innym jak Śiwalingami.

Obecność tego charakterystycznego symbolu Śiwy na tak odległych wyspach, na obrzeżu południowej półkuli, nie zaskakuje zbytnio, gdyż od zawsze był on Dakszinamurti, Bogiem Południa²⁰. Jest też jednak bardzo starym i niezwykle szanowanym bóstwem, które Wedy utożsamiały z wysokimi szczytami Himalajów leżącymi daleko na północy, i którego wizerunek jako ascetycznego Władcy Jogi oraz Pasupatego, Pana Zwierząt, wywodzi się sprzed 5000 lat, z miast Doliny Indusu – Harappy i Mohendźo-Daro.

Jak już pisałem w rozdziale 10, w starych przedharappskich osadach znaleziono tak wiele obiektów przypominających lingi, że T.R. Sessa Iyenagar wykrzyknął zdumiony: „Kult Śiwy w postaci lingi istniał już w epoce kamiennej!”²¹ Możemy zatem uznać, że mit o Kumari Kandam jeszcze raz potwierdziły fakty

archeologiczne. Śiwę uznawano wszak za członka Pierwszego Sangamu, założonego prawdopodobnie w przedpotopowym mieście Tenmaduraj 11 600 lat temu, czyli jeszcze w epoce kamiennej.

Zagadka hawittów

Zostawmy na chwilę rozważania o dawności religii czy koncepcji religijnych, które stały się hinduizmem i buddyzyzmem (gdyż ten ostatni jest jedynie odgałęzieniem hinduizmu, a korzenie obu sięgają okresu wedyjskiego).

Przyjmijmy też, że archeolodzy wskazują na środek I tysiąclecia n.e. jako na okres powstania piramidalnych malediwijskich hawittów (ściślej mówiąc – tych kilku, które jak dotąd odkopano).

Załóżmy, iż właściwie wydatowano rzeźby, artefakty itp., które wokół nich znaleziono. Nie mamy powodu, aby to kwestionować; przeciwnie, wydaje się, że archeolodzy wykonali dobrą robotę i że daty te są dość dokładne (z błędem 200 lub 300 lat).

Skąd wybitnie religijne sztuka i architektura przywędrowały na Malediwy? To prawda, że rzeźby i piramidy – albo stupy – przypominają buddyjskie obiekty ze Cejlonu, lecz są też różnice... Oczywiście, podobne wydają się też do zabytków hinduizmu z południa Indii, lecz i tu widać odrębności. Skąd się biorą? Gdzie zrodził się ten specyficzny, niepowtarzalny styl? Nie znamy żadnych archeologicznych dowodów ewolucji architektury i symboliki na samych Malediwach. Hawitty po prostu nagle się pojawiły (na podstawie datowania radiowęglowego można przyjąć, iż około 1500 lat temu) w ostatecznym kształcie, wzniesione z wyjątkowym znanstwem.

Czy są dziełem przybyszy, którzy przynieśli z sobą gotowe wzorce architektoniczne z jakiegoś innego rejonu świata? Być może, lecz jeśli tak, to skąd się wywodzili? Przykładów typowego dla Malediów stylu nie znaleziono ani w Indiach, ani w Sri Lance. A może napierające wody oceanu zmyły lub pokryły wcześniejsze etapy historii Malediów, podobnie jak pod koniec bieżącego stulecia zmyją i pokryją tę resztkę, jaka pozostała po potężnym niegdyś archipelagu?

W przeszłość z Billem Allisonem

Nurkowałem dwa razy w błękitnych wodach Malediów z Billem Allisonem, twardym, ostrzyżonym na jeża, 54-letnim Kanadyjczykiem o stalowych oczach i płaskim brzuchu; prowadził on badania raf koralowych wokół wysp. Zorientowałem się już, że plan zajęć ekipy telewizyjnej oraz rozmiary obszaru, na którym mieliśmy kręcić zdjęcia, nie pozwolą pogłębić badań. Producent założył, iż będziemy filmować to, co sam nazwał „ślicznościami” – piękne rybki, koralowce, czyste tropikalne wody zapewniające doskonałą widoczność, refleksy słońca, fale – i oczywiście mnie pływającego jak foka wokół miejsca akcji. Z punktu widzenia akcji filmu „motywu” naszego tu pobytu (jakby ktokolwiek potrzebo-

wał motywu, żeby nurkować na Malediwach!) miał dostarczyć Bill Allison, ekspert w dziedzinie raf koralowych, który mnie – historykowi tropiącemu pradawne dzieje – pokazuje zakamarki i jaskinie na rozmaitej głębokości, jakie za sprawą fal powstały w formacjach koralowych tysiące lat temu, kiedy poziom morza był znacznie niższy.

Po zakończeniu pracy siedzieliśmy w popołudniowym słońcu na pokładzie łodzi zakotwiczonej na zewnętrznym krańcu Północnego Atolu Male.

– Jak powstały Malediwy? – spytałem. – Widzimy pod nami koralowe skały, ale jak one się tu znalazły?

Bill: Gdy Indie dryfowały w kierunku Azji [dryf kontynentalny, który miał miejsce setki milionów lat temu], Malediwy – lub to, co się stało Malediwami – pozostały po tym dryfie jako łańcuch wulkaniczny. Kiedy wulkany zaczęły tonać, rozrosły się na nich koralowce. Stoimy na warstwie ponad 2000 metrów koralowców.

GH: 2000 metrów koralowców na wierzchołkach wulkanów?

Bill: Zgadza się.

GH: No, no... Gdybyśmy tak wrócili do okresu, który mnie interesuje, czyli maksimum ostatniego zlodowacenia – powiedzmy od 17 000 do 5000 lat temu – co byśmy widzieli wokół nas, dokładnie w tym miejscu?

Bill: Musielibyśmy spojrzeć 130 metrów w górę, żeby zobaczyć drzewa. Wznosiły się bardzo strome klify, a na górze płaskowyż, poprzecinany szczelinami i kanałami. Tak, te klify miały ze 130 metrów.

GH: To niemało.

Bill: I kanały...

GH: To wszystko wznosiłoby się nad naszymi głowami?

Bill: Tak, a kanały znajdowały by się na wysokości 80–90 metrów.

GH: No, no. A ten atol zapewne byłby lądem?

Bill: Tak.

GH: A woda?

Bill: Znajdowała się w zagłębieniach, ale nie wszędzie. To podłoże jest bardzo porowate. Koralowce nie tworzą jednolitej masy, wiele w nich dziur. Woda momentalnie wnika głębiej. Mogłyby tu istnieć jakieś okresowe jeziora, strumienie. Potem prawdopodobnie przekształciłyby się w podziemne rzeki wpływające do morza.

GH: Czy na powierzchni też mogły biec rzeki?

Bill: Rzeki? Może. Ale raczej małe, szybko przeciekające do gruntu. Z płaskowyżu do morza mogły spływać kaskadą wodospady.

GH: Tak więc za nami rozciągałyby się łąd. A tu, gdzie jesteśmy?

Bill: Moglibyśmy znajdować się na szelfie albo na wyspie, w zależności od tego, jak daleko stąd do brzegu. [Rozgląda się wokół i patrzy za burty łodzi].

GH: Czy umiesz to określić dokładnie?

Bill: [oceniając położenie łodzi w stosunku do rafy] Znajdujemy się teraz na zewnątrz atolu, tak więc nadal bylibyśmy na morzu... Patrzylibyśmy z tego

miejsca na ogromny płaskowyż i wyspę, wznoszącą się na miejscu obecnego morskiego dna między wysepkami. Teren byłby suchy, chyba że spadłby deszcz, wtedy utworzyłyby się jeziora. Rostaby tu dżungla. Krajobraz przypominałby współczesną Jamajkę.

GH: Dobrze. Więc byłby to...

Bill: Ja to sobie tak wyobrażam.

GH: Byłby to kraj pokryty bujną roślinnością?

Bill: Tak. Wyrastającą z wapiennego podłoża, zwanego kresem, bardzo nierównego, pełnego zapadlin.

GH: Oto widok sprzed 17 000 lat. Znajdujemy się na zewnątrz atolu. Zaglądamy do środka. Widzimy ogromny łąd porośnięty dżunglą, właśnie tam, gdzie teraz rozsiane są pojedyncze wyspy. Wiemy, że po maksimum ostatniego zlodowacenia poziom mórz zaczął wzrastać. Powiedz mi, co stało się potem. Wiem, że to skomplikowana sprawa, bo w tym samym czasie, gdy poziom morza się podnosił, wulkany bardzo powoli zanurzały się w wodzie i zaczęły je porastać koralowce.

Bill: Gdy poziom morza zaczął się podnosić, cały ten łąd i pokrywająca go roślinność zaczęły tonąć. Ogromny obszar ziemi opadł do morza. Na pewien czas powstrzymało to rozrost koralowców, tak więc niektóre rafy rosły, a inne nie, i dlatego widzimy teraz tak różne formacje. Niektóre rafy znajdują się na głębokości 50 metrów, ale nie wiadomo, dlaczego nie rosną, można się jedynie domyślać, że z jakichś powodów zatoneły, podczas gdy inne rafy rosły – i te widzimy dziś na powierzchni.

GH: Wiem, że 10 000, a nawet jeszcze 8000 lat temu spore połacie łądu znajdowały się nad wodą. Czy znasz powód, dla którego wyspy te mogły pozostawać bezludne w owym czasie? Czy nadawały się do zasiedlenia?

Bill: Myślę, że ludzie łatwo je znaleźli: były dobrze widoczne i bliższe wysuniętego wówczas szelfu przybrzeżnego Indii. Nasi przodkowie lubili podróżować i nie byłbym zdziwiony, gdyby tu przybyli.

GH: Poziom morza wciąż się podnosi. Nie wiem, czy twoje podwodne badania to potwierdzają, ale dowiedziałem się skądinąd, że ten wzrost nie następował stopniowo, lecz przypominał raczej kolejne potopy, które zalewały płaskowyż. Czy pod wodą zachowały się jakieś ślady tego procesu?

Bill: Czasami zdarzało się, że poziom wód się obniżał. Jeśli był przez dłuższy czas stabilny – nie umiem powiedzieć, jak długo, ale pewnie przez kilkadziesiąt do tysiąca lat – w rafie powstały wyrwy i urwiska, a w niektórych miejscach wyrwy przekształciły się w jaskinie, jak te, przez które przepływaliśmy dziś po południu. Niektóre z nich się zapadły. Tu i ówdzie można zobaczyć takie formacje.

Co zobaczył Bill Allison

- Czy podczas tych wszystkich lat, kiedy nurkowałeś na Malediwach – zapytałem Billa – widziałeś jakieś obiekty, które dawno temu mogły zostać wykonane przez ludzi?

- Tak, raz zanurkowałem tam, gdzie nie powinienem był się znaleźć – odparł Bill z wahaniem. – Nie uwierzysz, co zobaczyłem.
- GH: Na jakiej głębokości?
- Bill: Około 40 metrów. To znajdowało się poniżej, myślę, że 70 metrów pod wodą. Przypominało trochę schody.
- GH: To ciekawe.
- Bill: Ale biorąc pod uwagę odległość oraz to, że na tej głębokości wzrok płata figle...
- GH: Czy obiekt wyglądał jak regularne, wykute schody?
- Bill: Tak. Były wąskie i równej szerokości, dlatego zwróciły moją uwagę.
- GH: Miały coś w rodzaju bocznych krawędzi?
- Bill: I stopnie, przynajmniej tyle mogłem zobaczyć z tej odległości.
- GH: Co pomyślałeś? Że to halucynacje?
- Bill: Nie. Pomyślałem: „To ciekawe. Muszę tu wrócić i bliżej się przyjrzeć”. Ale wolę to zrobić na trimiksie i z odpowiednim wsparciem na powierzchni.
- GH: Daleko stąd do tego to miejsca?
- Bill: Znajduje się w Kanale Vadhoo, godzinę drogi łodzią, ale wcale nie jestem pewien, czy potrafię je odnaleźć.
- GH: Czy to blisko wysp?
- Bill: Tak, na samym obrzeżu atolu. Jeżeli poziom morza był o 130 metrów niższy – albo co najmniej poniżej 70 metrów – taka konstrukcja pozwalała zejść z lądu do wody.
- GH: Byłoby to coś w rodzaju mola lub pirsu ze stopniami.
- Bill: Myślę...
- GH: Nie jesteś pewien?
- Bill: To prawdopodobne na 20%, może mniej.

Nawet gdyby Bill oceniał prawdopodobieństwo odnalezienia schodów na 2% lub mniej, i tak chciałbym zanurkować, żeby je zobaczyć.

Gdybyśmy nawet zdołali je znaleźć, co wymagałoby kilku dni, musiałbym najpierw przejść długotrwały, specjalistyczny kurs nurkowania z trimiksem (specjalną mieszanką gazów zamiast sprężonego powietrza), zanim zszedłbym na głębokość 70 metrów. W tej sytuacji jedyne, co mogliśmy zrobić – pod warunkiem bardzo dobrej widoczności – to zawisnąć na głębokości 40 metrów i przyjrzeć się tym schodom, jak zrobił to poprzednio Bill.

Ale według programu nazajutrz mieliśmy lecieć do Indii...

Zagadka Redinów

Starzy ludzie z kilku bardziej odległych wysp opowiadają historię, która mogłaby tłumaczyć tęsknotę mieszkańców Malediwów za utraconą wielkością oraz obecność niezwykłych ruin. Tradycja mówi o tajemniczym ludzie, Redinach, którzy

podobno byli budowniczymi hawittów. Naseema Mohamed, naukowiec z malediwijskiego narodowego instytutu badań lingwistycznych i historycznych, pisze:

Wysocy, mieli jasną skórę, brązowe włosy i niekiedy niebieskie oczy. Znakomicie znali się na żeglarstwie. Opowieść o nich krąży po Malediwach od wielu lat, wskazuje się miejsca, w których zakładali obozowiska, oraz cmentarze. Ale naprawdę nie wiemy, kiedy relacjonowane fakty się zdarzyły²².

Podczas swoich podróży badawczych na Malediwy Thor Heyerdahl zebrał legendy o Redinach ze wszystkich zakątków archipelagu. Doszedł do wniosku, iż w pamięci wypiarzy zapisali się jako „żyjący tu dawniej lud o znacznie większych niż zwykli ludzie umiejętnościach”²³:

Redinowie pojawili się na długo przed współczesnymi mieszkańcami Malediwów. Potem gościły tutaj również inne ludy, lecz żaden nie był tak potężny i liczny jak Redinowie. Znali zarówno żagiel, jak i wiosło, dzięki czemu poruszali się po morzu z dużą prędkością²⁴(...).

Peter Marshall także przytacza malediwijską tradycję o żeglarskich talentach Redinów. Podobno kiedyś ugotowali sobie posiłek na północy archipelagu, a potem popłynęli tak szybko na południe, że tam zjedli jeszcze ciepłe potrawy²⁵.

Postaci o nadprzyrodzonych, wręcz boskich zdolnościach, pływające szybko przez morze w łodziach zaopatrzonych w żagle i wiosła, bardzo przypominają Aświnów z *Rygwedy*, których wspominałem w rozdziale 6. Wielokrotnie wychwalano ich za śmiałe wyprawy na Ocean Indyjski:

O Aświnowie [dwaj „boscy pośrednicy”, czyli „aniołowie stróże”, do których Wedy często się odwołują], jak martwy bogacz, który porzuca swe bogactwa, Turga opuścił Bhudźju w chmurze wody. A wyście przywieźli go na powrót w żwawych statkach (...). Przywieźliście Bhudźju do najdalszych brzegów morskich, do wybrzeży oceanu (...). Wyście dokonali czynów bohaterskich na oceanie, który nie dawał oparcia ni wytchnienia, w czasie gdy prowadziliście Bhudźju do jego domu na statku o stu wiosłach, o Aświnowie²⁶.

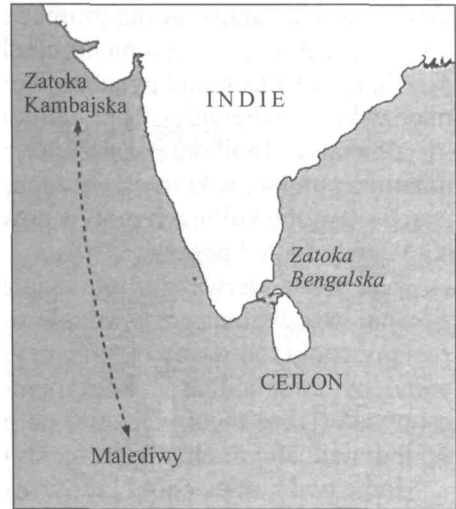
O Aświnowie, daliście synowi Turgi [Bhudźju] pośród wodnych potopów statek ze skrzydłami [żaglami?], by płynął tu i tam (...) wy go zrodziliście. Z łatwością uciekł przed wściekłym atakiem. Cztery statki, najbardziej potrzebne w środku oceanu, popędzane przez Aświnów, uratowały syna Turgi, tego, który zatonął był w wodach (...)²⁷.

Połączenie z Zatoką Kambajską?

Związek Redinów z wedyjskimi Aświnami pozostaje w sferze domniemań. Niemniej Thor Heyerdahl uważa, że za mitem o Redinach kryje się prawdziwa

historia. Ma on być znacznie dawniejszy niż hewitty (datowane metodą radiowęglową), których konstrukcję legenda przypisuje Redinom. Lud, o którym wspomina mit, prawdopodobnie pochodził z północno-zachodnich Indii, pierwotnej ojczyzny *Rygwedy*. Po pobycie w Gudżaracie i obejrzeniu ogromnych morskich doków, jakie przedstawiciele kultury Indusu-Saraswati wzniesli w Lothal, gdzie wśród ruin odkryto muszle monetek z Malediwów (*Cypraea moneta*)²⁸, Heyerdahl pisze:

Byłem przekonany, że przynajmniej hinduskie elementy w kulturze Malediwów pochodzą z północno-zachodniego zakątka Indii. Hindusi prawdopodobnie nie byli pierwszymi żeglarzami, którzy podróżowali na południe od zatoki Kambajskiej na Malediwy. Może wyprzedzili ich mieszkańcy Mezopotamii, a statki z Doliny Indusu-Saraswati kierowały się słońcem przez Kanał Równikowy – i to one przetrwały w legendzie o Redinach²⁹.



Możliwe prehistoryczne morskie połączenie między Malediwami a północnymi Indiami

Jeśli tak, możliwe wydaje się również, że ludzie, o których mówi mit, mogli przybyć na Malediwy i nawet wcześniej. Pamiętać należy, że Zatoka Kambajska była suchym lądem, dopóki około 7700 lat temu nie zalały je polodowcowe potopy (patrz rozdział 10). Im głębiej posuwamy się w przeszłość, tym dalej na południe od zatoki sięgało wybrzeże Indii. Dopiero 15 000 lat temu wskutek podwyższenia się poziomu morza nastąpiły gwałtowne zmiany.

Więcej zaginionych cywilizacji?

Pozostaje jeszcze problem roli, jaką kultury drawidyjska i południowoindyjska odegrały w prehistorii Malediwów i sposobu, w jaki dzieje archipelagu – znacznie większego w epoce lodowcowej – łączą się z tamilskim mitem o Kumari Kandam.

Widać wyraźny wpływ sanskrytu i kultury północnych Indii na Malediwy i ich rodzimy język – *dhivehi*. Język ten należy do rodziny języków indoeuropejskich i prawdopodobnie wywodzi się z syngaleskiego, indoeuropejskiego języka Cejlonu, który rozpowszechnił się na wyspie około VI wieku p.n.e. po przybyciu osadników z północnych Indii³⁰. Hipoteza Thora Heyerdahla o prehistorycznych morskich związkach między Malediwami i rejonem Gudżarat (nie bądźmy zbyt

skrupulatni, ustalając górną granicę czasową tych kontaktów) daje jeszcze jedno wytłumaczenie, dlaczego na archipelagu pojawił się język indoeuropejski.

Za tymi kwestiami i pytaniami kryje się poważniejszy problem pokrewieństwa między kulturą drawidyjską południowych Indii a tradycją i koncepcjami religijnymi północnych Indii oraz wyraźnych podobieństw między wedyjskimi a tamilskimi mitami o potopie, w których występują ci sami bogowie, mędrcy i ten sam, przewijający się w obu kulturach motyw powtarzających się kataklizmów i prób zachowania wiedzy sprzed potopu.

Nie po raz pierwszy zastanawiałem się, czy w Indiach mamy do czynienia nie z jedną, lecz dwiema różnymi, ale wzajemnie powiązanymi zaginionymi cywilizacjami epoki lodowcowej, przy czym jedna dominowała (lecz nie wyłącznie) na północnym wschodzie subkontynentu (w jego kształcie sprzed potopu), druga zaś panowała (także nie wyłącznie) na przedpotopowym południu. Obie cechowały się indywidualnym charakterem, stylem i językiem.

Indie pod koniec epoki lodowcowej utraciły ogromne obszary. Nietrudno sobie wyobrazić, że obie te kultury rozkwiły na przybrzeżnych pasach lądu i leżącym dalej na oceanie archipelagu wysp mniej więcej w tym samym czasie, i obie zostały pochłonięte przez morze również w tym samym mniej więcej momencie. Z obu ocalili ludzie, którzy wynieśli z kataklizmu starodawną wiedzę głoszącą, że dzięki samodyscyplinie, medytacji, joginicznemu ascetyzmowi i jodze można wejść na wąską ścieżkę duchowej transcendencji w materialnym świecie.

Duchy w wodzie

Wielki potop miał miejsce w 16 000 r. p.n.e. Drugi w 14 058 r. p.n.e., kiedy część Kumari Kandam została zalana przez wodę. Trzeci nastąpił w 9564 r. p.n.e. i wtedy morze pochłonęło jeszcze większy obszar Kumari Kandam.

M. Mahalingam, prezes Międzynarodowego Towarzystwa Badań Kultury Tamińskiej

Wybrzeże Poompuhur, południowe Indie, 26 lutego 2001 roku

Może starożytne nauki Indii skłaniały do duchowej transcendencji, lecz raniem dnia, w którym zamierzaliśmy zanurkować w Poompuhur, bynajmniej nie doświadczałem wewnętrznego spokoju. Zanim jeszcze nastał świt, już zacząłem rozmyślać, a głowę wypełniały mi obawy, lęki, nadzieje i przewidywania. Odczuwałem też pierwsze oznaki nadchodzącej migreny, przewrotnej dolegliwości, która dopada mnie zawsze, gdy przeżywam ogromne napięcie i muszę mieć jasny umysł. Od razu zaaplikowałem sobie zastrzyk z silnego środka przeciwbólowego, który zazwyczaj likwiduje tę dolegliwość niemal natychmiast, ale tym razem objawy tylko złagodniały, a ja byłem osłabiony, wyczerpany i na granicy hysterii.

Zdawałem sobie sprawę, że to nurkowanie stanie się dla mnie momentem przełomowym, że nie będzie to łatwa wyprawa, a owa tajemnicza podkowiasta budowla, którą tak chciałem zobaczyć na własne oczy, zostanie sfilmowana po raz pierwszy w historii, aby ludzie na całym świecie, zarówno archeolodzy, jak i laicy, mogli sobie wyrobić opinię o niej.

Zdobyłem jedyną w swoim rodzaju okazję – podczas wyprawy finansowanej przez Channel 4 i popartej jego prestiżem – żeby sprawdzić hipotezę o istnieniu podwodnego świata i znaleźć w oceanie dowody, które rzucą nowe światło na zagadkę pochodzenia cywilizacji. Zdawałem sobie sprawę, że Milne nie mylił się, określając wiek budowli na „11 000 lat lub więcej”, że przedtem archeolodzy z NIO zaręczali, iż ten dziwny obiekt został wykonany ludzką ręką, a nie jest naturalną formacją skalną. Spodziewałem się, że to, co znajdziemy na dnie morza, potwierdzi moje tezy.

Nie miało wielkiego znaczenia, jak budowla w rzeczywistości będzie wyglądać. Nie musiałem tam znaleźć ruin piramidy, łuków czy połamanych kolumn. Niezależnie od stopnia zniszczenia, grubości nanosów i gęstwiny roślinności morskiej, niezależnie od tego, czy okażą się mało atrakcyjne dla oka – jedynym, czego potrzebowałem, aby udowodnić moją hipotezę, były jakiegokolwiek pozostałości budowli o monumentalnych rozmiarach, wykonanej przez człowieka i starszej niż 11 000 lat.

Jeśli podkowiasta budowla spełni moje oczekiwania, jej istnienia nie da się wytłumaczyć w kategoriach akademickiego modelu historii. Jeśli okaże się taka, jak sobie wyobrażałem, lekceważone tamilskie mity o wspaniałej przedpotopowej cywilizacji zwanej Kumari Kandam, która niegdyś istniała wokół południowego wybrzeża i wysp indyjskich, okażą się źródłem autentycznych informacji. Jeśli więc podkowiasta budowla będzie taka, jak ją opisywali pracownicy NIO, to ja stanę twarzą w twarz z moim osobistym świętym Graalem.

Niepokoilo mnie, że producenci filmu chcą poświęcić tylko jeden dzień na nurkowanie. Skłoniwszy NIO do współpracy przy filmowaniu podkowiastej budowli w Poompukur i wyłożywszy ogromne sumy na wynajęcie ich zespołu nurków i archeologów na sześć dni, skorzystamy z ich usług tylko przez jeden krótki dzień!

Złościła mnie ta idiotyczna, nieprzemyślana, sprzeczna z interesem wszystkich zaangażowanych w te badania decyzja. By uzyskać zgodę na nurkowanie w Poompukur, poruszyłem niebo i ziemię, tymczasem zejść pod wodę tylko dwa lub trzy razy, co nie dawało gwarancji, że dobrze wykonam swoją robotę. Czułem się jak Mojżesz, któremu powiedziano, że ujrzy ziemię obiecaną, ale nie będzie mógł do niej wejść.

I dziwić się tu, że dostałem migreny.

Ten pan nie czuje się najlepiej...

Nadbrzeżne równiny wokół Poompukur, niezwykle płaskie, lekko nachylają się w stronę morza. Nawet przy niewielkim podniesieniu się poziomu wody mogło tu dojść do katastrofalnego potopu, który zalałby ogromne obszary.

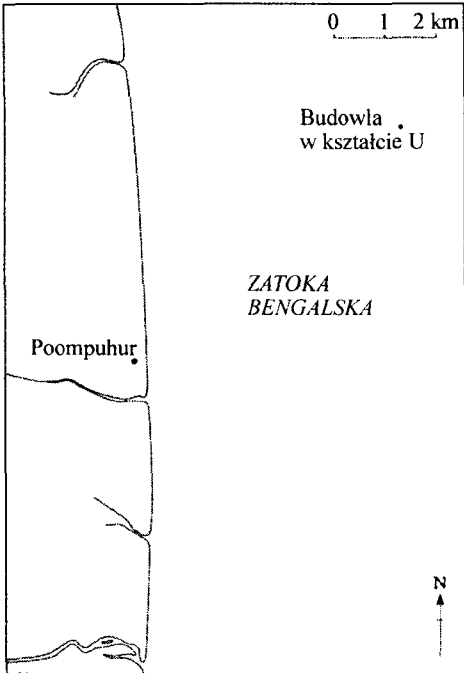
Na plaży spotkaliśmy się z Kamleshem Vora, Gaurem, Sundareshem, Gudigarem, Bandodkarem i innymi badaczami z NIO. Nakręcono scenę powitania i wspólnej przechadzki, którą musieliśmy powtórzyć trzy razy.

Potem wszyscy upchaliśmy się w niewielkiej szalupie, żeby ponad grzywaczami rozbijającymi się o płyciznę dotrzeć do miejsca, gdzie – około kilometra od brzegu – zakotwiczyła rybacka łódź wynajęta przez NIO.

Zajęło to godzinę, ponieważ operatorzy chcieli zrobić dwa ujęcia szalupy pod różnymi kątami.

Wreszcie wszyscy weszliśmy na pokład łodzi, co nie było łatwe, gdyż burty wznosiły się 2 metry ponad szalupą. Zabraliśmy sprzęt i skierowaliśmy się na otwarte morze.

Rozdrażniony, zamknięty w sobie, zupełnie nie miałem ochoty na rozmowy, leżąc na plecach z zamkniętymi oczyma, czułem powracające objawy migreny. Ale dobre wychowanie nakazywało, żebym przez następne pół godziny, kiedy pokonywaliśmy 4 kilometry dzielące nas od miejsca nurkowania, stał o własnych siłach, plotkował z kolegami z NIO, wyglądał na radosnego i optymistycznie nastawionego faceta. Przecież dano mi tak niewiarygodną szansę. Czyż to samo nie powinno wywołać uśmiechu na moim pociągłym, szkockim obliczu?



Lokalizacja budowli w kształcie litery U przy wybrzeżu Poimpuhur. Według Rao i in. (1993)

Sundaresh i Bandomkar już kilka dni wcześniej oznaczyli miejsce nurkowania bojami. Gdy zbliżyliśmy się do celu, skryłem się w zacisznym kącie łodzi i zrobiłem sobie drugi zastrzyk leku przeciwbólowego. To była już druga, maksymalna dawka, jaką mogłem przyjąć w ciągu doby. Modląc się, by ten koszmarny, otępiający i oślepiający ból wreszcie ustał, leżałem przez następne 10 minut z rącznikiem na oczach i usiadłem dopiero wtedy, gdy zakończono spuszczenie kotwicy.

– Jest poprawa? – spytał Kamlesh, szczerze zatroskany.

– Nie wiem – odparłem.

– Ten pan też nie czuje się najlepiej.

Spojrzałem w kierunku Martina, naszego podwodnego kamerzysty, który leżał rozplaszczony na pokładzie...

Nie zanosilo się na to, żeby w najbliższym czasie był w stanie zejść pod wodę.

Róg obfitości

W końcu zdecydowano, że Stefan Wickham, producent, będzie obsługiwał kamerę podczas pierwszego nurkowania. Mieliśmy nadzieję, że podczas drugiego będzie nam towarzyszył Martin. Prawdopodobnie nie starczy czasu na trzecie zejście pod wodę, ponieważ musieliśmy jeszcze nakręcić rozmowę z Gaurem, Sundareshem i Kamleshem na łodzi, a większość poranka upłynęła na kręceniu scen na plaży i dopłynięciu do łodzi.

Kiedy zakładałem butle na plecy, zauważyłem, że jeszcze przed nami przybyło tu kilka innych łodzi, a rybacy, zupełnie nieświadomi naszej obecności, skrupulatnie rzucają sieci i ciągną je, pełne srebrzystych ryb. Wyglądało na to, że – jak w innych rejonach Wybrzeża Koromandelskiego – podwodne ruiny zapewniały przetrwanie lokalnym rybakom, gdyż w ich pobliżu mogli liczyć na połów...

Pierwszy do wody wskoczył Stefan, żeby włączyć kamerę, zanim ja się zanurzę. Natychmiast, porwany przez szybry powierzchniowy prąd, zaczął znikać nam z oczu. Szczęściem na ratunek wypłynął nasz motorowy ponton i w kwadrans później Stefan był już z powrotem na pokładzie. Rzecz w tym – tłumaczyli nurkowie z NIO – żeby nie próbować walczyć z prądem, lecz chwycić się linki boi w momencie skoku do wody i zsuwać się po niej na głębokość 23 metrów.

Pierwsze nurkowanie – zejście

Choć niebo pokrywały chmury, woda nie była zimna, a przynajmniej nie tak jak w Dwarce rok temu. Lecz w porównaniu z zachwycającym błękitem Malediwów blade, nienaturalnie zielony odcień tych wód, przez które światło przebija tylko na głębokość kilku metrów, miał urok chmury radioaktywnej po nuklearnym wybuchu. Jak płatki brudnego śniegu pływały wokół nas cząsteczki niesione prądem. Wkrótce straciłem z oczu innych nurków trzymających się liny. Wiedziałem tylko, że Sundaresh, mój dzisiejszy partner, znajduje się parę metrów niżej, lecz nie dostrzegąłem go. W takich warunkach można jedynie sprawdzać wskaźniki, odprężyć się i zaufać własnym umiejętnościom.

Pięć metrów niżej widoczność stała się trochę lepsza. Prąd też osłabł, jak to bywa na większej głębokości. Widoczność nadal się poprawiała i gdy po pewnym czasie spojrziałem w dół, zobaczyłem wszystkich trzech nurków NIO unoszących się w odległości metra jeden od drugiego, a ich żółte i niebieskie zbiorniki połykiwały w wodzie.

Po około 18 metrach zauważyłem coś wielkiego wystającego z płaskiego piaszczystego dna. Ciemny kształt odcinał się na jaśniejszym otoczeniu, ale nie mogłem rozróżnić konturów.

Inni nurkowie nad i pode mną puścili linkę i zostawiając smugę bąbelków, zniknęli mi z oczu. Gaur pracował z Santhą, która robiła zdjęcia. Gudigar popłynął ze Stefanem z wideokamerą. Gaur, Gudigar i Sundaresh należeli do ekipy archeologów, która jako pierwsza oglądała budowlę podczas wstępnych ekspedycji NIO w 1991 i 1993 roku.

Śpiąc z rybami

Sundaresh, który czekał na mnie, chciał mi pokazać warstwy murarskie, które widział podczas poprzedniego nurkowania, lecz przedtem puściłem linkę, ustabilizowałem pływalność i podryfowałem 2 metry ponad ścianą i 2 metry obok niej. Prąd zniknął, widoczność znowu była słaba, prawdopodobnie dlatego, że inni nurkowie wzburzyli osady na dnie, tkwiłem więc w wodzie, przyzwyczajając się do mroku i próbując rozeznac, na co patrzę.

Od razu mogłem powiedzieć, że oglądam coś wielkiego, przysadzistego, przypominającego potężną budowlę. Aby wyrobić sobie pojęcie o jej kształcie, rozległości i położeniu, a nawet określić, czy obiekt stworzyła ludzka ręka, czy może jest dziełem natury, musiałbym odsunąć się na więcej niż 2 metry. Lecz gdybym to zrobił w tych warunkach, od razu straciłbym obiekt z oczu i znowu stałby się dla mnie cieniem w wodzie, po czym zniknąłby z pola widzenia.

Popływałem trochę tu i tam, trochę bliżej, potem dalej, próbując nabrać perspektywy, oglądając obiekt pod różnymi kątami. A wtem cała sceneria nieoczekiwanie pojaśniała – pewnie słońce przedarło się przez chmury – i przez pół minuty patrzyłem na masywny mur ze zniszczonych, podziurawionych kamieni. Choć

zrujnowany, ze sterczącymi, postrzępionymi występami i przypominającym stopnie zróżnicowaniem poziomów, mur wznosił się na około 2 metry ponad dnem, tworząc zewnętrzną krawędź ogromnej płaszczyzny.

Budowla wydawała się groźna, a zarazem opustoszała. Oblepiały ją zewsząd morskie organizmy, a w słonecznym świetle można było dostrzec girlandy rybackich sieci – jednych starych i rozpadających się, innych o niezwykłych barwach, z włókna syntetycznego. Budowla wyglądała jak ofiara mafii śpiąca z rybami na dnie morza.

Bezwiednie zadrzałem, jakbym ujrzał zjawę, ducha, i podpłynąłem do Sundaresha, wciąż cierpliwie czekającego na mnie u zakończenia liny.

Mury... korytarze... wejścia...

Ruszyliśmy powoli na południe wzdłuż wyższej krawędzi ściany platformy – jeśli to rzeczywiście była platforma, w co zacząłem wątpić. Z początku wydawała się płaska, teraz jej powierzchnia okazała się lekko wklęsła i przypominała talerz. Pokrywała ją mozaika małych kamyków. Zastanawiałem się, czy nie jest to może mur oporowy. Konstrukcja miała kształt litery U i prawie po brzegi wypełniała ją jakieś piaszczyste i kamieniste kruszywo.

W tym miejscu mur ciągnął się z północy na południe, lecz wkrótce zaczął zakręcać na wschód, tworząc podstawę litery U. W kolejnym momencie lepszej widoczności zorientowałem się, że zdążamy w stronę drugiego otwartego ramienia U, które w raporcie NIO określono jako „wejście”, a długość konstrukcji wzdłuż tej osi wynosi mniej więcej tyle, ile przepłynęliśmy – około 30 metrów.

Niedaleko początku zagięcia przepłynąłem obok otworu znajdującego się po mojej lewej stronie. Zatrzymałem się, żeby bliżej się mu przyjrzeć. Była to głęboka, wąska rozpadlina o równoległych brzegach, nieco szersza od moich barków, która na całej długości pionowo wrzynała się w zewnętrzną ścianę, wnikała w platformę (czy też kamienne wypełnienie). Przynajmniej przez kilka metrów ten kanał (czy też niezadaszone przejście – albo coś zupełnie innego!) podążał wzdłuż zakrzywionej ścieżki, która powielala w obrębie konstrukcji wyraźny zewnętrzny kształt U. Oplątana zewsząd rozpadającymi się sieciami, miejscami była chropowata i popękana, kiedy indziej o płaskim dnie i czystych brzegach, a w niektórych przypadkach sprawiała wrażenie wydrążonej.

Zanotowałem w myślach, żeby spędzić tu jeszcze trochę czasu przed końcem nurkowania, odwróciłem się i podjąwszy pierwotny kierunek wzdłuż zewnętrznej ściany w miejscu, w którym zakręca na wschód, próbowałem dogonić Sundaresha. Szukając mnie popłynął do końca i zawrócił do wejścia, gdzie do niego dołączyłem.

Ale czy rzeczywiście było to wejście?

Jakby czytając mi w myślach, Sundaresh wskazał przerwę w murze o szerokości około 1,5 metra. Teraz dopiero ujrzałem, że z boku przywiązano linkę boi. Towarzysz pokazał mi na migi, że „to właśnie jest wejście”.

Przyjrzałem się bliżej.

Znowu zaintrygowało mnie kamienne kruszywo, wypełniające większą część konstrukcji, choć – jak zauważyłem – niezbyt równą warstwą. Jego obecność sprawia, że trudno szczelinę uznać za wejście, gdyż prowadziłoby donikąd. Równocześnie gruba ściana oporowa, prawie wszędzie wysoka na 2 metry, wznosi się tu o co najmniej metr wyżej niż po drugiej stronie szczeliny; całość przypomina parę słupków u bramy. Ma też wyraźne „usta” wystające ze zwirowego kruszywa prawie na 0,5 metra, co znów świadczyło, iż podkowiasta konstrukcja pierwotnie nie została zaprojektowana jako platforma, lecz jakaś zagroda, i z pewnością nie była naturalną formacją.

Ale czy jest to ściana zagrody, wykuta w litej skale, podobnie jak wielkie przybrzeżne świątynie w Mahabalipuram, czy też konstrukcja wzniesiona z cegieł lub kamiennych bloków?

Przez resztę czasu szukaliśmy warstw budulca, które Sundaresh dostrzegł w 1993 roku. Ale jak je odnaleźć pod grubą i twardą warstwą morskich organizmów pokrywającą mur? Próbowaliśmy zajrzeć do wyłobionych przez erozję wgłębień, lecz tam czyhały na nas jadowite skorpeny, jakby specjalnie czekały na okazję ukąszenia kogoś z nas.

Nie znaleźliśmy śladów robót murarskich.

Nie podczas pierwszego nurkowania.

Niepokojące

Podczas pobytu na powierzchni walczyłem z mdłościami i pulsowaniem w skroniach. Wziąłem jeszcze jeden zastrzyk środka przeciwbólowego i po półgodzinnej przerwie czułem się już wystarczająco silny, by wszcząć dyskusję z Gaurem na temat podkowiastej budowli.

Rok wcześniej Gaur zajął zdecydowane stanowisko: konstrukcja jest ogromna, jej położenie na tej głębokości oznacza, że liczy ponad 10 000 lat; archeologia nie zna takiej kultury w Indiach, która w owym czasie byłaby zdolna do budowania podobnych obiektów; a zatem albo obiekt stworzyła natura, albo nie ma on 10 000 lat.

Spytałem, czy zmienił zdanie od ubiegłego roku, i powiedziałem mu o mapach Glenna Milne'a.

– Brytyjscy geolodzy opracowali metodę oznaczania poziomu morza, dysponują wysoko wyspecjalizowanymi komputerami i oprogramowaniem, które pozwala uwzględniać rozmaite czynniki, również osuwanie się ładu. Biorąc pod uwagę usytuowanie tej konstrukcji, musiała zatonać około 11 000 lat temu. Co ty na to?

– Moim zdaniem – odparł Gaur – to jeszcze bardziej komplikuje chronologię. W tym czasie mogły tu istnieć jedynie mezolityczne osady. Brak dowodów, by ludzie potrafili wówczas wznosić takie obiekty.

– Więc ta konstrukcja jest aż tak wielka? – zachęcałem.

– Tak.

– I mówisz to na podstawie tego, co wiecie o poziomie cywilizacji i kultury w tym rejonie w różnych epokach?

– Oczywiście – odparł Gaur. – Sądzę, że jeśli tę konstrukcję zbudowali ludzie, to może liczyć najwyżej 2500 lat. Na pewno nie pochodzi z wcześniejszego okresu, zwłaszcza w tym rejonie.

– Posłuchaj, ja nie jestem archeologiem i patrzę na sprawę z punktu widzenia dziennikarza. Szukam więc przede wszystkim faktów. Budowla znajduje się tutaj. Na głębokości 23 metrów. Została wzniesiona przez ludzi, tak czy nie? Ona sama odpowie na to pytanie, nie możemy kierować się z góry przyjętymi hipotezami o stopniu rozwoju kultury w Indiach w tym czy innym okresie. Budowlę muszą zbadać archeolodzy, by ostatecznie przekonać się, czy wzniesli ją ludzie. Osobiście wątpię, żeby natura tworzyła takie obiekty. Tak więc wiemy z całą pewnością, że w niektórych rejonach Indii ludzie zaczęli budować takie ogromne konstrukcje – ich ślady zachowały się na poziomie 1A w Mehrgarh w dolinie Indusu. Powstały zaledwie 2000 lat po tym, jak ta budowla została zatopiona. Mieści się ona w dopuszczalnym przedziale czasu – w końcu epoki lodowcowej. Uważam, że skoro ludzie mogli wznosić tak potężne obiekty w Mehrgarh na północnym zachodzie 9000 lat temu, w zasadzie nie można wykluczyć, iż tu, na południowym wschodzie, tego typu budowle powstały 11 000 lat temu, a potem zostały zalane.

– Ale w opracowaniach archeologicznych nie ma przykładów – czy na południu, czy w innych rejonach Indii – takich budowli sprzed 11 000 lat!

– Może właśnie tu je znajdziemy! Dotąd nie widzieliśmy ich, bo były pod wodą, ale teraz, kiedy je odkryliśmy, niech mówią same za siebie! Najpierw trzeba przeprowadzić badania archeologiczne na miejscu, potem można wyciągać wnioski co do poziomu kultury materialnej przed 11 000 lat.

– Z moich badań i z tego, co wiem o Mehrgarh – odparł Gaur – wynika, że na poziomie 1A znaleziono wyłącznie gliniane mury, i to tylko w jednym rejonie. Ludzie w owym czasie żyli w niewielkich grupach, a wiejskie społeczności dopiero zaczynały powstawać. Ale w Poompuhur mamy do czynienia z ogromną budowlą. A przecież stanowi ona tylko fragment kompleksu innych podobnych konstrukcji w tym rozległym rejonie. Uważam, że jeśli są dziełem człowieka, to musiał on dysponować wysoce rozwiniętą technologią. Nie można tego porównywać z prymitywnymi budowlami z niewypalanej cegły w Mehrgarh...

– Innymi słowy, jeśli podkowiasta budowla ma 11 000 lat i jest dziełem człowieka, powinniśmy zmienić poglądy na naszą przeszłość?

– Owszem.

Drugie nurkowanie

Stefana przekazał kamerę Martinowi, lecz również zszedł pod wodę, na wszelki wypadek.

Zsunęliśmy się po linie boi do północnego wejścia. Jak poprzednio popłynąłem na południe, szukając zakrzywionego korytarza niedaleko najodleglejszego krańca U, które to miejsce zauważyłem podczas pierwszego nurkowania i zapomniałem zbadać.

Sundaresh płynął metr lub dwa za mną, wciąż wypatrując śladów robót murarskich. Nagle poczułem, że łapie mnie za pletwę. Ręką wskazał coś jego zdaniem godnego uwagi, ale ponieważ czułem się trochę zdezorientowany, poruszając się w nieznanym środowisku, widoczność była niezbyt dobra, zbyt się śpieszyłem i w dodatku dokuczała mi migrena – po prostu nie widziałem, co mi pokazuje.

Martin za nami też niczego nie zauważył, ale nakręcił 26 sekund filmu, które mogłem obejrzeć dopiero późnym wieczorem. Przez pierwsze 21 sekund widać tylko moje znicierpliwienie i pośpiech. Ostatnie 2 sekundy tego ujęcia ukazywały coś, czego w żadnych okolicznościach nie powinienem przeoczyć – coś, co należało dokładnie zbadać na miejscu, a potem sfilmować i sfotografować pod każdym możliwym kątem.

2 sekundy

26 lutego 2001 roku, 15.37.02–15.37.28

Hancock i Sundaresh płyną wzdłuż osi północ–południe przy zachodniej ścianie podkowiastej budowli, Hancock prowadzi, głębokość około 22 metrów.

Sundaresh zatrzymuje się, żeby obejrzeć fragment muru, zawraca Hancocka, potem pod pływa do muru.

Hancock dołącza do Sundaresha, który pokazuje coś na murze.

Hancock rzuca okiem, ale chce płynąć dalej.

Kamera pochyla się ku podstawie muru, tuż nad dno, potem wznosi się, żeby sfilmować wskazywane miejsce.

Ujęcie trwa 2 sekundy. W wąskiej części muru, na wysokości około 1 metra, ściana jest wolna od wodorostów. W dolnym prawym rogu kadru widać regularny wzór z niewielkich bloków ułożonych w czterech wyraźnych warstwach, zarys brzegu prawdopodobnie piątej warstwy, częściowo widocznej spod morskiej roślinności. Bloki, o rozmiarach cegły, lecz nieregularnym przekroju poprzecznym, są ułożone według jakiegoś wzoru.

Kamera wędruje w górę muru i ponownie ukazuje odpływającego Hancocka...

Wyprawa na kopiec

Wciąż się denerwowałem, nie mogąc znaleźć korytarza prowadzącego do wnętrza budowli w południowej odnodze U, ale inni nurkowie zaczęli nas przywoływać. Należało dokonać zaplanowanych na ten dzień oględzin, o których zapomniałem natychmiast, wskoczywszy do wody. Podczas tego krótkiego zejścia pod wodę, na tej samej głębokości, mieliśmy obejrzeć drugą, większą budowlę, położoną stosunkowo blisko (według Sundaresha – około 45 metrów od pierwszej)¹. Jeden z dwóch „kopców”, znajdujący na północ od podkowiastej budowli, został odkryty podczas wypraw NIO do Poompuhur w 1991 i 1993 roku, a Sundaresh wspominał o „doskonale obrobionych blokach” rozsianych na dnie wokół owego kopca².

Bandodkar, którego słowo stanowiło prawo dla innych nurków NIO, obstawał, by to drugie zejście pod wodę ze względu na dekompresję ograniczyć do pół godziny lub nawet jeszcze skrócić. Było to co prawda zgodne z zasadami nurkowania, lecz moim zdaniem przesadzał. Może dlatego, że buntowałem się przeciwko temu zarządzeniu, ruszyłem do przodu tak szybko, żeby sprawdzić jeszcze ten zakrzywiony korytarz.

Zostałem jednak przywołany do porządku i wszyscy udaliśmy się do tej drugiej budowli. Musieliśmy bardzo uważać, widoczność bowiem stała się wyjątkowo kiepska. Czuliśmy się jak zagubieni w burzy śnieżnej. Mimo iż nurkowie NIO poprowadzili uprzednio żółtą nylonową linkę jako drogowskaz, podążając za nią nadal byłem zdezorientowany. Północ? Południe? Wschód? Zachód? W górę? W dół?

W dół najłatwiej. W istocie znajdowałem się tak blisko dna, że niemal się po nim ślizgałem, ale i tak nie stanowiło ono dla mnie punktu odniesienia – idealnie gładkie, płaskie i pokryte drobnym piaskiem. Bardzo wymowny kontrast z kamienistym podłożem i potężną strukturą podkowiastej budowli.

Wreszcie dotarliśmy do „kopca”. Podobnie jak wspomniana budowla, sterczał samotnie nad płaskim dnem. Na nim i obok widziałem nanosy i piasek, lecz bez wątplenia był potężną hałdą kamieni. Dostrzegłem coś na kształt brzegu muru grubego na metr, w ogólnych zarysach podobnego do muru wokół podkowiastej budowli. Oblepiony skorpenami, wznosił się około 3 metry ponad dnem, rozpluwając się na tle wyższego kopca za nim.

Martin zaczął dawać sygnały, że źle się czuje i musi wrócić na łódź. Zgodnie z instrukcjami Bandodkara cała grupa porzuciła kopiec i trzymając się linki towarzyszyła mu do miejsca, gdzie znajdowało się interesujące mnie wejście do podkowiastej budowli i gdzie zaczepiona była linka boi. Martin wraz z innymi nurkami wypłynęli na powierzchnię. Stefan, który przejął teraz rolę kamerzysty, podążył za mną.

Bloki w korytarzu

Nadal miałem zamiar zbadać ów zakrzywiony korytarz, popłynąłem więc na południe wzdłuż zachodniej ściany. Za mną ruszyli Stefan i Sundaresh.

Wąskie wejście do korytarza pojawiło się właśnie na lewo ode mnie, gdy nagle dojrzałem coś na prawej stronie, 2 metry na zachód od podstawy muru. Wyglądało to jak niewielki, rozłupany pień drzewa wystający pionowo z piaszczystego dna. Okazało się, że to mocno uszkodzony, zżarty erozją kamień. W pobliżu znajdowały się dwa podobne obiekty, lecz żaden nie wydawał się nam szczególnie interesujący. Z braku czasu nie poświęciłem im wiele uwagi.

Potem wpłynąłem do korytarza. Chciałem wiedzieć, dokąd prowadzi.

Podążyłem więc nim i zatrzymałem się w czymś w rodzaju pomieszczenia, wolnego od wszechobecnego kamiennego żwiru, który całkowicie zacierał kształty budowli w innych miejscach.

Platforma? Zagroda? Jak na platformę byłby to niezwykle obiekt, gdyż w samym środku znajdowało się pomieszczenie bez sufitu. Może tych pomieszczeń było więcej?

Uznałem to za jeszcze jeden dowód, że podkowiasta budowla była rodzajem zagrody o kilku wewnętrznych ścianach, których obecnie nie widać, że na północy miała główne wejście i co najmniej jedno wejście zapasowe w zachodniej ścianie, a w jakimś momencie została częściowo wypełniona kamiennym rumo- szem.

Nabrałem powietrza, żeby wypłynąć z „pokoju” kilka metrów ponad budow- lę i obejrzeć go z szerszej perspektywy, ale zła widoczność znowu mi przesko- dziła i właściwie nic nie zobaczyłem.

Opadłem więc na dół, Stefan nakręcił, jak rozglądam się po „pokoju”, po czym odpłynąłem, a on dokończył filmować wnętrze pomieszczenia. W kilka chwil potem zobaczyłem, jak wylania się z zakrzywionego korytarza, cały czas filmu- jąc, skupiając się głównie na podłodze i niższych partiach ścian.

Przeglądając potem materiał, zauważyłem jeszcze jeden interesujący widok, który wskutek pośpiechu i zdenerwowania przegapiłem tego dnia. Ujęcie trwało 8 sekund.

8 sekund

26 lutego 2001, 15.56.33 – 15.56.42

Kamera pokazuje podłogę korytarza, omija sieć udrapowaną tak, że częściowo zakrywa zmianę poziomu – przypuszczalnie stopień w podłodze.

Kamera posuwa się metr do góry, filmuje ślady na sieci i wyraźną linię pięciu bloków wylaniających się spod wodorostów. Ciemne, prawie czarne, mają kształt cegieł, podobnie jak te, które sfilmowaliśmy podczas pierwszego nurkowania, lecz te tutaj są regularniejsze.

Obraz faluje, powraca widok sieci, potem kamera kieruje się w lewo, znów pokazuje linię bloków. Po lewej można dostrzec kolejnych sześć bloków, a także inne warstwy powyżej i poniżej, reszta ginie pod wodorostami.

Wypływamy

Wynurzając się, robiliśmy pięciominutowe przerwy co 5 metrów, żeby obni- żyć poziom azotu we krwi. Woda była spokojna i ciepła, widoczność gorsza niż kiedykolwiek. Podczas przystanków zacząłem się zastanawiać nad tym, co wi- działem.

Przed wszystkim dziwnie się czułem, uświadomiwszy sobie, że oglądałem budowle, które zniknęły z ludzkich oczu 11 000 lat temu.

Obiekt na dole jest starszy o ponad 7000 lat od Wielkiej Piramidy w Egipcie. Budowla nie mieści się w żadnych kategoriach archeologicznych.

Budowla zrujnowana, udrapowana w sieci.
Duch w wodzie...

Jeszcze kilka sekund

To był dobry dzień dla firmy farmaceutycznej Glaxo Wellcome. Po drugim nurkowaniu zrobiłem sobie czwarty zastrzyk przeciwbólowy, każdy za 50 dolarów. Migrena powoli ustępowała, aż całkiem zniknęła. Tylko ci, którzy cierpią na tę dolegliwość, mogą zrozumieć uczucie ulgi i odprężenia, jakie mną owładnęło.

O 17.30, znowu na nogach, popijając herbatę gawędziłem z Kamleshem Vorą. Mniej więcej w tym samym czasie Martin na krótko zszedł pod wodę w towarzystwie Gudigara, w nadziei że uda mu się zrobić jeszcze kilka ujęć budowli.

Przeglądając potem sfilmowany materiał, zauważyłem, że zawiera trzecią sekwencję ukazującą bloczki konstrukcyjne; tym razem zdjęcia były znacznie lepszej jakości niż poprzednie. Czas filmowania 17.36.15–17.36.29. Martin stał na dnie w pobliżu muru zagrody.

Na ekranie widać niewielką białą muszlę leżącą na piasku, potem kamera powoli przesuwa się do podstawy muru i zatrzymuje przez kilka sekund na czterech wyraźnie zarysowanych warstwach bloczków. Te również mają rozmiar cegły – może są trochę większe – i niezwykle regularny kształt walców czy raczej cygar. Fragment każdej warstwy ciągnie się poziomo na szerokość kilkunastu bloczków, a potem nikną one z pola widzenia kamery lub zakrywają je grubsze morskie nanosy.

Zagadka

Kamlesh Vora z zawodu jest geologiem, a nie morskim archeologiem. Jego specjalizacja odgrywa coraz większą rolę w nowoczesnej archeologii morskiej. Geolog potrafi stwierdzić, czy dana formacja jest tworem natury, czy też człowieka. Ponadto Kamlesh brał udział w pierwszej ekspedycji NIO do Poompuhur, jeszcze w 1981 roku, na długo przed kolejną turą badań w 1991 i 1993 roku. Przeprowadzał wówczas pomiary z ujęciem sonaru, z wyników których korzystały potem dalsze ekspedycje.

– Ocean jest wielki, ale my wiemy, w którym miejscu skrywa jakieś zagadki. Czy przeprowadzałeś badania z powierzchni? – zapytałem na wstępie.

– W 1981 roku, kiedy rozpoczęliśmy archeologiczne poszukiwania w Tamilnadu, zaczęliśmy od Poompuhur. Przeszukaliśmy dno morskie sondą akustyczną i magnetometrem. Sonda akustyczna wykazała, iż dno morskie jest płaskie, równe i gładkie. Znajdowały się na nim jednak rozrzucone tu i ówdzie jakieś nietypowe obiekty, niektóre o kształcie prostokątnym, inne wyglądające jak pinakle. Wznosiły się 2–5 metrów ponad dnem morza. Takie obiekty nie są normalne w tym rejonie i nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób powstały. Gdyby były naturalnym

przedłużeniem podłoża skalnego, topografia powinna przedstawiać się zupełnie inaczej. U zachodnich wybrzeży Indii natrafiliśmy na podobne pinakle rozmaitego pochodzenia, pobraliśmy więc próbki i zbadaliśmy je.

– A czy u zachodniego wybrzeża są one naturalnym przedłużeniem skał?

– Są to skały bazaltowe – tłumaczył Kamlesh – które mogą przybierać takie formy. Znaleźliśmy też podwodne obiekty wykonane przez człowieka na północnym zachodzie, na przykład w Dwarce – które, jak już wiesz, mają 5000 lat.

– A czy tutaj jest inaczej?

– To zupełnie inny przypadek, bo nie możemy wytłumaczyć ich pochodzenia. Tak więc jak dotąd uznajemy je za nietypowe formacje.

– Czy jako geologa nie dziwiło cię, że znajdują się tu takie twory natury?

– Oczywiście. – Kamlesh wzruszył ramionami. – Tylko że w tamtych czasach nie mieliśmy funduszy na zorganizowanie badań pod wodą. Nie mogliśmy zatem pobrać próbek i dokonać analizy skał. Nawet teraz nie możemy zdobyć odpowiednich próbek skał do różnego rodzaju testów, nie potrafimy więc stworzyć jakiejś sensownej teorii.

– Czy w poprzednich badaniach zidentyfikowałeś tę podkowiastą budowlę, przy której dziś nurkowaliśmy?

– Tak, znaleźliśmy co najmniej dwadzieścia podobnych obiektów.

– Nie udało się obejrzeć pod wodą pozostałych?

– Niestety – ubolewał Kamlesh. – Nie mieliśmy okazji powrócić tu i przeprowadzić takich badań jak dziś. Może powiesz nam to w przyszłości. Musimy dokonać skaningu bocznego sonarem, a potem nurkowie powinni stwierdzić, czy w innych rejonach wybrzeża znajdują się podobne konstrukcje. Ta tutaj może okazać się jedyna. Jeśli jednak istnieją trzy lub cztery podobne formacje w innych miejscach...

Spojrzał na morze i nie dokończył zdania.

– Ta dziedzina ogromnie mnie interesuje – stwierdziłem po chwili. – Tak wiele nietypowych formacji nieznanego pochodzenia. Myślę, że ten rejon zasługuje na większą uwagę.

– Jest zagadkowy – odparł po chwili Kamlesh.

Kopiec na głębokości 27 metrów

Kiedy dobrze po zapadnięciu nocy rozstawaliśmy się z przyjaciółmi z NIO na plaży, Gaur odciągnął mnie na bok mówiąc, iż przypomniał sobie zdarzenie z 1993 roku, które mogłoby mnie zainteresować. Badacze zeszli pod wodę w Poompukur, żeby obejrzeć nietypowe kopce na głębokości 27 metrów – o 4 metry niżej niż nasza podkowiasta budowla. Gaur osobiście wtedy nie nurkował, ale koledzy opowiedzieli mu, co zobaczyli.

– To był kopiec... dość wysoki, może na 2 metry.

– Czy znajdował się w tym samym rejonie co podkowiasta budowla? – spytałem.

- Nie – odparł Gaur. – Znacznie dalej. Czterometrowa różnica poziomów oznacza, że było to 500–600 metrów dalej.
- Tym bardziej należałoby zorganizować tu badania archeologiczne na szerzą skalę.
- Na pewno – zgodził się ze mną Gaur – choćby po to, aby przekonać się, iż te obiekty nie są dziełem człowieka.

Sekrety mapy Reinala

Luty/marzec 2001 roku

Czytelnicy pamiętają zapewne, że na trzy dni przed nurkowaniem w Poompuhur otrzymałem e-mail od mojego asystenta, Sharifa Sakra, dotyczący intrygującej portugalskiej mapy Oceanu Indyjskiego, sporządzonej przez Reinala w 1510 roku. Ale dopiero po powrocie do Anglii w początkach marca miałem czas zastanowić się nad tym problemem i porównać tę mapę oraz inne z wykresami Glenna Milne'a, ukazującymi stopień zalania kontynentów pod koniec ostatniej epoki lodowcowej.

Sharif Sakr do Grahama Hancocka

23 lutego 2001 roku

Witaj, Graham,

stwierdziłem ciekawą zbieżność między mapą Jorge Reinala z 1510 roku (patrz załączony skan z ilustracji nr 71 zamieszczonej u Hapgooda) a mapami Glenna Milne'a przedstawiającymi zatopione obszary Indii. Może nie od razu wydaje się to oczywiste, proszę więc, żebyś powiedział, co o tym myślisz. (Dokonałe faksymile mapy Reinala z 1510 roku znajdują się w tomie 1 *Portugaliae Monumenta Cartographica* w Bodleian Library w Oksfordzie, zamówiłem reprodukcję. Zanim przyjdzie, musimy polegać na mapie Hapgooda, która zawiera mniej szczegółów, ale w zasadzie jest dokładna).

Mapa Reinala zwróciła moją uwagę dokładnością oraz podobieństwem do map Cantina z 1502 i Ptolemeusa Argentyny z 1513. Choć nie tak dokładna jak mapa Cantina, jeśli idzie o długości i szerokości geograficzne Indii, jednak znacznie uściśla model ptolemejski, zwłaszcza że portugalscy żeglarze dotarli do Indii dopiero w 1498 roku. E. Kemp w *Asia in Maps* (Azja na mapach) sugeruje, że zarys Indii Cantina oddaje nie obserwacje portugalskich żeglarzy, lecz jest efektem kontaktów z kupcami z Kalkuty – niewykluczone, że mapa Indii Reinala opiera się na tych samych źródłach (a te źródła to zapewne morskie mapy Oceanu Indyjskiego, wspomniane przez Polo).

Mimo dokładności mapy widać kilka uderzających błędów. Po pierwsze – dokładnie na szerokości ujścia Indusu znajduje się zatoka, a nie delta, którą znamy dziś. Po drugie – dalej na południe Reinal popełnia ten sam błąd, co autor mapy Cantina i pomija ważny Półwysep Kathijawar lub zatoki (Kaczcch i Kambajską), które go otaczają. Zamiast tego Reinal rysuje w północno-zachodnim zakątku

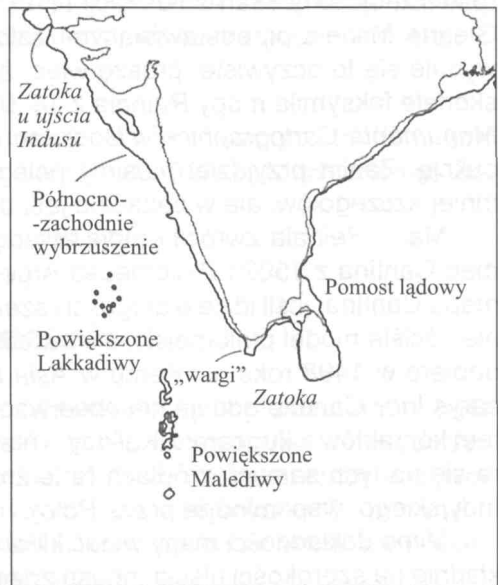
Indii wyraźne wybrzuszenie. Po trzecie – Reinal ignoruje zasadę tworzenia portolan (map morskich), zalecającą nanoszenie bardzo małych wysp (zbyt małych, by rysować je według skali) w formie krzyżyków (czy też innych symboli), a zamiast tego przedstawia Lakkadiwy i Malediwy jako duże wyspy, o wiele większe niż w rzeczywistości. Na koniec Reinal nie nadał południowemu koniuszkowi Indii właściwego południowo-wschodniego kierunku. Zamiast tego „wykręca” go na południowy zachód i dodaje wyraźne „wargi”, które sprawiają wrażenie otwartych ust, gotowych ugryźć Malediwy.

Choć odchylenia te są najwyraźniej błędami w stosunku do współczesnych map Indii, odpowiadają idealnie mapom Milne’a, przedstawiającym Indie 21 300 lat temu, podczas maksimum ostatniego zlodowacenia. Te ostatnie ukazują rozległe wcięcie u ujścia Indusu, wybrzuszenie kompletnie zastaniające Półwysp Kathijawar, powiększone Lakkadiwy i Malediwy, i – co najdziwniejsze – skierowany na południowy zachód „rybi pyszczyk” na koniuszku południowych Indii. Tak jak na mapie Reinala. (Zwróć uwagę, że „błędy” doskonale pasują do batymetrycznych map Indii, ukazujących bardzo wyraźny zewnętrzny szelf, który dla mnie stanowi punkt niwelacyjny linii brzegowej Indii około maksimum ostatniego zlodowacenia). Korelacja wciąż istnieje 16 400 lat temu, lecz zanikała 13 500 lat temu, kiedy to na południe od Półwyspu Kathijawar pojawiła się duża wyspa.

Korelacja nie jest doskonała – mapy Milne’a ukazują wyraźnie pomost lądowy między Indiami a Cejlonem, którego Reinal nie naniósł. Jako Portugalczyk żyjący w czasach ekscytujących odkryć w Indiach, Reinal naraziłby się na śmiesz-



Zarys linii brzegowej Indii według mapy Jorge Reinala z 1510 roku n.e.
Według Charlesa Hapgooda (1966)



Zarys zachodniej linii brzegowej Indii 21 300 lat temu

ność, nie umieszczając na mapie Cejlonu. Ale co dziwniejsze, narysował kropki – jakby pomost lądowy przez cieśninę Palk, co daje wrażenie, że Cejlon leży zbyt blisko subkontynentu. Niewykluczone, że Reinal chciał zaznaczyć niebezpieczne płycizny. Ale rzut oka na moje dane batymetryczne dowodzi, że takich płycizn tam nie ma, gdyż cieśnina w większości ma 6 metrów głębokości. Może Reinal chciał zwrócić uwagę na małe wysepki, ale wysepki w cieśninie Palk leżą zupełnie gdzie indziej niż kropki u Reinala czy też pomost lądowy, który istniał podczas maksimum ostatniego zlodowacenia. Czemu więc Reinal umieścił te kropki między Indiami a Cejlonem? Może chciał pogodzić potoczną wiedzę o Cejlonie jako wyspie z innymi źródłami, ukazującymi pomost lądowy?

Na koniec ciekawostką jest, że w miarę upływu lat, po 1510 roku, Reinal zaczął poprawiać wspomniane wyżej błędy (na przykład dodał zatoki Kaczcza i Kambajską). Ale skutek tego dokładność mapy pogorszyła się, a nie poprawiła. Moim zdaniem wcześniejsza mapa z 1510 roku oparta była na tym samym nieznanym źródle, co mapa Cantina (bardzo dokładna pod względem długości i szerokości geograficznej, przedstawiająca kilka dziwnych tworów), podczas gdy późniejsze mapy korzystały z ówczesnej portugalskiej kartografii z jej nieścisłościami.

Pozdrowienia
Sharif

Hapgood zanalizował mapę Reinala tylko pod kątem matematycznych wyliczeń oraz inkluzji przestarzałych danych geograficznych (na przykład Australii, która w tym czasie nie została jeszcze odkryta)³. Nie brał pod uwagę istnienia korelacji między obrazem Indii a rzeczywistym zarysem linii brzegowej subkontynentu w epoce lodowcowej. Przeciwnie, pisze tak:

Wydaje mi się oczywiste, że mapa ta dowodzi wiedzy geograficznej większej niż ta, którą dysponowali Portugalczycy w pierwszej dekadzie XVI wieku, a także rozleglejszej wiedzy o długościach geograficznych, niż można by się spodziewać. Jednak zarys linii brzegowej pozostawia wiele do życzenia: jakby mapę, swego czasu bardzo dokładną, kopiowali nawigatorzy nie mający pojęcia o kartografii⁴.

Zgadzam się z Sharifem, że Reinal w gruncie rzeczy narysował zaskakująco dokładną mapę południowo-zachodniego, zachodniego i północno-zachodniego wybrzeża subkontynentu w przybliżeniu między 21 000 a 15 000 lat temu. Uznałem to za jeszcze jeden niepodważalny dowód, iż w epoce lodowcowej tworzono niezwykle precyzyjne mapy świata oraz że niektóre ich kopie przetrwały i ponownie weszły do użytku, ulegając nieustannym modyfikacjom w epoce wielkich odkryć.

Mapy rejonów Morza Śródziemnego i Oceanu Indyjskiego.

Mapy Pacyfiku i Dalekiego Wschodu.

Mapy Północy.

Mapy Afryki.

Mapy Ameryk i Atlantyku, wśród nich te (nigdy nie odnalezione), którymi zgodnie z pogłoskami posługiwał się Kolumb w drodze do Nowego Świata w 1492 roku.

Nawet mapy Atlantydy...

Postanowiłem głębiej drążyć ten temat.

Zatoka Kambajska – jeszcze jeden duch wyłania się z głębin?

Maj 2001 roku

Ostatnia wyprawa z ekipą filmową do Indii, tym razem do Dwarki oraz do miast harappskich, na przykład Dholawiry w Gudżaracie, została zaplanowana na listopad 2001 rok, czyli za kilka miesięcy.

Tymczasem w maju w indyjskich gazetach ukazała się poniższa informacja, którą międzynarodowa prasa prawie zupełnie zignorowała:

„Times of India”

19 maja 2001 roku, sobota

W ZATOCE KAMBAJSKIEJ ODKRYTO RUINY PODOBNE DO RUIN W HARAPPIE

To jedno z największych odkryć archeologii morskiej. Indyjscy naukowcy natrafili w pobliżu zachodniego wybrzeża na doskonale w kształcie, geometryczne obiekty na morskim dnie, podobne do ruin w Harappie.

Minister techniki i nauki, Murli Monahar Joshi, powiedział reporterom: „Po raz pierwszy w Zatoce Kambajskiej wykryto taki obiekt”.

Odkrycia kilka tygodni temu dokonała interdyscyplinarna grupa badawcza, nadzorowana przez National Institute of Ocean Technology (NIOT). Zrobiono zdjęcia „obiektów o doskonale geometrycznych kształtach”, wykonanych przez człowieka, w odległości 9 kilometrów na zachód od miejscowości Hazira w Gudżaracie.

Joshi stwierdził: „Warto zwrócić uwagę, że podwodne morskie budowle, odkryte w Zatoce Kambajskiej, przypominają obiekty odkopane na lądzie, a pochodzące z okresu Harappy i wcześniejszego”.

Obrazy z sonaru ukazują dobrze zachowane piwnice domów, częściowo przykryte piaskiem, leżące na głębokości 30–4 metrów.

W wielu miejscach widać struktury przypominające kanały, co sugerowałoby istnienie w tym rejonie systemu odwadniającego.

Joshi oznajmił, że wiek tych znalezisk ocenia się na 4000–6000 lat, dodał też, że budowle mogły znaleźć się pod wodą wskutek silnego trzęsienia ziemi.

Domysły te brzmią bardzo prawdopodobnie w kategoriach akademickiej chronologii indyjskiej historii i prehistorii. Ale nie są zgodne z prawdą.

Joshi prawdopodobnie nie studiował map Milne’a, nie mógł więc wiedzieć, że niezależnie od trzęsień ziemi (a rejon ten rzeczywiście często był przez nie

nawiedzany) żadne miasto nie mogło znajdować się ponad wodą 4000 lat temu, choć 6000 jest już bliższe prawdy. Jak wiemy, Zatoka Kambajska pozostawała doliną aż do całkowitego zalania przez wdzierającą się morską wodę w okresie między 7700 a 6900 lat temu.

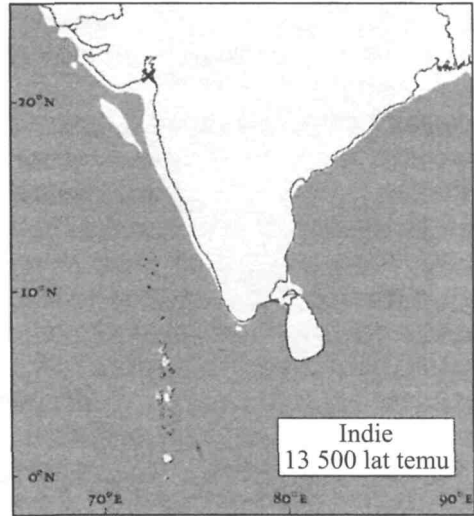
Musimy też wziąć pod uwagę rozmiary ruin, które zidentyfikowali naukowcy z NIOT – miasto, znajdujące się obecnie pod wodą, rozciągało się na przestrzeni 9 kilometrów, czyli było wielokrotnie większe niż Harappa, Mohendźo-Daro czy jakiegokolwiek z dotychczas odkrytych miast kultury Indusu-Saraswati.

Pomyślcie, ile czasu zajmuje zbudowanie miasta o długości 9 kilometrów. Nawet gdyby Zatoka Kambajska została zalana najpóźniej 6900 lat temu, nie sposób sobie wyobrazić, aby tak wielka metropolia powstała zaledwie jedno lub dwa stulecia wcześniej. Na to trzeba tysiąclecia, a może nawet więcej.

Jeśli przyjmiemy, że podwodne miasto budowano tysiąc lat, cofamy się w czasie do okresu przed 8000 lub 6000 rokiem p.n.e.

Odkrycie miasta o długości 9 kilometrów, ponad 3000 lat starszego niż Harappa i Mohendźo-Daro, każe nam zweryfikować nasze pojmowanie historii nie tylko subkontynentu indyjskiego, lecz i świata.

Znowu święty Graal.



Krzyżyk oznacza podwodne stanowisko archeologiczne w Zatoce Kambajskiej zlokalizowane przez NIOT

Część czwarta

Starożytne mapy

Terra incognita

Marinos z Tyru jest chyba naszym najmłodszym studentem geografii (czyli sporządzania map), a swoje badania prowadził z największym entuzjazmem.

Jego ostatniej pracy niczego nie brakuje, możemy więc uzupełnić nasze opisanie świata wyłącznie na podstawie jego obserwacji, nie szukając dalej.

Ale ponieważ niektóre punkty opracował niezbyt dokładnie je rozumiejąc, a nanosząc je na mapę nie poświęcił im dostatecznej uwagi, musieliśmy rzecz jasna wprowadzić do nich pewne niezbędne poprawki.

Klaudiusz Ptolemeusz (ok. 90–168 n.e.)

Portolany w całym tym zestawie są niezwykle dokładne, widać na nich niewielkie zmiany od najstarszych po te późniejsze, sporządzone pod koniec XVII wieku.

John Goss

Mapy rejonów Morza Śródziemnego, narysowane w XV wieku według współrzędnych podanych przez aleksandryjskiego geografę, Klaudiusza Ptolemeusza żyjącego w II wieku n.e., ukazują Archipelag Maltański jako pojedynczą wyspę – rejon ten mógł tak wyglądać w XIII tysiącleciu p.n.e. Ptolemeusz, jak się przekonamy, opierał się na wcześniejszych pracach wielkiego geografę fenickiego, Marinosa z Tyru (I w. n.e.), który z kolei korzystał z jeszcze starszych map i źródeł.

Od jak dawna ludzkość interesowała się geografiami? I od jak dawna wiedza o kształcie lądów i mórz – czy to w postaci map, tabel współrzędnych czy przekazywanych ustnie i pisemnie opisów linii brzegowych oraz podróży – była przez żeglarzy przechowywana i powierzana następnym pokoleniom?

Od lat 50. XX wieku toczą się gorące spory na temat znaczenia niektórych map średniowiecznych i epoki odkryć, ukazujących raczej topografię i linie brzegowe z epoki lodowcowej, a nie kształt świata znany w czasach, gdy mapy te powstawały. Czy jest to dziedzictwo źródeł, które przetrwały po zaginionych cywilizacjach epoki lodowcowej?

Po raz pierwszy zająłem się tym tajemniczym zjawiskiem w *Śladach palców bogów*. Ale książkę tę napisałem w początkach lat 90., zanim jeszcze poznałem mapy ukazujące obszary zalane w wyniku topnienia lodowców i zanim sam zagłębiłem się w świat, który zaginął pod wodą. Gdy w ostatnim kwartale 2000 roku Glenn Milne zaczął nadsyłać mi nowe informacje, poleciłem swemu asystentowi, Sharifowi Sakrowi, wznowienie przerwanych badań, z pominięciem rzecz

jasna tych kwestii, które poruszyłem już w *Śladach palców bogów*. Poprosiłem, żeby zajął się wyłącznie nowo odkrytymi analogiami ze starożytnymi mapami. Obaj wiedzieliśmy, że będzie to ogromna praca, którą jednak trzeba było wykonać oprócz codziennych, bieżących zadań. Uprzedziłem, że czasem będę musiał odciągać go od map na wiele tygodni, żeby pomógł mi w ważniejszych kwestiach.

Mapa Reinala z 1510 roku

Byłem właśnie w Indiach, gdy w lutym 2001 roku Sharif przysłał mi pocztą elektroniczną najświeższą sensację – portugalską mapę Reinala z początków XVI wieku (1510) przedstawiającą Ocean Indyjski, na której zachodnia linia brzegowa Indii wyglądała tak, jak ponad 15 000 lat temu. Sharif porównywał tę mapę z innymi z tego samego okresu, co przedstawiłem w rozdziale 13.

Przez kilka miesięcy nic nie pisałem na temat mapy Reinala, aż w sierpniu 2001 otrzymałem od niego uaktualnioną interpretację mapy:

Sharif Sakr do Grahama Hancocka
10 sierpnia 2001 roku

Z Bodleian Library nadeszły wreszcie duże zdjęcia map Reinala z 1510 roku i Cantina z 1502 roku. Nie tylko potwierdzają zbieżność, o której pisałem w e-mailu



„Ptolemejska” mapa Indii według Waldseemüllera, 1507



Współczesna mapa wybrzeża Pakistanu

z 23 lutego – można stwierdzić, iż podobieństwo to jest znacznie większe, niż wcześniej sądziłem, zwłaszcza jeśli chodzi o Indie w 11 500 roku p.n.e. (ale nie w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia).

Zanim wyłożę wszystko ze szczegółami, muszę najpierw wyjaśnić niektóre kwestie w związku ze zbieżnościami, o których wspominałem 23 lutego.

Po pierwsze, wydaje mi się, że mapa Reinala pomija Półwysep Kathijawar oraz zatoki Kaczczy i Kambajską, otaczające ów półwysep, i dlatego pasuje do map sporządzonych przez Milne’a dla Indii przed podniesieniem się poziomu wody do obecnego. Przyjrawszy się mapom współczesnych mu kartografów (Cantina z 1502 i Ribieri z 1519 roku), przypuszczam, że gdybyśmy spytali Reinala, dlaczego nie uwzględnił tego ważnego półwyspu, odpowiedziałby, iż zrobił to i wskazałby na swojej mapie półwysep odległy od prawdziwego Półwyspu Kathijawar. Znajduje się on za daleko na północ i zachód, a co więcej – położony jest po niewłaściwej stronie Indusu.

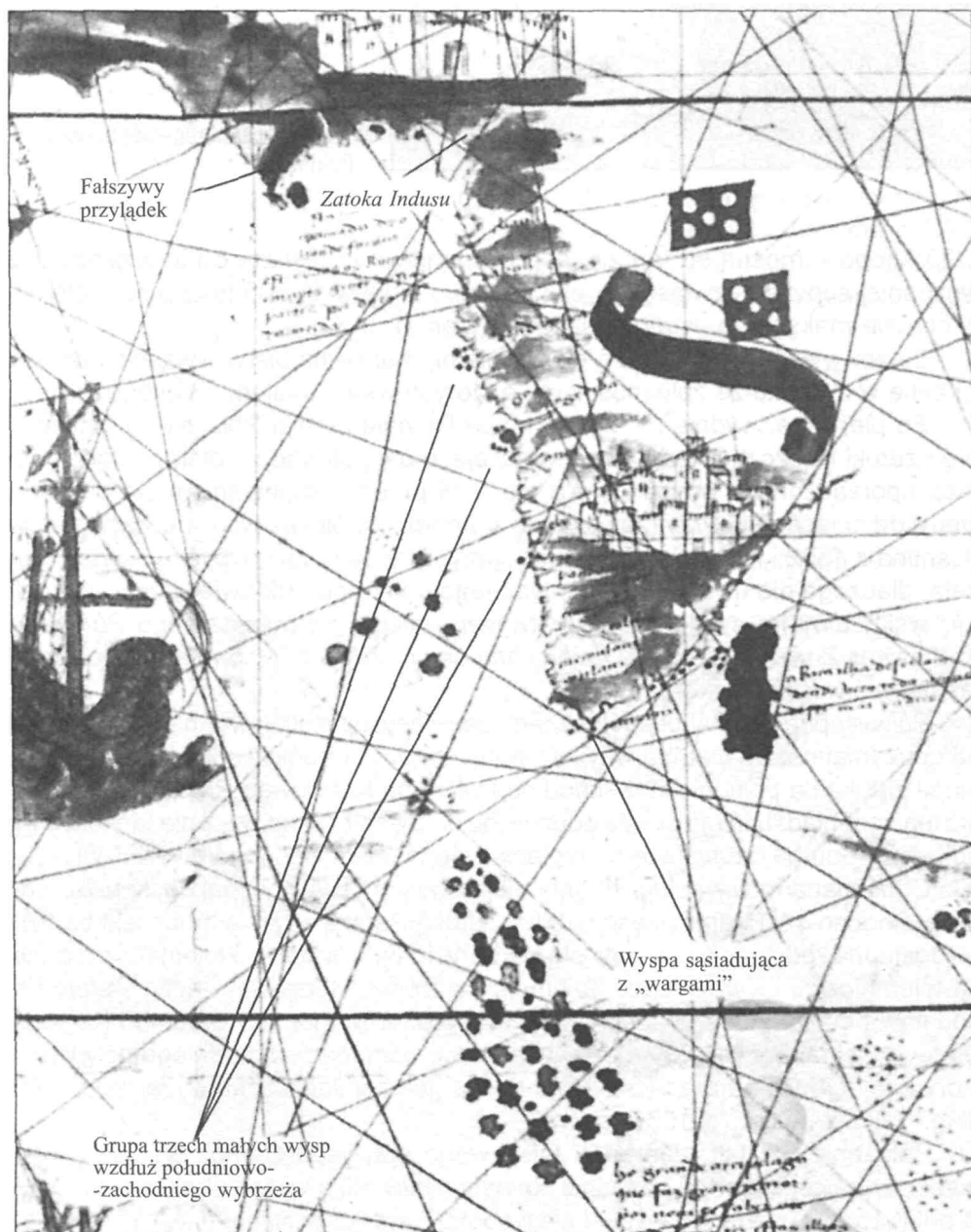
Półwysep ten został błędnie uznany za Półwysep Kathijawar na mapie Cantina i otrzymał nazwę Camba, czyli Kambaj, którą na współczesnych mapach nosi długa zatoka na południowy wschód od Półwyspu Kathijawar. Reinal mógł popełnić ten sam błąd. Istnieje prosta odpowiedź na pytanie, skąd wziął się ten fałszywy półwysep Camba: ze starszego, ptolemejskiego, niedokładnego zarysu Indii.

Choć mapa Indii według Reinala była w owym czasie niemal doskonała, jednak północno-zachodnia część między Zatoką Perską a rzeką Indus jest bardzo niedokładna, gdyż ściśle opiera się na zarysie lądu według Ptolemeusza, a nie na tajemniczym i wyraźnie nieptolemejskim źródle, które – jak sądzę – stało się podstawą odtworzenia pozostałej linii brzegowej na mapach Cantino i Reinala. Dlatego Reinal powielił zarys nieistniejącego północno-zachodniego półwyspu, który znajduje się na mapach Ptolemeusza (jak zamieszczona wyżej mapa według Waldseemüllera z 1507 roku).

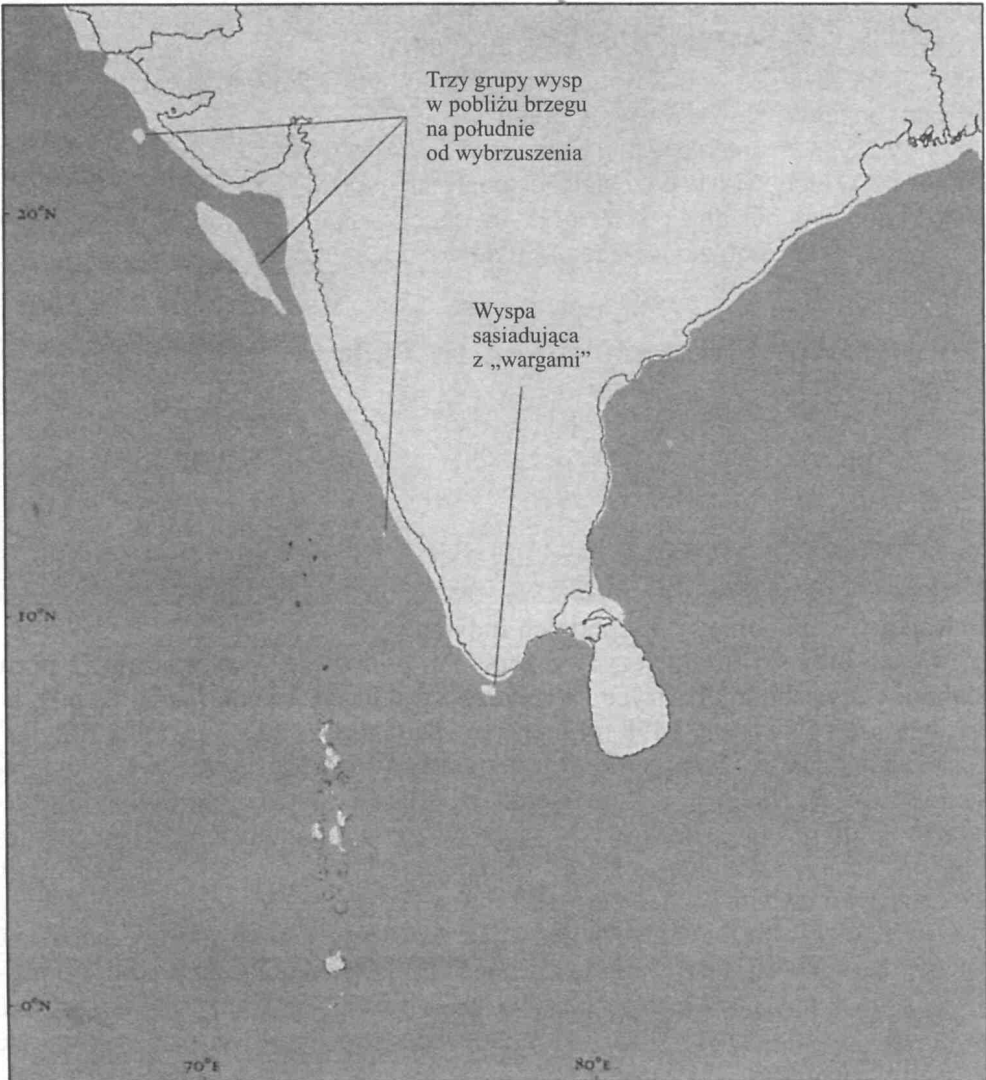
Położenie, kształt i kierunek fałszywego półwyspu Camba według Ptolemeusza, umieszczonego na mapie Reinala z niewielką wyspą obok, odpowiadają półwyspowi, na którym wznosi się współczesne Karaczi, choć skala jest mocno przesadzona. Może to wynikać z posłużenia się relacją kapitana Aleksandra Wielkiego, Nearchosa, który, płynąc z powrotem od Indusu w kierunku Zatoki

Perskiej, zaznaczał zarys wybrzeża i przypuszczalnej „nawiedzonej” wyspy napotkanej po drodze.

Mapa Reinala różni się z ptolemejskim zarysem Indii szczególnie u ujścia Indusu (gdzie Aleksander się zatrzymał i skąd zawrócił), a następnie dalej na



Mapa Indii według Reinala, 1510



Wybrzeże Indii 11 500 lat p.n.e.

południe wzdłuż całego wybrzeża Indii. Jak już wcześniej pisałem, ten fragment wybrzeża jest nieskończenie bardziej precyzyjny niż zarys przekazany przez Ptolemeusza, co sugeruje, że źródło, na którym się opierano, było o wiele dokładniejsze niż te, do których mogli mieć dostęp zachodni żeglarze i kartografowie. Ten fragment wybrzeża wyjątkowo ściśle pokrywa się z mapami Milne'a, ukazującymi indyjskie wybrzeże przed około 12 000 lat.

Warto zwrócić szczególną uwagę na sposób, w jaki Reinal przedstawia cztery grupy małych wysp w pobliżu wybrzeża Indii i na południe od północno-zachodniego wybrzuszenia, które powinny być Półwyspem Kathijawar. Dziś te

wyspy nie istnieją, lecz z map Milne'a wynika, że zarówno małe wyspy, jak i jedna wielka znajdowały się tam około 10 000 lat temu.

Czy możliwe, że Reinal narysował pozostałości tych wysp w ostatnim etapie wzrostu poziomu morza w epoce polodowcowej?

Trzy z tych grup wysp leżą u Reinala wzdłuż zachodniego wybrzeża Indii, czyli w miejscu, w którym takie pozostałości mogły się naprawdę znajdować. Jedna leży bezpośrednio na południe od „warg” (które obecnie są mniej wyraźne niż w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia) u samego koniuszka subkontynentu.

Opływanie wybrzeży Oceanu Indyjskiego

Mapy Oceanu Indyjskiego sporządzone przez Cantina i Reinala powstały w epoce ostrej konkurencji w sferze handlu oraz prawdziwego pędu Europejczyków do poznawania świata, co zaowocowało między innymi opłynięciem afrykańskiego Przylądka Dobrej Nadziei przez Bartolomeu Diasa w 1488 roku¹, „odkryciem” Ameryki przez Kolumba w 1492 roku i kontaktami Portugalczyków ze Wschodem, zapoczątkowanymi w 1498 roku² przez Vasco da Gamę, który dotarł do Kalkuty w południowo-zachodnich Indiach.

Ocean Indyjski Europejczycy przepłynęli po raz pierwszy, ruszając z portu Malindi we wschodniej Afryce (wybrzeże Swahili we współczesnej Kenii), bo tam właśnie 14 kwietnia 1498 roku przybył da Gama ze swą niewielką flotyllą³. Został serdecznie powitany przez miejscowego wodza, który zapewnił podróżnikom „lojalnego i niezwykle kompetentnego pilota”, Ahmeda bin Madzida, uważanego za „najślynniejszego w XV wieku eksperta od nawigacji po Oceanie Indyjskim”⁴. Z jego pomocą da Gama szybko dotarł do Indii i 20 maja 1498 roku zakotwiczył u wybrzeży Malabaru, na wprost Kalkuty⁵.

Portugalczycy zabawili tu przez kilka miesięcy, starając się zorganizować placówkę handlową, lecz plany te od początku krzyżowali kupcy arabscy, obawiający się konkurencji Europejczyków. W rezultacie da Gama nic nie wskórał i odpłynął „przekonany, iż tylko większa ekspedycja doprowadzi negocjacje do szczęśliwego końca”⁶.

W drodze powrotnej jego ludzi nękał szkorbut i tylko kilku członków załogi mogło kierować statkami. A co gorsza – flotylla to stała unieruchomiona, to znów znoszona była z kursu przez przeciwne wiatry. Popłynęli więc zygzakiem przez Lakkadiwy, które da Gama nazwał Wyspami Santa Maria, a potem do małej wyspy Angediwy, 70 kilometrów na południe od Goa⁷. Wielu marynarzy zmarło w drodze powrotnej do Malindi, która zabrała flotylli trzy razy więcej czasu niż dopłynięcie do Indii, i dopiero latem 1499 roku ci, którzy przeżyli, dotarli na dwóch pozostałych statkach do Portugalii⁸.

Król Manuel oznajmił, że wyśle do Indii nową, uzbrojoną flotyllę – trzynaście okrętów z załogą i 1500 żołnierzami pod dowództwem Pedra Alvaresa Cabrala. Uznano, że taka siła wystarczy do usunięcia przeszkód natury politycznej i handlowej, na jakie natknął się da Gama⁹.



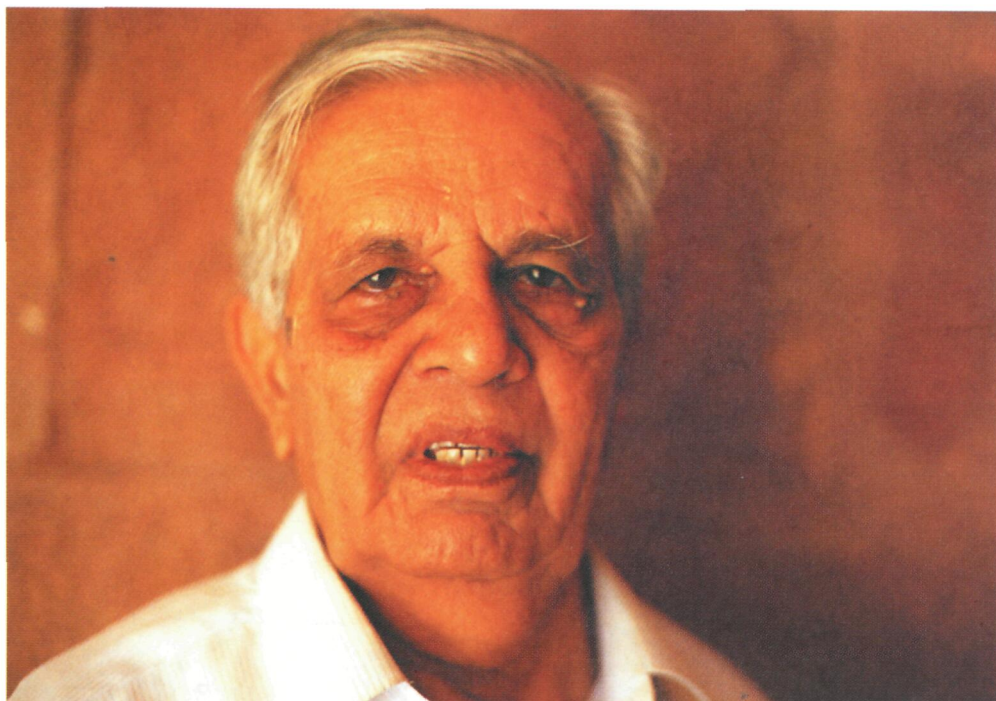
14. Świątynia Pana Morza w Dwarce, zwrócona w kierunku podwodnych ruin



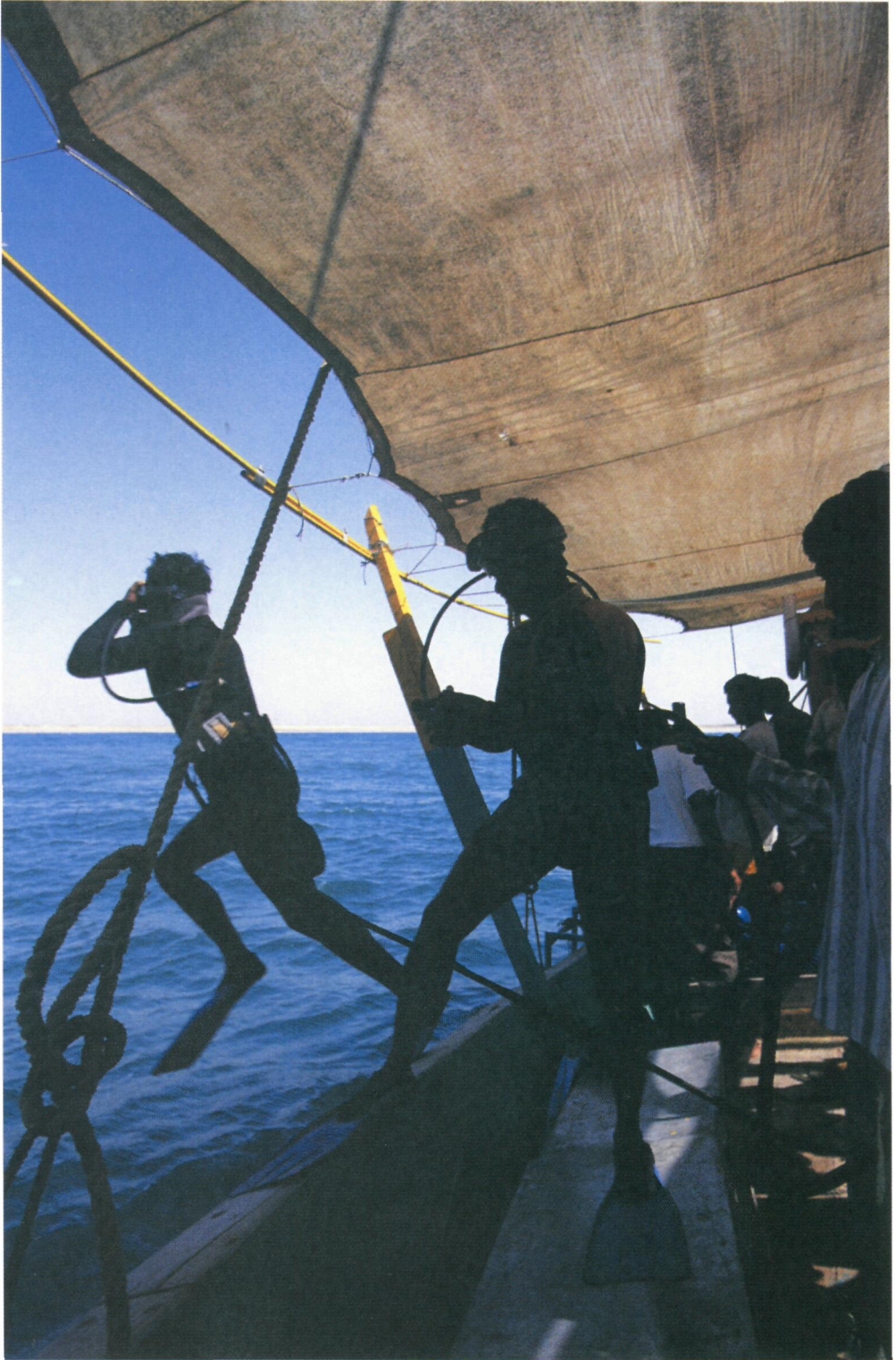
15. Widok Dwarki z morza. Mała łódź znajduje się dokładnie nad ruinami



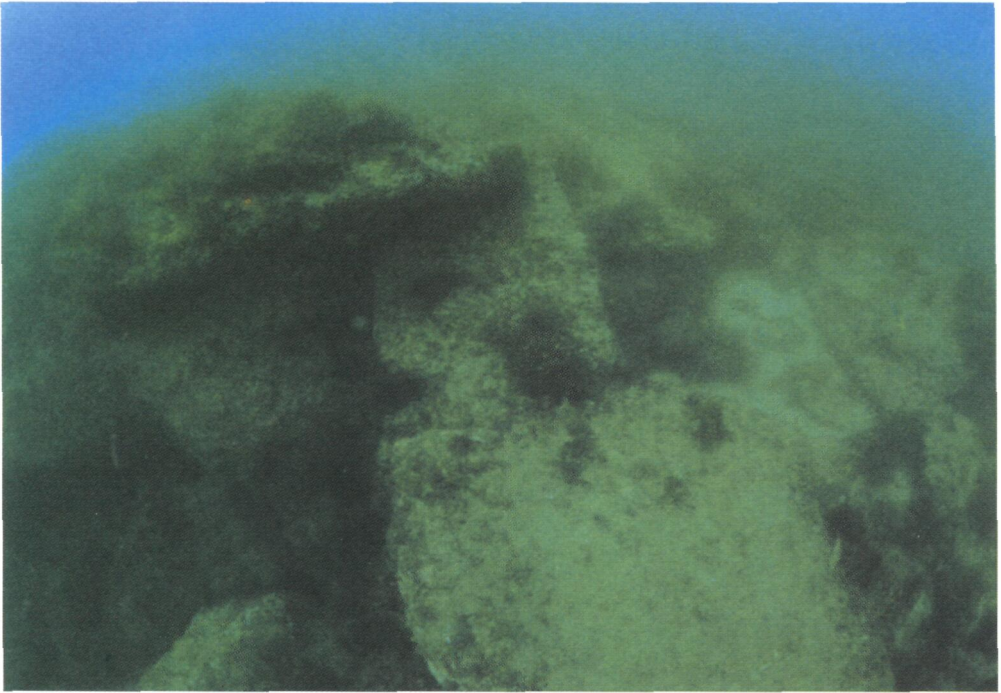
16. Morscy archeolodzy z NIO w Dwarce



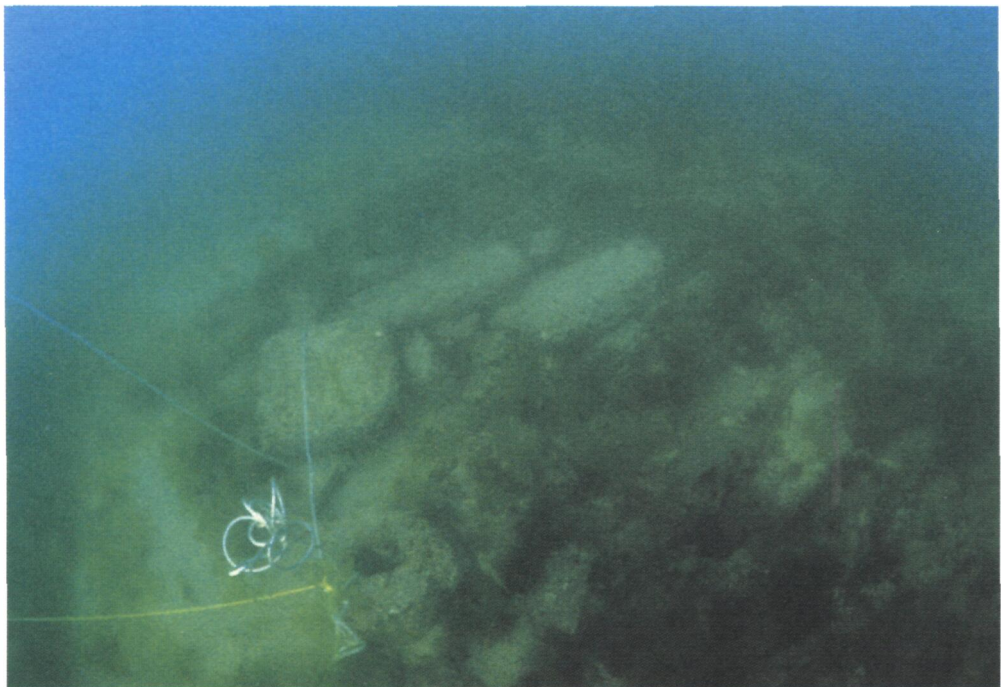
17. S.R. Rao, ojciec archeologii morskiej w Indiach



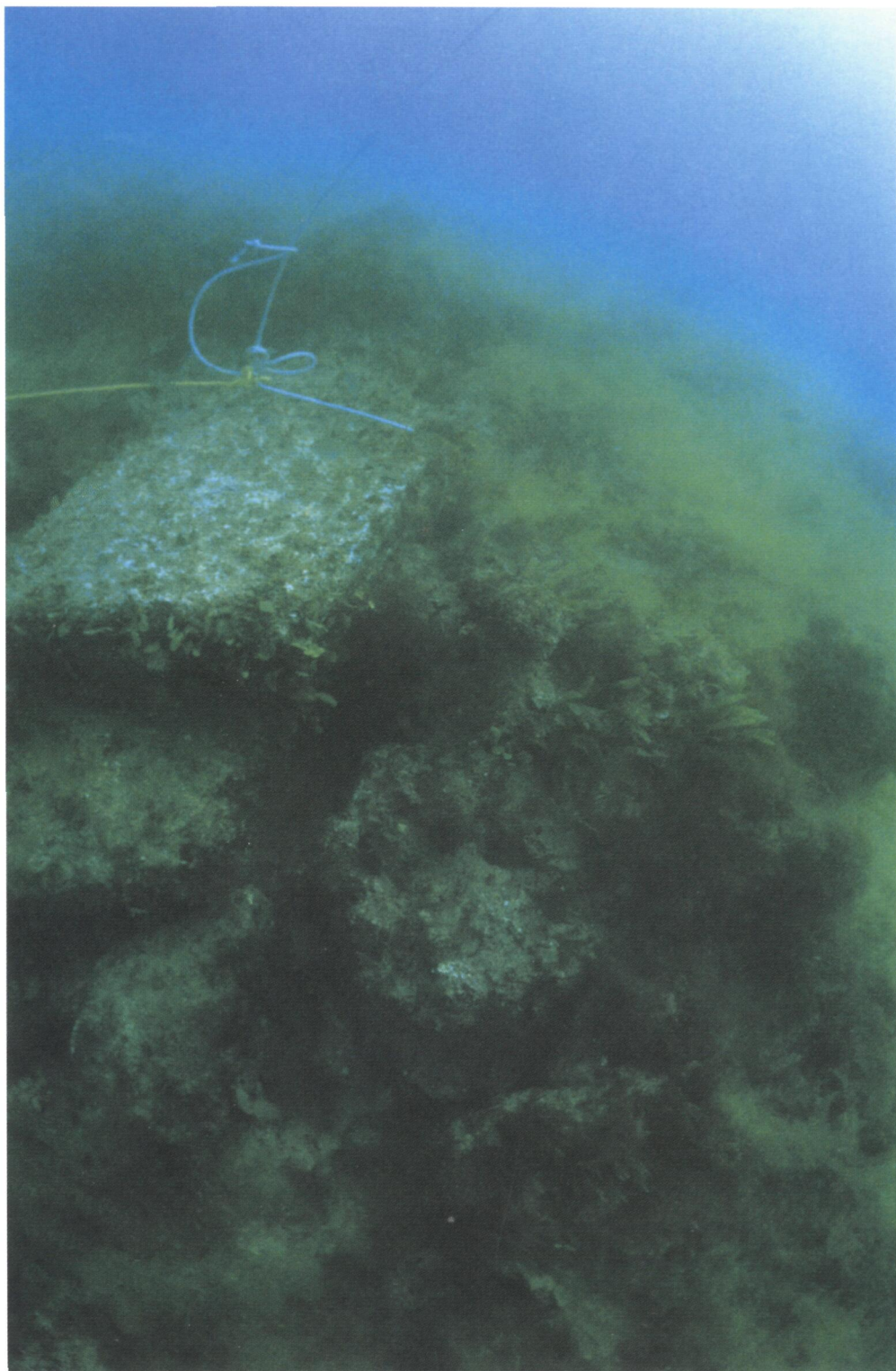
18. Nurkowie z NIO skaczący do wody u wybrzeży Dwarki



19. Podwodna Dwarka – ogromne kamienne bloki rozrzucone na dnie morza



20. Okrągłe kamienne kotwice wśród podwodnych budowli. Dwarka



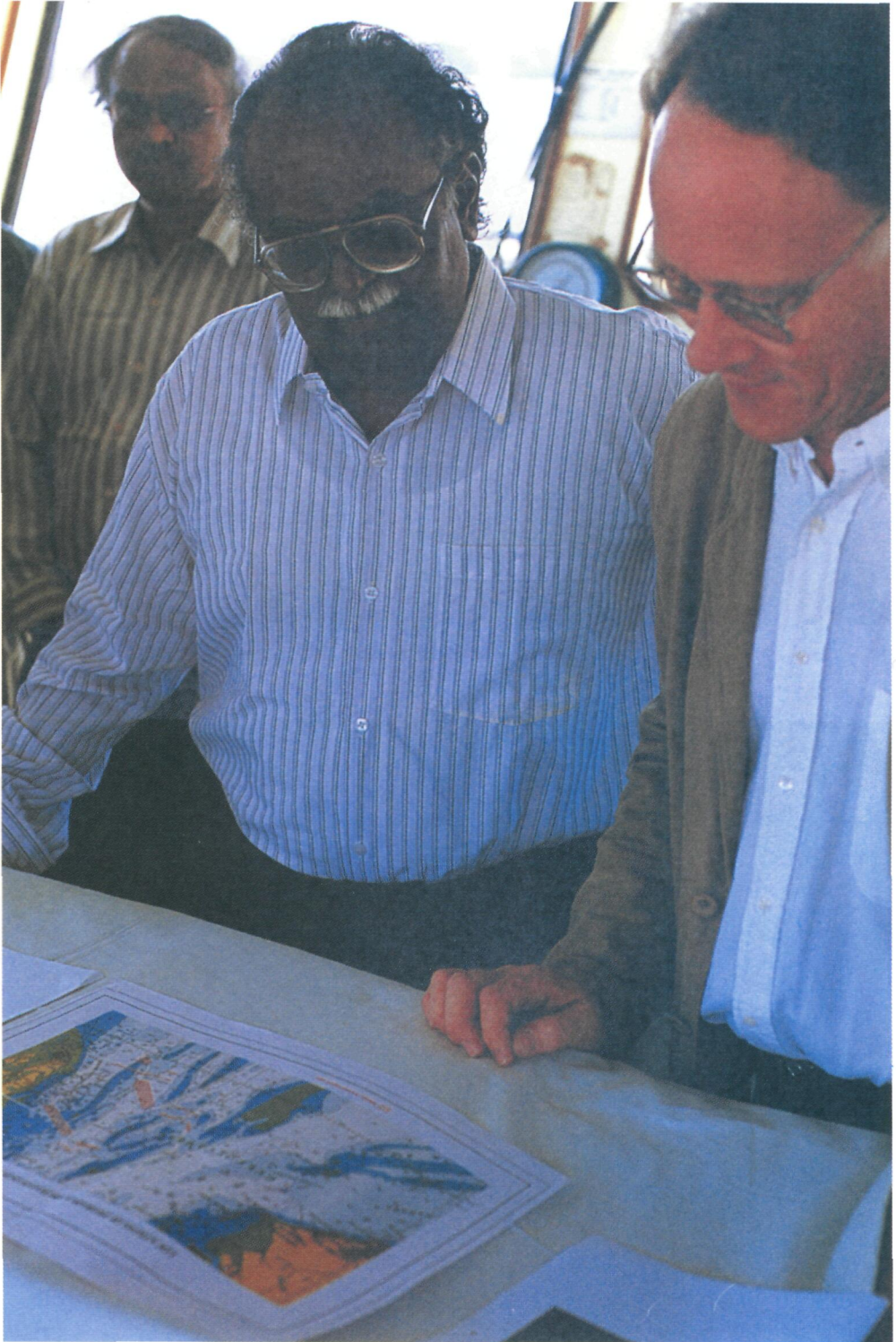
21. Część zakrzywionego bastionu w podwodnej Dwarce



22. Przedmioty wydobyte z zatopionych miast, które odkryto w 2001 roku w indyjskiej Zatoce Kambajskiej



23. Przedmioty i skamieniałe ludzkie szczątki z zaginionych miast w Zatoce Kambajskiej



24. Autor z naukowcami z NIO przegląda plany dwóch zatopionych miast w Zatoce Kambajskiej, liczących prawdopodobnie ponad 8000 lat



25. Pielgrzymi podążający do świątyni Śiwy na brzegu morza. Dwarka

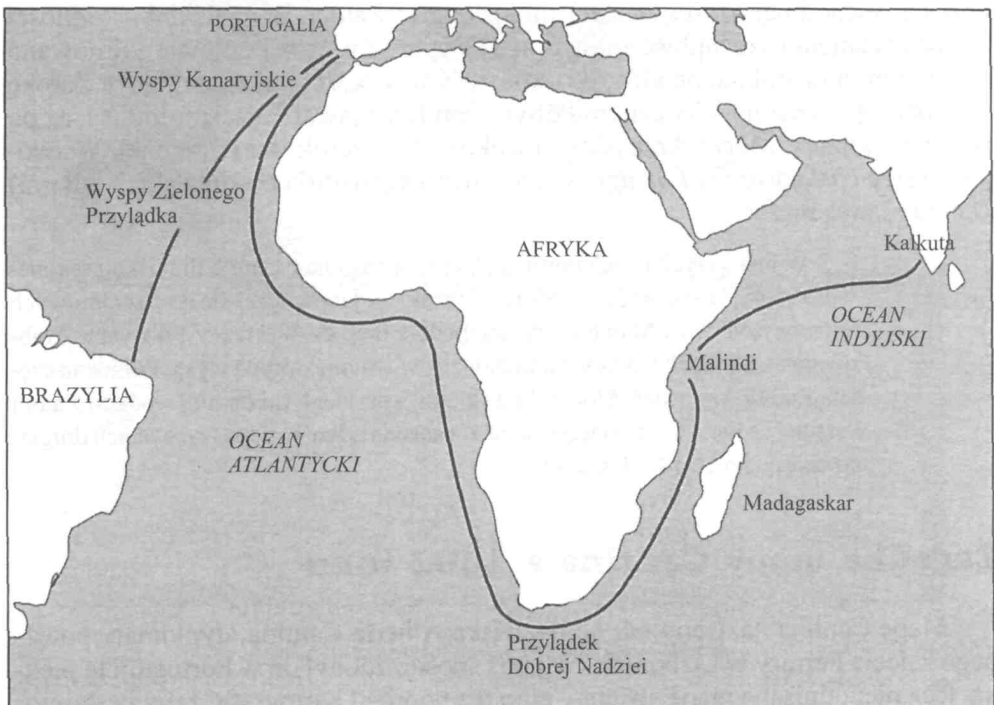


26. Świątynia Śiwy w Dwarcie. Choć to święte miasto Kryszny, jednak kult Śiwy jest tu wciąż żywy

Nowa flotylla wypłynęła w morze 9 marca, w pięć dni później dotarła do Wysp Kanaryjskich, a do Wysp Zielonego Przylądka 22 marca 1500 roku. Wtedy jeden ze statków „został pochłonięty przez morze”¹⁰. Dwanaście pozostałych przepłynęło Atlantyk i dotarło do Ameryki Południowej, gdzie 26 kwietnia Cabral dokonał inwazji na Brazylię, przyłączając tę ziemię do Portugalii. Wystawszy jeden ze statków do Lizbony z wieścią o odkryciu lądu, który najpierw nazwano Vera Cruz, potem Santa Cruz, a w końcu Brazylią¹¹, pozostał tam do 2 maja, po czym skierował się na południowy wschód i wziął kurs na Przylądek Dobrej Nadziei¹².

Teraz flota Cabrala liczyła jedenaście okrętów. Opływając Przylądek Dobrej Nadziei stracił podczas gwałtownej burzy kolejne cztery okręty wraz z załogami. Wśród zaginionych był Bartolomeu Dias, „pogrzebany w wodach, które sam odkrył dwanaście lat wcześniej”¹³. Piąty okręt, wskutek tego samego sztormu oderwany od floty, natrafił na Madagaskar i samotnie powrócił do Portugalii¹⁴.

Tak więc Cabral miał już tylko sześć okrętów, gdy dopływał do Kalkuty. Nie udało mu się ustanowić placówki handlowej. Popłynął zatem dalej na południe wzdłuż wybrzeża Malabaru, szukając cieplejszego przyjęcia, i znalazł je u radży Koczi, który pozwolił mu założyć faktorię. Następnie Cabral udał się do Kannanur, gdzie wziął ładunek przypraw i powrócił do Portugalii na początku lata 1501 roku, nieco ponad rok od wyruszenia w podróż¹⁵.



Da Gamie i Cabralowi udało się zbadać po drodze kilkaset kilometrów wybrzeża Malabaru między około 15° szerokości północnej (Goa) i około 10° szerokości północnej (Koczi). Podczas trzeciej i czwartej wyprawy nie zdobyto więcej informacji¹⁶: „Dopiero podczas piątej wyprawy do Indii w 1503 roku pod dowództwem Albuquerque prowadzono dalsze badania aż do Kulon, prawie najbardziej na południe wysuniętego punktu Malabaru”¹⁷.

Przylądek Komoryn – współczesną Kanija Kumari, najdalej na południe sięgający koniuszek Półwyspu Indyjskiego – opłynęła pod koniec 1505 roku flota pod dowództwem Lourenco de Almeidy. Została ona wysłana na Malediwy, żeby rozpoznać możliwości morskiego handlu z wyspami Indonezji leżącymi jeszcze bardziej na południe, lecz została przez wiatry i prądy zepchnięta z kursu na Przylądek Komoryn. Stamtąd Almeida popłynął na Cejlon: „Tak więc Lourenco de Almeida i jego towarzysze byli pierwszymi Portugalczukami, którzy przepłynęli na wschodnią stronę Oceanu Indyjskiego”¹⁸.

W 1506 roku pojawił się tam kolejny „pierwszy” Portugalczyk – Joao Coelho dopłynął do północnego krańca Zatoki Bengalskiej i „pił wodę z Gangesu”¹⁹. Ale dopiero w 1509 roku Diego Lopes de Sequeira przepłynął Zatokę Bengalską, docierając do Malakki²⁰ – Półwyspu Malajskiego, opisywanego na mapach Ptolemeusza jako *Aurea Chersonesus*, Złoty Chersonesz²¹.

W 10 lat po pierwszej wyprawie Vasco da Gamy w 1498 roku uwaga Portugalczuków skupiała się wyłącznie na wybrzeżu Malabaru na południe od Goa oraz na wschodniej części Oceanu Indyjskiego i Zatoce Bengalskiej. Trudności z zaopatrzeniem i szczupłość załóg oraz flot sprawiły, że w ogóle nie zajmowano się obszarem na północ od Goa, od około 15° szerokości północnej, poza Zatokę Kambajską, wyraźnie widocznym Półwyspem Kathijawar i ujściem Indusu, aż po północny kraniec Morza Arabskiego na około 25° szerokości północnej. W swojej książce *History of the Portuguese Discoveries* (Historia portugalskich odkryć) Damiao Peres pisze:

W pierwszych latach portugalskiej ekspansji na Oceanie Indyjskim rekonesans Zatoki Arabskiej [czyli Morza Arabskiego] ograniczał się do południowych rejonów wybrzeża Malabaru na wschodzie oraz do wybrzeży Półwyspu Arabskiego i sąsiednich terenów na zachodzie, w tym niektórych wysp. Północną częścią Zatoki Arabskiej [Morza Arabskiego] i przyległymi do niej wodami Zatoki Perskiej i Morza Czerwonego interesowano się tylko w pierwszych latach drugiego dziesięciolecia XVI wieku²².

Zagadka mapy Cantina z 1502 roku

Mapę Cantina nazwano tak od nazwiska Alberta Cantina, dyplomaty potężnego księcia Ferrary w Lizbonie²³. W jakiś sposób zdobył on w Portugalii tę piękną, lecz niepodpisaną mapę świata – albo też poprosił kartografa, żeby ją skopiował z innej mapy – a potem przeschmuglował ją do Włoch prawdopodobnie przed



Indie na planisferze Cantina około 1502 roku

19 listopada 1502 roku²⁴ (był to nie lada wyczyn, gdyż Portugalczycy zazdrośnie strzegli swoich odkryć i karali śmiercią każdego, kto chciał wywieźć mapy poza ich kraj)²⁵.

Gdzie sporządzono mapę Cantina?

Zacznijmy od rzeczy oczywistej: musiała zostać narysowana przed 19 listopada 1502 roku, kiedy to dotarła do Włoch. Według H. Hariussego kartograf potrzebowałby około dziesięciu miesięcy na jej sporządzenie. Jeśli tak, to musiała powstać na początku 1502 roku²⁶.

Pewne elementy świadczą, że mogła być narysowana dużo wcześniej niż latem 1501 roku. Wtedy właśnie okręty Cabrala powróciły z drugiej wyprawy do Indii, która zaczęła się rok wcześniej; w trakcie tej wyprawy Portugalczycy dopłynęli nie tylko tam, ale i do Ameryki Południowej. Na mapie Cantina zaznaczono portugalskimi flagami część brazylijskiego wybrzeża, którą Cabral odkrył w 1500 roku²⁷. Ponieważ identyczne flagi widać przy Koczi i Kannanur w południowych Indiach – gdzie Cabral dotarł później w tym samym 1500 roku – nasuwa się wniosek, że mapa zawiera informacje zdobyte podczas tej właśnie wyprawy.

Tak twierdzą badacze historii kartografii²⁸, a ich opinia na razie nie budzi tu kontrowersji. Dziwne natomiast, że ani wyprawa Cabrala w 1500/01 roku, ani wcześniejsza Vasco da Gamy, ani też późniejsze portugalskie wyprawy aż do 1510 roku nie dotarły do północno-zachodniej części Indii. Tymczasem na mapie Cantina rejon ten oddano bardzo starannie. I choć zarys jego nie odpowiada rzeczywistości kształtowi linii brzegowej w okresie ostatnich 7000 lat, gdyż całkowicie pomija Półwysep Kathijawar, jednak jako całość jest znacznie dokładniejszy niż groteskowe wyobrażenie subkontynentu na mapach Ptolemeusza.

Szczególnie godny uwagi wydaje się zarys wschodniego wybrzeża Indii.

Nie przeczę, że Portugalczycy potrafili sporządzić mapę tak dokładną – a nawet dokładniejszą. Ale skąd portugalski kartograf Cantina tak dobrze znał zarys wschodniego wybrzeża Indii już w latach 1500–02, skoro w kronikach historycznych zapisano, że flotylla Lourenca de Almeidy nawet nie opłynęła przyłądka Komoryn, a na wschodnią część Oceanu Indyjskiego Portugalczycy dotarli dopiero w 1505 roku? Ten fragment mapy ukazuje również Cejlon w kształcie i położeniu niezwykle zbliżonym do rzeczywistego – na trzy lata przed przybyciem tam Lourenco de Almeidy.

Mapy T-O

„Dobry” jest pojęciem względnym. Aby zrozumieć, dlaczego mapy Cantina i Reinala przedstawiające rejon Oceanu Indyjskiego są „dobre”, a nawet pod pewnymi względami „odkrywcze”, musimy uwzględnić czas i miejsce, w których działał kartografowie. Mapy te powstały w rejonie Morza Śródziemnego w XIV–XVI wieku.

W okresie tym żeglarze, kupcy, poszukiwacze przygód i ludzie marzący o podróżowaniu mieli do dyspozycji cztery różne rodzaje map. Najprostsze, zbyt

ogólnikowe, by mogły służyć do nawigacji, noszą nazwę map T-O. Ich historia sięga VII wieku n.e., a przedstawiają symbolizujące wodę O, często z napisem na obwodzie MARE OCEANUM – „Oceaniczne Morze” (czasem „Oceaniczna Rzeka”), które w pojęciu starożytnych otacza wszystkie ziemskie lądy²⁹ (koncepcja skądinąd prawidłowa, gdyż wszystkie morza i oceany świata są ze sobą tak czy inaczej połączone). W literę O wpisana jest litera T, dzieląca znany wówczas lądy na trzy części – Afrykę, Azję i Europę. Pionowy element T symbolizuje Morze Śródziemne, oddzielając Afrykę od Europy, i sąsiadujące Oceaniczne Morze na Atlantyku. Element poziomy to płynący na północ Nil po jednej stronie Morza Śródziemnego oraz płynący na południe Don – po drugiej, a także Morze Czarne, Bosfor i wschodnie rejon Morza Śródziemnego, za którymi leży kontynent azjatycki. Często u „szczytu” mapy widniał symbol Ogrodów Edenu, zwrócony na wschód. Historyk kartografii, John Goss, zwraca uwagę, że niejednokrotnie „umieszczano na nich symbole czterech rzek wypływających z Ogrodów Edenu: Piszonu, Gihonu, Tygrysu i Eufratu”³⁰.

Mapy T-O przedstawiają w najlepszym razie „stenograficzny obraz świata”³¹. Jednak trwałość i dominującą rolę tej całkowicie bezużytecznej tradycji kartograficznej oddają najstarsze mapy Europy, drukowane przez Gunthera Zainera w Augsburgu w 1472 roku. Były one dokładną kopią oryginałów stworzonych przez biskupa Sewilli, Izidora, w jego *Etymologiach* napisanych w początkach VII wieku³².

Mappae mundi

Druga grupa map, znanych między XIV a XVI wiekiem, to *mappae mundi* – specyficzny rodzaj map świata (ponieważ w owym czasie istniały również mapy zupełnie innego rodzaju, niekiedy nazywane *mappae mundi* lub *mappa mundi*, co znaczyło dosłownie „mapy świata” w dość luźnym sensie)³³.

Mappae mundi, o których piszę, były ręcznie malowane na tkaninach lub papierze welinowym (stąd źródłosłów – *mappae mundi* oznacza dosłownie „materiał świata”). Klasycznym przykładem jest tu *mappa mundi* z Hereford, przypisywana Richardowi z Haldingham, z około 1290 roku n.e., lecz produkowano je jeszcze do XV wieku. Zachowywały podstawowy wzór map T-O, lecz zawierały



Augsburska mapa T-O, 1472

znacznie więcej szczegółów – góry, rzeki, trasy pielgrzymek itp. – trzech znanych kontynentów, Afryki, Azji i Europy. Czasem przedstawiały również mity, legendy i opowieści współczesnych podróżników. Niestety, żadna z nich nie mogła służyć podróżnym czy żeglarzom³⁴. Nie przedstawiały prawdziwych konturów lądów i oceanów. Światowy ocean, obejmujący w rzeczywistości siedem dziesiątych powierzchni globu, sprowadzony został na przykład do wąskiego paska otaczającego literę O. John Goss komentuje: „Prymitywizm mapy z Hereford stanowi odbicie upadku geografii w stosunku do czasów Ptolemeusza przed tysiącem lat”³⁵.



Mappa mundi z Hereford, około 1290

Mapy ptolemejskie

O życiu Klaudiusza Ptolemeusza prawie nic nie wiemy³⁶. Imię ma rzymskie, nazwisko macedońskie³⁷. Prawdopodobnie urodził się w Tebaidzie w Górnym Egipcie³⁸ około 90 roku n.e., a zmarł około 168 roku n.e.³⁹ W latach 127–145 pełnił funkcję bibliotekarza w Bibliotece Aleksandryjskiej⁴⁰. Zachowały się dwa jego dzieła – *Almagest* (*Ho megas astronomos* – księga astronomii i kosmologii, w której wyklada „ptolemejski system” geocentryczny) – oraz *Geografia* (*Geographike hyphegesis*), w której zawarte są informacje o sporządzaniu map różnych miejsc w Europie, Afryce i Azji według tabel długości i szerokości geograficznej.

Nie wiadomo na pewno, czy Ptolemeusz sam narysował jakąkolwiek mapę i czy w ogóle korzystał z nich w swojej pracy⁴¹. Ścisłej mówiąc, nie było to konieczne, Ptolemeusz podawał współrzędne długości i szerokości geograficznej dla ponad 8000 miejsc i punktów topograficznych, a „czytelnik sam może narysować mapę w odpowiedniej skali różnych rejonów, a nawet całego świata”⁴².

Geografia (dosłowne tłumaczenie greckiego tytułu brzmi „Instrukcja sporządzania map”) „zajmuje się wyłącznie sporządzaniem map”⁴³. Ale jaki wnosi wkład w naukowy sposób rysowania mapy świata?

Przed wszystkim przekazuje wiedzę o kulistej strukturze Ziemi. Nie wiadomo natomiast, od jak dawna uznawano ten fakt. Naukowcy zgodni są co do tego, że najstarszą udokumentowaną wizją kulistego globu znajdujemy w dziełach Pitagorasa z VI wieku p.n.e.⁴⁴. Ale wcześniej wiedza ta mogła być przekazywana drogą ustną lub w pismach, które z biegiem czasu uległy zniszczeniu. Moim zdaniem, któremu daję wyraz w innym miejscu, koncepcja kulistości Ziemi była znana wielkim historycznym cywilizacjom, jak egipska czy sumeryjska 5000 lat temu, a przypuszczalnie w znacznie dawniejszych czasach. Niezależnie jednak, skąd Ptolemeusz czerpał tę wiedzę, winniśmy mu wdzięczność, iż przekazał ją i upowszechnił już w II stuleciu n.e., bo – mimo intelektualnego regresu Średniowiecza – jego wizja kulistej Ziemi nigdy nie popadła w zapomnienie. Robert Fuson, profesor geografii na University of South Florida, tak to ujmuje:

Oceaniczne morze przybrało kształt, który zachował się aż do XVI wieku, do opłynięcia globu przez Magellana. Kulistość Ziemi przestała już być kwestią sporną wśród żeglarzy, kosmografów czy osób wykształconych. Fakt ten został ustalony jeszcze w klasycznej Grecji. Jediną dziedziną, co do której istniała różnica zdań, były zarysy linii brzegowej, dokładne określenie współrzędnych, odkrycie wysp i ich lokalizacja oraz rozmiar Morza Oceanicznego. W XV wieku [przed odkryciem Ameryki] żaden rozsądny człowiek nie kwestionował możliwości dotarcia do Azji, jeśli popłynię się z Europy na zachód, a statek i załoga przetrwają długotrwałą podróż⁴⁵.

Innym ważnym wkładem Ptolemeusza w kartografię było ustalenie funkcjonalnych równoleżników szerokości geograficznej i południka zerowego, biegnącego przez Wyspy Kanaryjskie, który służył jako zerowa długość geograficzna

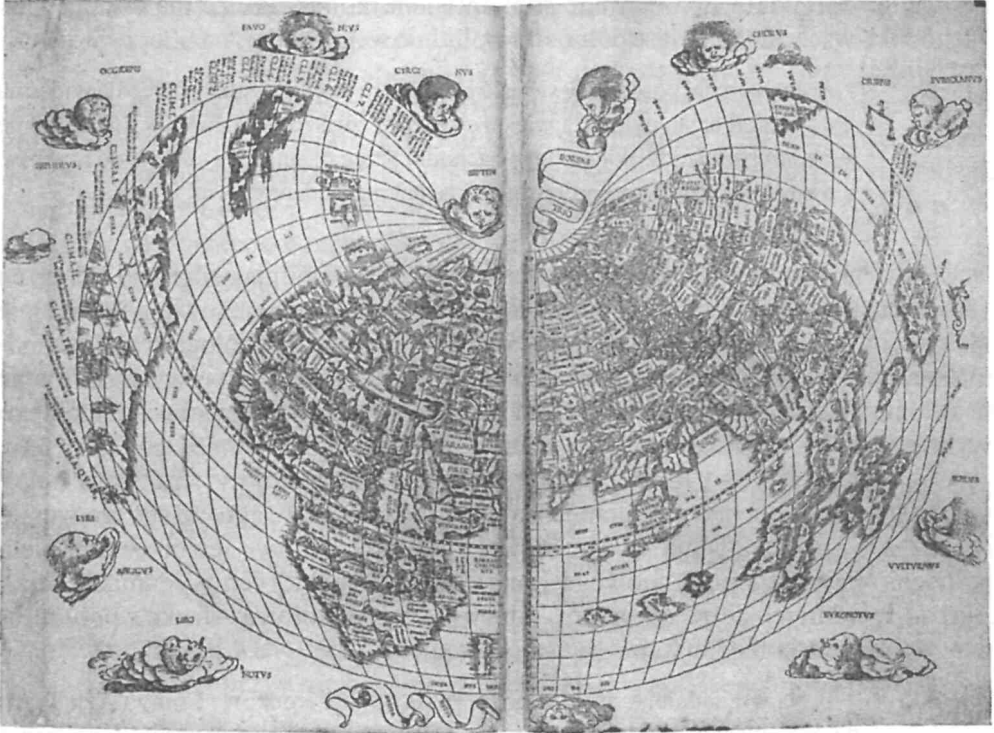


Ptolemejska mapa Francisco Berlinghieriego, 1482

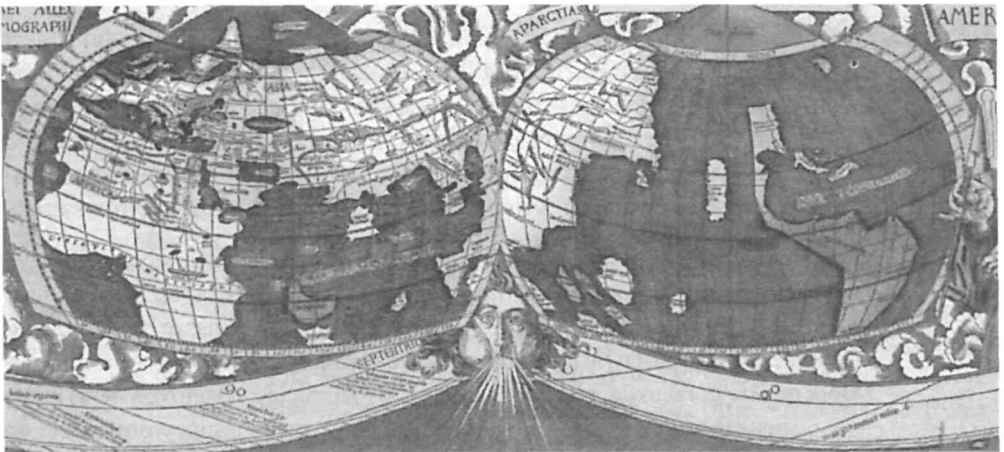
przez szesnaście stuleci⁴⁶. I choć mapy sporządzone według współrzędnych Ptolemeusza pozostawiały wiele do życzenia, nawet najgorsza z nich jest o niebo lepsza od schematycznych map T-O i *mappae mundi* Sredniowiecza.

W dalszej części przedstawiam reprodukcje niektórych ptolemejskich map. Czytelnik zauważy zapewne, że przynajmniej można na nich rozpoznać Morze Śródziemne i – mimo wielu rozbieżności – widać dążenie do uwzględnienia prawdziwych kształtów i rozmieszczenia otaczających je lądów. Ptolemeusz i jego informatorzy dobrze znali ten rejon, nazywany *oikumene* – zamieszkały świat – i najwyraźniej, z nielicznymi tylko wyjątkami, potrafili posługiwać się tą wiedzą. Ale poza strefą śródziemnomorską obserwujemy wiele błędów i nieścisłości.

Na przykład powołując się na Posejdoniusza (135–50 p.n.e.)⁴⁷ Ptolemeusz zaniża obwód Ziemi na równiku, określając go na 20 400 mil (32 640 km), podczas gdy prawidłowa długość wynosi 24 902 mile (39 843,2 km)⁴⁸. Równocześnie mocno zawyża rozległość Azji ze wschodu na zachód i – co dziwniejsze – południowoazjatycką linię brzegową powyżej Oceanu Indyjskiego przedstawia bez ogromnego subkontynentu indyjskiego. Ale, jakby dla zrekompensowania tego braku, Ptolemeusz umieszcza tam ogromną wyspę Taprobanę (prawdopodobnie Cejlon) u wybrzeży prostej linii lądu, który miał być Indiami.



Ptolemejska mapa z weneckiego wydania *Geografii*, 1511



Ptolemejska mapa Waldseemüllera, 1507

W nowym komentarzu do *Geografii* J. Lennart Berggren i Alexander Jones sugerują, iż łatwo to wytłumaczyć. Indie zostały „spłaszczone”, gdyż Ptolemeuszowi

w jakiś sposób udało się odwrócić subkontynent na bok, tak że ma on kierunek zachodnio-wschodni zamiast północno-południowego:

Im bardziej posuwamy się na wschód, tym większe zniekształcenia widać na kontynencie azjatyckim. Największe z nich to spłaszczenie z północy na południe subkontynentu indyjskiego. Jego zachodni brzeg biegnie równoległe do równika, a rozmiar wyspy Taprobany (Cejlon) został przesadzony⁴⁹.

Jeśli Ptolemeusz „przekręcił” subkontynent na wschód, jak sugerują Berggren i Jones, to Taprobana jest za duża jak na Cejlon, lecz także usytuowana w zupełnie niewłaściwym miejscu. Wyspa ta leży w Zatoce Bengalskiej, u południowo-wschodnich wybrzeży Indii. Jeśli weźmiemy pod uwagę przemieszczenie półwyspu na mapie Ptolemeusza, zauważymy, iż Taprobanę w gruncie rzeczy ulokował u zachodniego wybrzeża Indii – gdzie obecnie na ma żadnej dużej wyspy.

Do implikacji tego faktu powrócę później. Kontynuujmy teraz opis mapy świata sporządzonej przez Ptolemeusza. Proszę zwrócić uwagę, że starsze wersje (strona 296) przedstawiają Ocean Indyjski jako śródlądowe jezioro, zamknięte północną krawędzią południowego kontynentu (w niektórych wydaniach *Terra Australis*; w innych *Terra Incognita*), który łączy południową Afrykę z południowo-wschodnim krańcem Azji.

Na wschodniej krawędzi, gdzie ląd obejmuje środkowe Chiny i Azję Południowo-Wschodnią, praktycznie nie sposób zidentyfikować zarysów na mapie Ptolemeusza z rzeczywistymi. Na wschodniej granicy Ptolemeusz rysuje wybrzeże Azji zwrócone na południe i zachód, w konsekwencji łączące się ze wschodnim wybrzeżem Afryki, czyniąc z Oceanu Indyjskiego ogromne zamknięte morze śródlądowe bez połączenia z Atlantykiem⁵⁰.

Ptolemeusz sam podkreśla, że to nie on jest autorem *Geografii*. Píše, że jego zadaniem było jedynie uściślenie i poprawienie wcześniejszej *Geografii* fenickiego geografę Marinosa z Tyru, który około 100 lub 110 roku n.e. stworzył dzieło zatytułowane *Poprawka geograficznej mapy świata*⁵¹. Oto co píše sam Ptolemeusz:

Marinus z Tyru jest chyba naszym najmłodszym studentem geografii (czyli sporządzania map), a swoje badania prowadził z największym entuzjazmem. Jego ostatniej pracy niczego nie brakuje, możemy więc uzupełnić nasze opisanie świata wyłącznie na podstawie jego obserwacji, nie szukając dalej. Ale ponieważ niektóre punkty opracował, niezbyt dokładnie je rozumiejąc, a nanosząc je na mapę nie poświęcił im dostatecznej uwagi, musieliśmy, rzecz jasna, wprowadzić do nich pewne niezbędne poprawki⁵².

Doceniając szczerze tego wyznania, muszę przyznać, że mnie najbardziej uderza wzmianka, iż *Geografia* stanowi część tradycji i że poprzednik Ptolemeusza Marinus także przekazuje tradycję, ale w żadnym razie nie jest pierwszym studentem,

lecz właśnie „najmłodszym”, który „poprawił” starszą mapę⁵³. Taka tradycja mogła mieć niezwykle starodawne korzenie i późniejsze „udoskonalenia” na przestrzeni długiego czasu niekoniecznie sprawiły, iż stała się lepsza. Nie możemy też nie brać pod uwagę drugiej możliwości – że mapy Ptolemeusza nie były „szczytowym” osiągnięciem starożytnej geografii, jak to sugeruje wielu naukowców⁵⁴, lecz wręcz przeciwnie – produktem końcowym długiego procesu upadku tej nauki, degradacji i nagromadzenia błędów wprowadzanych przez różnych kartografów w o wiele starsze i znacznie lepsze mapy. Do tej kwestii także powrócę później.

W kilka stuleci po śmierci Ptolemeusza, w okresie Średniowiecza, jego dzieło popadło w zapomnienie, choć nie ze szczętem, nieliczne egzemplarze bowiem zachowały się w kilku europejskich klasztorach.

Muzułmanie w krajach arabskich także posiadali tłumaczenia tej księgi już w VIII wieku n.e., a oprócz tego dysponowali wcześniejszymi wydaniem dzieła Marinosa (te ostatnie jednak przepadły).

W początkach IX wieku al Ma’amun, kalif Bagdadu w latach 813–833, założył Akademię Nauk, która między innymi stworzyła mapę świata [zaginioną] oraz „udoskonalone tabele” – to znaczy uwspółcześnieone współrzędne⁵⁵.

W końcu XIII wieku w Bizancjum (Konstantynopolu) Maksimus Planudes (ok. 1260–1310) miał przywrócić światu wiedzę zawartą w dziełach Ptolemeusza:

Szukał manuskryptów *Geografii*, a jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem w 1295 roku, lecz dzieło zawiodło jego oczekiwania. Pisze w liście, że znalazłszy w końcu zapomniane dzieło, z rozczarowaniem odkrył, iż nie zawiera ono map⁵⁶.

Choć istnieją starsze mapy (jak pochodzący z końca XII lub początków XIII wieku *Codex Urbanus Graecus 82*), najstarsza zachowana kopia manuskryptu *Geografii* zawierająca mapy oparte na opisach i współrzędnych przekazanych przez Ptolemeusza została sporządzona przez mnichów z Vatopedi na Górze Athos w początkach XIV wieku⁵⁷. Później stała się ona podstawą pierwszego w Europie drukowanego atlasu, wydanego w Bolonii w 1477 roku⁵⁸.

Ptolemejska tradycja kartograficzna na początku łatwo dawała się zastosować do wyzwań, jakie przyniosła epoka odkryć. W XVI wieku oryginalne mapy oparte na ptolemejskich współrzędnych wielokrotnie dodawano do współczesnych, w celu przystosowania ich do tak zwanych *tabulae novae* (lub *tabulae modernae*), rejestrujących odkrycia w Ameryce i na Wschodzie⁵⁹. Można to było uczynić bez naruszania ptolemejskiej koncepcji *oikumene* przynajmniej do chwili, gdy obie Ameryki i kontynent azjatycki jawiły się jako rodzaj ogromnych półwyspów. Ostatecznie jednak mapy te, jak dinozaury, były skazane na wymarcie, gdyż stały się ślepą uliczką ewolucji.

Błędne byłoby wszelako mniemanie, iż z tych kilku map, jakie przetrwały w bibliotekach i archiwach na całym świecie, niczego nie możemy się nauczyć. Może zawierają błędy, ale właśnie braki te mogły sprawić, iż naukowcy przeczyli pewne znaczące szczegóły.

Portolany

Czwarta kategoria map, które krążyły po Europie w XIV–XVI wieku, zwanych ogólnie portolanami, nie wykazuje już jakichkolwiek zależności ani od ptolemejskich map czy współrzędnych, ani od *mappae mundi*. Ogromna większość portolan przedstawia wyłącznie rejony Morza Śródziemnego i Czarnego oraz leżących nad nimi krain, ale niektóre to mapy świata, czy raczej atlasy świata, którym za wzór służyły portolany śródziemnomorskie. Owe stare mapy, spełniające najwyższe standardy kartografii, są zadziwiająco dokładne – tak dokładne, że choć najstarsze pochodzą z XIII wieku, przez prawie 500 lat nowe metody naukowe pomiaru, techniki wykonania i obserwacji nie mogłyby dać lepszego rezultatu⁶⁰.

Portolanami interesował się szczególnie A.E. Nordenskiöld, wielki szwedzki polarnik i historyk kartografii. Zwraca on uwagę, że posługiwali się nimi niemal wyłącznie żeglarze i nawigatorzy:

W XV i XVI wieku wykształceni geografowie nie zwracali na nie zbyt dużej uwagi. Munster zupełnie ich nie dostrzegł, a Ortelius w pierwszym wydaniu *Theatrum Orbis Terrarum* w części *Catalogus Auctorum* poświęconej kartografom nie wspomina nawet jednego twórcy portolan. Obecnie badacze historii geografii uznają je za niedoścignione arcydzieła i uważają, że wniosły największy wkład w rozwój średniowiecznej kartografii⁶¹.

Podobnego zdania jest John Goss:

Portolany w niczym nie przypominały średniowiecznych map. Zawierały zadziwiająco szczegółowe informacje, oparte na doświadczeniu i bezpośredniej obserwacji, a nie na konwencjonalnych obyczajach, polegających na powielaniu kartograficznych i mitycznych informacji udzielanych przez Kościół⁶².

Zarówno Goss, jak i Nordenskiöld wymieniają cechy charakterystyczne portolan, które odróżniały je od innych średniowiecznych map:

- Sieć przecinających się linii prostych (zwykle nazywanych „liniami rumbowymi” lub „liniami loksodromicznymi”)⁶³ wychodzących z szesnastu punktów rozmieszczonych w jednakowej odległości na obwodzie „ukrytego koła” na mapie.
- Mística „róża wiatrów” w jednym lub kilku punktach przecięcia się linii.
- Nazwy miejsc i charakterystycznych punktów wpisane prostopadle do linii brzegowej wzdłuż całego wybrzeża.
- Materiał: papier welinowy lub pergamin, rysunki wykonane atramentem w charakterystycznej kolorystyce, na przykład najważniejsze miejsca zaznaczone na czerwono, reszta na czarno; linie określające cztery główne kierunki wiatrów na czarno, osiem półwiatrów na zielono, a szesnaście ćwierćwiatrów na czerwono.

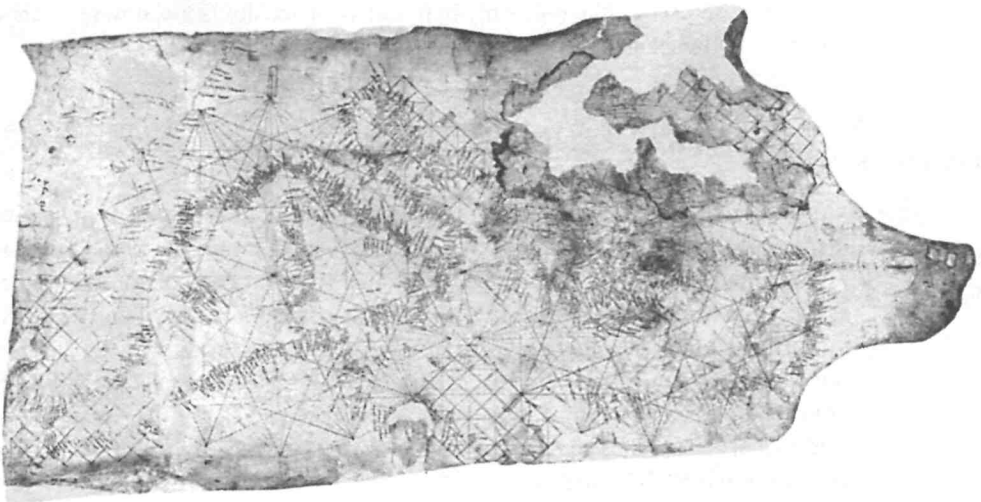
- Linie brzegowe z wyraźnie przedstawionymi zatokami i przylądkami; zagrożenia – skały, rafy, mielizny – oznaczane kropkami lub krzyżykami⁶⁴.

Wszystkie te charakterystyczne cechy portolan wynikały z warunków żeglugi. Umiejętność omijania przybrzeżnych przeszkód była kwestią życia lub śmierci. Sieć linii rumbowych wspomagała nawigację za pomocą kompasu. Nawet prostopadłe umieszczenie nazw – w niektórych miejscach zapisanych do góry nogami – wskazuje kierunek, w jakim statek powinien podążać wzdłuż brzegu.

Uznano, że portolany odznaczały się taką doskonałością w porównaniu z poprzednimi mapami, ponieważ w Europie zaczęto stosować kompas, choć nastąpiło to dopiero z końcem XIII wieku⁶⁵ (ale już znacznie wcześniej używano namagnesowanej igły)⁶⁶. Bez wątplenia mapy te w połączeniu z kompasem stałyby bardzo użytecznym narzędziem do nawigacji, jednak nie mamy pewności, czy to zastosowanie kompasu spowodowało, że mapy stawały się coraz dokładniejsze. A.E. Nordenskiöld uważa, że było wręcz przeciwnie, „wiele z tych map stworzono znacznie wcześniej, jeszcze przed zainstalowaniem kompasów na statkach”⁶⁷.

Na portolanach brak rzutu kartograficznego i siatki długości i szerokości geograficznej, choć na większych „portolanach świata” często zaznaczano równik, Zwrotniki Raka i Koziorożca oraz koła podbiegunowe Arktyki i Antarktydy. Mimo to, jeśli zmierzy się na nich relatywne długości i szerokości, okazują się niezwykle precyzyjne. Na przykład na portolanie Dulcerta z 1339 roku długości geograficzne Morza Śródziemnego i Czarnego są zgodne z dokładnością do 0,5°⁶⁸.

Dawniej niesłusznie twierdziłem⁶⁹, że żeglarze i kartografowie w XIV wieku nie potrafiliby osiągnąć takiej precyzji – morskie chronometry, które pozwalały na prawidłowy pomiar długości geograficznej na morzu, zostały wprowadzone



Portolana *Carta Pisane*, 1290

dopiero w drugiej połowie XVIII wieku. Jednak naukowcy twierdzą, iż są inne, prostsze i pewne (choć bardziej czasochłonne) sposoby obliczania długości. Gregory McIntosh przysłał mi pocztą elektroniczną taki oto list:

Nam, ludziom współczesnym, wydaje się, że skoro bardzo szybko potrafimy dokonywać dokładnych obliczeń, w dawnych czasach nie umiano w ogóle tego robić. Portugalczycy (i inne żeglarskie ludy) stosowali nawigację obliczeniową długości geograficznej [tzn. obliczeń opartych na empirycznej ocenie kursu, szybkości i czasu]. Niektórzy pisarze w rodzaju Hapgooda [autora *Maps of the Ancient Sea Kings*] starają się nas przekonać, że nawigacja obliczeniowa nie jest wiarygodną metodą pomiaru, a Portugalczycy w ogóle nie ustalali długości geograficznej. Ale oczywiście oni to robili. Na tym polega nawigacja obliczeniowa – na ustalaniu długości w oparciu o kilka innych pomiarów z poprzednich podróży⁷⁰.

Wydaje się to wiarygodnym wytłumaczeniem dokładności, z jaką sporządzano portolany – w stosunkowo długim okresie zbierano informacje i pomiary od żeglarzy pływających po Morzu Śródziemnym. Niektórzy badacze przypuszczają, że część danych może pochodzić z bardzo starych relacji o morskich podróżach, warunkach panujących w portach, wiatrach i prądach, zwanych *periploi*, spisywanych jeszcze przez starożytnych Greków w V wieku p.n.e.

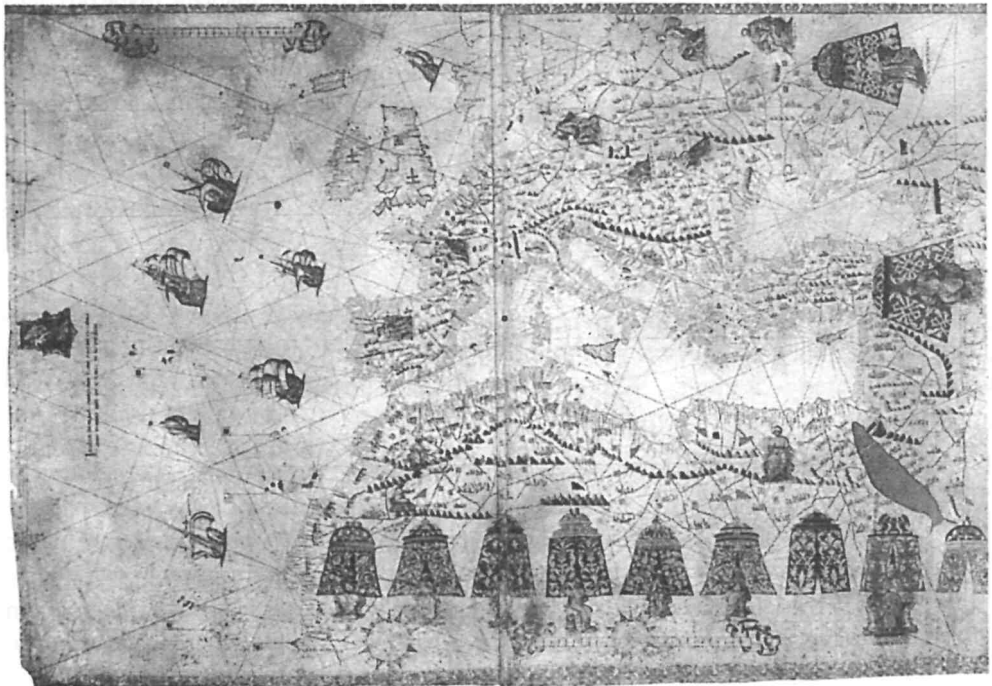
Ale dość ogólnikowym *periploi* daleko do dokładności nawigacyjnych portolan. Powinny istnieć formy pośrednie, dowód ewolucji kartografii, gdyż sporządzanie map metodą prób i błędów, poprawek i stopniowych udoskonaleń, o jakiej pisze McIntosh, wymaga bardzo wiele trudu i czasu.

I na tym polega kłopot z portolanami. Po prostu brak form pośrednich. Oddajmy głos Johnowi Gossowi:

Od samego początku portolany były zadziwiająco dokładne, nowsze wersje z końca XVII wieku niewiele różniły się od najstarszych⁷¹.

A.E. Nordenskiöld, największy światowy autorytet w tej dziedzinie, przypomina naukowcom:

Mimo postępu, jaki dokonał się w kartografii w XVI wieku dzięki wynalezieniu instrumentów nawigacyjnych, w Holandii jeden z najstynniejszych żeglarzy opublikował w 1595 roku mapę, która była tylko kopią kopii znacznie starszych portolan sprzed 250–300 lat. Jest to najbardziej niezwykły fakt w historii cywilizacji. Ale co dziwniejsze, zasadnicze cechy portolan z początków XIV wieku odnajdziemy na morskich mapach, sporządzonych przez Van Kuelena w latach 1681–1722. Przypuszczam, że dziedzictwo owych dawnych portolan można znaleźć na mapach niektórych rejonów Morza Śródziemnego i Czarnego, pochodzących z początków XIX wieku⁷².



U góry: portolana Dulcerta, 1339. U dołu: portolana Maggiola, 1563

Dziedzictwo

„Najbardziej niezwykłym faktem w historii cywilizacji”, na który Norden-skiold zwraca naszą uwagę, jest to, że portolany, sporządzone najwyraźniej meto-dą nawigacji obliczeniowej w XIII wieku, mogą z powodzeniem konkurować z naukowo opracowanymi mapami morskimi z XIX wieku.

Możemy się zgodzić z McIntoshem, że nawigatorzy z XIII wieku potrafili sporządzać doskonałe mapy rejonów Morza Śródziemnego, które przez następ-nych pięć stuleci wymagały jedynie nieznacznych poprawek – innymi słowy po-twierdzamy, że było to możliwe. Zgadza się nawet, że można było tego doko-nać. Ale już trudniej przychodzi nam uwierzyć, że rzeczywiście zostało to dokonane, gdyż ani McIntosh, ani żaden inny zwolennik „ewolucyjnego” tłumaczenia doskonałości dawnych portolan nie potrafi wskazać choćby jednego przy-kładu owej „stopniowej ewolucji”.

Moim zdaniem rację ma Peter Whitfield, który uważa, że *Carta Pisane*, naj-starsza zachowana portolana świata, „to najbardziej tajemnicza mapa w historii kartografii”⁷³. W swojej książce z 1996 roku, zatytułowanej *Charting of the Oceans* (Tworzenie map oceanów), pisze:

Pojawienie się tej mapy (i innych, jakie zachowały się z następnego stulecia) jest jednym z najbardziej zagadkowych wydarzeń w historii kartografii. Wystar-czy spojrzeć na nią, żeby od razu zauważyć dwie istotne cechy: linia brzegowa Morza Śródziemnego poprowadzona jest z zaskakującą precyzją; mapę pokrywa sieć linii wychodzących promieniście z dwóch centralnych punktów, co wyraźnie sugeruje użycie kompasu. Jak to możliwe, by ta niezwykle dokładna mapa poja-wiła się nagle w średniowiecznych Włoszech – i jaki rodzaj kompasu zastosowa-no przy jej tworzeniu? Czy była dziełem jednej osoby, czy też raczej powstała na podstawie znacznie starszych map, które uzupełniano przez stulecia? W tę pierw-szą ewentualność trudno uwierzyć, druga hipoteza zaś nie wyjaśnia, dlaczego brak jakichkolwiek śladów istnienia takich map przed 1270 rokiem⁷⁴.

Whitfield przedstawia stanowisko naukowców akademickich, którzy uważa-ją, iż podstawę ewolucji portolan stanowiły ustna tradycja przekazywana przez kolejne pokolenia żeglarzy, a także źródła pisane pochodzące jeszcze z czasów greckich *periploi*, czyli podręczników do nawigacji:

Wśród włoskich żeglarzy krążył dokument zatytułowany *Lo Compasso da Navigare*. Można by snuć przypuszczenia, iż jego treść została przeniesiona z pomocą namiarów kompasowych na *Carta Pisane*. Tymczasem nazwy miejsc w *Lo Compasso* zdecydowanie różnią się od tych na mapie – nawet nazwa Włoch. Co więcej, przeniesienie listy nazw i namiarów na mapę jest niezwykle trudnym zadaniem, wymagającym nie tylko wysokiego stopnia znajomości geografii i umiejętności rysowniczych, lecz także ogromnej wyobraźni, żeby stworzyć gra-ficzną formę czegoś, co nie ma żadnego odpowiednika. Nawet gdyby *Carta Pisa-*

ne oparta była na zaginionej portolanie, i tak nie mamy pojęcia, w jaki sposób ją sporządzono. Nie potrafimy również odpowiedzieć na zasadnicze pytanie – jak używano tej mapy? Nie dysponujemy żadnym opisem jej stosowania, choć dzięki badaniu samego zabytku wiemy, że linie wskazane przez kompas zostały nakreślone, zanim narysowano samą mapę⁷⁵.

Dalej Whitfield wyjaśnia, jak tego dokonano:

Później praktykowano pomiary bieżące, zaznaczając cechy charakterystyczne linii brzegowych – przylądki, zatoki lub wyspy – obserwowane z dwóch, trzech lub czterech położen przepływającego statku. Profil wybrzeża powstawał na podstawie wiedzy o kursie statku, odległości i kątach, pod którymi prowadzono obserwacje. Metodę tę stosowano w XVI wieku, ale możemy jedynie snuć przypuszczenia, czy znano ją w czasie, gdy powstawała ta mapa. Jeśli nie, doprawdy trudno wytłumaczyć dokładność, z jaką naszkicowano niektóre fragmenty wybrzeży, tak że dopiero w XVIII wieku można było uściślić skalę⁷⁶.

Jeśli nawet przyjmimy, że bieżącą obserwację i kompas stosowano do tworzenia map linii brzegowej w XIII wieku (co większość historyków nauki wyklucza), i tak nadal nie znajdujemy odpowiedzi na pytanie o pochodzenie gotowej i kompletnej *Carta Pisane*. Nie istnieje żadna inna wcześniejsza mapa, która dowodziłaby stopniowego szkicowania konturów wybrzeży Morza Śródziemnego, w wyniku czego powstałoby owo doskonale odzwierciedlenie rzeczywistego kształtu tego rejonu.

Niewykluczone, rzecz jasna, iż wskutek zmiennych kolei historii wszystkie poprzedzające portolany, dowodzące stopniowej ewolucji w poznawaniu tego rejonu, zaginęły. Gdyby jednak *Carta Pisane* stanowiła rezultat długotrwałej ewolucji w kartografii i gdybyśmy przyjęli, że jej poprzedniczki przepadły, czy nie należałoby się spodziewać dalszej ewolucji i kontynuacji po ukazaniu się najdawniejszego zachowanego egzemplarza?

Niezależnie od tego, czy uznamy, iż *Carta Pisane* powstała między 1270 a 1290 rokiem (jak sugeruje Whitfield)⁷⁷, czy też później – między 1295 a 1300 rokiem – jak zakładają inni historycy, przekonamy się, że nie ma śladu późniejszej ewolucji⁷⁸.

Przechowywana obecnie w Bibliotece Narodowej w Paryżu owa tajemnicza *Carta Pisane* nie jest podpisana, jej badacze nie mają pojęcia, kto ją sporządził⁷⁹.

Poza tym istnieją jeszcze zabytki, które Whitfield nazywa „zdumiewającymi, cennymi” dziełami najstarszych znanych z imienia kartografów z pierwszej połowy XIV wieku, Vescontego i Pizzagana z Wenecji oraz Dulcerta i Valseki z Majorki. Żaden z nich nie kopiował bezpośrednio *Carta Pisane*, jednak oni również nie dodali jakichś znaczących elementów w rejonie Morza Śródziemnego i Czarnego, których nie zawierałaby *Carta Pisane*. Wręcz przeciwnie – na ich niezwykle dokładnych mapach dostrzegamy niewielkie i powierzchowne poprawki. Podstawowy wzorzec, odziedziczony z XIII wieku, pozostał niezmienny – wówczas i wiele stuleci potem.

Tak więc hipoteza o stopniowej ewolucji portolan na podstawie spisanych obserwacji załóg statków nie może się w świetle tych faktów obronić. Nordenskiöld szukał bardziej prawdopodobnego wytłumaczenia i po wielu latach skrupulatnych badań doszedł do dość niezwykłego wniosku, iż pierwowzór wszystkich map morskich, hipotetyczny wspólny przodek, którego nazywa „normalną portolaną”, prawdopodobnie wywodzi się z od dawna zaginionych map morskich, sporządzonych przez fenickiego geografa, Marinosa z Tyru⁸⁰.

Innymi słowy – *Carta Pisane* oraz inne portolany, które zapoczątkowały ten rodzaj map, nie stanowiły „rozwinięcia”, lecz były dziedzictwem.

Morska ryba z Tyru

Nordenskiöld zwraca uwagę, że na wszystkich portolanach znajdujemy te same legendy i nazwy miejsc. Porównuje je na przykład z Atlasem Katalońskim z XIV wieku, mapą Giroldisa z XV wieku i mapą Volontuisa z końca XVI wieku, lecz twierdzi, że dotyczy to wszystkich portolan:

1. Morze Śródziemne i Czarne mają dokładnie ten sam zarys na wszystkich mapach; 2. odległości mierzone są w tych samych jednostkach długości na każdej mapie, niezależnie od kraju, z którego pochodzi; 3. odległości wzdłuż Morza Śródziemnego i Czarne mierzone według tej skali okazują się takie same na wszystkich mapach; 4. zarysy wielu mniejszych wysp i przylądków pozostały na portolanach prawie niezmienione od XIV do końca XVI wieku; można zatem uznać za udowodnione, iż wszystkie portolany to jedynie nieznacznie poprawione „kodeksy” tego samego oryginału, który ja nazywam normalną portolaną⁸¹.

Pragnąc dociec, „kiedy i gdzie została sporządzona normalna portolana”⁸², Nordenskiöld zwrócił uwagę na pewien ustęp książki napisanej w 955 roku przez znanego arabskiego geografa, Masudiego, który twierdzi, że „widział mapy Marinosa i są one znacznie dokładniejsze niż mapy Ptolemeusza”⁸³.

Portolany to mapy sporządzane w czasach starożytnych i w Średniowieczu, lepsze od map Ptolemeusza⁸⁴. Nordenskiöld wysuwa hipotezę, iż „portolany wywodzą się z tyryjskich map, które Ptolemeusz przypisywał Marinusowi”⁸⁵ i że mapa świata narysowana przez Marinosa mogła być „prawdziwą portolaną zaopatrzoną w tekst”⁸⁶:

Jeśli nawet Ptolemeusz nie zawsze wymieniał Marinosa jako osobę, można się domyślić, że imię Marinosa z Tyru, czyli „ryby morskiej z Tyru”, nosił pewien rodzaj morskich map. Liczne wydania, o których wspomina Ptolemeusz, dowodzą jedynie, iż tyryjskie mapy tworzone dla celów praktycznych, a poprawki, wprowadzane jego zdaniem do kolejnych edycji, dały początek późniejszemu arcydziełu⁸⁷.

Jest to interesująca hipoteza, bo rzeczywiście poza tekstami Ptolemeusza nigdzie indziej nie spotykamy wzmianki, która niezależnie potwierdziłaby istnienie

fenickiego geografa Marinosa. Wydaje się też całkiem prawdopodobne, iż w portowym mieście Tyr, w którym przypuszczalnie mieszkał Marinus, powstawała specyficzna kategoria map – i mogły one nosić potoczną nazwę „morskich ryb z Tyru”. Niewykluczone, że były to atlasy okolic Tyru, a mapa świata „morskiej ryby z Tyru”, którą Ptolemeusz „skorygował” i „poprawił” w II stuleciu n.e., to dzieło zbiorowe, a nie praca jakiejś konkretnej osoby.

Pisałem już, że tylko od Ptolemeusza wiemy, iż udoskonalił on mapy Marinosa. A może w dobrej wierze wprowadził błędy do fenickich map? To tłumaczyłoby, dlaczego arabscy żeglarze w X wieku uznawali, iż mapy fenickie są lepsze od ptolemejskich.

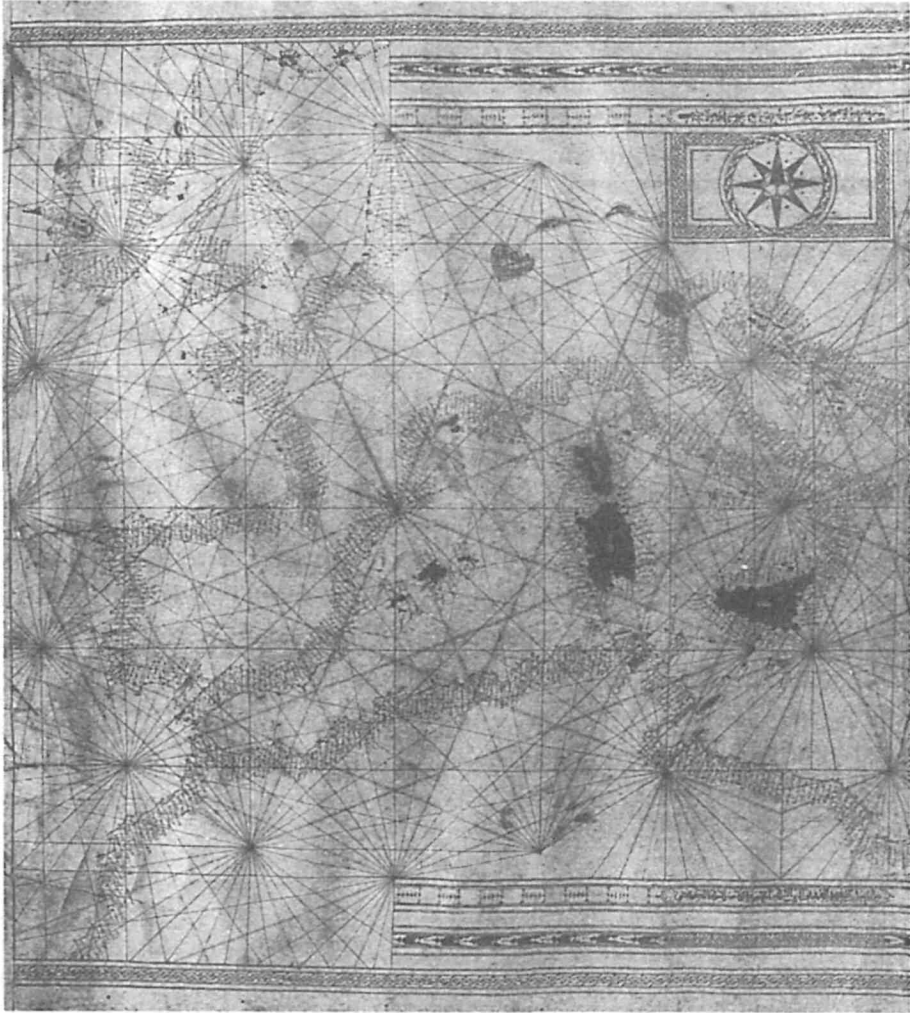
Arabowie bez map

Odnaleziono tylko trzy arabskie portolany, te „normalne”, przedstawiające rejony Morza Śródziemnego i Czarnego. Najstarsza pochodzi z 1300 roku, mniej więcej z tego samego okresu co *Carta Pisane*, a dwie pozostałe z 1413 i 1461 roku⁸⁸. Moim zdaniem wynikają stąd dwa wnioski: po pierwsze – podobnie jak Europejczycy, Arabowie nie starali się udoskonalić odziedziczonych normalnych portolan (dodali jedynie współczesne nazwy i legendy na kopiach); po drugie – choć normalne portolany Marinosa zostały przez Arabów zachowane, o czym zaświadcza Masudi, i choć istniało na nie zapotrzebowanie, fakt, iż przetrwały jedynie trzy kopie, dowodzi, że używanie ich nie było wśród arabskich żeglarzy tak rozpowszechnione, jak wśród europejskich.

A.E. Nordenskiöld tak pisze o arabskiej kartografii:

Znamy rozmaite barwne opisy lądów i podróży zapisane przez arabskich geografów. W tym okresie krążyło ich znacznie więcej niż podobnej literatury w Europie. Jednakże Arabowie nigdy nie osiągnęli takiej perfekcji w tworzeniu map, które – jeśli były oryginalne (a nie, jak planisfera Idrisiego, kopiami lub reprodukcjami map Ptolemeusza) – nie tylko reprezentowały znacznie niższy poziom niż dzieła aleksandryjskiego geografa, lecz nawet nie wytrzymywały porównania ze szkicami z Esquimau, przywiezionymi przez angielskich i duńskich podróżników z wypraw w rejony polarne⁸⁹.

Osąd ten może wydać się zbyt surowy: nikt nie zaprzeczy, iż Arabowie byli odważnymi i żądnymi przygód podróżnikami. Wspomniany w powyższym ustępie Idrisi pisze, że w X wieku arabscy żeglarze przekroczyli lub próbowali przekroczyć Atlantyk⁹⁰. Jednak Idrisi, nadworny geograf sycylijskiego króla Rogera II w końcu XII wieku, tworzył swoje przepiękne mapy na podstawie map Ptolemeusza⁹¹. Z wyjątkiem trzech zachowanych arabskich portolan (z których jedna jest rzeczywiście stara), jakoś pozostałej kartograficznej twórczości Arabów w tym okresie nie była wysoka.



Arabska portolana al-Tunisiego, część zachodnia, 1413

Niezależnie jednak od tego, czy Arabowie znali się na tworzeniu map czy też nie, Nordenskiöld stwierdza:

Z fragmentu dzieła Masudiego wynika, że map Marinosa z Tyru nadal używano w połowie X wieku, czyli na krótko przed sporządzeniem pierwszych portolan. Potem zupełnie zniknęły. Można stąd wysnuć wniosek, iż portolany pojawiły się jako zmodernizowane wersje tych map, sporządzone w okresie wypraw krzyżowych, i że mają się do map Marinosa tak samo, jak *tabulae modernae* w wydrukowanym wydaniu *Geografii* Ptolemeusza do własnych prac aleksandryjskiego geografa⁹².

O cudownych rzeczach

Dowodząc, iż Arabowie dysponowali w tak późnym okresie doskonałymi starożytnymi mapami, które a. przypisywano Marinusowi z Tyru i b. uznawano za znacznie lepsze niż dzieła Ptolemeusza, Nordenskiöld podaje nam zadowalające rozwiązanie zagadki dotyczącej „ewolucji” portolan poprzedzających *Carta Pisane*. Oto w skrócie historia tych map: mapy „morskiej ryby”, nie zniekształcone przez Ptolemeusza, które doprowadzono do perfekcji w II stuleciu n.e., zachowały się wśród Arabów aż do XIII wieku. Potem co najmniej część tego dziedzictwa – mapy rejonów Morza Śródziemnego i Czarnego, czyli „normalne portolany” Nordenskiölda – trafiły w ręce Europejczyków, stając się pierwowzorem *Carta Pisane* i późniejszych portolan, na których zmieniono jedynie nazewnictwo.

Moim zdaniem wytłumaczenie wysokiego poziomu normalnych portolan jest bardziej racjonalne i prostsze niż hipoteza powtarzana przez większość historyków, iż te precyzyjne i fachowe dzieła kartografów w jakiś sposób „ewoluowały” z ksiąg locyjnych. A koncepcja Nordenskiölda, mimo iż pozostawia bez odpowiedzi wiele kwestii dotyczących korzeni i wieku tradycji map Marinosa przed II stuleciem n.e., brzmi wiarygodnie, gdyż przypomina nam o roli Fenicjan w historii kartografii.

Wiadomo, że opłynęli oni Afrykę już w 595 roku p.n.e.⁹³, czyli 2000 lat przed Portugalczykami, a ich flotylle spotykano na Morzu Czerwonym, Oceanie Indyjskim i Morzu Śródziemnym. Stworzyli ważne ośrodki morskie i handlowe, jak Tyr, Sydon i Kartagina, zakładali duże kolonie na atlantyckim wybrzeżu Europy i północnej Afryki, a nawet na Azorach i Wyspach Kanaryjskich⁹⁴. Byli niezaprzeczalnie najlepszymi żeglarzami starożytnego świata. Między czasami Ptolemeusza a epoką pierwszych wypraw Portugalczyków próżno by szukać w rejonie Morza Śródziemnego i Czarnego narodu równie biegłego w tworzeniu map, takich jak normalne portolany.

Co więcej, jeśli normalna portolana rzeczywiście pochodzi z zaginionego atlasu Marinosa z Tyru, inne wysokiej jakości mapy regionów bardziej oddalonych od Morza Śródziemnego i Czarnego – a nawet mapy świata – mogły również trafić w ręce Arabów. Od Ptolemeusza wiemy, iż istniały inne mapy Marinosa, także mapa świata. Nie powinniśmy zatem wykluczać możliwości, że portolany świata, które zaczęły pojawiać się w ciągu stulecia po *Carta Pisane*⁹⁵, także oparto na wcześniejszych mapach „morskiej ryby Tyru”, sporządzonych przez Fenicjan. Krzysztof Kolumb, którego niezachwiana wiara w istnienie lądów poza Atlantykiem doprowadziła do „odkrycia” Nowego Świata, wspomina o tych fenickich mapach:

Arystoteles przytacza historię kartagińskich kupców, którzy, przepłynąwszy Morze Oceaniczne, dotarli do bardzo żyznej wyspy. Wyspę tę Portugalczycy pokazali mi na swoich mapach i nazwali ją Antilią⁹⁶.

Antilia po raz pierwszy pojawia się na portolanie z 1424 roku. Do tej wielce tajemniczej sprawy jeszcze powrócimy.

Co Guzarate mógł pokazać da Gamie

Portolana świata – to znaczy taka, która ukazuje obszary poza rejonami opisywanymi przez normalną portolanę – mogła opierać się na zaginionej mapie świata Marinosa. Jeśli ta normalna portolana, znajdująca się w rękach Arabów przez kilka stuleci, trafiła do Europy, to samo mogło zdarzyć się z mapą świata. Znamy kilka arabskich portolan rejonów Morza Śródziemnego i Czarnego, warto więc poszukać śladów portolany świata.

Nordenskiold sądzi, że natrafił na taki ślad. Czytając dzieła geograficzne z epoki odkryć, w książce *Asia J. De Barros*a (w pierwszym portugalskim wydaniu z 1552 roku) znalazł informację, że Arabowie na Oceanie Indyjskim posługiwali się morskimi mapami ze stopniami zaznaczonymi za pomocą linii, „prawdopodobnie porównywalnymi z portolanami”⁹⁷:

Vasco da Gama, podczas pierwszej wyprawy przybywszy w kwietniu 1498 roku do Malindi na wschodnim wybrzeżu Afryki, wynajął pilota imieniem Guzarate, żeby poprowadził jego statek do Indii. Da Gama był bardzo z niego zadowolony, zwłaszcza że pilot pokazał mu sporządzoną w stylu arabskim mapę wybrzeży Indii, bez linii kompasowych, lecz podzieloną południkami i równoleżnikami na niewielkie kwadraty. Pokazał mu również instrumenty nawigacyjne, za pomocą których można określić szerokość geograficzną, ale zupełnie inne niż te, jakie miał z sobą da Gama⁹⁸.

Otóż w tej relacji można wyróżnić kilka interesujących punktów:

- Imię pilota według innych źródeł brzmi „Ahmed bin Madżid”. W gruncie rzeczy „Guzarate” w ogóle nie wydaje się imieniem, sprawia raczej wrażenie przydomka. „Gudżarati” – tak aż dotąd na kenijskim wybrzeżu Swahili nazywa się Hindusów pochodzących ze stanu Gudżarat. Czy możliwe, że „arabski pilot” da Gamy był w istocie pilotem hinduskim, właśnie z Gudżaratu?
- Mapa ponoć ukazuje „całe wybrzeże Indii”.
- Na mapie brak „linii kompasowych”, co w ogóle nie pasuje do standardowych europejskich portolan.
- Na mapie zaznaczono południki i równoleżniki, czyli również nie przypomina portolan, na których ich nie ma. Ale południki i równoleżniki dzielą mapę Guzarate’a na „niewielkie kwadraty”. Zauważmy, że choć nie jest to wynikiem przecięcia się południków i równoleżników, *Carta Pisane* zawiera cztery rejony podzielone na małe i dwa inne rejony podzielone na nieco większe kwadraty. Podział taki nie pojawia się na innych, znanych na zachodzie portolanach⁹⁹.
- Pilot posługiwał się nieznanymi przyrządami do nawigacji, prawdopodobnie pozostającymi w związku z mapą.

Ani wyprawa da Gamy w 1498–89 roku, ani ekspedycja Cabrała w 1500–01, ani w ogóle żadna inna portugalska wyprawa aż do 1510 roku nie miała okazji

spenetrować północno-zachodniego wybrzeża Indii między Goa a deltą Indusu. Dowód na to znajdujemy w dziennikach wypraw, a także pośrednio na mapie Cantina z 1502 roku, która oddaje stan wiedzy geograficznej portugalskich podróżników. Brak dokładnego zarysu Półwyspu Kathijawar na mapie Cantina oraz fakt, iż nie zaznaczano tego fragmentu wybrzeża także w 1510 roku, kiedy sporządzono mapę Reinala ukazującą Ocean Indyjski, stanowią dalsze przekonujące dowody, że Portugalczycy mogli zapoznać się z północno-zachodnią linią brzegową Indii dopiero po 1510 roku – gdyby stało się to wcześniej, na pewno znalazłoby odbicie na mapach (jak było w przypadku wybrzeża Brazylii, także odkrytego podczas wyprawy w 1500–01 roku). Z całą pewnością nie przeoczyli fragmentu ładu tak wyraźnie widocznego, jak Półwysep Kathijawar w Gudzaracie, z dwiema wielkimi zatokami Kaczczh i Kambajską (z których ta druga stwarzała szczególnie obiecujące warunki do handlu). Jeśli ponadto przyjmujemy, że Portugalczycy korzystali z wiedzy słynnego pilota z Gudżaratu, tym bardziej trudno sobie wyobrazić, by najwytrawniejsi nawigatorzy i kartografowie w XIV i XV wieku nie uwzględnili na mapach jego szczegółowych informacji.

Wszystko wskazuje na to, że Portugalczycy tam nie dotarli i mapy tego odcinka wybrzeża sporządzili dopiero po 1510 roku, a zarys północno-zachodniego wybrzeża na mapach Cantina i Reinala zapożyczono z jakiejś innej, starszej mapy.

Kto wie, może właśnie tę mapę Guzarate pokazał da Gamie, który tak się nią zachwycił podczas pierwszej wyprawy do Kalkuty w 1498 roku?

Szybki objazd Oceanii

Z opowieści o Guzarate można wysnuć hipotezę, iż sięgająca prehistorii tradycja sporządzania dokładnych map (być może ta sama, na której opierał się Marinus z Tyru i która znalazła także wyraz w średniowiecznych portolanach) przetrwała wśród arabskich i indyjskich nawigatorów pływających po Oceanie Indyjskim do czasów, gdy pojawili się tam Europejczycy.

Jakość tych znanych w rejonie Oceanu Indyjskiego map wysoko cenili XV- i XVI-wieczni portugalscy żeglarze, jak da Gama (i inni, jak się dowiemy z dalszych rozdziałów). Istnieją wszelako dowody, iż mapy te oraz system nawigacyjny, na którym je oparto, znane były także innym kulturom w odległych epokach. Przy okazji chciałbym wspomnieć o pracach dr. Davida Lewisa. W swym wnikliwym dziele podkreśla on zdumiewające osiągnięcia nawigatorów mikronezyjskich i polinezyjskich, który opływali Pacyfik w okresie od 2000 roku p.n.e. do 1000 roku n.e. Lewis zwraca uwagę na „pewne niezwykle podobieństwa między systemem bezprzyrządowej nawigacji, stosowanym przez starożytnych żeglarzy na Oceanie Indyjskim, który bez wątpienia był starszy, a systemem używanym na Pacyfiku”¹⁰⁰.

Lewis pisze, że „kompas magnetyczny poprzedził na Oceanie Indyjskim kompas gwiazdny, mający postać tabeli z opisem położenia gwiazd”¹⁰¹. Co dziwniejsze,

starodawny kompas gwiazdny na Oceanie Indyjskim okazuje się niezwykle podobny do takiego samego kompasu na Pacyfiku:

W obu systemach 18 z 32 punktów gwiazdnych jest identyczne¹⁰². Mamy wszystkie powody, aby wierzyć, iż to, co nazywamy nawigacją „polinezyjsko-mikronezyjską”, stanowiło jedynie fragment stosowanego niegdyś na wszystkich azjatyckich wodach systemu, który najprawdopodobniej w ogóle nie wywodził się z Oceanii¹⁰³.

Epoka lodowcowa w Indiach?

Na ślad tego samego zapomnianego systemu natrafiamy też w Chinach i Japonii. Na razie jednak interesuje nas wpływ, jaki miał on na europejskie mapy Indii, tworzone w pierwszym okresie ery odkrywców. Wiemy już, że mapy Cantina i Reinala (1502 i 1510) zostały sporządzone, zanim Portugalczycy dokładnie poznali wybrzeża Indii. Najprawdopodobniej obie są kopiami starszej mapy źródłowej, niewykluczone, że tej samej, którą Guzarate pokazał da Gamie.

Fakt, iż wywodzą się ze wspólnego źródła – albo też dwóch odrębnych, lecz podobnych źródeł – może tłumaczyć, dlaczego mapy Cantina i Reinala okazują się niemal identyczne pod każdym względem oraz – co ważniejsze – dlaczego obie zawierają takie same błędy. Z pierwszego sprawozdania Sharifa Sakra (patrz rozdział 13) dowiedziałem się, że błędy te to: pominięcie Półwyspu Kathijawar z charakterystycznymi dla niego zatokami Kaczcch i Kambajską; wyraźne wybrzuszenie w północno-zachodnim zakątku Indii; większa niż w rzeczywistości powierzchnia wielu małych grup wysepek oraz zwrócenie w kierunku południowo-zachodnim (z czymś, co Sharif określa jako „wyraźne wargi”) południowego koniuszka Indii. Jego list z 23 lutego 2001 roku zawiera istotną informację:

Błędy te rzucają się w oczy w odniesieniu do współczesnych map Indii, lecz zarys doskonale pasuje do map Glenna Milne’a, przedstawiających subkontynent 21 300 lat temu podczas maksimum ostatniego zlodowacenia. Mapy te ukazują głębokie wcięcie u ujścia Indusu, wybrzuszenie pochłaniające całkowicie Półwysep Kathijawar, powiększony obszar Lakkadiwów i Malediwów i – co najbardziej zaskakujące – skierowane na południowy zachód „wargi” południowego koniuszka Indii, wyglądającego dokładnie tak samo, jak na mapie Reinala¹⁰⁴.

Te wspólne cechy – oraz inne, na które Sharif zwraca uwagę w liście z 10 sierpnia 2001 roku – wydają się oczywiste, uderzające i mówią same za siebie. Możemy jedynie zadawać sobie pytanie: 1. czy są dziełem przypadku? lub 2. czy pojawiły się tam, gdyż mapa źródłowa, stanowiąca podstawę map Cantina i Reinala, została w rzeczywistości narysowana pod koniec epoki lodowcowej – z pewnością nie wcześniej niż w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia, ale niewątpliwie przed ostatecznym zalaniem zatok Kaczcch i Kambajskiej, wskutek czego około 7700 lat temu utworzył się Półwysep Kathijawar¹⁰⁵.

Wiadomo powszechnie i nie budzi to już sporów, że mapy Klaudiusza Ptolemeusza przetrwały 2000 lat i wywodzą się ze znacznie starszych koncepcji, pochodzących z VI wieku p.n.e., a może i wcześniejszych.

Wobec świadectwa Masudiego, iż dzięki Arabom przetrwały mapy Marinosa, z pewnością nie posuniemy się zbyt daleko, uznając za Nordenskiöldem, że „szkoła” kartograficzna Marinosa nigdy nie „zaginięła”, lecz jej osiągnięcia wykorzystali autorzy portolan. W przeciwnym razie mielibyśmy do czynienia z paradoksalną sytuacją, w której „najdoskonalsze osiągnięcia kartografii wieków średnich”¹⁰⁶ pojawiły się nagle, znikąd. Skoro przyjeśliśmy już do wiadomości, iż Ptolemeusz wykorzystał znacznie starsze koncepcje kartograficzne, dlaczego nie wolno nam uznać, iż Marinosa zrobił to samo?

Portolany Cantina i Reinala wykraczają daleko poza obszar Morza Śródziemnego i Czarnego, ujęty w normalnej portolanie. I choć oddają też niektóre pojęcia Ptolemeusza na temat kształtu świata, jednak zdecydowanie różnią się od jego map, gdyż są znacznie dokładniejsze. Ile w tym zasługi Marinosa? Z jak starych źródeł korzystał przy sporządzaniu swoich map? Czy niektóre z nich mogą pochodzić aż z ostatniej epoki lodowcowej, kiedy Indie wyglądały dokładnie tak jak na mapach Cantina i Reinala?

Jeśli okazałoby się to prawdą, warto dokładnie oznaczyć przedział czasowy w trwającym 10 000 lat okresie topnienia lodów – między 17 000 a 7000 lat temu – który znalazł odbicie w linii brzegowej zaznaczonej na mapach Cantina i Reinala.

Końcowe sprawozdanie na temat mapy Reinala

Sharif Sakr do Grahama Hancocka

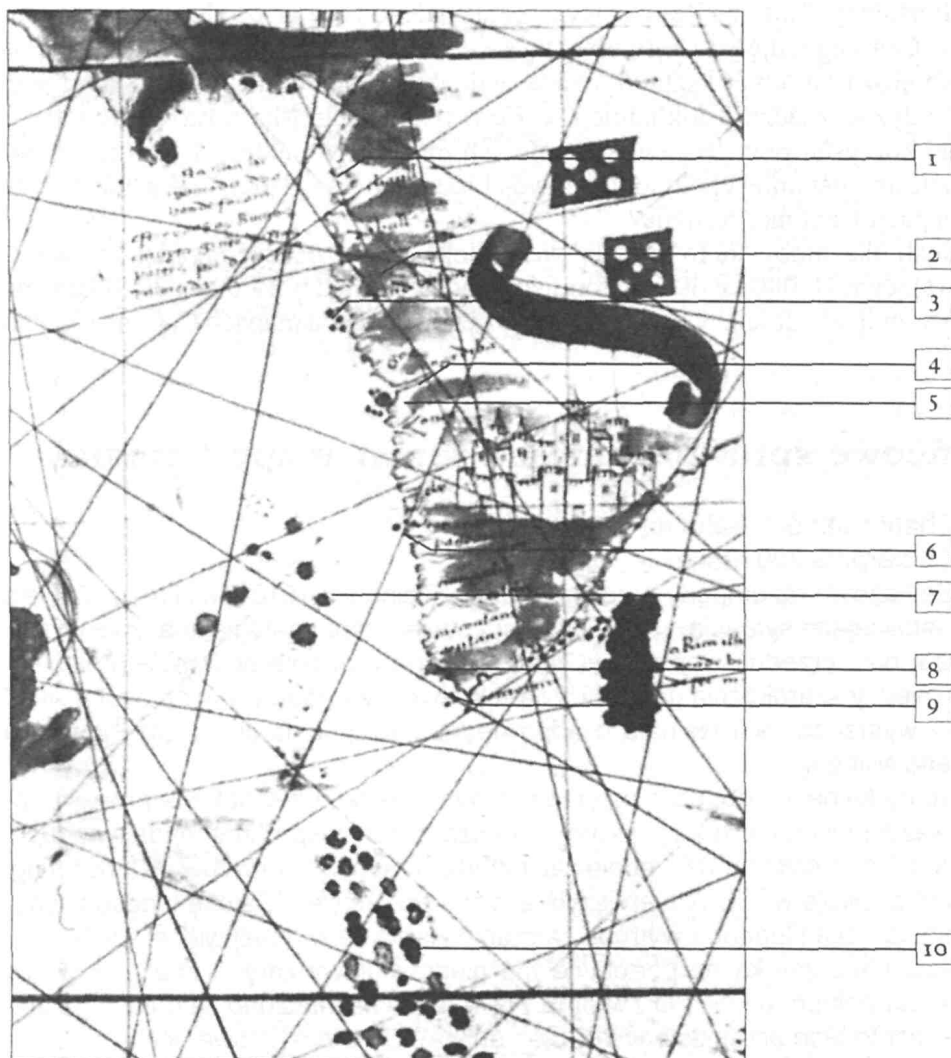
15 sierpnia 2001 roku

Za każdym razem, gdy porównuję mapę Reinala z 1510 roku i mapy Milne’a przedstawiające sytuację 11 500 lat temu, stwierdzam analogie znacznie wyraźniejsze, niż uprzednio sądziłem. Ostatnia ocena wyraźnie podkreśla podobieństwo między szerokością geograficzną „błędnych” zarysów na „nieptolemejskiej” mapie wybrzeża Indii Reinala a odpowiednimi fragmentami linii brzegowej na mapach Milne’a.

Mapy Milne’a, zgodne z batymetrycznymi mapami zewnętrznego szelfu Indii, ukazują wyraźnie rozległą zatokę na szerokości współczesnej delty Indusu. Nazywam ją Zatoką Indusu, ponieważ przed okresem polodowcowym Indus mógł wlewać tu swoje wody. W pierwszym e-mailu skojarzyłem Zatokę Indusu z jedną zatoką, jaką Hapgood wytropił na mapie Reinalda w mniej więcej właściwym miejscu. Lecz zatoka na portolanie ma nieprawidłowy zarys i znajduje się za daleko na północ (u Reinala Zwrotnik Raka także zaznaczono za daleko na północ – jest to błąd przeniesiony z Ptolemeusza). Co więcej – owa północna zatoka u Reinala bardziej pasuje do Zatoki Sonmjani (i ujścia rzeki Porali) na północ od Indusu, i która była w owym czasie dobrze znana arabskim geografom ze

względu na znajdujący się tam ważny morski port Dajbul. Północna część mapy wydaje się tak nieprecyzyjna, że trudno być pewnym czegokolwiek.

Ale zdjęcia z Bodleian Library ukazują inną dużą zatokę, której Hapgood nie przerysował prawidłowo, dokładnie pasującą do Zatoki Indusu na mapie Milne'a pod względem zarysu, wielkości i szerokości geograficznej. Zatoka ta leży na południe od nieprawidłowo zaznaczonego przez Reinala Zwrotnika Raka i na dokładnie tej samej szerokości w odniesieniu – na przykład – do wschodniego krańca Omanu po drugiej stronie Oceanu Indyjskiego. Znajduje się znacznie poza obszarem, który obejmował stary ptolemejski model, a zatem bardzo

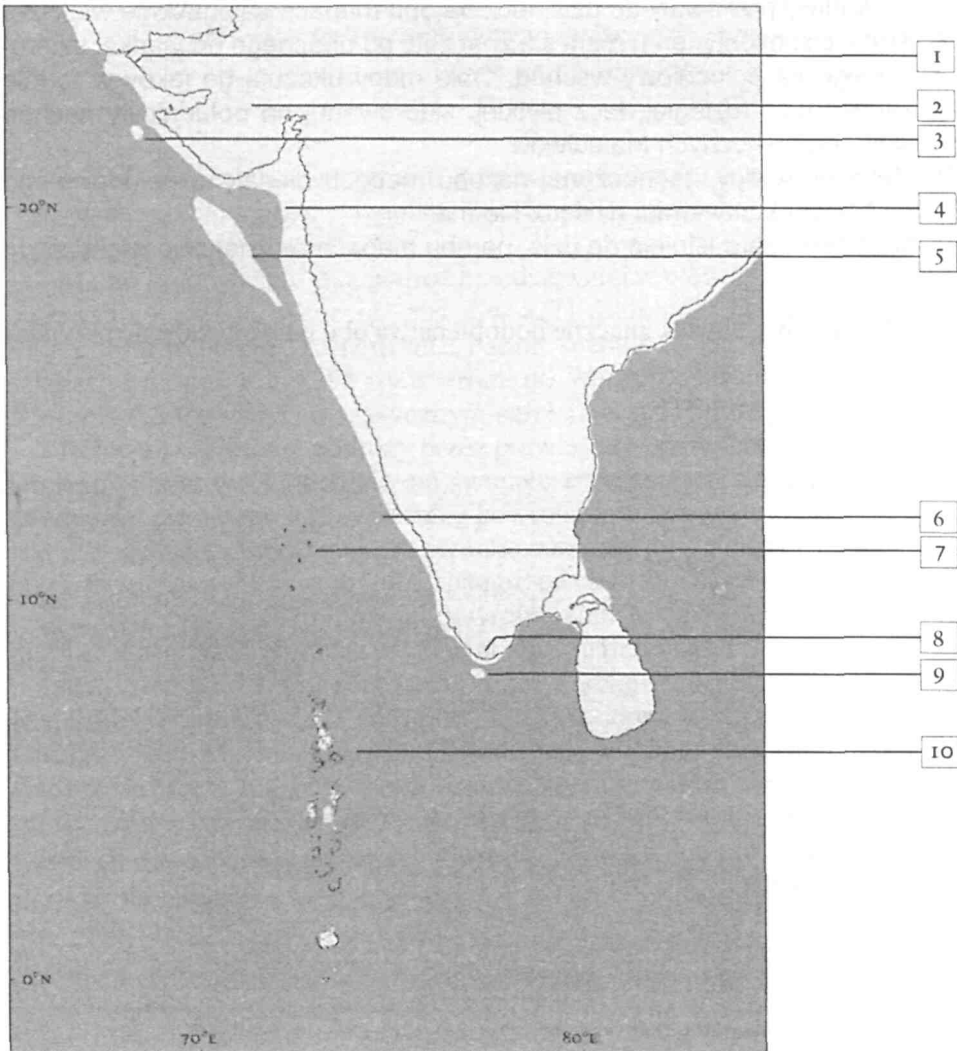


Linia brzegowa Indii na mapie Reinala z 1510 roku

prawdopodobne, że istniała w nieptolemejskim źródle wykorzystanym przez Reinala.

Jeśli porównamy zatokę na mapie Milne'a z zatoką u Reinala, rozmieszczenie innych szerokościowych „błędów” Reinala w stosunku do siebie nawzajem i do tego północnego zarysu zaczyna stawać się o wiele bardziej prawdopodobne. Na drugiej stronie znajdzie pan ostateczne dopasowanie „błędów” mapy Reinala do zarysu linii brzegowej na mapie Milne'a. Wymieniam je po kolei:

1. Obecnie jest to ujście Indusu w formie delty. Ale na mapie Reinala i Milne'a zaznaczono tu rozległą zatokę.



Linia brzegowa Indii w 11 500 roku p.n.e.

2. Duże wybrzuszenie zarówno u Reinala, jak i Milne'a zajęło miejsce współczesnego Półwyspu Kathijawar.
3. Wyspa (lub grupa wysp), zaznaczona na obu mapach, obecnie nie istnieje.
4. Zatoka na obu mapach jest znacznie mniejsza niż obecna Zatoka Kambajska.
5. Wielka wyspa (lub grupa wysp), uwzględniona na obu mapach, obecnie nie istnieje.
6. Wyspa na tej samej szerokości co najdalej na północ wysunięta wyspa archipelagu Lakkadiwów (około 12° na szerokości północnej) znajduje się na obu mapach. Dziś już nie istnieje.
7. Lakkadiwy przetrwały do dziś, lecz na obu mapach są znacznie większe.
8. Kraniec subkontynentu różni się znacznie od obecnego przyładka, skierowanego na południowy wschód. Obie mapy ukazują go jakby w formie zatoki, dość rozległej, lecz płytkiej, skierowanej na południowy zachód w stronę północnych Malediwów.
9. Malutkiej wyspy, zaznaczonej na obu mapach niedaleko południowego krańca subkontynentu, dziś już nie ma.
10. Malediwy, które istnieją do dziś, na obu mapach są znacznie większe.

Czy to możliwe, aby tak znaczne podobieństwa obu map okazały się przypadkiem?

Rozdział 15

Pamięć o mapach

Polo wielkość Cejlonu na mapach tłumaczy tym, że kartografia powstała znacznie wcześniej, zanim większa część obszaru wyspy została zatopiona.

Thomas Suarez

Krażą pogłoski, że w starożytności szlachetna wyspa Sumatra łączyła się z głównym lądem, dopóki gigantyczne fale nie odcięły jej od niego.

Camoës *Luzjady*, 1572

Wyobraźcie sobie, że jako hippisi w 1971 roku udaliście się w podróż szlakiem przez Afganistan, potem dalej na wschód, a do domu powracacie dopiero w 1995 roku.

Marco Polo właśnie taką podróż przedsięwziął w niebezpiecznych czasach za panowania Kubilajja. Wenecję opuścił w 1271 roku, udał się na wschód poprzez Morze Czarne, Persję, Afganistan i Pamir, spędził 17 lat w Chinach i 7 lat na szlakach i morzu, a w 1295 roku wrócił do Wenecji. Następnie napisał książkę *Il milione**, która stała się klasycznym dziełem w dziedzinie geografii¹.

Relacja z tej długiej podróży przez prawie cały kontynent azjatycki i z wieloletniego pobytu w Chinach nie ma związku z tematem tej książki. Ale to, czego dowiedział się Marco Polo w drodze powrotnej, w którą wyruszył w 1292 roku, jest dla nas już znacznie ciekawsze. Jako pierwszy Europejczyk wspomina o Japonii, którą nazwał Cipango (lub Zipangu) od chińskiej nazwy Cih-Pen². We fragmencie tym opowiada, jak podjął powrotną podróż we wschodniochińskim porcie Cz'uan-czou (współczesne Kuanczou, naprzeciwko Tajwanu), następnie opłynął Wietnam i Kambodżę, dalej przez Zatokę Tajlandzką, wokół Półwyspu Malajskiego – przez wąską Cieśninę Malakka, oddzielającą go od Sumatry – potem przez Zatokę Bengalską na Cejlon, wokół Przylądka Komoryn, na północ wzdłuż wybrzeża Indii do Zatoki Kambajskiej i wreszcie przez Morze Arabskie do Ormuzu u wejścia do Zatoki Perskiej³. W ten sposób Europa poznała nazwy i opisy wielu miejsc, o których ponownie usłyszała dopiero podczas eksploracji Indii i Indochin przez Portugalczyków w XVI wieku, czyli ponad 200 lat później.

Choć Polo szczerze wyznaje, iż nigdy nie był w Japonii, a więc informacje, jakie podaje o wyspach, pochodzą z drugiej ręki i zapewne są nieścisłe, pamięć o tajemni-

* Milion – po polsku wydano jako *Opisanie świata* w tłumaczeniu ze starofrancuskiego. Tu fragmenty tłumaczone z angielskiej wersji ze względu na konieczność dokładnej analizy językowej (przyp. tłum.).

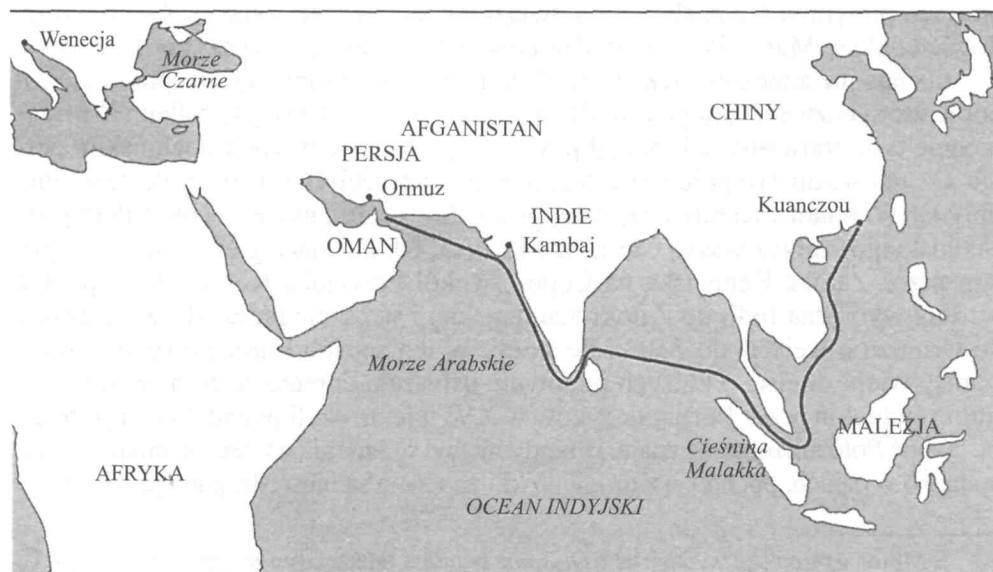
czej wyspie królestwa Cipango zainspirowała potem Krzysztofa Kolumba, który przepłynął Atlantyk w końcu XV wieku. Kolumb nie docenił długości obwodu Ziemi i nie wiedział o istnieniu Ameryki i Pacyfiku, był więc przekonany, iż uda mu się dotrzeć do Cipango, a następnie do Chin, jeśli popłynie z Europy prosto na zachód przez Atlantyk. Obliczył prawdopodobnie, że do Cipango można dotrzeć po stosunkowo krótkiej podróży na zachód, gdyż czytał księgę Marco Polo, który przedstawił Cipango jako leżące „daleko na morzu” – pełne 2400 kilometrów na wschód od Chin⁴ (w rzeczywistości odległość ta wynosi niewiele ponad 800 kilometrów). Polo pisze:

Cipango jest dość rozległe; jego mieszkańcy mają jasną karnację, mocną budowę i zachowują się jak cywilizowani ludzie. Oddają cześć bożkom. Są narodem niezależnym od jakiegokolwiek innej potęgi, a rządzą nimi ich królowie. Posiadają pod dostatkiem złota z niewyczerpanych źródeł. Cały dach [pałacu władcy] pokryto złotą blachą, w taki sam sposób, w jaki my pokrywamy dachy naszych domów ołowiem⁵.

„Posiadają pod dostatkiem złota” – dopisał Kolumb na swoim egzemplarzu księgi Marco Polo, który obecnie znajduje się w Bibliotece Colombiana w Sewilli⁶.

„Mapa” przedpotopowego Cejlonu?

Po przepłynięciu Zatoki Bengalskiej Polo minął po drodze „wyspę Andamana” (przedstawianej jako „bardzo wielka wyspa” zamieszkała przez „okrutną rasę”



Powrotna podróż Marco Polo z Kuanczou do Ormuzu

kanibali z głowami, zębami i oczami jak u psów)⁷, a dalsza droga powrotna zawiodła go do wyspy Zeilan – Cejlon⁸. W relacji o tej wyspie – w której także widać skłonność do przesady w określeniu odległości i rozmiarów – wenecki podróżnik poczynił jednak pewne obserwacje o starożytnej geologii tego rejonu, które okazują się zdumiewająco bliskie prawdy:

Wyspa Zeilan prezentuje się okazale ze względu na rozmiar. Liczy w obwodzie 3840 kilometrów, ale w dawnych czasach była jeszcze większa, bo jej obwód wynosił 5760 kilometrów, jak pokazuje *mappae mundi*. Lecz północne wiatry wiejące z olbrzymią siłą skruszyły góry, tak że w niektórych miejscach spadły one do morza i z tego powodu wyspa nie ma już pierwotnego kształtu⁹.

Tak brzmi ten fragment w tłumaczeniu Williama Marsdena (1754–1836) z włoskiego wydania Giambattisty Ramusia z 1553 roku¹⁰. Bliższy naszym czasom przekład (1958) Ronalda Lathama wyraża pewne elementy nieco jaśniej:

Podróżny dociera do Cejlonu, bez wątpienia najpiękniejszej wyspy tej wielkości na świecie. Powiem dlaczego. Jej obwód liczy około 3840 kilometrów. Ale zapewniam, że kiedyś była większa. Bo dawniej miała aż 5760 kilometrów, co widać na morskich mapach tego morza. Ale północny wiatr wiał tak silnie w tych rejonach, że zatopił znaczną część wyspy w morzu. Dlatego nie jest już tak wielka jak dawniej¹¹.

W jeszcze innym tłumaczeniu czytamy, że w czasach Polo Cejlon miał w obwodzie „3840 kilometrów (...) a w dawnych czasach był jeszcze większy, gdyż jego obwód liczył 5760 kilometrów, jak widać na morskich mapach tych mórz”¹².

Mimo niewielkich różnic w brzmieniu wszystkie tłumaczenia podają te same (dziesięciokrotnie przesadzone) wielkości i zwracają uwagę na jeszcze jedną zaskakującą okoliczność:

1. Marco Polo wierzył, że Cejlon był w przeszłości o jedną trzecią większy niż w jego czasach – rozległy ląd rozciągał się na północ od obecnej wyspy i „zatoniony został w morzu”, z tego powodu obwód wyspy zmniejszył się o $\frac{1}{3}$.
2. Kiedy Marco Polo podróżował po Oceanie Indyjskim, żeglarze posługiwali się mapami – albo *mappae mundi*, albo mapami morskimi, w zależności od tłumaczenia – a wszystkie ukazywały Cejlon o $\frac{1}{3}$ większy, taki jak wyglądał w czasach przed potopem.

Zmniejszenie o jedną trzecią

Co do pierwszego punktu (zmniejszenie wielkości Cejlonu o $\frac{1}{3}$), to – znając z wcześniejszych rozdziałów mapy Milne’a oraz historię południowych Indii i Cejlonu¹³ – nie możemy zaprzeczyć, iż tradycja, którą przekazał nam Marco Polo, oddaje stan rzeczy, ale dla końca ostatniej epoki lodowcowej.

Mapy Milne'a dowodzą, że od około 7700–6900 lat temu, kiedy zatoneły resztki pomostu lądowego między Indiami a Cejlonem, rozmiar wyspy nie uległ większym zmianom. Natomiast przed 7700 laty wyglądała zupełnie inaczej. Co-fając się do okresu sprzed 8900, 10 600, 12 400 i 13 500 lat, obserwujemy postępujące powiększanie się wyspy, ale wyłącznie na północy, wokół pomostu lądowego łączącego ją z Indiami. Na skutek niskiego poziomu morza w tych epokach¹⁴ wyspa miała wówczas powierzchnię większą o około $\frac{1}{3}$.

Osobliwa teoria Polo o zatonięciu tej części za sprawą północnych wiatrów jest oczywiście niesłuszna. Ale podróżnik nie myli się pisząc, iż Cejlon był o wiele większy w dawnych czasach, że utracił część terytorium na północy, że ten jego fragment zatonął w morzu. Słusznie też twierdzi, iż blisko $\frac{1}{3}$ przedpotopowej wyspy zniknęła właśnie w ten sposób.

Skąd Marco Polo czerpał informacje?

Sam Polo mówi nam, że dowiedział się o poprzednich rozmiarach wyspy ze starożytnych *mappae mundi*, czyli morskich map, które widział na własne oczy, przyznaje też, że musiały one pochodzić z czasów poprzedzających zatopienie. Historyk kartografii, Thomas Suarez, stwierdza: „Polo tłumaczy wielkość Cejlonu na mapach tym, że kartografia powstała znacznie wcześniej, zanim większa część obszaru wyspy została zatopiona”¹⁵. To dość niezwykle i interesujące tłumaczenie, lecz Suarez nie podjął tego tropu. Pozostawił również bez komentarzy informacje, że mapa ukazująca znacznie większy Cejlon była używana przez żeglarzy „tych mórz”, odrzuca sugestię, iż była nieaktualna (ponieważ pochodziła z czasów przedpotopowych) i stawia tezę, iż *mappa mundi*, czyli mapa morska, o której wspomina Polo, musiała być mapą świata Ptolemeusza¹⁶.

Suarez przyznaje, że w Europie czasów Polo krążyło niewiele map świata Ptolemeusza i mało prawdopodobne, żeby zapoznał się z nimi właśnie tu. Ma jednak rację wskazując, iż mapy te mogły zachować się wśród Arabów uprawiających handel na Oceanie Indyjskim i że Polo mógł je widzieć, nie wiedząc nawet, że są autorstwa Ptolemeusza, podczas pobytu na Cejlonie¹⁷. A co więcej – owe ptolemejskie mapy świata ukazywały bardzo rozległą wyspę Taprobanę mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie można by się spodziewać Cejlonu. Suarez doszedł zatem do wniosku, iż mapa, o której wspomina Polo, „sporządzona została według ptolemejskiego zarysu z charakterystycznym odwróceniem relatywnych proporcji Cejlonu i Indii”¹⁸.

Powrót morskiej ryby z Tyru

Rozumowanie Suareza jest bardzo proste: 1. Polo zobaczył ptolemejską mapę świata, prawdopodobnie zachowaną przez arabskich żeglarzy¹⁹, ukazującą olbrzymią wyspę Taprobanę, którą wziął za Cejlon; 2. ujrawszy znacznie mniejszy

w rzeczywistości Cejlon doszedł do wniosku, że mapa, jaką mu pokazano, przedstawia wizerunek wyspy, który powstał, zanim duża część jej zatonała; 3. pomylił się w tym względzie, a jego koncepcja znacznie powiększonego Cejlonu wynika wyłącznie z faktu, iż nie zauważył błędu na mapie Ptolemeusza.

Ale to tylko jedno z możliwych wytłumaczeń, skąd Polo „dowiedział się” o nieznanych wówczas ustaleniach paleogeografii, która ponadto zmusza do założenia, że Suarez ma rację utożsamiając Cejlon z Taprobaną (jest to pogląd dość powszechny, lecz nie jedyny w środowisku współczesnych naukowców i starożytnych kartografów)²⁰.

Można tę zagadkę tłumaczyć jeszcze i tak, że Polo wszystko sobie wymyślił, przypadkowo dostrzegając nieliczne analogie z polodowcową rzeczywistością.

Ale mogło być i tak, że poznał legendy o potopie, które opowiedzieli mu mieszkańcy Cejlonu i południowych Indii, mówiące o zaginionej ojczyźnie Tamilów – Kumari Kandam.

Lecz ponieważ Polo wyraźnie stwierdza, iż jego wiedza o starożytnym kształcie wyspy pochodzi z morskich map (czyli *mappae mundi*), musimy rozważyć także inną możliwość: hipotezę A.E. Nordenskiolda, o której mowa w rozdziale 14, głosząca, iż mapy starsze od ptolemejskich, przypisywane Marinowskiemu z Tyru, znane były Arabom już w 955 roku n.e. (taką datę podaje geograf Masudi, który – jak pamiętamy – widział te mapy i uznawał je za znacznie lepsze od ptolemejskich)²¹. Nordenskiold dowodzi, że mapy „morskiej ryby z Tyru” stanowiły pierwowzór tajemniczych, dokładnych portolan przedstawiających zarys okolic Morza Śródziemnego, które nagle pojawiają się w relacjach kartografów w końcu XIII wieku. Ale, jak wiemy, portolany nie ograniczały się wyłącznie do strefy Morza Śródziemnego. To prawda, że większość map, które się zachowały, rzeczywiście przedstawia tylko ten fragment świata. Ale istniały też od bardzo dawna portolany świata. Niekiedy zawierały błędy pochodzące od Ptolemeusza, które kartografowie, nie mający do dyspozycji oryginalnych map, powielali, ale ogólnie rzecz ujmując, są równie dokładne jak portolany Morza Śródziemnego. Posłużmy się choćby jednym przykładem. Mapa świata Piedra Vesconte z około 1321 roku ukazuje Afrykę, którą można opłynąć, co jest całkowicie sprzeczne z koncepcją Ptolemeusza. A powstała na pół wieku przed tym, jak Portugalczycy opłynęli ten kontynent.

Czy możliwe, iż mapa, którą Polo widział na Oceanie Indyjskim i która przekonała go, że Cejlon był niegdyś o $\frac{1}{3}$ większy, że ubytek obszaru nastąpił na północy i że część wyspy została zatopiona, to jedna z owych map „morskiej ryby z Tyru”?

Nadal najlepsza...

Polo nie był jedynym europejskim podróżnikiem, który zetknął się z interesującymi mapami używanymi przez żeglarzy na Oceanie Indyjskim. Czytelnicy pamiętają zapewne, że Vasco da Gama również prawdopodobnie widział niezwykle

dokładne mapy nawigatora Guzarate, który tak szybko poprowadził go z Malindi we wschodniej Afryce do Kalkuty na zachodnim wybrzeżu Indii w 1498 roku²².

Należy podkreślić, wbrew Suarezowi, iż mapy te, stosowane przez miejscowych nawigatorów – i to z doskonałym rezultatem – nie mogły być mapami ptolemejskimi (niezależnie od tego, z jakiego pochodziły źródła), a to z powodu kardynalnych, wręcz groteskowych nieścisłości wszystkich map, jakie Ptolemeusz sporządził dla rejonu Indii i Cejlonu. Zaliczyć do nich należy nieoczekiwane pojawienie się Taprobany (choć nad tym należałoby się pewnie głębiej zastanowić), ale także i przedziwne położenie zachodniego wybrzeża Indii, biegnącego równoległe do równika, a nie z północy na południe²³. Życie żeglarzy zawsze zależało od znajomości wód, po których pływali. Nawet jeśli posiadali mapy ptolemejskie, to z pewnością nie zaryzykowałiby użycia ich do nawigacji.

Suarez z jednej strony dowodzi, iż mapy, które widział Polo, pochodzą od ptolemejskich, z drugiej uważa, że mapy morskie, o których pisze Wenecjanin, w rzeczywistości nie istnieją:

Fakt, iż mapy, które oglądał Polo, ukazują nieprawidłowe wymiary Cejlonu, podtrzymuje tezę, że miejscowi nawigatorzy kierowali się instrukcjami pisanymi i sami nie używali map²⁴.

Moim zdaniem było odwrotnie, gdyż Polo nigdzie nie wspomina o instrukcjach jako źródle informacji o dawnych rozmiarach Cejlonu, natomiast wyraźnie pisze o mapach. My zaś wiemy na pewno, że mapy, na które się powołuje, nie mogły być oparte na mapach Ptolemeusza, gdyż posługiwali się nimi doświadczeni nawigatorzy na Oceanie Indyjskim. Przesadzone rozmiary Cejlonu (u kronikarza, który miał wszak skłonność do przesady) są mniej istotne niż całkowicie zgodna z prawdą informacja, iż „w dawnych czasach” $\frac{1}{3}$ wyspy została pochłonięta przez morze.

Czy możliwe, iż mamy do czynienia z kolejnym (poza krótką wzmianką Masudiego) dowodem na istnienie tradycji kartograficznej równoległej wobec tradycji ptolemejskiej, która przetrwała od czasów starożytnych do Średniowiecza i która wywodziła się z map Marinosa z Tyru²⁵? Z nielicznych informacji, jakie posiadamy, i na podstawie domysłów możemy wywnioskować, iż mapy te były znane i cenione za ogólną precyzję i przydatność mimo pewnych nieścisłości, jak w przypadku Cejlonu, kiedy to nie uwzględniały zmian geologicznych w następstwie potopów.

Istnienie i stosowanie przez żeglarzy z Oceanu Indyjskiego tak dokładnych map – mimo iż w pewnych sytuacjach wydawały się przestarzałe – może tłumaczyć niespotykaną w Średniowieczu precyzję map Cantina i Reinala, sporządzonych przez portugalskich kartografów w początkach XVI wieku. Czytelnicy pamiętają, że zawierały one nie tylko zarysy wybrzeży Indii, których Portugalczycy jeszcze nie zdążyli spenetrować, lecz także szczegółowe i niewytłumaczalne analogie z linią brzegową subkontynentu w epoce lodowcowej, szczególnie w rejonie Gudżaratu i Przylądka Komoryn.

Ptolemeusz także znał topografię epoki lodowcowej?

Po raz pierwszy zwracając moją uwagę na komentarze Marco Polo na temat Cejlonu, Sharif podkreślił, iż „najważniejszym stwierdzeniem Wenecjanina jest to, że wyspa od czasów starożytnych zmieniła wielkość, a dawna topografia zachowała się na mapach nawigacyjnych”²⁶. W tym samym sprawozdaniu Sharif pisze również:

Nie on jeden wierzył, iż mapy Ptolemeusza przedstawiają starodawną topografię, na przykład w odniesieniu do nieistniejącego już pomostu lądowego między Malajami a Sumatrą, w miejscu obecnej cieśniny Malakka.

Według holenderskiego podróżnika Linschotena (1596) niektórzy ludzie powtarzają, iż Sumatra w dawnych czasach była *Chersoneso Aurea* [Złotym Chersonезem], stałym lądem wiodącym do Malakki [Malajów]”.

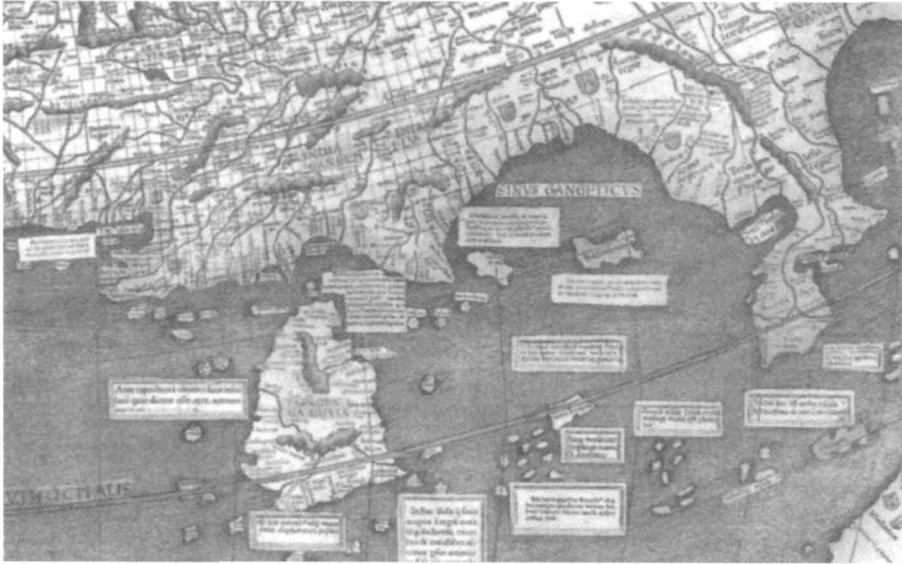
Camoes w słynnym poemacie *Luzjady* (1572), opisującym powstanie portugalskiego narodu, pisze: „Krażą pogłoski, że w starożytności szlachetna wyspa Sumatra łączyła się z głównym lądem, dopóki gigantyczne fale nie odcięły jej od niego”²⁷.

W legendzie do mapy Azji z 1567 roku Abraham Ortelius wyjaśnia: „To prawda, że Samotra nie jest obecnie półwyspem, lecz bardzo prawdopodobne, iż została oderwana od kontynentu przez siłę Oceanu po czasach Ptolemeusza. Co więcej – jeśli wyobrazimy sobie Samotrę połączoną z Malakką przesmykiem, to otrzymamy zarys zgodny ze Złotym Chersonезem opisanym przez Ptolemeusza”.

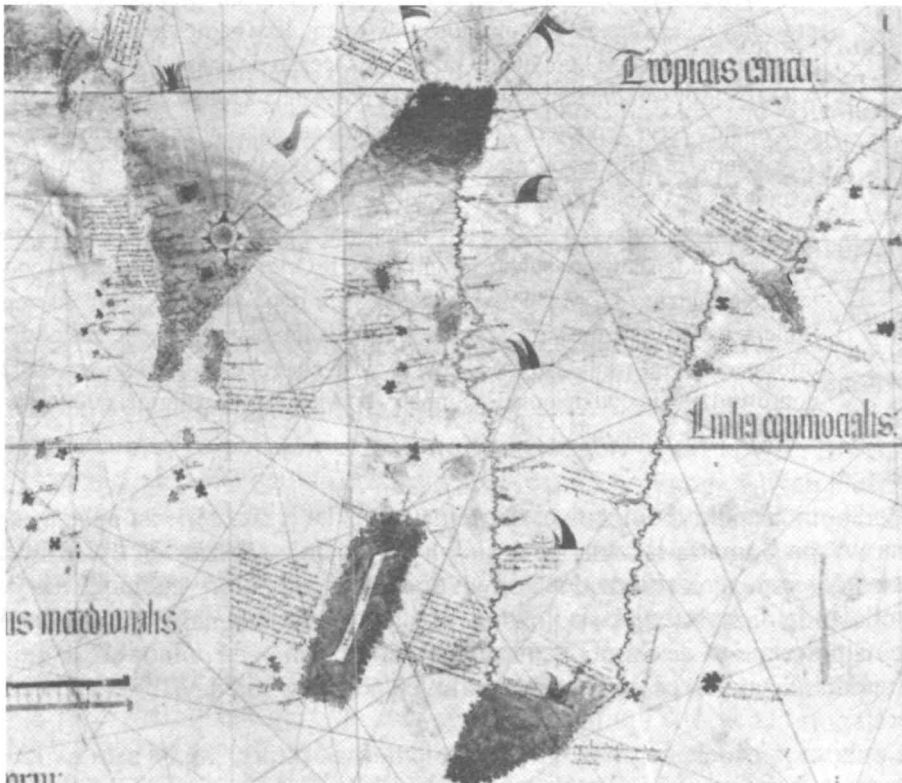
Wiara, iż stare mapy mogą przedstawiać starożytną, a więc odmienną od współczesnej topografię, wydaje się więc znajdować wyraźne odbicie w pismach żeglarzy podróżujących po Oceanie Indyjskim, którzy z pewnością nawiązywali kontakty z miejscowymi nawigatorami. Fakt, iż Ortelius uznaje ówczesne oddzielenie się Sumatry od Malajów jako dowód, że rejon ten zmienił się od czasów Ptolemeusza, wskazuje na jego próbę zrozumienia różnic – niezależnie od źródła informacji – oraz na nieznaną naturę rzeczywistych procesów geologicznych, które doprowadziły do oddzielenia się Sumatry od Malajów co najmniej 6000 lat przed czasami Ptolemeusza²⁸.

Pod koniec epoki lodowcowej Cieśnina Malakka jeszcze nie istniała, a „szlachetna wyspa Sumatra łączyła się z głównym lądem”. Obszar ten był wówczas częścią półwyspu o rozmiarze zbliżonym do kontynentu, który geolodzy nazywają Sundalandem, żyzną, nisko położoną równiną, doskonale nawodnioną, ciągnącą się na południe aż do Surabaja, na zachód do Filipin, a na północ aż do Tajwanu. Sundaland zatonął po serii katastrofalnych potopów między 15 000 a 7000 lat temu²⁹.

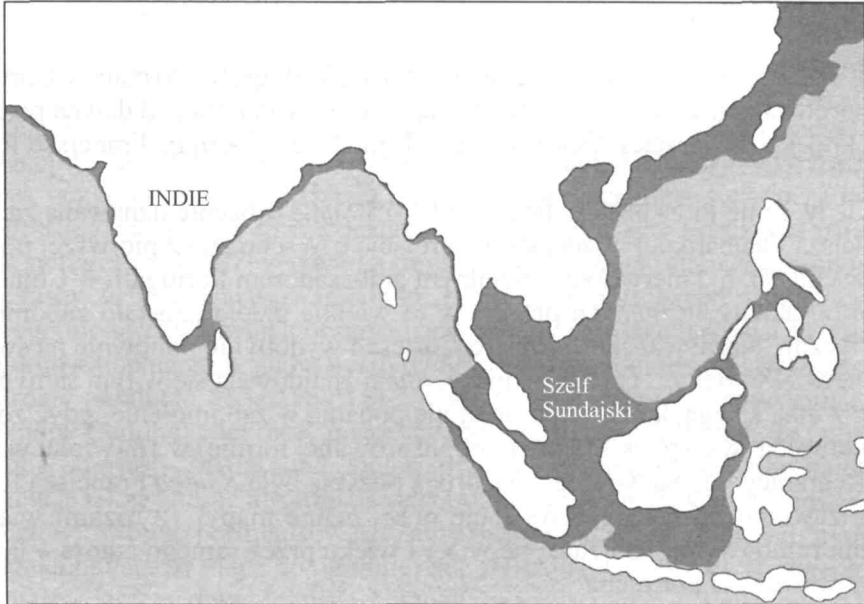
Czy to przypadek, że mapy świata Ptolemeusza (które, jak on sam twierdził, oparte zostały na wcześniejszych mapach Marinosa) ukazują Sundaland z epoki lodowcowej, w postaci wielkiego półwyspu, który na mapach tych nosi nazwę



Złoty Chersoniez Waldseemüllera na mapie z 1507 roku



Złoty Chersoniez na planisferze Cantina z 1502 roku



Szelf Sundajski ponad powierzchnią wody w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia

Złotego Chersonezu, a czasem półwyspu Mangi? Czy nie wydaje się prawdopodobne (co niemal sugerował Ortelius 500 lat temu), że ów „mityczny” półwysep jest echem topografii z epoki lodowcowej?

Nie bez znaczenia jest również fakt, iż mapa Cantina z 1502 roku, która – moim zdaniem – dotarła do naszych czasów raczej dzięki tradycji kartograficznej od Marinosa poprzez portolany (a nie pośrednio *via* „poprawione” i uproszczone przez Ptolemeusza wersje map Marinosa), także ukazuje rozległy półwysep, przypominający formą Szelf Sundajski.

Biorąc pod uwagę nietypowe przekazy o zalaniu Cieśniny Malakka, na które powołują się Linschoten i Camoes (nietypowe, gdyż zadziwiająco zgodne z ustaleniami paleogeografii), nie sposób nie rozważyć możliwości, że pewne mapy również mogły ukazywać kształt kontynentów i wysp z epoki lodowcowej.

Tradycja to stosunkowo bezpieczne pole dla spekulacji naukowych. Natomiast mapy i portolany, zwłaszcza jeśli są precyzyjne i niezwykle rozbudowane, jak ta, za pomocą której Guzarate doprowadził Vasco da Gamę do Kalkuty w 1498 roku – to już zupełnie inna sprawa. Jeśli przedstawiają zarys topografii z epoki lodowcowej – jak choćby mapy z zaznaczonymi konturami Indii i dawno zatopionego Półwyspu Sundajskiego, które znalazły się w posiadaniu Cantina i Reinala, a także ptolemejskie mapy oddające Złoty Chersonesz – to prehistoria przedstawia się nam w zupełnie innym kształcie niż dotychczas.

Jeśli mapy są tym, czym się wydają, ukazują nam zaginione cywilizacje – ni mniej, ni więcej.

„Kawałek mapy...”

W 1937 roku wybitny portugalski historyk kartografii, Armando Cortesao, niezmordowany tropiciel zaginionych map, odkrył w Paryżu „od dawna poszukiwany kodeks zawierający *Suma Oriental* Tome Piresa i *Księgę* Francisco Rodriguesa”³⁰.

Kiedy Tome Pires pisał w latach 1512–15 *Sumę* (obecnie uznawaną za „najważniejszą i najbardziej wszechstronną relację o Wschodzie z pierwszej połowy XVI wieku”³¹), był pierwszym oficjalnym ambasadorem Portugalii w Chinach³². Jednak z jakichś nieznanych powodów to wielkie dzieło „zostało zapomniane i praktycznie niezauważone”, dopiero Cortesao wydobył je ponownie na światło dzienne w XX wieku³³. Co zaskakujące, *Suma* znajdowała się w tym samym kodeksie z inną księgą, która bynajmniej nie popadła w zapomnienie, gdyż została opublikowana (w co prawda skróconej, ilustrowanej formie) w 1849 roku w *Atlasie* wicehrabiego de Santarema³⁴. Tą drugą pozycją była *Księga* Francisca Rodriguesa, zawierająca szczegółową locję oraz „cenne mapy” (z różami wiatrów i liniami rumbowymi) sporządzone w XVI wieku przez samego autora – innymi słowy: prawdziwa portolana³⁵.

W przeciwieństwie do słynnego Tome Piresa, z którym los go połączył w jednym tomie, i pomimo popularności, jaką zyskały jego mapy za pośrednictwem *Atlasu* Santarema, postać Francisca Rodriguesa pozostaje zagadką. Cortesao pisze:

Nie sposób nawet nakreślić jego biografii. Oprócz informacji, jakie można wydobyć z samej *Księgi* Rodriguesa, znajdujemy wzmianki o nim w dwóch listach Alfonsa de Albuquerque do króla Manuela Portugalskiego, napisanych w Koczi 1 kwietnia i 20 sierpnia 1512 roku³⁶.

Podejrzenia, że europejscy podróżnicy na Oceanie Indyjskim w XVI wieku mogli od czasu do czasu oglądać mapy ukazujące pozostałości zaginionych lądów (być może nawet mapy Marinosa z Tyru, jak wieść głosi, znacznie dokładniejsze od ptolemejskich), potwierdza pierwszy z dwóch listów Alfonsa de Albuquerque. Dołączono do niego „kawałek mapy”, które nadawca zdobył podczas podróży po Oceanie Indyjskim i wysłał do króla Manuela. Fragment ten – wyjaśnia – nie jest oryginałem, lecz został „przerysowany” przez Francisca Rodriguesa:

(...) dużej mapy jawańskiego pilota, na której znajdowały się Przylądek Dobrej Nadziei, Portugalia i ziemie Brazylii, Morze Czerwone i Morze Perskie, Wyspy Goździkowe [praktycznie jest to mapa świata], informacje o nawigacji Chińczyków i Gore [niezidentyfikowanego ludu, który według jednych oznaczał Japończyków, według innych mieszkańców Tajwanu i Archipelagu Riukiu³⁷] z rumbami i trasami, którymi podążały statki, z lądami i z granicami królestw. Wydaje mi się, Panie, że była to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem, i Wasza Kró-

lewska Wysokość będzie rad też to zobaczyć; nazwy są jawajskie, ale miałem Jawajczyka, który umiał pisać i czytać³⁸.

Relacja o przerysowaniu przez portugalskiego kartografa (Rodriguesa) mapy należącej do jawajskiego pilota i używanej na Oceanie Indyjskim – co ów Portugalczyk uczynił dla portugalskiego króla – rzuca szczególne światło na historię kartografii. Zdarzyło się to w początkach XVI wieku, gdy Portugalia osiągnęła szczyt potęgi morskiej i wydawało się, że nikt nie jest w stanie prześcignąć jej kartografów w precyzji rysowania map. Tymczasem portugalski poddany wysłał do swego monarchy kawałek przerysowanej mapy należącej do jawajskiego pilota, z takim komentarzem, jakby był to tajny wojskowy dokument najwyższej wagi!

Proszę pamiętać, że jest rok 1512 – całe 10 lat upłynęło od powstania doskonałej mapy Cantina. Niektórzy historycy kartografii przypuszczają, że przypominała ona *padrao* – ściśle tajną „mapę główną”, oddającą wszystkie najnowsze odkrycia, a także istotne informacje ze starożytnych map, do których dostęp mieli wyłącznie królowie portugalscy. Możemy być pewni, że w 1502 roku monarcha portugalski posiadał mapę co najmniej tak dokładną, jak mapa Cantina – a przypuszczalnie jeszcze dokładniejszą. Uzupełniana przez odkrywców, *padrao* z 1512 roku musiała być o wiele doskonalsza niż *padrao* z roku 1502.

A jednak Albuquerque wysłał władcy fragment mapy jawajskiego pilota, którą określił jako „najlepszą rzecz, jaką kiedykolwiek widział”, zapewniając monarchę, iż „Wasza Królewska Mość będzie rad też to zobaczyć”.

Na tyle dobre, by na nich polegać

Słowa Albuquerque’a nie miałyby sensu, gdyby Portugalczycy nie wierzyli, iż na Oceanie Indyjskim od pilotów rozmaitej narodowości można zdobyć mapy o wiele lepsze niż ich własne. Ale, jak wiemy, mimo iż uznawano niezwykłą dokładność tych map, przyznawano również, że zawierają anachronizmy i ukazują przestarzałe kontury lądów. Tome Pires w *Suma Oriental* pisze:

Mieszkańcy Gudżaratu byli lepszymi żeglarzami i nawigatorami niż inne ludy w tym rejonie, mają większe statki i liczniejsze załogi. Ich piloci są wspaniali i potrafią świetnie poruszać się po morzu³⁹.

Ale dodaje tajemniczo, że dopiero 100 lat wcześniej owi piloci z Gudżaratu (współziomkowie Guzarate, który prowadził da Game) odkryli trasę przez Cieśninę Malakka między Sumatrą a Półwyspem Malajskim⁴⁰.

Brzmi to dziwnie, ponieważ a. piloci z Gudżaratu, o których pisze Pires, znali się na nawigacji; i b. Malakka była znana żeglarzom na długo przed XV wiekiem – przecież Marco Polo przepłynął przez nią już w XIII wieku.

Jak wyjaśnić tę zagadkę? Może było tak, jak sugerował Sharif Sakr

(...) żeglarze z Gudżaratu posiadali mapy (ptolemejskie lub inne), na których Malakka nie została zaznaczona. Dysponując takimi mapami, nie wiedzieli więc o niej i dopiero niedawno odkryli jej istnienie⁴¹.

Czyżby piloci z Gudżaratu posiadali mapy ukazujące topografię z epoki lodowcowej?

Przekonaaliśmy się już, że „błędy” na skądinąd technicznie doskonałych mapach Indii, jak mapy Cantina z 1502 i Reinala z 1510 roku, mogły pochodzić z map z epoki lodowcowej, którymi dysponowali nawigatorzy z Gudżaratu. Niewykluczone, że stąd trudna inaczej do wytłumaczenia niewiedza o istnieniu cieśniny Malakka, o której wspomina Tome Pires. Może nawigatorzy z Indii używali map, na których stały ląd łączy Sumatrę z Półwyspem Malajskim, podobnie jak to miało miejsce około 8000 lat temu, i nie wiedzieli, że coś się tam zmieniło? Może na mapach tych, mimo błędów, i tak można było polegać? To by tłumaczyło, dlaczego żeglarze z Gudżaratu wciąż pływali okrężną drogą, zamiast wykorzystać cieśninę dobrze znaną ich rywalom.

Czy poza mapami Oceanu Indyjskiego istnieją inne dowody na to, że pamięć o topografii z epoki lodowcowej przetrwała tak długo?

Legendarna Hy-Brasil – lodowcowa rzeczywistość

Sprawozdanie Sharifa Sakra, 10 marca 2001 roku

Irlandzka legenda mówi o Hy-Brasil, małej, lecz ważnej wyspie, położonej na Atlantyku niedaleko zachodniego wybrzeża Irlandii. Legenda ta powstała najpóźniej w 1110 roku n.e., z tego samego okresu pochodzą też zapiski o tej wyspie (*The Voyage of Maeldiun*). Legenda zapewne krążyła wcześniej, przez trudny do określenia czas, w wersji ustnej. Celtyckie podania utrzymują, że ląd ten zatonał w oceanie, lecz pojawia się na krótko co 7 lat i można go zobaczyć z Irlandii, jeśli się stanie w odpowiednim miejscu na brzegu.

Legenda o Hy-Brasil została uwieczniona na portolanach z XIV i XV wieku. Pierwszy zarys Hy-Brasil znajdujemy na portolanie Dulcerta z 1325 lub 1330 roku. Ponownie pojawia się na portolanie Dulcerta z 1339 roku, ale po przeciwnej stronie. Mapa ta, choć bardzo niewyraźna, ogólnie rzecz biorąc jest precyzyjna. Ukazuje nawet niewielką skalną wyspę Rockall, która ostatnio była okupowana przez Greenpeace podczas demonstracji przeciwko wierceniom szybów naftowych w tym rejonie. Warto jednak zauważyć, że wysepka Rockall jest na mapie Dulcerta nieco większa niż w rzeczywistości.

Znajdujemy zarysy legendarnej wyspy Hy-Brasil na wielu innych portolanach, które zapewne są kopiami (lub kopiami kopii) oryginału (może map Dulcerta lub innych).

Poniżej znajduje się fragment Atlasu Katalońskiego z 1375 roku. Zarys Wysp Brytyjskich jest taki sam jak na wszystkich portolanach – także Dulcerta –

a oprócz legendarnej Hy-Brasil widzimy tam także inne błędy, na przykład suchą Zatokę Donegal na północno-zachodnim krańcu Irlandii.

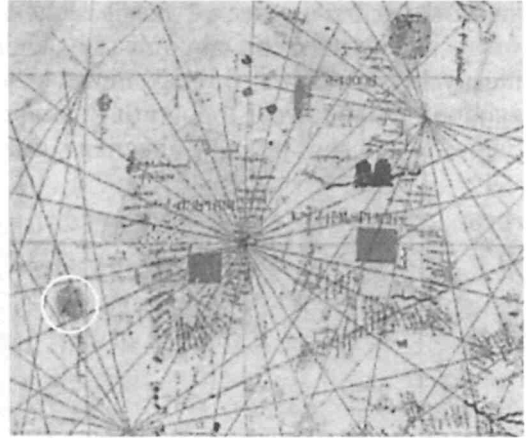
Kolejna mapa (na sąsiedniej stronie) pochodzi ze zbioru *Ptolemaeus Argentinae* z 1513 roku i jest skrzyżowaniem tradycji ptolemejskiej i tradycji portolan.

Czy to przypadek, że stosunkowo płytko zatopiona ławica (na współczesnych mapach oznaczona jako Ławica Porcupine) znajduje się dokładnie w tym samym miejscu, w którym na starych mapach leży legendarna wyspa?

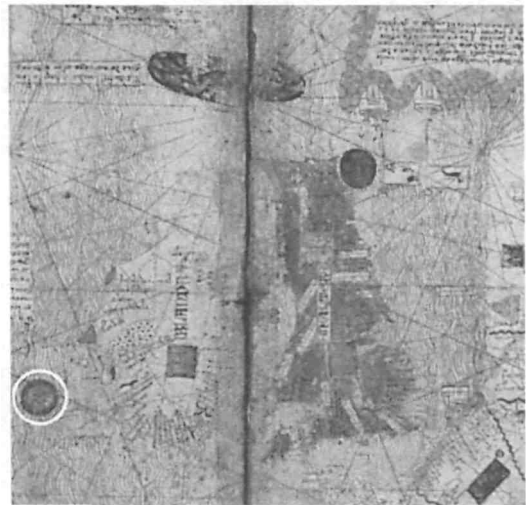
Glenn Milne nie może obecnie sporządzić wiarygodnych map zatopień w tym rejonie, w odpowiednim powiększeniu i z niezbędnymi szczegółami, po części dlatego, że rejon ten znajduje się zbyt blisko starożytnego lodowca brytyjskiego, którego zachowań nie udało się jeszcze uwzględnić w programie komputerowym. Ale do naszych celów wystarczą mapy batymetryczne. Ta, która znajduje się na następnej stronie, ma rozdzielczość 2 minut. Głębokość można ocenić dzięki cieniowaniu, a także śledząc linię obrysu na głębokości 55 metrów poniżej obecnego poziomu morza.

Odcinając się na biało Ławicę Porcupine można z łatwością dostrzec na zachód od Irlandii. Leży dokładnie w tym samym miejscu i jest prawie tej samej wielkości co legendarna wyspa Hy-Brasil na portolanach. Większa część znajdującej się na głębokości od 40 do 200 metrów ławicy (prawdopodobnie ponad 600 kilometrów kwadratowych) 21 000 lat temu, czyli w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia, wystawała ponad powierzchnię wody.

Analogia między Ławicą Porcupine i Hy-Brasil na portolanach nie jest, moim zdaniem, dziełem przypadku. Nawet Robert Fuson, emerytowany profesor geografii z University of South Florida, uważa, że legenda o Hy-Brasil opiera się na obserwacjach, sądzi jednak, że chodzi o obserwacje nie z epoki lodowcowej, lecz

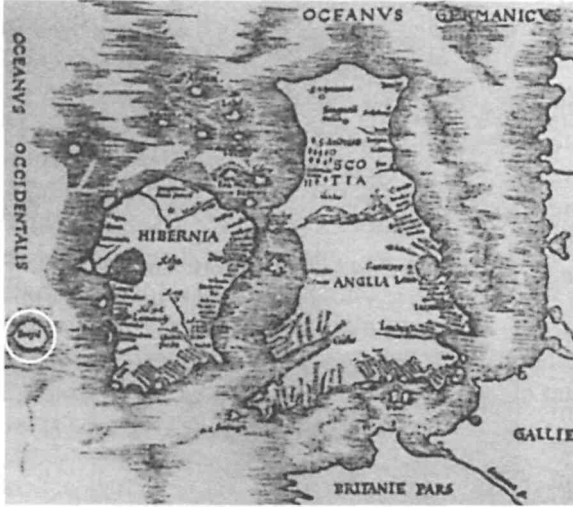


Hy-Brasil (w kółku) na portolanie Dulcerta z 1339 roku

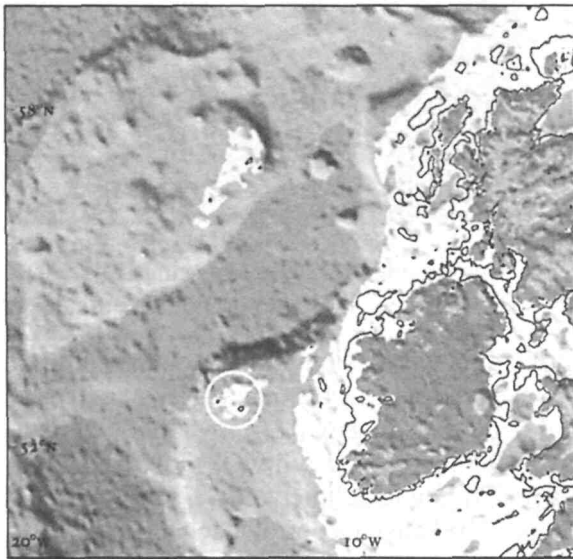


Hy-Brasil w Atlasie Katalońskim z 1375 roku

stosunkowo nieodległych w czasie ruchów tektonicznych skorupy ziemskiej. Nie widzę jednak potrzeby, aby odwoływać się do niedawnych kataklizmów tektonicznych – czy nawet do maksimum ostatniego zlodowacenia – żeby wykazać zgodność starodawnej topografii z zarysem na portolanach. Czarna linia przebiega 55 metrów poniżej obecnego poziomu morza, świadcząc, że musiała tam istnieć spora wyspa o powierzchni prawdopodobnie 100 kilometrów kwadratowych – właśnie w miejscu, gdzie zapewne znajdowała się legendarna Hy-Brasil nawet jeszcze w późnych etapach polodowcowego topnienia, czyli około 12 000 lat temu.



Hy-Brasil w zbiorze *Ptolemaeus Argentinae* z 1513 roku



Batymetryczna mapa Irlandii z szarą linią obrysową na głębokości 55 metrów

Inne zarysy lądów na portolanach ściślej pokrywają się z obszarem Irlandii z okresu późniejszego niż maksimum ostatniego zlodowacenia. Wyspka Rockall, nieco powiększona, jest tej samej wielkości co na mapach Dulcerta i *Argentinae*. (Proszę zwrócić uwagę, że prawdopodobnie w pobliżu Rockall były dwie znacznie mniejsze wyspy, których nie uwzględniono na portolanach). Widać też na mapach, że Zatoką Donegal w północno-zachodnim rejonie północnej Irlandii była suchym lądem, a przy jej wybrzeżu leżała duża wyspa. Liczne wysepki, które obecnie znajdują się u zachodniego wybrzeża Irlandii oraz między północną Irlandią a Szkocją, należały wówczas do głównego lądu Irlandii i Szkocji, lecz zostały zastąpione przez inne małe wyspy dalej na zachód, które obecnie znajdują się pod wodą, ale na starych mapach łączą się z lądem. To samo dotyczy wyspy Man, którą zastępuje wyspa

o zbliżonej wielkości, nieco dalej na południe. Hebrydy Zewnętrzne na portolanie Dulcerta były pojedynczym dużym lądem (choć leżącym nieco za daleko na południe i wschód).

Zagadka Antilii

Hy-Brasil nie jest jedyną tajemniczą wyspą, której zarysy widać na starych mapach Atlantyku. Jeszcze dziwniejsze są dwie inne wyspy, słynna Antilia i Satanaze – one także kuszą nas jak święty Graal. Pierwsza pojawia się na anonimowej portolanie z 1424 roku, a potem i na wielu innych mapach z XV i XVI wieku. Ale samych wysp nigdy nie odnaleziono.

Czy dlatego, że nigdy nie istniały? A może znajdziemy lepsze wytłumaczenie?

Rozdział 16

Poszukiwanie Zaginionej na drodze donikańd

Na Oceanie leży wyspa, którą zowią Zaginioną. Urodą i żyznością przewyższa wszystkie inne lądy, lecz ludziom jest nieznana. Od czasu do czasu ktoś może natknąć się na nią przypadkiem; lecz jeśli jej będzie szukał, na pewno nie znajdzie i dlatego zwie się Zaginioną.

Honoriusz z Autun *De imagine mundi*, około 1130¹

Dajcie mi kilka statków, a znajdę dla was nowy świat.

Krzysztof Kolumb, około 1480²

Z niewyjaśnionych powodów na długo przed Kolumbem wśród żeglarzy starożytnej Europy i rejonu Morza Śródziemnego panowało przekonanie, że za rozległymi wodami Atlantyku znajdują się ogromne lądy i wspaniałe wyspy, czekające tylko na odkrycie i skolonizowanie. Wiara ta znajdowała wyraz w legendach i tradycji. Niektóre z nich przetrwały do współczesności także w postaci map i portolan.

Tajemnica Hy-Brasil, o której wspomniałem już w poprzednim rozdziale, stanowi część niepokojącej zagadki pochodzenia tej starożytnej wiedzy geograficznej.

- Wzmianki o Hy-Brasil występują w tradycji pisanej i ustnej oraz na mapach już w XIV wieku – na przykład na portolanie Dulcerta.
- Przekonanie, iż wyspa ta istnieje gdzieś na Atlantyku, było na tyle silne, że wysyłano ekspedycje w celu jej odnalezienia. Zachowały się relacje o dwóch takich wyprawach – pierwszą poprowadził John Lloyd, który wyruszył z Bristolu w zachodniej Anglii w 1480 roku³.
- „Legendarna” wyspa Hy-Brasil według średniowiecznych kartografów leżała prawie idealnie w miejscu Ławicy Porcupine, której fragmenty wystawały ponad wodę pod koniec epoki lodowcowej.

Kłopot z Hy-Brasil

Gdyby chodziło tylko o legendę o wyspie zaginionej na Atlantyku gdzieś na zachód od Irlandii, a współczesne pomiary batymetryczne ukazałyby płytko pod

wodą ławicę w mniej więcej tym samym miejscu, najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem byłby zbieg okoliczności. Ale obecności Hy-Brasil na dawnych mapach nie da się już tak łatwo wyjaśnić. Naukowcy niemal jednomyślnie uznali, iż to nic innego, jak graficzne przedstawienie od dawna krążących pisanych i ustnych podań. Przyjęto pogląd, iż średniowieczni kartografowie przy sporządzaniu map korzystali z różnych źródeł, także z legend. Lecz gdyby kartograf, który sporządzał portolanę Dulcerta, opierał się wyłącznie na legendach, umieściłby wyspę gdziekolwiek na zachód od Irlandii, mając wszak do dyspozycji ogromny obszar oceanu. Dlaczego więc stworzył zarys wyspy niemal takiej samej wielkości, jak Ławica Porcupine, dokładnie w miejscu, w którym teren ten wznosił się ponad lustrem wody w końcu epoki lodowcowej?

Przyznaję, że w grę może wchodzić jakiś wyjątkowy zbieg okoliczności. A jeśli kartograf opierał się na jakiejś mapie źródłowej, tej samej, która posłużyła za podstawę portolan Cantina i Reinala, i na której w jakiś sposób zachowała się oryginalna topografia i linia brzegowa z epoki lodowcowej?

Jak wiemy z poprzednich rozdziałów, nie można wykluczyć, iż mapy wywodzące się z portolan Marinosa z Tyru przetrwały w paru zakątkach Oceanu Indyjskiego i w innych rejonach, obok lepiej znanych map Klaudiusza Ptolemeusza. Według Arabów (w X wieku) mapy „morskiej ryby z Tyru” były znacznie dokładniejsze niż ptolemejskie (mimo iż sam Ptolemeusz twierdził inaczej). Przytaczam tu argumenty wybitnego historyka kartografii, A.E. Nordenskiolda, który uważa, iż zachowane mapy Marinosa mogły stanowić podstawę wszystkich późniejszych, zdumiewająco precyzyjnych portolan XIII i XIV wieku. Jest również faktem, iż najstarsze zarysy Hy-Brasil – na mapach Dulcerta, Benincasa i wielu innych – pojawiają się także na portolanach.

Oficjalna nauka nieprędko doceni te fakty. Ale pojawienie się Hy-Brasil jest dowodem, iż stara, przedptolemejska tradycja kartograficzna nie tylko przetrwała, ale też przeniosła do Średniowiecza wiarygodne zarysy topografii i linii brzegowej z epoki lodowcowej. Już to samo w sobie świadczy, jak bardzo starożytna jest ta tradycja – równie stara jak epoka lodowcowa, której obraz nam przedstawia. A mimo to stała się inspiracją i wiarygodnym źródłem informacji dla podróżników pragnących odnaleźć Hy-Brasil i inne „widma” topografii epoki lodowcowej jeszcze w XV wieku. Mimo iż zdawano sobie wówczas w jakimś stopniu sprawę, że w obliczu Ziemi zaszły zmiany – wskutek katastrofalnych powodzi i innych klęsk – jednak nie sądzę, by żeglarze, którzy udali się z Bristolu w 1480 roku na poszukiwanie Hy-Brasil, wiedzieli, że wyspa o tej nazwie, przedstawiona na ich portolanach, została pochłonięta przez morze ponad 11 000 lat wcześniej.

Spodziewam się, iż wielu zaprotestuje, twierdząc, iż to niemożliwe, by tradycja kartograficzna zdołała przetrwać 11 000 lat. Ale dlaczego niemożliwe? Czyż ptolemejska tradycja kartograficzna, nie przetrwała 2000 lat? I czyż Ptolemeusz sam nie stwierdził, iż jego *Geografia* jest próbą skorygowania wcześniejszych prac Marinosa z Tyru, którego z kolei określa jako najmłodszego studenta tej starożytnej dyscypliny? Nic nie wskazuje, by tradycja Marinosa rozpoczęła się

wraz z nim, na kilka dziesiątków lat przed Ptolemeuszem. Przeciwnie, on sam stwierdza, że Marinus (o ile w rzeczywistości nie nazywano tak pewnego specjalnego rodzaju map morskich) był jedynie najmłodszym strażnikiem i redaktorem starożytnej wiedzy geograficznej pochodzącej z bardzo odległej przeszłości.

Być może dlatego, że tak pilnie przekazywali tę wiedzę z pokolenia na pokolenie, Fenicjanie stali się wytrawnymi żeglarzami i odkrywcami wybrzeży Atlantyku (którego późniejsi marynarze bali się i nazywali Morzem Ciemności)⁴, jakby szukali, stale szukali czegoś, co znajduje się tuż za horyzontem...

Ślady zaginionej geografii Atlantyku

Według greckiego historyka, Diodora Sycylijskiego (I w. p.n.e.):

Daleko od Libii (Afryki) na oceanie o wiele dni drogi na zachód leży wyspa znacznych rozmiarów. Jest to ląd obfitości, w większości górzysty i niezwyklej urody. Płyną przez nią żeglowne rzeki⁵.

Diodor opowiada dalej o fenickich żeglarzach, których z kursu zniósł potężny wicher. To oni przez przypadek odkryli na Atlantyku tę wyspę. Wkrótce ocenili jej zalety i stała się przedmiotem sporów między Tyrem a Kartaginą, dwoma największymi miastami fenickimi w rejonie Morza Śródziemnego:

Tyrejczycy zamierzali założyć tam kolonię, lecz Kartagińczycy zapobiegli temu, po części dlatego, że chcieli przesiedlić tam swoich obywateli, gdyż ziemia była doskonała, a po części, żeby mieć dokąd uciec w przypadku nieoczekiwanego zwrotu fortuny czy nieszczęść, jakie mogłyby zagrażać Kartaginie. Uważali, że skoro są panami morza, potrafią przenieść wszystko, co mają, na wyspę nieznaną tym, którzy chcieliby zdobyć ich miasto⁶.

Żeglowne rzeki na zachód od Afryki Europejczycy ujrzeli dopiero na Kubie, Haiti i kontynencie amerykańskim⁷. Czyżby relacja Diodora była najstarszą europejską wzmianką o Nowym Świecie?

Co miał na myśli Lucjusz Anneusz Seneka, gdy w *Medei* (ok. 50 rok n.e.) pisał.

Przyjdą kiedyś jeszcze takie czasy, kiedy ocean rozwinie swe kleszcze, żeby ukazać nowe wielkie kraje z rozkazu Tifys⁸.

Słowa Seneki brzmią jak proroctwo, przepowiadające nieuniknione odkrycie Ameryk. Czyż nie jest ono zbyt dokładne, by nazwać je tylko domysłem? Czy Seneka widział mapę, na której zaznaczono ogromny ląd, czekający na odkrycie na odległym krańcu Atlantyku?

Kontynent po przeciwnej stronie

Przypuszczenie, że pewne ważne osobistości starożytnego świata znały rzeczywisty zarys Atlantydy i znajdujących się na nim wysp oraz lądów po obu jego stronach, znajduje potwierdzenie w słynnej relacji o Atlantydzie przekazanej nam przez Platona.

Jak już wcześniej pisałem, przekaz ten pochodzi sprzed 11 600 lat, przy czym data ta zbiega się z kulminacyjną falą potopów pod koniec epoki lodowcowej. Dowiadujemy się, że „wyspa Atlantyda tak samo zanurzyła się pod powierzchnię morza i zniknęła”, a stało się w „jeden dzień i jedną noc okropną”. Zdarzeniu temu towarzyszyły trzęsienia ziemi i potopy, które nawiedziły nawet tak odległe rejony, jak basen Morza Śródziemnego⁹. Nas interesuje teraz, co Platon wiedział o Atlantydy bezpośrednio przed zniszczeniem Atlantydy:

Pisma nasze mówią, jak wielką niegdyś państwo wasze złamało potęgę, która gwałtem i przemocą szła na całą Europę i Azję. Szła z zewnątrz z Morza Atlantyckiego. Wtedy to morze było dostępne dla okrętów. Bo miało wyspę przed wejściem, które wy nazywacie Słupami Heraklesa. Wyspa była większa od Libii i od Azji razem wziętych. Ci, którzy wtedy podróżowali, mieli z niej przejście do innych wysp. A z wysp była droga do całego lądu, leżącego naprzeciw, który ogranicza tamto prawdziwe morze. Bo to, co jest po wewnętrznej stronie tego wejścia, o którym mówimy, to się okazuje zatoką o jakimś ciasnym wejściu. A tamto morze jest prawdziwe i ta ziemia, która je ogranicza całkowicie, naprawdę i najślusniej może się nazywać lądem stałym. Otóż na tej wyspie, na Atlantydzie, powstało wielkie i podziwu godne mocarstwo pod rządami królów, władające nad całą wyspą i nad wieloma innymi wyspami i częściami lądu stałego¹⁰.

Niezależnie od tego, czy wierzymy w istnienie na Atlantydy wyspy zwanej Atlantyda, warto zwrócić uwagę na wzmiankę o „lądzie leżącym naprzeciw”, która świadczy o niezwyklej jak na owe czasy znajomości geografii. Trudno nie dopatrzeć się tu aluzji do Ameryk. Tymczasem historycy zapewniają, że ląd ten nie mógł być znany w czasach Platona i pozostawał „nieodkryty” (z wyjątkiem kilku wypraw wikingów, które nic nie zmieniły) aż do chwili, gdy w 1492 roku dotarł tam Kolumb.

Tajemnicza księga Kolumba

Ale Kolumb miał poprzedników. Mówi o nich irlandzka legenda o wyprawie św. Brendana – najstarsza zachowana wersja, cytowana w dziele Adamnana *Life of St Columba* (Żywot św. Kolumby) z 704 roku n.e.¹¹. Brendan podobno przepłynął Atlantydy z Irlandii w VI wieku n.e. z grupą mnichów. Wyprawa została uwieczniona sukcesem, gdyż odkryli „ogromny ląd na zachodzie, prawdziwą Ziemię Obiecanej”¹².

I znowu dowiadujemy się, że starożytne europejskie i śródziemnomorskie narody o żeglarskich tradycjach, inspirowane tą samą ideą, którą znał Platon, a głoszącą, iż czeka na nich bogaty i prawie bezgranicznie wielki kontynent, próbowały odważnie pokonać Atlantycką. I znów pojawia się znajome pytanie: Skąd wzięła się ta informacja o kontynencie po drugiej stronie oceanu? I dlaczego? Jak wyjaśnić uporczywie powtarzające się przez stulecia pogłoski o jego istnieniu w tak odmiennych kulturach – od Fenicjan po Irlandczyków?

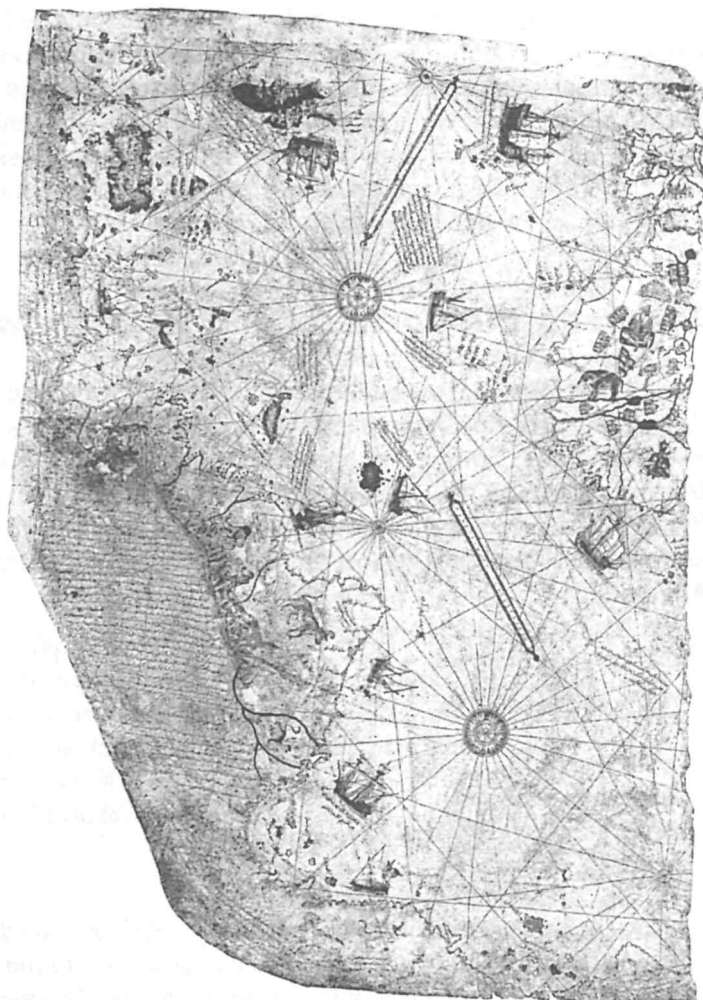
W 1513 roku, w odręcznej notatce na tajemniczej mapie, która ukazywała nowo odkryte Ameryki, turecki admirał Piri Reis odpowiedział na wszystkie te pytania, przynajmniej w odniesieniu do Kolumba, najmłodszego i najśłynniejszego ze starożytnych i Średio-wiecznych marzycieli, którzy pragnęli pokonać Atlantycką. Notatka Reisa, jedna z wielu na owej mapie, została umieszczona na terytorium Brazylii:

Niewierny Genuńczyk Kolumb był jednym z tych, którzy odkryli te rejony. A oto jak to się stało: w jego ręce wpadła książka, z której dowiedział się, że Morze Zachodnie [czyli Atlantycką] ma kres, innymi słowy po zachodniej jego stronie znajduje się wybrzeże i wyspy, a na nich rozmaite surowce i szlachetne kamienie. Przeczytawszy tę książkę, przedstawił jej treść genueńskiej starszyźnie, mówiąc: „Dajcie mi dwa statki, a ja znajdę te miejsca”. Na to oni: „Szalony człowieku, czy istnieje kres Morza Zachodniego? Ono jest wypełnione mgłą i ciemnością”¹³.

W cytowanej notatce o „książce” Kolumba niezmiernie istotne wydają mi się dwie kwestie. Po pierwsze – czytamy o kontynencie i wyspach po zachodniej stronie Atlantyku. Przyjmując tę wzmiankę za dobrą monetę, mamy tu do czynienia z informacją o istnieniu przedkolumbijskiej mapy Ameryk, co stoi w całkowitej sprzeczności z oficjalną wiedzą historyczną. Po drugie – dowiadujemy się, że Kolumb powziął zamiar podróży po przeczytaniu tej niezwyklej książki (o innych powodach się nie wspomina) i szukał potencjalnych sponsorów wyprawy.

Można co prawda zastanawiać się, skąd turecki admirał dowiedział się o tajnych w końcu zamiarach Kolumba i jego podróżach. Z najnowszych badań historyka kartografii, Gregory’ego McIntosha, wynika, że przynajmniej jedna z 20 map źródłowych, które – jak stwierdza sam Piri Reis – stanowiły podstawę jego mapy Karaibów, została narysowana przez Kolumba¹⁴. Admirał dość dużo wiedział o Kolumbie; dokładne informacje zdobył od Hiszpana schwytanego przez tureckich korsarzy po morskiej bitwie na Morzu Śródziemnym. Ów „hiszpański jeniec”, jak go nazywa Piri, odbył wraz z Kolumbem trzy z jego czterech wypraw do Nowego Świata¹⁵.

Tak więc aluzje Piri Reisa do owej tajemniczej „książki” Kolumba są wiarygodne. Próbowaliśmy znaleźć choć jednego historyka kartografii, najlepiej z ortodoksyjnej szkoły – nawet samego Gregory’ego McIntosha – który zechciałby bliżej zbadać kontrowersyjną i niezwykle istotną wzmiankę o książce zawierającej przedkolumbijską mapę Ameryk. Niestety, wszyscy odrzucili tę informację jako nieprawdziwą. Ci nieliczni naukowcy, którzy zgodzili się poświęcić „książce”



Mapa Piri Reisa, 1513

niewiele uwagi, zupełnie zignorowali notatkę Reisa, z której wynika, iż po zachodniej stronie Atlantyku znajdują się kontynent i wyspy. Uznali, że „książka” mogła być kopią *Imago mundi* kardynała D’Ailly’ego lub *Opisania świata* Marco Polo, przy czym „ta ostatnia księga miałaby natchnąć Kolumba do podróży na zachód, by odkryć Azję”¹⁶. Gregory McIntosh dodaje: „W swoim dziele *Bahriye* Piri Reis wzmiankuje o książce, która zachęciła Kolumba do podróży, w taki sposób, jakby to była *Geografia* Ptolemeusza”¹⁷.

Okazuje się, że tajemniczą „książkę” inspirującą podróż Kolumba można zidentyfikować jako dobrze znaną, „niegroźną” pozycję w rodzaju *Geografii* czy *Opisania świata*. Wspomniane dzieła opisują Ziemię jako kulę, więc każda – a najpewniej obie – mogła przekonać Kolumba, iż do Azji można dotrzeć płynąc z Europy na zachód.

Ale przecież oba te dzieła były doskonale znane w Europie w czasach, gdy Kolumb szukał sponsorów swojej wyprawy. Nikogo przedtem nie natchnęły do poszukiwania Nowego Świata czy Azji po drugiej stronie Atlantyku. Jeśli swoim potencjalnym sponsorom przedstawiał dzieła powszechnie znane, na pewno nikogo by nie przekonał. Innymi słowy – jeśli istniała „książka Kolumba”, która, zdaniem Piri Reisa, odegrała tak ważną rolę w życiu słynnego odkrywcy, musiała to być pozycja naprawdę wyjątkowa, rzadka.

Dlaczego nie potraktować Reisa poważnie?

Piri Reis zasłynął nie tylko przy okazji mapy, lecz przede wszystkim ze względu na inne, nieco późniejsze dzieło – podręcznik żeglarstwa zatytułowany *Bahriye*, w którym również powołuje się na książkę Kolumba¹⁸. Wcześniej cytowałem opinię McIntosha, że „książka”, o której mówi Reis, może być *Geografią* Ptolemeusza. Tymczasem turecki naukowiec Svat Soucek stwierdza, że wcale nie jest to takie oczywiste, gdyż w *Bahriye* Reis porusza temat „wielkiego odkrycia Ameryki”:

Kraj ten nosi nazwę Antilia i został odkryty przez genueńskiego muneccima (astronoma i astrologa) imieniem Kolumb. Rzecz cała zaczyna się od Aleksandra, który podróżował po całej Ziemi i napisał o tym książkę. Pozostała ona w Egipcie aż do podboju przez muzułmanów, gdy Frankowie uciekli z kraju, zabierając ją z sobą. Mało kto o niej pamiętał, aż wreszcie przeczytał ją Kolumb i dowiedział się o Antilii na zachodzie Atlantyku. Przekonał króla Hiszpanii do wyprawy i kolonizacji, co w końcu nastąpiło¹⁹.

Trudno mi się zgodzić z McIntoshem, że Reis za książkę, która zainspirowała Kolumba, uważał *Geografię* Ptolemeusza, gdyż ta ostatnia jest zestawem suchych współrzędnych *oikumene* (tak Grecy nazywali zamieszkaną sferę) i w ogóle nie wspomina o zachodnim krańcu Atlantyku ani też o lądzie zwanym Antilią. McIntosh każe nam zignorować fakt, iż Piri w sposób wyraźny i niedwuznaczny przypisuje autorstwo „książki” Kolumba Aleksandrowi Wielkiemu, i przyjąć, że pisząc o „Aleksandrze” Piri miał na myśli „Klaudiusza Ptolemeusza”²⁰. Oto scenariusz według McIntosha: 1. Słynny Aleksander Wielki podbija Egipt i zakłada Aleksandrię; 2. po śmierci Aleksandra jego generał Ptolemeusz Soter, także Macedończyk i również znany, obwołuje się faraonem, zakładając dynastię Ptolemeuszów; 3. prawie 400 lat później astronom Klaudiusz Ptolemeusz (nie spokrewniony z Soterem, lecz także sławny) tworzy *Geografię* na podstawie materiałów zebranych w Bibliotece Aleksandryjskiej; 4. Piri Reis miesza wszystkie te fakty, wyciągając bezzasadne wnioski, że dzieło, które przekonało Kolumba o istnieniu Nowego Świata, zostało napisane przez Aleksandra Wielkiego²¹.

Nie wdając się w tę zawiłą argumentację, która w gruncie rzeczy nikogo nie może przekonać, zastanawiam się, dlaczego nie potraktować poważnie tego, co

pisze Piri Reis. Czemu nie zaufać jego inteligencji i wiedzy, czemu nie wierzyć, iż potrafił odróżnić Aleksandra od Ptolemeusza? Dlaczego nie rozważyć możliwości, iż Kolumb rzeczywiście postanowił przepłynąć Atlantyk po zapoznaniu się ze starą księgą, która przetrwała od czasów Aleksandra Wielkiego i w której opisano zachodnie wybrzeże Atlantyku – tak jak informuje Piri?

Naukowcy nie mogą poważnie potraktować informacji Piri Reisa o istnieniu takiej książki, gdyż oznaczałoby to uznanie istnienia nie tylko przedkolumbijskiej (co już samo w sobie jest niewyobrażalną herezją), lecz nawet przedptolemejskiej mapy Ameryk, pochodzącej co najmniej z czasów Aleksandra Wielkiego, czyli z IV wieku p.n.e.

Mapy Marinosa z Tyru także pochodziły z czasów przedptolemejskich i nie przetrwały do naszych czasów. Nic zatem o nich nie wiemy i możemy się jedynie domyślać ich prawdziwego wieku, pochodzenia, zawartości oraz ich oblicza przed „poprawkami” Ptolemeusza. Jeśli jednak naprawdę istniało „pokrewieństwo” między zaginionymi mapami Marinosa a niezwykle dokładnymi portolanami z XIII wieku i późniejszymi, to w jakimś sensie wszystko jest możliwe.

Na portolanach znajdują się zaskakujące reminiscencje świata epoki lodowcowej, co pozwala sądzić, iż niektóre mapy źródłowe, na których opierały się późniejsze, mogły powstać tysiące lat temu, przed polodowcowym podniesieniem się poziomu mórz. Jeśli rzeczywiście tak było, czy jakaś nieznana dotąd prehistoryczna kultura (czy kultury), która mapy te sporządziła, nie mogła „odkryć” i opisać Ameryki?

Fakt przetrwania tych map, kopiowanych i powielanych od niepamiętnych czasów przez żeglarzy w rejonie Morza Śródziemnego i wzdłuż europejskich wybrzeży Atlantyku, tłumaczyłby dążenie starożytnych do odkrycia „ogromnego ładu” na zachodzie. Tłumaczyłby, dlaczego nasi przodkowie byli przekonani o istnieniu tego ładu. Tłumaczyłby ponadto, dlaczego trzeźwo myślący żeglarze i podróżnicy wciąż na nowo podejmowali ryzykowne wyprawy, żeby odnaleźć ów ład i wyspy, które według ich map leżały po drugiej stronie wielkiej wody.

A co można powiedzieć o największej z tych wysp, o Atlantydzie?

Zagadka Atlantydę – Antilii

Opowieść Platona o Atlantydzie, choć nie wsparta mapą, przedstawia jednak dość dokładny opis Oceanu Atlantyckiego, ograniczonego na wschodzie Europą i Afryką, a na zachodzie ogromnym łukiem „ładu leżącego naprzeciw”.

Dalej przedstawia nam na środku Atlantyku kolejną geograficzną ciekawostkę, tym razem jednak popartą chronologicznymi danymi. Wielka wyspa Atlantyda została pochłonięta przez morze 9000 lat przed czasami greckiego prawodawcy Solona – około 9600 roku p.n.e., czyli w samym środku katastrofalnej fali potopów ostatniej epoki lodowcowej.

Topograficzne cienie innych zatopionych wysp tej epoki, jak Hy-Brasil oraz bezimienna wyspa u wybrzeży krańca południowych Indii, umieszczone na mapach

Cantina i Reinala, nagle i tajemniczo zaczynają pojawiać się na portolanach i mapach świata w XIV wieku. Jeśli Atlantyda również została zalana wskutek podniesienia się poziomu wód w końcu epoki lodowcowej i nie była wyłącznie tworem wyobraźni Platona, jak przypuszcza wielu, bardzo prawdopodobne, że i jej duch pojawił się na portolanach.

Kilku naukowców uważa, że udało im się wytropić ślad Atlantydy w postaci ogromnej, niemal prostokątnej, „mitycznej” wyspy zwanej Antilią, którą znajdujemy na portolanach od pierwszej połowy XV wieku. Najstarsza z nich została sporządzona w Wenecji w 1424 roku, prawdopodobnie przez kartografa Zuane Pizzagano²². Nie wiadomo, na jakich źródłowych mapach się opierał. Wraz z drugą olbrzymią „mityczną” wyspą Satanaze, którą Pizzagano umieścił dalej na północ, Antilia trwała na mapach i w atlasach aż do XVIII wieku²³. Podobnie jak w przypadku Hy-Brasil (która w rzeczywistości przetrwała na morskich mapach aż do połowy XIX wieku²⁴) żeglarze byli przekonani o istnieniu Antilii, zorganizowano nawet kilka wypraw w celu jej odszukania²⁵.

Badacz starych map, George Firman, zwraca uwagę, że Antilia i Satanaze na portolanach z 1424 roku i późniejszych znajdują się niezwykle blisko rozległego podwodnego pasma górskiego, połączonego z układem tektonicznym, który współcześni geolodzy nazywają Grzbietem Środkowoatlantyckim²⁶. Postulując zjawisko, które jest w zasadzie wzmożonym „efektem wybrzuszenia” opisanym w rozdziale 2²⁷, Firman dowodzi, iż nacisk na kontynentalne płyty północnej Europy



Mapa Pizzagana, 1424

i Ameryki Północnej w epoce lodowcowej wymusił – poprzez kompensację izostaticzną – wyniesienie Grzbietu Środkowoatlantyckiego, tak że najwyższe jego szczyty i płaskowyże wystawały ponad wodę przez co najmniej 40 000 lat, zanim lodowce zaczęły topnieć²⁸. Potem nastąpił proces odwrotny – wraz z uwolnieniem masy wód wlewających się do oceanu, nacisk lodowców na kontynenty zelżał i tymczasowo wyniesiony grzbiet zaczął opadać. Gdy tak rósł poziom mórz, a izostaticzny odskok kontynentów nie ustawał, teoretycznie było możliwe, by cały grzbiet – jak sądzi Firman – zapadł się „mniej więcej w tym samym czasie” w wody Atlantyku²⁹.

Firman uważa, że stało się to „między 9500 a 8000 rokiem p.n.e.”³⁰, że mapa z 1424 roku ukazuje ten rejon w czasach przed potopem i że przedstawione tam Antilia i Satanaze to:

(...) ostatnie dwie główne wyspy Atlantydy. Obie pasują do topografii Grzbietu Środkowoatlantyckiego i sąsiedniego Płaskowyżu Azorów. Na największej wyspie na południu wzniesiono najważniejsze miasta imperium³¹.

Platon rzeczywiście pisze o więcej niż jednej wyspie wchodzącej w skład Atlantydy³². A ja natknąłem się na kilka szczególnych relacji (autorstwa przede wszystkim radzieckich oceanografów z lat 50. i 60.) o leżących głęboko podwodnych ruinach, kamiennych kolumnach, budowlach i schodach. Znalaziono je na Grzbiecie Środkowoatlantyckim w pobliżu Azorów³³. Ponieważ nikt nie podążył tym tropem, niewykluczone, że Firman ma rację i pewnego dnia na środkowym Atlantyku odnajdziemy zatopione miasta. Ale wielkość obszaru oraz głębokość uniemożliwiają jednostce prowadzenie badań. Musiałby się ich podjąć zasobny instytut oceanograficzny, dysponujący batyskafami, sporą niezależnością i dużą ilością czasu.

Najnowsze badania pozwoliły wykryć w tym miejscu „dziwaczne formacje geologiczne”. Na przykład 13 lipca 2001 stacja ABC News w Stanach Zjednoczonych relacjonowała taki oto fragment artykułu zamieszczony w numerze „Nature” z 12 lipca:

Ponad 2000 lat temu grecki filozof Platon pisał o wspaniałym mieście, Atlantydzie, znanym z okazałych świątyń i żyznej ziemi, które wskutek trwającego jeden dzień i jedną noc kataklizmu zapadło się w otchłań morza.

Obecnie naukowcy badający morskie dno natknęli się na 18-kondygnacyjne kamienne wieże w głębinach oceanu, w pobliżu odcinka uskoku grzbietowego,



który rozciąga się przez 9920 kilometrów wzdłuż dna Atlantyku [chodzi o Grzbiet Środkowoatlantycki].

Odkrycie kilkudziesięciu majestatycznych kamiennych struktur na górskim grzbiecie zwanym Masywem Atlantydy skłoniło uczonych do nadania temu rejonowi jeszcze jednej nazwy – Zaginionego Miasta, na pamiątkę legendarnego miasta, o którym pisze Platon.

Podwodne kamienne spirale są jedyne w swoim rodzaju pod względem architektury i położenia. „Nigdy czegoś podobnego nie widziałam” – powiedziała Deborah Kelly, oceanograf z University of Washington. Zaginione Miasto lśni bardziej niż wszelkie inne obiekty oglądane w sztucznym oświetleniu na głębokości 800 metrów pod lustrem wody. Skalne formacje wokół wulkanicznego grzbietu są zupełnie czarne, a nowo odkryte zachwycają bielą, którą zawdzięczają budulcowi przypominającemu jasny beton i zawierającemu minerały węglanowe i krzemowe³⁴.

Czy naprawdę może to być zaginione miasto, które błędnie uznano za dziwaczną formację geologiczną? Wydaje się to mało prawdopodobne, ale w gruncie rzeczy nie wiemy, co znajduje się tam, pod wodą – widzialne i niewidzialne.

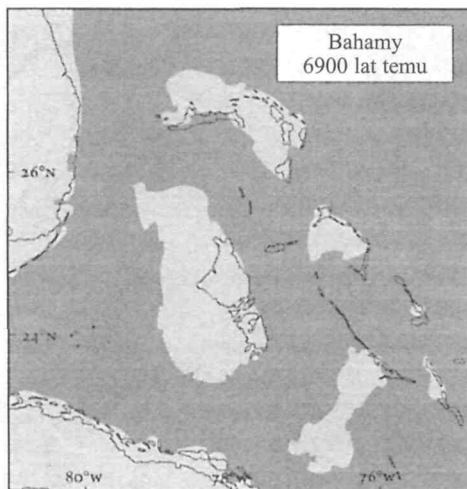
Tymczasem opinie geologów stanowią przeszkodę nie do pokonania dla tych, którzy chcieliby prowadzić badania Grzbietu Środkowoatlantyckiego w nadziei rozwiązania zagadki Atlantydy. Galanpoulos i Bacon podsumowują:

Nigdy na Atlantyku nie istniał pomost lądowy, odkąd człowiek pojawił się na Ziemi; pod wodą próżno szukać zatopionych lądów; Ocean Atlantycki przybrał znaną nam postać co najmniej milion lat temu. Na Atlantyku nigdy nie było Atlantydy³⁵.

Jest to bez wątpienia słuszne stwierdzenie, zwłaszcza jeśli uznamy, iż Atlantyda zapadła się w oceanie wskutek gwałtownych procesów izostatycznych (a nie za sprawą podniesienia się poziomu mórz). Choć istotnie wykluczone, by mógł istnieć na Atlantyku ląd wielkości połączonych Libii i Azji, warto zwrócić uwagę, że wyspy-widma – Antilia i Satanaze widniejące na mapie z 1424 roku – liczą 500 kilometrów długości i 200 szerokości, w żadnym więc razie nie dorównują wielkością Atlantydzie Platona. Ponadto mapy zatopień wykazują, że trzy wyspy wielkości Antilii i Satanaze, które obecnie są całkowicie pogrążone w morzu – albo z których pozostały jedynie mizerne resztki – rzeczywiście istniały na Atlantyku co najmniej 6000 lat temu (choć znacznie bliżej Ameryki niż Grzbietu Środkowoatlantyckiego)³⁶.

Jedna z tych zaginionych wysp stanowiła sporą część Wielkiej Ławicy Bahamskiej, która w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia wystawała ponad 120 metrów nad poziom morza. Dziś po tym ogromnym przedpotopowym lądzie pozostała jałowa wysepka Andros na południowym wschodzie i malutka Bimini na północnym zachodzie, zwrócone w kierunku Golsztromu i Florydy.

U północno-zachodnich wybrzeży Bimini, równoległe do Gólsztromu, odkryto ogromną zatopioną strukturę, która została uznana za imponujące dzieło megalitycznej architektury. Olbrzymie kamienne bloki ułożone obok siebie tworzą podwodną „drogę” długą na ponad 800 metrów. U południowego krańca droga skręca w kierunku lądu – widać ją doskonale z powietrza jako odwróconą literę J. Przy północnym krańcu rozdziela się na dwa równoległe szlaki rozdzielone piaskową łaczą. Bliżej brzegu znajdują się dwa mniejsze fragmenty „drogi”, każdy z nich liczy około 300 metrów długości. Biegają równoległe do siebie, a ukośnie do głównej osi J.



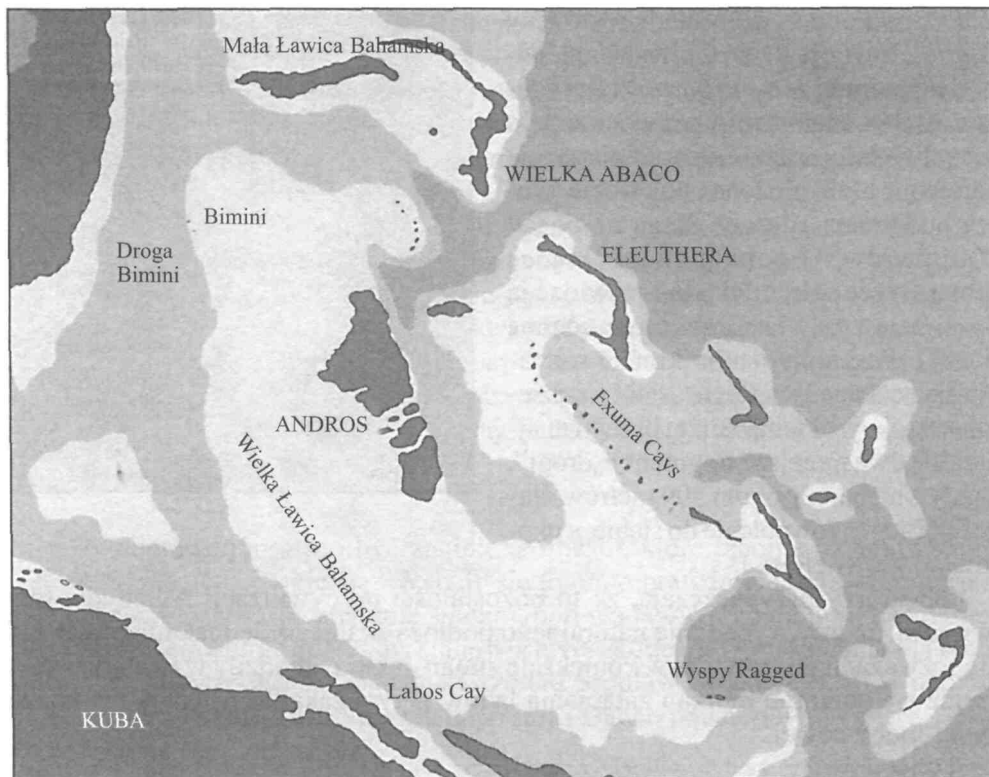
Niektórzy przypuszczają, że to pozostałości po cywilizacji Atlantydy. Inni twierdzą, że trzy wychodnie naturalnego podłoża skalnego. Jednak nikt jak dotąd nie rozważał tego zjawiska w kontekście zmian, jakie zachodziły w wyniku wznoszenia się poziomu morza i zatapiania lądów w tym zakątku Atlantyku w końcu epoki lodowcowej.

Wzloty i upadki Drogi Bimini

Droga Bimini, leżąca na głębokości 5–7 metrów w spokojnej, błękitnej wodzie, której temperatura latem sięga 30°C, wydaje się rajem dla nurków. Kilometr dalej na południe znajduje się Paradise Point w północnej części Bimini. Kilometr na wschód – cudowna, malownicza plaża. Trzy kilometry na zachód morskie dno opada łagodnie do 100 metrów, potem zaczyna się mroczna przepaść, ciągnąca się aż do nurtu Gólsztromu.

Ten głęboki kanał między Bimini a Florydą istniał nawet w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia. Ale zatopiona droga i wszystkie tereny między Bimini a kanałem znajdowały się ponad lustrem wody jeszcze zapewne 6000 lat temu. Niezależnie więc od tego, czy droga została zbudowana przez ludzi, czy też jest tworem naturalnym, przed potopem biegła po szczycie długiego, łagodnego stoku nad Gólsztromem.

Drogę odkrył w 1968 roku zespół płetwonurków amatorów, z których każdy w mniejszym lub większym stopniu był związany z Association for Research and Enlightenment (Stowarzyszenie na rzecz Badań i Oświecenia). Nieszkodliwa, lecz dość ekscentryczna amerykańska sekta, głosząca wartości chrześcijańskie i duchowe, i zrzeszająca nieco już starszawych członków, miała swoją siedzibę w nadmorskim kurorcie Virginia Beach nad Atlantykiem, skąd głosiła nauki uzdrowiciela



i proroka Edgara Cayce'a (1877–1945). Cayce twierdził, że w poprzednim życiu, ponad 12 000 lat temu, był mieszkańcem Atlantydy, a przed śmiercią przepowiedział, że w roku 1968 lub 1969 ruiny Atlantydy zaczną wyłaniać się z morza. Określił nawet dość dokładnie miejsce – gdzieś w okolicach Bimini. Odkrycie w 1968 roku rzędów ogromnych podwodnych megalitów u wybrzeży Paradise Point na Bimini uznano za ziszczenie się proroctwa³⁷.

Wiele osób uznało, że zdobyliśmy ostateczny dowód na istnienie zaginionej cywilizacji Platona. A potem do akcji wkroczyli naukowcy, którzy na chłodno i profesjonalnie zapewniali, iż Droga Bimini nie jest dziełem człowieka, lecz naturalną geologiczną formacją.

Mahlon Ball, University of Florida, i John A. Gifford, University of Miami, w „National Geographic Research Reports”, t. 12, 1980, s. 21–38:

Wzrost poziomu morza od 15 000 lat temu po dzień dzisiejszy spowodował formowanie się plaż na zewnętrznej platformie u zachodnich wybrzeży północnej wyspy Bimini w miarę zalewania linii brzegowej w kierunku wschodnim. Wzdłuż tych tymczasowych plaż formowały się zlepierce plażowe, które zalewała wznosząca się woda. [Po kilku tysiącach lat] linia brzegowa cofnęła się około kilometr na północ od obecnego Paradise Point. Tu prawdopodobnie w okresie 700 lat trzy

kolejne plaże były miejscem formowania się trzech równoległych, linearnych złóż zlepieńców³⁸. Podczas badań w terenie zaobserwowano, co następuje:

1. Na południowo-zachodnim krańcu formacje te się nie łączą; rozrzucone bloki nie układają się w określony linearny zarys łączący linie biegnące w kierunku morza, w środku i w kierunku brzegu.
2. Nigdzie nie ma śladu, by na owych trzech formacjach leżały dwie warstwy bloków lub choćby nawet pojedyncze bloki jeden na drugim.
3. W pobliżu trzech formacji nie zauważono bloków, które mogłyby tworzyć niedawno zniszczoną drugą warstwę.
4. Pod rejonem trzech formacji jest tylko skaliste podłoże, co wyklucza możliwość dokonania wykopalisk lub kanałów między nimi.
5. Brak dowodów, by bloki zostały wykute w podłożu ze skały macierzystej lub ułożone na nim.
6. Nie znaleziono regularnych lub symetrycznych podpór pod blokami.
7. Nie stwierdzono żadnych śladów używania narzędzi do sporządzenia tych bloków.
8. Żadna z tych formacji nie ma solidnej podstawy i nie jest na tyle ciągła, żeby stanowić trakt.

Jedynie regularny kształt bloków sprawia, że formacja przypomina dzieło rąk ludzkich. Cecha ta bywa jednak właściwa złożom naturalnego zlepieńca³⁹.

W. Harrison, Environmental Research Associates Inc., w „Nature”, t. 230, 2 kwietnia 1971, s. 287–289:

Przypuszczam, że bloki powstały w następujący sposób: pokruszone muszle odkładały się w płytkiej wodzie, w miarę, jak relatywny poziom morza opadał w ostatnim okresie wznoszenia się Ławic Bahamskich, a później przedostały się do środowiska słodkowodnego. Materiał zbił się, pojawiło się spoiwo, jak zwykle w przypadku wapiennej skały. Kiedy utworzyły się dwie warstwy spoiwa ułożone prawie pod kątem prostym, zatapanie tego rejonu przesunęło połączone miękkie wapienne płyty najpierw w rejon załamywania się fal, a potem dalej od brzegu. Fale prawdopodobnie spowodowały rozpadanie się bloków, a gdy formacja znalazła się dalej od brzegu, morskie prądy dokończyły destrukcji.

Powstało pole usiane blokami, które na pierwszy rzut oka wydają się ułożone obok siebie – stąd przekonanie, że musiało to być dzieło człowieka. Ale pokruszone bloki wapienne niczym nie różnią się od innych formacji na powierzchni czy pod wodą, które w północno-zachodniej części Bahamów tworzą połączone płyty wapienne na różnych etapach rozpadu⁴⁰.

Marshall McKusik, University of Iowa, i Eugene Shinn, US Geological Survey, w „Nature”, t. 287, 4 września 1980, s. 11–12:

Amatorzy entuzjaści twierdzą, że bloki na Bimini zostały wykute przez starożytnych mieszkańców Atlantydy i ułożone w „cyklopową, megalityczną drogę”.

Lecz wapienne formacje na głębokości 5 metrów u wybrzeży Bimini mają wszelkie cechy naturalnych skał wapiennych. Układają się one w wąską wstęgę i ciągną na dość dużej odległości wzdłuż dawnej linii brzegowej. Pęknięcia są naturalnego pochodzenia. Shinn i Tomkins pobrali 17 próbek, które poddano testom radiologicznym. Zbadano dwa rejony tej formacji, w obu stwierdzono to samo nachylenie i identyczną wielkość cząstek, płaszczyznę uwarstwienia i ciągły kierunek spadu między jednym blokiem a drugim. Gdyby płyty zostały wykute ze skały i ponownie ułożone w tym miejscu, płaszczyzny uwarstwienia zachowałyby w każdym bloku własną stratygrafię. Laminacja osadów wskazuje wyraźnie, że nie są to płyty ułożone celowo, lecz stanowią naturalną, stosunkowo niezakłóconą formację.

Mimo iż piaszczyste podłoże znajduje się 5 metrów pod wodą, jest dość młode z geologicznego punktu widzenia. Badanie muszli izotopem węgla ^{14}C wskazuje wiek 2200 lat z marginesem błędu 150 lat. Jerry J. Stipp (z laboratorium datowania radiowęglowego na University of Miami) pobrał 7 dużych próbek, które datuje na okres od 2745 do 3510 p.n.e.⁴¹.

Droga donikąd

Datowanie radiowęglowe materiału organicznego w płytach Drogi Bimini jest z pewnością najsilniejszym argumentem przeciwko jej „atlantydzkiemu” pochodzeniu. Platon pisał, że zatopienie Atlantydy nastąpiło około 11 600 lat temu, a Edgar Cayce twierdził, że miało to miejsce 12 500 lat temu. Tak czy owak, wyniki wskazujące na 2200–3500 lat temu wykluczają jakiegokolwiek powiązania tej formacji z Atlantydą czy inną starożytną cywilizacją.

Oczywiste dowody naturalnego – i to z dość niedawnych czasów – pochodzenia obiektu odrzucili pierwotni odkrywcy Drogi Bimini, między innymi oceanograf Dimitrij Rebikoff i dr J. Manson Valentine z Miami Museum of Science. Dr. Valentine’a, który doktorat uzyskał na Yale University (w dziedzinie zoologii, paleontologii i geologii), a obecnie wchodzi w skład zespołu badawczego Bishop Museum na Hawajach, trudno posądzać o to, że będzie rzecznikiem hipotezy, iż formacja ta jest dziełem mieszkańców Atlantydy. Publikując w „Explorers Journal” w 1976 roku, przewidywał niechętną reakcję innych akademików (zwłaszcza geologów morskich), dowodził jednak, że sceptycy nie przedstawiają przekonującej odpowiedzi na pytania:

1. Dlaczego Droga Bimini składa się z twardego krzemianego mikrytu (który, w przeciwieństwie do miękkiego zlepieńca plażowego, dźwięczy pod uderzeniem młotka i przy tym się nie łupie)?
2. Dlaczego trzy krótkie warstwy ściśle przylegających kamieni mają tak proste boki, równoległe do siebie, i kończą się kamiennym narożnikiem?
3. Dlaczego długa aleja leży pod kątem do innych i dlaczego tworzą ją podwójne małe bloki, których szereg przerywają dwa „rozszerzenia” z bar-

dzo dużych, płaskich kamieni wspartych pionowymi elementami (jak dolmeny w zachodniej Europie)?

4. Dlaczego południowy kraniec tego wielkiego, szerokiego traktu tak pięknie się zakrzywia?
5. Jak wytłumaczyć prostokątne kształty, kąty proste i prostoliniowe układy w całej konstrukcji, które najlepiej widać z powietrza^{42?}

W 1978 roku inny zwolennik hipotezy o istnieniu Atlantydy, dr David Zink, mający również akademickie wykształcenie, podważył jednorodność na poziomie mikroskopowym zlepieńca plażowego sąsiadującego z blokami z Bimini (a wiemy, że owa jednorodność stanowiła argument za naturalnym pochodzeniem formacji):

Spoiwo tego fragmentu, składające się z morskiej fauny i kryształów węgla-
nu wapnia, nie jest jednorodne. W jednej z próbek dominowały kryształy arago-
nitu, w innej – przeważał kalcyt. Sąsiednie kamienie powstały więc w zróżnico-
wanym środowisku chemicznym⁴³.

David Zink we współpracy z Terrym Mahlmanem przedstawił referat na konferencji poświęconej podwodnej archeologii, która odbyła się na University of Pennsylvania w styczniu 1982 roku. Podważył w nim publikowane w „Nature” i w innych periodykach wyniki datowania radiowęglowego, które wskazywały na młody wiek formacji. Autorzy referatu dowodzili, że daty między 2200 a 3500 lat temu (w opracowaniu zamieszczonym w „Nature”) oraz między 3200 a 6000 w innej publikacji stoją w sprzeczności z najnowszymi danymi na temat poziomu Atlantyku od końca epoki lodowcowej:

Uzyskany dzięki metodzie radiowęglowej wiek tego miejsca pasuje megalityczne bloki w czasie ich powstawania albo ponad strefą pływów, albo poniżej tej strefy. Ponieważ zlepieniec plażowy tworzy się w środowisku pływów i ponieważ poziom Atlantyku w okresie minionych 13 000 lat jest najtrwalszym elementem topografii Bimini, daty wydają się niewiarygodne.

Badacze ustalili więc wiek dwóch megalitów – jednego od strony morza, drugiego natomiast z rejonu o 100 metrów bliższego plaży. Wiek pierwszego oceniono na około 4000 rok p.n.e. Leżałby jednak wówczas 7 metrów powyżej strefy pływów, czyli że nie mógł powstać w procesie tworzenia się zlepieńca. Wiek drugiego bloku, znajdującego się o 100 metrów bliżej brzegu na tej samej głębokości, ustalono na około 1200 p.n.e. W obecnym położeniu w tym okresie musiałby się znajdować około 2,4 metra poniżej strefy pływów.

Datowanie radiowęglowe przy zanieczyszczeniu wód gruntowych na łądzie może dawać wiek znacznie młodszy od rzeczywistego. Jak duży może być margines błędu w związku ze stałym dopływem wapnia i zwiększającą się skutkiem tego zawartością izotopu ¹⁴C w procesie mikrytyzacji zlepieńca plażowego^{44?}

Mimo tej i innych prób zwrócenia uwagi na Drogę Bimini i na prawdopodobieństwo, iż jest dziełem ludzi, naukowe periodyki „Nature” i „National Geographic” podważają wiarygodność tych dowodów. Podobnie inne media, które – po okresie wzmożonego zainteresowania odkryciem i przepowiedniami Cayce’a – zupełnie wreszcie zapomniały o sprawie.

Tym samym droga do Atlantydy stała się drogą donikąd.

Rozdział 17

Metamorfoza Antilii

Nikt nie zamierza sponsorować podwodnych badań archeologicznych na Bahamach.

John Gifford, University of Miami, lipiec 2001

Przyjaciele, udajcie się z nami w tę podróż! Tu żyjecie w ubóstwie, więc płyncie z nami! Albowiem z Bożą pomocą odkryjemy łódź, o którym powiada się, że ma domy o dachach ze złota.

Martin Alonso Pinzon, kapitan „Pinty”, rekrutujący załogę dla Kolumba, 1492

Zanim zacząłem nurkować na Bimini w sierpniu 1999 roku, byłem głęboko przekonany, że David Zink i Manson Valentine mylą się, natomiast archeolodzy morscy z Florydy mają rację: Droga Bimini jest naturalną formacją. Potem przestałem wyrażać się tak kategorycznie.

Nadal uznawałem siłę argumentacji naukowców. Ale na widok tej wspaniałej podwodnej struktury zareagowałem inaczej niż geolodzy. Tam, gdzie oni widzieli „naturalną” formację płytowego zlepieńca plażowego o jednorodnej wielkości cząstek, ciągłym kierunku nachylenia, nie wykazującą śladów narzędzi, artefaktów czy innych świadectw ludzkiego działania, ja ujrzałem imponujące dzieło sztuki rzeźbiarskiej, rodzaj olbrzymiej mozaiki noszącej wszelkie znamiona spójnego, zorganizowanego, celowego, planowego działania i projektowania. To prawda, że zlepieniec plażowy pęka na równe bloki i że przykłady takiego procesu można dojrzeć dziś na Bimini oraz wokół wielu innych Wysp Bahama (piasek twardnieje tak szybko, że w zlepieńcu można znaleźć kapsle i inne współczesne przedmioty). Ale żaden zlepieniec, jaki widziałem – na Bimini, czy też gdzie indziej – ani trochę nie przypominał Drogi Bimini.

Nurkowaliśmy z Triggim Adamsem, prawdziwym wilkiem morskim, byłym pilotem Eastern Airlines, który należał do pierwszych odkrywców Drogi Bimini jeszcze w czasach Mansona Valentine’a. Mieliśmy do dyspozycji jego jacht „Trygger”, którym przyptłynął z Miami (na silniku, żeby podróż trwała krócej). Skorzystaliśmy także z jego umiejętności zawodowych, wynajmując na kilka godzin samolot, żeby z powietrza przyjrzeć się zagadkowym obiektom na Bimini.

Mimo mgły i chmur z łatwością wypatrzyliśmy długą na 800 i szeroką na 20 metrów główną oś odwróconego J, zakrzywiającego się w charakterystyczny sposób w kierunku wybrzeża, na południowy wschód. Widać też było wyraźnie punkt, w którym oś rozszczepia się w dwa węższe, równoległe pirsy; każdy liczy 5 metrów szerokości. Rozdziela je 10-metrowej szerokości pas piasku biegnący wzdłuż

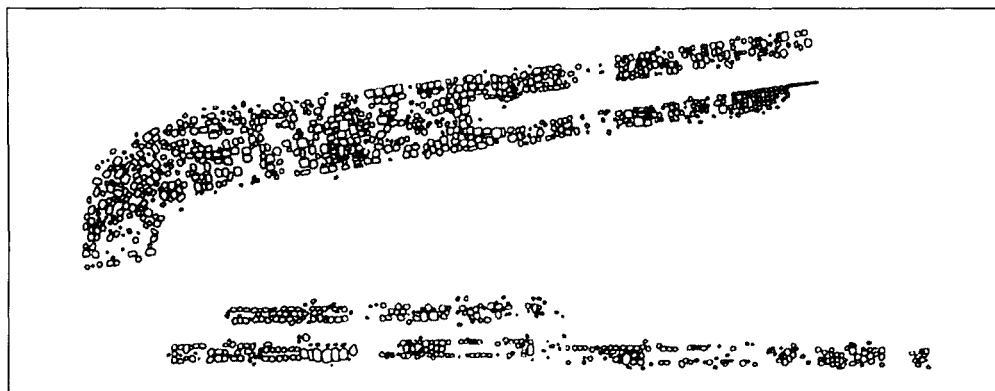
aż do północnego krańca struktury. Przez krystalicznie czystą wodę mogliśmy dojrzeć nawet poszczególne bloki – jedno olbrzymie, inne znacznie mniejsze, lecz wszystkie precyzyjnie ułożone. Dwa krótsze odcinki skierowanej w stronę wybrzeża litry J bieging idealnie równoległe do siebie i także składały się z mozaiki wielkich i mniejszych bloków. Siedem olbrzymich megalitów leżało obok siebie blisko południowego krańca wewnętrznego segmentu.

Trigg wleciał wyżej, robiąc kilka okrążeń nad ogromną podwodną mozaiką. Zdałem sobie sprawę, że mniej przypomina mi ona jakąkolwiek znaną sieć dróg na powierzchni ziemi, a bardziej rysunki zwierząt, owadów, ptaków i ryb na Płaskowyżu Nazca w południowym Peru. Kiedy lecieliśmy nad dwiema głównymi wyspami i lagunami Bimini, odkryłem też ze zdumieniem, że w paru gęsto zarosniętych lasami i bezludnych rejonach znajdują się kamienne kopce z płaskimi, nagimi szczytami o rozmiarach kortu tenisowego. Powierzchnia jednego z nich, widoczna jedynie z powietrza, miała kształt ogromnego konika morskiego. Powierzchnia innego wyglądała jak olbrzymia ryba – z pyszczkiem i ogonem – i ona także była widoczna jedynie z powietrza. Trzeci kopiciec był kształtu geometrycznego, jak gigantyczny prostokąt.

Przeczytałem wszystkie publikacje i opracowania, w których Drogę Bimini określa się jako naturalną formację, lecz w żadnym nie znalazłem komentarza na temat tych niezwykłych, wyraźnie widocznych kopców. Czy i o nich naukowcy powiedzą, że są tworem natury? A jeżeli nie, jeżeli stworzył je człowiek, czy nie powinno się ich brać pod uwagę przy rozważaniach nad charakterem i pochodzeniem pobliskiej Drogi Bimini?

Nurkujemy do Drogi Bimini

Na płytkich wodach w ogóle nie ma się wrażenia, że się nurkuje, ani też świadomości wyzwania czy uczucia zagrożenia, wciąż obecnych podczas scho-



Zarys Drogi Bimini. Według Zinka (1978)

dzenia w głębinie. Trzeba być wyjątkową niezdarą, żeby na głębokości 5 lub 10 metrów doznać jakiejś kontuzji. Tak więc Bimini było idealnym miejscem do nurkowania. Nawet rekiny, szukające schronienia wśród olbrzymich bloków, tylko groźnie wyglądały, ale okazywały się zupełnie nieszkodliwe. A na tej głębokości pełna butla wystarczała na bardzo długo.

Typowy bimiński blok jest kamieniem ciemnym, wyjątkowo twardym. Mierzy około 2 metrów długości, metr szerokości i pół metra wysokości, waży blisko tonę, ma kształt poduszki, lekko wypukły, zaokrąglony w rogach i na brzegach. Inne są mniejsze, lecz kilka prawdziwych potworów waży 5 lub więcej ton, a największe – i najrzadsze – blisko 15 ton.

Inaczej niż badacze z National Geographic Society zauważyłem, że bloki o wadze 5–15 ton (niektóre z nich szerokości 5 metrów) zostały ustawione na niewielkich pionowych wspornikach z zupełnie innego rodzaju kamienia, przypominających przysadziste kolumny, czasem nawet w liczbie pięciu. Dzięki nim bloki nie przylegały do skalnego podłoża.

Sądzę, że były to owe „dolmeny”, o których Manson Valentine pisał w jednej ze swych relacji. Z pewnością nic innego nie pasowało do tego opisu. Zastanawiałem się, czy małe pionowe „kolumny” nie są kawałkami skały, które leżały wszędzie na morskim dnie i zostały „podmiecione” pod wielkie bloki przez pływy lub sztormowe spiętrzenie. Lecz dlaczego znajdowały się tylko pod największymi i najcięższymi blokami, które nawet najsilniejsza fala pływowa czy sztormowa z trudem mogłaby unieść, nie było ich zaś pod mniejszymi i lżejszymi?

Całymi dniami pływałem wzdłuż Drogi Bimini, próbując ją oszacować i domyślić się, czym naprawdę jest. Około południa, kiedy słońce świeci nad głową, a widoczność staje się najlepsza, długie, proste rzędy bloków zdawały się ciągnąć w nieskończoność w obu kierunkach. Większość bloków była dobrze widoczna na rozległym, wapiennym płaskowyżu, czasem niknęły pod piaskowymi nanosami, aby znowu pojawić się po drugiej stronie, podążając w tym samym kierunku.

Przeważnie ułożone były równolegle, lecz tu i ówdzie pojawiały się inne formy – bloki układające się w okrąg, grupa trzech różnych bloków o niejednorodnych kształtach, tworzących trójkąt, pozornie celowo wymodelowane narożniki „wyciągające” kwadrat lub prostokąt złożony z kilkunastu bloków. Widziałem też skupiska bloków o tym samym rozmiarze, na przykład siedem ogromnych megalitów w pobliżu południowego krańca pirsu, skracającego w kierunku brzegu, obok znacznie mniejszych bloków ułożonych wzdłuż tej samej osi. W tym przypadku siedem wielkich bloków przecinało całą szerokość osi. Mniejsze leżały wzdłuż tej samej osi i na tej samej szerokości, lecz biegły dwoma równoległymi rzędami, rozdzielonymi wolną przestrzenią.

Naturalna i młoda czy sztuczna i stara?

Czy Droga Bimini to naturalna i niezbyt stara formacja? Czy też – wbrew opinii naukowców – może być megalityczną strukturą stworzoną przez ludzi, może

nawet pozostałością po Atlantydzie, która zatonała w odmętach oceanu wiele tysięcy lat temu?

Nie sądzę, aby naukowcom udało się udowodnić ani że jest formacją naturalną, ani że zdecydowanie nie jest dziełem człowieka, co oczywiście znaczy to samo.

Dla przykładu relacja z badań National Geographic Society cytowana w rozdziale 16 wyraźnie mówi, iż w całej formacji nigdzie nie występuje warstwowe ułożenie bloków, brak też w pobliżu dostatecznej ilości pojedynczych odłamków, które można by uznać za ewentualną drugą warstwę, która kiedyś uległa zniszczeniu. Fakt ten uznaje się za dowód naturalnego pochodzenia Drogi Bimini. Ja natomiast nie widzę logicznego powodu, dla którego starożytni budowniczowie nie mieliby wzniesć konstrukcji o tylko jednej warstwie. Nie rozważano jeszcze jednej opcji – że ta olbrzymia formacja mogła składać się w przeszłości z więcej niż jednej warstwy, lecz większość tej wyższej warstwy została po prostu celowo usunięta. Może i brak tu jakiegokolwiek związku, lecz wystarczy zapytać starszych mieszkańców wyspy, by dowiedzieć się, iż kilku naocznych świadków widziało barki z Florydy, na które w latach 20. XX wieku wciągano z wody u wybrzeży Paradise Point kamienne płyty. Przewożono je do Miami z zamiarem wykorzystania do celów budowlanych. Wyspiarze mówią, że ten proceder trwał kilka lat¹.

Naukowcy z National Geographic Society twierdzą ku memu zdumieniu i rozczarowaniu, iż pod kamiennymi blokami brak regularnych czy symetrycznych podpór. Ja je widziałem.

Jednorodność cząsteczek pod mikroskopem – najważniejszy naukowy argument potwierdzający naturalny charakter formacji – także nie jest pewna. Zink i inni badacze uzyskali całkiem odmienne rezultaty badań mikroskopowych na próbkach, które osobiście pobrali z tych obiektów. Bloki ustawione obok siebie nie są jednorodne, lecz powstawały w odmiennym środowisku chemicznym. Choć bez wątpliwości materiał użyty do budowy Drogi Bimini to zlepieniec (i żaden zwolennik hipotezy o sztucznym pochodzeniu formacji temu nie przeczy), nie można wykluczyć, iż złoża zlepieńca plażowego zostały pocięte, uformowane i ustawione przez ludzi.

W referacie przygotowanym na konferencję Society for Historical Archeology na temat archeologii podwodnej, zorganizowaną przez University of Pennsylvania, Terry Mahlman i David Zink tak podsumowują swoje stanowisko:

W odniesieniu do megalitycznych bloków trzeba zadać sobie pytanie wprost: czy jest to zlepieniec plażowy, cięty i uformowany przez ludzi, czy też formacje te powstały samoistnie na miejscu? Większość z nas zgadza się, iż Drogę Bimini tworzy zbita, zmikrytyzowana masa okruchów muszli, czyli zlepieniec plażowy, który w ciągłym procesie rozpuszczania się i ponownej krystalizacji spoiwa pod wpływem morskiej wody zasobnej w węglan wapnia stał się niezwykle twardy w porównaniu ze współczesnym zlepieńcem. Autorzy tego referatu wysuwają hipotezę, iż powstawszy w sposób naturalny na plaży, bloki te zostały ociosane i uformowane przez ludzi na powierzchni ziemi. Później, gdy po ostatnim zledo-

waceniu poziomu morza zaczął się podnosić, bloki znowu pokryła woda i zaczął się proces mikrytyzacji. Warstwy młodego zlepieńca są łatwe w obróbce w porównaniu z blokami znalezionymi na miejscu. Diamentowe wiertło o średnicy 80 milimetrów stepiło się po pobraniu zaledwie 12 próbek.

Zjawisko mikrytyzacji, ciągły proces powstawania węglanowo-wapniowego spoiwa pokruszonych skorupki muszli, nie pozostaje bez wpływu na określanie wieku tych bloków. Nowe spoiwo zawiera znacznie więcej węgla ^{14}C , wskutek czego próbka może zostać oceniona na młodszą niż w rzeczywistości jest².

Czy akademicka nauka, jak twierdzą McKusik i Shinn, dowiodła przynajmniej, że niektóre elementy Drogi Bimini liczą mniej niż 3000 lat?

Nie sądzę. Próby datowania megalitów mogą wskazywać na wiek inny niż w rzeczywistości, a ich młody wiek nie zgadza się z głębokością, na której się znalazły. McKusik i Shinn sami przyznają:

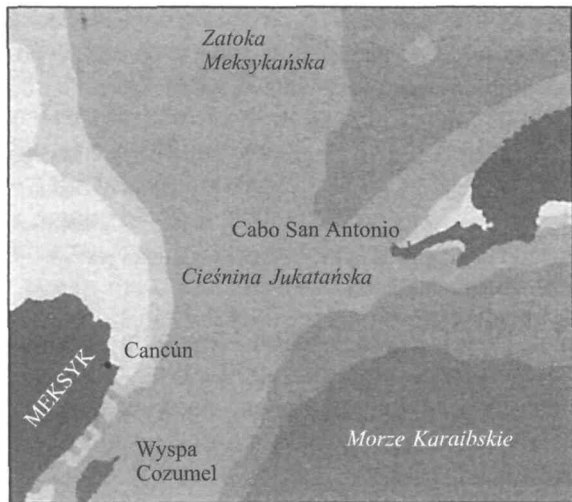
Badania niektórych zatopionych formacji na Florydzie i jednej na północ od Bimini dowodzą, że poziom wód rósł tutaj przez minione 5000 lat w tempie 2,5 centymetra na 40 lat. Tereny zalane między 2200 a 3500 lat temu [taki wiek wykazało datowanie radiowęglowe] leżałyby 1,6–2,1 metra pod wodą, tymczasem formacja znajduje się na głębokości 4,5 metra³.

Ignorując fakt, że ruiny Bimini spoczywają na głębokości znacznie większej niż 4,5 metra, McKusik i Shinn dowodzą, iż zagłębiły się dodatkowo na „pozostałe 2,1–2,7 metra” na skutek „podmywania piasku i stopniowego osiadania formacji”⁴. Ale takie tłumaczenie nie może odnosić się do bloku skierowanego ku morzu, o którym pisałem wcześniej i który wydатовany został metodą radiowęglową na około 4000 rok p.n.e., czyli liczy 6000 lat. W tym okresie znajdowałby się on znacznie powyżej strefy pływów i nie mógłby stać się zlepieńcem plażowym. Wątpliwość Mahlmana i Zinka, czy zanieczyszczenia nie obniżają wieku próbki podczas datowania węglem ^{14}C , wydaje się więc uzasadniona.

Zagadka Cabo San Antonio: u wybrzeży Kuby może znajdować się podwodne miasto

Moim zdaniem oba obozy – zwolenników naturalnego formowania się Drogi Bimini oraz tych, którzy uważają ją za dzieło ludzkie – popełniają błąd. Snują suche rozważania o próbkach, mikrytyzacji, pokruszonych muszlach, płaszczynach uwarstwienia, ^{14}C itp., tymczasem umykają im ważne kwestie.

Jedną z nich jest zaskakująca relacja, opublikowana 14 maja 2001 roku przez agencję Reutera, donosząca o odkryciu całego miasta leżącego na głębokości 700 metrów u zachodniego wybrzeża Kuby⁵. Odkrywczy nie byli nawiedzonymi



potomkami Atlantydów, lecz zespołem naukowców i ratowników, który od kubańskiego rządu otrzymał koncesję na poszukiwanie wraków statków w okolicznych wodach. Nigdy przedtem nie wydano takiego zezwolenia, lecz choć poszukiwania takie są kosztowne, mogą również przynieść ogromne korzyści: specjaliści uważają, iż u wybrzeży wyspy spoczywają na dnie statki hiszpańskie z ogromnymi bogactwami, wartymi miliardy dolarów⁶.

Nikt nie spodziewał się, że na głębokości 700 metrów można natrafić na zatopione miasto, które znalazło się tam zapewne w wyniku potwornej katastrofy tektonicznej, ale nie wskutek podniesienia się poziomu morza. Należy jednak pamiętać, że jedno nie wyklucza drugiego i potężny wstrząs tektoniczny mógł nastąpić w czasach globalnego podnoszenia się poziomu wód, co idealnie pasowałoby do mitu o Atlantydzie.

Oto kilka komentarzy nadesłanych przez Reutera:

Kanadyjska oceanograf rosyjskiego pochodzenia, Pauline Zelitsky z Advanced Digital Communications z Brytyjskiej Kolumbii, oglądając taśmy przedstawiające dno morskie sfilmowane przez robota, powiedziała: „Przekroczyliśmy granicę znanego świata. Jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy oglądają wody wokół Kuby poniżej 50 metrów. To takie podniecające. Odkrywamy wpływ prądów na globalny klimat, aktywność wulkanów, historię formowania się Karaibów, liczne historyczne wraki, a nawet zatopione miasto, zbudowane w czasach prehistorycznych przez wysoko rozwiniętą cywilizację, podobną do kultury Teotihuacan na Jukatanie”.

Dalej czytamy, że Advanced Digital Communications, w której pracuje Zelitsky, „jest najpoważniejszą wśród czterech zagranicznych firm na tym terenie” i że – testując sprzęt w Zatoce Hawańskiej – zlokalizowała przy okazji wrak USS „Maine”, który w 1898 roku wybuchł w tajemniczych okolicznościach i zatonął:

ADC badała również pasmo podwodnych wulkanów na głębokości około 1500 metrów u zachodniego końca Kuby, który miliony lat temu był połączony paskiem lądu z półwyspem Jukatan.

A co najciekawsze, sonar wykrył na głębokości około 660 metrów rozległy płaskowyż z wyraźnie zarysowaną miejską infrastrukturą, częściowo pokrytą piaskiem. Z góry widać było budowle przypominające piramidy, a także drogi i budynki.

Zelitsky relacjonuje: „Na ekranie sonaru wysokiej rozdzielczości zobaczyliśmy nieskończoną płaszczyznę białego piasku, a w jej środku ogromne budowle będące dziełem człowieka. Zdawało się, że lecimy samolotem nad ogromnym miastem i oglądamy autostrady, tunele i budynki”.

W wywiadzie, którego udzieliła w swoim biurze w Tarara na wybrzeżu na wschód od Hawany, badaczka powiedziała: „Nie wiemy, co to jest, i nie dysponujemy filmem wideo, lecz nikt z nas nie wierzy, aby natura była zdolna do tworzenia rozplanowanych, symetrycznych obiektów architektonicznych – chyba że to jakiś cud”⁷.

Kiedy pierwsze wydanie *Tajemnic podwodnych miast* było w druku, wciąż nie rozwiązano zagadki podwodnego miasta u wybrzeży Kuby. Czy istotnie jest to miasto? A może sonar miał halucynacje? Z czasem się dowiemy.

Aby jednak dowiedzieć się jak najwięcej, poprosiłem Sharifa o przeprowadzenie kilku telefonicznych rozmów. Pierwszą odbył z Paulem Weinzwegiem, współzałożycielem ADC (i mężem Pauline Zelitsky), który potwierdził informację Reutera:

Obraz z sonaru przedstawiał formacje długości kilku kilometrów. Obiekty są bardzo wielkie, niektóre liczą aż 400 metrów. Wysokość kilku oceniamy na 40 metrów. Mają zróżnicowane kształty, ale równocześnie widać architektoniczną symetrię. Pokazaliśmy je naukowcom z USA, Kanady i Kuby. Wszyscy zgadzają się, że to nie są formacje geologiczne. Przeprowadziliśmy również dokładną batymetrię tej okolicy. Warto zwrócić uwagę, że szelfowe tarasy opadają równomiernie. Dla mnie jest oczywiste, że to jakiś wielki ośrodek przedklasycznej albo może atlantydzkiej kultury, który zatonął wskutek geologicznej katastrofy. Zaobserwowaliśmy w okolicy kilka uskoków i jakiś starożytny wulkan. Odkrycia dokonaliśmy u wybrzeży Cabo San Antonio, przy zachodnim końcu Kuby⁸.

Jednym z naukowców, który popierał tezę o niegeologicznej naturze tych formacji, jest dr Al Hine, geolog morski na University of South Florida. Obejrząwszy obrazy z sonaru, powiedział:

Niesamowite. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale z drugiej strony może istnieć całkiem racjonalne wytłumaczenie. Chcą tam prowadzić prace archeologiczne. Nie zapominajmy, że trzeba brać pod uwagę różne interpretacje. Odkrycie jest naprawdę warte dalszych badań⁹.

Kolejny komentarz pochodzi od Grenville’a Drapera z Florida International University, eksperta neotektoniki Kuby i jej rejonu. Uważa on za nieprawdopodobne, aby jakiegokolwiek ruchy tektoniczne były w stanie spowodować osunięcie się kilku kilometrów kwadratowych lądu na głębokość 700 metrów w czasach, gdy na Kubie osiedli ludzie:

Żadne zdarzenie na taką skalę nie przechowało się w ludzkiej pamięci, nawet w rejonie Morza Śródziemnego. Jedyne wytłumaczeniem może być to, że „obiekty” znalazły się w tym miejscu wskutek podwodnego zsunienia się ładu, a to wydaje się możliwe, a nawet prawdopodobne w rejonie Cabo San Antonio¹⁰.

Opowieść o zatopieniu

Na razie żadna z tych hipotez nie wydaje mi się do przyjęcia. Trzeba jednak poczekać na rezultaty badań.

W odniesieniu do Drogi Bimini jeszcze nie rozważano kilku ciekawych kwestii. Nikt na przykład nie zastanawiał się nad związkiem między kopcami w kształcie konika morskiego czy rekina na powierzchni wyspy z geometryczną mozaiką podwodnej Drogi Bimini. Ani zwolennicy, ani przeciwnicy sztucznego pochodzenia Drogi Bimini nie zastanawiali się nad topografią i losem wyspy w końcu epoki lodowcowej. Kiedy latem 2001 roku otrzymałem od Glenna Milne’a mapy tego rejonu, zorientowałem się, że nie dalej jak 6000 lat temu Bimini stanowiło część wielkiej przedpotopowej wyspy leżącej za Golsztrzem, naprzeciwko Florydy. Bardzo blisko północno-zachodniego krańca owej paleowyspy znajdowały się obecne Paradise Point i Droga Bimini.

Otóż pytam: czy istnienie wielkiej i z pewnością zamieszkałej wyspy w bezpośrednim sąsiedztwie Drogi Bimini około 6000 lat temu nie sugeruje, iż istotne informacje o jej budowniczych mogą obecnie leżeć głęboko pod wodą? Przecież aż do dziś nie prowadzono żadnych prac archeologicznych w wodach Wielkiej Ławicy Bahamskiej.

W lipcu 2001 roku, po drugiej serii nurkowań u wybrzeży Bimini, tym razem z ekipą Channel 4, poleciałem na Florydę, żeby podzielić się swoimi wątpliwościami z dr. Johnem Giffordem z University of Miami, współautorem cytowanego wcześniej sprawozdania National Geographic Society i jednym z najpoważniejszych zwolenników tezy o naturalnym pochodzeniu Drogi Bimini.

GH: John, kiedy zacząłeś się interesować Bimini? Kiedy się to wszystko zaczęło?

Gifford: Przybyłem na University of Miami jako absolwent we wrześniu 1969 roku.

Wtedy w lokalnej prasie przeczytałem artykuły o odkryciu na północ od Bimini. Nazywano je Atlantyda, a dziekan mojego wydziału, F.G. Walton Smith, uznał, że to dobra okazja do badań dla kogoś, kto – jak ja – interesował się zarówno archeologią, jak i geologią. Polecił mi więc udać się na miejsce i zorientować się, czy to obiekt archeologiczny, czy też geologiczny.

GH: Czy tylko o to chodziło w twoich badaniach na Bimini, czy też może miały szerszy zakres?

Gifford: W 1969 roku był to temat numer jeden, a ludzie pytali nas, co możemy powiedzieć o Atlantydzie, więc musieliśmy wyrobić sobie zdanie.

Gdy spytałem go o wiek Drogi Bimini, okazało się, iż nie polegał wyłącznie na budzącym sprzeczne opinie datowaniu radiowęglowym próbek kamienia, starał się też określić wiek morskich muszli pod blokami.

GH: Odłóżmy teraz na bok kwestię, czy Droga Bimini jest naturalną, czy też sztuczną formacją. Powiedz tylko, ile lat liczy.

Gifford: Ten osad ma mniej niż 6000 czy 7000 lat.

GH: Jak ustaliłeś te daty?

Gifford: W początkach lat 70. wydobyliśmy materiał spod tych bloków w różnych miejscach, między innymi dobrze zachowane morskie muszle mięczaków. Poddaliśmy je testom, które określiły ich wiek na 6000–7000 lat.

Powiedziałem Giffordowi, że mapy Milne'a dowodzą, iż w tym samym okresie za Drogą Bimini rozciągała się wielka wyspa – stały ląd, całkiem odmienny od malutkich skalistych i piaszczystych wysepek, które dotrwały do naszych czasów:

GH: Nie wiem, jakiego rodzaju był to ląd. Czy w swojej pracy zajmowałeś się tą kwestią?

Gifford: Nie.

GH: Ale mnie się wydaje, że mógł się nadawać do zasiedlenia w czasie, gdy Amerykę Północną pokrywały lodowce...

Gifford: Z pewnością.

GH: Czy mogli tam żyć ludzie?

Gifford: To przyszło do głowy wielu innym naukowcom, również mnie. Myślę, że należało na Bahamach poszukać jakichś archeologicznych dowodów, nie tylko pod wodą, ale także na lądzie.

GH: Oczywiście, na lądzie też.

Gifford: Ale kiedy zbadano wszystkie Wyspy Bahama, okazało się, że najstarsze osiedle liczy tylko 3000 lat.

GH: A czy prowadzono badania archeologiczne pod wodą?

Gifford: Jeśli chodzi o prehistoryczną archeologię podmorską, to bardzo niewiele. Sporo ekip poszukiwało wraków, ale dopiero 10 lat temu zaczęto myśleć o zbadaniu Błękitnych Dziur na Bahamach. Tam należałoby szukać pozostałości po prehistorii. Słyszałem, że w niektórych miejscach na dużej głębokości znaleziono ludzkie kości. Myślę jednak, że są znacznie młodsze i zsunęły się ze stoków. Ławica Bahamska była kiedyś ogromnym obszarem, mogło tam żyć wielu ludzi. Śladów ich bytności należałoby szukać na wyspach, które pozostały po tym lądzie.

GH: Jeśli przyjmiemy, że Wielka Ławica Bahamska była w epoce lodowcowej ogromną wyspą, to nawet gdyby archeolodzy przeszukali każdy kawałeczek ładu ponad wodą, i tak badania objęłyby 10–15% tej dawnej wyspy. To znaczy, że 90% nigdy nie zostanie przeszukane.

Gifford: To prawda.

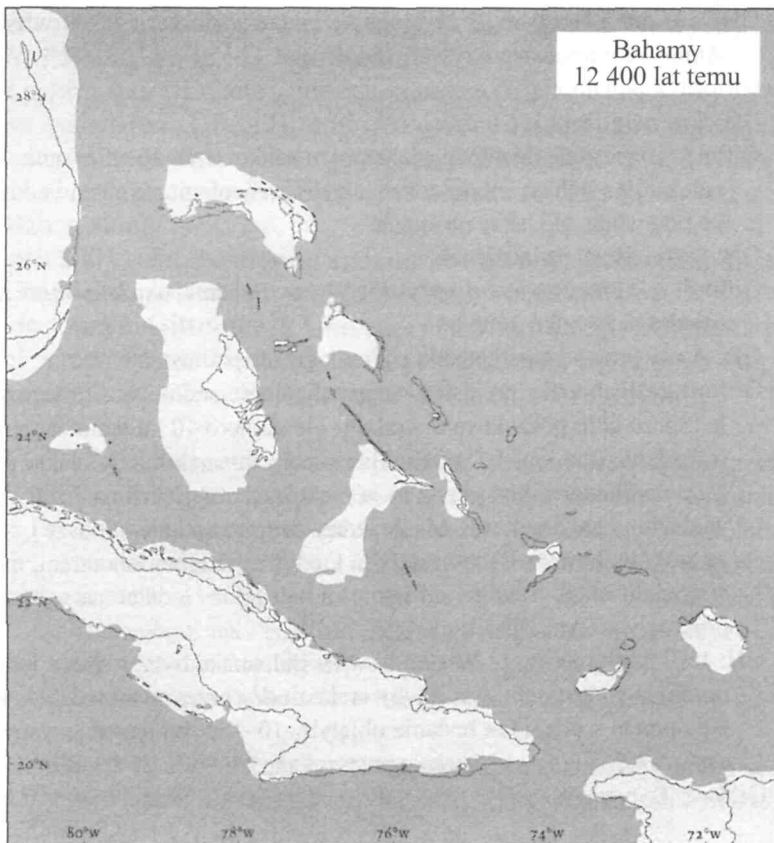
GH: Czy powinno się wyciągać wnioski przed przeprowadzeniem badań archeologicznych?

Gifford: No cóż, nie... ale taka jest rzeczywistość. Nikt, żadna organizacja nie zechce finansować podwodnych badań archeologicznych na Bahamach...

Spóźniony potop

Oto przykład samospełniającej się przepowiedni. Naukowcy doszli do wniosku, że w wodach wokół Bahamów nie ma czego szukać, w rezultacie nie podjęto tam żadnych poważnych prac archeologicznych. Rzeczywiście nic nie znaleziono. A fakt ten z kolei wzmacniał przekonanie, iż nie ma tam nic, czego warto szukać. Jednym słowem – błędne koło.

Mapy Milne'a wykazują, że Bimini dawno temu była nie jedną, lecz trzema dużymi wyspami, otoczonymi kilkoma mniejszymi. W epoce lodowcowej panował tam bardzo przyjazny dla ludzi klimat. Mapa zatopień sprzed 12 400 lat ukazuje na północy wyspę w kształcie półksiężyca, leżącą w okolicy obecnej Wielkiej Ławicy Bahamskiej, Wielkiego Abaco i Małego Abaco. Patrząc zgodnie



z ruchem wskazówek zegara, na południowym wschodzie natrafimy na drugą zaginioną wyspę. Rozciągała się w miejscu zatoki Tarpum pod Eleutherą, następnie łączyła się wąskim przesmykiem Exuma Cays ze znacznie większym obszarem lądowym, dochodzącym na południu aż do Kuby, także wówczas znacznie większej. Na północny zachód w kierunku Florydy, obejmując dzisiejszą wyspę Andros i większą część Wielkiej Ławicy Bahamskiej, znajdowała się trzecia, największa z przedpotopowych wysp, na której końcu widać obecną Bimini i Drogę Bimini.

Mapa na stronie 360 przedstawia pewne ubytki rejonów przybrzeżnych tych trzech głównych wysp, lecz w zasadzie ich zarys pozostał niezmieniony, co dowodzi, iż przetrwały one ostatni z trzech superpotopów około 7000 lat temu. Ale na kolejnej mapie, ukazującej stan w sprzed 4800 lat (strona 361) wysp już nie ma. Przyczyną najprawdopodobniej była tak zwana transgresja flandryjska, ostatni, spóźniony epizod w historii topnienia lodowców, który nastąpił między 6000 a 5000 lat temu.

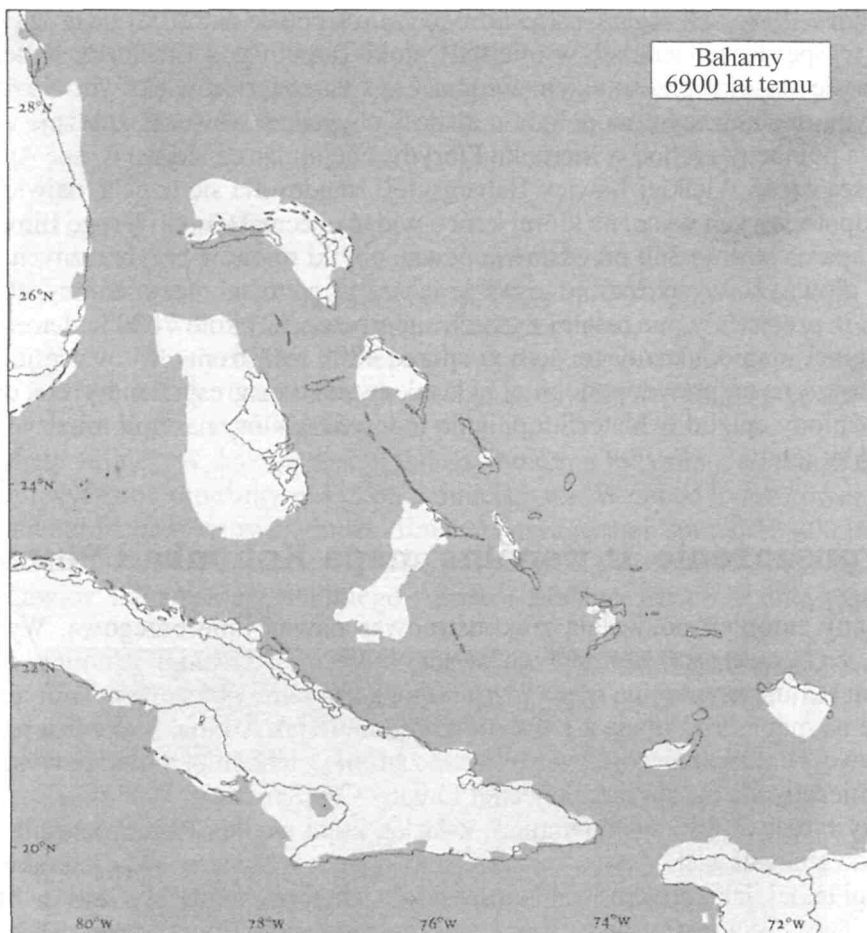
Przypuszczenie 1: wspólna mapa Kolumba i Pinzona

Mapy zatopień pozwalają zrekonstruować dawną linię brzegową. Wynika z nich, że ogromna przedpotopowa wyspa, której część Bimini stanowiła aż do 6000 lat temu, przypomina nieco rozmiarem, kształtem i położeniem „mityczną” Antilię na mapie Pizzagana z 1424 roku. Podobnie jak Antilia, w pobliżu przedpotopowej Bimini znajdowały się nawet po stronie zachodniej mniejsze wysepki, które mieściły się na obszarze obecnej Ławicy Cay Sal.

Czy możliwe, by owa tajemnicza książka, która według Reisa zachęciła Kolumba do szukania zachodniego krańca Atlantyku, mogła zawierać mapę tego akwenu w wersji takiej, jaką proponował Nordenskiöld, czyli pochodzącej z czasów Marinosa z Tyru? Inne mapy wywodzące się z tej tradycji kartograficznej, jak mapy Oceanu Indyjskiego Cantina i Reinała oraz liczne portolany ukazujące Hy-Brasil, przedstawiają wspomnienia przeszłości, czyli „zjawy” linii brzegowej i topografii z epoki lodowcowej. Nie jest zatem wykluczone, iż mapa w książce Kolumba odzwierciedlała zachodnie obszary Atlantyku, nim zalało je wznoszące się morze. Jeśli Bimini na oryginalnej, źródłowej mapie „morskiej ryby z Tyru” narysowano w takiej postaci, jaką miała w okresie między 12 000 a 6000 lat temu, teoretycznie mogła stać się pierwowzorem „mitycznej” wyspy Antilii, którą zaczęto przedstawiać na portolanach 70 lat przed odkrywczymi wyprawami Kolumba.

Z jakichś nieznanych nam powodów Kolumb szczególnie interesował się Antilią. Z rozmaitych źródeł wynika, że zdawał sobie sprawę, iż zarys Antilii na XV-wiecznych portolanach zawdzięczać trzeba wytrawnym żeglarzom fenickim (a raczej kartagińskim).

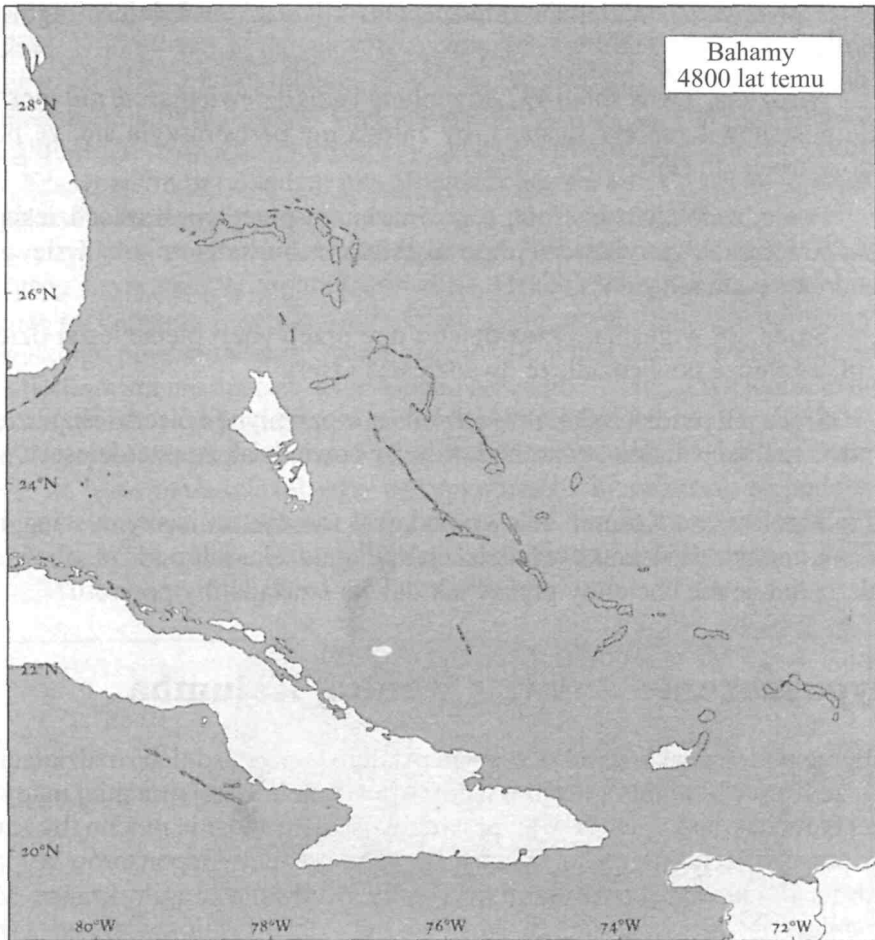
Arystoteles opowiada, że pewien kartagiński kupiec przepłynął Morze Oceaniczne i natrafił na żyzną wyspę, którą Portugalczycy pokazywali mi na swoich mapach pod nazwą Antilia¹¹.



Istotnie, zanim udało mu się przekonać Hiszpanów do sfinansowania wyprawy do Nowego Świata, „najpierw narzucał się dworowi portugalskiemu, żądając nieustannie zorganizowania wyprawy, gdyż chciał sprawdzić, czy Antilia, zaznaczona na pewnych mapach, rzeczywiście istnieje”¹².

Pisałem już o pewnych kwestiach, które ujawniły się w związku z ową książką Kolumba oraz o przypuszczeniach, iż zawierała ona starożytne mapy morskie Atlantyku, ukazujące również niektóre części Nowego Świata. Domniemanie, iż taka właśnie mapa wpadła w ręce Kolumbowi, dodatkowo potwierdzają wyjątki z jego *Dzienników* z pierwszej wyprawy, których skróconą wersję opublikował jego przyjaciel, zakonnik Bartolome de las Casas¹³.

Podróż przez Atlantyk rozpoczęła się w porcie Gomera na Wyspach Kanaryjskich 6 września 1492 roku. Trzy tygodnie później Kolumb i jego trzy niewielkie karawele znalazły się na bezkresnym, nieznanym Morzu Oceanicznym, dokąd – jak mniemano – nikt jeszcze nie dotarł, by sporządzić mapę. Tym dziwniej brzmi następujący ustęp:



25 września 1492, wtorek. Admirał [Kolumb, którego król i królowa Hiszpanii obdarzyli tytułem Admirała Morza Oceanicznego] rozmawiał z Martinem Alonsem Pinzonem [zastępcą Kolumba], kapitanem karaweli „Pinta” o mapie, którą Admirał wysłał mu trzy dni wcześniej i na której zaznaczone były jakieś wyspy. Martin Alonso też był zdania, że powinni znajdować w pobliżu tych wysp. Admirał uważał, że powinni się już na nie natknąć, lecz nie nastąpiło to zapewne z powodu prądów, które zniosły ich na północny wschód. Admirał poprosił o zwrot mapy, którą przeciągnięto za pomocą liny, a Admirał z pilotem i żeglarzami zaczęli zaznaczać na niej naszą pozycję¹⁴.

Moim zdaniem Kolumb i Pinzon rzeczywiście mieli mapę (lub mapy) ukazującą pewne obszary Nowego Świata i drogę przez Atlantyk, która do niego wiodła. Wyjaśnia to również, dlaczego Kolumb konsekwentnie i z uporem pomniejsza

odległość podawaną codziennie załodze. Oto kilka odpowiednich fragmentów *Dziennika*:

Niedziela, 9 września 1492. Przepłynęli dziś dziewiętnaście mil morskich, ale postanowił zaniżyć dystans, by załoga nie przestraszyła się, że podróż może trwać dłużej¹⁵.

Poniedziałek, 10 września. Tego dnia i nocy przepłynęli sześćdziesiąt mil, ale powiedział, że tylko czterdzieści osiem, żeby ludzie nie bali się, gdyby podróż się przedłużała¹⁶.

Środa, 26 września. Przez dzień i noc przepłynęli pięćdziesiąt dziewięć mil, a załozde powiedział, że dwadzieścia cztery¹⁷.

Środa, 10 października. Przez dzień i noc przepłynęli pięćdziesiąt dziewięć mil na zachód południowy zachód; załozde powiedział, że czterdzieści cztery¹⁸.

Czy możliwe, że Kolumb celowo podawał załodze mniejszy dystans, bo na podstawie mapy od początku wiedział, jak długa czeka ich podróż, obawiał się jednak, iż ludzie nie chcieliby płynąć tak daleko i zażądaliby powrotu?

Przypuszczenie 2: świat według Kolumba

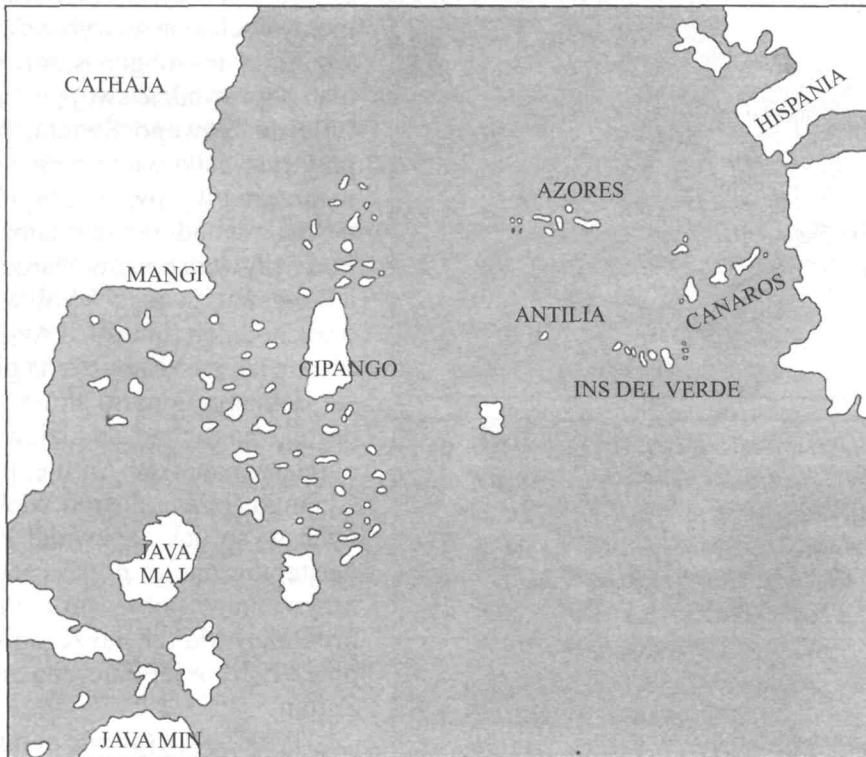
Biorąc pod uwagę wszystko, o czym pisałem w poprzednich rozdziałach, założmy, że Kolumb w jakiś sposób wszedł w posiadanie starej morskiej mapy ukazującej Nowy Świat i wierzył w jej prawdziwość dostatecznie mocno, by zaryzykować przepłynięcie Atlantyku. Wiemy, że próbował zdobyć sponsorów wyprawy, twierdząc, iż ma mapę z zarysami wybrzeży i wysp na drugim krańcu Morza Zachodniego. Musimy przyjąć, że – jeśli nie był całkiem szalony – mapa ta (będąca zapewne częścią książki, o której pisał Reis) zawierała, zdaniem Kolumba, ściśle informacje. Być może, różniła się zdecydowanie od wszystkich innych (na przykład od mapy Behaima – patrz dalej), dostępnych i znanych w 1492 roku potencjalnym sponsorom. Założmy również, że ta niezwykle ważna i przekonująca mapa nie ukazywała całego atlantyckiego wybrzeża Ameryki, lecz tylko fragmenty głównego lądu i wyspy między Florydą a Wenezuelą po zachodniej stronie Atlantyku (prawdopodobnie znajdowały się na niej również wybrzeża Europy i północnej Afryki po wschodniej stronie).

Jaki ląd i jakie wyspy spodziewał się Kolumb ujrzeć po przebyciu oceanu? Wszystko wskazuje na to, że nie Nowy Świat, lecz raczej wschodnie krańce Starożytności – a ściślej Japonii i Chin, tak jak je przedstawiali Marco Polo w *Opisaniu świata* oraz inni autorzy.

Nie był to ekscentryczny pomysł samego Kolumba, lecz powszechne przekonanie ówczesnych geografów, żeglarzy i kupców. Wszyscy uważali, że Ziemia jest kulą i można ją opłynąć wkoło w obu kierunkach. Nikt nie wiedział o istnieniu Ameryki. Zakładano, że – przynajmniej teoretycznie – można dotrzeć do

Japonii i Chin o wiele szybciej i bezpieczniej, płynąc z Europy poprzez Atlantyk na zachód. Uniknie się w ten sposób ogromnych trudów podróży lądowej, jaką przedsięwziął Marco Polo, udając się XIII wieku na dwór Wielkiego Chana.

Informacje te były powszechnie znane, znajdowały bowiem odbicie na mapach i globusach w czasach poprzedzających przepłynięcie Atlantyku przez Kolumba. Klasycznym przykładem jest globus Behaima, który powstał na początku 1492 roku. Kolumb widział go w miesiącach poprzedzających wyprawę¹⁹. Globus stworzył geograf Martin Behaim (Martin z Bohemii, czyli Czech). Widać na nim Wyspy Brytyjskie, Hiszpanię, północną Afrykę i Wyspy Kanaryjskie rozciągające się od Cipango (czyli Japonii), Chin, „Większych Indii” i Archipelagu Indonezyjskiego poprzez Morze Oceaniczne, około jedną trzecią szersze niż Atlantyk²⁰. Między nimi nie ma oczywiście śladu Nowego Świata, gdyż Kolumb odkrył go kilka miesięcy później. Ale dla efektu Behaim umieścił na mapie jakieś „mityczne” wyspy – między innymi Wyspę Świętego Brendana i Antilię. Warto zauważyć, że tę ostatnią ukazał jako wysepkę małą i niepozorną, niepodobną do wielkiego, niemal prostokątnego lądu, jakim była Antilia na mapie z 1424 roku. Ale co dziwniejsze, wyspa o zbliżonym do prostokąta kształcie, ułożona z północy



Zarysy linii brzegowych i nazwy na globusie Martina Behaima z 1492 roku.
Według Fiskego (1902)

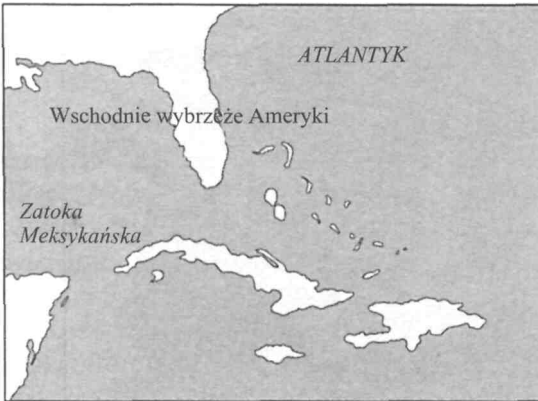
na południe, pojawia się na globusie Behaima bardziej na zachód, na Morzu Oceanicznym niedaleko Chin. Behaim nadaje jej nazwę Cipango (Japonia) i otacza mnóstwem mniejszych wysp.

Inne mapy z tego okresu, przedstawiające Cipango w kształcie Antilii, to mapa świata Yale-Martellusa z 1489 roku i mapa świata Contariniego-Rossellego z 1506 roku²¹.

Wszystkie mają jedną wspólną cechę – Morze Oceaniczne jest na nich znacznie rozleglejsze, niż jakikolwiek żeglarz mógłby sobie w XV wieku wyobrazić, a tym bardziej chcieć pokonać, Kolumba nie wyłączając. Jeszcze jeden powód, dla którego możemy przypuszczać, iż jego tajemnicza mapa ukazywała rzeczywistą szerokość Atlantyku: ogromny obszar wód... ale Kolumb uznał, że warto spróbować.

Przypuszczenie 3: do Azji z mapą Ameryki?

Pragnę tu podkreślić, że Kolumb – posiadając hipotetyczną, dokładną, lecz



Porównanie wschodniego wybrzeża Ameryki ze wschodnim wybrzeżem Azji

przestarzałą mapę „morskiej ryby z Tyru”, ukazującą niektóre fragmenty wschodniego wybrzeża i wyspy Ameryk – mógł posługiwać się nią i poprowadzić swoją małą flotyllę do Nowego Świata, będąc przy tym całkowicie pewnym, iż wybrzeża i wyspy, do których dotarł, są wschodnimi rejonami Azji. Pod wpływem opisów Marco Polo i Ptolemeusza jego wyobrażenie o wschodnich rubieżach Azji było bliskie ich wizerunkowi na globusie Behaima. Innymi słowy – podążając na zachód, spodziewał się najpierw napotkać Antilię, potem Cipango (leżącą pośród wielu innych wysp, jak zapewniał Polo). Następnie chciał dotrzeć do zakrzywionego półwyspu chińskiej prowincji Mangi, także opisanego przez Polo, z jej bajeczną stolicą Zaitun.

Tymczasem (proszę pamiętać, że to przypuszczenia) zarówno Kolumb, jak i Pinzon kierowali się przedpotopową mapą, która nie

przedstawiała Japonii i Chin, lecz Amerykę i Karaiby między Florydą a Wenezuelą. Mapa ukazywała przedpotopową Bimini (połączoną z Andros i będącą suchym lądem Wielką Ławicą Bahamską) jako ogromną wyspę o kształcie i położeniu zbliżonym do Antilii z weneckiej portolany z 1424 roku, lecz wykazującą jeszcze większe podobieństwo do Cipango na globusie Behaima.

Z map Milne'a wiemy, że przedpotopową Bimini także otaczały inne wyspy – podobnie jak Cipango według Kolumba. Możliwe, że wziął za Cipango kartograficzną „zjawę” przedpotopowej Bimini sprzed 6000 lub więcej lat, a Amerykę Środkową uznał za główny ląd leżący za półwyspem Mangi.

Często pisze się, że błędne rozpoznanie przez Kolumba topografii rejonu, który odkrył, oraz zamęt, jaki miał z tego powodu w głowie, wynikały z głębokiego przekonania, iż dopłynął do Azji. Lecz moim zdaniem (wciąż są to domysły) prawdziwym powodem rozdzźwięku między oczekiwaniami a realnymi faktami była mapa ukazująca zarysy przedpotopowych lądów, które w 1492 roku od dawna znajdowały się pod wodą. Mimo to wyspy i lądy tej części Nowego Świata, do których zdołał dotrzeć, w jakimś stopniu odpowiadały jego oczekiwaniom i jawiły się mu jako wybrzeża Azji (patrz mapki na stronie 364).

Widać to wyraźnie w zapiskach z pierwszej wyprawy. Pierwsze lądowanie nastąpiło na San Salvador 12 października 1492 roku²², w miejscu nieodległym od grupy przedpotopowych wysp wokół Bimini sprzed 6000 lat. Jeżeli mapa Kolumba zawierała zarysy tych wysp-zjaw – z których największą uznał za Cipango – zapewne był rozczarowany i zdezorientowany, kiedy nie udało mu się natrafić na żadną większą wyspę w tym rejonie. Może doszedł do wniosku, iż mapa, na której tak bardzo polegał, jest po prostu niedokładna, albo też uznał, iż podążał niewłaściwym kursem.

Według *Dziennika* Kolumb uważał, iż jego flotyła została zniesiona za daleko na północny wschód przez prądy oceaniczne²³. Interesujące zatem, że po opuszczeniu San Salvador wybrał kurs na południowy zachód, przez charakterystyczne, małe ławice koralowe, którymi dziś usiane jest morze, starając się odnaleźć szlak prowadzący na wyspy otaczające Cipango:

Niedziela, 21 października 1492. Popłynąłem na poszukiwanie innej wielkiej wyspy, którą mam nadzieję, będzie Cipango, gdyż takie informacje uzyskałem od Indian wziętych na pokład. Nazywają tę wyspę Colba [Kuba]. Stamtąd zamierzam płynąć do głównego lądu, żeby odwiedzić miasto Guisay [Cinsai] i doręczyć listy Waszych Królewskich Mości [Ferdynanda i Izabeli] Wielkiemu Chanowi, z prośbą o odpowiedź²⁴.

Wtorek, 23 października. Mam teraz zamiar udać się na Kubę, która moim zdaniem jest Cipango, gdyż świadczą o tym rozmiary i bogactwa, o których mówią miejscowi²⁵.

Środa, 24 października: To musi być Cipango, o którym słyszeliśmy tyle wspaniałych rzeczy. Według globusów i map świata, które widziałem, musi być gdzieś niedaleko²⁶.

Podczas pierwszej wyprawy Kolumb nie zdołał całkowicie zbadać Kuby, podczas drugiej zmienił zdanie i uznał, że to nie Cipango, lecz część południowo-wschodnich Chin. Stało się tak dlatego, że wyspiarze powiedzieli mu, iż „Kuba nie ma końca na zachodzie” i opowiedzieli o „ludzie Mangon, żyjącym w prowincji na zachodzie”²⁷. Charles Duff wyjaśnia:

Nazwa Mangon rozpałała wyobraźnię Kolumba, który od razu skojarzył ją z Mangi Marco Polo, południową prowincją Chin, „najwspanialszą i najbogatszą prowincją na całym Wschodzie”²⁸.

[Kolumb] znajdował się wówczas dwa lub trzy dni drogi morskiej od Kuby, której odkrycie powinno rozwiązać jego przekonanie, iż jest ona połączona z kontynentem azjatyckim. Tymczasem był absolutnie pewny, że Kuba stanowi najdalej na wschód wysunięty kraniec Azji, a reszta załogi się z nim zgadzała. Kolumb nigdy nie wyzbył się tej wiary i do końca swych dni trwał w niej niewzruszenie. Sen stał się dlań rzeczywistością²⁹.

Mimo serii odkryć i udoskonalenia map, marzenie to dla wielu innych pozostawało nadal rzeczywistością. Stąd napis umieszczony na mapie świata Contariniego-Roselliego obok wybrzeża Azji głosił, że „Kolumb popłynął na zachód do prowincji Ciamba, regionu Chin naprzeciwko Cipango”³⁰.

Na koniec – jakkolwiek mogło się to wydawać nieprawdopodobne – Kolumb ostatecznie zdecydował, że wyspa Hispaniola była Cipango z jego marzeń³¹.

Jak wcześniej wspominałem, Gregory McIntosh przedstawił dość frapującą koncepcję, iż kopię oryginalnej mapy narysowanej przez Kolumba, na której Kubę przedstawiono jako część Ameryki Środkowej, włączono do słynnej mapy Piri Reisa z 1513 roku. Warto w tym miejscu podkreślić (szczególnie w odniesieniu do fragmentu mapy zapożyczony od Kolumba), że widzimy tam ogromną wyspę-zjawę o mniej więcej tym samym kształcie, wielkości i położeniu na osi północ-południe, co przedpotopowa Bimini. Podobieństwo to staje się tym wyraźniejsze, że – jak czytelnik może się zorientować, patrząc na mapę na sąsiedniej stronie – na owej wyspie-zjawie wyraźnie zaznaczono rząd ogromnych kamiennych płyt, ułożonych w sposób do złudzenia przypominający zatopioną obecnie Drogę Bimini. McIntosh nie wypowiada się na temat tego megalitycznego obiektu na mapie z 1513 roku. Uważa jednak, że potrafi wyjaśnić obecność nieistniejącej wyspy bez odwoływania się do stanu sprzed potopu.

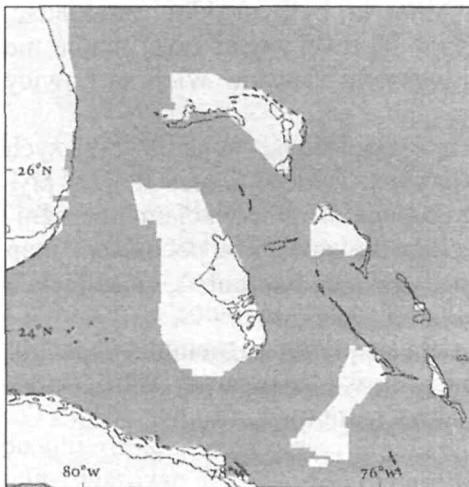
Jest to dziecinnie proste – dowodzi. Owej wielkiej, skierowanej z północy na południe wyspy nie można obecnie odnaleźć z powodu błędnego przedstawienie przez Kolumba wyspy Hispaniola w taki sposób, by przypominała Cipango, którą w jego przekonaniu była³².

Ale Hispaniola (dziś podzielona między Haiti a Republikę Dominikany) rozciąga się raczej wzdłuż osi wschód-zachód niż północ-południe, a wyspa o mniej więcej tej samej wielkości i położeniu wschód-zachód, mająca być Hispaniolą, rzeczywiście pojawia się na mapie Piri Reisa. Ale McIntosh pomija ten fakt, przypominając nam (słusznie), że Kolumb przyjął ogólną koncepcję zgodną z globu-

sem Behaima – czyli że Cipango ma położenie północno-południowe³³. McIntosh dowodzi, że wielki odkrywca był tak przekonany do tej koncepcji, iż na mapach nakreślonych podczas drugiej wyprawy (jedną z nich skopiował Piri Reis) po prostu odwrócił Hispaniolę o 90°, tak że teraz leży w kierunku północ-południe, w rezultacie: „Zarysem i ukierunkowaniem Hispaniola na mapie Piri Reisa uderzająco przypomina Cipango z XV i XVI wieku”³⁴. McIntosh dodaje:



Wyspa-zjawia na Karaibach
według mapy Piri Reisa



Wielka Ławica Bahamska
wystająca ponad wodę 6900 lat temu

Trudno pogodzić się z faktem, że Kolumb, prawdopodobnie najwytrawniejszy żeglarz swoich czasów, przeinaczył położenie Kuby i Hispanioli aż o 90°. Ale dla Kolumba w 1495–1496 roku (kiedy sporządzono mapę, którą potem posłużył się Piri Reis) odwrócenie Hispanioli o 90°, aby nadać jej właściwe ukierunkowanie, byłoby równoznaczne z przyznaniem, iż nie jest to Cipango, a wyprawa do Indii skończyła się fiaskiem³⁵.

W gruncie rzeczy jest to kwestia dyskusyjna, a McIntosh prześlizguje się nad nią zbyt szybko. Kolumb mógł kierować się powszechnym przekonaniem, opartym na dość niejasnych relacjach Marco Polo, że Cipango rozciąga się z północy na południe, ale był nie tylko marzycielem, lecz także człowiekiem praktycznym, a przede wszystkim żeglarzem. Nie sądzę, by upierał się przy przekonaniu, iż Cipango leży na osi północ-południe, gdyby wyspa, którą uznawał za Cipango, miała kierunek ze wschodu na zachód. Stwierdziłby, że jeszcze nie natrafił na Cipango albo że opowieści starych podróżników o ukierunkowaniu wyspy z północy na południe są bajkami, a jego własny pomiar, oparty na naukowych i praktycznych przesłankach, należy uwzględnić na przyszłych mapach.

Hispaniola została odkryta przez Kolumba podczas pierwszej wyprawy, wówczas nazwał ją nie Cipango, lecz La Isla Española – Wyspa Hiszpańska. Utożsamienie przez McIntosha Hispanioli z dziwną, położoną na osi północ-

–południe wyspą na mapie Piri Reisa zyskuje potwierdzenie poprzez fakt, iż Piri nazywa ją dosłownie „wyspą zwaną Wyspą Hiszpańską”. Za dodatkowe potwierdzenie uznał McIntosh nazwę – Paksin vidad. „Jest to bez wątpienia Navidad, czyli nazwa pierwszej osady w Nowym Świecie, założonej na północnym wybrzeżu Hispanioli”³⁶.

To utożsamianie Hispanioli z Cipango, do którego, zdaniem McIntosha, Kolumb tak bardzo dążył, przeszło do innych źródeł i przetrwało nawet do czasów, gdy Hispanioli nikt już nie mylił z Cipango. Tak więc w legendzie mapy Ruyscha z 1507 roku czytamy, że „to, co Hiszpanie nazwali Hispaniolą, jest także Cipango”³⁷. Podobnie Oronteus Finnaeus na swojej mapie świata z 1534 roku nazywa Hispaniolę Cipango³⁸.

Sprawę jeszcze bardziej skomplikowały inne źródła, na których Hispaniolę utożsamia się nie z Japonią, lecz z Antilią – na przykład opublikowane w 1606 roku listy odkrywcy Amerigo Vespucciego³⁹. To z kolei ma niewątpliwie związek z szeroko rozpowszechnioną po pierwszej wyprawie Kolumba, zwłaszcza wśród Portugalczyków opinią, że „wyspy, które odkrył, są legendarną Antilią, a nie wybrzeżem Azji”⁴⁰. Dlatego właśnie Wyspy Karaibskie na współczesnych mapach wciąż nazywa się Antylami⁴¹.

W tym całym zamęcie warto docenić teorię McIntosha, pamiętając jednak, że jest ona tylko hipotezą i że mogą istnieć inne interpretacje Hispanioli/Cipango na mapie Piri Reisa. Niewykluczone na przykład, że nazwy tak silnie kojarzące się z Hispaniolą (wyspa zwana Wyspą Hiszpańską, Paksin vidad) nie znajdowały się na oryginalnej mapie Kolumba, lecz zostały tam umieszczone przez samego Piri Reisa.

Biorąc pod uwagę zbieżność topografii epoki lodowcowej z innymi mapami w omawianym okresie oraz wagę, jaką przywiązywano do anachronicznych map ukazujących zarysy linii brzegowej Morza Zachodniego, które Admirał prawdopodobnie posiadał przed odkryciem Ameryki, byłbym skłonny zakładać, że Kolumbowe Cipango i otaczające je wyspy na owej zagadkowej mapie nie były niczym innym, jak przedpotopowymi wyspami-zjawami Wielkiej Ławicy Bahamskiej.

Idąc dalej, można nawet przypuszczać, iż znajdujące się na najdawniejszych mapach zarysy Cipango (postrzeganego jako wyspa, do której można dotrzeć płynąc z Europy na zachód), nie mają związku z dość niejasnymi relacjami podróżników przemierzających Azję (jak się powszechnie mniema), lecz pochodzą z map „morskiej ryby z Tyru” (z których jedna wpadła w ręce Kolumba), ukazujących przedpotopową wyspę Bimini.

Ale jeśli zjawą przedpotopowej Bimini stała się pierwowzorem dla Cipango, to logicznie rzecz biorąc, nie mogła być poprzedniczką legendarnej Antilii (która często pojawia się na tych samych mapach jako Cipango).

Czy istniała poprzedniczka Antilli?

Znowu mapa Kolumba i Pinzona...

Z napisu na mapie Piri Reisa i z *Dzienników* z pierwszej wyprawy wiemy, że Kolumb dysponował mapą Atlantyku, tak ważną dla ekspedycji, że kursowała nieustannie między statkiem flagowym Kolumba, „Santa Maria”, oraz jego zastępcą Martinem Alonsem Pinzanem, kapitanem „Pinty”. Nie wiemy, co przedstawiała. Służyła na pewno za przewodnik obu kapitanom (którzy używali tylko jednego egzemplarza, nie mając kopii) i zawierała praktyczne wskazówki, dzięki którym mieli oni dotrzeć do Nowego Świata. Tak wszechstronna mapa Atlantyku nie mogła powstać w tych czasach. Przeciwnie – rolę, jaką odegrała w zakończonej powodzeniem wyprawie Kolumba, należy rozpatrywać na tle reprezentowanej przez najlepszych nawet kartografów kompletnej niewiedzy o rzeczywistych zarysach zachodniej linii brzegowej Atlantyku i wysp przy niej położonych. Gdyby ówczesni podróżnicy kierowali się wizją ze słynnego globusa Behaima czy dzieł innych współczesnych sobie geografów⁴², podróż przez ocean stałaby się koszmarem, mimo iż mapy te i tak były szczytem osiągnięć kartografii w XV wieku (i na pewno Kolumb dobrze je znał). Jeden z historyków stwierdził, że gdyby Kolumb używał map opartych na opracowaniu Behaima, „nie miałyby pojęcia, gdzie szukać Nowego Świata, nie mówiąc już o odkryciu go”⁴³.

Tymczasem wydaje się, że nie tylko orientował się, dokąd zmierza, lecz – według niektórych relacji – wiedział nawet, kiedy tam dotrze:

Pinzon i Kolumb wielokrotnie konsultowali się i wspólnie ustalali kurs. Mapa często kursowała między nimi, codziennie rejestrowano obserwacje i obliczenia, wytyczano też wspólnie nocne kursy.

W przeddzień przewidywanego dotarcia do lądu Kolumb wydał rozkaz, żeby zatrzymać armadę i zmniejszyć powierzchnię żagli, gdyż wiedział, że znajdują się blisko Nowego Świata i bał się wpaść na brzeg nocą (...).

Skąd znał miejsce i czas?

Legenda Kolumba głosi, że „jego geniusz mu to podszeptał”. A mapa? Krytycy pytają: Co zawierała? Kto ją sporządził? Co też było na niej takiego, że tak często kursowała między Kolumbem a Pinzonem⁴⁴?

Wyłożyłem już opinię, że mogła zawierać dokładne, lecz przedpotopowe zarysy linii brzegowej i wysp Ameryki Środkowej – a konkretnie ukierunkowanej z północy na południe wyspy Wielkiej Ławicy Bahamskiej, którą Kolumb, podobnie jak jego współcześni, nie mający pojęcia o istnieniu Ameryki, uznał za precyzyjny zarys części wybrzeża Chin i Wysp Japońskich.

Pewne światło rzuca na tę kwestię sam Pinzon. W 1515 roku, dziewięć lat po śmierci Kolumba, jego rodzina wystąpiła o przyznanie jej domostwa Admirała, twierdząc, iż Pinzonowi obiecano udział w zdobyczach, którego nie otrzymał. Podczas procesu okazało się, że kapitan „Pinty” także wiedział o drodze do Nowego Świata:

Arias Perez Pinzon, syn Martina Alonsa, oświadczył, że ojciec miał dokładne informacje o ziemiach na zachodzie, które uzyskał z archiwów biblioteki papieża Innocentego VIII. Świadek zeznał, że widział, jak jego ojcu przekazano dokument zawierający wskazówki niezbędne do dokonania odkrycia. Ojciec je wziął i zabrał ze sobą, a po powrocie z Rzymu do Kastylii postanowił wypłynąć, aby odnaleźć te ziemie, a ze świadkiem często rozmawiał o podróży. W tym czasie przybył Admirał z planem odkrycia tych samych ziem. Usłyszawszy o nim, ojciec świadka udał się na spotkanie z Krzysztofem Kolumbem, żeby mu powiedzieć, iż jego plan jest dobry i jeśli Admirał opóźniłby nieco przygotowania, Martin Pinzon wypłynąłby dwiema karawelami, żeby samodzielnie dokonać odkrycia. Wiedząc o tym, Admirał nawiązał bliskie kontakty z ojcem świadka i obaj zawarli porozumienie, zgodnie z którym rzeczony Martin Pinzon miał towarzyszyć Kolumbowi⁴⁵.

Z powyższego ustępu nie wynika, co dokładnie Pinzon znalazł w papieskiej bibliotece w Rzymie i skąd uzyskał „wskazówki niezbędne do dokonania odkrycia”, lecz Gregory McIntosh dowodzi, iż musiał być w posiadaniu „starego dokumentu (manuskryptu lub portolany?) opisującego mityczną wyprawę na zachód, do Cipango”⁴⁶.

Znowu Cipango...

Znamy też słowa, którymi Pinzon zachęcał żeglarzy do udziału w wyprawie Kolumba:

Przyjaciele, udajcie się z nami w tę podróż! Tu życie w ubóstwie, więc płynicie z nami! Albowiem z Bożą pomocą odkryjemy ląd, o którym powiada się, że ma domy o dachach ze złota⁴⁷.

Domy o złotych dachach znajdowały się na bajecznej wyspie Cipango opisanej przez Marco Polo⁴⁸. Oczywiście zatem, że – niezależnie od sporów, jakie wiedli ich spadkobiercy – Pinzon i Kolumb od początku podzielali przekonanie, iż pierwszym celem ich wyprawy jest Cipango i że stare dokumenty lub mapy, które posiadali, wskazują drogę do tego celu. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że „Cipango” to w rzeczywistości zarys wyspy-zjawy w archipelagu-zjawie sprzed 6000 lat i że ląd, u brzegów którego wyspa się znajdowała, nie był końcem Starego, lecz początkiem Nowego Świata.

Jest to – rzecz jasna – czysta spekulacja, hipoteza skłaniająca do szukania innych wyjaśnień. Ale i ona nie rozwiązuje kwestii Antilii.

Antilia i Satanaze profesora Fusona

Tożsamość, położenie, wielkość i orientacja mitycznej wyspy Antilii nieustannie zmieniają się w najdziwniejszy sposób na rozmaitych mapach w okresie kil-

kuset lat. Zaczęło się to w 1424 roku, kiedy na weneckiej portolanie Antilia pojawia się po raz pierwszy, przypuszczalnie w pierwotnej, najmniej zniekształconej formie. Na tej samej mapie widać też mniejszą wyspę, znajdującą się na zachód od Antilii. Należy pamiętać, iż istnieje też druga duża mityczna wyspa, Satanaze, położona na północny wschód od Antilii, a jej także towarzyszy mniejsza wyspa (zwana Saya), tym razem jednak na północy.

Identyfikacja dwóch większych wysp przez profesora Roberta H. Fusona z University of South Florida (w książce *Legendary Islands of the Ocean Sea – Legendarne wyspy Morza Oceanicznego*⁴⁹) jest moim zdaniem majstersztykiem historycznej detektywistycznej pracy i najlepiej pokazuje, w jaki sposób wyspy-zjawy mogą podróżować nie tylko w czasie, lecz i w przestrzeni, a czasem przez oba wymiary równocześnie.

Fuson wykazał, że Antilia i Satanaze, zagubione gdzieś na środkowym Atlantyku według weneckiej mapy z 1424 roku, są w gruncie rzeczy pierwszymi prawdziwymi wizerunkami pacyficznych wysp Tajwanu i Japonii na Zachodzie. W skrócie jego argumentacja brzmi tak: kartograf Pizzagano w jakiś sposób wszedł w posiadanie chińskich morskich map Tajwanu i Japonii, a ponieważ, podobnie jak Kolumb i inni, nie miał pojęcia o istnieniu Ameryki, umieścił obie wyspy na środku Atlantyku z założeniem, iż główny ląd, na którym znajdują się Chiny, leży gdzieś dalej.

Dlaczego Antilia jest Tajwanem

Fuson zaczyna dość intrygująco:

Wiele dużych azjatyckich wysp zostało opisanych na mapach przez Chińczyków w okresie nasilenia się eksploracji mórz podczas dwóch pierwszych dziesięcioków XV wieku. Jedną z owych wysp, Antilia, znana jest dziś jako Tajwan⁵⁰.

Fuson wskazuje, że – podobnie jak legendarna Antilia – na Tajwanie występują złotonośne piaski⁵¹. Ponadto

(...) w okolicy Tajwanu, jak w pobliżu Antilii, znajduje się mała wyspa (na zachodzie). Na mapie Pizzagana z 1424 roku nosi ona nazwę Ymana. Dziś to miejsce nazywa się archipelagiem Peng-Hu albo Peskadory (Wyspami Rybaków). Składa się on z 64 wysp o całkowitej powierzchni 80 kilometrów kwadratowych⁵².

Niektóre cytaty z opracowania Fusona dają pojęcie o jakości jego dowodów i sile argumentacji:

- Antilia na morskiej mapie z 1424 roku ma odpowiednią wielkość, a jej kształt odpowiada współczesnemu Tajwanowi.
- Każde z ośmiu czy dziewięciu ujść rzecznych Antilii pasuje do ujść głównych rzek Tajwanu.

- Pięć największych rzek zostało prawidłowo umieszczonych na mapie Antilii z 1424 roku. Z dziesięciu głównych rzek Tajwanu, siedem zaznaczonych jest na mapie Antilii w niemal identycznym położeniu.
- Naszkicowano wszystkie znaczące zarysy wybrzeża: zatoki, przylądki i półwyspy. Antilia i Tajwan odznaczają się też jedyną w swoim rodzaju północno-wschodnią linią brzegową. Tu wyspa kończy się ostrym, wąskim przylądkiem. Na północnym zachodzie linia brzegowa jest prosta i zaokrąglona⁵³.

Dlaczego Satanaze to Japonia

Jeśli chodzi o Japonię, dowody są równie przekonujące. Przedstawiają się następująco:

- Na mapie z 1424 roku na północ od Antilii znajdują się dwie wyspy: Satanaze i Saya. Są to bez wątpienia Wyspy Japońskie. Saya, po japońsku „strąk fasoli”, to Hokkaido, a trzy główne wyspy (Honsiu, Sikoku i Kiusiu) występują w postaci jednej wyspy Satanaze. Kanał między Kiusiu i Sikoku/Honsiu jest dobrze widoczny.
- Źródłosłów nazwy Satanaze jest oczywisty. Południowy koniuszek Kiusiu to przylądek Sata (Sata-Misaki). Około 300 kilometrów na południe, w północnej części wyspy Riukiu, znajduje się miasto Naze.
- Na mapie Satanaze/Sayi narysowano najważniejsze zatoki Japonii. Dwie z nich zasługują na specjalną uwagę. Wejście do Morza Wewnętrznego w Cieśninie Bungo ma odpowiednią wielkość, a Zatoki Tokijskiej strzeże wulkaniczna wyspa Oshima, jeden z najwyraźniejszych znaków orientacyjnych na Ziemi. Przesadne zaznaczenie elementu takiego jak Oshima wydaje się zupełnie zrozumiałe, skoro mapa przeznaczona była dla żeglarzy.
- Sayę [Hokkaido], której nie zaznaczyli na mapie nawet XV-wieczni Japończycy, przedstawiano w kształcie strąka fasoli przez ponad 300 lat. Jej zarys na weneckiej mapie z 1424 roku ukazuje najważniejsze cechy południowej linii brzegowej i jest równie dokładny, jak na portugalskich mapach z XVII wieku⁵⁴.

Fuson stwierdza, że pojawiwszy się po raz pierwszy na mapie w 1424 roku, grupa wysp Antilii została później umieszczona na co najmniej siedemnastu innych mapach i jednym globusie (Behaima):

Nazwy się nieco mieszały, a od czasu do czasu pomijano jakąś wyspę. Antilię przedstawiano jako wyspę na Morzu Oceanicznym do co najmniej 1508 roku (mapa Ruyscha), ale Japonia uzyskała swoją postać w 1492 roku na globusie Behaima. Stary zarys Antilii/Tajwanu pojawiał się na tym, co w 1546 roku stało się Pacyfikiem (mapa Munstera – Bazylea), nosząc nazwę Zipangu. Problemy się

zaczęły, gdy pojawiły się kontrowersje co do kształtu i położenia Antilii/Tajwanu [i] Satanaze/Cipango. Kiedy w połowie XVI wieku Indie Zachodnie stały się Antylami, wyspa Antilia była już niepotrzebna. Przeszła do mitologii, a Japonia mogła pojawić się w całej okazałości. W 1570 roku Abraham Ortelius we wspomniałym atlasie *Theatrum orbis terrarum* umieścił Japonię w jej właściwym położeniu i nadał jej nazwę Iapan⁵⁵.

Duchy zatopionego świata

Profesor Fuson uważa, że chińskie mapy Tajwanu i Japonii stanowiły podstawę do sporządzenia w 1424 roku zarysu Antilii i Satanaze. Przekonuje, że mapy takie mogły powstać podczas siedmiu odkrywczych wypraw słynnego admirała z czasów dynastii Ming, Czeng Ho, w latach 1405–1433⁵⁶.

Potężny Czeng Ho „liczył ponad 2 metry wzrostu, a w pasie mierzył 150 centymetrów”⁵⁷. Jego historia też zasługuje na specjalną uwagę, lecz brak tu miejsca, by ją przedstawić. Wiele jednak wskazuje na to, że Robert Fuson miał rację pisząc, iż mapy Tajwanu i Japonii, które jakimś sposobem trafiły do rąk Pizzagana w Wenecji w 1424 roku, zostały sporządzone podczas wypraw Czeng Ho.

Istnieje wszelako pewien problem. Jak się przekonamy, Antilia i Satanaze na mapie z 1424 roku nie ukazują Tajwanu i Japonii tak, jak wyglądały one w czasach Czeng Ho, lecz w postaci, jaką miały około 12 500 lat temu, w okresie topnienia lodowców.

Czy jest możliwe, aby Czeng Ho, podobnie jak Kolumb, kierował się starożytnymi mapami, pochodzącymi z innych czasów i ukazującymi duchy zatopionego świata?

Część piąta

Japonia, Tajwan, Chiny

Ziemia umiłowana przez bogów

*Jak kaže tradycja, która bierze początek na Niebiańskiej Wyżynie,
Pokornie zwracam się do władczych Bóstw,
Które jak potężne, święte skały, tkwią osadzone
W miriadach wielkich kanałów (...).*

Starodawna japońska modlitwa rytualna¹

*Najwyższy szczyt Góry Fudzi (...) jest cudownym bóstwem (...).
i strażnikiem japońskiej ziemi.*

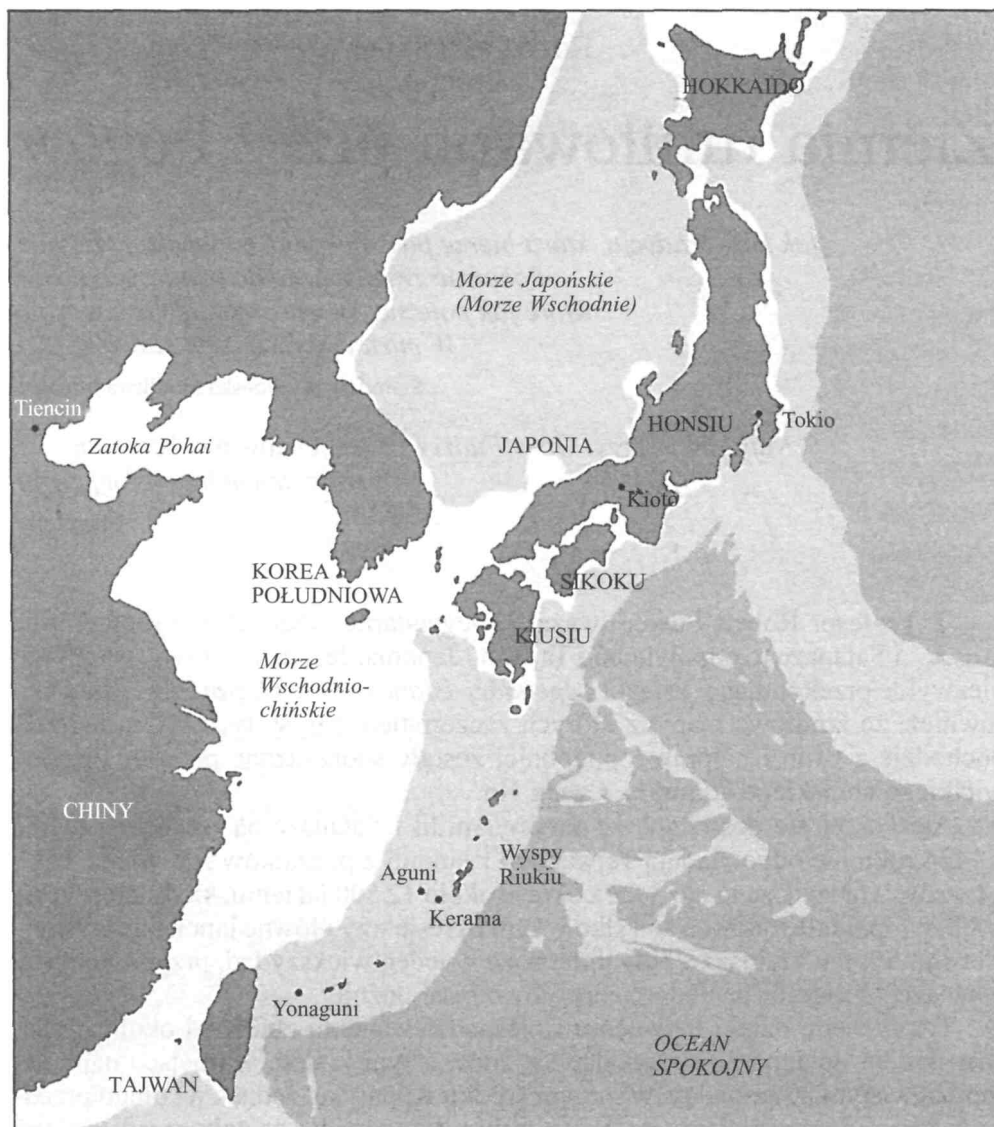
Manyoshu²

Profesor Robert Fuson uważa, że legendarne atlantyckie wyspy Antilia i Satanaze to odpowiednio Tajwan i Japonia. Jest to kluczowy wątek jego niezwykle przekonującej książki *Legendary Islands of the Ocean Sea*³. Pisze tam również, że źródłowe mapy, z których zaczerpnięto zarysy tych wysp, musiały pochodzić z Chin i najprawdopodobniej zostały sporządzone podczas wypraw wielkiego chińskiego admirała, Czeng Ho.

Ale Fuson nie dostrzega, że zarysy Antilii i Satanaze na weneckiej mapie z 1424 roku nie odpowiadają Tajwanowi i Japonii z początków XV wieku, czyli z czasów wojaży Czeng Ho, lecz z okresu około 12 500 lat temu, kiedy zaczęło się wielkie topnienie lodowców. Tylko w tym okresie trzy główne japońskie wyspy – Honsiu, Sikoku i Kiusiu – były połączone w jeden większy ląd, przypominający Satanaze. O kwestii tej będę szczegółowo pisał później.

Tymczasem, dzięki dziwnemu i niespodziewanemu zbiegowi okoliczności, powróciłem do Japonii, spotykając się znów z tym krajem w miejscu najmniej spodziewanym, mianowicie w samym środku Atlantyku. Jednak na długo przedtem, zanim dowiedziałem się, że na mapie z 1424 roku została przedstawiona w postaci, jaką miała w epoce lodowcowej, natknąłem się na inną zagadkową kwestię. Chodziło mianowicie o zatopione w końcu epoki lodowcowej potężne, wykute w skale budowle u wybrzeży archipelagu Riukiu na południu Japonii.

Pisałem już o tym dość pobieżnie w rozdziale 1. W 1996 roku po raz pierwszy usłyszałem o podwodnych ruinach, a dzięki hojności japońskiego biznesmena mogliśmy w latach 1997–2001 zorganizować wyprawę do najważniejszych obiektów. Nurkowałem około 130 razy u wybrzeży Yonaguni w towarzystwie członków Klubu Morskiego z Ishigaki i słynnych już zespołów płetwonurków pod kierownictwem Kihachiro Aratake i Tohachiro Yoshimaru. Potem nurkowaliśmy 18 razy u wybrzeży Keramy (podczas pięciu wizyt w tym rejonie), tym razem



także w asyście miejscowych archeologów, takich jak Kuzanori Kawai, Litsutoschi Taniguchi, Isamu Tsukahara i Kiyoshi Nagaki. Dwukrotnie też schodziłem pod wodę u wybrzeży Aguni, w jednym z najbardziej niebezpiecznych i niedostępnych rejonów podmorskich Japonii, kilkanaście razy w Chatan u zachodniego brzegu Okinawy. W obu przypadkach towarzyszyli mi wytrawni badacze.

Stwierdziłem, że rozwiązania zagadki czterech najważniejszych podwodnych obiektów i zakończenia sporów o to, czy są naturalne, czy też stworzyli je

ludzie, nie można się spodziewać wyłącznie po geologach. I to nie dlatego, że oni sami nie mogą osiągnąć jedności co do charakteru tych obiektów (przeciwnie, wyrażają krańcowo odmienne opinie). Nie trzeba być specjalistą, by dostrzec, z jakim pietyzmem Japończycy podchodzą do piękna naturalnych form, i stwierdzić, że tak niezwykle stosunek do skał, gór, lasów i dolin musi mieć niezwykle odległy rodowód. Rzeźbienie w skałach i ustawianie posągów w artystycznie zaaranżowanych krajobrazach to szczególna pasja Japończyków. Myśląc o podwodnych konstrukcjach u wybrzeży Japonii, należy brać pod uwagę nie tylko aspekty geologiczne, lecz wszystko, co wiemy o naturze, poziomie rozwoju oraz artystycznej i religijnej kulturze tego rejonu w końcu epoki lodowcowej, kiedy owe obiekty (naturalne lub sztuczne) nie znajdowały się jeszcze pod wodą.

Uprzedzenia wobec ludu Jomon

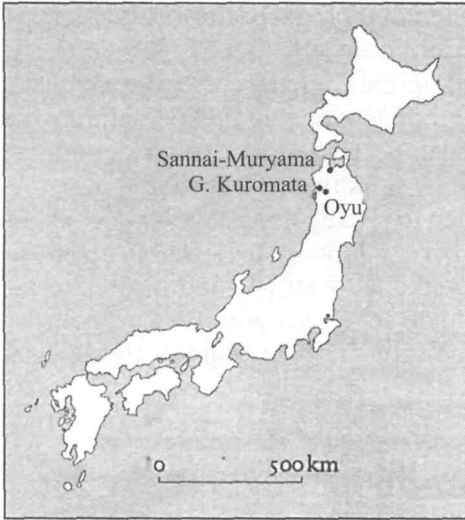
W minionym półwieczu panowała opinia, że w okresie od 17 000 (czyli mniej więcej końca maksimum ostatniego zlodowacenia i początku procesów topnienia) do 2000 lat temu wyspy zamieszkiwał lud zbieracko-myśliwski Jomon (czyt. Dziomon), pod wieloma względami dość prymitywny.

Czy lud, który przypuszczalnie w ogóle nie znał rolnictwa, mógł dokonać czegokolwiek w interesującej mnie dziedzinie? Czy mógł stworzyć na wyspach wielką, zaginioną, starożytną cywilizację? Niewielkie grupki wędrujące z miejsca na miejsce, grzebiące w ziemi w poszukiwaniu orzechów i jagód, polujące na przypadkowo dostrzeżoną zwierzynę, zupełnie nie pasowały do mojej wizji przeszłości.

Mimo to zdawałem sobie sprawę, że nie wolno mi ich zlekceważyć. Kultura ta rozkwitła nagle około 16 500 lat temu, taką datę bowiem ustalono dla fragmentów najstarszej na świecie ceramiki. Używanie naczyń ceramicznych w tak wczesnym okresie jest rzeczą niezwykle. Przedstawiciele kultury Jomon byli świadkami epoki lodowcowej, przeszli przez transformacje z nią związane i przetrwali niemal do czasów historycznych. Zdawałem sobie sprawę, że wcześniej czy później będę musiał dowiedzieć się więcej o tym prehistorycznym ludzie, którego dzieje tonęły w mrokach przeszłości.

Prehistoryczne miasto i sztuczne góry

W 1998 roku, za radą japońskich przyjaciół, udałem się do jomońskiej wioski Sannai-Muryama w prefekturze Aomori i ze zdumieniem odkryłem tam duże, doskonale zorganizowane i bardzo stare osiedle, które rozkwit osiągnęło 4500 lat temu – dokładnie w czasach egipskich piramid. Przestronne publiczne budynki, szerokie ulice i doskonale zaplanowane urządzenia sanitarne – tego nie spodziewałem się po prymitywnych plemionach zbieracko-myśliwskich. Znalazłem tu



ślady stałego osadnictwa, stabilizacji, porządku, organizacji i wysokiego poziomu życia. Społeczeństwo to musiało rozwinąć wysoką kulturę duchową. Świadczą o tym przedmioty znalezione w grobowcach i symboliczne ceremonie pogrzebowe, dowodzące rozwiniętej wiary w życie pozagrobowe. Na poboczach długiej alei znajdują się groby, w których zmarłych chowano w pozycji nogami w kierunku owej drogi.

Podczas tego samego pobytu dowiedziałem się, że niektóre kopce w kształcie piramidy, wzgórze i szczyty górskie uznawano w japońskiej mitologii za święte istoty. Widziałem też świadectwa przemawiające za tym, iż wiara ta była

nie tylko głęboko zakorzeniona w czasach Jomon, lecz że często skłaniała ich do „artystycznej manipulacji” przyrodą na znacznie większą skalę niż budzące tyle kontrowersji podwodne obiekty w Yonaguni, Chatan i Keramie.

Na przykład w prefekturze Akita, dwie godziny jazdy z Aomori, wspiałem się na porośnięty cedrami stok 80-metrowego kopca, sterczącego samotnie na równinie. Nazywa się on Kuromata Yama (góra Kuromata) i według miejscowej legendy jest „piramidą zbudowaną przez starożytnych”⁴. Geolodzy natomiast odnosili się do jego pochodzenia sceptycznie aż do chwili, gdy interdyscyplinarny zespół naukowców pod kierunkiem profesora Takashi Kato z University Tohoku Gakuin stworzył w latach 90. szczegółową radarową mapę Kuromata Yama. Mapa wykazała, że wnętrze kopca

(...) składa się z siedmiu płaszczyzn, na których poukładano kamienie. Dowodzi to, że kopiec został uformowany przez ludzi i zdecydowanie różni się od wzgórz ukształtowanych na skutek erupcji wulkanów czy naturalne zwietrzanie⁵.

Znawcy przedmiotu stwierdzili, że w tym miejscu rzeczywiście znajdował się kiedyś naturalny kopiec, który jednak obrobiła ludzka ręka. Wzmocniono go kamiennymi blokami, żeby utworzyć piramidalny rdzeń z siedmioma tarasami, które następnie obłożono ziemią i obsadzono roślinnością. Tak więc „choć wzgórze nie jest piramidą w takim sensie, jak egipskie, nadano mu identyczny kształt, prawdopodobnie dla celów kulturowych”⁶.

Ponieważ dzieło tego rodzaju i tej skali nie miało precedensu, w pierwszej chwili uznano za mało prawdopodobne, by było bardzo stare i że zapewne pochodzi z XI wieku n.e. Uznano, że shintoistyczna świątynia Motomiya, stojąca na szczycie wzgórza, pochodzi z tego samego okresu, gdyż nazwę swą zawdzięcza

lekarzowi służącemu Sadato Abe (1019–1062 n.e.), miejscowemu władcy panującemu w północno-wschodniej części wyspy Honsiu⁷. Z drugiej strony wiadomo, że shintoistyczne świątynie są całkowicie przebudowywane według wcześniejszego wzorca co 20 lat, a stoją w miejscach, które uważano za święte od niepamiętnych czasów. Wreszcie wykopaliska prowadzone przez archeologów zespołu profesora Kato ustaliły ostatecznie wiek kopca na podstawie odkrytych tam fragmentów naczyń Jomon i innych świadectw archeologicznych, które wykazały ponad wszelką wątpliwość, że wzgórze Kuromata naprawdę nadano kształt piramidy „w okresie Jomon”⁸.

Równie ważne było inne odkrycie, opublikowane rok wcześniej przez członka zespołu Masachiko Tsuji z Uniwersytetu Doshisha w Kioto. Dowiódł on, że cztery shintoistyczne świątynie zbudowane wokół podstawy Kuromaty stoją na liniach prostych biegnących ze szczytu na północ, południe, wschód i zachód i obejmujących linie przesilen, które według powszechnie stosowanych reguł w obliczaniu zmian nachylenia ekliptyki musiały pochodzić sprzed 4000 lat: „Świątynie zbudowano stosunkowo niedawno w miejscach uznawanych za święte jeszcze w starożytności, co dowodziłoby, że ich rozplanowanie pochodzi z okresu jomońskiego”⁹.

Zachowane dokumenty pozwalają prześledzić dzieje shintoizmu sprzed 2500 lat, a w rzeczywistości sprzed 2000 lat. Ale na tym etapie był on już w pełni ukształtowany. Specjaliści są zatem zgodni, że shintoizm musi być religią znacznie starszą, choć jego początki giną w mrokach dziejów. Ale, o ile wiem, odkrycia na wzgórzu Kuromata jako pierwsze wykazują tak wyraźną relację między architekturą sakralną i prehistoryczną kulturą Jomonów a shintoizmem w takiej postaci, w jakiej znamy go dziś – religią, co warto podkreślić, jedyną w swoim rodzaju, typową wyłącznie dla Japonii, o nieznanym wieku i pochodzeniu.

Prawdopodobnie najbardziej oczywistym dowodem tego bliskiego związku jest fakt, iż na szczycie Kuromata obok świątyni Motomiya znaleziono pozostałości nieznanego wcześniej kamiennego kręgu, będącego najwyraźniej dziełem kultury Jomon. Kuromata jest też dobrze widoczna z dwóch innych jomońskich kamiennych kręgów, które odkopano w Oyu, oddalonym 2,2 kilometra na południowy zachód. Oba są raczej owalne niż okrągłe, jeden ma 35, drugi 20 metrów średnicy. Liczą około 4000 lat, czyli nieco mniej niż angielskie Stonehenge. Według europejskich standardów „megality” te nie są zbyt duże, a głazy użyte do ich konstrukcji wydają się w porównaniu ze Stonehenge czy Karnakiem dość skromne. Jednak mamy tu do czynienia z kamiennymi kręgami w każdym tego słowa znaczeniu.

Zagadka naczyń

To nie koniec niespodzianek, jakie zgotowała mi kultura Jomon. Jak już wspomniałem, za największe osiągnięcie tego ludu „prymitywnych zbieraczy i myśliwych” uważa się stworzenie pierwszych na świecie naczyń ceramicznych, co

w ich przypadku było jednym z ogromnych skoków naprzód w dziejach ludzkiej kultury i miało miejsce nie setki, lecz tysiące lat przed tym, nim dokonały tego inne ludy. Jeszcze w 1998 roku naukowcy sądzili, że najstarsze naczynia Jomon powstały około 12 500 lat temu, dzięki nowym odkryciom początki tej cywilizacji nieustannie przesuwają się wstecz.

W maju 2000 roku, podczas mojego drugiego pobytu w rejonie Aomori, trymałem w dłoniach skorupy naczyń Jomon sprzed 16 500 lat. Wykopane w miejscu zwanym Odayamamaoto nr 1 Iseki, skorupy te poddano datowaniu metodą akceleratorowej spektroskopii masowej (AMV).

Wciąż mało znany jest fakt, iż przedstawiciele kultury Jomon jako pierwsi na świecie wytwarzali naczynia. Nie wiadomo też, w jaki sposób ten prehistoryczny lud potrafił utrzymać tożsamość etniczną. Jak twierdzi dr Yasuhiro Okada, naczelny archeolog prefektury Aomori w Sannai-Muryama, „byli oni jedną kulturą, od początku do końca”.

Wyobraźcie sobie – jedna kultura, prawdopodobnie jeden język i religia, trwające niezmiennie przez ponad 14 000 lat. Taka jest rozpiętość czasowa między najstarszymi jomońskimi naczyniami sprzed 16 500 lat oraz najpóźniejszymi egzemplarzami liczącymi około 2000 lat.

Geniusz czy wpływ?

Co stało się z Jomonami? Jeśli ich kultura zdołała przetrwać 14 000 lat, to dlaczego nie przetrwali do dziś?

Wykopaliska archeologiczne dowodzą, że między 2700 a 2300 lat temu do Japonii napłynęły, prawdopodobnie z Korei, liczne ekonomicznie bardziej zaawansowane grupy ludności. Współcześni naukowcy nazwali przybyszy Yayoi (nie wiemy natomiast, jak oni sami siebie nazywali). Yayoi dysponowali rozległą wiedzą, potrafili uprawiać ryż, a ich poziom życia znacznie przewyższał poziom rdzennej społeczności zbieraczy i myśliwych. Nie znaleziono śladów walk czy eksterminacji autochtonów. Ludu Jomon nie wybito, najnowsze wykopaliska świadczą o skutecznych próbach integracji i stapiania się ludności w nową społeczność, która wyszła z mroków prehistorii i pojawiła się w historycznie znanych czasach, tworząc klasyczną japońską cywilizację. W jakimś sensie zatem kultura Jomon nadal istnieje i być może, nigdy nie zaginie.

A jej początek? Badania archeologiczne stale przynoszą nowe odkrycia. Jeśli przyjmiemy, że kulturę Jomon znamionuje umiejętność wytwarzania naczyń, najstarszymi dowodami ich istnienia jest niewielka ilość skorup ceramiki sprzed 16 500 lat.

Czy w Japonii w owym czasie zaszło coś, co tłumaczyłoby, dlaczego jej mieszkańcy wynaleźli naczynia tysiące lat wcześniej niż inne ludy? Shimoyamu Satoru z muzeum archeologicznego Ibusuki na Kiusiu sugeruje: „Może ich własny geniusz podsunął im ten wynalazek: glina, otwarty ogień, garnek... Dodali jedno do drugiego i stało się”. Z drugiej strony profesor Sahara Makoto, generalny dyrektor narodowego muzeum historii japońskiej, uważa, że „musiały tu zadziałać ja-

kieś wpływy”. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze swego gabinetu, rozłożył przede mną mapę Japonii, Chin i Syberii. „Tu, w Japonii, wciąż powstają nowe drogi, nowe domy, nawet nowe miasta. A to oznacza, że stale wdzieramy się w głębę i za każdym razem istnieje szansa odkryć archeologicznych. Ale w Chinach takich szans jest mniej, a na Syberii – prawie w ogóle ich nie ma. Nie-wykluczone, że pewnego dnia archeolodzy znajdą na przykład na Syberii ślady starszej, a wytwarzającej naczynia kultury, która wywarła wpływ na Jomon”.

Transfer technologii

Naukowcy nie biorą jednak pod uwagę pewnej zbieżności dat między powstaniem najstarszych garnków Jomon – około 16 500 lat temu – a maksimum ostatniego zlodowacenia – około 17 500 lat temu – po którym nastąpiły tysiąclecia topnienia czap lodowych i globalnego podnoszenia się poziomu wód. Czy to tylko zbieg okoliczności, czy może między tymi datami istnieje jakiś związek?

Sahara Makoto wyjaśnił już swój punkt widzenia, przypisując osiągnięcia ludu Jomon zewnętrznym wpływom. Uważa, że oddziaływała na nich jakaś kultura wytwarzająca naczynia, prawdopodobnie pochodząca z Syberii. Ale – prawdę powiedziawszy – to tylko jego domysły. Faktem jest, iż naczynia wytwarzano na Syberii od bardzo dawna¹⁰ (choć nie od tak dawna, jak w kulturze Jomon), lecz technologia ta, stanowiąca istotny krok do przodu w rozwoju cywilizacyjnym, nie wymagała kontaktów z hipotetycznym plemieniem ze stałego lądu. Na dodatek, jak pisze archeolog Douglas Kenrick: „Kiedy wytwarzano najstarsze znane naczynia, morze pochłonęło wszystkie pomosty lądowe, tworząc naturalną barierę między Japonią a lądem”¹¹.

Innymi słowy – jeśli kultura Jomon podlegała jakimś wpływom 16 500 lat temu (w dziedzinie wytwarzania naczyń czy w jakiegokolwiek innej), musiały one dotrzeć do Japonii raczej morzem niż lądem. Może technologię tę przekazał jakiś rozbitek lub grupa rozbitków uratowanych z wraku statku? Ponieważ były to czasy potwornych potopów, niewykluczone, że statek ten przybył z bardzo daleka, teoretycznie z jakiegokolwiek części świata. Ale niezależnie od tego, czy żeglarze, którzy dotarli do Japonii, należeli do jednego z plemion syberyjskich, czy też byli przedstawicielami rozwiniętej, lecz zaginionej cywilizacji, mało prawdopodobne, by zdołali przekazać więcej niż garstkę cywilizacyjnych zdobyczy prymitywnym mieszkańcom wysp.

Umiejętność wytwarzania naczyń na pewno możemy określić jako szczyt transferu technologii.

Czas i przestrzeń

Jakiegokolwiek byłoby źródło inspiracji, naczynia Jomon pozostają jedyne w swoim rodzaju. Najczęściej występującym motywem dekoracyjnym jest odcisk

sznurka (po japońsku *jomon* znaczy właśnie „odcisk sznurka”; to archeolodzy nadali taką nazwę plemieniu – podobnie jak w przypadku Yayoi nie wiemy, jak twórcy kultury Jomon nazywali sami siebie). Technika ta wymaga wyciśnięcia na glinie naczynia przed wypaleniem plecionki ze szpagatu. Czasem sznur ten jest fantazyjnie układany dla lepszego efektu. Kombinacji może być mnóstwo, ale odciski sznurka to zaledwie drobna część motywów dekoracyjnych na niezwykłych wyrobach z okresu Jomon.

Warto wspomnieć, iż motywy te rozwijają się zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Z jednej strony naczynia Jomonów można znaleźć we wszystkich zakątkach Japonii – od południa, nie wyłączając archipelagu Riukiu, po północ, w tym także na Hokkaido; z drugiej – rozprzestrzeniły się w czasie, łącząc stosunkowo bliską nam historię (2000 lat temu) z bardzo odległą prehistorią, 16 500 lat temu, kiedy zaczęło się topnienie epoki lodowcowej.

Dżinn w butelce

Japońscy archeolodzy mają bardziej otwarte umysły niż ich zachodni koledzy. Podczas gdy większość tych ostatnich wolałaby dać się zmumifikować, niż wpuścić mnie do swoich muzeów, Japończycy są znacznie mniej snobistyczni i nie tak prędcy w osądzaniu. Pozwalano mi oglądać i dawano do rąk najstarsze artefakty, prawdziwe skarby narodowe, liczące niekiedy 12 000 lat. W centrum archeologicznym Sato Haramachi, w pobliżu miasta Miyazaki miałem możliwość trzymać w dłoni najstarszy na świecie element malowanego naczynia – część jomońskiego pomalowanego wewnątrz na czerwono garnka, liczącego z pewnością 11 500 lat.

Widziałem nieomal, jak starożytny artysta robi naczynie, które teraz spoczywa w moich rękach. W jakiś szczególny sposób miałem wrażenie, że on – lub ona – nadal żyje, jak dżinn zamknięty w butelce. Przez jeden moment owe 11 500 lat, które nas rozdzielało (naczynie było ponaddwukrotnie starsze niż Wielka Piramida w Egipcie), znikło bez śladu.

Douglas Kenrick pisze: „Nie lada wyobraźni wymaga uświadomienie sobie wieku i żywotności ceramiki Jomon. Czas pozostawił ślad na naczyniach od tak dawna pogrzebanych w ziemi, ale nie powinno to nam zamykać oczu na ich piękno”.

Podczas podróży po Japonii widziałem wiele naczyń ze wszystkich okresów Jomon. Wyrabiano je bez pomocy koła garncarskiego. Wypalane nad ogniskiem, cechują się fantastyczną różnorodnością form – od spektakularnych „płomienianych naczyń” sprzed 5000 lat, z groteskowym, wymyślnym obrzeżem, po surowe w kształcie i proste miski, liczące ponad 12 000 lat i ozdobione tylko siateczką kresek lub śladami skrobienia muszlą. Wciąż pojawia się motyw odcisku sznurka. Powtarzają się też inne elementy dekoracyjne, jak zniekształcona ludzka twarz. Znalezione również ceramiczne maski, przedstawiające twarz wykrzywioną grymasem. Pewien typ maski z nosem zakrzywionym pod kątem prostym wydaje się dziwnie futurystyczny; mogłaby to być praca wystawiona w galerii sztuki współczesnej. Liczy zaś sobie 4500 lat, tyle co Wielka Piramida.

Dogu

Choć sam nie widziałem eksponatów starszych niż 8000 lat, archeolodzy, z którymi rozmawiałem w Japonii, zapewniają, że prostą ceramikę przedstawiającą ludzi znajdowano w warstwach pochodzących sprzed 12 000 lat. Te najstarsze figurki i późniejsze wyroby noszą wspólną nazwę *dogu*.

Najstawniejsze *dogu* liczą 3000 lat i przypominają raczej „antropoidy” niż ludzi, choć bez żadnych wątpliwości są to postacie ludzkie. Twarze są dziwnie zniekształcone, jakby kryły się za maskami czy hełmami, oczy jeszcze bardziej niepokojące – wielkie, owalne, z poziomą szparą.

Twarze innych *dogu*, zupełnie odmiennych, wydają się zastygłe w wyrazie męki, jak u torturowanych z krzykiem zamartłym na ustach. Niektóre mają rysy zwierzęce, na przykład kocie, lecz reszta jest jak najbardziej ludzka. Sprawiają wrażenie istot mitologicznych o nienaturalnie wydłużonych ciałach lub twarzach w kształcie rombów. Znalezione też wiele figurek kobiecych o przesadnie obfitych kształtach, szczególnie licząca 5000 lat „Wenus kultury Jomon” odkryta niedawno w Tanabatake Iseki w prefekturze Nagano. Z olbrzymimi udami i pośladkami, owa „bogini matka” przypomina proporcjami ciała i ogólnym wyglądem (a także i funkcjami) kamienne figurki Wenus z Europy.

Trudno dojść, dlaczego wytwarzano tak wiele rodzajów *dogu* nieprzerwanie przez 10 000 lat. Prawdopodobnie, choć nie na pewno, były to swego rodzaju przedmioty kultu, ustawiane w niszach i wnękach. Poziom ceramiki Jomon świadczy o istnieniu wysoko rozwiniętej, zamożnej kultury, którą stać było na utrzymanie profesjonalnych artystów, poświęcających się wyłącznie wytwarzaniu pięknych, budzących zachwyt przedmiotów.

Ryżowa bomba

Kolejną niespodzianką był dla mnie tryb życia twórców kultury Jomon. Od czasu pobytu w Sannai-Muryama w 1998 roku wiedziałem, że owi „zbieracze i myśliwi” od czasu do czasu wybierali osiadłe życie, tworząc wielkie wioski. Przyjąłem, zresztą niesłusznie, że Sannai-Muryama, zbudowana 4500 lat temu, należy do najwcześniejszych.

W kwietniu 2000 roku odwiedziłem Uenoharę, jeszcze starsze osiedle kultury Jomon na wyspie Kiusiu. Kuzanori Aozaki, jeden z archeologów tego rejonu, wyjaśnił, że Uenohara była zasiedlona bez przerwy przez ponad 2000 lat – od około 9500 do 7500 lat temu.

– Zawsze mieszkało tu ponad sto osób – mówił. – Dobrze im się wiodło, zaspokajali wszystkie swoje podstawowe potrzeby. Mieli pod dostatkiem jedzenia, schronienie, wygodę, ładną odzież.

– To było stałe osiedle, jak wioska czy miasto?

– Tak.

– Ale przecież społeczność z epoki Jomon uważa się za myśliwsko-zbieracką?

– To błąd. Im lepiej ich poznajemy, tym lepiej widać, że było ich stać na znacznie więcej.

Opowiedział mi potem, jak jego zdaniem społeczność Uenohary utrzymywała się dzięki czemuś w rodzaju zorganizowanego „rolnictwa” i „leśnictwa” – nie rolnictwa sensu stricto, lecz jakby planowej gospodarki zasobami naturalnymi, mającymi zapewnić im utrzymanie na długi czas.

Podczas mojej 7-tygodniowej podróży po Japonii w kwietniu i maju 2000 roku nie po raz pierwszy słyszałem o uprawie roli. W Ofuna C Iseki na Hokkaido szef zespołu archeologów, Chiharu Abe, powiedział, iż jego zdaniem przedstawiciele kultury Jomon „uprawiali” jadalne kasztany.

– Importowali nasiona z Honsiu i tu je sadzili. To przecież rolnictwo w całym tego słowa znaczeniu.

Niedawno odkryto jeszcze jedną ciekawą rzecz. Już 8000 lat temu Jomonowie uprawiali nie występującą tu roślinę – tykwę, która zdaniem paleobiologów musiała pochodzić z Afryki. Znalezione też bardzo stare ślady uprawy fasoli. Według profesora Tatsuo Kobayashi plemiona Jomon potrafiły spożytkować niemal wszystkie dostępne gatunki roślin i zwierząt. Umieeli „świadomie i racjonalnie używać dóbr naturalnych, a równocześnie czynili pożytek z mniej pożądaných gatunków, żeby nie doprowadzić do wyczerpania tych ważniejszych”.

Ponieważ dość długo niemal automatycznie przyjmowano hipotezę, że ryż przynieśli do Japonii Yayoi, archeolodzy uznali za bardzo ważne odkrycie w Itazuke na Kiusiu niepodważalnych dowodów upraw tego zboża. Pochodziły one sprzed 3200 lat, a zatem wyprzedzały pojawienie się Yayoi o kilkaset lat. Matsuo Tsukada z laboratorium ekologicznego czwartorzędu na University of Washington tak podsumowuje te odkrycia:

Najstarsze ślady pyłku ryżowego [w Japonii] pochodzą z dobrze znanej miejscowości Itazuke (Fukuoka) i liczą 3200 lat. Ponieważ roślina ta nie rosła w Japonii, jej obecność stanowi ostateczny dowód, że uprawiać ryż zaczęto w najbliższej naszym czasom fazie historii Jomonów na Kiusiu. Badania filolitu potwierdzają fakt, iż w tym czasie rozpoczęła się uprawa ryżu. Przekonanie, że zboże to przynieśli Yayoi, jest nieaktualne. Ale nadal utrzymuje się w opracowaniach wielu archeologów Azji Wschodniej!¹²

Sahara Makoto, generalny dyrektor narodowego muzeum historii japońskiej, ostatecznie obalił moją nieufność wobec kultury Jomon. Kiedy spotkałem się z nim 17 maja 2000 roku, powiedział mimochodem o nowych odkryciach, z którymi dopiero co się zapoznał. Jeśli okażą się prawdą, świat obiegnie wstrząsająca informacja, że Jomonowie uprawiali ryż już 12 000 lat temu.

Rewolucja

Najpierw sądzono, że ryż pojawił się w Japonii za sprawą Yayoi. Potem odkryto, że przedstawiciele kultury Jomon uprawiali go przed przybyciem Yayoi. A teraz mogło się okazać, że uprawiali tę roślinę w epoce kamiennej, tysiące lat przed wszystkimi innymi nacjami...

– Jeśli to prawda, to będzie prawdziwa rewolucja! – wykrzyknąłem.

– Tak, w pewnym sensie – odparł Makoto – ale z kulturą Jomon tak już jest, że zawsze trzeba być przygotowanym na rewolucję.

Makoto powiedział, że istnieją też inne dowody – drobinryżu, które jakimś sposobem dostały się do glinianych naczyń przed wypaleniem. Znane są naukowcom zajmującym się kulturą Jomon od 10 lat, a znaleziono je w kilku różnych miejscach w naczyniach liczących od 5000 do 3000 lat. Niektórzy archeolodzy bagatelizowali znaczenie tego odkrycia, dowodzili nawet, że cząsteczki ryżu wiatr przywiał z Chin albo dostały się do Japonii na odnóżach koników polnych. Każde tłumaczenie wydawało się lepsze niż podważenie obowiązującej hipotezy głoszącej, iż kulturę Jomon stworzyła „prymitywna społeczność zbieracko-myśliwska”.

Ale im dłużej obserwowałem środowiska naukowe, tym wyraźniej widziałem, że coraz więcej japońskich archeologów przestaje traktować ten lud jako zbieraczy i myśliwych, a zaczyna widzieć w nich twórców wysoko rozwiniętej i bardzo starej kultury – pewnie nawet „cywilizacji”.

Wszystko do wzięcia

Ponieważ w szybkim tempie dowiadujemy się coraz to nowych rzeczy o Jomonach, musimy nieustannie rewidować nasze do nich podejście. Widzieliśmy już, jak ich dawny wizerunek zbieraczy i myśliwych został obalony przez odkrycie, iż od dawna uprawiali ryż. Znaleziska ceramiki, takiej jak liczące 16 500 lat skorupy w Odayamamoto nr 1 Iseki, każą cofać przyjętą chronologię o tysiące lat wstecz. Wykopanie złożonych, doskonale rozplanowanych osiedli miejskich w rodzaju Sannai-Muryama i Uenohara (to ostatnie liczy niemal 10 000 lat) obaliło przyjęty wcześniej pogląd, że społeczność epoki Jomon wiodła wędrowny tryb życia. W Sakuramachi Iseki, niedaleko Oyabe w zachodniej części Honsiu, archeolodzy odkopali niedawno pozostałości liczącej 4000 lat jomońskiej stolarzki; zastosowano w niej skomplikowane złącza, wczepy i narożniki szczególnego typu, który według powszechnego mniemania został wprowadzony w Japonii dopiero... po 700 roku n.e.

Innym przykładem błędnej chronologii i niestusznego przypisywania pewnych wynalazków innym ludom jest przypadek *matagama*, kamienia w kształcie przecinka (a może płodu?), często z jadeitu. Wzmianki o *magatama* w japońskim eposie *Nihon Shoki*, który powstał pod koniec VII wieku n.e., i częste znaleziska z tego okresu sprawiły, iż większość naukowców uznała go za symbol epok Yayoi i Kofun, trwających mniej więcej od 300 roku p.n.e. do 800 roku n.e. Ale podczas

moich podróży japońscy archeolodzy pokazywali mi dziesiątki przepięknych kamieni *magatama* z czasów Jomon; niektóre liczyły ponad 8000 lat.

Świadczy to nie tylko o bardzo starym rodowodzie jomońskiego rzemiosła. Prawdziwą zagadką pozostaje, w jaki sposób starożytny religijny symbol kultury Jomon przetrwał napływ Yayoi w I tysiącleciu p.n.e. i nadal był w użyciu w czasach, gdy powstawały najstarsze teksty jedyne w swoim rodzaju japońskiego kultu shinto.

Kamienne świątynie w morzu?

Do jakiego stopnia prehistoryczna kultura Jomon oddziaływała na najeźdźców? Jaka część ich historii pozostaje jeszcze nieznaną?

Archeolodzy przyznają, że obszary japońskich wysp, które niegdyś znajdowały się ponad powierzchnią wody i w owym czasie z pewnością były zamieszkałe przez lud Jomon, uległy zatopieniu w końcu epoki lodowcowej. Potop przebiegał tu łagodniej niż w innych rejonach. Ale ponieważ twórcy kultury Jomon przez ponad 14 000 lat przeważnie osiedlali się w okolicy przybrzeżnej, możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że wzbierające morze zatopiło ważne relikty ich historii. Jeśli na przykład stawiali kamienne budowle wzdłuż pierwotnej linii brzegowej, one pierwsze znalazły się pod falami.

Dlatego – niezależnie od hipotezy uznającej podwodne struktury za zjawisko naturalne i niezależnie od teorii, iż jest to dzieło zaginionej cywilizacji, możemy zadać sobie pytanie, czy nie są one pozostałością po znanej nam kulturze Jomon, a dokładnie – po jakiejś niezwyklej fazie ich rozwoju cywilizacyjnego.

Wielkie kamienie, święte góry

Po dziś dzień Japończycy żywią szczególną cześć dla wielkich kamieni – iwakura. Mające charakterystyczny kształt i położone w specjalnych miejscach, stanowią łącznik między niebem a ziemią, gdyż po nich bóg może zejść do śmiertelników. W 1998 roku, po uprzejmym przyjęciu przez gubernatora okręgu Gifu, miałem okazję spędzić kilka dni na oglądaniu iwakur w przepięknym górskim rejonie Ena, niemal w centrum wyspy Honsiu.

Za przewodników miałem grupę entuzjastów z miasta Yamaoka, którzy bez reszty poświęcili się badaniu okolicznych megalitów. W przypadku iwakur wciąż powtarza się pytanie, czy zostały one wykonane (lub choćby ustawione) przez człowieka, czy też stanowią niezwykłą, lecz naturalną formację. Wiele kopców kamieni, zwietrzałych otoczaków i olbrzymich, dziwnie ułożonych skał, które tam widziałem, moim zdaniem stanowiło naturalne formacje. Ale w Japonii, gdzie od tysiącleci panuje kult przyrody, naturalne pochodzenie nie stoi w sprzeczności ze starożytnym wierzeniem, iż kamienie są świątyniami pozostałymi po epoce bogów. Tradycja głosi, że właśnie tu, między skałami i drzewami góry Ena, umiesz-

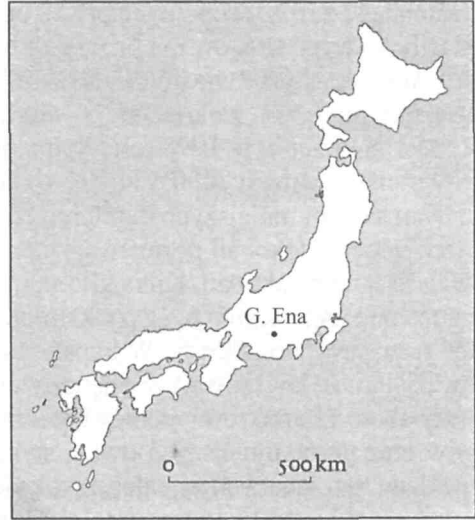
czono łożysko Amaterasu O-Mikami, bogini słońca i pramatki japońskiej rodziny cesarskiej¹³.

Rzadziej niż naturalne iwakury w rejonie Eny występują też niewątpliwe dzieła ludzkich rąk. Wśród nich jest dziwny szereg granitowych, szarych, wysokich na metr czworościanów, biegnący po linii prostej przez lasy i doliny pomiędzy podnóżami dwóch sąsiadujących gór. Na jego końcu stoi wielka skała, którą – jak twierdzą znawcy przedmiotu – „aż do niedawna czczono jako bóstwo”¹⁴.

Inna wykonana przez człowieka iwakura, uznawana przez miejscowych za „święte skalne bóstwo i obiekt czci”, a ostatnio zaliczona przez archeologów do ważnych zabytków kulturalnych, została wykopana przez nieżyjącego już Ryuzo Torii, profesora archeologii na uniwersytecie w Tokio, który uważał, że obiekt pochodzi z epoki Jomon¹⁵. Iwakura ta składa się z pary równoległych pionowych granitowych megalitów, wysokich na 1,6 metra, które stoją w lesie na stokach góry Nabe w południowej części niecki Ena. Są potężne, dość grubo ciosane, a kilkucentymetrowa szczelina między nimi pozwala oglądać niezwykle efekty świetlne podczas wschodu słońca w dniu przesilenia letniego¹⁶. Co ciekawe, przedłużona w kierunku północnym linia prosta łącząca wierzchołki megalitów kończy się na świętej górze Kasagi, gdzie archeolodzy wykopali mnóstwo artefaktów z epoki Jomon¹⁷. Do niedawna odprawiano tu starodawną ceremonię, podczas której w procesji niesiono wizerunek ogromnego węża o łuskach zrobionych z liści magnolii, za nim zaś podążali wieśniacy, modląc się do góry o deszcz¹⁸.

W Japonii jest wiele świętych gór. Nazywają się *reizan* (co znaczy po prostu „święta góra”), a także *shintaiizan* (góra będąca obiektem kultu)¹⁹. Dowody uzyskane podczas wykopalisk na wzgórzu Kuromata świadczą, że co najmniej kilka takich gór zostało uformowanych przez przedstawicieli kultury Jomon w podobny sposób. Niezależnie jednak od tego, czy były wyłącznie naturalne, czy też kształt nadali im ludzie, wiele wskazuje na to, że najpierw były świętością dla kultury Jomon, a później odziedziczyły je młodsze kultury.

Weźmy na przykład Hakuzan („białą górę”) w zachodniej części Honsiu, cel pielgrzymek. Tradycja jej świętości wydaje się bardzo stara. Tak przynajmniej brzmi oficjalna interpretacja najnowszych odkryć archeologicznych w osadzie Chichamori Iseki, w pobliżu nowoczesnego miasta Kanazawa. Oprócz wielu pięknych wyrobów ceramicznych z okresu Jomon, figurek *dogu* i magatam znaleziono tam również szczątki obszernej budowli w stylu Stonehenge, tylko z drewna, wzniesionej prawdopodobnie 3600 lat temu. Elementy pionowe tej konstrukcji



zrobione są z rozszczepionych pni 12 ogromnych kasztanowców ułożonych w krąg. Każdy z owych kręgów ma uroczystą bramę wychodzącą na Hakuzan.

Wydaje się, że właśnie twórcy kultury Jomon zaczęli czcić góry, można zatem przypuszczać, że koncepcja iwakur także od nich się wywodzi.

Po obejrzeniu w 1998 roku kamiennych kręgów w rejonach Kuromata i Oyu, powróciłem w maju 2000 roku do Aomori, dowiedziałem się bowiem, że znaleziono tam siedem mniejszych kamiennych kręgów w dużej osadzie Sannai-Muryama. Archeolodzy dokonali pomiarów i skatalogowali te obiekty, po czym natychmiast je z powrotem zakopali. Kilka kilometrów dalej w Komakino Iseki także niedawno natrafiono na znacznie większy kamienny krąg (a raczej owal) z epoki Jomon, lecz ten pozostawiono odkryty. Wdrapawszy się na cokół, żeby mieć lepszy widok, zauważyłem, że krąg (owal) zewnętrzny ułożono z zaokrąglonych kamieni rzecznych, liczy około 150 metrów średnicy i otacza kilka wewnętrznych, koncentrycznych kręgów oraz grupę mniejszych owali, stykających się brzegami jak ogniwa łańcucha, niekiedy rozrzuconych na całej szerokości większego kręgu.

Komakino Iseki, które w mojej opowieści odegra ważną rolę, liczy sobie prawdopodobnie 4500 lat.

Z Aomori udałem się dalej na północ Hokkaido. Tu, po godzinie jazdy z nowoczesnego portu Otaru, odwiedziłem trzy inne kamienne kręgi. Dwa z nich wieńczą szczyty wzgórz Nishizaki Jichin. Pierwszy tworzy mnóstwo małych, wzajemnie stykających się kamiennych kręgów, drugi – to krąg średniej wielkości megalitów. Trzeci – Oshoro – największy, nietknięty krąg w Japonii, po południowej stronie liczy 20 kamieni o wadze pół tony. Podobnie jak ten w Komakino Iseki, krąg Oshoro składa się z koncentrycznych kręgów. Badania dowodzą, że liczy około 4000 lat.

Pomocna dłoń

W Oshoro, które jak zwykle odwiedziłem z Santhą, doświadczyliśmy dziwnego przeżycia. Towarzyszyli nam dwaj przyjaciele – historyk Akira Suzuki i Shun Daichi, który tłumaczy na japoński moje książki. Gdyby nie ich obecność, wahałbym się, czy opisać, co się wydarzyło.

Trudno fotografować Oshoro, gdyż krąg ten jest bardzo duży. Podobnie jak w Komakino Iseki, musieliśmy więc znaleźć jakiś wyższy punkt, żeby kamera objęła całość obrazu. I podobnie jak w Komakino Iseki, miejscowe władze ustawiły tu kamienny pomnik z wykutym napisem, na który można było się wdrapać. W Oshoro stoi gruba granitowa kolumna, wysoka na 1,5 metra, umieszczona na metrowej wysokości kamieniu i betonowej podstawie.

Trzymając się gałęzi pobliskiego drzewa, wdrapałem się na podstawę, stawiając stopy po dwóch stronach kolumny, potem podciągnąłem się na nią. Przez 5 minut filmowałem panoramę kamiennego kręgu, starając się zapamiętać jego wymiary i ułożenie zewnętrznego kręgu, wpatrując się w miękki cień rzucany przez megality, przyglądając się, pod jakim kątem pada na nie słońce. Chcia-

łem sfilmować kamienie wkomponowane w wysokie cedry, które rosły wokół i między nimi. Wiatr, w maju wciąż jeszcze chłodny na tej szerokości geograficznej, pogwizdywał w koronach drzew, spływając z ośnieżonych gór. Jak łatwo zobaczyć oczyma wyobraźni ducha wiatru, ducha kamienia, ducha słońca (wiem, że starożytni Japończycy to potrafili), i to nie jako poetycką metaforę sił natury, lecz jako rzeczywiste, ponadwymiarowe istoty, przejawiające się w sferze duchowej i materialnej...

Owe *kami* (wolę nazywać je japońskim imieniem) są więcej niż duchami, lecz istotami mniej potężnymi niż Bóg w kulturze judeo-chrześcijańskiej. Można je zabić. Czasem sprzyjają człowiekowi, czasem czynią mu krzywdę. Ale istnieją wszędzie i we wszystkim. I zawsze warto traktować je z szacunkiem.

Zszedłem z kolumny, postawiłem stopy na ziemi i postanowiłem zanieść kamerę do samochodu zaparkowanego tuż za północnym brzegiem kręgu. Santha, Suzuki i Shun stali poza kręgiem, tuż za kolumną. Kiedy skończyłem filmować, Santha dała swojego nikkona Shunowi, wspięła się na platformę, otoczyła rękoma kolumnę i próbowała się na nią wdrapać.

Jestem dość mocno zbudowany i ciężki, zapewne wchodząc na kolumnę obuzowałem cementowe spoiwo u podstawy. Kiedy Santha jęła się wspinać, kolumna zachwiała się niebezpiecznie, po czym runęła. Przez moment obie zawisły w powietrzu w śmiertelnym uścisku, potem kawał granitu, ważący pewnie ze 100 kilogramów, runął na Santhę, przygniatając ją do ziemi.

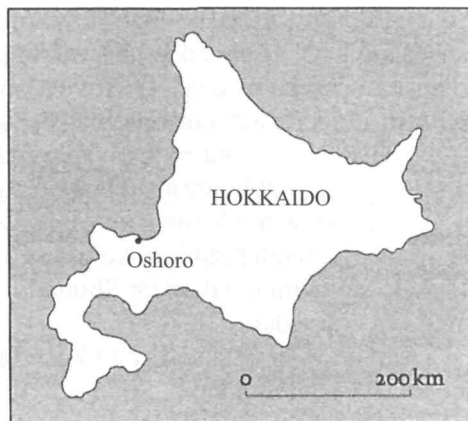
Wszystko stało się tak nagle, że Shun, Suzuki i ja zdrtwieliśmy z przerażenia. Przez chwilę żaden z nas nie był w stanie się poruszyć, następnie pognaliśmy, żeby podnieść kolumnę, która leżała w poprzek ciała Santhy, przygniatając ją od miednicy przez żebra do lewego barku, omijając na szczęście szyję i twarz. Musieliśmy wyteńczyć wszystkie siły, by podnieść wielki kamień o ostrych krawędziach, a ja wciąż myślałem o obrażeniach wewnętrznych, jakie musiał spowodować.

Santha była w szoku, oczy miała wywrócone, ich białka połyskiwały. Kilkakrotnie zawołała: „Umieram, umieram”.

Czekając na pogotowie, delikatnie obmacałem jej żebra, obojczyk, biodro i nie stwardziłem złamań. Cały czas podtrzymywałem ją na duchu. Zwolna uspokoiła się.

– Ktoś mnie złapał, kiedy padałam – powiedziała niemal spokojnie. – Jakaś dłoń za moimi plecami, tu u góry, podparła także kamień. Inna dłoń podtrzymała moje plecy, żebym nie upadła na ziemię.

Myślałem, że to Shun albo Suzuki, bo z pewnością nie ja – nawet nie widziałem, co się dzieje. Przestałem jednak o tym myśleć i prawie zapomniałem, co mówiła



Santha, dopóki znów do tego nie wróciła nieco później tego samego dnia, kiedy wypisano ją ze wspinałego prywatnego szpitala w Otaru, gdzie została dokładnie zbadana i prześwietlona. Nie stwierdzono poważniejszych urazów. Zdrapania na żebrach i nieco nadwężone mięśnie karku – to najgorsze skutki upadku. Ale co dziwniejsze, w półtora roku po tym zdarzeniu żebra Santhy są nadal lekko uszkodzone, wciąż ją pobolewają, choć od dawna powinny się zagoić.

Poza tym w ogóle nie ucierpiała i wszyscy, włącznie z sanitariuszami z karetki, którzy widzieli rozmiary kolumny, uznali, że to prawdziwy cud. Santha tłumaczyła to szybkim działaniem Shuna lub Suzukiego, którzy stali za nią i powstrzymali impet upadku.

Ale kiedy omawialiśmy to zdarzenie nazajutrz, okazało się, iż żaden z nich nie zdążył pomóc Sancie. Shun stał za daleko z tyłu i w dodatku trzymał jej aparat; Suzuki patrzył w zupełnie innym kierunku, kiedy padała. Ale ona uparcie twierdziła, że widziała dłoń wyłaniającą się znad jej lewego barku, żeby podtrzymać kolumnę, i czuła także, że inna dłoń podpira ją z tyłu...

Kiedy zaczęliśmy roztrząsać tę sprawę, wyszła na jaw niezwykle historia. Otóż przybyliśmy do Oshoro dzień później, niż było planowane, a pierwotny program obejmował również odwiedzin w prywatnym domu w pobliżu kamiennego kręgu, gdzie znajdowało się małe muzeum obiektów z Oshoro. Dom należał do rodziny nieżyjącego już rolnika, który pół życia poświęcił pilnowaniu i ochronianiu kamiennego kręgu, gdyż czcił go i kochał. Ekspozyty w muzeum należały do jego własnej kolekcji.

Przybyliśmy tam dzień później, rodzina na nas nie czekała, udaliśmy się więc do kamiennego kręgu. Santha miała wypadek, w trakcie którego odniosła wrażenie, że ktoś – jakimś cudownym sposobem – jej pomógł. Potem dowiedzieliśmy się, że rodzina udała się na ceremonię w rocznicę śmierci gospodarza. Zmarł 8 lat wcześniej dokładnie tego samego dnia.

Na prośbę Santhy Suzuki zadzwonił z hotelu do córki rolnika. Słyszała już o wypadku przy kamiennym kręgu i powiedziała, że ma za złe duchowi ojca, iż temu nie zapobiegł. Suzuki opowiedział jej zatem, czego Santha doświadczyła w chwili upadku, czyli o dotknięciu rąk człowieka, którego nikt nie widział. Spytał też w imieniu mojej żony, czy jej zdaniem zbawcą był duch ojca.

Oczywiście tak uważała. Jak my wszyscy. Dzisiejsza Japonia, choć nowoczesna i racjonalna, to kraj, w którym za wszelkim działaniem stoją potężne, niewidzialne potęgi duchowe.

Czyż idealizm tej miary mógłby nie tkwić korzeniami w bardzo dalekiej przeszłości?

Bóg w górze

Daleko od Oshoro, w prefekturze Nara na wyspie Honsiu, wznosi się święta góra Miwa. Podobnie jak wiele innych miejsc, ta góra o kształcie piramidy jest uważana w tradycji shintoizmu za świątynię – siedzibę ducha boga, który „umie-

ścił tu swą duszę” w starodawnych czasach²⁰. Jego imię brzmi Omononushino-Kami (choć powszechnie nazywa się go Daikokusama), a według starych tekstów jest on „strzegącym ludzkie życie bóstwem”, które nauczyło człowieka, jak leczyć choroby, wytwarzać lekarstwa i uprawiać ziemię²¹. Jego symbolem jest wąż, do dziś czczony na górze Miwa, gdzie pielgrzymi przynoszą mu gotowane jajka i czarki sake²².

W maju 2000 roku shintoistyczny kapłan asystował mi podczas ceremonii oczyszczenia i błogosławieństwa, przez którą muszą przejść wszyscy pielgrzymi wybierający się na szczyt. Jednym z etapów jest rytualne mycie rąk i ust w czystej wodzie ze źródła, nad którym znajduje się wizerunek węża.

Sama wspinaczka w piękny słoneczny ranek zabrała nam 2 godziny. Stroma ścieżka często wiodła nad wzburzonym strumieniem.

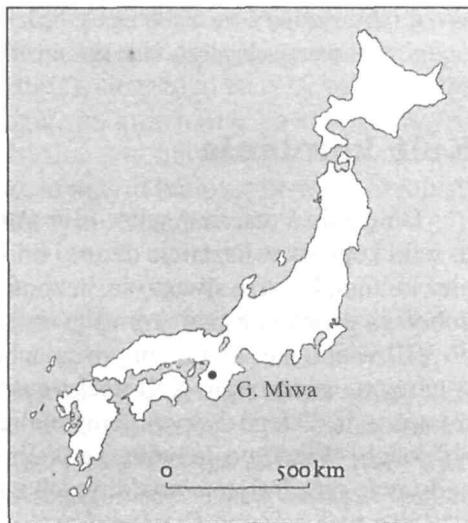
U podnóża góry, obok ścieżki stoi świątynia w postaci grupy megalitów, z których każdy waży tonę lub więcej. W przypadku niektórych widać, że zostały odłupane lub wykute w kamieniolomie. Na prawo od świątyni, pod olbrzymim drzewem cedrowym, wierni złożyli kilkanaście statuetek węża.

Przewodnikiem był młody kapłan shinto. Widząc moje zainteresowanie świątynią, pokazał mi kilka innych tego rodzaju po drodze na górę. W większości składały się z jednego otoczaka lub grupy kamieni ozdobionych zwojami grubego sznura. Niektóre sprawiały wrażenie, że zostały celowo ustawione, inne znów były dziełem natury.

Na szczycie ujrzałem liczną grupę iwakur tworzących rozległy, wypełniony krąg. Trudno było uwierzyć, że te potężne głazy znalazły się tak wysoko przez przypadek. Wręcz przeciwnie, na podstawie tego, co do tej pory dowiedziałem się o upodobaniu kultury Jomon do kamiennych kręgów i wkomponowywania wielkich głazów w krajobraz, miałem wrażenie, że to świątynia jest jednym z ich dzieł. Otwarte „skalne świątynie” były typowe dla ich kultury. Dziwny wydawał mi się widok współczesnych pielgrzymów, odzianych w białe koszule wyrzucone na dzinsy, szepczących imię Omononushi-no-Kami, boga, którego duch opanował górę. Pod wieloma względami Japonia nadal tkwi w epoce Jomon.

Profesor Hideo Kishimoto z uniwersytetu w Tokio pisze:

Jeśli chodzi o cześć oddawaną górom, jej znaczenie może się zmieniać wraz z wpływem stuleci, a interpretacja różni się w zależności od indywidualnego podejścia. Uwielbienie i cześć ta będą trwały tak długo, jak długo szczyt, delikatnie



rysujący się na tle nieba, będzie symbolizował nieskończoną tajemnicę. Oparty na takich odczuciach shintoizm na górze Miwa jawi się jako żywotna siła²³.

Kult kamienia

Górze Miwa otacza Asuka – ogromny zabytkowy zespół grobowców i ruin. Są tu setki kopców w kształcie dziurki od klucza, zwanych kofun. Nazwę tę nosi również kultura, która je stworzyła, bezpośrednia sukcesorka Yayoi. Kopce służyły podobno za grobowce członkom japońskiej rodziny cesarskiej – mniej więcej od IV do VIII wieku n.e. – oraz innym szlachetnie urodzonym w owych czasach. Nawet w naszym oświeconym XXI wieku cesarz nie zezwala na prowadzenie wykopalsk w kofunach, dlatego dysponujemy nielicznymi informacjami o owych tajemniczych obiektach. Wiadomo jedynie, że pochodzą z I tysiąclecia n.e., a obliczono to na podstawie przedmiotów wydobytych z kilku kofunów otwartych w minionych stuleciach z tych czy innych powodów.

Wiemy też, że pod centralnym kopcem ziemnym w kształcie piramidy znajdują się wewnętrzna megalityczna komora grobowa i megalityczny korytarz, zazwyczaj skierowany na południe. Jeden z najbardziej spektakularnych obiektów, Ishibutai, pochodzący z VII wieku n.e., można dziś zwiedzać, ponieważ erozja odsłoniła megalityczne „jądro”. Każdy z dwóch olbrzymich kamieni, tworzących jego dach, waży około 100 ton, mniejsze – w bocznych ścianach i korytarzu – od 10 do 20 ton.

W pobliżu znajduje się kilkanaście megalitycznych ruin pochodzących sprzed 1400 lat. Jedną z nich, Kameishi Iwa, jest ogromną skałą w formie zółwia. Inna, Sakafune-ishi, to granitowa płyta, w której z zaskakującą precyzją, lecz w niewiadomym celu wyżłobiono geometryczne wzory. Trzecia składa się z górnej i dolnej części wykutego w kamieniu grobowca (miejscowi nazywają ją Onino Sechin – dosłownie „toaleta demonów”! – i Onino Manaita – dosłownie „deska do siekania należąca do demonów”). Obie części rozdzieliły się w odległej przeszłości podczas trzęsienia ziemi, a obecnie między nimi przebiega nowoczesna droga.

Ale najbardziej zastanawiająca i tajemnicza jest Masuda-no Iwafune, „kamienna łódź” (nazwana tak ze względu na podobieństwo do wywróconej łodzi), wystająca z gęsto zadrzewionego zbocza. Ten grobowiec tworzy jedna bryła granitu, ważąca 1000 ton, o 10 metrach długości, 8 metrach szerokości i prawie 4 wysokości. Miejscami nie został wykończony, sprawia więc wrażenie naturalnego tworu przyrody, lecz w wielu innych miejscach wyszlifowano gładkie prostokątne płaszczyzny.

Aczkolwiek na temat tego megalitu istnieją pewne teorie, a większość znawców uważa, że pochodzi z VII wieku n.e., żaden archeolog nie potrafi z całą pewnością powiedzieć, ile lat ma Masuda-no Iwafune czy jaka była jego funkcja. Istnieją pewne domniemania, iż służył do pomiarów astronomicznych, lecz trudno je poważnie traktować²⁴. Pracownicy muzeum historycznego Asuka przyznają, iż „prawdziwe przeznaczenie” tego wielkiego megalitu „pozostaje tajemnicą”²⁵.

Można z pewnością powiedzieć tylko jedno: jego obecność tu dowodzi trwałości i żywotności kultu kamienia w Japonii – kamienia ogromnego, naturalnego lub osadzonego przez ludzi (albo jedno i drugie), służącego jako łącznik między niebem a ziemią. Nietrudno sobie wyobrazić, że kult ten w pewnym miejscu i czasie zainspirował obróbkę Masuda-no Iwafune, w innym – powstawanie kamiennych kręgów w epoce Jomon, a w jeszcze innym budowę monumentalnych obiektów, jak te zatopione u wybrzeży Yonaguni i Keramy.

Kerama, wejście do podwodnego świata

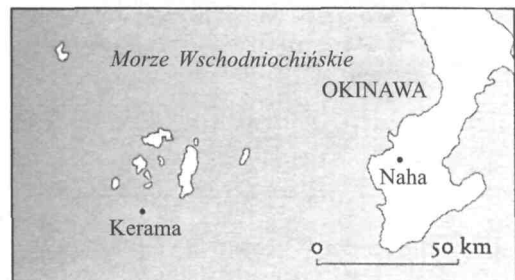
Nurkowanie ma coś wspólnego z głęboką relaksacją. Jest jak dobry seks. Jeżeli ciało i umysł są rozluźnione, można nurkować w nieskończoność... Ale czy można mówić o relaksie, kiedy znajdujesz się 30 metrów pod błękitną taflą morza w miejscu, w którym silny prąd zmusza cię do walki o życie? Jak czuć się zrelaksowanym, kiedy zaczyna się myśleć o ogromie oceanu i o sobie jak o drobinie w tym ogromie, albo o kruchości swego ciała, albo o tym, że całe twoje życie zależy od ekwipunku, od tych wszystkich zawodnych zaworów i rurek?

Gdy po raz pierwszy zanurkowałem w Keramie w kwietniu 1999 roku, uznałem, że jest to ponure i przerażające miejsce. W kwietniu 2000 roku, czyli w rok później, wróciłem, żeby znowu tam nurkować.

Bazę założyliśmy na jachcie motorowym wynajętym od Isamu Tsukahary, miejscowego nurka specjalizującego się w badaniu podwodnych kamiennych kręgów. Był z nami też inny zawodowy nurek, Mitsutoshi Taniguchi, który ponad 20 lat temu odkrył Centralny Krąg i napisał o nim książkę. Dołączył do nas Kiyoshi Nagaki z Chatan, wspaniały płetwonurek, który uratował Sancie życie rok wcześniej u wybrzeży Pohnpei w Mikronezji, kiedy przez przypadek zaczęła schodzić głębiej w wodę z zakręconym reduktorem powietrza. Kolejnym członkiem zespołu w Keramie był nasz stary przyjaciel, Shun Daichi, który przełożył *Ślady palców bogów* na japoński. Tsukahara zabrał też dwóch nurków ze swojego zespołu, stanowiliśmy więc dość liczną grupę.

Był to jeden z owych wspaniałych dni, o jakich marzy każdy nurek. Prąd, nadal silny, kiedy przybyliśmy na miejsce, po godzinie całkiem się uspokoił. Schodziliśmy więc na dno przez nieruchomą, chłodną, błękitną wodę oceanu, w której igrały rozbitki słonecznego światła.

Poprzednio w Keramie cierpiałem na zawroty głowy. Teraz wróciły, kiedy schodziłem nad rozległą spiralą megalitycznego centralnego kręgu. Zszedłem na dno u podstawy głównego monolitu, a głębokościomierz wskazywał 27 metrów (u wierzchołka kamienia głębokość wynosiła 23 metry).



Każdy z nurków udał się do swoich zadań, ja zaś przysiadłem u stóp monolitu, patrząc na krąg ogromnych kamieni wznoszących się nade mną. Potem parę razy opłynąłem krąg i skierowałem się do bocznych kanałów, z których kilka wiodło do drugiego obiektu, przez miejscowych nurków nazywanego Mniejszym Środkowym Kręgiem. Inne kanały prowadziły donikąd. Wszystko to razem sprawiało wrażenie labiryntu, w którym łatwo można było stracić orientację. Zadowolony, że nade mną znajduje się otwarty ocean, uspokoiłem się i wypłynąwszy wyżej, niemal pozbawiony ciężaru, unosiłem się 3 metry ponad kręgiem, spoglądając w dół poprzez błękitną wodę na tę dziwną budowlę, jakby nie z tego świata.

Z tej perspektywy, w takim oświetleniu wyglądała jak wejście do baśniowego królestwa, spiralne schody do świata podwodnego... Przepęniało mnie uczucie zachwytu i euforia, ale czułem również niewytłumaczalny lęk. Takie same wrażenia towarzyszyły mi w innych obiektach sakralnych – w wielkich gotyckich katedrach Europy, w egipskich piramidach, Stonehenge...

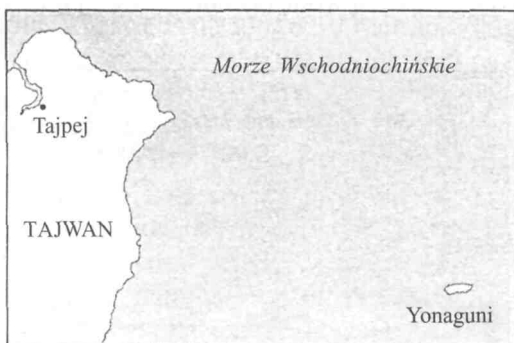
Jeśli zbudowali to przedstawiciele kultury Jomon – co jeszcze może być ich dziełem? Ale czy to oni byli twórcami tych obiektów? Czy w ogóle są dziełem człowieka?

Iseki Point

Podwodne ruiny Keramy i Yonaguni w świetle czci, jaką otaczano w prehistorycznej Japonii święte góry i kamienne kręgi, nie wydają się już „ekstrawaganckie” i bezcelowe. Są znacznie potężniejsze niż jakiegokolwiek obiekty wzniesione przez twórców Jomon na lądzie – z wyjątkiem ogromnej struktury Kuromata. A jednak reprezentują ten typ świątyń, jakie Jomonowie potrafili wznosić i wznosili. W tej kwestii kręgi mówią same za siebie, nikt nie może zaprzeczyć, iż odgrywały istotną rolę w kulturze Jomon i nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby dostrzec, iż tarasy głównej budowli w Yonaguni to potężniejsza wersja iwakur i świętych gór, tak powszechnych w czasach Jomonów.

W przeciwieństwie do Keramy, gdzie rejon nurkowania znajduje się daleko na otwartym morzu, główna budowla Yonaguni leży blisko obecnego południowego wybrzeża, pod lśniącym iłowcowym klifem. Nazywana przez miejscowych Iseki Point, ma konstrukcję tarasową. Ale nie tylko to wywarło na mnie ogromne wrażenie. Bardziej przekonujący jest sakralny charakter tego obiektu.

Skryte za północno-zachodnim krańcem monumentu, skierowane na południowy wschód, wznoszą się



dwa ogromne, dokładnie ociosane megality, z których każdy waży około 100 ton. Stoją obok siebie jak dwie kromki chleba. Od razu widać podobieństwo do równoległych megalitów góry Nabe w prefekturze Gifu (patrz strona 439). Moim zdaniem nieprzypadkowo znalazły się w tej pozycji, powinny przyciągać uwagę, a przerwa między nimi, podobnie jak w Gifu, służy prawdopodobnie jakimś astronomicznym celom (ma związek z równonocą, a nie przesileniem). Można do nich dotrzeć przez wąski tunel między ogromnymi, symetrycznymi otoczakami ułożonymi w dwóch warstwach.

Na południu i zachodzie znajdują się obiekty przypominające ruiny kompleksu murów z pochyłą rampą.

Wzdłuż południowej strony monumentu biegnie wyraźnie widoczne przejście czy też grobla.

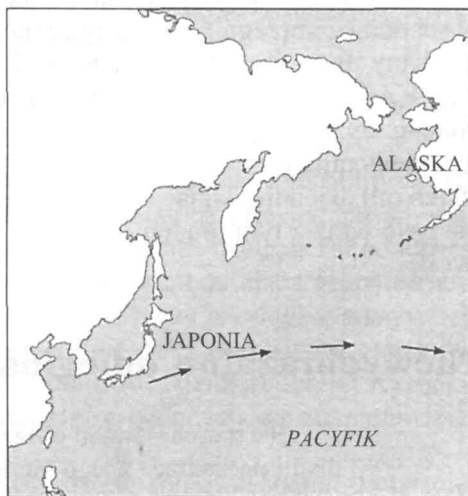
Na najdalej na zachód wysuniętym krańcu grobli stoi klasyczna świątynia iwakura, częściowo naturalna, częściowo ociosana²⁶. Gdyby ją przenieść na górę Miwa, wpasowałaby się idealnie w krajobraz.

Jazda na Czarnym Prądzie

Japonia nie jest małym krajem, ale 17 000 lat temu, pod koniec epoki lodowcowej, zanim nastąpiły globalne potopy, była znacznie większa. Kiedy lodowce zaczęły się topić, pomosty lądowe, łączące wyspy w jeden ląd, zostały gwałtownie zalane, a same wyspy jęły się kurczyć. Proces ten trwa po dziś dzień.

Nie wcześniej niż 9000, a prawdopodobnie 8000 lat temu wyspa Sikoku nadal stanowiła jeden ląd z sąsiednią Honsiu. Ale później rosnący poziom morza odciął je od siebie i wciąż okrawa ich terytoria. Patrząc na współczesną mapę warto pamiętać, że przedstawiciele kultury Jomon byli świadkami zalania niżej położonych terenów między Takamatasu i Tamano, a także innych dziwnych zjawisk oraz zmian typowych dla końca epoki lodowcowej.

Być może, właśnie owe gwałtowne, niepowstrzymane potopy sprawiły, że zaznajomili się ze sztuką żeglowania. Niewykluczone, że wiedzę o nawigacji odziedziczyli po tym samym nieznanym ludzie, który przyniósł im umiejętność wytwarzania ceramiki i kamiennych kręgów. W każdym razie naukowcy powszechnie uznają, że twórcy kultury Jomon prowadzili ożywioną działalność



Czarny Prąd między Japonią a Ameryką. Według Meggarsa i in. (1965)

handlową ze wszystkimi Wyspami Japońskimi, a także z lądem, musieli zatem od dawna posiadać łodzie.

Tymczasem pojawia się coraz więcej dowodów na to, iż Jomonowie nie ograniczali się do eksploracji macierzystych terenów. Międzynarodowy zespół pod kierunkiem C. Loringa Brace'a z muzeum antropologii University of Michigan doszedł do wniosku, że imigranci przedostający się do Ameryki Północnej przez pomost lądowy Beringa w końcu epoki lodowcowej „przypominali prehistoryczny lud Jomon z Japonii”²⁷. Odkrycie opublikowano w „Proceedings of the National Academy of Sciences” w numerze z 31 lipca 2001 roku:

Dysponujemy mocnymi dowodami, potwierdzającymi wcześniejsze ustalenia, że starożytni Amerykanie pochodzą w linii prostej od przedstawicieli kultury Jomon, którzy przywędrowali z Japonii na ląd azjatycki, a potem przedostali się na zachodnią półkulę przez pomosty lądowe, gdy Ziemia zaczęła się ocieplać około 15 000 lat temu, pod koniec ostatniej epoki lodowcowej²⁸.

A jeśli nie zawsze szli na piechotę? Istnieją świadectwa z późniejszych okresów – sprzed około 5000 lat – że mogli też odbywać podróże przez ocean, docierając nawet do Ameryki Południowej. Najślynniejsze, choć nadal kontrowersyjne, jest odkrycie w Valdivii w Ekwadorze ceramiki Jomon w warstwie sprzed 5000 lat. Ale nawet jeszcze starszą ceramikę Jomon znajdowano w równie starych warstwach archeologicznych na całym południowym Pacyfiku, na przykład na Fidżi czy Vanuatu. Profesor Yoshihiko Shinoto z Bishop Museum na Hawajach mówi: „Można przyjąć, że ludy Jomon podróżowały na bardzo rozległych obszarach Pacyfiku. Oczywiście w łodziach”.

Jeden z możliwych szlaków migracji wiódł przez przylądek Ashizuri, najdalej na południe wysunięty punkt Sikoku, a potem prowadził na północ aż do wschodniego brzegu Archipelagu Japońskiego, następnie przez Wyspy Kurylskie i Aleuty do wybrzeży północnej Kalifornii, dalej na południe wzdłuż Pacyfiku przez Amerykę Środkową i wreszcie do Ekwadoru. Szlak ten, rodzaj „morskiej autostrady”, znany jest w Japonii jako Czarny Prąd (Kuroshio) i najlepiej widać go, kiedy mija wyspę Sikoku przy przylądku Ashizuri ze stałą prędkością 40 morskich mil dziennie. Mając dostatecznie dużo czasu i zaopatrzenie dla załogi, można było wraz z tym prądem popłynąć łodzią z Japonii aż do Ameryki Południowej.

Niewyobrażalne odległości

Nie sposób słowami wyrazić podobieństw między wczesną ceramiką z Valdivii i pochodzącą z tego samego okresu ceramiką Jomon. Nie tylko technika nacinania, ale i motywy oraz ich kombinacje były dokładnie takie same. W większości przykładów techniki dekoratywnej znajdujemy tyle analogii, że motywy mogłyby pochodzić z tego samego naczynia²⁹.

Ta wypowiedź antropologów ze Smithsonian Institution – Betty Meggers, Clifforda Evansa i Emilia Estrady – wywołała nieustające do dziś, burzliwe spory. Sformułowanie „wczesna ceramika z Valdivii” oznacza, że zabytki te liczą co najmniej 5000 lat, a według akademickiego modelu historii, japońscy zbieracze i myśliwi, nawet jeśli potrafili wytwarzać naczynia, z pewnością nie byli zdolni do pokonania Pacyfiku w owych czasach. Tymczasem to, co Meggers, Evans i Estrada znaleźli w Valdivii – czyli tysiące kawałków ceramiki Jomon w ściśle określonych warstwach – wydaje się przeczyć akademickiej chronologii. Po dokładnym zbadaniu okazało się, że „24 z 28 najbardziej typowych cech naczyń z Valdivii występują w ceramice Jomon. Najbardziej uderzające podobieństwo stwierdzono w elementach dekoracyjnych i kształcie dziobków”.

Wspomniani antropolodzy opublikowali swoją rewolucyjną tezę w „Smithsonian Contributions to Anthropology” w 1965 roku. Podtrzymywali swoje koncepcje, choć inni naukowcy nigdy ich nie zaakceptowali, ani też ostatecznie nie odrzucili.

W Japonii dowiedziałem się, że Sahara Makoto nie był zwolennikiem związków z Valdivią, uznając, że wszelkie podobieństwa są przypadkowe. Natomiast Yasuhiro Okada, kierownik działu archeologii w Sannai-Muryama, uważa, że „to bardzo prawdopodobne”, iż ceramika z Valdivii powstała 5000 lat temu pod wpływem przybyszy należących do kultury Jomon. Powiedział mi: „Jestem coraz mocniej przekonany, że nie zdołamy zrozumieć kultury Jomon, jeśli będziemy przyglądać się dziejom jej twórców tylko w Japonii. Oni podróżowali po Pacyfiku. Byli żeglarzami”. Profesor Mozai Torao z Uniwersytecie w Tokio zgadza się z tą opinią:

Można przyjąć, że u zarania dziejów starożytne ludy chętnie podróżowały, opływając lądy już to dzięki znajomości nawigacji, już to dzięki wykorzystaniu prądów. Pokonywali odległości niewyobrażalne dla współczesnych ludzi.

Kamienna łódź

Pojechałem na przylądek Ashizuri na zaproszenie japońskiego polityka, senatora Sadao Hirano z prefektury Kochi na wyspie Sikoku. Dowiedziawszy się, że interesują mnie wywodzące się z okresu Jomon korzenie czci, jaką Japończycy oddają wielkim kamieniom, pragnął zwrócić moją uwagę na dużą grupę iwakur rozstawionych jak strażnicy wzdłuż górzystych wybrzeży przylądka, wszystkich zwróconych w kierunku Czarnego Prądu. Okolice pokazywali nam ochotnicy z miejscowego stowarzyszenia historyków amatorów, Ashizuri Jomon Kyoseki, którzy od dawna zajmowali się badaniem megalitów będących, ich zdaniem, dziełem kultury Jomon.

Parę razy w ciągu tych dwóch dni prowadzono mnie od jednej do drugiej kamiennej świątyni na gęsto zalesionych wzgórzach. Miałem uczucie, jakbym znowu nurkował, a to dlatego, że wiele megalitów z Ashizuri tonęło w lesie, do



którego nawet w południe jasne promienie słońca docierały z trudem. Kiedy tak stałem wśród gęstwiny, odnosiłem wrażenie, że jestem na morskim dnie, otoczony przez zieloną wodę.

Na jednej z uroczych polanek natknąłem się na wyrzeźbioną głowę zółwia, wystającą z wielkiego kamienia. Gdzie indziej znów zobaczyłem grupę 20 megalitów, jakby miniaturę Stonehenge, porozrzucanych i porośniętych chwastami i trawą. Na kolejnej polance znalazłem kamienny krąg ułożony z sześciu wielkich płyt. Obok, na dnie wąskie-

go wąwozu, stał wyprostowany menhir w kształcie fallusa, a na nim mniejszy kamień, symbolizujący chyba żołędź. Wędrowałem dalej, wspinając się po lesistym stoku i w końcu dotarłem do kamienia w kształcie łodzi z wysokim dziobem.

Stałem w milczeniu wśród drzew obok skały i wpatrując się w odległy dysk słońca, czułem pod palcami dziób kamiennej łodzi. Myślałem znowu o tym, jak bardzo kultura Jomon jest wciąż żywa nawet dziś – dzięki ceramice, świętym górom, kamiennym świątyniom w przepastnych lasach i głębinach morza. Jest żywa jak potężni przodkowie *kami*, jak idee ucieleśnione w tajemniczych obrzędach shintoizmu. Rozmyślając nad tym, czego dowiedziałem się o twórcach kultury Jomon, ze zdumieniem stwierdziłem, że wyzbyłem się wszelkich wobec nich uprzedzeń. Bo miałem oto do czynienia z ludem, który poznawał świat – lądem i morzem docierając do Ameryki przynajmniej dwukrotnie między 15 000 a 5000 lat temu. Oto lud, który wytwarzał naczynia tysiące lat przed innymi i potrafił z nich uczynić dzieła sztuki. Lud, który umiał przekształcać swoje otoczenie, tworzyć święte góry, kamienne kręgi, skalne świątynie. Lud żyjący w harmonii ze środowiskiem, myślący o przyszłości i potrafiący ją sobie zabezpieczyć. Lud ten nie stał się społecznością agresywną, materialistyczną, konsumpcyjną i zdołał uniknąć przeludnienia, przez które tak wiele innych starożytnych kultur zeszło ze słusznej drogi. A przede wszystkim był to lud, którego cywilizacja pozostała nieknięta i rozkwitała przez ponad 14 000 lat.

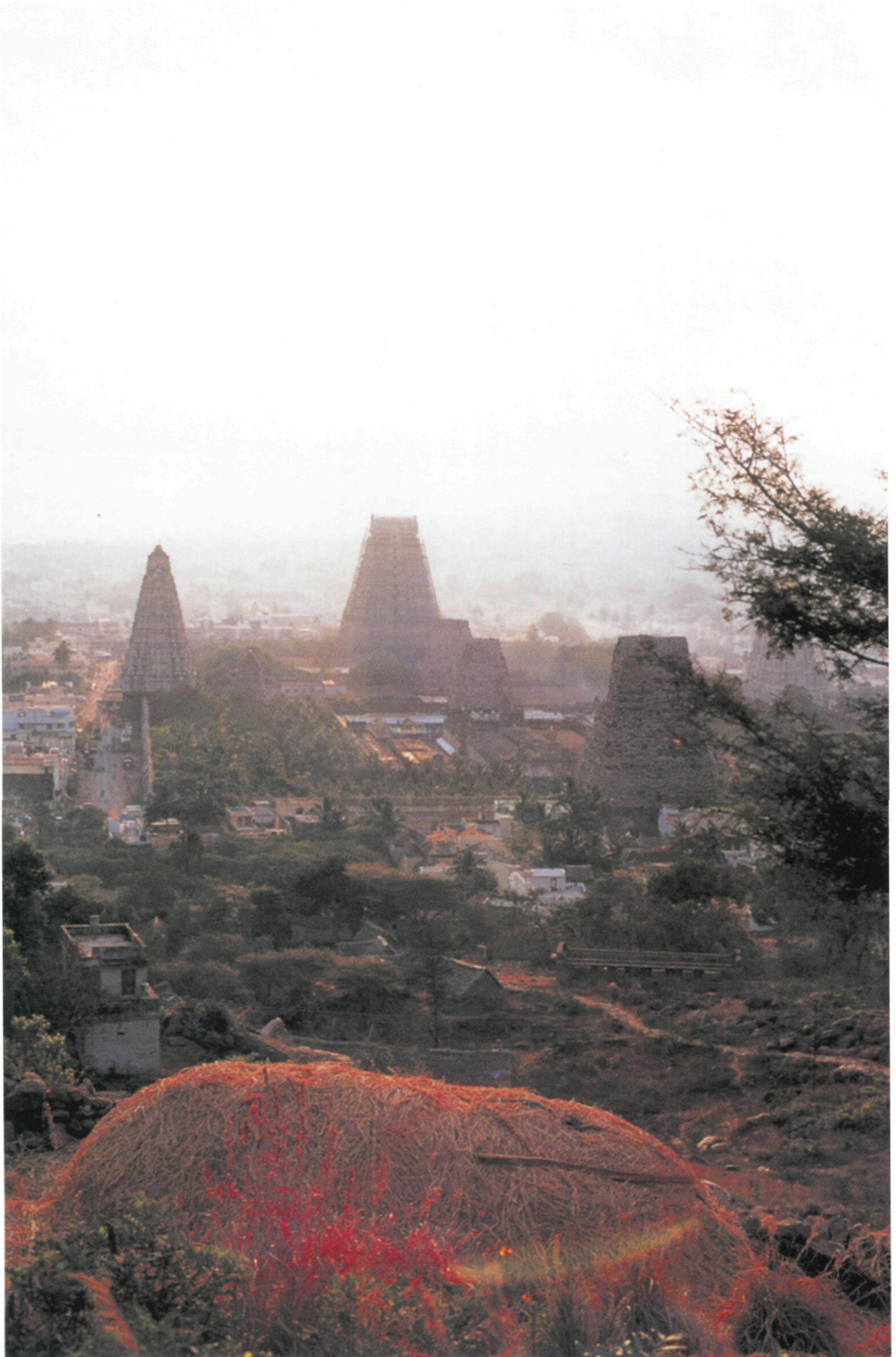
Czy gdyby mimo upływu czasu mogli przemówić do nas, poznalibyśmy prawdę o starożytnej historii Japonii?



27. O świcie na wybrzeżu Mahabalipuram ludzie gromadzą się, by zobaczyć wschód słońca. Z lewej Świątynia Nadbrzeżna. Miejscowa tradycja głosi, że pod wodą znajdują się rozległe starożytne ruiny



28. Świątynia Meenakszi (Maduraj) ze świętym zbiornikiem (z prawej na pierwszym planie)



29. Świątynia Arunaczela, Tiruwanmalaj



30. Arunaczela, święta góra w Tiruwanmalaj, symbol obecności Władcy Śiwy.
Świątynia znajduje się u podnóża góry



31. Wyznawcy Śiwy na zboczach Arunaczeli, skąd widać wielki prostokąt
kompleksu świątynnego



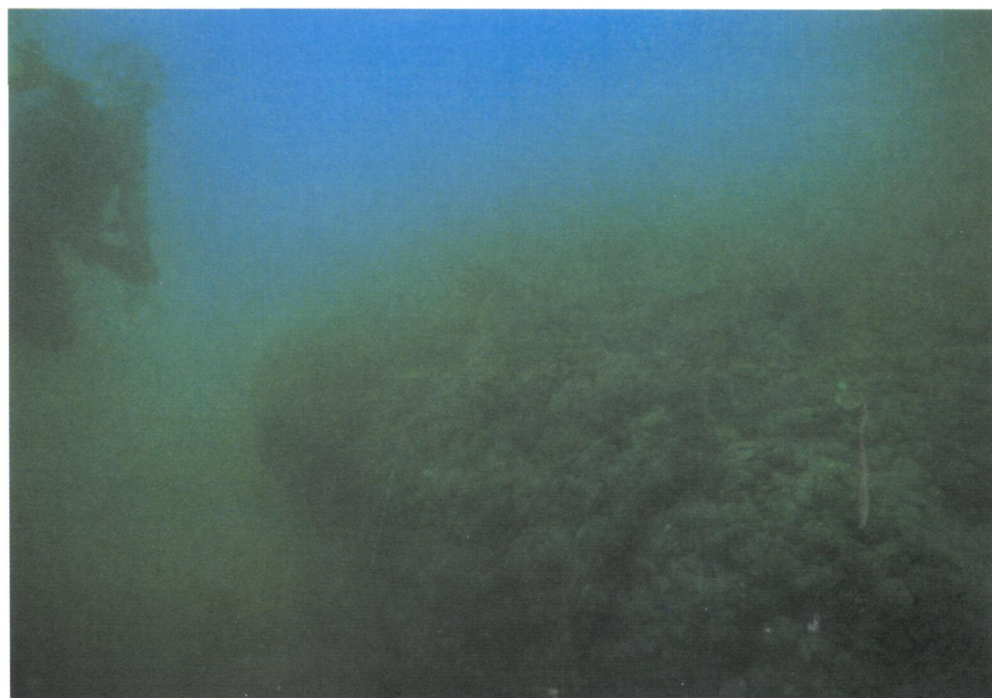
32. Autor z rybakami w Mahabalipuram. Opowieści o podwodnych ruinach są bardzo rozpowszechnione na wybrzeżu



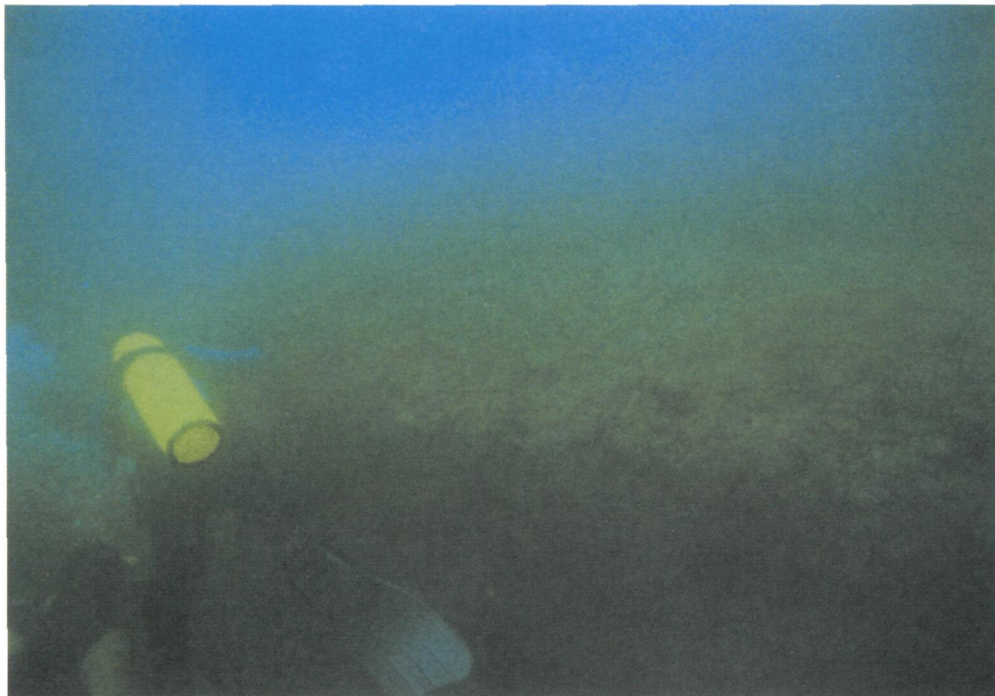
33. Autor z zespołem NIO i rybakami w Poompukur w drodze do miejsca nurkowania



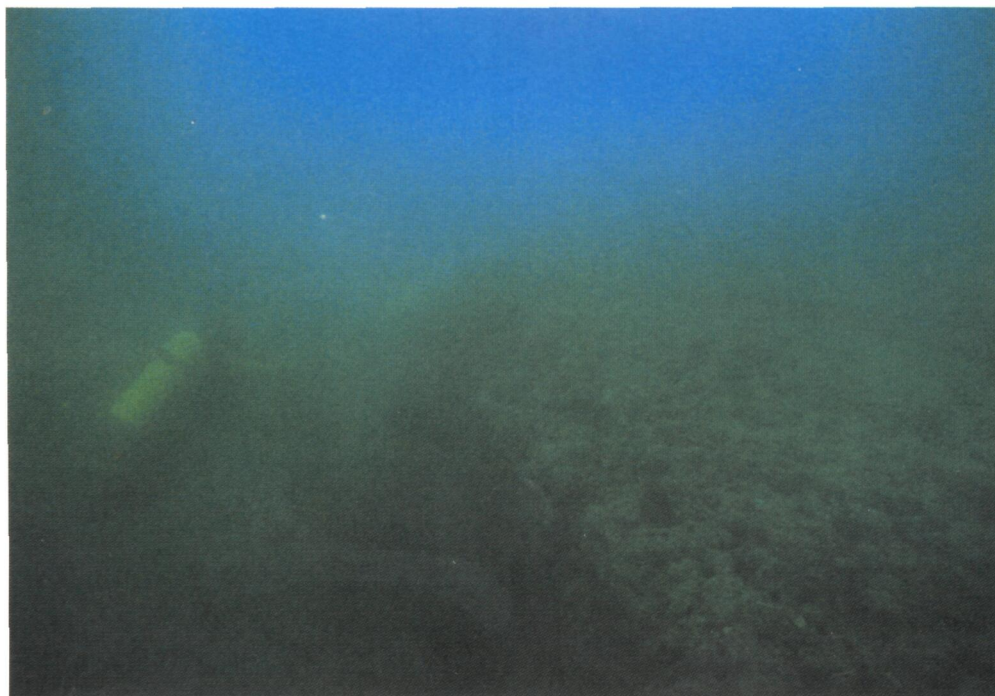
34. Miejscowi rybacy w trakcie połowu bezpośrednio nad podkowiastą budowlą, w której ruinach gromadzą się ryby



35. Boczna ściana podkowiastej budowli w Poompuhur, wylaniająca się z mroku. Budowla zatonała około 11 000 lat temu



36. Autor nurkujący nad podkowiastą budowlą w Poompuhur, na głębokości 23 metrów, w odległości 5 kilometrów od wybrzeża. Warunki są trudne, widoczność zła



37. Podkowiasta budowla. Poompuhur



38. Zakrzywiony rów lub korytarz w podkowiastej budowli. Poompukur



39. Autor nurkujący przy podkowiastej budowli. Poompuhur



40. Autor z morskimi archeologami z NIO. Kamlesh Vora – pierwszy z prawej.
Obok autora stoją Sundaresh i A.S. Gaur

Rozdział 19

Pamięć

*Gdy Susanoo wstąpił do Nieba, z powodu gwałtowności jego boskiej natury
na morzu zapanował tumult, a wzgórza i góry wydały głośny jęk.*

Nihongi

W mitycznej pamięci o starożytnej Japonii przewija się ten sam motyw: historia wędrówki do krainy smutku, leżącej po drugiej stronie śmierci – do Krainy Yomi, podziemnego świata najstarszych shintoistycznych tekstów. Jest to również opowieść o pobycie na zaczarowanej wyspie. A także historia podróży pod wodę, do Królestwa Władcy Morza.

Osoby i fabuły zmieniają się. Ale zawsze występuje wątek miłosny; kobieta pozostaje w mistycznym królestwie, a mężczyzna powraca do rzeczywistego świata. Ten wątek wydaje się nieprzypadkowy. Ale skąd się wziął? A dokładniej – czy istnieje jakiś związek między zaczarowaną wyspą, zatopionymi wieżami i pałacami podwodnego świata oraz podziemnym światem Yomi, w którym dusza musi przebywać po śmierci?

Podążając śladem przedstawicieli kultury Jomon (o czym piszę w rozdziale 18), zwiedziłem w całej Japonii wiele ich osiedli, od Kiusiu na południu po Hokkaido na północy, słuchając mądrych słów archeologów. Dzięki nim uzyskałem pewną wiedzę o życiu w epoce Jomon, stosunkach społecznych i stosunku do natury, o ich jedynej w swoim rodzaju ceramice, o życiu duchowym, czci oddawanej kamieniom i górom oraz ich wierze w życie po śmierci, wyrażającej się w ceremoniach pogrzebowych, które znamy z Sannai-Muryama i z innych miejsc.

Lecz wciąż miałem wrażenie, że to tylko wierzchnia warstwa czegoś znacznie głębszego: twórcy kultury Jomon nie używali języka pisanego, tysiąclecia panowania kultur Yayoi i Kofun dzielą koniec ery Jomon od najstarszych ocalałych japońskich pism, mitów i tradycji. Często zdawało mi się, iż mam do czynienia z kompletnie niema kulturą.

A może coś przeoczyłem?

Niedostrzeżone dziedzictwo 14 000 lat

W Japonii powstało wiele rozmaitych tekstów, pism, mitów i tradycji, lecz naukowcy podkreślają brak ich związku z kulturą Jomon¹. I choć nie dysponujemy archeologicznymi świadectwami, że doszło do „wymiany” kultur z jomońskiej na Yayoi (przeciwnie, wszystko dowodzi długotrwałego procesu asymilacji i synkretyzacji), większość naukowców i opinii publicznej uważa, że taka wymiana rzeczywiście nastąpiła. Pozwala im to odrzucać przypuszczenia, iż trwająca 14 000 lat kultura Jomon musiała pozostawić jakiś ślad, bez wątpienia bardzo głęboki, na niemal wszystkim, co rozumiemy jako cywilizację japońską.

Kiedy zacząłem pojmować, do jakiego stopnia Japonia nadal jest „jomońska”, przyjrzałem się z zupełnie innego punktu widzenia shintoistycznym tekstem, przede wszystkim księgom *Kojiki* i *Nihon Shoki*, które stanowią niemal jedyne zbiory autentycznych japońskich mitów, legend i tradycji. Jeżeli tak wiele ze współczesnych zjawisk sięga korzeniami do czasów Jomon – między innymi niektóre podstawowe koncepcje shintoizmu (jak wiemy z rozdziału 18) – traktowanie dawnych tekstów jako pozostałości po Yayoi czy innych kulturach byłoby absurdalne i oznaczałoby negowanie jakichkolwiek wpływów Jomon. Taka postawa doprowadziła do ograniczenia ram czasowych całej klasycznej literatury japońskiej, a zatem i jej „banku mitów”, oraz poszukiwania jej korzeni w okresie od nieco ponad 1000 lat temu – od pojawienia się w Japonii kultury Yayoi około 400 roku p.n.e. – do pierwszego spisania mitów w *Kojiki*, co miało miejsce w 712 roku n.e. W tym krótkim stosunkowo okresie naukowcy dostrzegają wpływy z tak odległych rejonów, jak Chiny, wyspy południowego Pacyfiku i Indie. Ale nigdy nie brano poważnie pod uwagę, że owe klasyczne mity mogą wywodzić się z kultury Jomon².

Czy mamy zatem uwierzyć, iż ta niezwykle stara i bogata kultura nie stworzyła żadnych własnych mitów mimo tak długiej obecności na Wyspach Japońskich? Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Lecz jakże inaczej mamy tłumaczyć rzekome milczenie kultury Jomon oraz brak śladu jej istnienia w mitologicznym i historycznym dziedzictwie kraju?

Jedna z hipotez głosi, iż bogowie, mity i koncepcje duchowe Yayoi były tak silne, że nie tylko wyparły, lecz całkowicie unicestwiły mitologię kultury Jomon, tak iż nikt już nie pamiętał choćby jednego słowa z wcześniejszego okresu.

A może zachowana w tych tekstach pamięć starodawnych mitów skrywa znacznie starsze i bogatsze dziedzictwo kultury Jomon (którego częścią jest choćby odwieczna cześć żywiona przez Japończyków dla świętych gór i kamieni)?

Zachowane zapiski i ich niedoskonałość

Po pierwsze, jeśli odrzucimy pogłoski o dwóch tekstach, które powstały w znacznie wcześniejszym okresie, lecz potem zaginęły³, to okaże się, że żadnego zbioru mitów nie stworzono przed VIII wiekiem n.e.⁴.

Przedtem, jak to miało miejsce w przypadku Indii, starodawne opowieści, religijne i historyczne pisma przetrwały wyłącznie w ustnej tradycji. Choć w Japonii istniało stowarzyszenie zawodowych „recytatorów” (*Kitari-be*)⁵, co stwarza nadzieję, że spora część tego materiału została zachowana, nie wiadomo, do jakiego stopnia owa ustna tradycja była wiarygodna oraz czy nie ulegała zmianom i przeinaczeniom, a także – w jakim tempie procesy owe mogły zachodzić. W 682 roku czterdziesty cesarz Temmu, który panował w latach 673–686, rozkazał zebrać wszelkie wiarygodne i powszechnie uznane źródła „prawdziwej tradycji i genealogii”⁶. Zadanie to powierzono zawodowemu recytatorowi, który podobno potrafił „powtórzyć ustami wszystko, co ujrzały jego oczy, zapamiętać wszystko, co usłyszały jego uszy”⁷. Po 25 latach cesarzowa Gemmei wreszcie doszła do wniosku, że całą starożytną wiedzę, którą recytator nadal pamiętał, należy spisać⁸.

W rezultacie około 712 roku powstała księga *Kojiki* (Zapis Spraw Dawnych), fundamentalne dzieło shintoizmu⁹. Mimo iż w większości dotyczy Wieku Bogów – przed początkami historii – oraz legendarnych cesarzy, których archeolodzy nie potrafią zidentyfikować, jest to także dokument historyczny, z którego czerpiemy wiedzę o znanych już cesarzach i dziejach Japonii do 628 roku¹⁰.

Druga ważna księga to *Nihon Shoki* (zwana również *Nihongi*), którą dwór wydał w 720 roku¹¹. Ten rodzaj kronik królewskich przedstawia dzieje Japonii od najdawniejszych czasów po 697 rok¹². W wielu wypadkach treść jej jest bardzo zbliżona do zawartości *Kojiki*, z tym że

(...) starszy materiał został rozszerzony i inaczej posegregowany, a całość nosi wyraźne zabarwienie chińską filozofią. Pominięto kilka legend, inne dodano, a główne epizody powtarzają się w odmiennych wariantach¹³.

Inne teksty, zawierające mniejsze lub większe fragmenty mitów krążących w Japonii w VIII wieku w ustnej tradycji, to *Manyōshū* (pierwsza wielka antologia japońskiej poezji, zawierająca również opowieści o charakterze mitologicznym) oraz *Fudoki* (Zapiski Wiatru i Ziemi). Choć do naszych czasów w komplecie przetrwało tylko pięć *Fudoki*, teksty te stanowiły swego czasu część ogromnego archiwum tekstów zebranych przez miejscowe władze, które na podstawie edyktu z 713 roku postanowiły w ten sposób uwiecznić lokalną tradycję¹⁴.

W początkach IX wieku Imibe-no Hironari skompilował *Kogo-shui*, czyli Zbiór Pominiętych Powiedzeń. Oprócz jedenastu mitów, które nie weszły w skład *Kojiki* lub *Nihongi*, znalazł się tam opis historii Japonii aż do 807 roku¹⁵.

I wreszcie dwa dzieła o nieco mniejszym znaczeniu – *Shōjiroku* (IX wiek) i *Engi-sheki* (X wiek) – są także źródłem wiedzy o autentycznych japońskich mitach¹⁶.

Musimy jednak pamiętać o niedoskonałościach tych dzieł:

- Nie możemy z nich czerpać wszechstronnych informacji. Zawierają jedynie określone fragmenty japońskiej mitologii, w zależności od indywidualnych zainteresowań tych, którzy je zbierali, i od okresu historycznego.

- Nie wiadomo, na ile są reprezentatywne dla japońskiej mitologii z epok poprzedzających tę, w której je spisano. Większość badaczy jest zdania, że wiele mitów zostało pominiętych.
- Okazało się, że ryż, który przez długi czas uznawano za innowację wprowadzoną do Japonii przez Yayoi, plemiona Jomon uprawiały jeszcze przed nadejściem Yayoi (patrz rozdział 18). Dlatego warto zastanowić się, na jakiej podstawie naukowcy określają epokę, z której pochodzą mity. Podobnie jak w przypadku nieprawidłowej eksploracji miejsca wykopalisk dochodzi do pomieszania warstw, tak i w tej dziedzinie trudno określić, jak bardzo w ustnej tradycji mity te były przeinaczane, zwłaszcza że w trakcie ich spisywania oddziaływały na nie także trendy polityczne¹⁷.

Mity i wspomnienia

Robert Graves pisze, że mitologia to „legandy i opowieści o wydarzeniach i bohaterach tak obcych współczesnym ludziom, że nikt praktycznie w nie nie wierzy. Dlatego «mityczny» znaczy «niewiarygodny»”¹⁸.

Kwintesencja sposobu myślenia badaczy mitów – mity są „niewiarygodną” fikcją, stworzoną w starożytności po to, aby „odpowiedzieć dzieciom na niewygodne pytania”, albo „usprawiedliwić istniejący ustrój społeczny i wytłumaczyć tradycje i obyczaje”¹⁹. W konsekwencji większość analiz mitów – aż do sir Jamesa Frazera – koncentruje się na aspektach społecznych, ekonomicznych i psychologicznych. Znamy nieliczne wyjątki od tej reguły²⁰, ale próby traktowania mitów jako źródła wiedzy historycznej bywają z reguły wyśmiewane, a w skrajnych przypadkach całkowicie odrzucane przez środowisko naukowe²¹.

Nie jestem naukowcem i nie muszę się bać wyśmiania. Jako pisarz mam prawo podążać każdym śladem, który wyda mi się wart uwagi, mieć własny pogląd na tę czy inną kwestię. Dlatego traktuję mity bardzo poważnie.

Starałem się w szczególności dowieść, że istnienia uniwersalnego mitu o potopie nie da się zbyć stwierdzeniem, iż są to reminiscencje lokalnych powodzi. Wiemy już, że istnieje ścisły związek między tymi przekazami a globalnym topnieniem lodów w końcu epoki lodowcowej. Nie mogę udowodnić hipotezy, że mity o potopie to jedynie nieco zniekształcone wspomnienia tych zdarzeń, ale i naukowcy również nie potrafią dowieść, iż mity te są odbiciem uniwersalnego archetypu płodu pływającego w łonie matki, czy czego tam jeszcze²². Oni mają swoją teorię, ja swoją. Czas pokaże, kto się mylił.

Uważam mity za kopalnię wiedzy o świecie. Przede wszystkim mogą one dostarczyć najcenniejszych informacji o „historii prehistorii”. Nie dotyczy to wszystkich mitów, nawet nie wszystkich mitów o potopie. Ale doświadczenie i wieloletnie badania – badania prowadzone przez ciekawego laika, nie naukowca – przekonały mnie, że spotykane na całym świecie wspomnienia kataklizmów, potopów, zmian geologicznych i klimatycznych, zachowane w mitach, są cennym dziedzictwem i stanowią częstokroć jedyne świadectwo, iż nasz gatunek potrafił

przekazywać z pokolenia na pokolenie wiedzę, jaką nasi przodkowie zdobyli w końcu epoki lodowcowej.

Liczne aspekty katastrof

Najistotniejszymi wydarzeniami w dziejach ludzkości były potopy. Potworne ilości wód spływały z łądów do mórz, kiedy ogromne lodowce topiły się, uwalniając glacialne jeziora, oraz odwrotnie – kiedy morza zalewały łądy. Ale, jak wiemy z rozdziału 2, potopy to zaledwie część historii. W tym samym okresie 10 000 lat (od 17 000 do 7000 lat temu), gdy się lody roztopiały, a poziom światowego oceanu wzrósł o 120 metrów, planeta przeżywała epokę wzmożonej aktywności wulkanicznej, gwałtownych i częstych trzęsień ziemi, nieoczekiwanych, krańcowych zmian klimatycznych.

W Japonii nie ma mitów o potopie.

W przeciwieństwie do reszty północnej półkuli Japonia nigdy nie została pokryta czapami lodowymi i nawet na najbardziej na północ wysuniętym krańcu Hokkaido w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia lodowce ograniczały się do pasm górskich²³. Ani Japonia, ani jej starożytni mieszkańcy nigdy nie znaleźli się w obliczu zagrożenia zalewem, który sięgał 50–100 metrów i przetaczał się okresowo przez Europę i Amerykę Północną w okresie między 17 000 a 7000 lat temu, zmiatając wszystko, co napotkał na drodze. Co więcej, choć powierzchnia Japonii znacznie zmniejszyła się wskutek podnoszenia się poziomu morza – skutkiem czego było oddzielenie się trzech wysp Honsiu, Sikoku i Kiusiu od jednej, znacznie większej przedpotopowej wyspy – rzut oka na mapy Milne'a w rozdziale 21 dowodzi, iż znacznie mniej ucierpiała wskutek polodowcowych kataklizmów niż inne części świata. Stało się tak głównie dlatego, że na przedpotopowej linii brzegowej rzadko występowały nisko położone tereny, które mogłyby ulec gwałtownemu zalaniu (nawet przy stosunkowo niewielkim wzroście poziomu morza), w przeciwieństwie do innych rejonów, na przykład Azji Południowo-Wschodniej, gdzie Szelf Sundajski kilkakrotnie ulegał katastrofalnym powodziom, albo niecki między Półwyspem Koreańskim i obecnym wybrzeżem Chin, w której powstało Morze Żółte.

Można powiedzieć, iż w końcu epoki lodowcowej Japonia miała wyjątkowe szczęście i była naprawdę ziemią błogostawioną – jak nam przekazuje mitologia. Dzięki rzeźbie terenu osłonięta przed najgorszymi skutkami polodowcowych potopów, została ochroniona przed ekstremalnymi wahaniami klimatu kontynentalnego, co stwarzało korzystne warunki naturalne, w których przez 14 tysięcy lat plemiona Jomon mogły wieść niemal idylliczne życie zbieraczy i myśliwych, rybaków, ogrodników, a potem rolników.

Nic zatem dziwnego, iż w Japonii brak mitów o potopie. Przeciwnie, właśnie tego należałoby się spodziewać po japońskiej mitologii, jeśli jej korzenie sięgają epoki Jomon (niezależnie od tego, jak głęboko mogą być one ukryte pod późniejszymi wpływami innych kultur). Podczas postglacialnych potopów w epoce Jomon Japonia straciła wyłącznie tereny położone blisko brzegu, w tym – jak

zamierzam udowodnić – kilka wielkich świątyń i innych miejsc kultu, które obecnie znajdują się 30 metrów pod wodą. Nigdy natomiast nie oddała morzu swych najcenniejszych zdobyczy i nie uległa jego destrukcyjnej potędze w stopniu, w jakim zdarzało się to w innych rejonach globu.

Ale – mimo iż Japonia pod wieloma względami była krajem „błogosławionym” – jednak nie uchroniła się przez pewnymi dramatycznymi zdarzeniami związanymi z okresem topnienia lodowców. Podobnie jak to miało miejsce w innych częściach świata, w 10 000 lat po maksimum ostatniego zlodowacenia w Japonii także wzrosła aktywność wulkaniczna.

Widziałem tego skutki we wczesnych jomońskich osadach, jak Uenohara na Kiusiu, gdzie najstarsze warstwy osadnictwa rozdzielają grube pokłady popiołów wulkanicznych. Myślę, że większość archeologów specjalizujących się w kulturze Jomon zgodzi się ze mną, iż praca nad stratygrafią w większości osiedli jest w znacznej mierze ułatwiona dzięki obecności owych warstw pyłów.

Jeśli więc *Kojiki*, *Nihongi* i inne starodawne japońskie teksty zawierają wspomnienia o dawnych dziejach kultury Jomon, można przypuszczać, iż przynajmniej część z nich dotyczy kataklizmów sejsmicznych i wulkanicznych.

Każda interpretacja mitów to spekulacja – czy dokonuję jej ja, czy ktokolwiek inny. Posłuchajcie jednak historii o „spustoszeniach” i „zameście” wywołanych przez Susanoo-wo-no-Mikoto, wielkie bóstwo Kami zwane Dzielnym-Bystrym-Gwałtownym-Mężczyzną.

Zamęt wywołany przez Susanoo

Historia pochodzi z Epoki Bogów – czyli, według starych kronik, sprzed ponad 10 000 lat²⁴. Czy to przez przypadek, czy też jest to wspomnienie z tamtych czasów, rzecz dzieje się w okresie wielkich zaburzeń polodowcowych.

Musimy tu przedstawić sylwetkę Susanoo, młodego mężczyzny „o gorącym temperamencie i niegodziwych skłonnościach”, z „brodą długą na osiem dłoni”²⁵. Przez swego ojca, Izanagiego, został wyznaczony władcą „Równin Oceanu”²⁶, lecz, choć już dorosły, wciąż nie mógł pogodzić się ze śmiercią matki, Izanami, która zmarła wiele lat temu. Susanoo był niepokieszony po jej utracie, jęczał i szalał z rozpacz, pragnąc połączyć się z nią w Krainie Yomi²⁷: „Płakał tak rozpaczliwie, jakby chciał zatopić zielone góry, by zwiędły i jakby chciał osuszyć wszystkie rzeki i morza”²⁸.

Aby przywrócić kosmiczną równowagę, Izanagi wkracza do akcji, rozkazując Susanoo, by wyniósł się z ziemi. Susanoo oświadcza, że zejdzie do Krainy Yomi, by połączyć się z matką, lecz najpierw wzniesie się na Wysokie Równiny Niebios, żeby pożegnać się z siostrą Amaterasu, boginią słońca, „Wielkim Lśnieniem Nieba”²⁹:

Gdy Susanoo wstąpił do Nieba, z powodu gwałtowności jego boskiej natury na morzu zapanował tumult, a wzgórza i góry wydały głośny jęk. Amaterasu,

znając porywczosć i okrucieństwo tego Bóstwa, przestraszyła się i zmieniała na obliczu, słysząc, w jaki sposób nadchodzi³⁰.

Tak brzmi fragment *Nihongi. Kojiki* dodaje, iż kiedy Susanoo wznosił się ku niebu, „zatrzęsły się wszystkie góry i rzeki, a każdy łąd i kraj zadygotał”³¹. W obu wersjach odnotowano niepokojące „zmiany oblicza” słońca – włosy Amaterasu podniosły się jak korona lub „jak węzły”, bogini owinęła się sznurami zakrzywionych kamieni *magatama*, stanęła na stopach i pograżyła się aż po uda w twardej ziemi, którą odrzucała „jak brudny śnieg”, wydając z siebie potężny jęk sprzeciwu³².

Susanoo poczuł urazę.

Z początku moje serce nie było czarne, lecz w odpowiedzi na surowy rozkaz naszych rodziców zamierzam na zawsze udać się do Krainy Yomi, lecz jakbym mógł odejść nie widząc się z tobą, moją starszą siostrą? Z tego powodu na piechotę przebyłem chmury i mgły i dotarłem tu z daleka. Jestem zdumiony, że moja siostra przybrała tak surowy wyraz twarzy³³.

Amaterasu udobruchała się i na pewien czas na świecie zapanował spokój. Oba bóstwa wspólnie powołały do życia inne bóstwa. Ale coś się zaczyna psuć i przykry charakter Susanoo znowu daje o sobie znać. Efektem jest kataklizm tak potworny, że słońce w ogóle przestaje być widoczne. Oto jak tę historię przedstawia *Nihongi*:

Susanoo zaczął zachowywać się grubiańsko. Kiedy ujrzał, że Amaterasu przygotowuje się do świętowania pierwszych owoców, potajemnie zostawiał w tym miejscu ekskrementy. Więcej – kiedy ujrzał, że Amaterasu znajduje się w swojej tkackiej komnacie, przygotowując szaty dla Kami, dosiadł srokatęgo żrebaka Niebios i wyrывая dziurę w dachu, wpadł do komnaty. Wówczas Amaterasu poderwała się z przerażenia i zraniła się czółentkiem. Oburzona, od razu weszła do Kamiennej Groty Niebios i zawarłszy jej wrota, pozostała tam w odosobnieniu. Wtedy wszędzie zapanowała ciemność i nie było wiadomo, kiedy jest dzień, a kiedy noc³⁴.

Znawcy mitologii tłumaczą tę dziwną historię rzekomym „pierwotnym” lękiem, jaki starożytni odczuwali przed zimowym przesileniem. Kiedy w środku zimy dzień był najkrótszy, zdawało się, że słońce nigdy już nie zaświeci z pełną siłą³⁵. Zniknięcie Amaterasu w kamiennej grocie miałyby symbolizować ów lęk (którego nasi głupkowaci przodkowie najwyraźniej nie umieli pokonać), natomiast jej ponowne pojawienie się odnowę życia, kiedy to słońce zbliża się do wiosennej równonocy.

Jest to tłumaczenie gładkie i schludne, lecz moim zdaniem całkowicie bezsensowne. Ludzie mieszkający w rejonach o zmiennych porach roku nie potrzebowali mitów, żeby wiedzieć, iż zima się skończy! Znali cykl przyrody z własnego

doświadczenia, z doświadczenia rodzeństwa i rodziców. Lęk z całą pewnością nie był właściwą reakcją na powtarzające się i przewidywalne zjawiska naturalne. Natomiast był na miejscu, jeśli zdarzały się kataklizmy rzadkie i nieprzewidywalne – klęski wstrząsające ziemią, wzbudzające fale morskie i powodujące znikanie słońca na niebie – tak jak to opisują mity. Taki lęk wydaje się jak najbardziej uzasadniony, gdyż wywołują go gwałtowne zaburzenia geologiczne i klimatyczne, których ucieleśnieniem jest Susanoo. Znajduje to odbicie w dokonanych przez niego „spustoszeniach” i zaciemnieniu słońca.

Jak zwykle, język *Kojiki* jest nieco odmienny od stylu *Nihongi*. Czytamy, że po wycofaniu się Amaterasu do groty i zaparcia jej wrót:

(...) cała Wysoka Równina Niebios zatoneła w mroku, a Środkowa Kraina Trzcinowych Równin [czyli Japonia] pociemniała. Wskutek tego zapanowała wieczna noc, po czym głosy złych³⁶ Kami stały się jak muchy w piątym księżycu gromadzące się chmurą, a miriady oznak żalości wszędzie powstały³⁷.

Opis pasuje bardziej do końca świata niż do zimowego przesilenia! Jeśli nie był to koniec świata, to przynajmniej jego zapowiedź. Czy to zbieg okoliczności, czy też tekst ten zawiera prawdziwą relację o potwornym kataklizmie, który nawiedził Japonię podczas topnienia epoki lodowcowej, gdy nastąpił szczyt trzęsień ziemi i aktywności wulkanicznej? Nawet niezbyt silne erupcje wulkanów w naszych czasach zasnuwały ciemnością niebo nad całymi krajami, budząc pogłoski o końcu świata³⁸. O ileż bardziej prawdopodobna wydaje się taka reakcja podczas erupcji na ogromną skalę, jakich Japonia doznała w epoce Jomon, i które powodowały długotrwałe zaciemnienie, wróżące początek „wiecznej nocy”.

Ale nawet najdłuższa wulkaniczna zima dobiegła końca. Możemy się więc spodziewać, iż Amaterasu w końcu wyszła ze swojej groty. Skłoniły ją do tego sztuczki jej towarzyszy, Kami, a wówczas „Promienie Bogini Słońca wypełniły wszechświat”³⁹.

To nie koniec historii. Co zrobić z niesfornym Susanoo, który stał się przyczyną tych wszystkich kłopotów? Zgromadzenie Kami postanowiło wziąć na nim odwet. Poniósł ciężką karę. Odcięto mu palce rąk i nóg, a także brodę.

Potem Kami skarcili Susanoo, mówiąc: „Twoje zachowanie było w najwyższym stopniu niestosowne. Nie możesz zatem przebywać w Niebie. Nie wolno ci także zamieszkać w Środkowej Krainie Trzcinowej Równiny. Musisz natychmiast udać się do Dolnej Krainy (Krainy Yomi)”. I razem zaprowadzili go w dolne rejony.

Teraz nastał czas ciągłych deszczów⁴⁰ (...).

Spróbujmy odtworzyć scenariusz wydarzeń:

1. Okres skrajnie suchego klimatu, kiedy „zielone góry” zwiędły, a rzeki i morza wyschły. Komentarz: doskonały, stenograficzny wręcz opis wa-

- runków panujących w okresie maksimum ostatniego zlodowacenia, kiedy poziom mórz był najniższy, a północno-wschodnia Azja, jak i inne części globu, przez wiele tysięcy lat cierpiało suszę⁴¹.
2. Tumult w morzu; góry i rzeki drżą, wydając głośny jęk. Komentarz: początek topnienia; kiedy skorupa ziemska reaguje na zmienne naciski, Japonię nawiedzają trzęsienia ziemi o ogromnej sile, następują nieustanne erupcje wulkanów.
 3. Zmienia się oblicze słońca, potem epizod ze srokatym żrebakiem. Komentarz: zjawiska atmosferyczne wywołane nasilającymi się erupcjami wulkanów.
 4. Słońce znika w „Kamiennej grocie Niebios”. Komentarz: niebo ciemnieje, a słońce przysłaniają gęste pyły wulkaniczne, występuje globalna cyrkulacja popiołów w wyższych warstwach atmosfery.
 5. Powrót słońca poprzedzony okresem ciągłych deszczów. Komentarz: niebo się przejaśnia, znowu widać słońce; ponieważ wciąż trwa topnienie lodowców i do atmosfery dostaje się coraz więcej wody, po długim okresie suszy na Japonię spadają ulewne deszcze⁴².

To wszystko spekulacje. Zdaję sobie sprawę, że może istnieć kilkanaście alternatywnych wytłumaczeń mitu. Powyższy scenariusz pasuje do warunków naturalnych Japonii pod koniec epoki lodowcowej.

A twórcy kultury Jomon byli tam i wszystko to przeżyli.

Kraina Yomi

Długa historia Susanoo nie kończy się na wyrzuceniu go z nieba. Susanoo ma jeszcze coś do zrobienia na ziemi, zanim połączy się ze swą matką Izanami w Krainie Yomi. Zabija ośmiogłowego węża potwora, który chce pożreć młodą kobietę, a następnie wyciąga z ogona bestii miecz⁴³. Ożeniwszy się z ową młodą kobietą i spłodziwszy z nią dzieci, „Susanoo-wo-no-Mikoto podąża do Krainy Yomi”⁴⁴.

Tu dochodzę do wątku, którym rozpocząłem ten rozdział – zagadkowej podróży do podwodnego świata, do zaczarowanej wyspy, do Królestwa Władcy Morza. Przewijają się on stale w japońskiej mitologii.

Przypadek Susanoo tylko dotyka tej kwestii. W istocie to historia jego matki, wielkiej rodzicielki, bogini Izanami (Niewiasty, Która Wabi) i jego ojca Izanagiego (Męża, Który Wabi), prowadzi nas na właściwy trop. Izanami i Izanagi są archetypiczną boską parą, rodzicami bogów i ludzi. Po raz pierwszy spotykamy ich, jak stoją na „Pływającym Moście Niebios”, wpatrując się na wirującą, oleistą, pokrytą chmurami masę, która tworzyła pierwotny wszechświat:

Izanagi-no-Mikoto i Izanami-no-Mikoto stali na Pływającym Moście Niebios, pytając się nawzajem: „Czyż pod nami nie ma ładu?”

Wówczas ciskają w dół drogocenną włócznię Niebios i za jej pomocą odkrywają ocean. Słona woda, ściekająca z wydobytego z głębin ostrza włóczni, zakrzepła i w ten sposób powstała wyspa nazwana Ono-goro-Jima [Samoistnie-krzepająca-wyspa, którą utożsamia się z małą wysepką niedaleko Ahaji].

Oba bóstwa zeszyły tedy w dół i osiedliły się na tej wyspie. Postanowili zostać mężem i żoną i stworzyć kraj.

Tak więc sprawili, że Ono-goro-Jima stała się podporą środka ładu⁴⁵.

Nie sposób nie dostrzec podobieństwa symboliki „podpory środka ładu” do pojęcia omfalosa, czyli „pępka świata”, znanego w rejonach tak odległych, jak Peru, Wyspa Wielkanocna, Indie, starożytny Egipt i Grecja. Pisałem już o tym⁴⁶, nie będę się więc powtarzał. Niemniej nie tylko ja mam wrażenie, że w tym ustępie tekstu *Nihongi* wyraźnie widać odniesienia do technicznej terminologii geodezji.

Podobnie jak bogini słońca Amaterasu i jej rozbrykany brat Susanoo, Izanagi i Izanami spłodzili liczne potomstwo. Kilkoro z ich dzieci to wyspy (może nawet wyspy polodowcowej Japonii, które uformowały się wskutek wzrastania poziomu morza?), inne natomiast to różnorodne Kami.

Ciekawe, że pierwotny boskiej pary określany jest jako dziecko-pijawka (później utożsamiane z bogiem Yebisu⁴⁷), które „od razu umieścili w trzcinowej łodzi i pozwolili mu odpłynąć”⁴⁸. Podobnie jak zabicie przez Susanoo smoka w obronie napastowanej dziewczyny przypomina grecki mit o Perseuszu i Andromedzie, tak i ta opowieść o dziecku wysłanym w trzcinowej łodzi kojarzy się nam ze znanymi z historii bohaterami w podobny sposób „uratowanymi przed wodą”, na przykład Mojżeszem ze Starego Testamentu i Sargonem Wielkim z Mezopotamii, który w III tysiącleciu p.n.e. głosił:

Moja matka była kapłanką. Ojca natomiast nie znam. Kapłanka, moja matka, poczęła mnie i urodziła potajemnie. Ułożyła mnie w trzciniowym koszyku, a wieko uszczelniła smołą. Wrzuciła koszyk do rzeki, która mnie uniosła⁴⁹.

Powracając do japońskiej mitologii: ostatnim z dzieci Izanami jest bóg ognia Kagu-tsuchi (Ognisty-Świecący-Bystry-Mężczyzna)⁵⁰. Kiedy przyszedł na świat, jej macica spłonęła. Bogini wkrótce zachorowała, potem zmarła, a jej dusza powędrowała do Krainy Yomi⁵¹.

Teraz pojawia się znany już skądinąd wątek – przypominający szukanie w podziemnym świecie Eurydyki przez Orfeusza i Persefony przez Demeter⁵². Starożytna japońska wykładnia tego zagadkowego, znanego też w innych kulturach mitu, znajduje się w *Kojiki* i *Nihongi*, gdzie czytamy, że Izanagi, rozpaczając po śmierci małżonki, podążył za nią do Krainy Yomi i próbował przywrócić ją światu żywych.

Izanagi-no-Mikoto wszedł do Krainy Yomi. Kiedy Izanami-no-Mikoto otworzyła drzwi pałacu i wyszła mu na spotkanie, Izanagi rzekł: „Moja ukochana młod-

sza sestro! Łądy, które oboje stworzyliśmy, nie są jeszcze skończone, dlatego musisz powrócić!⁵³

Izanami wzruszyła się przywiązaniem Izanagiego i jeła myśleć o powrocie. Ale niestety spożyła posiłek przyrządzony w Krainie Yomi, co przywiązywało ją do tego miejsca, podobnie jak w mitologii greckiej zjedzenie pestki granatu przez Persefonę zatrzymywało ją w Hadesie⁵⁴.

Czy to przypadek, że starodawny indyjski mit także zawiera ten wątek? W *Kathaupaniszadzie* człowiek imieniem Nacziketas udał się z wizytą do Jamy, hinduistycznego boga śmierci (naukowcy zauważyli zdumiewające podobieństwo między nazwami i funkcjami Jamy i Yomi⁵⁵). Nacziketasa ostrzegano, by nie dał się uwieźć w Jamie:

Przez trzy dni pobytu na dworze Jamy
Nie jedz niczego, co ci poda, choć będziesz gościem⁵⁶.

Tak więc według mitów Japonii, Grecji i Indii nie należy niczego jeść w podziemnym świecie, jeśli chce się go opuścić. Takie podobieństwa mogą wynikać ze zbiegu okoliczności. Mogą być skutkiem wpływu jednej kultury na inną. Albo trafiły do wszystkich trzech – a być może i innych kultur – ze wspólnego, choć nieznanego źródła.

Podobnie rzecz się ma z zakazem oglądania się wstecz, jak choćby w micie o Orfeuszu i Eurydyce. W tym wypadku Eurydyka, zmarła wskutek ukąszenia węża, może powrócić z Orfeuszem do świata żywych pod jednym warunkiem – wychodząc z podziemnego świata ani on, ani ona nie mogą oglądać się za siebie: „Oboje wspinali się do otworu prowadzącego do świata żywych, a Orfeusz, znów widząc słońce, odwrócił się, by podzielić się swym zachwytem z Eurydyką. W tym momencie ona zniknęła”⁵⁷.

Starożytny japoński mit zawarty w *Kojiki* i *Nihon Shoki* jest do powyższego podobny i odmienny od niego zarazem. Pamiętamy, że Izanagi, dotarłszy do Krainy Yomi, zwrócił się do Izanami w te słowa: „Moja ukochana młodsza sestro! Łądy, które oboje stworzyliśmy, nie są jeszcze skończone, dlatego musisz powrócić!” A ona powiedziała mu, że zjadła posiłek w podziemnym świecie i nie może go teraz opuścić: „Mój panie i mężu, dlaczego przybyłeś tak późno? Jadłam już z pieca Yomi”⁵⁸. Mimo to porozmawia z Kami. Może uczyni on wyjątek i uwolni ją. Lecz przed jednym ostrzegła męża: „Nie patrz na mnie!”⁵⁹

Wróciła do pałacu, żeby uzyskać uwolnienie, i pozostawała tam długo, nie dając żadnego znaku. Czekający na zewnątrz Izanagi zaczął się niecierpliwić. Zapalił latarnię i podążył za żoną do środka. I tu widzi Izanami już rozkładającą się i zżeraną przez robaki.

Wstrząśnięty Izanagi-no-Mikoto rzecze: „O nie! Przybyłem nieświadomy do ohydneho i skażonego miejsca”. Szybko więc stamtąd wybiega. Wówczas Izanami-no-Mikoto powiada ze złością: „Dlaczego nie posłuchałeś tego, co mówiłam [czyli żeby na nią nie patrzył]? Teraz muszę się wstydzic”⁶⁰.

Jak mściwa harpia, w towarzystwie „ośmiu Piekielnych Jędz z Yomi” rzuca się w pościg za Izanagim, pragnąc go ukarać za pozbawienie jej czci. Ledwo zdołał ujsć przed nimi i wydostać się przez „Równe Przejście z Yomi”, by uciec do górnego świata, a wejście zablokował „skałą wydobytą przez tysiąc ludzi”⁶¹. Skała ta „nazywana jest wielką Kami, Zaporą Bram Krainy Nocy”⁶². Po jednej stronie została Izanami, na zawsze skazana na pobyt w Królestwie Yomi. Po drugiej stoi Izanagi, Mąż, Który Wabi, który wciąż ma zadanie do wypełnienia, i potężni Kami, mający stworzyć górny świat.

Wśród wielkich Kami, którzy powołani zostali do życia, gdy Izanagi dokonywał niezbędnych ablucji i oczyszczenia po podróży, są jego dzieci – Amaterasu i Susanoo, których już znamy.

Zaczarowana wyspa

W całej mitologii japońskiej przewija się wątek miłości, podróży do tajemniczego równoległego świata i powrotu do świata realnego.

Pierwszym przykładem jest historia Izanami i Izanagi, którą *Kojiki* i *Nihongi* umieszczają w odległej epoce zwanej Wiekiem Bogów. Drugi przykład, który chcę przytoczyć, z pozoru odmienny, pochodzi z Wieku Ziemijskich Władców. Oto co czytamy o rybaku później czczonym jako bóstwo imieniem Urashima:

Miał piękne rysy twarzy. Wyplął samotnie łodzią na połów z haczykiem i linką. Przez trzy dni i noce niczego nie złowił, lecz po długim czasie złapał zółwia o pięciu kolorach. Zaskoczony, wciągnął go do łodzi. Kiedy spał, zółw nagle przeobraził się w niewypowiedzianie piękną kobietę. Rzekł do niej: „To miejsce z dala od siedzib ludzi, z których kilku jest na morzu. Jak to się stało, że nagle tu przybyłaś?” A ona z uśmiechem odrzekła: „Zobaczyłam, że na morzu jest samotny mężczyzna, który nie ma z kim porozmawiać, przybyłam więc tu z wiatrem i chmurą”⁶³.

Wnet się zorientował, że kobieta jest Kami z magicznego lądu, który „ciągnie się jak morze i ziemia i kończy tam, gdzie słońce i księżyc”⁶⁴. A ona jeła go kusić:

„Możesz dotrzeć do tej ziemi obracając wiosłem. Bądź mi posłuszny i zamknij oczy”. Przybyli więc na rozległą wyspę na przestworzu morza, pokrytą drogocennymi klejnotami. [Był tam wielki pałac.] Jego wysokie wrota i wieże lśniły blaskiem, którego jego oczy nigdy nie widziały i o których jego uszy nigdy nie słyszały⁶⁵.

Weszli do pałacu, gdzie ich przyjęli i gorąco powitali jej rodzice: „Usiedli i zaczęli rozmawiać o tym, co różni rodzaj ludzki od mieszkańców Krainy Duchów, i o radości, jaką niesie spotkanie człowieka i Kami”⁶⁶. W końcu rybak Urashima i piękna morska Kami pobrali się. A potem: „Przez trzy lata, z dala od

starych rodziców, wiódł żywot w stolicy Duchów, lecz zaczął tęsknić za domem i nimi”. Widząc, że się zmienił, małżonka spytała: „Czy pragniesz wrócić do domu?” Odparł: „Aby przybyć do Krainy Duchów, porzuciłem swych najbliższych. Nie mogę zdusić tęsknoty. Chciałbym wrócić do rodzinnych stron, by choć na chwilę zobaczyć rodziców”. Dalej czytamy:

Szli ręką w rękę rozmawiając, aż dotarli do miejsca, gdzie ich drogi się rozchodziły i gdzie stali jej rodzice oraz krewni, zasmuceni rozstaniem i żegnający go. Księżniczka powiedziała, że naprawdę była żółwiem, którego wciągnął na łódź. Wzięła szkatułkę i dając mu ją, powiedziała: „Jeśli o mnie nie zapomnisz i zechcesz mnie zobaczyć, trzymaj tę szkatułkę, lecz jej nie otwieraj”. Tak więc rozstał się z nią, wsiałdł do łodzi zamykając oczy, gdy ona go żegnała⁶⁷.

W mig Urashima znalazł się w rodzinnej wsi, ale tam czekała go straszna niespodzianka. Przez owe trzy lata, jakie spędził zaczarowany na wyspie Duchów, minęło na ziemi 300 lat ludzkich i wszystko zmieniło się nie do poznania. Krążąc zdezorientowany i zrozpaczony, od przechodniów dowiedział się, że jego własne zniknięcie trzy wieki temu przeszło do legendy. Zapomniawszy o ostrzeżeniu otworzył szkatułkę, gdyż pragnął przypomnieć sobie swą żonę z rodu Kami: „Lecz zanim zdążył do niej zajrzeć, coś w postaci błękitnej orchidei wyfrunęło w błękit nieba wraz z wiatrem i chmurami. Zrozumiał, że złamał obietnicę, nie będzie mógł wrócić i znowu jej ujrzeć”⁶⁸.

Widać wyraźnie, że zaciera się tu granica między zaczarowaną wyspą a Krajiną Duchów Yomi. Ale to zatarcie się konturów wydaje się głębsze w innej wersji mitu, w której księżniczka Kami jest „córką Smoczego Króla Morza”, a Urashima zostaje zabrany nie na wyspę, lecz do podwodnego królestwa⁶⁹.

Jak wytłumaczyć tę dwuznaczność? Może ona nic nie znaczyć. Ale można też dojść do wniosku, że pałac Władcy Morza nie zawsze znajdował się pod wodą...

Królestwo Władcy Morza

To samo wynika z wcześniejszych mitów, również zawartych w *Kojiki* i *Nihongi*. Ich akcja dzieje się pod koniec Wieku Bogów – dwa pokolenia przed narodzinami Jimmu, półczłowieka, pół-Kami, legendarnego pierwszego cesarza Japonii.

Na początku poznajemy dwóch braci. Starszy to Ho-no-susori no Mikoto (imię to zwykle tłumaczy się jako „Ognisty Blask” lub „Ognisty Żar”), młodszy zaś Ho-ho-demi no Mikoto („Gasnący Ogień” lub „Ogień Ustupujący”). *Nihongi* informuje, cokolwiek niejasno, że pierwszy posiadał „morski dar”, drugi natomiast – „górski dar”⁷⁰. *Kojiki* precyzuje:

Jego wysokość Ognisty Blask był księciem, który swoje szczęście znalazł na morzu i chwycił stworzenia o szerokich i wąskich płetwach. Jego wysokość

Gasnący Ogień był księciem, który swoje szczęście znalazł w górach i chwycił stworzenia kudłate i gładkowłose⁷¹.

Innymi słowy Ognisty Blask, podobnie jak Urashima, był rybakiem, a Gasnący Ogień – myśliwym. Uprawiali więc zawody dalekie od stereotypu „walecznych wieśniaków”, rozpowszechnionego w późniejszych kulturach Yayoi i Kofun, ale stanowiącego odbicie trybu życia myśliwych, zbieraczy i rybaków z wcześniejszego okresu Jomon⁷².

Według *Kojiki* myśliwy Gasnący Ogień przekonał rybaka Ognisty Blask, że „powinni wymieniać się swymi talentami”⁷³. Oznaczało to, że Gasnący Ogień wzięły wędkę Ognistego Blasku i spróbował szczęścia na morzu; Ognisty Blask miał wziąć łuk i strzały Gasnącego Ognia i zapolować w górach. Mimo iż Ognisty Blask nie był tym pomysłem zachwycony, „jednak w końcu doszło do wymiany”⁷⁴:

Wówczas jego wysokość Gasnący Ogień, próbując szczęścia na morzu, zaczął łowić ryby, lecz żadnej nie złapał, a co gorsza – stracił wędkę z haczykiem. Wtedy jego wysokość Ognisty Blask poprosił go o tę wędkę, mówiąc: „Szczęście w górach to jedno, a szczęście na morzu to drugie. Oddajmy więc sobie nasze talenty”. Na to młodszy brat jego wysokość Gasnący Ogień odparł: „Jeśli chodzi o twoją wędkę, to nic na nią nie złowiłem, a w końcu straciłem ją wraz z haczykiem w morzu”⁷⁵.

Ognisty Blask oddał Gasnącemu Ogniewi łuk i strzały⁷⁶ i żądał w zamian zwrotu swojego haczyka, choć „w żaden sposób nie można go było odnaleźć”⁷⁷. Mając nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży, Gasnący Ogień zrobił nową wędkę i haczyk i chciał je dać starszemu bratu. Lecz Ognisty Blask odmówił ich przyjęcia i nadal żądał zwrotu wędki z haczykiem⁷⁸.

Wówczas młodszy brat, rozszczepiając miecz, który miał przypasany, na pięćset haczyków do wędki, wręczył je bratu, lecz ten ich nie przyjął. Znowu zrobił tysiąc haczyków, lecz brat ich nie przyjął, mówiąc: „Ja chcę mój prawdziwy haczyk”⁷⁹.

Nihongi rozwija tę historię następująco:

Rozpacz Gasnącego Ognia była naprawdę wielka, szedł więc brzegiem morza i jęczał. Spotkał tam Shihi-tsutsu no Oji [„Starca Słonego Morza”]. Ów spytał: „Dlaczego tak rozpaczasz?” Opowiedział mu więc wszystko od początku do końca. Starzec rzekł: „Nie rozpaczaj. Ja ci pomogę”. Zrobił koszyk bez szczeliny i umieściwszy w nim Gasnący Ogień, opuścił w morską toń⁸⁰ (...).

Opis tej przygody w *Nihongi* przypomina mi owe podwodne ruiny, które widziałem u wybrzeży Okinawy w Chatan, a potem 50 kilometrów dalej na zachód u wybrzeży Keramy. Poniższy fragment od razu zwrócił moją uwagę:

Natychmiast znalazł się na pięknej plaży, gdzie porzucił kosz i podążając drogą, przybył nieoczekiwanie do pałacu Boga Morza. Miał on mury obronne, wieżyczki i wspaniałe wieże⁸¹.

Gasnący Ogień wałęsał się przy bramie, aż ujrzała go piękna księżniczka, córka Boga Morza. Razem z ojcem uradzili, żeby „tego rzadkiego przybysza” zaprosić do pałacu. W trakcie spotkania Bóg Morza spytał Gasnący Ogień o cel jego przybycia, i teraz zaczyna się opowieść o zgubionym haczyku:

Bóg Morza zebrał wszystkie ryby, małe i duże, i kazał im odpowiedzieć. Wszystkie rzekły: «Nic nie wiemy. Tylko Czerwona Dama miała jakiś czas temu obolałe wargi i nie przybyła». Kazano jej więc stawić się w pałacu, a kiedy obejrzano jej wargi, haczyk się znalazł⁸².

Misja zakończona? Być może. Ale poznawszy uroki życia w pałacu Boga Morza, Gasnący Ogień nie chciał odejść. Ożenił się z jego córką, Toyotamą, „i zamieszkał w podmorskim pałacu”⁸³.

Przez trzy lata zażywał spokoju i przyjemności, lecz tęsknił za swoim krajem i od czasu do czasu głęboko wzdychał. Toyotama usłyszała to i powiedziała do ojca, że Gasnący Ogień pogrąża się w smutku, gdyż tęskni za swym krajem⁸⁴.

Gasnący Ogień przyznał, że tak właśnie jest, a Bóg Morza pozwolił mu powrócić do świata ponad falami, wręczając równocześnie haczyk oraz magiczne klejnoty – „jeden na prąd przyprływu, drugi na prąd odpływu” – dzięki którym będzie mógł panować nad wodami⁸⁵. Miał użyć ich do ukarania starszego brata (prawdopodobnie za to, że był taki uparty w sprawie haczyka):

Jeśli zamoczysz klejnot przyprływu, fala nagle się podniesie i twój starszy brat zacznie tonąć. Gdyby jednak zaczął prosić o wybaczenie, zamoczysz klejnot odpływu, fale się uspokoją i wtedy go uratujesz. Postępując z nim w ten sposób, podporządkujesz sobie jego wolę⁸⁶.

Zanim Gasnący Ogień udał się w drogę, podeszła doń jego młoda małżonka Toyotama oznajmiając, iż spodziewa się potomstwa i wkrótce za nim podąży, gdyż pragnie urodzić dziecko ponad wodami, w ojczyźnie męża:

Twoja służebnica jest już brzemienna, a czas rozwiązania nieodległy. W dniu, w którym będą szalały fale i wiatry, podpłynę do brzegu morza. Proszę więc, żebyś zbudował dla mnie izbę porodową i czekał tam na mnie⁸⁷.

Po powrocie Gasnący Ogień użył owych niezwykłych klejnotów, które potrafiły wznosić i obniżać poziom morza, i od razu podporządkował sobie starszego brata, jak przewidział Bóg Morza. Nadszedł potem czas, gdy Toyotama wypełniła swoją obietnicę i wyłoniła się z podwodnego królestwa, by na lądzie urodzić dziecko. Tak więc „odważnie zmierzyła się z wiatrem i falami, ukazując się na brzegu morza, gdzie oczekiwał na nią Gasnący Ogień”⁸⁸. Oto fragment *Kojiki*:

Nie mogąc powstrzymać skurczów macicy, weszła do izby porodowej. Kiedy już miała rodzić, powiedziała do męża: „Ilekrót obca będzie miała tu rodzić,

przyjme postać taką, jaką miała w swoim ojczystym kraju. Więc ja teraz przyjmę moją postać. Proszę, żebyś na mnie nie patrzył!¹⁸⁹⁹

W *Nihongi* także mamy do czynienia z podobnym ostrzeżeniem: „Gdy twoja służebnica będzie rodzić, proszę, byś na nią nie patrzył”⁹⁰. Ale oczywiście tak jak Orfeusz musiał spojrzeć na wrota piekła, a Izanagi musiał spojrzeć na Izanami w Krainie Yomi:

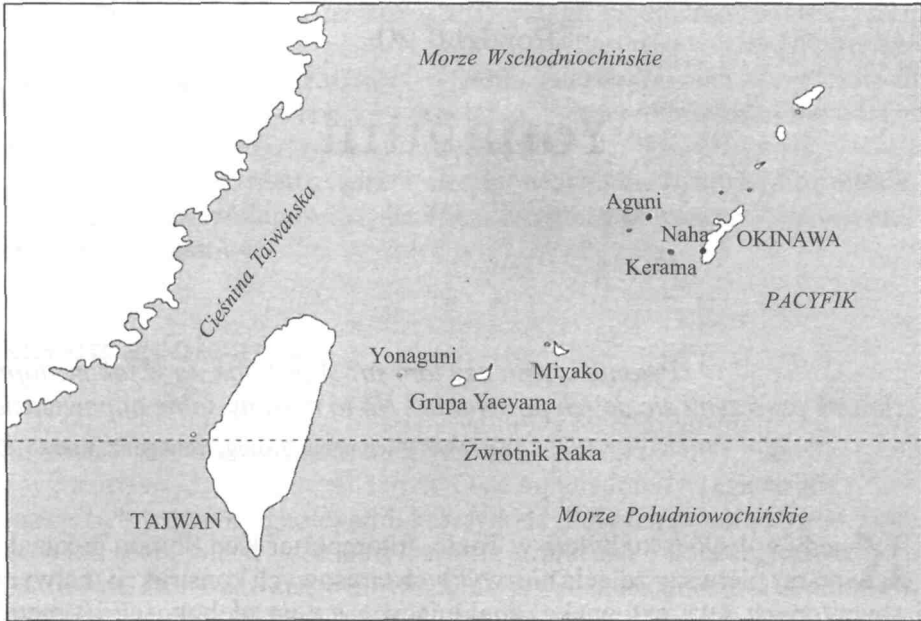
(...) Gasnący Ogień nie mógł się oprzeć, lecz zakradł się potajemnie i zajrzał do środka. Toyo-tama-hime właśnie rodziła i przemieniła się w smoka. Bardzo zawstydzona rzekła: „Gdybyś mnie tak nie zhańbił, sprawiłabym, że morze i ląd porozumiałyby się z sobą i nigdy nie byłyby odrębnymi dziedzinami. Ale ponieważ to uczyniłeś, jakżeż mogłyby zapanować między nimi przyjacielskie więzi?” Owinęła zatem dziecko w sitowie i porzuciła na brzegu morza. Zamknęła potem morskie przejście i odeszła⁹¹.

Dziecko porzucone na brzegu morza po osiągnięciu dojrzałości ożeniło się z ciotką ze strony matki, przyslaną z podwodnego królestwa, żeby się nim zaopiekowała, a z tego związku zrodził się Jimmu, pierwszy cesarz Japonii⁹², założyciel cesarskiej dynastii, która przetrwała po dziś dzień. Historyczna cywilizacja Japonii, związana z cesarską dynastią, wywodzi się poprzez Jimmu – za pośrednictwem babki i matki – nie tylko z rodu Amaterasu i wielkich bogów Wysokich Niebieskich Równin, lecz także z rodu Boga Morza oraz królestwa pałaców i dworów znajdujących się w głębinie oceanu.

R'yugu

Dwuznaczność historii o zaczarowanej wyspie, która już to wynurza się z morza, już to zapada w jego toń, pojawia się również w opowieści o Ognistym Blasku i Gasnącym Ogniu. *Nihongi* każe Gasnącemu Ogniewi zejść na dno morza w wodoszczelnym koszyku, lecz *Kojiki* wysła go w podróż ponad wodą w „solidnej małej łodzi bez szczelin”. Powiedziano mu: „Płyn przez jakiś czas. Droga będzie przyjemna; a jeśli będziesz się jej trzymał, ujrzysz pałac zbudowany jakby z rybiej łuski”⁹³. W dalszej części, gdy Gasnący Ogień wybiera się w powrotną drogę, całkiem jednoznacznie nazywa królestwo Boga Morza „wyspą”, a tłumacz Basil Hall Chamberlain czuje się w obowiązku wyjaśnić: „Siedziba Boga Morza nazwana jest wyspą, gdyż znajduje się poza morzem”⁹⁴.

Poza tym obie wersje są niemal identyczne. Zastanawiam się, czy różnic nie należy uznać za odbicie dwóch odmiennych warstw mitu – wcześniejszej, w której Królestwo Boga Morza zapamiętane zostało jako wyspa, i późniejszej, gdzie występuje jako podwodne sanktuarium z murami obronnymi, pałacami i dworami. Krótko mówiąc, czy nie znaczy to, iż ogromne budowle z „wieżyczkami



i wysokimi wieżami o niespotykanej urodzie” wznosiły dla niegdyś ponad wodą, lecz obecnie leżą pod falami?

Miałem tę spekulację za zbyt daleko idącą, dopóki nie odkryłem, gdzie – według japońskich legend – należy szukać Królestwa Boga Morza...

Wydaje się, iż jego nazwa brzmi R’yugu, a leży skryte przed ludzkim wzrokiem gdzieś pomiędzy wyspami Lu-Czu⁹⁵.

Miejsce zaznaczone „x”

Dziś wyspy Lu-Czu (stara chińska nazwa) stanowią część Japonii i są lepiej znane jako archipelag Riukiu. Archipelag składa się z trzech grup wysp – najdalej na północ wysuniętej Okinawy, przy której leżą Kerama i Aguni; w środku Miyako; na południu Yaeyama z Yonaguni.

Myślę, że należy wziąć pod uwagę, iż: (a) w Japonii krąży sporo legend o podwodnych budowlach, które można zobaczyć tylko podczas nurkowania; (b) można przypuszczać, że kiedyś znajdowały się ponad wodą; (c) tradycja ma związek z kulturą zbieracko-myśliwsko-rybacką, czyli typową dla epoki Jomon od zakończenia epoki lodowcowej po okres 2000 lat temu; (d) tradycja umieszcza podwodne budowle między wyspami Riukiu; (e) niedawno nurkowie rzeczywiście natrafili w tej okolicy na kilka niezwykłych podwodnych budowli, rozrzuconych między Yonaguni a Okinawą.

Nadszedł czas, by znów się zanurzyć.

Rozdział 20

Yonaguni

Pytanie brzmi: czy tam są? A jeśli tak, to w jakim stopniu człowiek przyczynił się do ich powstania? Na to musimy sobie odpowiedzieć.

Dr Wolf Wichmann, geolog, Yonaguni, marzec 2001

Kiedy w 1996 roku byłem w Tokio, fotoreporter Ken Shindo pokazał mi po raz pierwszy zdjęcia niezwykle tarasowych konstrukcji, najwyraźniej stworzonych ręką człowieka, znajdujących się na głębokości 30 metrów u wybrzeży japońskiej wyspy Yonaguni na najdalej na południowy zachód wysuniętym krańcu archipelagu Riukiu. W tym momencie rozpoczęły się moje poszukiwania podwodnego świata. Wszystko, czego dowiedziałem się przez wiele lat w innych częściach świata, zaczęło układać się w jakąś sensowną całość. Poczulem nieprzewycięzoną chęć poznania tych pięknych i zagadkowych budowli. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli naprawdę są tworem człowieka, trzeba od nowa napisać historię.

W rozdziale 1 opisywałem, jak z Santhą nauczyliśmy się nurkować. Wspominałem też o szczęśliwym trafie, dzięki któremu w marcu 1997 roku znaleźliśmy się na Yonaguni, żeby rozpocząć systematyczne fotografowanie i badania trwające nieprzerwanie do połowy 2001 roku. Mówiłem także o innych wykutych w skale budowlach, które oglądaliśmy z japońskimi kolegami w innych rejonach Riukiu – zwłaszcza w Keramie, Aguni i Chatan na północnym krańcu archipelagu.

Ze wszystkimi tymi obiektami, o dość zróżnicowanej konstrukcji, wiąże się jedno proste pytanie: czy zostały uformowane lub wykute przez ludzi, czy też ich kształt jest wynikiem działania warunków naturalnych i erozji? Choć geolodzy z pewnością mogą mieć tu wiele do powiedzenia, nie są jedynymi specjalistami zdolnymi udzielić odpowiedzi. I choć ich udział w badaniach pozostaje nieodzowny, ostatnie słowo w tej sprawie należy do archeologów. Ale prace wymagają wiedzy i doświadczenia naukowców z różnych innych dyscyplin! Jak udowodniłem w poprzednich rozdziałach, w przypadku Japonii istnieje prehistoryczne kulturowe i mitologiczne tło, w które kamienne budowle doskonale się wpasowują, jak brakujące klocki układanki. Mam tu na myśli przede wszystkim niezwykle starą tradycję, której przejawy spotykamy po dziś dzień, polegającą między inny-

mi na rzeźbieniu skał i aranżowaniu naturalnego środowiska w świętych miejscach. Ponieważ ten aspekt podwodnych budowli rozsianych wokół archipelagu Riukiu jest najbardziej zagadkowy i niejednoznaczny (obiekty są częściowo naturalne, częściowo stworzone ręką człowieka), byłoby nierozsądne nie dostrzegać prawdopodobnych związków z tą kulturą.

Niemniej równie nierozsądne i nieodpowiedzialne byłoby ignorowanie opinii geologów i archeologów. Myślę więc, że należy przedstawić stanowisko obu tych grup naukowców.

Trzech geologów

Trzej wybitni geolodzy – Masaaki Kimura, Robert Schoch i Wolf Wichmann – nurkowali w Yonaguni, sami mogli dokładnie obejrzeć owe budowle i publicznie wyrazić swoje opinie na ten temat. O ile mi wiadomo, w czasie gdy pisałem tę książkę, byli jedynymi geologami, którzy kiedykolwiek zeszli tam pod wodę. Pisząc więc o „opiniach geologów”, myślę o pracach i koncepcjach tych trzech naukowców, które, nawiasem mówiąc, nie są z sobą zgodne. Inni geolodzy, wyrażający swoje zdanie, nie zbadawszy osobiście z obiektów, w zasadzie nie powinni brać udziału w tej dyskusji.

Ze względu na wagę, jaką odkrycia w Yonaguni mają dla naszego rozumienia prehistorii i historii ludzkiej cywilizacji, pragnę w tym rozdziale pokrótce przedstawić poglądy wyłącznie tych trzech geologów.

Dr Kimura

Nestor tej grupy – a w moich oczach bohater sagi o Yonaguni ze względu na swą determinację, upór i wyjątkową otwartość intelektualną – dr Masaaki Kimura jest profesorem geologii morskiej na uniwersytecie Riukiu na Okinawie. Wraz ze studentami nurkował setki razy wokół głównego „tarasowego” monumentu w Yonaguni. Dzięki ich mrówczej pracy, pomiarom i stworzonej przez nich mapie powstał trójwymiarowy model. Badacze pobrali próbki wczepionych w starożytnie mury alg do datowania radiowęglowego oraz próbki kamienia. Jednoznaczna konkluzja profesora Kimury brzmi, że budowla jest dziełem człowieka i została wykuta ze skały macierzystej, kiedy znajdowała się ona jeszcze powyżej poziomu morza, prawdopodobnie 10 000 lat temu. Oto główne argumenty, które, zdaniem Kimury, przemawiają za tym, iż budowle wzniesli ludzie:

1. „Ślady narzędzi dowodzące, że ludzie obrabiali kamień. Są tam dziury jakby po klinach, które w wielu miejscowościach noszą nazwę *kusabi*”.
2. „Wokół zewnętrznej krawędzi «pętlowej drogi» [wyłożonego kamiennymi płytami przejścia łączącego najważniejsze części głównej budowli] stoi rząd równo ułożonych kamieni, przypominający mur. Każdy z kamieni jest dwukrotnie większy od człowieka”.
3. „Wzdłuż drogi widać ślady napraw prowadzonych przez ludzi”.

4. „Budowla rozciąga się spod wody na ląd, natrafiono na ślady używania ognia”.
5. „Pod wodą i na lądzie wśród artefaktów znaleziono kamienne narzędzia”.
6. „Z wody wydobyto kamienne tabliczki z nacięciami przypominającymi litery lub symbole, na przykład znak „+” i literę „V”.
7. „Wśród znalezisk są kamienne narzędzia. Dwa służą do znanych czynności, ale przeznaczenie większości pozostaje nieznane”.
8. „Na wielkim kamieniu na dnie morza odkryto relief przedstawiający zwierzę”¹.
9. Na wyższym poziomie budowli kilka płaszczyzn dość stromo opada na południe. Kimura zwraca uwagę, że ich północne elewacje przecinają głębokie, symetryczne rowy, które w żaden sposób nie mogą być dziełem natury.
10. Po południowej stronie budowli rząd stopni wykutych w regularnych odstępach prowadzi z przejścia u podstawy, 27 metrów pod wodą, w kierunku szczytu znajdującego się na głębokości mniejszej niż 6 metrów. Podobne schody biegną po północnej stronie.
11. Bloki, które musiały zostać usunięte (czy to przez naturalne czynniki, czy przez ludzi), żeby mogły powstać imponujące tarasy budowli, nie znajdują się w miejscach, na które by spadły, gdyby w grę wchodziły tylko siły grawitacji czy naturalne procesy. Prawdopodobnie zostały celowo przełożone na jedną stronę, a w niektórych przypadkach w ogóle ich brak.
12. Skutki tego nienaturalnego, zdecydowanie selektywnego działania są szczególnie widoczne w przypadku wykutego w skale „przejścia” (Kimura nazywa je „drogą pętlową”), które wije się wokół zachodniej i południowej strony podstawy budowli. Przebiega ono bezpośrednio pod głównym tarasem. Jest całkowicie wolne od gruzu, który musiał zostać usunięty (albo przez naturę, albo przez ludzi), kiedy wykuwano tarasy².

Dr Schoch

Drugi geolog, który nurkował w okolicach Yonaguni, to profesor Robert Schoch z Boston University, często niezdecydowany w swoich opiniach, co dowodzi jednak otwartości na przyjęcie nowych dowodów i gotowości do zrewidowania poglądów. Kiedy po raz pierwszy nurkowaliśmy wspólnie we wrześniu 1997 roku, był przekonany, iż budowla została wykonana przez ludzi³. Ale po paru dniach całkowicie zmienił zdanie:

Jestem pewien, że obiekt ten może stanowić przykład działania sił natury (...). Struktura miękkiego iłowca i piaskowca Yonaguni w połączeniu z działaniem fal i prądów oraz obniżonym poziomem morza we wcześniejszych tysiącletniach złożyły się na kształt obiektu Yonaguni, który powstał 9000–10 000 lat temu⁴.

Kilka dni później Schoch znowu przedstawił odmienne stanowisko:

Po spotkaniu z profesorem Kimurą nie mogę całkowicie wykluczyć możliwości, że obiekt w Yonaguni przynajmniej częściowo został wykonany lub zmodyfikowany przez ludzi. Profesor Kimura zwrócił moją uwagę na kilka kluczowych cech, których nie dostrzegłem podczas pierwszego krótkiego nurkowania. Gdybym mógł jeszcze raz obejrzeć obiekt, chciałbym zbadać wskazane rejony⁵.

Latem 1998 roku Schoch miał okazję jeszcze raz zwiedzić obiekt w Yonaguni, kilkakrotnie tam nurkując. W 1999 roku, podczas wywiadu w BBC dla programu *Horizon*, który przypuścił frontalny atak na moją pracę, oraz tego samego roku we własnej książce *Voices of the Rocks* (Głosy kamieni), wyraził dwie całkowicie sprzeczne opinie na temat charakteru obiektu. Oto fragment jego wywiadu dla BBC:

Narrator: Yonaguni sprawiało wrażenie spektakularnego odkrycia, a Hancock potrzebował potwierdzenia. Zaprosił geologa z Boston University, Roberta Schocha, żeby obejrzał ten obiekt. Profesor Schoch interesował się nieortodoksyjnymi poglądami na przeszłość i skorzystał z okazji, aby zobaczyć podwodną budowlę. Parokrotnie nurkował z Hancockiem u wybrzeży Yonaguni.

Prof. Robert Schoch (Boston University): Udałem się tam w nadziei, że ujrzę obiekt wykonany całkowicie przez ludzi, obecnie znajdujący się pod wodą, a pochodzący prawdopodobnie z VI tysiąclecia p.n.e. lub jeszcze starszy. Kiedy tam przybyłem i zszedłem pod wodę, byłem ogromnie rozzarowany, gdyż po kilku nurkowaniach odniosłem wrażenie, iż jest to obiekt całkowicie naturalny (...). Niektóre jego fragmenty wyglądały jak wykonane przez człowieka, ale jeśli porównać je z obiektami na brzegu, można się przekonać, iż miały piaskowiec także rozpada się wzdłuż poziomo na płaszczyzny o regularnym kształcie. Uważam, że to obiekt naturalnego pochodzenia⁶.

No cóż, wydaje się, że to uczciwe podejście. Ale oto co Schoch pisze w *Voices of the Rocks*:

Prawdopodobnie nie sposób po prostu stwierdzić, czy to obiekt naturalny, czy stworzony przez człowieka. Na wyspie Yonaguni znajduje się wiele grobowców, których wiek trudno określić, ale z pewnością są bardzo stare. Co ciekawe, ich architektura bardzo przypomina podmorski obiekt. Niewykluczone, że ludzie budowali te grobowce na wzór owego obiektu, jest również możliwe, iż on sam był w jakimś stopniu przetworzony przez ludzi. Może starożytni mieszkańcy wyspy częściowo zmodyfikowali naturalną strukturę, żeby nadać jej pożądaną formę obiektu samego w sobie lub jako fundamentu pod budowlę z drewna, gliny lub kamienia, która od tamtego czasu się rozpadła. Jest też prawdopodobne, że obiekt służył jako kamieniołom, z którego odcinano bloki zgodnie z naturalnym uwarstwieniem, złączeniami i pęknięciami płaszczyzn skały, pobierając materiał do budowy obiektów, które już od dawna nie istnieją. Ponieważ obiekt ciągnie się u wybrzeży Yonaguni, mógł nawet służyć starożytnym żeglarzom jako pewnego

rodzaju dok dla łodzi. Dr Kimura pokazał mi starodawne narzędzia pięknie wyrobione ze skały magmowej, a znalezione na Yonaguni. Ale na tej wyspie nie ma naturalnych skał wulkanicznych, tak więc narzędzia lub przynajmniej materiał, z którego je wykonano, musiały pochodzić z sąsiednich wysp, gdzie takie skały występują. Mogły służyć do obróbki naturalnych formacji kamiennych, znajdujących się obecnie pod wodą u wybrzeży Yonaguni. Idea korygowania naturalnych formacji skalnych doskonale wpisuje się w estetykę wschodniej Azji, na przykład feng shui w Chinach czy inspirowane filozofią zen skalne ogrody w Japonii. Współistnienie naturalnych formacji z tworamami człowieka, które wywarło wielki wpływ na sztukę i architekturę 8000 lat temu, wydaje się wysoce prawdopodobne⁷.

Jako kolejny dowód udziału człowieka w powstawaniu obiektu Yonaguni Schoch przywołuje moje argumenty, zamieszczone w wydanej w 1998 roku książce *Zwierciadło nieba*. Twierdzi, że obiekt nie tylko wykonany został przez człowieka, ale mógł mieć specyficzne funkcje astronomiczne, obliczenia wskazują bowiem, iż około 10 000 lat temu, gdy budowla znajdowała się na lądzie, leżała dokładnie na Zwrotniku Raka⁸. Schoch pisze:

Przypuszczam, że starożytni znali położenie zwrotników, i wiedzieli, że powoli się ono zmienia. Ponieważ Yonaguni znajduje się blisko najbardziej na północ wysuniętej pozycji zwrotnika w długim cyklu, na wyspie mogła stać świątynia o charakterze astronomicznego znacznika⁹.

W sumie Schoch nie opowiada się zdecydowanie po jednej lub drugiej stronie, dąży raczej do rozwiązania kompromisowego, według którego struktura jest równocześnie naturalna i stworzona przez człowieka. Muszę tu dodać, że wszystkie wykute w skale obiekty, czy to dziwne granitowe tarasy w Qenko w pobliżu Sacsayhuaman w Peru¹⁰, czy bajeczne budowle Petry w Jordanii albo świątynie Mahabalipuram w południowych Indiach są z definicji „częściowo naturalne”, gdyż zostały wykute ze skał, a częściowo stanowią dzieło człowieka.

Dr Wichmann

Trzeci geolog, niemiecki autor publikacji popularno-naukowych, dr Wolf Wichmann, miał od początku wyrobioną opinię i wyrażał ją bez wahania. W 1999 roku poinformował magazyn „Der Spiegel”, który wysłał go do Yonaguni, że jego zdaniem podwodne formacje są całkowicie naturalnego pochodzenia. Po trzykrotnym nurkowaniu na głównym tarasie, stwierdził: „Nie znalazłem żadnych dowodów działalności człowieka”¹¹. „Der Spiegel” relacjonował:

Japońscy naukowcy nie mają pojęcia, czym są owe podwodne tarasowate konstrukcje w Yonaguni. Oceanograf Teruaki Ishii z Tokio powiedział: „Mało prawdopodobne, aby były to naturalne formacje”. Masaaki Kimura z uniwersyte-

tu Riukiu (Okinawa) mówi o „arcydziele”. Uważa, że jest to budowla sakralna wzniesiona przez nieznaną kulturę o bardzo wysoko rozwiniętej technologii.

Dyskusje trwające na Wschodzie wzbudziły ciekawość na Zachodzie. Ludzie o medialnych zdolnościach uważają, że Iseki Point posiada jakąś magiczną siłę przyciągania. Na początku 1998 roku geolog Robert Schoch, który wierzy, że Sfinks został zbudowany przez Atlantydwów [*sic!* – wierutna bzdura; Schoch wcale tak nie twierdzi], zszedł pod wodę i uznał ten obiekt za „niezwykle interesujący”. Guru wielbicieli starożytności i autor bestsellerów, Graham Hancock, także badał to miejsce. Po podwodnej wycieczce w batyskafie napisał, że u podstawy budowli „wyraźnie widać drogę”. [W rzeczywistości nigdy nie oglądałem Yonaguni z batyskafu i nie uważam swoich wielokrotnych zejść pod wodę za wycieczki; jednakże prawdą jest, iż u podstawy obiektu wyraźnie rysuje się droga].

Geolog Wolf Wichmann nie może tego potwierdzić. W towarzystwie ekipy SPIEGEL TV powrócił tam, by zbadać przybrzeżne rejony zagrożone tsunami. W trakcie trzech nurkowań pobrał próbki skał, dokonał też pomiaru stopni i „murów”. Potem stwierdził: „Nie znalazłem żadnych dowodów działalności człowieka”.

Podczas tych badań okazało się, że „olbrzymia świątynia” jest naturalną formacją skalną. Piaskowiec przecinają pionowe pęknięcia i poziome jamy. Prostopadłe płaszczyzny i stopnie powstawały stopniowo w rejonach pęknięć. Płaskowyż na szczycie to według Wichmanna typowa „zerodowana równina”. Takie płaskie powierzchnie tworzą się wówczas, gdy uwarstwiona skała znajduje się pod rejonem zmywania fal.

Pewne bardzo sugestywne i mocno skonstrastowane zdjęcia mogą ukazywać coś innego, ale – ogólnie rzecz biorąc – obiekt wygląda jak formacja skalna wznosząca się z piaszczystego dna i nie posiada żadnych cech architektonicznych. Pewne rejony równiny są nachylone, brak prostopadłych murów. Niektóre „schody” nigdzie się nie kończą, inne biegą spiralnie.

Kamienne bloki nie wykazują śladów obróbki mechanicznej. Wichmann powiedział: „Gdyby «ciosy» wykuto za pomocą narzędzi, nosiłyby ślady żłobkowań, nacięć i zadrapań”. Trzy okrągłe wnęki na najwyższej płaszczyźnie, które Kimura uważa za posadowienie kolumn, nie są niczym innym, jak „misami erozyjnymi”. Powstają wówczas, gdy woda spływa przez wąskie przestrzenie.

Fakty te nie zakończyły jednak epidemii poszukiwania tajemnic. Ruiny Yonaguni przez pewien czas odkrywały kluczową rolę w obrazie świata, jaki jawił się archeologicznym marzycielom¹².

Jeden archeolog

Tylko jeden archeolog nurkował w Yonaguni i osobiście badał podwodną formację. Inni wyrażali swoje opinie na podstawie zdjęć i filmów wideo. Jak to zwykle bywa z „kanapowymi archeologami”, ich opinia ma niezbyt wysoką

wartość, chyba że sami się pofatygują i zanurkują, by obejrzeć obiekt na miejscu. Tym cenniejsze jest więc zdanie jedyne go archeologa na świecie, który widział formacje w Yonaguni na własne oczy.

Archeolog ów, którego oficjalne sprawozdanie zamieszczam poniżej, to Sundaresh z narodowego instytutu oceanografii w Goa w Indiach. Czytelnicy pamiętają zapewne, że w marcu 2000 roku nurkowałem z nim i innymi archeologami z NIO w Dwarce, a potem w lutym 2001 w Poompuhur. Ponadto we wrześniu 2000 roku Sundaresh uczestniczył w wyprawie na Yonaguni, sponsorowanej przez Klub Morski (który we wrześniu 1997 roku zaprosił również Roberta Schocha).

W wyprawie we wrześniu 2000 roku uczestniczył Kimiya Homma, biznesmen z Hokkaido, którego firma posiadała bardzo nowoczesne zdalnie sterowane pojazdy do badania głębin. Homma przywiózł z sobą jeden z takich pojazdów, a także zespół techniczny i wyspecjalizowanych nurków.

Poniżej przedstawiam niektóre punkty ze sprawozdania Sundaresha, który – jako morski archeolog – potrafił obiektywnie ocenić znaczenie i wielkość tej podmorskiej budowli. Niektórych z podwodnych obiektów, które badałem wraz z nim, nie opisałem w krótkich relacjach w rozdziałach I i 18, i dopiero tu można znaleźć szczegóły:

BADANIE ZATOPIONYCH FORMACJI U WYBRZEŻY WYSPI YONAGUNI W JAPONII

WSTĘPNE WYNIKI NAJNOWSZEJ EKSPEDYCJI

1–12 września 2000 roku

AUTOR: SUNDARESH z NIO

DONA PAULA, GOA 403 004

GRUDZIEŃ 2000 roku

1. Wstęp

Yonaguni to najdalej na południowy zachód wysunięta wyspa Japonii, położona najbliżej Tajwanu, od którego dzieli ją około 69 mil morskich. Ma kształt migdału, mierzy 10 km długości (ze wschodu na zachód) oraz 4 km szerokości (z północy na południe). Międzynarodową ekspedycję na Yonaguni zorganizował Klub Morski w Ishigaki w Japonii w celu dalszej eksploracji podwodnych formacji w tym rejonie. W sprawozdaniu piszę o archeologicznej wartości obiektów odkrytych w trakcie wyprawy.

2. Podstawowe informacje o rejonie

Na podwodne formacje natknął się w latach 1986–87 pan Aratake, mieszkaniec Yonaguni, który miejsce znaleziska nazwał Iseki Point. Poszukiwał tam rekinów młotów, gdy na głębokości 30 metrów zauważył podwodne obiekty wykonane przez człowieka. Potem Aratake i inni nurkowie odnaleźli jeszcze więcej obiektów tego typu w rejonach Tatigami i Pałacu.

4. Metodologia

4.1. Badania wybrzeży

W dniach 2–8 września 2000 roku wynajęto dwie łodzie do badania wód Yonaguni. Użyto równocześnie zdalnie sterowanego pojazdu oraz bocznego sonaru i echosondy. Pojazd zasilany był prądem z generatora, pracował na głębokości 40–80 metrów wokół Yonaguni i pozwolił ujawnić wykuty w skale kanał o szerokości około 1 metra i długości 20 metrów na dwóch morskich wzgórzach. Obserwację tę potwierdzili nurkowie.

5. Wyniki

5.1. Tarasowe budowle i kanał

Na południe od cypla Arakwabana zbadano rozległą tarasową budowlę o długości około 250 metrów i wysokości 25 metrów. Miejsce to, nazywane Iseki Point, przylega do północnej strony podłużnego, leżącego wzdłuż osi wschód-zachód obiektu, który profesor Masaaki Kimura z uniwersytetu Riukiu określił jako drogę dojazdową. Z naszych obserwacji wynika, że jest to raczej kanał. Całkowita szerokość tarasowej konstrukcji wynosi około 100 metrów. Z każdego tarasu w dół wiodą schody do kanału (drogi?).

Kanał ma ponad 250 metrów długości i 25 metrów szerokości. Od zachodu zaczyna się podwodnym otworem wiodącym z tarasowej konstrukcji na otwarte morze. Ze względu na szerokość, wysokość i tarasową strukturę północnego krańca kanału uważa się, że miejsce to mogło być kanałem dla małych łodzi pływających do cypla Arakwabana. Południowa naturalna ściana wychodni stanowiła prawdopodobnie osłonę przed silnymi falami z otwartego morza. Interpretacja ta wydaje się uzasadniona, gdyż wysokość południowej ściany naturalnej wychodni i północny tarasowy mur są prawie takie same. Tarasy i schody mogły służyć do załadunku i rozładunku łodzi płynących kanałem. Prawdopodobnie ową tarasową konstrukcję i kanał wykorzystywano jako pirs, zanim znalazły się na obecnej głębokości.

5.2. Monolityczna ludzka głowa

W Tatigami Iwa Point badano wielki monolit wyglądający jak ludzka głowa z dwójgiem oczu i ustami. Spod jej podstawy wystaje platforma wykuta przez człowieka w tym samym monolicie. Od strony wybrzeża wiedzie do niej droga.

Platforma ta jest dość duża (około 2500 metrów kwadratowych) i mogło na niej usiąść ponad 2000 osób. Ludzka głowa wraz z platformą i drogą dojazdową wskazują, być może, miejsce kultu lub zgromadzeń publicznych.

5.3. Rejon podwodnej groty

Podczas nurkowania w rejonie Pałacu odkryto grotę na głębokości 8–10 metrów, do których wejście prowadziło prawdopodobnie przez dziury o promieniu 1 metra, znajdujące się w suficie. Wewnątrz natknięto się na rzeźbiony otoczek o średnicy 1 metra. Około 100 metrów w kierunku wschodnim od grot znaleziono

na podłożu skalnym więcej rytych skał. Wzory na ich powierzchni uznano za wykonane ludzką ręką.

Niegdyś grotty te znajdowały się prawdopodobnie na lądzie, potem uległy zatopieniu. Grawerunki wewnątrz grot i na podłożu skalnym zostały wykonane jakimiś narzędziami. Nie można jednak określić, czy jest to sztuka naskalna, czy pismo.

5.4. Megality

Podczas nurkowania natrafiono również na dwa wielkie prostopadłościenne bloki mierzące 6 metrów wysokości, około 2,5 metra szerokości (oba) i 4,9 metra grubości. Znajdowały się po zachodniej stronie Iseki Point (...). Owe prostopadłościenne bloki określono jako megality. Znajdują się między dwiema naturalnymi skalnymi wychodniami. Droga do tych megalitów prowadzi przez tunel liczący około 3 metrów długości, 1 metr wysokości i 1 metr szerokości.

Kształt, wielkość i położenie owych megalitów sugerują, iż zostały wykonane przez ludzi. Panuje przekonanie, iż twórcy najstarszej kultury Japonii – Jomon – czcili kamienie i skały (za Hancockiem – rozmowa w 2000 roku). Można więc przyjąć, iż oba były przedmiotem kultu. Niemniej przed ostatecznym określeniem funkcji tych megalitów należałoby przeprowadzić dokładniejsze badania.

6. Wnioski

Tarasowe obiekty oraz kanał bez wątpienia są dziełem człowieka, wykute zostały w istniejącej tam ogromnej monolitycznej wychodni. Prostopadłościenna tarasowa struktura i kanał, zanim pogrążyły się w morzu, mogły być wykorzystywane jako pirs do załadunku i rozładunku cumujących tu niewielkich łodzi.

Wykuta w monolitycznej skale ludzka głowa i znajdująca się pod nią platforma mogły służyć jako miejsce kultu lub zgromadzeń publicznych.

Podsumowanie

Sundaresh, przekonany, iż obiekty u wybrzeży Yonaguni są „bez wątpienia dziełem człowieka”, reprezentuje 100% wszystkich archeologów, którzy kiedykolwiek nurkowali tam w czasie pisania tej książki. Morski geolog, Masaaki Kimura, podziela to zdanie, drugi geolog, Robert Schoch, jest niezdecydowany, a trzeci, Wolf Wichmann, twierdzi, iż mamy do czynienia z naturalną formacją.

Postanowiłem, że jeśli nadarzy się okazja, sam zanurkuję w Yonaguni z Wichmannem i zobaczę, czy zdołam go przekonać. W kilka miesięcy po ukazaniu się publikacji w „Der Spiegel”, umieściłem na swojej stronie internetowej następujący komunikat:

Rzucam wyzwanie Wolfowi Wichmannowi. Zorganizujmy w odpowiednim dla każdego z nas czasie wspólne nurkowanie (powiedzmy – 20 zanurzeń) u wy-

brzeży Yonaguni w ciągu tygodnia. Pokażę panu te obiekty i podam powody, dla których uważam, iż są dziełem istot ludzkich. Pan z kolei postara się przekonać mnie, że to naturalne formacje. Pod koniec tygodnia zobaczymy, kto zmieni zdanie¹³.

„Japońscy naukowcy nie potrafią nurkować...”

W marcu 2001 roku, podczas miniekspedycji sponsorowanej przez Channel 4, Wichmann podjął moje wyzwanie. Polubiłem tego niewysokiego, żylastego, ciemnowłosego, bezpretensjonalnego człowieka od pierwszej chwili i nie przestałem lubić w ciągu tygodnia, który spędziliśmy na nurkowaniu i przyjaznych sprzeczkach.

Co było do przewidzenia, żaden z nas nie przekonał drugiego. Wolf opuścił Yonaguni z tą samą opinią, z jaką tu przybył, podobnie jak ja. Myślę jednak, że podsunęliśmy sobie nawzajem wiele tematów do przemyślenia. Skorzystałem z jego wiedzy w dziedzinie historii naturalnej podwodnych skał i po raz pierwszy zacząłem rozumieć, dlaczego geolodzy mogą postrzegać podwodne obiekty Yonaguni jako twory przyrody, albo (żeby już ściśle oddać stanowisko Wolfa) dlaczego wszystkie obiekty mogłyby być uformowane przez naturalne procesy bez konieczności interwencji człowieka.

Przed udaniem się do Yonaguni złożyliśmy z Wolfem wizytę profesorowi Masaaki Kimurze w jego gabinecie na uniwersytecie Riukiu.

GH: Pewnie jeszcze przez 500 lat będziemy się spierać, czy obiekty u wybrzeży Yonaguni są naturalnego czy sztucznego pochodzenia. Ale na razie możemy ustalić wiek tej formacji i moment jej zatopienia. Na początek chciałbym spytać, co pan o tym sądzi. Kiedy po raz ostatni znajdowała się ona ponad wodą?

Kimura: Formacja ta zatonała 6000 lat temu, świadczą o tym wyniki badań alg ze ścian budowli.

GH: Mogliście poddać te algi datowaniu radiowęglowemu, ponieważ są materiałem organicznym?

Kimura: Tak.

GH: Tak więc ustalono, że liczą 6000 lat i znajdują się na powierzchni kamiennej struktury, która musi zatem być starsza.

Kimura: Tak, a przed 6000 lat poziom wody był tu niższy... Jeżeli zatem obiekt został wykonany przez ludzi, musiał stać na lądzie około 9000 lub 10 000 lat temu.

GH: Aż tak dawno? Powiedzmy sobie jasno: twierdzi pan, że ten rejon znajdował się nad wodą 9000–10 000 lat temu, a zatonał około 6000 lat temu?

Kimura: Przed 6000 lat.

GH: Datowanie radiowęglowe pozwala obliczyć wiek obiektu organicznego, ale nie kamienia. Może pan zatem powiedzieć, że budowla liczy więcej niż 6000 lat, ale nie wiadomo, o ile więcej. Pracował pan nad określeniem zmian poziomu

morza, żeby uściślić ten wiek? Czy możliwe jest, żeby ten teren znalazł się pod wodą wskutek osunięcia się lądu lub trzęsienia ziemi?

Kimura: Brałem pod uwagę czynniki geologiczne, ale nie znalazłem żadnych dowodów na ich oddziaływanie. Teren mógł się osunąć tylko w wyniku trzęsienia ziemi i zaburzeń uskoku, ale nie ma tu w pobliżu żadnego uskoku, linia brzegowa jest ciągła, a między plażą a Iseki Point nie wykryto przerwy ani uskoku.

Wolf: Rozumiem.

GH: To chyba wiele wyjaśnia. W grę wchodzi zatem podniesienie się poziomu morza i na tej podstawie powinniśmy określić wiek, nie musimy brać pod uwagę czynników geologicznych.

Wolf: Podnoszenie się poziomu morza w tym rejonie zostało przebadane przez wybitnych specjalistów.

GH: Czyli można przyjąć datowanie na sprzed 9000 lat?

Wolf: Oczywiście. Ale chodzi przecież o to, czy i w jakim stopniu formacja ta została wykonana przez człowieka.

GH: Może uda się nam to określić, kiedy udamy się na Yonaguni.

Kimura: Trzeba przeprowadzić dokładniejsze badania.

Wolf: To oczywiste.

GH [do prof. Kimury]: Jest pan jedyną osobą, która wraz z zespołem naukowców prowadziła nieprzerwane badania przez kilka lat. Ale prawie nikt inny tam nie nurkuje, prawda?

Kimura: Japońscy naukowcy nie potrafią nurkować.

„Bardzo piękne, lecz naturalne...”

W trakcie dyskusji profesor Kimura wielokrotnie dawał wyraz swemu przekonaniu, że podwodne budowle Yonaguni są dziełem człowieka. Powoływał się na interpretację własnych znalezisk, lecz przytaczał także inne argumenty.

– Jeśli jest to obiekt naturalny – rzekł – to z punktu widzenia topografii trudno wytłumaczyć jego formę.

– Sam widziałem wiele formacji – ripostował Wolf – zwłaszcza w strefie przybrzeżnej, które wiatr, woda i erozja tak wyrzeźbiły, że sprawiają wrażenie sztucznych tworców. Jako geolog i geomorfolog mogę powiedzieć, że są bardzo piękne, ale naturalne.

Spytałem Wolfa, czy widział kiedykolwiek formacje podobne do tych w Yonaguni.

– Nie w takim układzie – odparł. – Dlatego tak mnie zdumiewa to zjawisko. Jest to bardzo konsekwentna, bardzo trwała kombinacja rozmaitych form i struktur, ale na pewno gdzieś na świecie istnieje jej podobna.

– Ale nie widziałeś jej?

– Rzeczywiście, nie widziałem. Dlatego to takie cudowne. To naprawdę bardzo piękna formacja.

- Albo dzieło człowieka? – Nie dawałem za wygraną.
- Być może. Przybyliśmy tu, żeby ostatecznie zdecydować.

Rampa

Podczas pierwszego zejścia pod wodę zawiodłem Wolfa do bardzo dziwnej struktury, którą odkryłem w czerwcu 1999 roku. Znajduje się 18 metrów pod wodą w odległości 100 metrów na zachód od tarasów głównej budowli. Kiedy 8000 lub 10 000 lat temu była jeszcze na lądzie, miała pierwotnie formę naturalnego pagórka o wysokości 6 metrów. W zboczu pagórka wykuto potem zakrzywioną, stromą rampę o szerokości 3 metrów, zachowując ścianę oporową do pełnej wysokości pierwotnego wzgórza, która zamykała i osłaniała zewnętrzny brzeg rampy.

Zaprowadziłem Wolfa do podstawy rampy, a kiedy płynęliśmy wzdłuż niej w górę, pokazałem mu, że zewnętrzna krzywizna wewnętrznego muru, wznoszącego się 2 metry powyżej poziomu rampy, uformowana w stoku wzgórza, dokładnie pasuje do wewnętrznej krzywizny zewnętrznego muru, który również wznosi się na wysokość 2 metrów, tak więc oba mury są idealnie równoległe. Płynąc w górę ponad obrzeżem zewnętrznego muru widzieliśmy, że jego własna zewnętrzna krzywizna znowu idealnie pasuje do krzywizn wewnętrznych i opada stromo w kierunku morskiego dna, czyli tak jak powinna, jeżeli mur został wzniesiony celowo i nie był naturalną formacją.

Pokazałem też Wolfowi, że powierzchnia rampy, choć miejscami uszkodzona, musiała pierwotnie mieć gładką, płaską powierzchnię. Próbowałem również odtworzyć funkcję obiektu. Idąc wzdłuż rampy, dochodzi się do platformy, z której widać dwa imponujące, równoległe megality stojące blisko siebie we wnętrzu północno-zachodniego rogu głównej budowli, spektakularny znak orientacyjny „podwodnego świata” Yonaguni.

GH: Podczas pierwszego nurkowania pokazałem ci jeden z obiektów [próbuję nakreślić w notatniku rampę]. Przepraszam, ale nie umiem rysować...

Wolf: Ja też nie umiem... [zerka na rysunek] ale wiem, o co ci chodzi.

GH: Przecież jesteś geologiem, powinieneś umieć rysować [dalej rysuję]. To ten ładny mur ciągnący się w obie strony, a w środku jest podłoże skalne czy też rampa. Wznosi się stąd do tego rogu. Podążając wzdłuż muru, dopłynęliśmy do miejsca, z którego widać megality. Ta ściana nie jest skarpa, tylko murem. Ma około 0,5 metra grubości i ponad 2 metry wysokości...

Wolf: Mniej więcej.

GH: ...powyżej tego czegoś, tej rampy, jakkolwiek to nazwiesz. Po prostu nie potrafię zrozumieć, przecież tu jest gładkie skalne podłoże [wskazuje powierzchnię rampy], co prawda mocno zerodowane i zniszczone, ale przecież równe, a obok te wysokie mury, które wyglądają, jak wyglądają, czyli jak mury, są dość wysokie, mają zewnętrzny i wewnętrzny brzeg, a krzywizna zewnętrznego brzegu pasuje do krzywizny wewnętrznej. To samo dotyczy drugiego muru.

Ku memu zaskoczeniu Wolf od razu przyznał, że ten niezwykle, niedawno odkryty obiekt, którego nie oglądał podczas poprzedniego nurkowania, stanowi „prawdziwe wyzwanie”. Potem powiedział, że „ten obiekt robi największe wrażenie” ze wszystkiego, co widział w Yonaguni:

Największe wrażenie zrobił na mnie mur, obecnie pokryty morskimi organizmami, które należałoby usunąć, żeby dokładniej go zbadać. Może być formacją naturalną, ale żeby to stwierdzić, trzeba przeprowadzić dokładną analizę¹⁴.

Wolf nie byłby jednak sobą, gdyby nie próbował na chłodno i logicznie wytłumaczyć tego zjawiska z geologicznego punktu widzenia. Zwrócił moją uwagę na pewne miejsce na Yonaguni, zwane Sananudai, które zwiedzaliśmy poprzedniego dnia, i tam pokazał mi podobną do muru formację – co prawda wysoką tylko na 0,5 metra – będącą tworem natury.

Wolf: Rzeczywiście, jest to zagadkowe zjawisko. Lecz jeśli pamiętasz, poprzedniego dnia byliśmy na czymś w rodzaju platformy na lądzie – zapomniałem, jak się to miejsce nazywa...

GH: Sananudai?

Wolf: Tak, właśnie tam. Przypadkiem powędrowaliśmy w stronę morza i pokazałem ci wówczas tę formację...

GH: Pamiętam, powiedziałeś, że to stwardniała patyna z morskich organizmów, która utworzyła się po zewnętrznej stronie skały, a woda zmiękczyła ją w środku, wskutek czego powstał „mur”.

Wolf: No właśnie. A po drugiej stronie stosunkowo miękki piaskowiec już zaczął ulegać wypłukiwaniu. Powiedziałem, że w ten sposób natura może tworzyć takie „mury”. Choć to tylko teoria.

GH: To rzeczywiście teoria. „Mur” w Sananundai nie miał zakrzywionych ścian biegnących równolegle do siebie, lecz jest raczej prosty i w dodatku mierzy tylko 0,5 metra.

Wolf: To było stadium początkowe. Zgadza się. Ale gdybyś lepiej się przyjrzał, zobaczyłbyś, że jest tam pewna niewielka krzywizna, choć muszę przyznać, że nie tak wyraźna, jak te pod wodą. Ale powtarzam, to stadium początkowe, więc nie wiemy, jak wyglądałoby później.

GH: Czyli uważasz, że w przypadku murów [po obu stronach rampy] zachowała się zewnętrzna twarda skała, a miękkie elementy zostały wypłukane?

Wolf: Na początku, potem obrosły morskimi organizmami. Ale rzeczywiście należałoby się temu bliżej przyjrzeć, najpierw więc trzeba by usunąć tę inkrustację z morskich osadów przynajmniej w jednym miejscu, albo z góry na dół. Tylko w ten sposób można stwierdzić, z jakiego materiału ten mur jest zbudowany. Można też wywiercić dziurę. Powinniśmy sprawdzić, co tworzy ten obiekt – kamienie?

GH: Nie wiem... Wątpię, żeby mury zbudowano z bloków. Myślę, że okaże się, iż zostały wykute w skale. Mamy tu do czynienia z kulturą megalityczną, która budowała w litej skale. Sądzę, że wykuli mury, które potem obrosły morskimi stworzeniami i stąd ta inkrustacja. To z kolei moja teoria.

Wolf: Tym bardziej należałoby zbadać, co się kryje pod tą inkrustacją. Dowiedzielibyśmy się, z jakiego materiału zostało zrobione, czy z miękkiego piaskowca, czy z twardego iłowca, albo czegoś zupełnie innego. Moglibyśmy też znaleźć tam jakieś ślady, na przykład narzędzi, to byłby pewny dowód...

GH: Mamy więc przed sobą zagadkę, która wymaga dokładnego zbadania.

Wolf: Ja też tak uważam.

Tunel i megality

Podczas drugiego nurkowania obejrzeliliśmy megality, z których każdy waży około 100 ton. Są ustawione obok siebie – jak dwie kromki chleba w kanapce – w wychodzącym na zachód zagłębieniu w północno-zachodnim rogu głównej budowli. Jak już wcześniej wspomniałem, te prostopadłościennne bloki najlepiej widać ze szczytu zakrzywionej, pochylej rampy, którą oglądaliśmy podczas pierwszego zejścia pod wodę. Wiemy też, że owa rampa została wyżłobiona (przez naturę lub człowieka) między dwoma równoległymi murami pierwotnego skalistego pagórka.

Pagórek z kolei łączy inną, mocno obrosniętą formację, wychodnię naturalnego podłoża skalnego, tworzącego niemal ciągłą barierę, wysoką na 3 metry i grubą na 5 metrów, wystającą półkoliście przed megalitami mniej więcej na głębokości 15–18 metrów. Barierę tę spenetrowano tylko w jednym punkcie, przez wąski tunel o szerokości nieco ponad metr i wysokości około 1,5 metra, przez który nurek może z łatwością przepłynąć.

W przeciwieństwie do innych obiektów w Yonaguni, wykutych w skale, tunel sprawia wrażenie „zbudowanego” – w tym sensie, że oba jego krańce składają się z dwóch warstw wielkich bloków, oddzielonych prostymi, wyraźnie zaznaczonymi fugami. W tunelu nie można stanąć w pozycji wyprostowanej, trudno się poruszać nawet na czworakach, tak więc kiedy 8000–10 000 lat temu znajdował się na powierzchni, człowiek musiał się w nim czołgać. Kiedy się z niego wyjdzie po drugiej stronie, dokładnie naprzeciwko i poniżej widać owe bliźniacze megality, które – oglądane pod tym kątem i od tyłu – wznoszą się ponad patrzącym jak ogromne bliźniacze otoczaki ze skamieniałego piaskowca w Stonehenge czy para pionowych granitowych megalitów czczonych od czasów starożytnych w Ena w Japonii jako święte skalne bóstwa (patrz rozdział 18).

Do podstawy megalitów jest 20 metrów i dopiero stąd widać, że nie stoją one na dnie morskim, lecz wznoszą się 2 metry ponad nim, a ich podstawa opiera się na platformie z otoczków wpuszczonej w rozpadlinę. Prawą stronę rozpadliny tworzy tylny róg głównej budowli tarasowej; lewą – niski grzbiet skalny, który także kiedyś podzielono na tarasy. Oba megality są pochylone do tyłu pod tym samym kątem w stosunku do rozpadliny, mają taką samą wysokość (trochę ponad 6 metrów), a prawy – wyraźnie większą grubość. Oba zwężają się u szczytu i podstawy, tak więc odległość między nimi nie jest jednakowa – w połowie na szerokość pięści. Mimo chropowatej powierzchni, śladów erozji i licznych dziur po jeźwocach nadal stanowią symetryczne bloki, których powierzchnie pierwotnie

były wygładzone, choć kwestia, czy to skutek działania sił przyrody, czy też efekt ludzkiego trudu, stanowi przedmiot kontrowersji między naukowcami.

Włożywszy dłoń w dzielącą je przestrzeń, popłynąłem do góry, w kierunku powierzchni, wzdłuż pochyłości megalitów. Oświetlenie było dobre, widziałem więc wyraźnie szparę między kamieniami. Z odległej wnęki spoglądała na mnie z przerażeniem pękata ryba o czerwonych oczach.

Zbliżając się do szczytu megalitów, znajdujących się 5 metrów pod wodą, poczułem silne uderzenia fal rozbijających się o okoliczne skały. Uczępiłem się kamieni i pozwoliłem, aby przez chwilę prąd unosił mnie w tył i w przód. Otoczony chmurą piany, dostrzegłem północno-zachodni narożnik głównej budowli wznoszącej się kilka metrów ponad moją głowę.

Po nurkowaniu znowu rozmawiałem z Wolfem o tym, co widzieliśmy, i wkrótce, po wymianie opinii, nasza dyskusja skoncentrowała się na jednej, być może najważniejszej kwestii: czy te dziwne, równoległe megality zostały wykute w kamieniołomie, uformowane i ustawione za północno-zachodnim narożnikiem przez ludzi? Czy też znalazły się tu w wyniku naturalnych procesów?

GH: Oto te dwa bloki [naszkicowałem obiekty] a niezbyt wysoko ponad nimi masywna formacja biegnąca wokół Iseki Point. Wytłumacz mi, jak te bloki tu się znalazły.

Wolf: Jest tam wiele leżących bloków...

GH: Są wszędzie.

Wolf: Na brzegu, widzieliśmy ze statku...

GH: Rzeczywiście, wiele obsuniętych bloków.

Wolf: ...wiele bloków, które zsunęły się z wyższych partii...

GH: Zgoda.

Wolf: ...z pokładów, które popękały. Mamy tu do czynienia z obsuwaniem się i podcinaniem bardziej miękkich skał pod wpływem cięższych skarp. Według mnie te dwa bloki tworzyły kiedyś jeden blok dwóch skarp z piaskowca i albo dzieliła je bardziej miękka warstwa, albo w ogóle nic między nimi nie było, tylko granica między warstwami.

GH: Ale ja chciałbym wiedzieć, jak się znalazły tam, gdzie są teraz.

Wolf: Moim zdaniem spadły z bardzo wysoka w stosunku do ich obecnego położenia.

GH: Ale nad nimi nic nie ma.

Wolf: Dzisiaj.

GH: To prawda. Dzisiaj trzeba by popłynąć na północ około 50–60 metrów, żeby dotrzeć do klifu.

Wolf: Tak, ale w naszych czasach. A ja mówię o okresie sprzed 10 000 lat, a może więcej.

GH: Co do tego jesteśmy zgodni.

Wolf: A więc wówczas mogły istnieć jakieś wyższe formacje, z których spadły te kamienie.

GH: Przypuszczasz więc, że bloki stoczyły się z klifów?

- Wolf: Ja tylko zakładam, że spadły, być może z dość wysokiego miejsca. A co tu kiedyś było...
- GH: Czy zgodzisz się ze mną, że to miejsce [wskazuję wierzchołek północno-zachodniego narożnika głównego obiektu, 3–4 metry powyżej wierzchołka megalitów] nie jest dostatecznie wysokie?
- Wolf: Nie mam jeszcze wyrobionego zdania, mogę jedynie przypuszczać...
- GH: Ale kiedy dotarliśmy do wierzchołków tych kolumn, tych bloków, znajdowaliśmy się blisko powierzchni morza. Czuliśmy już silny ruch fal, wzruszyliśmy nawet pianę. A patrzyłeś na skały nad głową, pewnie nie wyżej niż 4 metry, i leżące prawie pod powierzchnią.
- Wolf: Tak, myślę, że nie są dość wysokie.
- GH: Nie?
- Wolf: Nie.
- GH: Czyli musiałyby spaść z jakiegoś hipotetycznego wyższego miejsca?
- Wolf: Zgadza się.
- GH: I oczywiście musiałyby istnieć hipotetyczna cywilizacja...
- Wolf: Zrozumiałe.
- GH: ...zdolna przenieść je tutaj?
- Wolf: Oczywiście.
- GH: Mamy więc do czynienia z dwiema hipotetycznymi kwestiami.
- Wolf: Nie mogę dyskutować o istnieniu czy nieistnieniu cywilizacji, bo to nie moja dziedzina...

Ale problem pozostał: dziwny układ ogromnych kamiennych formacji pod przybrzeżnymi wodami Yonaguni. Każda z nich odznaczała się też dość niezwykłym ukształtowaniem. Nie można go właściwie ocenić, dopóki nie weźmie się pod uwagę kultury, która zapewne je stworzyła – kultury Jomon.

Przejście i tarasy

Podczas trzeciego i czwartego nurkowania zwiedziliśmy „przejście”, czyli „drogę pętlową” biegnącą wzdłuż podstawy głównego obiektu, dokładnie pod tarasami od południowej strony, na głębokości 27 metrów. Obejrzelśmy też same tarasy, zaczynające się 14 metrów ponad przejściem.

Taraszy

Na tym poziomie rozciąga się obszerna skalna płaszczyzna o szerokości 12 metrów i długości 35 metrów. W jej północno-wschodnim narożniku, na głębokości od 13 do 7 metrów, znajduje się obiekt nazywany przez miejscowych nurków „tarasami”: dwa główne „stopnie”, wysokie na około 2 metry, o ostrych krawędziach i narożnikach tworzących niemal ką prosty. Nad nimi widać jeszcze trzy dalsze, mniejsze stopnie, prowadzące na szczyt budowli, która wznosi się dalej na północny zachód, sięgając prawie do samej powierzchni morza.

Tutaj dopiero zobaczyłem, na czym Wolf oparł swoją argumentację w publikacji „Spiegła”: wygląd całej formacji, z tymi dziwnymi, wyraźnie zaznaczonymi tarasami, z pionowymi i poziomymi płaszczyznami, można wytłumaczyć działaniem fal na rozległą wychodnię naturalnie uwarstwionej skały osadowej. Kiedy całe eony temu zaczęła się kształtować, piaskowiec (albo ściślej – iltowiec) odkładał się warstwami o zróżnicowanej grubości i konsystencji, po czym został pocięty pionowymi pęknięciami i poziomymi rozpadlinami. W miarę jak podniósł się poziom morza i silne fale zaczęły uderzać w coraz wyższe poziomy formacji, pęknięcia i szczeliny jęły się poszerzać, gdyż bardziej miękka substancja, która spajała płyty, była wypłukiwana przez wodę. Wolf dowodził, że w ten sposób prostopadłe powierzchnie i stopnie utworzyły się w sposób całkowicie naturalny i bez udziału człowieka.

Powinienem więc przyjąć, że płaszczyznę o wymiarach 12×35 metrów wyłobiły fale, które wypłukały osadowe ily spomiędzy płyt, a część tarasowa powstała z twardszych kawałków skały, kiedy woda wymyła spoiwo.

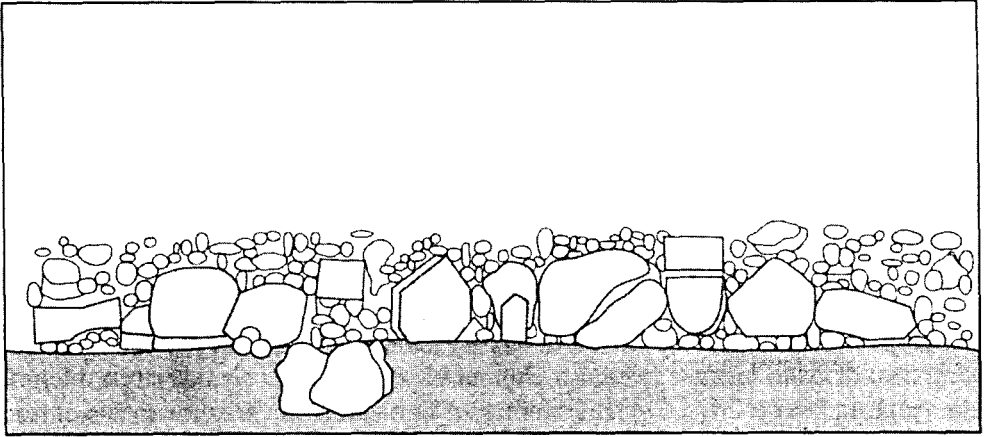
Pomogłem Wolfowi zmierzyć dwa najwyższe stopnie, potem podpłynąłem do krawędzi płaszczyzny, spoglądając z 14-metrowego zbocza opadającego do „pętlowej drogi” profesora Kimury – płaskiego, wyłożonego kamieniami „przejścia” biegnącego wzdłuż dna kanału dokładnie na południe od formacji. Choć na głębokości tarasów ma on 25 metrów szerokości, na poziomie przejścia zwęża się do mniej niż 4 metrów. Jego północna ściana stanowi stromą południową stronę formacji; południowa ściana na początku nie jest stroma, lecz nachyla się dalej na południe pod kątem 40° i dopiero tam wznosi się bardziej stromo w kierunku powierzchni morza. Na tej części ułożone są dość regularnie skalne bloki, a przestrzenie między nimi wypełniają mniejsze kamienie, podtrzymujące elewację złożoną z kilkunastu większych bloków tworzących, zdaniem Kimury, prosty „kamienny mur”. Kimura nie ma wątpliwości, że jest to dzieło ludzi.

Ale ponieważ znajduje się on 27 metrów niżej, a zejście na taką głębokość wymaga długotrwałej dekompresji, my zaś mieliśmy za sobą i tak już ciężki dzień, postanowiliśmy odłożyć wycieczkę w te rejony na jutro.

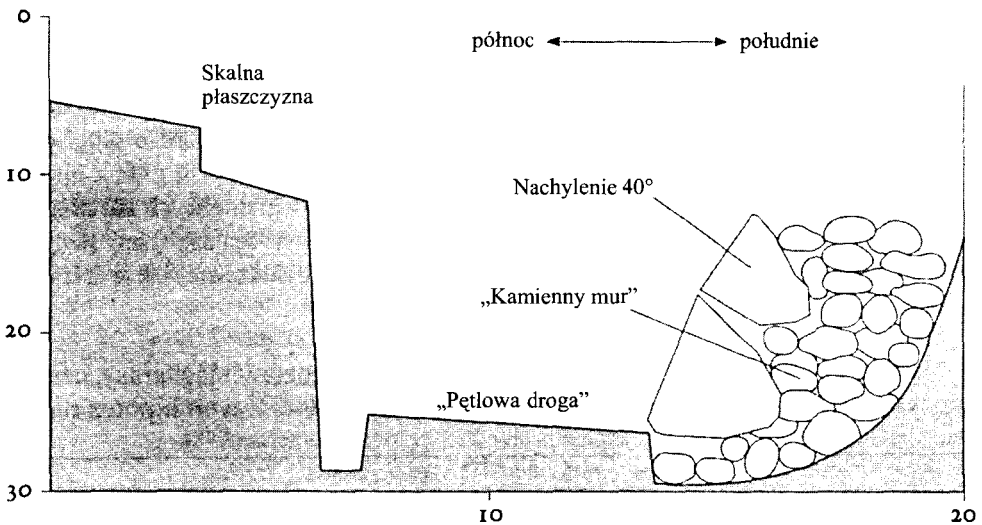
Przejście

Zeszliśmy pod wodę w pobliżu bliźniaczych megalitów, potem podążyliśmy wyraźnie zaznaczonym, wykutym w skale przejściem, zaczynającym się (lub kończącym?) właśnie tu, skręcając w lewo od „wejściowego tunelu”, przez który przepłynęliśmy poprzedniego dnia. Podążaliśmy stopniowo na południe, ku głębszej wodzie i zachodniej stronie głównej budowli, wreszcie skręciliśmy na wschód do kanału na głębokości 27 metrów.

Kiedy wplynęliśmy do kanału, pokazałem Wolfowi trzy symetryczne wcięcia, z których każde miało 2 metry długości i tylko 20 centymetrów wysokości, wykute w równych odstępach w złączeniu północnej strony przejścia i głównego obiektu. Wskazałem mu także dwa inne szczegóły: a. powierzchnia ścieżki wygląda na celowo wyrównaną i wygładzoną, tworząc jakby chodnik; i b. na ścieżce



Widok od frontu „kamiennego muru” otaczającego Iseki Point (patrzac na południe od strony skalnej płaszczyzny). Według Kimury



Przekrój poprzeczny ukazujący od lewej (północ) do prawej (południe) stromą krawędź skalnej płaszczyzny, „pętlową drogę” i „kamienny mur”. Według Kimury

nie ma zupełnie gruzu aż do punktu znajdującego się 30 metrów na południe od tarasów (leży tam kilka ogromnych otoczaków i skalny rumosz, który oberwał się lub został przetoczony).

Kiedy potem dyskutowaliśmy z Wolfem o tej ścieżce i tarasach, twierdził, że wszelkie nietypowe formacje w tym rejonie mogą być wynikiem oddziaływania czynników erozyjnych, głównie fal morskich, na warstwy iłowca. Nie wykluczając udziału czynnika ludzkiego, uważał, że nie jest on niezbędny do wytłumaczenia wszystkiego, co ujrzelśmy dotąd pod wodą.

Przypomniałem mu dokonania profesora Kimury i jego zespołu z uniwersytetu Riukiu we współpracy z japońskim kanałem telewizyjnym TBS. Powstał 6-godzinny film dokumentalny, nadany w Nowy Rok 2001, który wniósł wiele oryginalnych przyczynków do dyskusji o Yonaguni¹⁵. Chciałem w szczególności zaznajomić go z komentarzami i dokumentacją Koutaro Shinzy, japońskiego eksperta od eksploatacji naturalnych uskoków, rozpadlin i warstw skał osadowych. Oto co powiedział w programie:

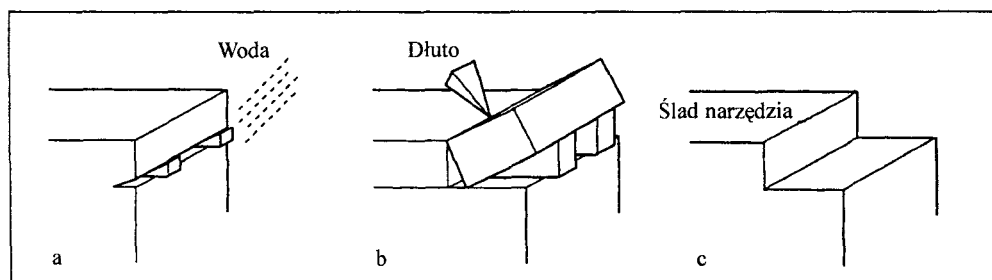
Kiedy zobaczyłem ruiny w Yonaguni, od razu rozpoznałem kamieniołom. Pokazałem zdjęcia kolegom po fachu, którzy powiedzieli to samo. Uważam, że to dzieło człowieka. Coś takiego w żadnym wypadku nie mogło powstać wyłącznie za sprawą natury¹⁶.

Ponieważ technika wydobywania kamieni przez wykorzystanie słabych miejsc i pęknięć jest praktycznie taka sama jak „metoda”, według której działa morze w scenariuszu Wolfa, spytałem go, czy jest absolutnie pewny, że potrafi wykazać różnicę. Odparł, że nie może być absolutnie pewny, aczkolwiek fakt, iż nie widział nigdzie śladów użycia narzędzi, uważa za jeszcze jeden dowód na brak udziału człowieka.

GH: Kimura powiada, że znalazł ślady narzędzi. Ale nie wydaje mi się, aby po 10 000 lat pod wodą mogły pozostać takie ślady. To bardzo długi czas. A kamień jest bardzo twardy.

Wolf: Rzeczywiście, bardzo twardy. Poza tym w wielu miejscach został grubo obrośnięty morskimi organizmami. Myślę jednak, że znaleźlibyśmy ślady narzędzi, gdybyśmy trochę poskrobali, wiedzieli, gdzie szukać i jak je zidentyfikować. Chyba powinniśmy to zrobić.

Czy morze przypadkowo usunęło warstwy skał, pozostawiając tarasy, czy też starożytni kamieniarze wykuwali je według planu? Żadnej z tych hipotez nie da



- a. Drewniane kliny wbite w naturalną szczelinę w skalnym podłożu. Kliny nasąca się wodą, pod wpływem której pęcznią.
- b. Kiedy napełniają, kamienny blok odłamuje się od podłoża. Dłuto służy do oderwania kamiennego bloku.
- c. Blok się odrywa, pozostaje gładka powierzchnia skały. Ślady dłuta powinny znaleźć się na krawędzi wyższego stopnia

się zdecydowanie odrzucić czy udowodnić za pomocą dowodów, którymi obecnie dysponujemy. Do problemu można jednak podejść w jeszcze inny sposób i zaproponować rozwiązanie tak samo logiczne, jak dwa pozostałe.

Dla profesora Kimury najistotniejszym dowodem udziału człowieka w stworzeniu obiektów Yonaguni jest brak rumowiska skalnego na przejściu pod tarasami, które jego zdaniem powinno być usiane rumoszem, a nawet całkowicie pod nim zniknąć, gdyby tarasy zostały uformowane w sposób naturalny przez fale, rozbijające uprzednio znajdujące się tam płaszczyzny kamienne. Rumosz natomiast spotykamy w postaci skupisk wielkich kamieni (nie płyt) 30 metrów na wschód od tarasów. W innym rejonie, który można by nazwać składowiskiem rumoszu, widać skupisko gruzu równiutko ułożone pod kątem 40° na stromej południowej stronie kanału, stykające się z południowym brzegiem ścieżki, lecz go nie przekraczające. Jest to nasyp obłożony kilkunastoma megalitami ustawionymi w rzędzie, który zdaniem Kimury został skonstruowany przez człowieka. Muszę jednak przyznać, że podczas wielu moich nurkowań w Yonaguni, także tego ostatniego w marcu 2001 roku, kiedy towarzyszyłem Wolfowi, nasyp ten wydawał mi się wyłącznie usypiskiem skał, które spadły z południowej strony kanału, i nie zwracałem na niego szczególnej uwagi. Dopiero potem, oglądając zdjęcia i taśmy wideo, doszedłem do wniosku, że formacja ta, dość nietypowa, wcale nie wygląda, jakby gruz osypał się na ścieżkę, lecz sprawia wrażenie celowo ułożonej i bardzo prawdopodobne, że Kimura ma rację.

Ale podczas wyprawy z Wolfem skupiłem się wyłącznie na operacji „oczyszczania”, jaką przeprowadzono na ścieżce. Najpierw przypominałem mu o naszej wcześniejszej dyskusji na temat bliźniaczych megalitów, z których każdy mierzył 6 metrów wysokości i ważył 100 ton, a które – jego zdaniem – spadły z wyżej położonej skały w obecne miejsce w północno-zachodnim narożniku obiektu.

Wolf: Wiem, do czego zmierzasz.

GH: Myślę o tym, że nad ścieżką wznosi się stroma ściana o wysokości 14 metrów, a potem zaczynają się tarasy. Gdyby z tej wysokości spadały jakieś płyty czy kamienie, znalazłyby się właśnie na tej ścieżce, dokładnie pod miejscem, w którym powstały tarasy. Niepokoi mnie jedna sprawa: otóż jeśli dwa równoległe megality spadły z dużej wysokości, znalazły się w północno-zachodnim narożniku budowli i pozostały tam na stałe, dlaczego ścieżka z przodu tego obiektu nie jest usłana równie wielkimi, a nawet większymi płytami skalnymi, które musiałyby się tam znaleźć w wyniku formowania się tarasów?

Narysowałem północną i południową ścianę kanału, z ową ścieżką u podstawy i nasypem „równo ułożonego rumoszu” przy ścianie południowej.

GH: Przy południowej ścianie wznosi się stos wielkich kamieni, sięgający do tego poziomu [wskazuje na rysunku]. Mogę się zgodzić, że spadły one ze szczytu południowej strony i pozostały w takim właśnie położeniu. W gruncie rzeczy profesor Kimura niczego takiego nie mówi. Jego zdaniem kamienie zostały ułożone tu przez ludzi.

Wolf: Tak, tak, wiem.

GH: Może ma rację, a może nie, ale gotów jestem przyznać, że wskutek sił ciężenia kamienie znajdujące się na szczycie raczej płaskiej powierzchni południowej ściany mogły zostać zmyte przez wodę i zrzucone w tym miejscu [pokazuje nasyp]. Widzę tu kamienie, które spadły z południowej ściany. Nie rozumiem tylko, dlaczego po północnej stronie kanału, gdzie znajdują się tarasy i stopnie, pod pionowym klifem nie ma żadnych kup kamieni na tej ścieżce o szerokości 3 metrów. Nie mogę się zgodzić, że stoczyły się one z [północnej] strony na nasyp [po południowej stronie], a ścieżka, która znajduje się zaraz za nim, pozostała czysta. To wbrew logice i naturze.

Wolf: Snujemy domysły. Wyobraź sobie, że ten płaski teren wokół tarasów nie został uprzątnięty za jednym razem. Może były tam drobne otoczaki i kamyki, które ciągle spadały z góry, a potem stoczyły się wskutek działania siły ciężenia i prądów do tej części [wskazuje nasyp po południowej stronie kanału] i zatrzymały się tu, bo osłaniały je większe kamienie.

GH: Prawdę mówiąc, nie rozumiem, o czym mówisz. Gdybym stanął obok tych stopni [wskazują dwa wielkie stopnie na głównym tarasie], znajdą się one nad moją głową. Oznacza to, że warstwa kamieni o grubości co najmniej 2,5 metra, tu wszędzie wokół [wskazują rejon skalnej płaszczyny] została całkowicie usunięta i pozostały tylko stopnie.

Wolf: Zgadza się.

GH: Ta płaszczyna mierzy 30–35 metrów długości?

Wolf: Około.

GH: Mamy więc warstwę grubości 2,5 metra. To ogromny stos kamienia.

Wolf: Przecież nie mówimy o dwóch czy trzech latach.

GH: Rzeczywiście, mówimy o bardzo długim czasie. Twoim zdaniem te małe kawałki zostały rozbite na jeszcze mniejsze i splukane przez falę pływową?

Wolf: Tak, ogólnie rzecz ujmując, tak mogło być.

GH: Ja mam lepsze wytłumaczenie. Może zostały usunięte przez robotników, kiedy skończyli tu pracę?

Wolf: Ale dokąd je przenieśli? Złożyli w okolicy?

GH: Może dużo dalej. Podczas budowy nie zostawia się gruzu wokół nowo wzniesionego obiektu.

Wolf: To samo mówi Kimura.

GH: Jego argument mnie przekonuje.

Pałac

Piąty raz nurkowaliśmy kilka kilometrów na zachód od Iseki Point, w miejscu, które japońscy nurkowie nazywają Pałacem, a Sundaresh w grudniu 2000 roku określił je jako „rejon podwodnych grot”. Jednak nie komentuje zewnętrznego wyglądu tego obiektu, skupiając się wyłącznie na jego wnętrzu:

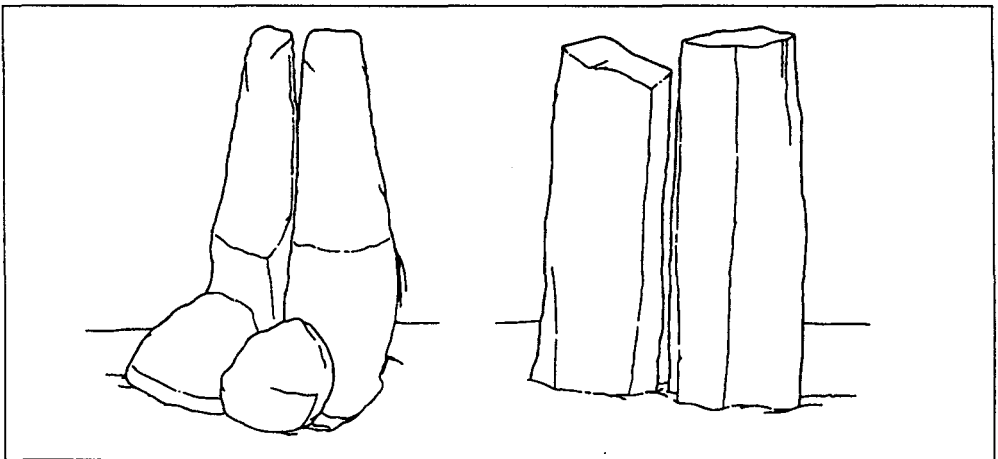
(...) natknięto się na rzeźbiony otoczek o średnicy 1 metra. Około 100 metrów w kierunku wschodnim od grot znaleziono na podłożu skalnym więcej rytch skał. Wzory na ich powierzchni uznano za wykonane ludzką ręką¹⁷.

Do Pałacu wpływa się przez szereg otworów w jego dachu na głębokości około 9 metrów lub przez coś, co moim zdaniem było pierwotnym wejściem, na głębokości 14 metrów. Tutaj nurek musi się przeciskać przez szczeliny w stosie kamieni, po czym wpływa do małej, mrocznej komnaty, gdzie na podłodze leży pełno żwiru. Komnata rozciąga się na osi północ-południe, a miejsca w niej tyle, że zmieściłoby się zaledwie pięć dorosłych osób. W ścianie północnej zieją „drzwi” wysokie na metr, przez które trzeba było przechodzić na czworakach, kiedy budowla znajdowała się ponad wodą. Owe drzwi, topornie wyciosane, nie noszą śladów działania ludzi, ale za nimi znajduje się obszerna, piękna komnata, promieniejąca jakimś niezwykłym, błękitnym blaskiem, kiedy słońce prześwieca przez wodę i dociera przez otwory w dachu.

Podobnie jak poprzedzający ją ciasny przedsionek, ta przestronna komnata leży na osi północ-południe. Ma 10 metrów długości i 5 szerokości. Od podłogi do sufitu mierzy 5 metrów. Wschodnia strona jest nieco zapadnięta, ale zachodnia pozostała w dobrym stanie. Gładka pionowa ściana z ogromnych megalitów podtrzymuje megality dachu.

Mniej więcej w połowie komnata zaczyna się zwężać w kierunku północnym, aż wschodnia i zachodnia ściana schodzą się przy kolejnych „drzwiach”, tym razem bardzo wysokich i wąskich. Nad nimi, czy to przez przypadek, czy też celowo, jeden z megalitów dachu ułożony został jak nadproże.

Przeplłynawszy przez te drugie drzwi w północnym krańcu głównej komnaty, nurek przedostaje się do trzeciego i ostatniego pomieszczenia Pałacu. Zupełnie



Porównanie podwodnych megalitów w Yonaguni (z lewej) i na łądzie, na górze Nabe, prefektura Gifu, Japonia (z prawej, patrz strona 397)

nie przypomina ono dwóch poprzednich, „zbudowanych” (przez naturę lub ludzi) z ogromnych bloków ułożonych jedno na drugim. Trzecia komnata została wykuta (za wcześniej mówić, w jaki sposób) z masywu starego koralowego wapienia, który występuje w tej części Yonaguni. Ma zaledwie 3 metry długości i nieco ponad metr szerokości, a ściany schodzą się w północnym krańcu, tworząc kolejne „drzwi”, tym razem – moim zdaniem – wyraźnie „wycięte”, prowadzące do zamkniętej alkowy, która wznosi się jak komin do otworu w dachu.

Wszystkie troje „drzwi”, pierwsze po południowej stronie głównej komnaty, drugie po północnej stronie i trzecie, wiodące do alkowy na samym końcu, są umieszczone w linii prostej, tworząc amfiladę. A ponieważ drzwi najbardziej na północ położonej komnaty i alkowy wykuto w odmiennym rodzaju skał niż materiał użyty do budowy obiektu, należy przyjąć, że ktoś lub coś połączył te dwa elementy (wykute w skale i megalityczne). Czy mogła to uczynić natura? A może jest to dzieło ludu Jomon, który, w nieznannej nam fazie prehistorii, najwyraźniej bez trudu przesunął olbrzymie skały i otoczaki i zapoczątkował tym samym kult kamienia w Japonii?

Wolf w ogóle nie brał pod uwagę tej drugiej ewentualności. Jego zdaniem Pałac jest zjawiskiem całkowicie naturalnym, a usytuowanie trojga drzwi w jednej linii to zupełny przypadek. Bardzo możliwe, że ma rację. Ale obiekt ten nadal budził moją ciekawość i postanowiłem bliżej mu się przyjrzeć w przyszłości. Podczas wcześniejszego nurkowania w jego pobliżu natknąłem się na coś, co wyglądało jak druga megalityczna amfilada, którą również zamierzam ponownie zwiedzić.

Niezależnie od tego, czy są to twory natury, czy człowieka, ze względu na głębokość, na jakiej się obecnie znajdują, można stwierdzić, że oba obiekty pochodzą z okresu o kilka tysięcy lat wcześniejszego niż zagadkowa japońska epoka Kofun, która rozpoczęła się około 300 roku n.e. Bardzo wyraźnie jednak przypominają architekturę wielkich megalitycznych korytarzy i komór grobowych epoki Kofun – zwłaszcza obiektów takich, jak Ishibutai niedaleko Asuka, gdzie użyto megalitów o prawdziwie gigantycznych rozmiarach i wadze (patrz rozdział 18). Pragnę w tym miejscu przypomnieć, że archeolodzy nie odkryli jeszcze ewolucyjnego tła owej megalitycznej kultury, która nagle pojawiła się w Japonii w epoce Kofun. Przypuszcza się jedynie, iż technika budowania z tak ogromnych kamieni musiała rozwinąć się znacznie wcześniej w przybrzeżnych rejonach Japonii, które obecnie znajdują się pod wodą.

Spróbujmy sobie wyobrazić, skąd wzięła się megalityczna tradycja Kofun. Niektórzy naukowcy wskazują na Koreę, lecz mało na to dowodów, zresztą inni badacze nie zgadzają się z tą hipotezą. Nikt natomiast nie wiąże kultury Kofun ze wcześniejszymi osiągnięciami japońskiej architektury kamiennej, której świadectwem są choćby kamienne kręgi i „aranżowanie gór” z czasów Jomon, gdyż nadal panuje opinia, iż twórcy tej kultury tworzyli prostą społeczność zbieracko-myśliwską i nic więcej.

Nie przeczę, że byli prostymi zbieraczami i myśliwymi, lecz im bardziej zagłębiam się w labirynt japońskiej prehistorii, tym bardziej nabieram pewności, iż reprezentowali znacznie wyższy poziom rozwoju...

Twarz i Kamienna Scena

Podczas szóstego i ostatniego nurkowania w Yonaguni w marcu 2001 roku zaprowadziłem Wolfa do miejsca zwanego Tategami Iwa, 8 kilometrów na wschód od Pałacu i około 2,5 kilometra na wschód od głównego skupiska kamiennych formacji wokół Iseki Point.

Nazwa Tategami Iwa – Stojący Kamień Kami – odnosi się do skalnego pinakla, wysokiego na 40 metrów, pełnego narośli i mocno zerodowanego. Znalazł się tu, gdy tysiące lat temu pozostała część dawnego klifu, którego był fragmentem, osunęła się do wody. Dawniej czczony w miejscowej tradycji jako bóstwo, stoi teraz w wodach Pacyfiku 100 metrów od brzegu jak duch strażnika nawiedzanej wyspy. Ale mnie interesuje to, co znajduje się pod nim, i dlatego postanowiłem tam zanurkować. Albowiem na głębokości 18 metrów widać ogromną rzeźbę ludzkiej twarzy o dwojgu oczach, nosie i ustach wyrzeźbionych przez naturę lub człowieka, wyraźnie odcinającą się od narożnika wychodni ciemnej skały.

Pokazałem Wolfowi charakterystyczne cechy owej formacji, gdyż nie jest to zwyczajna twarz (lub coś, co ją przypomina; w końcu natura często tworzy takie formacje). Najbardziej uderza ponury, przerażający grymas, który najwyraźniej miał budzić lęk, a rysy oddane są bardzo precyzyjnie, aż do miejsca stanowiącego podstawę tej formacji. Co więcej – nie jest to obiekt powstały przypadkiem, jak „twarze” rzeźbione przez czynniki naturalne. Sprawia wrażenie, że został umieszczony celowo w tym otoczeniu. Platforma, wysoka na 2 metry i szeroka na 5, zwana przez miejscowych nurków Kamienną Sceną, zaczyna się z boku twarzy na wysokości ust, po czym biegnie wzdłuż karku do miejsca, z którego wąski korytarz prowadzi do wnętrza i przechodzi przez głowę z zachodu na wschód.

Tak więc Twarz stanowi z Kamienną Sceną całość wykutą w skale, a ja zauważyłem (podobnie jak Sundaresh w cytowanej wyżej wypowiedzi), że płaszczyna, na której Scena i Twarz stoją, jest dostatecznie duża, by mogły się tam pomieścić tysiące ludzi, zanim poziom morza się podniósł i woda pokryła ją całkowicie. W sąsiedztwie znajdują się inne nietypowe skalne formacje, często prostoliniowe, zgrupowane wokół podstawy Tategami Iwa.

Naturalne? Sztuczne? A może jedno i drugie? Moim zdaniem są to dziwaczne naturalne formacje, które ludzie przed tysiącami lat poddali obróbce. A co o tym myśli Wolf?

Wolf: Przede wszystkim ten piaskowiec jest zupełnie inny niż w Iseki Point. Jest bardzo gęsty – szereg bardzo gęstych, masywnych usypisk, a one składają się, w przeciwieństwie do materiału w Iseki Point, z dość miękkiego piaskowca, bardzo podatnego na erozję, która tworzy formy bardziej zaokrąglone niż obiekty z piaskowca lub iłowca w Iseki Point. Po drugie – erozja skał na całym świecie często powoduje powstawanie formacji, które przypadkowo wyglądają jak ludzkie twarze... Niewiele mogę zatem powiedzieć o tej twarzy. Przede wszystkim należałoby usunąć warstwę organiczną, co pozwoliłoby ujrzeć pierwotną skałę i poszukać śladów obróbki.

GH: Czy zauważyłeś, że oczodoły są w środku wypukłe?

Wolf: Nie, nie patrzyłem na nie.

GH: Więc ich nie widziałeś?

Wolf: Spojrzałem tylko na twarz i zastanawiałem się, co o tym myśleć. Ale nie mam zwyczaju podchodzić blisko i...

GH: Wolisz stać z daleka, zauważyłem to.

Wolf: ...wołę nabrać dystansu. Zastanawiam się, jak powstała. Ale na razie mogę podzielić się wrażeniami, a nie opinią.

GH: Gdybyśmy przejrżeli nasze rysunki z kilku ostatnich dni, zobaczylibyśmy, że na niewielkiej przestrzeni znajdują się równoległe zakrzywione mury, rampa, dwa megality. Opłynąwszy te formacje, zauważyliśmy brak gruzu, który znalazł się jednak na nasypie od południowej strony – sam powiedziałeś, że nie mógł pochodzić ze strony północnej.

Wolf: Z tego punktu widzenia – tak.

GH: Trzeba na te obiekty spojrzeć z bliska, dopiero wtedy widać ich niezwykłość. Należałoby także zbadać ich geologiczne cechy. Warto też rozważyć hipotezy – na przykład tę, że nad tym rejonem znajdował się nawis skalny. Gdy osunął się, spadły te dwa megality. Ale podczas tych kilku nurkowań doszedłem do wniosku, że jak na jeden niewielki obszar za dużo tam niezwykłych formacji. A teraz znowu natykamy się na Twarz i Kamienną Scenę.

Wolf: To prawda, zrobiły na mnie wielkie wrażenie.

GH: Najdziwniejsze, że wszystkie te nietypowe formacje znajdują się u południowego i wschodniego wybrzeża Yonaguni, a na północy nurkowie nie natknęli się na podobne twory. Poza tym te obiekty leżą blisko siebie w określonym rejonie, ale każdy wymaga odrębnej metody badań geologicznych. To chyba dziwne, że powstają tu formacje grubości 2,5 metra i długości 35 metrów, a także szerokie na 15 metrów. Tłumaczenie ich obecności działaniem fal morskich jest, moim zdaniem, zbyt uproszczeniem.

Wolf: Rozumiem, co masz na myśli.

GH: Również przypisywanie ich ogromu i różnorodności działaniu zmieniających się warunków geologicznych na tak ograniczonej przestrzeni niczego nie wyjaśnia. Ja takiego punktu widzenia nie potrafię zaakceptować.

Wolf: Poradzę ci, żebyś zapoznał się ze starszą i nowszą literaturą geologiczną i geograficzną. W najnowszych publikacjach opisuje się obiekty dokładnie tak samo wyglądające.

GH: Książki to książki. Ale nigdzie na świecie, w żadnym innym miejscu nie znajdziesz tych wszystkich formacji na tak niewielkiej przestrzeni. Zastanów się, dlaczego ludzie tak się nimi interesują.

Wolf: Bo ty o nich pisziesz.

GH: Nie tylko ja.

Wolf: Zgoda, inni też.

GH: Bardzo wielu ludzi fascynują te obiekty. Na całym świecie wzbudzają ogromne emocje. Założę się, że gdyby w jakimś innym miejscu planety istniało coś, co dałoby się z nimi porównać, już byśmy o tym usłyszeli. Ale fakt, że są jedyne

w swoim rodzaju i że zgrupowały się wzdłuż południowego i wschodniego wybrzeża Yonaguni, stanowi dla mnie najpoważniejszy dowód, że muszą być dziełem człowieka. Myślę, że wniosła je jakaś bardzo stara kultura megalityczna, której przedstawiciele potrafili wykorzystać naturalne formacje skalne, na przykład uskoki. Każdy dobry rzeźbiarz szuka w kamieniu naturalnych form, a w Japonii sztukę tę doprowadzono do perfekcji. Biorąc to wszystko pod uwagę, doszedłem do wniosku, że mamy do czynienia z naturalnymi formacjami, których kształt wykorzystali ludzie.

Wolf: A ja twierdzę, że to cuda natury. I chcę podkreślić, że moim zdaniem wszystko, co widzieliśmy w ciągu tych kilku dni, mogło powstać w sposób naturalny, bez udziału człowieka. Co nie oznacza, że ludzie nie mieli na to wpływu. Tego bym nie wykluczył. Ale uważam, że wszystkie te formacje mogą być dziełem przyrody.

Inne cuda

Kilku interesujących miejsc wokół Yonaguni nie pokazałem Wolfowi w marcu 2001 roku, choć nie przypuszczam, aby po ich obejrzeniu zmienił nagle zdanie.

Jeden z tych obiektów, w którym można rozpoznać olbrzymiego, wykutego w skale żółwia morskiego, znajduje się na głębokości 12 metrów na występie głównej formacji w Iseki Point, około 150 metrów na wschód od tarasów.

Drugi, bardzo uszkodzony wskutek tajfunów, które nawiedzały Yonaguni parokrotnie w sierpniu i wrześniu 2000 roku¹⁸, znaleziono 0,5 kilometra na wschód od tarasów na głębokości blisko 15 metrów. Jest to pojedynczy otoczek ważący tonę, ustawiony na płaskiej platformie o grubości 10 centymetrów na samym wierzchu ogromnej skalnej płyty wysokiej na około 3 metry. Ma wszelkie typowe cechy klasycznej świątyni iwakura – naturalnej skały modelowanej przez ludzi. Gdyby świątynię tę przenieść na górę Miwa, pasowałaby idealnie do znajdujących się już tam obiektów kultu.

Dwa inne nietypowe obiekty, położone w promieniu 0,5 kilometra od Iseki Point, również bardzo chciałbym pokazać Wolfowi. Jeden z nich to Stadion, ogromny amfiteatr otaczający kamienistą równinę na głębokości 30 metrów. Drugi to znów formacja tarasowa, podobna do tej w Iseki Point, lecz położona dalej w morzu i w głębszej wodzie, na dnie kanału.

Choć to nie wszystkie niezwykle obiekty u wybrzeży Yonaguni, myślę, że wystarczą, żeby dać pojęcie o naturze tych formacji. Niektórzy naukowcy, między innymi utytułowani uczeni japońscy, są przekonani, że u wybrzeży Yonaguni widzieli wykute w naturalnej skale formacje celowo ukształtowane przez ludzi. Inni, równie kompetentni, są równie pewni, że to naturalne formacje skalne.

Skały? Kompozycje? Interesujące formacje geologiczne? Czy może odkrycia, które ujawniają prawdziwe korzenie japońskiej cywilizacji, sięgające Ery Bogów, jak twierdzą *Nihongi* i *Kojiki*? Nie sposób na te trudne pytania odpowiedzieć

jedynie na podstawie dowodów znajdujących się u wybrzeży Yonaguni. Tu Wolf ma rację. Niewykluczone, że owe niezwykle formacje i obiekty, które mu pokazałem pod wodą, są tworam naturalnymi, jakimś przedziwnym zbiegiem okoliczności zgromadzonymi w jednym miejscu.

Ale nie sądzę, by tak było. I pisząc tę książkę, pragnę powtórnie stwierdzić, iż z czterech najbardziej kompetentnych naukowców Kimura i Sundaresh wyraźnie opowiadają się za koncepcją głoszącą, że w tworzeniu tych obiektów brali udział ludzie, Wichmann niedwuznacznie wskazuje ich naturalne pochodzenie, a profesor Schoch uznaje obie hipotezy. W przyszłości kolejne odkrycia i zaangażowanie się w podwodne badania większej liczby nurkujących naukowców może zmienić ten stosunek w sposób znaczący na korzyść jednej lub drugiej koncepcji. Pozostaje cierpliwie czekać. Na razie nie jestem w stanie udowodnić, iż ludzie współkształtowali niektóre obiekty u wybrzeży Yonaguni.

Wierzę, że Wolf wyrobił sobie opinię wedle swojej najlepszej wiedzy, racjonalnie i bez pośpiechu, gdyż jako morski archeolog ma ogromne doświadczenie w określaniu zachowań różnego rodzaju skał pod wodą. I choć się z nim nie zgadam, zdecydowałem, że swojej argumentacji nie będę opierał wyłącznie na hipotezach głoszących, iż podwodne formacje u wybrzeży Yonaguni rzeczywiście są dziełem starożytnej cywilizacji... W rozdziale tym starałem się jedynie przedstawić dowody i opinie Wolfa, które – jakkolwiek sprzeczne z moimi – zasługują na publiczną prezentację.

Pozwólmymy sobie jednak odrobinę pospekulować i założmy, że to ja mam rację. Jeśli tak, Japonia wskutek podniesienia się poziomu morza utraciła nie mało znaczący fragment swej kultury, lecz ważne ogniwo łączące jej historię z prehistorią, której korzenie sięgają ponad 10 000 lat wstecz. Jeśli bowiem twórcy kultury Jomon wzniesli obiekty u południowych i wschodnich wybrzeży Yonaguni pod koniec epoki lodowcowej, mielibyśmy do czynienia z nieoczekiwanym i całkowicie nieznanym wymiarem tej cywilizacji, która coraz bardziej mnie intryguje. Z punktu widzenia sztuki budowlanej, organizacji i skali przedsięwzięcia, a także twórczej ambicji zjawisko to wykracza daleko poza możliwości plemion Jomon przed 10 000 czy 12 000 lat (jak również każdej innej kultury w tych czasach). Ale też w jakimś sensie pasuje do kontekstu innych osobliwych osiągnięć tej myśliwsko-zbierackiej społeczności – stałych siedlisk, kamiennych kręgów, uprawy ryżu, żeglugi i nawigacji, która pozwoliła im osiedlić się w Ameryce (w dwóch fazach, 15 000 i 5000 lat temu).

Wolf i ja nurkowaliśmy jeszcze raz, ale nie w Yonaguni, lecz w rejonie innego niezwykle interesującego obiektu w japońskich wodach, którego powstania nie mógł już z łatwością wytłumaczyć działaniem czynników naturalnych... Tym razem chciałem mu pokazać wielki kamienny krąg u wybrzeży Keramy.

Mapy Japonii i Tajwanu sprzed 13 000 lat

Opierając się częściowo na niedokładnym określeniu przez Marco Polo odległości między wybrzeżem Chin a Zipangu, florencki lekarz i astronom, Paolo Toscanelli, który – jak wielu innych średniowiecznych uczonych – uznawał, że Ziemia jest kulą, umieścił Zipangu na swojej mapie świata około 5000 mil morskich na zachód od Europy. Już w 1470 roku Toscanelli przekonywał portugalskiego króla, że do Kataju, Zipangu i Wysp Korzennych (Moluków) można dotrzeć o wiele szybciej, płynąc prosto na zachód.

Ulrich Pauly, niemieckie towarzystwo wschodnioazjatyckie, Tokio¹

To właśnie owe zatopione u wybrzeży Japonii formacje po raz pierwszy nasunęły mi myśl, że pod wodami mórz, nierozpoznana przez archeologów, może spoczywać ogromna część naszej prehistorii. Kiedy wreszcie nauczyłem się nurkować i zacząłem się interesować pradawnymi dziejami, zdałem sobie sprawę, ileż osiągnięć ludzkiej cywilizacji mogło zniknąć pod wodą. Jej ślady rozproszone są na kontynentalnych szelfach nie tylko na Pacyfiku, lecz także na Atlantyku, Oceanie Indyjskim i Morzu Śródziemnym.

W ciągu pierwszych 5 lat, podążając śladem pogłosek o nietypowych podwodnych formacjach oraz studiując starodawne mity i porównując je z mapami Milne'a, pragnąłem wytropić miejsca, które mogą poszerzyć naszą wiedzę o zaginionych cywilizacjach. Jestem osobą prywatną, co utrudnia mi prowadzenie podmorskich badań archeologicznych. Ale opisanie nawet tych – skromnych przecieży – doświadczeń wymagałoby wydania książki znacznie obszerniejszej niż *Tajemnice podwodnych miast*. Cóż dopiero mówić o prawdziwych, zakrojonych na szeroką skalę poszukiwaniach, które należy podjąć w przyszłości, jeśli chcemy się dowiedzieć o sobie nieco więcej.

Nie piszę na przykład o zagadkowych obiektach u wybrzeży Teneryfy, gdzie również nurkowałem w czerwcu 2000 roku i gdzie omal nie straciłem życia. Wiele dowiedziałem się też o Kami Wielkim-Posiadaczu-Oceanu.

Nie piszę też o pracy, jaką oboje z Santhą wykonaliśmy na południowym Pacyfiku wokół wysp Tahiti – Raiatei Huahine, czy o dziwnych tworach, które widzieliśmy pod wodą u wybrzeży jednej z wysp archipelagu Tonga – Haapi.

Niewiele też napisałem o Aleksandrii, napomykając o niej jedynie w rozdziale 1. Tymczasem oboje z Santhą spędziliśmy tam kilka tygodni, nurkując z Ashrafem

Bechai i starając się zlokalizować olbrzymie bloki Sidi Gaber, które on po raz pierwszy zobaczył kilka lat wcześniej. Istotnie, ujrzelśmy na głębokości 10–12 metrów ogromny obszar pokryty wielkimi blokami, mocno zerodowanymi, które zupełnie nie pasowały do żadnych wcześniej odkrytych pod wodą obiektów (patrz zdjęcia 1–3).

W miarę jednak jak zacząłem dokładniej badać określone rejony i zapoznać się z „podwodną” problematyką, odczuwałem coraz większą potrzebę zbadaania formacji u wybrzeży Japonii. Sporo czasu (w istocie kilka lat) zajęły mi podróże i nurkowanie na Oceanie Indyjskim i Atlantyku i o nich głównie traktuje ta książka. Lecz często powracałem do Japonii, żeby nurkować w najważniejszych rejonach archipelagu Riukiu, coraz lepiej poznając wyjątkowe obiekty, które tam się znajdują.

Satanaze i Antilia

Ale wszelkie poszukiwania rzadko toczą się według planu, tak więc w miejsce, do którego cały czas zmierzałem, przybyliśmy z zupełnie innej strony i całkowicie odmienną trasą. Nie przewidziałem bowiem pojawienia się na późnym etapie badań pewnych znaczących zbieżności między zagadkowymi starodawnymi mapami i tajemniczymi podwodnymi ruinami u wybrzeży Japonii. Tymczasem po przejrzeniu mnóstwa map Japonii, wykonanych przez japońskich i zachodnich kartografów, nie znalazłem w nich niczego, co można by uznać za „zjawy” z epoki lodowcowej, i zaprzestałem dalszych dociekań.

Dopiero kiedy kończyłem pisać część 5 i zacząłem interesować się Bimini, natknąłem się na przełomowe opracowanie profesora Roberta Fusona *Legendary Islands of the Ocean Sea*. Wówczas zdałem sobie sprawę, że szukam w niewłaściwym miejscu. Jeżeli naprawdę w czasach epoki lodowcowej powstała zapoznana wiedza kartograficzna, jej najważniejsze osiągnięcia musiały zachować się w Europie w tradycji sporządzania portolan przez żeglarzy i kopistów, którzy nie mieli pojęcia o istnieniu Ameryki czy Pacyfiku. Jeśli gdzieś istniały mapy Japonii i pobliskiego Tajwanu z epoki lodowcowej, z pewnością były nimi owe portolany z czasów przed odkryciem Kolumba, na których zaznaczono wyspy na Atlantyku.

Powtarzam tu jeszcze raz, że profesor Fuson nie posuwa się aż tak daleko. Dokonał przełomu (opisuję to w rozdziale 16) odkrywając, że wenecka mapa z 1424 roku kojarzy Satanaze z Japonią, a Antilię z Tajwanem. Fuson przekonująco dowodzi, iż mapa (lub mapy) źródłowa, którą posłużył się wenecki kopista, mogła pochodzić z czasów podróży chińskiego admirała Czeng Ho w początkach XV wieku, a trafiły na Zachód za pośrednictwem Arabów jeszcze przed 1424 rokiem.

Argumenty Fusona są tak przekonujące, że nie niweczy ich nawet jedna oczywista pomyłka w odniesieniu do mapy z 1424 roku. Jego zdaniem polega ona na tym, iż „trzy główne wyspy Japonii (Honsiu, Sikoku i Kiusiu) przedstawione są tam jako jedna wyspa Satanaze. Kanał między Kiusiu i Sikoku/Honsiu (współ-

czesne Bungo-suido i Suo-nada) jest wyraźnie zaznaczony⁷². Ale 12 500 lat temu błąd ten w ogóle nie byłby błędem, gdyż w owym czasie, kiedy morze sięgało o wiele niżej, Honsiu, Kiusiu i Sikoku rzeczywiście łączyły się w jeden ląd.

Choć gotów jestem zgodzić się, iż mapy źródłowe weneckiego kartografa rzeczywiście pochodzą od Czeng Ho, wcale nie oznacza to, że zostały sporządzone przez jego nawigatorów. Mogły znajdować się w ogromnej kolekcji map, którymi dysponował i które zabrał z sobą w podróż. Dowiemy się później, że Chiny w czasach Czeng Ho mogły się pochwalić prawną tradycją kartograficzną³. Nie jest więc wykluczone, że to samo źródło, z którego Marinus z Tyru czerpał anachroniczną wiedzę geograficzną i które miało tak znaczący wpływ na portolany średniowiecznej Europy, było również dobrze znane w starożytnych Chinach.

Przypuszczam, że mapa z 1424 roku to potwierdza.

Brakujące drogi wodne

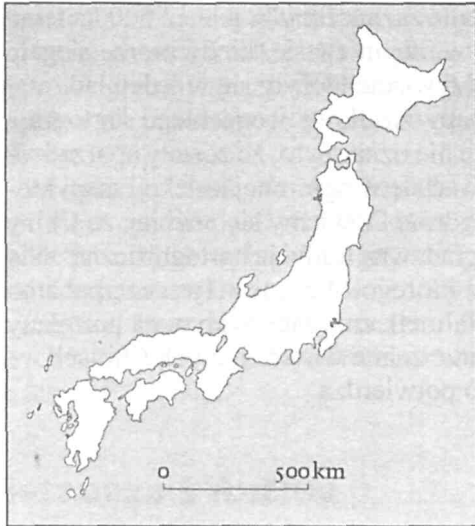
Poziom morza nadal się podnosi, lecz tempo zmian jest bardzo powolne i przez minione 1000 lat nie miało znaczącego wpływu na linię brzegową Japonii. Można więc przyjąć, iż na współczesnych mapach tego kraju jego wielkość i położenie są takie same jak w początkach XV wieku.

Porównajmy teraz współczesną Japonię z wizerunkiem Satanaze/Sayi na weneckiej portolanie z 1424 roku (na następnej stronie).

Na pierwszy rzut oka, pomimo pozornych podobieństw zarysu, nie tak chętnie przyjmujemy hipotezę, iż Satanaze przedstawia Kiusiu, Sikoku i Honsiu (tworzące jedną wyspę) oraz że niewielka Saya to Hokkaido. Hipoteza ta jednak jest słuszna, a dowody przedstawiłem już w rozdziale 17. Należy tylko wspomnieć tu o procesie „kartograficznej dewolucji” (stopniowym pojawianiu się pomyłek i skreśleń w kolejnych kopiach), który zdaniem Fusona doprowadził do tego, że wenecki kartograf przeobraził Satanaze w Japonię. Badacz wykazał to najdokładniej w diagramie zamieszczonym na stronie 448.

Zaczynając dyskusję od tego miejsca, zgadzam się z argumentacją Fusona, że większa część Hokkaido została pominięta, a na mapie źródłowej, na podstawie której skopiowano portolanę w 1424 roku, wyspę zredukowano do niewielkiego skrawka lądu – Sayi⁴. Zgadzam się też z jego drugą sugestią, że na pewnym etapie procesu kopiowania, dzięki któremu mapa źródłowa dotarła do Europy, znaczny obszar północnej części Honsiu zniknął gdzieś, skracając w ten sposób odległość od krańca tej wyspy do krańca Kiusiu.

Interesują mnie inne przypuszczalne „skreślenia” dokonane przez kopistów. Wszystkie one, z zastanawiającą konsekwencją, dotyczą zatok i lądowych dróg wodnych, które powstały wokół Japonii pod koniec epoki lodowcowej. Innymi słowy, był taki czas – niezbyt dawno temu (a z pewnością w niezwykle długim okresie istnienia tajemniczej kultury Jomon) – kiedy większość zatok i wewnętrznych dróg wodnych widocznych na dzisiejszych mapach wyglądała niemal tak samo, jak ukazuje to mapa Satanaze z 1424 roku.



Współczesna mapa Japonii



Wyspa Satanaze na mapie Pizzagana z 1424 roku

Chciałbym się skupić na największej drodze wodnej wokół morza wewnętrznego, oddzielającego Honshu, Kiusiu i Sikoku. Fuson zwraca szczególną uwagę na „kanał między Kiusiu a Sikoku i Honshu” na mapie z 1424 roku, a jego „wyraźnie zaznaczona” obecność w tym miejscu niewątpliwie wzmacnia argumentację. Lecz równie wyraźny kanał, który oddzielał Sikoku od Honshu przez co najmniej 9000 ostatnich lat, nie tylko nie jest „wyraźnie zaznaczony”, ale w ogóle tam nie występuje. Niewyraźny zarys tej części Satanaze Fuson przypisał Kiusiu – niewyraźny, o ile był to zarys Kiusiu w 1424 roku. Jednakże czy to przez przypadek, czy



Kartograficzna dewolucja Japonii w Satanaze według Fusona (1995), © R. H. Fuson

też dlatego, że fragment kartograficznego przekazu z końca epoki lodowcowej został zachowany na mapie z 1424 roku (a może z innej przyczyny), znajdujący się na niej zarys tego, co obecnie jest Kiusiu, doskonale pasuje do kształtu tej wyspy w końcu epoki lodowcowej.

Przyjrzyjmy się bliżej temu zadziwiającemu „zbiegowi okoliczności”, porównując mapę z 1424 roku, współczesną mapę Japonii i mapę archipelagu sporządzoną przez Milne’a i jego zespół na Durham University. Ta ostatnia przedstawia linię brzegową w następujących okresach: 21 300 lat temu (początek maksimum ostatniego zlodowacenia lodów), 16 900 lat temu (koniec maksimum ostatniego zlodowacenia i początek topnienia) oraz w niemal tysiącletnich interwałach – 14 600, 13 500, 12 400, 10 600, 8900, 7700 i 6900 lat temu (koniec topnienia lodów).

Mapa ze szczegółami z epoki lodowcowej

Zacznijmy od współczesnej mapy Japonii, na której Kiusiu jest wyspą oddzielną zaledwie wąską cieśniną od południowego koniuszka Honsiu. Cieśnina rozszerza się w zatokę Suo na Wewnętrznym Morzu Japońskim, potem rozszczepia się na dwie odnogi – jedną rozciągającą się na południe do cieśniny Bungo między Kiusiu i Sikoku, drugą – skierowaną na północny wschód poprzez zatokę Iyo po szereg dalszych cieśnin, oddzielających Sikoku od Honsiu.

Spójrzmy teraz na te same drogi wodne na mapie z 1424 roku, przedstawiającej Satanaze/Japonię (na następnej stronie).

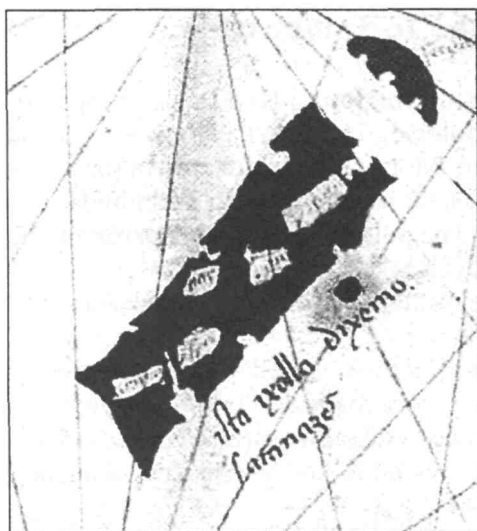
Najważniejsza różnica: w miejscu wąskiej cieśniny między dzisiejszymi wyspami Kiusiu i Honsiu widać pomost lądowy o szerokości 100 kilometrów.

Największe podobieństwo: po południowo-wschodniej stronie Satanaze znajduje się niemal kwadratowy wlot, pasujący idealnie pod względem lokalizacji i kierunku do obecnej cieśniny Bungo.

Lecz dziś, jak widzieliśmy, cieśnina Bungo rozdziela się na zatokę Suo na północnym zachodzie i na zatokę Iyo na północnym wschodzie. Na mapie z 1424 roku natomiast zatoki Suo nie ma. I choć zatokę Iyo przedstawiono, to tylko w postaci bardzo wąskiego, skierowanego na północny wschód kanału czy raczej fiordu. Na drugim jej końcu, w południowo-zachodniej części Satanaze/Japonii znajduje się jeszcze jeden, znacznie mniejszy wlot. Pas lądu między oboma wlotami, liczący około 100 kilometrów szerokości, leży na linii „brakującej” zatoki Suo.

Gdy porównamy mapę z 1424 roku z sekwencją map Milne’a (strony 451–453), brak jakiegokolwiek zbieżności aż do okresu sprzed 14 600 lat, kiedy Kiusiu, Honsiu i Sikoku były nadal z sobą połączone wskutek niskiego poziomu morza, tak że nie istniała nawet cieśnina Bungo.

Ale mapy Milne’a pokazują, że w ciągu kolejnego tysiąclecia, około 13 500 lat temu, otworzył się tam kwadratowy wlot, zakończony wąskim, ukierunkowanym na północny wschód kanałem-fjordem, bardzo podobnym do cieśniny Bungo.



Satanaze na mapie Pizzagana z 1424 roku

Z mniej więcej taką samą sytuacją mamy do czynienia na mapie sprzed 12 400 lat, choć tu już można dojrzeć niewielkie otwarcie na północny zachód, niewidoczne na mapie z 1424 roku. To początek zatoki Suo.

Ale już 10 600 lat temu widać coraz więcej rozbieżności – zatoki Suo i Iyo przekształciły się w szerokie „listki” na północny zachód i północny wschód od cieśniny Bungo.

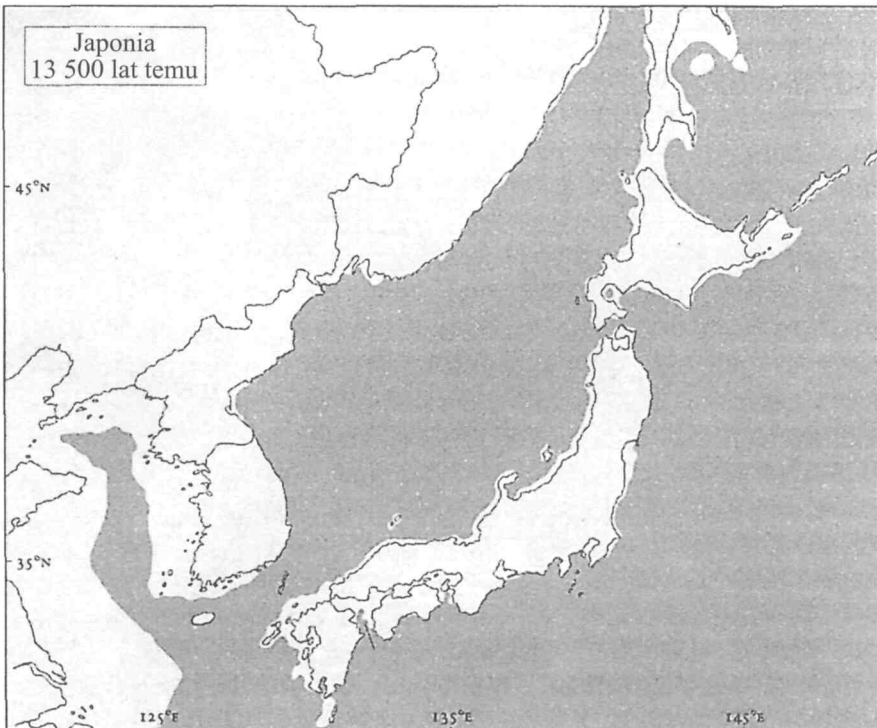
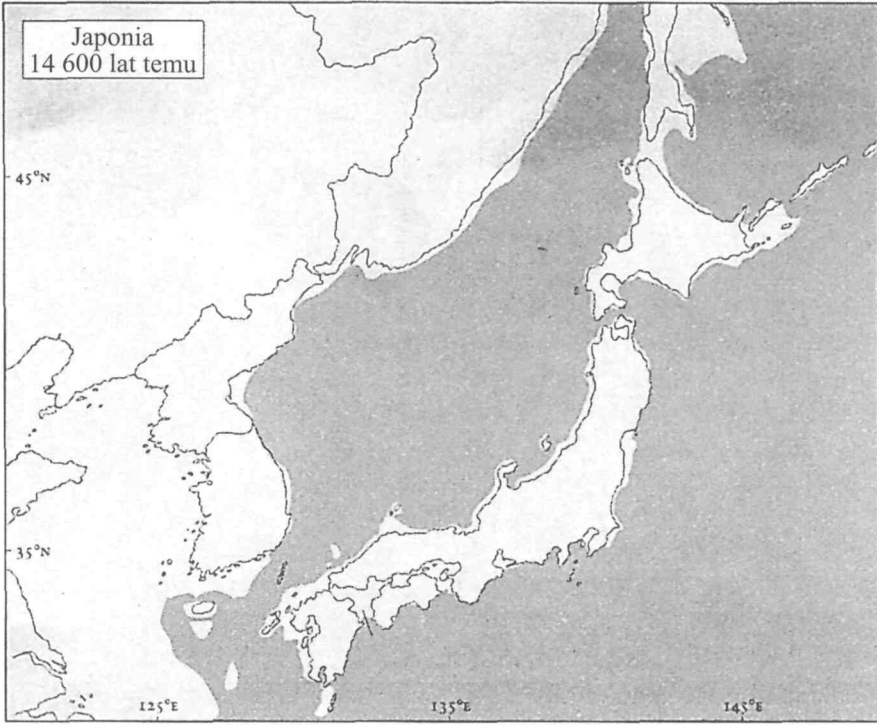
I wreszcie, 8900 lat temu, linia brzegowa wokół Wewnętrznego Morza Japońskiego przypomina dzisiejszy jej zarys, a Sikoku, Kiusiu i Honsiu zaczynają wyraźnie się od siebie oddzielać, natomiast topografia na mapie z 1424 roku staje się anachroniczna.

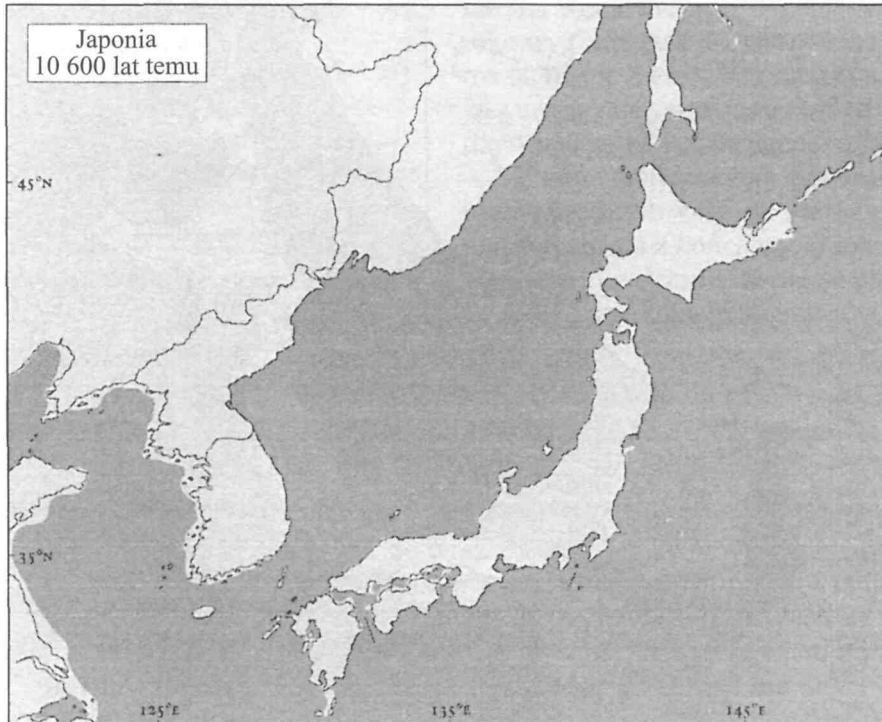
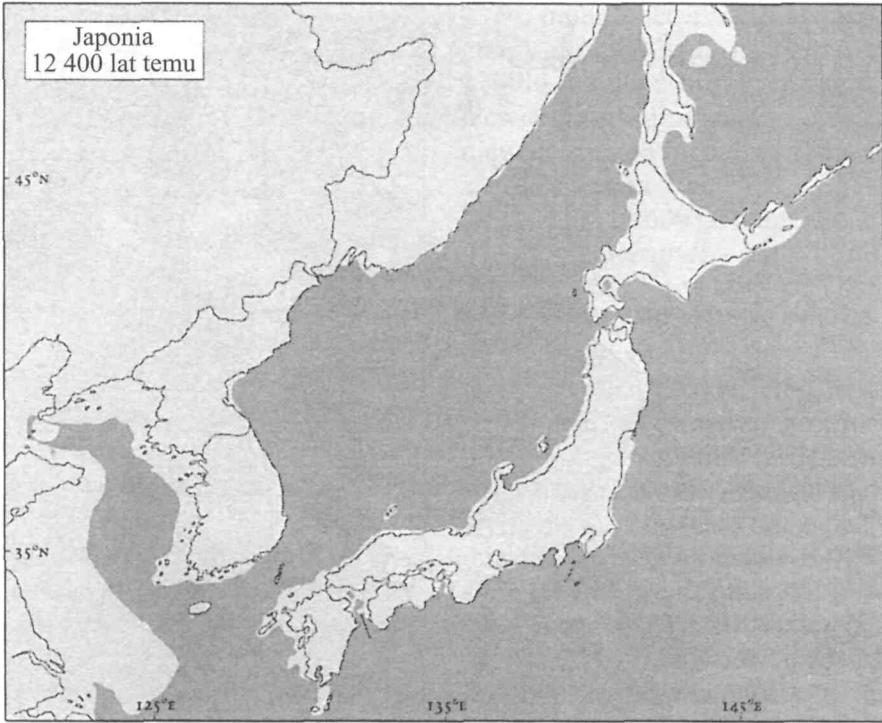
Nie zapominając o ograniczeniach nauki o topnieniu lodowców (mapy Milne’a są oparte na najnowszych danych, lecz nie gwarantują stuprocentowej dokładności), nie ma wątpliwości, iż Japonia w 1424 roku wyglądała tak jak obecnie, a jej forma na mapie z tego roku bliższa jest tej, jaką wyspy miały w okresie 1100 lat – między 13 500 a 12 400 lat temu.

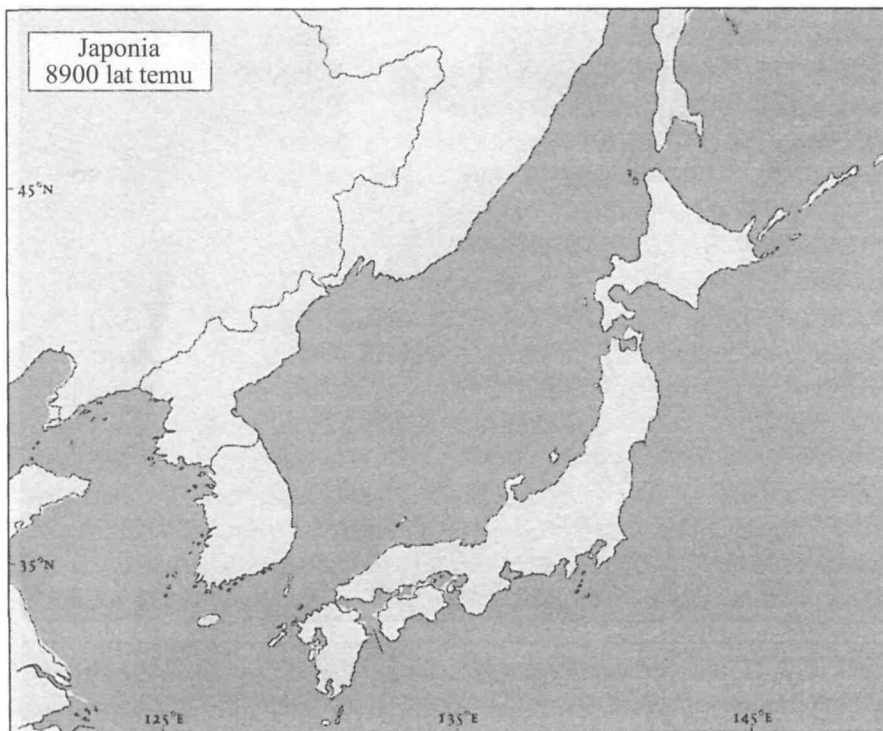
Zbieg okoliczności? A może elementy te przetrwały na starożytnych mapach świata z końca epoki lodowcowej, potem zaś zapisały się w pamięci żeglarzy dzięki kopiom fragmentów i fragmentom kopii?

A Tajwan?

Zastanawiając się nad tym wszystkim, uświadomiłem sobie, że skoro na mapie z 1424 roku Satanaze pojawia się wraz z Antilią, te dwie wyspy znajdowały się również na mapie źródłowej. W takim wypadku układ Antilia/Tajwan na portolanie z 1424 roku może nam posłużyć jako model w spekulacjach na temat Satanaze/Japonii. Jeżeli na przykład okazałoby się, że zarys Tajwanu na mapie z 1424 roku lepiej pasuje do współczesnego wyglądu wyspy i nie pokrywa się z zarysem na mapach Milne’a, wówczas bardziej prawdopodobne byłoby, iż



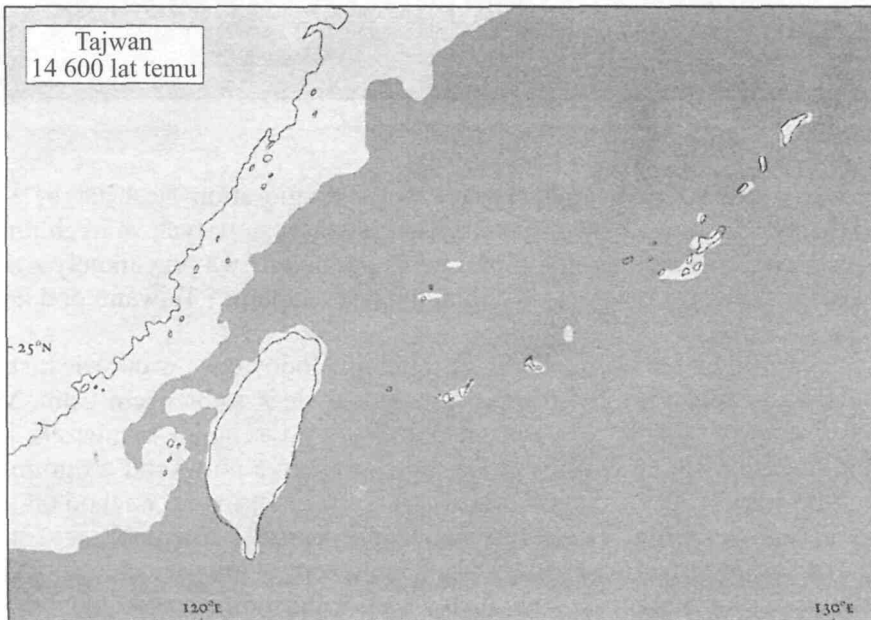
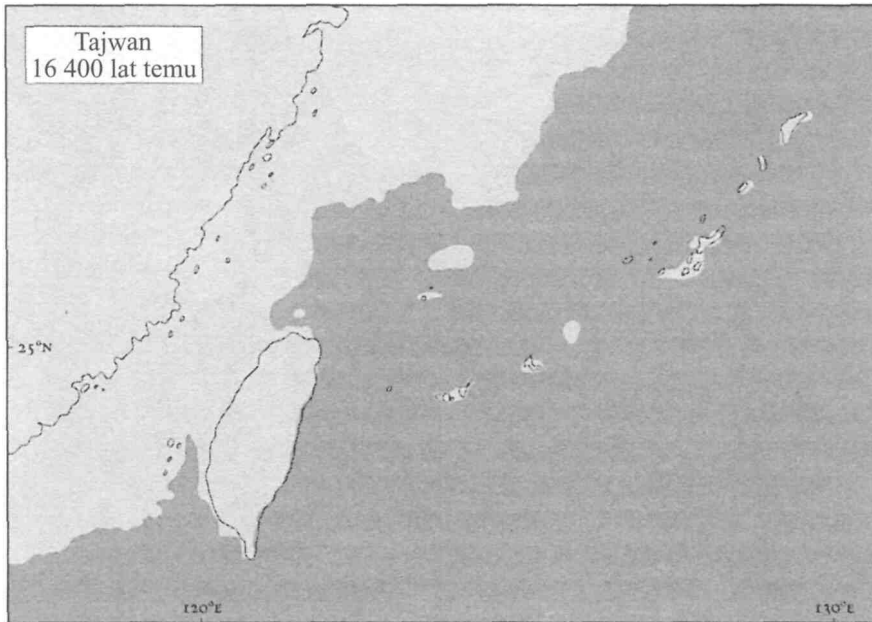




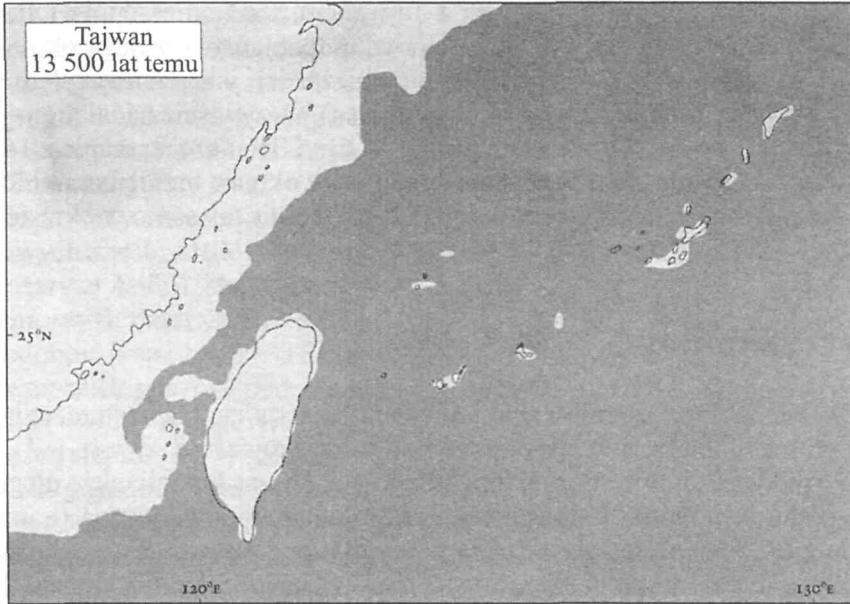
zbieżność Satanaze z Japonią jest przypadkowa. Z drugiej strony, jeśli zarysy Antyli i starodawnego Tajwanu będą się pokrywały, zwłaszcza w tych samych ramach czasowych, co Satanaze/Japonia, możliwe, iż podobieństwa przeniknęły z tej samej mapy źródłowej, zawierającej dokładny zarys Japonii i Tajwanu pod koniec epoki lodowcowej.

Kiedy 16 400 lat temu zaczynało się topnienie lodowców, w okresie niskiego poziomu mórz Tajwan nie był wyspą, lecz łączył się z wybrzeżem Chin. Mapy Milne'a ukazują wyraźnie jego wąski, południowo-wschodni koniuszek, który z czasem niewiele się zmienił, wystając w charakterze półwyspu z ogromnego przedpotopowego lądu, rozciągającego się setki kilometrów na wschód od obecnej linii brzegowej Chin. Te dawno zalane przybrzeżne równiny, nawadniane i użyźniane przez starożytną Rzekę Żółtą i Jangcy, były tak rozległe, że obejmowały cały Półwysep Koreański, znajdujący się dalej na północ, całkowicie wypełniając basen Morza Żółtego oraz zatoki Pohai i Koreańską.

Sytuacja Tajwanu przez dwa tysiąclecia nie zmieniła się zbyt znacząco, co ukazuje mapa sprzed 14 600 lat. Widać już zaczątki wyspy (strona 454), lecz nadal jest to obszar silnie związany z głównym lądem i w tej postaci nie wykazuje zbieżności z mapą Antyli/Tajwanu z 1424 roku. W gruncie rzeczy mapy Milne'a dowodzą, że Tajwan nie stał się wyspą i aż do 13 500 lat temu nawet nie można go było porównywać z Antilią (patrz wyżej).

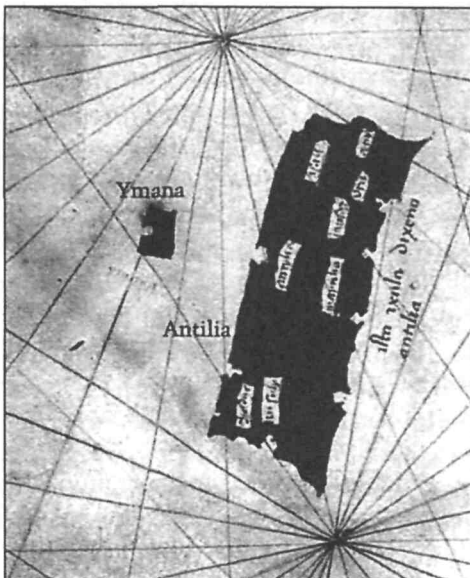


Ale kiedy porównamy jego wygląd w owym okresie z zarysem Antylli, natychmiast dostrzegamy niewątpliwe, choć nie stuprocentowe podobieństwo. Mapy Milne'a ukazują Tajwan w mniej więcej tym samym kształcie, lecz równocześnie widać na nich ów półwysep wystający ze środka zachodniego wybrzeża, na Antylli brak tego elementu. Tymczasem mapa z 1424 roku ukazuje drugą, mniejszą wyspę, zwaną Ymaną⁵, dokładnie w miejscu gdzie kończy się półwysep na mapie Milne'a.

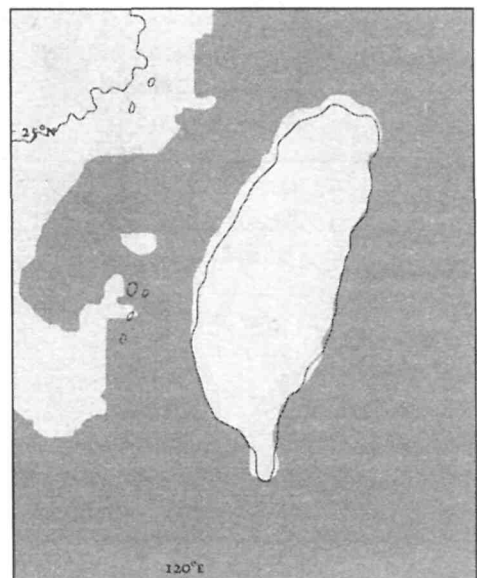


Następna w kolejności mapa zatopień, ukazująca Tajwan 12 400 lat temu, przynosi kilka interesujących odkryć. Co ciekawe, półwysep zniknął, a pozostała po nim wyspa o rozmiarach i położeniu pasujących do Ymany (patrz rysunek poniżej).

Czy to znów zbieg okoliczności?



Antilia na mapie Pizzagana z 1424 roku



Tajwan 12 400 lat temu

Czy zbieżności między Antilią a Tajwanem pod koniec epoki lodowcowej dadzą się odwrócić, żeby wykluczyć prawdopodobieństwo zbiegu okoliczności? (Chodziło mi również o zweryfikowanie zbieżności, jakie zauważyłem w przypadku Satanaze i Japonii z tego samego okresu). Oczywiście nadal nie wykluczałem przypadkowości. Tymczasem zarysy Antilii i Satanaze na mapie z 1424 roku nie tylko pokrywały się z Tajwanem i Japonią w okresie topnień epoki lodowcowej, lecz – co ważniejsze – obie wyglądały dokładnie tak samo w okresie między 13 500 a 12 400 lat temu.

Zastrzeżenia

Wobec takiego rozumowania pojawiają się dwa istotne zastrzeżenia, o których muszę tu koniecznie wspomnieć i od razu je wyjaśnić.

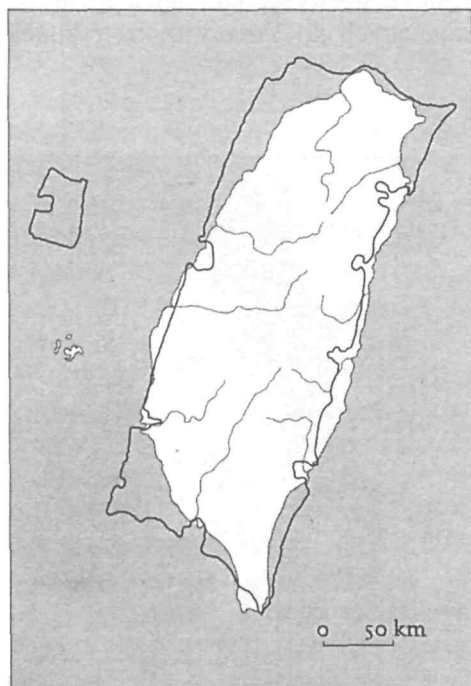
Po pierwsze, mimo stromej linii brzegowej, obszar Japonii także ulegał zmianom pod koniec epoki lodowcowej, kiedy przedpotopowa wyspa (Satanaze na mapie z 1424 roku) została rozcięta w wyniku podnoszenia się poziomu morza i stała się trzema współczesnymi wyspami – Kiusiu, Sikoku i Honsiu. Tajwan, mający znacznie wyższe brzegi, zmienił się jeszcze mniej, bo stał się wyspą dopiero około 13 500 lat temu. Jeśli przyjmiemy, że Robert Fuson słusznie utożsamia

Antilię z Tajwanem, mogłaby ona teoretycznie stanowić zarys współczesnego Tajwanu w każdym przedziale czasowym po 13 500 lat temu. Ale czy nie jest to zbyt niepewna podstawa do wyciągania jakichkolwiek wniosków?

Odpowiadam: wizerunek Antilii dostarcza znacznie więcej informacji, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

Punktem wyjściowym u Fusona jest nałożenie zarysu Antilii na współczesną mapę Tajwanu. Jak się przekonamy, poza ogólnym wymiarem i z grubsza prostokątnym kształtem, zbieżność linii brzegowej obu wysp wydaje się raczej dyskusyjna (i już sam ten fakt kazałby odrzucić wszelkie porównania, gdyby nie wiele innych przekonujących analogii, które przedstawia Fuson)⁶.

Najlepiej wychodzi porównanie Antilii ze współczesnym Tajwanem na południowym wschodzie – oba zarysy mają wyraźnie zaznaczony ostry koniuszek w postaci odchylonego na południowy



Zarys Antilii z 1424 roku nałożony na współczesny Tajwan

wschód półwyspu. Ale na południowym zachodzie, północnym zachodzie i północnym wschodzie wyspa w zarysie znanym z mapy z 1424 roku rozciąga się o wiele za daleko w stosunku do dzisiejszej linii brzegowej Tajwanu.

Czy to kolejny zbieg okoliczności, że dwa z owych trzech „błędów” w przedstawieniu zarysu Antilii jako jednej wyspy można wytłumaczyć faktem, że prawdopodobnie mapa źródłowa ukazywała Tajwan taki, jaki był pod koniec epoki lodowcowej? W żadnym innym czasie nie występuje ów trójkąt, który widzimy na południowym zachodzie Antilii. Ale dodatkowe obszary, na północnym zachodzie i północnym wschodzie, pokrywają się z takimi samymi obszarami, które znajdowały się nad powierzchnią morza według mapy Milne’a ukazującej ten rejon przed 12 400 lat.

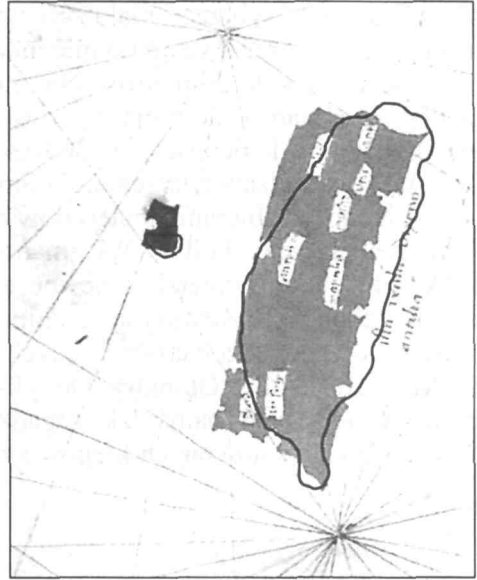
Ponieważ mapa ta tłumaczy również obecność wyspy Ymana na portolanie z 1424 roku, moim zdaniem hipoteza o przypadkowej zbieżności staje się nie do obronienia.

Lecz tu pojawia się drugie zastrzeżenie. W rozdziale 16 cytuję jeden z dowodów Fusona na to, że Antilia to Tajwan: „W okolicy Tajwanu, jak w pobliżu Antilii, znajduje się mała wyspa na zachodzie. Na mapie Pizzagana z 1424 roku nosi ona nazwę Ymana. Dziś to miejsce nazywa się archipelagiem Peng-Hu albo Peskadorami (Wyspy Rybaków)”. To właśnie wyspy Peskadori, wskutek błędu kartografów połączone w jeden łąd, były, zdaniem Fusona, modelem Ymany.

Odpowiadam: położenie Peskadorów (na współczesnych mapach mających rozmiar kropki) w stosunku do Tajwanu nie jest identyczne z lokalizacją Ymany, gdyż znajdują się one znacznie bardziej na południe. Mapy Milne’a tego rejonu sprzed 12 400 lat ukazują pojedynczą przedpotopową wyspę o wielkości i położeniu Ymany. Te same mapy dowodzą, że Peskadori stanowiły w tym samym czasie część azjatyckiego ładu i znajdowały się na samym końcu półwyspu, 200 kilometrów na południe od mojej przedpotopowej kandydatki na Ymanę. Wyspami (a początkowo jedną wyspą) stały się dopiero około 10 600 lat temu, potem zaś stopniowo rozpadały się na coraz mniejsze wysepki, które przetrwały do dziś.

Ale całkiem możliwe, że Fuson ma rację i że to właśnie Peskadori posłużyły jako model Ymany, choć bardziej ją przypominały, kiedy stanowiły jedną wyspę przy niższym poziomie morza 10 600 lat temu, a nie w okresie późniejszym.

Dlatego ogromną ciekawością zareagowałem na wiadomość od moich japońskich przyjaciół, że w pobliżu Peskadorów odkryto rozległe podwodne ruiny.



Zarys Antilii z 1424 roku nałożony na zarys Tajwanu sprzed 12 400 lat

Znajdują się u wybrzeży małej wysepki Hu-Czing, czyli Tygryziej Studni, i składają się na nie dwa olbrzymie mury, przecinające się pod kątem prostym, na głębokości od 4 do 36 metrów. Nie mogłem oprzeć się pokusie, a Klub Morski podjął się sfinansować moją wyprawę. Spakowaliśmy z Santhą nasz sprzęt do nurkowania i w końcu sierpnia 2001 roku poleciliśmy na Tajwan.

Ale wyprzedzam zdarzenia. Zanim udaliśmy się na Tajwan, musieliśmy najpierw skończyć zbieranie materiałów do rozdziału 20 i wyprawić się z niemieckim archeologiem Wolfem Wichmannem na japońskie wyspy Riukiu w marcu 2001. Czytelnicy pamiętają zapewne, że opuściliśmy z Wolfem Yonaguni, najdalej na zachód wysuniętą wyspę archipelagu Riukiu, nie osiągnąwszy jednomyślności co do pochodzenia podwodnych formacji. Naszym następnym celem było miasto Naha, stolica Okinawy. Odbiliśmy tam jednodniową wyprawę łodzią do najniezwyklejszych i najbardziej zagadkowych w całej Japonii podwodnych obiektów – wielkich kamiennych kręgów Keramy.

Rozdział 22

Kerama

*Przyznaję, że nawet dla mnie powstanie tych formacji jest zagadką.
Nigdy nie widziałem czegoś podobnego w naturze.*

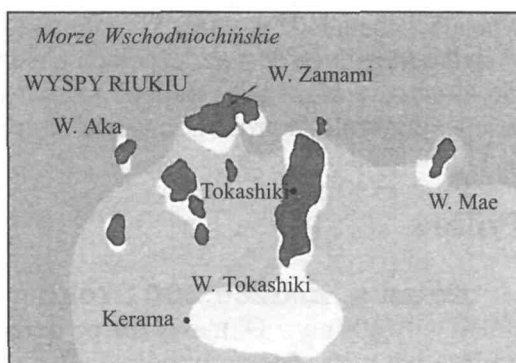
Dr Wolf Wichmann, geolog, Kerama, Japonia, marzec 2001

Choć zazwyczaj dla uproszczenia używam określenia „Kerama”, powinienem raczej pisać „Keramy”, gdyż jest to grupa niewielkich wysp – między innymi Aka, Zamami, Kuba i Tokashiki – położonych na Pacyfiku w odległości 40 kilometrów na zachód od Naha, stolicy Okinawy.

Wyspy są oszałamiająco piękne, usiane zielonymi wzgórzami i dzikie, mają skaliste wybrzeża i piaszczyste plaże, a oddziela je krystalicznie czysta woda mieniąca się kolorami od jasnoturkusowego po głęboki granat. Cały ten rejon jest morskim rezerwatem rojącym się od wszelkich odmian wielorybów i delfinów.

Mapy Glenna Milne’a pokazują, że około 14 600 lat temu Keramy łączył z południowym krańcem Okinawy gruby, zakrzywiony jeźor lądu. W owym czasie sama Okinawa była znacznie większa i szersza niż dziś, z rozległymi, nisko położonymi, nieco stromymi równinami rozciągającymi się na wschód i zachód od obecnej linii brzegowej. To właśnie na jednej z nich, położonej na południowo-zachodnim wybrzeżu, znajdują się zatopione ruiny – piramidy schodkowe i tarasy u wybrzeży Chatan – o których wspominałem w rozdziale 1. Ale w tamtych czasach między Chatan a Keramą rozciągał się ląd...

Pomost lądowy między Keramą a Okinawą został zatopiony 13 500 lat temu, a między obiema wyspami pojawił się pas wody szerokości 20 kilometrów, ale jeszcze w tym czasie Kerama nie rozpadła się na mniejsze wysepki. Trudno wydedukować więcej, pewne jest tylko, że w całości, choć nieco okrojona, Kerama



przetrwiała do 10 000, a nawet 9000 lat temu, a ponieważ wybrzeża częściowo były lekko pochyle, a częściowo płaskie, nie całkowicie i nie od razu znalazły się pod wodą. Ale właśnie w tym czasie zatopione zostały kamienne kręgi Keramy.

Znajdują się prawie 30 metrów pod wodą, w odległości 10 kilometrów na południowy wschód od wyspy Aka, na przecięciu 26° 7' szerokości geograficznej północnej oraz 127° 17' długości wschodniej. Na powierzchni widać tylko kilka postrzępionych skał, o które nieustannie rozbijają się fale.

Ograniczenia

Kerama, marzec 2001 roku

Nurkowanie w marcu 2001 było sponsorowane i filmowane przez Channel 4 – musieliśmy się spieszyć, by oszczędzić fundusze – i w sumie planowaliśmy spędzić dwa dni robocze w Yonaguni i jeden w Keramie. Gdyby więc pogoda okazała się nieprzychylna, co w tym rejonie nie należy do rzadkości, w Keramie w ogóle nie zeszlibyśmy pod wodę. A nawet gdyby bóg pogody sprzyjał nam, bóg morza mógłby być przeciwnego zdania. Prądy u wybrzeży Keramy są częstokroć tak silne, że bez przerwy trzeba walczyć z wodą, jeśli chce się ustać w miejscu.

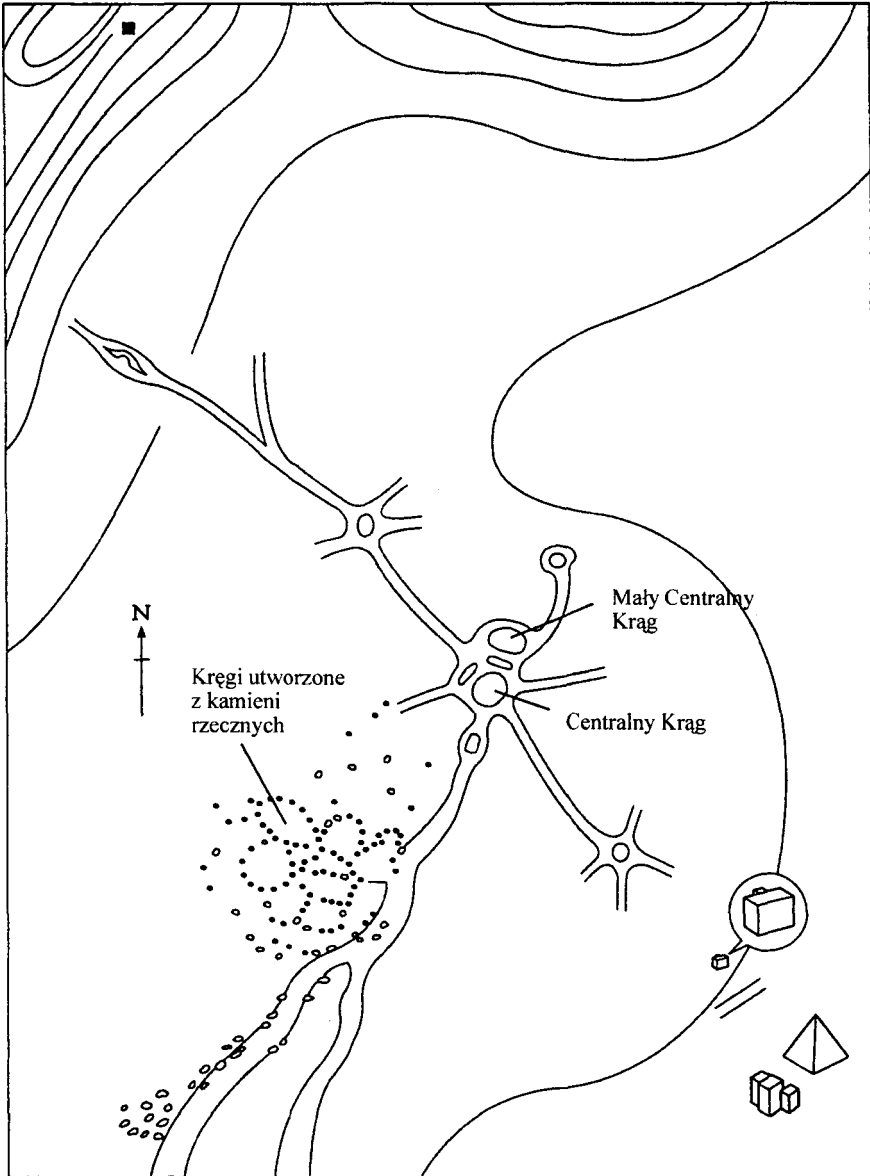
W walce człowieka z wodą woda zawsze zwycięża. Widziałem już, jak prądy Keramy zabierały nurkom maski i wyrwały ustniki. Widziałem desperacką walkę, by utrzymać się na powierzchni lub pomóc innym i nie zostać z powrotem wciągniętym w błękitną toń. Widywałem wysportowanych młodych pływaków wracających na łódź w stanie kompletnego wyczerpania, dygoczących z wysiłku. Po kilku niemiłych doświadczeniach wiedziałem, że nie ma sensu tam nurkować, gdy prądy się wzmagają. Najlepiej zakotwiczyć łódź, wypuścić boję i obserwować jej podskoki, a próbować wejść do wody, kiedy wszystko się uspokoi.

Pokaz

Kerama, marzec 2001 roku

Wypłynęliśmy z Okinawy tuż po dziewiątej, poranek był pogodny, a fale nie wyższe niż metr. Znowu współpracowaliśmy ze znakomitym miejscowym nurkiem, Isamu Tsukaharą, i jego profesjonalnym zespołem, korzystając z ich szybkiego, przestronnego jachtu. Mitsutoshi Taniguchi, odkrywca kręgów, przybył ze swego domu na wyspie Miyako, żeby przyłączyć się do nas. Na ochotnika zgłosił się również Kiyoshi Nagaki.

Ujrzeliśmy Keramę po około godzinie drogi na zachód. Kiedy podpłynęliśmy bliżej, Wolf objaśnił mi strukturę skał widocznych na brzegu oraz warstw ziemi, odsłoniętych wskutek osunięcia się dużych fragmentów wzgórz. Wydawało się, że wyspy te uformowane zostały z ogromnych osadów koralowego wapienia, które odkładały się na dnie mórz od 50 000 000 do 100 000 000 lat temu. Wskutek ruchów tektonicznych wznosiły się ponad powierzchnię wody, po czym znowu



Rysunek przedstawiający kamienne kęgi u wybrzeży Keramy i sąsiadujące z nimi obiekty. Według Kimury

były zatapiane, a w czasie gdy znajdowały się pod wodą, obrastały w kolejne warstwy szkieletów morskich zwierząt. Wszystko przekształciło się w twardą skałę i znowu wychynęło nad powierzchnię morza. W niektórych miejscach koralowy rdzeń otaczają pokłady bardziej miękkiego wapienia. W innych koralowe wychodnie leżą na powierzchni, lśniąc bielą w porannym słońcu.

O 10.30 dopływaliśmy do miejsca, w którym mieliśmy nurkować. Isamu Tsukahara, który zawsze brał na siebie najcięższą robotę, zszedł pod wodę, żeby zaczepić kotwicę i boję. Prąd był tak silny, że tworzył wiry widoczne nawet na powierzchni. Isamu jednak spokojnie i fachowo wykonał zadanie i wkrótce znowu stał na pokładzie łodzi. Usiedliśmy potem wkoło i czekaliśmy, wsłuchując się w skrzywienie liny kotwicznej, którą prąd próbował zerwać i wysłać nas z powrotem na Okinawę. Boja, niestety, natychmiast została wessana przez prądy, nie było więc mowy o nurkowaniu, dopóki z powrotem nie wypłynię.

Od ekipy telewizyjnej pożyczyłem odtwarzacz DVC (digital video camera) i monitor, mogliśmy więc pokazać Wolfowi film nakręcony przeze mnie i Santhę podczas poprzedniego nurkowania do Centralnego Kręgu, największego ze wszystkich kręgów, które znajdowały się dokładnie pod naszym jachtem. Instynktownie wyczuwałem od lat, że obiekty te muszą być dziełem człowieka. Były zbyt niezwykłe, jedyne w swoim rodzaju – „zaprojektowane”. Ale w głębi duszy odczuwałem wątpliwości. Odkąd zacząłem nurkować, sporo dowiedziałem się o podwodnych skałach i rafach na całym świecie, ale nie jestem morskim geologiem i wiele jeszcze nie wiem. Czy to możliwe, aby dziwne kolumny, pentagonalne przejście wokół centralnego monolitu i uformowane w skale otoczenie Centralnego Kręgu powstały za sprawą naturalnych procesów, o których nie miałem pojęcia?

Zatrzymałem kadr na dość niewyraźnym widoku północno-zachodniej strony kręgu, nakręconym około 10 metrów powyżej wierzchołków megalitów i wskazałem Wolfowi środkowy monolit.

GH: To jest wierzchołek środkowego kamienia, a wokół widzisz krąg...

Wolf: To wąwóz. Jakiś rodzaj wąwozu.

GH: Tak, to rodzaj wąwozu. Biegnie w dół do wyraźnie zaznaczonego przejścia na głębokości około 27 metrów... To jakaś ciekawa kombinacja otoczków i piasku. Tam na dole nic nie rośnie.

Wolf [wskazując kilka monolitów]: Te pojedyncze obiekty obrosły morskie organizmy. Aby więc przekonać się, jak zostały uformowane i skąd pochodzą, trzeba by to wszystko zeszkrobać... Czy wiesz, z jakiego materiału są zrobione?

GH: To jakaś kombinacja dość dużych kamieni, może nie otoczków, ale czegoś w rodzaju rzecznych kamieni.

Wolf: Zaokrąglonych?

GH: Tak, kombinacja scementowanego czegoś – nie mam pojęcia czego, chyba skał, kamieni.

Wolf: Skała macierzysta.

GH: Tak, skała macierzysta. Widzisz...

Wolf: Pytanie więc brzmi: czy to pierwotny materiał składający się z tej samej mieszanki skały macierzystej i otoczków? Albo może te posklejane zaprawą otoczki są tylko zewnętrzną warstwą?

GH: Na czymś innym.

Wolf: Tak. Ale żeby to sprawdzić, trzeba zrobić odwierty i pobrać próbki. Można też sprawdzić, w jaki sposób piasek na dnie związany jest ze skałą podłoża... Ale przede wszystkim trzeba zbadać rdzeń, podstawę poszczególnych obiektów, i zobaczyć, jak są umocowane w gruncie.

GH: Mamy więc najpierw po to zejść na sam dół? Można pobrać trochę próbek. Przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie i stwierdzić, czy te wewnętrzne i zewnętrzne krzywizny wielkich monolitów pasują do siebie, czy są naturalne, czy też sztuczne.

Wolf: Teraz nie potrafię tego wytłumaczyć.

GH: O, tu na przykład [pokazując na ekranie] widać dwie równoległe zakrzywione ściany...

Wolf: Rzeczywiście. To dość dziwne. Czy między tymi murami może przejść człowiek?

GH: Tak, oczywiście. Zmieści się tam nawet dwóch nurków obok siebie, choć z trudem. Zobaczysz, kiedy zejdziemy pod wodę.

Przesunąłem kilka klatek i zatrzymałem na drugim kręgu monolitów. Ponieważ ma mniejszą średnicę (choć monolity są tej samej wielkości), miejscowi nurkowie nazywają go Małym Centralnym Kręgiem. Przylega do dużego, leżącego nieco na północny wschód. Sprawiają wrażenie połączonych ogniw, jeden ma 8 metrów szerokości, drugi – 5, a w środku obu znajduje się zagłębienie w kształcie dziurki od klucza, wykute w skalnym podłożu dna oceanu.

Wolf: Ile w sumie jest tych kręgów?

GH: Te dwa są obok siebie; jeden duży i jeden nieco mniejszy. Trzeci leży 50–60 metrów dalej na północny zachód, ale go nie sfilmowaliśmy.

Wolf: A czy znaleziono też inne figury? Inne niż kręgi?

GH: W tym samym rejonie, około 40 metrów na południe, natrafiono na wiele kręgów ułożonych ze znacznie mniejszych pojedynczych kamieni, może dłuższych niż metr. Możemy je obejrzeć podczas tego nurkowania.

Wolf: Ale są zbudowane w ten sam sposób, z tego samego materiału?

GH: Wyglądają jak otoczaki zlepione w większe objekty.

Wolf: Aha...

GH: Wyglądają jak...

Wolf: Pojedyncze polne kamienie?

GH: Zgadza się.

Wolf: I potem ułożone...?

GH: W kręgu.

Wolf: To dziwne. Bardzo dziwne.

Przewinąłem taśmę i ponownie nacisnąłem „odtworzenie”, żeby zwrócić Wolfowi uwagę na jeszcze jedną tajemnicę.

GH: Myślę, że to musiało zostać wzniesione przez człowieka. Jest monumentalne.

Wolf: To rzeczywiście zadziwiające... ten rozmiar, to uformowanie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

GH: Przez te wszystkie lata nurkowania? Ja też nie widziałem czegoś takiego, nigdzie na świecie.

Wolf: Nie tylko pod wodą, ale i na lądzie. Ta formacja... można ją porównać ze „skalnymi twierdzami”, nawet z pewną odmianą zwietrzałego kalcytu. Ale one wyglądają inaczej. Całkiem inaczej i nie ma tam kanionów o prostych ścianach.

GH: Proste ściany biegnące wokół centralnego kamienia.

Wolf: Na skutek naturalnego wietrzenia powstają ściany ustawione pod innym kątem.

GH: Ilekroć patrzę na to, na tę wewnętrzną krzywiznę pasującą do tej, tworzącą gładką ścieżkę, mam wrażenie...

Wolf: One są równoległe...

GH: Tak, i sprawiają wrażenie zaplanowanych.

Wolf: Dziwne... naprawdę dziwne.

GH: A przecież nie prowadzono żadnych badań. Nawet Kimura tego nie badał.

Nurkowanie do Centralnego Kręgu

Wreszcie wczesnym popołudniem, około trzynastej, boja nagle wypłynęła, napięcie na linach kotwicznych zmniejszyło się i nadszedł czas, żeby zejść pod wodę. Mieliliśmy już na sobie część ekwipunku, tak więc przypięcie butli z powietrzem i płetw oraz założenie masek zajęło nam zaledwie kilka minut. Wskoczyliśmy do wody.

Tsukahara umieścił łódź dokładnie nad Centralnym Kręgiem, który zobaczyliśmy niemal natychmiast. Wciąż dawał się odczuć słaby, lecz niegroźny prąd. Trzymając się głównej liny kotwicznej, schodziliśmy w kierunku monolitycznej formacji.

„Monolit” znaczy po prostu pojedynczy kamień i często nazwa ta odnosi się do „jednolitego wielkiego bloku kamiennego czy czegoś, co go z wyglądu przypomina”¹. Ale jedno mnie niepokoiło w tych monolitach Centralnego Kręgu – coś, co miało związek z procesami geologicznymi, znanymi Wolfowi, a mnie nie. Po prostu zastanawiałem się, czy to były „pojedyncze kamienie”, czy też nie. Wolf zamierzał zeszkrobać warstwę osadów morskich pokrywających monolit. Nie zrobiłem tego nigdy, ale niejasno przeczuwałem, że obiekty są „pozlepiane” z okrągłych kamieni średniej wielkości, przypominających kamienie rzeczne, które tworzyły zewnętrzną powierzchnię.

Podczas rozmowy na pokładzie Wolf sprawiał wrażenie autentycznie zaciekawionego naszym filmem. Ale może na dnie rzuci okiem na monolity, pobierze kilka próbek i dowiedzie ponad wszelką wątpliwość, że powstały w wyniku naturalnych procesów? Może po powrocie na pokład poda po prostu geologiczną nazwę tego rodzaju „naturalnej formacji”? Za godzinę będę to wiedział. Nagle dotarło do mnie, że podczas tej wyprawy odbędzie się sąd nie tylko nad Keramą, lecz także nad całą moją koncepcją fazy wyższej cywilizacji i monumentalnych budowli w japońskiej prehistorii.

Zatrzymaliśmy się 15 metrów nad Centralnym Kręgiem, żeby z perspektywy spojrzeć na tę konstrukcję. Cieszyłem się, że przynajmniej kilka godzin spędziłem na oglądaniu filmu o tej formacji, co zmusiło mnie do przemyślenia wielu kwestii, wcześniej przeoczonych – jak problem „kanionu”.

Z lotu ptaka (nurek ma bowiem podobną swobodę poruszania się w wodzie jak ptak w powietrzu) po raz pierwszy ujrzałem od właściwej strony otoczenie tych dwóch wielkich, jakby złączonych z sobą, kręgów.

Zajmują one szczyt bardzo rozległej wychodni o łagodnych stokach, rozciągającej się we wszystkich kierunkach i stopniowo schodzącej w głębsze wody. Pod koniec epoki lodowcowej, kiedy wychodnia znajdowała się ponad wodą, jej najwyższym punktem było miejsce, w którym leży środkowy monolit Centralnego Kręgu.

Jakieś nieznanne siły – może zorganizowana ludzka społeczność, może sama natura – wykłuły zagłębienie w postaci dziurki od klucza o płaskim dnie, stromych ścianach na poły wkopanych w ziemię, uformowanych z wielkich pionowych skał, tworzących oba kręgi. Morska fauna i flora zatarły ostre kanty i powierzchnię pionowych kolumn. Aby dowiedzieć się, czy i jak zostały wygładzone i obrobione, trzeba oczyścić je z tej warstwy.

Wiedziałem, że Wolf będzie szukał naturalnego wyjaśnienia, wiele więc zależało od struktury budulca. Miałem nadzieję, że wkrótce wszystkiego się dowiemy, gdyż zabrał z sobą mały młotek i woreczek na próbki. Mimo wątpliwości poczułem nagłą pewność, że natura nie potrafiłaby tak uformować kamieni. Formacja ta była zbyt złożona, musiała do czegoś służyć. Im dłużej się jej przyglądałem, tym bardziej oczywiste wydawało mi się, że została szczegółowo rozplanowana.

Na zdjęciu 57 czytelnik zobaczy – bezpośrednio pod nurkiem, po północnej stronie Centralnego Kręgu – najmniejszą i najniższą z trzech osobno stojących kolumn. Tego popołudnia po raz pierwszy zauważyłem, że ów „połamany monolit” (jak przedtem go nazywałem) stanowi początek biegnącej w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara spirali, sięgającej przez wierzchołek następnego monolitu (znacznie wyższego) do kolejnego (jeszcze wyższego), po czym owijającej się wokół środkowej kolumny, gdzie przeobraża się w krzywiznę otaczającej ściany, która sama w sobie nie jest ciągła, lecz głębokimi kanałami podzielona na odrębne odcinki.

Linie podziału między Centralnym Kręgiem i Małym Centralnym Kręgiem oznacza ta sama niska kolumna, od której zaczyna się spirala. Popłynąłem teraz nad nią i spojrzałem z góry, od północnej strony, mając pod sobą Mały Centralny Krąg. Jestem przekonany, że podobnie jak cała formacja, został ukształtowany przez człowieka. Krzywizną z jednej strony idealnie pasuje do krzywizny wielkiej środkowej kolumny na południu i tylko nieco mniejszej kolumny na północy. Trudno też sobie wyobrazić, aby wąska, wyraźnie zarysowana „druga droga”, równoległa do szerszego wewnętrznego przejścia wokół środkowej kolumny, mogła zostać tak precyzyjnie wykuta przez siły natury.

Zanim dotarliśmy do formacji, kątem oka zauważyłem coś, czego nie widziałem od czasu naszego pierwszego nurkowania w 1999 roku. Na południowy zachód od Centralnego Kręgu, na stoku poniżej szczytu starożytnego wzgórza znajdowały

się inne kręgi, owale i spirale ułożone z pojedynczych kamieni, wielkich otoczków, głazów w większości nie dłuższych niż metr. Wszystkie były zaokrąglone i wygładzone, przepłatały się i wiły jak naszyjniki czy łańcuszki upuszczone na ziemię. Jak wcześniej powiedziałem Wolfowi, wyglądały jak „kamienie rzeczne” (choć nie jest to dokładne określenie), w przedziwny sposób z sobą posklejane (a może stanowiły część podłoża skalnego?), porozmieszczane wokół kolumn Centralnego Kręgu.

Zanotowałem sobie w myślach, żeby podpłynąć tam i bliżej przyjrzeć się owym kręgom z „rzecznych kamieni” oraz spróbować wyobrazić sobie, jak je ułożono. Może Wolf znajdzie jakieś racjonalne, geologiczne wyjaśnienie tego zjawiska. Lecz ujrawszy je znów po dwóch latach i odbywszy od tamtego czasu wiele ekspedycji na terenie Japonii, doszedłem do wniosku, że bardzo przypominają mi kamienne kręgi z epoki Jomon w Komakino Iseki i Oyu – miejscowościach, które odwiedziłem w maju 2000 roku na północy Honsiu.

Być może, coś je łączyło.

Tymczasem obaj z Wolfem dotarliśmy do podstawy Centralnego Kręgu i stanęliśmy na wewnętrznej drodze, badając monolity. Jak słusznie zauważył Wolf, oglądając taśmę wideo, były obrosnięte niewiarygodnie bogatą morską fauną. Równocześnie wystawały z nich, jak dojrzałe owoce, owe kamienne otoczaki. W oczy rzucał się szczególnie jeden z nich, wielkości talerza, ważący zapewne kilka kilogramów, sterzący z czubka drugiego monolitu spirali, jakby chciał dosięgnąć trzeciego. Jak to wytłumaczyć?

Wolf pobrał próbki z kilku największych kamieni rzecznych, przytwierdzonych do zewnętrznych krawędzi kolumn, potem kiwnął na mnie, żebym przyłączył się do niego u stóp drugiego monolitu pod mocno wystającym otoczakiem. Chciał tu sprawdzić, z jakiego materiału zrobiony jest monolit. Pokazał mi, że warstwa fauny i flory stawała się coraz cieńsza, a u podstawy, blisko miejsca, w którym monolit łączył się z drogą, prawie zupełnie znikła. Tu najłatwiej było zeszkrobać warstwę morskich organizmów i zobaczyć, co jest pod nią.

Stopniowo ukazywało się naszym oczom nie to, czego się obawiałem – czyli skała macierzysta lub kruszywo przyczepione do powierzchni, lecz twarde, lśniący, biały rdzeń, utworzony bez wątplenia ze starożytnego wapienia koralowego Keramów, przytwierdzonego u podstawy do skały macierzystej. Na ile mogliśmy się zorientować, monolit został w całości wykuty i wygładzony, z piękną krzywizną pasującą do krzywizny drogi, wyraźnie zaznaczoną po obu stronach. W miejscach, w których Wolf najgorliwiej skrobał, mogłem nawet dojrzeć pierwotne organizmy, które skamieniały przez milionami lat, tworząc białą koralową skałę. Skała koralowa to doskonały materiał budowlany i – od niewielkich kamiennych bloczków służących dziś do budowy domów na Malediwach po masywne Trylity starożytnego Tonga – często można dostrzec zastosowanie wapienia koralowego, a w nim skamieniałe szczątki morskich organizmów.

Byłem wdzięczny Wolfowi, że ustalił, z jakiego materiału wykonano monolity. Wapień koralowy jest nie tylko wyjątkowo pięknym i wdzięcznym materiałem budowlanym, ale i niezwykle twardym. Myślę, że Wolfowi trudno byłoby tłuma-

czyć czynnikami naturalnymi powstanie tak bardzo złożonych struktur o stromych ścianach równoległych krzywizn i dróg (przy czym wszystko to zostało wykute w skalnym szczycie starożytnego wzgórza).

Pół godziny później wróciliśmy na łódź. Główna kamera, którą ekipa Channel 4 filmowała nasze nurkowanie, zacięła się i reżyser kazał nam powtórzyć całą operację. Ale była już 14.30, podczas ostatnich 15 minut pierwszego zejścia pod wodę znowu pojawił się silny prąd i w żadnym wypadku nie mogliśmy spełnić jego oczekiwań. Postanowiliśmy poczekać do 17.00. Po tej godzinie zapadał zmrok i nie byłoby bezpiecznie nurkować na otwartym oceanie. Wówczas musielibyśmy wrócić na Okinawę. Gdyby jednak prąd wcześniej ustał, mogliśmy jeszcze raz spróbować.

Gdzie podziały się odłamki?

Doczekaliśmy się następnej okazji do nurkowania tuż po 16.30. Pod wodą, gdzie było nadspodziewanie jasno, spędziliśmy kolejne trzy kwadranse. Nakręciliśmy kilka scen ze mną, podczas których Wolf z radością powrócił do swoich badań. W innych scenach powtórzyliśmy wszystkie czynności wykonane za pierwszym razem. Wolf znowu zeskrobywał warstwę osadów z podstawy monolitu Centralnego Kręgu, ukazując kamerze lśniący, biały wapień koralowy.

Mogłem sobie wyobrazić, jak owe potężne kamienne kręgi u wybrzeży Kerammy mogły wyglądać, gdy cały ten rejon aż do Okinawy znajdował się na lądzie w końcu epoki lodowcowej.

Zbliżając się do szczytu wzgórza od dołu, wzdłuż łagodnego stoku skalnego masywu, który także powstał ze skamieniałej 100 000 000 lat temu rafy koralowej, w pierwszej chwili nie widzi się budowli. Dopiero stojąc na obrzeżu, dostrzega się majestatyczną, tajemniczą spiralę lśniących monolitów, z których najwyższy mierzy tyle co dwóch wysokich mężczyzn.

Monolity Centralnego Kręgu zostały wykute na miejscu ze skalnego podłoża, z którym nadal są złączone². Podobnie jak w Yonaguni stajemy przed zagadką: skoro wykuto te wszystkie elementy na miejscu, gdzie podział się rumosz powstały w trakcie obróbki? A musiało być go sporo, zważywszy rozmiary budowli. Oglądając zdjęcia 57–59, czytelnik sam może się przekonać, że nigdzie nie ma śladu odpadów czy gruzu. Brak odpadów najlepiej dowodzi, iż twórcami tych monumentalnych formacji musieli być ludzie.

Wolf o Keramie

Doświadczwszy już naukowego sceptycyzmu Wolfa w Yonaguni, stwierdziłem ze zdumieniem, że po dwóch zaledwie zejściach pod wodę zupełnie inaczej patrzy na Centralny Krag, choć już podczas oglądania taśmy miał wątpliwości, czy to dzieło natury. Co więcej – mógł na pokładzie jachtu przeprowadzić testy

chemiczne na próbkach pobranych z oryginalnego budulca i ze żwiru kamieni rzecznych, przylepionych na zewnętrznej powłoce monolitów.

Nawet gołym okiem dało w dostrzec, że mamy tu do czynienia z dwoma różnymi rodzajami skały. Wiemy już, że rdzeń monolitu to bardzo stary koralowy wapień. Zaokrąglone otoczaki, których kawałki okazały się piaskowcem, zostały zdaniem Wolfa

ukształtowane przez wodę, bieżącą wodę – i to ponad wszelką wątpliwość. Te kawałki piaskowca są zaokrąglone, co może być efektem oddziaływania wody rzecznej lub wody morskiej, która w trakcie przyptywów i odpływów szlifowała te kamienie na plaży.

Wolf dodaje, że podczas drugiego nurkowania, kiedy ja pracowałem z kame-rzystą, on prowadził badania na zewnątrz Centralnego Kręgu.

Odkryłem tam, że te wielkie otoczaki i mniejsze kamienie także z piaskowca, przylepione do kolumn i formacji wewnętrznych, znajdują się również na zewnątrz kręgu. Popłynąłem więc nieco niżej – już nie pamiętam, w którą stronę – i znalazłem całe pole usiane takimi samymi kamieniami, w istocie bardzo dużymi, lecz rozrzuconymi chaotycznie na powierzchni podłoża skalnego z koralowego wapienia.

Wolf uprzedził, że wszelką klasyfikację można tu stosować jedynie na podstawie domysłów. Być może miliony lat po tym, jak starodawne koralowe podłoże skalne uległo skamienieniu

rzeka mogła przynieść je tutaj. Gdy wysychała lub zmieniała koryto, kamienie zostawały. Niewykluczone, że część tej starej rafy koralowej była pokryta otoczakami naniesionymi przez rzekę o bardzo szerokim korycie, bo też i to pole wydaje mi się bardzo rozległe.

Jeśli to tylko domysł – z pewnością bliski jest on prawdy.

Wolf przyznaje, że nie wie, jak zinterpretować monolity i kolumny wykutego w skale kręgu – choć zastrzega, że może o tym mówić tylko z punktu widzenia morskiego geologa. Może inni geolodzy widzieli gdzieś na świecie naturalne formacje podobne do Centralnego Kręgu i umieliby wyjaśnić owe zagadkowe równoległe krzywizny ścian oraz doskonale uformowane kolumny. On jednak nie pokusi się o określenie ich pochodzenia.

Wolf: Nie potrafię podać racjonalnego wytłumaczenia tego... tych...

GH: Kręgów?

Wolf: Tak, kręgów. I tego, co znajduje się wewnątrz. Z pewnością powstały po tym, jak otoczaki znalazły się na koralowym podłożu, ponieważ niektóre z nich zwisają nad kanionami. Ale nie mam pojęcia, jakie procesy doprowadziły do takiego ukształtowania.

GH: Masz na myśli procesy naturalne?

Wolf: Oczywiście.

GH: To znaczy, że mogli to zrobić ludzie?

Wolf: Nie wiem. Nie wyciągałbym tak daleko idących wniosków. Trzeba przeprowadzić wiele badań, żeby to ustalić. Ale najdziwniejsze są te biegnące wokół równoległe mury. To bardzo dziwne. Jeśli na przykład erozji dokonała rzeka, brzegi jej koryta nie byłyby tak idealnie równoległe. Tyle tylko mogę powiedzieć. Czynniki chemiczne też nie dają takiej precyzyjnej krzywizny.

GH: Masz na myśli równoległość ścian?

Wolf: Tak.

GH: Co potrafisz na pewno powiedzieć o tej formacji? Czy w ogóle możemy być czegokolwiek pewni?

Wolf: Mamy tu prastarą skamieniałą rafą koralową i te otoczaki rozrzucone na szczycie, które pojawiły się tu później. Oddziaływała na nie erozja, która wyrzeźbiła te formacje w podłożu. Dokonała tego natura – albo sprawiły ludzkie ręce!

GH: Wy, geolodzy, powtarzacie „wyrzeźbione przez naturę”, a my – poeci – mówimy „wyrzeźbione przez człowieka”.

Wolf: Nie mogę stwierdzić nic pewnego. Trzeba przeprowadzić badania. Przyszanajmniej jednak, że nawet dla mnie jest zdumiewającą zagadką, w jaki sposób te budowle zostały wzniesione. Nigdy nie widziałem takich formacji w naturze. Nie śmiałybym wypowiadać się na temat działań człowieka, bo na tym się nie znam.

Słyszając powyższe słowa od geologa tak ostrożnego w wyrażaniu opinii, jak Wolf Wichmann, zrozumiałem, że jesteśmy coraz bliżej uznania, iż kamienne kręgi Keramy mogą być dziełem człowieka. Jednak naciskałem dalej:

GH: Powiem ci, dlaczego myślę, że zrobili to ludzie.

Wolf: Słucham.

GH: Nie chodzi tylko o organizację przy wznoszeniu takich konstrukcji. Na tych wyspach istniała starożytna kultura, która stworzyła kamienne kręgi. Takie kręgi jej przedstawiciele stawiali już gdzie indziej, niektóre z nich przetrwały. Nie były tak wielkie, jak Centralny Krąg. Najcięższe bloki ważyły około 0,5 tony, a zwykle znacznie mniej. Kiedy więc patrzy na Centralny Krąg i ten mniejszy obok, pamiętając, że znajdujemy się na wyspach, na których twórcy kultury Jomon wznosili takie budowle, staje się dla mnie oczywiste, że i te podmorskie można im przypisać. I sądzę, że to wyjaśnienie jest bliższe prawdy niż tłumaczenie fenomenu jakimś nieznanymi siłami natury. Nie przeczę, że przyroda często rodzi kształty jakby pochodzące spod ludzkiej ręki, ale skoro na lądzie znajdują się identyczne ślady starożytnej kultury, która rozkwitała w okresie od 16 000 do 2000 lat temu – mam tu na myśli kulturę Jomon – zaczynam się zastanawiać, kto mógł być twórcą tych budowli.

Wolf: Rozumiem, co masz na myśli. Ale nadal uważam, że trzeba dowieść, iż te kręgi ułożyli ludzie w epoce Jomon.

GH: To oczywiste.

Wolf: A to trudno stwierdzić. Należałoby oczyścić wszystkie te kolumny, żeby znaleźć ślady obróbki narzędziami, i porównać kręgi z innymi obiektami wzniesionymi przez tę kulturę.

GH: Istnieje wiele kamiennych kręgów stworzonych przez ten lud, w Keramie są największe i zupełnie wyjątkowe. Ale powtarzam, na tych wyspach kwitła kultura Jomon, co potwierdzają historycy. Najstarsze obiekty wzniesione przez ten lud pochodzą z epoki lodowcowej, sprzed około 16 000 lat. Wiadomo na pewno, że w epoce Jomon powstawały kamienne kręgi. Tu, pod wodą, natrafiliśmy też na kamienne kręgi, które w epoce lodowcowej znajdowały się ponad wodą. Jaki z tego logiczny wniosek?

Wolf: W zasadzie zgadzam się z tobą, ale trzeba to udowodnić. Teoria pozostaje teorią, póki się jej nie udowodni.

Rzeczywiście, w tym momencie dysponowałem jedynie teorią, że przypuszczalnymi twórcami podwodnych monolitów i kręgów były ludy Jomon w bardzo odległej, wciąż nieodkrytej fazie monumentalnych budowli w ich prehistorii. Ale teoria ta przeszła przez kolejny trudny egzamin, gdyż sceptycznie nastawiony geolog nie potrafił wytłumaczyć powstania tej formacji działaniem sił przyrody.

Niemniej nadal jest to tylko teoria.

Komakino Iseki pod wodą?

Skończywszy zadanie w Keramie, nazajutrz rozstaliśmy się z Wolfem. Odleciał do Niemiec, a ja i Santha wraz z ekipą filmową podążyliśmy na północ Japonii. Odwiedziliśmy tam wspaniały kamienny krąg w Komakino Iseki (patrz rozdział 18) niedaleko Sannai-Muryama w prefekturze Aomori. Choć był już koniec marca, na północy nadal panowały mrozy, zszarzały śnieg leżał na ziemi, a wszystko wokół stanowiło przeciwieństwo tropikalnego klimatu Keramy.

Kiedy ekipa filmowa przygotowywała sprzęt, spacerowałem wśród kamieni, dygocząc z zimna. Rzeczne kamienie – otoczaki – leżały w ciągu koncentrycznych kręgów, z których największe miały 150 metrów średnicy. A między kręgami umieszczono w grupkach mniejsze pierścienie, stykające się brzegami jak ogniw łańcucha...

Kiedy ekipa filmowa przygotowywała sprzęt, spacerowałem wśród kamieni, dygocząc z zimna. Rzeczne kamienie – otoczaki – leżały w ciągu koncentrycznych kręgów, z których największe miały 150 metrów średnicy. A między kręgami umieszczono w grupkach mniejsze pierścienie, stykające się brzegami jak ogniw łańcucha...

O podobieństwie z obiektami w Keramie pisałem już wcześniej. Chciałem obejrzeć kolejne kręgi w towarzystwie Wolfa, co nie udało się z powodu braku



czasu. Kiedy Wolf prowadził swoje badania – a ja pracowałem z kamerzystą – obserwowałem pole otoczaków, „wielkie kamienie rozrzucone chaotycznie na podłożu skalnym z koralowego wapienia”. Lecz jeśli to ja miałem rację, ułożenie tych wielkich, zaokrąglonych kamieni rzecznych nie było aż tak chaotyczne, jak sądził Wolf. Widziałem już „pole otoczaków” i nawet nakręciłem o nim film w 1999 roku, potem mignęły mi przed oczyma podczas pierwszego z dwóch nurkowań.

Gdzie on dostrzegał nieład, ja widziałem porządek. Kiedy filmowałem je w 1999 roku, niektóre z ogromnych, zaokrąglonych kamieni rzecznych, rozrzuconych na koralowej równinie, z całą pewnością układały się w kręgi, każdy leżał obok następnego. Pamiętam, że – podobnie jak w Komakino Iseki – owe „kręgi” były w gruncie rzeczy owalami (choć nadal dla wygody będę je nazywał kręgami). I podobnie jak w Komakino Iseki, tworzące je kamienie, średniej wielkości, zazwyczaj mierzyły niecały metr.

Tak więc jeszcze nie skończyłem z Keramą. Podczas ostatniej podróży, jak i w trakcie poprzednich, nie wykonałem dobrze swojej pracy. Oczarowały mnie wykute w skalnym podłożu, wysokie na 4 metry monolity. Teraz jednak widziałem, że związków z kulturą Jomon należy szukać wśród tych niepozornych „pól otoczaków” obok głównych obiektów.

Musiałem tam powrócić.

Rekin u wrót

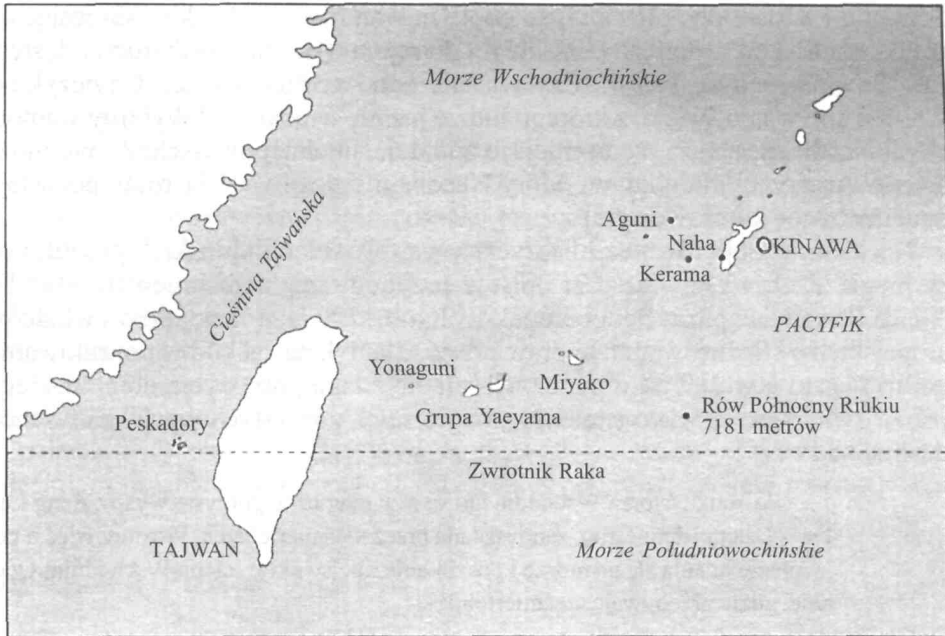
Źródła map i traktatów geograficznych należy szukać w poprzednich epokach.

Fei Hsiu, chiński geograf, 224–71 n.e.

Najstarsze zachowane dzieło o Tajwanie w chińskich kronikach to *Sui-Szu* – historia dynastii Sui panującej w latach 581–618 n.e.¹ Zalicza się go tam do wysp Lu-Czu, a jest to stara chińska nazwa tego, co obecnie (z wyjątkiem Tajwanu) nazywamy archipelagiem Riukiu². Poczynając od Yonaguni na południowym zachodzie – skąd w jasny dzień widać góry Tajwanu – wyspy Lu-Czu/Riukiu rozciągają się przez Keramy i Okinawę na północny wschód, niemal aż do Kiusiu. Od XIV wieku, z przerwami, znajdowały się pod hegemonią Japończyków, lecz do Japonii zostały przyłączone dopiero w 1879 roku³. Dlatego tak bardzo ciekawe się wydaje, że starożytne japońskie legendy „zdecydowanie umieszczają *R'yugu*, sanktuarium Boga Morza, na wyspach Lu-Czu”⁴.

Japońska koncepcja sanktuarium Króla Morza, które *Nihongi* nazywa „Pałacem Boga Morza”⁵, a *Kojiki* „Pałacem Wielkiego Posiadacza Oceanu Kami”⁶, jest dość zawiła. Jak pisałem w rozdziale 19, pierwotna mityczna siedziba znajdowała się pod wodą, pośród ogromnych kamiennych budowli wystających z morskiego dna, w miejscu, do którego może dotrzeć jedynie nurek. Istnieje tu jednak jakiś nieuchwytny związek z zaczarowaną Wyspą Duchów, do której można dopłynąć na łodzi i na której ludzkie życie osiąga wieczność – tak przynajmniej dowiadujemy się z opowieści o rybaku, który spędził tam trzy lata, a wróciwszy do domu stwierdził, iż w tym czasie minęło 300 ludzkich lat. I co nie najmniej ważne – widać też jakiś zagadkowy związek z ciemnym, przerażającym Światem Podziemnym, czyli Krainą Yomi, dokąd dusza Izanami odeszła po śmierci⁷.

W tradycji i mitologii starożytnych Chin znajdziemy te same wątki – nieśmiertelność, zaczarowane wyspy, Świat Podziemny – przeplatające się w mniej więcej ten sam sposób. Tak więc historia najstarszej dynastii *Szi Czi* (napisana około 90 roku p.n.e.) opowiada nam o wyprawach do tego samego rejonu „Wielkiego Wschodniego Oceanu”, gdzie leży archipelag Riukiu, w poszukiwaniu magicznej wyspy, której mieszkańcy osiągnęli nieśmiertelność dzięki „leкови powstrzymującemu śmierć”⁸. A w innym tekście, *Ling Wai Tai Ta*, czytamy:



„Na Wielkim Wschodnim Oceanie jest ławica z piasku i skał, długa na miriady *li*, a w pobliżu znajduje się Wei-Lei, miejsce, w którym woda wpływa do Dziewięciu Podziemnych Światów”⁹.

Miara długości *li* równa się około 0,5 kilometra¹⁰, a tysiące *li* (powiedzmy – 3000) to co najmniej 1600 kilometrów. Można się zastanawiać, gdzie na Wschodnim Oceanie – czyli Pacyfiku – znajduje się tak ogromna ławica skał i piasku.

A może właściwiej byłoby spytać – kiedy znajdowała?

Kryjówki nieśmiertelnych

Wei-Lei, co można przetłumaczyć jako „wielka rura kanalizacyjna”¹¹, w Japonii nosi ładniejszą nazwę Kuroshio: Czarny Prąd lub Czarny Pływ¹². W rozdziale 18 piszę, że poważni naukowcy ze Smithsonian Institution pod kierownictwem Betty Meggers uznali, iż ponad 5000 lat temu, w epoce Jomon, mógł on nieść japońskich żeglarzy przez Pacyfik do Ameryki, gdzie się osiedlali¹³. Istnieją nawet ślady migracji ludów Jomon do Ameryki znacznie wcześniejszej, bo sprzed 15 000 lat¹⁴.

Po raz pierwszy ujrzałem Czarny Prąd (bo rzeczywiście można go zobaczyć, jakby był żywą istotą – albo Kami) z wysokości przylądka Ashizuri na japońskiej wyspie Sikoku. Znajduje się tam grupa megalitów, które spoglądają w dół na falującą wodę, jakby znały jej tajemnicę¹⁵. Stąd Kuroshio płynie na północ wzdłuż wybrzeża Archipelagu Japońskiego, potem zaś przez cały Pacyfik. Na południe

od Sikoku i Kiusiu przepływa także obok Tajwanu i wysp Riukiu, skracając od razu na wschód od wybrzeża chińskiego, do rejonu Pacyfiku najbardziej dostępnego dla chińskich żeglarzy¹⁶. Czy właśnie tam, według wierzeń Chińczyków, „Wei-Lei splywa do świata, z którego ludzie już nie wracają”¹⁷? Wybitny sinolog, Joseph Needham, uważa, że to miejsce znajduje się dalej na wschód, być może nawet w Ameryce¹⁸. Pogląd ten, który Needham ogłosił w 1971 roku, pozostaje popularny, choć kontrowersyjny.

Needham uznaje również historyczną wartość relacji chińskich poszukiwaczy magicznych wysp¹⁹. *Szi Czi* opisuje przygody żeglarza imieniem Hsu Fu z końca III stulecia p.n.e. Podobnie jak Kolumb 1700 lat później prosił władców europejskich o sfinansowanie wypraw przez Atlantyk na zachód w poszukiwaniu Antilii²⁰, Hsu Fu w 219 roku p.n.e. zwrócił się z taką propozycją do chińskiego cesarza, twierdząc, iż wie o istnieniu „magicznych górzystych wysp” na wschód od Chin, na Pacyfiku:

Pośrodku Morza Wschodniego są trzy magiczne górzyste wyspy, Feng Lai, Fang-Czang i Jing-Czou, zamieszkane przez nieśmiertelnych. Prosimy więc o pozwolenie udania się na morze i poszukania miejsc ukrytych na Wschodnim Oceanie, gdzie przebywają nieśmiertelni²¹.

Celem podróży, która uzyskała błogosławieństwo cesarza, miały być dalekie rejony „w samym środku Wschodniego Morza”. Hsu Fu udał się w drogę z dobrze zaopatrzoną flotą, na której pokładach było wielu młodych mężczyzn i kobiet, a także „dostatek nasion pięciu zbóż²²” – co świadczyłoby o planowanym osadnictwie. *Szi Czi* donosi, że „nigdy nie powrócił do Chin”²³. Ale co dziwniejsze, ta sama kronika opisuje inne wyprawy, równie daremne jeśli chodzi o konkretne odkrycia, które poszukiwały tych samych wysp znacznie bliżej chińskich wybrzeży:

Od czasów królów Czi (około 378 roku p.n.e.) wysyłano ludzi na ocean w poszukiwaniu wysp Feng Lai, Fang-Czang i Jing-Czou. Te trzy święte, górzyste wyspy miały się ponoć znajdować w środku zatoki Pohai, niezbyt daleko od ludzkich siedzib. Żyje tam wielu nieśmiertelnych, a można tam też dostać lek, który zapobiega umieraniu (*pu su czi jao*). Lecz trudność polega na tym, że zanim się do nich dotrze, wyspy znikają pod wodą albo wiatry spychają statki z drogi. Tak więc nikt nie może postawić na nich stopy²⁴.

Zbieżność

Treścią chińskie mity zdają się przypominać japońskie. Zawierają wątki takie, jak wejście do Podziemnego Świata, zaczarowane wyspy i podmorskie królestwo. Ale podczas gdy tradycja japońska umieszcza Królestwo Władcy Morza gdzieś w okolicach wysp Lu-Czu, chińskie wyspy Feng Lai, Fang-Czang i Jing-

-Czou, czyli Wyspy Morskiego Maga²⁵, znajdują się w innym miejscu – raz gdzieś na środku Pacyfiku, to znowu znacznie bliżej kontynentu, w zatoce Pohai (która położona jest między miastem Tiencin a Zatoką Koreańską na północnym krańcu Morza Żółtego).

Może jednak rozbieżności jest mniej, niż się wydaje, bo Hsu Fu czci się w Japonii jako Kami – Kami Jofuku. Jego grobowiec-świątynia stoi w Shingu w prefekturze Wakayama w południowej części Honsiu²⁶, która – podobnie jak przylądek Ashizuri na pobliskiej wyspie Sikoku – spogląda na Czarny Prąd. Jeśli w tym dziwnym micie o osiedleniu się Hsu Fu w Shingu istnieje źdźbło prawdy, to Wyspy Morskiego Maga „ukryte na Wschodnim Oceanie”, do których się skierował, musiałyby się znajdować gdzieś na obrzeżach południowej Japonii.

Choć nie sposób tego stwierdzić, przypuszczam, że zbieżność między mitologią Chin i Japonii wskazywać może na wspólną pamięć o zaginionym lądzie z „pałacami i wieżami”, który uznawano za zaczarowany i zamieszany przez „nieśmiertelnych”, a który obecnie leży gdzieś pod powierzchnią morza.

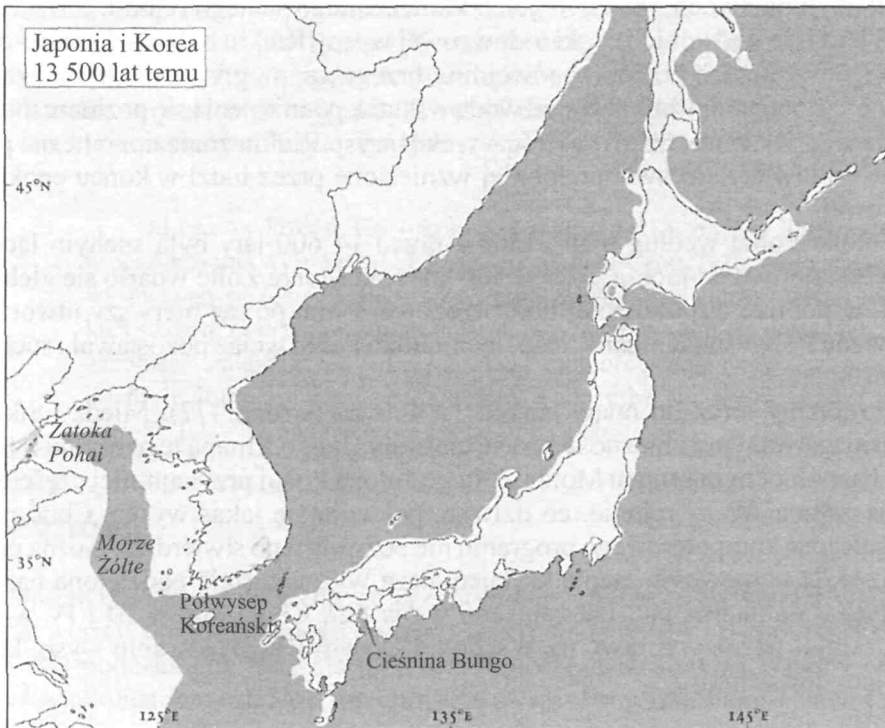
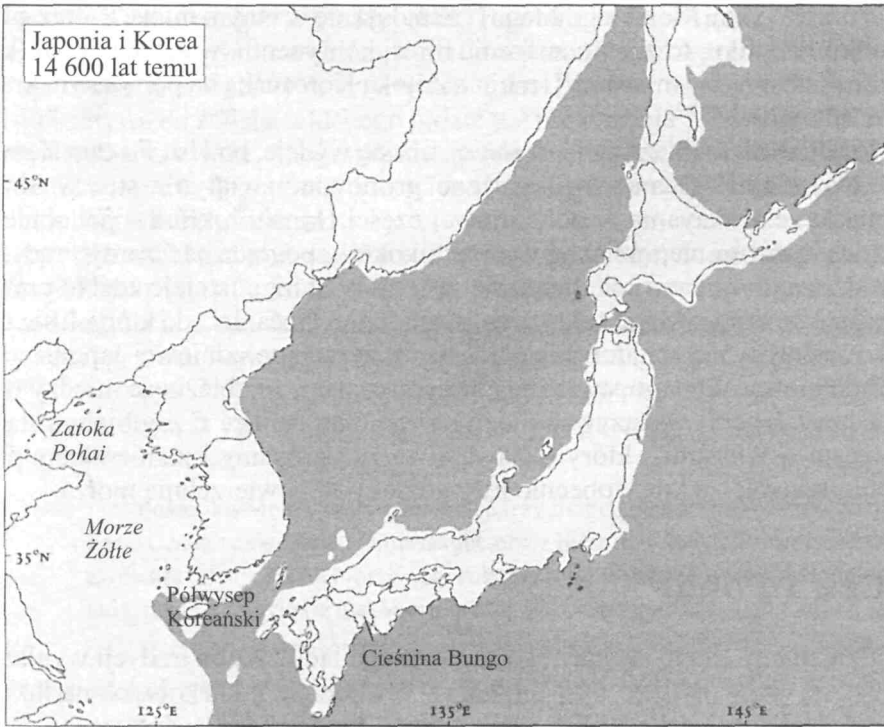
Lu-Czu i Pohai

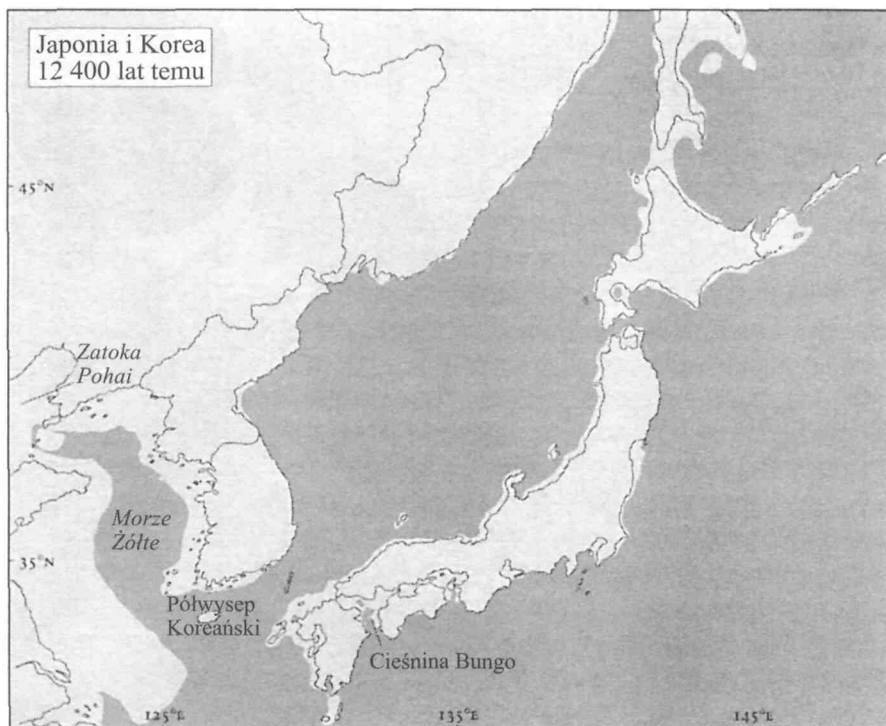
Gdzie mamy zatem szukać tego zaginionego lądu? Z obu tradycji wynika, że znajduje się on w okolicy wysp Lu-Czu – a w istocie gdziekolwiek na łuku od Tajwanu do Kiusiu – albo blisko północnego krańca Morza Żółtego, w zatoce Pohai; czyli na dwóch przeciwległych krańcach tego samego rejonu.

Wiemy, że pod koniec epoki lodowcowej wyspy Riukiu były większe niż dziś. Tak więc wzdłuż ich przedpotopowej linii brzegowej mogły zostać wybudowane „pałace”, które potem zniknęły pod wodą wskutek podniesienia się poziomu morza. Co więcej – jak zamierzam dowieść – wokół wysp Riukiu znaleziono liczne podwodne budowle, najprawdopodobniej wzniesione przez ludzi w końcu epoki lodowcowej.

Zatoka Pohai według map Milne’a przed 14 600 laty była suchym lądem, sporo oddalonym od morza. Ale 13 500 lat temu Morze Żółte wdarło się głęboko w ląd, w pobliże współczesnej linii brzegowej Chin, po raz pierwszy utworzyło krzywiznę Półwyspu Koreańskiego, lecz zatoka Pohai wciąż pozostawała suchym lądem.

Przejdźmy teraz do mapy sprzed 12 400 lat (strona 477). Między Sikoku i Honsiu zauważymy zbieżność zarysu cieśniny Bungo z mapą tego rejonu z 1424 roku. Na północnym krańcu Morza Żółtego zatoka Pohai przynajmniej częściowo została zalana. W jej rejonie, co dziwne, pojawiła się jakaś wyspa. Choć mała rozdzielczość komputerowego programu nie pozwala tego stwierdzić, można przypuszczać, iż na pewnym etapie ta pojedyncza wyspa została podzielona na trzy mniejsze – dokładnie tak, jak zapisano w *Szi Czi*. Chińczycy w III i IV wieku p.n.e. odbyli liczne wyprawy na Wschodni Ocean w poszukiwaniu wysp, które już wtedy nie istniały?



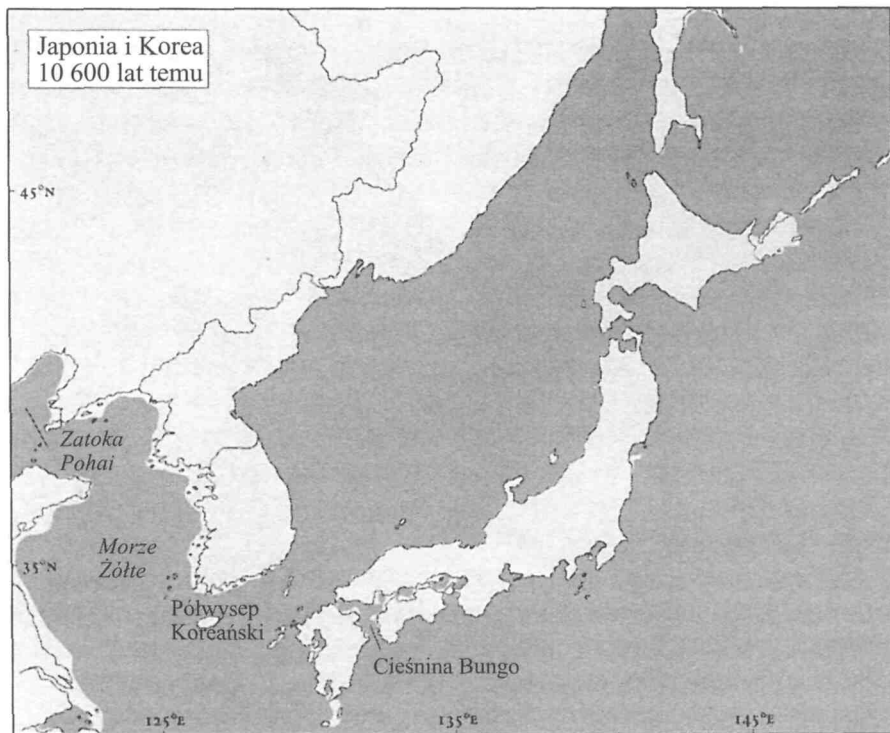


Czyżby znów dziedzictwo starożytnych map, wielokrotnie kopiowanych z o wiele starszych, których oryginały sporządzono, zanim podwyższenie poziomu mórz pod koniec epoki lodowcowej nadało światu zupełnie inny wygląd? Zatoka Pohai od 9000 lat wygląda tak jak obecnie. Skąd więc kronikarz spisujący *Szi Czi* około 90 roku p.n.e. wiedział o skrawku suchego lądu, nie mówiąc już o grupie wysp? Dlaczego Chińczycy organizowali przez dwa stulecia wyprawy w poszukiwaniu tych wysp, skoro wszystkie miały zakończyć się fiaskiem? Czy znów trzeba odwoływać się do zbiegu okoliczności, by wyjaśnić funkcjonowanie anachronicznej wiedzy geograficznej, wpojonej żeglarzom?

Czy jest prawdopodobne, że poszukiwanie trzech „świętych górzystych wysp” w zatoce Pohai było inspirowane bezsensownymi mitami (jak uważają akademicy historycy), skoro wiemy obecnie, że owa wyspa lub wyspy rzeczywiście znajdowały się w tej zatoce 12 400 lat temu, a potem zapadły się pod wodę, jak utrzymuje *Szi Czi*?

Paleolityczne wyspy zniknęły w okresie 1800 lat (co widać na mapie Milne’a powyżej, ukazującej stan sprzed 10 600 lat). Mapy dowodzą także, iż wyspa nie istniała dłużej niż 3000 lat, gdyż 13 500 lat temu jeszcze się nie uformowała.

I choć *Szi Czi* nie przekazuje nam paleogeografii Morza Żółtego sprzed 13 500 lat (przedstawia sytuację sprzed 12 400 lat), przetrwał do naszych czasów graficzny zarys Morza Żółtego sprzed 13 500 lat. Przechowywana obecnie

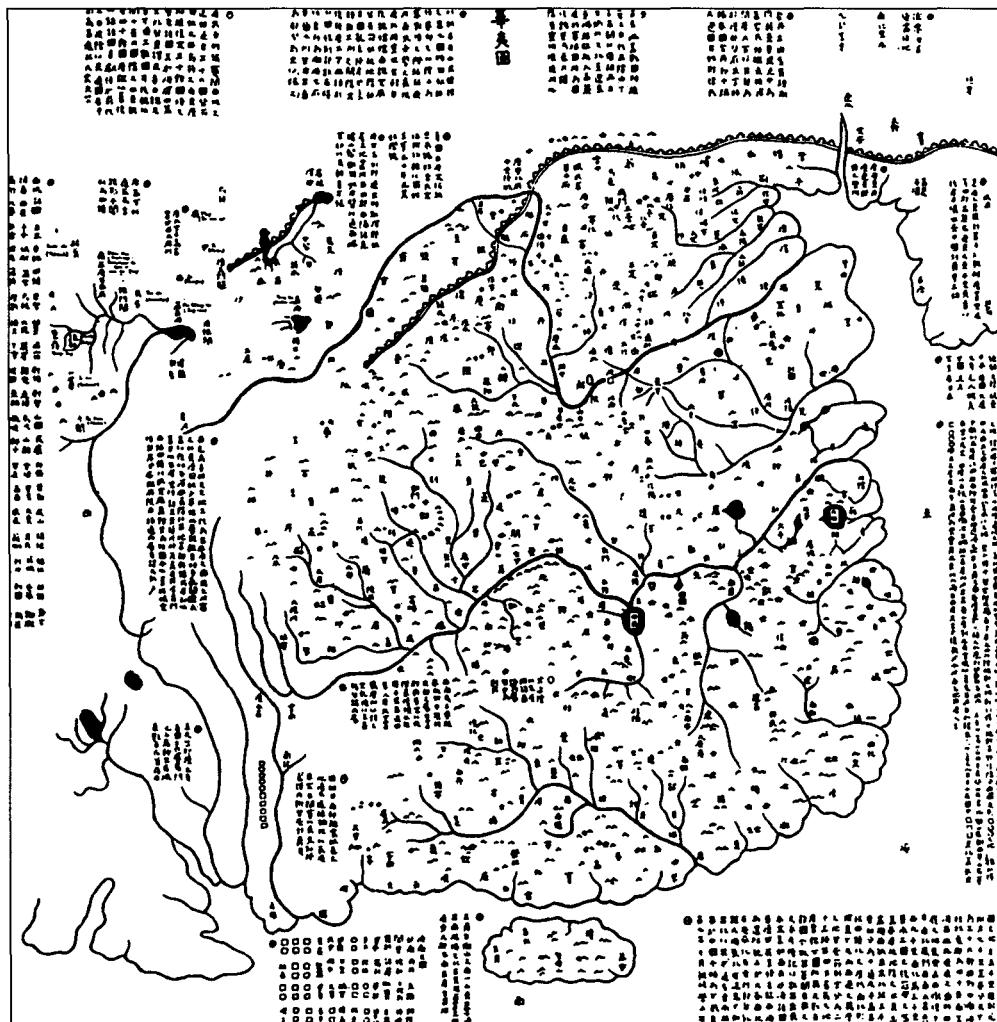


w Lesie Kolumn w Cian mapa Chin (Needham określa ją jako „wspaniałą”)²⁷, została wyrzeźbiona w kamieniu w 1137 roku i nazwana *Hua I Tu* (Mapa Chin i Krajów Barbarzyńskich)²⁸. Podobnie jak anachroniczne portolany na Zachodzie, mapę tę również oparto na znacznie starszych źródłach²⁹. Nikt nie umie powiedzieć, o ile starszych. Ale jeśli istnieje gdzieś kraj, w którym można natknąć się na starodawną tradycję kartograficzną, to są nim właśnie Chiny.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy mapy przypisywane Marinusowi z Tyru krążyły w rejonie Morza Śródziemnego, wielki chiński geograf Czang Heng (78–139 n.e.) tworzył w swoim kraju niewiarygodnie dokładne mapy. Podobnie jak Marinusowi, jemu także przypisuje się wprowadzenie „siatki geograficznej współrzędnych ziemi i nieba”. Jego zaginione książki nosiły tytuły *Rozprawa o obliczaniu siatki* oraz *Mapa widziana z lotu ptaka*³⁰.

Rzecz jasna Czang Heng, uznawany w Chinach za „ojca” naukowej kartografii, musiał być kontynuatorem dużo starszej tradycji i czerpał swą wiedzę z mądrości poprzedników. Istnienie archiwów i niezwykle starych ksiąg potwierdzają kroniki dynastyczne, w których znajdujemy również informacje o pracach innego wielkiego chińskiego geografa, Fei Hsiu (224–271 n.e.):

Fei Hsiu był autorem krytycznych opracowań starożytnych tekstów. Odrzucał wątpliwe informacje [zdezaktualizowane wskutek zmian klimatycznych?] i rejestrował, ilekroć to było możliwe, stare nazwy, które zniknęły [bo miejsca, które



Chińska mapa *Hua I Tu* z 1137 roku n.e.

je nosiły, zostały zatopione?]; w końcu stworzył mapę geograficzną w osiemnastu planszach. Przedstawił ją cesarzowi, który umieścił ją w tajnych archiwach³¹.

Kroniki podają również pełny tekst przedmowy Fei Hsiu do jego atlasu, w której wyraża żal, iż przepadła starożytna wiedza geograficzna:

Źródeł map i traktatów geograficznych należy szukać w poprzednich epokach. W okresie trzech dynastii [Hsia, Szang i Czou³², ok. 2000–1000 p.n.e.³³] mianowano specjalnych urzędników do tego celu (*Kuo Szi*). Kiedy lud Han splądrował Hsien-jang, Hsiao Ho zebrał wszystkie mapy i dokumenty Chin. Obecnie nie można już odnaleźć starych map w tajnych archiwach, zaginęły nawet te, które

znalazł Hsiao Ho; mamy jedynie mapy – ogólne i lokalne – z późniejszego okresu Han. Brak na nich podziałki (*fen lu*) i nie zostały opatrzone prostokątną siatką³⁴.

W Chinach istniały więc nie tylko mapy sprzed tysięcy lat, lecz znano również współrzędne prostokątne, których przestano stosować pod rządami dynastii Han w I tysiącleciu p.n.e. Później ponownie wprowadził je Czang Heng, żyjący w tym samym czasie co Marinus z Tyru.

Wiemy zatem, że około 2000 lat temu Chińczycy posiadali wysoko rozwiniętą wiedzę kartograficzną. Czang Heng czy Fei Hsiu czerpali informacje ze starszej o kolejne 2000 lat tradycji. A już w tym okresie działali specjaliści urzędnicy zajmujący się archiwizowaniem i prawdopodobnie kopiowaniem starożytnych map.

Na tle tej wiedzy, której prapoczątki nikną w mrokach dziejów, powinniśmy oceniać wartość *Hua I Tu* – chińskiej mapy z 1137 roku n.e., która opiera się na znacznie starszych źródłach – ukazującej, jak wspomniałem, Morze Żółte i Półwysep Koreański nie w takim zarysie, jakie miały wówczas, lecz przed 13 500 laty. Choć zawiera ona inne niezwykle frapujące elementy, ograniczę się tu do północno-wschodniego rejonu wokół Morza Żółtego. Na ilustracjach na następnej stronie możemy porównać to morze oraz Półwysep Koreański ze współczesnych map z tymi samymi obszarami na mapach Milne'a sprzed 13 500 lat i na mapie *Hua I Tu*. Między dwiema ostatnimi nie widać w gruncie rzeczy rozbieżności, a zarys Morza Żółtego z 1137 roku i z czasów obecnych na mapie *Hua I Tu*, prawie odpowiada rzeczywistości – pod warunkiem, że była to rzeczywistość sprzed 13 500 lat. Szczególnie godny uwagi jest brak na mapach *Hua I Tu* i Milne'a Półwyspu Szantung. Rosnący poziom wód zaczął go rzeźbić w okresie po 13 000 lat temu, a swój współczesny zarys otrzymał około 10 000 lat temu.

Nie można z całą pewnością stwierdzić, iż Chińczycy w 1137 roku nie wiedzieli o istnieniu Półwyspu Szantung. Wręcz przeciwnie, możemy udowodnić, że doskonale go znali, ponieważ inna mapa, także wyryta w kamieniu w 1137 roku i znajdująca się w Lesie Kolumn w Cian, bardzo wyraźnie ukazuje jego zarys w postaci, w jakiej znamy go dziś. Nazywa się *Ju Czi Tu* (Mapa Szlaków Ju) i także jest kopią znacznie starszego oryginału, ale – jak zauważył Joseph Needham – „wygląda nowocześniej” niż *Hua I Tu* i wydaje się wywodzić z „odmiennej tradycji”³⁵.

Czy to dlatego, że *Hua I Tu* przedstawił zarys Morza Żółtego wzięty bezpośrednio z bardzo starych map, być może przechowywanych wraz z innymi w cesarskich archiwach, podczas gdy *Ju Czi Tu* uwzględni doświadczenia chińskich żeglarzy, którzy ten rejon dokładnie poznali już w III stuleciu p.n.e.?

Przykrwanie Korei

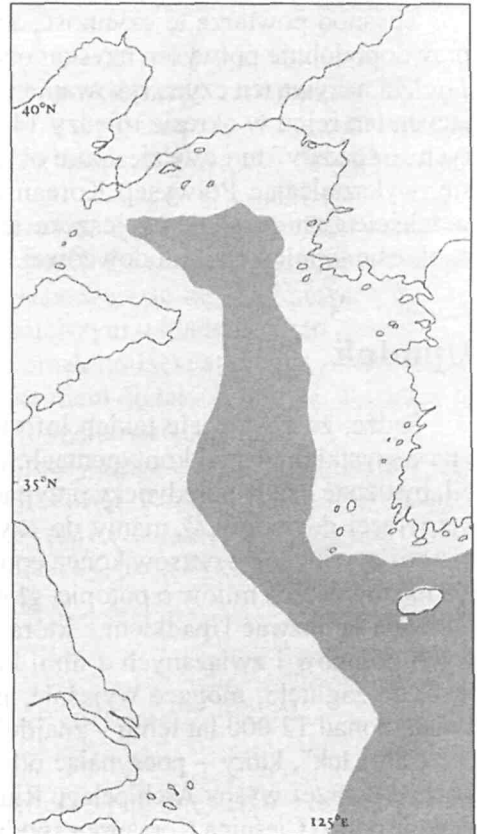
Zostawmy na razie kwestię zaginionych wysp i zatopionych królestw archipelagu Riukiu, a zajmijmy się przez chwilę Koreą i północnym rejonem Morza Żółtego.

Istnieje geograficzna tradycja, zanotowana w *Szi Czi*, według której zaginione Wyspy Morskiego Maga znajdowały się w zatoce Pohai. Dokładnie w tym

Morze Żółte na mapie *Hua I Tu*
z 1137 roku n.e.



Współczesna mapa Morza Żółtego



Morze Żółte sprzed 13 500 lat

miejscu 12 400 lat temu leżała jakaś wyspa. Chińska mapa wryta na kamieniu, skopiowana ze znacznie wcześniejszej w 1137 roku, nie uwzględnia Półwyspu Szantung, w związku z czym powstaje zwężenie Morza Żółtego między Chinami a Koreą. Morze Żółte zwężało się dokładnie w ten sposób 13 500 lat temu.

Tak więc według *Szi Czi* i *Hua I Tu* Korea była znacznie większa w przeszłości niż teraz. To prawda. Lecz mapy Milne'a pokazują, że linia brzegowa Korei przez ostatnie 9000 lat nie uległa zmianie, gdyż ostatnie zalanie wybrzeży miało miejsce 5000 lat wcześniej. Dotarli więc do nas wspomnienia „poprzedniej Korei”, znacznie większej niż 9000 lat temu.

W Japonii także zachowały się wspomnienia dawnych linii brzegowych – o ile oczywiście są to wspomnienia. W *Fudoki* czytamy o podbojach Susanoo-wo-no-Mikoto, wielkiego bóstwa Kami zwanego Dzielnym-Byстрыm-Gwałtownym-Mężczyzną, z którym zetknęliśmy się już w rozdziale 19. Widząc, iż Półwysep Koreański jest zbyt duży, odcina jego fragmenty, przenosi („powoli, powoli, jak rzeczna łódź”) i przyczepia do Japonii³⁶. Trudno mi coś powiedzieć o tym ostatnim fragmencie mitu, interesuje mnie za to opowieść o odejmowaniu terytoriów Korei: „Ujrzawszy, iż ma ona zbyt duże terytorium, ujął łopatę, szeroką i płaską jak pierś dziewczyny, i wbił ją w ląd, odcinając kawałek jak skrzela wielkiej ryby”³⁷.

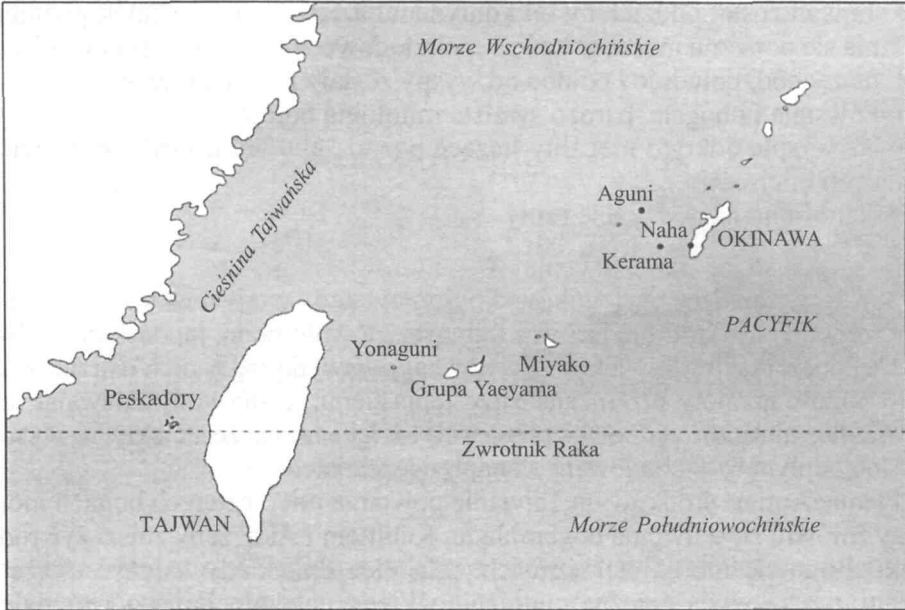
Susanoo powtarza tę czynność, aż w końcu jest zadowolony³⁸ – i wówczas prawdopodobnie półwysep uzyskał obecną postać.

Mit nazywa ten czyn „rysowaniem lądów”. Na mapach Milne'a przedstawiających ten rejon w okresie między 14 600 a 10 600 lat temu widać lądy, od których „odpadały” tu i ówdzie spore obszary, w miarę jak Morze Żółte wypełniało się, wykształcając Półwysep Koreański. I choć może to być przez przypadek, w tekście tym znajdujemy jeszcze jedną informację o topografii tego rejonu w okresie topnień epoki lodowcowej.

Upadek

Sądzę, że zbyt wiele takich informacji znajdujemy w rozmaitych źródłach i na wszystkich niemal kontynentach, w mitach i folklorze, na mapach i w tradycji, by uznać każdy pojedynczy przypadek za zbieg okoliczności. Pojawia się coraz więcej dowodów, iż mamy do czynienia z jakimś zapomnianym epizodem historii cywilizacji z czasów końca epoki lodowcowej. Hipoteza, oparta na analizie niezliczonych mitów o potopie, głosi, że istnieje jakaś nieciągłość w dziejach – można ją nazwać Upadkiem – która była bezpośrednim skutkiem polodowcowych potopów i związanych z nimi kataklizmów. Sądzę zatem, że świadectwa tego, co zaginęło, mogące wyjaśnić, jak i przez kogo stworzone zostały mapy świata ponad 12 000 lat temu – znajdują się na dnie mórz.

Cały „łuk”, który – poczynając od Tajwanu na południu wiedzie na północny wschód poprzez wyspy Archipelagu Riukiu, ocierając się o koniuszek Kiusiu, przeskakuje ponad Cieśniną Koreańską i podąża dalej do Morza Żółtego, Zatoki Koreańskiej i zatoki Pohai, obejmuje ogromny obszar potencjalnych podwodnych odkryć.



Dla mnie jest to podwodny świat – starożytne królestwo zapomnianych przodków. Podobnie jak inne rejony, o których piszę w tej książce – leżące na Atlantyku i Oceanie Indyjskim – powinniśmy go dokładnie zbadać, jeśli chcemy poznać prawdę o naszej prehistorii.

W marcu 2001 roku miałem jednak wrażenie, iż osobiście zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby takie badania zainicjować. Po czterech dniach nurkowania u wybrzeży Riukiu miałem wszelkie powody spodziewać się, iż wyprawa z Wolfem Wichmannem jest moim ostatnim i najważniejszym wkładem w ten proces. Ale, jak już pisałem w rozdziale 22, wizyta w Komakino Iseki sprawiła, że zmieniłem zdanie. Podobieństwo kęgów z rzecznych kamieni do takich samych obiektów na dnie morza u wybrzeży Keramy kazało mi kontynuować badania.

A potem przyszła wiadomość, że u wybrzeży tajwańskiego archipelagu Peng-Hu, czyli Peskadorów, odkryto podwodne budowle. Razem z japońskimi kolegami postanowiliśmy zorganizować krótką wyprawę w końcu sierpnia 2001 roku. Ponieważ Tajwan znajduje się tak blisko Okinawy, uznaliśmy, że przy okazji warto jeszcze raz zanurkować u wybrzeży Keramy.

Z Bazy 3 do punktu D

Sierpień 2001 roku, Tajwan

Zbliżamy się do końca tej długiej opowieści. Nie miejsce to i czas, by wprowadzać nowe postaci, fabuły czy miejsca akcji. Ale chciałbym jeszcze zamieścić tu kilka ciekawostek o Tajwanie:

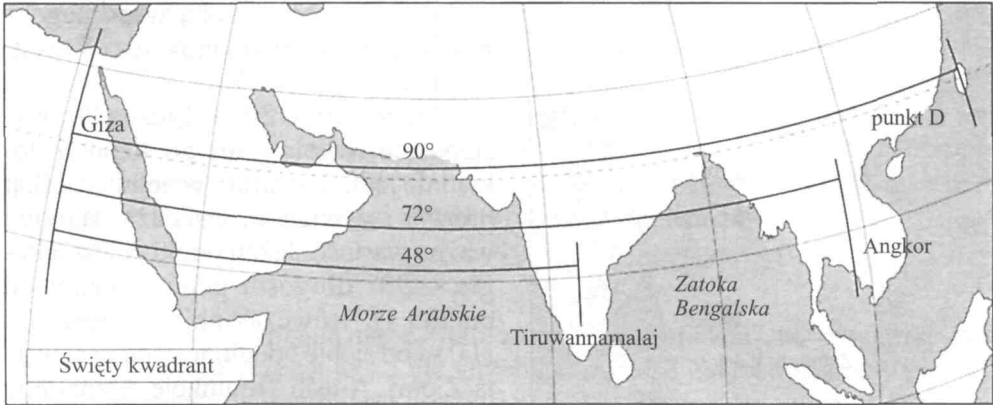
- Tajwan został oddzielony od kontynentu azjatyckiego wskutek podniesienia się poziomu morza w końcu epoki lodowcowej, kiedy ogromne obszary na zachód, południe i północ od wyspy zostały zalane przez wodę.
- Powstała tu bogata, bardzo swoista mitologia potopu.
- Na wyspie odkryto megality liczące ponad 5000 lat, ustawione w znaczących miejscach.
- Natrafiono na podwodne ruiny.

Nie chcę zanudzać czytelników długimi cytatami z tajwańskich mitów o potopie, zebranych wśród miejscowej ludności głównie przez japońskich badaczy w XIX i początkach XX wieku³⁹. Zazwyczaj pojawiają się w nich ostrzeżenia ze strony bogów, grzmoty, przerażające trzęsienia ziemi, ściana wody zalewając ludzkie osiedla; nieliczne jednostki przetrwały dzięki temu, że uciekły w wysokie góry lub odpłynęły w zbudowanych naprędce statkach⁴⁰.

Plemię Ami na środkowym Tajwanie powtarza mit o czterech bogach morza, którzy zmówili się z dwoma bogami lądu, Kabitem i Aką, żeby zniszczyć rodzaj ludzki. Bogowie morza ostrzegli ich: „Za pięć dni, kiedy księżyc ukaże się w pełni, morze wyda potężne dudnienie. Wtedy uciekniecie na górę, gdzie są gwiazdy”. Kabitt i Aka posłuchali ostrzeżenia i niezwłocznie uciekli na górę, a „gdy dotarli do szczytu, morze jęło nagle wydawać głośnie dźwięki i rosło coraz wyżej”⁴¹. Zalane zostały wszystkie ziemie, lecz dwoje dzieci, Sura i Nakao, nie utonęło: „Bo gdy potop je ogarnął, schowały do drewnianego móździerza, który przypadkiem leżał na podwórku ich domu, i w tej łupince dopłynęły bezpiecznie do góry Ragasan”⁴².

Opowiadana od niepamiętnych czasów przez tajwańskich łowców głów, dotarła do nas historia arki Noego, podobna do historii Manu i Zisudry oraz (z niewielkimi odmianami) historia ludzi, którym udało się uciec przed potopem⁴³. Trzeba poważnie się zastanowić, dlaczego tylu archeologów, etnologów i antropologów podobieństwa mitów o wszechogarniającym i wszystko niszczącym potopie z uporem godnym lepszej sprawy przedstawia jako przypadkowe, przesadzone, a zatem nie mające żadnej wartości jako historyczne świadectwa. Przecież to wbrew zdrowemu rozsądkowi, skoro wiemy, że w okresie mniej więcej 10 000 lat, między 17 000 a 7000 lat temu, ponad 25 000 000 kilometrów kwadratowych powierzchni naszej planety znalazło się pod wodą. Potop jest rzeczywistością. Skoro nasi przodkowie go przetrwali, przekazywali wspomnienia o kataklizmach kolejnym pokoleniom. Powinniśmy zdobywać wiedzę w sposób naukowy, tworząc na przykład mapy zatopień i rozwijając paleoklimatologię, ale poza tym powinniśmy słuchać mitów, jeśli chcemy dowiedzieć się, jak świat naprawdę wyglądał w okresie topnienia lodowców.

Z pewnością zauważymy, że w około 600 mitach o potopie, znanych etnografom, pojawiają się te same wątki. I choć musimy wierzyć archeologom, że ludzkość 16 000 czy 12 000 lat temu składała się wyłącznie ze społeczności „prymitywnych” zbieraczy i myśliwych, mity mówią nam coś wręcz przeciwnego, opisując

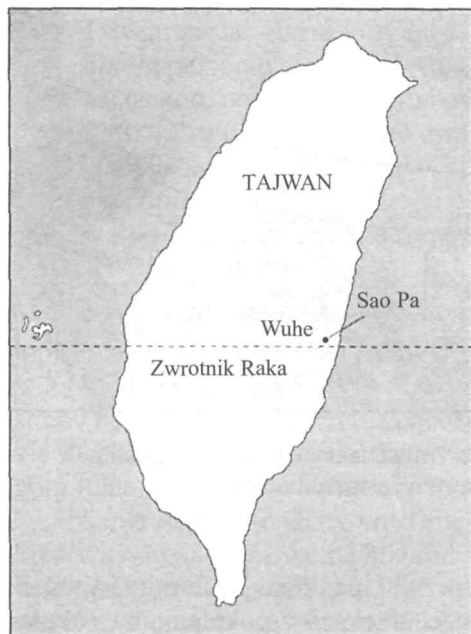


Odległości wzdłużne w stopniach, od Gizy do Tiruwanmalaj, Angkor i punktu D, oparte są na stałych geometrycznych i astronomicznych

przedpotopowe miasta Sumeru i Atlantydy przed Upadkiem. Jeśli mity są wspomnieniami podawanymi w postaci bajkowego przekazu z pokolenia na pokolenie, jak mamy je odczytywać?

Odnoszę niemiłe wrażenie, że umyka nam wielka część historii rozwoju kulturowego o ogromnym znaczeniu, która zniknęła gdzieś w wodach potopów. Wiemy, że – po pierwsze – „przedpotopowe” kultury istniały, a po drugie – możemy domyślać się stopnia ich rozwoju po nietypowych zarysach starożytnych map. Te nieznanne lądy i wyspy mogły się tam znaleźć jedynie wówczas, gdy świat zmienił się pod koniec epoki lodowcowej, dlatego wszędzie szukam pozostałości po starodawnych cywilizacjach, szczególnie w głębinach mórz. Jestem przekonany, że zmiany linii brzegowych, udokumentowane mapami Milne’a, i dziwne lądy, które pojawiają się na średniowiecznych mapach – od Hy-Brasil po Indie i Japonię – dowodzą znajomości sztuki kartograficznej i profesjonalnych umiejętności nawigacyjnych ludzi, którzy poznawali świat w okresie kilku tysięcy lat topnienia lodowców.

Mapy nie są jedynymi świadectwami tej zaginionej geografii. Na całym świecie wznoszono bowiem święte budowle, często megalityczne, zaplanowane i ustawione wzdłuż pewnych długości geograficznych. Pisałem już o interesujących relacjach między długościami geograficznymi, na których rozmieszczono piramidy w Gizie, wielką świątynię Arunaczeli w Tiruwanmalaj w południowych Indiach i świątynię Angkor w Kambodży (Arunaczela znajduje się na 48° długości na wschód od Gizy; Angkor na 24° długości na wschód od Arunaczeli; $48:2=24$; $48+24=72$; $5 \times 72=360^\circ$, pełne koło). Jak już wspomniałem, liczby te oraz inne w tej samej sekwencji pojawiają się wielokrotnie w starożytnych mitach ze wszystkich części świata⁴⁴. Sekwencja ta pozostaje w związku – przypadkowym lub nie – ze zjawiskiem astronomicznym zwanym precesją równonocy (która przesuwa się o 1° co 72 lata)⁴⁵. Lecz wszystkie liczby składające się na sekwencję w mitach



mają jeszcze coś z sobą wspólnego – najniższy wspólny mianownik. Wszystkie dzielą się przez 3.

Liczba 90 to 30×3 . Liczba 90, występująca w kole (którego stanowi dokładnie jedną czwartą), w geometrii (kąąt prosty) i nawigacji, wszędzie stanowi ważną wartość. Jeżeli punkt A jest odległy o 90° długości geograficznej od punktu D, wówczas obie długości (A i D) są od siebie oddalone o jedną czwartą Ziemi. A jeśli w punkcie A znajduje się święte miejsce – piramidy w Gizie – a w punkcie D także wzniesiono święte budowle, trzeba doprawdy wiele złej woli, żeby nie dostrzec relacji między długościami geograficznymi, w dodatku podzielonymi przez najmniejszy mianownik 3, który łączy je z Tiruwannamalai i Angkor w tym samym kwadrancie. Czy

to przez przypadek, czy w wyniku przeprowadzenia przez starożytnych pomiarów geodezyjnych, które doprowadziły do powstania znaczników na kluczowych długościach, przekształconych później w świątynie, zawsze mamy do czynienia z relacjami opartymi na liczbie 3: Tiruwannamalai z kultem Śiwy znajduje się $16 \times 3^\circ$ (czyli 48°) na wschód od Gizy, Angkor leży $24 \times 3^\circ$ (czyli 72°) na wschód od Gizy; punkt D – $30 \times 3^\circ$ (czyli 90°) na wschód od Gizy, $6 \times 3^\circ$ (czyli 18°) na wschód od Angkor i $14 \times 3^\circ$ (czyli 42°) na wschód od Tiruwannamalai.

Czym więc jest ów zagadkowy punkt D, tak wyraźnie powiązany ową geodezyjną trójką z Angkor, Gizą i Tiruwannamalai? To niezwykle kompleks megalityczny w centrum Tajwanu, w górach, w które ludzie uciekli przed potopem, na płaskowyżu Wuhe. Znajduje się on nie tylko 90° na wschód od Gizy, lecz niemal dokładnie na Zwrotniku Raka, na którym w południe podczas letniego przesilenia gnomon – czyli pionowa kolumna – nie rzuca cienia.

Kiedy w sierpniu 2001 roku ruszyliśmy w drogę na Tajwan, nie wiedziałem o istnieniu punktu D, prosiłem jedynie znajomych na wyspie, żeby pokazali nam interesujące megality. Zabrali nas na płaskowyż Wuhe, gdzie w Sao Pa znajdują się najwspanialsze i najbardziej monumentalne megality, otoczone odległymi szczytami i wychodzące na przepiękną dolinę rzeki.

Choć przekaz ludowy mówi, że w Sao Pa były cztery megality, do naszych czasów przetrwały tylko dwa. Wykute z kawałka czarnego łupka, oba są klasycznymi kolumnowymi menhirami, wysokimi i wąskimi – większy liczy 7,4 metra, a mniejszy 5 metrów. Oba mają równo przyciętą, poziomą bruzdę na wysokości „szyi”, co nadaje obu kamieniom formę posągów.

- Obecna szerokość geograficzna Zwrotnika Raka to 23° 27' na północ. Menhiry usytuowane są na 23° 28' szerokości północnej. Różnica wynosi zatem 1', czyli 1/60°.
- Piramidy w Gizie leżą na 31° 7' długości wschodniej (według niedawno ustalonego południka zerowego w Greenwich); długość geograficzna menhirów Sao Pa to 121° 21' na wschód od Greenwich – różnica między oboma obiektami wynosi zatem 90° z odchyleniem 14/60° (czyli mniej niż 1/4).

Jeśli więc nałożymy na mapę Ziemi „siatkę geograficzną”, na której południk zerowy przebiega przez Gizę, a nie Greenwich, widać natychmiast ukryte dotąd zależności między długościami geograficznymi miejsc, które poprzednio wydawały się przypadkowe. Na takiej siatce Tiruwannamalai znajduje się na 48° na wschód, Angkor na 72° na wschód, a Sao Pa na 90° na południe. Wszystkie te liczby mają szczególne znaczenie w starożytnych mitach, w astronomii (w badaniach precesji) i powiązane są wspólnym mianownikiem 3.

Tak więc przedstawiam tu „szokującą hipotezę”: w końcu epoki lodowcowej kilkakrotnie tworzono mapy świata, z taką dokładnością, jaką my osiągnęliśmy dopiero pod koniec XVIII wieku. Sądzę, iż ci sami ludzie, którzy te mapy rysowali, ustanowili także siatkę geograficzną w postaci materialnej, wznosząc obiekty i budowle istotne dla określenia długości i szerokości geograficznej. Nastąpiło to bardzo dawno temu, w czasach przedhistorycznych, a kolejne cywilizacje stawiały swoje własne monumenty na miejscu starych i czciły je jako święte. Niewykluczone, że dziedziczyły też wiedzę i koncepcje religijne nawigatorów i budowniczych.

Kim byli ci ostatni? Czy znajdziemy ślady ich cywilizacji?

Znowu wracamy do poszukiwania śladów podwodnych budowli. Badaliśmy je od Oceanu Indyjskiego i Zatoki Perskiej, poprzez Atlantyk aż po wschodnie Chiny i Morze Żółte, zamknięte od północy przez Półwysep Koreański i Kiusiu, od wschodu i południowego wschodu przez łuk archipelagu Riukiu, a od południa przez Tajwan.

Odbywszy wyprawę do innych podwodnych formacji w tym samym rejonie – Aguni, Keramy, Chatan, Yonaguni – byłem zaintrygowany, lecz nie zdziwiony, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o niezwykłych podwodnych budowlach odkrytych ostatnio u wybrzeży tajwańskich Peskadorów.

Nurkowanie do Tygryskiej Studni

Nie chcę powtarzać tu historii Peskadorów, o których piszę w rozdziale 21, czy o dawnej wyspie położonej dalej na północ, niedaleko miejsca, które na mapie Antilii z 1424 roku nosi nazwę Ymana. Zrozumiałe, że niezależnie od kwestii Ymany, Peskadorzy – 13 500 lat temu położone na końcu półwyspu głównego

lądu Chin, stanowiące potem jedną wyspę, która później rozpadła się na 64 ma-
lutkie wysepki – są interesującym terenem poszukiwania podwodnych ruin z cza-
sów potopu.

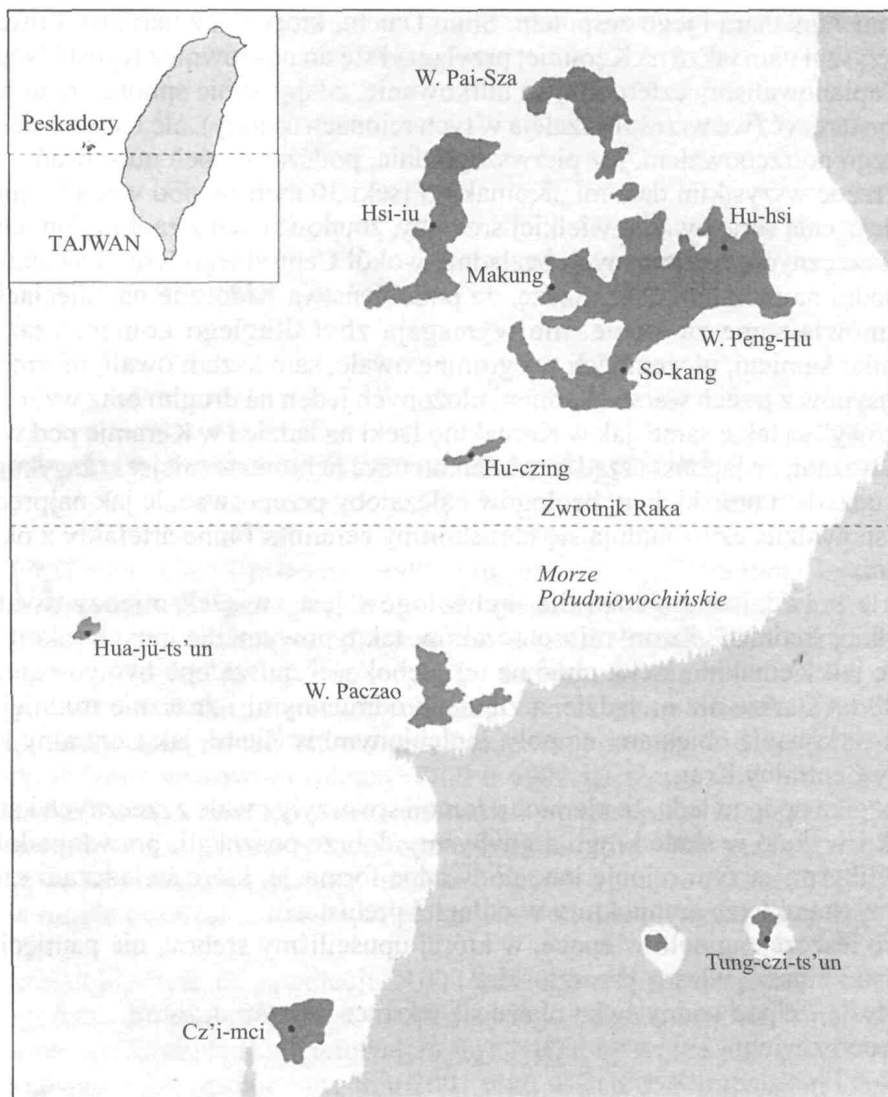
Starodawne mity z rejonu Peskadorów mówią o ogromnym zamku o potęż-
nych czerwonych murach, pograżonym w morzu gdzieś między wysepkami. Dla-
tego oficjalnie poproszono słynnego tajwańskiego nurka, Steve'a Shieha, żeby
przyjrzał się tym ruinom, jeśli będzie pracował w okolicy. Przez kilka lat Steve
przeszukał wody wokół większości wysp. Wreszcie jego wysiłki zostały nagro-
dzone niezwykłym odkryciem u wybrzeży wyspy Hu-Czing (Tygrysia Studnia).
Stało się to ponad 20 lat temu, ale na Zachodzie nikt nie zwrócił uwagi na tę
sensacyjną wiadomość. Jednak na szczęście dla mnie duża japońska stacja tele-
wizyjna, TBS, nadała w styczniu 2001 roku reportaż o tym odkryciu. Program
obejrżeli moi japońscy przyjaciele i powiadomili mnie o nim.

W końcu sierpnia 2001 roku przez dwa dni nurkowaliśmy ze Steve'em Shie-
hem u wybrzeży Hu-Czing. Budowla, którą nam pokazał, składała się z dwóch
ogromnych murów liczących kilkaset metrów długości. Jeden biegł z północy na
południe, drugi z zachodu na wschód, przecinały się pod kątem prostym. Na
wschodnim krańcu muru biegnącego ze wschodu na zachód znajduje się wielkie,
okrągłe pomieszczenie, częściowo już zrujnowane. Mur ze wschodu na zachód
leży stosunkowo płytko, na głębokości od 4 do 6 metrów. Mur północno-połu-
dniowy zaczyna się na głębokości 4 metrów, lecz ciągnie się aż do głębokości 36
metrów. Oba mury mają stałą wysokość 3 metrów, lecz niektóre fragmenty są
zniszczone.

W rejonie tak aktywnym wulkanicznie i podatnym na trzęsienia ziemi jak
Tajwan trzeba brać pod uwagę ewentualność, iż takie mury są tworem natural-
nym, zwłaszcza typu wału bazaltowego (rzecz dość częsta wokół Peskadorów).
Wały takie powstają, gdy podobne do muru masy magmy wpływają do pęknięć
starszych skał osadowych⁴⁶.

Mimo niezwykle silnych prądów, które mogą nadejść z ośmiu kierunków (swo-
ją drogą ciekawe, dlaczego wokół podwodnych ruin zawsze występują silne prą-
dy?), zdołałem dokładnie obejrzeć owe mury. Na pierwszy rzut oka nie były to
wały bazaltowe. Przekonałem się o tym, gdy w kilku miejscach zeskrobaliśmy
osady z morskich organizmów, a Steve pokazał mi warstwy bloków ułożonych
ściśle obok siebie. W paru miejscach w spoiny między blokami dało się wsunąć
nóż aż po rękojęść i przesunąć nim swobodnie z góry na dół. Na dodatek układ
murów z północy na południe i ze wschodu na zachód, choć mógł być naturalny,
wyraźnie wskazuje, że są one dziełem człowieka. I wreszcie mamy starożytną,
miejscową legendę o „zamku”, który zapadł się pod wodę...

Lecz i tu, jak gdziekolwiek indziej, trzeba przeprowadzić dokładne badania.
Warto też przyjrzeć się szczególnie uważnie zatopionej ławicy dalej na północ,
gdyż może się ona okazać pozostałością po przedpotopowej wyspie Ymanie, za-
znaczonej na mapie z 1424 roku.



Jeden z wielu podwodnych światów

Mówią, że do Królestwa Boga Morza prowadzi brama, której strzeże rekin. Ponieważ nigdy nie widziałem tych ryb przy kamiennych kręgach Keramy, pojawienie się tam rekina wziąłem za dobrą wróżbę. Niegroźny – liczył niecałe 2 metry długości – przez kilka minut opływał Centralny Krag, zupełnie się nami nie przejmując.

Działo się to w początkach września 2001 roku, po tym, jak z Santhą skończyliśmy badania na Tajwanie i poleciliśmy na Okinawę, żeby znów spotkać się

z Isamu Tsukaharą i jego zespołem. Shun Daichi, który był z nami na Tajwanie, towarzyszył nam także na Keramie, przyłączył się do nas również Kyoshi Nagaki.

Zaplanowaliśmy czterodniowe nurkowanie, zdając sobie sprawę, że to może nie wystarczyć (we wrześniu szaleją w tych rejonach tajfuny), ale Kerama dała mi to, czego potrzebowałem, już pierwszego dnia, podczas dwóch nurkowań.

Przede wszystkim dała mi „Komakino Iseki 30 metrów pod wodą”, i nie jeden, lecz całą serię owali o wielkiej średnicy, zbudowanych z zaokrąglonych kamieni rzecznych, rozrzuconych bezładnie wokół Centralnego Kręgu na skalistej wychodni na morskim dnie. Sądzę, że podobieństwa widoczne na zdjęciach 52 i 53 mówią same za siebie, nie wymagają zbyt długiego komentarza. Typ i rozmiar kamieni, ułożenie ich w ogromne owale, sam kształt owali, uformowanie nasypów z trzech warstw kamieni ułożonych jeden na drugim oraz wzór „łańcuszkowy” są takie same, jak w Komakino Iseki na lądzie i w Keramie pod wodą.

Uważam, że japoński rząd powinien otoczyć ochroną te miejsca, a wykopaliska z udziałem morskich archeologów należałoby przeprowadzić jak najprędzej, żeby sprawdzić, czy znajdują się tam skorupy ceramiki i inne artefakty z okresu Jomon.

Ale prawdziwą zagadką dla archeologów jest związek między owalami o wielkiej średnicy ułożonymi z otoczków, tak typowymi dla innych sakralnych miejsc jak Komakino Iseki, choć na tej głębokości muszą one być co najmniej o 5000 lat starsze niż na lądzie, a zupełnie odmiennymi i znacznie trudniejszymi do wykonania obiektami na poły zagłębionymi w Ziemi, jak Centralny Krąg i Mały Centralny Krąg.

Logika podpowiada, że plemiona Jomon stworzyły owale z rzecznych kamieni, jak i wykute w skale kręgi, a gdybyśmy dobrze poszukali, prawdopodobnie znaleźlibyśmy w tym rejonie inne podwodne formacje, które świadczą o szczególnym charakterze architektury w odległej prehistorii.

Co jeszcze zaginęło w epoce, w której upuściliśmy srebrną nić pamięci, łączącą nas z naszą własną przeszłością?

Myślę, że podwodny świat ukaże się wkrótce naszym oczom.

Jeden z wielu.

Posłowie 1

Podwodny świat w Zatoce Kambajskiej

Wrozdziale 13 pisałem o odkryciu przez indyjski National Institute of Ocean Technology (NIOT) rozległego miejskiego kompleksu w Zatoce Kambajskiej w Indiach. O odkryciu powiadomił 19 maja 2001 roku minister nauki i technologii, Murli Manohar Joshi, dodając, iż ruiny pochodzą z okresu Harappy kultury Indusu-Saraswati. Pisałem też, że mapy Milne'a dowodzą, iż Zatoka Kambajska została zalana przed okresem Harappy, a dokładniej w wąskim przedziale czasowym między 7700 a 6900 lat temu. Jeśli formacje te są dziełem człowieka, muszą pochodzić z bardzo wczesnej fazy okresu przedharap-pkiego. Ponieważ geometryczne formacje zidentyfikowane przez sonar NIOT ciągną się na przestrzeni dłuższej niż 9 kilometrów i ponieważ miasto tej wielkości nie mogło powstać z dnia na dzień, należy domniemywać, iż liczy więcej niż 7700 lat.

Archeologowie na rewelacje NIOT zareagowali milczeniem, a niekiedy i wrogością. W rezultacie świat nie poznał tego odkrycia i groziło mu szybkie zapomnienie. Mimo to skontaktowałem się z NIOT, by wraz z jego pracownikami ponurkować w listopadzie i grudniu 2001 roku w Zatoce Kambajskiej i nakręcić dla telewizji ostatni odcinek filmu „Podwodny świat”.

Kiedy w listopadzie 2001 roku przybyliśmy do Indii, rozmawiałem z archeologami NIO (całkowicie niezależnej sekcji NIOT). Dowiedziałem się, że nie znaleziono tam nic szczególnego. Ich zdaniem geometryczne „formacje” na ekranie sonaru były raczej tworem wyobraźni. R.S. Bisht, dyrektor departamentu badań archeologicznych w Indiach i specjalista od kultury Indusu-Saraswati, szczerze mi powiedział, że nie wierzy, aby NIOT cokolwiek odkrył; badacze mieli „omamy wzrokowe”.

Kiedy więc przybyłem do portu Bhawnagar nad Zatoką Kambajską na spotkanie z przedstawicielami NIOT, nie tryskałem optymizmem, a mój nastrój jeszcze bardziej się pogorszył, gdy dowiedziałem się, iż indyjski wywiad morski nie chce wydać mi pozwolenia na nurkowanie w rzekomym podwodnym mieście.

Mimo to zainstalowaliśmy kamery na pokładzie statku badawczego NIOT, żeby dowiedzieć się, co ma do powiedzenia kierownik naukowy.

To, co badacze opowiedzieli nam przed kamerą, oraz dowody, jakie przedstawili, rozwiały wszelkie wątpliwości. Mimo iż wyśmiewani, a w najlepszym wypadku chłodno traktowani przez środowisko archeologów, naprawdę dokonali niesamowitego odkrycia. Według dr. S. Kathiroliego, dyrektora programowego NIOT, i S. Badrinarayana, konsultanta do spraw geologii, byli zaskoczeni wrogą reakcją archeologów, kiedy po raz pierwszy w maju 2001 roku powiadomili media o swoim odkryciu. Ale – jako rasowi naukowcy – postanowili dalej badać tę zagadkową formację. Tak więc od maja do listopada 2001 roku przeprowadzili dalsze poszukiwania sonarem, pomagając sobie profilowaniem dna morskiego wokół owych geometrycznych obiektów.

Wyniki potwierdziły, że ruiny dużego miasta rzeczywiście znajdują się na dnie Zatoki Kambajskiej na głębokości 25–40 metrów, w odległości około 40 kilometrów od obecnej linii brzegowej. Profilowanie dna morskiego ujawniło rozległe, solidne fundamenty owych geometrycznych obiektów, a niekiedy murów wystających na 3 metry ponad poziom dna i leżących kilka metrów pod nim. Ponadto nieco dalej na południe i na podobnej głębokości odkryto drugie miasto o zarysie prostokąta długości 9 i szerokości 2 kilometrów. Oba miasta leżą wzdłuż koryt starożytnych rzek, które płynęły tu, kiedy cały obszar znajdował się ponad poziomem morza. W jednym miejscu znaleziono resztki długiej na 600 metrów, starodawnej tamy.

Na razie pracownicy NIOT nie mogli nurkować ze względu na potężne fale pływowe w zatoce i niebezpieczne prądy. Co gorsza, kamera zainstalowana na pojeździe zdalnie sterowanym nie dała wyraźnych zdjęć ze względu na zanieczyszczenia wody. Jakim więc sposobem można zdobyć dowody, które przekonałyby sceptycznie nastawionych archeologów? Jedyńm wyjściem było pobranie próbek.

Podczas zaledwie jednego dnia udało im się zebrać ponad 2000 artefaktów – biżuterii, kamiennych narzędzi, ceramiki i figurek. Kolekcja przedmiotów, mająca wyraźnie charakter przedharappski (co potwierdza datowanie radiowęglowe ludzkich szczątków), dowodzi, iż podwodne formacje w gruncie rzeczy były przed zatopieniem ogromnymi ludzkimi osiedlami. Niezwykły wiek znalezisk wyklucza możliwość, by osiedla te powstały w okresie późniejszym niż przedharappski. Podczas nagrania S. Badrinarayan powiedział mi, że jego zdaniem zatopione kompleksy miejskie w najlepszym razie pochodzą sprzed 7000–8000 lat i najbardziej prawdopodobną przyczyną zatopienia wydaje się podniesienie poziomu morza pod koniec epoki lodowcowej, a nie osunięcie się gruntu w wyniku sejsmicznej aktywności, nawiasem mówiąc – częściej w tym rejonie. Niewykluczone, że w grę wchodzi zarówno wzrost poziomu wód, jak i trzęsienie ziemi o katastrofalnych skutkach, i że oba te czynniki mogły doprowadzić do zatopienia i zniszczenia całej cywilizacyjnej infrastruktury na dużym obszarze.

Aby ustalić dokładne daty i lepiej poznać naturę tajemniczych ruin w Zatoce Kambajskiej, trzeba przeprowadzić wiele badań. Na razie jednak rozległość tych

miejskich kompleksów dowodzi – czego akademiccy archeolodzy i historycy nie chcą przyjąć do wiadomości – że ślady zaginionej cywilizacji leżą pod wodą u wybrzeży Indii i że hinduskie mity o potopie, Manu i Siedmiu Mędrkach są odbiciem rzeczywistych zdarzeń.

Z OSTATNIEJ CHWILI

16 stycznia 2002 roku indyjskie Ministerstwo Nauki i Technologii ujawniło pierwsze wyniki datowania radiowęglowego artefaktów wydobytych z zatopionych miast w Zatoce Kambajskiej. Liczą one 9500 lat, czyli są o 5000 lat starsze niż jakiegokolwiek inne miasto odkryte dotąd przez archeologów.

Dodatki i zdjęcia

Niektóre dodatki i zdjęcia nie zmieściły się w tej książce, ale są dostępne na mojej stronie internetowej: <http://www.grahamhancock.com>. W sekcji zatytułowanej *Underworld* znajduje się lista wszystkich uzupełnień. Zamieszczam tam ponadto uaktualnienia danych z badań, nowe odkrycia podwodnych obiektów oraz fragmenty dyskusji na temat mojej książki, a także więcej wykonanych przez Santhę zdjęć podwodnych formacji, o których piszę w tej książce.

Graham Hancock
styczeń 2002 roku

Dodatek 1

Raport o wynikach wspólnej wyprawy badawczej SES/NIO do południowo-wschodnich Indii – Graham Hancock, 6 kwietnia 2002 roku

Santha i ja powróciliśmy dziś rano z Tamilnadu. Nurkowaliśmy w Poompuhur i Mahabalipuram w południowo-wschodnich Indiach. Mieliśmy przyjemność współpracować z najznakomitszymi nurkami z Wielkiej Brytanii pod kierownictwem Monty’ego Hallsa z towarzystwa badań naukowych Scientific Exploration Society (SES) oraz ze wspaniałym zespołem NIO pod kierunkiem Kamlesha Vory.

W Poompuhur wielokrotnie nurkowaliśmy do zagadkowej formacji w kształcie podkowy, znajdującej się 5 kilometrów od brzegu na głębokości 23 metrów (patrz rozdziały 1 i 13 *Tajemnic podwodnych miast*), lecz nie udało nam się dojść do jednomyślności w kwestii jej pochodzenia. Podczas dwóch głosowań większość grupy, w tym jeden z morskich archeologów z NIO, uznała, że jest to dzieło człowieka. Jednak kilku poważnych badaczy było przeciwnego zdania, nie mogą więc powiedzieć, iż podczas tej ekspedycji udało mi się potwierdzić moją hipotezę.

W ciągu przyszłego tygodnia znowu się tam udam w celu zrobienia zdjęć i zebrania materialnych dowodów, które przekonałyby zarówno mnie, jak i innych, że formację tę stworzyły ręce człowieka. Jednak zanim podejmiemy ostateczny werdykt co do jej natury, czeka nas jeszcze ogromna praca przy tym i pozostałych obiektach.

Mimo ogromnego zaangażowania grupy wybitnych i obiektywnych naukowców złe warunki atmosferyczne i słaba widoczność u wybrzeży Poompuhur utrudniały pracę i nie pozwoliły osiągnąć konsensusu.

W Mahabalipuram, drugim z kolei celu naszej ekspedycji, nurkowanie przyniosło znacznie bardziej przekonujące odkrycia. 10 kwietnia 2002 roku organizujemy konferencję prasową, na której ujawnimy, co zaobserwował w minionym tygodniu nasz zespół w odległości 2 kilometrów od brzegu i na głębokości 5–7 metrów. O poprzednich moich badaniach w Mahabalipuram piszę na stronach 102–104 i 231–233 *Tajemnic podwodnych miast*.

Prawdziwymi odkrywcami tej zdumiewającej i rozległej podmorskiej budowli są rybacy z okolic Mahabalipuram. Ja tylko poważnie potraktowałem ich relacje oraz miejscowe mity o potopie. Ponieważ nikt jak dotąd nie starał się dowieść ich słuszności, uznałem, że należy zorganizować ekspedycję z prawdziwego zdarzenia. W tym celu około rok temu zaprosiłem do współpracy moich przyjaciół z SES w Wielkiej Brytanii i z NIO w Indiach. Wspólne wysiłki zaowocowały odkryciem nieznanych dotąd, rozległych obiektów archeologicznych.

W przyszłym tygodniu postaram się poprosić Glenna Milne'a, by sporządził mapy, które określiłyby wiek podwodnych ruin w Mahabalipuram. Tymczasem pragnę wyraźnie podkreślić, że sam nie mogę tego uczynić, nie umiem też powiedzieć, czym były, kto je wznosił oraz kiedy i dlaczego zostały zatopione. Odpowiedź na te pytania wymaga szczegółowych interdyscyplinarnych badań, które, zdaniem kolegów z NIO, zajmą wiele lat. Tymczasem podtrzymuję swoją opinię, wyrażaną wielokrotnie w publikacjach i serialu telewizyjnym, iż mity o potopach zasługują na poważne traktowanie. Dzięki nim możemy odkryć wiele ważnych dla historii podwodnych obiektów.

Dodatek 2

Obwieszczenie SES z 5 kwietnia 2002 roku, w którym ujawniono odkrycie podwodnych ruin w Mahabalipuram oraz zaproszono zainteresowane media na następną konferencję w dniu 10 kwietnia 2001 roku

SES, mając zaszczyt powiadomić o ważnym odkryciu podwodnych ruin u południowo-wschodnich wybrzeży Indii, zaprasza na konferencję prasową, która odbędzie się o godzinie 10.30 w środę 10 kwietnia 2002 roku w Nehru Center (8 South Audley Street, Londyn, W1K 1HF).

Znany pisarz i reporter telewizyjny, Graham Hancock, wysunął hipotezę, która zainspirowała SES i NIO do wysłania ekspedycji pod kierownictwem Monty'ego Hallsa, z udziałem oczywiście samego Grahama Hancocka. Uczonym udało się rzeczywiście odkryć – na głębokości 5–7 metrów u wybrzeży Mahabalipuram w Tamilnadu – dość duży obszar usiany ruinami budowli wzniesionych najwyraźniej przez ludzi.

Ruiny rozciągają się na obszarze kilku kilometrów kwadratowych w odległości mniej więcej 1,5 kilometra od brzegu. Odkrycie to zalicza się do najważniejszych archeologicznych znalezisk, równie spektakularnych jak ruiny miast u wybrzeży Aleksandrii w Egipcie.

Potwierdza ono zawarte w mitologii informacje o istnieniu wielkiego i pięknego miasta, na które zazdrośni bogowie zesłali potop, by w ciągu jednego dnia wszystko pochłonął!

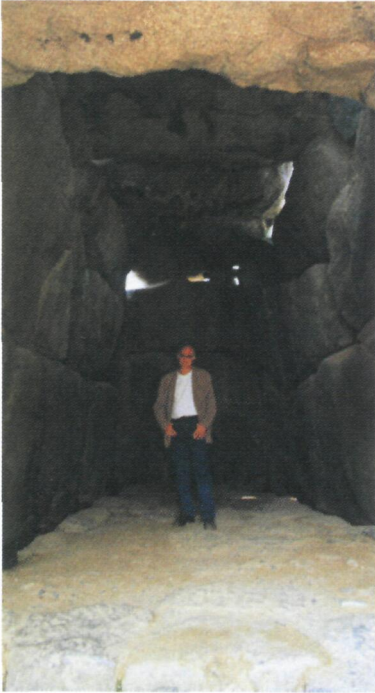
Proszę przyjść i wysłuchać, co mają do powiedzenia Graham Hancock i Monty Halls oraz obejrzeć jedyne w swoim rodzaju zdjęcia i filmy. Więcej informacji znajdują państwo na stronie internetowej <http://www.india-atlantis.org>.



41. Maska ceramiczna z epoki Jomon. Japonia



42. Ceramiczna figurka *dogu* z epoki Jomon. Sannai-Muryama, Japonia



43. Autor wewnątrz megalitycznego korytarza w Ishibutai, Japonia



44. Autor na szczycie Masada-no Iwafune, potężnej megalitycznej budowli w rejonie Asuka., Japonia

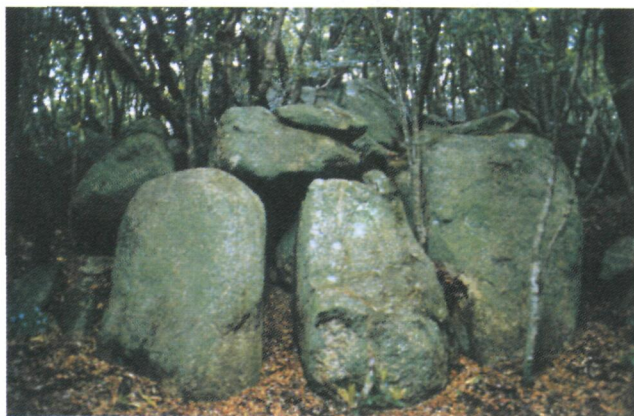


45. Pielgrzymi w megalitycznej skalnej świątyni na szczycie góry Miwa, Japonia

46. Kamienny krąg
kultury Jomon
w Oshoro.
Hokkaido, Japonia



47. Kamienny krąg
kultury Jomon
na przylądku Ashizuri.
Sikoku, Japonia



48. Megality z epoki
Jomon w głębi lasu.
Przylądek Ashizuri,
Japonia





49. Autor przy megalitycznej formacji Masada-no Iwafune. Uwagę zwracają cięcia dzielące skalę na kwadraty. Patrz następne zdjęcie



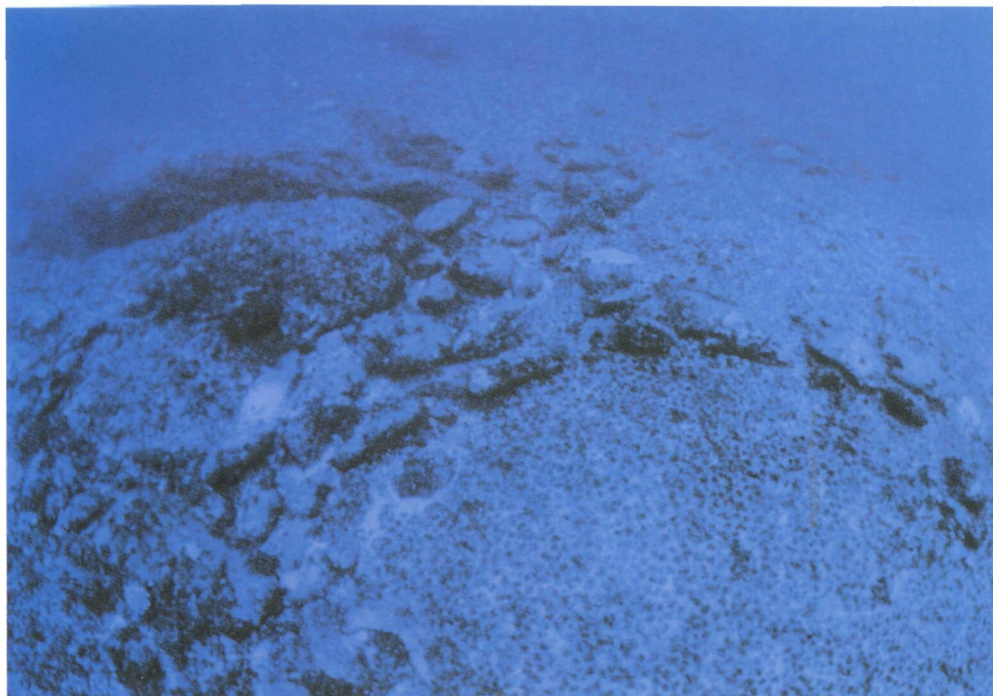
50. Kamienie cięte tą samą techniką co Masada-no Iwafune, na głębokości 20 metrów. Yonaguni, Japonia



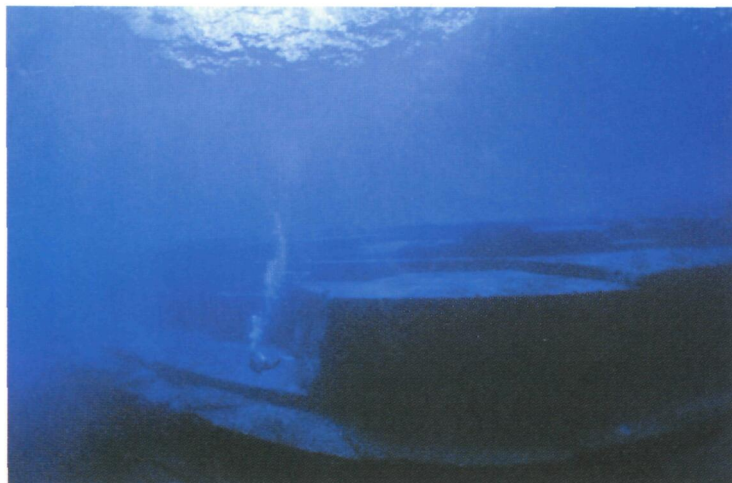
51. Kamienna ozdoba, *magatama*, z okresu Jomon



52. Mały Kamienny Krąg, Komakino Iseki, północna Japonia.
Patrz następne zdjęcie



53. Mały Kamienny Krąg na głębokości 30 metrów. Kerama, południowa Japonia



54. Iseki Point,
najważniejszy
podwodny obiekt
Yonaguni



55. Autor nurkujący
obok Twarzy.
Yonaguni

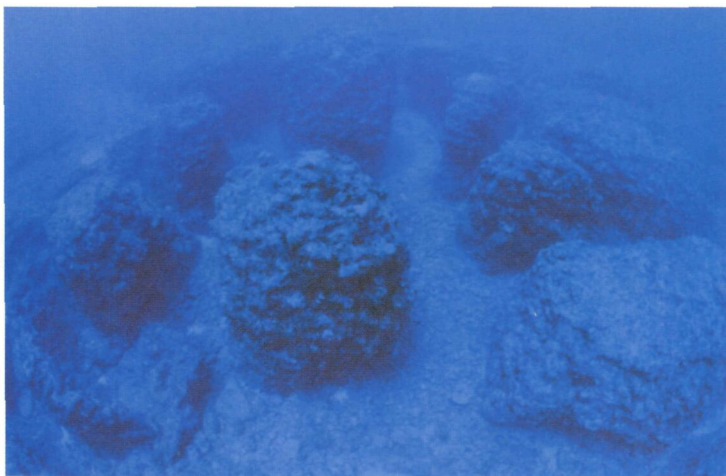


56. Podwodne
megality. Yonaguni

57. Widok z góry
na Centralny Krąg
w Keramie,
na głębokości
30 metrów



58. Centralny Krąg
i Mały Krąg (w tle).
Kerama



59. Centralny Krąg.
Kerama





60. Autor nurkujący wzdłuż równoległych megalitów. Yonaguni, Japonia

Dodatek 3

Wstępne badania archeologiczne podwodnych ruin u wybrzeży Mahabalipuram – oświadczenie NIO, 9 kwietnia 2002 roku

Zespołowi archeologów z NIO udało się odkryć podwodne ruiny u wybrzeży Mahabalipuram i po raz pierwszy dowieść prawdziwości opinii, iż świątynia na wybrzeżu Mahabalipuram jest jedną z siedmiu świątyń, z których sześć zostało zatopionych. Odkrycia dokonano podczas ekspedycji zorganizowanej przy współudziale towarzystwa badań naukowych (SES) ze Zjednoczonego Królestwa.

Zespół archeologów NIO, specjalizujący się w nurkowaniu i archeologii morskiej, przeprowadził między 1 a 4 kwietnia 2002 roku badania dna morskiego, w trakcie których udało się zdobyć dowody istnienia podwodnych ruin u wybrzeży Mahabalipuram. Oto najważniejsze informacje o działaniach ekspedycji:

- Podwodne poszukiwania prowadzono w pięciu miejscach na głębokości 5–8 metrów, w odległości 500–700 metrów od znajdującej się na brzegu świątyni.
- W każdym z tych miejsc stwierdzono ruiny kamiennych budowli, murów, ogromne sześciennie bloki wykute w skale, porzucane kamienne bloki w kształcie sześciątów i prostopadłościanów, ogromną platformę z wiodącymi do jej środka stopniami wykutymi w skale.
- Większość tych budowli uległa poważnemu zniszczeniu, a ich fragmenty zostały rozproszone na dużej przestrzeni. Powierzchnia ich jest grubo pokryta szkieletami morskich organizmów, jak wąsonogi i omułki.
- Każda budowla, o takim samym planie architektonicznym, zajmuje powierzchnię 100×50 metrów. Kamienny złom pokrywa znacznie większy obszar.
- Sądząc z rzeźby przypominającej postać lwa w obiekcie 4, ruiny są fragmentem kompleksu świątynnego.
- Przypuszczalny wiek ruin to 1500–1200 lat. Rządząca w tym okresie dynastia Pallawa wznosiła wiele podobnych wykutych w macierzystej skale sakralnych budowli w okolicy Mahabalipuram i Kanczipuram.

Obecnie prowadzi się szeroko zakrojone prace badawcze w celu ustalenia fluktuacji i poziomu morza, stopnia erozji i neotektonicznej aktywności wpływających na zmianę linii brzegowej w tym rejonie w nieodległej przeszłości.

Dodatek 4

Komentarz Grahama Hancocka do oświadczenia NIO na temat wstępnych podwodnych badań archeologicznych u wybrzeży Mahabalipuram, 9 kwietnia 2002 roku

Mam tylko dwie uwagi w odniesieniu do informacji ujawnionych przez NIO na konferencji prasowej, lecz obie są bardzo istotne:

1. Mimo więzów przyjaźni, łączących mnie z NIO od wielu lat, w oświadczeniu nie wspomniano o mojej roli w doprowadzeniu do tego wspaniałego odkrycia. Przykro mi z powodu tego przeoczenia, gdyż nie ulega wątpliwości, iż zasłużyłem sobie na uznanie. Przyczyniłem się zarówno do odkrycia, jak i sformułowania hipotezy o istnieniu zatopionych ruin u wybrzeży Mahabalipuram oraz nadania jej rozgłosu w mediach. Myślę też, że moje wysiłki umożliwiły zorganizowanie ekspedycji celem potwierdzenia tej hipotezy.

Na stronach 102–104 i 231–233 mojej książki *Tajemnice podwodnych miast* oraz w serialu telewizyjnym *Flooded Kingdoms of the Ice Age* (Zatopione królestwa epoki lodowcowej), wyemitowanym przez Channel 4 BBC, dowodzę, iż od dawna przepowiadałem istnienie podwodnych obiektów w Mahabalipuram, opierając się na starodawnych mitach i relacjach miejscowych rybaków, proponowałem też, by w celu ich odkrycia zorganizowano wyprawę archeologiczną.

Powszechnie wiadomo również, że z mojej inicjatywy doszło w 2001 roku do nawiązania współpracy między SES a NIO, dzięki której udało się zorganizować ekspedycję, a ja dołożyłem wielu starań, by obie grupy były w stałym kontakcie i uzgadniały swoje poczynania.

Myślę, że gdybym tak bardzo nie zabiegał o wzbudzenie zainteresowania tymi obiektami, minęłoby jeszcze co najmniej 20 lat, zanim morscy archeolodzy z NIO zaczęliby nurkować w Mahabalipuram.

Bez Grahama Hancocka SES i NIO nigdy nie nawiązałyby współpracy, a naukowcy SES nie wiedzieliby nawet, iż w Mahabalipuram znajdują się jakieś zagadkowe obiekty, którymi warto się zająć. Innymi słowy ani jedna, ani druga grupa naukowców nie podjęłaby inicjatywy zorganizowania tam wyprawy.

Do odkryć tych doszłoby znacznie później, może nawet wcale. Są to rozważania czysto hipotetyczne – faktem jest, że ich dokonano, a moje badania, docieka-

nia, inicjatywa i wysiłki walnie się do tego przyczyniły. Uważam, że według wszelkich zasad przyzwoitości moje starania i trudy winny zyskać uznanie. O nic więcej nie proszę.

2. Niestety, pewien fragment oświadczenia dowodzi braku roztropności i lekceważenia przez NIO fundamentalnych procedur naukowych w określaniu przypuszczalnego wieku podwodnych ruin. Określenie go na 1500–1200 lat oparte zostało na analizie czegoś, co nazwano rzeźbą lwa w rejonie nr 4, typową dla sztuki z okresu dynastii Pallawa. Tak się składa, że żaden z dwóch morskich archeologów NIO, którzy nurkowali razem z nami, nie widział tego rzekomego posągu. Jedynymi osobami, które go oglądały, byliśmy ja i mój kolega Trevor Jenkins. To on pierwszy zauważył rzeźbę. Przyjrzeliliśmy się jej potem bardzo dokładnie, a Trevor uwiecznił ją na taśmie wideo. Wszelkie inne doniesienia na ten temat pochodzą z drugiej ręki, gdyż opierają się wyłącznie na owym filmie.

Ponieważ widziałem ten obiekt na własne oczy, mogę powiedzieć, iż rzeczywiście może on być posągiem lwa, lecz niekoniecznie ma związek z dynastią Pallawa, gdyż tego typu rzeźby są charakterystyczne dla indyjskiej sztuki i symboliki, nie można zatem kojarzyć ich wyłącznie z tym okresem. A co ważniejsze, posąg wcale nie musi przedstawiać lwa. Jak już wcześniej wspomniałem, jestem jedną z dwóch osób, które ją widziały i dotykały jej. Głowa w ogóle nie ma kształtu lwiej i być może, nie stanowi nawet fragmentu rzeźby. Nie wyjawiałem wcześniej swoich wątpliwości, gdyż uważałem, że o charakterze tak ważnego znaleziska ostatecznie powinni zdecydować naukowcy i że wymaga ono dalszych badań.

Moim zdaniem NIO powinien wystrzegać się takich przedwczesnych spekulacji. Wiek obiektu wolno oceniać po gruntownych badaniach, ponieważ dopiero dzięki nim zdobędziemy materiał umożliwiający jakiegokolwiek ustalenia. Jako człowiek często oskarżany o to, że zbyt pochopnie uznaję obiekty za bardzo stare na podstawie nieprzekonujących dowodów, stwierdzam ze zdumieniem, iż NIO określa wiek ruin na 1500–1200 lat, nie dysponując żadnymi dowodami. Jego przedstawiciele nie wiedzą nawet, jak przebiegała linia brzegowa tej części południowo-wschodnich Indii, co jest kluczowym czynnikiem w ustalaniu wieku podwodnych obiektów.

Z poważaniem
Graham Hancock
9 kwietnia 2002 roku

Dodatek 5

Kto odkrył podwodne ruiny w Mahabalipuram? A kto rości sobie prawo do pierwszeństwa?

Graham Hancock, 13 kwietnia 2002 roku

1. W kolejnym wątku Martin Stower zwraca uwagę na następujący komentarz:

G.P. Mohapatra i M.H. Prasad (1999), *Shoreline changes anal their impact on the archeological structures at Mahabalipuram* (Wpływ zmian linii brzegowej na obiekty archeologiczne w Mahabalipuram), „Gondwana Geological Magazine”, t. 4, 1999, s. 225–233.

Autorzy już w 1999 roku pisali o tym, iż u wybrzeży Mahabalipuram znajdują się podwodne ruiny. W takim razie Hancock myli się, pisząc: „W Mahabalipuram dowiedliśmy, że mity mówią prawdę, a naukowcy są w błędzie”.

W gruncie rzeczy udowodnił, iż to właśnie naukowcy, w tym przypadku G.P. Mohapatra i M.H. Prasad, mieli rację przypuszczając, iż u wybrzeży Mahabalipuram leżą pod wodą starożytne ruiny.

2. Nie znałem publikacji Mohapatary i Prasada, bo w przeciwnym razie napisałbym o niej w *Tajemnicach podwodnych miast*. A tak na marginesie – podczas ostatniej ekspedycji SES i NIO do Mahabalipuram, Kamlesh Vora poinformował zespół, że NIO już wcześniej zamierzał nurkować w tym miejscu, by przekonać się, ile prawdy jest w miejscowych legendach o potopie. Było to w latach 80., kiedy Instytutem kierował S.R. Rao (niestety, obecnie na emeryturze), człowiek bardzo interesujący się indyjskimi mitami o potopie. [Patrz mój wywiad z Rao w rozdziale 1 *Tajemnic podwodnych miast*, w którym bardzo wyraźnie odwołuje się on do mitu o zaginionych obszarach na południe od Indii i o konieczności przeprowadzenia tam badań archeologicznych]. Ale gdy morscy archeolodzy z NIO przybyli do Mahabalipuram, woda była zbyt mulista i nurkowie nie zdecydowali się do niej wejść. Projektu tego nigdy później już nie próbowano zrealizować.

3. Nie ma chyba sensu powtarzać tego, co piszę na temat podwodnych odkryć w Mahabalipuram. Swoje poglądy wyrażam na mojej stronie internetowej. Oto dwa cytaty:

6 kwietnia 2002 roku

Prawdziwymi odkrywcami tej zdumiewającej i rozległej podmorskiej budowli są rybacy z okolic Mahabalipuram. Ja tylko poważnie potraktowałem ich relacje oraz miejscowe mity o potopie. Ponieważ nikt jak dotąd nie starał się dowieść ich słuszności, uznałem, że należy zorganizować ekspedycję z prawdziwego zdarzenia. W tym celu około rok temu zaprosiłem do współpracy moich przyjaciół z SES w Wielkiej Brytanii i z NIO w Indiach. Wspólne wysiłki zaowocowały odkryciem nieznanych dotąd, rozległych obiektów archeologicznych.

9 kwietnia 2002

Mimo więzów przyjaźni łączących mnie z NIO od wielu lat, w oświadczeniu nie wspomniano o mojej roli w doprowadzeniu do tego wspaniałego odkrycia. Przykro mi z powodu tego przeoczenia, gdyż nie ulega wątpliwości, iż zasłużyłem sobie na uznanie. Przyczyniłem się zarówno do odkrycia, jak i sformułowania hipotezy o istnieniu zatopionych ruin u wybrzeży Mahabalipuram oraz nadania jej rozgłosu w mediach. Myślę też, że moje wysiłki umożliwiły zorganizowanie ekspedycji celem potwierdzenia tej hipotezy.

4. Z powyższego jasno wynika, że nie roszczę sobie prawa do „bycia odkrywcą” tych podwodnych ruin, o których istnieniu miejscowi rybacy wiedzieli od niepamiętnych czasów. Nie uważam siebie również za „teoretyka”, który jako pierwszy wysunął hipotezę o możliwości istnienia podwodnych ruin u wybrzeży Mahabalipuram. Jak już pisałem w *Tajemnicach podwodnych miast*, ową „hipotezę” wysuwano w kręgach akademickich co najmniej od XVIII wieku. Wraz z kilkoma innymi osobami przyczyniliśmy się do uściślenia tej hipotezy, a w latach 80. NIO planował zorganizowanie wyprawy nurków, która zresztą nie doszła do skutku. Potem temat ruin u wybrzeży Mahabalipuram popadł w zapomnienie aż do chwili, gdy Mohapatara i Prasad z jednej strony, a ja z drugiej zaczęliśmy się interesować tym rejonem. W *Tajemnicach podwodnych miast* dokładnie wyłuszczyłem powody, dla których uznałem tę sprawę za niezwykle ważną. Sądzę jedynie, iż jestem pierwszym człowiekiem, który uparcie podążał tym tropem od początku aż do końcowego efektu – odkrycia ruin, których istnienia poprzednio nie przyjmowano do wiadomości.

Cytuję moją wypowiedź z 9 kwietnia 2002 roku:

Na stronach 102–104 i 231–233 mojej książki *Tajemnice podwodnych miast* oraz w serialu telewizyjnym *Flooded Kingdoms of the Ice Age* (Zatopione królestwa epoki lodowcowej), wyemitowanym przez Channel 4 BBC, dowodzę, iż od dawna przepowiadałem istnienie podwodnych obiektów w Mahabalipuram, opierając się na starodawnych mitach i relacjach miejscowych rybaków, proponowałem też, by w celu ich odkrycia zorganizowano wyprawę archeologiczną.

Powszechnie wiadomo również, że z mojej inicjatywy doszło w 2001 roku do nawiązania współpracy między SES a NIO, dzięki której udało się zorganizować ekspedycję, a ja dołożyłem wielu starań, by obie grupy były w stałym kontakcie i uzgadniały swoje poczynania.

Myślę, że gdybym tak bardzo nie zabiegał o wzbudzenie zainteresowania tymi obiektami, minęłoby jeszcze co najmniej 20 lat, zanim morscy archeolodzy z NIO zaczęliby nurkować w Mahabalipuram.

Bez Grahama Hancocka SES i NIO nigdy nie nawiązałyby współpracy, a naukowcy SES nie wiedzieliby nawet, iż w Mahabalipuram znajdują się jakieś zagadkowe obiekty, którymi warto się zająć. Innymi słowy ani jedna, ani druga grupa naukowców nie podjęłaby inicjatywy zorganizowania tam wyprawy.

Do odkryć tych doszłoby znacznie później, może nawet wcale. Są to rozważania czysto hipotetyczne – faktem jest, że ich dokonano, a moje badania, dociekania, inicjatywa i wysiłki walczyły się do tego przyczyniły. Uważam, że według wszelkich zasad przyzwoitości moje starania i trudy winny zyskać uznanie. O nic więcej nie proszę.

5. Wyrazy uznania należą się również wszystkim, którzy przyczynili się do tego odkrycia: Sancio, Monty'emu Hallsowi, zespołowi nurków SES i NIO oraz tamilskim rybakom z Mahabalipuram, którzy użyczyli nam swych łodzi i bezbłędnie doprowadzili do zatopionych ruin. Nie wiem, czy badacze z NIO znają publikację Mohapatary i Prasada, ani czy ci ostatni wiedzą o odkryciach NIO. Kiedy jednak pod koniec roku zacznę uzupełniać *Tajemnice podwodnych miast*, z pewnością o nich wspomnę.

Graham Hancock

Dodatek 6

Angielska prasa o odkryciach w Mahabalipuram, kwiecień 2002 roku

DAILY TELEGRAPH, 11 KWIETNIA 2002 ROKU

Nurkowie odnajdują ruiny sześciu „zaginionych świątyń”

David Derbyshire, korespondent działu naukowego

Nurkowie odkryli u południowo-wschodnich wybrzeży Indii zagadkowe miasto, które zatono co najmniej 1200 lat temu.

Granitowe bloki i mury, znajdujące się 3,6 metra pod powierzchnią morza, mogą być pozostałością po sześciu „zaginionych świątyniach”, o których mówią miejscowe legendy.

Sprawa ruin nabrała rozgłosu po publikacjach archeologa amatora i autora bestsellerów, Grahama Hancocka, który dla potrzeb telewizyjnego serialu przeprowadzał wywiady z miejscowymi rybakami.

Kierując się relacjami o zatopionym mieście, zawartymi w miejscowych mitach, on i kilkunastu innych nurków przeszukało w ubiegłym tygodniu dno morza.

Naukowcy z indyjskiego Narodowego Instytutu Oceanografii, który także miał swój udział w tym odkryciu, uważają, że ruiny u wybrzeży Mahabalipuram w Tamilnadu mogą pochodzić sprzed 1200–1500 lat.

Jednak Graham Hancock, dowodzący, iż kwitła tu cywilizacja, która poprzedzała nawet egipską i sumeryjską, jest zdania, iż miasto wzniesiono 3000 lat p.n.e.

Ruiny odnalezione zostały w odległości 800 metrów od brzegu przez zespół NIO i SES. Są tam pozostałości murów i rozrzucone bloki oraz kamienie zajmujące powierzchnię kilku kilometrów kwadratowych.

Według miejscowej legendy Mahabalipuram było niegdyś wielkim miastem. Bogowie z zazdrości zesłali potop, by pochłonął miasto. Woda zalała sześć świątyń, a na brzegu pozostała tylko jedna.

THE GUARDIAN, 11 KWIETNIA 2002 ROKU

Nurkowie „odkrywają” starożytną świątynię
James Meek, korespondent działu naukowego

Indyjscy i brytyjscy naukowcy powrócili z głębin morza ze zdjęciami obiektu, który ich zdaniem może być rozległym kompleksem świątynnym u wybrzeży Tamilnadu – ruinami miasta, które dawno temu zniknęło pod falami oceanu.

Jeśli owe granitowe bloki nie są formacją naturalną, mogą stanowić pozostałość po sześciu legendarnych świątyniach zbudowanych 1500–1200 lat temu, które zatoniły w wyniku osunięcia się lądu.

Jednakże Graham Hancock, autor słynnych kontrowersyjnych książek o zaginionych cywilizacjach, uważa, że owe ruiny są znacznie starsze. Jeżeli zostały zatopione w wyniku globalnego podniesienia się poziomu morza, mogą liczyć nawet 5000 lat.

Zdjęcia są plonem trzydniowego nurkowania zorganizowanego przez indyjski NIO i angielskie SES z siedzibą w Dorset. Hancock, który nurkował z zespołem, powiedział wczoraj, że SES zorganizowało ekspedycję za jego namową. Kierujący wyprawą Monty Halls z SES powiedział: „Nasi nurkowie ujrzeli kilka budowli, z pewnością wzniesionych ludzkimi rękami. Jest to odkrycie o międzynarodowym znaczeniu i wymaga dalszych szczegółowych badań”.

Ruiny znajdują się na głębokości 5–7 metrów, w odległości od 500 do 700 metrów od wybrzeża Mahabalipuram, na którym stoi świątynia pochodząca z co najmniej I tysiąclecia n.e.

Hancock, który nie jest archeologiem i swoimi teoriami niekiedy szokuje naukowców, twierdzi, że przewidział istnienie sześciu podwodnych ruin, kojarząc relacje miejscowych rybaków ze starodawnymi legendami, w których Mahabalipuram nazywa się Siedmioma Pagodami.

Wczoraj przyznał, że podwodne ruiny są zbyt młode, by mogły pochodzić z okresu polodowcowych potopów, które zmiotły z powierzchni ziemi cywilizacje będące tematem jego książek.

Powiedział też jednak, że odkrycie potwierdza jego hipotezę, iż starodawne mity zawierają przekaz historyczny: „Od lat dowodzę, iż mity o potopie, znane na całym świecie, zasługują na poważne traktowanie, choć większość zachodnich naukowców odrzuca takie podejście. Ale tu, w Mahabalipuram, dowiedliśmy, że mity mówią prawdę”.

Hancock powiada, że ruiny ciągną się na przestrzeni około 2 kilometrów i zawierają „ogromną liczbę równo przyciętych, rozrzuconych bezładnie bloków kamiennych. Wydają się pozostałością po wielkich budowlach sakralnych, otoczonych wieloma mniejszymi”.

THE TIMES, 11 KWIETNIA 2002 ROKU

Nurkowie odkrywają u wybrzeży Indii „zaginione miasto”

Mark Henderson

Zdaniem badaczy, którzy odnaleźli zatopione ruiny u wybrzeży Indii, mogą one być pozostałością po legendarnym mieście, które zostało pochłonięte przez morze.

Są to drugie z kolei ruiny budowli wzniesionych przez ludzi, jakie w tym roku odnaleziono u wybrzeży subkontynentu. Pierwsze „zaginione miasto” zlokalizowano w styczniu w wodach przybrzeżnych stanu Gudżarat, lecz jego pochodzenie budzi wśród archeologów kontrowersje.

Najnowszego odkrycia dokonał w minionym tygodniu angielsko-indyjski zespół, nurkujący w odległości około 1,5 kilometra od wybrzeża Mahabalipuram w prowincji Tamilnadu w południowo-wschodnich Indiach. Geometryczna struktura, wyglądająca jak kompleks murów, dróg i szaniec, sugeruje, iż może to być fragment zaginionego miasta, które według legendy zostało zatopione przez zazdrosnych bogów.

Graham Hancock, pisarz, który uważa, że w morzu znajdują się ruiny tysięcy miast zatopionych pod koniec ostatniej epoki lodowcowej i który wziął także udział w trwającej tydzień ekspedycji jako członek połączonego zespołu badawczego SES z siedzibą w Dorset oraz indyjskiego NIO, mówi, że ruiny te przekonały go, iż legenda opowiada o autentycznych wydarzeniach.

DAILY MAIL WEEKEND MAGAZINE

27 kwietnia 2002 roku, s. 21–23

Fantastyczne opowieści o zaginionych miastach zazwyczaj uważa się za romantyczne legendy, lecz Graham Hancock twierdzi, iż właśnie one doprowadziły go do zatopionego miasta sprzed co najmniej 6000 lat – znacznie starszego niż jakiegokolwiek inne miasto na Ziemi. Czy archeolog amator naprawdę pisze od początku historii świata? Oto relacja Andrew Wilsona:

W kilka sekund po zanurzeniu się w wodach oceanu Graham Hancock ujrzał w głębinie wyraźny zarys starożytnego muru wyrastającego z piasku. Zbliżywszy się do tajemniczego obiektu, wyciągnął nóż i pragnąc się przekonać, czy ma do czynienia z naturalną formacją skalną, czy też tworem ludzkich rąk, przesunął nim wzdłuż spojenia murarskiego. Na dnie oceanu rozciągała się rozległa sieć murów, sięgająca co najmniej 1,5 kilometra w głąb Zatoki Bengalskiej – zatopione ruiny stanowiące dowód istnienia zaginionej cywilizacji, którą pochłonęło morze.

Przez wiele lat uznawano, że podwodne miasto Mahabalipuram w prowincji Tamilnadu w południowych Indiach to jedynie legenda, mit. Miejscowi rybacy opowiadali o świątyniach i pagodach spoczywających od tysięcy lat na morskim dnie, lecz nauka odrzucała te przekazy, uważając je za ludowe podania. Ale odkrycie przez Hancocka podwodnego miasta w Mahabalipuram 45 kilometrów na południe od Madrasu, jego zdaniem pochodzącego sprzed 6000 lat, może zmusić historyków do rewizji ich poglądów.

Teoria Hancocka głosząca, że ludzka cywilizacja nie zaczęła się wraz z Sumerami w Mezopotamii około 5000 lat temu, lecz w wielu przybrzeżnych miastach, zatopionych wskutek katastrofalnych potopów między 17 000 a 7000 lat temu, została wyśmiana przez akademicką naukę. Tymczasem to nowe odkrycie dowodzi, że hipotezy nieszablonowo myślącego pisarza mogą znaleźć potwierdzenie w faktach. Powróciwszy z ekspedycji, Hancock skontaktował się z światowej sławy specjalistą w dziedzinie wznoszenia się poziomu mórz, który za pomocą skomplikowanego

programu komputerowego potwierdził, że rejon ten uległ zalaniu w przybliżeniu 6000 lat temu.

Hancock mówi: „Jeśli obliczenia te się potwierdzą (a trzeba przyznać, że jeszcze wiele pozostaje do zrobienia), wówczas wszystko może się zmienić. Niewykluczone, że to nie tak zwany Żywny Półksiężyc i Sumer są kolebką cywilizacji, a pierwsze miasta nie powstały około 3500 lat p.n.e. Z zebranych przeze mnie danych wynika, że przed tym okresem istniały już miasta, które w następstwie podnoszenia się poziomu mórz zostały zatopione w końcu ostatniej epoki lodowcowej. Sądzę, iż Mahabalipuram jest jednym z nich”.

Detektywistyczna praca Hancocka zaczęła się od drobiazgowej analizy mitów i legend o potopie, będących jego zdaniem przekazem o autentycznych zdarzeniach, które miały miejsce w czasach, gdy wskutek topnienia czap lodowych poziom wód na kuli ziemskiej podniósł się o 120 metrów. Zapoznawszy się z poszczególnymi legendami o potopie, Hancock studiował później mapy ukazujące zarysy linii brzegowej pod koniec epoki lodowcowej. Tam, gdzie zarysy map pasują do ustnej tradycji, jego zdaniem natkniemy się na zatopione miasta.

Po raz pierwszy hipotezę tę wysunął w 1995 roku w książce *Ślady palców bogów*. Ustaliła one jego wizerunek „literackiego Indiany Jonesa” (sprzedano 4 500 000 egzemplarzy). Równocześnie jednak wywołała falę wrogości ze strony akademickich naukowców, których zdaniem dowody przedstawiono w niej w sposób selektywny, wywód jest niespójny, a publikacja nie ma cech naukowości, lecz sensacyjności. Hancock mówił: „Naukowcy kazali mi udowodnić tę hipotezę i znaleźć miasta, które zatoneły w tym okresie. Robię to od kilku lat, wędrując po globie w poszukiwaniu podwodnego świata. Południowe Indie w kategoriach archeologicznych poszukiwań wydają się prawdziwą czarną dziurą, gdyż nie znaleziono tu śladów ludzkiej działalności w okresie między 12 000 a 3000 lat temu. A może ośrodki starożytnej cywilizacji grupowały się wówczas wzdłuż starej linii brzegowej, na obszarach, które później zagarnęło morze?”

Z Mahabalipuram był związany od dzieciństwa. Tam jako pięcioletni chłopiec nauczył się pływać w lazurowej wodzie. Urodził się w Edynburgu w 1950 roku, a do Indii przybył z rodzicami w 1954 roku, ponieważ jego ojciec został zatrudniony jako chirurg w Christian Medical College i w szpitalu w Wellur. O tych czasach pisze: „W moją pamięć na lata zapadły ogromne wykute w kamieniu świątynie stojące wyniosłe na wybrzeżu Zatoki Bengalskiej, liczące 1200–1500 lat”. W 1992 roku odbył sentymentalną podróż do Indii – jego rodzina powróciła do Anglii w 1958 roku – by odwiedzić miejsca zapamiętane z dzieciństwa.

Podczas tej podróży kupił w księgarni w Madrasie opasłą starą książkę – antologię dzienników podróżnych. Dzięki niej wpadł na trop historii podwodnych miast. Choć przeczytał ją dopiero dwa lata temu, jej treść kazała mu przewartościować wszystko, co dotychczas wiedział o Mahabalipuram. Po raz pierwszy dowiedział się o legendzie o Siedmiu Pagodach – sześć świątyń spoczywa na morskim dnie, siódma natomiast stoi na brzegu.

„Pewien 50-letni bramin, który tu się urodził i z którym miałem okazję rozmawiać, powiedział, że jego dziadek często widywał pośród fal połączone wierzchołki

pięciu pagód, które obecnie są już niewidoczne” – opowiadał jeden z podróżników w 1798 roku. Legenda głosi, że pewien starożytny władca wznosił w Mahabalipuram miasto tak wspaniałe, że bogowie stali się zazdrośni i postanowili zalać je w ciągu jednego dnia. Bogu Morza rozkazano, by wzburzył fale i zniszczył miejsce, które śmie cieszyć się splendorem równym ich niebieskim siedzibom. Polecenie zostało wykonane, a miasto w jednej chwili opanował rozszalały żywioł.

W 2000 roku, zbierając materiały do nowej książki *Tajemnice podwodnych miast*, Hancock jeszcze raz odwiedził Mahabalipuram, gdzie przeprowadził liczne rozmowy z miejscowymi rybakami. Wielu z nich twierdziło, że nurkując, aby wypłatać sieci czy zaczepioną kotwicę, widzieli podwodne świątynie, pałace i mury, a nawet drogi. Inni wspominali o ukrytych pod powierzchnią oceanu drzwiach i pokojach, spoza których dobiegała muzyka. Jeden z nich powiedział: „Jeśli popłyniesz tam, gdzie są ryby, na pewno znajdziesz te budowle”. Ale dopiero dwa lata później zorganizowano ekspedycję, w której wzięły udział SES z Dorset w Anglii i indyjski NIO. 3 kwietnia, 800 kilometrów od brzegu, Hancock wskoczył do błękitnej wody Zatoki Bengalskiej, a to, co tam ujrzał, zaparło mu dech w piersiach:

„Najbardziej zaskoczyło mnie, że ruiny znajdowały się tuż pod łodzią. Zszedłem około 6 metrów w głąb i próbowałem zeskrobać piasek z kamienia. Po spojeniach murarskich od razu można było poznać, że to dzieło człowieka, a nie naturalna formacja. Ujrzałem biegnące prosto i zakręcające mury z wyraźnie widocznych kamiennych bloków i popłynąłem wzdłuż bloku o długości 15 metrów. Pod wodą znajduje się kompleks wielkich, oddzielnych budowli sprawiających wrażenie sakralnych, otoczonych przez liczne mniejsze obiekty. W pierwszym momencie odczułem niezwykle, i chyba zrozumiałe podniecenie. Był to obiekt stworzony przez człowieka, nieznaną archeologii – w tym miejscu nikt dotychczas nie nurkował. Miałem wrażenie, jakbym wpłynął do zaginionego świata”.

Hancockowi towarzyszył Monty Halls, major brytyjskiej piechoty morskiej, który prowadził badania z ramienia SES. Halls, liczący 35 lat i kierujący zespołem jako wolontariusz, powiedział, że w ciągu 17 lat nurkowania nigdy nie widział czegoś równie majestatycznego, jak podwodne budowle w Mahabalipuram: „Ogromne granitowe bloki mają 6 metrów wysokości. Wokół nich widać wiele mniejszych kamieni. Choć trudno określić z całą pewnością, to, co zobaczyliśmy, mogło być granitową świątynią otoczoną szczątkami czterech mniejszych świątyń”.

Najważniejszą kwestią jest określenie wieku znaleziska. Choć główny nurt archeologii określa go na 1200 lat – w tym samym czasie zostały wykute z granitu kamienne posągi i świątynie na brzegu – jednak Hancock uważa, że liczą one 6000 lat. Gdyby zatopione miasto rzeczywiście zostało wzniesione 1200 lat temu, za panowania dynastii Pallawa, należałoby się spodziewać inskrypcji na kamieniach. Ale podczas 40 oddzielnych nurkowań w ciągu trzech dni niczego takiego nie znaleziono. Budowle na brzegu są bardzo ozdobne, natomiast te w podwodnym mieście wzniesiono z prostych, surowych, prostopadłościennych bloków.

Najważniejszego dowodu na to, iż ruiny mogą liczyć 6000 lat, dostarczył geofizyk, dr Glenn Milne ze słynnego na świecie wydziału geologii Durham University. Zgromadził on obszerną bazę danych i stworzył skomplikowany program komputerowy, dzięki

któremu jest w stanie nakreślić zarysy linii brzegowej wielu miejsc w dowolnym okresie historii. Kiedy Hancock przesłał mu dane o położeniu ruin w Mahabalipuram, Milne stwierdził, że muszą liczyć co najmniej 6000 lat: „Przyjmując, iż w tym rejonie nie było żadnej aktywności tektonicznej, a nic na to nie wskazuje, z map wynika, że obszar ten został zalany wskutek podniesienia się poziomu morza około 6000 lat temu. Błąd mieści się w granicach 1000 lat w obie strony od ustalonej daty”.

Hancock powiedział: „Dowodzi to, iż metoda, którą się posługuję – łącząca analizy starodawnych mitów i wykorzystanie nowoczesnej techniki – zdaje egzamin. Oczywiście nadal otwarty jestem na inne możliwości, ale wszystko wskazuje, iż podążam właściwym tropem”.

Nie pierwszy raz teoria Hancocka uzyskała potwierdzenie w postaci dowodów. W styczniu ujawniono, że datowanie radiowęglowe artefaktów wydobytych z dwóch zatopionych miast w Zatoce Kambajskiej, u północno-zachodnich wybrzeży stanu Gudżarat, dowodzi, iż pochodzą one sprzed 9500 lat, czyli są o 5000 lat starsze niż jakiegokolwiek inne starożytne miasto znane akademickiej archeologii. Miasta położone w odległości około 25 kilometrów od siebie na głębokości 36 metrów zostały odkryte w maju ubiegłego roku podczas rutynowych analiz zanieczyszczeń, prowadzonych przez indyjski NIOT.

Hancock powiada: „Oczywiście archeolodzy starali się zakwestionować dowody. Eksperci dowodzili, że próbki zostały zanieczyszczone, a poddane analizie drewno mogło leżeć na dnie oceanu przez tysiące lat, zanim zbudowano owe miasta. Naukowcy robią, co w ich mocy, żeby zdyskredytować moje hipotezy. Boją się mnie, ponieważ jestem amatorem. Tymczasem ten amator potrafił wytropić z niezwykłą dokładnością kilka podwodnych miast i dokonać odkryć, które każą nam zastanowić się nad korzeniami naszej cywilizacji”.

Hancock przewiduje, że w ciągu kilku miesięcy dowiemy się o odnalezieniu u wybrzeży Kuby starożytnego miasta na głębokości 660 metrów. Jest również przekonany, że natrafimy na znacznie więcej śladów starożytnych cywilizacji u wybrzeży Malty, Japonii, Chin, Florydy, Bahamów i Ameryki Środkowej: „Kiedy lodowce zaczęły topnieć, 16 000 000 kilometrów kwadratowych lądu znalazło się pod wodą. Odkrycie z Mahabalipuram to dopiero początek. Jestem przekonany, że w ciągu następnych 20–30 lat uda nam się zlokalizować kilkanaście podwodnych miast. Nie jest to poszukiwanie jednej Atlantydy, lecz wielu podwodnych światów”.

Dodatek 7

Odkrywczy powracają na dno oceanu

Anita Snow

Associated Press

Niedziela, 19 maja 2002 roku, godzina 17.10.

HAWANA (AP) Na pokładzie hiszpańskiego trawlera Paulina Zelitsky przegląda pożółkłe stronicie wielkiego tomiska pełnego szkiców i opowieści o zaginionych miastach. Jedno z nich ma nadzieję znaleźć w głębinach na zachód od Kuby.

Przesuwa dłonią po rysunkach olmeckich świątyń w starej zniszczonej książce z 1928 roku na temat archeologii meksykańskiej. Kanadyjska badaczka rosyjskiego pochodzenia porównuje z nimi zarys obrazu z sonaru uzyskanego w marcu podczas przeprowadzania pomiarów megalitycznej budowli, którą dwa lata wcześniej odkryła u wybrzeży kubańskiego półwyspu Guanahabibes.

W stercie wydruków sonaru leży zużyty egzemplarz *Comentarios Reales de las Incas*, czyli „Królewskie komentarze Inków”, klasyczna hiszpańska powieść z czasów Odrodzenia, napisana przez inkaską księżniczkę i hiszpańskiego konkwistadora. Paulina jest szczególnie zafascynowana relacją o starodawnych ruinach na dnie jeziora Titicaca w Peru, którą przekazał Garcilas Inca de la Vega.

„Takie pomysły nie przystoją chyba rozsądnej kobiecie w moim wieku” – mruczy do siebie 57-letnia pani inżynier, kierująca poważną firmą badawczą Advanced Digital Communications z Brytyjskiej Kolumbii.

Zelitsky jest przekonana, że megalityczne budowle, które jej załoga odkryła w oceanie na głębokości prawie 700 metrów, dowodzą, iż tysiące lat temu na wyspie lub na pasie lądu łączącym Archipelag Kubański z półwyspem Jukatan, znajdującym się niemal 200 kilometrów dalej, kwitła jakaś prastara kultura.

Owe niezwykle formacje najpierw pojawiły się latem 2000 roku na ekranie nowoczesnego sonaru, kiedy w poszukiwaniu wraków statków przepatrywano rejony u zachodnich wybrzeży Kuby, gdzie podobno na dnie spoczywają setki zatopionych w ciągu wielu stuleci statków.

Firma ADC należy do pięciu zagranicznych przedsiębiorstw współpracujących z rządem Fidela Castro w celu odnajdywania starych wraków posiadających wartość

historyczną i komercyjną. Ale przedmiotem największego zainteresowania załogi badawczej stały się owe niezwykle formacje, ukazujące się na ekranie sonaru.

Zaintrygowani ich czystymi, prostymi liniami, członkowie zespołu powracali w ten rejon, ostatnio w marcu, żeby przeprowadzić kolejne badania sonarem i nakręcić film kamerą zamontowaną na bezzałogowym batyskafie. W połowie maja opuścili to miejsce na miesiąc.

Dowody na słusność hipotezy Zelitsky, dość niejednoznaczne, zostały przyjęte ze sceptycyzmem przez środowiska naukowe w innych krajach, które mimo to dyskutują o tej sprawie w oczekiwaniu na nowe odkrycia. Nigdy nie znaleziono zatopionych miast na tak dużej głębokości.

U wybrzeży Jamajki zlokalizowano Port Royal – ruiny leżące na głębokości od kilku centymetrów do 12 metrów. Swego czasu ta nadmorska osada była przystanią dla angielskich piratów, lecz w 1692 roku osunęła się do wody wskutek trzęsienia ziemi.

Na głębokości zaledwie 6 metrów znajdują się zagadkowe megalityczne formacje odkryte w latach 60. i 70. w cieśninie między Bahamami a Bimini. Wysłana tam grupa naukowców nie umiała określić pochodzenia budowli.

Jeden z wybitnych naukowców przyznał, że niełatwo określić charakter formacji odkrytej przez zespół Pauliny Zelitsky. Obraz na sonarowej mapie wygląda jak mury, prostopadłościenne bloki, piramidy – jak miasto oglądane z pokładu samolotu.

„Tyle jest niewyjaśnionych kwestii, że postanowiliśmy podjąć ekspedycję – pisał 13 maja geolog Manuel A. Iturralde Vincent, dyrektor do spraw badawczych kubańskiego narodowego muzeum historii naturalnej. W tym czasie odwiedził ten rejon na pokładzie hiszpańskiego trawlera „Ulises”, który Zelitsky wyposażyla w najnowocześniejsze komputery i urządzenia satelitarne.

W swoim sprawozdaniu dla uczestników konferencji naukowej Iturralde stwierdza, że niewykluczone, iż obiekt ten – zgodnie z hipotezą Zelitsky – wznosił się niegdyś nad poziomem morza.

W pobliżu znajdują się rozległe uskoki tektoniczne i podwodne wulkany. Zdaniem Zelitsky ten fragment lądu zatonął wskutek jakiegoś kataklizmu sejsmicznego, być może nawet tysiące lat temu. Iturralde potwierdził, że rejon rzeczywiście jest „niezwykle aktywny sejsmicznie”.

Zelitsky unika określenia „Atlantyda”, ale porównania ze starożytną legendą o zatopionej 3600 lat temu wyspie, przekazaną nam przez Platona, same się narzucają.

W przeszłości wielokrotnie i bezskutecznie próbowano odnaleźć zaginione królestwo. Jedna z powszechnie przyjętych teorii głosi, że Atlantyda znajdowała się na Morzu Egejskim, na Therze, która została unicestwiona wskutek erupcji wulkanu właśnie 3600 lat temu.

Komentując swoje odkrycie, Zelitsky przypomina jednak znane archeologom obiekty – megalityczne budowle z czasów starożytnych: fortecę z I wieku n.e. w Masadzie w górach nad Morzem Martwym, angielski kamienny krąg w Stonehenge, rzymską fortecę w Kairze, mury peruwiańskiego Chan Chan, którego mieszkańcy podbili Inkowie.

Badaczka zastanawia się, czy megality kubańskie nie są może szczątkami handlowej faktorii lub miasta zbudowanego przez kolonizatorów z Ameryki Środkowej 500 lat temu.

Zelitsky przyznaje, że w celu wyjaśnienia tej zagadki należałoby przeprowadzić znacznie dokładniejsze badania. Ale mimo to otwiera swój notatnik na 2002 rok na pierwszej stronie z uśmiechem i wyrazem pewności na twarzy. Zapisała w nim słowa włoskiego astronoma Galileusza. Wyszeptał je przed inkwizytorami, którzy kazali mu wyrzec się przekonania, iż Ziemia kręci się wokół Słońca.

E pur si muove. A jednak się kręci.

Dodatek 8

Nowe odkrycia potwierdzają prawdziwość mitów o potopie

Brian Handwerk dla „National Geographic News”

28 maja 2002 roku

Starożytne mity o wszechogarniających potopach przekazywano z pokolenia na pokolenie i w wielu rejonach świata stanowią one integralną część ustnej tradycji. Różnią się szczegółami, lecz zazwyczaj mówią o gwałtownych ulewach albo ścianie wody wlewającej się do dolin, niszczącej wszystko, co napotka na drodze. Potopy uważano za wyraz niezadowolenia lub gniewu bogów.

Naukowcy, historycy i archeolodzy wiele z tych przekazów traktują jak fantazję, legendę lub alegoryczną przypowieść. Najnowsze odkrycia dowodzą jednak, że przynajmniej kilka z nich opisuje autentyczne potopy, powodujące zniszczenia na ogromną skalę.

Zatopione miasto u wybrzeża Kuby

W głębinie Cabo San Antonio u wybrzeży Kuby naukowcy badają niezwykle formację gładkich kamiennych bloków, budowli i geometrycznych obiektów. Pracownicy kanadyjskiej firmy, która jako pierwsza natknęła się na tę formację, Advanced Digital Communication, uważają, że mogą to być budynki wzniesione przez pradawną kulturę.

Wielu naukowców sceptycznie odnosi się do każdej teorii kojarzącej się z legendą o zaginionej Atlantydzie. Jednakże geolog Manuel Iturralde sądzi, że należy do każdego takiego znaleziska podchodzić indywidualnie, kontynuując badania na miejscu.

Iturralde, dyrektor do spraw badań w kubańskim narodowym muzeum historii naturalnej, od lat zajmujący się niezliczonymi podwodnymi formacjami, powiedział: „Są to niezwykle formacje. Działają na wyobraźnię. Trudno je określić z geologicznego punktu widzenia”.

W swoim sprawozdaniu stwierdził, że jeśli znajdziemy dowód, iż obiekty te stworzyli ludzie, potwierdziłoby to ustną tradycję Majów i miejscowych Jukateków. Z pokolenia na pokolenie przekazują oni opowieść o wyspie zamieszkaną przez ich przodków, która pewnego dnia zniknęła pod falami morza.

Iturralde mówi jednak wyraźnie, że mimo iż na razie nie można wytłumaczyć istnienia tych formacji w sposób naturalny, nie można tego całkowicie wykluczyć. Powiedział: „Natura potrafi tworzyć niewiarygodne kształty”.

Latem będą prowadzone dalsze badania. Dotychczas wykorzystywano w nich sonar i kamery wideo. Następnym krokiem jest pobranie próbek granitowych bloków i podłoża, na którym są osadzone.

Naukowcy uważają, że próbki te mogą dostarczyć informacji o pochodzeniu tych dziwnych formacji i kto wie, czy nie każą nam diametralnie zmienić poglądów na dzieje starożytnych cywilizacji Ameryki Północnej.

Podmorskie świątynie

U wybrzeży Mahabalipuram w rejonie Tamilnadu w południowych Indiach odkryto kompleks podwodnych ruin, których pochodzenia nie znamy. Miejscowa tradycja głosi, że w tym rejonie wzniesiono niegdyś siedem wspaniałych świątyń, lecz sześć z nich pochłonęło morze. Siódma nadal stoi na wybrzeżu.

Legenda przekazywana z pokolenia na pokolenie mówi o wielkim, wspaniałym mieście, które się tu niegdyś znajdowało. Zazdrośni o jego urodę i bogactwo bogowie zniszczyli je, zsyłając potop, który na zawsze pogrążył w oceanie starożytną metropolię.

Autor poczytnych książek, Graham Hancock, kilka lat poświęcił na studiowanie i klasyfikowanie tych mitów. Powrócił w ten rejon wraz z członkami ekspedycji zorganizowanej przez brytyjskie SES i indyjski NIO. Celem ekspedycji było znalezienie dowodów potwierdzających hipotezę o potopie.

Miejscowi rybacy, znający te legendy od dziecka, wskazali naukowcom miejsce, w którym znajdują się ruiny. Kierownik zespołu badawczego, Monty Halls, opowiadał potem, jak bardzo wszyscy byli podekscytowani stwierdziwszy, iż w miejscach tych rzeczywiście natrafili na podwodne budowle: „Najpierw nie dowierzaliśmy własnym oczom – miasto było tak wielkie i tak niedaleko brzegu. Potem opanowała nas ogromna radość”.

„Nurkując w trudnych warunkach, zespół znalazł nasadę murów, rozbite kolumny, stopnie i wiele rozrzuconych kamiennych bloków” – powiedział Kamlesh Vora, archeolog morski z NIO.

Vora, Halls i pozostali członkowie zespołu badawczego dość szybko zorientowali się, że odkryli duży kompleks budowli wzniesionych przez ludzi. Halls powiedział: „Nie ma miejsca na wątpliwości. Wszędzie widać było trud człowieka”.

Mimo to ekspedycja do Mahabalipuram wywołała tyleż samo nowych pytań, ile odpowiedzi udzieliła na stare. Zacytujmy Hallsa: „To naprawdę wspaniałe, że znaleźliśmy coś tak bardzo istotnego. Ale nadal nie możemy odpowiedzieć na pytania: Ile obiekt ten ma lat? Jak bardzo jest rozległy? Jakie artefakty mogą ukrywać się w ruinach? Musimy więc tu jak najszybciej powrócić i poddać to wspaniałe znalezisko jak najdokładniejszym naukowym badaniom”.

Vora potwierdza, że przed naukowcami jeszcze wiele pracy, gdyż miasto rozciąga się na powierzchni kilku kilometrów kwadratowych: „Musimy dokładnie przyrzeć się obszarowi graniczącemu z tym terenem, żeby stwierdzić, czy podwodne

budowle wzniesione przez człowieka należą do tego samego kompleksu świątynnego. Wszystkie budowle wykonane są z granitu, który wydobywa się w tych okolicach. Dowody archeologiczne i inskrypcje na obiektach znajdujących się niedaleko od brzegu wskazują na to, że powstały 1500–1200 lat temu. Musimy teraz postarać się znaleźć przedmioty, których wiek można określić, oraz inskrypcje, które powiedziałyby nam coś więcej o tych ruinach”.

Jeśli okaże się, że ruiny u wybrzeża Mahabalipuram należą do tego samego kompleksu, co świątynia na brzegu, stanie się oczywiste, iż miejscowe legendy mówią prawdę i że ci, którzy uważali je za fantazję, nie mieli racji.

Graham Hancock pierwszy uznał, że istnieje związek między legendami a rzeczywistością: „Przez wiele lat starałem się przekonać naukowców, że mity o potopie należy traktować poważnie, choć większość specjalistów na Zachodzie całkowicie je odrzucała. Ale tu, w Mahabalipuram, dowiedliśmy, że mity mówią prawdę, a naukowcy akademicy się mylą”.

Dodatek 9

Znalezione u wybrzeży Mahabalipuram w Zatoce Bengalskiej podwodne budowle mogą rozwiązać zagadkę siedmiu pagód z czasów dynastii Pallawa (VII wiek n.e.)

Akshaya Mukul, „Times of India”, Times News Network, New Delhi, 6 lipca 2002 roku

Pracownicy ASI odkryli trzy mury i liczne wykute w kamieniu elementy architektoniczne kompleksu starych świątyń ciągnącego się z północy na południe i ze wschodu na zachód. W odległości 500 metrów od brzegu znaleziono też siedem ogromnych zatopionych skał.

Zdaniem kierownika zespołu badawczego ASI, Aloka Tripathiego, który listopadzie 2001 i w marcu bieżącego roku nurkował w odległości 500 metrów od brzegu na wschód i na północ od nabrzeżnej świątyni, „mury wzniesiono są z grubych granitowych płyt. Dwie długie płyty, z których każda ma pionowe nacięcia, żeby można je było połączyć z następną, stoją w pozycji pionowej. Kilka innych bloków tego rodzaju, ustawionych w rzędzie, tworzy mur”.

Tripathi mówi, że technika konstrukcyjna jest tak doskonała, iż mury stoją na swoim miejscu mimo gwałtownych ruchów morza i silnych prądów. „Kamienie, doskonale obrobione, wyglądają jak podstawa i kolumny świątyni. Przypominają istniejące obiekty sakralne na powierzchni ziemi w Mahabalipuram”. Ma nadzieję, że w pobliżu Świątyni Nabrzeżnej uda się odnaleźć jeszcze inne ruiny tego rodzaju. Badacze planuje następne nurkowania na południe od świątyni.

Tripathi ciągnie: „Planujemy ekspedycję podczas tamilskiego miesiąca Tai, czyli w grudniu i styczniu. Postaramy się ocenić wielkość zatopionych budowli i oczyścić je z osadów na tyle, żeby móc określić ich charakter i przeznaczenie”.

O zatopionych u wybrzeży świątyniach opowiada lokalna legenda, którą po raz pierwszy przedstawił brytyjski podróżnik William Chambers w „Asiatic Research Journal” w 1788 roku. Powoływał się na starych rybaków, którzy twierdzili, że „z morza wystają pokryte miedzią wierzchołki kilku pagód”. W czasach Chambersa „nie było już ich widać, gdyż miedź pokryła się osadem i śniedzią”.

Odkrycie uwiarygadniają wcześniejsze poszukiwania prowadzone w kwietniu przez połączone zespoły nurków SES z Anglii i indyjskiego NIO. Ekspedycja ta znalazła ruiny rozrzucone na obszarze kilku kilometrów kwadratowych u wybrzeży Mahabalipuram. Uważa się, że są to ruiny budowli wzniesionych przez ludzi.

Posłowie 2

Podwodny świat w Zatoce Bengalskiej

3 kwietnia 2002, Mahabalipuram, Tamilnadu

Zanurzony w ciemne wody Zatoki Bengalskiej, około 1,5 kilometra od wybrzeża miasta położonego w południowo-wschodnich Indiach, Mahabalipuram, znalazłem się między podwodnymi murami, placami i pinaklami, które wyłaniały się z mroku i wydawały się raczej dziełem bogów lub tytanów niż ludzkim, bardziej należały do świata mitologii niż historii.

Odwrociłem się zwolna wkoło. Wszędzie dostrzegałem rozległe, imponujące ruiny rozciągające się we wszystkich kierunkach. Serce zaczęło mi łomotać, oddech przyspieszył. Od ponad pięciu lat nurkowałem w oceanach w poszukiwaniu niepodważalnego dowodu, który potwierdziłby prawdziwość tego, co głosi ponad sześćset starodawnych mitów o potopie we wszystkich częściach świata.

Czytelnicy pamiętają zapewne, że w Mahabalipuram znalazłem się po raz pierwszy w 1956 roku jako sześciolatek (mój ojciec, lekarz, został zatrudniony w Christian Medical College w pobliskim mieście Wellur). Po raz drugi przyjechałem tu w odwiedziny w 1992 roku. Wówczas to właśnie (patrz rozdział 4) kupiłem antologię dzienników podróźnych i relacji wydaną w 1869 roku przez niejakiego kapitana M.W. Carra, a zatytułowaną *Descriptive and Historical Papers Relating to the Seven Pagodas of the Coromandel Coast*.

Siedmioma Pagodami starzy marynarze nazywali Mahabalipuram. Podczas trzeciej wizyty w tym mieście w lutym 2000 roku (patrz rozdział 10) zabrałem z sobą antologię kapitana Carra. W jednej z relacji z 1798 roku, autorstwa J. Gollinghama, jest mowa o tej części Mahabalipuram, którą pamiętałem z dzieciństwa – o Świątyni na Wybrzeżu, wykutej z twardego granitu, chłostanej falami:

Bramini mówią, że fale przybrzeżne zmyły ruiny miasta, niewiarygodnie wielkiego i potężnego. Pewien 50-letni bramin, który tu się urodził i z którym miałem okazję rozmawiać, powiedział, że jego dziadek często widywał pośród fal pozłocane wierzchołki pięciu pagód, lecz obecnie są już niewidoczne.

Wcześniejsza relacja z 1784 roku opisuje Mahablapuram jako „skałę, czy raczej kamieniste wzgórze”, z którego wykuto wiele posągów. Dalej czytamy:

Ta sterta kamieni jest jednym ze znaków informujących żeglarzy, że zbliżają się do brzegu. Nazywają to miejsce Siedmioma Pagodami, prawdopodobnie dlatego, że z daleka skały te tak wyglądają. Należy jednak powiedzieć, że żaden z kształtów na tym wzgórzu nie usprawiedliwia takiej nazwy. Można jedynie domniemywać, że wzięła się z stąd, iż dawniej była tu taka liczba pagód, lecz zostały one pochłonięte przez morze.

Ten sam autor, William Chambers, przedstawia potem dokładniejszą ustną tradycję o dziejach Mahabalipuram, którą usłyszał od braminów podczas pobytu w tym mieście w 1772 i 1776 roku.

Zgodnie z tradycją w bardzo odległej przeszłości Mahabalipuram rządził radża o imieniu Maleczeren. Napotkał on istotę z nieba, która stała się jego przyjacielem i zgodziła się „zaprowadzić go w przebraniu na dwór boskiego Indry” – łaski takiej nie dostał nigdy żaden inny śmiertelnik.

Radża powrócił stamtąd, mając w pamięci wspaniałość i splendor, które postanowił także nadać swemu dworowi, upiększając stolicę. Wkrótce Mahabalipuram stało się najświetniejszym wśród miast na ziemi. Gdy zgromadzeniu bogów na dworze Indry przedstawiono jego wspaniałości, wzbudziło to w nich taką zazdrość, iż rozkazali Bogu Morza, aby wzburzył fale i zatopił miasto, które śmie dorównywać ich siedzibom. Bóg usłuchał rozkazów, miasto w mgnieniu oka zostało pochłonięte przez rozwścieczony żywioł i nigdy więcej się nie podniosło.

Płyńcie tam, gdzie są ryby

Ten mit przywiódł mnie na powrót do Mahabalipuram. Prawie dokładnie rok później, w lutym 2001 roku, znów tu byłem, tym razem przeprowadzając rozmowy z rybakami przed kamerą Channel 4 dla telewizyjnego serialu „Zatopione królestwa epoki lodowcowej”.

Ojczystym językiem mojej żony Santhy jest tamilski, którym posługują się mieszkańcy Mahabalipuram. Siedziała teraz obok mnie na stercie sieci, a wokół kłębił się wielki, rozgadany, podniecony tłum. Przyszedł każdy, kto miał cokolwiek do powiedzenia, także rybacy. Niektórzy przez całe popołudnie pili sok palmowy, zachowywali się więc hałaśliwie i skłonni byli do sprzeczek. Zaczęli się przekrzykiwać, co, kto i gdzie widział pod wodą.

Pewien starzec o pomarszczonej twarzy i ciemnoorzechowych oczach oraz siwych, wybielonych słońcem i morską solą włosach, opowiadał dość długo o budowlu z kolumnami, którą pewnego dnia dostrzegł ze swej łodzi, kiedy woda była wyjątkowo przejrzysta.

– Zobaczyłem wielką rybę – powiedział. – Czerwoną. Patrzyłem, jak płynie w kierunku jakichś skał. I nagle zdałem sobie sprawę, że to nie skały, lecz świątynia. Ryba wpłynęła do niej, a potem znowu się pokazała, widziałem, jak pływa tam i z powrotem między kolumnami.

– Jest pan pewien, że to była świątynia? – spytałem.

– Oczywiście, tak – odparł. Wskazał granitową pagodę Świątyni Nabrzeżnej: – Wyglądała dokładnie tak samo.

Kilku młodych mężczyzn opisywało, jak podczas długiego nurkowania powietrze rozsadza płuca, serce wali jak młot. A nurkowali, bo sieci się zaczepiały o podwodne budowle. Pewnego razu wielka sieć tak zaplątała się w ruiny, że trawler musiał się zatrzymać. Nurkowie widzieli też pod wodą wejścia wiodące do wewnętrznych pomieszczeń, lecz bali się tam zapuszczać.

Jedna niezwykła relacja dotyczyła ruin w pobliżu Mahabalipuram, z których przy ładnej pogodzie dochodziły jakieś „brzdąkanie” i „łoskot” czy też dźwięki muzyki.

– To brzmiało jak uderzanie w wielką blachę.

– A co można dostrzec dalej? – dopytywałem. – Gdybym wsiadł na łódź i popłynął wzdłuż wybrzeża dalej na południe, co bym znalazł? Czy te podwodne budowle są tylko tu, wokół Mahabalipuram, czy może jeszcze w innych miejscach?

– Podwodne ruiny można obejrzeć na południu, aż przy Rameśwaram – powiedział jeden ze starszych rybaków. – Łowiłem tam ryby.

Inni nie wyplęwali aż tak daleko, ale wszyscy zgodni byli, że podwodne ruiny znajdują się wszędzie przy brzegu.

– Jeśli popłynię pan tam, gdzie są ryby, na pewno je pan zobaczy.

Ekspedycja

Kolejnym wyzwaniem stało się zorganizowanie poważnej wyprawy naukowej do Mahabalipuram. W Indiach mogłem się zwrócić do wydziału morskiej archeologii NIO, wiedziałem jednak, że nie dysponuje funduszami na taki cel.

Na szczęście mniej więcej w tym samym czasie – wiosną 2001 roku – skontaktowałem się ze mną John Blashford Snell z SES z siedzibą w Dorset. Podczas obiadu w moim domu w Devon Snell spytał, czy wśród zagadkowych obiektów, na które natknąłem się podczas zbierania materiałów do *Tajemnic podwodnych miast*, są takie, które mogłoby zbadać SES. Oczywiście zaproponowałem mu Mahabalipuram, gdzie przypuszczalnie znajduje się „mityczne” zatopione miasto, a także Poompuhur, które leży około 200 kilometrów na południe od Mahabalipuram. W rozdziale 13 opisuję moją wyprawę z NIO w lutym 2001 roku w celu zbadania zagadkowej podkowiastej budowli, którą indyjscy nurkowie-archeolodzy znaleźli na głębokości 23 metrów.

Na prośbę Snella skontaktowałem SES z NIO i w następnych miesiącach starałem się wspomagać i inicjować współpracę obu organizacji, aż wreszcie wszystkie zainteresowane strony zaaprobowwały plan ekspedycji. Były oficer królewskiej piechoty morskiej, Monty Halls, sam będący instruktorem nurkowania, został wybrany na kierownika grupy SES, a pod jego komendę oddano 12 nurków-ochotników, w większości z Wielkiej Brytanii.

Tak więc w kwietniu 2002 roku znów znalazłem się w Mahabalipuram, tym razem w towarzystwie wytrawnych nurków i badaczy, którzy chcieli znaleźć

potwierdzenie mojej hipotezy, iż miejscowe legendy o zatopionym mieście opowiadają o rzeczywistych zdarzeniach. Z drugiej jednak strony bałem się, że wyprawa skończy się fiaskiem, choć nie opuszczała mnie nadzieja. Ale nawet w najsmielszych snach nie wyobrażałem sobie, że moment wejścia do wody będzie historyczną chwilą – przed naszymi oczyma pojawiło się coś zupełnie niezwykłego...

Ile to ma lat?

Ile lat mogą liczyć owe niewiarygodne podwodne ruiny u wybrzeży Mahabalipuram?

Kiedy po raz pierwszy zanurkowałem w tej mrocznej wodzie i spostrzegłem mury wijące się na dnie, uderzyła mnie różnica między tymi podwodnymi budowlami a świątyniami wzniesionymi w czasach historycznych na lądzie. Choć z tego samego materiału – miejscowego granitu – kamienne bloki pod wodą były znacznie większe. Podczas kolejnych nurkowań dostrzegłem całe skupiska prawdziwych megalitów, ważących do 4 ton, prawdopodobnie pozostałości jakichś olbrzymich budowli rozbitych wskutek potężnego kataklizmu, być może tego samego, który spowodował ich zalanie. Każde z tych skupisk znajdowało się w środku i w najwyższym punkcie wielkich, prostokątnych ruin. Owe prostokątne struktury rozsiane były w odległości mniej więcej 0,5 kilometra jedna od drugiej, na północ i południe, równoległe do brzegu.

Kilkakrotnie nurkowałem z żoną, Santhą Faiią, która fotografowała podwodne obiekty, a parę razy udałem się tam z Trevorem Jenkinsem, filmowcem naszej grupy. Podczas jednej z sesji podążyliśmy wzdłuż wspianego, zakręcającego muru, biegnącego przez ponad 16 metrów. Podczas kolejnej mogliśmy sfilmować doskonale spojenie bloków.

Podczas ostatniego nurkowania w miejscu, które roboczo nazwaliśmy „obiektem 4”, Trevor odkrył coś, co wydawało nam się rzeźbą lwiej głowy, leżącą bokiem na dnie. Obiekt był jednak bardzo zniszczony i pokryty morskimi organizmami – trudno określić, czy został wyrzeźbiony ludzką ręką. Kiedy Trevor filmował ową „głowę lwa”, ja próbowałem oczyścić nożem choćby jej część, ale udało mi się jedynie ustalić, że jest z granitu, ma wielkość i grubość mniej więcej koła samochodu i formę półksiężyca. Nie można było rozróżnić rysów, co nie znaczy, że nie patrzyliśmy na rzeźbę. Należało ją odnaleźć podczas następnej ekspedycji, wyciągnąć na brzeg i zbadać w laboratorium, zanim będziemy w stanie cokolwiek o niej powiedzieć.

Zbyt pospieszne konkluzje

Taka jest normalna procedura w archeologii. Dlatego tak bardzo byłem zaskoczony, kiedy po powrocie z Mahabalipuram dowiedziałem się, iż NIO wydało dla prasy oświadczenie, w którym określa przypuszczalną datę wzniesienia i przeznaczenie zatopionych ruin, jako dowód podając ową „rzeźbę lwa”:

Wyciąganie tak daleko idących konkluzji na podstawie niejednoznacznego obrazu „rzeźby lwa” na taśmie wideo wydaje mi się co najmniej przedwczesne.

Nikt z zespołu NIO nie widział tej „rzeźby”, z wyjątkiem mnie i Trevora, a ja na przykład wcale nie jestem pewien, czy to w ogóle jest jakaś rzeźba. Co więcej, symbol lwa był i jest mocno rozpowszechniony w całych Indiach, a nawet na świecie, we wszystkich epokach. A zatem obiekt tak mocno zniszczony i obrosnięty morskimi organizmami należałoby najpierw poddać dokładnemu badaniu, zanim uzna się go – i resztę budowli – za charakterystyczne dla dynastii Pallawa czy przypisze mu określone ramy czasowe, jak 1500–1200 lat temu.

Świątynie wznoszone w czasach tej dynastii, a znajdujące się na lądzie w Mahabalipuram, rzeczywiście pochodzą sprzed 1500–1200 lat. NIO uważa, że z tego samego okresu wywodzą się również zatopione ruiny, znajdujące się co najmniej 1,5 kilometra od brzegu. Gdyby obie grupy budowli pochodziły z tej samej epoki, to NIO powinna wytłumaczyć, dlaczego jedna znajduje się pod wodą na głębokości 5–7 metrów, a druga nadal stoi na lądzie.

NIO wyjaśnia, że w tym rejonie musiało dojść do osunięcia się lądu w wyniku erozji obszarów przybrzeżnych albo brzeg zapadł się wskutek potężnej katastrofy tektonicznej, prawdopodobnie w niezbyt odległej przeszłości. Dlatego ogromne budowle z czasów dynastii Pallawa po jednej stronie uskoku osunęły się do wody, natomiast te obiekty, które znalazły się po drugiej stronie uskoku, pozostały na lądzie.

Istnieje wszelako jeszcze inna możliwość, której NIO zdaje się nie dostrzegać: otóż zatopione budowle mogą być znacznie starsze niż te, które znajdują się na lądzie. Jak już pisałem w *Tajemnicach podwodnych miast*, poziom morza wzrósł o ponad 100 metrów pod koniec epoki lodowcowej (między 17 000 a 5000 lat temu), może więc to było powodem znalezienia się pod wodą megalitycznych budowli u wybrzeży Mahabalipuram? A wówczas należy zadać pytanie: ile lat liczą te budowle?

Bomba

Po powrocie z Indii 6 kwietnia 2002 roku napisałem e-mail do Glenna Milne’a, światowej sławy specjalisty w dziedzinie sporządzania map zatopień (na które często powoływałem się w *Tajemnice podwodnych miast*), informując go o naszych odkryciach w Mahabalipuram. Być może, on i inni geolodzy na Durham University wyjaśnią, czy zatopienie ruin spowodowało podniesienie poziomu morza i ustalić w przybliżeniu okres, w którym mogły się jeszcze znajdować na lądzie.

Odpowiedź Glenna, powtórzona w kilka dni później w serwisie informacyjnym telewizji BBC, miała siłę rażenia bomby:

Rozmawiałem z moimi kolegami z wydziału geologii i wspólnie doszliśmy do wniosku, iż w okresie minionych 5000 lat w tym rejonie nie doszło do znaczących pionowych ruchów tektonicznych. Tak więc dominującym czynnikiem było podniesienie się poziomu wód wskutek topnienia lodowców w późnym plejstocenie. Na podstawie symulacji komputerowej stwierdziliśmy, że rejon, w którym znajdują się owe ruiny, musiał zatonać około 6000 lat temu. Oczywiście

należy liczyć się z pewnym marginesem błędu, który w tym wypadku wynosi 1000 lat.

Podkowiasta budowla w Poompuhur

W środowisku archeologów przeważa opinia, że w Indiach 6000 lat temu nie mogła istnieć kultura, której przedstawiciele zdolni byłiby wznosić budowle, nie mówiąc już o ogromnych megalitycznych konstrukcjach na taką skalę, jak te w Mahabalipuram. Ale na tym nie koniec. Jak pamiętamy, rybacy w Mahabalipuram mówią też o innych ruinach, położonych znacznie dalej od brzegu i na o wiele większej głębokości, które także należałoby dokładnie zbadać. Podczas mojej podróży w ten rejon (rozdział 10) słyszałem również relacje o podwodnych obiektach u wybrzeży Poompuhur w Rameśwaran (znajdującym się nad Cieśniną Palk, dzielącą Indie od Cejlonu) oraz w Kanija Kumari (Przylądek Komoryn) na najdalej na południe wysuniętym końcu subkontynentu. Czytelnicy pamiętają zapewne tamilski mit o potopie i o łądzie zwanym Kumari Kandam, który został pochłonięty przez morze w wyniku trzech potwornych potopów, a pierwszy z nich miał miejsce 11 500 lat temu.

W początkach lat 90. NIO przeprowadził, na zlecenie rządu prowincji Tamilnadu, podmorskie badania archeologiczne u wybrzeży Poompuhur, odkrywając tam rozległe i najwyraźniej będące dziełem człowieka konstrukcje w odległości 5 kilometrów od brzegu, na głębokości 23 metrów. Dzieje tego odkrycia przedstawiłem pokrótce w rozdziale 1, potem zaś pisałem o nim szerzej w rozdziale 13 *Tajemnic podwodnych miast*. W tym wypadku kluczową rolę odgrywa głębokość, na jakiej znaleziono ruiny, gdyż oznacza to, iż są zatopione od 11 000 lat. Jeżeli wzniesli je ludzie, to stało się to ponad 11 000 lat temu, gdy wciąż znajdowały się na suchym łądzie. Skoro archeolodzy nie znają kultury, która w południowych Indiach byłaby zdolna wznosić wcześniej niż 6000 lat temu jakiegokolwiek budowle podobne do zatopionych w Mahabalipuram, tym bardziej nie mogą nic wiedzieć o kulturze, która stworzyła w Poompuhur (czy w innym miejscu Indii lub świata) konstrukcje podobne do podkowiastej budowli sprzed 11 000 lat.

Dane zebrane podczas ekspedycji SES i NIO do Poompuhur w marcu 2002 roku są niejednoznaczne. Mimo intensywnych nurkowań przez 10 dni zespół nie potrafił jednomyślnie określić pochodzenia owej podkowiastej budowli. Podczas dwóch głosowań większość grupy, w tym jeden z morskich archeologów z NIO, uznała, że jest to dzieło człowieka. Jednak kilku poważnych badaczy było przeciwnego zdania, nie mogą więc powiedzieć, iż podczas tej ekspedycji udało mi się całkowicie potwierdzić moją hipotezę, o której pisałem w rozdziale 13. Kiedy jednak sam nurkowałem z zespołem w marcu 2002 roku, zauważyłem pewne charakterystyczne cechy, które poprzednio przeoczyłem. Najbardziej interesujące z nich, to 1. część, która wydaje się drugim, niższym murem, biegnącym równoległe do głównego w odległości 2 metrów, mogła niegdyś otaczać całą budowlę; 2. kilku nurków, ze mną włącznie, odniosło wrażenie, że główny mur ma formę ośmio- lub sześciokąta („Przypomina dawne trzypensówki” – skomentował Trevor), a nie litery U; 3. doskonale uformowane warstwy bloków widocz-

ne w kilku punktach pod osadami; 4. na podstawie oglądu i próbek budulca stwierdzono, że jest nim lateryt – kamień powszechnie używany w południowych Indiach od niepamiętnych czasów; 5. obecność wielkich, symetrycznych płyt (o wymiarach około $1,5 \times 1,5 \times 0,5$ metra) rozrzuconych na dnie morza w pobliżu mniejszego kopca, 45 metrów na północny zachód od podkowiastej budowli; 6. odczyt sonaru ukazujący nietypowe formacje nieco dalej; jedną zidentyfikowano w marcu 2002 roku jako prosty mur o długości około 100 metrów, znajdujący się na głębokości 25 metrów i w odległości 7 kilometrów od brzegu.

Sądzę, że podkowiasta budowla pozytywnie przeszła podstawowy test, jakiemu poddawał ją przez długi czas zespół nurków i morskich archeologów. Nie zdecydowano ostatecznie, czy jest dziełem człowieka, lecz nie udowodniono też, że jest naturalną formacją. Nadal pozostaje obiektem nietypowym i zagadkowym. Podobnie jak tajemnicze ruiny w Mahabalipuram, wymaga dalszych intensywnych badań.

Przypisy

Część pierwsza PREHISTORIA

Rozdział 1. Relikty

1. „Journal of Marine Archeology”, Towarzystwo Archeologii Morskiej (Society of Marine Archeology), Państwowy Instytut Archeologii (National Institute of Archeology), Goa, t. 5–6, 1995–1996, s. 14–15.
2. *Ibidem*, t. 2, lipiec 1991, s. 14.
3. *Ibidem*, t. 2, s. 15.
4. *Ibidem*, t. 2, s. 15–16.
5. *Ibidem*, t. 2, s. 16.
6. *Ibidem*, t. 5–6, s. 14.
7. Patrz *British Museum Encyclopaedia of Underwater and Maritime Archeology*, Londyn 1997, s. 203.
8. „Journal of Marine Archeology”, t. 2, s. 8–9.
9. Dr Glenn Milne, Wydział Geologii Durham University.
10. Obiekt ten został poważnie uszkodzony podczas szczególnie silnych tajfunów między lipcem a wrześniem 2000 roku.
11. Relacja udostępniona po badaniach przez Akirę Suzuki (1999).
12. Modele podnoszenia się poziomu mórz nie uwzględniają lokalnych ruchów tektonicznych.
13. *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia*, Chicago 1991, t. 9, s. 356.
14. Jean-Yves Empereur *Alexandria Rediscovered*, Londyn 1998, s. 82 i 86–87.
15. Patrz *Ślady palców bogów, Strażnik tajemnic, Zwierciadło nieba*, Amber, Warszawa 1997, 2000.
16. Ian Shaw i Paul Nicholson (wyd.), *British Museum Dictionary of Ancient Egypt*, Londyn 1995, s. 23–24.
17. Empereur, *op. cit.*, s. 37.
18. *Ibidem*, s. 74–75.
19. *Ibidem*, s. 75.
20. *Ibidem*, s. 75.
21. O trzęsieniach ziemi patrz *ibidem*, s. 86–87.
22. *Ibidem*, s. 80.
23. E.M. Forster *Alexandria – A History and a Guide*, Gloucester 1968.
24. Roy Macleod *The Library of Alexandria – Centre of Learning in the Ancient World*, I.B. Tauris, Londyn 2000; Mostafa El-Abbadi *Life and Fate of the Ancient Library of Alexandria*, UNESCO, Paryż 1992; Dorothy L. Sly *Philo's Alexandria*, Londyn 1996; Luciano Canfora *The Vanished Library: A Wonder of the Ancient World*, Londyn 1989.
25. Liczby podane w przybliżeniu. Statystyka piramid patrz *Ślady palców bogów*, rozdz. 33–38.
26. Empereur, *op. cit.*, s. 71
27. Cytowany przez E.M. Forstera, *op. cit.*, s. 141.
28. *Ibidem*, s. 141.
29. *Ibidem*, s. 141 i 142.

30. Empereur, *op. cit.*, s. 37.
31. Platon, *Timaios*, przekł. Władysław Witwicki, Warszawa 1999, 22 A–C.
32. *Ibidem*.
33. Patrz J.G. Frazer *Folklore in the Old Testament*, Londyn 1918, t. 1, s. 104–361.
34. Alan Dundes (wyd.) *The Flood Myth*, Kalifornia 1988, s. 1.
35. J.G. Frazer, *op. cit.*, s. 105, 343–344.
36. Dorothy B. Vitalino *The Deluge w Legends of the Earth: Their Geologic Origins*, Indiana, s. 142–178.
37. Dundes, *op. cit.*, s. 1.
38. Roger Lewin *Human Evolution*, Oksford 1984, s. 74–77.
39. *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia*, t. 12, s. 127.
40. Przynajmniej tak twierdzą jego entuzjaści.
41. Robert Kunzig *Mapping the Deep*, Londyn 2000, s. 2.
42. W Goa i na Lakkadiwach.
43. Patrz części 2 i 3.
44. G.A. Milne, J.L. Davis, J.X. Mitrovica, H. – G. Scherneck i in. *Space-geodetic constraints on glacial isostatic adjustment in Fennoscandia*, „Science”, 291, 2001, 2, s. 381–385; G.A. Milne, J.X. Mitrovica, J.L. Davis *Near-Field Hydro-Isostasy: The Implementation of a Revised Sea-Level Equation*, „Geophysical Journal International”, nr. 139, publ. 1, 1999, s. 464–483; G.A. Milne, J.X. Mitrovica *Postglacial Sea-Level Change on a Rotating Earth*, „Geophysical Journal International”, nr 133, 1998, s. 1–19; G.A. Milne, J.X. Mitrovica, A.M. Forte *The sensitivity of GIA predictions to a low viscosity layer at the base of the upper mantle*, „Earth and Planetary Science Letters”, nr 154, 1998, s. 265–278; G.A. Milne, J.X. Mitrovica, D.P. Schrag *Estimating past continental ice volume from sea-level data*, „Quaternary Science Review”, 2001.
45. Przybliżenia Sharifa okazały się dokładne. Współrzędne dla GPS w zakresie 50 metrów, na szerokości 11° 11,200 na północ i długości 79° 54,192 na wschód.

Rozdział 2. Topnienie lodów

1. Elise Van Campo datuje – przy wykorzystaniu metody radiowęglowej – „interwały maksimum ostatniego zlodowacenia” na około 22 000 lat temu (w przybliżeniu 25 000–21 500 lat temu), opierając się na próbkach z dna Morza Arabskiego: „Quaternary Research”, nr 26, 1987, s. 376. Jonathan Adams podaje, że metoda radiowęglowa pozwala stwierdzić, że najsilniejsze zlodowacenia w pewnych rejonach Eurazji miały miejsce 17 000–15 000 lat temu. Mieści się to w okresie od 20 300 do 18 000 lat kalendarzowych temu. J. Adams *Eurasia During the Last 150, 000 Years*, strona www.esd.ornl.gov/projects/gen/nercEURASIA.html.
2. Cesare Emiliani *Planet Earth*, Cambridge 1995, s. 543.
3. Glenn Milne, Wydział Geologii, Durham University.
4. Chiny: 9 600 000 kilometrów kwadratowych; Europa 10 300 000 kilometrów kwadratowych; Kanada 9 900 000 kilometrów kwadratowych.
5. Lawrence Guy Straus i in. *Humans at the End of the Ice Age*, Nowy Jork i Londyn 1996, s. 175.
6. *Ibidem*, s. 175.
7. *Ibidem*, s. 175.
8. *Ibidem*, s. 177 i 188–189.
9. Richard Rudgley *Zaginione cywilizacje epoki kamienia*, Amber, Warszawa 1999.
10. *Ibidem*.
11. *Ibidem*.
12. N.C. Fleming *Archeological evidence for vertical movement of the continental shelf during the Paleolithic, Neolithic and Bronze Age periods*: „Z pięciuset znanych podwodnych osiedli, w których zachowały się ruiny budynków, konstrukcji, resztki infrastruktury portowej, kamieniołomów lub kamienne artefakty, około stu pochodzi z epoki brązu lub jest starszych”. O zdecydowanie silniejszym dążeniu do poszukiwania wraków statków niż badań archeologicznych czytaj w *British Museum Encyclopaedia of Underwater and Maritime Archeology*, Londyn 1997.
13. Thomas J. Crowley i Gerald R. North *Paleoclimatology*, Oksford 1991, s. 48.
14. *Ibidem*, s. 48.
15. R.C.L. Wilson, S.A. Drury i J.L. Chapman *The Great Ice Age*, Londyn 2000, s. 14.

16. *Ibidem*, s. 15.
17. *Ibidem*, s. 15.
18. *Ibidem*, s. 14.
19. *Ibidem*, s. 16.
20. Oppenheimer *Eden in the East: The Drowned Continent of Southeast Asia*, Londyn 1998, s. 43.
21. *Ibidem*, s. 41.
22. Wilson i in., *op. cit.*, s. 17.
23. *Ibidem*, s. 14–17.
24. *Ibidem*, s. 16.
25. Platon *Timaios*, *op. cit.*, 25 C-D
26. Wiaczesław Kudriawcew *Atlantis: Ice Age Civilization*, Moskwa 1997. Praca Kudriawcewa jest dostępna w Internecie pod adresem www.imh.ru.
27. Cesare Emiliani *Wszechświat – Ziemia – życie*, Amber, Warszawa 1998.
28. Cesare Emiliani uzyskał doktorat na University of Chicago, gdzie zapoczątkował metodę izotopowej analizy osadów z dna mórz na dużej głębokości w celu określenia klimatów na Ziemi w dawnych czasach. Przeniósł się potem do Miami, gdzie kontynuował eksperymenty i prowadził kilka wypraw badawczych. Jest laureatem medalu Vega nadawanego w Szwecji i medalu Agassiz przyznawanego przez Narodową Akademię Nauk USA.
29. Emiliani artykuł w „Earth and Planetary Science Letters”, nr 41, 1978, s. 159.
30. Robert Schoch *Voices of the Rocks*, Nowy Jork 1999, s. 147–148.
31. *Ibidem*, s. 148.
32. Paul La Violette *Earth Under Fire*, Nowy Jork 1997, s. 183.
33. Przykładowa sytuacja: ludzie migrują na wybrzeża lub do nisko położonych dolin ze względu na panujące tam lepsze warunki; następuje kilka tysięcy lat stabilizacji i dobrobytu; wszystkie najważniejsze ośrodki miejskie grupują się na wybrzeżu; potop nagle zalewa te miasta; przeżywają tylko nieliczni.
34. Emiliani *Planet Earth*, s. 543.
35. *Ibidem*, s. 540.
36. Emiliani *Wszechświat – Ziemia – życie*, *op. cit.*
37. Nagrany wywiad z Johnem Shawem, przeprowadzony przez Johna Grigsby'ego, asystenta Grama Hancocka, 1999.
38. „Nature”, t. 389, 2 października 1997, s. 473.
39. *Ibidem*, s. 473.
40. *Ibidem*, s. 474.
41. *Ibidem*, s. 474.
42. *Ibidem*, s. 474.
43. *Ibidem*, s. 474–475.
44. Arch C. Johnston *A Wave in the Earth*, „Science”, t. 274, 1 listopada 1996, s. 735.
45. Oppenheimer, *op. cit.*, s. 40.
46. Johnston, *op. cit.*
47. *Ibidem*.
48. *Ibidem*.
49. Ronald Arvidsson *Fennoscandian Earthquakes: Whole Crustal Rupturing to Post-Glacial Rebound*, „Science”, t. 274, 1 listopada 1996.
50. *Ibidem*.
51. Johnston, *op. cit.*, s. 735.
52. re (*real part* – część rzeczywista) mierzy magnitudę sejsmiczną; porównawcze liczby dla trzęsienia ziemi w Parwie podano w dokumentach źródłowych w jednostkach ML. Oznaczają one skalę lokalną magnitudy (*local magnitude*), stanowiącej podstawę pomiaru natężenia trzęsienia ziemi w znanej skali Richtera. ML mierzy amplitudę fal w postaci, w jakiej pojawia się ona na sejsmografie, który umieszczono w określonym miejscu, jest więc pomiarem zakresu, w jakim dany obszar gruntu porusza się pionowo podczas trzęsienia ziemi. Skala Richtera jest logarytmiczna, tak więc magnituda ma charakter wykładniczy (według czynnika 10) na każdym etapie skali. Trzęsienie ziemi o skali 6,0 ML ma dziesięciokrotnie większą magnitudę niż trzęsienie ziemi 5,0 ML i 100 razy większą magnitudę niż 4,0 ML. Jednostki w skali Richtera to raczej M niż ML, gdyż nie mamy do czynienia z lokalną magnitudą, lecz wszędzie taką samą.
53. Johnston, *op. cit.*
54. *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia*, t. 10, s. 55.

55. „Guardian”, 18 stycznia 1995.
56. *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia, op. cit.*
57. Johnston, *op. cit.*,
58. Arvidson, *op. cit.*
59. Wilson i in., *op. cit.*
60. Straus i in., *op. cit.*, s. 129–130.
61. Schild, *ibidem*, s. 129–130.
62. Schoch, *op. cit.*, s. 147–148.
63. Platon *Timaios, op. cit.*
64. *Ibidem*.
65. Emiliani *Earth and Planetary Science Letters*, s. 159.
66. Isaac i Janet Asimov *Frontiers II*, Nowy Jork 1993, s. 110–111. cytowani przez Charlesa Ginenthala *The Extinction of the Mammoth*, s. 226. „The Veilkovskian”, t. 3, nry 2 i 3, Nowy Jork 1997.
67. *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia*, t. 4, s. 235; LaViolette, *op. cit.*, s. 203–204; „Liczne pola drumlinów znajdują się w Ameryce Północnej i północnej Europie. W Ameryce Północnej pola są widoczne w rejonach, które niegdyś znajdowały się na skraju czoła lodowca, na przykład w środkowo-zachodnim stanie Nowy Jork (około 10 000 drumlinów), środkowo-wschodnim Wisconsin (około 3000), na południowym zachodzie Nowej Szkocji (2300). Inne pola drumlinów podobno leżą pomiędzy tymi rejonami, ale nie zostały wykryte”.
68. John Grigsby, wywiad z Johnem Shawem.
69. *Ibidem*.
70. Shaw *Drumlins, subglacial meltwater floods, and ocean responses*, „Geology”, t. 17, wrzesień 1989, s. 853–856.
71. Ginenthal, *op. cit.*, s. 267; John Shaw i Donald Kvill *A Glacio-Fluvial Origin for Drumlins in the Livingstone Lake Area, Saskatchewan*, „Canadian Journal of Earth Science”, t. 21, 1984, s. 1442.
72. Shaw, *op. cit.*, s. 855.
73. John Shaw *A Meltwater Model for the Laurentide Subglacial Landscapes, Geomorphology Sans Frontiers*, John Wiley and Sons 1996, s. 181.
74. John Grigsby, wywiad z Johnem Shawem.
75. John Shaw *A Qualitative View of Sub-Ice-Sheet Landscape Evolution*, „Progress in Physical Geography”, nr 18.2, 1994, s. 166.
76. *Ibidem*, s. 164.
77. Shaw *Drumlins, subglacial meltwater floods, and ocean responses*, s. 854.
78. Shaw i Kvill, *op. cit.*, s. 1455.
79. John Shaw *Sedimentary Evidence Favours the Formation of Rogen Landscapes by Outburst Floods*, www.sentex.nettcc/rogen/main.html, s. 4.
80. Shaw i Kvill, *op. cit.*, s. 1455.
81. Paul Blanchon i John Shaw *Reef drowning during the last deglaciation: Evidence for catastrophic sea-level rise and ice-sheet collapse*, „Geology”, t. 23, nr 1, styczeń 1995, s. 6. Patrz także Wilson i in., *op. cit.*, s. 113–121.
82. Blanchon i Shaw, *op. cit.*, s. 4.
83. Shaw *Sedimentary Evidence Favours the Formation of Rogen Landscapes by Outburst Floods*, s. 4.
84. Fletcher i Sherman *Submerged Shorelines...*, „Journal of Coastal Research”, wyd. specjalne nr 17, s. 147.
85. *Ibidem*, s. 147.
86. Scott Fields *Metafloods at the end of the Ice Age*, cytowany przez Charlesa Ginenthala, *op. cit.*, s. 267.
87. Relacja Fletchera i Shermana, *op. cit.*, s. 148.
88. Wilson i in., *op. cit.*, s. 113–115.
89. Ginenthal, *op. cit.*, s. 265.
90. Blanchon i Shaw, *op. cit.*, s. 6.
91. Wilson i in., *op. cit.*, s. 117.
92. *Ibidem*, s. 117.
93. *Ibidem*, s. 117.
94. *Ibidem*, s. 117.

95. Crowley i North, *op. cit.*, s. 61–62.
96. Blanchon i Shaw, *op. cit.*, s. 7.
97. Fletcher i Sherman, *op. cit.*, s. 147.
98. Crowley i North, *op. cit.*, s. 64.
99. Fletcher i Sherman, *op. cit.*, s. 147.
100. *Ibidem*, s. 147–148.
101. *Ibidem*, s. 148. Mniej więcej tę samą datę katastrofalnego wypływu wód z jezior Agassis i Ojibway poprzez cieśninę Hudsona podaje D.C. Barber *Forcing of the cold event of 8200 years ago...*, „Nature”, t. 400, lipiec 1999, s. 344 i dalsze.
102. David Keys *Lethal Floods Ravaged Stone Age Britain*, „Independent”, Londyn 15 października 2000.
103. Oppenheimer, *op. cit.*, s. 35.
104. Na przykład miało miejsce podniesienie się poziomu morza o 25 metrów wskutek podobnego zdarzenia w okresie krótszym niż 2000 lat na przestrzeni 8000 lat temu. „American Association of Petroleum Geologists Bulletin”, 1995, s. 1568.
105. Oppenheimer, *op. cit.*, s. 40.
106. LaViolette, *op. cit.*, s. 225.
107. *Ibidem*, s. 206.
108. *Ibidem*, s. 199–200; 202–203.

Część druga

INDIE (1)

Rozdział 3. Zapomniane miasta, starożytne teksty i indyjska Atlantyda

1. Jonathan Mark Kenoyer *Ancient Cities of Indus Valley Civilization*, Oksford 1998, s. 70.
2. Wprowadzone w 1972 roku pismo języka somalijskiego jest oparte na alfabecie łacińskim z pewnymi modyfikacjami.
3. Powszechnie uważa się, że krótkie inskrypcje w piśmie harapppskim dotyczą sfery handlowej – i najczęściej używano go do oznakowywania towarów.
4. Platon *Fajdros*, tłum. W. Witwicki, Warszawa 1999, 274 C.
5. *Ibidem*, 275 E
6. Georg Feuerstein, Subash Kak, David Frawley *In Search of the Cradle of Civilization*, Wheaton 1995, s. 29.
7. Nie można całkowicie wykluczyć takiej możliwości. W *Atharwawedzie* wspomina się o położeniu Wed z powrotem na piersi, co sugeruje istnienie wersji pisanej. Kwestia ta została omówiona przez Davida Frawleya w *Gods, Sages and Kings*, Salt Lake City 1991, s. 249.
8. Gregory L. Possehl *Indus Age: The Beginnings*, Pensylwania 1999, s. 6.
9. *Ibidem*, s. 6.
10. *Ibidem*, s. 7, 8.
11. *Ibidem*, s. 5–6, patrz także Kenoyer, *op. cit.*, s. 24.
12. Possehl, *op. cit.*, s. 41.
13. Kontakt osobisty – prof. B. B. Lal, były student Wheelera. Patrz także omówienie u Feuersteina i in., *op. cit.*, s. 77 i dalsze.
14. Possehl, *op. cit.*, s. 42.
15. *Ibidem*, s. 6.
16. *Ibidem*, s. 6.
17. *Ibidem*, s. 6.
18. *Ibidem*, s. 6.
19. Cytat z *Vedavyas. Astronomical Dating of the Mahabharata War*, Indie 1995, s. 64.
20. Cytat *ibidem*, s. 64.
21. M. Muller *The Six Systems of Indian Philosophy*, s. 34–35, cytowany przez Feuersteina i in., *op. cit.*, s. 42.
22. Kenoyer, *op. cit.*, s. 29.
23. *Ibidem*, s. 104 i dalsze.

24. V. Gordon Childe *The Aryans*, 1926, s. 211–212, cytowany przez Possehla, *op. cit.*, s. 41–42.
 25. Colin Renfrew *Archeology and Language: The Puzzle of Indo-European Origins*, Londyn 1998, s. 182.
 26. *Ibidem*, s. 188.
 27. *Ibidem*, s. 190.
 28. *Ibidem*, s. 205.
 29. *Ibidem*, s. 205.
 30. S.R. Rao *Dawn and Devolution of the Indus Civilization*, New Delhi 1991.
 31. Patrz S.P. Gupta *The Indus-Saraswati Civilization*, Delhi 1996, s. 91, 97.
 32. *Ibidem*, s. 146.
 33. *Wisznupurana*, Delhi 1989, t. 2, s. 785.
 34. *Ibidem*, s. 853.
 35. Przykład patrz Ananda K. Coomaraswamy *Myths of the Hindus and Buddhists*, Nowy Jork 1967, s. 393.
 36. *Bhagwatapurana*, Delhi 1978, t. 2, część 5, 12.3.30, s. 2139.

Rozdział 4. Pielgrzymka do Indii

1. Różni autorzy odmiennie szacują zasięg terytorialny tej kultury. Patrz Jonathan Mark Kenoyer *Ancient Cities of the Indus Valley Civilization*, Oksford 1998, s. 11; S.R. Rao *Dawn and Devolution of the Indus Civilization*, New Delhi 1991, s. 10; S.P. Gupta w *The Indus-Saraswati Civilization*, Delhi 1996, s. 1–4, pisze o 2 500 000 kilometrów kwadratowych.
 2. Patrz rozważania Gupty, *op. cit.*, s. 144.
 3. Sir Mortimer Wheeler *The Indus Civilization*, 1968, s. 55.
 4. Rao, *op. cit.*, s. 49.
 5. Kenoyer, *op. cit.*, s. 50. Określa liczbę ludności na 41 250 w Dolnym Mieście w Mohendzo-Daro – 76,6 hektara – zwraca jednak uwagę, że rejon zamieszkały był znacznie większy – około 250 hektarów. Proporcjonalnie liczba ludności sięgałaby około 150 000.
 6. *Ibidem*, s. 57.
 7. *Ibidem*, s. 52.
 8. Georg Feuerstein, Subash Kak, David Frawley *In Search of the Cradle of Civilization*, Wheaton 1995, s. 73.
 9. *Ibidem*, s. 73.
 10. Rao, *op. cit.*, s. 17.
 11. *Ibidem*, s. 17.
 12. Kenoyer, *op. cit.*, s. 15. Porównanie wyniku z jego badań technologii wyrobu ostrzy w miastach Doliny Indusu. Znalazł mnóstwo dowodów, że niektóre muszle bruchonogów (*Turbinella pyrum* i *Chicoreus ramosus*) były bardzo precyzyjnie obrabiane do wyrobu biżuterii. Muszle te są niezwykle twarde, Kenoyer doszedł do wniosku (s. 96), że musiały być cięte za pomocą specjalnej brązowej piły. Badając głębokość nacięć muszli można odtworzyć kształt piły, która miała cienkie ząbkowane ostrze, długie i zakrzywione, podobne do tych, jakich we współczesnym Bengalu nadal używa się do wyrobu bransolet z muszli. Jeszcze bardziej zaskakujący jest fakt, iż brązowa piła z Indusu mogła ciąć muszle równie precyzyjnie jak współczesne narzędzia, co dowodziłoby, że produkowano wówczas narzędzia brązowe twarde jak stal.
 13. Gupta, *op. cit.*, s. i.
 14. *Ibidem*, s. i.
 15. Gupta, *op. cit.*, s. 141.
 16. Gregory Possehl, wywiad dla Sharifa Sakra, 24 października 2000.
 17. Kapitan M.W. Carr (wyd.) *Descriptive and Historical Papers Relating to the Seven Pagodas of the Coromandel Coast* (pierwsze wydanie 1869), reprint Asian Educational Services, New Delhi 1984.
 18. *Ibidem*, s. 34–35.
 19. *Ibidem*, s. 2.
 20. *Ibidem*, s. 1.
 21. Np. *Wisznupurana*, Delhi 1989, t. 1, s. 188 i dalsze.
 22. Carr, *op. cit.*, s. 12–13.
 23. *Ibidem*, s. 3.

24. *Ibidem*, s. 13.
25. *Ibidem*, s. 13.
26. *Ibidem*, s. 14.
27. *Ibidem*, s. 14.
28. *Ibidem*, s. 14–15.
29. Np. Platon *Timaios*, *Kritias*, *op. cit.*
30. Rao, *op. cit.*, s. 141.
31. *Ibidem*, s. 141.
32. *Ibidem*, s. 141.
33. *Ibidem*, s. 126 i 142.
34. *Ibidem*, s. 141.
35. Pannikar i Srinivason, cyt. *ibidem*, s. 143.
36. *Ibidem*, s. 120.
37. Michael A. Hoffman *Egypt Before the Pharaohs*, Londyn 1991, s. 16.
38. Cyril Aldred *Egypt to the End of the Old Kingdom*, Londyn 1988, s. 35.
39. *Ibidem*, s. 35 i 33.
40. Kennoyer, *op. cit.*, s. 144.
41. Arthur Posnansky *Tiahuanacu: The Cradle of American Man* (4 tomy), Nowy Jork 1945, plan-sza LXXIXa.
42. Aldred, *op. cit.*, s. 35.
43. Mackay, 1934, cytowany przez Possehla, *op. cit.*, s. 289.
44. Np. Thor Heyerdahl *Ekspedycja Ra*, Warszawa 1996.
45. Gupta, *op. cit.*, s. i, 144.
46. Possehl, *op. cit.*, s. 290.
47. *Ibidem*, s. 290.
48. *Ibidem*, s. 290.
49. W muzeum w Lothal.
50. Patrz *Ślady palców bogów*, rozdziały 24 i 25.
51. John Howley, Jada Bahrata Dasa *Holy Places and Temples in India*, Spiritual Guides 1996, s. 438.
52. *Bhagwatapurana*, s. 10, 1571.
53. *Ibidem*, s. 10, 1570.

Rozdział 5. Miejsce, w którym osiadł statek

1. Ralph T. Griffith (tłum.) *Hymns of the Atharvaveda*, Delhi 1985 (pierwsze wydanie 1895–1896), t. 1, s. xxvii.
2. Gregory L. Possehl *Indus Age: The Beginnings*, Pensylwania 1999, s. 5; *Satpathabrahmana*, część 5, s. 362, Delhi 1994.
3. Possehl, *op. cit.*, s. 5; Griffith, *op. cit.*, t. 1, s. xi.
4. Possehl, *op. cit.*, s. 5; Griffith, *op. cit.*, t. 1, s. xi.
5. Possehl, *op. cit.*, s. 5.
6. Griffith, *op. cit.*, t. 1, s. xii. *Atharwaweda* nazywa się tak według Griffitha (s. xi) „nie ze względu na treść, lecz od osoby z bardzo odległych czasów imieniem Atharwan”.
7. M. Sundaraj *Rig Vedic Studies*, Czennaj 1997, s. xxi.
8. Patrz *Encyclopaedia Britannica. Micropaedia*, t. 2, s. 461.
9. Patrz *Ibidem*, t. 1, s. 517.
10. *Ibidem*, s. 12, 189.
11. *Ibidem*, s. 189.
12. J.G. Frazer *Folklore in the Old Testament*, *op. cit.*, Londyn 1918, t. 1, s. 85.
13. *Encyclopaedia Britannica. Micropaedia*, t. 7, s. 693; t. 9, s. 920.
14. *Ibidem*, t. 7, s. 693.
15. *Ibidem*, t. 9, s. 920.
16. *Ibidem*, s. 804.
17. John E. Mitchiner *Traditions of the Seven Rishis*, Delhi 1982, s. xvii–xix.
18. *Ibidem*, s. xvii.

19. *Ibidem*, s. xvii.
20. Np. patrz Ralph T. Griffith (tłum.) *Hymns of the Rigveda*, Delhi 1987 (pierwsze wydanie 1889), t. 1, s. 66, przypis 99. W *Rygwedzie* jest ponad 80 wzmianek o Manu.
21. *Ibidem*, t. 1, s. 66.
22. *Ibidem*, t. 1, s. 99.
23. *Ibidem*, t. 2, s. 218.
24. *Ibidem*, t. 2, s. 513.
25. *Ibidem*, t. 1, s. 155.
26. Patrz omówienie przez E. A. Wallis Budge *Ozryrys*, Poznań 1994. Patrz także Jane B. Sellers *The death of Gods in Ancient Egypt*, Londyn 1992, s. 12.
27. Griffith *Rigveda*, t. 1, s. 285.
28. *Ibidem*, s. 286.
29. David Frawley *Gods, Sages and Kings*, Salt Lake City 1991, s. 285–286.
30. Weber: „Woda cię zmyła”; Eggeling: „Woda cię odcięła”; Muller: „Woda cię rozdarła”. Patrz *Satpathabrahmana*, część 1, s. 217, przypis 3.
31. *Ibidem*, s. 216–218.
32. *Ibidem*, s. 218–219.
33. Frazer, *op. cit.*, s. 185.
34. *Ibidem*, s. 186.
35. *Ibidem*, s. 186–187.
36. *Ibidem*, s. 187.
37. *Ibidem*, s. 191.
38. *Ibidem*, s. 191.
39. *Ibidem*, s. 192.
40. *Ibidem*, s. 192.
41. *Ibidem*, s. 192.
42. *Satpathabrahmana*, cz. 1, s. 218, przyp. 1.
43. *Atharwaweda*, 19.39.8, tłum. Frawley, *op. cit.*, s. 299.
44. Griffith *Atharwaweda*, s. 243.
45. *Ibidem*, t. 2, s. 243, przyp. 8.
46. Cyt. w *Satpathabrahmana*, cz. 1, s. 218, przyp. 1.
47. Griffith *Rigveda*, t. 1, s. 319.
48. *Ibidem*, t. 1, s. 319, przyp. 13.
49. *Bhagwatapurana*, cyt. u Frazera, *op. cit.*, s. 192.
50. *Ibidem*, s. 192.
51. *Matsjapurana*, Delhi 1997, cz. 1, s. 7.
52. Patrz obszernie omówienie w *Śladach palców bogów*, rozdz. 31.
53. *Matsjapurana*, cz. 1, s. 7.
54. Patrz rozdz. 2 i Samuel Noah Kramer *Historia zaczyna się w Sumerze*.
55. Mitchiner, *op. cit.*, s. 206, 208–209.
56. „Dawniej w epoce Swayambhuwa było Siedmiu Wielkich *Rsi*. Kiedy minęła Epoka Kaksusa, Siedmiu *Rsi* narodziło się ponownie jako siedmiu Zrodzonych z Umysłu. (Pytanie: Jak narodziło się dawniej Siedmiu *Rsi* jako siedmiu Zrodzonych z Umysłu? Odpowiedź: Po długim czasie *Rsi* narodziли się po raz drugi – tak zasłyszano)”. Cytat u Mitchinera, *op. cit.*, s. 33.
57. Griffith *Rigveda*.
58. Ludwig cytowany w *ibidem*, t. 2, s. 624, przyp. 7.
59. Mitchiner, *op. cit.*
60. *Ibidem*, s. xvi.
61. *Ibidem*, s. 196.
62. Lokamanya Bal Ganghadar Tilak *The Arctic Home in the Vedas*, Poona 1956, s. 425. „Kalpa” tłumacząc jako „epokę”.
63. *Ibidem*, s. 426.
64. *Ibidem*, s. 426.
65. Patrz *Zwierciadło nieba*.
66. Griffith *Rigveda*, t. 1, s. 237.
67. Cytowany u Sundarraja, *op. cit.*, s. 333.

68. Np. „Ten, kto ma oczy, widzi to, a nie ten, kto jest ślepy”, cyt. u Mitchinera, *op. cit.*, s. 10.
69. Tilak, *op. cit.*, s. 426.
70. Np. listy różnych Manwantara i grup Manu oraz Siedmiu Mędrców w *Matsjapurana*.
71. Tilak, *op. cit.*, s. 426.
72. Mitchiner, *op. cit.*, s. 49–50.
73. Tilak, *op. cit.*, s. 420.
74. *Matsjapurana*, cz. 1, s. 635. „Kalpa” tłumaczą jako „epokę”.
75. *The Puranas*. Patrz Mitchiner, *op. cit.*, s. 3.
76. Cyt. *Ibidem*, s. 293.
77. *Ibidem*, s. 128–130.
78. *Ibidem*, s. 4.
79. *Ibidem*, s. 5.
80. Griffith *Rigveda*, t. 2, s. 538.
81. *Ibidem*, t. 2, s. 538. Patrz także Mitchiner, *op. cit.*, s. 10.
82. Omówienie w *ibidem*, s. 262–267.
83. *Saṭpathabrahmana*, cz. 1, s. 282.
84. Mitchiner, *op. cit.*, s. 262–263.
85. Patrz obszernie omówienie przez Roberta Bauvala i Adriana Gilberta w *Tajemnicy Oriona*, Warszawa 2000. Patrz także Hancock *Strażnik tajemnic i Zwierciadło nieba*.
86. *Ibidem*.
87. Patrz *Tajemnica Oriona*.
88. R.O. Faulkner (tłum.) *The Ancient Egyptian Pyramid Texts*, Wiltshire (pierwsze wydanie Oxford 1969), s. 138, *Westchnienie 419*.
89. *Ibidem*, s. 155, *Westchnienie 466. 5*.
90. Mitchiner, *op. cit.*, s. 253.
91. *Ibidem*, s. 190–191.
92. *Ibidem*, s. 189–190.
93. *Ibidem*, s. 218 i dalsze.
94. Patrz *Zwierciadło nieba*, rozdz. 6.
95. Patrz *Zwierciadło nieba*, rozdz. 4.
96. Mitchiner, *op. cit.*, 223.
97. *Ibidem*, s. 224.
98. *Ibidem*, s. 225.
99. *Mahabharata*, cyt. i w *ibidem*, s. 223.
100. *Ibidem*, s. 223.
101. Patrz omówienie w *Strażniku tajemnic*, s. 201–202.
102. E.A.E. Reymond *Mythical Origin of the Egyptian Temple*, Manchester 1969, s. 90, 109, 127.
103. *Ibidem*, s. 77.
104. Frawley, *op. cit.*, s. 41.
105. *Ibidem*, s. 205.

Rozdział 6. Zaginione Indie

1. Patrz rozdz. 1.
2. Patrz rozdz. 1.
3. Patrz rozdz. 4.
4. Georg Feuerstein, Subash Kak, David Frawley *In Search of the Cradle of Civilization*, Wheaton 1995, s. 52–59.
5. *Ibidem*, s. 52.
6. Patrz omówienie Gregory L. Possehl *Indus Age: The Beginnings*, Pensylwania 1999, s. 44 i dalsze.
7. Nie ma tu miejsca na omówienie literatury, lecz w gronie naukowców niewiele toczy się poważnych sporów co do tego, że nasi przodkowie żeglowali po morzach 30 000 i więcej lat temu. Patrz na przykład Geoffrey Irwin *The Prehistoric Exploration and Colonisation of the Pacific*, Cambridge 1994, s. 3 i dalsze.
8. Frawley *Gods, Sages and Kings*, Salt Lake City 1991, s. 45.
9. *Ibidem*, s. 45.

10. *Ibidem*, s. 45.
11. *Ibidem*, s. 45.
12. S.P. Gupta *The Indus-Saraswati Civilization*, Delhi 1996, s. 145.
13. Np. patrz Werner Keller *The Bible as History*, Nowy Jork 1988.
14. Opisałem to zjawisko na Wyspie Wielkanocnej w *Zwierciadle nieba*.
15. Cyt. w rozdz. 3.
16. Possehl, *op. cit.*, s. 362.
17. Ralph T. Griffith (tłum.) *Hymns of the Rigveda*, Delhi 1987 (pierwsze wydanie 1889), t. 1, s. 4, wers 12, przypis 99.
18. *Ibidem*, t. 2, s. 44, wers 6.
19. *Ibidem*, t. 1, s. 676, wers 2, 7–9.
20. *Ibidem*, t. 1, s. 677, przyp. 2.
21. *Ibidem*, t. 2, s. 510, wers 9.
22. Possehl, *op. cit.*, s. 363.
23. Griffith, *op. cit.*, t. 1, s. 98–99, wers 1–2.
24. Ramaswamy, Bakliwal i Verma, 1991, *Remote Sensing and River Migration in Western India*, „Remote Sensing”, nr 12 (12), s. 2597–2609, cyt. Possehl, *op. cit.*, s. 362.
25. Ramaswamy i in., cyt. Possehl, *op. cit.* i własny pogład Possehla, s. 362.
26. Bhimal Ghose, Anil Kar i Zahrid Jussain *Comparative Role of the Aravali and Himalayan river systems in the fluvial sedimentation of the Rajasthan desert*. Central Arid Zone Research Institute, Jodhpur, cyt. Frawley, *op. cit.*, s. 75.
27. B. Ghose i in. *The lost courses of the Sarasvati River in the Great Indian Desert. New Evidence from Landsat Imagery*, 1979, cyt. Gupta, *op. cit.*, s. 15.
28. B.P. Radhakrishna *Holocene Chronology and Indian Prehistory* w B.P. Radhakrishna i S.S. Merh (wyd.) *Vedic Sarasvati: Evolutionary History of a Lost River of Northwestern India*, Bangalore 1999.
29. Possehl, *op. cit.*, s. 372.
30. Omawiam to w *Śladach palców bogów*, rozdz. 28.
31. Patrz *Zwierciadło nieba, Ślady palców bogów*.
32. Jacobi *Indian Antiquary*, cyt. Frawley, *op. cit.*, s. 182.
33. Lokamanya Bal Ganghadar Tilak *The Orion or Researches into the Antiquity of the Vedas*, Poona 1986, s. 220, 234.
34. *Ibidem*, s. 220.
35. *Ibidem*, s. 220.
36. Frawley, *op. cit.*, s. 189.
37. *Ibidem*, s. 198.
38. *Ibidem*, s. 198.
39. Feuerstein i in., *op. cit.*, s. 244–245.
40. John E. Mitchiner *Traditions of the Seven Rishis*, Delhi 1982, s. 134.
41. *Ibidem*, s. 139–141.
42. *Ibidem*, s. 158.
43. *Ibidem*, s. 158.
44. Pliniusz *Historia naturalna*, cyt. Mitchiner, *op. cit.*, s. 158; Solinus cyt. Mitchiner, *op. cit.*, s. 158–159.
45. Mitchiner, *op. cit.*, s. 158.
46. Feuerstein i in., *op. cit.*, s. 247.
47. Mitchiner, *op. cit.*, s. 160.

Rozdział 7. Demon na górze i odrodzenie cywilizacji

1. Turania to starożytny Turkiestan.
2. S.P. Gupta *The Indus-Saraswati Civilization*, Delhi 1996, s. 16–17.
3. Gregory L. Possehl *Indus Age: The Beginnings*, Pensylwania 1999, s. 440.
4. *Ibidem*, s. 440.
5. Jacques Cauvin *The Birth of the Gods and the Origins of Agriculture*, Cambridge 2000.
6. Possehl, *op. cit.*, s. 412.

7. *Ibidem*, s. 1.
8. Np. „Childe 1936; Bradwood 1952; Binford 1968; Flannery 1968, 1986; Myers 1971; Harris 1972, 1977; Reed 1977; M. Cohen 1977; Rindos 1984; Henry 1989; McCorriston i Hole 1991; Belfer-Cohen 1991, że wspomnę tylko kilku”, cyt. w *ibidem*, s. 429.
9. *Ibidem*, s. 429.
10. Bar-Yoseph i Meadow, cyt. w *ibidem*, s. 430–431.
11. Bar-Yoseph i Meadow, cyt. w *ibidem*, s. 430.
12. *Ibidem*, s. 430–431.
13. Sauer, 1952, cyt. w *ibidem*, s. 431.
14. *Ibidem*, s. 451.
15. *Ibidem*, s. 451, 465.
16. *Ibidem*, s. 453.
17. *Ibidem*, s. 453.
18. *Ibidem*, s. 453.
19. *Ibidem*, s. 453.
20. *Ibidem*, s. 453–457.
21. Jarridge i in., cyt. w *ibidem*, s. 455.
22. *Ibidem*, s. 453–457.
23. *Ibidem*, s. 238.
24. *Ibidem*, s. 238–239.
25. *Ibidem*, s. 460, 459.
26. Patrz omówienie w rozdz. 5.
27. Possehl, *op. cit.*, s. 457–459.
28. *Ibidem*, s. 230.
29. *Ibidem*, s. 457–459.
30. *Ibidem*, s. 483–488.
31. *Ibidem*, s. 428.
32. *Ibidem*, s. 428.
33. Jarridge, cyt. w *ibidem*, s. 485.
34. *Ibidem*, s. 489.
35. *Ibidem*, s. 489.
36. *Ibidem*, s. 489 i Jonathan Mark Kenoyer *Ancient Cities of the Indus Valley Civilization*, Oxford 1998, s. 38.
37. Kenoyer, *op. cit.*, s. 38.
38. Possehl, *op. cit.*, s. 460.
39. *Ibidem*, s. 21, 22, 491.
40. *Ibidem*, s. 447; Gupta, *op. cit.*, s. 22.
41. Possehl, *op. cit.*, s. 447: „Już w początkach VIII tysiąclecia p.n.e. w Mehrgarh I i II znajdowało się osiedle”.
42. David Frawley *Gods, Sages and Kings*, Salt Lake City 1991, s. 38 i 300.
43. Georg Feuerstein, Subash Kak, David Frawley *In Search of the Cradle Civilization*, Wheaton 1995, s. 89.
44. Ralph T. Griffith (tłum.) *Hymns of the Rigveda*, Delhi 1987 (pierwsze wydanie 1889), t. 1, s. 5, przypis 10.
45. Lokamanya Bal Ganghadar Tilak *The Arctic Home in the Vedas*, Poona 1956, s. 225.
46. Wilson cyt. Griffith, *op. cit.*, t. 1, s. 47, przyp. 1.
47. Patrz omówienie Griffitha, *op. cit.*, t. 1, s. 48, przyp. 12.
48. Max Muller, cyt. Griffith, *op. cit.*, t. 1, s. 48, przyp. 12.
49. Tilak, *op. cit.*, s. 225.
50. *Ibidem*, s. 225.
51. Nicholas Borozovic, Douglas W. Burbank, Andrew J. Meigs *Climatic Limits on Landscape Development in the Northwestern Himalaya*, „Science”, t. 276, nr 5312, 25 kwietnia 1997, s. 571–574.
52. Edward Derbyshire *Quaternary glacial sediments, glaciation stule, climate and uplift in the Karakoram and northwest Himalaya: review and speculations*, „Paleogeography, Paleoclimatology, Paleoecology”, nr 120, 1996, s. 147–157, patrz s. 151 i 153.

53. S.K. Gupta, P. Sharma i S.K. Shah, artykuł w „Journal of Quaternary Science”, nr 7 (4), 1992, s. 283–290, patrz s. 283.
54. Jonathan A. Holmes *Present and Past Patterns of Glaciation in the Northwest Himalaya: Climate, Tectonic and Topographic Controls* w John F. Shroder Jr (wyd.) *Himalaya to the Sea: Geology, Geomorphology and the Quaternary*, s. 72.
55. *Ibidem*, s. 84.
56. *Ibidem*, s. 86. Badania Holmesa dowodzą, że zlodowacenie w Himalajach i Karakorum maksymalny zasięg mogło osiągnąć nieco wcześniej niż gdzie indziej na świecie, a zatem czapa lodowa Himalajów mogła przetrwać znacznie dłużej w „uśpieniu” niż inne czapy.
57. Borozovic i in., *op. cit.*,
58. Mohamed Amin, Duncan Willetts, Graham Hancock *Journey Through Pakistan*, Nairobi, 1982.
59. *Ibidem*, s. 112.
60. Holmes i Shroder, *op. cit.*, s. 73.
61. Borozovic i in., *op. cit.*, s. 573; P.J. Taylor odnotował współczesne wartości ELA między 4800 a 5500 metrów w paśmie górskim Zanskar, patrz „Glacial Geology and Geomorphology”, kwiecień 2001, ggg.qub.c.uk/ggg/papers/full/2001/rpo2/rpo2/html.
62. Morner, cyt. Derbyshire, *op. cit.*, s. 154.
63. Derbyshire, *op. cit.*, s. 153.
64. *Ibidem*, s. 153.
65. Kilka najlepszych opracowań zebrano w B.P. Radhakrishna i S.S. Merh (wyd.) *Vedic Saraswati: Evolutionary History of a Lost River of Northwestern India*, Bangalore 1999.
66. Coxon i in., artykuł w „Journal of Quaternary Science”, nr 11 (6), 1996, s. 495–510, patrz 495.
67. *Ibidem*, s. 495.
68. Shroder, Owen, Derbyshire *Quaternary Glaciation* w: Shroder, *op. cit.*, s. 133.
69. Coxon i in., *op. cit.*, s. 498.
70. Daniel Vuichard i Markus Zimmerman *The 1985 Catastrophic Drainage...*, „Mountain Research and Development”, 1987, t. 7, nr 2, s. 91–100, patrz 91.
71. Lewis A. Owen *Neotectonics and glacial...*, „Tectonophysics”, nr 163, 1989, s. 227–265, patrz 237.
72. Butler, Owen i Prior *Flashfloods, earthquakes and uplift in the Pakistan Himalayas*, „Geology Today”, nr 197, listopad-grudzień 1998.
73. Kenneth Hewitt *Natural dams and outburst floods of the Karakoram Himalaya* w: *Hydrological Aspects of Alpine and High Montane Areas* (referaty wygłoszone na sympozjum w Exeter, lipiec 1982), IAHS publ., nr 138, patrz s. 259.
74. *Ibidem*, s. 259.
75. Znowu mamy do czynienia z wyjątkiem w tej kwestii – Radhakrishna i Merh, *op. cit.*
76. Elise Van Campo, artykuł w: „Quaternary Research”, 1986, nr 26, s. 376–378, patrz 376 i 384.
77. *Ibidem*, s. 385.
78. *Ibidem*, s. 384–385.
79. *Ibidem*, s. 385.
80. Patrz rozdział 2.
81. Thomas J. Crowley i Gerald R. North *Paleoclimatology*, Oksford 1991, s. 62.
82. Lawrence Guy Straus i in. *Humans at the End of the Ice Age*, Nowy Jork i Londyn 1996, s. 66,
86. Młodszy Dryas oznacza europejską fazę oziębienia, choć miało ono skalę globalną. Z tego powodu ta sama faza jest różnie nazywana w innych częściach świata.
83. Crowley i North, *op. cit.*, s. 63.
84. Adams i Otte określają początek Młodszego Dryasu na 12 800 i koniec na 11 400 kalendarzowych lat temu, „Current Anthropology”, 1999, t. 40, s. 73–77, patrz s. 73.
85. Straus i in., *op. cit.*, s. 86.
86. Adams i Otte, *op. cit.*, s. 73.
87. *Ibidem*, s. 73.
88. A.A.J. Williams i M.F. Clarke *Late Quaternary environments in north-central India*, „Nature”, 12 kwietnia 1984, t. 308, s. 633–635, patrz s. 633.
89. Patrz także B.P. Radhakrishna *Vedic Saraswati and the Dawn of Indian Civilization* w: Radhakrishna i Merh, *op. cit.*, s. 7–8.
90. Crowley i North, *op. cit.*, s. 62.

Część trzecia INDIE (2)

Rozdział 8. Królestwo z bajki

1. Deo Prakash Sharma *Harappan Seals, Sealings and Copper Tablets*, Delhi 2000, s. 20–21.
2. Jonathan Mark Kenoyer *Ancient Cities of the Indus Valley Civilization*, Oksford 1998, s. 112.
3. *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia*, t. 12, s. 846.
4. Kontakt osobisty z Harim Shankharem, nauczycielem jogi – Madras, południowe Indie.
5. Kenoyer, *op. cit.*, s. 112.
6. Sharma, *op. cit.*, s. 20.
7. Doskonałe studium natury Śiwy przedstawiła Stella Kamriscch *The Presence of Shiva*, Delhi 1988.
8. S.R. Rao *Dawn and Devolution of the Indus Civilization*, New Delhi 1991, s. 306.
9. Patrz omówienie u Kenoyera, *op. cit.*, s. 110.
10. Gregory L. Possehl *Indus Age: The Beginnings*, Pensylwania 1999, s. 80.
11. Kenoyer, *op. cit.*, s. 113.
12. Wyczerpujące omówienie w rozdz. 9.
13. Patrz omówienie w rozdz. 7.
14. Possehl, *op. cit.*, s. 1.
15. Kapitan M.W. Carr (wyd.) *Descriptive and Historical Papers Relating to the Seven Pagodas of the Coromandel Coast* (pierwsze wydanie 1869), New Delhi 1984.
16. Shulman i Alan Dundes (wyd.) *The Flood Myth*, Kalifornia 1988, s. 294.
17. *Ibidem*, s. 294–295.
18. *Journal of Marine Archeology (JMA)*, t. 5–6, 1995–1996, 1997 i dalsze.
19. *Ibidem*, s. 7–8.
20. *Ibidem*, s. 7, 14 i dalsze.
21. Patrz rozdz. 1.
22. Wywiad z Rao, 29 lutego 2000 roku, cytowany w rozdziale 1.
23. *Ibidem*.
24. *Ibidem*.
25. S.R. Rao *The Lost City of Dvarka*, New Delhi 1999, wykres 55.
26. Wywiad z Rao, 29 lutego 2000.
27. JMA, *op. cit.*, s. 64.
28. Wywiad z Rao, 29 lutego 2000; i JMA, *op. cit.*, s. 64.
29. Wiele reprodukcji umieszczono w książce Rao *The Lost City of Dvarka*, *op. cit.*
30. Kryszna jako awatar Wisznu – np. Danielou.
31. Wywiad z Rao, 29 lutego 2000 roku.
32. *Ibidem*.
33. Jak na przykład w 2001 roku.
34. Ananda K. Coomaraswamy *Myths of the Hindus and Buddhists*, Nowy Jork 1967, s. 393.

Rozdział 9. Zagadkowe Czerwone Wzgórze

1. Alain Danielou *The Myths and Gods of India*, Rochester 1991, s. 221.
2. Patrz omówienie w książce Ramany *Arunachela: Ocean of Divine Grace*, Tiruwannamalai 1998, s. 1.
3. M.C. Subramanian *Glory of Arunachela*, Tiruwannamalai 1999, s. 93.
4. *Ibidem*, s. 100.
5. *Ibidem*, s. 103.
6. *Ibidem*, s. 104.
7. Skandananda *Arunachela Holy Hill*, Tiruwannamalai 1995, s. xi.
8. *Ibidem*, s. xi.
9. Subramanian, *op. cit.*, s. 104; Skandananda, *op. cit.*, s. xix.
10. Skandananda, *op. cit.*, s. xi, przyp. 20.
11. John E. Mitchiner *Traditions of the Seven Rishis*, Delhi 1982, s. 206.
12. *Ibidem*, s. 208.
13. *Ibidem*, s. 206.

14. Subramanian, *op. cit.* s. 106.
15. Skandananda, *op. cit.*, s. xi.
16. Subramanian, *op. cit.*, s. 104.
17. *Skandapurana*, t. 12, rozdz. 2, wers 52.
18. *Arunaczela Mahatmajan*, s. 16.
19. „Tiruwannamalaj i otoczenie to prawdziwy geologiczny raj, powinno się je uznać za skarb narodowy” – wykład T. V. Viswanathana, byłego wicedyrektora instytutu badań geologicznych Indii, który wręczono mi w aśramie Śri Ramana.
20. Patrz np. Jonathan Mark Kenoyer *Ancient Cities of the Indus Valley Civilization*, Oksford 1998, s. 110.
21. Uważny czytelnik znajdzie przykład w ustępie cytowanym wcześniej w tym rozdziale.
22. W.J. Wilkins *Hindu Mythology*, New Delhi 1991, s. 265–266.
23. Jan Knappert *Indian Mythology*, Londyn 1995, s. 228 i 230; *New Larousse Encyclopaedia of Mythology*, Londyn 1989, s. 341.
24. Stella Kamrishi *The Presence of Shiva*, Motilal Banarsidass 1988, s. 7.
25. Alfred Hildebrandt *Vedic Mythology*, Delhi 1990, t. 2, s. 289; Wilkins, *op. cit.*, s. 266.
26. Hildebrandt, *op. cit.*, t. 2, s. 282; Wilkins, *op. cit.*, s. 266.
27. Danielou, *op. cit.*, s. 192–194.
28. Ralph T. Griffith (tłum.) *Hymns of the Rigveda*, Delhi 1987 (pierwsze wydanie 1889), t. 1, s. 318 i 319.
29. *Ibidem*, t. 1, s. 162–163.
30. *Rig Veda*, 10.136.7, u Hildebrandta, *op. cit.*, s. 287; Kamrishi, *op. cit.*, s. 20–21, 83–84, 424–426.
31. Griffith, *op. cit.*, t. 2, s. 287; t. 1, s. 162; Wilkins, *op. cit.*, s. 265–266.
32. Kamrishi, *op. cit.*, s. 21.
33. *Ibidem*, s. 119 i 123.
34. Griffith, *op. cit.*, 8.13.20.
35. *Larousse*, s. 376.
36. *Ibidem*, s. 337.
37. Danielou, *op. cit.*, s. 209.
38. Wilkins, *op. cit.*, s. 102–103.
39. Kamrishi, *op. cit.*, s. 425–426.
40. Mitchiner, *op. cit.*, s. 190–191.
41. *Bhagwatapurana*, 6.15.11, Delhi 1978, t. 8, s. 856.
42. David Goodman (wyd.) *Be As You Are: The Teachings of Sri Ramana*, New Delhi 1992, s. 1.
43. *Ibidem*, s. 1.
44. *Ibidem*, s. 1.
45. *Ibidem*, s. 3.
46. *Skandapurana* i *Arunaczela mahatmja*.
47. Na przykład inkaskie mity o Tiahuanaco, azteckie – o Teotihuacan, kosmologia Edfu ze starożytnego Egiptu.
48. Patrz omówienie w *Strażniku tajemnic*, rozdz. 12.
49. Cytowany powyżej: Subramanian, *op. cit.*, s. 104.
50. Patrz omówienie w następnym rozdziale.
51. C. Ramachandran Dikshitar *Studies in Tamil Literature and History*, Madras 1983, s. 7.
52. Św. Bernard z Clairvaux *O rozwadze*, cyt. Robert Lawlor *Sacred Geometry*, Londyn 1989, s. 6.
53. Patrz omówienie w *Śladach palców bogów* i *Zwierciadło nieba*.
54. *Ibidem*.
55. Patrz *Ślady palców bogów*.
56. Giorgio de Santillana i Hertha von Dechend *Hamlet's Mill*, Boston, 1992.
57. Patrz *Ślady palców bogów*.
58. Patrz *Ślady palców bogów* i *Zwierciadło nieba*.
59. Santillana i von Dechend, *op. cit.*
60. Patrz *Zwierciadło nieba*.
61. Patrz *Zwierciadło nieba*, gdzie przedstawiłem pierwszą siatkę geograficzną.
62. Wilkins, *op. cit.*, s. 353.
63. Danielou, *op. cit.*, s. 160.

64. *Ibidem*, s. 220–221.
65. V. Naryanaswamy *Thiruvannamalai*, Madras 1992, s. 17.
66. S. Kamrisch, *op. cit.*, s. 83–84, patrz także *Rigveda*, 7.59.12.
67. Donald A. McKenzie *India: Myths and Legends*, Londyn 1987, s. 146–147.
68. M. Sundarraj *Rig Vedic Studies*, Madras 1997, s. 83.
69. *Ibidem*, s. 83.
70. Griffith, *op. cit.*, 1.154.1–3.
71. *Ibidem*, 1.155.4.
72. *Ibidem*, 1.155.6.
73. *Ibidem*, 6.49.13.
74. *Ibidem*, 1.164.11.
75. Patrz *Ślady palców bogów*, część 5.
76. Richard L. Thompson *Mysteries of the Sacred Universe: the Cosmology of the Bhagwatapura-na*, Floryda 2000.
77. *Ibidem*, s. 47.
78. *Ibidem*, s. 239.
79. *Ibidem*, s. 269.
80. *Ibidem*, s. 104.
81. *Ibidem*, s. 104.
82. *Ibidem*, s. 105–106.
83. Schulman w Alan Dundes (wyd.) *The Flood Myth*, Kalifornia 1988, s. 295.

Rozdział 10. Poszukiwanie Kumari Kadam

1. Patrz w C. Ramachandran Dikshitar *Studies in Tamil Literature and History*, Madras 1983, roz. 1.
2. Obszerne omówienie w K.N. Shivaraja Pillai *The Chronology of the Early Tamils*, Madras 1932.
3. *Ibidem*, s. 19.
4. *Ibidem*, s. 20.
5. Twierdzi się na przykład, że narodowy epos etiopski *Kebrā Nagast* (Świetność Królów) został stworzony, żeby legitymizować dynastię Salomona.
6. Pillai, *op. cit.*, s. 19.
7. Dikshitar, *op. cit.*, s. 5.
8. *Ibidem*, s. 5.
9. *Ibidem*, s. 5–6, 13–14; P. Ramanathan *A New Account of the History and Culture of the Tamils*, Madras 1998, s. 8–10; T.R. Sessa Iyenagar *Dravidian India*, New Delhi 1995, s. 154.
10. Dikshitar, *op. cit.*, s. 6.
11. N. Mahalingam *Kumari Kadam – The Lost Continent*, opracowanie przygotowane na V Międzynarodową Konferencję/Seminarium Badań nad Tamilami, Maduraj, w styczniu 1981 roku, s. 2, 59–60.
12. Kontakt osobisty z dr. T.N.P. Haranem, American College, Maduraj.
13. *Ibidem*.
14. Dikshitar, *op. cit.*, s. 7.
15. *Ibidem*, s. 7.
16. *Ibidem*, s. 7.
17. *Ibidem*, s. 8.
18. *Ibidem*, s. 8.
19. Dr D. Devakunjari *Madurai Through the Ages*, Madras, b.d., s. 26.
20. Dikshitar, *op. cit.*, s. 8.
21. Pillai, *op. cit.*, s. 19.
22. Dikshitar, *op. cit.*, s. 4.
23. *Ibidem*, s. 4.
24. *Ibidem*, s. 5.
25. Pillai, *op. cit.*, s. 21. Patrz także s. 19.
26. V. Kanakasabhai *The Tamils Eighteen Hundred Years Ago*, Madras 1966, s. 21.
27. *Ibidem*, s. 21, przyp. 3.
28. *Ibidem*, s. 21, przyp. 3; Dikshitar, *op. cit.*, s. 13–14.
29. Ramanathan, *op. cit.*, s. 8.

30. *Ibidem*, s. 8–9. Dikshitar, *op. cit.*, s. 14. W komentarzu na temat *Tolkappiyam* Per-Asjjar nazywa ten zaginiony ląd nie Kumari Kandam, lecz Panajnadu.
31. Ramanathan, *op. cit.*, s. 32.
32. *Ibidem*, s. 32–33.
33. Sesha Iyenagar, *op. cit.*, s. 24, 25.
34. Dr M. Sundaram, profesor i dziekan Wydziału Tamiłskiego, Presidency College, Madras, referat *The Cultural Heritage of the Ancient Tamils*.
35. Shulman u Alan Dundes (wyd.) *The Flood Myth*, Kalifornia 1988, s. 301.
36. William Geiger *The Mahavamsa, or The Great Chronicle of Ceylon*, New Delhi 1986 (pierwsze wydanie 1912), s. ix–x.
37. N.K. Managalamurugesan *Sangam Age*, Madras 1982, s. 47.
38. Radzawali, t. 2, s. 180, 190 cyt. w Kanakasabhai, *op. cit.*, s. 21.
39. R. Spence Hardy *The Legends and Theories of the Buddhists*, Delhi 1990 (pierwsze wydanie 1866), s. 6.
40. *Ibidem*, s. 6.
41. *Ibidem*, s. 6.
42. Patrz rozdziały 6 i 10.
43. Tennant *Ceylon*, t. 1, s. 6 i 7, cyt. u Kanakasabhai, *op. cit.*, s. 21, przypis 4.
44. Mahalingam, *op. cit.*, s. 2–54.
45. *Ibidem*, s. 2, 59–60.
46. *Ibidem*, s. 2–54.
47. Dikshitar, *op. cit.*, s. 17, cyt. *Triuwilajadal Puranam*.
48. Dr D. Devakunjari, *op. cit.* Ściślej mówiąc „jego dwa boki z północy na południe mierzą 720 i 729 stóp, dwa boki ze wschodu na zachód mierzą 834 i 852 stopy”.
49. Dokładne wymiary Wielkiej Piramidy w Egipcie podaje w *Śladach palców bogów*, cz. 4.
50. John Howley, Jada Bahrata Dasa *Holy Places and Temples in India*, Spiritual Guides 1996, s. 587.
51. V. Meena *South India: A Travel Guide*, s. 35, Hari Kumari Arts, Kanyakumari.
52. Howley i Dasa, *op. cit.*, s. 589.
53. Devakunjari, *op. cit.*, s. 217.
54. T.G.S. Balaram Iyer *History and Description of Sri Meenakshu Temple*, Maduraj 1999, s. 7; Devakunjari, *op. cit.*, s. 214.
55. Przykłady w Salonie Harappy Narodowego Muzeum Archeologicznego, New Delhi.
56. Sesha Iyenagar, *op. cit.*, s. 100.
57. Cyt. w *Ibidem*, s. 100.
58. Cyt. David Frawley *The Oracle of Rama*, Delhi 1999, s. 140.
59. Patrz rozdz. 6.
60. Cytowany wcześniej w tym rozdziale.
61. Mahalingam, cytowany wcześniej w tym rozdziale.
62. Pillai, *op. cit.*, s. 24.
63. Cytowany wcześniej w tym rozdziale.
64. Dikshitar, *op. cit.*, s. 9.
65. *Ibidem*, s. 9.
66. Przynajmniej takie były moje doświadczenia.
67. Patrz rozdz. 1.

Rozdział 11. Zgubione lata

1. Gregory L. Possehl *Indus Age: The Beginnings*, Pensylwania 1999, s. 431. Ten autor jest szczególnie krytycznie nastawiony do teorii napięć klimatycznych.
2. *Ibidem*, s. 410–411, cytuje Sauera.
3. „Times”, 20 lipca 2001, cytuje wystąpienie dr. Kevina Pope’a z Society for American Archeology (Amerykańskiego Towarzystwa Archeologicznego) w Nowym Orleanie.

Rozdział 12. Wyspa piramid

1. James Lyon *Maldives*, „Lonely Planet”, lipiec 1997, s. 17.

2. *Encyclopaedia Britannica, Macropaedia*, s. 174; Lyon, *op. cit.*, s. 17–18; *Hello Maldives*, Malediwy 1999, s. 10.
3. Thor Heyerdahl *The Maldives Mystery*, Londyn 1988, s. 197.
4. Omów. u Oppenheimera *Eden in the East: The Drowned Continent of Southeast Asia*, Londyn 1998, s. 46–47.
5. *Encyclopaedia Britannica, Macropaedia*, s. 174.
6. Lyon, *op. cit.*, s. 11.
7. Heyerdahl, *op. cit.*
8. Muzeum Kon Tiki – *Archeological Test-Excavations on the Maldive Islands*, „Occasoonan Papers”, Oslo 1991, t. 2, s. 66.
9. Heyerdahl, *op. cit.*, s. 197–198.
10. Mohamed Amin, Duncan Willetts, Peter Marshall *Journey Through the Maldives*, Nairobi 1992, s. 16.
11. *Ibidem*, s. 16–17.
12. *Archeological Test-Excavation-the Maldive Islands, op. cit.*
13. *Ibidem*, s. 66–73.
14. *Divehi Writing Systems*, National Centre for Linguistic and Historical Research, Malediwy 1999, s. 5.
15. *Archeological Test-Excavation-the Maldive Islands, op. cit.*, s. 70.
16. *Ibidem*, s. 71–72.
17. *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia*, t. 10, s. 837.
18. Clarence Maloney *People of the Maldive Islands*, Madras 1980, cyt. w *Archeological Test-Excavation on the Maldive Islands, op. cit.*, s. 70.
19. Amin i in., *op. cit.*, s. 12.
20. T.R. Sessa Iyenagar *Dravidian India*, New Delhi 1995, s. 101.
21. Sessa Iyenagar, cyt. wcześniej.
22. Wywiad autora z Naseemą Mohamed, Male, luty 2001.
23. Heyerdahl, *op. cit.*, s. 169.
24. *Ibidem*, s. 220.
25. Amin i in., *op. cit.*, s. 20; Marshall nie wspomina o tym, że potrawy były wciąż ciepłe, kiedy je zjadano; informację tę podała Naseema Mohamed podczas rozmowy ze mną.
26. Ralph T. Griffith (tłum.) *Hymns of the Rigveda, op. cit.*, 1.116.3–5.
27. *Ibidem*, 1.182.5–6.
28. Heyerdahl, *op. cit.*, s. 159.
29. *Ibidem*, s. 312.
30. *The Columbia Encyclopedia*, 6 wyd., 2001.

Rozdział 13. Duchy w wodzie

1. Patrz rozdz. 8.
2. Patrz rozdz. 8.
3. Charles H. Hapgood *Maps of Ancient Sea Kings*, Adventures Unlimited Press (reprint), 1996, s. 134–135.
4. *Ibidem*, s. 135.

CZEŚĆ CZWARTA STAROŻYTNE MAPY

Rozdział 14. Terra incognita

1. Damiao Peres *A History of the Portuguese Discoveries*, Lizbona 1960, s. 56–72.
2. *Ibidem*, s. 87.
3. *Ibidem*, s. 87.
4. *Ibidem*, s. 87.
5. *Ibidem*, s. 87.
6. *Ibidem*, s. 87.

7. *Ibidem*, s. 113.
8. *Ibidem*, s. 88.
9. *Ibidem*, s. 89–90.
10. *Ibidem*, s. 93: „Tak ówczesnie nazywano wraki statków, z których ani nie uratowali się członkowie załogi, ani nie ocalał ładunek”.
11. *Ibidem*, s. 92.
12. *Ibidem*, s. 89–91.
13. *Ibidem*, s. 93.
14. *Ibidem*, s. 93.
15. *Ibidem*, s. 94.
16. *Ibidem*, s. 113.
17. *Ibidem*, s. 113.
18. *Ibidem*, s. 114.
19. *Ibidem*, s. 115.
20. *Ibidem*, s. 115.
21. Thomas Suarez *Early Mapping of Southeast Asia*, Hongkong 1999, s. 64, 85.
22. Peres, *op. cit.*, s. 112.
23. Informacje o mapie Cantina z 1502 znajduje się pod adresem www.henry-davis.com/MAPS/Ren/Ren1/306mono.html.
24. Peres, *op. cit.*, s. 99.
25. Informacje o mapie Cantina z 1502, *op. cit.*, s. 1; Peres, *op. cit.*, s. 99; John Goss *The Mapmaker's Art: A History of Cartography*, Londyn 1994, s. 64.
26. Uwagi o Cantinie, *op. cit.*, s. 1.
27. Goss, *op. cit.*, s. 64.
28. Np. patrz *Ibidem*, s. 64; Peres, *op. cit.*, s. 99 i dalsze.
29. Goss, *op. cit.*, s. 34.
30. *Ibidem*, s. 34.
31. *Ibidem*, s. 34.
32. *Ibidem*, s. 34.
33. Patrz *ibidem*, s. 35.
34. *Ibidem*, s. 35–40.
35. *Ibidem*, s. 35.
36. *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia*, t. 9, s. 775.
37. O.A.W. Dilke *Greek and Roman Maps*, Cornell 1985, s. 75.
38. *Ibidem*, s. 75; Mostafa El-Abbadī *Life and Fate of the Ancient Library of Alexandria*, Paryż 1992, s. 141.
39. Dilke, *op. cit.*, s. 75.
40. *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia*, t. 9, s. 775.
41. Patrz omówienie u Dilke'a, *op. cit.*, s. 80–81.
42. J. Olivier Thomson *History of Ancient Geography*, Nowy Jork 1995, s. 337.
43. *Ibidem*, s. 336.
44. Robert H. Fuson *Legendary Islands of the Ocean Sea*, Floryda 1995, s. 11.
45. *Ibidem*, s. 18–19.
46. *Ibidem*, s. 18.
47. *Ibidem*, s. 15–16.
48. *Ibidem*, s. 17. Ciekawe, że Posejdonios poprzednio obliczył obwód Ziemi na 27 000 mil, czyli bliżej rzeczywistej wartości, a potem zmienił zdanie. Patrz Gregory C. McIntosh *The Piri Reis Map of 1513*, Georgia 2000, s. 15.
49. J. Lennart Berggren i Alexander Jones *Ptolemy's Geography: An Annotated Translation of the Theoretical Chapters*, Princeton 2000, s. 22.
50. *Ibidem*, s. 22.
51. Dilke, *op. cit.*, s. 72.
52. Cyt. *ibidem*, s. 73.
53. Patrz także *ibidem*, s. 81: „Z badań E. Polasheka wynika, że na różnych grupach manuskryptów wprowadzano w starożytności korektę współrzędnych, a przynajmniej zrobił to Ptolemeusz”.
54. Patrz Fuson, *op. cit.*, s. 18.

55. Dilke, *op. cit.*, s. 155–156.
56. *Ibidem*, s. 157.
57. Goss, *op. cit.*, s. 25.
58. *Ibidem*, s. 25.
59. A.E. Nordenskiöld *Facsimile Atlas to the Early History of Cartography with Reproductions of the Most Important Maps Printed in the XV and XVI Centuries*, Nowy Jork 1973 (reprint – pierwsze wydanie 1889), s. 45.
60. *Ibidem*, s. 45.
61. *Ibidem*, s. 45.
62. Goss, *op. cit.*, s. 41.
63. Dilke, *op. cit.*, s. 180.
64. Goss, *op. cit.*, s. 41.
65. Dilke, *op. cit.*, s. 180.
66. *Ibidem*, s. 180. Ponadto Barry Fell znalazł niezbite dowody na stosowanie igły magnetycznej przez żeglarzy z terenu obecnej Hiszpanii jeszcze w czasach przedromańskich; „Occasional Publications of the Epigraphic Society”, nr 3/57.
67. Nordenskiöld, *op. cit.*, s. 46.
68. Charles H. Hapgood *Maps of Ancient Sea Kings*, Adventures Unlimited Press (reprint), 1996, s. 116.
69. *Ślady palców bogów*.
70. Sharif Sakr, korespondencja elektroniczna z G. McIntoshem, 9 października 2000 roku.
71. Goss, *op. cit.*, s. 41.
72. Nordenskiöld, *op. cit.*, s. 48.
73. Peter Whitfield *The Charting of the Oceans: Ten Centuries of Maritime Maps*, Kalifornia 1996, s. 16.
74. *Ibidem*, s. 17.
75. *Ibidem*, s. 19.
76. *Ibidem*, s. 19.
77. *Ibidem*, s. 19.
78. Goss, *op. cit.*, s. 41; Dilke, *op. cit.*, s. 180–181.
79. Goss, *op. cit.*, s. 41.
80. Nordenskiöld, *op. cit.*, s. 48.
81. A.E. Nordenskiöld *Periplus: The early History of Charts and Sailing Directions*, Nowy Jork 1967 (reprint), s. 45.
82. *Ibidem*, s. 45.
83. Nordenskiöld *Facsimile Atlas*, s. 48.
84. *Ibidem*, s. 48.
85. *Ibidem*, s. 48.
86. *Ibidem*, s. 48.
87. *Ibidem*, s. 48.
88. Svat Soucek *Piri Reis and Turkish Mapmaking after Columbus*, Oksford 1996, s. 27.
89. Nordenskiöld *Facsimile Atlas*, s. 43.
90. Frances Gibson *The Seafarers: Pre-Columbian Voyages to America*, Filadelfia 1974, s. 253; McIntosh, *op. cit.*, s. 31; Fuson, *op. cit.*, s. 119.
91. Patrz Goss, *op. cit.*, s. 54–55; Soucek, *op. cit.*, s. 61–64; Fuson, *op. cit.*, s. 119; Dilke, *op. cit.*, s. 177.
92. Nordenskiöld *Periplus*, s. 10.
93. Fuson, *op. cit.*, s. 9.
94. *Ibidem*, s. 119–120.
95. Np. Atlas Kataloński, patrz www.bnf.fr/en/luminures/manuscripts/aman6.htm.
96. Krzysztof Kolumb, 1484, cytowany w *Historie*, 1571, cyt. u Fusona, *op. cit.*, s. 185.
97. Nordenskiöld *Periplus*, s. 15.
98. *Ibidem*, s. 14–15.
99. Dilke, *op. cit.*, s. 180.
100. David Lewis *We the Navigators: The Ancient Art of Landfinding in the Pacific*, Honolulu 1994, s. 292.
101. *Ibidem*, s. 292.
102. *Ibidem*, s. 292.

103. *Ibidem*, s. 90.
104. Patrz rozdz. 13.
105. Udokumentowane na mapach Milne'a, reprodukowanych w rozdz. 7 i 11.
106. Nordenskiöld *Periplus*, s. 47.

Rozdział 15. Pamięć o mapach

1. *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia*, t. 9, s. 571.
2. Marco Polo *The Travels of Marco Polo*, wyd. Wordsworth, Classics, 1997, s. 205–211; Marco Polo *The Travels*, Londyn 1982, s. 243–249; Robert H. Fuson *Legendary Islands of the Ocean Sea*, Floryda 1995, s. 203.
3. *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia*, t. 9, s. 571–573.
4. Polo *Travels*, wyd. Penguin, s. 243; Polo *Travels*, wyd. Wordsworth, s. 207.
5. Polo, *ibidem*, s. 207.
6. John Larner *Marco Polo and the Discovery of the World*, Yale 1999, s. 153.
7. Polo *Travels*, wyd. Penguin, s. 258.
8. Polo *Travels*, wyd. Wordsworth, s. 224; Polo *Travels*, wyd. Penguin, 258.
9. Polo *Travels*, wyd. Wordsworth, s. 224.
10. *Ibidem*, s. xv.
11. Polo *Travels*, Penguin, s. 258–259.
12. Cyt. Thomas Suarez *Early Mapping of Southeast Asia*, Hongkong 1999, s. 44.
13. Patrz szczególnie rozdz. 6 i 10.
14. Rozdz. 6 i 10.
15. Suarez, *op. cit.*, s. 44.
16. *Ibidem*, s. 44.
17. *Ibidem*, s. 44.
18. *Ibidem*, s. 44
19. *Ibidem*, s. 44: „Geografia Ptolemeusza i sporządzone na jej podstawie mapy pozostawały w owym czasie w Europie praktycznie nieznanne, nawet wśród uczonych, i tak było aż do powrotu Polo. Tak więc to nie on wprowadził ten kluczowy błąd Ptolemeusza, którego sam nie rozumiał. Ptolemejską Geografię znali Arabowie i poważnie wpłynęła na ich obraz Azji Południowo-Wschodniej. Lecz fakt, iż na mapie, którą widział Polo, zachowały się nieprawidłowe wymiary Cejlonu, potwierdza pogląd, że miejscowi piloci prowadzili statki według zapisków nawigacyjnych i nie zaglądali do map”.
20. Np. Taprobana na niektórych mapach utożsamiana z Sumatrą.
21. Patrz rozdz. 14.
22. Patrz rozdz. 14.
23. Patrz omówienie w rozdz. 14.
24. Suarez, *op. cit.*, s. 44.
25. Patrz rozdz. 14.
26. Sharif Sakr *Was the World Mapped Before the End of the Ice Age?*, opracowanie dla Grahama Hancocka, 5 lutego 2001 roku.
27. Luis Vaz de Camoes *The Lusiades*, Oksford 1997, s. 221.
28. Sharif Sakr, *op. cit.*
29. Najbardziej szczegółowy opis zatopienia Sundalandu znajduje się u Oppenheimera *Eden in the East: The Drowned Continent of Southeast Asia*, Londyn 1998.
30. Armando Cortesao *The Suma Oriental of Tome Pires and the Book of Francisco Rodrigues*, New Delhi 1990, t. 1, s. xi.
31. Cortesao Wstęp do *Suma Oriental*, *ibidem*, t. 1, s. xiii.
32. Cortesao Wprowadzenie do *Suma Oriental*, *ibidem*, s. xi.
33. Cortesao Wstęp do *Suma Oriental*, *ibidem*, s. xiii–xviii.
34. *Ibidem*, s. xiii.
35. *Ibidem*, s. xiii.
36. *Ibidem*, s. lxxviii.
37. *Ibidem*, s. 128, przypis.
38. *Ibidem*, s. lxxviii.
39. *Ibidem*, s. 45.

40. *Ibidem*, s. 45–46.

41. 3 września 2001, „Bardzo interesujące informacje od Piresa” – e-mail od Sharifa Sakra do Grahama Hancocka.

Rozdział 16. Poszukiwanie Zaginionej na drodze donikąd

1. Cyt. Robert H. Fuson *Legendary Islands of the Ocean Sea*, Floryda 1995, s. 62.

2. Cyt. Gregory McIntosh *The Piri Reis Map of 1513*, Georgia 2000, s. 74.

3. Fuson, *op. cit.*, s. 43.

4. *Ibidem*, s. 62.

5. Frances Gibson *The Seafarers: Pre-Columbian Voyages to America*, Filadelfia 1974, s. 9 i dalsze.

6. *Ibidem*, s. 9 i dalsze.

7. *Ibidem*, s. 9–11.

8. Cyt. Fuson, *op. cit.*, s. 23.

9. Platon *Timaios*, *op. cit.*, 24 E–25 B.

10. *Ibidem*.

11. Seneka, *Medea*, tłum. E. Wesołowska, Poznań 2000, s. 19.

12. *Ibidem*, s. 30.

13. Svat Soucek *Piri Reis and Turkish Mapmaking after Columbus*, Oksford 1996, s. 58.

14. McIntosh, *op. cit.*, s. 140.

15. Soucek, *op. cit.*, s. 59; McIntosh, *op. cit.*, s. 50–51.

16. McIntosh, *op. cit.*, s. 73.

17. *Ibidem*, s. 73.

18. Szerzej o *Bahriye* u Souceka, *op. cit.*, s. 84 i dalsze.

19. *Ibidem*, s. 99.

20. Np. McIntosh, *op. cit.*, s. 17, 19.

21. *Ibidem*, s. 17, 19.

22. Fuson, *op. cit.*, s. 186.

23. O przedpotopowych wyspach na średniowiecznych mapach czytaj u Fusona, *op. cit.*

24. *Ibidem*.

25. Np. McIntosh, *op. cit.*, s. 31 i 72; Dora Beale Polk *The Island of California: The History of a Myth*, Nebraska 1991, s. 24.

26. George Firman *Atlantis: A Definitive Study*, Kalifornia 1985, s. 33.

27. Witalij Kudriawcew, inny poszukiwacz Atlantydy, powołuje się na izostazję i teorię wyrzuszania.

28. Firman, *op. cit.*, s. 33, 36–37.

29. *Ibidem*, s. 33.

30. *Ibidem*, s. 33.

31. *Ibidem*, s. 75.

32. Platon, *op. cit.*

33. Z pewnych niewyjaśnionych przyczyn władze Związku Radzieckiego bardzo interesowały się podwodnymi badaniami ruin zaginionych cywilizacji, zwłaszcza na Atlantyku.

34. National Geographic News (www.nationalgeographic.com/news), 13 lipca 2001 roku.

35. Platon, *op. cit.*

36. Aczkolwiek niewielkich rozmiarów, przed potopem istniało też wiele wysp po wschodniej stronie Atlantyku. Jedną z nich zaś leżała w pobliżu Cieśniny Gibraltarskiej. Posługując się mapami zatopień, francuski naukowiec Jacques Collina-Girard z uniwersytetu w Aix-en-Provence zauważył niedaleko zachodniego krańca cieśniny wyspę (przez geologów zwaną Spartel), liczącą 14 kilometrów długości i 5 kilometrów szerokości, która znajdowała się tam od maksimum ostatniego zlodowacenia aż do chwili, gdy 11 000 lat temu została zalana wskutek podniesienia się poziomu morza. Collina-Girard uznał, że może to być Atlantyda. Patrz www.NewScientist.com, *Sea level study reveals Atlantis candidate*, tekst autorstwa Jona Copleya, 18 września 2001 roku. Warto przypomnieć, że nurkowie często donosili o odkryciu podwodnych ruin u wybrzeży Maroka i Hiszpanii. Jedną z relacji, zamieszczona w Stanach Zjednoczonych w „Orange County Register” w 1973 roku, donosi o wyprawie Maxine Asher z Pepperdine University do ruin leżących w odległości 20 kilometrów od wybrzeża Kadyksu w południowej Hiszpanii. Zanim policja zdołała zatrzymać wyprawę, zespół Asher ogłosił odkrycie „przedromańskich

i przedfenickich” starożytnych podwodnych ruin (patrz „Orange County Register”, 27 marca 1973 roku, 17 lipca 1973 roku, 22 lipca 1973 roku, 26 lipca 1973 roku, 22 sierpnia 1973 roku). Prawdopodobnie policja hiszpańska przestała się interesować sprawą, gdyż w 2000 roku ruszyła druga wyprawa pod kierownictwem Maxine Asher. Życzę jej szczęścia.

37. Szczegóły odkrycia patrz J. Manson Valentine *Underwater Archeology in the Bahamas*, „The Explorers Journal”, grudzień 1976, s. 176–183.

38. „National Geographic Research Reports”, t. 12, 1980, s. 35.

39. *Ibidem*, s. 22–24.

40. „Nature”, t. 230, 2 kwietnia 1971, s. 287–288.

41. „Nature”, t. 287, 4 września 1980, s. 11–12.

42. „The Explorers Journal”, grudzień 1976, s. 177.

43. Dr David Zink *The Stones of Atlantis*, Nowy Jork 1978, s. 50.

44. Mahlman and Zink *1980 Conference on Underwater Archeology*, Pensylwania, styczeń 1982, s. 4.

Rozdział 17. Metamorfoza Antilii

1. Historię tę usłyszałem w lipcu 2000 podczas filmowanego wywiadu z osiemdziesięcioletnim mieszkańcem Bimini, Alvinem Taylorem, który widział, jak amerykańska barka „Captain Webster” ładowała kamienne płyty z Drogi Bimini.

2. Mahlman i Zink *1980 Conference on Underwater Archeology*, Pensylwania, styczeń 1982, *op. cit.*, s. 2–3.

3. „Nature”, t. 287, 4 września 1980, s. 12.

4. *Ibidem*, s. 12.

5. Doniesienia Reutera, 14 maja 2001, poniedziałek, 11.59 czasu wschodniego.

6. *Ibidem*.

7. *Ibidem*.

8. Paul Weinzweg, współzałożyciel ADC, w rozmowie z Sharifem Sakrem, 21 maja 2001 roku.

9. Al Hine, geolog morski, University of South Florida, w rozmowie z Sharifem Sakrem, 21 maja 2001 roku.

10. Korespondencja elektroniczna Grenville Draper Sharif Sakr, 24 maja 2001 roku.

11. Krzysztof Kolumb, 1484, cytowany w *Historie*, 1571, cyt. Fuson, *op. cit.*, s. 185.

12. Charles Duff *The Truth About Columbus*, Londyn 1936, s. 28.

13. *Ibidem*, s. 116–117.

14. Cyt. *ibidem*, s. 127.

15. Cyt. *ibidem*, s. 123.

16. Cyt. *ibidem*, s. 123.

17. Cyt. *ibidem*, s. 128.

18. Cyt. *ibidem*, s. 129.

19. *Ibidem*, s. 27 i dalsze.

20. Robert H. Fuson *Legendary Islands of the Ocean Sea*, Floryda 1995, s. 113 i 114.

21. Gregory C. McIntosh *The Piri Reis Map 1513*, Georgia 2000, s. 91.

22. Duff, *op. cit.*, s. 131.

23. *Ibidem*, s. 127.

24. Cyt. *ibidem*, s. 141.

25. Cyt. *ibidem*, s. 142.

26. Cyt. *ibidem*, s. 142.

27. *Ibidem*, s. 222.

28. *Ibidem*, s. 222.

29. *Ibidem*, s. 225.

30. McIntosh, *op. cit.*, s. 113.

31. *Ibidem*, s. 91, 136.

32. *Ibidem*, s. 135–137.

33. *Ibidem*, s. 91.

34. *Ibidem*, s. 91.

35. *Ibidem*, s. 137 i 136.

36. *Ibidem*, s. 88.

37. *Ibidem*, s. 113.
38. *Ibidem*, s. 91.
39. *Ibidem*, s. 115–116.
40. *Ibidem*, s. 115.
41. *Ibidem*, s. 115.
42. Np. Toscanelli.
43. William Giles Nash *America: the True History of its Discovery*, Londyn 1924, s. 37.
44. *Ibidem*, s. 41–42.
45. Cyt. Duff, *op. cit.*, s. 103–104.
46. McIntosh, *op. cit.*, s. 73–74.
47. John Larner *Marco Polo and the Discovery of the World*, Yale 1999, s. 143–144.
48. Marco Polo *The Travels of Marco Polo*, wyd. Wordsworth Classics, 1997, s. 207. Polo opisuje pałac władcy Cipango: „Cały dach pokryty jest płytami złota, podobnie jak my pokrywamy domy, a raczej kościoły, ołowiem. Sufity są z tego samego drogiego metalu”.
49. Fuson, *op. cit.*, zwłaszcza s. 18 i dalsze.
50. *Ibidem*, s. 193.
51. *Ibidem*, s. 195–196.
52. *Ibidem*, s. 196.
53. *Ibidem*, s. 198.
54. *Ibidem*, s. 199–205.
55. *Ibidem*, s. 204–205.
56. *Ibidem*, s. 191.
57. *Ibidem*, s. 191.

Część piąta

JAPONIA, TAJWAN, CHINY

Rozdział 18. Ziemia umiłowana przez bogów

1. Donald L. Philippi *Norito: A Translation of the Ancient Japanese Ritual Prayers*, Princeton 1990, s. 53.
2. Cyt. Michael Czaja *Gods of Myth and Stone*, Nowy Jork 1974, s. 148.
3. Robert H. Fuson *Legendary Islands of the Ocean Sea*, Floryda 1995.
4. *Akita pyramid-shaped hill built in Jomon era, experts say*, „Japan Times”, Tokio, 16 listopada 1993.
5. *Ibidem*.
6. *Ibidem*.
7. *Ibidem*.
8. *Ibidem*.
9. *Ibidem*.
10. Irina Zhushchikovskaya *On Early Pottery-Making in the Russian Far East*, „Asian Perspectives”, t. 36, nr 2, jesień 1997, s. 159–174.
11. Douglas Moore Kenrick *Jomon of Japan: The World's Oldest Pottery*, Londyn 1995, s. 5.
12. Matsuo Tsukuda *Vegetation in Prehistoric Japan: The Last 20,000 Years*, „Studies in Archeology and Prehistory”, Michigan 1986.
13. Informacji dostarczył Kiyoji Koita, wiceprzewodniczący rady badań kultury prehistorycznej w Ena.
14. *Ibidem*.
15. *Ibidem*.
16. *Ibidem*; obserwacje i pomiary dokonane przez grupę badań prehistorii w Ena.
17. Informacji dostarczył Kiyoji Koita.
18. *Ibidem*.
19. *Omiwa Shrine*, Momiwa Jinja, Miwamachi Sakuraishi Naraken, Japonia, s. 7.
20. *Ibidem*, s. 1.
21. *Ibidem*, s. 1.
22. Obserwacje własne.
23. *Omiwa Shrine*, s. 7–8.

24. Omów. przez Steve'a Renshawa i Saori Iharę *Astronomy Amongst the Ancient Tombs and Relics in Asuka, Japan*, marzec 1997 (niepublikowane).
25. *Guide to the Asuka Historical Museum*, Asuka 1978, s. 29.
26. Uszkodzone latem 2000 roku, kiedy centralny monolit spadł z platformy; oficjalnie mówi się, że wskutek wyjątkowo silnych tajfunów.
27. PNAS, 31 lipca 2001, cyt. w doniesieniu Reutera, Waszyngton, 31 lipca 2001.
28. „Washington Post”, 31 lipca 2001 roku.
29. Betty Meggers, Clifford Evans i Emilio Estrada *Smithsonian Contributions to Anthropology*, t. 1, s. 160 i dalsze.

Rozdział 19. Pamięć

1. Nieliczni japońscy naukowcy, jak Yoshiro Daji i inni, rozważali możliwość, iż mity *Kojiki*, *Fudoki* i *Nihongi* pochodzą z okresu Jomon. Przypuszczenie to nie doczekało się aprobaty głównego akademickiego nurtu, które zwyczajowo przypisuje autorstwo mitów ludom Yayoi.
2. Patrz *New Larousse Encyclopaedia of Mythology*, Londyn 1989, s. 403 i dalsze oraz Post Wheeler *The Sacred Scriptures of the Japanese*, b.m. 1952, s. 393–438.
3. Juliet Piggott *Japanese Mythology*, Londyn 1969, s. 26.
4. Wheeler, *op. cit.*, s. xviii.
5. *Larousse*, s. 403. Ich zadaniem była recytacja starożytnych legend podczas wielkich shintoistycznych uroczystości.
6. Wheeler, *op. cit.*, s. xxii; *Larousse*, s. 404.
7. Wheeler, *op. cit.*, s. xxii. Nie jest jednak pewne, czy recytator był mężczyzną. *Larousse* (s. 404) czyni żeń kobietę – Hiedano-Arę, jedną z dam dworu.
8. Wheeler, *op. cit.*, xxii; *Larousse*, s. 404.
9. *The Kojiki; Records of Ancient Matters*, tłum. Basil Hall Chamberlain, na skrzydełkach obwoluty, Tokio 1993.
10. Wheeler, *op. cit.*, s. xxii.
11. *Ibidem*, s. xii.
12. *Nihongi: Chronicles of Japan from the Earliest Times to AD 697*, tłum. W.G. Aston, Tokio 1998.
13. Wheeler, *op. cit.*, s. xxiv.
14. Wheeler, *op. cit.*, s. xi, xviii; *Larousse*, s. 404.
15. *Larousse*, s. 404; Wheeler, *op. cit.*, s. xi, xxiv-xxv.
16. *Larousse*, s. 404; Wheeler, *op. cit.*, s. xi, xxiv-xxvi.
17. Patrz omówienie w *Larousse*, s. 404.
18. Robert Graves we wstępie do *Larousse*, s. v.
19. *Ibidem*, s. v.
20. Schliemann, który kierując się wskazówkami wydobytymi z mitów odkrył Troję.
21. Np. przypadek Immanuela Velikovskiego.
22. Alan Dundes (wyd.) *The Flood Myth*, Kalifornia 1988, s. 1.
23. Np. Matsuo Tsukuda *Vegetation in Prehistoric Japan: The Last 20,000 Years*, *op. cit.*, nr 12, Michigan 1986, s. 11.
24. „Prawdziwa historia Japonii zaczyna się w V wieku. Wszystko, co było wcześniej, należy do tradycji, która przetrwała nieprzerwanie przez 10 000 lat”, Romyn Hitchcock *Shinto. Or the Mythology of the Japanese*, sprawozdanie muzeum narodowego, 1891, s. 489. Rodzina cesarska twierdzi, że rządzi Japonią „od 2550 lat, a jej ród istnieje od 10 000 lat” (*op. cit.* s. 505).
25. Wheeler, *op. cit.*, s. 21.
26. *Nihongi*, s. 32; *Kojiki*, s. 50.
27. *Kojiki*, s. 51; *Larousse*, s. 407.
28. *Kojiki*, s. 51.
29. *Nihongi*, s. 33; *Kojiki*, s. 51.
30. *Nihongi*, s. 34.
31. *Kojiki*, s. 52.
32. *Kojiki*, s. 52–53; *Nihongi*, s. 34–35.
33. *Nihongi*, s. 35.
34. *Ibidem*, s. 40–41.

35. W tym samym duchu można tłumaczyć, że mit jest metaforą zaćmienia słońca albo stanowi odbicie „prymitywnego” lęku przed zaćmieniem itp.
36. W niektórych tłumaczeniach występują „miriady”, ale przypuszczalnie jest to błąd kopisty, a właściwe słowo to „zło” – patrz *Kojiki*, s. 66, przyp. 4.
37. *Kojiki*, s. 63.
38. O przypuszczalnym związku między wzmożoną aktywnością wulkaniczną, która nastąpiła pod koniec epoki lodowcowej, a podniesieniem się poziomu morza piszę w rozdziale 2.
39. *Nihongi*, s. 49.
40. *Ibidem*, s. 50.
41. T.E.G. Reynolds i S.C. Kanser, „Japan” w O. Soffer i G. Gamble *The World at 18,000 BP*, Londyn 1990, s. 227–241; Y. Igarishi *A late glacial climatic reversion in Hokkaido, north-east Asia, inferred from the Larix pollen record*, „Quaternary Science Reviews”, t. 15, 1996, s. 989–995; N. Ooi *Pollen Spectra from around 20,000 Years during the Last Glacial from the Nara Basin, Japan*, „The Quaternary Research (Japan)”, t. 31, 1992, s. 203–212; N. Ooi, M. Minaki i S. Noshiro *Vegetation changes around the Last Glacial Maximum and effects of the Aira-Tn Ash, at the Itai-Teragatani Site, Central Japan*, „Ecological Research”, t. 5, 1990, s. 81–91; N. Ooi i S. Tsuji *Palynological study of the Peat Sediments around the Last Glacial Maximum at Hikone, the East Shore of Lake Biwa, Japan*, „Journal of Phytogeography and Taxonomy”, t. 37, 1989, s. 37–42.
42. *Ibidem*.
43. *Nihongi*, s. 52; *Kojiki*, s. 71–73.
44. *Nihongi*, s. 55.
45. *Ibidem*, s. 10–12.
46. *Zwierciadło nieba*.
47. *Nihongi*, s. 15 i przyp. 1.
48. *Nihongi*, s. 15.
49. *Larousse*, s. 58–60.
50. *Nihongi*, s. 21; Wheeler, *op. cit.*, s. 12.
51. *Kojiki*, s. 32.
52. Patrz opowieść o Orfeuszu u W.K.C. Guthrie *Orpheus and Greek Religion*, Princeton 1993, s. 29 i dalsze; Persephone (Persefona) *Encyclopaedia Britannica*, t. 9, s. 307.
53. *Nihongi*, s. 24; *Kojiki*, s. 38.
54. *Kojiki*, s. 39; *Nihongi*, s. 24; *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia*, t. 9, s. 307.
55. *Nihongi*, s. 24, przyp. 2.
56. *Muir's Sanscrit texts*, t. 5, s. 329, cyt. *Nihongi*, s. 24, przyp. 2.
57. *Encyclopaedia Britannica*, t. 8, s. 1012.
58. *Nihongi*, s. 24.
59. *Ibidem*, s. 24; *Kojiki*, s. 39.
60. *Nihongi*, s. 24–25.
61. *Ibidem*, s. 25.
62. Wheeler, *op. cit.*, s. 16.
63. *Ibidem*, s. 290–291.
64. *Ibidem*, s. 291.
65. *Ibidem*, s. 291.
66. *Ibidem*, s. 291.
67. *Ibidem*, s. 292–293.
68. *Ibidem*, s. 292.
69. Juliet Piggott, *op. cit.*, s. 123–124.
70. *Nihongi*, s. 92.
71. *Kojiki*, s. 145.
72. Wheeler (*op. cit.*, s. 425) pisze o symbolicznej postaci Ognistego Blasku i Gasnącego Ognia w społeczności zbieracko-myśliwskiej. Archeologia potwierdza, że rybołówstwo i zasoby morza odgrywały dużą rolę u w epoce Jomon.
73. *Kojiki*, s. 145–146.
74. *Ibidem*, s. 146.
75. *Kojiki*, s. 146.
76. *Nihongi*, s. 92.

77. *Ibidem*, s. 92.
78. *Ibidem*, s. 92.
79. *Kojiki*, s. 146.
80. *Nihongi*, s. 92–93.
81. *Ibidem*, s. 93.
82. *Ibidem*, s. 93.
83. *Ibidem*, s. 93.
84. *Ibidem*, s. 93.
85. *Ibidem*, s. 94.
86. *Ibidem*, s. 94.
87. *Ibidem*, s. 94.
88. *Ibidem*, s. 95.
89. *Kojiki*, s. 155.
90. *Nihongi*, s. 94–95.
91. *Ibidem*, s. 95.
92. Wheeler, *op. cit.*, s. 89.
93. *Kojiki*, s. 147.
94. *Ibidem*, s. 156–157.
95. Wheeler, *op. cit.*, s. 425.

Rozdział 20. Yonaguni

1. Od punktu 1 do 8 dosłowne cytaty z prof. Kimury *Diving Survey Report for Submarine Ruins of Japan*, s. 178.
2. Punkty 9–12 z rozmowy z prof. Kimurą, cytowanej w *Zwierciadło nieba*.
3. Patrz jego wkład w mój serial telewizyjny z 1998 roku „Quest for the Lost Civilization” (W poszukiwaniu zaginionej cywilizacji).
4. Patrz *Zwierciadło nieba*.
5. Patrz *Zwierciadło nieba*.
6. „Horizon”, BBC2, 4 listopada 1999.
7. Robert Schoch *Voice of the Rocks*, Nowy Jork 1999, s. 111–112.
8. Patrz *Ibidem*, s. 112–113; *Zwierciadło nieba*.
9. Schoch, *op. cit.* s. 112.
10. Patrz *Zwierciadło nieba*.
11. „Der Spiegel”, nr 34/1999.
12. „Der Spiegel”, nr 34/1999.
13. www.grahamhancock.com, Articles.
14. Wywiad Tima Copestake’a dla serialu *Underworld* (Podwodny świat).
15. TBS.
16. TBS.
17. Sprawozdanie Sundaresha, patrz wyżej.
18. Otoczak stoczył się na bok, wisząc w połowie nad platformą.

Rozdział 21. Mapy Japonii i Tajwanu sprzed 13 000 lat

1. Lutz Walter (wyd.) *Japan: A Cartographic Vision*, Monachium, Nowy Jork 1994, s. 2.
2. Robert H. Fuson *Legendary Islands of the Ocean Sea*, Floryda 1995, s. 199.
3. Joseph Needham *Science and Civilization in China*, Cambridge 1979 (pierwsze wydanie 1959), t. 3, s. 497 i dalsze.
4. Patrz rozdz. 17.
5. Fuson, *op. cit.*, s. 196.
6. Patrz rozdz. 17.
7. Fuson, *op. cit.*, s. 196.

Rozdział 22. Kerama

1. *Collins English Dictionary*, Londyn 1982, s. 953.

Rozdział 23. Rekin u wrót

1. Janet B. Montgomery McGovern *Among the Head Hunters of Formosa*, Tajpej 1997 (pierwsze wydanie 1922), s. 39.
2. *Ibidem*, s. 39; Robert H. Fuson *Legendary Islands of the Ocean Sea*, Floryda 1995, *op. cit.*, s. 193.
3. *Encyclopaedia Britannica, Micropaedia*, t. 10, s. 272.
4. Post Wheeler *The Sacred Scriptures of the Japanese*, *op. cit.*, s. 425.
5. *Nihongi: Chronicles of Japan from the Earliest Times to AD 697*, Tokio 1998, *op. cit.*, s. 96.
6. *The Kojiki: Records of Ancient Matters*, Tokio 1993, *op. cit.*, s. 147; Wheeler, *op. cit.*, s. 82.
7. Patrz rozdz. 19.
8. *Szi Czi*, cyt. Joseph Needham *Science and Civilization in China*, Cambridge 1979 (pierwsze wydanie 1959), t. 4, cz. 3, s. 551.
9. Cyt. *ibidem* t. 4, cz. 3, s. 550.
10. *Ibidem* t. 4, cz. 3, s. 15.
11. *Ibidem* t. 4, cz. 3, s. 549.
12. *Ibidem* t. 4, cz. 3, s. 548.
13. Betty Meggers, Clifford Evans i Emilio Estrada *Smithsonian Contributions to Anthropology*, t. 1.
14. Patrz rozdz. 18.
15. Porównaj z „kamienną łodzią” w rozdz. 18.
16. *Encyclopaedia Britannica*, t. 7, s. 43–44.
17. Needham, *op. cit.*, t. 4, cz. 3, s. 549. Needham umieszcza ją dalej na wschód, nawet aż w okolicy Ameryki, lecz lokalizacja jest „mityczna”.
18. *Ibidem* t. 4, cz. 3, s. 549.
19. *Ibidem* t. 4, cz. 3, s. 551.
20. Np. patrz Gregory C. McIntosh *The Piri Reis Map of 1513*, Georgia 2000, *op. cit.*, s. 72, 115; Svát Soucek *Piri Reis and Turkish Mapmaking after Columbus*, *op. cit.*, s. 99; Fuson, *op. cit.*, s. 185.
21. Cyt. Needham, *op. cit.*, t. 4, cz. 3, s. 552.
22. Cyt. *ibidem* t. 4, cz. 3, s. 553.
23. Cyt. *ibidem* t. 4, cz. 3, s. 553.
24. Cyt. *ibidem* t. 4, cz. 3, s. 551.
25. Cyt. *ibidem* t. 4, cz. 3, s. 553.
26. *Ibidem* t. 4, cz. 3, s. 553.
27. *Ibidem* t. 4, cz. 3, s. 547.
28. *Ibidem* t. 4, cz. 3, s. 547–548.
29. *Ibidem* t. 4, cz. 3, s. 547–548.
30. *Ibidem* t. 4, cz. 3, s. 538. Alternatywnym tłumaczeniem „mapy okiem ptaka” jest „kalendarz lecącego ptaka”; wiem, co wolę!
31. Cyt. Needham, *op. cit.*, t. 4, cz. 3, s. 538.
32. *Ibidem* t. 4, cz. 3, s. 539.
33. Daty w przybliżeniu; źródło: Jacques Gernet *A History of Chinese Civilization*, Cambridge 1999, s. 39 i dalsze.
34. Cyt. Needham, *op. cit.*, t. 4, cz. 3, s. 539.
35. *Ibidem* t. 4, cz. 3, s. 547.
36. Tłumaczenie u Wheelera, *op. cit.*, s. 40–41.
37. W *ibidem*, s. 40.
38. *Ibidem*, s. 40–41.
39. Zestawione przez sir Jamesa Frazera w *Folklore in the Old Testament*, Londyn b.d., t. 1, s. 225–232.
40. *Ibidem*, s. 225–232.
41. *Ibidem*, s. 225–227.
42. *Ibidem*, s. 227.
43. Patrz *Ślady palców bogów*, rozdz. 17. mity o potopie z całego świata, przypominające historię Noego.
44. Liczby te omawiają w Giorgio de Santillana i Hertha von Dechen w *Hamlet's Mill*, Boston 1992.
45. Patrz *Ślady palców bogów* i *Zwierciadło nieba*.
46. Dziękuję Henry’emu H.J. Juangowi za zwrócenie na to uwagi.

Podziękowania

Tajemnice podwodnych miast są efektem prawie pięcioletnich poszukiwań. W tym miejscu mogę jedynie podziękować nielicznym z ogromnej rzeszy ludzi, którzy w ten czy inny sposób przyczynili się do powstania tej książki.

Na szczególne podziękowanie zasłużyła moja żona Santha, która podążyła za mną wszędzie, dzieliła ze mną trudy i niebezpieczeństwa podróży, nurkowała u mego boku, wraz ze mną podejmowała coraz to nowe wyzwania i przez pięć lat żyła tylko tą książką, podobnie jak ja. Wszystkie zamieszczone tu zdjęcia są jej autorstwa, lecz to zaledwie drobna część ogromnej pracy, jaką wykonała Santha. Znacznie więcej fotografii ilustrujących nasze przygody znajdują Państwo na mojej stronie internetowej <http://www.grahamhancock.com>.

Szczególne wyrazy wdzięczności należą się Sharifowi Sakrowi, znakomitemu badaczowi, który po ukończeniu Oksfordu został moim asystentem latem 2000 roku, kiedy zaczynałem pisać tę książkę. Jest wybitnym naukowcem – oryginalnym myślicielem, indywidualnością o ogromnej inteligencji, niespożytej energii i niewyczerpanej inicjatywie, człowiekiem, którym nie trzeba kierować, który sam wie, kiedy i jak powinien działać. Jego wkład w powstanie *Tajemnic podwodnych miast* jest przeogromny.

Pragnę też podziękować Johnowi Grigsby'emu, który był moim asystentem, zanim Sharif przybył do nas, Sancierowi Fajowi za niezwykle twórcze planowanie i koordynację rozmieszczenia diagramów i map w tej książce. Dziękuję Seanowi Hancockowi za to, że tak dokładnie śledził chronologię epoki lodowcowej i zbierał wszelkie pogłoski o podwodnych ruinach w Pohnpei i Kosrae. Dziękuję również Leili Hancock za badania nad naturą i atrybutami Śiwy. Dziękuję Shakirze Bagwandeen za dostarczenie materiałów o indyjskich systemach religijnych i prehistorii.

Dr Glenn Milne z wydziału geologii Durham University dostarczył nam dokładne mapy potopów i wylewów, które zamieściłem w tej książce. Lecz gorliwości, z jaką nam pomagał, nie należy utożsamiać z aprobatą dla teorii i koncepcji tu prezentowanych – za te ostatnie odpowiedzialny jestem wyłącznie ja.

Dziękuję Ashrafowi Bechaiemu za to, że pokazał nam tajemnicze podwodne megality u wybrzeży Aleksandrii, a zwłaszcza olbrzymie kamienne bloki w Sidi Gaber, których akademicka archeologia nie chce uznać za dzieło człowieka.


W części poświęconej Indiom winien jestem wdzięczność całemu wydziałowi archeologii NIO, a w szczególności Kamleshowi Vora, Sundareshowi i dr. A.S. Gaurowi. Gorąco dziękuję także dr. Ehrlichowi Desie, dyrektorowi NIO, który pomógł nam uzyskać zgodę na nurkowanie w okolicy Dwarki i Poompukur oraz okazał wiele dobrej woli i życzliwości, kiedy oboje z Santhą po raz pierwszy pojawiliśmy się w głównej siedzibie NIO w Donna Paul w Goa.

Dziękuję także indyjskiemu NIOT, którego przełomowe odkrycia w Zatoce Kambajskiej po raz pierwszy zostały opublikowane w niniejszej książce. Pragnę tu zwłaszcza wymienić dr. S. Kathiroliego, dyrektora do spraw programów badawczych NIOT, dr. S. Badrinaryana, konsultanta do spraw geologii NIOT, i G. Janaki Ramana, kierownika działu transportu.

W Japonii pomagało nam tak wiele osób, że nie sposób wymienić tu wszystkich. Mam nadzieję, że ci, których nazwiska pominąłem, wybaczą mi. Szczególne podziękowania należą się naszemu przyjacielowi, Shunowi Daichiemu, japońskiemu tłumaczowi moich książek, który towarzyszył mnie i Sancie w podróżach po Japonii – zarówno na lądzie, jak i pod wodą. Dziękuję też zespołowi i kierownictwu Klubu Morskiego w Ishigaki, którzy umożliwili nam podwodne badania w Japonii. Oprócz członków wspomnianego klubu nurkowali wraz z nami i pomagali nam w poszukiwaniach także inni zapaleńcy: Kiyoshi Nagaki, Isamu Tsukahara, Kihachiro Aratake, Yohachiro Yoshimaru, Mitsutoshi Taniguchi i Kuzanori Kawai.

I na koniec rzecz nie mniej ważna. Santha i ja pragniemy podziękować naszym dzieciom: Ravi Faiia, Shanti Faiia, Sean Hancock, Luke Hancock i Gabrielle Hancock z wielką pogodą ducha odnosiły się do naszego zabiegania i przedłużającej się nieobecności w domu. Każde z nich odegrało ważną rolę w naszych poszukiwaniach, wszystkie nauczyły się nurkować i towarzyszyły nam w niektórych podróżach badawczych. Jesteśmy dumni i szczęśliwi, że razem z nami działa grupa tak błyskotliwych i przedsiębiorczych młodych ludzi.

Graham Hancock
Londyn, styczeń 2002 roku



TAJEMNICE PODWODNYCH MIAST

Wybrzeża Indii, Chin, Japonii:
podmorskie poszukiwania początków cywilizacji

W Zatoce Bengalskiej, na Morzu Arabskim, na Atlantyku, u wybrzeży Japonii i Tajwanu można napotkać podwodne ruiny prehistorycznych budowli. Zdaniem archeologów one nie istnieją. Ale autor odnalazł je dokładnie tam, gdzie wskazują starożytnie mity.

W mitologiach wszystkich kultur przewija się wątek katastrofalnego potopu.

Geolodzy potwierdzają takie wydarzenie: pomiędzy 15 000 a 8000 lat temu lód stopniał, a poziom mórz podniósł się o 120 metrów, zatapiając 25 000 000 kilometrów kwadratowych zamieszkanymi lądów i radykalnie zmieniając kształt ówczesnego świata.

Graham Hancock – jeden z największych obok Ericha von Dänikena i Davida Hatcher Childressa badaczy zagadek historii ludzkości, autor światowych bestsellerów: **Ślady palców bogów**, **Strażnik tajemnic**, **Zwierciadło nieba** – szuka prawdy ukrytej za mitami o potopie, schodząc pod wodę wraz z zespołem pletwonurków i wykorzystując najnowsze zdobycze nauki, takie jak techniki komputerowe, do stworzenia map zmieniających się na przestrzeni dziejów linii kontynentów. Podwodna podróż przez głębiny i tysiąclecia odkrywa zadziwiające zbieżności ze starożytnymi legendami i dostarcza nowych dowodów na to, że kilka, a nawet kilkanaście tysięcy lat temu na Ziemi istniały wysoko rozwinięte kultury. Ta wiedza zupełnie zmienia nasze spojrzenie na początki cywilizacji.

*Jeszcze bardziej oryginalne niż **Ślady palców bogów**.*

Hancock to Indiana Jones archeologii alternatywnej.

„Sunday Times”

Hancock rzuca wyzwanie tradycyjnej historii zdumiewającymi teoriami odległej cywilizacji, którą zniszczył globalny kataklizm.

„Daily Mail”

Cena det. zł 69,80


AMBER

ISBN 83-241-0143-8



9 788324 101436 >